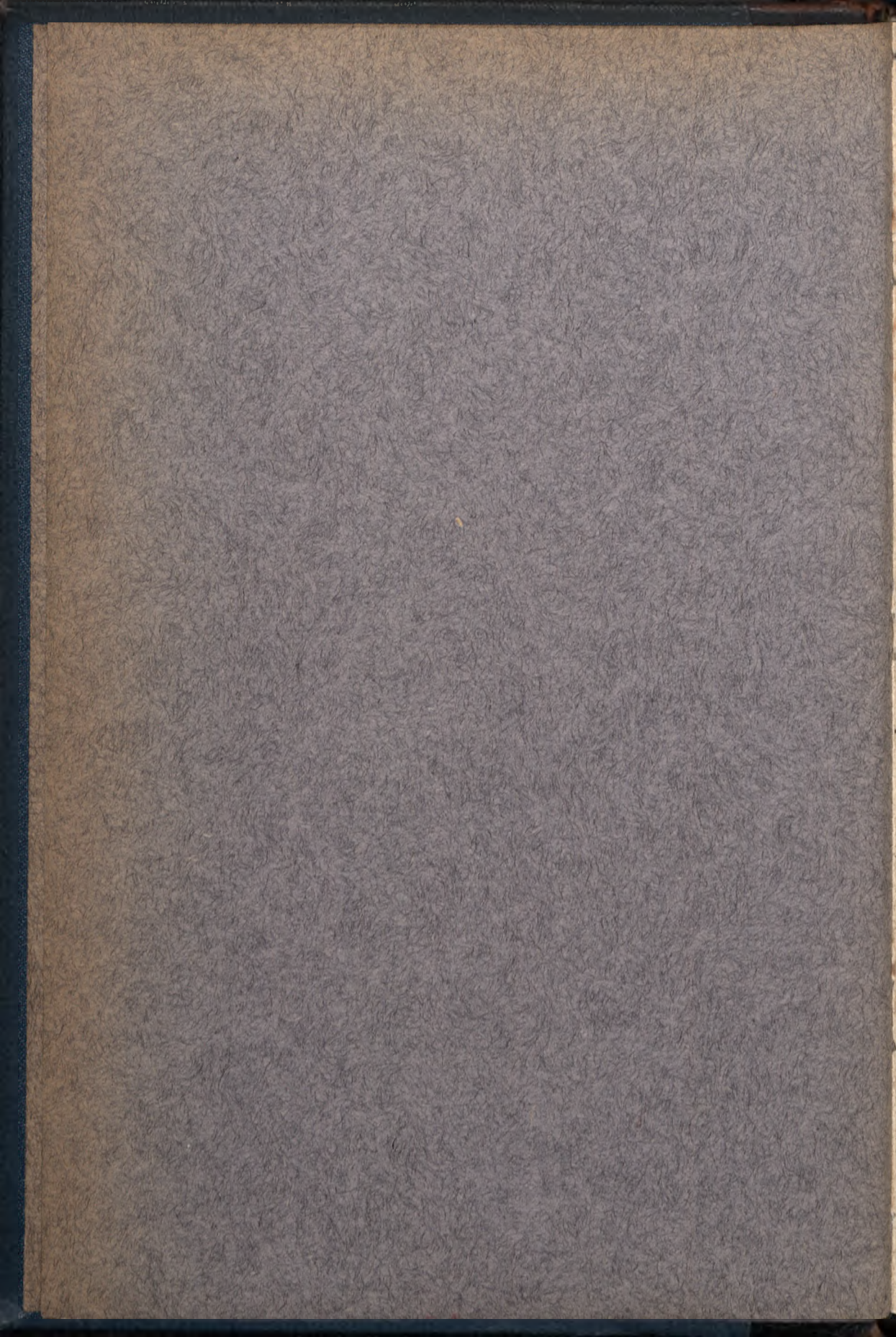


Biblioteka Sejmu Śląskiego

4620

1911 | 4







TOM CCLXXXIV.

ROK 71.

ZESZYT 850.

*L. 221.*

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

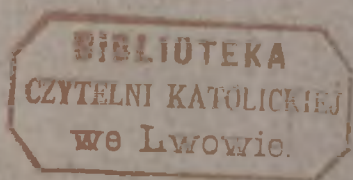
PAŹDZIERNIK.

1911.

---

TOM IV.--ZESZYT 1.

---



WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.



## TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
1. MICKIEWICZ w r. 1848,—przez <i>d-ra Tadeusza Grabowskiego</i> . . . . .	1
2. MŁODE LATA KOŚCIUSZKI,—przez <i>Włodzimierza Andrzeja Dzwonkowskiego</i> . . . . .	22
3. NASZA NAJNOWSZA POWIEŚĆ I JEJ WZORY,—przez <i>Antoniego Mazanowskiego</i> . . . . .	55
4. KARTKI Z PAMIĘTNIKA MICHAŁA STARZEŃSKIEGO . . . . .	79
5. RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i> . . . . .	109
6. FRANCISZEK LISZT,—przez <i>d-ra Józefa Władysława Reissa</i> . . . . .	133
7. PODSTAWY ETYKI SCHOPENHAUERA,—przez <i>d-ra Zygmunta Bukajowskiego</i> . . . . .	148
8. PIŚMIENNICTWO:	
HENRYK WIERCIEŃSKI: „W sprawie wydzielenia Chełmszczyzny,—przez <i>Wacława Dunina</i> . . . . .	169
EDWARD MIŁEWSKI: „Sklepy społeczne“ (Rzecz o kooperacyi spożywców),—przez <i>d-ra Zygmunta Gargasa</i> . . . . .	172
MARYAN GAJWAŁEWICZ: „Poeta promienisty,—przez <i>H. M.</i> . . . . .	179
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Z powodu zamachu.—Na marginesie głośnego procesu.—Rozprawy o zmniejszeniu liczby świąt.—Trwożna pogłoska.—Wystawa w Sandomierzu.—Stołypin i Kokowcow . . . . .	181
10. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. Księżę Kardynał Puzyra i ś. p. d-r Jan Stella Sawicki,—przez <i>L. W.</i> . . . . .	186
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	201

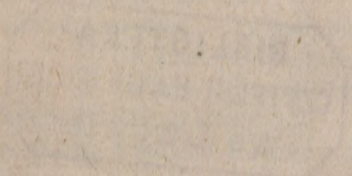


BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA  
CZYTELNI KATOLICKIEJ  
we Lwowie.




BIBLIOTEKA WARSZAWSKA





Ogólnego zbioru Tom 284.



# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

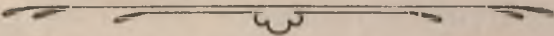


poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



BIBLIOTEKA  
CZYTELNI KATOLICKIEJ  
we Lwowie.

Rok 1911. — Tom IV.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1911.





4620. 19M. 4

BIBLIOTEKA II



30.000

WARSZAWSKA

x-14385  
4620/ II 4.

1911

Rok 1911 - Tom IV

# MICKIEWICZ w r. 1848.

## I.

Jeszcze w r. 1858 wyrzekł Klaczko w swych paryskich wykładach o Mickiewiczu, że korespondencya jego w niczem nie umniejsza naszego dla niego kultu. Jeżeli drobne sprawy i koła małych czynów dowiodły tego przed pół wiekiem, nie inne świadectwo wydały i wielkie. Oświeciły one postać litewskiego wieszca w sposób nader dokładny. Pokazały go nam tedy, jako organizatora filomatów, wodza emigracyjnych mistyków, kierownika legionu, publicystę politycznego i społecznego. Wielostronna działalność pogłębiła oczywiście różnicę, która dzieli go od dwóch innych poetów tego samego kierunku i czasu.

Znano Mickiewicza, jako człowieka, mało, skoro poezya jego pociągała przedewszystkiem. Korespondencya dała mniej, niż się spodziewano, o człowieku urabiano sobie pojęcia stosownie do panujących poglądów. Starano się dostroić człowieka do tonu współczesnego. A tymczasem przybywające świadectwa wyjaśniły wiele szczegółów mniej zrozumiałych, odkryły lepiej człowieka, by pokazać dowodnie, jak wypełnił to, co zapowiedział niejako na wstępie do życia, w pamiętnej wszystkim, a rozmaicie ocenianej, odzie młodości. I okazało się, że był w pełni człowiekiem ewolucyi nie tylko w poezyi, że sprzągł się nierozdzielnie ze swym wiekiem, że jego indywidualizm nie był wolnomyślnością, odbiciem się od reszty, wydzieleniem się z tłumu.

Był raczej poszukiwaniem prawdy, określeniem prawdy, usiłowaniem do urzeczywistnienia prawdy, której część jedynie zawarła poezya. Ta prawda rosła w miarę lat, choć była właściwie jedną od początku. Geniusz poetycki nie był dla Mickiewi-





cza niebezpieczeństwem. Wypowiadał on bowiem to, w co wierzył, gdy wirtuoz poetycki wierzy w to, co mówi. Nie dał porywać się potokowi słów własnych, w chwilach najwyższego natchnienia nie sądził przecież, że myśli sam przez siebie. Czuciem doszedł do myśli, czuciem zyskał też rząd dusz. Czucie doprowadziło go do wiary, gdy od niej odstąpił, czucie wznosiło jego lot, gdy się obniżał, czucie kazało mu iść z epoką, która wyszła z czucia. Szedł zrazu z ogólnym prądem liberalnym, który pragnął uchrześcijanić tylko, potem—społecznym, gdy liberalny wyszedł na korzyść tylko jednej warstwy. Ostatecznie nawet najbardziej odlegli od niego kierunkiem uznawali, że jest w nim coś, co stanowi o jego epokowości, że jest w nim wykładnik dążeń czasu, że filomata, towiańczyk, legionista, publicysta społeczny składają się na olbrzyma, który wyrósł ogromnie nad programy i dążenia późniejsze.

Duchowo wyrósł on odrazu nad Słowackiego i Krasińskiego bezosobistym charakterem swej działalności, prostotą myśli i wyrazu, mocą woli męskiej i skłonnej do czynu, nie liczącej się z niczem. Jego historia jest historią jego czasu, w nim tkwią najszlachetniejsze jego dążenia i myśli. Jeżeli jednym z najciekawszych przedmiotów badania jest człowiek, to jeszcze bardziej ciekawym musi być człowiek-naród. Mickiewicz nadaje się zaś najlepiej do podobnego badania. W jego charakterze mieści się tajemnica jego działania, choć kierunek tego działania zawisł od przyczyn określających.

## II.

Ani poezya, ani korespondencya, ani świadectwa udziału w sprawie filomatów, towiańczyków, legionu rzymskiego, organu rewolucyjnego nie zawierają śladu pozy, której tyle było u romantyków. Jest to tem cenniejsze, że nim zaczęło się wtedy pisać, trzeba było żyć romantycznie. Wydobyć z ruiny, jak określił Lasserre romantyzm wyszły z myśli Rousseau, treść żywotną, nie dać się opętać złudzeniom, zachować trzeźwość i świadomość drogi wśród chaosu sofizmatów, stanowiło wysiłek wyższej inteligencyi. Był nią Mickiewicz, gdyż żył potężniej od filomatów. Historia ich myśli jest w jego myślach człowieka, który, mimo romantyzmu, nie gardzi życiem, nie żyje marami, jest organizatorem zręcznym i ostrożnym. Głosząc potrzebę służby społecznej,

podnoszenia oświaty, działania rozważnego i praktycznego dla osiągnięcia tajemnego celu, wyraża się on zwięźle i z pewnością człowieka czynu.

Już w młodości jest w nim dogmatyzm, który pragnie widzieć spartańskiego ducha w narodzie, nagiąć jednostki do wytrwałej a świadomej pracy dla ogółu, obudzić w duszach heroizm w nieugiętym wypełnianiu obowiązku. Zmysł rzeczywistości znać u niego na każdym kroku; w przemowach do filomatów niema goryczy, niema pychy romantycznej, niema pesymizmu. Filomatyzm ma przywrócić duszom czystość, którą utraciły. Podobnie ma działać i towianizm, którego wódz wyrasta nad mistrza Towiańskiego. Czuje bowiem w sobie moc do czynu, którym nie była poezya, nie były wykłady w Collège de France. Jak niegdyś w Wilnie, tak teraz w Paryżu chodzi o uświadomienie jednostek, obudzenie tonu, wzniesienie się nad poziomość płazów w skorupie. Tam poległo wszystko na myśli o ojczyźnie, kształceniu inteligencji, ćwiczeniu w wypełnianiu obowiązku, tu na drgnięciu dusz za każdą cenę, dostrojeniu się do wyższej ekstazy mistycznej, napięciu wewnętrznem trwałem i mocnem.

Chodziło, jednym słowem, o doświadczenie mistyczne pod różnemi formami, o zdobycie siły wyższej, o uzyskanie energii, która zrazu staje w przeciwieństwie do dawnego stanu ducha, potem stwarza w nim nowe życie. Chodziło o realizację ducha boskiego w nas, o intuicyę bytu bezwzględnego, o unicestwienie form świadomości zwyczajnej. Każdy człowiek jest bowiem narzędziem myśli niewidzialnej, z którą może się zjednoczyć, gdy złoży w ofierze siebie i obudzi w sobie większe i czynniejsze życie duchowe. W ten sposób rota towiańczyków miała rozszerzyć ducha Chrystusowego na masy, wpuścić do gmachu kościoła nieco świeżego powietrza, związać życie religijne z praktycznem. Wiek XIX zastał bowiem obaloną religię, także związaną z nią moralność. By liberalizm i demokracja nie stały się szkodliwymi społeczeństwu, należało pragnąć odnowienia religii i moralności w duszach, co nie wyłączało wiary w wartość wolności, równości, braterstwa, co nie usuwało wiary w postęp. Mickiewicz pragnie tedy, by demokracja była religijną, jeżeli nie ma pograżyć się w upadającą ją materyalizmie.

Wszystko zaś, co dzieje się w Europie, napawa go nadzieją, że ważne wypadki się gotują. Francji przyznawał zasługę zrobienia Europy katolicką, wątpił jednak, by teorye ówczesnych polityków i moralistów mogły ją zbawić. Prawdę widział w Polsce, gdyż źródłem jej potęgi były entuzjazm, wiara w zależność



świata widomego od niewidomego, wyteżenie ducha, a nie kult form i więzów. Ta potęga odezwała się w konfederacji barskiej, rozpląnęła w legionach, zajaśniała w poezji romantycznej. Na niej należy się oprzeć, tą potęgą ożywieni cudzoziemcy mogą też pomódz Polsce do spełnienia jej zadania. Serce jest bowiem źródłem wielkich myśli i czynów, intuicyi i przeczuć, wiedzy wewnętrznej, która lekceważy wiedzę rozumu. Może znaleźć się nawet człowiek-naród, który zrealizuje zadanie zbudowania jedności religijnej, politycznej, społecznej. Przeczuwał takiego człowieka de Maistre, przeczuwa i Mickiewicz, by widzieć w nim ruch ducha nie tylko Polski, ale i globu. Temu człowiekowi toruje drogę w wykładach w Collège de France, potem organizacją legionu i wydawnictwem organu rewolucyjnego. Dlatego żądał czynu, pragnął walki, chciał realizacyi usiłowań ducha.

„Czyn, jako owoc ofiary ducha naszego — mówił — jest najwyższą rzeczą, do której każdy z nas powołany. Tej ofiary nie moglibyśmy spełnić bez Pana naszego. Jego życie bowiem jest ciągłą ofiarą.“<sup>1)</sup> Czyn nie nadechodził jednak długo, choć wypadki świadczyły, że odmiana jest możliwą. Mickiewicz obserwuje je z uwagą, ubolewa tylko, że we Francyi niema władzy duchowej, że indywidualizm jednostek nie daje możności ustalenia takiej władzy. I żąda, by rota towiańczyków świeciła przynajmniej pokazywaniem nowego życia, jeżeli stary porządek ma upaść. Nie wątpił bowiem, że i mała liczba może dokonać odmiany siłą wewnętrzną, ciemną nieskończonością, duchem boskim, który jest w nas, że może zabłysnąć czystem światłem odrodzenia.

### III.

I wtedy nastąpiły wypadki rzymskie, które odwróciły jego myśl od Francyi. Sądził teraz Mickiewicz, że doktryneryzm za bił w niej entuzjazm, że Rzym stanie raczej na czele ruchu rewolucyjnego, skoro Pius IX odznacza się duchem liberalnym a król sardyński Karol Albert wypowieda wojnę odwiecznemu wrogowi wolności. Naród włoski stawał niejako z grobu, z Rzymu posyłano wojska na pomoc Karolowi Albertowi, Mickiewicz

---

<sup>1)</sup> „Współdział A. Mickiewicza w sprawie An. Towiańskiego.“ T. I, Paryż 1877, str. 221.

głosił zaś jedność ludów już dawno. Śpieszył więc do Rzymu prawie pieszo, marzył o czynie wbrew woli roty i chęci stronnictw emigracyjnych. Opierał wszystko, jak dawniej, na ruchu mas ludowych, szukał ratunku w ludzie a nie w dynastyach, jak zachowawcy dawniej i dzisiaj. Zwracał się jednak do papieża, gdyż upatrywał w nim władzę duchową, jakiej potrzebę głosił oddawna.

Jako rewolucjonista, nie mógł mieć poparcia u zachowawców, jako towiańczyk, nie mógł mieć uznania u katolików. Szedł sam, iść z nim nie chciał właściwie nikt. Tracił nawet sympatyje demokracyi, gdyż zwracał się do znienawidzonego przez nią Rzymu. Upokarzał się wobec ludzi, którzy mu nie ufali, by tylko zjednać ich dla swej myśli. Czy nie tak nazwać należy bowiem spowiedź przed zmartwychwstałą Jełowickim? Nie był to wcale wallenrodyzm, była raczej ofiara, której genezy nie rozumiano wtedy. Mickiewicz wiedział bowiem, że francuski rząd republikański, choć wyszedł z rewolucyi lutowej, nie idzie z ludem, nie myśli podnieść sprawy Polski. Musiał tedy szukać oparcia w Rzymie, gdyż zdawał się on stawać na czele rewolucyi. Nadechodziła wreszcie wieść o rewolucyi w Wiedniu, lud rzymski strącał dwugłowego orła z ambasady austriackiej.

Gdy w emigracyi gotowano się wreszcie do pochodu na pomoc walczącym w różnych punktach Europy, Mickiewicz wierzył w powodzenie sprawy włoskiej. Papiestwo stawało się bowiem naprawdę siłą kierującą ruchu, godzina czynu wybijała. A Mickiewicz tworzył legion, którego członkowie zobowiązywali się iść na pomoc narodowi, zrzucającemu austriackie jarzmo, by następnie, wzmożeni zastępami słowiańskimi, ruszyć do ojczyzny. Liczyli na powstanie Słowian za przykładem Włoch, co w owym czasie nie zakrawało na fantazję. Legion liczył jednak tylko dwunastu zaciężnych, nie imponował liczbą, ale duchem, jak rota towiańczyków. Co się tyczy zasad, określał je jego wódz duchowy, któremu piąty krzyżyk pobielił włosy, ale nie osłabił ducha.

Pierwsza zasada głosiła potrzebę czynów wolnych ducha chrześcijańskiego. Znaczyło to, że mają one wynikać z czystej woli, nie pochodzić z żadnego przymusu, nie być ujęte w żadne formy, jak dotąd w rocie towiańczyków. Druga żądała, by prawo ewangeliczne stało się prawem narodów, jak tego domagał się również towianizm. Trzecia uważała za konieczność, by kościół stał się stróżem tego prawa. Znaczyło to oczywiście, że papież miał czuwać nad jego realizacją. Teokracja stanowiła niby podstawę systemu, w który wchodziła dopiero Polska ze swą



boską misją w dziejach. Nie mogło być zresztą inaczej, skoro wykłady paryskie głosiły mesyanizm otwarcie, mistyczny nastrój wodza legionu nie zmienił się zaś bynajmniej, skoro zalecał teraz i później <sup>1)</sup> pozbycie się egoizmu i przejęcie się sprawą milionów.

Czwarta zasada objawiała wyraźnie, że w Polsce ma realizować się Słowo. Uzupełniały ją cztery inne o duchu polskim, służącym Słowu, o wolności wyznań, o wolności Słowa i równości wszystkich wobec prawa. Siedem ostatnich zasad dotykało wprost stosunków społecznych. Stanowiły one obieralność urzędów, zrównanie Żydów w prawach z ogółem ludności, nadanie praw obywatelskich kobiecie. Każdy Słowianin miał równe prawa w ludowej rzeczypospolitej, innym narodom obiecano pomoc chrześcijańską. Co się tyczy własności, obiecywał ją Mickiewicz rodzinie i gminie, gdy chodziło oczywiście o chłopów, inną własność kazał szanować i oddać pod straż urzędowi.

W tak zwanym symbolu politycznym legionu zawarły się tedy raz pierwszy poglądy społeczne Mickiewicza. Wynikały one logicznie już z programu wodza filomatów, który był republikańskim. Wszakże Rousseau radził zaszczerpić republikę w sercach, by uczynić je opornymi na wpływy zewnętrzne. On zaś był rousseauistą nie tylko dlatego, że dawał przewagę uczuciu nad rozumem. W Wilnie marzył już o wszechwładzy ludu, na ludach opierał też przyszłość w Paryżu, gdy po raz pierwszy wystąpił z artykułem w emigracyjnym organie. Naturalnym jego sojusznikiem był teraz Rzym, skoro podawał pomocną rękę zmarłychwstającemu ludowi włoskiemu. Widział w Piusie IX zapewne ową władzę duchową, o której marzył, ceniony przez niego wysoko, Saint Simon wraz z ogółem mistyków czasu. Postać Towiańskiego zacieraa się w jego duszy szybko, na plan pierwszy wysuwała się nowa, a zwracająca oczy nawet skrajnych rewolucjonistów. Więc mesyanizm uzupełnił ją poglądami na ustrój społeczny Polski. <sup>2)</sup>

Uczucie podyktowało związane zasady symbolu, uczucie kazało nie zważać na pokątne intrygi arystokracji polskiej w Rzymie i szyderstwa emigracyjnych organów w Paryżu. Miłość ludu wzrosła w poccie żywiołowo, jak to było i u Micheleta, którego dzieła odczytywał uważnie. Ta miłość ludu kazała mu odpowiedzieć Piusowi IX, że duch Boży kryje się w bluzach paryskiego ludu, że Chrystus nie troszczył się o władców świata. Wiara w nieo-

<sup>1)</sup> „Mémorial de la légion polonaise,“ t. I, Paris 1877, str. 289.

<sup>2)</sup> „Współludź“, t. II, str. 76.

myślność, świętość, boskość ludu zabłysła w jego systemie, jak u Lamennais'go i Micheleta. Ta wiara żyła w nim dawno, by towarzyszyć mu odtąd nietylko na audyencyi u papieża. Jeżeli dążenie do władzy duchowej, jeżeli wiara w lud przypominały poglądy ówczesnych idealistów, to rola rodzinna i gminna stanowiły jakby zaczątek wspólnej własności. Była to jakby negacya własności indywidualnej przynajmniej w odniesieniu do chłopów, którzy wtedy własności nie mieli. Naogół symbol był nowem urządzeniem społecznem, w którym nawet kobiety zrównano z mężczyznami, jak chcieli również saint-simoniści.

Mickiewicz nie znosił zresztą własności istniejącej czyli szlacheckiej, jak nie czynił tego i Saint Simon. Jest ona pod strażą narodowego rządu, który jest wybieralny. Można tedy przypuścić, że miliony wyborców mogłyby inaczej rozrządzić o własności. Symbol nie mówi o tem, mówi jednak odezwa do towiańczyków, w której wspólnota słowiańska jest podniesioną nader wysoko.<sup>1)</sup> Było to jednak przemówienie poufne, symbol musiał unikać podobnych wynurzeń, gdyż naraziłyby one sprawę legionu na straty niepowetowane. Jakkolwiek było, symbol stanowił wstęp do działania, które, mimo swych pokrewieństw ze społecznymi teoryjami czasu, było jednak politycznem. Miało ono pociągnąć pod chorągiew polską ludy słowiańskie, miało utorować tej chorągwi drogę do ojczyzny, miało dać równość polityczną i uwłaszczenie, którego domagali się oddawna emigracyjni demokraci. Polska szlachecka zmieniała się w ludową, realizowała ideał, do którego dążyć miały dopiero Czechy i Rosya.

Rzeczywistość sprzysięgnęła się jednak przeciw Mickiewiczowi. Liberalny papież zawodził bowiem jego oczekiwania, klęski włoskiego oręża miały wnet zniszczyć jego dzieło. Pius IX nie mógł przecież walczyć z Austryą, skoro była ona państwem katolickiem, Francya nie mogła również narażać się na wojnę z trzema państwami zaborczeni. A on żądał od niej interwencyi, godnej prawdziwej republiki, i realizacyi hasła lutowych, które tę republikę świata obwieścili. „System nie interwencyi—pisał wtedy—wynaaleziony zresztą w przelotnym interesie dynastycznym, nie może mieć żadnej wartości, jest antychrześcijańskim. Akcyja Francyi w pewnych wypadkach, naprzykład w Polsce albo we Włoszech, jest potrzebną i zbawienną, zarówno dla tych krajów, jak i dla Francyi.“<sup>2)</sup> Poczęła się w Paryżu walka sprzecznych dąż-

<sup>1)</sup> „Współdział“, t. II, str. 78.

<sup>2)</sup> „Korespondencya A. Mickiewicza“, t. II, Paryż—Lwów 1880, str. 12.



ności mieszczaństwa i robotników, walka, oparta w końcu na organizującej się mieszczańskiej gwardyi narodowej. I w partyi socyalistycznej ścierały się dwa prądy. Umiarkowany, w którym przewodził Blanc, nie chciał rewolucyi, skrajny Blanquiego i Barbeša pchał do przewrotu.

#### IV.

I przewrót zbliżał się szybko, by objawić się z całą grozą w dniach czerwcowych. Zmartwychwstały wspomnienia wielkiej rewolucyi, kiedy formuła Robespierre'a o własności, jako prawie ograniczonego używania, miała pozyskać dla wnioskodawcy lud robotniczy. Nie zapomniano o żądaniach Babeufa, który odrzucił własność prywatną, różnice majątkowe, niezorganizowaną produkcję bogactw. Tajne stowarzyszenia wystąpiły teraz z jawnem działaniem, idee Saint Simona, Fouriera, Leroux, pani Sand były na wszystkich ustach. Saint Simon utrwalił, zwłaszcza w gorętszych sercach, przekonanie, że stary porządek musi runąć, że trzeba szerzyć kult pracy i braterstwa a tępić egoizm za każdą cenę. Człowiek żyje bowiem dla społeczeństwa, oboje muszą uleść odnowieniu wewnętrznemu, jeżeli życie społeczne ma iść normalnie.

Fourier organizował społeczeństwo przyszłości. Miały w niem ustać walka jednych z drugimi, nastać harmonia warstw, zniknąć przeciwieństwa interesów jednostek. Falanster regulował zajęcia każdego w sposób pedantyczny, niszczył instynkta indywidualne, przywracał stan natury, zgodny z przeszłością ludzkości. Potężny prąd uczucia rozlewał się w duszach, które oczekiwały powszechnego szczęścia z całą naiwną wiarą. Pani Sand widziała już wiek harmonii, opartej na miłości, równości, zasłudze jednostki. „Mówią—głosiła jedna z bohaterek jej romansu „Meunier d'Angibault—że to jest zagadnienie, które najwięksi święci chrześcijańscy i najwięksi mędracy ludzkości próbowali rozwiązać. Mówią jeszcze, że ta religia jest gotową zejść w serca ludzkie, choć wszystko zdaje się w istocie spiskować przeciw niej...“<sup>1)</sup> Tą religią był socyalizm, od socyalizmu spodziewano się pogromu materalizmu, bałwochwalstwa, egoizmu, które niszczą prawdziwą religię.

<sup>1)</sup> G. Sand: „Oeuvres complètes“, t. XXXII, Paris, b. r. str. 140.

Niebrakło też praktycznych organizatorów przyszłego społeczeństwa. Considérant malował tedy barwnie położenie robotnika, żądał zaopatrzenia go w narzędzia pracy i zarobku. Chciał przywrócenia prawa naturalnego, które uczyniło ludzkość użytkownikiem globu, usunięcia grabieży jednych przez drugich przez postanowienie, że każdy posiada to, co zdobył własną pracą. Nowe pokolenie znajdzie w ten sposób kapitał naturalny i stworzony, prawo do pracy i wysokość płacy musi nadzorować państwo, jeżeli porządek społeczny nie ma uleść zepsuciu. Liberalizm nie pomyślał bowiem o wywłaszczonych, <sup>1)</sup> liberalizm stworzył wolną konkurencyę, która niszczy nawet mieszczaństwo, a czyni robotnika niewolnikiem. Państwo, uzupełniał tedy Blanc, może stać się regulatorem produkcji, tworzyć warsztaty, z których dochody pójdą do równego podziału, na utrzymanie słabych, na zakupno narzędzi. W ten sposób kapitał uspołeczni się stopniowo i pokojowo, praca zostanie zorganizowaną, czego pożądają wszyscy.

Formułą postępu jest moralne i materyalne polepszenie losu wszystkich przez wolny współdział i braterskie uspołecznienie.<sup>2)</sup> Powszechne głosowanie nie jest przecież lekarstwem radykalnem, wyzwolenie polityczne nie jest bowiem celem, ale środkiem do usunięcia tyranii ekonomicznej, do ułatwienia człowiekowi rozwoju przyrodzonych zdolności pod panowaniem sprawiedliwości i strażą ustawy. Jeszcze dalej szli zaś Cabet i Proudhon. Żądali oni już wprost zniesienia własności, uspołecznienia kapitału. Pierwszy rozprawiał o uregulowaniu wszystkiego przez państwo, równości płacy, podniesieniu materyalnym i duchowem ogółu, drugi elektryzował masy dyalektyką, w której zwalczał mechanizm życia przemysłowego, skazywał na śmierć własność prywatną, żądał sprawiedliwości. Dzieje ludzkości są bowiem jej poszukiwaniem ciągłym i trwałym.

Rząd republikański nie myślał tymczasem o żadnych reformach. Sądził, że Francya uczyniła dość, gdy dała równość polityczną obywatelom, przykład innym ludom. W warstwach robotniczych wrzało tymczasem, idea solidarności ucieszonych przeciw ujużnicielom zyskiwała z dniem każdym zwolenników. Idee Mickiewicza płonęły istotnie w piersiach ludu paryskiego.<sup>3)</sup> Wresz-

1) „Théorie du droit de propriété,” Paris 1848, str. 34.

2) „Organisation du travail,” 9-e édition, Paris 1850, str. 17.

3) Władysław Mickiewicz: „Żywot A. Mickiewicza,” t. IV, Poznań 1895, str. 100.



cie dnia 15 maja 1848 r. stutysięczny tłum ruszył w kierunku Izby, by żądać upragnionej interwencji. Gdy zaś Izba odmówiła wręcz podobnemu żądaniu, rząd tymczasowy, złożony z socyalistów, wypowiedział w ratuszu wojnę mocarstwom zabobczym. Zaaresztowano go jednak, reszty dokonała gwardya mieszczańska. W sercach polskich pozostała tylko pamięć niestłchanego wydarzenia, po którym nastąpiły wypadki czerwcowe.

Socyalizm francuski solidaryzował się w ten sposób ze sprawą, a czynił to tem skwapliwiej, że w powstaniu krakowskim— z przed dwóch lat — wyczuwał echo swych poglądów. Wszakże wtedy mówiono już o układzie społecznym, w którym każdy znajdzie zabezpieczenie siebie i rodziny. Przejmował ten objaw radością Worcella, wznagał poczucie solidarności wśród francuskich socyalistów.

## V.

Mickiewicz zbierał równocześnie we Włoszech dowody sympaty. Jego słowa przyjmowano z entuzjazmem, zdawało się, że cała armia ludów stanie na nogi, by rozpocząć pochód ku wolności. I ton przemówień wodza legionu stawał się coraz bardziej uroczysty. Ścisnął on niejako całą treść swej jaźni, miłością jednoczył wszystkich, wcielał w siebie jakby rysy człowieka-narodu, o którym mówił niegdyś w wykładach. Wydało mu się, że, jak niegdyś z ziemi włoskiej, ruszą znów legiony polskie, na ich czele stawał zaś nie Dąbrowski, ale mistyk, ekstatyk, wizjoner. Włochy miały stać się podstawą realizacyi, religijna hipokryzya, zimne okrucieństwo, ponura dyplomacya miały teraz dopiero ponieść zupełną klęskę.

Legioniści przybywali też licznie,<sup>1)</sup> choć rosły jednocześnie przeszkody. Karol Albert nie godził się na propozycyę wodza, również w Paryżu podnoszono wątpliwości, czy symbol legionu nie traci zbyt rewolucyjnością. Tragedya czerwcową podcięła jeszcze bardziej pasmo nadziei, skoro republikanizm począł nawet tracić podstawy w społeczeństwie. Mieszczaństwo zdobyło przecież równość polityczną, przeraziło się zaś teoryi, które mogły wytrącić go ze stanu posiadania. I we Włoszech Austria brała górę, jedynie w Rzymie republikanizm wznagał się na siłach z po-

<sup>1)</sup> „Mémorial de la légion polonaise,“ t. II, Paris 1909, str. 86.

wodu niezadowolenia z polityki papieża. Należało koniecznie w Paryżu działać dla zagrożonej sprawy legionu, choć obrót wypadków nie wróżył rzeczy pomyślnych.

Okazało się, że i powrót do Paryża nie wpłynął niczem na zmianę usposobienia emigracyi. Mickiewicz nie był bowiem związany z żadną partją, posiadał tylko nieliczną garstkę przyjaciół. Osnowa działania darta się, należało przeczekać burzę, ucisk, reakcyę. Na propozycyę katedry w Krakowie odpowiedział, że ją przyjmie, jeżeli nie dotknie jego uczuć chrześcijańskich i obywatelskich. Była to odpowiedź, godna republikanina, demokraty, apostoła nowych idei, który w Krakowie, gdzie wkrótce miała zwyciężyć zachowawczość z Siemieńskim na czele, nie miał chyba wiele do czynienia. Należało stworzyć tedy podstawę działania na miejscu. Nasuwała się ona niejako sama, nie była bynajmniej w sprzeczności z tem, co głosił wieszcz litewski z katedry w Collège de France. Wiadomo przecież, że widział w Napoleonie I człowieka ewolucyi, pracy w duchu, ofiarę Waterloo. Do niego zwracał się w słowach ekstazy, z nim rozmawiał w widzeniach, o nim nie zapomniiał i teraz, gdy gwiazda synowca wielkiego cesarza wyblęsknęła na horyzoncie lutowej republiki.

W napoleonizmie uznał jakby nowy rozkwit idei przez siebie wyznawanych. Skoro jeden geniusz upada—mówił już dawniej—następuje drugi, człowiek przeznaczenia musi mieć swego następcę.<sup>1)</sup> Mógł nim być też nowy prezydent, skoro był wybrańcem pięciu milionów ludzi i wyrażał niejako tajemne nadzieje czasu. Wyrażał też czynnik obcy partyjom i jednostkom, łączył przeszłość z przyszłością. Sądził więc Mickiewicz, że realizacya napoleonizmu, który uosabia ewolucyę doszłą do władzy i działającą legalnie, musi być zadaniem chwili. Towiański marzył ciągle o służbie u papieża, on zwracał się do nowej służby, skoro papież zawiódł nadzieje ludów. Wracała dawna niechęć do Rzymu, z nią budził się dawny zapal filomaty, który stawał z kolei na czele rewolucyjnego dziennika.

Miał ten dziennik zwracać uwagę na walki we Włoszech i na Węgrzech, przeciwdziałać reakcyi mieszczańskiej, głosić napoleonizm. W jego redakcyi znaleźli się zaś ludzie najprzeciwiejsi sobie poglądem. Z redaktorem nie godził się właściwie nikt, najmniej zaś Hercen. Mickiewicz był rousseauistą, mistykiem, wieszczem, Hercen należał do pokolenia, którego nie znał

<sup>1)</sup> „Literatura słowiańska,” t. IV, Poznań 1865, str. 165.



już redaktor. Dwie szkoły rysowały się właśnie w tem pokoleniu. Jedna widziała w Rosyi to, co Mickiewicz w Polsce, druga żyła jedynie negacją. Wobec tej drugiej grudniowcy byli tylko przednią strażą rewolucjonizmu, nowi ludzie byli nihilistami. Stracili związek z duszą narodu, znienawidzili ją nawet, zgubili się w abstrakcyach. Z nich wyszedł przecież Turgeniew, który cieszył się, że został zachodowcem i zerwał z życiem rosyjskiem, który stworzył bohatera, nie chyłącego się przed żadną wielkością, nie znającego żadnej zasady. Mickiewicz zasady miał, stał na stanowisku chrześcijańskim i polskim, gdy oni nie mieli żadnego.

Rozwinął też swe zasady ponownie, choć przechylił się odłą stanowczo na stronę Francyi. Widział w niej tedy przedstawicielkę idei solidarności ludów, republikanizmu, postępu społecznego. Chciał teraz uświadamiać ją tylko w jej postannictwie, którego pamięć tkwi w duszy ludu. „Francya, jak ją pojmujemy—mówił—to ten sam duch, który stał się ludem i wcielił w formę republikańską. Znaczy to, że będziemy bronili obecnej konstytucyi, że będziemy współpracowali z całych sił, by przyśpieszyć jej rozwój w kierunku republikańskim ze wszystkimi jego konsekwencyami.“<sup>1)</sup> Znaczyło to, że redaktor nie myślał bronić monarchizmu, ideę napoleońską pojmował inaczej od prezydenta, godził swój republikanizm z kultem jego osoby. Nie mylił się tylko w tem, że republikanizm uważał za podporę postępu.

Co się tyczy socjalizmu, odnosił się do niego z sympatją. Uważał go bowiem za sprzymierzeńca w dążeniu do realizacyi solidarności ludów. O nią zaś chodziło mu głównie, nie o reformy społeczne. Swój dziennik uważał za trybunę ludów, walczących o wolność polityczną. Wiedział zaś, że słowo „socjalizm“ ma wtedy urok mistyczny, skoro stawiano je nad ewangelią, tolerującą niewolników, nad filozofią, cierpiącą proletaryzm. Pamiętał też socjalizmowi manifestacyę majową, bronil jego przedstawicieli, gdy trybunał w Bourges oskarżył ich o zdradę. Czyn majowy uważał za godny wielkiego narodu.<sup>2)</sup> Jego serce polskie nie mogło bowiem znieść myśli, że obrońcy Polski mają cierpieć, gdyż chcieli zmienić teorye lutowe w rzeczywistość, wybrnąć ze sprzeczności między słowem a czynem, rozwiązać zagadnienie porzucone przez mieszczaństwo. Tu tkwił prawdziwy powód jego sympatyi dla socjalizmu.

<sup>1)</sup> „Tribune des peuples,“ Paris—Cracovie 1904, str. 60.

<sup>2)</sup> Robert du Var: „Histoire de la classe ouvrière,“ Paris 1845, IV vol. str. 52.

Ale równie energicznie piętnował reakcyę, gdy spostrzegł ją we Włoszech. Oskarżał tam o brak poparcia sprawę wolności arystokrację piemoncką, która boi się republikanizmu, rząd włoski i papieża, że nie zrozumieli dążeń czasu i przygotowali Custozę i Novarę. Głosił nawet, że papież może istnieć bez listy cywilnej, żandarmów, regimentów szwajcarskich. Protestował przeciw wyprawie rzymskiej, szydził z potęgi, która nie może zwalczyć demona rewolucyi. A tymczasem wyprawa rzymska przychodziła do skutku, republika francuska podawała dłoń absolutyzmowi dla zwalczenia republiki rzymskiej. Był to objaw groźny dla samego redaktora, złowróżbny dla sprawy republikanizmu wogóle.

W tem położeniu zwracał oczy Mickiewicz na osobę prezydenta, którego stawiał nad królów, narzuconych ludom. Wierzył w niego więcej, niż w Izbę, że nie poprze on narodowego egoizmu, nie pójdzie drogą kłamstwa, chciwości, materyalizmu, wskrzesi epokę bohaterką wielkiego stryja. Izba, rząd, dyplomacya zapomniały bowiem o Polsce, nie stanęły na czele rewolucyi powszechnej. Prezydenta powołał do władzy lud, który odczuł w nim męża epoki. Sprawa Polski wiąże się zaś ściśle ze sprawą republiki, z upadkiem pierwszej ginie druga. Rozumieli to robotnicy w manifestacyi majowej, reakcyja chce tedy zabić republikę hasłem nieinterwencyi.

Tem uporniej wracała teraz myśl popierania prezydenta za wszelką cenę. O nim jednym odzywał się redaktor z szacunkiem, na niego myślał działać, z nim szukał zbliżenia duchowego. Jego bronił ze szlachetnym gestem oburzenia, by tem ostrzej traktować reakcyjne zakusy katolików typu Veuillota, liberałów typu Thiersa, konserwatystów, marzących ciągle o powrocie na tron prawowitej dynastyi. I dosadnie charakteryzował spółkę żywiołów najprzeciwiejszych a sprzysiężonych dla obalenia dzieła pamiętnego dla wszystkich ludów europejskich roku.

## VI.

„Zgromadzenie narodowe ma niewątpliwie słuszność—mówił redaktor — gdy zajmuje wobec rządu stanowisko stanowczo nieprzychylnie; by je poparł jednak lud, musi ono poznać pragnienia i życzenia ludu dzisiejszego, który nie jest ludem ani dni lipco-



wych ani lutowych.“<sup>1)</sup> Znaczyło to, że ogół ludowy pragnie interwencji na rzecz ujarzmionych, chce porozumienia z żywiołami rewolucyjnymi Europy. Ma to porozumienie sprzeciwić się sojuszowi ultramontanów i absolutystów, ma liczyć się tylko z interesem ludów a nie tronów. Słowa te zjawiały się w czasie, który widział właśnie taki sojusz w samej Francji. Lud, na który powoływał się jego trybun, milczał, robotnicy i drobni mieszczaństwo nie mieli już siły, by wystąpić czynnie przeciw reakcyi. Zapanowywała ona wszędzie, wyrażała się w polityce prezydenta republiki.

Napoleonizm redaktora czekały więc ciężkie próby. Bronił on przecież gorąco nawet Proudhona, gdy skazano go na więzienie za artykuł przeciw prezydentowi. A jednak były między nimi ogromne różnice. Mickiewicz wierzył w lud, Proudhon nazywał pojęcia ludowe głupstwem, Mickiewicz wypowiadał się dogmatycznie, Proudhon był tylko dyalektykiem, walącym własne systemy. Burzył on właśnie ideę wszechwładzy ludu, narodowości, religii. Tych zasad nie pozwalał tknąć jego obrońca, idący jedynie za uczuciem, widzący w uczuciu siłę, chcący związać ludzi w narodzie, chrześcijaństwie, ludzkości. Była jednak w nich wspólność obrony przed reakcją.

Dyktuje ją, zdaniem obrońcy Proudhona, interes materialny, gdy propagandę rewolucyjną dyktuje wiara. Nie ma ta wiara nic wspólnego z wiarą ultramontanów, która pochwała despotyzm i łączy sprawę papieża ze sprawą absolutyzmu. Trzeba odnowić tedy pierwotne chrześcijaństwo, trzeba uchryścusować politykę. „Nie mówcie—wołał redaktor do sfer duchownych—że ludy was opuszczają, to wy je opuściliście, one was szukają na waszej stolicy i nie znajdują; chcą się podnieść a wy się poniżacie. Macie siłę niezwyciężoną, bogactwo niezniszczalne i życiodajne, porzuciliście te skarby nieba dla ziemskich, które zabijają ducha.“<sup>2)</sup> W słowach tych malował się żal do Piusa IX, że zawiódł ludy, wyrażał się protest przeciw polityce kuryi papieskiej, która zmieniła się dopiero za dni Leona XIII. Wokoło szalała zaś prawdziwa burza sprzecznych prądów.

Mistyczna wiara w poprawę świata rozpadała się w gruzy, na gruzach widać było garstkę zropaczonych obrońców budowanego długo gmachu. Odrzucano bowiem wszelkie reformy, zer-

<sup>1)</sup> „Tribune des peuples,“ str. 97.

<sup>2)</sup> Tamże, str. 139—140.

wano nawet z ideą organizacyi pracy Blanca. Egoizm mieszczań-  
ski wiązał się z zapędami monarchistów, interes przeważał istot-  
nie nad wszelkimi objawami uczucia. Zawrzała walka namiętna,  
ludzie nie rozumieli już siebie wzajemnie. Tem usilniej pragnął  
Mickiewicz ratować sprawę odwoływaniem się do idei napoleoń-  
skiej. I wyjaśniał, że lud francuski zna tylko jedno imię, trzy-  
ma się tradycyi, przechowuje skarby przeszłości. Co oznacza to  
imię? — pytał 8 kwietnia 1849 r. Oznacza przymioty, które lud  
i armia podziwiała w Napoleonie, wiarę w wielki naród, wiarę  
w zasady przez niego głoszone, wiarę w tryumf tych zasad, zgod-  
ność słowa z czynem, słowo krótkie a wielki czyn, człowieka  
czynu, odpowiadającego na owe słowo.“<sup>1)</sup> Napoleonizm był za-  
tem, wedle redaktora, jedynym środkiem ratunku dla świata, któ-  
ry idzie ku reakcyi.

Widział on w nim nawet reformatora społecznego, skoro wia-  
domo było ogólnie, że prezydent sympatyzował z teoryjami uto-  
pistów w latach wygnania. Ale i teraz milczał lud, milczał i pre-  
zydent. Pierwszy spodziewał się po drugim zmniejszenia podat-  
ków, drugi pragnął zadowolnić ultramontanów, by tylko utrzymał  
się przy władzy. O robotników dbał najmniej, skoro pozwolił  
przywrócić nawet dziesięciogodzinny dzień roboczy. Nie zawiedli  
się na nim zwolennicy dotychczasowego porządku, Mickiewicz  
widział zaś reakcyę wszędzie, ale nigdy w działaniu prezydenta.  
Natomiast z dumą stwierdzał, że rewolucye ostatnie nie zmazały  
się bezprawiem, że lud nie zmazał się ogzekucyanami Grzegorza  
XVI ani rzezią szlachty Metternicha. Lud gardzi zyskiem, od-  
rzuca mord, stoi moralnie wyżej nad gnębiicielami. Stoi on wy-  
żej też nad ludźmi banków, kredytów, syndykatów, patrzy dalej  
od zwolenników przemocy.

I zwracając się do rządu, głosił, że każda władza musi opie-  
rać się na idei. Nie ma jej władza dzisiejsza we Francyi, nie ma  
jej Rzym. Upadły tradycye, przysięgi, zapewnienia, znikła po-  
waga kiółów, stracono zaufanie do ciał, wybranych głosami lu-  
du, gdyż zapominają one o uchwałach. Nie trzeba jednak tracić  
nadziei, że w gruzach nawet jest zarodek życia. Tkwi on głą-  
boko, choć starano się go zniszczyć. Przyszłość okaże jednak, że  
pesymiści nie mieli słuszności.

<sup>1)</sup> „Tribune des peuples,” str. 150.



## VII.

Należał więc Mickiewicz do polityków dalekich od sceptycyzmu, wnikających w życie społeczne, poszukujących usilnie niezbędnej dla ludzi władzy duchowej. Jedni—jak mówi Faguet—tworzyli nową władzę, drudzy chcieli odnowić starą. Żaden z nich nie dał określonego systemu, choć każdy kierował się uczuciem i tworzył sny na temat powszechnego szczęścia. Snem wieszczą litewskiego był napoleonizm, który miał zawieść go strasznie, jak zawiódł później pokolenie czynne w powstaniu styczniowym. Wszędzie towarzyszyła mu jednak myśl o ojczyźnie, pojętej tylko coraz bardziej szeroko, opartej na braterstwie słowiańskim, związanej węzłami ludzkości z Europą. Organ miał dopomóc do tej ewolucyi, która nie była przecież zwrotem do republiki socyalnej.

W socyalizmie francuskim widział redaktor sprzymierzeńca, skoro on jeden dążył do odmiany, miał ideały blizkie mistycyzmu, wznosił się nad poziome żądze mieszczaństwa. Ale i socyalizm cechowała nieokreśloność programu. Symbol rzymski był właściwie programem ludowym, nie mówił o robotnikach, gdyż ich wtedy w Polsce nie było. Francuski opierał się na proletaryacie robotniczym, ale z wyjątkiem hasła organizacyi pracy, nie dawał nic pozytywnego. Spozstrzegł ten brak redaktor, by dać określenia ówczesnego socyalizmu dziwnie głębokie i wyczerpujące. Wedle niego, socyalizm nie jest negacyą, gdyż wynika z czystego porywu serca. „Socyalizm nowożytny—mówi 17 kwietnia 1849—jest tylko wyrazem uczucia tak dawnego, jak życie, uczucia tego, co jest niezupełne, zepsute, nienormalne, a więc tego, co jest niepomysłne w naszym istnieniu. Uczucie socyalistyczne jest wzlotem ducha ku bytowi lepszemu, nie indywidualnemu, ale wspólnemu i zjednoczonemu. Godzimy się zupełnie, że to uczucie objawiło się z siłą niezwykle nową; jest to nowy kierunek, który człowiek duchowy zdołał sobie stworzyć, jest to nowa namiętność.“<sup>1)</sup> Jest to uczucie człowieka wzniesionego nad materię, afirmacya duszy, wykwit inteligencyi, nie zamkniętej w dogmatach, ale odradzającej się w pragnieniach i zagadnieniach.

Zgodnie z Du Varem, określał redaktor socyalizm, jako nową religię, opartą na religii i ojczyźnie. Symbol rzymski zaczynał i kończył imieniem ojczyzny, nie trącił żadnym kosmopoli-

<sup>1)</sup> Tamże, str. 167—168.

tyzmem. Obecne określenie zbiegało się z określeniem mistycyzmu ulubionego mu Saint Martina.<sup>1)</sup> Socjaliści wyglądali w nim na iluminatów, apostołów, męczenników teorii bliżej nie określonej. Mickiewicz wierzył zaś, że w każdej sprawie, gdzie idzie o ducha, jest myśl objawienia boskiego, czucie i wiara nowego stronnictwa imponowały mu, jak zawsze dawniej i teraz. Zresztą przeważała w nim troska nie o socjalizm, ale o sprawy polityczne. Jeżeli uderzał na mieszczaństwo syte znaczenia i władzy, zrezygnowane nawet na monarchię, byle zniszczyła ona wszelką myśl lutowej rewolucyi, egoistyczne i materyalistyczne, to nie szczędził krytyki sprzymierzeńcom. Zarzucał im, że mówią za wiele, że nie celują jasnością, że stronią od życia i czynu. Muszą tedy uledz, gdyż czyn jest rzeczą najważniejszą, a przeciwnicy mają też za sobą administracyę i wojsko.

Nie w socyalizmie widział zbawienie, ale w napoleonizmie. Nie zważał na solidarność żywiółów reakcyjnych, odważnie bronił sztandaru narodowości, choć nie zapominał i o robotnikach, gdy kazał pamiętać o ich dobrobycie i nie czynić nawet z przedsięwzięć, mających polepszyć niby ich los, narzędzia polityki klasowej. Ale mylił się strasznie, gdy wierzył w instynkta republikańskie ludu wiejskiego. Ostrzegał nawet lud przed rządem i klerem, którzy wyzyskują go dla celów wyborczych i straszą zamachem socyalizmu na własność. Szydł z tego podstępu reakcyi, skoro wiadomo, że konfiskata dóbr szlacheckich dała zdobywcy jedynie spekulantom wielkiej rewolucyi. Czy wiadomo, że lud nie położył ręki na skarbach królewskich? Ten lud nie pożąda też ziemi chłopskiej, nie myśli o zaborze cudzej własności, jak głosił już symbol rzymski.

Zapomniał jednak Mickiewicz, że Proudhon uderzał na własność argumentami Rousseau'a, że Cabet żądał niepodzielności ziemi. Nie mylił się, gdy bronił idealizmu ówczesnych socyalistów, gdy wynosił wysoko nawet idealizm mas ludowych. Nie mylił się, gdy piętnował egoizm jednostek rządzących się tylko rachunkiem. Takich jednostek, stwierdzał z oburzeniem, świątynią jest giełda, nie znają one Boga, ojczyzny, idei. Znają tylko interes, fakt, porządek, choćby opierał się on na bezprawiu, choćby na obu jego wagach zwieszały się niegodziwości. Ocalić społeczeństwo od ich panowania może tylko lud, gdyż dał on władzę jed-

<sup>1)</sup> „Oeuvres posthumes de Mr. de Saint Martin. Homme du désir," t. II, Paris 1827, str. 251.



nostce. Ona jest obroną przed monarchizmem orleanistów, ona wyraża wolę milionów. Jest to jednostka opatrnościowa, którą swymi artykułami chciał obronić od podszeptów reakcyi.

Chciał mieć ją niezależną od stronnictw, chciał od niej ruchu woli, ruchu napoleońskiego, ruchu, godnego dawnych zamachów stanu, gdy obecny prezydent był tylko wygnanym pretendentem. „Oto—mówił 15 maja 1849 r.—teorya, idea istnieje tak długo, póki ją wyobraża żywa indywidualność, człowiek. Francya jest przesycona teoryami, wszystkie idee religijne i filozoficzne, które miały obieg w starym świecie i średniowieczu, krążą ciągle wśród nas. Ze wszystkich stron objawiają się pragnienia i nadzieje, że nastąpi czyn, że nastąpi samorzutnie wielki i piękny czyn. A jednak nic pięknego, nic wielkiego się nie dzieje. Ta masa idei i teoryi wybuchła w dniach lutowych; świat został niemi olśniony i wstrząśnięty i znów spadliśmy w rzeczywistość ciemniejszą niż kiedykolwiek. Francya miała idee i ideę, nie znalazła swego człowieka. Beznadziejność stała się cechą czasu, gdyż republikanizm nie zna idei religijnych, obcych historykom i adwokatom.

Była to aluzya do Guizota i Thiersa, był to też wyzyw, jak wyraziliby się towiańczycy, do prezydenta. Tymczasem ten prezydent posługiwał się właśnie partyami, nie myślał o ideach. Lud spał spokojnie, gdy on rzucił jedno stronnictwo przeciw drugiemu, niszczył republikę rzymską. Jedynie Paryż trzymał się na wyłomie, poza nim nie było już ludzi, mogących pojąć dążenie rewolucyjnego organu. Uderza w nim szerokość horyzontu, dar obserwacyi, zdolność charakterystyki stronnictw, walczących z sobą. Przedewszystkiem imponuje jednak połot uczucia, które ożywia myśli tak głębokie i świetne, że dorównywają w całości myśłom, wypowiedzianym niegdyś w Collège de France, a siłą i więźnością przewyższają wszystko, co wypowiedziała ówczesna polityczna myśl polska.

## VIII.

Nadeszły w końcu chwile, w których praca w kierunku raz obranym stała się całkiem bezcelową. Ogromna większość zachowawcza zgnębiła zupełnie garstkę posłów, działających w myśl hasła pamiętnego roku rewolucyi. Pierzchało złudzenie, że Paryż pokona politycznych bezpłciowców, skoro wniosek Ledru Rollina

o postawienie ministrów w stan oskarżenia upadł haniebnie. Upadło powstanie węgierskie, reakcja zwyciężała na całej linii. Stan oblężenia zmusił organ Mickiewicza do milczenia, sam redaktor krył się miesiąc w pokoiku studenta, Francuza, który uczył w nim obrońcą wolności.

Gdy organ począł wychodzić nanowo, przygnębienie uwydatniło się wyraźnie w artykułach. Ale i teraz oświadczył redaktor, że służy sprawie ludów, choć nie myśli pchać do wojny domowej. Idea narodowości przeżyje klęski włoskie i węgierskie, przeżyje odstąpienie od niej papieżstwa, monarchii, arystokracji. Skryje się w żywiołach, które to odstąpienie decydującym czynnikiem zapamiętają, wywoła zrewolucjonizowanie groźne i złowieszcze. Teraz bierze górę we Francji reakcja, w Niemczech duch kasarniany, w Austrii bezwzględny absolutyzm. Na straży porządku stanęły bowiem mocarstwa świętego przymierza.

Intuicyjnie widział tedy Mickiewicz przyszłość, przeczuwał, jakie skutki wywoła powrót reakcyi, zwłaszcza we Włoszech. I nie wahał się raz jeszcze zalecić swego programu republice, która była już zamaskowaną monarchią. Zbawić Francję, mówił, może tylko sojusz idei napoleońskiej i socyalnej.<sup>1)</sup> Rewolucjonizm doktrynerski opiera wszystko na sile i gardzi przeszłością, napoleonizm opiera się na woli ludu, wyrażonej swobodnie i legalnie. Siła narodu tkwi w narodowości, socjaliści nie liczą się z odrębnościami narodowemi, są doktrynerami, są kosmopolitami. Francja ma swą misję dziejową, psuje ją tylko mieszczańskie kółtństwo, które myśli jedynie o sobie, cieszy się z upadku wolności, jest solidarne w każdym kraju tylko w złem. Ono na miejsce sprawiedliwości stawia interes, paraliżuje chrześcijańską miłość bliźniego przez doktrynę dla siebie, uniemożliwia wszelką akcyę społeczną i narodową.

Interes wabi pod swój sztandar ultramontanów, wolteryanów, Żydów. Jest to sojusz potworny tak samo, jak przymierze Rzymu z gabinetami europejskimi. Religia nie ma bowiem na celu zapewnienia sobie dóbr doczesnych i sprawiania obrządków; uczucie chrześcijańskie może jedynie odrodzić duchowo naród i politykę. Inaczej obawa i nienawiść staną się czynnikami głównymi życia, rozsądzą budowę społeczną. Od rozwoju i wpływu uczuć chrześcijańskich zależy też przyszłość. Nie widział ich Mickiewicz w polityce obecnej. Zamiast nich szerzyła się niechęć

1) „Tribune des peuples,” str. 274–276.



do republiki, upadały ostatnie zdobycze rewolucyi lutowej, zniknęła wszelka nadzieja poprawy. Organ wolności ludów upadał z powodu trudności walki.

I cesarstwo nie spełniło też oczekiwań napoleonisty. Nazwał on, jak wiadomo, Napoleona III duszą pospolitą, zamknął się odąd w ciszy życia domowego. Wyrwała go z niej wojna krymska, w czasie której podjął niejako swą myśl legionu na Wschodzie. Ale teraz spotkała go dobroczynna śmierć, gdyż i ten legion miał skończyć się smutnie. Żywot, zaczęty filomatyzmem, zamknął się harmonijnie. Nie rządził się w nim wieszcz litewski żadnem uprzedzeniem klasowem, jak Krasiński, nie zajmował się sobą i nie układał poematu ze swego przedwiekowego bytowania, jak Słowacki. We wszystkim, co czynił, przeważała bezosobistość.

Czy był socyalistą, jak głosi <sup>1)</sup> krytyka partyjua? Socyalizm jego opiera się na symbolu rzymskim, który jest programem republikańskim, katolikiem, zwolennikiem uwłaszczenia włościan pod względem ekonomicznym i społecznym. Przenika go duch ewangeliczny najzupełniej, obcy nie tylko obu odłamom dzisiejszego socyalizmu, ale i radykalizmu. Jest w tym symbolu nawet przykra niejasność. Skoro osobnik chłopski nie ma, wedle symbolu, własności indywidualnej, nie może nią rozporządzać, nie ma tych samych praw, co szlachcic. Równość praw wydaje się tedy dość względną, co razem wskazuje, że punkta symbolu były płodem chwili i zawierały sprzeczność rażącą.

Co się tyczy artykułów o socyalizmie, podyktowanych ogólną wtedy dla niego sympatją, to Mickiewicz nie zapominał przecież zaznaczyć, że socyalizm jest pragnieniem ducha osiągnięcia lepszego bytu, co nie może być rzeczą szkodliwą. Inaczej nie mógł się wyrazić, jako człowiek wiary, postępu, wolności. Socyalizm, idący do walki z wiarą i narodowością, znalazłby w nim wroga zaciętego. Były jego artykuły aktem sympatyi człowieka szczerze wierzącego, obywatela, nie chcącego w nikim widzieć niewolnika i przedmiot wyzysku, Polaka, wdzięcznego za manifestacyę majową. Wątpić zaś należy, że dążyły one naprzykład do unarodowienia ziemi. Mickiewicz chciał jej dla chłopów, jak demokraci emigracyjni, własności szlacheckiej nie znosił, a co zatem idzie, zachowywał osobne szlachty w narodzie znaczenie.

Wiara była, jak stwierdzono, regułą, prawem, kierunkiem jego życia i programu. Nie rozumiał niewiary, którą wyczuwał

1) Artur Śliwiński: „Mickiewicz, jako polityk,“ Kraków 1908, str. 144.

w młodzieńczej poezji Słowackiego, brak prawdziwej wiary zarzucał bohaterowi Krasińskiego. Potępił indywidualizm, natchnienie chciał mieć społecznem a nie indywidualnem. Z chrześcijaństwa nie wyszedł, demokratów tego czasu nie przypominał. W jego wierze w lud był ślad wiary Lamennais'go w nieomylność zgody powszechnej. Dowodziło to, że zmysłu filozoficznego w istocie nie posiadał, metodę, obserwację, doświadczenie stawiał niżej od instynktu mniej lub więcej idealnego. Pomylił się, gdy szło o Napoleona III, wskazał jednak drogi przyszłości, gdy żądał sojuszu demokracji i chrześcijaństwa, gdy zdrowie społeczeństwa uczynił zależnem od reform społecznych, dokonywanych przez władzę, czyli państwo, rządzone nawet przez jednostkę. Nie był więc republikaninem aż do zaślepienia, sądził, że nawet w monarchii można osiągnąć ideał życia społecznego, o którym marzyli wtedy przeważnie utopiści.

DR. TADEUSZ GRABOWSKI.



# Młode lata Kościuszki.

---

Najukochańszą postacią ginącej Rzeczypospolitej był dla nas zawsze Kościuszko, pierwszy z pogrobowców, co przemarzył sen o rycerskiej szpadzie. Naród w sercach swoich świętą wzniosł mu kaplicę, w nim uosabiał wszystkie zalety Polaka-obywatela, z mlekiem matki przekazywał imię jego, jako ożywcze hasło, nimbem bohaterstwa owiane, z pokoleń w pokolenia. Znamy go wszyscy od dzieciństwa takim, jakim go wyobraził Chełmoński, w poświęceniu miesiąca przewodzącym orszakowi duchów, witeziów nowej, budzącej się ledwie do życia Polski wszechstanowej. Ten kult, ta cześć dla jego postaci i działalności odbiła się, odbić się musiała na historyografii polskiej, na wzmożonem zainteresowaniu się jego osobowością, myślą i czynem. Swoi i obcy szkicowali podobizny pierwszego wodza polskiej irredenty, pisali jego życiorysy, notowali wspomnienia o nim, drobiazgi jego życia. Wreszcie za naszych czasów, pierwszy z plejady sterników Polski upadającej, doczekał się monografii naukowej, sumiennej, obszernej, z dokumentów wysnutej. Dzieło to o „Kościuszcze“ prof. Korzona pozostanie zawsze znakomitym punktem wyjścia dla wszelkich badań nad epoką kościuszkowską, kręgosłupem niejako dalszych prac w tym kierunku.<sup>1)</sup> A prace te postępują w ostatnich czasach we wzmożonem tempie. Historycy polscy dotarli obecnie do wszystkich niemal głównych archiwów Europy, a wielu z nich zwróciło szczególną uwagę na dobę kościuszkowską.

W niniejszym krótkim szkicu chodziło mi o dorzucenie odrobiny światła na wychowanie i wykształcenie Kościuszki, zarówno

---

<sup>1)</sup> „Kościuszko,“ życiorys z dokumentów wysnuty przez K. (Kraków, 1894), str. 691. Dopełnienia przy wydaniu drugim, str. 86.

ogólne, jak i fachowo-wojskowe. Na rzecz tę złożą się bądź pewne wyniki pozytywne, bądź odmienna nieco interpretacya źródeł, zużytkowanych już przez czcigodnego biografę Kościuszki, bądź wreszcie rezultaty negatywne, pozwalające jednak ostrzedz badaczy, by, nie tracąc czasu, nie ponawiali wysiłków w tym samym kierunku.

Długoletni spór o miejsce i rok urodzenia Kościuszki rozstrzygniętym dotąd nie został i wątpliwe, czy kiedykolwiek ostatecznie załatwionym będzie. „Tygodnik Ilustrowany“ a za nim prof. Korzon podali *in extenso* metrykę chrztu Tadeusza. Znaną ona była i dawniej, gdyż częstokroć w krótkich biografjach Kościuszki polskich i francuskich data chrztu, 12 luty 1746 r., figuruje jako data jego urodzin. Prof. Korzon cofa o dni osiem dzień przyjścia Tadeusza na świat, motywując to swoje przypuszczenie tem, że chrzciny z gośćmi przyjezdnyimi nie mogły odbyć się w kilka godzin po urodzeniu. Trafia mi do przekonania hipoteza prof. Korzona o „przymiesionem“ sobie przez Kościuszkę imieniu (na pierwsze imię miał Andrzej) i ustalenie daty jego urodzin na dzień 4 lutego, trafia tembardziej, że zupełnie identyczny wypadek, nawet co do dnia i co do imienia, zdarzył się z piszącym niniejsze. Ale jeżeli chodzi o ustalenie roku urodzenia przyszłego wodza, to równie dobrze można supponować rok 1746, jak 1745, a nawet 1744. Wszak w dawnej Polsce chrzczono nieraz dzieci w rok, dwa, a czasami nawet i w siedem lat po urodzeniu, który to termin krańcowy przekazany nam był tradycyjnie z pradawnych jeszcze pogańskich czasów, jako przeżytek dawniejszych postrzyżyn. Jedyнным argumentem, przemawiającym u prof. Korzona za przyjętym przez niego rokiem 1746, są adnotacye o wieku Kościuszki w aktach szkolnych korpusu kadetów. Ale dowód ten opiera się, niestety, na myłce w odejmowaniu. Jedna z tych adnotacyi datowaną jest 18 grudnia 1765 r. i oznacza wiek Kościuszki na lat 18, druga z dn. 5 maja 1768 r. liczy Kościuszcze lat 21. Świadczą one pozornie, że przyszły Najwyższy Naczelnik urodził się w r. 1747, czyli w rok po chrzcie swoim, co oczywiście jest niemożliwem. Poprostu adnotacye były nieściśle i nie mogą iść w rachubę. Ale w takim razie rok urodzenia Kościuszki pozostaje nieustalonym. A jeżeli niewiadomym jest rok, to tem samem niewiadomem się staje i miejsce urodzenia. Mogła Tekla z Ratomskich odbyć połóg u stryjostwa w Siechnowiczach—wszak bywają połogi przedwczesne, niespodziane, zresztą od czegoż gościnność staropolska—a potem w rok czy dwa chrzcić syna w parafii kossowskiej. Być może, że więcej danych przemawia za Mere-



czowszczyzną, są to jednak dowolne intuicyjne przypuszczenia i nie więcej nadto. Jeżeli chodzi o ścisłość dokumentalną—kwestya pozostaje otwartą.<sup>1)</sup>

Wychowanie Kościuszki, jak na owe czasy, szczęśliwie się złożyło. W dzieciństwie pierwsze ziarna zamięłowania do wiedzy rzucił w tę żyzną glebę jakiś nieznanany wuj, brat matki, czy też blizki jej krewniak, który dużo podróżował i wiele doświadczeń zbierał po świecie, a potem czas dłuższy bawił w domu Kościuszków, zapewne w charakterze guwernera, czyli t. zw. dyrektora. On pierwszy rozwinął w dziecku dominujące potem zamięłowanie do rysunków i matematyki, dał mu początki francuszczyzny, zaszczerpił pociąg do Zachodu z jego nauką i sztuką, rozbudził wrażliwość i subtelność, lot marzeń mocniejszy, wyższy ponad szarżyzną otoczenia. Ulubioną lekturą dziecka był wtedy Plutarch.<sup>2)</sup>

Dalsze wykształcenie szkolne pobierał Kościuszeko szczęśliwym trafem nie w zatęchłych, przytępiających murach jezuickich konwiktów, lecz pod ożywczym, humanitarnym kierunkiem świątłych pijarów w głośnem swego czasu kollegium Lubieszowskiem, położonem opodal Pińska.<sup>3)</sup> Co roku, w maju, odbywał praktykę

<sup>1)</sup> Ibidem, 35, 69 sq., 575 sq.

<sup>2)</sup> Art. „Kościuszeko“ w Biographie universelle et portative des contemporains..., polecanej przez Aularda, Bibl. Nat. G. 27903: „L'oncle maternel du jeune Thadée lui enseigne la langue française et lui imprima le goût des sciences, à la culture desquelles il s'attacha avec ardeur. La lecture de Plutarque était son occupation favorite...“ Potwierdzają to i uzupełniają Jullien, Falkenstein i Rychlicki (Dzieduszycki).

<sup>3)</sup> Teka Wileńska № 2 z r. 1857, wzmianka Eust. Tyszkiewicza; art. ks. A. Moszyńskiego w Sprawozd. Wydz. hist.-filozof. Akademii, II, 1875; ks. A. Moszyński, Kronika Kollegium Lubieszowskiego ks. Pijarów, 1876; Słownik geograficzny, V, 1884, pod wyrazem „Lubieszów“; czasopismo Kościuszeko 1893—10, 142 sq.; rkp. „16 księga szkolna...“ szkół lubieszowskich, Bibl. Uniw. Jag. № 1046. — Kolegował Kościuszeko w szkole lubieszowskiej z Rafałem Józefem Czerwiakowskim, ojcem chirurgii polskiej, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, naczelnym lekarzem w lazarecie głównym w 1794 r.—Adam Moszczeński w swym Pamiętniku pisze, że jezuici nie nie uczyli, oprócz reguł języka łacińskiego w Alwarze, wierszem łacińskim wyłożonych, których nikt zrozumieć nie był w stanie. Cała ich moralność i nauka zasadały się na nabożeństwie, należącym do *sodalit marianus*, i na przykładach z życia świętych. Dopiero pijarzy zaczęli młodzież uczyć pisać, wprowadzili do swych szkół naukę języka polskiego, historii i matematyki. Zaczęły słabnąć przesady, ludzie nabierali stylu i wyszła z ich szkół cała ta plejada mocnych głów i tęgich charakterów, co uświetnić miała ostatnie lata Rzplitej.

miernicza, pod kierunkiem nauczyciela geometryi, robiąc pomiary okolicy i rysując plany—pierwsze nieśmiałe kroki przyszłego inżyniera i strategika.<sup>1)</sup>

Kościuszkowie zaliczali się do partyzantów Czartoryskich, łączyły ich liczne a zawile stosunki z wybitnymi filarami „familii“—Flemingiem i Sosnowskim; matka Tadeusza dzierżyła od Fleminga, podwakroć zięcia a potem i teścia Czartoryskich, na prawie zastawnem folwark Mereczowszczyznę; jako właściciele dóbr Szpitale, Czartoryscy sąsiadowali z dziedzicznymi Kościuszków Siechnowiczami; wreszcie w procesie Józefa i Tadeusza Kościuszków z Radziwiłłami uzyskali Kościuszkowie przychylny dla siebie a zdaje się stronny wyrok od sądu generalnej konfederacyi W. Ks. Litewskiego, kierowanej podczas bezkrólewia przez „familję.“ Jako dziedzice Wołczyzna i posiadacze starostwa w województwie brzeskiem, Czartoryscy ogromnie protegowali szlachtę brzeską i z niej formowali rdzeń swego stronnictwa. Sprzyjał również brześcianom król Stanisław August, urodzony w Wołczyźnie. Łatwo więc było przy takiej protekcyi Tadeuszowi Kościuszkowi dostać się do świeżo w Warszawie erygowanego korpusu kadetów, którego komendantem był ks. Adam. Od czasów reformacyi była to pierwsza w Polsce świecka szkoła.

Jeszcze w paktach konwentach 1699 r. włożono na króla obowiązek założenia szkoły rycerskiej własnym kosztem, by się młodź ćwiczyła *in mathematica militari*, w fortyfikacyach *et omnibus exercitiis bellicis*. W paktach konwentach, podpisanych 7 września 1764 r., Stanisław August wyrażał chęć założenia takiej szkoły i obiecywał przyłożyć się znacznie do wydatków na nią, o ile Rzplita zechce pokryć część kosztów z funduszków państwowych. Ale brak czasu oraz nawał spraw bieżących nie pozwoliły Sejmowi koronacyjnemu zająć się ułożeniem projektu szkoły, puszczono więc materyę tę w reces do Sejmu następnego. Nie czekał jednak król na zatwierdzenie projektu szkoły: „uprzedzając skutek obowiązku *pactis conventis*,“ sam założył „własnym kosztem... szkołę rycerską dla edukacyi szlacheckiej młodzie i sposobienia jej do zdalnych usług ojczyźnie w radzie i boju.“ Cel w tem miał podwójny. Chodziło mu z jednej strony o wytworzenie kadrów oficerskich dla regularnej armii, z drugiej — o wychowanie elity młodzie szlacheckiej w przywiązaniu do rządu i króla, o oderwa-

<sup>1)</sup> Kościuszek przebywał w szkole pijarskiej od 1755 do 1760. Dalszy pięcioletni okres życia jego, 1760—1765, pozostał dotychczas zupełnie nie wyjaśnionym.



nie jej od nieczemnego pobytu po dworach na służalstwie u magnatów, którzy żywieniem, odziewaniem i bawieniem synów, oddanych próżniactwu, rozpuście i pijaństwu, przywiązywali do siebie całe ich rodziny i wytwarzali w ten sposób te kohorty awanturnicze, przedajne, niesforne i zuchwałe, które były ciemiężcami w swoich prowincjach i ostoją anarchii w Rzplitej (Trembicki).<sup>1)</sup>

Należy odróżniać dwie fazy w dziejach warszawskiego korpusu kadetów, mało mające z sobą wspólnego—okres przed reformą i po reformie. Początkowo korpus kadecki był wyższą szkołą wojskową, z przewagą praktycznego wychowania nad teoretycznym wykształceniem. Przyjmowano do niego młodzież obywatelską szlachecką po skończeniu szkół, w wieku lat 16—18, chętną do wojska i pięknie zbudowaną. Brygadyerowie i wicebrygadyerowie szkoły kompletowali się pierwotnie z wybranych oficerów zagranicznych, dopiero później, w miarę tego, jak wytwarzał się kontyngens oficerski z kończących szkołę kadetów, oficerowie cudzoziemcy byli usuwani i zastępowani przez zdolniejszych adeptów szkoły.<sup>2)</sup> Promocya taka objęła i Kościuszkę. Ten pierwszy

<sup>1)</sup> Na założenie szkoły oraz utrzymanie jej przez pierwszy rok szkolny wydał król do dn. 1 września 1766 r. 676,432 złp. i sumę tę Rzplitej darował. Na przyszłość obiecał ofiarować 200,000 złp. rocznie, wypłacanych mu ze Skarbu Rzplitej wzamian za zniesione clo *in Regno*, Sejm zaś 1766 r. dodał do tej sumy 400,000 złp. z funduszków państwowych. Te łącznie sześćkroć Korona miała pokrywać w dwóch trzecich, Litwa w jednej trzeciej. Wystarczyć to miało na utrzymanie i kształcenie 200 kadetów, projekt ten jednak nie był zrealizowanym: pierwotna liczba stu uczniów zredukowaną została wskutek klęsk narodowych i ubóstwa Skarbu do sześćdziesięciu; w 1774 r. zgodził się król przyjęc jeszcze dwudziestu kadetów na własny ich koszt. Korpus umieścił Stanisław August tymczasowo w dziedzicznym pałacu Kazimierzowskim, na budowę zaś specjalnego gmachu wyasygnował Sejm 1766 r. trzy miliony złp., płatne w dziesięciu rocznych ratach, począwszy od 1 września 1768 r. Konstytucya 1768 r. projekt ten zmodyfikowała, asygnując jedynie półtora miliona w pięciu rocznych ratach, w połowie na kupno pałacu Kazimierzowskiego wraz z koszarami, w połowie zaś na dobudowanie na placu tegoż pałacu niezbędnych budynków. Konstytucye Sejmów 1778 i 1780 r. obwarowały, aby młodź kadecka nabieraną była w równej części z Wielkopolski, Małopolski i Litwy „z szlachty starożytnej polskiej“; Volumina legum, VII, 101, 168, 204 sq., 299, 302, VIII, 100, 550, 562, 580, 585 sq.; Smoleński, Dzieje narodu polskiego, III, 92; Korzon, Wewn. Dzieje Polski za Stan. Aug., III, 71, 75, 184, 199, 296, 299.

<sup>2)</sup> Konstytucya 1778 r. postanowiła ostatecznie, aby odtąd oficerowie korpusu „szlachta polscy byli.“ Vol. leg., VIII, 585.

korpus przechodził w piękności ludu i w umiejętności robienia bronią gwardye i garde du corps zagranicznych królów, a Stanisław August szczyił się, że nigdzie równej szkoły nie było i stąd, pomimo swego wstrętu do wojskowości, korpus odwiedzał, nosił mundur kadecki, bywał na egzaminach, rozdawał nagrody, opiekował się młodzieżą i nawet ją bardzo przywiązał do siebie. Komendantem korpusu był ks. Adam Czartoryski, generał ziem podolskich. Przystojny i zręczny z natury, łagodny i dziwnie przyjacielski w obejściu, mówca dobry i nie zawiły, świetny znawca wszelkich niemal Europy języków, człowiek wszechstronnie wykształcony, wpoił Czartoryski w kadetów „delikatność w obcowaniu szlachty francuskiej, punkt honoru wielki, obudził uśpioną tylu wiekami odwagę...” (Moszczeński). Kadeci słuchali go ślepo przez przywiązanie, lecz w stosunku do oficerów cudzoziemców istniał nastrój wrogi, spotęgowany tem, że wielu z nich pochodziło z gminu i nie mogłoby udowodnić ani jednej kropli błękitnej krwi; kadeci dokuczali im i aż nadto często zdarzały się wypadki jawnej niesubordynacyi. Tkwiły jeszcze w szkole przeżytkowe tradycye i zwyczaje, panoszyło się pijaństwo i pojedynkowiczostwo, niesforność i swawola, w naukach nie było widocznego postępu, ale mimo tych licznych braków, ci pierwsi kadeci wyszli na dobrych i odważnych oficerów. Zręczność ciała i zdatność w tańcu i fechtunku, francuska elegancya i łatwość wysłownia, biegłość niektórych w matematyce, rysunku i pisanii cechowały ówczesnych kadetów pierwszej formacyi.<sup>1)</sup>

Mimo tych pewnych niezaprzeczonych zasług korpus zawiódł jednak nadzieje i oczekiwania króla. Dyalog p. t. „Kawaler młody...“ datowany 1 sierpnia 1770 r., powiada, że „korpus nasz pierwiastkowy, ze starszych złożony, był podobny do pięknego ogrodu... lecz część największa nie udała się. Jedne z drzew nie urodziły, drugie same tylko przyniosły liście... a co najśroźsze były w nich takie... które przykrem wonieniem zarażały szczerp

<sup>1)</sup> Znaczna część papierów korpusu kadetów przechowuje się w Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie ms. 1817 sq., 1850, 2291, 2597, 2807—2821. Częściowo zużytkował je prof. Korzon, nie spostrzegł się jednak, że istniały dwie formacje korpusowe. Podany na str. 76—77 rozkład lekeyi w korpusie odnosi się do czasów Sejmu czteroletniego. Ciekawe przyczynki do dziejów korpusu oraz charakterystykę kadetów obydwóch formacyi dają: Moszczeński, Pamiętniki, (1888), 47, 56, 98 sq.; Niemcewicz, Pamiętniki czasów moich, 27—31, 33, 34, 37, 40, 49, 53, 54; Antoni Trembicki, O rewolucyi r. 1794 czyli Powstaniu Kościuszkowem, rkp. w jednej z bibliotek prywatnych.



nowy, sączyły z siebie jad zaraźliwy...“ Jaśniej tłumaczy to nam Trembicki: „Ze wszech stron przybywały do korpusu dzieci obywatelskie, ale nie takie jeszcze, którychby nieskażone serce i umysł mogła nagiąć do dobrego i użytecznego światła edukacya, lecz już wyrostki złymi nałogami napojone, już w swawoli i rozpuście zepsowane, już do ludzi, do kobiet, do rozrywek, do niesubordynacyi lgnące, ale nie do nauki, do pracy, do myślenia, do posłuszeństwa zdadne.“ Więc król „rozwalił swoje dzieło, a miejsce to zasadził drzewem młodem... Starszych trzymać nie chcą... Powiadają, że król samych małych w korpusie trzymać postanowił...“ (Kawaler młody).

Korpus zreformowano w r. 1770. Przekształcono go na szkołę łącznie średnią i wyższą z ogólnie kształcącym 7-letnim kursem nauk. Straciła ona cechę wyłącznie rycerską, wychowywała dzieci szlacheckie od 8—12 roku życia na urzędy zarówno cywilne, jak i wojskowe. „Stała się tem, czem być była powinna, odpowiadała życzeniom i celowi króla... Prawdziwa młodzież, to jest istoty jeszcze nie zepsowane, wolne od wad i przesądów, mogły w tym znamienitym instytucie przyjąć wszelkie udoskonalenia, jakie za czasem usposobiły ich w różnych zawodach służyć z zapędem i honorem ojczyźnie“ (Trembicki). Nauka stanęła w tym nowym korpusie na dość wysokim poziomie. Posady nauczycieli zajęły najlepsze siły naukowe współczesne, ludzie tej miary, co Józef Franciszek Łęski, znakomity astronom i matematyk, przyszły profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor doskonałego podręcznika miernictwa wojennego („Teoretyczna i praktyczna nauka żołnierskich rozmiarów, czyli miernictwo wojenne,“ 1790), oraz obszernego traktatu „O taktyce,“ składającego się z 4 części, a wydawanego podczas Insurekcyi pośpiesznie, zeszytami, z portretem Kościuszki na czele; Michał Jan Hube, wychowaniec Lipska i Getyngi, ceniony fizyk i matematyk; wreszcie jezuita, ks. Jan Wulfers, znawca historyi i literatury polskiej, tłumacz Korneliusza Neposa, Liwiusza i Kurcyusza. „Tego korpusu młodzież—powiada Moszczeński—nie znała kielichów pijaństwa, przyzwyczaiła się do oszczędności, do subordynacyi wojskowej, a nauczywszy się języka francuskiego, przejęła się francuskim krytycyzmem. W modę weszło... czytać książki filozofów ostatniego wieku; znać ich maksymy i o nich mówić w kompaniach było zwyczajem.“ Radykalną krytykę zastosowano do wszystkiego, co tchnęło przeszłością. Zarzucono ubiory polskie. Myśl filozoficzną przekuwano do walki z tradycjami szlachecczymi. Prowadziła ona od wiary formalnej i scholastycznego dogmatyzmu do wewnętrznych do-

świadczeń i wyzwolenia jednostki. Odstąpiono od fanatyzmu, zarzucono przesadę. Przeciwstawiono bezpośrednią żądzę serca wszelkim normom obyczajowym. Łączyło się to z rozluźnieniem więzi rodzinnej, z swobodną galanterią francuską w obcowaniu z kobietami.

Kościuszek należał do pokolenia pierwszej formacji, z okresu przed reformą. Korpus prawidłowo funkcjonować zaczął od października 1765 r. Miecznikowicz brzeski wstąpił doń 18 grudnia tegoż roku. Kurs był wtedy roczny, na wzór odpowiednich szkół zagranicznych, chociażby francuskiej szkoły artyleryjskiej w Bapaume. Naukę wojskowości przeszedł przyszły dyktator pod okiem dorywczo zaangażowanych i to na krótkie terminy oficerów cudzoziemców; komenderowali oni w języku obcym, francuskim lub niemieckim; kancelarya, zapisy przyjęć i rejestra prowadzone były również po niemiecku. Do nielicznych wyjątków w gremium oficerskiem należał, zaangażowany zresztą nieco później, Józef Wodzicki, przyszły generał i towarzysz broni a podwładny Kościuszki, który z wojska saskiego wszedł do korpusu na brygadiera z rangą kapitana we wrześniu 1766 r. Dyrektorem nauk był Anglik Lind (czy Linoe?) <sup>1)</sup>, kapelanem ksiądz Dziewanowski, matematykę wyższą i fizykę wykładał Pfleiderer (vel Phleiderer) z Tubingi, arytmetykę i geometryę Edling, któremu sucha specjalność nie przeszkadzała pracować nad „Początkami krajopisarstwa,” nauki moralne i ekonomię polityczną — Marcin Nikuta, łacinę — Konderski, język francuski i historię — Duclos, późniejszy tłumacz pracy biskupa Załuskiego o prawach polskich podczas bezkrólewia, język niemiecki — Jankowski z Prus polskich, literaturę i historię polską — eks-jezuita ks. Nagureczewski, literaturę francuską — Dutané, rysunki — Müller, prawdopodobnie ten sam E. Müller, który w r. 1795 wydał w Wiedniu mapę p. t. „Neueste Karte von Polen und Litauen“; tańców uczył Lilenheim, fechtunku — Martin. Były to wszystko postacie nieznanne ani w nauce, ani w późniejszym życiu polskiem. Wyjątek stanowił Marcin Nikuta, królewiecki filozof i moralista, z czasem jedna z najpopularniejszych osobistości Warszawy <sup>2)</sup>; Kościuszek musiał się bliżej zapoznać z jego licznymi traktatami z dziedziny etyki. Zresztą był to rok organizacyi korpusu i kompletowania go, rok próbnych

<sup>1)</sup> Jan Lind, supremus director studiorum w korpusie kadetów, otrzymał indygenat polski na Sejmie 1768 r., Vol. leg. VII, 372.

<sup>2)</sup> Nobilitowany na Sejmie 1775 r., Vol. leg. VIII, 169.



poczynają. To też niewiele zapewne skorzystał Kościuszko z wykładów; punkt ciężkości spoczywał na służbie frontowej, na praktycznym wykształceniu oficerskiem. Ale bądź co bądź słuchał geometryi i fizyki, architektury wojennej i taktyki, przyswajał sobie języki nowożytne. Należał do najzdolniejszych adeptów szkoły: Trembicki powiada, że celował nad inną młodzież „swą aplikacją, obyczajnością i wprawą do pięknego pisania i rysunku, talentów dziś pospolitych, wówczas zupełnie nieznanych w Polsce.“ Inne źródła potwierdzają, że wyróżniał się zdolnościami i zamiłowaniem do rysunków i matematyki.<sup>1)</sup>

20 grudnia 1766 r., po rocznym pobycie w korpusie, otrzymał Kościuszko od króla patent oficerski i rangę chorążego. Jednocześnie został zaangażowany w poczet oficerów korpusowych w charakterze podbrygadiera z płacą miesięczną złp. 72.<sup>2)</sup> 13 grudnia 1768 r. otrzymał następny awans na wicebrygadiera z rangą kapitańską, oraz płacą 200 złp.<sup>3)</sup> Bywał już wtedy na Dworze, gdyż pod tym rokiem w rachunkach brata Józefa figuruje pożyczka 6,000 złp., zaciągnięta przez Tadeusza „na potrzeby wyprawy do Dworu.“ Król lubił go i podobno często wzywał do siebie na lektora. Śnać podobają mu się kawalerska fantazya Tadeusza, jego odwaga cywilna i ta pewna żyłka awanturnicza, nieodzowna dla ludzi rewolucyjnego czynu.<sup>4)</sup> Imponowała Stanisławowi Augustowi podniosła szlachetność Kościuszki, ale nade-

1) „Il se fit remarquer comme un des meilleurs élèves, surtout dans les sciences mathématiques et dans le dessin...“, Biographie univ. et port.

2) *Ancienneté i stanlista... oficerów... korpusu* przy rewizyi 5 maja 1768. Moszczeński świadczy, że Kościuszko był w korpusie wicebrygadierem razem z jego bratem, późniejszym podkomorzym braclawskim. Prof. Korzon powiada, że była to służba koleżeńską, uczniowską. Przeczy temu rang-lista Stefana Granowskiego, późniejszego pułkownika 13 regimentu pieszego ostrogskiego, który od r. 1767 przez sześć lat pozostawał podbrygadierem w korpusie, będąc jednocześnie w wojsku forsztelowany na kapitana z kompanią, Skalkowski, J. H. Dąbrowski, 313.

3) *Księga lista kadetów...*: „Den 13 X-ber 1768 zum S. B. avanz.“ Przy ustaleniu awansów Kościuszki biorę analogię z awansowania Sierakowskiego: po skończeniu korpusu „postąpił na chorążego i podbrygadiera u kadetów 2 września 1773 r., na kapitana i podbrygadiera 17. paźdz. 1775, na brygadiera i kapitana 1 czerw. 1778, na majora i brygadiera 8 września 1783, na pułkownika 19 listopada 1789,“ Skalkowski, id. 320. Płacę pobierał brygadyerską 200 złp. miesięcznie, *Registr ekspensy...* z r. 1769.

4) Koledzy nazywali go „Szwedem,“ upatrując w nim porywczosć, chytrość i upór Karola XII, Korzon, Kościuszko, 85. Zdarzenie z Gozdzkim, id.

wszystko czyniły go miłym sercu jego wybitne zdolności rysunkowe, na które król-esteta był bardzo wrażliwy. Była to dziedzina bardziej przystępna umysłowości królewskiej, bliższa mu, niż wojsko i potrzeby krajowe. Miłośnik i znawca sztuki, chłonny opiekun młodych talentów, ofiarowywał król Kościuszcze stypendyalny zasiłek na dalsze studia na obczyźnie. Zagrała młodzieńowi wyobraźnia, stanęły żywo przed oczami wspomnienia dzieciństwa, opowiadania wuja bywalca; rozsnuły się, jak za mgłą, krainy nieznanne, dalekie, skarbnice piękna, wiedzy i sztuki. A na miejscu zrażała dezorganizacya korpusu, okres nowych prób, reformy... Stanisław August dawał na kształcenie ze swej szkatuły 100 dukatów rocznie. Później będzie mu dokładał po 25 dukatów gratyfikacyi. Większą pomoc obiecywał ks. Czartoryski, możny protektor Kościuszki, pogodny esteta, twórca Wołczyzna a potem Puław. Pomoc z tego źródła dosięgnie z czasem „na edukacyę i promocyę pierwiastkową“ poważnej sumy 650 czerw. zł.<sup>1)</sup> W takich warunkach trudno było nie decydować się. Ażeby nie być całkowicie na łasce swych opiekunów i mieć pod ręką zbędny grosz na wszelki wypadek, Kościuszek zaciągnął na rachunek swej schedy po rodzicach pożyczkę złp. 7,000 „z rąk własnych brata Józefa“ i mniej więcej w połowie 1769 r. ruszył w drogę, do cudzych krajów. Jechał z gotowym planem, wprost do Francyi. W Niemczech nie zatrzymał się dłużej, musiał jednak zwiedzać po drodze, co było godniejszego uwagi. Towarzyszył mu kolega korpusowy, kapitan Orłowski. Dziwnie spletały się losy tych dwóch ludzi: Po skończeniu szkoły zaliczeni obadwaj do składu oficerów korpusowych, jednych i tych samych dostępowali awansów, cieszyli się jednaką protekcyą króla i ks. Adama. Obadwaj mieli duże zdolności rysunkowe i pociąg do malarstwa; zamieniwszy miecz na paletę, jechali obecnie ze wspólnym planem nad Sekwanę po laury akademickie, jako stypendyści możnych protektorów.<sup>2)</sup> Z czasem porzucą obadwaj malarstwo i wrócą na pier-

1) „La famille de Czartoryski, qui s'est particulièrement appliquée à former des sujets distingués, prit soin de son éducation. Il... fut envoyé, en 1769, aux frais du prince Adam Casimir Czartoryski, à l'étranger pour y terminer ses études. Le cap. Orłowski, depuis général polonais, l'accompagnait dans ce voyage. La France fut le pays où Kos. s'arrêta le plus longtems...“, Bibl. univ. et port.

2) Prócz nich stypendystami królewskimi, kształcącymi się w tym czasie na obczyźnie, byli: Ostroróg, przyszedłszy członek Rady Nieustającej, i Cieszkowski, zapewne Floryan Dołęga Cieszkowski, adjutant het. J. K. Branickiego,



wotnie wytkniętą drogę, by w kurzawie bitew, ramię przy ramieniu, ocalić, jeżeli nie wolność, to przynajmniej honor ginącej ojczyzny. Po przyjeździe do Paryża, zamieszkali wspólnie w hotelu Luksemburskim na ulicy Małych Augustynów (des Petits Augustins), na lewym brzegu Sekwany. W listopadzie 1769 r., po załatwieniu wstępnych zabiegów i formalności, byli już obadwaj słuchaczami przesławnej paryskiej Królewskiej Akademii malarstwa i rzeźby, tego Akropolu sztuki europejskiej, skąd od czasów Lebruna, Watteau, Greuza i Bouchera spływały na Europę wszystkie kierunki malarskie, smak, styl, metoda, nawet sam sposób pojmowania piękna.<sup>1)</sup>

szambelan królewski, poseł liwski na Sejm czteroletni, starosta kleszczelowski.

1) „Liste alphabétique pour la demeure de mess. les élèves de l'Académie Royale de Peinture et de Sculpture, commencée le 1 octobre 1758:

*Kokarski* P. (= Kucharski); protégé par mr. le Directeur de l'Académie et le Roi de Pologne.

*Koukaski* Alexandre (=Kucharski); âgé de 24 ans; protégé par mr. Vien, peintre.

Thaddée *Kosciuzko*, p(eintre) de Varsovie, âgé de 20 ans; protégé par mr. Cochin, le p(ee) Czartoryski et mr. le marquis de Marigny; demeure rue des Petits Augustins, à l'hôtel du Luxembourg; novembre 1769 (folio 19).

Joseph *Orlovski*, p(eintre) de Varsovie, âgé de 25 ans; prot. par mr. Cochin, par le p(ee) Czartoryski et mr. le marquis de Marigny; demeure rue des Petits Augustins à l'hôtel du Luxembourg; novembre 1769 (folio 27).

François *Offert*, s(culpteur) de Pologne, 22 ans; prot. par mr. Bridau.

Thadée *Wroczyński*, s. de Varsovie, 19 ans; prot. par Vassé, rec. par un Prince polonais et par le marquis de Marigny.

Silvestre *Mirys*, de Pologne, 21 ans; prot. par Vien et Roi de Pologne; rue Pot de Fer, faubourg St. Germain; avril 1771, 1773 et 1775.

Ferdinand *Pinck*, p. de Varsovie, 19 ans, élève de Suvée.

Henri *Nather*, p. de Varsovie, 20 ans; prot. par Bachelier.

Jean *Zech*, p. de Varsovie, 16½ ans; élève de David.

Louis Jean François Frédéric *Zeichl*, p. de Varsovie, 19 ans; élève de David.

Alexandre Jean Constantin *Norblin*, s. de Varsovie, 20 ans.

Martin Louis *Norblin*, p. de Varsovie, 17 ans; présenté par le cit. Stouf.

Joseph *Oleschewitz* (Oleszkiewicz), p. de Wilna, 26 ans; admis par Barthélemy.

Gaspard *Borowski*, de Wilna, 23 ans; présenté par Norblin; 24 août 1808.“

Z nich wszystkich jeden tylko Kucharski otrzymał nagrodę i to pierwszy medal za kompozycję malarską na temat „Le sacrifice de Mamme, père de Samson, lorsque l'ange lui vient annoncer la naissance d'un fils.“ Drugą nagrodę otrzymał wtedy Lagrenée le jeune. (Bibl. d'Ecole des Beaux Arts, M. 33).

Akademia Paryska, założona w r. 1648 staraniem Colberta i malarza Lebruna, mieściła się początkowo w galerii królewskiego Kollegium uniwersyteckiego, potem w Palais Royalu, wreszcie za czasów Kościuszki w Luwrze. Miała ona wyłączny przywilej prowadzenia wykładów z zakresu malarstwa i rzeźby. Przywileju tego nie nadużywała: w doborze uczniów i profesorów kierowała się zasadami liberalnymi i chętnie otwierała podwoje swe dla wszystkich rzetelnych artystów. Mimo to wpływała jednak niewątpliwie na pewne arystokratyczne skostnienie, na rozwój estetyki urzędowej, sztuki dworskiej patentowanej, na zerwanie łączności z szerokiem życiem ludowem, na którego podłożu jedynie może rozwijać się szkoła istotnie oryginalna. Ale owo nieuniknione zeszytnienie i obumieranie objawiło się dopiero później, za Ludwika XVI. Zaradziła temu rewolucya w sposób radykalny. Kościuszkę trafił jeszcze na złoty wiek Akademii. Po wstępnych dobrych rządach Lenormant de Tournehema, którego opinia publiczna nazywała ojcem pani de Pompadour, nastąpiły bardziej jeszcze dobroczynne rządy brata wszechwładnej metresy Alberta Franciszka Poisson, margrabiego de Vandières, który przezwął się od r. 1755 margrabią de Marigny, a później jeszcze margrabią de Ménars. Marigny, jako generalny dyrektor pałaców królewskich, był od r. 1755 dyrektorem Akademii i przetrwał na tem stanowisku do śmierci Ludwika XV. Przygotował się on do swej roli odpowiedzialnej w długiej podróży kształcącej po Włoszech pod kierunkiem artystycznym Soufflota, Cochina i opata Leblanca. Wróciwszy i objąwszy ster władzy, nie nadużywał jej, przekazując na Cochina faktyczne bezpośrednie kierownictwo, opiekował się jednak Akademią i na każdym kroku znać było jego rękę rozumną i zapobiegliwą. Pobudzał myśl głębszą, porywy górniejsze, przypominał, że celem sztuki jest prawda. Uczniowie Akademii rysowali z natury, mieli pod dostatkiem modeli; staraniem margrabiego od r. 1750 otworzono dla nich w określone dni i godziny przystęp do zbiorów obrazów królewskich w Luwrze i w pałacu Luksemburskim. W r. 1764 Marigny polecił Cochinowi, po porozumieniu się z Dandré-Bardonem, wybrać do kompozycyi malarzskich odpowiednie tematy historyczne. Przejrzano Swetoniusza i Józefa Flawiusza „w poszukiwaniu czynów szlachetnych, technących umiłowaniem ludzkości, któreby łączyły w sobie powagę prawdy historycznej z imponującą wspaniałością, cenną dla filozofów.“ Ostatecznie wybrano panowanie Augusta, Trajana, Tytusa i Marka Aureliusza. Jednocześnie Marigny wzbogacił Luwr



obrazami historycznymi, oraz posągami wielkich ludzi, wykonywanymi na specjalne zamówienia.<sup>1)</sup>

Dzielnie sekundował Marigny'emu Karol Mikołaj Cochin syn, znakomity rysownik, grawer i akwaforzysta, niezrównany ilustrator „Orlanda Szalonego“ i „Jerozolimy Wyzwolonej“, malarz (w akwaforcie) portów Francyi, a przedewszystkiem twórca owych niezliczonych miniatur medalionowych, istniej galerii ładnych kobiet i wybitnych mężów XVIII w. Wykształcony, inteligentny, nader miły w towarzystwie i zręczny w życiu, ulubieńcem był dworu i paryskiego *beau monde*'u. Wywierając wpływ decydujący na Marigny'ego, mianowany stałym sekretarzem Akademii, kierował nią bezpośrednio do zgonu Ludwika XV.<sup>2)</sup> Na tle występków panowania i epoki, na tle braku mocnych głów i tęgich charakterów, tem wyraziściej zarysowuje się praca celowa i rozumna tych dwóch zgranych ze sobą świątłych kierowników. Był zwyczaj w Akademii, że wstępujących adeptów musiał ktoś możny polecać i nazwiska protektorów wpisywane były do rejestrow. Stanisław August nie cieszył się względami dworu francuskiego. Nie podobna mu było narzucać się na protektora w dobie konfederacyi barskiej i jawnej pomocy Choiseula barzannom. Kościuszkę polecał ks. Czartoryski, snąc jednak nazwisko cudzoziemca nie wystarczało, bo obok księcia figurują *pro forma* w zapisach, jako protektorzy Kościuszki i Orłowskiego, obadwaj wszechwładni kierownicy Akademii—margrabia de Marigny i malarz Cochin. Dziwnym zbiegiem okoliczności, kaprysem losu, przyszłego niezłomnego republikanina wiązały delikatne nici stosunków, zobowiązań i wdzięczności z dworem pani Pompadour i ancien régime'm. Kształcił się więc Kościuszko na wydziale malarskim przodującej wówczas Akademii Paryskiej. Otaczała go plejada głośnych nazwisk, znakomitych talentów: Van Loo, Coypel, Vien, David, portreciści: Louis Tocqué i Aleksander Roslin, pierwsi promotorzy kierunku naturalistycznego w pejzażu—Lautar, Vernet, Robert.

Na pytanie, jak długo trwało to błądzenie po manowcach czystej sztuki, nie możemy jeszcze dziś odpowiedzieć, w każdym

<sup>1)</sup> Nekrolog Marigny'ego pióra Cochina w Journal de Paris, 1781; A. Michel et Lavoix w Hist. Gén. de Rambaud et Lavisce, t. VII.

<sup>2)</sup> G. i J. Goncourt, L'art du XVIII siècle; bar. R. Portalis, Les dessinateurs d'illustrations au XVIII siècle; R. Portalis et H. Beraldi, Les graveurs du XVIII siècle.

razie jednak musiał Kościuszko bawić w Akademii czas dłuższy, gdyż po latach dwudziestu paru, gdy Insurekcyja rozniesie szeroko po Europie imię jego, wielu malarzy będzie mile wspominać swe koleżeństwo z Najwyższym Naczelnikiem, wypytywać się o niego, żywo interesować każdym jego posunięciem na szachownicy dziejowej.<sup>1)</sup>

Wcześniej czy później, najjnniej jednak po rocznym kursowym okresie, po dłuższej lub krótszej wewnętrznej walce przełomowej, Kościuszko porzucił Akademię. Momentem decydującym było zapewne rozczarowanie we własnym talencie malarskim, smutne wieści z Polski, naprowadzające na przykre refleksy, wreszcie dominujący w Akademii kult bohaterstwa, który działał ożywczo i podniecająco. Powrócił więc na właściwą sobie drogę, ale i tu chwiał się jeszcze, nie mogąc na razie zdecydować się, czy iść utworowanymi szlakami wojskowości, czy też kształcić się w naukach państwowych na męża stanu i polityka. Płatała mu figle prawdziwa polska natura: żadna światła wiedzy i wszechstronnie ciekawa, ale dyletancka par excellence, mało skłonna do wyłączności i specjalizacji. To też szedł w obydwóch kierunkach, czerpiąc zewsząd, co się dało i gdzie się dało, sposobiąc się coraz bardziej świadomie na ofiarnego sługę sprawy publicznej. Po powrocie do kraju objaśni to zwięźle i treściwie w paru słowach: „Sposobiłem się przez lat pięć bycia mego w cudzych krajach wydoskonalić się, co do rządu trwałego z uszczęśliwieniem wszystkich należy, w ekonomice i w stanie żołnierskim... usilnie się starałem tego nauczyć, ile że i wrodzoną pasyę do tych rzeczy miałem.“<sup>2)</sup>

Mógł Kościuszko wstąpić do armii francuskiej, jak to uczyniło wielu Polaków przed nim i po nim (Zajączek, Mieszkowski, Mińczyński, Andrzej i Stanisław Mokronowscy, Michał Zabiełło), ale stosunki w wojsku francuskim nie były tego rodzaju, ażeby mogły zachęcać cudzoziemców, spragnionych wiedzy wojennej, do wstępowania pod sztandary Ludwika XV. Jedyłą szkołą, która wówczas była uważaną za najwyższy wyraz wojenny, była szkoła armii

<sup>1)</sup> „Après avoir achevé ses études à l'école des cadets de Varsovie, Kościuszko vint perfectionner son éducation à Paris. Il s'y adonna particulièrement à l'étude des mathématiques et du dessein. Plusieurs artistes français qui ont été ses camarades d'école, se rappellent leurs liaisons avec lui et en parlent avec intérêt...“ Parandier, Tableau général de la Pologne, (Arch. des aff. étr.).

<sup>2)</sup> Kościuszko (do Jerzego Wandalina Mniszcha), Dukla, 19 paźdz. 1775 r.



pruskiej, ale ta odpychać musiała duszę Kościuszki przedewszystkiem świeżo dokonaną akcją podziałową oraz całym kierującym nią duchem fryderykowym. Armia zaś francuska po klęskach wojennych w latach 1757—1760 upadła na najniższy stopień marazmu i deprawacyi. Wybór generałów zależnym się stał od buduarowych intryg wersalskich; oficerowie kupowali szarżę, a wyносиło ich urodzenie, koligacye i protekcyja. Rozpusta i gry hazardowne, dziecinna rywalizacyja fałszywych ambicyi, bezdenne nieuctwo, czelna zuchwałość i rozluźnienie dyscypliny przeniesione zostały z dworu do armii. Miała wtedy Francya generałów salonowych—miłych dworaków, ale skończonych nieuków. Kaprys kobiecy ich wynosił, kaprys ich zrzucał, kaprys dawał im najwyższe komendy. Mianowani w nagrodę za dworskie sukcesy, wodzowie francuscy nie wiedzieli co to jest obóz, armia, manewry; mniejsze jeszcze pojęcie mieli o geografii i taktyce. Oficerów nabierano, nie pytając ich o dyplomy. Prowadzili oni ze sobą na wojnę po 60 koni, rywalizowali zbytkiem i rozrzutnością. Zato żołnierze trzymani byli w głodzie i w nędzy. Na wojnie żywili się chlebem z otrębów, do spania mieli jeden tapczan na czterech, okrywali się łachmanami. Żelazna dyscyplina ciążyła nad nieszczęśliwcami, których głód zmuszał do występków: za najłżejsze przekroczenie karani byli piętnowaniem, galerami i śmiercią. Po zawarciu traktatu akwizgrańskiego 30,000 żołnierzy było rozstrzelanych lub zesłanych do galer.<sup>1)</sup> Tak mszczono się na niewinnych za błędy generałów i dyplomatów. Nie miał tu z czego brać przykładu nasz przyszły wódz, bodaj, że gorsze znalazłby wzory, niż pod własną walącą się strzechą.

Prof. T. Korzon postawił hipotezę, która przyjęła się u nas za pewnik, że Tadeusz Kościuszko kończył wyższą szkołę wojskową we Francyi; wyraził przytem przypuszczenie, że szkołą tą była paryska École Militaire lub, co najprawdopodobniejsze, szkoła inżynierów wojskowych w Mézières.<sup>2)</sup> Hypoteza ta żadną miarą utrzymać się nie da.

Paryska École Militaire powstała w r. 1751, założona przez d'Argensoną, w myśl pani Pompadour. Mieściła się ona prowizorycznie w zamku Vincennes, później zaś w nowym obszernym gmachu na równinie Grenelles. Przyjmowano do niej dzieci pomiędzy 8 a 13 rokiem życia, francuskie poddanych, szlachciców

<sup>1)</sup> M. H. Vast w *Histoire générale...* Rambaud i Lavissee'a.

<sup>2)</sup> Korzon, *Kościuszko*, 90; dopełnienia, IX.

od 4 pokoleń lub synów kawalerów św. Ludwika. Nie wymagano żadnych kwalifikacji naukowych, prócz umiejętności czytania i pisania, stąd wychowawcy szkoły wprost nie zdolni byli do przesłuchania z pożytkiem programowego kursu nauk. Zrozumiał to Choiseul i w r. 1762 założył dodatkową szkołę przygotowawczą w La Flèche dla dzieci zupełnie drobnych. Odtąd obie te szkoły, z których każda miała etat na 300 uczniów, nosiły łącznie nazwę Écoles Royales Militaires i stanowiły zwartą całość. Był to średni zakład naukowy, odpowiadający warszawskiemu korpusowi kadetów drugiej formacji, znacznie tylko gorszy od niego, z krótszym kursem nauk i mniejszym programem. Po skończeniu szkoły, uczniowie, o ile przekraczali 16 rok życia, umieszczani byli w piechocie i kawalerii. Najzdolniejsi z wychowawców stawali z wyboru szkoły do wstępnego egzaminu konkursowego w szkole inżynierów wojskowych w Mézières lub szkole artyleryjskiej w La Fère. Na żadnej może szkole francuskiej nie odbiła się tak wyraźnie korupcja ancien régime, jak właśnie na Écoles Militaires. Wychowywano tam w wielkich zbytkach i wygodach, na kompletnem utrzymaniu rządowem, różnych protegowanych paniczyków, synków wyższych wojskowych i urzędniczej nadwornej kamaryli. Wpłynęła ona na zniewieścienie armii francuskiej i spotykała się często z surową a zasadną krytyką sfer fachowych. Dla Kościuszki w żadnym razie nie było w niej miejsca. Przejrzałem papiery tej szkoły w *Archives Nationales*, ani w protokołach jednak, ani w spisach jej uczniów, nie spotkałem się nigdzie z nazwiskiem Tadeusza.<sup>1)</sup>

W czasie, kiedy Kościuszko przybył do Paryża, nie było jeszcze we Francyi specjalnych szkół dla oficerów piechoty i kawalerii—edukacyę odbywano praktycznie, w polu, na ćwiczeniach i mustrach, a głównym tytułem do uzyskania stopni wojskowych było urodzenie, stosunki, protekcyja. Jedyne inżynieria forteczna i polowa, oraz artyleryja dawały pole do specjalnych wyższych studyów. To też tego tylko rodzaju dwie jedyne wyższe szkoły znajdujemy w tym czasie we Francyi. Były to szkoły: inżynierów wojskowych (du Génie) w Mézières, założona w r. 1748, i artyleryjska w La Fère, przeniesiona w r. 1765 do Bapaume. Do Mézières przyjmowano wyłącznie poddanych francuskich, szlach-

<sup>1)</sup> Arch. Nat., M 254, 255, MM 659, 662, 668, 669, 680. Według wiadomości otrzymanej od prof. Askenazego Władysław Jabłonowski, znany ze swej śmierci na San Domingo, studyował jako cadet-gentilhomme w paryskiej Szkole wojskowej, gdzie kolegował z młodym Napoleonem i skąd wyszedł w r. 1785.



ciów lub synów wyższych wojskowych, po zdaniu wstępnego konkursowego egzaminu. Podania wnosić należało we wrześniu na imię sekretarza stanu. Egzamin trwał od 1 listopada do 15 grudnia. Obejmował on arytmetykę, algebrę, geometryę, mechanikę i hydrodynamikę, odręczny rysunek pejzażowy i ornamentowy piórkami i ołówkiem. Rok szkolny rozpoczynał się 1 stycznia. Wychowawcy szkoły mieli rangę podporucznika (*sous-lieutenant*). Kurs był dwuletni—rok teorii i rok praktyki. Adepti szkoły, po przesłuchaniu kursu, szli na służbę do robót fortecznych i polowych, a po dwóch latach wracali do szkoły, zdawali egzamina i zależnie od wyników otrzymywali wyższy lub niższy stopień wojskowy. Szkoła w Mézières cieszyła się wielką powagą i szerokim rozgłosem, a wśród grona nauczycielskiego liczyła uczonych tej miary, co Perronet, Bossut, Mollet, Monge. Wypuszczała rocznie dziesiątek uczniów w wieku od lat 18 do 27. Przy tak ograniczonym komplecie była ona przedmiotem marzeń i zabiegów wszystkich matek i ojców, żądnych kariery dla swych synów. Trudnoby było dostać się do niej skromnemu szlachetce siechnowickiemu, protegowanemu króla i ks. Adama. Wszak król był w niełasce u dworu, a ks. Adam postponowany przez ministerium francuskie, które go tytułowało w listach pospolitem „monsieur,” gdy innych pośledniejszych od niego magnatów polskich zaszczycało wspaniałem „monseigneur,” był nawet w tych czasach chwilowo aresztowanym i przetrzymanym godzin kilka w kordegardzie paryskiej z tytułu prywatnej, pieniackiej a zupełnie nieuzasadnionej pretensyi Mostowskiego, wojewody mazowieckiego; dopiero za natychmiastowem poręczeniem bankiera wypuszczono go z pod klucza.<sup>1)</sup> Miał ks. Adam stosunki w świecie nauki i sztuki, nie miał żadnych kredytów u rządu lub w wyższych sferach wojskowych.

Kompletne papiery szkoły w Mézières przechowuje paryskie Archiwum ministerium wojny. Szanowny nestor kolonii polskiej w Paryżu, Władysław Mickiewicz, któremu niniejszem składam serdeczne podziękowanie za poniesione dla mnie trudy, przejrzał te papiery i na liście uczniów ani Kościuszki, ani wogóle żadnego cudzoziemca nie znalazł.

Artylerya francuska stała niezłe. Ale dopiero późniejszym zabiegom Gribeauvala zawdzięcza wyższość swą w końcu wieku. Oficerowie artyleryi wychodzili wyłącznie ze szkoły artyleryjskiej w Bapaume. Warunki przyjęcia do tej szkoły były identyczne

<sup>1)</sup> Arch. Czart., 672; Arch. des Aff. Étr., Corr. Polit., Pologne 306, 307.

z warunkami przyjęcia do Mézières. Wstępowano do niej po zdaniu konkursowego egzaminu z arytmetyki, geometryi, trygonometrii, mechaniki statycznej i stosowanej. W r. 1768 liczyła ona 80 wychowañców. W lutym 1769 poprzedni kurs roczny przekształcono na dwuletni. W 1772 szkoła w Bapaume została zwiniętą. Ster państwa objął po hr. Choiseulu margrabia de Monteynard, reakcyonista starej daty, co spowodziło kompletną ruinę wojskowości i oświaty militarnej we Francyi. Ordonans z dn. 23 sierpnia 1772 r. zamykał większość szkół wojskowych, powrócono do organizacyi z przed 40 lat, w zakresie zaś teoryi do przepisów z r. 1720. Taki fatalny stan ostatecznego rozkładu trwał do 30 paźdz. 1774, kiedy na czele ministryum wojny stanął hr. Dumuy, który częściowo wznowił dawniejszą organizacyę szkolnictwa wojskowego.<sup>1)</sup>

Szkoła w Bapaume była ustawowo niedostępną dla Kościuszki, jako dla obcokrajowca, zresztą nie miał on już czasu na przestuchanie w niej dwuletniego kursu. Rok 1770 przebył w Akademii na wydziale malarskim, w połowie zaś 1772 szkoła artyleryjska w Bapaume została zamkniętą. Pozatem mamy sporo decydujących wskazań pośrednich, świadczących niezbicie, że Kościuszko nie mógł ani służyć w wojsku francuskim, ani też słuchać wykładów w francuskiej wyższej szkole wojskowej. Gdy w r. 1775 zabiegał przed Mniszchem o protekcyę, chcąc dostać się do służby saskiej, gdy udowadniał mu swą odpowiedniość i powoływał się na pięcioletnie gorliwe studia na obczyźnie nad „ekonomiką“ i wojskowością, czyżby mógł przemilczeć o atutach swych najważniejszych, takich jak świadectwa szkolne lub stan służby w armii francuskiej, gdyby je tylko miał za sobą. A w dwadzieścia lat potem Parandier, kreśląc niejednokrotnie życiorys Ko-

<sup>1)</sup> Esquisse historique sur les écoles d'artillerie, pour servir à l'histoire de l'École d'application de l'artillerie et du génie, par M. Théodore Le Puillon de Boblaye, commandant à l'École d'application... Metz, Rousseau-Pallez, 1858, 8°, Bibl. Nat. Lf<sup>214</sup> nr. 13, najobszerniejsza i najlepsza dotąd historia szkół artyleryjskich i inżyniersko-wojskowych we Francyi XVIII w.; Mémoire instructif sur les demandes d'admission à l'École du corps royal du génie, septembre 1777, Bibl. Nat. Lf<sup>223</sup>; Bureaux de Pusy, Considérations sur le corps royal du génie, présentées au comité militaire par un membre de ce comité, imprimées par ordre de l'Assemblée nationale (10 mai 1790), Paris, Impr. Nat. 1790, 8°, Bibl. Nat. Le<sup>29/640</sup>; Bureaux de Pusy, Mémoires concernant le corps royal du génie. Druki ulotno wyszczególnione w katalogu w dziale *Législation* (pour réglemens et instructions relatifs aux écoles militaires).



ściuszki w licznych swych memoriałach do rządu francuskiego z r. 1793 i 1794, wyliczając wszystkie jego zasługi i zalety, starając się wzbudzić u Komitetu Ocalenia Publicznego zaufanie do Naczelnika powstania, czyżby mógł pominąć francuskie wykształcenie wojskowe Kościuszki, nie powołać się na świadectwa jego szkolne, na sąd o nim kolegów, towarzyszków broni, słowem na to wszystko, co u Komitetu miałooby walor najbardziej przekonywujący? A przecież wzmiankował o jego przelotnych aspiracjach artystycznych, o tem, jak mile wspominają go koledzy malarze. Informatorem Parandiera był sam Kościuszko oraz jego najbliżsi towarzysze i przyjaciele, naprzód emigranci lipscy, potem paryscy z Barssem i Larochem; niektóre z memoriałów były przez nich wspólnie opracowywane, nie można więc ich braki kłaść na karb nieświadomości agenta francuskiego. To samo przemilczenie widzimy we wszystkich notatkach o Kościuszcze jego przyjaciół i towarzyszków broni, uczniów i apologetów, ludzi zbyt dobrze poinformowanych, ażeby mógł dla nich pozostać nieznanym jeden z najważniejszych dla sprawy publicznej szczegółów jego życia. Możnaoby wystawić jako dowód przeciwny wielką łatwość uzyskania przez Kościuszkę rangi pułkownika-inżyniera w służbie amerykańskiej, łatwość, którą na pozór wytłómaczyć można li tylko złożeniem prezeń świadectw wyższej szkoły inżynierskiej. Nie zapominajmy jednak, że był to wiek XVIII, że armia Stanów była w początkach wojny o niepodległość milicją jeno obywatelską, bezładną ruchawką powstańczą; że każdy oficer europejski, mający pewną przeszłość za sobą, był tam jednostką nader pożądaną; że wreszcie ukończonych inżynierów wojskowych nie starczyło nawet na armię francuską, mimo że Francya była w nich najbardziej zasobną, i część etatów inżynierskich była tam obsadzana przez samouków-praktyków. Takich praktyków i samouków naliczyłoby można sporo w ówczesnych armiach europejskich, a i w Polsce na czele korpusu inżynierów stał taki Sierakowski, który żadnej szkoły specjalnej zagranicą nie kończył, miał jeno za sobą sześć lat frontowej służby saskiej.

Radził sobie tedy Kościuszko jak mógł, zdobywał wiedzę dorywczo, z trudem i przeszkodami, obserwując i badając, co mu traf i własna intuicya podsunęły. Tak przynajmniej postępowali inni stypendyści polscy, kształcący się na obczyźnie, o jakiejkolwiek systematyczności nie mogło być mowy — brakowało do tego niezbędnych warunków. Niejakie pojęcie o życiu Kościuszki zagranicą powziąć możemy przez analogię z listu Feliksa Radwańskiego

go,<sup>1)</sup> również stypendysty polskiego, kształcącego się we Francyi na inżyniera wojskowego. List pisany z Paryża 18 sierpnia 1784 do Hugona Kołłątaja. Zawiadania w nim Radwański, że przesiłuchał dwa kursa mechaniki i po jednym fizyki i chemii, nie dodaje jednak, czy były to jakieś publiczne kursa szkolne, czy też kółkowe komplety, czy wreszcie lekcyce prywatne. Dalej wzmiankuje, że pomaga mu wiele ten sam profesor, który zaszczyca swą grzecznością Sniadeckiego. „Jestem zaleconym, pisze Radwański, jednemu inżynierowi, który w Mézières au corps du Génie lat 14 dawał lekcyce, posiada bardzo dobrze architekturę francuską i bardzo pięknie rysuje. Rzadko komu zdarzy się widzieć, chyba za pozwoleniem ministra wojny, skład modelów wszystkich fortec francuskich, niektórych cudzoziemskich; ja zabrałem znajomość z synem dozorczy tych modelów, widziałem je i widzieć będę, ile razy mi się podobać będzie. Nieskończenie mi to ułatwi indzierniary (sic!). Przyszły więc rok tej nauce i artyleryi poświęcę...” Dalej donosi Radwański, że był kilkakrotnie u marszałka litewskiego podczas jego pobytu w Paryżu. Marszałek obiecał mówić w komisji o powiększeniu pensyi Radwańskiego, przynajmniej o zrównaniu go w roku następnym z innymi stypendystami. Obecnie Radwański pragnie jechać do Holandyi dla zwiedzenia tamtejszych fabryk i mostów. List kończy się najświeższymi wiadomościami z Paryża — o agonii Prymasa, o balonach, o seansach magnetycznych Mesmera.<sup>2)</sup>

Praca nad sobą, bez wskazówek postronnych, jest rzeczą trudną, szczególnie w dziedzinie matematyki, mechaniki, budowy dróg i mostów, fortyfikacyi... Chodził więc zapewne Kościuszko na wykłady publiczne, wygłaszane przez wybitniejszych uczonych, jak to praktykowali później pod jego okiem wybitni legioniści w Paryżu — Kniaziewicz, Fiszer, Drzewiecki, Orchowski i inni. Pomiedzy lektorami musieli się znajdować i profesorowie paryskich Écoles Militaires.<sup>3)</sup> Uczył się przedmiotów, które obo-

<sup>1)</sup> Feliks Radwański, później zasłużony profesor mechaniki w uniwersytecie krakowskim (ur. 1756 † 1826), sportretowany w freskach, ozdabiających dziedziniec Biblioteki Jagiellońskiej.

<sup>2)</sup> Moskiewskie Archiwum Min. Sprawiedliwości, Metryka Litewska IX, 78 f. 358.

<sup>3)</sup> Rychlicki wie, że Kościuszko uczył się architektury u sławnego Perroneta. Możliwe, że podanie to odpowiada wypadkowo rzeczywistości, z tą tylko naturalnie małą poprawką, że Perronet nie był architektem, tylko inżynierem od budowy kanałów, dróg i mostów; dodać jednak należy, że Rychlic-



wiązywały na wstępnych egzaminach konkursowych w Mézières i w Bapaune, a potem przechodził kursy tych szkół, w miarę istnienia odpowiednich podręczników lub specjalnych traktatów. Wyliczę książki te, gdyż stanowiły one niewątpliwie główne źródło wiedzy Kościuszki, podstawę dalszych studyów i nie wychodziły z jego rąk w ciągu długich lat przygotowawczej pracy we Francji: Camus, „Cours de mathématiques,” 4 tomy; l'abbé Bossut, kurs matematyki, obowiązujący w Bapaune; tegoż „Le traité d'hydrodynamique à l'usage du Génie,” 2 tomy; tegoż „Recherches sur la construction la plus avantageuse des digues”; Bézout, „Cours de mathématiques à l'usage de la marine et de l'artillerie,” 2 t.; tegoż „Algebra”; „Tables de Sinus”; Le François, „La méthode géographique”; Kalio, „Les éléments de tactique.” Wszystkie te podręczniki były ogromnie drogie; dość powiedzieć, że w Écoles Militaires dawano je pojedynczo w nagrodę kończącym szkołę najzdolniejszym uczniom, dawano na równi z parusetfrankowymi zasiłkami pieniężnymi.

Kościuszko pisał potem o sobie, że prócz wojskowości zajmował się gorliwie „ekonomiką.” Ten jeden wyraz dowodzi, że podlegał wpływom fizyokratów i nie obcem mu było podstawowe dzieło Turgota „Reflexion sur la formation et la distribution des richesses” (1768). Przed Turgotem bowiem ekonomia polityczna nie była uważana za oddzielną dyscyplinę, lecz włączana bądź do nauki prawa, bądź też do filozofii moralnej. Turgot pierwszy wyodrębnił „ekonomikę” z dziedziny prawa, czego nie czynili inni fizyokraci. Poza Turgotem bliższy wpływ na Kościuszkę musiał wywierać Dupont de Nemours, dzielny propagator zasad fizyokratyzmu; główna działalność Duponta przypadła właśnie na okres bytności Kościuszki w Paryżu: w r. 1767 — 8 wyszło podstawowe dzieło Duponta „La Physiocratie ou Constitution naturelle du gouvernement le plus avantageux au genie humain,” a w czasie od 1767 do maja 1772 wydawany był przezeń miesięcznik „Ephémérides du citoyen,” czytany wówczas przez całą Francję inteligentną. Dupont utrzymywał stosunki z Polakami, wkrótce potem przeniósł się nawet do Polski na stałe, wezwany przez Komisję Edukacyjną na instruktora szkolnictwa oraz przez ks. Adama Czartoryskiego na nauczyciela literatury do jego dzieci. Dupont przybył do Polski około r. 1776, w tym bowiem roku za-

---

ki zaczerpnął wiadomość tę od wcześniejszego Julliena, który jednak nie o lekcjach wspominał, a tylko o „zawarcie bliższej znajomości.”

wieścił wznowione wydawnictwo „Ephémérides,” w następnym zaś Niemcewicz widział go już na dworze ks. Adama w Wołczynie. Wielce prawdopodobne, że Kościuszko służył za pośrednika przy nawiązaniu stosunków magnata polskiego ze słynnym francuskim ekonomistą. Wyznawców czystego fizyokratyzmu, poza Strojnowskim i Chreptowiczem, nie było u nas zbyt wielu, nie należał do nich zapewne i Kościuszko, ale bądź co bądź duży wpływ musiała na niego wyrzucić doktryna, której wyznawcy umieszczali na czele swego alkoranu, dzieła Quesnaya, dewizę: „Pauvres paysans — pauvre royaume; pauvre royaume — pauvre roi,” oraz twierdzili, że cały ciężar nierównomiernego rozkładu podatków spada wyłącznie na drobnych rolników, tę najprodukcyjniejszą warstwę narodu.

Poza tem trudno jest orzec coś ścisłego o wpływie francuskich ekonomistów lub też filozofów-encyklopedystów na umysłowość Kościuszki. Słów skąpił, dzieł politycznych po sobie nie pozostawił, w listach rzadko poruszał tematy zasadnicze. Główna zaś spuścizna po nim—uniwersały Insurekcyi 1794 r. były pisane przeważnie przez Kołłątaja przy pomocy emigrantów lipskich, sekretarzy przybocznych Naczelnika, wreszcie członków Rady Najwyższej Narodowej, a odbił się na nich nietylko wpływ bezpośredni doktryn XVIII stulecia, ale również wpływy amerykańskie oraz Rewolucyi Francuskiej, gdzie ta sama treść filozoficzno-ekonomiczna przełamała się już w zastosowaniu do życia praktycznego przez umysłowość amerykańskich i francuskich prawodawców i polityków.

W korespondencyi dyplomatycznej z tej doby, w listach lub papierach polskich, czy też o Polsce traktujących, przechowywanych w paryskim Archiwum Ministerjum Spraw Zagranicznych (dział „Correspondance politique“ z lat 1769—1775)<sup>1)</sup>, nigdzie nie

1) Relacye francuskich agentów dyplomatycznych i wojskowych w Polsce (Jakubowski, Gérault, Du Boulloir, Durand, de Murinais, Dumouriez, Vioménil, Choisy etc.), listy i papiery wybitniejszych przedstawicieli rządu francuskiego w sprawach Rzplitej (Choiseul, de Vergennes, d'Aiguillon, de La Vrillière, Broglie, Gérard, Beaujon etc.), korespondencya Stanisława Augusta z gen. Monet, d'Aiguillonem i Ludwikiem XV, oraz prymasa Podolskiego z ministerjum, korespondencya konfederatów barskich, oraz pojedynczych magnatów polskich z rządem francuskim (listy Wielhorskiego, Wessła, Paca, Kraśińskich, Ogińskiego, Chomińskiego, Gomólińskiego, Branickiego, Mostowskiego, Czartoryskiego, Mokronowskiego, Raczyńskiego, Sanguszki, Sapiehów, ks. Karola Radziwiłła, Jabłonowskiego, księżny kurlandzkiej, królewicza Karola



znalazłem najniżej wzmianki o Kościuszcze lub Orłowskim. Wnioskować stąd można, że bawili obadwaj całkiem prywatnie, bez żadnych urzędowych poleceń i wstawienictw.

Ogółem przebył Kościuszko zagranicą lat pięć. Przeważnie we Francyi, ale nie wyłącznie. Zawadzał i o inne kraje, jak zgodnie świadczą niezależne od siebie źródła, nie dając atoli bliższych wskazówek. Bawił podobno we Włoszech, zwiedził Szwajcaryę, gościł w Niemczech. Tak przynajmniej powiada Encyklopedia Orgelbranda mniejsza (piórem zapewne Bartoszewicza), oraz J. I. Kraszewski w swojej „Polsce w czasie trzech rozbiorów“ (1903, III, 172). Prof. Korzon zaprzecza pobytu Kościuszki w krajach niemieckich, powołując się na to, że on „po niemiecku nie mówił i nie rozumiał nawet w 1794.“ Zdanie to jednak stoi w sprzeczności z innym, na poprzedniej stronie wygłoszonym, które stwierdza, że „Tadeusz w maju 1768 będzie atestowany, jako umiejący oba języki: francuski i niemiecki.“<sup>1)</sup> Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że język niemiecki nie był obcym Kościuszcze: uczył się go u pijarów i w korpusie, gdzie obowiązywała niemiecka komenda, a i cała biurowość prowadzoną była w tym języku. Zapewne, lingwistą Kościuszko nigdy nie był, po francusku wysławiał się nieszczególnie, a jego polskie listy w żadnym razie nie mogą uchodzić za wzory stylu. Wybicki, Barss i Drzewiecki zgodnie świadczą o jego trudnej i zawilej wymowie,<sup>2)</sup> a Parandier, broniąc go przed ujemnem wrażeniem, jakie wywarł na członków rządu francuskiego podczas swojej misji dyplomatycznej w Paryżu w r. 1793, taką w rok potem daje charakterystykę Kościuszki Komitetowi Ocalenia Publicznego: „Powierzchnowności skromnej, nieśmiały, tak niewidoczny jest na pierwszy rzut oka, że wprost trudno go zauważyć, jeżeli go ktoś nie wskaże; o umysłowości jasnej i żywej, wypowiada jednak myśli swe w sposób mglisty i zawily, szczególnie, gdy nie zna bliżej rozmówcy swego. Być może, że jego wrażliwość oraz właściwe mu nawyknięcie do myślenia w różnych językach są przyczyną tej trudności w wysławianiu się.“<sup>3)</sup> Prof. Korzon odnosi

saskiego etc.), Arch. du Min. des aff. étr. Correspondance politique, Pologne Vol. 293—307.

<sup>1)</sup> Korzon, Kościuszko, 74, 90. Dopelnienia, VIII, IX.

<sup>2)</sup> Odpowiednie listy w posiadaniu prof. Askenezego.

<sup>3)</sup> Parandier. Tableau général de la Pologne (Arch. des Aff. Étr.): „Sa constitution est frêle, sa physionomie est douce, mais sérieuse. Son extérieur est modeste, presque timide et pour l'apercevoir, il faut le montrer; d'une conception facile et prompte, il rend ses idées d'une manière difficile

do r. 1794 brak biegłości Kościuszki w języku niemieckim. A przecież cały poprzedni rok spędził Kościuszko w Lipsku i Dreźnie. Tak samo mógł spędzić dawniej jeszcze czas pewien na studiach w ojczyźnie Leibniza, Chrystyana Wolffa i Fryderyka Wielkiego. Zresztą i dziś jeszcze iluż Polaków doktoryzuje się zagranicą, nie posiadłszy dostatecznie języka, w którym przechodzi swe wyższe studia.

W połowie 1774 r. powrócił Kościuszko do kraju rodzinnego. 24 czerwca t. r., zapewne zaraz po przyjeździe, otrzymał „do rąk własnych“ od brata Józefa 340 złp. na rachunek schedy po rodzicach. Potrzebował pieniędzy, bo zewsząd pożyczał: 150 hollenderskich czerwonych złotych 13 stycznia 1775 r. od Piotra Estki i żony jego Anny z Kościuszków, na 8 od sta, z terminem oddania w dn. 10 czerwca 1776 r.; za pieczętarza podpisał się na tym obligu Faustyn Kościuszko Siechnowicki<sup>1)</sup>; 200 czerw. zł. 3 marca t. r. od drugiego szwagra, Karola Żółkowskiego, na termin roczny; 120 dukatów 24 czerwca 1775 r. na 8% od Zuzanny Kościuszkówny, wreszcie 60 czerw. zł. od Faustyna Kościuszki. Bawił Tadeusz Kościuszko w kraju około szesnastu miesięcy. Podpisywał się kapitanem korpusu kadetów (bez dodatku—były), potem kapitanem Rzeczypospolitej lub kapitanem gwardyi. Pierwszy podpis każe przypuszczać, że zaliczony został do składu oficerów korpusowych, czekał jednak widocznie wakansu lub etatu

et ténébreuse, surtout lorsque celui, à qui il parle, lui est peu connu. Peut être sa sensibilité et l'habitude, qu'il a de penser en plusieurs langues, sont les causes de cette difficulté de s'énoncer...“; „Kniazievicz opowiadał o nim, że wyglądał niepokojnie, na prostego zagrodowego szlachcica, wymowy nie miał wcale...“, Kraszewski, III, 448.

<sup>1)</sup> „Tadeusz Kościuszko kap. *mp.* Ustnie oczewisto proszony pieczętarz od W. Imć Pana Tadeusza Kościuszki, kapitana korpusu kadetów Rzeczypospolitej JKM-ei, danego WW. Imć PP. Piotrowi y Annie z Kościuszków Estkom do tego dobrowolnego obligacyinego zapisu na sumę w złocie ważnym, obręzkowym holender. sztuk czerwonych zł. sto pięćdziesiąt № ° ¶ 150 z terminem oddania w roku, da Bóg. przyszłym tysiąc siedmset siedmziesiątym szóstym, dwoma niedzielami przed Ś. Janem Krzycielem, podług nowego kalendarza, to jest dnia dziesiątego Iunij przypadającego, z prowizyą, licząc po ośm od sta, wnosząc ewikeją na dobra Siechnowicze, w w-dztwie Brzeskim sytuowane, podług prawa podpisuję się Faustyn Kościuszko Siechnowicki. (Na stronie zewnętrznej:) Zapis odemnie Tadeusza Kościuszki kapit. dobrowolny obligacyiny, dany na sumę ¶ 150 WWMPP. Estkom, Stolnikom Smoleńskim, z prowizyą, licząc po 8 od sta. Dnia 13 Ianuarii Roku 1775.“ Rkp. Muzeum hr. Czapskich w Krakowie, z daru W. Wittyga.



i przez ten rok nie był czynnym. Inaczej nie rozjeżdżałby ciągle po swoich krewniakach. Sam pisał w liście do Mniszcha z końca 1775 r., że „teraz w Polsce chociaż chciano mnie zażyć, nie upatrywałem dla niej żadnego uszczęśliwienia.“ Końcowy frazes ukrywał istotną, jak się zdaje, przyczynę wyjazdu—tragiczny romans z Sosnowską. 13 września 1775 r. Józef Sosnowski, wojewoda smoleński i pisarz polny litewski, mianowany został hetmanem polnym litewskim po Aleksandrze Sapieżu.<sup>1)</sup> W tym właśnie czasie, według prof. Korzona, we wrześniu i w początkach października, rozegrał się wielki dramat w życiu osobistym Kościuszki. Sosnowscy dawno już znali Kościuszków, jako brzesko-litewscy współpowietnicy, to też gdy dowiedzieli się, że świeżo przybyły z zagranicy oficer korpusu kadetów przebywa w pobliżu, we Włodawskim u sióstr, sprokurować go mieli do Sosnowicy, do córek, na nauczyciela rysunków, matematyki i historii. Po-

1) Józef Nałęcz Sosnowski, pan na Zwinogrodzie, Czerniejowie z przył., star. ratneński, grod. smoleński i grod. brzeski, marsz. sejmu elekc. 1764, czł. Rady Nieustającej, woj. połocki, het. pol. lit. 1775—1780, prezes Dep. wojsk, kaw. obydwóch orderów († 31 grud. 1783 w Ratnie; obiedwie córki były obecne przy jego śmierci, Gaz. Warsz. 1784, nr. 5), żonaty z (ślub w Daukszach 4 czerw. 1741) Teklą Despot-Zenowiczówną, panną bogatą, córką Franciszka Despot-Zenowicza, star. śnitowskiego (w Połockiem), mar. Tryb. lit. z r. 1722, i żony jego Róży, wnuczką Janusza Despot-Zenowicza, podk. połockiego, star. śnitowskiego, posła na sejmy elekcyjne 1674 i 1697, dziedzica dóbr Horodyszcz (u Żychlińskiego XVIII, 209, Tekla jest córką Janusza oczywiście błędnie. Zenowicze ród senatorski, spokrewniony z najznakomitszą magnaterią, wydalł 2 wojewodów i 4 kasztelanów). Z małżeństwa tego Józef Sosnowski miał dwie córki: Ludwika († 24 grud. 1836) wyszła za ks. Józefa Lubomirskiego (ur. 1751 † w lipcu 1817 w Równem), hr. na Wiśniczu i na Jarosławiu, pana na Przeworsku, Szarogrodzie, Równem, Śmile i Aleksandryi z przył., star. romanowskiego, dow. 5 pułku wojsk kor., gen.-por. wojsk kor., kaszt. kijowskiego 21 gr. 1790—1796, kaw. orderu św. St. 21 gr. 1776, O. B. 4 stycz. 1791 i baw. św. Huberta. Mieli czterech synów — Henryka (ur. 15 wrz. 1777 w Równem † 1850), Fryderyka (ur. 1781, według Żychl. 1786), Władysława i Karola (oba dwaj zmarli w dzieciństwie)—oraz córkę Helenę, późniejszą Stanisławową hr. Mniszkową, ur. 6 stycz. 1784. Katarzyna wyszła za hr. Józefa Wincentego Platę († 1832), star. grod. brzeskiego, pis. pol. lit., w 1774 mar. Tryb. gł. W. Ks. Lit., komandora maltańskiego, kaw. obydwóch orderów, kaszt. trockiego 1794, właśc. rozległych dóbr na Ukrainie kluczy daszowskiego i kalnickiego, na Wołyniu klucza horyńskiego i in. Mieli syna Edwarda hr. Platę i trzy córki, m. n. Cecylię Ożarówską. Żychliński V, 122 sq.; Kossakowski II, 48, XXXVII, 152; Niesiecki VIII, 464; Pismo Zbiorowe Ohryzki I; Kal. pol. z r. 1794,

między nauczycielem a jedną z uczennic, Ludwiką, związał się romans, jeden z najpiękniejszych, a zarazem najniezszczęśliwszych, jakie przekazała nam historia. Zgadzam się z J. Bartoszewiczem, który charakteryzuje stosunek Sosnowskiego do Kościuszki, jako stosunek magnata do służebnego szlachetki. Tak zresztą oceniają go zgodnie wszystkie pierwotne świadectwa. Nic, że Sosnowscy byli parweniuszami wśród rodów senatorskich. Wszak takim homo novus był i ojciec królewski, Stanisław, kasztelan krakowski, „którego familii dziada okazać rodowitem szlachectwem trudno było,“ jak powiada Moszczeński; dorobkiewiczem w karierze życiowej był hetman Branicki, a i wielu dygnitarzy współczesnych nie mogłoby się zbyt wstecz wykazać wysoką parentelą. Niczego również nie dowodzą dawniejsze związki małżeńskie rodu Kościuszków z Sosnowskimi, sięgające zresztą czasów tak odległych, początków XVII wieku. Wśród dworzan i panien służebnych magnaci często trzymali zubożałych krewniaków, ale stąd nie płynął żaden tytuł do bliższej konfidencji. Sosnowski był pisarzem polnym, a potem hetmanem, był zresztą człowiekiem magnackiej fortuny, a w jaki sposób potrafił ją zebrać, o to w tych czasach korupcyi i ogólnego zepsucia nikt się nie pytał. Miarę jego pozycyi towarzyskiej daje następne wyjście zamaż tejże córki Ludwiki za ks. Józefa Lubomirskiego, przedstawiciela jednej z najpierwszych w Koronie rodzin magnackich. Była Ludwika istotnie synogarlicą dla szlachetki siechnowickiego, oficerka bez żadnego prawie majątku, którego ojciec, sejmikowy szlachcic, „służył niejednemu panu“: Sapihom i Radziwiłłom, Flemingowi i Czartoryskim...

Dzieje tragicznego romansu Kościuszki trudno będzie ustalić kiedykolwiek. Istnieją różne relacye, różne wersye, a wszystkie są mniej lub więcej ze sobą sprzeczne. Ograniczę się na podaniu nowego świadectwa w tej sprawie, opowieści Antoniego Trembickiego w jego pamiętniku: „O rewolucyi r. 1794 czyli Powstaniu Kościuszkowem.“ (Rkp. jednej z bibliotek prywatnych).

Trembicki, niegdyś regent w sztabie generalnym W. Ks. Litewskiego, czynny bardzo poseł inflancki na Sejmie konstytucyjnym, sekretarz i widoma głowa klubu kołłątajowskiego, światły i pracowity wydawca „Prawa obojga narodów,“ stylistą namiętny i barwny, człowiek nad miarę powszednią zdolny i ruchliwy, ale niestety drażliwy niepomierne, chorobliwie ambitny, mierzący wszystko i wszystkich miarą osobistą, przytem charakter, jak się później okazało, lichy, bez jakichkolwiek trwałych zasad, okazał pierwszy raz pewną chwiejność w przejściowej dobie panowania



Targowicy. Z tej racyi w okresie Insurekcyi uważany za podejrzanego i nad miarę może poślizgnąć swoich prześladowany, w zaciekłości urazy osobistej wyrzekł się dawnych przekonań oraz dawnych towarzyszków ideowej walki i stał się odtąd ich najzjadlejszym paszkwiliście. Kalumniator Insurekcyi, zółciowy, bez czci i miary, potwarca wszystkich organizatorów Konstytucyi 3 maja oraz Powstania Kościuszkowskiego, upadł tak nisko, że wysłuchiwał ze współczuciem zwierzeń Tolla, ambasadora szwedzkiego, o jego niewysłuchanych radach, udzielanych Igelstromowi w celu zgnięcia powstania w zarodku, a potem, po Insurekcyi, kierując się osobistą urazą, nie wahał się denuncyować Kołłątaja przed władzami austriackimi. Jest coś z gadu w każdym odstępcy, który choć raz w życiu lenieje i porzucza urobione dojrzałe przekonania polityczno-społeczne, szczególnie jeżeli to będzie przełom nagły i krańcowy z pobudek osobistej natury. Trembicki należał do tego gatunku ludzi, co Szaniawski, Zajączek, Roźniecki. Z każdej niemal stronicy jego pamiętnika wyziera fałsz i prywata, a w szkalowaniu swych osobistych przeciwników nie zatrzymuje się przed najbardziej oszczerczą kalumnią; nawet jego opisom zdarzeń dla niego obojętnych nie można zbyt ufać, bo pamiętnik swój pisał około r. 1840, w pół wieku po wypadkach, nazwiska i fakty płatał, a niektóre jego opisy, jak np. bitwy pod Dubienką lub Racławicami, nadają się chyba do działu humorystyki. Ale zupełnie pomijając go nie sposób, tembardziej, że jego wspomnienia są najobszerniejszemi i najdrobiazgowszemi ze wszystkich pamiętników o Powstaniu Kościuszkowskiem.

Po takim mocnem zastrzeżeniu przechodzę do naracyi Trembickiego o dziejach romansu Kościuszki z Sosnowską. Niemile w niej rzucają się w oczy zapleśniałe przesady szlachetczyzny, kult żonglera życiowego dla zdrajcy hetmana i niedołęgi króla, ale nas obchodzą fakty jedynie. W przedstawieniu ich widoczne są pewne anachronizmy, ale wogóle można tu Trembickiemu więcej ufać, gdyż samo zdarzenie było dla niego obojętnem, w opisie jego powoływał się na licznych świadków, a opowieść jego pokrywa się w znacznej mierze innemi świadectwami.

„Właśnie wtedy,—pisze Trembicki—gdy Kościuszko kształcił się w Szkole rycerskiej i nad inną młodzież celował swą aplikacją, obyczajnością i wprawą do pięknego pisania i rysunku, talentów dziś pospolitych, wówczas zupełnie nieznanych w Polsce, komendę najwyższą w Warszawie miał Sosnowski, hetman polny litewski, przyjaciel króla, żołnierz surowy, nieprześlągnięty w swych zemstach, despota, tak jak wszyscy magnaci polscy,

w swym domu. Miał on przy sobie córkę jedynaczkę, Ludwikę, której starając się nadać talenta przyzwoite jej stanowi, rzucił oczy na T. Kościuszkę, swego powietnika i poniekąd krewniaka, aby pannie hetmanównie dawał naukę rysowania i pisania. Miłość i młodość nie zna różnicy stanów i wyższość z niższością stawą u nich zwykle na równi. Pokochali się nauczyciel z uczennicą, a mając wszelką sposobność poszeptów tajemnych, umówili się z sobą pobrać się sekretnie i ujechać z kraju. Lecz brak środków, obawa zapędu ambitnego, surowego i nieprześląganego ojca hetmana, ufność w dobroci powszechnie znanej Stanisława Augusta, który, zrodzony na ziemi litewskiej, szczególniejszą miał predylekcyę dla młodzieży tego narodu, i przy częstych odwiedzinach i egzaminach tego korpusu szczególniejszą względność okazywał dla Kościuszki, aplikującego się usilniej wpośród niesfornej i rozpustnej młodzieży, podało mu myśl powierzenia się w swych miłostkach i w swych zamiarach królowi. Obiera więc do tego moment pory służby, gdy był na ordynansie, prosi o audyencyę prywatną, jakoby w rzeczach największej wagi, przypuszcza się do gabinetu króla dobrego, pada mu do nóg i czyni przed nim wyznanie swojej miłości i swoich zamiarów. Zdumiały monarcha zuchwałością młodzika, który niepomny na wszystkie uwagi zamysła uwieść córkę jedynaczkę swego wodza, a najwierniejszego przyjaciela tronu, tamuje w sobie i tłumi sprawiedliwe oburzenie i wypytuje uniesionego kochanka o wzajemności panienki, o środkach użytych do wykradzenia, o przyszłości, jaką sobie wróży. Powziąwszy dopiero wiadomość o wszystkim, podnieść mu się każe i surowym tonem króla, przyjaciela i człowieka wystawia mu całą występność przedsięwzięcia, całą haniebnosć tak niegodziwego użycia położonego w nim przez ojca-hetmana zaufania, cały nierozsądek projektu, kompromitowanie panny, bezczelność w używaniu pomocy króla, naczelnika narodu, który najpierwszy strzedz i bronić powinien bezpieczeństwa i honoru familiów, który najpierwszy jest w obowiązku zasłaniać niewinność od zbrodniczych podstępów,—(król Staś obrońcą niewinności!)—wreszcie oczywistą i niechybną zgubę, na którą się wystawia od słusznie zagniewanego i nieprześląganego hetmana. „Wiesz WPan moje z hetmanem związki; wdzięczen po części jemu za koronę, mniemasz, że zapomnę dla namiętnościów takiego jak ty młodzika o wzajemności, którą mu winienem. Natychmiast ostrzegłbym go o zakale, którą domowi jego gotujesz, gdyby mi nie szło o twoje życie. Znasz władzę hetmańską; władza moja królewska wyrokom jej nie przeszkodzi. Nic ci więc nie pozostaje, jak za-



pomnieć o twej szalonej miłości i bez zwłoki, w tym momencie uchodzić śpieszno zagranicę. Znam twój niedostatek, masz sto dukatów i umykaj, jeżeli chcesz życie ocalić.“ Usłuchał dobrego króla Kościuszkę i zagranicę bez zwłoki ujechał.<sup>1)</sup> Dopiero aż król ujrzał go bezpiecznym, przywołuje hetmana Sosnowskiego, uwiadamia go o wszystkim i kończy się ten romans na wyprawieniu panny Sosnowskiej, dzisiejszej księżnej Lubomirskiej z Równego, wraz z jej przyjaciółką i krewną Paszkowską, blizką moją kuzyną, do zamku, gdzie w ścisłym zamknięciu przez lat blisko siedem oboje, nie wprzód otrzymały wolność, aż hetmanówna do ołtarza z Lubomirskim zaprowadzoną została...

„To wszystko -- dodaje Trembicki — com tu umieścić, wiadomem było całej powszechności i mogę powiedzieć sumiennie, że mań to z ust Naruszewicza, mojej kuzyny Paszkowskiej, matki ks. Sibiockiej (P), pułkownikowej Hunson i mnóstwa osób do dworu należących, przed któremi król nieraz anegdotę tę opowiadał...“

W naracyi tej jeden zwłaszcza szczegół nasuwa poważne refleksye. Ślub Ludwika Sosnowskiej z Józefem Lubomirskim odbył się w roku 1776; Trembicki powiada, że przed tym ślubem Ludwika trzymaną była przez ojca w ścisłym zamknięciu przez lat blisko siedem, czyli że romans Kościuszkę z Sosnowską pamiętnikarz odnosi do r. 1769. Świadcstwo to znajduje potwierdzenie w całym szeregu pośrednich wskazań. Nie posiadam metryki chrztu Ludwika Sosnowskiej, a w źródłach drukowanych nie spotkałem się nigdzie z datą jej urodzin, wydaje mi się jednak, że była ona jeżeli nie starszą od Tadeusza, to w najlepszym razie jego rówieśnicą. Ślub rodziców Ludwika odbył się w czerwcu 1741 r. i prawdopodobnie wkrótce potem musiały przyjść na świat obiedwie córki. W r. 1770 wydane było w Warszawie w drukarni jezuickiej i umieszczone u Michała Grölla na składzie dziełko rolnicze p. t. „Sokrates wieśniak, albo opisanie życia gospodarskiego“ in 8, str. 206, tłómaczone z francuskiego przez obiedwie siostry Sosnowskie.<sup>2)</sup> Za ostatnich więc lat pobytu Kościuszkę w korpusie musiały to już być panny dorosłe.

<sup>1)</sup> Ta przykra scena między Kościuszką a królem, która zwichnęła w zarniu tęskne nadzieje jego serca, musiała głęboko utkwieć w pamięci przyszłego wodza i stanowić pozaświadome tło owej nieprzewyciężonej niechęci, jaką Kościuszkę żywił do króla przez cały ciąg życia swego. Niechęć ta objawiła się szczególnie w dobie Insurekcyi, choć na karb jego wysokiej etyki należy zapisać, iż nie szukał zemsty na królu za zdeptane szczęście osobiste.

<sup>2)</sup> Pismo zbiorowe Ohryzki, I (1858), biografia Sosnowskiego przez Jul. Bartoszewicza; Bentkowski, II, 429; Gowiński, O niezonych Polkach, 75.

Większość świadectw z pierwszej ręki o miłości Kościuszki do Sosnowskiej wiąże ten romans Tadeusza z pobytem jego w korpusie. Doskonale się z tem kojarzy świadectwo autorki „Wspomnień przejażdżki nad Wisłą z Sosnowicy do Janowca,“<sup>1)</sup> która powiada nam, że panny Sosnowskie uczyły Kościuszkę żartami języka francuskiego: snać władały nim biegle, gdy świeżo spolszczyły francuską książkę i właśnie zabiegały w tym czasie nad jej wydaniem, Kościuszko zaś nosił się już z zamiarem wyjazdu do Francji na studia, nie więc dziwnego, że konwersacya francuska kwitła ożywienie pod przyciesiami dworu sosnowickiego. „Nota naocznego świadka“ (rkp. w Rapperswilu)<sup>2)</sup> przytacza, że po skandalicznem odkryciu istotnych zamierzeń zakochanych, Kościuszko „opatrzone pensją od Stanisława Augusta udał się do Paryża...“ O stu dukatach, ofiarowanych mu przez króla, wspomina Trembicki, a odpowiadają one rocznej racie stypendyalnej, jaką Tadeusz pobierał ze skarbcza królewskiego. Wszystko to łącznie każe przypuszczać, że Trembicki tym razem się nie myli: dramatyczny przełom w romansie Tadeusza z Ludwiką rozegrać się musiał w r. 1769, przed wyjazdem Kościuszki do Francji, a nie w r. 1775, przed wyjazdem do Ameryki. Przypuszczam jednak, że romans ten trwał wogóle znacznie dłużej, niż dotąd o tem zazwyczaj sądzono—trwał lata a nie miesiące. Autor „Pamiętnika anegdotycznego z czasów Stanisława Augusta,“ którego naracya w wielu punktach zgadza się z opowieścią Trembickiego, powiada, że Kościuszko zawarł znajomość z Sosnowską, będąc jeszcze kadetem, na pensyi pani Schmitt, której Ludwika była wychowanką.<sup>3)</sup> Miłość zakwitła w Warszawie, rozwijać się jednak musiała później w Sosnowicy, gdzie Kościuszko spędzał wczasy wakacyjne na dworze wojewody.<sup>4)</sup>

<sup>1)</sup> Gaz. Codzienna, 1858, № 206.

<sup>2)</sup> „Nieszczęśliwa miłość Kościuszki.“

<sup>3)</sup> (Cieszkowski) Pam. anegd. z czasów Stan. Aug. (1867), 113.

<sup>4)</sup> Przechowały się dwa listy Ludwiki z czasów późniejszych, z których jeden, adresowany do Kościuszki, tak się rozpoczyna: „d. 21 Mai 1789 à Sosnowice. Jettez les yeux, mon cher Ami, sur la date de cette lettre et Vous verrez que je suis dans un lieu de Souvenirs.“ Z powodu tego ustępu prof. Korzon pisze co następuje: „Dowiadujemy się z nich naprzód, że dzień 21 maja był datą „wspomnień“—albo pierwszego poznania się, albo pierwszego wyznania miłości—raczej to ostatnie, gdyż imych wspomnień wystarczyło na trzy poprzedzające tygodnie“ (str. 100). Nie jest jasnem, o jakich trzech tygodniach mówi prof. Korzon (w liście z 1789 Ludwika pisze, że bawi w Sosnowicy od trzech



Pewne dane każą przypuszczać, że tragiczny romans miał jeszcze swój epilog w r. 1775. Parandier opowiada o tym okresie życia Kościuszki, że „po powrocie do kraju ucisk obcokrajowców, anarchia rządu, bezmyślny przepych magnatów i nędza ludu wpłynęły deprymująco na jego duszę, i Kościuszko wpadł w melancholię, która napełniła obawą jego krewnych i przyjaciół.“<sup>1)</sup> Trudno przypuścić, ażeby nieszczęścia krajowe natury politycznej i społecznej aż tak silny wpływ miały wywrzeć na psychę Kościuszki przy panującej jeszcze podówczas ogólnej apatii, przy powszechnem niemal przytępieniu wrażliwości narodowej. Mimozy, wystrzeliwujące raketami uczucia, dla objawienia się muszą mieć koniecznie pewne tło, skąd czerpałyby czynniki swej społeczno-politycznej hypernerwozy. Takiego usposabiającego tła w psychice masowej wtedy nie było. To też prędzej można tu wywnioskować współdziałanie czynników natury osobistej. Wrócił kapitan kadetów z zagranicy, jako młodzian pełen wiedzy, o świetnie zapowiadającej się przyszłości, dowiedział się, że panna jeszcze nie zajęta, tęskni, marzy, pozostaje wierna, więc nadzieja zaświtała w sercu, skłoniła do przedsięwzięcia odpowiednich starań. Ale wszelkie zabiegi zawiodły. Zawarty już był pakt między Sosnowskim a Lubomirskimi, mocą którego Ludwika miała stać się ofiarnym haraczem, wyrównywującym szulerskie sprawki swego ojca i regulującym pieniężne pretensye rodziny Lubomirskich.<sup>2)</sup> Mord nad uczuciem dziewczyny odbywał się z całym spokojem, na mocy prawa rodzinnego. Kościuszce pozostawał jedynie szal rozpaczny lub beznadziejny smutek melancholii. Zagrażało mu poważne niebezpieczeństwo. Uratowała go rodzina i przyjaciele w ten sposób, że wyposażywszy Tadeusza w dość znaczną sumę pieniędzy, wysłali go zagranicę, pełnili na nowo tory, w pogoń za sławą, wiedzą wojskową i doświadczeniem.

---

tygodni); należy jednak zaznaczyć, że w powołanym liście Lubomirskiej niema żadnej wzmianki o tem, jakoby 21 maja był dla nich jakimś pamiętnym dniem, jest mowa tylko o Sosnowicy, jako o *miejscu* wspomnień. Przez „datę“ rozumie Ludwika cały pierwszy wiersz swego listu łącznie z nazwą miejscowości skąd pisze.

1) Parandier, *Tableau général de la Pologne*: „De retour dans son pays, l'oppression étrangère, l'anarchie du gouvernement, le luxe insolent des magnats et la misère du peuple affectèrent vivement son âme et il tomba dans une mélancolie inquiétante pour ses parents et ses amis...“

2) Adam Moszczeński, *Pamiętnik do historyi polskiej* (1888), 103 sq.

W początkach października 1775 r. Kościuszko pożegnał się z rodziną i znajomymi, 9 i 10 tegoż miesiąca, bawiąc w Sławinku pod Lublinem u swego stryjecznego stryja, Jana Nepomucena Kościuszki-Siechnowickiego, kilkoma aktami prawnymi zlikwidował swoje interesy majątkowe,<sup>1)</sup> a w połowie października, uzbrojony w polecające listy tegoż stryja, był już w Galicyi, na świeżo od Polski anektowanej ziemi austryackiej. Jechał do Dukli. Zamyślał wstąpić do służby saskiej i szukał protekcyi u Mniszcha. Jerzy August Wandalin Mniszech, niegdyś wszechpotężny duumvir w Polsce, od dwóch lat pojednany już z królem kasztelan krakowski, zięć starego Brühla, szwagier Brühla młodego, generał-lejtnanta w służbie saskiej, miał w Saksonii rozgałęzione, dawne i możne wpływy i stosunki. Znalazł do niego Kościuszko przystęp przez stryja swego, Jana Nepomucena ze Sławinka. Ów Jan Nepomucen Kościuszko-Siechnowicki, żytomierski pisarz ziemski, w r. 1760 poseł od województwa kijowskiego do prymasa w sprawie przytłumienia rozruchów hajdamackich, konstytucją 1766 r. mianowany członkiem komisji do rozgraniczenia województwa kijowskiego z województwem bractawskim, był z Jerzym Mniszchem zdawna już w bliższym stosunku.<sup>2)</sup> Uzbrojony więc w jego list polecający dostał się Kościuszko do podkarpackiej Dukli, rezydencyi Mniszcha. Dukla w tym roku była szczególnie ożywioną. Bawiło w niej sporo przyjezdnych gości, którzy zjechali się na graną tam w tym czasie przez amatorów komedję Zofii z Mniszców Szczęsnowej Potockiej: „Cnota rzadka przyjaciół prawdziwy.“<sup>3)</sup> Ale Kościuszko spóźnił się i właściciela w Dukli nie zastał. Wyjechał był już Mniszech do Krakowa w drodze do Saksonii. Posłał więc za nim Kościuszko w pogoń list, pisany z Dukli 19 października 1775 r.<sup>4)</sup> Powoływał się w nim na polecające pismo stryja, „pomieszczonego w liczbie sług Mniszchowych,“ prosił Mniszcha, ażeby ten „wniósł poważną swą instancją do Dworu saskiego w pomieszczeniu mie czyli w reymencie czyli w gabinecie, cobym lepiej wołał...“ „Krok mój, pisał dalej, uczy-

<sup>1)</sup> Korzon, Kościuszko (1894), 103 sq.

<sup>2)</sup> Konopczyński, Polska w dobie wojny siedmioletniej, II, 418, 420; Vol. Ieg. VII, 217; List Chojeckiego, J. Kościuszki Siechnowickiego i Żytkiewicza do Mniszcha 24 czerw. 1762, Arch. Czart. 3851.

<sup>3)</sup> K. Morawski, Ze studyów nad kobietą polską, Przegl. Hist. № 37.

<sup>4)</sup> Nieznany list Kościuszki z 1775 r., podany przez ks. jezuitę Józefa Sasa w Sprawozdaniu Gimnazjum w Chyrowie r. 1910, str. 61, 62, bez wymienienia adresata i nazwiska stryja protektora.



niony do Dworu saskiego, jest szczególnym celem, ażebym był kiedyś użytecznym ojczyźnie naszej i wypłacił się jej z obowiązku obywatelstwa... Chciejże tedy JW. Pan Dobrodziej przez przywiązanie swoje do ojczyzny i przez wewnętrzne uczucie ukontentowania z dania pomocy drugim mnie zarekomendować, ja zaś dozgonnie wypłacywać się wdzięcznością przyrzekam..." W przypisku dodawał, że jedzie z Dukli do Krakowa, o ile zaś nie zostanie tam Mniszcha, to podaży za nim do Drezna, gdzie będzie jego łaski oczekiwać. Do tego zapewne czasu przywiązaną jest tradycya o pobycie Kościuszki w Krakowie przed wyjazdem jego zagranicę i o zamieszkiwaniu przezeń kamienicy l. 45 na linii AB.

Czy starania nie osiągnęły skutku, czy też przez ten czas Kościuszko dowiedział się o naborze we Francyi ochotników, chętnych przelewać swą krew w walce o wolność Amerykanów, dość że w następnym roku widzimy go już za oceanem, w szeregach bojowników o niepodległość. Rozpoczął się dla Kościuszki okres szkoły praktycznej, która zazwyczaj najtrwalej przechowuje w pamięci ludzkiej swe wskazania i najgłębsze piętno wyciska na umysłowości, charakterze, sądach i upodobaniach. Tam też należy szukać istotnych przesłanek wszystkich jego późniejszych wielkich zalet i pewnych wad, zasług niespożytych i win mimowolnych.

WŁODZIMIERZ ANDRZEJ DZWONKOWSKI.

# Nasza najnowsza powieść i jej wzory.

## I.

Autorowie bardzo szczęśliwego pomysłu literackiej ankiety lwowskiej o stanie obecnym naszego piśmiennictwa utrzymują, że u nas obecnie we wszystkich dziedzinach pustka, zamieszanie i rozbieżność, prócz powieści, „która się właśnie najpiękniej rozwija.“ Trudno się na to zgodzić. Myśmy w minionym wieku mieli dwa okresy pięknego rozwoju powieści: jeden w dwudziestoleciu między rokiem 1840 — 1860, kiedy ukazywały się utwory Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Rzewuskiego i Kaczkowskiego, drugi w dwudziestoleciu między rokiem 1880 — 1900, kiedy wychodziły dzieła Sienkiewicza, Orzeszkowej i Prusa. W obu tych okresach nasza powieść zajmowała się rozwojem myśli społecznej lub poddawała analizie socjalne zadania, które wydawały się koniecznością chwili. Lud, utrzymanie ziemi w rękach polskich, rola kobiety w rodzinie i społeczeństwie, asymilacja żywiołów martwych, sennych lub wrogich, udział sfery mieszczańskiej i kupieckiej w pracy narodu, wychowanie młodzieży, patriotyczne aspiracje zbiorowej duszy — oto kwestye, jakimi się zajmowała powieść. Ale też poza bieżącymi sprawami rozracała ona czy to widok wielonego ideału narodowego w przeszłości, czy też bywała pochodnią, rozświetlającą mroki toru, po którym naród kroczyć ma w przyszłości. Rozróżnialiśmy podług tego powieść współczesną i historyczną. I ta i owa psychologiczną być musiała, gdyż opierała materyałem ludzkim i malowała widoki ludzkiego życia.



Ale w drugiej połowie XIX w. myśl ludzka poczęła coraz tęskniej zwracać się ku głębinom ducha, poczęła dociekać tego, co nieznanne, odgadywać to, co się tai w pomroce najniższych sztolni ducha. O ile powieściopisarz zanurzał się w otchłań ludzkiej duszy, o tyle całkowicie absorbowwały go zagadnienia psychologiczne; o ile z tęsknotą i przeniknięciem wdzierał się w dziedzinę, którą odkrywa chyba śmierć, o tyle mu za szczyble służyły filozofia i teologia. Nie można nawet utrzymywać, żeby w obu wypadkach wyrażały się jednostkowe aspiracye. Życie duchowe współczesnego człowieka nie zdoła się wyzwolić od religijnej udręki. Dzisiejszy człowiek szuka Boga wśród zwątpień, narzekañ, bluźnierstw i rozpaczy. Tęsknoty i marzenia religijne przeobrażają się w mistyczne porywy, łaknienie wiadomości o tem, co kryje tajemnica grobu, zatracą jasność myśli, wskazuje drogę do kuźni czarnoksięskich praktyk spirytyzmu i okultyzmu, pozabawia duchowej równowagi. Prawdą staje się świetny paradoks znakomitego filozofa i estetyka francuskiego: myśl ludzka niekiedy przestaje być biernem jak kryształ zwierciadłem, które w sobie odbija przedmioty i zjawiska; podobna raczej do lustrzanej szyby, zamąconej tchem i odtwarzającej zaćmione i skażone zarzysy.

Za przykładem obcej literatury i nasza powieść zapadła w tę topiel filozoficznych i religijnych zagadnień. Straciła ona dawny epicki charakter. Stała się przez to liryczną.

Ale tematy filozoficzne i religijne nie wyczerpują motywów współczesnej powieści.

Głoszony przez Nietzschego, przyjęty skwapliwie przez naszych modernistów indywidualizm wyosobnił artystę pośród ludzkiego mrowia, uczynił go samotnikiem, kazał gardzić mottochem, kazał nietylko wzbijać się ponad życie, lecz pogrążyć się w bezdno nadludzkiej duszy. Zaczął się tedy pościg za niezwykłymi duchami i odkrywanie w nich tajemnic, drzemiących poza kresem normalnych uświadomień. Ten psychologizm i estetyzm niezmiernie zacieśnił i ograniczył widnokrąg powieściowy. W samej rzeczy znajomość ludzkiej duszy i ludzkiej natury Balzakowi lub Flaubertowi była tak samo niezbędną, jak Verlain'owi lub Juliuszowi Romain, tylko że tanci mieli oczy szeroko otwarte na zjawiska świata i zbiorowego życia, ci zaś są podobni do badaczy drobnoustrojów przez silne mikroskopy. A przytem jeszcze jedno. Człowiek osamotniony, nieustannie marzący o zagadnieniach, do których odsłonięcia prowadzą tylko wrota śmierci, nurzając się w toń własnych stanów nieuświadomionych, czuje łacniej swą nędzę, cierpi bez przerwy i bez ukojenia. Dlaczego żyje? Dla-

czego umiera? Czemu Bóg i natura milczą? Czemu ludzie w swym materialnym skrucie tacy źli i podli? A jego wola—czemu taka wąta? I jego wiara czemu taka chwiejna? I wiedza jego nie zawiera wcale pewników! Toń duszy natomiast odstania mrowisko skarłałych i nędznych pokuszeń, żądź, szyderstw i śmiechów, mielizn i ohydnych kałuż, ropiących ran i złośliwych wzdęć, niedomagani i pustynnych przegalin! Ach, wstrętne życie, wstrętna natura, wstrętny ludzki duch...

Ostrym pesymizmem nabrzmiewa analiza psychologiczna dzisiejszej powieści. W swem osamotnieniu wie doskonale dzisiejszy artysta to, co w *Wyzwoleniu* Wyspiańskiego *Echo* powtarzało *Samotnikowi*, że „Bogu i ludziom z niego — śmiech.“

Odwrócił się od świata, odwrócił się od zasad, z życia wysnutych i dla unormowania życia wydoskonalonych przez rozum, ów rozum dla indywidualisty głupi i nieczemny, i oto nie potrafi inaczej czuć świata, jeno jako zbiór sił psychicznych, które się nawzajem ciągną i odpychają, szukają czegoś i nie znajdują, pragną, lecz giną nieukozone, niewiedzące, obłądne...

Jakże to już blisko od bólu świata do *nudy* świata: straszliwej, wszystko chłonej i wszystko powlekającej okropną szarżyną nudy, od której ginął Malczewski, która po piersi, niby młak bagienny, wciągnęła Słowackiego, która wykrzywiła fizyonomię talentu Cypryana Norwida, która swem śmiertelnem technieniem owionęła tyle kreacyi Żeromskiego.

Cisnie się oczywiście natrętnie pytanie: którędy zatem droga? Ale odpowiedź na to pytanie nie powinna być dorywczą.

Gdy nad nią rozmyślam, nasuwają mi się proste zdania genialnego Szczepanowskiego, który już w 1894 roku wołał:

„Nie interesuje mnie literatura, jako literatura, sztuka, jako sztuka. Może są szczęśliwe narody, które taki zbytek pielęgnować mogą. My, którzy walczymy o nasze życie, o byt narodowy, my przy każdym objawie życia publicznego, czy to w polityce, czy w pracy ekonomicznej, czy naukowej, czy na polu literackim, powinniśmy się pytać, czy to, co się dzieje, wzmacnia nasze siły, czy pomaga nam w tej walce?“

„I dla tego literatura dla mnie ma tylko doniosłość o tyle, o ile *pokrzepia ducha narodowego*, o ile wlewa nową otuchę, o ile jest nową bronią do dopięcia celów naszych.“<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> „Myśli o odrodzeniu narodowem.“ Artykuł p. t. „O potrzebie swojego kierunku w literaturze polskiej.“ Str. 185.



Dotyczy to przedewszystkiem powieści.

Nie zadowolila by Szczepanowskiego *Atma* Rodziewiczówny. Przeciętnego czytelnika zadziwi tytuł. *Atma*? Cóż to jest *Atma*? Według *Yogi*, tajemnej wiedzy Indyi, konstytucya ludzka składa się z siedmiu pierwiastków: 1) z materyalnego ciała; 2) z *Prany*, czyli siły życiowej; 3) z *Linga shasira*, czyli ciała astralnego; 4) z *Kamy*, czyli duszy astralnej; 5) z *Buddhi manas*, czyli właściwej duszy ludzkiej; 6) z *Buddhi*, czyli pierwiastku anielskiego poznawczego; 7) z *Atmy*, czyli wszechducha.

Jest to istota wszechrzeczy, jej wyrazem jest świat zjawisk; jest ona jedyną wieczną przyczyną bytu; jest dziedziną Boga, państwem bezkształtu, stanem ogarniającej wszechświat miłości boskiej, stanem wszechpoznania i doskonałości. <sup>1)</sup>

Taką istotę Rodziewiczówna przyoblekła ciałem niewieściem i uczyniła natchnieniem Adama i Antoniego Jaworskich. *Atma* wychowała się w wielkiej bibliotece, która stała się jej gniazdem, ojczyzną, światem. Na księgach indyjskich uczyła się mądrości; poznała wędrówkę iskry bożej, wcielonej w formę fizyczną, wyzwalającej się przez śmierć i napowrót wracającej w kształt, aby „płacić za przeszłość, zarabiać na przyszłość.“ A w jaki to ma się odbywać sposób, dowodzi teoria Antoniego, z przeżycia wysnuta, dowodzi praktyka Adama, którego przed naszymi oczami Rodziewiczówna przez szereg doświadczeń wie dzie. Antoni przeżył liczne kłęski, ciężkie miał życie, ale wszystko, co mu się zdawało nieszczęściem, wydaje mu się teraz szczyblem do góry. Stracił karierę, ponosił kłęski materyalne, żył osamotniony, zagrożony w materyalną nędzę, wśród niesnasek z sąsiadami i z mnóstwem odziedziczonych po ojcu zagmatwanych spraw sądowych z chłopami; nieszczęśliwa miłość stała się dlań ostatnią kroplą męki, cierpienia, upokorzenia i kłęski. Wówczas pozostała mu dwojaka droga: albo zabić się, albo zacząć zupełnie nowe życie: spróbować być bogiem. Jaki bogiem? To znaczy: mieć w sobie siłę, mądrość i miłość, a objawiać je w połączeniu, które stanowi dobro. <sup>2)</sup> Ilustracją tych myśli są dzieje Adama Jaworskiego. Zaczynają się one od samobójstwa bohatera, zakończonego

<sup>1)</sup> Naukę tę zawierają Vedy, Upaniszady; przyjęły ją także pisma mityków, alchemików, kabalistów; wyłożył Paracelsus w „Anatomii.“ Obacz d-r F. Hartmann: „Zarys nauk Teofrasta Paracelsusa,“ a także Bapt. Wiedemann: „Yoga. Tajemna wiedza Indyi,“ przekł. Womeli, Lwów, 1911, str. 70—75.

<sup>2)</sup> Str. 77, 89—90.

ocaleniem. Zamiast je z lepszym skutkiem powtórzyć, Adam Jaworski porzuca dom swój, żonę, wygodę i dostatki, wykwintne życie, sferę kulturalną, korzysta z katastrofy kolejowej, aby swą śmierć upozorować wobec rodziny — i rozpoczyna nowe życie, aby się stać owym „bogiem.“ Jakże to czyni? Oto staje się zwykłym bosiakiem, pracuje przy budowie mostu w sojuszu z robotnikami rosyjskimi, potem u Żyda w miasteczku, jako dyletant rymarz, potem przy jakimś młynie, wreszcie przyjmuje na siebie, jakkolwiek zgoła niewinny, zbrodnię zabójstwa i karę za tę zbrodnię, a wtedy z nim razem zapewne na Sybir poszła Atma.

Trzebaby do tego dodać kilka szczegółów. Po pierwsze — Atma zjawia się sama prawdopodobnie w astralnej swej postaci Adamowi i przesyła mu znane spirytystom *aporty* w ważnych i decydujących momentach jego życia. <sup>1)</sup> Po wtóre jest w całej powieści żywa wiara w palingenezę i w doskonalenie się duszy za pomocą wędrówki jej przez różne kształty materialne. Po trzecie przykrym dysonansem brzmią częste utyskiwania na świat, i życie i ludzi.

Szachrajstwa dostawców wszelkiego rodzaju, walka o grosz, opieszałość i lekceważenie obowiązków, osamotnienie i pustka w życiu, <sup>2)</sup> rozpacz i nuda — oto czynniki, które obok szeregu wstrętnych ludzi, jak prezes Taubert, Ignac, żona i teściowa Adama, jak Mateja, Jankowski, Kubik, jak Józef Wojdak i syn jego — kształtują losy Adama. Nie zdziwi nikogo gorzki pesymizm bohatera wśród tego otoczenia; raczej dziwić się należy, że nie doprowadza go to wszystko do tej filozofii nihilizmu, z jaką na ustach umiera od zatrucia alkoholem Karliński *recte* Szostak, także przecież inteligentny i także z Atmą zbliżony. <sup>3)</sup> Po czwarte ponad tym nieponętnym i niesympatycznym światem czuwają dwie siły tajemnicze: przeznaczenie i duchy. Pierwsze włada życiem Adama, wtrąca go raz wraz w sytuacje ciężkie, a on prawie bezwolny, daje się powodować bez oporu. „Przeznaczenie musi być spełnione.“ <sup>4)</sup> Jestże to ślepe fatum, jestże to wschodnie *Kismet*? Nie. Jest to raczej *Karma*, władza boskiej sprawiedliwości. Co człowiek wykonywa, to staje się jego naturą; stąd powstaje suma właściwości, która przy ponownym powrocie do bytu stanowi własność człowieka. Dusza zaś ludzka idzie tam, kędy ją wzywają prawa Karmy. To też człowiek

<sup>1)</sup> Ob. str. 2, 121, 284 i in. <sup>2)</sup> Str. 112, 192.

<sup>3)</sup> Str. 21 — 23. <sup>4)</sup> Str. 115.



przebywa nieznośne męki w swem ziemskim życiu, *musi* grzeszyć, *musi* brnąć przez nieszczęścia. Ale wśród niedoli niewa w przerwach marzenia o świecie zaziemskim, stany jakoby ubłogostawienia, a także wieści o tym świecie od duchów.<sup>1)</sup> Duchy przychodzą do ziemskich siedzib, spełniają czynności, udzielają znaków... Po piąte — kto wie, czy nie przeznaczeniu i czy nie duchom trzeba przypisać ten nieraz prawdopodobieństwa pozbawiony tok wydarzeń, jaki popycha Adama do spełnienia się końcowej katastrofy. I byłoby zapewne dla dzieła lepiej, gdyby owe nieprawdopodobieństwa nie były błędami powieściowej struktury. Za ledwie Adam wyruszył z domu na zginienie, most się załamał pod pociągami, aby łatwiej mu było śmierć upozorować. Gdy przyjął nazwisko Karlińskiego, zapoznał się i zbliżył z Atmą, niegdyś żoną tegoż Karlińskiego; gdy zapłonął namiętnością ku żonie pułkownika Z. i musiał się od niej wyzwolić, natychmiast przypadkowo spłonęła i o bruk się rozbiła i t. p. I te szwy rażące, bo nazbyt widoczne, stanowią jeden ujemny rys najnowszego dzieła jubilatki. Niestety — nie jedyny. Jakkolwiek postać Atmy nadała tytuł powieści, to jednak nie jest ona zgoła kierownicą wydarzeń, nawet gdyby się ją rozumiało podług Upaniszady; nie jest też główną postacią Adama, pomimo dziwów i dziwactw jego losu. Czytelnik musi się zdumiewać, dlaczego autorka na wiarę prądów modnej powieści kazała temu biednemu, duchem ubogiemu Adamowi zstąpić ze sfery jego wśród sferę ludzi bezdomnych, jak gdyby na urągowisko. Gdyby Adam miał choćby hart Czertwana i jego rozum w łączni z uczuć prawością — nie nie mielibym nawet przeciw temu. Ale Adam nie panuje prawie nigdy nad sytuacją, gdyż duchem wyższym nie jest: żal, że Karma wybrała sobie na próby doświadczalne tak niedołęznego osobnika.

Nie będę kłócił się z autorką „Dewajtisa“ o niezwykle skoki akeyi i płynące stąd niejasności, ani też o styl, rwący się, w krótkie i pocięte zdania ujęty, ani nareszcie o częste wyrażenia wadliwe, jak np.: „zanurzył się w wodę chłodną i wyszedł zeń głodny“ (62), „Adam *wiedział* jego miłość“ (75), „to bardzo *cienko* obmyślano“<sup>2)</sup> (100), „nie mogę *ją* mordować“ (155), „co by się nie stało, co bym nie znosił“<sup>3)</sup> (156), „umierający *ciągnąco*, *rwano* szeptał“ i t. p.

<sup>1)</sup> Str. 125, lecz także str. 54, 56, 84.

<sup>2)</sup> Z rosyjska: „*tonko obdumano.*“

<sup>3)</sup> Z rosyjska: „*czto by ni slucziłos.*“

Jednakże nie mogę nie zauważyć, że dzięki owemu wciągnięciu w tok wydarzeń, jako głównego czynnika — duszy indyjskiej, — dziwnie nie po polsku zagmatwała się etyka powieści. Zapewne, podług naszej etyki materializmem nasiąknięta rodzina Taubertów ostrej satyry warta; ale podług naszej etyki nikt nie uzna rzekomej cnotliwości czy to Antoniego czy Adama, z których pierwszy wiąże się z cudzą żoną, drugi za złe ma żonie miłostki z Wojdakiem, sam natomiast szaleje nieraz, a w toku powieści dwukrotnie z różnemi kobietami, w dodatku zaś staje się przyczyną występku żony — i mimo wszystkiego ma się za wzór cnoty. Nie, taka etyka nie jest etyką chrześcijańską, ani na szczęście polską. Trzeba tedy powiedzieć, że powieść ostatnia Rodziewiczówny nie pokrzepia ducha narodowego, jak to czyniły jej dawne piękne dzieła: „Dewajtis,“ „Szary proch,“ „Macierz,“ „Byli i będą“ i t. p.

## II.

Nie pokrzepia go i ostatnia powieść Reymonta p. t. *Wampir*.

Niegdyś, 9 lutego 1836 r., gorzko skarżył się Zygmunt Kraśiński Gaszyńskiemu na ludzi i czas swój. <sup>1)</sup> „Wiek mego nie cierpię, a jednak wszystko we mnie zgodne z wiekiem, w którym żyję: te same rozuzdane żądze i niemożność ta sama, te same półwiary i półbłyski rozumu i ta sama *nuda ogromna, straszna, piekielna, zimna jak lód, pożerająca jak ogień.*“

Otóż w tem osłabieniu wiar wszelkich, które nietylko nękało współczesnych Heglowi, lecz i dzisiejszych dręczy, w tem pragnieniu znalezienia ostoji wobec chłosty życia, zanadto dolegającej, szukać trzeba przyczyny mnóstwa sekt, nowych mistycznych prądów, odnowionych czarnoksięskich poszukiwań, dyabelskich opętań i histerycznych szałów.

Jako objaw ducha czasu, powieść Reymonta może budzić głęboki interes. Roztacza ona obrazy z tajemnego życia spirytyzmu, fakiryzmu, szatanizmu, a polbieźnio wzmiankuje o *Sekcie Trwogi*, o *biczownikach* <sup>2)</sup>, o *Pogromcach grzechu*, o *Towarzystwie Teozoficznem* Bławatskiej, o adeptach Buddy. Powieść daje za-

<sup>1)</sup> Listy, wyd. Gubrynowicza, t. I, str. 75.

<sup>2)</sup> Odpowiada rosyjskiej sekcji chłystowców.



tem rozległy wgląd w obłądne manowce współczesnej duszy angielskiej, rzecz bowiem dzieje się od początku do końca w Londynie. Powszechnie wiadomo, że jest spirytyzm francuski i angielski. Wiara w spirytyzm t. j. w obcowanie duchów z ludźmi jest u obu gałęzi jednorodnej t. j. czysto religijnej natury. Oba też rozgałęzienia godzą się w odrzucaniu piekła, jakkolwiek to jest główny punkt nauki francuskiego spirytyzmu, rozwiniętego przez Allana Kardeca na tle religii katolickiej. Reymont przeniósł akcyę do Londynu świadomie i rozmyślnie, gdyż tam zajęcie się spirytyzmem dziś bardzo żywe zapewne dzięki blizkiemu pokrewieństwu Anglii z Ameryką, gniazdem nowoczesnego spirytyzmu. Nie biorąc w rachubę córek metodysty amerykańskiego, Foxa, które powychodziły za mąż w Anglii, zdobyły sobie szeroką sławę, jako medya, Florencyja Cook, Bławatska, Eusapia Palladino i Anna Rothe. To też i wampir Reymonta jest kobietą, nazwiskiem Daisy. Niema co oczywiście mówić o konsekwentnym wykładzie czy to spirytyzmu, czy okultyzmu w powieści, która jest dziełem sztuki, zatem wytworem fantazyi. Daisy przeto nie jest ani spirytystką w całym słowa znaczeniu, ani kapłanką Bafometa, t. j. szatanistką—jest zaś i tem i owem i trzeciem w części.

Spirytyści wierzą w sobowtóry i w ciała astralne. Gdy człowiek bardzo intensywnie myśli o drugim z oddalenia, wówczas ukazuje się niekiedy owej osobie—uczy w „The Isis Unveiled“ Bławatska. Jest to *May-avi-rupa* (siłą wyobraźni wywołana astralna postać ciała, która wytwarza się przez *kryasakti* (twórczą siłę myśli). Ciało astralne może łatwo przechodzić przez przedmioty. Otóż ciało astralne Daisy zaraz w czasie pierwszego seansu w Boarding-Housie jawi się spirytystom, przenika później do mieszkania Zenona (88), przynosi mu aporty, zjawia mu się w różnych miejscach w najważniejszych momentach, podobna w tem poniekąd do Atmy z poprzedniej powieści. Toż samo Joe, przyjaciel Zenona, angielski oficer, urządzający seanse spirytystyczne, dzieli wprawdzie jeszcze niejedną wiarę spirytystów, lecz już znacznie przechylił się ku fakiryzmowi i stał się jogiem wskutek wpływu Mahatmy Guru, mędrca hinduskiego, który przyjechał do Europy, żeby się przyjrzeć ludziom i kulturze naszej. Joe należy też do biczowników i u niego właśnie odbywają się ofiary sekty (112 i d.), a uczestniczy w nich i Daisy.

Spirytyzm uczy, że nie tylko człowiek, lecz każdy minerał, roślina, zwierzę ma ciało astralne, każda rzecz ma nieuchwytną dla zmysłów *odyczną aurę* albo blask, którego mocą jest w związ-

ku z innymi istotami. <sup>1)</sup> Ale spirytyzm uczy, że nie ma złych duchów. A. I. Davis, nowożytny Swedenborg, w dziele „Die Prinzipien der Natur“ (1889) powiada, że nie istnieje antagonizm między złem a dobrem. Co my zwiemy złem, jest tylko niedoskonałym, lecz się zwolna kształtuje i ulepsza. „Folglich giebt es auch keine bösen Geister; alle selbst niedrigsten werden zuletzt selig.“

Spirytyzm i fakiryzm odrzucają istnienie Boga osobowego, poza światem bytującego, podobnego do ludzi. Wierzą, podług zeznania Bławatskiej, wyrażonego w „Key to Theosophy,“ we wszechogarniający boski pierwiastek, źródło rzeczy, z którego wszystko płynie i w który wszystko wrócić musi.

Natomiast spirytysta Smith (108) zapewnia, że szatan rządzi światem, jest we wszystkich sercach, czyha i toczy śmiertelny bój z Bogiem. Joe, choć gardzi wirującymi stołami, pukaniem, zagrobowym bełkotem, spirytyzmem, który nazywa wiarą ślepych i słabych (178), to jednak pragnie ujrzeć sobowtóra. „Przysiadł na podwiniętych nogach, by się zapaść w siebie i rozdzielić, by się wyłonić nazewnątrzym sobowtórem i ujrzeć siebie poza sobą, nie zrywając jedni rozszczepić się i być tej jedni dwiema tożsamościami“ (180). „Parł się zwolna z siebie, wydierał z więzów ciała, smagał z nieubłagalnością własnego trupa, szponami woli wylupywał z siebie własną duszę, stwarzając z niej drugi, swój własny i tylko przez siebie widziany i czuty byt“ (181).

Daisy w łoży Palladyńskiej była kapłanką Bafometa, w ofierze Joego brała udział, pełni w seansach funkcje medyumistyczne, a sąd swój o spirytyzmie formułuje po seansie w Towarzystwie Teozoficznem wobec Zenona w następujący sposób. „To była najszczerza prawda, ręczę panu. <sup>2)</sup> Ale cóż, kiedy to tylko fakty i nic więcej! Prawdy zupełnie zbyteczne. Ohydny bełkot skazanych na wieczną zagładę. A przytem nie cierpię tych jarzmyrcznych cudowności, sprawiają mi bowiem wstręt i obrzydzenie. W niższych kręgach ziemskiej atmosfery roi się od takich larw, jest to wielka trupiarnia ludzkich majaków, którym, nim się rozsypią w pył sferyczny, marzy się o dawnym bycie na ziemi. To są tylko elementale, emanacje dusz, zwierciadlane egzy-

<sup>1)</sup> Wiedemann: „Yoga, tajemna wiedza Indyi,“ str. 99.

<sup>2)</sup> Podnosiły się stoły, latały nad głowami krzesła, sypały się z pod sufitu świeże kwiaty, występowały zarysy larw człowieczych, świetlane ręce błędziły nad głowami, grały niewidzialne instrumenty i t. d.



stencye i wampiry czyhające dokoła, aby naszym kosztem przedłużyć swoje nędzne egzystencye cieniów, to są tylko zarodnie zbrodni, zła i podłości, powstałe w ciemnicach ziemi, wiecznie unoszące się nad nią i niezdolne do nieśmiertelnych, słonecznych bytowań. Jak psy w mroźną noc, głodne i bezdomne, cisną się do izb ogrzanych, tak i one krążą w świetlanych orbitach dusz twórczych, władczych i nieśmiertelnych. To prawdziwe i *jedyne* piekło! „Wieczny płacz i zgrzytanie zębów.“ A On istnieje ich łzami, On tuczy się ich męką, On z ich cierpień i nędzy uczynił sobie tron, na którym spoczywa, niesyty nigdy chwały ni przemocy! Gdzie tylko jęk, choroby, nieszczęścia, zbrodnie i wieczny mrok, tam bije źródło Jego Mocy, tam jest On, Władca Ciemności, Strachów i Śmierci!“ — wołała z piorunami w oczach, grożąc zaciśniętą pięścią (280). Daisy stwierdza prawdziwość zjaw spirytystycznego seansu, tłumaczy rolę ich we wszechświecie podług ich teorii, tylko przyjmuje i potępia Boga osobowego, gdyż jest kapłanką Bafometa, na którego cześć śpiewała pieśń:

Salute o Satana! O Ribellone.  
 O forsa vindice. Della Ragione!  
 Sacri ate salgano — Gli incensie i voti,  
 Hai vinto il Geova — Dei sacerdoti!

Nie było przeto zamiarem Reymonta jedno jakieś wierzenie wyczerpująco i dokładnie zobrazować; nie chodziło mu o to, aby w Zenonie przedstawić pierwszorzędne medium, w Joem początkującego joga, w Daisy szatanistkę. Widać to stąd, że świadomie zapewne w postaciach tych wyobraził ewolucye wiar, przekonań i praktyk. Chodziło mu o to, ażeby w kilku obrazach odmalować zamęt myśli, uczuć, wiar, tęsknot i namiętności, to rozpedne i rozszalałe poszukiwanie bez tchu i pamięci czegoś, coby można uwielbić, czegoby się można oburącz jać, jako siły a może i ukojenia. I dlatego to oczywiście powieściopisarz przenosi wciąż czytelnika ze sfery marzeń spirytystycznych do sfery normalnego życia; i dlatego też czyni Zenona poetą, chcąc go mieć czułym instrumentem w tej dziedzinie doświadczeń *in anima vili*. Dla Zenona Daisy jest w istocie okropnym wampirem; nie daremnie ostrzegają go przed nią i Smith i Joe. Zatrącenie mu ona daje, porywając ze sobą w świat wyuzdań i dzikich szarów, opanowawszy przedtem jego wolę za pomocą aportów, suggestyi na oddalenie, czarnoksięskich znaków i haseł.

Reymont w dziele swoim nie ma obowiązku być teologiem, historykiem, filozofem—słowem uczonym. Jest artystą. Nie mo-

zna dzieła jego oceniać zewnętrzną miarą prawdopodobieństw. „Wampir“ jest poezją, a poezja podług słusznych uwag Oskara Wilde'a jest raczej welonem, niż zwierciadłem. Ma kwiaty, nieznane żadnej puszczy, i ptaki, niewidywane w żadnym lesie. Ona stwarza i burzy światy i może złotą nicią przyciągnąć księżyc z nieba. Ma na zawołanie obrazy realniejsze, niż żywi ludzie. Działa cuda: wzywa z otchłani potwory—i wychodzą; zimą osypuje kwieciami drzewo migdałowe i śniegiem pokrywa łany dojrziałych zbóż. Na jej skinienie ziąb nakłada srebrny palec na płonące usta czerwca i skrzydlate lwy wypełzają z czeluści wzgórzy lidyjskich. Dryady ciekawem okiem patrzą z gęstwiny leśnej i rude Fauny dziwnie śmieją się, gdy się zbliża. Biją jej pokłony bogowie o licach jastrzębich i centaury tańczą z nią społem. To poezya. Znajdą się w „Wampirze“ obrazy, dosłownie przypominające powyższe.

Powieść prawie nie zawiera akcji. Sama postać Zenona jest bierna. <sup>1)</sup> Podobny do manekina bez woli, miotanego według pewnych planów cudzą wolą. Ale równocześnie jest cała powieść zbiorem przedziwnych obrazów, malowanych przez zdecydowanego artystę z ogromnym temperamentem i blaskiem; jest zbiorem nastrojów, do których świetnego opisu gromadzi artysta zdumiewające barwami i siłą wyobraźni wyrażenia. Oto Daisy gra, a Zenon zapada w marzenie pod wpływem gry. „Pokój stawał się jakby dnem, gdzie przez posępno-zielonawe i wburzone zwały morza zaledwie się prześlizgują widma nierozpoznanych rzeczy, nikłe połyski barw struchlałych, wiotkie wrzenia kształtów, zastygające i głuche wiry cieniów i zmartwiałe a rozchwiane ciemnice w otokach płynnych, szarych fal wieczoru, a skądś, niby z powierzchni dalekiej i zgiełkowej, rozsącza się smuga dźwięków przygasłych i spada ciężkimi kroplami na jego duszę znużoną, spada kropla po kropla, bije zwolna i nieubłaganie, a każda jest grottem ostrym i warem, a każda zalewa go smutkiem i łka w nim nieukojoną, żrącą tęsknotą.“ <sup>2)</sup> Kiedyindziej Zenon nocą dąży do łoża Palladyńskiej na „białą mszę“ Bafometa. Reymont opisuje: „Wiatr zahuczał, drzewa zakotywały się ciężko, powiał senny trzepot i szum gałęzi, jęk się rozległ posępny, trwożny i cichy szept przeleciał nad ziemią, zatrzęsły się przydrożne żywopłoty, załkały smutnie twarde liście paurów, trwoga, jak puhacz, zało-

<sup>1)</sup> Wprawdzie sam utrzymuje, że nie tak łatwo poddaje się sugestyi, lecz Joe wie dobrze, że jest on wielką siłą medyumiczną (211), a Daisy wie, że zawsze była duszą Zenona (190). <sup>2)</sup> Str. 100.



połała skrzydłami i przyczaiła się w ciemnościach.“<sup>1)</sup> Najpiękniej, stylem nieco patetycznym, lecz i przejmująco silnym maluje Reymont scenę seansu spirytystycznego u Joe, scenę ofiary u Joe, scenę białej mszy w łoży Palladyńskiej, scenę seansu w Towarzystwie Teozoficznym i t. p. W tych opisach talent Reymonta osiąga przez to wielki tryumf, że złudzenie zamienia na rzeczywistość dla czytelnika; czytelnik, opanowany zespołem obrazowania i treści, oddaje się w moc złudzenia i przebywa ten szereg wizji cudownych a strasznych, jaki przebywali uczestnicy seansów. To też w braku wszelkich krytycznych ograniczeń i zastrzeżeń ze strony autora „Wampira“ czytelnik, nieobeznany ze spirytyzmem, przyjmuje wszystkie cuda za prawdę. Może nie szkodzi wskazać granicę między złudzeniem a rzeczywistością. Ta ostatnia dowodzi po pierwsze, że siła medyumiczna nie działa na oddalenie. Jakkolwiek medyum może rozwinąć wielką moc tak, że w ruch może wprowadzić stół nawet z człowiekiem, siedzącym na stole, to jednak bez dotknięcia stołu czy przedmiotów sprawić tego nie zdoła.<sup>2)</sup> Powtóre, mimo wszelkich przeciwnych dowodzeń zjawy t. zw. ciał astralnych okazywały się dotychczas humbugiem.<sup>3)</sup> Tembardziej podlega wątpliwości zjawy astralnego ciała Daisy wielu osobom równocześnie. Po trzecie, nikomu nie udało się dotąd wywołać i widzieć sobowtóra, jak to się udało Joe'emu w powieści. Wiedenmann powiada<sup>4)</sup>: „Naukowy dowód istnienia sobowtóra potwierdzi dowód realności czarnoksięstwa. Będzie to niebawem tak samo dowiedzione, jak zjawiska hipnotyzmu.“<sup>5)</sup> Ale dotąd dowodu naukowego na to niema, chyba rozszerzyć dowolnie doświadczenia fizyologa H. Meyera, któ-

<sup>1)</sup> Str. 157.

<sup>2)</sup> D-r Alfred Lehmann, dyrektor psychologicznego laboratorium w kopenhaskim uniwersytecie, pisze w dziele „Aberglaube und Zauberei“ (2. Aufl. Stuttgart, 1908, str. XII, 665) na str. 295: „Ich habe nützlich zu wiederholten Malen stundenlang mit recht guten Medien gesessen und nach allen Regeln der Kunst versucht einen Gegenstand, *über dem* wir die Hände hielten, in Bewegung zu setzen; aber wir konnten nicht einmal ein Streichhölzchen dazu bringen, sich auch nur um den Bruchteil eines Millimeters fortzubewegen.“

<sup>3)</sup> Tenże autor na str. 326 mówi: „Alle hervorragenden professionellen Geisterphotografen wurden als *Bebrüger* entlarvt.“ Na str. 333 zaś pisze: „Bis jetzt wurde noch kein positiver und unanfechtbarer Beweis für die Wirklichkeit der Materialisationen geliefert.“

<sup>4)</sup> „Yoga“, Lwów, 1911, str. 107.

<sup>5)</sup> Aksakow w książce „Animizm i Spirytyzm“ przytacza wprawdzie szereg wypadków sobowtóra, lecz sąd tego spirytysty nie jest bezstronny.

remu udawało się za pomocą silnego skupienia uwagi wywoływać hallucynację twarzy i wrażeń dotykowych. Jeżeli nadto całą wspaniałą przez Reymonta malowaną scenę ofiary Bafometa uznamy za dzieło świetnej wyobraźni, to cóż w rzeczywistości zostanie z cudownego aparatu spirytyzmu w powieści? Rzeczywistość spirytyzmu i okultyzmu wyraża się w trzech orzeczeniach od najmniej naukowego do zupełnie naukowego, jak następuje: Aksakow w dziele „Animizm i Spirytyzm,“ które powstało dla odparcia zarzutów, spirytyzmowi czynionych przez Hartmanna, dzieli zjawy na dwie grupy: a) elementarne medyuniczne, jak ruchy stołów, pukania, dyktaty; b) animistyczne zjawiska, w których duchowa siła medyum, podług nieznanym nam dotąd praw, przekracza zdolność fizyczną. Są to: aperty myśli, ruch przedmiotów bez dotknięcia, materyalizacja. <sup>1)</sup>

F. Meyers, uznając możliwość wszelkich zjawisk spirytystycznych seansów, w dziele: „Human personality and its survival of bodily death“ (1903) wbrew obecnie przyjętemu mniemaniu, że świadomość jest najwyższą formą duchowego życia, nieznane zaś objawia się wśród chorobliwych i anormalnych stanów, twierdzi, że to, co istnieje poza kresem świadomości, ma cenniejsze uzdolnienia i siły; dotąd ich nie znamy i dopiero dalszy rozwój ludzkości dobędzie je na jaw. Obecnie zaś u medyów w transie zauważone zjawiska są wskazaniem tych wyższych uzdolnień, które kiedyś w pełni posiędzie przeciętny człowiek. I w tym wywodzie, jak widzimy, spora doza presumcyi na korzyść spirytyzmu, choć wyrażonej ostrożnie i w naukowej formie.

Trzeci najtrzeźwiejszy sąd pochodzi od londyńskiego „Society for physical research.“ Liczne staranne badania i doświadczenia skłoniły ten uczony związek do orzeczeń, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa możliwe jest oddziaływanie wzajemne na siebie z oddali dwóch ludzkich umysłowych organizacyi — oddziaływanie bez pomocy naszych zwykłych zmysłów odbywające się wśród nieznanym nam warunków. Gdy ilość faktów ważnych powiększy się tak dalece, że uznania nowych sił nie da się odwlec, wówczas — ale dopiero wówczas mogą te nowe siły rościć pretensyę do wartości naukowego pewnika. <sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> Co do dwóch ostatnich szczegółów wymagalne są zastrzeżenia, powyżej wskazane. Wszak Aksakow był spirytystą; w orzeczeniu przechyła się do okultyzmu wyraźnie.

<sup>2)</sup> Cytuję podług dzieła d-ra Lehmana: „Aberglaube und Zauberei,“ str. 648 — 9.



To trzeba wiedzieć, ażeby bezkrytycznie nie uledez omamieniu rzekomych cudów, jakie dzieją się w akcji powieściowej. Można było z powyższego już wymiarować, że „Wampir“ jest dziełem dużego talentu, pisanem świetnie, że po słabej powieści Reymonta p. t. „Marzyciel“, która sprawiła szczerą nieprzyjemność i zawód miłośnikom tego autora, „Wampir“ nawraca naszą opinię o nim ku czasom „Chłopów“ i „Ziemi obiecanej.“

Pomysł wampira-kobiety, kapłanki szatana, oddanej różnym kultom a uwlekającej duszę artysty na zagubę, duszą pokrewną i nadczołą, duszą, dla której rzeczywistość ziewa ohydny paszczą a marzenie, choćby najotworniejsze, lśni tysiącem barw rajskich, sam ten pomysł już godzien Kraszińskiego: wszak i w „Niebo-skiej“ hrabia Henryk, jako mąż, biegnie za Dziewicą, orłem, wypchanym w piekło, a nudzi go Żona, stworzona „dla ogródka i domku.“ W obu wypadkach nuda jest potężnym czynnikiem: u Reymonta czynnik ten zbliża pomysł ku szlakom europejskiej duszy kulturalnej i przezeń powieść staje na wyżynie obrazu z dziedziny duchowego życia świata. Ale tu nieodbicie nasuwa się kwestya, czy i naszego duchowego życia? Gdyby mię ktoś spytał, czy Zenon jest Polakiem i dlaczego, tobym odpowiedział, że ani jednego argumentu psychologicznego na rzecz jego polskości wynaleźć nie można i nie wiadomo dlaczego nie mógłby on być Irlandczykiem, Francuzem, Hiszpanem lub Rosyaninem. Owszem, jest w powieści rys, czyniący go obcym polskiej duszy. W rozmowie z Adą (nawiasem mówiąc, cały ten epizod z Adą, mający niby dokumentować polskość Zenona, ogromnie niefortunnie przyłatany) spowiada się Zenon z pomysłu literackiego, z którym się oddawna nosi. Ze dwieście osób gra rolę w utworze, ciżba chłopów... Chcą iść na Rzym... Zdruzgoczą podłą dzisiejszość... Decydująca walka w zamku Anioła w Rzymie... *Zwycięży najpierwotniejszy instynkt życia...* „Strasznie mi żal Chrystusa i moich chłopów, ale niema już dla nich miejsca na świecie, muszą przepaść.“ Ideałem człowieka współczesnego jest „używać.“ Dlatego Chrystus musi przegrać ostatnią walkę. Odstąpią go wszyscy, zdradzą najwierniejsi... *Nie jestem chrześcijaninem, ale kocham cudną postać Nazarejczyka...*

Nie jego wina, że Paweł z Tarsu zbeczczecił jego marzenia i ze snu o szczęśliwości człowieczej uczynił zimny system państwowy. W plugawych jego rękach mistyczny kwiat marzenia przerodził się w berła i pastorały... <sup>1)</sup> Tak mówi *polski* poeta?

<sup>1)</sup> Str. 264 — 267.

Łzy krokodyle wylewa nad Chrystusem, bluzga nonsensem na jednego z największych świętych kościoła katolickiego, wróży śmieszne androny...

Setkę można przeciwstawić zdaniom tym argumentów, z kompetentniejszych pisarzy polskich, niż Zenon. Dwa tu pozwolę sobie przytoczyć, jedno poety, drugie polityka; pomysły Zenona z dwóch źródeł natchnienie biorą: z poezji i polityki. Moi zaś świadkowie wbrew tym pomysłom niemiłosiernie biją. Krasiński Zygmunt, w 1833 r. będąc w Rzymie, świeżo po napisaniu szkicu „Nieboskiej,“ „obrony tego, na co się targa wielu hołuszów: religii i chwały przeszłości,“ pisanej na dowód, że bez religii, bez ojczyzny, bez rodziny, bez własności, bez rządu i władzy żadne społeczeństwo istnieć nie może,—w liście politykującym do przyjaciela Gaszyńskiego rozprawia o roli arystokracji i demokracji w świecie dawnym i współczesnym, a wśród tego rozprawiania dodaje o Rzymie słowa: „Krzyż tu panuje, katolicyzm tu stanął po wszystkich wzgórzach; on świat ocalił, a razem w miłosierdziu swoim obronił ostatki starego świata! Żebyś tu był, ukląkłbyś i uwierzyłbyś! *Poeto, wstydź się nie być katolikiem!*“) Drugi mój świadek, Szczepanowski, w r. 1901 w książce p. t. „Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych,“ książce, która niewątpliwie należy do naszej wielkiej literatury politycznej pisze tak: „Polska była i jest narodem katolickim. Są Polacy innego wyznania, najlepší patryoci do nich należą. Na Ślązku austryackim ruch narodowy rozpoczął się u protestantów, nie u katolików. Kalwin, Potworowski, był długoletnim przywódcą narodu polskiego pod zaborem pruskim; many patryotów Żydów w Warszawie. Z tem wszystkim oczywiście jest dla każdego, który ma oczy, ażeby widział, że Polska jako naród jest katolicką — *staje się coraz bardziej katolicką*. Jeżeli głębokie przyczyny psychologiczne nie dopuściły u nas do reformy religijnej w XVI wieku, to stokroć bardziej myśl podobna jest wykluczoną w XIX lub XX wieku. *Polska więc i nadal będzie katolicką, albo jej nie będzie*. Twierdzenie to można przyjąć jako pewnik. Polityk lub mąż stanu, któryby tego pewnika nie uznał, musiałby chyba wyjść z potwornego założenia, że społeczeństwo może się rozwijać bez religii, ale w tej chwili by stanął nietylko poza obrębem własnego narodu, ale też poza obrębem ogólnego doświadczenia całej ludzkości.“

1) „Listy.“ Lwów, 1882. T. I, str. 37. Ob. również str. 46, 48, 72 i in



„Polska więc będzie katolicką i będzie w przyszłości dzieliła losy katolicyzmu, tak samo jak je dzieliła w przeszłości.“<sup>1)</sup>

Nie pisał tych słów zgoła ksiądz katolicki, nie pisał ich jakiś uprzedzony, jednostronny umysł. W obu świadkach moich rozum i dalekowidztwo polityczne znakomicie wydoskonalone: są to zatem świadkowie wiarogodni. Cóż znaczy wobec tego żałosliwe, prawie dziecinne utyskiwanie nad Chrystusem i proactwa Zenona, „największej siły medyumicznej,“ wielbiciela „mistrzynie doskonałego trójkąta,“ który to wielbiciel lata bez tchu, nie mając nic lepszego do roboty, po rozmaitych seansach i w interwałach oprzytomnienia ośmiela się wróżyć o przyszłości chrześcijaństwa, sam skromnie podając się za niechrześcijanina. Jeżeli to jest Polak — obyśmy takich jak najmniej mieli. I dlatego to na wstępie swego wywodu o „Wampirze“ Reymonta oświadczyłem, że „Wampir“ równie jak „Atna“ nie pokrzepia ducha narodowego.

### III.

Powiedziałem wyżej, że powieść dzisiejsza jest liryczna. Jest ona zanurzeniem skalpela prosektorskiego w nieznaną głębie duszy. „Okultyści twierdzili — mówi Potocki<sup>2)</sup> — że myśli przy ogromnem napięciu mózgu przybierają substancjonalną formę niby mgławiczek, obłoczków, odrywających się od mózgu w kształcie pomysłanej rzeczy i nasiąkniętych bladym oparem krwi.“ Tenże krytyk nazywa to misteryum i utrzymuje, że takie misteryum odbywa się w procesie tworzenia u Żeromskiego, którego ma za twórcę powieści lirycznej, czyli, jak się Potocki wyraża, nastrojowej.

Mgławiczki, misteryum, nastrojowość — wszystko to są pięknie brzmiące wyrazy, nie zmieniają one jednak tego, że liryzm, właściwy poezji i dramatowi, zastosowany do powieści w naszej literaturze nie przez Żeromskiego, lecz przez Przybyszewskiego, po raz pierwszy ograniczył dziedzinę jej tematów a zepsuł formę.

Przypomnijmy sobie szereg powieści, które nas w ostatnich latach wstrząsały: Żeromskiego „Dzieje grzechu,“ Daniłowskiego „Jaskółka,“ Tetmajera „Zatrącenie,“ Sieroszewskiego „Z fali na

<sup>1)</sup> „Myśli o odrodzeniu narodowem.“ T. I, str. 238.

<sup>2)</sup> „Szkice,“ 1903, str. 66.

falę, Reymonta „Marzyciel.“ W każdej z nich wszelkie uczucia po staremu szlachetne, wszelkie dawne moralne walory podeptane i zbrutalizowane. Stosunek płci traktuje się cynicznie, kobieta bywa—jak to się dawniej mówiło—nałożnicą, wygadającą popędowi, prostytutka w „Dziejach grzechu“ i „Z fali na falę,“ podniesiona za przykładem *Der heilige Skarabäus* lub *Jamy* do godności czcigodnej bohaterki, etyka pogańska lub wilcza, co wszystko razem opatruje się etykietą *postęp* lub *nowe prądy*. W formie rozwój linii kompozycyjnych łanie się i rwie na strzępy; ci autorowie najlepsi i najzdolniejsi przenoszą czytelnika z gorączkowym niepokojem z miejsca na miejsce: z Warszawy do Paryża, Wiednia, Włoch, Szwajcaryi, nawet Japonii lub Ceylonu. Pochopnie smagają ostrym biczem słowa lub tłuką potworną maczugą bezwzględności owe rzekome — wedle ich widzenia — majaki, które już Słowacki w „Kordyianie“ nazwał był „drewnami przesądów.“

Znikły bez śladu artystyczne dyskretne półcienie i półtony w malowaniu uczuciowych stanów: krzyczą natomiast w niebogłosy instynkty, rozigrane na sposób zwierzęcy. Goni się za sensacją i siłą bez dostatecznej świadomości tej estetycznej zasady, że bez półcieni i półświatła niema sztuki. Styl dzisiejszej powieści tworzy przejaszkrawione plamy, odtwarza hałaśliwe wrzaski świata, życia i ludzi, lub niedosięgte i niepoznawalne pomroczna duchowych głębin.

Czytelnik, udręczony przerzucaniem go z fali na falę coraz to nowych katuszy, znajduje rozkosz, ukojenie, znowu chwilę artystycznej ułudy, znowu chwilę odpoczynku dla nerwów, potężnie targanych przez rozpędne koło dzisiejszego życia w takiej powieści, jak H. Sienkiewicza *Wiry*.

Może to się komuś wydać pedantycznym, gdy powiem, że przenoszenie przez powieść akcyi dziadania z kraju do Europy i Azji, czy to będzie daleki wschód czy blizki zachód, uważam za brak zlania się duszy autora z duszą swego kraju, za poczucie pewnego rozdźwięku pomiędzy najgłębszemi aspiracyami własnej duszy a zbiorowej duszy polskiej. To wcale nie znaczy, żebym Żeromskiemu lub Sieroszewskiemu odmawiał zaszczytu polskości lub wielkiego talentu. To tylko znaczy, że ich najgłębsze przekonania i zasady uważam za przekonania znikomej mniejszości narodu, a co gorsza, mniejszości, nie uznającej związku z tradycją Polski. Pograżenie się zaś takich struktur duchowych w kulturze zachodu czy wschodu powiększa ten rozdźwięk. Zagranica i jej kultura jest doskonałym środkiem odżywczym dla każdego



talentu—ale na krótki rozmiar czasu. Na długi—działa zgubnie. Łatwo oczywiście przeciw temu przytoczyć przykład emigracyi po r. 1831, która takie wielkie dzieła wydała. Ale to przykład nietrafny. Po pierwsze emigracya owa była masową i żyła zbiorowem życiem; powtóre emigracya miała jeden wielki ideał w pier-si: ideał ogromnych cierpień narodu. I z tego ideału płynęły pienia poetów. A zresztą któż miałby odwagę utrzymywać, że Mickiewicz na lat dwadzieścia przed wczesnym kresem życia umilkłby i wówczas, gdyby był żył i działał w kraju? Czyż to historia literatury nie uczy, że talent Lenartowicza gasł i nikł zwolna dzięki życiu za krajem, że Zaleskiego produkcya literacka po r. 1830, wielka rozmiarami, mniej ważną jest od produkcyi między r. 1823 — 1830, że to samo powiedzieć można o dziełach Goszczyńskiego? Któż nie wie, że Kraszewski największe swe dzieła napisał między r. 1850 — 1863? Zmuszony żyć za granicą, zwrócił się do powieści historycznej i stworzył „Brithla,“ „Starą Baśń“ i w. in., ale znaczenie dla narodu dzieł tych nie może się równać ze znaczeniem „Dwóch Światów,“ „Budnika“ lub „Morturi.“ Czy trzeba powoływać nadto więcej przykładów? Czy każdy nie wie, że dla nas droższym jest Matejko, niż Brandt, Wierusz-Kowalski, nawet Siemiradzki? Czy każdy nie wie, że mamy wprawdzie wielkich polskich rzeźbiarzy, ale nie mamy, niestety, wielkiej rzeźby? Niczego nie dowodzi Słowacki. Dziełami jego, które czarować duszy polskiej nigdy nie przestaną, nie są: „Beniowski“ lub „Król Duch“ lecz „Kordyan“ i „Anhelli.“ Niczego nie dowodzi Chopin. Z ojczyściej duszy wzięta u niego tęskność i melancholia, właściwa pokoleniu popowstaniowców. Krasiński natomiast czuł dobrze, że trzeba z krajem żyć, żeby się nie wynarodowić. Wracał więc do kraju, ilekroć mu zdrowie pozwalało i tchu czerpał do dzieł swych. Zagraniczna kultura i życie pisarzy na długie czasy za granicą źle działa na ich talenty, gdyż je kosmopolityzuje. Tymczasem zagraniczne wpływy kulturalne wżarły się w naszą literaturę modernistyczną i jadowite ich technienie dotąd owiewa powieść. Przybyszewski, na skandynawskiej i niemieckiej myśli urobiwszy duszę, przed laty kilkunastu szyderstwem swem, lekceważeniem swojskości, pogardliwym kopaniem rzekomej polskiej ignorancyi, nieustannem wma-wianiem swojej wyższości oddziałał na wrażliwe młode talenty. Nie zmienił potężnego nurtu narodowego życia, sam minął i w perspektywie bardzo niedługiego czasu wydaje się nie pochodnią, rzucającą strumień światła w dal mroczną, lecz drobną iskrą, której mdły połysk tem bardziej przygasa, im silniej tętni i hu-

czy wzbierający potok narodowego życia. Jednakże w talentach pisarzy pozostawił ferment obcy. Zaczęli niektórzy z nich spoglądać na utwory Francyi, jak na wzór do naśladowania; zaczęli przeszczepiać na ojczystą płonkę cudzoziemskie zrazy, zaczęli, rodzimą etykę, rodzimą moralność, rodzimą religię, rodzime zwyczaje i obyczaje lekceważąc, słać rzekomo własnego wynalazku — w istocie obce walory duchowe. Ale czas — to mistrz nie-lada. On rychło zetrze blaski mamiące z dzieł pozornie błyskotliwych i pustką wewnętrzną oświecił tak samo bezlitośnie, jak niezawodnie powlecze patyną wieku dzieła cenne, tem bardziej cześć godne, im dłuższą próbę czasu przetrwały. Weźmy chwilę bieżącą. Czemże jest dla nas spirytyzm, okultyzm, mesmeryzm, sanskryt, zagadnienie płci, naturyzm, futuryzm, psychologizm, estetyzm, a nawet socyalizm, anarchizm czy bandytyzm?

Całe nasze obecne życie narodowe rozwija się pod jednym znakiem, pod znakiem owych trzech płomienistych liter: *lud*, które paliły się na chorągwi zbrojnego rycerza po skonie ofiarnym Anhellego. A znak ów nie dzisiejszą ma datę. Czy literatura nie dosyć na to dostarczyła dokumentów? Ponowne wydania popularne „Budnika“ Kraszewskiego zaliczyły go do najcelniejszych dzieł tego pisarza, „Nad Niemnem“ Orzeszkowej uznano za epos narodowe, „Placówka“ Prusa zdobywa kilka wydań, Reymont nie stworzył większego nad „Chłopów“, pierwsze tomy „Na skalnem Podhalu“ zdobyły czytający ogół dla Tetmajera w wyższym stopniu, niż jego poezye, „Pana Balcera w Brazylii“ zestawia krytyka z „Panem Tadeuszem“, jednym słowem, dzieła o ludzie pną się na najwyższy szczebel sławy i poczytności. Ale lud—to także wieś. Łatwo zauważyć u nas szczególne, niezwykle zainteresowanie się wsią. Takie istniało przed rokiem 1820 z czysto artystycznych pobudek, między rokiem 1850—1860 z pobudek narodowych, po roku 1880 wskutek politycznych konjunktur pozytywistów i stańczyków, a oto obecnie fala znowu wraca, gdyż lud coraz tłumniej weiska się w życie narodu, a inteligencya, przesycona i zdennerwowana wirowym obrotem wielkomiejskiego skrętu, szuka wsi... Zjawiają się raz wraz piękne o wsi prace: Konopnickiej „Krajobraz polski“, jedno z arcydzieł opisowych, podobne do „Pieśni o ziemi naszej“ Pola, dało szczęśliwy początek. Dzieła Hupki i Jana Popiela przedrukowują się i szeroko przez krytykę a chlubnie omawiają, miesięcznik K. Laskowskiego „Wieś polska“, prawdziwy klejnot ilustrowanych polskich wydawnictw, czyni w każdym swym zeszytcie coraz nowe odkrycia skarbów wsi polskiej, chwyta się przez polskiego czytelnika skwapliwie, ogląda



się z zachwytem, a odkłada z westchnieniem, że niema więcej. Myśmy byli i jeszcze przez długie lata będziemy rolniczym narodem; nasza dusza urobiła się podług warunków, jakie zapewniły jej: ziemia, klimat, rodzaj pracy, od mnogich wieków ją kształtujące. We wsi nasza nadzieja, nasza przyszłość. Skoro więc budzi się, wkracza w sferę zbiorowego życia narodu na całym niemal obszarze Polski, to dla inteligencji, dla artystów, dla polityków, dla przodowników narodu widok niezmiernie interesujący, to — zdawałoby się źródło podnieć i bodźców płodne i potężne. A to, że w Londynie odkryje się nowa masonska loża Energetyków, że w Paryżu do tysiąca dawnych dawnych prądzików przybędzie jeszcze jeden, apostołowany przez autora „Mort de Quelqu'un,“ co nas to obchodzi? Co nam do Hekuby? Niech sobie „ludzie i bogi szaleją,“ my—jak to kiedyś w jednej z „Mieszanin“ ślicznie Sienkiewicz powiedział — „mamy swoje dogmaty, swój ideał takiego blasku i majestatu, tak święty i ukochany namiętnie, że gdy w niedoli osobistej, w zawodach i rozczarowaniach prywatnego życia w umęczeniu codziennem myśli zwróci się ku niemu, to człowiekowi się zdaje, że jego własne gorycze maleją—i zapomina o nich i płakać mu się chce, i w końcu zdaje mu się, że lepszy jest, że już wniebowzięty, odkupiony i zbawiony.“<sup>1)</sup>

Ale wieś—to nietylko lud. To także szlachta polska. Mogą się różni nowi prorocy krzywić, mogą nawet ku swej radości cytować różne statystyczne cyfry, lecz faktu nic nie zmieni. Wieś — to także polska szlachta. Sześćdziesiąt pięć lat temu Słowacki na wołanie Krasińskiego: „z szlachtą polską polski lud,“ odpowiedział pogardliwie: „Dziś jednegom znał szlachezca“ i ten „Poszedł gnić między królami.“ Słowacki się pomylił w rachubie, bo oto w trzy pokolenia po strasznem jego obliczeniu mamy szlachtę zdrową, silną, pracującą, żywotności i dobrej woli pełną. I oto mamy całe grono szlachty w „Wirach.“ Mamy wieś polską i na tle tej cudnej wsi grono szlacheckie. Władysław Krzycki — natura niezbyt głęboka; studia wyższe skończył, lecz „lacinę posiał na polach Jastrzębia i nie weszła;“ jednak gospodaruje dobrze w Jastrzębiu. Nie był ani bardzo religijny ani pobożny, należał do kategorii ludzi, zachowujących przykład chodzenia w niedzielę na mszę, jak zwyczaj jedzenia co rano śniadania, ubierania się we frak na wieczory lub noszenia rękawiczek.<sup>2)</sup> Istniały jednak

<sup>1)</sup> „Mieszaniny literacko-artystyczne“ w Niwie, z powodu Alfonsa Daudeta „Królowie na wygnaniu.“ <sup>2)</sup> 88 t. I, 76 t. II.

rzeczy, które obok Jastrzębia ogromnie go obchodziły: obchodził go kraj, jego przyszłość, wszelkie wypadki, które mogły na tę przyszłość wpłynąć, obchodziły kobiety i miłość. Był „przystojny do obrzydliwości“ podług słów Grońskiego, miał „szczęście u kobiet i nadzwyczajnym skrupulatem nie był. Był dwudziest siedmioletnim zdrowym szlachcicem <sup>1)</sup>, doskonale strzelającym z flinty, rozmiłowanym w gospodarstwie, ale — co o wiele ważniejsza — o humanitarnych i nieciasnych poglądach na swe zadania społeczne. Założył tajną szkołę dla ludu w Jastrzębiu, bo „tak mu kazało sumienie“ <sup>2)</sup>, cieszy się że zmarły kuzyn zapisał duży majątek na szkołę rolniczą i ma dla kuzyna tem większy szacunek <sup>3)</sup>, a kiedy na umór zakochany w pannie Anney dowiaduje się, że to jest Hanka Skibianka, którą niegdyś pozbawił niewinności, doznał wprawdzie poczucia rozczarowania, ale gdy przyszła refleksya, co powinien uczynić człowiek, który skrzywdził zakochaną w nim dziewczynę, prawie dziecko, a potem spotkał ją pod zmienionem nazwiskiem, postanowił przyjąć następstwa czynu, poszedł z wyznaniem do matki, potem z nią do Hanka i oświadczył się. <sup>4)</sup> Władysław Krzycki i jego romans podobny do Tadeusza i jego romansu. O wiek starszy Władysław jest psychologicznie głębszy, ma więcej na barkach obowiązków i stał się z tego powodu samodzielniejszy w czynach. Ma zresztą ten sam lęk przed podłością, to samo poczucie honoru, tę samą szczerłość rodziną i bywa tak samo łasy na Telimeny. Jest to natura zdrowa i czynna, śmiały i krzepki szlachcic wiejski, prawy do kości i bardzo sympatyczny. Co do innych członków grona szlacheckiego, to ci są nam znani. Bez wątpienia arcyciekawym jest Groński, ale to — mówiąc językiem Sienkiewicza — ptak z tego gaju, co Płoszowski; Dołhański i Świdnicki też nam nie obcy, a nawet wszystkie trzy kobiety: Krzycka, Zofia Otocka i Marynia Zbyłtowska przypominają kreacye dawne Sienkiewicza. Nową jest Hanka Skibianka, nader interesująca postać niegdyś dziewczęcia wiejskiego, młynarzówny, dziś wytwornej w kulturze kobiety, która drażliwość swą w domaganiu się od Krzyckiego czci doprowadza do przeczulonej subtelności, gdy zrywa z nim ułożony już związek za słowa: „jeśli opór jej płynie z obawy, że on później zerwie małżeństwo, to niech wie, że to jest obawa płonna.“ Słowa brutalne, niema co mówić, ale czy nie można było znaleźć na krewkość innego hamulca, nie już aż tak radykalny, żeby mógł za nieszczęście uchodzić. Jednakże to są właśnie „Wi-

<sup>1)</sup> Str. 123. <sup>2)</sup> I, 230. <sup>3)</sup> I, 77. <sup>4)</sup> II, 128, 130, 175, 243, 244, 268.



ry,“ okres zamętu myśli, uczuć, pojęć i postanowień, wciągający w głąb niedoli nawet najlepszych ludzi. Produktem wirów są dwie postaci: Laskowicz i Polcia, pokojowa Hanki. Obie pracują na katastrofę, t. j. zabicie geniusza muzyki Maryni i zerwanie związku Krzyckiego z Hanką. Dla obu sumieniem jest ich namiętność, wiedząca do występku. Rzecz godna uwagi, że skrajnego socyalistę tak często nasza powieść przyobleka w postać młokosa, noszącego do góry nos i pustą głowę a w swem stronnictwie zacierzwieniu mało co widzącego poza długością nosa. I tu obok wirów etycznych i towarzyskich w grę wchodzi wiry polityczne. Dokładna charakterystyka różnych stronnictw politycznych dałaby się z częstych politycznych dyskusyi wydobyć; ograniczę się do paru dobitnych orzeczeń, najzwzięźlejszych określeń.

— Istnieją w tym miłym kraju—mówi Dołhański—i demokraci narodowi, których nie znoszę, jak siódemki treflowej w kartach, ale którzy mają podobno jeśli niemniej spocone, to i niemniej ciężkie pięści od socyalistów. <sup>1)</sup>

— Ja realista?—pyta Groński—ja do nich nie należę. To są ludzie niegłupi i po większej części dobrej wiary, ale popełniają jeden błąd. Oto wychodzą orać pod wiosenne zasiewy w grudniu, t. j. wówczas, gdy lemiesz nie chwyta zmarzniętej ziemi. <sup>2)</sup>

— Socyalizm—twierdzi dr. Szremski—jest na świecie, więc jest i u nas, lecz z nim idzie razem rozbój, zdziczenie, ślepotą;—przezwał się polskim, chociaż czuć go o milę dziegiem. <sup>3)</sup>

Ten sam doktor odkrywa jeszcze jedno stanowisko polityczne, gdy mówi o swym bracie, który nie uważa się za Polaka, tylko za Wołyńca z polską kulturą. <sup>4)</sup> Dr. Szremski zgoła niezwykła postać. Jasno widzi i rozumnie sądzi młodą szlachtę polską. Przyznaje jej dużo zalet, lecz odmawia wytrwałości. Krzycki—wedle niego—pod Somosierrą szarżowałby nie gorzej od Niegolewskich i Koziętulskich, bo dla idei\* czy uczucia łatwiej mu zginąć, niż w nich wytrwać. Oni potrzebują dystrakcyi, rozrywek, folgowania sobie. Jeżeli mają odbudować społeczność, to muszą stać się twardzi, uporni, milczący i fachowi. Będzie to przyszłe pokolenie, pod które niedola i niewola od stu lat grunt orzą. <sup>5)</sup> Owóż Szremski podobno wypowiedział kapitalną myśl „Wirów.“

<sup>1)</sup> I, 128. <sup>2)</sup> I, 179. <sup>3)</sup> I, 201. <sup>4)</sup> II, 206. <sup>5)</sup> 228—229.

Powieść to w naszych czasach przez swą formę fenomenalna. Czytelnik czuje, że epicka i narracyjna forma dla powieści jedyna. Dzięki jej, może powieściopisarz rozwinąć akcję spokojną, bez gmatwaniny i galwanicznych skoków, bez uniesień i nielogicznego splątania za pomocą lirycznych analiz, „czujących widzeń“ i t. p. wykrętów. Dzięki jej, może powieściopisarz obserwować więcej i szczegółowiej, gdyż uniesienie nie mroczy mu poglądu na figury, któremi operuje i na akcję, nad którą panuje. Epicka metoda pozwala bystro i dokładnie obserwować ludzi. Na twarzy Krzyckiego „odbiło się trochę zakłopotania,“ „ukazał w uśmiechu swoje zdrowe, świecące zęby,“ „rzucił okiem na dyszlowego kasztana, by zobaczyć, czy się nie strychuje“ — i tak dalej i tak na wszystkich patrzy Sienkiewicz ze skupieniem spostrzegawczej uwagi, która pamięta rzeczy główne, lecz nie zapomina o małych, potrzebnych dla wypukłości i dokładności obrazu. Tymczasem ludzie dzisiejszej lirycznej powieści są w gorączce, nie mają chwili na poświęcenie rzeczom codziennym, życie ich pogmatwane wrażeniami jakiejś wielkiej, drażniącej siły, która młotem burzy ich system nerwowy. Ludzie Sienkiewicza są spokojni: myśli ich nie skaczą tygrysimi skokami, lecz płyną logicznym i przejrzystym nurtem. Kiedy na wzorowo epickim opisie pogrzebu Sienkiewicz kończy: wysoki, *jakby przerażony* głos zaintonował *requiem aeternam*, poczem zabrzmiało *pełne ulgi* wieczny odpoczynek, to każdy uczestnik jakiegokolwiek raz chociaż w życiu pogrzebu przypomni i oceni nadzwyczajną trafność obserwacyjnych epitetów. Do tej metody należy również nadawanie odrębnej fizynomii postaciom. W „Wirach“ każdy człowiek inny: Krzycki, Groński, Dołhański, Laskowicz, Rejent, Szremski—wszyscy mają odrębne dusze, sposób myślenia i mówienia. Tymczasem w lirycznej powieści najczęściej cięży na postaciach dusza autora i jej wyrazowa forma.

Epicka i narracyjna metoda udziela powieściopisarzowi czasu na opisy i obrazy. Cudne są opisy majowego nabożeństwa we dworze wiejskim, koncertu Maryni, toku myśli Krzyckiego o miłości, opis jego zmysłowych wzburzeń, onieśmienia i delikatności. Taki obraz, jak rozdział XI t. I, da się chyba porównać z rozśpiewanej wiosny krajobrazem.

Ostatnia tedy powieść Sienkiewicza, jak gdyby z umysłu, przypomina czytelnikom i pisarzom inną metodę powieściopisarską i odmienne od powszechnie kurs mających zadania powieści. Dałyby się one sformułować we wnioski. Popierwsze powieść w wyższym niż dramat stopniu „służy za zwierciadło naturze,



pokazuje cnotcie własne jej rysy, złości żywy jej obraz, a światu i duchowi wieku postać ich i piętno.“<sup>1)</sup>

Powtóre nasza powieść w najszcześniejszych chwilach rozwoju była narodową, pokrzepiała ducha narodowego, wlewała nową otuchę, służyła za dzielną broń do dopięcia naszych celów. Potrzebie nawrót jej od zdegenerowania do artystycznej doskonałości i mocy zależy od tego, czy przyjmie metodę epicko-narracyjną zamiast subiektywno-psychologicznej, czy przyjmie względną jedność miejsca, dbałość o artystyczną kompozycję, o wytworność dyalogów, o rysunek scen i postaci, o styl i język, na klasycznych wzorach polskich kształcony i wydoskonalony.

ANTONI MAZANOWSKI.

---

<sup>1)</sup> Według Szekspira Wyspiański w studjum o Hamlecie.

# KARTKI

## Z pamiętnika Michała Starzeńskiego

(1757 — 1795).

### XXI.

Powróciłem na Podlasie; miałem zamiar zająć się swymi interesami, ale w tym roku nie było na to czasu. W r. 1783 hrabina wyjeżdżała na kilka miesięcy do Francji i do Holandji. Wróciwszy stamtąd, postanowiła zaprowadzić ład i porządek w swoim starostwie bielskiem. Municypalność miała sobie pozostawioną możność rozporządzania funduszami tak miasta, jako też i sześciu dużych wsi, należących do starostwa, to też kradziono na potęgę. W mieście nie było ani kościoła, ani ratusza, ani bruków. Był to przeważnie los wszystkich małych a nawet i większych miast w kraju. Panowie adwokaci protegowali mieszczan wobec starostów, którzy w rzeczywistości byli kapitanami okręgowymi, landratami, z władzą policyjną świecką i kryminalną. Od r. 1572 wygasła linia królów dziedzicznych w Polsce, która się stała królestwem obieralnym. Od tego czasu zaczęły się zawieruchy elekcyjne, zajęcia kraju przez obce wojska pretendentów, a starostwa rozdawane były przez nowowybranych królów przychylnym stronnikom z nadaniem dożywotnich przywilejów. Przy królach pozostawało dawne prawo sądenia spraw w ostatniej instancyi. Starostowie nie mieli nigdzie jasno oznaczonych przepisów swoich atrybucyi, żadnych wskazówek, nie było ministerjum spraw wewnętrznych, któreby w to wejrzało, więc też wy-



konywali zupełnie dowolnie władzę policyjno-kryminalną w grodach, a pozostawili tę czynność policyi cywilnej w miastach.

Hrabina Branicka przedstawiła bratu swemu, królowi Stanisławowi, stan miasta Bielska. Sejm ustanowił Komisye Porządkowe dla całego kraju. Te komisye miały szukać gotowych przychodów miejskich, które miały być przeznaczone na potrzeby miast. Hr. Mokronowski został mianowany prezesem komisji bielskiej, wybierano na członków znakomitsze osobistości z powiatów—i ja miałem zaszczyt być wybranym.

Komisya rozpoczęła czynność swoją w Bielsku. Trzeba było odszukać przychody—wyszły na jaw rozmaite malwersacye municypalności, nie było sposobu, ci panowie musieli przyznać się do winy. Wybrano nowych członków zarządu miejskiego, rozporządzono roboty najpilniejsze: bruki, mosty, pompy i sikawki pożarne, wybudowanie szkoły miejskiej. Hrabina Branicka dała cegłę, a król drzewo budulcowe. Wybudowano kościół, ratusz, sklepy, szkołę. Taka energiczna działalność nie spodobała się ani dawniejszej municypalności, ani panom adwokatom stolicy. Cóż tedy uczynili? Z pomocą wódki, której nie żałowano, zbuntowano chłopów w połowie starostwa bielskiego; potworzyły się małe oddziały, plądrujące po okolicy. Hrabina doniosła o tem swemu królewskiemu bratu, który przysłał dwa szwadrony ułanów, aby ich uspokoiły. Chłopi, wezwawszy na pomoc panów adwokatów warszawskich, doręczyli hrabinie i księciu Stanisławowi Poniatowskiemu, jej bratankowi, pozew i nakaz śledztwa dla rozpoznania krzywd i pretensyi chłopów, którzy się o dawne przywileje dopominali.

Te przywileje polegały na tem, że mieli prawo zajmować miejsca strażników leśnych oraz strzelców w czasie polowań królewskich i że mieli dostarczać zwierzyny na stół królewski. Lasy, w których to się dziać miało, były już wyrąbane, a ci chłopci sami je rąbali i karczowali i z dawniejszych strzelców pozostawiali rolnikami we wsiach, założonych na karczunkach.

Hr. Branicka, widząc się zaplątaną w długi i kosztowny proces, postarała się o zamianowanie mnie w tej komisji; starałem się rozwinąć tu niezwykłą energię i zabieглиwość. Trzeba było wszystko sprawdzać na gruntach, szacować je, ale w końcu sprawa była wygrana.

Ułożono komplanacyę, skutkiem której 800 chłopów zrzekło się dawniejszych przywilejów, nie mających w obecnem położeniu racyi bytu. Zamiast pańszczyzny zobowiązali się składać daninę, odpowiednią do gruntów, jakie zajmowali. Dwa nowe folwarki,

Żywiec i Mochnaty, były rozebrane a raczej zniszone. Zdaje mi się, że się wywiązałem z zadania honorowo i sumiennie, a jednak pani Branicka nie umiała tego ocenić. Odpłaciła mi się niewdzięcznością w niektórych okolicznościach późniejszych, kiedy się do jej wstawiennictwa odwoływałem.

## XXII.

Zgromadziwszy sumę posagową mojej żony i dochód paroletni z gospodarstwa, miałem już uzbierany swój własny kapitał, umieszczony u Teppera. Z nauk pana Bortz'a w Lipsku zapamiętałem, że cała podstawa handlu zależy na tem, żeby towar kupować z pierwszej ręki, a odprzedawać samym konsumentom; posłałem swojego komisanta tu odemnie z Podlasia, przez Mohylów nad Dniestrem do Chocimia, Bender, Oczakowa dla kupna wołów, buhajów i kilku pięknych koni tureckich. Komisant dobrze się sprawił. Zarobiłem na wołach sto procent, to też, żeby tak szczęśliwemu handlowi dać ciąg dalszy, postanowiłem sam pojechać do Dubna, ażeby się tam ułożyć z kuzynem moim, hr. Waleryanem Dzieduszyckim. Po drodze nie mogłem nie wstąpić do Olejowa, ażeby odwiedzić moich rodziców. Matkę zastałem chorą, a ojca powracającego do zdrowia po jakiejś cięższej chorobie, jeszcze osłabionego i bardzo smutnego. Zawiadomiono go, że ostatnie jego starania o wniesienie do ksiąg tabulacyjnych sumy pożyczonej ks. Radziwiłłowi na Sasów spełzły na niczem; że ks. Radziwiłłowa robi starania we Lwowie o otrzymanie wyroku Trybunału, na mocy którego ojciec mój ma być odsunięty od tej własności, którą ona obejmuje, ażeby pobierać 48,000 złp., jako alimentu. Komisarz ojca, niewdzięczny p. Łącki, opuścił go i zgodził się do zarządu Brodów, należących do hr. Wincentego Potockiego.

— Mój kochany synu,—mówił do mnie ojciec — lękam się bardzo, że cały ten gmach mojej fortuny, z takim trudem i pracą nabytej, runie, gdy zamknę oczy, co prawdopodobnie niedługo nastąpi. Ale ja śmierci się nie lękam, jestem na nią przygotowany.

Staralem się całymi siłami uspokoić ojca co do jego interesów w Galicyi i to mi się po części udało.

— Ale — rzekł jeszcze ojciec — i o twój los także nie jestem zupełnie spokojny, miałem dziwne sny.

Tu opowiedział mi jeden, który zrobił na nim niczem niezatarte wrażenie. Znajdował się na brzegu ogromnej przestrzeni



poła, to pole było nie skoszone, nie uprawione. Będąc na pewnem wywyższeniu, widział na tem polu ogromne tłumy bijących się ludzi, którzy z wielką zawziętością chcieli jedni drugich pokonać. Tłum bijących się zwołna zbliżał się do pagórka, na którym stał mój ojciec. Wtedy ujrzał człowieka nadzwyczajnej wielkości i siły, który długą kosą kosił głowy ludzkie i trawy. Wszystko znikło.

— Kochany ojciec—rzekłem—całą tego snu przyczyną musiała być poprzednia bezsenność, zmęczenie, może niestrawność jaka.

— To być może, jednakże ty mnie najlepiej znasz, przecie nigdy w żadne przepowiednie ani sny nie wierzyłem, ale przeżywszy pięćdziesiąt lat w naszej nieszczęsnej ojczyźnie, przeczuwam, co ją jeszcze czeka. To pole stanie się teatrem wojny, spowodowanej ambycją i chciwością ościennych sąsiadów. Pagórek, na którym stałem, jest miejscem, gdzie chcę być pochowanym, jak to napisałem w testamencie, który na wszelki wypadek zrobiłem.

Byłem bardzo wzruszony. Ojciec kazał sobie podać dwie już wpięrow przygotowane paczki.

— To są dla ciebie pamiątki. Chowałem je bardzo starannie, żeby ci je doręczyć. — W jednej jest złota emaliowana z herbem Ładownica z jedenastoma nabojami, dwunastego niema, jeden raz tylko strzelałem do człowieka, broniąc życia mojego dobroczyńcy, hr. Branickiego. Nie miałem z ludźmi zatargów żadnych, więc też pełne pozostały. W drugiej paczce jest skóra z lamparta, którą nosiłem przewieszoną przez ramię, służąc w kirasyerach kawaleryi narodowej, myślę, że dobra będzie na siodło dla ciebie.

Oddając mi te rzeczy, dodał jeszcze:

— Weźmiesz z sobą te dwie pamiątki, a gdyby ci wypadło brać udział w wojnie, która niezawodnie nadejdzie, to użyj ich i pamiętaj, że błogosławieństwo ojca będzie z tobą.

### XXIII.

Wróciwszy do Strabli na wiosnę roku 1786, musiałem się zająć miejscowymi interesami ekonomicznymi. Wśród tych zajęć doszły mnie wieści z Warszawy o jednej historii, która tam ogromnego hałasu narobiła i miała nawet fatalny wpływ na przyszłość. Pewna awanturnica, kokietka w całym znaczeniu tego słowa wyszła za dymisjonowanego oficera rosyjskiego, karciarza,

nazwiskiem Dugrumow, mieszkała w Warszawie, utrzymywaną będąc przez nie wiem już kogo; kronika skandaliczna mówi, że udzielała łask swoich wielu najznakomitszym dygnitarzom warszawskim, że wydawała bardzo swobodne i wesołe wieczory.

Księżę Adam Czartoryski, będąc jednym z najpiękniej wychowanych, najprzyjemniejszym z panów nietylko w Polsce, ale może nawet w całej Europie, używał życia w bardzo szlachetny sposób i może nie byłby chętnie zamienił swojej swobody na ciężnie królewskiej korony. Nie tego jednak byli zdania ci, co go bliżej otaczali i jemu schlebiali. Król powierzył mu dyrekcję szkoły kadetów. Był także szefem regimentu gwardyi. Uważanym był przez króla, jako brat ukochany; ale musiała się wnieść intryga, ażeby wnieść kwasy i nieporozumienie pomiędzy tymi blizkimi krewnymi. Księciu Czartoryskiemu donoszono, że jest otoczony szpiegami, że życiu jego zagraża niebezpieczeństwo. Króla znów przestrzegano, żeby się miał na baczności, że księżę Adam formuje sobie partyę, która już jest bardzo silna, że dni jego są policzone. Pani Dugrumowa, przyrzekła agentom królewskim, a także znów i zaufanym księcia Adama, że dostarczy i jednym i drugim dowodów zdrady i przekonywała ich, że ona jedna uczynić to zdoła. Bardzo być może, że jak z jednej, tak z drugiej strony brała tymczasem pieniądze na swoje wykwinne utrzymanie i na potrzeby swego męża. W tych to okolicznościach przybliżał się czas sejmu w Grodnie; jego królewska mość miał przejeżdżać przez Białystok i zatrzymać się tam dni kilka. Byłem wówczas w Warszawie dla załatwienia kilku sprawunków toaletowych i zrobienia trochę zapasów do domu. Król szykował się do drogi. Hrabina Branicka prosiła mnie, żebym w wyjeździe uprzedził go o kilka godzin. Co też uczyniłem.

Jego królewska mość wjeżdżał do białostockiego pałacu przy świetle wielu pochodni. Artylerya witała go salwami. Na drugi dzień miałem sposobność zauważyć, że był zaprowadzony ścisły nadzór wojskowy nad tymi wszystkimi, co przybywali dla złożenia czołobitności monarsze. Byłem świadkiem obaw i niespokojności oficerów, którzy otaczali króla. On zaś z największą swobodą używał przygotowanych dla siebie przyjemności, pojechał do Choroszczy, gdzie brał udział w polowaniu na wilki. Polowanie udało się szczęśliwie. Następnie wraz z siostrą, hr. Branicką, wyjechał do Grodna. Ja zaś wróciłem do Strabli, bardzo zadowolony, że sejm tego uniknąłem. Wróciłem więc do domu i mogłem spokojnie zastanowić się nad dwoma upominkami ojca i jego przepowiedniami.



## XXIV.

W ciągu lata w 1786 roku ojca mego spotkała wielka niesprawiedliwość. Z Trybunału lwowskiego doręczono rozkaz komornikowi Niewęglowskiemu, ażeby wprowadził księżnę Radziwiłłową w posiadanie majątku Sasowa, ponieważ ten majątek jest wolny i należy do księcia Radziwiłła. Trzech dzierżawców mojego ojca wyrzucono, jednego z folwarku, drugiego z fabryki żelaza, trzeciego z huty szklanej. Gorliwy komornik zasekwstrował wszystko. Ojciec był chory. Przez kilka tygodni ukrywano przed nim to nieszczęście. Nareszcie zawiadomiono go o wszystkim. Przyjął wieść spokojnie i zabrał się zaraz do przerobienia testamentu; zresztą zajęty był naradami ze stolarzem i innymi majstrami; przygotowywał wszystko do swojego pogrzebu. Moja bratowa, żona Stasia, pielęgnowała go i rozrywała. Nie pozwolił donieść mi o tych kłopotach. Urządziwszy, przewidziawszy wszystko, w gruncie rzeczy mało go obchodził Sasów, którego nabycie nie było ratyfikowane w Wiedniu. Był pewnym, że kiedyś te 300,000 zł. oddadzą, gdyż były zahipotekowane podług prawa polskiego od 1747 roku przez ojca księcia Karola Radziwiłła.

W tych czasach właśnie wybuchła awantura Dugrumowej. Kamerdyner królewski, Francuz, Ryx, zostawszy starostą piaseczyńskim, miał sobie polecone od generała ze świty królewskiej, Komarzewskiego, ażeby utrzymywał stosunki z Dugrumową, która mu obiecywałasolemnie dostarczyć dowodów zamachu na życie króla, przygotowanego przez księcia Czartoryskiego. Anglik, Taylor, na wpół waryat, był upoważniony ze strony księcia Adama do śledzenia Ryxa. Taylor, niecierpliwie wyczekujący chwili okazania swojej gorliwości, uprzedzony przez Dugrumową o godzinie, w której przyjsć mieli Ryx z Komarzewskim, ukryli się wraz z hr. Stanisławem Potockim, jednym z serdeczniejszych przyjaciół księcia Adama, w gabinecie Dugrumowej. Nie wiedząc o tem, wchodzi Ryx z Komarzewskim, pierwszy śpiewając jakąś piosenkę. Dugrumowa do niego mówi: „Chciałeś pan dowodów, teraz je mam w rękę“ — i pokazuje mu jakiś papier. Francuz woła: „Bravo, bravo, niech cię moja piękna uściskam.“ Drzwi od gabinetu się otwierają, wyskakuje Taylor, chwytą go za kołnierz, a grożąc mu pistoletem, zmusza wsiąść do swego powozu i wiezie wprost na policyę do aresztu. Wszystko to w biały dzień. Wielkie więc zamieszanie, zdwojone stráže, wzmocnio-

ne posterunki nocne. Na drugi dzień Rada Nieustająca mianuje komisję dla osądzenia tej sprawy, sesye były naprzemian już to publiczne, już to przy drzwiach zamkniętych. Rezultatem tego wszystkiego było, że wykryto krzyżową intrygę. Dobry król nie chciał ukarania surowego winnych. Wszystko się skrupiło na Dugrumowej. Skutkiem wyroku skazana była na różgi, piętnowanie i zesłanie pod eskortą do więzienia w Gdańsku. Taylorowi kazano wyjechać z kraju, a inni chwilowo się ulotnili, ażeby znów przy sposobności na jaw wypłynąć. <sup>1)</sup>

Ta historia doszła do wiadomości cesarzowej Katarzyny, która wraz z cesarzem Józefem II ułożyła projekt rozbioru Turcyi. Tak ze strony Rosyi, jak i Austryi, zaczęto robić olbrzymie przygotowania we wszystkich najdalszych prowincyach obu monarchii. W Austryi Dunajem miało płynąć wojsko, broń, amunicya, zapasy, a Rosya miała wszelkie ułatwienie niespodziewanego napadu na Turcyę. Cesarzowa Katarzyna pod pozorem zwiedzenia południowych prowincyi zaprosiła cesarza Józefa na zjazd do Kaniowa. Było to na gruncie polskim starostwo, należące do synowca królewskiego, księcia Stanisława Poniatowskiego.

Znalazłszy się przypadkiem podówczas w Warszawie, stanąłem u dobrego znajomego, hr. Antoniego Dzieduszyckiego, który był sekretarzem kancelaryi królewskiej i dyrektorem poczt. Widziałem więc ogromne przygotowania do podróży króla i że się agituje kwestya wyboru osób, które monarsze towarzyszyć będą. Można sobie wyobrazić, że liczba amatorów była wielka. Sposobność uczestniczenia we wszystkich projektowanych fetach i festynach nęciła ogromnie. Myślę, że nie miałbym wielkich trudności być pomieszczonym w świcie króla. Wszystkie te projekta były zniweczone depeszą, przyslaną sztafetą przez hr. Stackelberga, ministra dworu cesarzowej. Pytał się w niej króla, kogo zamierza z sobą wziąć do Kaniowa, prosił o listę osób, gdyż osoby, wplątane w proces i sprawę Dugrumowej, wyłączone być powinny. Mieszkając u hr. Antoniego Dzieduszyckiego, miałem sposobność widzieć panów magnatów, którzy gotowi byli znieść najprzykrzejsze upokorzenia, ażeby tylko być pomieszczonymi na liście, a gdy to nie pomogło, sinieli ze złości.

Król, nie mając już dosyć czasu na uspokojenie cesarzowej i wyłómowanie całej historii, wyruszył z mniejszym dworem.

<sup>1)</sup> O głośnej sprawie Maryi Dugrumowej pisał Al. Kraushar w „Drobiazгах historycznych,” t. I (1891).



Był więc zjazd monarchów w Kaniowie, po którym król powrócił rozpromieniony rozmaitemi nadziejami, i ci wszyscy, co z nim byli, również uszczęśliwieni. Tajemnica tych wszystkich radości zachowała się dosyć długo; ale kilku magnatów na Rusi, mających jeszcze na sercu rozmaite konfiskaty majątkowe i wywiezienia niespodziane, udało się do Berlina, tam, dostawszy się na dwór Wilhelma Grubego, który nie tylko z ministrami radził, ale i ucztował chętnie, doszli po nici do kłębka tak, że tajemnicze konferencye kaniowskie nie były już tajemnicą dla nikogo.

Cesarzowa Katarzyna układała się z cesarzem Józefem II o podział Turcyi. Chcieli to zrobić prędko, od ręki, zapewniwszy sobie neutralność Prus, żeby te czasem, budząc się ze swego letargu, nie rzuciły się na Kurlandję i Inflanty. Litwa proponowała królowi zwołanie sejmu nadzwyczajnego, ażeby ten powołał pod broń 100,000 wojska, z których część mogłaby zająć Mołdawię i Wołoszczyznę i służyć tam za rezerwę, a główny korpus obserwacyjny miał trzymać w szachu króla pruskiego. Sprzymierzeni monarchowie obiecywali naturalnie królowi polskiemu jakąś część zdobyczego kraju.

Król Stanisław tymczasem zajął się stawianiem pomnika królowi Janowi Sobieskiemu na moście na wprost pałacu w Łazienkach. Młodzież skupowała konie, ćwiczyła się w robieniu bronni w maneżach, urządzono karuzel, gonitwy z pierścieniami etc.

Wszystko to, myślę sobie, jest powolnem zbliżaniem się do owego przepowiedzianego przez ojca pola walki. Ja też z mej strony robiłem u siebie małe przygotowania.

Hr. Antoni Dzieduszycki miał właśnie pod pozorem zdrowia wybrać się do Anglii. Zapropozował mi, żebym mu towarzyszył, bardzo mi to dogadzało i już się z nim prawie umówiłem, kiedy przyszła sztafeta zamknięta czarnemi pieczęciami. Matka moja i wuj, jezuita, donosili o śmierci mego ojca d. 14 listopada 1787 r., przesyłali mi egzemplarz aktu, który ojciec pozostawił w dwóch odpisach, przez niego nakreślonych. Matka moja zaklinała mnie, żebym zaraz do niej pospieszył, dla oszczędzenia jej zmartwień i kłopotów.

Otrzymałem tę sztafetę w Warszawie—o podróży do Anglii naturalnie już mowy nie było. Mogłem natomiast rozejrzeć się, co się w świecie politycznym działo.

Turcy uprzedzeni czy przez Anglię, czy przez Prusy, a może i przez Polaków, nie dali się wywieźć w pole pozorami; nie wierzyli więc, że ta podróż do południowych prowincyi cesarsowej, te rewie wojsk, które tam nagromadzono i flotylla na morzu

Czarnem, to tylko dla przyjemności. Rumiancow był w Kijowie w charakterze generał-gubernatora, Suworow stał nad Bohem z korpusem, eskortował swoją monarchinię aż do Połtawy; księżę Potemkin do swojej gubernii taurydzkiej, a Suworow objął dowództwo korpusu chersońskiego i kinburnskiego. Zdaje mi się, że ostateczny plan jeszcze nie był ułożony z cesarzem Józefem, gdzie kto rozpocznie kroki wojenne, gdy tymczasem w ciągu lata 1787 r. Turcy niespodzianie uprzedzili te zamiary i bez wypowiedzenia wojny wylądowali w Kinburn. Cesarz Józef II ze swej strony przygotował duży oddział artylerji i kawaleryi oraz flotyllę dla zajęcia Belgradu. Zabezpieczono tam sobie przez Żydów i Armeńczyków pewne w mieście stosunki. Plan zajęcia szybko tej fortecy, której nie można było za sobą zostawić, był nawet bardzo zręcznie ułożony. Rozmaitym oddziałom wyznaczono punkta zborne, ale flotylla nie przyszła na czas, zabłądziła w drodze i plan się nie udał. Cesarz Józef wyznaczył księcia Sasko-Koburskiego do działania wspólnego z Rosją w Mołdawii i Wołoszczyźnie, a sam przygotowywał się do opuszczenia Wiednia i udania się do Zemunia (Semlin), punktu zbornego wszystkich oddziałów.

A więc nie było czasu do stracenia. Zamiast udać się do Galicyi, wyruszyłem wprost do Wiednia. Wiedziano już powszechnie, że cesarz się wybiera i że mu towarzyszyć będzie feldmarszałek de Lascy. Miałem przed sobą około siedmiu do ośmiu dni czasu. Ojciec mój miał w Wiedniu do swoich interesów agenta nazwiskiem Schnetter, był on jednocześnie jednym z 12 agentów Wielkiej Rady Państwa. Nie można było podać prośby ani do Wielkiej Rady, ani do samego cesarza bez pośrednictwa tegoż agenta. Miał on ze czterdzieści procesów galicyjskich, drugie tyle czeskich, oprócz takiejże liczby komisji wojennych. Udałem się do niego w tej kwestyi, ale zaraz się przekonałem, że pomimo ogromnej masy aktów, do sprawy mego ojca należących, Schnetter nie miał najmniejszego pojęcia o tym interesie. Powiedział mi tylko stanowczo, że sprawa jest najzupełniej przegrana, gdyż był na nią wyrok wydany i podpisany przez samego cesarza i rozporządzenie przesłane do Rady Państwa o natychmiastowe wykonanie. Roześmiałem mu się w nos i zostawiłem go ze wszystkimi aktami, a sam znalazłem sobie innego agenta nie tak bardzo obciążonego sprawami, który wyszukał kopię rozkazu cesarza. Było tam powiedziane:

„Wyznaczona księżnie Karolowej Radziwiłłowej suma alimentarna 12,000 guldenów ma być podniesiona z dóbr księcia



Radziwiłła, umieszczonych w Galicyi. Rada Państwa ma przesłać rozporządzenie Trybunałowi lwowskiemu, ażeby zasekwestrował majątki księcia, wolne od długów. Gdyby na których znajdowały się poprzednie zobowiązania, w takim razie rozkazują sprzedaż tych dóbr, a przewyżka ze sprzedaży będzie oddana księżnej.“

Można sobie wyobrazić radość moją, skoro miałem już w ręku zalegalizowaną kopię tego dokumentu. Widocznem się okazało, że zatajono drugą połowę cesarskiego reskryptu. Dzięki równej znajomości łaciny jak niemieckiego języka, w obydwóch tych językach napisałem treściwy referat tej sprawy. Mówiłem tam, że: „Ojciec mój, dowiedziawszy się o wyroku doręczonym i egzekwowanym przez Trybunał, a mającym być nadesłanym przez Radę Państwa, a podpisanym przez Najjaśniejszego Cesarza, ze zmartwienia życie zakończył. Że przed śmiercią polecił mi, ażebym przybył z Warszawy do Wiednia i tu sam się przekonał, czy to prawda, że jemu taka niesprawiedliwość wyrządzoną była. Że przybyłem i przekonałem się, iż rozkaz Waszej Cesarskiej Mości, którego kopię autentyczną mam przy sobie, jest najjawniejszym dowodem Jego wysokiej sprawiedliwości, ale że czy skutkiem intrygi, czy też nieuwagi był wykonany tylko w pierwszej części, a druga pominięta została i że wskutek tego majątek Sasów, prawnie nabyty, odebrany mu został.“ Wspomniałem także, że brat mój służy w szeregach wojsk jego cesarskiej mości.

Cesarz Józef II, referat mój przeczytawszy, spojrzął mi bystro w oczy.

— Jaki mundur pan nosisz?

— Gwardyi narodowej.

— Chcesz pan wstąpić do mojej służby?

— Mogę również służyć waszej cesarskiej mości, pozostając tam, gdzie jestem, jeżeli zjazd kaniowski przyniesie pożądane skutki.

Cesarz wziął raz jeszcze mój referat do ręki.

— Referat pana nie jest podpisany przez żadnego agenta.

— W razach nadzwyczajnych trzeba używać i nadzwyczajnych środków. Blizki wyjazd waszej cesarskiej mości nie dozwolił mi spełnić wszelkich formalności.

— Bądź pan spokojny, szybka sprawiedliwość wymierzona panu będzie.

Zaledwie wróciłem do siebie do hotelu, stałem na Grabenie, zajeżdża powóz; był to hrabia Clary, wiceprezes Rady Państwa. Skoro wszedł, powiedział zaraz:

— Przybywam tu z rozkazu jego cesarskiej mości. Pan hrabia przedstawiłeś podanie?

— Tak, panie prezesie.

— Czy to podanie pan hrabia sam pisał?

— Tak jest, sam je pisałem.

— Nikt je panu nie dyktował?

— Dyktował mi tylko żal zranionego serca. Przed tygodniem umarł mój ojciec, a to jego testament.

— Czy masz pan papiery odnoszące się do sprawy ojca pańskiego?

— Mam je wszystkie. Oto są.

W przeciągu kwadransa przejrzał papiery i przekonał się, że wszystko, co mówiłem, było prawdą. Krzywda wyrządzona memu ojcu była jawnem łotrstwem. Hrabia Clary, człowiek już w wieku, przedstawiał typ bardzo szlachetny. Wyraz jego twarzy, trochę zrazu surowy, zmiękł znacznie. Po chwili rzekł do mnie:

— Jego cesarska mość polecił mi przybyć tu, do pana hrabiego i rozpatrzyć się w aktach sprawy; jeżelibym znalazł, że tak jest wszystko prawdziwie, mam wrócić do jego cesarskiej mości i wykonać dalsze jego rozkazy. Jestem bardzo szczęśliwy, że mnie najjaśniejszy pan wybrał dla rozwikłania tej historyi pełnej nieporozumień, których ojciec pański padł ofiarą. Ażeby panu oszczędzić kłopotów i niepokoju wrócę tu za godzinę z rozporządzeniem cesarskiem, które niewątpliwie będzie, tak jak zawsze, słusznem i rozumnem.

W godzinę był już z powrotem.

— Przychodzę a zarazem składam panu hrabiemu najszczerze powinszowania szczęśliwego zakończenia sprawy.

Jakże rad byłem takiemu obrotowi rzeczy! Musiałem jeszcze poskładać wizyty tak panu wiceprezesowi, jak wielu innym dygnitarzom, byłem proszony na kilka obiadów, na wieczór do hr. Clary, poczem otrzymawszy kopię nowego rozporządzenia cesarskiego i przekonawszy się, że cesarz kazał wykreślić całą tę czteroletnią sprawę, opuściłem Wiedeń.

## XXV.

Wielki Sejm się rozpoczął. Hrabia Małachowski, wielki referendarz, jednomyślnie był obrany marszałkiem Sejmu, ksiądz Sapięha, generał artylerji litewskiej, był takimże marszałkiem



dla Litwy. Sejm zaczynał być burzliwym. Deputowani, przybyli z najdalszych okolic kraju, występowali z rozmaitemi mowami, ażeby się odznaczyć i dać się poznać szerszym kołom. A byli też i milczący obserwatorzy, którzy się tylko uważnie przypatrywali wszystkiemu. Ambasadorowie dworów zagranicznych, przez szpiegów doskonale o wszystkim zawiadomieni, przysposabiali sobie tymczasem stronników dla swoich partyi. Można było łatwo zauważyć, że się przygotowuje jakieś wielkie zamieszanie, ja czułem, że coraz bliżej jestem pola walki, wysnionego przez mojego ojca. Zewsząd zdaleka dochodziły odgłosy wojenne. We Francyi zbliżała się wielka rewolucya. Co prawda, nie zależało mi bardzo na tem, żeby sobie wyrobić nazwisko historyczne, ale z drugiej strony poczucie honoru i przywiązanie do kraju zatrzymywały mnie przy tem ognisku, gdzie się czuło, że losy ważyć się będą. Moja żona tymczasem, wzywając mnie ciągle do Strabli, przysłała bardzo wygodny powóz do powrotnej podróży i już miałem opuścić Warszawę, ale nie było mi to przeznaczonem.

Będąc w Wiedniu, kupiłem sobie kilka książek w jakimś przewidywaniu, że mogą mi być kiedyś potrzebne. Były to dzieła o nowej organizacyi wojskowej w państwie austryackiem, o ekonomii i administracyi wojskowej, przytem sporo map i planów strategicznych. Kilku posłów mówiło mi raz o konieczności powiększenia armii w Polsce, o sposobie rekrutowania.

— Moj panowie — rzekłem do nich — chcemy mieć wojsko, a nie mamy najelementarniejszego pojęcia o organizacyi cywilnej, o formalnym poborze, o zaopatrywaniu w żywność, broń, amunicyę i podwozy. W Wiedniu wątpię zupełnie o możności zorganizowania w Polsce 100,000 armii. Minister Kaunitz kilkakrotnie mi mówił, że nie wierzy w to, żebyśmy temu podoleli. Na to odpowiedziałem ministrowi, że widocznie nie zna doniosłości naszego patryotyzmu, i co naród zrobić może.

Otóż skutkiem tych rozmów było, że mi zaproponowano zrobienie projektu nowej organizacyi. Napisałem więc i wydrukowanem to zostało pod tytułem „Komisye cywilno-wojskowe,“ a następnie podane marszałkowi Sejmu. W każdym mieście powiatowem ma się znajdować dwóch komisarzy, cywilny i wojskowy, ma być biuro, a ta mała komisya ma być zależną od wielkiej Rady Wojskowej w Warszawie. Do niej należeć powinno zajęcie się stanem czynnym wojsk, poborem i zużytkowaniem żołnierza. Komisya ma także mieć dozór nad czynnością policyjną w powiecie, oraz zapobiegać i łagodzić nieporozumienia pomiędzy żołnierzami a włościanami, mieszczanami i szlachtą.

Nie była to, co prawda, wielka zasługa—naśladowanie austriackich Kreishauptmannów oraz pruskich Landratów, ale z drugiej strony był obowiązek przypomnieć narodowi, niby to odrodzonemu w latach 1764 i 1768, że zapomniano o najgłówniejszej rzeczy. Były całe legiony sędziów, adwokatów, trybunałów, nie było nigdzie żadnej władzy cywilnej dla pilnowania spokoju i porządku.

Projekt ten, pochwycony skwapliwie, był przedmiotem rozpraw i komentarzy i zaraz zamieniony w prawo. Sformowano listę nowych członków Komisji wojennej i kiedy się tego najmniej spodziewałem, przygotowując się do wyjazdu, przybyło kilkunastu deputowanych, wieszając mi, że miałem 300 głosami wybrany na komisarza w Komisji wojennej. Nie było innej rady, jak poddać się konieczności. Musiałem ubrać się w mundur, stawić w Sejmie, złożyć przysięgę i ucałować rękę królewską.<sup>1)</sup>

Do utworzenia Komisji wojny powołano najpierw czterech hetmanów i osiemnastu komisarzy, z których wystarczało sześciu do kompletu rady. Wprowadzenie w ruch i zorganizowanie całej komisji wydawało mi się rzeczą bardzo łatwą. *Ne te terreat ullus labor, incipe, quiesce et perficies opus.* To *quiesce* mogło nastąpić i w moim przewidywaniu przedstawiało mi się pełno przyjemnych rozrywek stolicy, która weszła w fazę świetnej okazałości—mogłem też robić sobie obserwacje o ruchliwym społeczeństwie.

Nie długo trwały moje iluzje. Postarałem się zasięgnąć języka co do członków przyszłej komisji, z którymi miałem zasiadać. Szczegóły osobiste nie o wszystkich były zadawalające. Byli to przeważnie ludzie lekkomyślni, lubiący się bawić, pić, ucztować i grać w karty, a zaledwie trzech czy czterech sumiennych pracowników, na których pomoc rachować mogłem.

Na pierwszej zaraz sesji wielki hetman Branicki, przemówiwszy do wszystkich, zwrócił się do mnie, oddał mi pióro, wielką księgę i dziennik.

A więc bywajcie zdrowe obserwacje społeczne, rozrywki i *quiesce!* Wciągnąłem do księgi akt otwarcia działań Komisji, następnie prezes i moi koledzy wyszli, ażeby się udać na posiedzenie sejmowe, a ja zostałem sam z moim dziennikiem.

Na drugi dzień druga sesja. Ponieważ trzeba było coś przedsięwziąć, coś zrobić, przygotowałem kilka projektów. Był tam

<sup>1)</sup> O tej „Komisji Wojska Rzplitej Obojga Narodów“ i czynnościach w niej M. Starzeńskiego p. Korzon: „Wewn. dzieje,“ V, 31 sq.



raport do marszałków Sejmu, zawiadomienie dla wojska, rozkaz do zakomunikowania pułkom, ażeby złożono przysięgę posłuszeństwa i wierności Sejmowi, marszałkom i Komisji, oraz żądanie, ażeby dostarczonem było Komisji sprawozdanie szczegółowe o stanie i rozlokowaniu wszystkich wojsk w kraju. Wszystkie te wnioski przyjęto, a ja się zająłem rozestaniem raportów, gdzie należało. Kilkunastu młodych ludzi, należących do składu biura, wyprawiono, jako kuryerów, na prowincję.

Sesye odbywały się codziennie. Zaczęły napływać z różnych stron skargi, likwidacye, wyroki sądów wojskowych. Zrobiłem wniosek o utworzenie organizacyi wewnętrznej pomiędzy osiemnastoma członkami, którzyby się podjęli być sprawozdawcami z rozmaitych gałęzi. Projekt został przyjęty, papiery odpowiednie każdemu wydano. Cóż, kiedy dwóch tylko spełniło to, co do nich należało — Dembowski i Czapski, pułkownik — inni ani papierów, ani raportów żądnych nie zwrócili. Organizacya ta upadła.

Pracę miałem okrutną. Z tymi dwoma kolegami, pracując ciągle, zawarłem bliższą znajomość i przyjaźń. Urządzaliśmy sobie nasze małe sesye. Wciągnęliśmy do naszego kółka kilku zasłużonych oficerów, kilku inżynierów artylerji i dzięki im sprawy Komisji wojennej posuwały się naprzód. Zaproponowaliśmy marszałkom Sejmu, ażeby nam było pozwolonem zawezwanie po dwóch oficerów z każdej armii, z wojska koronnego i litewskiego, z artylerji, kawaleryi lekkiej i narodowej, oraz z artylerji litewskiej. Żeby oficerowie ci, jako sprawozdawcy, mieli głos doradczy, ażeby za to otrzymywali jaką niewielką gratyfikacyę i mieli nadzieję awansu.

Oficerowie przybyli i rozpoczęły się szybkie i dokładne prace Komisji. Hr. Małachowski, marszałek Sejmu, przyjmował wszystkie wnioski Komisji wojennej, a dzięki jemu wnioski te otrzymywały zawsze większość głosów; przyznać trzeba, że Komisya żądała zawsze tylko tego, co dla dobra wojska było potrzebnem, to też miała wielki mir u patriotów.

Sejm uchwalił jednogłośnie sformowanie 100,000 wojska. Trzeba je było stworzyć. Były w Sejmie rozprawy nad unormowaniem stosunku artylerji, kawaleryi i liniowego wojska. Rozprawy te przeciągały się do nieskończoności. Nareszcie uradzono, że Komisya wojenna się tem zajmie. Komisya oddała tę sprawę do mojej decyzji. Urządziłem właśnie mały komitet, złożony z samych oficerów i ten był pod moją dyrekeyą, Bardzo mi się szczęśliwie udało, że do tego komitetu zaprosiłem dowódcę batalionu strzelców, Cichockiego. Ten Cichocki był istotnie

genialnym pod względem znajomości teoretycznych sztuki woj-skowej. Był wychowany w Dreźnie, hr. Brühl oddał go do szkoły wojskowej i następnie doszedł do stopnia pułkownika. Ożenił się z bardzo piękną panną Abselowicz, ale małżeństwo nie było szczęśliwe, rozeszło się formalnie. Był on niezmiernie czynny, pracowity, ciągle zajęty, tylko żywość nadzwyczajną trzeba było czasem poskramiać.

Dołożywszy usilnych starań, ukończyliśmy w krótkim sto-sunkowo czasie projekt sformowania 100,000 wojska. Polecono nam następnie zrobienie projektu na 60,000. Projekt przyznano. Szło tylko o wynalezienie funduszu. Podatki były ustanowione względnie do 24,000 wojska w r. 1768. Jeszcze z tych sum nie można było odrazu dojść rachunku. Trzeba się w tem było roz-poznać.

## XXVI.

Komisye powiatowe już się pozawiazywały; było ich prze-szło sto. Przez te komisye mieliśmy już pewne statystyczne wiadomości z województw i powiatów. Zaprowadzały one zgodę i pewien porządek pomiędzy żołnierzami, przyzwyczajonymi do-wolnie ściągać z ludności zboże, siano, podwoły, a pokrzywdzo-nem ziemiaństwem. Na przedce ustanowiono zdwojony podatek i wysłano komisarzy dla rozpatrzenia się w dochodach starostw, ale ci komisarze jakoś długo nie wracali.

Należałem do grona tych kilku członków Komisyi, którzy wynaleźli nowy sposób powiększenia kawaleryi. Mieliśmy w Pol-sce 96, a w Litwie 32 szwadrony kawaleryi, każdy szwadron li-czący 22 ludzi. Byli to tak samo ułani i huzarzy, jak i ci, któ-rzy przez kilka wieków wysoko sztandar Polski trzymali i za czasów Jana Sobieskiego Wiedeń obronili. Kawalerya ta z bie-giem czasów znacznie umniejszoną została, szczególniejszą ustawa- roku 1717. Jednakże zachowała tradycyjną dzielność, dumę i od-wagę. Sam król był pułkownikiem. Najbardziej elegancka mło-dzież starała się o honor otrzymania stopnia i noszenia munduru kawaleryi narodowej. Szwadrony komenderowane przez rotmistrzów trzymały straż wzdłuż granic kraju.

Przygotowywano po trochu umysły, a jednego pięknego dnia wyszło prawo, które nakazywało 128 rotmistrzom powiększenie w ciągu sześciu miesięcy każdego szwadronu do liczby 150 *swoim*



*kosztem*, pod utratą stopnia. Komisya wojenna miała sobie polecone dopilnowanie wykonanie tego prawa, przytem było powiedziane, że skoro szwadron już zostanie sformowany i umundurowany, będzie wypłacona kapitanowi suma 27,000 złp. na utrzymanie tegoż szwadronu. Czy uwierzyłby kto w możność wykonania takiego planu w każdym innym kraju? Zagraniczni posłowie i spektatorzy zebrań sejmowych uśmiechali się pogardliwie; niektórzy członkowie mojego małego komitetu, Sasi, Prusacy i Niemcy przepowiadali mi ogromną kompromitację, mówiąc, że nic z tego nie będzie. Jeden nawet książę krwi królewskiej zawyrokował głośno w Sejmie, że jeżeliby coś z tego było, to tylko licha zbieranina. A tu tymczasem Komisya wojenna przez cztery tygodnie codziennie zajęta była przyjmowaniem panów rotmistrzów i kapitanów, którzy przybywali dla złożenia przysięgi, odbierania rozkazów, gdzie, w których powiatach wolno im będzie werbować ochotników i skąd mają składać raporta? Było może z dziesięciu takich kapitanów, którzy wymówili się podestłym wiekiem i ułomnościami, ale przedstawiali na to miejsce zastępców młodych, którzy im jeszcze po kilkaset dukatów dali za usunięcie się z tego posterunku.

Regimenty kawaleryi, dragonów i ułanów otrzymały ten sam rozkaz zapełnienia kadrów swoich szwadronów. Regimenty artyleryi powiększały też swoje szeregi w miarę dopełniania rezerwowych funduszków kas pułkowych. Słowem — nietylko piechota, artylerya, ale kawalerya doszła w krótkim czasie do wypełnienia zamierzonej cyfry 60,000, bez żadnego nigdzie nadużycia, ani skargi. We wrześniu 1790 r. porożysłano oficerów na rewję tych nowych szwadronów, ubranych, zaopatrzonych w broń, konie i już wcale nieźle wyćwiczonych.

Miałem ciągle ogromną pracę, utrzymując mój wielki dziennik, załatwiając interesy Komisyi, w czem mi był główną i jedyłą pomocą szanowny pan Tadeusz Dembowski, z tem wszystkiem upadałem prawie ze znużenia. Powołałem do Brańska szwadron, który był w mojem starostwie i postanowiłem go swoim kosztem doprowadzić do porządku. Taki był napływ ochotników.

Upatrzywszy wolną chwilę, pośpieszyłem do Brańska, ażeby niespodzianie zejść mój szwadron. Przybyłem tam jeszcze przed wschodem słońca, zatrzymano mnie, zaczęto indagować, gdzie, skąd jądę, aż gdy poznano, kto jestem, zagrzmiała trąbka i w przeciągu ośmiu minut cały szwadron stał już pod bronią. Był ze mną oficer kawaleryi, któremu polecono z Komisyi zrobić przegląd tego szwadronu w najmniejszych szczegółach. Wszystko,

ludzie, konie i broń, w największym znajdowały się porządku. Mustra i obroty wojenne udały się także. Rachunki były jak najlepiej prowadzone — pozostawało mi tylko rozdać trochę pieniędzy, kilka beczek piwa i w końcu przyrzec całemu oddziałowi, że skoro wypadnie już potrzeba, pierwszy w ogień wysłany będzie.

Wróciwszy do Warszawy i uzyskawszy od Komisji pochwałę, dostałem rozporządzenie wyprawienia tegoż szwadronu podług wskazanej marszruty dla złączenia się z brygadą, do której został włączony. Zamiast więc lichej zbieraniny, jak nam przepowiedano, mieliśmy w Koronie ośm brygad, a w Litwie cztery, każda po dwanaście szwadronów.

## XXVII.

Rezultatem nowych sejmików było ukazanie się na arenie politycznej nowych potęg oratorskich. Zajmowano się w sekrecie odnowieniem konstytucyi. Przywiązywano do tego wagę nadzwyczajną.

Podsunięto mi myśl zrobienia projektu organizacyi Komisji wojennej. Mieliśmy dotąd tylko czternaście artykułów, nakreślonych na prędce, te miały nam służyć za podstawę. W ciągu Sejmu były wydawane prawa, określające nasze dodatkowe obowiązki. Ponieważ więc przyszło od marszałków sejmowych napomknienie zrobienia nowego projektu, więc w naszym małym Komitecie zbraliśmy się i zreferowali całą ustawę wojskową, mającą być włączoną do nowej konstytucyi. Marszałek ją przyjął i oddał deputowanemu Linowskiemu, któremu poleconem było przygotowanie ustawy. Linowski przedstawił ją Sejmowi, jako swoje dzieło.

Nareszcie Konstytucya 3-go Maja była zredagowaną, czytana, dyskutowaną i po wielu debatach przyjętą i sankcyonowaną przez Sejm. Gwarancye trzech mocarstw usunięto. Kilku deputowanych, którym się zdawało, że odnieśli trzy wielkie zwycięstwa nad trzema sprzymierzonymi mocarstwami, mieli mowy bardzo nieogłędne. Pierwszy raz w życiu byłem świadkiem widoku 400 osób rozpromienionych najżywszą radością. Spektatorzy i spektatorki, siedzące w łóżach, klaskali w ręce, oddając cześć temu wielkiemu dziełu.

Ambasadorzy, nie umiejąc ukryć niezadowolenia, zachowywali głuche milczenie. Tylko pruski tryumfował. Zrobiono wniosek udania się korytarzem z zamku do kościoła Ś-go Jana. Rzu-



cono się do wyjścia i zaśpiewano *Te Deum*. Marszałkowie Sejmu nakazali salwy armatnie—i były potem bale, obiady do nieskończoności. Ażeby upamiętnić po wszystkie czasy drogą krajowi rocznicę, postanowiono za rok, t. j. w 1792 r., obchodzić solennie ten dzień. Proszono króla, żeby wybrał miejsce i wyznaczył plan na mający się wystawić kościół albo kaplicę, gdzieby Konstytucya wraz z listą wszystkich członków Sejmu zachowaną była.

Rosya tymczasem prowadziła wojnę z Turcyą. Austria, straciwszy wybór swoich wojsk, zawarła osobny na swoją rękę pokój, zadawalając się małą częścią Mołdawii, ale oddała Belgrad, Sabacz i kilka innych fortów, zdobytych przez Laudona. Prusy złożyły Sejmowi powinszowania szczęśliwego rezultatu obrad.

Marszałek Sejmu, Małachowski, postanowił ostentacyjnie pochwalić się nowem wojskiem, urządzając rewię i manewry. Staraliśmy się całemi siłami odwieść go od tego projektu, gdyż był to czyn wielce niepolityczny, że słabe te siły, 60,000 ludzi, mogły oprzeć się zaledwie jednej z trzech potencji, ale nas nie posłuchano, wielkie manewry zostały nakazane. Miały się odbyć w trzech miejscach: 1) w Braławiu nad Bohem, pod przewodnictwem ks. Józefa Poniatowskiego; 2) w okolicy Puław pod rozkazami ks. Württemberskiego; 3) pod Warszawą miała wystąpić gwardya królewska, regiment wojska liniowego, artylerya i pułki kawaleryjskie. Prosiłem marszałka Sejmu o pozwolenie zwiedzenia dwóch obozów. Chciałem rozpatrzyć się w dokładności całkowitego uzbrojenia. Miałem towarzyszyć hetmanowi litewskiemu, Ogińskiemu.

Książę Ogiński zaczął od rewii warszawskiej. Ks. Józef Poniatowski dyrygował nią osobiście. Udała się doskonale. Przypatrując się obrotom, jako obserwator, w pośród publiczności zauważyłem kilku oficerów pruskich, między innymi generała Kalkreuta, którzy, po cywilnemu ubrani, bardzo się także pilnie przyglądali. Słyszałem nawet ich uwagi.

Byłem potem w Gołębju. Nic nie można było zarzucić porządkowi i doskonałemu wyćwiczeniu regimentów. Nareszcie udało się do Braławia. Tam, dzięki generałowi Kościuszce, który pomagał ks. Józefowi w mustrowaniu dywizyi, byłem prawdziwie zachwycony, jak wszystko szło doskonale. Bardzo wielu młodych ludzi z najpierwszych rodzin pośpieszyło stanąć pod rozkazami ks. Józefa i gen. Kościuszki; to też ta mała armia 20,000 stanowiła korpus wyborowy, doskonale przytem zaopatrzony w artyleryę, pontony, wozy, amunicyę i konie. Wyraziłem mój zachwyt, a także i pewne uwagi ks. Poniatowskiemu. Przyznał mi słusz-

ność i poprosił o zredagowanie moich obserwacji na piśmie, co też uczyniłem, a zarazem prosiłem o pozwolenie złożenia 500 dukatów na mały poczęstunek dla wojska.

Były następnie manewry z zasadzkami. Na jednym z takich asystowałem zawsze na koniu, przeznaczonym dla mnie przez ks. Józefa albo przez generała Kościuszkę, zauważyłem czterech cywilnie ubranych panów, którzy wszystko pilnie obserwowali, poznałem zaraz, że to oficerowie rosyjscy. Kiedy zaskoczona niespodziewanie jedna brygada robiła odwrót doskonale wykonany, jeden z tych oficerów mówił do drugiego.

— Widzisz pan, nasza cesarzowa miała wszystkich Polaków w worku, ale zapomniała go sznurkami związać, i oto, co wyrażają, będziemy mieli robotę, aby ich napowrót do worka zapakować.

Opowiedziałem to ks. Józefowi, posłał na pocztę zapytać się, kto byli ci panowie. Byli to oficerowie delegowani przez feldmarszałka, hr. Rumiancewa, dla obserwowania rewii.

Wróciłem do Warszawy, zdałem raport królowi i marszałkowi Sejmu i powróciłem do swoich zajęć.<sup>1)</sup>

Wszystkie osoby, rozsądniej zapatrujące się na rzeczy, wiedziały dobrze, że Rosya jednym zamachem swoich licznych wojsk może zgnieść naszą małą armię. Jakież to ogromnie długie linie graniczne mieliśmy do pilnowania! Od ujścia Niemna, aż do Mołdawii. Przypuściwszy nawet neutralność Austrii... a gdyby król pruski nas zdradził? Ale wielkie geniusze nie łatwo się dadzą zbić z tropu.

— Mój kochany — mówił do mnie, uspakajając mnie hr. Małachowski — nie mogę ci w tej chwili wyjawić tajemnicy stanu, ale ci powiem tylko, że jesteśmy pewni króla pruskiego, traktat zaczepno-odporny będzie zawarty. Będzie tylko 30,000 wojska zapewnionych, ale to tylko dla formy; tam formują duże wojsko, on nas podtrzyma. Co do Turcyi, to posyłamy tam ambasadora, który nie dopuści do pokoju z Rosyą, innego wyprawiamy do Szwecyi, która na północy robi dywersyę, zresztą zrobimy pospolite ruszenie.

— Bardzo to dobrze, ale skąd wziąć broni, amunicyi, oficerów? Zniecierpliwiał się trochę marszałek.

— Bądź pan spokojny, broń się znajdzie; pan zawsze widzisz wszystko w czarnych kolorach i to jest twoja jedyna wada.

Zima zeszała na balach i ucztach. Depesze naszych ambasadorów przynosiły nam nadzieje oparte na złudzeniach.

<sup>1)</sup> Por. Korzon l. c. V, 90—94 i K. Górski: „Hist. jazdy pol.”, 253 sq.



## XXVIII.

Nareszcie z wiosną powrócił nasz umocowany pełnomocnik Deboli z Londynu. W listach swoich ostrzegał, żeby nie rachować na króla pruskiego, że ma w rękę dowody jego zdradzieckiej chytrłości, nakoniec zażądał, żeby go koniecznie odwołano i przywiozł z sobą bardzo ważne dokumenty na potwierdzenie swoich dowodzeń. Zrobił się ruch w radach, ale wszystko zaspokoił prędko Lucchesini.

— Idzie tu przedewszystkiem—inówił on—o trochę uczynności ze strony Sejmu, o ustąpienie Prusom Gdańska z obwodem; król pruski podejmie się tak ufortyfikować miasto, że będzie nie do wzięcia dla Rosyi; zrobi się przytem mały traktacik handlowy i wszystko będzie dobrze.

Rozpoczęto więc rozbierać tę kwestyę i debatować nad układami.

Król, otrzymawszy przez Konstytucyę 3-go Maja powiększenie swoich prerogatyw i atrybucyi, był przekonany, że już wszystko zrobił, co do niego należało i oddał się z zapalem pomnikowi Jana Sobieskiego w Łazienkach. Żołnierze plantowali grunt wokoło, mularze kopali fundamenty; zwożono materiały, zabierano się do budowy kościoła; skomponowano bardzo piękną muzykę, której próby odbywały się u Ś-go Krzyża, albo w Zamku. Wiele osób przybyło z prowincyi i z zagranicy, ażeby się tym przygotowaniom przypatrzeć. Namawiano nas, ażeby wprowadzić dwa wyborowe szwadrony gwardyi narodowej.

A tu tymczasem zaczęły przychodzić wieści od tych oddziałów, co stały wzdłuż granicy, o zbliżaniu się wojsk rosyjskich do kraju. Formowały się nieopodal granicy korpusy pod wodzą takich a takich generałów, tyle a tyle przygotowywano armat, przeważnie dużego kalibru, naprawiano drogi, jednym słowem szykowano się do zajęcia kraju. Pokój z Turkami był już prawie zawarty. Żydzi ogromnie się kręcili, przygotowując potajemnie zapasy zboża i siana dla wojsk rosyjskich. Wszystkie te okoliczności zapowiadały rychłe wtargnięcie wojsk w ilości około 200,000, podzielonych na trzy korpusy.

Ponieważ zbliżała się pierwsza rocznica 3 Maja, dano nam w Komisyi wojennej poufnie znać, że jego królewska mość życzy sobie, żeby na tę uroczystość przybył także jego bratanek, książę Józef Poniatowski, wraz z kilku oficerami jego wyboru. Czulem dobrze, że tak książę Józef jak i jego przyjaciele stanowili

prawdziwą siłę swoich oddziałów. Książę Würtemburski także życzył sobie przybyć na ten czas do Warszawy; jakby się jednemu pozwoliło przyjechać, trudno było drugiemu zabronić.

Król wezwał mnie do siebie i powiedział:

— Ażeby przybyć do Warszawy, nie trzeba więcej jak trzy albo cztery dni, tyleż do powrotu. Obecność mojego bratanka jest mi tu konieczną. Bardzo będę pana prosił, żebyś się temu nie sprzeciwiał.

Rozkaz wysłano. Stronnictwo księcia Adama Czartoryskiego zażądało urlopu dla księcia Würtemburskiego, tenże dla swoich przyjaciół oficerów. Marszałek sejmu, Sapieha, zażądał pozwolenia dla swoich Litwinów; w przeciągu kilku dni przeszło 200 oficerów przybyło ze swymi adjutantami, ordynansami i służbą.

Mój szwadron i Ożarowskiego, również formowane na Podlasiu, były bez zaprzeczenia najpiękniejsze z pomiędzy wszystkich nowoutworzonych. Przybyły na przedmieście na Pradze pod dowództwem majora, który ich doskonale wyćwiczył w służbie. Przedstawione Komisji, uzyskały wyróżniające pochwały. Ludzie, konie, mundury, broń były w najlepszym porządku. To też postanowionem było, że w ów dzień, 3 Maja, będą stały w paradnej formie naprzeciw Ś-go Krzyża, a 64 towarzyszków z obu szwadronów będzie ustawionych w kościele szpalerem od wejścia aż do prezbiterium, następnie zaś ci sami będą trzymali straż przy zakładaniu fundamentów kościoła. Tak to nas wszystkich absorbowowało, żeśmy zapomnieli na tę chwilę o pracach Komisji, bo musiałem także asystować przy próbach muzycznych, któremi dowodził Włoch Polani, mój nauczyciel skrzypców; miał on także wystąpić z kilku aryami solowemi. Zresztą musiałem i swoich towarzyszków trochę pomustrować, bo nie byli przyzwyczajeni do miejskiego bruku.

Wilią wielkiego dnia uroczystości rozdano wszystkim programy i rozkazy, gdzie się kto miał znajdować. Ci, co byli przeznaczeni do asysty królowi, udali się do zamku. Przeszło czterystu kawalerzystów otrzymało pozwolenie zajęcia wraz z koźmi dziedzińców zamkowych. Kościół Świętego Krzyża urządzono prawie że teatralnie, damy pozajmowały miejsca względnie do swoich stanowisk społecznych. Księżna Kurlandzka, jaśniejąca strojem i wdziękami, znajdowała się wpośród rodziny królewskiej. Wpuszczano tylko za biletami. Pomiędzy zamkiem a kościołem Ś-go Krzyża nieprzeliczone tłumy zalegały ulice. Nareszcie zawiadomiono króla, że już wszystko gotowe, rozpoczął się pochód. Pierwszy raz w życiu widziałem taki świetny ceremoniał. Jecha-



łem konno w orszaku królewskim wraz z jedną trzecią moich kolegów. Postarałem się także pięknie być wyszykowanym. Cała ceremonia kościelna odbyła się z nieopisaną świetnością i porządkiem. Wielkie drzwi kościelne były otwarte, od czasu do czasu rzucałem tam okiem i zauważałem, że pióropuszanami moich oficerów i towarzyszy silnie wiatr rozwiewał. Podnosiły się tumany kurzu, zapowiadała się burza. Rozpoczął się znów pochód z kościoła; miała się dopełnić druga część ceremoniału. Jego królewsku mość wyszedł na ganek kościelny. Uderzono w dzwony, rozległy się salwy armatnie, ale jednocześnie nadciągnęła okropna burza z błyskawicami, piorunami i straszną ulewą. Zrobiło się ogromne zamieszanie. Kto mógł, chronił się do powozów albo w bramy domów. Jechałem z początku konno w orszaku królewskim, ale skoro zaczęły lecieć z góry dachówki, okna, szyldy, wysunąłem się bokiem i powróciłem do domu. X

Opowiadano potem, że kiedy już dojechano do wzgóрка, gdzie król położył pierwszy kamień w fundamenty kościoła, burza rozszalała się już na dobre. Były tam mowy, których nikt nie słuchał, salwy armatnie nie w porę uderzone dla zagłuszonych hałasem wichru komend, poczem każdy jak mógł wracał, a raczej uciekał do domu. Wiele osób było poranionych spadającymi przedmiotami. Widziałem powracający mój piękny szwadron. Wielki Boże, jakże wyglądał! pióropusze połamane i zmoknięte, towarzysze otuleni w płaszcze, z których się woda lała! Burza ta wielkie porobiła szkody w mieście i okolicy—pozywiała dachy, powywracała domy, połamała wiele drzew w lasach. Skoro przeszła, nastąpiła cisza, a z ciszą i rozwaga. Przypomniano sobie o zbliżającym się niebezpieczeństwie najazdu. Zaczęto się przygotowywać do obrony. Książę Józef wiedział, co się nad granicami dzieje, ale przy wielkich swoich zaletach miał jedną bardzo ważną wadę—był zanadto wspaniałomyślny i szczodry względem dam i swoich przyjaciół—dlatego też najczęściej był bez grosza. Miał długi w Warszawie, miał je i na prowincyi. Panowie oficerowie czerpali w jego kasie—i wyczerpali do dna.

Zamierzano rozpocząć kampanię; nie było ani jednego młodego oficera z przybyłych na uroczystość, któryby nie musiał rozstawać się i żegnać z jaką przyjaciółką.

Aż tu minister rosyjski złożył deklarację w sejmie, że cesarzowa zamierzyła przysłać korpus wojsk swoich dla ochrony mienia prawych obywateli przeciw wichrzycielom. Ci prawi obywatele narodu byli w tym manifeście wyszczególnieni. Hrabia Szczyński Potocki, wojewoda ruski, czy przez osobistą ambicję,

czy też źle zrozumiany patryotyzm umyślił, że jedynym środkiem ułagodzenia rozgniewanej cesarzowej jest wystąpienie na czele nowej konfederacyi przeciw konfederacyi warszawskiej. Udało mu się wciągnąć do swojej partyi tych, którzy nie dowierzali Prusakom, a widzieli zbawienie tylko w opiece Rosyi. Stronników Rosyi było dużo nie tylko w sejmie ale i w komisjach. Była to kwestya poglądów. W sejmie dzieliły się jeszcze stronnictwa, z których jedne opierały się na sojuszu pruskim, drugie sympatyzowały z rewolucją francuską. Te dwie partye łączyły się przeciw Rosyi. W tych to okolicznościach odbywały się po pałacach wielkich panów, mających głos przeważny w sejmie, narady i rozprawy bardzo nieraz burzliwe, ale ostatecznie nic nie uradzono.

A tymczasem wojska rosyjskie weszły kilkoma drogami do kraju. W niektórych miejscowościach awangardy rosyjskie były odepchnięte przez nasze małe oddziały graniczne. Mieliśmy raporty z całej linii.

Nasz mały komitet sformował zaraz plany i wyznaczył miejsca zajmowane przez nasze wojska, i te, które zajęli Rosyanie. Książę Józef Poniatowski czuł dobrze, że jego honor wojskowy ucierpi na tym przedłużonym pobycie w Warszawie. Wyprawił więc do pułku wszystkich oficerów, co z nim razem przybyli.

Budżet wojenny zawierał osobny nadzwyczajny fundusz na czas kampanii—były przeznaczone sumy stołowe dla generałów dywizyi, dla księcia Józefa i dla księcia Württemberskiego, ale trzeba było te sumy pozmieniać na dukaty—to wszystko jeszcze nie było gotowe.

A tam nad granicą już się kroki wojenne rozpoczęły. Generał-major Kościuszko, dowodzący w czasie nieobecności księcia Józefa, zgromadził swój niewielki korpus i manewrował nim tak doskonale, że chociaż tu był kraj płaski i zaledwie kilkoma groblami wśród stawów poprzerynany, nigdzie nie dał się podejść, ani otoczyć i utracił tylko dwa szwadrony, które się znalazły na tyłach armii rosyjskiej, były otoczone i jak lwy się broniły.

I pomyśleć sobie, że gdyby nie ta uroczystość 3 Maja, księżę Józef taki ukochany przez całą młodzież polską mógłby być podwoić swoją armię, powstrzymać gorliwość Targowicy, uratować magazyny, wzmocnić kilka pozycji, a odniósłszy choć jedno zwycięstwo, pociągnąć za sobą całe zastępy mieszczan, chłopów i drobnej szlachty. Powaby stolicy wszystko to zniweczyły. Oprócz tych kilkunastu oficerów, którzy mu towarzyszyli i co znali go osobiście, całe wojsko i młodzież kraju o nim zwątpili, mieli go za zdrajcę, a generała Kościuszkę za jedynego zbawcę Ojczyzny.



Nareszcie książę Poniatowski przybył i znalazł swoje trzy kolumny cofające się pod naciskiem nieprzyjaciela, wówczas robił, co tylko było można, ażeby odzyskać straconą opinię. Stał na czele kolumny środkowej i czekał chwili odznaczenia się jakim dzielnym czynem. Ale główne magazyny żywności i amunicyi były już wtedy w rękach nieprzyjaciela, albo spalone. Armia rosyjska pod dowództwem generała Kachowskiego postępowiała w głąb kraju, poprzedzona przez awangardę, złożoną z ośmiu czy dziesięciu tysięcy wojska, którą prowadził Markow.

Ta awangarda przedstawiała księciu Poniatowskiemu sposobność oczekiwaną. Wydał rozkazy i o wschodzie słońca stanął wobec nieprzyjaciela. Bitwa rozpoczęła się kanonadą tak dobrze prowadzoną, że Rosyanie byli zmuszeni pozostać w swoich dawnych pozycjach, gdyż wszystkie ataki odparto. Cztery najlepsze regimenty, do połowy zniszczone, nie chciały iść naprzód. Pod wieczór Markow, otrzymawszy posiłki próbował jeszcze raz atakować nasze oddziały z czterema regimentami. Brygada Wielhorskiego i ułani prawego skrzydła natarli tak w porę, że cztery regimenty odrzucone zostały za wieś Zieleńce i wpędzone na bagną. Wieś tę spalono, zabrano 800 koni uciekającym. Noc nadeszła. Książę dał chwilę odpocząć żołnierzom, ale lękając się być otoczonym przez nadchodzącą pobitym pomoc, wyruszył w wielkim porządku na dawne pozycye.

## XXIX.

Sejm dalej trwał jeszcze. Stronnicy Prusaków i stronnicy rewolucyi francuskiej zaczęli myśleć o zabieraniu się do domów. Król był spokojny, bo ufał we wspaniałomyślność cesarzowej, wierzył w magiczną siłę swojego talentu korespondencyjnego i w swoją dyplomacyę. Bojaźliwszego serca skupiali się naokoło króla, któremu sejm przyznał naczelne dowództwo wojsk. Komisya wojenna stała się biurem ekspedycyjnem, a król utworzył swój własny mały komitet czyli radę wojenną dla kierowania ruchami wszystkich wojsk.

Wyprawiliśmy transport amunicyi dla zastąpienia zużytej pod Zieleńcami, gdzie bitwa trwała od wschodu słońca aż do 9 godziny wieczorem.

Raport księcia Józefa był krótki i skromny. Oddawał sprawiedliwość Kościuszce, który dzień cały nieustannie osłaniał lewe

skrzydło Poniatowskiego przeciw kolumnie dowodzonej przez Lewanidowa. Skromność ta dopiero wyszła na jaw, kiedy przytrzymano na poczcie korespondencję ruską. Sprawozdanie rosyjskiego komendanta było bardzo szczegółowe. Donoszono tam, że mieli 4,500 żołnierzy zabitych, nie licząc rannych i zaginionych.<sup>1)</sup> A więc książę Józef Poniatowski postąpił bardzo szlachetnie i odzyskał zupełnie nadwerezoną opinię wojskową. Król postąpił mu rozkaz zwrócenia i skoncentrowania sił pod Dubienką, miał przejść Bug i unikać wszelkiego spotkania z nieprzyjacielem, bo to by tylko przyczyniło się do większego rozdrażnienia.

Honor wojska polskiego uratowany był pod Zieleńcami. Na Litwie te same przyczyny, które sprawiły chwilowe zamieszanie w korpusie księcia Poniatowskiego, wniosły też ferment do wojska litewskiego. Książę Ludwik Württembergi, zięć ks. Adama Czartoryskiego, otrzymał naczelne dowództwo wojsk litewskich. Doręczono mu 12,000 dukatów na koszty wojenne. Wyprawił dwóch oficerów pruskich na Litwę, aby tam odszukali i wskazali, gdzie konsystuje wojsko litewskie; sam zaś udał się do Wołczyzna, majątku swego teścia, i tam się jaknajspokojniej zabawił. Tymczasem korpus Kreczetnikowa wszedł do Litwy, a drugi 10,000-czny udał się na Polesie, z zamiarem złączenia się z armią generała Kachowskiego.

Czy książę Württembergi otwarcie zdradzał? tego nie umiem powiedzieć. Może wierzył w sojusz z Prusami. Posłano deputację do króla pruskiego z żądaniem, ażeby stosownie do umowy przysłał 30,000 wojska. Przyszło 30,000 Prusaków i rozciągnęło się na granicy tego kraju, którego król pruski gorąco pożądał i który mu nieledwie że obiecano za zdradę. Nie omieszkał jednakże dołączyć deklaracji, że obiecał przysłać to wojsko prawej i zdrowej partyi narodu polskiego, a nie demagogom i rewolucjonistom francuskim — to też, dodaje, wojska posłane czynnemi nie będą.

W tym czasie przytrzymano strzelca księcia Württembergiego, który to strzelec wyprawiony był do Berlina z listami bardzo kompromitującymi. Ostrzeżony książę przybył do Warszawy szukać protekcyi, ale widząc, że się na nim poznano, zażądał dymisyi, którą przyjął. Zamianowano na jego miejsce Michała Zabiełłę, najpiękniejszego naówczas mężczyznę w Warszawie — zo-

<sup>1)</sup> Cyfry te nie są dokładne, raport rosyjski podaje nieprawdopodobnie niską liczbę 707 zabitych i rannych. Por. Tadeusz Soplica: „Wojna polsko-rosyjska 1792 r.“ (Kraków 1906), t. I, 216 sq.



stał generał-leutenantem i wyprawiono go na Litwę dla zgromadzenia wojsk. Było tam wtedy w wojsku kilku starszych i doświadczonych oficerów, którzy robili co mogli, ażeby trapić i nużyć Kreczetnikowa.

Książę Kazimierz Sapiela, marszałek sejmu dla Litwy, był jednocześnie naszym szefem i naszym podwładnym, dwie pozycye bardzo z sobą niezgodne. Podjął się dostarczania wszelkiej amunicyi dla artyleryi litewskiej, której fundusze były złożone w kasie pułkowej. Książę miał tylko jedną wadę, to jest, że nie lubił żadnej rachunkowości, a był wielkim rozrzutnikiem i miał tysiące długów. Byliśmy w trudnem położeniu, kiedy przychodziły likwidacye podpisane ręką księcia na zakupione amunicye, a myśmy w Komisyi przyjąć ich nie mogli. Książę jako marszałek sejmu był nietykalny.

Mały komitet wyprawił park artyleryi wraz z amunicją i te przyszły na czas. Mieliśmy w Warszawie naszego dowódcę artyleryi hrabiego Stanisława Potockiego, który posiadając wiele talentów cywilnych, był za to pozbawiony wszelkich znajomości wojskowych. Musiał jednakże być czynnym. Pojechał pocztą z Warszawy do Miru i przybył w chwili, kiedy jeden oddział wojska litewskiego rozprawiał się z przemagającymi siłami korpusu Kreczetnikowa. Przybył i mógł tylko skonstatować cofanie się naszego oddziału. Nie miał więc czasu na żadną akcyę wojenną, tylko zawrócił i tym samym powozem chory i zdemoralizowany do Warszawy przyjechał. Służba jego rozpuszczała przesadzone wieści o niesłychanej klęsce.

Trzeba było energicznie się wziąć i poprawić położenie na Litwie. Król zdecydował się na sformowanie niewielkiego rezerwowego korpusu. Utworzono go z samego wyborowego wojska. Składał się z dwóch regimentów gwardyi, jednego ułanów królewskich i dwóch batalionów wojska liniowego oraz parku artyleryi—korpus ten oddany był pod dowództwo dzielnego generała Byszewskiego. Wyruszył on ku Litwie. Był zamiar, że i król pojedzie do armii, ale do tego nie przyszło.

Według rozporządzenia króla, książę Poniatowski rozstawił swoje wojsko wzdłuż linii Bugu na przestrzeni 12 czy 15 mil. Generał Kościuszko z rozkazu księcia Józefa z dwunastoma batalionami liniowymi i z dwudziestoma szwadronami kawaleryi udał się pod Dubienkę. Wody były podówczas niskie, rzeki prawie wszędzie przejechać lub przejść było można łatwo. W pozycyi, w jakiej się znajdował, groziło mu obejście i otoczenie od strony granicy austriackiej, którą mogli byli Rosyanie przejść,

choćby naruszając neutralność tego państwa. Ponieważ rozkaz pozostania w tym miejscu był stanowczy, Kościuszko zatem musiał się okopać, tak na piaszczystym brzegu Buga, jako też i na twardszym gruncie dalej od rzeki. Cały front reduty był obstawiony nawpół poprzycinanymi krzakami dla utrudnienia dostępu.

Wielki hetman Branicki, prezes naszej Komisji wojennej i bardzo wielu członków i partyzantów konfederacji Targowickiej znajdowało się tymczasem w obozie rosyjskim. Spostrzeżono tam odciągnięcie Kościuszki, co było rzeczywiście tylko zmianą pozycji. Pułkownikowi Palembachowi rozkazano przejść ze swoim oddziałem przez granicę austriacką i otoczyć Kościuszkę w jego pozycji nadrzecznej. Pułkownik ten zrobił zakład, że otoczy oddział i weźmie go bez wystrzału tylko za pomocą białej broni. Rosyjanie przeszli rzekę w kilku miejscach, a wyżsi oficerowie ucztowali tymczasem w obozie. Pierwsze kolumny, które przeszły, zdziwiły się bardzo, zastawszy pierwsze reduty niezajęte na piaszczystym gruncie—pomknęły się więc do krzaków i wtedy rozpoczął się siarczysty ogień krzyżowy. Nadeszły drugie kolumny oraz kawalerja, po długim dosyć oporze zaczęły zdobywać redutę. Jedna z najłabszych brygad kawalerji wielkopolskiej zaczęła najpierwsza zrykać w zamieszaniu. Największe starania Kościuszki, aby ją powstrzymać, nie pomogły, szanśce frontowe zdobyto, nasze bataliony cofnęły się czworobokami. Stary generał-major Wielowieyski zdołał ustawić ich wzdłuż pod lasem. Kolumny rosyjskie po ustaniu bitwy sformowały się nanowo, przy naszem wojsku zostały dwa szanśce prawego skrzydła, obsadzone dwoma batalionami strzelców i jednym regimentem ułanów pod dowództwem generała Karwickiego. Dzielny pułkownik Szuczkowski zaproponował Karwickiemu w razie koniecznej potrzeby plan rejterady, a przytem wymianę słowa honorowego, że trzymać się będą do ostateczności.

Zaledwie rozlokowali swoje siły, gdy dano znać, że od granicy galicyjskiej z lasu wynurza się dwadzieścia szwadronów, dowodzonych przez Palembacha. Popodcinane krzaki sprawiły pewne zamieszanie w ataku. Pułkownik Palembach z kilkoma wyższymi oficerami, wpadłszy na redutę, byli zabici. Generał Karwicki doskonale uchwycił chwilę natarcia swymi ułanami, szwadrony rosyjskie, utraciwszy wielu żołnierzy, poszły w rozsypkę. Szuczkowski i Karwicki, zabrawszy ośm armat, w porządnym czworoboku cofali się ku brzegowi lasu, przy którym Wielowieyski rozstawił poprzecznie oddziały. Czworobok ten był w ciągu marszu nieustannie napastowany przez konnych i pieszych kozaków, ale rozbić się nie dał i doszedł do celu.



Rozpisałem się dłużej nad tą historią walki pod Dubienką, gdyż tu był początek wspólnego nieporozumienia księcia Józefa z generałem Kościuszką, a zatem i pomiędzy ich stronnikami. Generał Kościuszko, uniesiony ucieczką dwunastu szwadronów brygady wielkopolskiej i kilku batalionów z lewego skrzydła reduty, skoro o parę mil stamtąd ich zatrzymał i starał się napowrót sformować, wysłał zaraz raport do księcia Józefa, w którym mówi, że był atakowany w swoich pozycjach, że brygada kawaleryi nie dotrzymała placu, rozpoczęła ucieczkę, która pociągnęła inne bataliony, że nie ma żadnej wiadomości o szwadronach prawego skrzydła, że zważywszy ogromną przewagę sił nieprzyjacielskich przypuszczać należy, iż chociaż walczyli do upadłego, jednakże oprzeć się nie zdołali i że prawdopodobnie utrata takich oddziałów z trzema takimi dowódcami jak Karwicki, Szuczkowski i Wielowieyski jest klęską bardzo dotkliwą.

Książę Poniatowski przesłał swój raport królowi przez Komisję wojenną, raport jak zawsze krótki i lakoniczny i dołączył do niego raport Kościuszki. Kościuszko co prawda w całej tej historii nie stracił więcej nad 400 żołnierzy, kiedy Rosyanie mieli 5,000 zabitych. <sup>1)</sup> Pułkownik Karwicki, który był z temi wiadomościami wyprawiony jako kuryer, miał osobiście dostarczyć szczegółów dnia całego.

Teraz się dopiero rozpoczęły rozprawy nad tą bitwą pomiędzy stronnikami księcia Józefa i Kościuszki. Stronnicy księcia mówili, że Kościuszko nie z rozkazu księcia tylko sam zmienił pozycję, że rozpoczął jeden z pierwszych ucieczkę, że nie nie zrobił, ażeby ratować swoje prawe skrzydło i że przysłał raport księciu z miejsca, o cztery mile oddalonego od bitwy. Stronnicy Kościuszki na to odpowiadali, że przeznaczono Kościuszce stracony posterunek przez złość i zawiść; że znając doskonale warunki miejscowe, Kościuszko musiał zmienić pozycję i że ta była doskonale i konsekwentnie wybrana; że atak na reduty rozpoczął się o godzinie 10 z rana, że ogień trwał przez dzień i noc całą, a książę żadnego posiłku nie nadesłał. Ale szybki bieg wypadków powstrzymał te rozprawy. Korpus księcia Poniatowskiego zwrócił się na Kurów a Zabielły na Granne.

Król widząc, że coraz trudniej będzie wojsku polskiemu oprzeć się przemagającej i coraz to zwiększającej się sile wojsk rosyjskich, postanowił przystąpić do Targowicy. Nastąpiło za-

<sup>1)</sup> Cyfry te nie są dokładne, por. Soplica I. c., str. 384 sq.

wieszenie broni. Książę Poniatowski dostał rozkaz powrotu do Warszawy i do rozesłania swoich oddziałów w miejsca oznaczone. Książę rozkaz schował do kieszeni a chcąc zakończyć wojnę rozgłośnym czynem, wyprawił tak jakby na rekonesans jedną brygadę kawaleryi i dwa regimenty ułanów, sam stanął na ich czele. Atakowali go Rosyanie, bitwa się rozpoczęła. Dwa bataliony strzelców rosyjskich zdołało się wejść w wąwozem do wielkiej cegielni. Ta zasadzka spowodowała rozproszenie się kawaleryi—zginął tu generał-inspektor Stanisław Iliński i wielu dzielnych oficerów. Książę sam w wielkim był niebezpieczeństwie; winien był swoje ocalenie dzielności swego konia, który kilka płotów przesadził. <sup>1)</sup>

Był to znów nowy powód niezadowolenia dla przeciwników księcia, chociaż tutaj powinni byli uwzględnić jego pragnienie przedłużenia wojny, zamiast zakończenia jej tak smutno i bez pożytku dla kraju. W Kurowie przed rozejściem się w różne strony zebrało się wojsko dla ogólnego pożegnania, przyczem dało sobie słowo honoru rycerskiego, że się jeszcze kiedyś zbiorą z bronią w rękę, kiedy się odpowiednia sposobność nadarzy. Tam to był zrobiony plan Insurekcyi r. 1794.

### XXX.

Niedługo po zawarciu pokoju Kachowski z jednej strony Warszawy, Kreczetnikow od strony Pragi mieli wejść tryumfalnie do naszej stolicy; pozostawwszy w tyle oddziały, które najwięcej ucierpiały, przygotowali do wejścia sam wybór bardzo świetnie umundurowanego żołnierza; dwa te korpusy w paradnej formie weszły do miasta, udały się przed zamek i zaprezentowały się królowi, a potem poszły na kwatery dla nich przygotowane. Kilkunastu generałów, wielka liczba wyższych oficerów sprowadziwszy muzykę wojskową, przy jej odgłosie zabawiali się w publicznych ogrodach. W ciągu następnych dni dwa obozy zamienione zostały w świetne targowiska jarmarczne. Zajeżdżały najpiękniejsze ekwipaże, kabriolety, postrojone panie i panny zwiedzały obozy. Oficerowie i żołnierze robili w mieście sprawunki, płacili bez targu dobrymi pieniędzmi, kupecy więc robili dobre interesy.

<sup>1)</sup> Bitwa ta odbyła się pod Markuszewem, por. Soplica l. c., str. 421.



Nasza Komisya wojskowa spełniała dotąd swoje czynności tak, jak było dawniej z rozkazu króla. Naraz odbieramy duży list zapieczętowany pieczęcią kanclerską. Był to rozkaz zakończenia naszych sesyi, zamknięcia czynności i niewydalania się ze stolicy, zanim nie zdamy sprawy ksiąg i rachunków tak naszych, jako i komisarzy przez nas ustanowionych. Zaregistrowałem ten rozkaz i miałem zaszczyt położyć ostatnią kropkę przy zamknięciu ostatniego posiedzenia. W parę dni później wezwano nas do złożenia przysięgi na posłuszeństwo królowi i konfederacyi targowickiej.

Utworzono drugą Komisję, która nas miała zastąpić. Proponowano mi w niej miejsce, ale podziękowałem. Hrabia Ożarówski, kasztelan wojnicki, starosta suraski, sąsiad mój ze Strabli, miał być wielkim hetmanem koronnym i przydywować w nowej Komisji. Kossakowski został wielkim hetmanem litewskim. Narazie zostaliśmy wezwani do komisji egzaminacyjnej, gdzieśmy się mieli stawić w całym komplecie. Połowa członków dawnej Komisji, będąc w porozumieniu z całym składem Targowiczian, wytłumaczyła, że obecność ich przed tą komisją egzaminacyjną jest zupełnie niepotrzebna, gdyż naprawdę na sesjach nie bywali i żadnego udziału nie brali, tylko że my z Dembowskim we dwóch prowadziliśmy wszystkie sprawy wojskowe i wielki dziennik i mały sekretny, że więc my tylko najlepsze dać możemy objaśnienia. Motywy te uznano za właściwe, wyszło rozporządzenie, że się tych panów zwalnia od wszelkiej odpowiedzialności, wydano im paszporty i wyjechali, gdzie się któremu podobało. Na nas więc dwóch, na Dembowskim i na mnie, zaciężył obowiązek uratowania honoru Komisji wojennej i odpowiedzialności za czterech przesów i szesnastu nieobecnych członków tejże Komisji. Obadwaj z Dembowskim nie potrzebowaliśmy wiele czasu na przygotowania. Sesyje trwały dni szesnaście. Każdy z szesnastu członków miał u siebie listę numerów wielkiego dziennika, które to listy doręczone im były przez zdrajców i szpiegów. Archiwum likwidacyi, 34 tomy wielkiego dziennika, kilka grubych zeszytów korespondencyi komisarzy okręgowych oraz dziennik tajny wraz z odpowiednimi papierami wszystko było przepatrzone, skonfrontowane przez komisję egzaminacyjną i znalezione w największym porządku. Otrzymaliśmy ogólne pokwitowanie wraz z wyłączną pochwałą dla nas obydwóch, którzyśmy tego sumiennie pilnowali.

## Ruch literacki we Francyi.

Świetnie rozwijający się, od lat przeszło piętnastu, kierunek prowincjonalny w powieści francuskiej zyskuje dwóch nowych przedstawicieli w osobach *Pawła Ackera* i *Andrzeja Lichtenbergera*. Ale cechy tego kierunku, który odnajdujemy w ostatnich utworach powieściowych tych dwu młodych autorów, mianowicie zainteresowanie się życiem prowincyi i jej charakterem lokalnym, są tu pogłębione bolesnem uczuciem zranionego patryotyzmu i komplikują się nierozstrzygniętą dotąd (przynajmniej w przekonaniu jednej strony) kwestyą bytu i dalszego rozwoju utraconych przez Francję lat temu czterdzieści krajów—Alzacyi i części Lotaryngii. P. Acker, w „*Les Exilés*“ i A. Lichtenberger, w „*Juste Lobel, Alsacien*“, poszli za przykładem Maurycego Barrès'a, który w powieściach „*Au service de l'Allemagne*“ i „*Collete Baudouche*“ dał piękny obraz wytrwałego oporu, z jakim ludność podbitych prowincyi stawia czoło obcej przemocy.

Zapewne utwory ich nie mają świetnych w swej prostocie zalet, jakimi odznaczają się dzieła mistrza, ale są nie mniej zajmujące, dają bowiem wierne odbicie stosunków, przekonań, dążeń i nastroju ducha wśród dzisiejszego pokolenia mieszkańców Alzacyi, zrodzonego i wychowanego w warunkach, wywołanych nowem położeniem politycznem, w jakim znalazła się ich mała ojczyzna, po jej oderwaniu od Francyi, z którą się zrosła w ciągu paru wieków wspólnego bytu. Pod tym względem „*Les Exilés*“ i „*Juste Lobel*“ są to utwory identyczne co do swego celu i założenia. Przeznaczeniem obu jest w formie powieściowej, jedynie mającej widoki przystępu do szerszego ogółu, objaśnić tenże ogół francuski, zawsze nieświadomy tego, co się dzieje o miedzę, o istotnym stanie kwestyi alzacko-lotaryńskiej tak, jak się ona



przedstawia samym bezpośrednio interesowanym jego byłym współziomkom.

W obu, pierwiastek ściśle romansowy jest ograniczony do minimum i stanowi rzecz drugorzędną, będąc wistocie tylko pretekstem. Są to więc powieści przedewszystkiem ideowe z dodatkiem uczuciowości, która w pierwszej odgrywa rolę znaczniejszą, gdy w drugiej jest o wiele więcej podporządkowaną wywodom rozumowym, ale zarówno przedstawienie przedmiotu, jak wypowiedziane przytem poglądy, oraz wynikające stąd wnioski są w obu jednakowe.

Tak Klaudyusz Hering („Les Exilés), jak Justus Lobel w powieści Lichtenbergera tego tytułu, są to synowie Alzatzczyków, którzy z chwilą aneksyi opuścili ziemię rodzinną, by nie wyrzec się, dla siebie i swego potomstwa, narodowości francuskiej.

Wychowani we Francyi, są oni też Francuzami, ale tylko Francuzami. Przywiązanie, tak silne u ich ojców, do opuszczonego pod przymusem kraju, zatarło się prawie zupełnie w ich sercach i pamięci, tak, iż w obojętności dlań i nieznanomości jego warunków niewiele ustępują rdzennym Francuzom, aż do chwili, gdy przypadek, który obu zawiedzie do Alzacyi, dając im możliwość bliższego jej poznania, zbudzi w nich uspione uczucia i wskaże właściwy obowiązek, do jakiego odtąd poczuwać się będą względem utraconej ojczyzny. Klaudyusz Hering, profesor paryskiej Szkoły nauk politycznych, zaproszony, z powodu swej znajomości języka niemieckiego, przez przyjaciół z Paryża, na wycieczkę automobilem do południowych Niemiec, pozostał w Kolmarze, do czego, obok chęci odnowienia wspomnień rodzinnych, przyczyniła się niewyraźna jeszcze skłonność jego do znajomej mu również z Paryża pewnej młodej wdowy, pani Dolnay, która, przybywszy do tego miasta razem z nim, miała tu przepędzić lato w domu przyjacielskim. Odwiedzenie grobów swych przodków, które zastał w opuszczeniu, oraz domu — własności jego rodziny od kilku pokoleń, obecnie w rękach nowego właściciela, Niemca-przybysza — sprawiło na nim silne wrażenie, uczuł się dotkniętym więcej, niżeli przypuszczał, tym stanem rzeczy. Tutaj od niepamiętnych czasów żyli jego przodkowie, w zamożnym i szanowanym stanie mieszczańskim, zajmowali stanowiska w magistraturze i niejednokrotnie przelewali krew swą na polu bitwy, obok Francuzów, za wielkość wspólnej ojczyzny. Dziad jego odznaczył się w kampaniach napoleońskich, z których powrócił w stopniu pułkownika. Jego ojciec tu również zaczął swą karierę sędziowską, aż do chwili, gdy obca przemoc, zawładnąwszy

krajem wbrew woli jego mieszkańców, przerwała ten długi ciąg skromnego, lecz uczciwego, a nawet zaszczytnego bytu rodziny, z dawien dawna osiadłej w ojczysem mieście i członków jej dzisiejszych uczyniła ludźmi wykorzenionymi, niemal bezdomnymi, bez tradycyi własnej, bez przeszłości, bo takim uczuł się teraz Klaudyusz Hering na widok tych pamiątek, świadczących o węzle, łączącym tak ściśle całą jego przeszłość rodzinną z tem miastem i z tą ziemią. A ile takich rodzin wykorzenionych i wykolejonych z właściwej drogi ich przeznaczenia liczy Alzacya i Lotaryngia? Powoli przekonał się też, że wbrew opinii ogółu Francuzów, prowincye te nie uległy bynajmniej zniemczeniu; że uczucia dla Francyi nie wygasły w sercach mieszkańców. W większych miastach wszyscy mówią po francusku, silą się nawet na to ci, którzy mowy francuskiej dobrze nie znają, bo w ich oczach jest to dowodem kultury, dystynkcyą. Na ulicy, w sklepach, restauracyach i t. p. na zapytanie, wyrażone po niemiecku, Hering otrzymywał zawsze odpowiedź po francusku. Po wsiach język francuski jest mniej w użyciu, chłopci mówią swem narzeczem, ale Niemców nie lubią i wyrażać się niemieckim językiem urzędowym nie umieją i nie chcą. Oto, co na wstępie zauważył młody profesor, obok pociągającego piękna przyrody, odrębnego średniowiecznego charakteru miast i wielkiej zamożności kraju, cech prawdziwej, starej, własnej kultury, wobec której niższość cywilizacyjna najeźdźców odbija dziwnie uderzająco. Ale ta kultura, pomimo swych pewnych cech odrębnych i lokalnych, jest istotnie kulturą francuską, zaszczerpioną tu w ciągu parowiekowej przynależności do Francyi, z którą te kraje, nie tracąc swej fizyognomii właściwej, zrosły się sercem i myślą. I o tem, mimo groźby i prośby swych niemieckich pobratymców i władców dzisiejszych, Alzatezycy i Lotaryngowie zapomnieć nie mogą i nie chcą. Tej też wyższości kulturalnej, która im imponuje, ale ich drażni, zaznaczając różnicę na ich niekorzyść, zdobywcy mieszkańcom zgwałconych prowincyi nie mogą darować. I stąd to antagonizm, po latach czterdziestu, jeżeli zmienił swój charakter pierwotny, nie stracił nic na sile.

Zastanawiając się nad tem, co tu zobaczył, Hering uczuł, że kraj ten nie jest mu obcym i obojętnym, wspomnienia dzieciinne z pierwszych lat po wojnie dokonały reszty. Odtąd postarał się zbliżyć do ludzi miejscowych, by dowiedzieć się dokładnie, co myślą i czują. Z rozmów z chłopami i innymi przedstawicielami sfer ludowych i z ich zdań dość rozmaitych nie mógł wyciągnąć wniosków ściślej określonych, co najwyżej stwierdził, że kwestya



zasadnicza bytu politycznego i przyszłości kraju jest warstwom niższemu narodu mało znaną, że niewiele o niej myślą i w rozmowie, zwłaszcza z obcymi, ją wymijają. Myśl ich zwraca się głównie do spraw osobistych i użytecznych—do powiększenia własnego dobrobytu, do posiadania i zachowania ziemi. Na administrację niemiecką skarżą się przeważnie z powodu podatków, jakimi są obciążeni i mniejszych lub większych szykan, jakich doznają od policyi i żandarmerji. Pojęcia ich nie idą dalej. Ale przypadek pozwolił mu poznać bliżej młodego adwokata, Jerzego Reuscha i jego siostrę, Katarzynę, którzy objaśnili go ostatecznie o wszystkim, czego sam wybać dotąd nie mógł. Jak się okazało, Jerzy Reusch był synem człowieka, który nazajutrz po aneksji nie opuścił, jak to uczynili wszyscy jego koledzy, swego urzędowego stanowiska w sądownictwie i zdawał się godzić z nowym stanem rzeczy, czem u rodaków zasłużył sobie na imię renegata. Wszyscy się od niego odwrócili i babka Heringa, o czem ten wiedział z opowieści, dom mu wymówiła. Odrzucony od swoich, Reusch żył odtąd wyłącznie w towarzystwie urzędników niemieckich, do czego zresztą zmuszało go zajmowane stanowisko. Pomimo wychowania w takich warunkach, a może, jak to sam mówi, dlatego właśnie, syn jego, Jerzy, stał się gorącym patriotą alzackim. Z początku chciał się on zbliżyć do Niemców, poznać ich i znaleźć drogę porozumienia, dla dobra kraju, której już poszukiwał bezskutecznie jego ojciec. W tym celu udał się na uniwersytet do Drezna, gdzie nawet znalazł szczerych przyjaciół wśród kolegów, ale przekonał się jednocześnie o zbyt wielkiej różnicy, jaka zachodzi w temperamentach, pojęciach, dążeniach i ideałach pomiędzy Niemcami i Alzaczycami, sprawdził na miejscu niższość ich kultury i uznał za niemożliwe, by wyższa, szlachetniejsza kultura Alzacyi miała ustąpić tamtej. Ale to jest właśnie warunkiem zgody z zaborcami. Wobec tego i widząc, że innej drogi porozumienia niema, Jerzy Reusch porzucił tę myśl i zwrócił wszystkie usiłowania do zachęty rodaków, by trwali przy swych ideałach i tradycjach, opierając się w sposób praktyczny najściślej przybyszów, bez obliczania na pomoc Francji, która się ich wyrzekała, lecz na siły własne. A pierwszym tego warunkiem jest praca na miejscu na wszelkich polach, gromadzenie w swych rękach bogactw materialnych i duchowych, trzymanie się ze wszelkich sił ziemi, bo tylko w ten sposób możliwym jest zachowanie moralnej niezależności od potężnego siłą brutalną przeciwnika. Swą działalnością patriotyczną Jerzy pragnął odkupić pamięć ojca i oczyścić go z niesłusznego, jego zdaniem, zarzutu. Bo

i cóż innego miał na celu jego ojciec, jeżeli nie to, co dziś uznają wszyscy najlepsi patrioci za jedyną taktykę i politykę narodową: nie opuszczać kraju, starać się o wszelkie stanowiska na miejscu, aby ich nie pozostawić obcym? Nie zawinił on względem kraju, lecz raczej dał przykład, nie porzucając swego urzędu sędziego, który z wielką szkodą dla rodaków byłby zajął przybysz. Naprawdę zaś istotnymi winowajcami, by nie powiedzieć zdrajcami sprawy narodowej, byli ci właśnie, którzy w źle zrozumianym patriotyzmie emigrowali do Francyi, zostawiając kraj na pastwę zdobywców. Ale, w tej chwili szału wszyscy oni ślepo wierzyli, że za lat kilka powrócą z tryumfem, gdy Francya odbierze utracone prowincye. Ojciec jego tej wiary nie podzielał i został dlatego ogłoszony za renegata. Teraz każdy widzi, że się nie mylił na tym punkcie, co najwyżej uległ złudzeniu, co do porozumienia z nowymi władcami. Ale maksyma, którą się wówczas kierował, przeciw opinii ogółu alzackiego — „Alzacya dla Alzatzczyków” — stała się teraz hasłem kierowników polityki narodowej i wszystkich oświeconych patriotów. Jakie losy spotkają w przyszłości Alzacyę i Lotaryngię o tem dziś przesądzać trudno. Pokolenie obecne troszczy się o to tylko, by zachować nienaruszoną odrębność swej kultury i ideałów. Dokonywując wszelkich w tym kierunku usiłowań na gruncie realnym, dzisiejsi Alzatzczycy i Lotaryngowie są przekonani, iż spełniają cały i jedynie możliwy, w warunkach obecnych, obowiązek względem kraju i narodu.

Czy jednakże wszyscy tak rozumieją interes narodowy? Zapewne nie. Są jeszcze zwolennicy dawnej polityki sentymentalnej, spoglądający wciąż w stronę Francyi, pomimo zawodu, jakiego od niej doznali. Ci liczą się przeważnie do starszego pokolenia i stanowią z każdym rokiem ubywającą mniejszość. Z drugiej strony znajdują się też, jako wyjątek, tacy, którzy nie widząc innego wyjścia, chcą szczerego i zupełnego połączenia się ze zwyczajcami. Są to wogóle ludzie, których interes osobisty skłania w tym kierunku. Trafiają się oni pośród urzędników, profesorów, przemysłowców i t. p. Wszakże te różnice zapatrywań istnieją właściwie tylko w klasach więcej oświeconych — w burżuazji. Warstwy ludowe, zwłaszcza chłopi, są dość obojętne na to, kto włada krajem, byle im pozwolono pracować spokojnie i dorabiać się. Ci ostatni szczególnie, trzymając się uporeczywie ziemi, zachowują nietkniętym swój charakter odrębny i samą siłą inercyi stawiają tamę napływowi obcych. To też są oni najpewniejszą podstawą i rezerwą narodu. Ścisłość tych objaśnień Reuscha miał Hering sposobność sprawdzić niejednokrotnie w rozmowach



wach z przedstawicielami tych różnych przekonań i kategorii. Szczególnym trafem w najbliższem otoczeniu Reuscha znalazł się też bezwzględny ugodowiec w osobie d-ra Ferrières, niegdyś jego kolegi, obecnie narzeczonego jego siostry, której uratował życie w niebezpiecznej chorobie, czem, wbrew życzeniu brata, pozyskał jej serce. Ferrières, chociaż sam pochodzący z rodziny czysto francuskiej, osiadłej tylko od kilku pokoleń w Alzacyi, był zdania, że wobec istniejącego stanu rzeczy, którego nic zmienić nie może, upierać się przy separatyzmie lokalnym jest równie niepraktycznym, jak i nieuzasadnionem. W ten sposób bowiem drażni się tylko zwycięzców, oddala ich dobre zamiary i naraża ludność miejscową na niepotrzebne represye, których możnaby unikać. A przecież ostatecznie Alzaczycy należą do szczepu germańskiego i są, mówiąc ściśle, Niemcami tak samo, jak nimi są Badeńczycy, Wirtemberczycy, Bawarowie i inne południowe narody niemieckie. Skądże więc te uporczywe sympatye do Francyi, która się ich z taką łatwością wyrzekła i tak szybko o nich zupełnie zapomniała? Sam fakt poświęcenia tych prowincyi jest już dowodem, że Francuzi uważali je za mniej więcej sobie obce, które można było oddać dla ratowania rdzennego terytoryum. Czy zresztą, Bogiem a prawdą, powrót pod rządy Francyi byłby obecnie dla Alzacyi i Lotaryngii pożądanym? Cóż bowiem zrobiła Francya od czasu pogromu z r. 1871, czy wzmogła swe siły zbrojne, czy przygotowała się do odwetu, czy zyskała sobie powagę w polityce międzynarodowej? Nie, okres ten zużyli Francuzi na wzajemne szarpanie się wewnątrz, wojnę zaś potrafili wypowiedzieć tylko papieżowi, księżom i zakonom, drząc jednocześnie za każdym zmarszczeniem brwi cesarza niemieckiego. Poza tem, w zajętych przez się terytoryach kolonialnych kierują się tą samą metodą, co Prusacy w Alzacyi i Lotaryngii.

Na tem tle, pomiędzy Ferrières'em i Reuschem, wywiązała się ostra dyskusya. Pierwszy utrzymywał, że kultura niemiecka jest tyleż warta, co i francuska, że zatem niema zasady, by Alzaczycy się jej opierali. Drugi bronił odrębności charakteru, tradycyi, dążeń i ideałów narodu alzacko-lotaryńskiego, oraz wyższości kultury francuskiej, która jest tej odrębności gwarancją. Skutkiem tej dyskusyi nastąpiło zerwanie stosunków pomiędzy rodziną Reuschów a Ferrières'em, czego ofiarą byłoby padło serce panny Reusch, gdyby nie to, że dzięki wstawiennictwu pani Dolnay i Heringa, nieporozumienie zostało załagodzone.

Powieść ta („Les Exilés“), zawiera nadto wiele trafnych obserwacyi nad obyczajami przybyszów niemieckich w porówna-

niu do okazujących wpływy wyższej cywilizacji obyczajów ludności miejscowej, oraz zestawienie dwóch kultur objawiających się w cechach zewnętrznych, począwszy od architektury i skończywszy na upodobaniach stroju, sposobie obejścia i charakterze typów. I naturalnie, różnica nie wypada na korzyść Niemców.

Rzecz kończy się rodzajem apoteozy, w uroczystości na cześć Alzatzczyków, poległych na polach bitew od lat dwustu, na której odbycie w Wissemburgu pozwoliły władze, pod wpływem łagodniejszego kursu, jaki chwilowo przeważał w polityce niemieckiej względem „niewdzięcznych“ współplemieńców. Wreszcie śmierć ojca Heringa w Amiens i jego pośmiertny powrót do ziemi ojczystej, by spocząć w grobach rodzinnych, oraz zaręczenie Klaudyusza z panią Dolnay zakończy wątek uczuciowo-romansowy tej powieści.

Justus Lobel w powieści Lichtenbergera („Juste Lobel“), znajduje się w tem samym położeniu, co Klaudyusz Hering. Jest on również synem Alzatzczyka, który po wojnie przeniósł się do Francyi, tak samo wychowanym w nieznanym rodzinnego kraju. Ale autor nadał mu jeszcze charakter specjalny, stawiający go w szczególnej sprzeczności z aspiracyami zakordonowych współbraci. Justus jest wyznawcą międzynarodowego pacyfizmu, pragnącym zniesienia granic pomiędzy państwami i zatarcia różnic narodowych. Pojęcie ojczyzny, przywiązanie do odrębności narodowej jest przeto w jego przekonaniu zabytkiem czasów barbarzyńskich, sprzeciwiającym się jedynie słusznemu i uzasadnionemu uczuciu solidarności wszechludzkiej. Nadto, nie ograniczając się do przekonań teoretycznych, należy on do grupy przodującej, która dąży i dokłada w tym celu wszelkich usiłowań, by swe zasady wprowadzić w czyn. Za pośrednictwem osób ze sfer parlamentarnych wszelkich narodowości, należących do ich związku międzynarodowego, starają się pacyfiści pozyskać dla swych idei rządy i wpływać, by wojnę, jako środek rozstrzygnięcia nieporozumień pomiędzy państwami, zastąpiono sądami rozjemczymi; by ograniczano stopniowo siły zbrojne, aż do ich zupełnego zniesienia. Gdy to zostanie dokonane, gdy zniknie główny powód zatargów, wtedy słupy graniczne upadną same z siebie i ludzkość wyzwolona połączy się w jedną wielką rodzinę. Wtedy dopiero nastanie era prawdziwej cywilizacji. Ale istnieją inne jeszcze przeszkody do zupełnego porozumienia ludów, a do tych należy przedewszystkiem ucisk jednych narodów przez inne narody, to bowiem, wywołując nienawiść uciśnionych do ciemniców, zmusza tych ostatnich do utrzymywania pierwszych w poddaństwie przy



pomocy wojska i nie pozwala im przystąpić do rozbrojenia. To również staje się kością niezgody pomiędzy państwami, jak tego przykład najbliższy zachodzi w stosunkach pomiędzy Francją i Niemcami. Pacyfiści, którzy chcą sprawiedliwości, są życzliwie usposobieni dla narodów pokrzywdzonych, ale pod warunkiem, by te dochodziły swych praw wyłącznie na drodze pokojowego porozumienia.

Francyi, która, krocząc zawsze na czele cywilizacji, wyprzedziła już inne narody w przyjęciu, jakiego u niej doznały idee, potępiające patryotyzm i militarizm, przypadnie też zaszczyt dania przykładu innym państwom przez postawienie kwestyi rozbrojenia na gruncie realnym. W tym celu wyrzeczcie się ona uroczyście i urzędownie wszelkich pretensyi do utraconych prowincyi. Takie właśnie oświadczenie złożyła, przez usta Justusa Lobela, grupa francuska związku powszechnego pokoju na kongresie międzynarodowym, odbytym w Paryżu, wśród entuzjastycznych oklasków jego uczestników. Wniosek odpowiedni, posiadający sympatyę większości parlamentarnej, zostanie niezwłocznie przedstawiony Izbie francuskiej i ma wszelkie widoki powodzenia. Po tej inicjatywie Francyi, która uwolni Europę od ciężającej nad nią groźby, niema wątpliwości, że Niemcy zgodzą się na rozbrojenie i przystąpią do międzynarodowej umowy, która ustanowi obowiązujący wszystkie państwa trybunał rozjemczy. Tak przynajmniej zapewnili obecni na kongresie niemieccy delegaci. To też kongres ów zakończył się w ogólnem przekonaniu, iż został postawiony wielki krok naprzód do urzeczywistnienia wyższych ideałów cywilizacyjnych. Justus Lobel, jako rzecznik tak pięknej sprawy, zyskał sobie gorące powinszowania uczestników, ponad które cenił zwłaszcza miły uśmiech tego anioła pokoju, ślicznej pani Sverdrup, tak silnie odbijającej wdziękiem, dystynkcyą i wykwintnym smakiem swych toalet od ogółu cudacznych feministek, zwolenniczek pacyfizmu.

Pani Sverdrup była to młoda wdowa, o której mówiono, że ma wstręt do mężczyzn, ale niemniej zgadzano się jednogłośnie, iż jest czarującą. Swym darem towarzyskim i pociągającą jakby magnetyczną siłą swego naturalnego wdzięku, zyskiwała ona dla sprawy pokoju więcej adeptów, niżeli najbardziej przekonujące argumenty lub najświetniejsza wymowa doktorów pacyfizmu. Umiała też, dzięki swemu taktowi, zgrupować około swej osoby, pod pozorem wspólności tych ideałów humanitarnych, ludzi najsprzeczniejszych pozatem przekonań i temperamentów. Lobel, który miał dla niej więcej, niż sympatyę, był też przez nią wy-

różniani, ale żadne wyznania dotąd ich nie łączyły. Po owym kongresie, jego widoki zdobycia serdeczniejszej wzajemności zdawały się zwiększać. Pani Sverdrup poprosiła go, by przybył do pewnych wód na pograniczu Alzacyi, gdzie miała spędzić lato. Tu spotkał Lobel w jej otoczeniu, oprócz lepiej mu znajomego, ale nie w jego guście, deputowanego radykała-socyalistę, pewnego amerykańskiego milionera, oraz dymisyonowanego pruskiego majora, pana von Breitenfels, którego już raz widział na kongresie w Paryżu. Major, człowiek bardzo gładki i otwartej inteligencji, był przekonany zwolennikiem pacyfizmu. Jego szerokie poglądy i zdania pełne uznania i przyjacielskich uczuć dla Francuzów, które wygłaszał w imieniu swych rodaków, dawały pewną rękojmię, że idee pokojowe znalazły w jego ojczyźnie dobre przyjęcie. Pomędzy nim a Lobelem wywiązał się wkrótce stosunek bliższy, oparty na wzajemnym szacunku i wspólności dążeń ideowych.

Korzystając z pobytu w miejscowości nadgranicznej, Lobel pojechał odwiedzić zamieszkałą w poblizkiej wiosce swą starą piastunkę, która większą część życia spędziła u jego rodziców i liczyła się prawie do rodziny. Ta przyjęła go z radością i zmusiła niemal, by jej obiecał, że przyjedzie jeszcze, gdy wnuk jej, odbywający właśnie służbę wojskową, przybędzie za urlopem, chciałyby go bowiem przedstawić panu Justusowi. Lobel uczynił zadość życzeniu staruszki i zobowiązał się przemówić do rozumu młodego żołnierza, o którego babka jest niespokojną, boi się, by nie popełnił jakiego głupstwa, do którego jego niedoświadczenie przy usposobieniu nieuległem i gwałtownem mogłoby go popchnąć. Obawy babki okazały się słuszne, bo w rozmowie z Lobelem chłopak wyznał mu, iż zamierza dezertować i uciec do Francyi. Justus użył całej swej wymowy, by odwieść go od tego zamiaru, przedstawiając mu rozpacz babki, którą musiałby opuścić raz na zawsze. Młodzieniec obiecał mu, że będzie cierpliwym, ale widocznie uczynił to bez przekonania.

Przy tych wycieczkach do Alzacyi Lobel widział i słyszał mniej więcej to samo, co i Klaudyusz Hering, mianowicie, że mieszkańcy tego kraju nie wyrzekli się swej odrębności; że, jeżeli nie są Francuzami z krwi i mowy, to jednakże z całej duszy sympatyzują z Francją, choć stracili wiarę w powrót pod jej rządy. Ale Niemców nie lubią i chcą pozostać Alzateczkami. To wszystko było niespodzianką dla Lobela i zaciekało go trochę, chociaż w gruncie było mu to dość obojętnem. Tymczasem pewnego ranka w wycieczce samotnej po lasach nadgranicznych zbłądził i natrafiwszy na przydrożną traktyernię wstąpił do niej, by



odpocząć i pożywić się. Ku swemu zdziwieniu, ujrzał tu oficera niemieckiego w galowym mundurze, który powitał go z serdeczną uprzejmością. Był to major von Breitenfels, który na jakieś przyjęcie urzędowe, jak tłumaczył, ubrał się w mundur i zatrzymał się tu w przejeździe. Podczas, gdy rozinawiali przy kieliszku, nagle rozległ się strzał, usłyszano krzyki i wkrótce ujrzano dwóch żandarmów niemieckich, prowadzących człowieka ze skutymi rękami. W tym człowieku Lobel z przerażeniem poznał wnuka swej piastunki. Major dowiedział się od żandarmów, że człowiek ten jest dezertorem i że ciężko zranił strażnika leśnego, który go chciał aresztować. Sprawa zatem jest bardzo poważną. Jednakże, dowiedziawszy się, że los tego nieszczęśliwca tak blisko obchodzi Lobela, major obiecał, że użyje wszelkich starań, by na sądzie wojennym miano dlań względy. Lobel zmartwiony i strapiony tym wypadkiem, pojechał zaraz do swej piastunki, aby ją pocieszyć w tej strasznej dla starej kobiety trosce. Zastał ją prawie bez zmysłów w otoczeniu kumoszek i pewnej panny Schindler, niegdyś towarzyszkii jego dzieciennych zabaw. Przyjęto go zimno, bo już przez ludzi doszła wiadomość, że, gdy biedaka aresztowano, Lobel patrzył na to obojętnie, siedząc przy kieliszku z niemieckim oficerem. Próżno tłumaczył, że ten oficer jest człowiekiem bardzo szlachetnym i że obiecał użyć swych wpływów na korzyść aresztowanego. Odpowiedziano mu, że „kruk krukowi oka nie wydziobie.“

Lobel odjechał z poczuciem, że go uważają za zdrajcę. Nazajutrz wybrał się z towarzyszami, deputowanym, komendantem de Mortanne i pewnym Amerykaninem, do Miluzy w nadziei, że od mieszkającego w tem mieście majora otrzyma jakieś wieści pocieszające. Niestety, dowiedział się od tegoż, że nic więcej nie da się zrobić, jak tylko odsunąć zarzut usiłowania zabójstwa na przedstawicielu władzy, co majorowi udało się uzyskać. Ale to zmniejsza znacznie przewidzianą przez prawo karę. Przystępca będzie sądzony tylko za dezercję, co może mu przynieść trzy do czterech lat więzienia. To jednak nie mogło zadowolić Lobela, podrażnionego już rozpaczą nieszczęśliwej staruszki, przyjęciem, jakiego doznał od tych biednych ludzi, nie rozumiejących położenia, i zarzutem, jaki na nim niesłusznie zaciężył. Wobec zatem oświadczenia majora, że nic więcej zrobić nie może, Lobelowi wymknęły się cierpkie słowa, których rezultatem był pojedynek. Ale to sprawiło mu ulgę, bo w ten sposób oczyści się przynajmniej w oczach biednej staruszki i jej otoczenia z winy, której wprawdzie nie popełnił.

Nie poprzestając na tem, udał się jeszcze do znajomego adwokata, Mullera, przedstawiciela młodego patryotyzmu alzackiego. Ten wszakże, podejmując się sprawy, zresztą straconej, bo nic dezertera, jak to słusznie powiedział major, od przepisanej kary ustrzedz nie może, wyraził się o tem twardo i bezwzględnie. Powiedział mianowicie, że kara, która go spotka, jest zasłużoną, że go bynajmniej nie żałuje, bo tacy ludzie, rządzący się sentymentami, nie umiejący panować o tyle nad sobą, by odbyć służbę przykrą, ale nieuniknioną, są to wartości ujemne, nie pożyteczne dla narodu, który w swych ciężkich warunkach potrzebuje ludzi, umiejących pracować realnie, nie dających się zniechęcić i nie cofających się przed przykrościami i przeszkodami, na jakie natrafia. Kto dla ich uniknięcia kraj opuszcza, ten jest dezserterem nie tylko wobec prawa wojennego najeźdźców, ale przede wszystkim wobec sprawy narodowej. Lobel uczuł się nieco dotkniętym, ale nie mógł nie przyznać w duchu słuszności adwokatowi.

Z tem wszystkiem spostrzegł się on, iż po tych różnych przejściach otworzyły się przed nim horyzonty, dotąd mu nieznanne. Przekonał się, że kwestya alzacko-lotaryńska, którą zgodnie z jego dotychczasowem przekonaniem Francya powinna pogrzebać i poświęcić w imię powszechnego pokoju, istnieje i istnieć będzie niezależnie od decyzji francuskiego rządu i parlamentu, bo jest kwestyą bytu narodu żyjącego i świadomego swych dążeń, która bez względu nawet na wszelkie umowy, jakieby ponad jego głowę pomiędzy Francyą a Niemcami stanąć mogły, nie będzie rozstrzygnięta, dopóki on sam celu tych dążeń nie osiągnie i kresu im nie położy.

Skądinąd, patrząc na olbrzymie nagromadzenie wojsk po obu stronach granicy, na skierowanie wszystkich usiłowań do pomnożenia i udoskonalenia środków destrukcyjnych, na spożytkowanie w tym celu wszystkich wynalazków nauki i techniki, zwłaszcza żeglugi napowietrznej—jednem słowem na gotowanie wojny z nieugiętą konsekwencyą, szczególnie po stronie niemieckiej, pokój powszechny wydał się Lobelowi dziwnie nikłym złudzeniem. Czy zatem Francya nie jest na błędnej drodze ze swą inicjatywą rozbrojenia? Czy opierać politykę kraju na fantastycznej mrzonce nie jest to zgubnem szaleństwem, wobec tak groźnej postawy sąsiada? Zapewne, pokój, porozumienie narodów, panowanie sprawiedliwości, usunięcie raz na zawsze okrucieństw i gwałtów wojny i otworzenie nieograniczonego pola dla rozwoju cywilizacyi jest to piękny ideał, ale czy rozbrojenie Francyi, już i tak dość osłabionej i rozstrojonej skutkiem haniebnej polityki wewnętrznej,



a więc zdanie się na łaskę i niełaskę zbrojnych sąsiadów, poprowadzi do jego urzeczywistnienia? Czy raczej nie wywoła własnie i nie przyśpieszy wojny i podboju?

A jaki jest los narodu podbitego, to położenie Alzacyi i Lotaryngii daje aż nadto wymowny tego przykład. Oto do jakich wniosków doszedł ów apostoł pokoju, pod wpływem realizmu faktów, jakim miał tutaj sposobność przyjrzeć się z bliska. Nicóż tych teoretycznych marzeń uderzyła go już, gdy sprowadzony siłą rzeczywistości na grunt realny, znalazł się odrazu w przeciwieństwie do swych przekonań i dążeń ideowych, najpierw, będąc zmuszonym nakłaniać młodego żołnierza do poddania się dyscyplinie wojennej, później, stając do pojedynku, czyli uznając w czynie w stosunkach prywatnych, co potępiał w teorii w stosunkach międzynarodowych i to tembardziej, że jego pojedynek z oficerem niemieckim przybrał symboliczny charakter walki dwóch ras i dwóch kultur.

Po długich wewnętrznych zmaganiach Lobel przyszedł do przekonania, że niema już dość wiary, by pełnić dłużej swe funkcyje sekretarza grupy francuskiej międzynarodowego związku powszechnego pokoju i że obowiązek jego, jako Francuza alzackiego pochodzenia, jest utrzymać łącznik moralny pomiędzy swemi dwiema ojczyznami—ojczyzną krwi i ojczyzną ducha, który skutkiem zaniedbania przez tę ostatnią swych istotnych zadań, grozi osłabieniem i zanikiem, z niepowetowaną szkodą dla obu.

Opuszczając sprawę pacyfizmu, Lobel nie łudzi się, iż utraci sympatyje kobiety, która była uosobieniem jego ideałów, ale to nie powstrzyma go w powrocie do prawdziwego obowiązku, który teraz nie jest już dlań wątpliwym. Odtąd będzie on spędzał dużo czasu w Alzacyi. Zbliży się do adwokata Mullera, jednego z wydatniejszych kierowników lokalnej polityki narodowej i każdym razem odwiedzać będzie biedną staruszkę, której wnuk, skazany na cztery lata więzienia, pokutuje za swą niefortunną eskapadę i której zaufanie powrócił mu pojedynek z majorem, zakończony zresztą bez szkody dla stron obu.

Powieści „Les Exilés“ i „Juste Lobel“ trochę suche, gdyby je uważać wyłącznie za utwory wyobraźni, są bardzo zajmujące i mają o wiele więcej znaczenia, jako charakterystyka stosunków w Alzacyi i Lotaryngii, oraz ewolucyi pojęć narodowych ich mieszkańców w okresie zaborczym, t. j. od aneksyi po dzień dzisiejszy. Ukazały się one na dobre, by objaśnić niedbałą nieświadomość ogółu francuskiego, zobojętniałego dla tej sprawy, od czasu zwłaszcza, gdy dla wewnętrznych rozterek, porzucono we

Francyi myśl odwetu. Dyskusya projektu autonomii dla zdobytych prowincyi w parlamencie cesarstwa przypomniła światu i Francyi tę pogrzebaną w milczeniu kwestyę. Położenie Alzacyi i Lotaryngii w stosunku do związku niemieckiego było do ostatnich czasów prowizorycznem. Kraj ten nie miał praw równych z innymi niemieckimi krajami, które, stanowiąc państwo związkowe, mają swego monarchę, swój rząd i swoją konstytucyę, lecz, jako zdobycz wojenna całych Niemiec, był ich własnością wspólną—krajem cesarstwa (Reichsland), rządzonym przez namiestnika cesarskiego i delegacyę (Landesausschuss), rodzaj prowincjonalnego sejmu o kompetencyi bardzo ograniczonej.

Jego mieszkańcy, w pierwszych latach po aneksyi, zaledwie od Francyi oderwani i przekonani, że wkrótce do niej powrócą, nie dopuszczali nawet myśli o autonomii. Żądać autonomii, byłoby to pogodzić się z położeniem, uznać traktat Frankfurcki, połączyć się dobrowolnie z Niemcami. To, wobec ich ówczesnych uczuć i stanu umysłów, było niemożliwem. Ale również było to niemożliwem i dlatego, że ich władcy, uważając ich za „niedojrzałych,” t. j. nie dość uległych germanizacyi, byliby takiego żądania nie uwzględnili, jak do ostatka zresztą odmawiali im tego pruscy konserwatyści i wszechniemcy, którzy żądali bezpośredniego wcielenia Alzacyi i Lotaryngii do Prus. Że takim w gruncie było życzenie rządu pruskiego, można łatwo uwierzyć, ale względy polityczne, mianowicie obawa niesnasków wewnętrznych i opozycyi państw związkowych, nie dozwoliły na takie uproszczone rozwiązanie kwestyi. To wszystko razem było powodem, że pozostała ona w zawieszeniu przez lat czterdzieści. Tymczasem młode pokolenie Alzato-Lotaryngów, nie mogąc już liczyć na interwencyę Francyi, która się jej wyrzekła i do czego zresztą rozstrój wewnętrzny odebrał jej środki, zaczęło, wbrew dawnym przekonaniom ojców, starać się o autonomię, w której ujrzało gwarancyę zachowania swej odrębności. Jednocześnie w Niemczech wzmógł się też prąd opinii w tym kierunku. Ale inną jeszcze trudność przedstawiała kwestya tej autonomii. Oto wszystkie państwa związkowe, prócz trzech miast hanzeatyckich: Hamburga, Bremy i Lubeki, są to monarchie, posiadające swe historyczne, narodowe dynastye. Alzacya i Lotaryngia lub właściwie Alzacya-Lotaryngia takiej własnej dynastyi niema. O tem, aby dać nowemu państwu związkowemu ustrój republikański, w cesarstwie niemieckiem mowy być nie mogło, zaś nadania mu dynastyi obcej, nie mówiąc już o niechęci narodu, na coby nie zważano, choć do tego wśród książąt niemieckich, z synami cesarskimi



przedewszystkiem, kandydatów by nie brakowało, trzeba było, przynajmniej jak na teraz, dla tych samych względów na rywalizację wewnętrzną, się wyrzec. Skończyło się więc na tem, że projekt autonomii przedstawiony nareszcie przez kanclerza cesarstwa Izbie państwowej, nadając Alzacyi-Lotaryngii konstytucyę, pozostawił ten punkt nierozstrzygniętym, a raczej opuszczonym. Alzacya-Lotaryngia, obdarzona Izbą poselską i Izbą wyższą, będzie nadal rządzoną przez namiestnika, wyznaczonego przez cesarza, będzie więc na pozór monarchią bez monarchy, ale wistocie, jak wynika z tego ustroju, monarchą alzacko-lotaryńskim będzie bezpośrednio cesarz niemiecki i co za tem idzie, acz w sposób wykrętny, Prusy położyły rękę na tym kraju, zdobytym w przeważnej części siłami państw związkowych.

Jak wiadomo, każde z tych państw, nie wyłączając najmniejszych, ma swe głosy w Radzie związkowej (Bundesrath). Według projektu z r. 1910 Alzacya-Lotaryngia miała być tego prawa pozbawioną, a to ze względu na pozostawienie Radzie związkowej dotychczasowej równowagi, którą przystąpienie nowego państwa by naruszyło. Wskutek wszakże opozycyi komisyi, wyznaczonej przez Izbę państwową (Reichstag), przyznano Alzacyi-Lotaryngii trzy głosy w Radzie związkowej, z tem wszakże zastrzeżeniem, że ponieważ przy projektowanym ustroju głosami temi rozporządzałby cesarz niemiecki, a więc król pruski, będą one nieważne każdym razem, gdy przechylą większość na stronę Prus. Ponieważ zaś z natury rzeczy głosy te przeciw Prusom się nie zwrócą, zatem znaczenie ich równa się zeru i obecność Alzacyi Lotaryngii w Radzie związkowej sprowadza się do prostej formalności. Ale nie dość na tem, Izba wyższa składać się będzie w połowie z członków wyznaczonych przez cesarza na lat pięć; w drugiej połowie — w części z członków z prawa — wysokich urzędników i dygnitarzy cywilnych i duchownych, w części zaś z członków, wybieranych przez rady miejskie czterech miast głównych, oraz przez pewne grupy społeczne, jak: izby handlowe, rady rolnicze i t. p. Izba niższa składać się będzie z członków, wybieranych, zgodnie z życzeniem Alzaczyków i Lotaryngów, przy pomocy głosowania powszechnego, bezpośredniego i tajnego. Ale i tu, jak się domyśleć można, kierowano się nie interesem narodu, mającego korzystać z konstytucyi, lecz względami na interes germanizacyi. Jeżeli porzucono projektowany poprzednio system pluralny, to jedynie dlatego, że powszechne głosowanie, zadawałnając dążenie różnych partyi niemieckich, daje jednocześnie przewagę ludności wiejskiej nad ludnością miast, gdzie właśnie kon-

centrują się elementy oporne. Przytem prawo głosowania, wbrew obowiązującej na tym punkcie w Niemczech zasadzie, będą mieli bez naturalizacyi, ani żadnych przeszkód formalnych, przybysze z innych krajów niemieckich, co też ogromnie ułatwi przeprowadzenie wyborów w myśl rządu. Dodajmy do tego, że namiestnik wyznaczony dowolnie przez cesarza i przed nim tylko odpowiedzialny, będzie miał prawo weta. Konstytucya ta daje, jak to z łatwością poznać można, wszelkie rękojnie rządowi cesarskiemu utrzymania nowego państwa w zupełnej zależności. Nic więc dziwnego, że Alzacycy i Lotaryngowie, widząc w takiej konstytucyi, sprzeciwiającej się ich interesom narodowym, środek gorszego jeszcze, niż dotąd, bo bez nadziei na zmianę, ujarzmienia i oddanie ich kraju na pastwę Prusom, podnieśli jednogłośny protest. Przedstawiciele ich w Izbie państwowej, wśród których odznaczyli się ksiądz Wetterle i poseł Preiss, wystąpili przeciw projektowi. Ale stronnictwa niemieckie, które ze względu na widoki własne zdawały się popierać pewne żądania przedstawicieli Alzacyi i Lotaryngii, jak centrum i w części socjaliści oraz liberałowie, opuściły ich w chwili rozstrzygającej, gdy szło o zasadniczy interes narodowy. Tylko Polacy i poseł duński, z natury rzeczy im współczujący, pozostali przy nich do końca i głosowali wraz z nimi przeciw projektowi, spotykając się w tem, dziwną ironią losu, z pruskimi konserwatystami, przeciwnymi z zasady autonomii Alzacyi-Lotaryngii. Ale protest narodu interesowanego był tylko platonieczną formalnością. Projekt konstytucyi, mając za sobą większość w Izbie państwowej, został przyjęty z drobnymi poprawkami. Narzucono ją Alzacyi i Lotaryngii wbrew jej woli, jak ulegalizowane jarzmo. Związek niemiecki, który z tak dziwną łatwością dał się w tej sprawie dobrowolnie oszukać, abdykował raz jeszcze na korzyść króla pruskiego, ze szkodą dla prawdziwych interesów niemieckich. Bo utrzymując w stanie upośledzonym naród przecież współplemienny, który, pragnąc swobodnego rozwoju w prawach, zgodnych z ustrojem cesarstwa, równych tym, jakie posiada każde z dwudziestu sześciu państw związkowych i jakich od francuskiej, centralistycznej tyranii republikańskiej spodziewałyby się nie mógł, dał dowód, iż godzi się na połączenie swych dalszych losów z przeznaczeniem Niemiec, odrzucono go z powrotem do stanowiska bezwzględnie opornego i nieprzyjaznego, utwierdzono tylko w nieufności i wstręcie do wszystkiego, co niemieckie i zbudzono na nowo zaniechane już po większej części dążności separatystyczne.



Zapewne Prusy, zgodnie ze swym systemem, liczą na stosowanie gwałtu i na zalew imigracyi, ale jest nadzieja, że się na tem zawiodą, bo, jak się okazuje dzisiaj, po latach czterdziestu, środki te nie dały bynajmniej spodziewanych rezultatów. Pokolenie obecne, jeżeli przestało marzyć o powrocie do Francyi, pozostało zawsze wiernem odrębności ideałów i kultury swojskiej i potrafiło bronić jej skuteczniej, niż pokolenie poprzednie. Imigracya zaś w większych rozmiarach, aby mogła mieć znaczenie w kraju mocno zaludnionym i wyżej kulturalnie i ekonomicznie rozwiniętym, jest fizycznym niepodobieństwem. Tymczasem warunki ogólne, tak narazie przychylne moralnemu połączeniu Alzacyi i Lotaryngii z Niemcami, mogą się zmienić. Separatyzm dziś beznadziejny i w gruncie nawet dla Alzato-Lotaryngów, w formie powrotu do Francyi, przy jej dzisiejszych warunkach wewnętrznych, może nie pożądanym, zyskać może z czasem inne, o wiele realniejsze podstawy.

Po tej nieudanej próbie wydobywania się z pod pruskiej kurteli, Alzaczycy i Lotaryngom nie pozostaje nic innego, jak tylko trwać dalej i wytrwać w oporze. I takie też są ich zamiary, o ile wnieść można z oświadczeń kierowników ich polityki narodowej, znajdujących wyraz w artykule księdza Wetterlé (Correspondant, 10 czerwca 1911 r.).

Oto więc, jak przedstawia się pod względem administracyjno-politycznym, w stosunku do cesarstwa niemieckiego, kwestya alzacko-lotaryńska, którą, jak widzieliśmy, autorowie powieści „Les Exilés“ i „Juste Lobel, Alsacien“—Paweł Acker i Andrzej Lichtenberger—tak ciekawie się rakteryzowali z punktu uczuciowego, obyczajowego i ideowego.

Czyniąc to, spełnili jako Alzaczycy, podobnie jak ich bohaterowie, naturalizowani we Francyi, patryotyczny obowiązek. Paweł Acker dał już poprzednio powieść ideową p. t. „Le Soldat Bernard“, wykazującą na przykładzie fałsz i niezgodność z bytem realnym i istotnymi potrzebami narodu mrzonek pacyfistycznych, antymilitarnych i antypatryotycznych, przewracających w głowach ludziom i popychających ich do zbrodni. Ale w twórczości Lichtenbergera „Juste Lobel“ jest pierwszym utworem w tym charakterze. Dotąd odznaczył się on szczególnie, jako wyborny znawca psychologii dziecięcej. Cały szereg jego utworów takich, jak „Mon Petit Trott“, „Le Petit Roi“, „Notre Minnie“, „La Petite“, można nazwać arcydziełkami w swoim rodzaju. Nie są to właściwie powieści w ścisłym znaczeniu, bo niema w nich ani całości kompozycyi, ani ciągłości opowiadania, ani żadnej akcji lub fa-

buły, lecz tylko szereg obrazków życia, bardzo lekko naszkicowanych i widzianych za pośrednictwem oczów, pojęć, uczuć i temperamentu jedynej postaci, którą jest to kilkoletni dzieciak, pozostający pod kierunkiem bony, jeżeli nie niańki („Mon Petit Trott,” „Le Petit Roi“), to dwunastoletnia dziewczynka („Notre Minnie“), to wreszcie piętnastoletni podłotek („La Petite“).

I w tych obrazkach przebija się cała dusza dziecinna w tych różnych fazach pierwszych lat życia, podczas których zaczyna się urabiać, z całą jej świeżą naiwnością, skłonnościami, nieumiejęciami jeszcze się ukrywać, oraz intuicyją, zastępującą u tych istot, żyjących wyłącznie instynktem, doświadczenie i pozwalającą im niejednokrotnie odgadywać nieznanne im jeszcze strony życia. Ale autor nie bawi się tu w idealizowanie, nie roztkliwia się nad „anielskością“ dziecinnego wieku, lecz charakteryzuje swe figurki dziecięce bardzo realnie, tak, jak się one same przedstawiają. Wiek przejściowy znajduje w nim równie dobrego obserwatora. Umie on oddać z wielką prawdą całą komplikację, nieco chaotyczną, w pojęciach i uczuciach zaledwie wychodzącej z dzieciństwa dziewczynki, powstałych zarówno pod wpływem otrzymanych nauk książkowych, jak bardziej jeszcze poglądowych, jako wynik mniej lub więcej mimowolnej obserwacji osobistej otoczenia czy to w domu, czy w kółku znajomych, czy też, przy różnych sposobnościach, stosunków ludzkich w szerszem znaczeniu. Uwydatnia też cechy szczególne tego wieku, zwłaszcza u dziewczynek, mianowicie pewną naiwną zarozumiałość w połączeniu z nieśmiałością, skłonność do pretensjonalności i próżności, chęć dorównania lub nawet przewyższenia we wszystkim osób dorosłych i wynikające stąd często objawy komiczne lub tragiczne, szczęściem szybko przemijające.

Ale te naiwne obserwacje dziecinne lub dziewczęce, za których pośrednictwem autor, w tak lekkich rysach, charakteryzuje psychologię młodocianego wieku, służą mu również do wyrażenia, z ironią, wogóle dość niewinną, chociaż czasem kolącą dotkliwie, krytyki stosunków społecznych, a zwłaszcza obyczajów, cechujących przeważnie średnie i zamożniejsze sfery francuskiej burżuazji. To też w tych na pozór naiwnych obrazkach z życia dziecinnego tkwi w istocie, jeżeli nie wypowiedziana zbyt złośliwie, niemniej mocno dosadna, niekiedy nawet gorzka satyra społeczna. Taki sposób traktowania tworców wyobraźni, bardzo przyjemny i łatwy w czytaniu, wymaga szczególnego i dość rzadko trafiającego się daru obserwacji i intuicyjnego odczuwania najbardziej ulotnych odcieni wrażliwości umysłowej i uczuciowej



dziecka. Dar ten Andrzej Lichtenberger posiada niewątpliwie w wysokim stopniu, czego dał dowód, gdy w szeregu utworów jednorodnych nie wyczerpuje się, nie powtarza, umie w tak szczupłym zakresie wydarzeń, myśli, wrażeń i uczuć drobnych i błahych znaleźć drogę do odkryć nowych i niespodziewanych, potrafi tem wszystkiem zająć i wywołać złudzenie, jakoby się istotnie zaglądało, przy pomocy latarni magicznej, której nam dostarcza, do wnętrza duszy dziecięcej. A jednak, mimo to, jeszcze nie zawsze jest w stanie uniknąć sztuczności i transponowania do nawiwnej formy pojęć dziecinnych myśli i uwag, które w mózgu dziecka pomieścić się nie mogą, co też brzmi czasem, ale tylko wyjątkowo, w tych jego utworach, nutą fałszywą.

Wielostronność talentu Lichtenbergera ocenimy lepiej jeszcze, gdy poznamy jego powieści na tle przeszłości, jak „Monsieur de Migurac,” lub „La Folle Aventure,” w których, obok nader zręcznego poprowadzenia intrygi w rodzaju Aleksandra Dumas ojca, okazuje dużą umiejętność wczucia się w charakter danej epoki, który podkreśla, posługując się właściwym jej sposobem wyrażenia myśli w tonie i zwrotach mowy, bez nadużycia archaizmów. Tylko, wskutek zbytńskiego puszczenia wodzy fantazyi romantycznej, powieści te, skądinąd wartości prawdziwej, czuć nieco felietonem.

„La Petite” Lichtenbergera dzieli całą przepaść od słynnej „Claudine” małżonków *Willy* (pseudonim p.p. Gauthier-Villar), tej „ingénue libertine,” której drastyczna i wyzywająca sylwetka ukazuje się w całej seryi pieprzonych powiastek, wśród zajęć i wydarzeń o charakterze mocno skandalicznym. To też niema najmniejszej zasady do jakiegokolwiek pomiędzy nimi porównania. Ale pani *Colette Willy* współautorka i podobno wzór *Claudine*'y, autorka niezmiernie oryginalnych utworów, jak „Les vrilles de la vigne” i „Dialogues de bêtes,” zwróciła znowu uwagę na siebie nader ciekawemi i zupełnie nowego rodzaju zaletami swego samorzutnego talentu, w swej ostatniej powieści „La Vagabonde.” Dzieło to — „historia literatki, która się wykoleiła” („histoire d'une femme de lettre qui a mal tourné”), jest analizą stanu ducha (może autoportretem moralnym?) artystki z podrzędnego gatunku szansonetek (Café-concert, music-hall), tułającej się po świecie, ze sceny na scenę, dla marnego zarobku, przeważnie niewystarczającego na zapewnienie skromnego nawet utrzymania, bez dodatków, których dostarcza młodość i piękność, naturalna lub sztuczna, podniesiona tym tajemniczym i upajającym urokiem, ja-

kim dla profanów otacza kobietę drażniącą zmysły atmosfera teatralna.

„La Vagabonde“—Renée Néré, jako „literatka, która się wykoleiła,“ należy jednak w tym świecie błyskotliwej nędzy do wyjątków. Umysł jej wyżej rozwinięty pozwala jej rozróżnić w sobie i w swem otoczeniu rzeczy, z których ogół jej kolegów i koleżanek sprawy sobie nie zdaje. To też rozrywką, nie zawsze wesołą, w jej samotności, w godzinach wolnych od prób lub występów jest obserwacya najpierw samej siebie, a potem swego otoczenia. W tym szczególnym światku podrzędnej muzy, gdzie każdy uważa się za prawdziwego artystę, któremu zawiść ludzka lub los przeciwny stoi na zawadzie do karyery, widzi ona prócz nędzy, brutalności i wyuzdania, prócz intryg i zawiści, prawie zawsze i prawie u wszystkich mniej lub więcej ukryte cierpienie. Pod jaskrawym łachmanem kostiumu scenicznego bije serce ludzkie i serce to najczęściej cierpi, lecz cierpi w milczeniu, bo nikt nie jest tak dumnym, jak ten rodzaj artysty. To samo znajduje Renée i w sercu własnem—i ona cierpi, chociaż jej cierpienie jest zarazem radością. Cierpi ona z powodu samotności, bezwzględnej pustki uczuciowej, ale ta samotność jest gwarancją wolności, którą ceni nadewszystko, której za żadne rozkosze, za żadne szczęście by się nie wyrzekła. Bo Renée kochała, została zdradzoną i była bardzo nieszczęśliwą aż do chwili, gdy nadmiar cierpienia powrócił jej panowanie nad sobą. Wtedy rozwiodła się z mężem i zostawszy bez środków, nie mogąc też dalej oddawać się literaturze, została tancerką. I nie żałuje tego bynajmniej obecnie. Cała ta przeszłość, tak jeszcze niedaleka, jest dla niej teraz umarłą. Wspomina o niej, jak o przebytej chorobie, bo była chorą do tego stopnia, iż chciała się zabić i umrzeć. To wszystko minęło bezpowrotnie, jest jej zupełnie obojętnem, ale pozostawiło niczem niewypełnioną pustkę. Ta pustka moralna i uczuciowa, którą stara się oszukać, zresztą napróżno, ciąży jej bardzo. Rozumie się, nie brak mężczyzn, którzyby radzi ją rozerwać, propozycye tego rodzaju spotykają ją codzien. Ale przelotne miłostki nie nęcą jej bynajmniej. Nie krępuje się ona żadnymi względami moralnymi, lecz do tego rodzaju stosunków ma wstręt fizyczny, nieprzewyciężony, a po doświadczeniu przeszłości, bardziej jeszcze boi się związać uczuciem poważniejszym. Tymczasem uczucie to—miłość prawdziwa lub coś bardzo podobnego, zbliżyło się do niej w postaci pewnego młodego człowieka z bogatej burżuazyi, którego wytrwałość przewyciężyła jej opór i obojętność. Renée, pozyskana stałością i szczerością jego uczuć, daje się wreszcie również



unieść uczuciu, w którego możliwość dotąd nie wierzyła i teraz nawet nie jest tego pewną. Godzi się więc powoli z myślą o małżeństwie, ale, pomimo szczęścia, jakiego zaczyna doznawać, coś w głębi jej istoty sprzeciwia się temu. Jakiś półświadomy instynkt mówi jej, że się to stać nie powinno, że do tego nie dojdzie. Pod wpływem tego instynktu i wbrew pragnieniu własnego serca, które wzdraga się przed powrotem do dawnej pustki, Renée, by zyskać na czasie, przyjmuje umowę na przedstawienia w miastach prowincjonalnych, wskutek czego chwila ślubu zostaje o miesiąc oddaloną. Przez ten czas, zdala od wpływów miłości, obezwładniających jej wolę, odzyskuje niezależność zastanowienia i, po codziennych wewnętrznych utarczках, z których jej serce wychodzi pokonanem, postanawia zerwać z narzeczonym, co przyspiesza jeszcze otrzymane niespodziewanie zamówienie na występy gościnne w południowej Ameryce. By nie osłabnąć w swem postanowieniu, Renée nie zobaczy więcej narzeczonego, lecz zawiadomi go listownie o swym wyjeździe, z przeproszeniem za ten zawód, za który on sam może później będzie jej wdzięczny. Renée cierpi nad tem równie dla siebie samej, jak i dla zmartwienia, którego staje się powodem. Dlaczego więc zrywa, odpycha uczucia szczere, pozbawia się widoków szczęścia? Powodów ma do tego kilka, choć sama nie jest bezwzględnie przekonana, czy są one istotne. Przedewszystkiem wiek ich obojga — oboje mają lat trzydzieści trzy, a więc okres miłości skłania się dla niej ku schyłkowi, gdy on nie przebył jeszcze pierwszej jego połowy. Z poprzedniego doświadczenia Renée wie, co w tych warunkach czeka ją w przyszłości. Widoki powtórzenia tych mąk i tych upokorzeń, przez które przeszła, od których z takim trudem, z takim wysiłkiem się uwolniła, przejmują ją zgrozą. Dalej, różnica w pojmowaniu życia, które ona zna ze wszystkich stron, zwłaszcza ze stron ujemnych, a które dla niego, zepsutego dziecka bogatej rodziny, bez żadnego poważnego zajęcia, polega na dogadaniu swym kaprysom, jest też poważną do tego związku przeszkodą. Trzeba wyrzec się swej niezależności, porzucić to marne, sztuczne, fałszywe, a jednak pociągające dziwnym urokiem, życie scenicznej cyganeryi. W gruncie to wszystko są to może preteksty. Jedno tylko jest tu powodem niewątpliwym, chociaż nie da się ściśle uzasadnić—instynkt, który sprzeciwia się jej nowemu małżeństwu, instynkt, który jej mówi, że raz tylko się kocha naprawdę.

I ta spowiedź „włóczęgi,“ istoty świadomej siebie pomimo swej impulsywności, tchnąca dziwną gorzką szczerością, odkrywa

nam naprawdę duszę kobiety współczesnej z jej obawą „pustki“, z jej mistyczną tęsknotą za wyższym ideałem, który jej wydarł nowożytny sceptycyzm, a który pewniej, niż uczucia ludzkie tę pustkę zdolny jest wypełnić. Przebija to w serdecznej litości, jaką odczuwa dla tych wykołejonych biedaków, z których składają się wędrownie trupy artystów szansonetkowych; w bolesnej skardze istoty, odczuwającej poniżenie bliźnich, ale, w poczuciu własnej nicości, nie gardzącej nimi; w tem wyznaniu wreszcie, dobywajacem się z głębi jej duszy i wypowiedzianem na wstępie tej szczególnej książki, gdzie naga brutalność żargonu mięsza się z głębokością myśli, trafnością psychicznej analizy i szlachetnością porywów ducha: „Naprawdę, gdyby władca mój „traf“ inne w mem sercu przybrał imię, jaką doskonałą byłabym katoliczką!“

Jednocześnie w utworze tym odnajdujemy cechę wspólną, charakteryzującą wszystkie kobiety-autorki, mianowicie indywidualistyczną subiektywność w tej formie spowiedzi, mniej lub więcej szczerzej, lecz zawsze wypływającej z właściwego ich płci psychicznego ustroju.

Z tem wszystkiem pani Colette Willy, niegdyś współautorka „Claudine“ i innych podobnych utworów, ukazując w „La Vagabonde“ nową stronę swego talentu i dążności duchowych, staje się mimowolnie moralistką. I to stanowi też niemałą niespodziankę.

*Henryk Bordeaux*, jak wiadomo powszechnie, jest jednym z pierwszorzędných w dojrzewającym obecnie pokoleniu powieściopisarzów francuskich. Można o nim powiedzieć, iż, jako malarz obyczajów lokalnych, na drodze, wskazanej przez Maurycego Barres'a, kroczy on na czele młodego jeszcze, a już obciążonego pięknym plonem kierunku tradycjonalistycznego i prowincjonalnego, który, jak to widzieliśmy przed chwilą na przykładzie dwóch autorów alzackich, zyskuje codzień nowych adeptów. Ale H. Bordeaux szczęśliwszy od większej części swych kolegów, a zwłaszcza dwu ostatnich, nie był nigdy „wykorzenionym“ („déraciné“). Jest on tradycjonalistą prowincjonalnym z urodzenia i z rodu, urodził się bowiem, wychował i zamieszkuje większą część roku w Sabaudyi, t. j. kraju, w którym od najdawniejszych czasów żyli jego przodkowie, skąd wynika, iż jest on, wedle wyrażenia Pawła Bourget, „nasycony“ tradycjonalizmem miejscowym. To znaczy, że gdy mówi o rzeczach i ludziach swego kraju, ma się wrażenie, iż pozostaje mu wiele więcej do powiedzenia i że zachowuje w umyśle i sercu wielki zapas obrazów i wspomnień. Odczuwa się również, że pomiędzy temi widokami i obyczajami, a jego uczuciowością istnieje wewnętrzny i niezniszczalny stosu-



nek. Każda rzecz, każdy zakątek jego prowincyi, począwszy od cudnego sabaudzkiego jeziora, które opiewali poeci, lub dumnie górującego nad miastem stołecznem zamku, a skończywszy na najdrobniejszej zagrodzie, jest dlań jakoby osobą, należącą do rodziny, o której wyraża się z odcieniem serdeczności i dumy tak, jak się mówi o ludziach i rzeczach drogich naszemu sercu, których byt, wiążąc się najściślej z naszym, których sława, rzucając pewien blask na nas samych, obchodzi nas bardzo blisko.

Tradycjonalistą uczyniła go ta miłość rodzinnego kraju, równie jak zastanowienie, które pozwoliło mu poznać, iż istnieją prawa rządzące życiem ludzkim i że te prawa odpowiadają tym, jakie zwyczaj—to nieświadome doświadczenie wieków, ustanowił powolnie i pewnie, oraz stwierdzić, że społeczeństwa, które trwały, musiały, aby trwać, być posłuszne regułom zdrowia zbiorowego. Jeżeli zatem — mówi dalej p. Bourget — chce się reguły te odnaleźć, dokona się tego nie przy pomocy konstrukcyi ideologicznych, lecz za pośrednictwem obserwacyi, które trzeba umieć wyciągnąć. Jest to ściśle przystosowanie metody naukowej do moralnego życia społeczeństwa. Poprzez pozytywizm, wyszedł stąd tradycjonalizm, ten ruch nieobliczalny w swych skutkach, który odnawia obecnie całą myśl francuską. Henryk Bordeaux jest jednym z wierniejszych sług tej silnej doktryny. Ale powieści jego nie są to rozprawy. Dramat życiowy i uczuciowy gra w nich pierwszą rolę, z tym jednakże dodatkiem, iż zawiera w sobie myśl, ideę przewodnią, która dobywa się zeń nie jako teza dowiedziona, lecz jako wskazówka, podobna do tych, jakie z wydarzeń życiowych samibyśmy wyciągnęli i niekiedy wyciągamy, gdyby, jak w powieści, prawdziwe ich powody i przebieg mogły nam być znane.

Zaś ideą przewodnią jego twórczości jest ta, którą zawiera zasada Le Play'a: „rodzina, nie jednostka, jest prawdziwą komórką społeczną,“ zasada, wyznawana również przez Bonalda, Augusta Comte'a, Balzac'a, na której tradycjonalizm oparł swą doktrynę w przeciwstawieniu do rewolucyjno-demokratycznych doktryn indywidualizmu. Znajdujemy też tę ideę mniej lub więcej uwydatnioną we wszystkich jego powieściach, w których zawsze wszystko ściągą się do bytu i interesu rodziny, w jej związku z ziemią ojczystą, która ją wydała, chociażby głównymi bohaterami akcyi romansowej i rozgrywającego się dramatu były jednostki nawet od niej oderwane. Tak jest w „Le Pays natal,“ w „Les Roquevillard,“ w „La Voie sans retour,“ w „La Pour de vivre,“ w „Les Yeux qui s'ouvrent,“ w „La Croisée des chemins“

i tak też rzecz się ma w utworze, w którym dramat uczuciowy stanowi temat wyłączny i całkowicie go wypełniający, mianowicie w powieści „La Robe de laine.“ Motyw tego dramatu, który rozgrywa się w milczeniu, w głębi zrezygnowanego serca i kończy się cichą tragedją, jest bardzo prosty, bardzo zwyczajny. Jest nim bowiem rozdzwitek, dzielący niemożliwą do usunięcia zaporą dusze dwóch kochających się istot, pochodzący zarówno z różnicy temperamentów i charakterów, jak i warunków wychowania każdej z nich. Arcymilioner paryski nazwiskiem Cernay, wychowany i żyjący w najbardziej błyszczącym towarzystwie stolicy, co mu zastępuje brak tradycyi rodowych, zepsuty nadmiarem zbytku i powodzenia, przeżyty już mimo młodego wieku, zostaje, skutkiem kaprysu, nabywcą pańskiego majątku i rezydencyi, położonego w głębi Sabaudyi, gdzie, podczas przelotnego pobytu zakochawszy się nagle, żeni się z córką swego rządu, która nie chciała zostać jego kochanką. Raymonde jest młodzieńką zaledwie dorosłą panią, uroczem stworzeniem, niemającym wyobrażenia o życiu innym jak to, które pędziła tutaj, w tem zgubionem wśród lasów ustroniu, w otoczeniu natury i prostego ludu wiejskiego, w serdecznej, wyłącznie rodzinnej atmosferze. Córka człowieka, pochodzącego z rodu, który zajmował niegdyś wyższe stanowisko w hierarchii społecznej, ma ona, przy braku wychowania światowego, wymaganego w stolicy, instynkty o wiele szlachetniejsze i wychowanie moralne bez porównania gruntowniejsze, niż jej małżonek, któremu się zdaje, że, podnosząc ją do swej wysokości, uczynił jej zaszczyt, jakiemu żadne skarby uczucia wyrównać nie mogą.

Ale Raymonde kocha go naprawdę i oboje są zupełnie szczęśliwi, dopóki pozostają na wsi i później jeszcze w podróży, w Rzymie, póki są sami we dwoje. Wszakże idylla, choćby najpiękniejsza, milionerowi, przyzwyczajonemu do życia w świecie, t. j. w odpowiadających jego fortunie kołach towarzyskich Paryża, wystarczyć nie może, powraca więc z żoną do stolicy. Tutaj Raymonde, której rozstanie z jej otoczeniem sprawia prawdziwe rozdarcie, czuje się obcą wśród intryg i hipokryzyi świata, gdzie na żądanie męża musi figurować, gdzie ją wszystko razi, odstręcza i gorszy. Pomimo wysiłków woli, jej natura prosta i szczerą nie może się nagiąć do tych skomplikowanych form, których podstawą jest fałsz, poza i próżność. Wkrótce nie znajdując oparcia w uczuciach męża, który się od niej stopniowo oddala, by w końcu otwarcie ją zdradzać i przy tęsknocie za rodzinnym ustroniem i otoczeniem, której nawet macierzyństwo nie jest w stanie usu-



nać, biedna istota czuje się złamaną i więdnie, jak kwiat z ziemi wyrwany. Wtedy dopiero, gdy już niema ratunku, Cernay decyduje się odwieźć żonę na wieś. Ale już ani powrót do miejsc ukochanych, ani zobaczenie rodziców, ani żal i czułość męża, co niedawno jeszcze byłoby ją uzdrowiło, nie może jej utraconych sił powrócić. Raymonde umiera w dwudziestym roku życia i, jak w legendzie angielskiej, przytoczonej na wstępie przez autora, zostaje pochowaną w białej wełnianej sukience panieńskiej, w której ujrzał ją po raz pierwszy i pokochał jej zrozpaczony po nie-wczasie mąż. Cernay, którego neurastenii, pod wpływem żalu i wyrzutów sumienia, zaczyna graniczyć z obłąkaniem, oszukuje sam siebie namiętnością do żeglugi powietrznej, co, w parę lat po utracie żony i w chwili, gdy blizkim był zawarcia nowego związku, przyprawia go o śmierć gwałtowną.

W delikatnie wycieniowanych rysach dziewczęcia o uczuciowości wysubtelnionej, w wyrazie bolesnej rezygnacji młodej małżonki dał autor bardzo piękny, bardzo idealnie odczuty portret kobiety szlachetnej, w zupełnem, tradycyjnem znaczeniu tego określenia. Myśl przewodnia, cechująca twórczość Henryka Bordeaux, przebija się w ten wielkiem przywiązaniu Raymondę do natury rodzinnej ziemi i obyczajów miejscowych; w atmosferze moralnej, która urobiła jej duszę i dała jej tę wrodzoną szlachetność, tę moc rezygnacji i poświęcenia w przeciwnościach, którym tylko jej siły fizyczne oprzeć się nie mogły. I w ten sposób tragedia uczuciowa, jaką jest ta powieść, łączy się w jednej ideo-wej konsekwencji z całym szeregiem utworów tego autora, mających za zadanie obserwację obyczajów.

ORWID.

# Franciszek Liszt

(W setną rocznicę jego urodzin.)

Artysta i tłum—to odwieczne symbole dwóch wrogich sobie sił: negacyi i czynu. Ten odwieczny problemat dwóch ścierających się bezwzględnie sił znalazł swój tragiczny wyraz w artystycznej twórczości Franciszka Liszta. Póki Liszt szedł utartą ścieżką tradycyi, święcił niesłychane tryumfy i spotykał się z hołdem ekstatycznych uwielibień; lecz gdy ośmielił się wstąpić na nowe tory, zerwała się burza reakcyi, nie uchylającej się przed najniższymi środkami walki, by zniszczyć przeciwnika: Liszt-wirtuoz był bożyszczem tłumu, korzącego się w niemym zachwycie przed jego geniuszem, Liszt-twórca—znienawidzonym przewrotowcem, nad którym zawisła klątwa potępienia.

Niezwykłe wczesnie rozpoczął Liszt, jako pianista, karierę wirtuozowską, wprawiając demonizmem swojej gry i postaci w szal zachwytu rzesze słuchaczy. Opowiadania o jego występach czytamy dzisiaj, jak cudowną baśń, ozłoconą promieniami niezmiąconego szczęścia; owa „lisztomania,“ o której pisał Henryk Heine w swoich „Kronikach paryskich,“ przybierała wprost patologiczne objawy: podejrzewano Liszta o związki z szatanem; procesy białe przybranych dziewczątek wychodziły na jego spotkanie i rzucały mu kwiaty pod stopy; wyprzęgano konie z jego powozu i w tryumfalnym pochodzie wprowadzano go do miasta; najżywotniejsze sprawy polityki ustępowały na drugi plan wobec wypadków z areny koncertowej. Ów fanatyczny kult wirtuozostwa pozostał dla nas psychologiczną zagadką, jeśli nie objawem jakiejś zbiorowej psychozy; częściowe wytłómaczenie tego wyjątkowego zjawiska tkwi niewątpliwie w odrębnym charakterze gry



lisztowskiej, wyczerpującej nie tylko wszystkie tajniki techniki fortepianowej, lecz wywierającej nieprzerpary i fascynujący wpływ głębią duchowego wyrazu. W grze Liszta bowiem jednoczyły się najróżnorodniejsze, wyłączające się wzajemnie pierwiastki, w których odzwierciadla się istota jego indywidualności: bezpośredniość, demoniczny żar namiętnego temperamentu, elementarna i pełna rycerskiego rozmachu siła, marzycielski romantyzm, najsubtelniejsze wylewy uczuć, jakby odgłosy mistycznej harfy, a nade wszystko ów nieprześcigniony, subiektywny ton, występujący w interpretacji tak własnych, jak i obcych utworów. To też gra Liszta nie była bierną reprodukcją, lecz samodzielnym aktem twórczym, który przetapiał kompozycję na dzieło nowe, owiane technieniem jego potężnej indywidualności.

Jeśli niepodobna dzisiaj wytworzyć sobie wrażenia, jakie wywierała gra lisztowska, to przynajmniej można poznać jej stylistyczne właściwości z pozostałych utworów fortepianowych, w których streszcza się problem nowoczesnej techniki fortepianowej. Liszt, olśniony skrzypcową grą Paganiniego i jego czarem, któremu i Schumann oprzeć się nie zdołał, przejąwszy charakterystyczne znamiona jego stylu, pragnął przeszczepić je na teren fortepianowy i stworzyć pokrewny styl, przełamujący ciasne szranki dawniejszej techniki: pełne, szeroko rozłożone akordy, uderzające jednością i siłą, sploty najświetniejszych pasażów, postępy zdwojonych tercyi, sekst i oktaw, efekty pedałowe—oto zdobycze techniki lisztowskiej. Mimo mawału trudności wszystko, pisane ze zdumiewającą znajomością najskrytszych tajników technicznych, brzmi fortepianowo i „leży w palcach“ tak, że fortepian staje się żywym organizmem, posłusznym zawsze wykonawcy i zdolnym do odtworzenia najłżejszych odruchów psychicznych. Fortepian lisztowski urasta do rozmiarów potężnej orkiestry; idąc bowiem za pobudką Roberta Schumanna, który w „Etydach symfonicznych“ traktuje fortepian orkiestralnie, posługuje się Liszt środkami orkiestralnej natury i wydobywa z fortepianu efekty „barwnej polifonii“ (do ulubionych środków należy prowadzenie szerokiej, jakby wiolonczelowej melodii w lewej ręce na tle bogatych pasażów i arpeggii prawej ręki). Podczas gdy np. u współczesnego Lisztowi pianisty, głośnego w swoim czasie, obecnie zupełnie zapomnianego Thalberga, wirtuozowskie efekty służą do rozwinięcia olśniewającej brawury i okazania biegłości w najkorzystniejszym świetle, słowem technika jest wyłącznym celem dla siebie, to u Liszta ornamentalna strona, wyposażona w najświetniejsze środki, poddana jest wyższym celom artystycznym. Wypływając

z wewnętrznego charakteru utworu, staje się nie jałową frazeologią bez logicznego umotywowania, lecz organicznym składnikiem muzycznej treści, przyczyniającym się do plastycznego uwydatnienia konturów i pogłębienia duchowego wyrazu. Mimo to w wielu utworach pierwiastek wirtuozowski wysuwa się zbytnio na pierwszy plan tak, że nie wszystkie kompozycje fortepianowe Liszta stoją na jednej wyżynie i nie mogą mierzyć się z innymi dziełami, które są bezpośrednim objawem jego twórczej siły.

Monumentalne znaczenie posiadają Etudy, transkrypcje, a zwłaszcza parafrazy szubertowskich pieśni, zespalające ducha oryginału z niezatartem piętnem własnej indywidualności Liszta, podczas gdy znaczna część utworów, w których skrytykował się niejako duch wirtuozostwa, zachowa tylko wartość historyczno-pedagogiczną.

Natomiast odrębny świat ducha wcielił się w utwory fortepianowe, w których znika błyskotliwa forma, a w ramach szlachetnej i prostej faktury wyłania się głęboka treść wewnętrzna, pełna osobistych zwierzeń i najsubtelniejszych nastrojów: są to „*Harmonies poétiques et religieuses*,” owiane błogim spokojem i przysłonięte srebrzystą gazą kojącej ciszy i „*Années de Pèlerinage*,” iskry, poczęte z lotnego ducha, szybującego po przestworzach romantycznej natury szwajcarskiej i włoskiej i szukającego w ożywym źródle poezji zapomnienia o mrocznych nizinach codziennego bytu. Utwory te—to dokumenty wewnętrznego przeobrażenia, dokonanego w duszy wirtuoza-artysty: Liszt zwyciężył w sobie wirtuozostwo, a chociaż jeszcze przez kilka lat odbywał, jako pianista, swoje tryumfalne pochody po stolicach europejskich, to jednak czuł jałowość i próżnię swego zawodu, od którego w końcu się odwrócił (w r. 1847). Ten przełomowy krok wynikał z całego łańcucha pobudek psychicznych, pod których wpływem skrytykowały się jego artystyczne dążenia i zapłonęły światła czystej sztuki. W Liszcie tkwił od najmłodszej młodości mistyk: głęboka wiara w metafizyczne posłannictwo artysty rzuciła go najpierw w ramiona Saint-Simonizmu, głoszącego hasła etycznego odrodzenia ludzkości, a następnie uczyniła go gorącym zwolennikiem idei ks. Lamennais'go, który, upatrując w artyście spełnienie ideału człowieka, wierzył, że z ognisk sztuki wystrzelą jutrzniane blaski pogodnej przyszłości. Wiara w powołanie artysty, podsycana namiętne uczuciem do ks. Karoliny Wittgenstein-Iwanowskiej, kobiety głęboko wykształconej i jak on mistycznie nastrojonej, przetworzyła żądne oklasków i hołdów światowego wirtuoza w natłumionego kapłana sztuki i apos-



toła wypieszczonego w wyobraźni ideału. Nie mniejszy wpływ na ten proces wewnętrznego przeobrażenia w duszy Liszta wywarła twórczość muzyczna dwóch artystów, stojących wprawdzie na krańcowo przeciwnych biegunach, lecz wypowiedających najwierniej i bezpośrednio ducha swojej epoki: Berlioza i Chopina. Tytaniczny rozpęd żywiołowej siły, bezwzględność w walce, wstręt do kompromisów, charakteryzujące rewolucyjny czyn Berlioza, i czysta, oderwana od rzeczywistości, wprost niezemska sztuka Chopina, opiewająca w seraficznych tonach narodowej muzyki ból i cierpienia wszechludzkie, dźwignęły go z pyłu małosłownych ambicji i zwróciły myśl jego ku wyższym celom najszlachetniejszych dążeń.

Przytoczone wyżej dwa cykle utworów fortepianowych są wykładnikiem psychicznego procesu, który twórczość Liszta skierował na zupełnie nowe tory. Prócz tego mają one znaczenie historyczno-estetyczne: tkwią w nich bowiem zarodki idei, która nicią łączną zespoliła twórczość Liszta z epoki wirtuozowskiej z twórczością symfoniczną i rzuciwszy zarzewie namiętnej walki, stała się potężnym prądem życia w rozwoju muzyki nowoczesnej; ta idea — to *muzyka programowa*, czyli muzyka, oparta o pewien z góry wytknięty i świadomie postawiony program, przenikający treść wewnętrzną utworu i usymbolizowany w dźwiękach muzycznych. Gdy pod wpływem romantyki obudził się w dziedzinie twórczej prąd, zmierzający do syntetycznej sztuki, do organicznego zespolenia poszczególnych sfer artystycznych, poczęły fale poezji i muzyki wzajemnie się przenikać: poezja, przesycona pierwiastkami muzycznymi, starała się budzić nastroje muzyczne i naodwrot muzyka szukała pobudek w ideach poetyckich. Te artystyczne tendencje romantyki skryształizowały się w końcu w twórczości Hektora Berlioza, radykalnego szermierza idei programowej, przyznającej muzyce zdolność odtwarzania każdej treści duchowej i malowania wszelkich wrażeń, uczuć i nastrojów. Wszelako Berlioz posunął się w zapędzie reformatorskim zbyt daleko poza granice, zakreślone muzyce, gdyż zapragnął w swoich budowach instrumentalnych przedstawiać z realistyczną wiernością, za pomocą dźwięków, zewnętrzne zdarzenia życiowe, konkretne obrazy i sceny; tem samem muzyka zamiast być wyłącznie tylko środkiem duchowego wyrazu i czynnikiem uczuciowym, przemawiającym do wyobraźni słuchacza, przybierała sprzeczny z jej istotą charakter *opisowy*, zniżając się do naiwnej ilustracji muzycznej, starającej się z fotograficzną ścisłością kopiować kontury idei, która wcieliła się w dzieło poezji lub plastyki. „Programowość“

w pojęciu Berlioza należy odrzucić, jako zasadę płytkiego naturalizmu, natomiast pojąć ją, jako zdolność do odtwarzania za pomocą muzycznych symbolów stanów psychicznych, budzących się w duszy słuchacza pod wpływem rozsnutej w utworze idei przewodniej. Prawda, że dźwięk muzyczny może stwarzać pewne asocjacje zmysłowe, lecz obrazy, wywołane tą drogą, stanowią mogą co najwyżej zewnętrzne ramy najogólniejszych wrażeń, wprawiających nas w uczuciowy nastrój, nigdy zaś nie zdołają przyoblec się w wyraziste kształty konkretnego zjawiska. W myśl tej zasady muzyka nie może być tylko naiwną igraszką tonów, działających swym zmysłowym dźwiękiem, ani martwą formą, pozbawioną wewnętrznej treści, lecz światem, zamykającym przebogatą skalę najsubtelniejszych zjawisk psychicznych. Typem tak pojętej muzyki programowej jest nawskroś uduchowiona, pełna niezgłębionej myśli muzyka beethovenowska; jej formalna budowa ma taką plastykę wyrazu i taką zdolność naginania się do psychologicznych intencji utworu, że już z zewnętrznej fizyognomii muzycznego tematu wyczytać można nastrój duchowej treści, jaką chciał odtworzyć kompozytor. Beethoven nie maluje muzyką swoją konkretnych obrazów, nie stwarza sobie z góry schematycznego programu, któryby w szczegółach wykonywał, lecz odtwarzając pewną ogólną ideę, przelewa subiektywny nastrój w dźwięki muzyczne i stwarza tło nastrojowe, przez które przefiltrowuje się każda fala uczucia. Stąd to pochodzi, że nawet bez programu lub komentarza odsłania się wyobraźni naszej wewnętrzne piękno muzyki beethovenowskiej: nieświadomie odczuwa się wyraz rozpaczony w finale sonaty cis-moll lub nastrój bohaterski, przenikający trzecią symfonię „Eroikę.“ Jakie nowe pierwiastki wносиła więc idea programowa, skryształizowana w muzyce Berlioza? Oto zespoliła muzykę, czerpiącą z dziedziny pozamuzycznej twórczych pobudek, ściśłym węzłem ideowym ze sferą innych sztuk pięknych, pogłębiła treść wewnętrzną muzyki i wzbogaciła zdobyczą nowych środków duchowego wyrazu, służących do odtworzenia najbardziej skomplikowanych procesów psychicznych, w końcu dając stały punkt oparcia dla wyobraźni, zdążającej w ślad za wytkniętym programem, wlewała realną treść w nieokreśloną istotę muzycznego utworu. Z chwilą zaś, gdy idea programowa pokusiła się o odtworzenie realnych zdarzeń i zmysłowych zjawisk, wkraczała w sferę obcą, sprzeczną z postulatami muzycznej estetyki. Liszt przejął z zapalem nową ideę, lecz w praktycznym jej przeprowadzeniu nawiązał raczej do tradycji Beethovena, aniżeli do twórczości Berlioza; uczyniwszy myśl pro-



gramową ośią swojej muzyki symfonicznej, wywaleczył jej prawo obywatelstwa w nowoczesnej muzyce.

Symfoniczna twórczość Liszta, którą przez długi czas zwalczano jako rewolucyjną negację przeszłości, nie tylko nie zrywa z historycznymi podstawami ogólnego rozwoju muzyki, lecz zespała się organicznie z przeszłością jako konsekwentne ogniwo genetycznego łańcucha; jej historyczne znaczenie polega nie na rozbiciu i zniszczeniu tego, co przedtem istniało, lecz na *przetworzeniu* i przebudowie *form*, które w muzyce beethovenowskiej dosięgły wprawdzie szczytów rozwoju, lecz z dalszym postępem czasu zmieniały się w skostniałe schematy. Muzyka beethovenowska bowiem, przerastająca głębią duchowego wyrazu całą poprzednią twórczość muzyczną, zachowuje jeszcze przekazaną przez tradycję, estetycznie wydoskonaloną, pełną harmonii i symetrii *formę sonatową*, ujętą w ramy niezwykle misternej konstrukcji muzycznej, która rozpada się na trzy ogniwa, spojone węzłem logiki wewnętrznej. Ekspozycja sonaty, stanowiąca pierwsze ogniwo, przeciwstawia dwa kontrastujące charakterem tematy melodyjne, jakby tezy dyalektycznego procesu, kryjące w związku zasadniczą myśl całości. Następuje część druga konstrukcji t. zw. „przetworzenie“ („Durchführung“), wzajemne przenikanie, walka i ścieranie się muzycznych tematów, które zatracają swoje pierwotne zarysy, zjawiają się w nowym oświetleniu, zachowując zaledwo rytmiczne kontury, przetwarzają się w nowe sploty melodyjne, pełne fantastyki i bujnego życia, wyrosłe organicznie z zarodków, kiełkujących w głównych motywach muzycznych. Z częścią drugą wiąże się bezpośrednio ostatnie ogniwo formy sonatowej, powrót do punktu wyjścia, „repetycja“, wprowadzająca z nieznacznymi modyfikacjami tematy części pierwszej w ich pierwotnej postaci. Ze stanowiska techniki muzycznej jestto forma niezwykle prosta, przejrzysta i logiczna, lecz nie zawsze z psychologiczną prawdą utworu zgodna, gdyż opierając się na stałych, schematycznych normach, krępuje zbytnio swobodny lot wyobraźni; zwłaszcza powrót do części pierwszej, nadający zresztą sonacie siłę niezłomnej konsekwencji, powoduje niejednokrotnie jaskrawy rozdźwięk między treścią a formą. Zwrócił na to uwagę R. Wagner, wskazując, że w jednym z najwspanialszych dzieł beethovenowskich, słynnej ouverturze „Leonore“, ponowne wprowadzenie początkowych tematów, symbolizujących cierpienia i walki, nie da się, jako sprzeczne z ideą dramatu, psychologicznie umotywić, gdyż w chwili, gdy na przełomie tragicznej katastrofy rozbrzmiewają sygnały trąb, zwiastujące nadzieję ra-

tunku, oczekujemy po dramatycznej perypetyi zakończenia w blasku radosnych dźwięków, a nie bolesnego rozdarcia duszy. Lecz w powyższym architektonicznym schemacie nie wyczerpuje się istota formy sonatowej; sonata bowiem jest utworem cyklicznym, złożonym z trzech lub czterech różnobarwnych obrazów, które, jakby akty dramatu, uzupełniają się wzajemnie i zrastają w organiczną jedność. Pierwszy fragment sonatowego cyklu—to przytoczona wyżej część, Allegro, w którym spoczywa punkt ciężkości całej kompozycji i streszcza się typowa postać formy sonatowej; następuje po nim Adagio, jakby mistyczne ukojenie modlitwy po namiętnej walce duchowej; trzeci obraz — to lekkie, kapryśne i szydercze Scherzo (jak przed Beethovenem Menuet), a ostatni obraz, zamykający całość—to finał, pojednanie wrogich sił, ścierających się w toku utworu.

Forma sonatowa miała taką przekonywającą siłę logiki, że nawet Berlioz, nieprzejednany wróg przeszłości, nie naruszył w niczem jej zewnętrznej budowy, lecz wtłaczał swoje gigantyczne pomysły w ciasne ramy technicznego aparatu, przekazanego tradycją. Wyzwolenia z niej dokonał dopiero Liszt, stworzywszy nową formę muzyczną, *symfoniczny poemat*, dla którego wywalczył historyczne stanowisko obok symfonii dawnego typu. Wszelako Liszt nie zerwał bezwzględnie z tradycyjną formą sonatową, gdyż posłużył się nią, jako środkiem do zewnętrznego uplastycznienia swoich idei muzycznych w fortepianowej *Sonacie H-moll* i obydwóch *koncertach* z towarzyszeniem orkiestry, Es-dur i A-dur, lecz zachowując schematyczną formę, stopił poszczególne ustępy w jedną nieprzerwaną całość i oparł na jednym zasadniczym temacie, wijącym się, jak nić przewodnia, wśród harmonicznych i rytmicznych przemian. Formy sonatowej użył nadto Liszt za przykładem Berlioza w „Faustowskiej“ i „Dantejskiej“ symfonii, postępując z najzupełniejszą swobodą artystyczną niezawisłe od stale obowiązujących norm i szablonu. Pierwszą symfonię ujmując w rany trzech symbolicznych obrazów, opatrzonych programatycznymi tytułami, Faust—Gretchen—Mephisto; w miejsce dwóch zasadniczych tematów stawia cztery muzyczne tematy, które rozsnują na wzór „przewodnich motywów“, wprowadzonych do symfonii przez Berlioza, dla odtworzenia idei poetyckich, ilekroć tego wymagają względy psychologiczne; zmienia konstrukcją pierwszej części we wzajemnym stosunku trzech zasadniczych grup w ten sposób, że grupę środkową („przetworzenie“), będącą zawsze kulminacyjnym punktem muzycznego procesu, utrzymuje bardzo zwięźle, nie powierzając jej pracy tematycznej, lecz do-



piero w ostatniej grupie („repetycya“) zużytkowuje z istnem wirtuozostwem tematyczny materiał, zjawiający się w nowem świecie jako symbol wewnętrznego przeobrażenia, dokonanego w duszy Fausta. <sup>1)</sup> Za przykładem IX-ej symfonii beethovenowskiej wprowadza Liszt w zakończeniu dzieła chór męski, intonujący melodyę psalmu, jako zapowiedź zbawienia. Chór wokalny występuje również w symfonii „dantejskiej“, znacznie odbiegającej od symfonii dawnego stylu, gdyż złożonej nie z czterech, lecz dwóch obrazów. Stosunek treści do formy uległ tutaj zasadniczej zmianie: nie treść miała stosować się do gotowej już formy i urabiać się według jej modły, lecz forma podporządkowała się idei poetyckiej i, wyrastając z jej ducha, stała się organizmem, zdolnym do życia i rozwoju: forma dogmatyczna, oparta wyłącznie na prawach czysto-muzycznej logiki przetworzyła się w uzależnioną od idei przewodniej *formę psychologiczną*. Tę nową zasadę przeprowadził Liszt w całej pełni w „Symfonicznych poematach“, zacięśnionych do jednego ustępu muzycznego w przeciwieństwie do cyklicznej budowy dawnej symfonii, rozbitej na luźne, pozbawione wewnętrznej spójności obrazy. Wyzwolona z więzów schematu forma symfonicznych poematów posiadała niezwykłą plastyczność i nieograniczoną zdolność przybierania najrozmaitszych postaci i naginania się do każdego wyrazu duchowego, a nadto pozwalała artyście nakreślać taki plan muzycznej budowy, jaki w ściślejszej zależności od psychologicznego przebiegu „programu“ najlepiej odpowiadał celowi. Zarzuty opozycyi, jakoby poematy symfoniczne pozbawione były formy, polegały na niewolniczym kulcie tradycyi, niezdolnym do zrozumienia faktu, że myśl i twórczy indywidualizm artysty wlewały w nie życie i kształtowały ich duchową fizyognomię.

Linie formalnej budowy powstają i rozwijają się u Liszta zazwyczaj z jednej zasadniczej myśli muzycznej, która snując się w najrozmaitszych przemianach, stwarza pełną dramatycznego życia formę waryacyjną; czasem muzyczna konstrukcja przybiera postać, zbliżoną do ronda, jak np. w poemacie „Die Ideale“ (do słów Schillera), gdzie zasadniczy motyw czterokrotnie powraca, przeplatany epizodami, lub nawet zachowuje w najogólniejszych konturach szczytkową formę sonaty, jak w „Preludyach“ (według Lemartine’a), opartych mimo barwnej różnaitości fantastycznych

<sup>1)</sup> H. Kretzschmar: „Führer durch den Konzertsaal.“ I. (Faust—Symphonie).

obrazów tylko o dwa główne tematy, różne nastrojem i symbolizujące wieczną walkę dwóch wrogich sobie sił: życia i śmierci, albo w „Prometeuszu,” gdzie forma sonatowa znakomicie odzwierciedla psychologiczną intencję idei, wprowadzając po śpiewnej części środkowej, stwarzającej iluzję wewnętrznego spokoju, pierwotne tematy części pierwszej, pełne namiętnych skarg i bolesnych zmagañ ducha, który utracił wiarę w zwycięstwo i nadzieję wyzwolenia. Zasadnicze tematy, ulegające w toku kompozycji charakterystycznym przeobrażeniom, nakreślone są z niezwykłą siłą muzycznej koncepcji i odznaczają się aforystyczną zwięzłością i plastyką, pełną duchowego wyrazu: postawione na czele „poematu,” jakby muzyczne motto, wypowiadają myślową treść całego utworu. Podobnie wyraziste rysy posiada muzyczna fizyognomia beethovenowskiej tematyki; tu tkwi niezaprzeczony łącznik, zespalaający muzykę Liszta węzłem duchowego pokrewieństwa z Beethovenem; za dowód niechaj posłuży ów ustęp z symfonicznego poematu „Hamlet,” w którym dla odtworzenia psychicznego nastroju bohatera, stojącego wobec tragicznej zagadki życia, wyłania się charakterystyczny temat, będący rytmicznym echem „motywu wszechbytu“ z piątej symfonii beethovenowskiej. Proces tematycznego przeobrażenia pozostaje u Liszta w związku z psychologicznym przebiegiem ideowej treści i osiąga drogą najprostszycch środków muzycznego wyrazu siłę przekonywującej prawdy: pragnąc odmalować plastycznie duchową postać Mefista w 3 części „Fausta,” wprowadza Liszt tematy, charakteryzujące Fausta, lecz nie w ich pierwotnej postaci, tylko pojęte jako symbol negacyi, przetworzone za pomocą rytmicznych modyfikacyi, a raczej „skarykaturowane, poszarpane w strzępy, opatrzone groteskowemi ozdobami, przybrane w błazeński strój“ szyderczego demonizmu; podobnie i w „Preludyach“ rytmiczna zmiana przewodnich motywów służy do odtworzenia zmienionego nastroju: gdy miękki obraz sielankowej ciszy i ukojenia przeradza się w wizję radosnego tryumfu, wówczas pierwotne tematy, pełne prostoty i słonecznej pogody przybierają bohaterski charakter, w którym dźwięczą marsowe akcenty.

Melodyjna struktura tematów lisztowskich posiada nadzwyczajne bogactwo form: obok prymitywnych wykrzykników, działających samą dynamiką brzmienia lub innych elementarnych pierwiastków muzycznej retoryki („Mazepa“) snuje się przedziwo melodyi z kilku zaledwie tonów („Preludya“) lub stroi się w szaty przepysnej arabeski, wijącej się po stopniach zalterowanej skali



(„Faust“); nieraz uszlachetnia Liszt skromną piosnkę ludową technieniem subtelnej poezji (Tasso).

Stylistyczną cechą „symfonicznych poematów“ jest brak kunsztownej polifonicznej faktury w prowadzeniu głosów; wśród przeważającej *homofonii* rzadko tylko występują ustępy ściśle polifoniczne i to wtedy, gdy tego wymaga wyraz psychologiczny utworu, jak np. w poemacie „Głosy gór“ („Ce qu'on entend sur la montagne“), gdzie muzyka, splatając najróżnorodniejsze motywy, jakby roje sprzecznych uczuć, zlewa strugę ukojonej harmonii w duszę artysty. Czasem posługuje się Liszt formą fugi, lecz mimo użycia wszystkich środków kontrapunktycznych unika szczęśliwie scholastycznego schematu i stwarza najstosowniejsze ramy dla plastycznego uzewnętrznienia psychicznego nastroju, gdy np. w „Prometeuszu“ maluje nabrzmiałą bólem, żywiołową walkę ducha, przykutego do nagich skał ziemskiego bytu i rwącego się na płomiennych skrzydłach ku szczytom wyzwolenia; ten sam cel ma fuga w 3 części „Fausta,“ gdzie odtwarza radosną orgię piekielnego rozpętania lub w 2 części symfonii dantejskiej, gdy przed naszą wyobraźnią staje obraz czyścicowych dusz, wijących się w skurczach zwątpienia i trwogi, to znowu skąpanych w tęczowym blasku nadziei zbawienia.

Źródła opozycyi, którą wywołały „symfoniczne poematy“ w chwili swego ukazania się, tkwiły nie tyle w nowej, stworzonej przez Liszta formie i swobodzie, z jaką nią władał, lekceważąc uświęcone tradycją dogmaty, ile raczej w śmiałych i egzotycznych kombinacjach harmoniczných, na które się Liszt odważył, idąc za pobudką uczonego teoretyka, F. I. Fétisa, głoszącego w muzyczno-filozoficznych wykładach w Paryżu nowe idee, które, uwolniwszy muzykę z więzów tonalnej logiki, miały ją wzbogacić różnaitością różnorodnych pierwiastków harmoniczných. Starając się praktycznie przeprowadzić te idee, posunął się Liszt poza granice dawnych pojęć tonalnych i oparłszy je o zupełnie nowe zasady, dokonał przewrotu na polu harmonii: postępy enharmoniczne, spłoty jaskrawych dysonansów, traktowanych z wszelką swobodą, przeszły z dzieł Liszta do muzyki „nowo-niemieckiej,“ jako nowoczesny środek muzycznego wyrazu: w „Prometeuszu“ spotykamy akordy dysonansowe, zbudowane nie na terycach lecz kwartach (f, h, e, a), w „Hamlecie“ bolesne zgrzyty dla odtworzenia patologicznych rysów w charakterze bohatera. Wszelako dysonans ustępuje tam, gdzie tego wymaga nastrój duchowy utworu: w zakończeniu „dantejskiej symfonii,“ gdy muzyka odśłania nam misterya nadziemskich świntów, harmonia unika starannie wszel-

kich dysonansów, staje się prymitywna, przybiera cechy archaistycznej powagi i zbliża się wprost do muzycznego „prerafaelityzmu“: wśród natchnionego rozmodlenia płyną dźwięki podniosłego „Magnificat“ i pną się w najwyższe przestworza po stopniach potężnej, dyatonicznie postępującej skali „palestrinowskich“ trójdźwięków (środkiem tym posługuje się Liszt niejednokrotnie w muzyce religijnej, pochodzącej z ostatniej doby jego twórczości).

„Poematy symfoniczne“ Liszta—to promienie twórczego natchnienia, załamane w pryzmacie jednej przewodniej idei, stanowiącej treść programową jego utworów i dającej się sprowadzić do zasadniczego motywu ideowego dualizmu, wcielonego w walkę dwóch wrogich sobie pierwiastków, w walkę świetlanego ducha z demonami nocy: w poemacie symfonicznym „Orfeusz“ odzwierciadlony symbol muzyki, której łagodne światło wdziera się w duszę człowieka i rozprasza mroki dzikich instynktów, „Ideaty“ i „Prometeusz“—to tryumf wyzwolenia po krwawych ranach i cierniowych walkach życia, „Głosy gór“ są hymnem duszy, oderwanej od nizin ziemskiego bytu i skąpanej w zarannej zorzy religijnego zachwycenia, „Preludya“ przeciwstawiają pełen ponęt, uciech i szczęścia świat życia żałobnym kirom wiecznego przeznaczenia, „Walka z Hunami“ (według obrazu Wilhelma Kaulbacha) opiewa zwycięstwo słońca nad „meteorycznym blaskiem“ szatańskich mocy. Nawet tam, gdzie realistyczne momenty wysuwają się pozornie na pierwszy plan, jak np. w „Mazepie,“ odtworzającym drgający życiem obraz nieprzejrzanego stepu, poświsł wicheru i wściekłą orgię szalonego pędu, artysta nie zniża się do muzycznej ilustracji, lecz stwarza rany dla przewodniej idei, symbolizującej farysowski problemat męczeństwa i tryumfu geniuszu. Symfoniczne poematy bowiem nie są niewolniczą kopią lub muzycznym przerysowaniem poetyckiego programu, lecz odtworzeniem doznanych wrażeń, które przetapiają się w nastrój muzyczny, zdolny swą tajemniczą mową wyrazić to, czemu nie sprosta materyalne słowo. Wymownym dowodem tego jest symfoniczny poemat „Hamlet.“ Dramat szekspirowski przedstawia nam proces refleksyi, rozumowej analizy, a więc problemat niemuzyczny, lecz nastrojowa siła muzyki wnika głębiej i dociera do dna duszy hamletowskiej i niezależnie od dramatycznej akcji odsłania tragiczną tajemnicę cierpień, wyrosłych z poczucia własnej bezsiły.

Liszt nie tworzył w niewolniczej zależności od „programu,“ lecz ujmował ideę poetycką pod kątem subiektywnego odczucia i zmieniał, kształtował ją tak, jak tego wymagały prawa logiki



muzycznej. Trzy części dantejskiego eposu pomieścił Liszt w ramach dwóch symfonicznych obrazów, zespalaając ze względów czysto-muzycznych dwie ostatnie części, „Czyściec“ i „Raj,“ węzłem wewnętrznej łączności w organiczną całość. Poemat symfoniczny „Ideały“ rozpyływa się w blasku radosnych akordów, symbolizujących apoteozę twórczego ducha, gdy natomiast Schiller zamyka swój poemat rozdźwiękiem rezygnacyi i zwątpienia. „Walka z Hunami“ rozszerza i pogłębia zasadniczą myśl obrazu, głosząc zwycięstwo krzyża, rozbrzmiewające w promiennej aureoli chrześcijańskiego hymnu, „O crux fidelis.“ W symfoniczny poemat „Głosy gór,“ oparty o słowa Wiktora Hugo, wplata Liszt „modlitwę anachoretów,“ jakby mistyczną modlitwę serca, zlewającego się w ekstazie panteistycznego uniesienia z duszą przyrody. Niektóre poematy Liszta pozbawione są dokładniejszego programu, lecz artysta umie w muzykę tenąć tyle życia i nadać jej taką plastykę wyrazu, że wyobraźnia, znalazłszy w samym tytule uczuciową lub nastrojową pobudkę, przenika treść wewnętrzną utworu (Héroïde funèbre, Hungaria i Festklänge).

W symfonicznych poematach Liszta znalazła jego twórca indywidualność swój najdoskonalszy wyraz; nie błędniejszego nad zarzuty opozycyi, upatrującej w nich nie tyle wykładnik spontanicznego popędu twórczego, wybuchającego z odruchową siłą, ile raczej rezultat „wyrafinowanej refleksyi“; nie da się bowiem zaprzeczyć, że z dzieł Liszta bije bezpośrednio i impulsywność, idąca za pierwszym błyskiem natchnienia i stanowi charakterystyczne znamię, nadające im piętno odrębności. Ten *improwizatorski* rys w twórczości Liszta zbliża ją niewątpliwie do duchowej fizyognomii muzyki chopinowskiej, której istotę Liszt tak trafnie uchwycił w słynnym studyum o Chopinie, lecz zarazem ujawnia głęboką różnicę, tkwiącą w charakterze ich twórczych światów: U Chopina koncepcya, zrodzona w stanie natchnionego jasnowidzenia, przyobleka się odrazu w szaty doskonałej, zharmonizowanej formy, u Liszta genialna idea zamiera w zarodku, zanim się uzewnętrzni, nie wychyliwszy się poza embryonalną formę pierwotnego pomysłu; stąd ów wizyonerski świat ducha w muzyce chopinowskiej, podczas gdy dzieła Liszta zachowują rapsodyczny a raczej szkicowy charakter potężnych, wyrosłych z nastroju chwili fragmentów muzycznych, w których forma i treść nie zawsze są równe sobie. Ten rozdźwięk między ideaą a jej zewnętrznem odzwierciedleniem nie był wynikiem twórczej niemocy, niezdolnej do odtworzenia i przelania w słyszalny dźwięk wszystkich drgnień uczucia i odruchów nastroju, lecz wypłynął poniekąd z psychicz-

nej organizacyi Liszta i rytmu jego życia, pełnego walk i burz. Symfoniczne poematy powstały bowiem w epoce, w której Liszt rozwijał niestrudzoną działalność: jako dyrygent dworu weimarskiego, wykonując po raz pierwszy dzieła Berlioza (Benvenuto Cellini), Corneliusa (Barbier von Bagdad), Wagnera (Tannhäuser, Lohengrin), jako pedagog, otoczony rzeszą uwielbiających go uczniów i jako szermierz nowych ideałów artystycznych, walczący z poświęceniem przeciw atakom i szykanom gwałtownej opozycyi, uciekającej się do środków podstępnej intrygi. Jego nieokiełznana indywidualność, ognisty temperament, bezwzględność w walce, płynąca z najszlachetniejszych pobudek etycznych, podniecały opór przeciwników, którzy poza odtwórczym talentem nie chcieli w nim uznać oryginalnego kompozytora, lecz w szydlerczym zaślepieniu zarzucali mu brak twórczych zdolności, przytaczając, jako przekonywujący argument, fakt, że Liszt dopiero w 40 roku życia rozpoczął swoją działalność kompozytorską. Zarzuty te, nieścisłe pod względem biograficznym, gdyż pierwsze pomysły i szkice niektórych poematów symfonicznych sięgają epoki „wirtuozowskiej,” upaść muszą jako bezpodstawne, choćby ze stanowiska psychologicznego: są bowiem genialne natury, przedwcześnie wykwitłe, które idą przez życie smutne, jakby je trąciło skrzydło śmierci, z niemym wyrzutem bolesnej skargi, że umierają z wiosną życia i są typy, których siły twórcze zwolna się rozwijają i dojrzewają dopiero ozłoczone blaskiem jesiennego słońca; do nich należy — Liszt. Twórczość jego nie przedstawia tak jednolitej i zwartej budowy, jak np. twórczość Beethovena lub Wagnera, gdyż *uniwersalny* geniusz jego, ogarniający najdalsze widnokregi ducha, zanadto się rozpraszał i pozbawiony wewnętrznej koncentracji, nie pozwolił na zaokrąglenie i pogłębienie formy. Ów konflikt treści i formy objawił się w sposób niezwykle jaskrawy w religijnem dziele Liszta, oratorjum „Chrystus,” którego potężna idea musiała rozsadzić ramy muzycznego aparatu: hymny starokościelne, gregoriańskie melodie liturgiczne, solowe śpiewy, wpadające w ton suchej deklamacyi, stanowią swoją ascetyczną powagę i spirytualizmem suchotniczych konturów groteskowy kontrast z ustępami wokalnymi i instrumentalnymi, oblanymi światłem olśniewających barw orkiestralnych, posługujących się wszystkimi zdobyczami muzycznego wyrazu. Zamiast organicznej i jednolitej całości, wykutej jakby z jednego głazu, imponującej spiszową siłą i konsekwencyą wewnętrzną logiki — konglomerat stylów i form!



Synteza przeszłości z chwilą współczesną—oto hasło Liszta, który za cel swego życia wytknął sobie odrodzenie muzyki kościelnej; jego reforma płynęła z dwóch źródeł: z osobistych uczuć religijnych, ożywionych gorącą wiarą i przywiązaniem do mistyki i z ogólnego prądu idealistycznego, nurtującego sztukę ówczesnej epoki. Nie w radykalnym przewrocie, ani w ślepiem naśladownictwie tkwił ideał reformy lisztowskiej, lecz w harmonijnem zespoleniu archaicznych pierwiastków, skryształizowanych w muzyce Palestriny, uchodzącej za najczystszy wyraz religijnego ducha, z przebogatą skarbnicą nowoczesnych środków muzycznych, którym poematy symfoniczne Liszta nadały tęczową rozmaitość barw, giętkość i zdolność odtwarzania wszystkich stanów psychicznych. W muzyce religijnej, poddanej wyłącznie celom liturgicznym, wcieliła się reforma Liszta w widomą formę czynu: najprostsze środki techniczne dawniejszej muzyki, tonacye kościelne, plagalne kadencye, archaiczna na dyatonice oparta harmonia, przestają wprost działać materialną stroną dźwięku i rozsiewają nastrój głębokiego skupienia, surowej powagi i metafizycznej kontemplacyi: „Missa choralis“ na chór mieszany z towarzyszeniem organu rozbrzmiewa mistyczną harmonią pozaświatowej piękności, „Psalm 137“ jednoczy zespół wokalny (sopran i chór żeński) z zespołem instrumentalnym (organ, harfa i skrzypce) w eteryczną całość o niezwyklej subtelności kolorytu, „Psalmy 13, 18, 23“—to wzruszająca poezya osobistych uczuć; w niektórych ustępach sączą się wyraźnie „łzy, przesiąknięte krwią,“ jakby nabrzmiała bólem modlitwa duszy, która z religijnej ekstazy czerpie balsam ukojenia. Religijna muzyka Liszta — to nie wytwór podnieconej egzaltacyą uczuć wyobraźni, która w spazmatycznym skurczu chorych nerwów wije się w prochu grzesznej niemocy przed majestatem nadziemskich wizyi, lecz podniosły świat ducha i szczere wylewy uczuć, w których drga struna rzewnego liryzmu.

Skarby lirycznego piękna spoczywają na dnie lisztowskich „Pieśni,“ nie tak znanych i rozpowszechnionych, jak fortepianowe lub symfoniczne utwory Liszta, lecz pełnych szlachetnej wytworności, poufnych rysów i subtelnych barw. Nadzwyczaj ważne w rozwoju nowoczesnej liryki muzycznej, jako łączne ogniwo między pieśnią Schuberta i Schumanna a pieśnią Hugona Wolfa, „Pieśni“ Liszta, odznaczające się przebogatą skalą wyrazu, odzwierciadlają ewolucyę w rozwoju jego twórczości: pieśni wcześniejsze uderzają bogactwem zewnętrznego przepychu, różnorodnością środków technicznych, świetnem wyposażeniem partyi fortepianowej, przytłaczającej niejednokrotnie melodyjną linię słów

poetyckich lub urastającej do rozmiarów dramatycznej sceny („Ein Fichtenbaum steht einsam,“ „Loreley“), zaś pieśni, pochodzące z późniejszej epoki, przybierają pod wpływem duchowego przeobrażenia, dokonanego w życiu Liszta, ascetyczny, pełen surowego wyrazu i dojrzałej powagi wygląd, oparty o największą prostotę i prymitywność harmonicznego i melodyjnego rysunku („Über allen Gipfeln,“ „Sei still“). Niektóre pieśni, zwłaszcza do słów francuskich (Wiktora Hugo), mają w sobie porywający wdzięk i lekkość prawdziwie romańską, lecz popularności w zwykłym tego słowa znaczeniu nie zdobędą może nigdy, gdyż brak im owego tonu „ogródkowej“ muzyki, tak łatwo wpadającej do ucha („S'il est un charmant gazon“). Z drobiazgową starannością traktują pieśni lisztowskie słowa poetyckiego tekstu i przetapiają ich nastrój i treść uczuciową w dźwięki muzyczne z niezwykłą plastyką i głębią psychologicznego wyrazu: pieśń do słów Lenau'a „Die drei Zigeuner“ obłana złocistym potokiem słonecznego blasku i stepowego żaru; w pieśni heinowskiej „Im Rhein, im schönen Strome“ malują faliste rytmy partyi fortepianowej łudząco wstęgę „Złotego Renu,“ przelewającego swe nurty z majestatycznym spokojem, gdy oto z kadzielnych mgieł potężnych akordów wyłaniają się mistyczne kolumny katedry gotyckiej, odbitej w zwierciadle wody. Mimo swego przedmiotowego charakteru, odtwarzającego przedewszystkiem niezmacony nastrój poetyckiego tekstu, mają „Pieśni“ Liszta wiele subiektywnych pierwiastków i są jakby projekcją duszy, która w dźwięki muzyczne wlewa rytm i barwę osobistych przeżyć.

Dzisiaj dopiero odślania się świadomości naszej epokowe znaczenie historycznej roli, którą odegrał Liszt w dziejach muzyki. Punkt ciężkości jego czynu tkwi w nowych ideach i pobudkach duchowych, które muzyce współczesnej wytknęły nowe drogi i kierunki rozwoju. Iskry szlachetnego zapachu, poczęte w pełnej zaparcia się walce, zapłonęły dzisiaj olśniewającym światłem i roztoczyły promienną aureolę blasku nad widnokreśm sztuki.

D-R JÓZEF WŁADYSŁAW REISS.



# *Podstawy etyki Schopenhauera.*

## I.

Popularny pesymizm twierdzi, że w życiu ludzkim nad dobrem i rozkoszą przeważa zło i cierpienie.

Bezwzględny pesymizm filozoficzny, wypowiadający się najdobitniej w etyce, idzie dalej, bo „dobro“ uważa za pojęcie negatywne, oznaczające nieobecność lub brak „złego,“ i zarazem, ze słusznej obawy o swój byt, zaprzecza możliwości zmniejszenia złego i prawdopodobieństwu moralnego rozwoju ludzkości, bo cierpienie ma być najbliższym i bezpośrednim celem naszego życia. „Zaprzeczenie tego równałoby się uznaniu absurdu, że nieskończony ból, którym jest przepętniony świat cały, może być bezcelowem dziełem przypadku.“<sup>1)</sup>

Najwybitniejszy przedstawiciel tego kierunku, Schopenhauer, idzie jeszcze dalej, bo nie tylko redukuje etykę do nauki opisowej, lecz poniża ścisłą wiedzę i przeistacza charakter filozofii, usiłując ją pozbawić obiektywnej, trwałej podstawy przez wyłączenie oparcie na intuicyjnym odczuwaniu prawdy.

Przyjąwszy w głównym zarysie teorię poznania Kanta, zmienia ją w tych punktach, które nie dały się pogodzić z własną filozofią. Zachowując więc metafizyczną podstawę kantowskiej Ding an sich (Rzeczy w sobie), odrzuca jej abstrakcyjny idealizm i nadaje realno-indywidualne zabarwienie, prowadzące z konieczności do subiektywnego intuicyjonizmu. Zdaniem jego wszelkie rzeczy poza stroną zjawiskową, jaką jesteśmy w stanie poznać,

<sup>1)</sup> Tom V Parerga, str. 303. (A. Schopenhauers sämtliche Werke. 6 tomów. Opracowane przez Grisebacha. Nakład Reclama. Lipsk.).

mają w sobie odpowiedni korelat, będący podstawą i istotą tych rzeczy, ale kiedy Kant swoją Ding an sich uważał tylko za nieznaną X, za coś prawdziwie transcendentnego, dla Schopenhauera, metafizyka i woluntarysty, było to niemożliwe, i pogląd jego przedstawia się inaczej.

Postrzegany świat jest zaledwie naszym wyobrażeniem, wytworzonym przez intelekt przy pomocy dwu a priori wrodzonych form poznania: czasu i przestrzeni, byt więc jego jest względny, całkowicie zależny od istnienia apercepcyjnej świadomości. „Kein Objekt ohne Subjekt.“ Z drugiej strony jednak możemy się przekonać, że świat poza swoją zjawiskową stroną, existentia, jest absolutnym i bezwzględny bytem samym w sobie, essentia. Dojść do poznania tego ostatniego możemy jedynie na drodze analogii świata z naszą własną jaźnią.<sup>1)</sup> Nie człowiek jest mikrokosmosem, lecz świat makroantroposem; tylko poznanie istoty ludzkiej da nam klucz do zrozumienia istoty świata. Gdybyśmy byli tylko czystym intelektem, indywidualnymi zdolnymi tylko do wyobrażeń (vorstellende Wesen), to nigdy nie moglibyśmy wyjść poza granice zjawisk; ponieważ jednak jesteśmy nie tylko subiektywnymi, lecz zarazem i obiektami dzięki posiadaniu ciała, należymy sami do świata zjawisk i możemy go rozumieć. Każdy akt ciała ujmujemy z jednej strony w formie wyobrażenia, jako zjawisko, z drugiej strony — bezpośrednio, jako objektywację wewnętrzną istoty, Woli. Fakt ten, jako cud κατ' ἐξοχήν należy przyjąć za istniejący, nie kusząc się o jego zrozumienie.

Ze Wola jest pierwotnym i najistotniejszym elementem zwierzęcej świadomości, przekonywa o tem wiele danych.<sup>2)</sup>

Nikt nie odważy się powiedzieć, że zwierzę myśli, pojmuje, sądzi, lecz każdy musi przyznać, że pożąda, czyli posiada wolę. Przechodząc gatunki zwierząt od wyższych do niższych, spostrzegamy stałe zmniejszanie się intelektu, lecz niezmienną wolę. Polip ma ją tak dobrze, jak człowiek, różnica zachodzi tylko w obiektach pożądania, jako zależnych od intelektu. Nowonarodzone indywiduum naprzód okazuje wolę, dopiero później poznanie; powstawanie świadomości jest równoznaczne z powstawaniem poczucia woli.<sup>3)</sup> W zjawiskach wola jest zawsze jednakowa, stała i niezmienną, intelekt zaś powstaje, rozwija się i zanika, bo jest wtórnym i zależnym. Wprawdzie wielu filozofów głosi zupełnie przeciwne poglądy, lecz wyżej przytoczone fakty, a tak-

<sup>1)</sup> I, Welt als Wille und Vorstellung. § 18. II, str. 227.

<sup>2)</sup> II, § 19. III, str. 391. <sup>3)</sup> I, str. 423.



że — w stosunku do własnej osoby — wewnętrzne przekonanie, jak najwidoczniej im przeczą. Za pierwszeństwem Woli przemawia i to, że akty jej, bezpośrednio przez nas odczuwane, mają w porównaniu z innymi formami świadomości wielką zaletę, bo występują tylko w formie czasu, a więc najwyraźniej objawiają swoją wewnętrzną istotę, która, jako rzecz pozadoświadczalna, jest podstawą zjawisk wszechświata, poszukiwaną przez filozofów Rzeczą w sobie. Cechą jej jest stały ruch, pęd (*der Trieb*), który na niższych stopniach obiektywacyi jest ślepy, w zjawiskach zaś wyższego rzędu dzięki obecności intelektu staje się świadomym i rozumnym. Na najwyższym szczeblu: w człowieku świadomość ta jest zaciemniona zewnętrzną formą zjawisk, jednak przy pomysłnych warunkach może wystąpić w czystej postaci i wznieść się na szczyty prawdziwego t. j. intuicyjnego poznania. Wtedy złudne formy przestrzeni i czasu odpadają, i my, czyli wola nasza postrzega, że świat zewnętrzny w swej istocie jest jej odbiciem, tą samą niezmienną Wolą. Moment ten jest najwyższym punktem, jaki zjawisko woli osiągnąć może i końcem jego istnienia, bo, dotarłszy do niego, wskutek „niezrozumiałej sprzeczności“ wola neguje samą siebie; jest on kresem, którego nie zdoła przekroczyć ani czyn, ani myśl ludzka; jest on wreszcie ostatecznym celem schopenhauerowskiej etyki.

Wszystko, co tylko jest, jest Wolą: życie ludzkie i zwierzęce, świat organiczny i nieorganiczny, wszelkie zjawiska psychiczne i fizyczne. Wobec tego filozofia nie powinna się zajmować pustymi pojęciami w rodzaju *ens metaphysicum*, otrzymanemi drogą książkowych spekulacyi, lecz zwrócić się ku tej cudownej istocie wszechświata, *ens realissimum*, bezpośrednio przez każdego odczuwanej, która jest w stanie dać nam najwyższe zadowolenie i umożliwić absolutne poznanie prawdy.

Schopenhauer był zupełnie świadom tego, że tak w zakładaniu celów filozofii, jak i we wskazywaniu środków do ich zrealizowania, głosił nowe, zupełnie odmienne poglądy. Przeciwstawiając się autorowi „Krytyki czystego rozumu,“ pisał: „Zasadnicza różnica między metodą Kanta i moją polega na tem, że on bierze za punkt wyjścia poznanie refleksyjne, ja zaś — bezpośrednio, intuicyjne... Stąd dla niego filozofia jest nauką o pojęciach (*eine Wissenschaft aus Begriffen*), dla mnie — nauką w pojęciowej formie (*in Begriffen*), wypływającą z intuicyjnego poznania, jako źródła wszelkiej ewidencji.“<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> I, str. 577. *Kritik der Kantischen Philosophie*.

W dziele głównem (*Die Welt als Wille und Vorstellung*, I księga) stanowisko jego nie jest na ogół zbyt krańcowe, i oba rodzaje poznania zostały obiektywnie ocenione: intuicyjne jest dość szczupłe co do zakresu, bo się odnosi tylko do pojedynczych, postrzeganych w teraźniejszości przedmiotów, gdy tymczasem abstrakcyjne nie jest ograniczone ani czasem, ani przestrzenią, ani nawet rzeczywistością, posiada więc donioślejsze znaczenie dla celów praktycznych i umożliwia istnienie wiedzy: „alles sichere Aufbewahren, alle Mittheilbarkeit und alle sichere und weitreichende Anwendung der Erkenntniss auf das Praktische hängt davon ab, dass sie ein Wissen, eine abstrakte Erkenntniss geworden sei.“<sup>1)</sup> W „Uzupełnieniach“ (*Ergänzungen*, tom II) jednak i późniejszych pismach odbywa się wyraźny, radykalny zwrot w stronę intuicji; przyczyny należy dopatrywać się w tem, że były one pisane po opracowaniu *Etyki* (w IV księdze *Welt u. W. u. V*), która miała przekonać ludzkość, że ucieczka od nieszczęść i zbawienie leży w intuicyjnym poznaniu *Istoty świata* i wynikającej z niej negacyi woli do życia. Schopenhauer wprawdzie powtarza zdanie, że dla wiedzy abstrakcyjność jest konieczna, ale nie wystarcza, jeśli się opiera tylko na refleksyi. Dzieła takiej wiedzy nie mogą być prawdziwe, ani zastąpić intuicji, która jest jądrem i treścią wszelkiego prawdziwego poznania; tylko intuicyja jest zdolna do przeniknięcia w głąb istoty ludzkiej i odkrywania nowych horyzontów, tylko intuicyjne poznanie może być przetworzone na składową cząstkę naszej własnej jaźni.<sup>2)</sup> Energia, z jaką występuje intuicyja, wypełnia sobą w jednej chwili całą świadomość ludzką, podczas gdy urobione przez rozum (*Vernunft*) i zachowane w pamięci pojęcia tylko powierzchownie ją absorbują, nie docierając do samej głębi. Prawda i mądrość znajduje się tylko w intuicyi, poznanie abstrakcyjne jest zaledwie jej odbiciem, cieniem i dlatego posiada podrzędną wartość.<sup>3)</sup> Nauka, która się niem posilkuje, bada tylko zewnętrzne stosunki wyobrażeń lub pojęć, poza ich granice nigdy wyjść nie może i pozostaje na zawsze ułankową.<sup>4)</sup>

Jeżeli filozofia chce być wolną od organicznych braków i niemocy nauki, powinna oprzeć się na intuicyi i nie pytać:

<sup>1)</sup> I, § 12, str. 94. „Wszelkie ściśle przechowywanie poznania, możliwość udzielania go innym oraz pewne i daleko idące zastosowanie w praktyce zależy od tego, ażeby poznanie stało się wiedzą, poznaniem abstrakcyjnym.“

<sup>2)</sup> II, § 7.   <sup>3)</sup> II, str. 86.   <sup>4)</sup> I, str. 64.



*skąd? dokąd? dlaczego?* lecz tylko: *co?* t. zn. nie powinna się zajmować zjawiskami, zależnemi od czworakiej racyi zasady (Satz vom Grunde), lecz tem, co po odrzuceniu form zewnętrznych pozostaje jako wolna i niezmienna istota świata, jako jego idea. <sup>1)</sup> Z takiego poznania stworzymy nie tylko filozofię, lecz także ten „nastrój ducha, który jedynie może doprowadzić do prawdziwej świętobliwości i wybawienia od świata,“ <sup>2)</sup> czyli do moralności.

W systemie schopenhauerowskiej filozofii etyka zajmuje dominujące miejsce ze względów teoretycznych i praktycznych: 1) przedmiotem jej badań są te zjawiska Rzeczy w sobie, które w świetle prawdziwego poznania objawiają się jako Wola i 2) Wola i czyny ludzkie, jakimi się zajmuje etyka, nie mogą być dla nikogo obojętne, lecz najżywiej każdego obchodzą ze względu na swą obiektywną wartość i stosunek do bliźnich. Poznawanie fizycznego świata doprowadza nas do smutnych refleksyi, bo odkrywa ogrom cierpień i nędzy—pociechę można znaleźć tylko w moralnym rozważaniu głębin naszej własnej istoty. <sup>3)</sup>

We wstępie do IV księgi „Welt a. W. u. V.“ Schopenhauer zastrzega się energicznie przeciw nazywaniu etyki „filozofią praktyczną,“ ponieważ to wywołuje paczenie pojęć.

Filozofia może być tylko teoretyczną, bo zadaniem jej jest obiektywne poznanie, nigdy zaś konstruowanie jakichkolwiek bądź norm lub przepisów. Z takimi przestarzałemi pojęciami należałoby już skończyć, tembardziej, iż wobec niezmienności ludzkiego charakteru nakazy etyczne nie mogą mieć żadnego wpływu. Cnotliwość jest zupełnie niezależna od moralizowania i abstrakcyjnych pojęć, bo znajduje się w świecie dla nich niedostępnym. Zjawiska są tylko odbiciem, obiektywacyą Woli, więc nie mogą być zmienione, skoro ona pozostaje jednakową. Byłoby zaprawdę źle z ludzkością, gdyby najistotniejsza treść i istota życia, jego niezmienna etyczna wartość zależała od czysto przypadkowych rzeczy, jak: filozofemy, dogmaty i wyznania. Wiedza nasza jest złudna (trüglieh), tylko natura, jako Rzecz w sobie, trwa ciągle wieczna i niezmienna.

Wyobrazicielem i rzecznikiem norm w świadomości ludzkiej jest intelekt; moralne oddziaływanie na niego nie może przynieść pożądaných skutków, bo on na wolę nie ma wpływu i o jej postanowieniach dowiaduje się dopiero a posteriori, empirycznie. <sup>4)</sup>

<sup>1)</sup> I, str. 358—359.    <sup>2)</sup> I, str. 359.    <sup>3)</sup> I, str. 355, II, str. 698.

<sup>4)</sup> I, str. 379.

Zapowiada więc Schopenhauer, że w swej etyce nie będzie podawał ani przepisów, ani żadnej powszechnej zasady moralności (ein allgemeines Moral-Princip) w formie uniwersalnej recepty na wszelkie cnoty, bo w tej formie można przemawiać do dzikich ludów, lecz nie do dzisiejszych oświeconych społeczeństw.<sup>1)</sup>

Jak estetycy nie są w stanie stworzyć artystycznych geniuszów, tak samo etycy i systemy etyczne—moralnych i świątobliwych ludzi.

Zadaniem schopenhauerowskiej etyki ma być możliwie jasne przedstawienie dwu zjawisk Woli: afirmacyi i negacyi (Bejahung i Verneinung) bez żadnego polecenia lub nakazywania, co byłoby zarówno głupiem, jak i bezcelowem, bo *velle non discitur*.<sup>2)</sup>

Uznając niezmiennosc ludzkich charakterów i odrzucając etykę socyjalną przez twierdzenie, że tylko jednostki mogą być lub nie być moralne, narody zaś nie są niczem więcej, jak powtórzoną x razy jednostką, frankfurcki pesymista dochodzi do przekonania, że etyka jest nie tylko najważniejszą, lecz i „najłatwiejszą ze wszystkich umiejętności; inaczej zresztą i być nie może, kiedy każdy jest obowiązany własnymi siłami ją skonstruować i samodzielnie w każdym danym wypadku wyprowadzić wskazówki postępowania z najwyższej zasady, tkwiącej we własnem sercu: ponieważ nieliczni tylko mają wolny czas i cierpliwość do nauzenia się gotowej, zbudowanej etyki.“<sup>3)</sup>

Podobne dowody nie przekonają chyba nikogo i mogą być raczej świadectwem lekkomyślności autora, posiłkującego się byle jakimi argumentami dla uzasadnienia swych twierdzeń. Trzy zarzuty odbierają in wszelką wartość:

1) zatarcie wyraźnej różnicy między etyką-umiejętnością a popolitą, bezkrytyczną moralnością;

2) bez intelektu możliwość istnienia jakiegokolwiek bądź zasad jest wyłączona — kierownikiem czynów ludzkich może być wtedy tylko instynkt;

<sup>1)</sup> I, str. 356.

<sup>2)</sup> I, str. 372.

<sup>3)</sup> III, str. 612. Przytaczamy powyższy ustęp w oryginalnem brzmieniu: „Die Ethik ist in Wahrheit die leichteste aller Wissenschaften; wie es auch nicht anders zu erwarten steht, da Jeder die Obliegenheit hat sie selbst zu konstruieren, selbst aus dem obersten Grundsatz der in seinem Herzen wurzelt, die Regel für jeden vorkommenden Fall abzuleiten: denn Wenige haben die Musse und Geduld eine fertig konstruirte Ethik zu erlernen.“



3) logicznie bezsensowne, a moralnie karygodne uzasadnienie tezy przez zdanie: „nieliczni tylko mają wolny czas i cierpliwość...”

Dotychczasowa etyka—zdaniami Schopenhauera—była zupełnie bezsilną i obracała się w błędnem kole, bo niemotywowane moralizowanie nie skutkuje, etyka zaś, która motywuje, musi się opierać na egoizmie ludzkim; wszelkie jednak czyny, wynikające pośrednio lub bezpośrednio z egoizmu, nie mają żadnej moralnej wartości. Dopiero jego doniosłe odkrycie Woli, jako Rzeczy w sobie i niezmiennej istoty Wszechświata, wskazuje ludzkości nowe, prawdziwe horyzonty i daje możliwość szczęśliwego rozwiązania zagadki życia.

\*

\*

\*

Należy wyznać, że w obecnej chwili jesteśmy jeszcze dalecy od zgodnego porozumienia się co do zadań, granic i istoty etyki, ale nie da się zaprzeczyć, że we współczesnej literaturze coraz silniej uwydatnia się prąd, zmierzający

1) do przyznania etyce granic, obejmujących całokształt życia ludzkości w znaczeniu współczesnym i historycznym,

2) do oparcia jej na trwałej podstawie nauk pomocniczych: psychologii, socjologii, antropologii, etnopsychologii, statystyce i t. d.

3) do podziału jej na dwie odrębne gałęzie: opisowo-historyczną i normatywną.

etycy wszystkich kierunków (wraz z Schopenhauerem) zgodnie uznają, iż przedmiotem etyki są czyny ludzkie, które mają doniosłe znaczenie nie tylko dla ich sprawcy, lecz i dla jego otoczenia. Roztrząsanie ich z moralnego punktu widzenia jest procesem myślowym, znajdującym swe zakończenie w sądach, które wyrażają wartość odpowiednich faktów. Ażeby jednak dokonać jakiegokolwiek oceny, t. zn. ustalić wartość przedmiotu, należy: 1) dokładnie go poznać i wyświetlić nie tylko postrzegane w danej chwili cechy, lecz i wszystkie inne, potencjalnie ukryte, jakie w przyszłości nastąpić mogą i 2) otrzymane w ten sposób wyniki porównać z idealnymi obrazami, poprzednio już ustalonymi. Oceniając np. konia, badamy nie tylko jego cechy zewnętrzne, lecz też

wiek, siłę, wytrzymałość, szybkość biegu i właściwości psychiczne; otrzymane rezultaty porównywały na skali idealnego konia wierzchowego, wyścigowego lub pociągowego i dopiero wtedy wydajemy sąd o jego wartości.

Jeden i ten sam gmach może być bezużytecznym na unieszczenie wystawy obrazów i bardzo odpowiednim na budynek szkolny.

Z tych dwu przykładów jasno wynika, że *wartość* jest pojęciem względnem i że wartości rzeczy nie stanowią jej cechy wogóle, lecz wyłącznie ich użyteczność i zastosowalność do pewnego zamierzonego celu. <sup>1)</sup>

Wszystkie systemy etyczne bez względu na swe dążenia (eudajmonizm, perfekcyonizm, ewolucyonizm i rygoryzm), objekty czynów (indywidualizm, uniwersalizm, egoizm i altruizm) i poglądy na pochodzenie moralności (autonomia i heteronomia) mają jeden wspólny cel, do którego zdążają: *dobro*. Dobro w najogólniejszem sformułowaniu jest ogólną cechą, konieczną do ujęcia ich w jedną kategorię, kategorię systematów etycznych. Oparci na znajomości natury ludzkiej, jako na miarodajnem źródle, z którego pochodzi odczuwanie *dobra*, wkładamy w to względne pojęcie realną treść i tem samem konkretnie formułujemy środki, wiodące do celu.

*Dobro* i *wartość*, rozważane obiektywnie, in abstracto, są pojęciami synonimowemi; wynika więc, że powyższy pogląd odmawia etyce bezwzględnie stałej treści, lecz tak być musi, jeżeli etyka nie chce stracić kontaktu z prawdziwem, wciąż rozwijającym się życiem i zamienić się na złożony z pustych pojęć i martwych doktryn bezużyteczny systemat filozoficzny, izolowany nie tylko od życia, lecz i od wiedzy. Etyka niezdolna do ewolucyi może mieć tylko chwilową wartość, a później musi zbankrutować. Gdybyśmy wystawili jej cel ostateczny w ściśle zdefiniowanej formule, nie pozwalającej ani na zmianę treści, ani na podsuwanie pojęciom nowego znaczenia, to wobec stałego moralnego postępu ludzkości mogłoby się łatwo zdarzyć, że cel zostałby osiągnięty i ludzkość stanęłaby u kresu swojego rozwoju. To jednak jest niemożliwe, i chwila ta byłaby raczej końcem panowania danego systematu etycznego, a nie rozwoju ludzkości.

---

<sup>1)</sup> Porównaj: III, str. 542 i Spencer: Die Principien der Ethik, tom I, § 8. Niem. wyd., Stuttgart, 1894.



Złemu nie zaradzi wystawienie celu, niemożliwego do osiągnięcia, bo 1) to, co dzisiaj uchodzi za niemożliwe, jutro może stać się możliwym, a 2) cel taki nie byłby w stanie wywierać wpływu na życie i tem samem zaprzeczałby racji swego bytu.

Naukowego charakteru etyki nie może podawać w wątpliwość ani brak stałej treści, ani jej normatywny charakter, bo nauką nazywamy systematycznie opracowany ogół pokrewnych zjawisk, a temu wymaganiu etyka ewolucyjna i normatywna w zupełności odpowiada.

Podług Paulsena <sup>1)</sup> należy odróżniać dwa rodzaje umiejętności: teoretyczne i praktyczne, teorye i technologie, *eigentliche Wissenschaften* i *Kunstlehren*. Pierwsze mają za cel poznanie, drugie — kształtowanie rzeczy przez czynność ludzką, stosownie do postawionych celów; na czele tej drugiej kategorii umiejętności stoi etyka.

Pogląd ten należałoby rozszerzyć i włączyć w zakres etyki wszystkie zjawiska, które posiadają jakikolwiek bądź związek z człowiekiem, jako istotą fizyczną, intelektualną i moralną. Niczego nie można usuwać, ani lekceważyć zanim się nie ustaliło skali oceny. <sup>2)</sup> Indywidualne przekonania i odczuwanie intuicyjne nie mają tutaj żadnego decydującego znaczenia, ponieważ człowiek żyje i żyć musi w zrzeczeniach, w jego więc własnym interesie leży utrzymanie wspólnego *modus vivendi*. Wprawdzie Schopenhauer neguje pod względem moralnym realność społeczeństw i tylko w jednostkach widzi prawdziwy byt — gdyby jednak miał rację, i gdyby grupy społeczne rzeczywiście nie były niczem więcej, jak prostą sumą pojedynczych osobników, to i wtedy etyka nie mogłaby się oprzeć wyłącznie na intuicji lub uczuciach, gdyby nie chciała zamienić życia jednostki w szereg bezładnych, niczem nie powiązanych momentów. Stan uczuciowy jednostki i jej stosunek do wykonywanego czynu nie może być

<sup>1)</sup> „System der Ethik,“ 7 i 8 wyd., str. 1. Na podobnem stanowisku stoją Sarlo i Calò, autorzy „Principii di scienza Etica,“ Medyolan 1907. Przyznając etyce charakter wybitnie (*essenzialmente*) normatywny, rozumiejąc przez to tylko teoretyczne rozważanie norm, wynikających z pewnych celów: techniczne ich stosowanie należy do moralności praktycznej, która nie jest wiedzą i posługuje się czasami nienaukowymi środkami. „L'Etica è dunque normativa non propriamente in quanto scienza, ma in quanto scienza di norme.“ Str. 29 — 31.

<sup>2)</sup> Porównaj: Höffding: „Ethik.“ 2 niem. wyd. Lipsk, 1901, str. 44.

obojętnym, lecz nie jest zupełnie miarodajnym tak przy oznaczaniu celów, jak i wyborze środków do ich osiągnięcia.

Uczucia winny grać w etyce taką samą rolę, jak i w życiu: być nieodzownym, ale nie wyłącznym składnikiem. Obok nich należy uwzględniać także czyny, i to nie jako wykładniki uczuć lub dobrych chęci, lecz także jako fakty, posiadające określoną, obiektywną wartość.

Westermarck, reprezentant w etyce uczuciowego indywidualizmu, widzi w nim nie doktrynę dla uzasadnienia wygodnego egoizmu, lecz najskuteczniejszy czynnik postępu i podkreśla z naciskiem, że filozoficzna etyka nie może być wyłącznie snuta z własnej jaźni lub szczupłej garstki faktów. <sup>1)</sup>

Etyka Schopenhauera nie czyni zadość tym wymaganiom, jej źródło tkwi całkowicie i wyłącznie w sereu każdego osobnika, a więc naukową nazwana być nie może.

Jednem z najważniejszych zagadnień etyki, decydujących o jej racji bytu jest jej normatywność. Schopenhauer odmawiał jej tego charakteru i dowodził, iż wobec niezmienności metafizycznej istoty świata: Woli, wszelkie reformatorskie usiłowania, skierowane w stronę charakterów ludzkich, pozostaną bezowocne. Etyka jednak jest daleka i zupełnie obca imputowanej jej myśli o wywieraniu wpływu na metafizyczne istoty. Jej normy są przeznaczone dla empirycznych ludzi. Dla Schopenhauera argument ten nie byłby przekonujący, ponieważ dla niego empiryczna wola ludzka jest zupełnie identyczna z Wolą, metafizyczną istotą wszechświata, dla nas przeciwnie, bo, budując świat zjawisk bez względu na ich metafizykę, widzimy, iż charakterystyki ludzkie bezsprzecznie ulegają zmianom. Istnienie pedagogii jest przekonującym dowodem. Na pola transcendentalizmu etyka się nie wdziera, bo byłaby tam obcą i bezsilną, natomiast w dziedzinie właściwej, w dziedzinie zjawisk, od człowieka zależnych, może być i normatywną i normującą.

Jeżeli ktoś odmawia etyce normatywnego lub imperatywnego charakteru (co jest w istocie rzeczy jednym i tem samym), powinien być konsekwentnym i tylko opisywać oraz wyjaśniać fakty, nie podając żadnej ich oceny. Wyrazy: zły, dobry, moralność, cnota, etyczny i t. p. powinny być zupełnie wykreślone z jego słownika, gdyż w przeciwnym razie byłoby to dowodem, iż

<sup>1)</sup> „Ursprung und Entwicklung der Moralbegriffe.“ 1907. Tom I, Wstęp i str. 1 — 16.



w świadomości swej posiada pewien ideał, pewną skalę wartości, która nie może być czemś innym, jak tylko wyraźnie sformułowanymi lub nieświadomie odczuwanymi normami. Rzeczy, które im przeczą, otrzymują nazwę złych, przeciwne zaś—dobrych.

Trudno wyobrazić sobie człowieka, któryby był tak dalece pozbawiony uczuć etycznych, iż bohaterstwo, zaparcie się siebie i szlachetność ducha z jednej strony, a z drugiej: bezprawie, gwałt i okrucieństwo byłyby dla niego zupełnie obojętnymi zjawiskami, niezdolnemi do wywołania jakiegokolwiek reakcyi bądź w postaci czynu, bądź w formie sądu o ich wartości. <sup>1)</sup>

Idealne wyobrażenia, od których nie jest wolny żaden człowiek, występują na jaw nie tylko z okazji czynów moralnych; postrzeganie każdego faktu jest związane z wyobrażeniem odpowiedniej doskonałości (Vollkommenheitsvorstellungen), życie — z normami życiowymi. <sup>2)</sup> Przykładanie norm jest koniecznym warunkiem należytego rozumienia bogatej treści zjawisk.

Schopenhauer, uzasadniając podstawy moralności, tworząc systemy etyczne i używając wyrażen: „wartość moralna,“ „prawo moralne,“ „cnota,“ „człowieka złej woli etyka przeklina“ i t. p., nie miał prawa występować przeciw imperatywnemu charakterowi etyki, bo wpadał w oczywistą sprzeczność z samym sobą. Taką samą niekonsekwencyę popełniają i niektórzy współcześni filozofowie <sup>3)</sup>, większość jednak wypowiada zdanie, że etyka jest nauką o tem, *co ma być*, dyscypliną praktyczną i imperatywną. <sup>4)</sup>

Norm etycznych nie można utożsamiać—jak to czynił Schopenhauer — z imperatywami religijnymi, które heteronomicznie orzekają: „czcij ojca, nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij,“ i za nieposłuszeństwo grożą karami. Normy etyki są autonomiczne, korzeniami swymi tkwiące w naturze ludzkiej. „Powinieneś!“

<sup>1)</sup> Lips w „Die ethischen Grundfragen“ str. 5 pisze o tem krótko i dobitnie: „Nie mogę czegośkolwiek uważać za moralne i dobre, aby jednocześnie nie pragnąć, iżby to istniało lub było czynione. Nie mogę czegośkolwiek uważać za niemoralne, aby słowami, czynami lub wogóle w swej świadomości nie żądać zaniechania lub wykorzenia tego.“

<sup>2)</sup> Por. W. Dilthey: „Beiträge zum Studium der Individualität. Sitzungsberichte der königl. preuss. Akademie der Wiss. zu Berlin.“ 1906.

<sup>3)</sup> Westermarck o. c., Simmel: Einleitung in die Moralwissenschaft. i in.

<sup>4)</sup> Wundt, Höffding, Paulsen, Ochorowicz. Również: P. R. Trojano: „Le basi dell'umanismo,“ Turyn, 1907. Pośrednie stanowisko zajmuje E. Spiek-torski w „Iz obłasti czystoj etiki,“ „Woprosy filozofii i psichologii,“ III tom, Moskwa. 1905.

etyki nie ubliża wcale godności ludzkiej, lecz usiłuje podnieść ją na wyższy poziom; za takim imperatywem nie stoi ani siła materialna, ani groźby, lecz logiczna racya, wynikająca z dążenia do pewnych celów, których wystawienie było aktem dobrej woli u każdej jednostki.

Żaden system etyczny nie może pozbyć się pojęć dobrego i złego, cnoty i występku, a tem samem normatywnego, czyli imperatywnego charakteru.

## II.

Nienaukowy pogląd Schopenhauera na filozofię, jego pesymizm i skrajny determinizm zredukowały etykę do ciasnych granic pseudoumiejętności, opartej na subiektywnych, uczuciowych podstawach. Do wzniesienia takiej budowy najzupełniej wystarczyły dwa kamienie węgielne, otrzymane po rozstrzygnięciu dwu zasadniczych zagadnień <sup>1)</sup>: *podstawy moralności i wolności woli*.

Zadaniem schopenhauerowskiej etyki jest doprowadzić ludzkość do prawdziwego poznania świata w jego istotnej wszechjedności, przedstawić ogrom istniejącego nieszczęścia i wreszcie wywołać auto-negacyę Woli, jako jedyną ucieczkę od cierpień. Cel ten może być osiągnięty tylko wtedy, jeżeli wola jest wolną; stąd na pierwsze miejsce w etyce wysuwa się zagadnienie wolności woli, przed którym jednak należy zdać sobie sprawę z pojęcia charakteru.

Każda rzecz w przyrodzie posiada pewne właściwości i siły, które reagują na bodźce w ściśle określony sposób i stanowią to, co się zwykło nazywać charakterem. Jaźń ludzka składa się z dwóch pierwiastków: woli i intelektu. Intelekt determinuje wolę i wyciska na niej pewne odrębne piętno, stanowiące indywidualny, empiryczny charakter ludzki. Objawia się on w sposobie postępowania jednostki i jest objektywacyą intelligibilnego charakteru, czyli Woli samej w sobie. <sup>2)</sup> Charakter empiryczny,

<sup>1)</sup> Stąd nazwa: „Die beiden Grundprobleme der Ethik.“

<sup>2)</sup> I, str. 375. Na str. 219 t. I intelligibilny charakter został zidentyfikowany nie z Wolą, lecz z ideą, a także z pierwotnym, metafizycznym aktem Woli, dzięki któremu z jednolitej substancji powstają zróżniczkowane indywiduala. U Kanta „intelligibilny“ oznacza nadzmysłowy, uchwytny tylko dla czystej myśli, tkwiący w wewnętrznej istocie rzeczy, w t. zw. Rzeczy w sobie, a nie w zjawiskach.



pozbawiony kierownictwa umysłu, nieświadomy, jest jako instynkt (Naturtrieb) bezrozumny, dopiero pod panowaniem refleksyi staje się przedmiotem myślenia i wznosi się na wyższy stopień. '

Intelligibilny charakter ma się do empirycznego, jak niezmienna istota rzeczy do swej zewnętrznej formy, do swego zjawiska.

Oprócz tych dwu rodzajów charakteru istnieje jeszcze trzeci, dla praktycznego życia najważniejszy: *nabyty*. Oznacza on znajomość sił duchowych i fizycznych i wogóle wszystkich niezmiennych właściwości własnego indywiduum. Znajomość ta nadaje całemu naszemu życiu cechę rozumnej, świadomej celowości, umożliwia wyzwolenie z pod wpływu chwilowych nastrojów i zachcianek i dzięki temu jest najpewniejszą drogą do osiągnięcia wewnętrznego zadowolenia. <sup>1)</sup> Nawet nasze wady i ułomności nie będą nas rozgoryczały, ani sprawiały przykrości, jeżeli uznamy je za wynikające z naszej własnej natury, za konieczną konsekwencją niezmiennego charakteru. Zmiany zaszły w naszym postępowaniu pod wpływem nabytego charakteru, czyli znajomości samego siebie nie są zmianami naszej indywidualności, lecz tylko poprawkami naszych czynów, stosownie do niezmiennego, poznawalnego charakteru. <sup>2)</sup>

Każdy człowiek, przychodząc na świat, przynosi z sobą gotowy i skończony charakter, którego nie są w stanie zmienić ani zewnętrzne okoliczności, ani żadne usiłowania, bo jest on tylko zjawiskiem pozaempirycznej istoty. Człowiek nie zmienia się nigdy: w małym dziecku objawia to wszystko, co później, dzięki doskonalszemu poznaniu, wyraźnie wystąpi w dojrzałym wieku. W podobnych warunkach będzie zawsze podobnie postępował, jeżeli tylko wola jego zostanie dobrze przez intelekt poinformowana. Czyny ludzkie są stale powtarzaną obiektywacją intelligibilnego charakteru; pozorne zmiany w postępowaniu należy tłómaczyć tem, że dla wywołania aktu woli potrzebne są motywy, które przechodzą przez medium poznania, podlegającego ciągłym wahaniom między prawdą a błędem. Reakcyja danej jaźni pozostaje zawsze jednakową, zmieniają się tylko motywy, modyfikowane przez intelekt. Szeregi czynów, w których występuje na jaw empiryczny charakter, mogą czasami zmienić swój kierunek, z tego jednak nie można wnioskować o zmianie charakteru, lecz tylko o zmianie poznania, które przedstawiło nowe motywy,

<sup>1)</sup> I, str. 396—398.    <sup>2)</sup> I, str. 398.

więcej, niż dawne, odpowiadające woli danego indywiduum. Motywy mogą sprawić jedynie to, iż wola do swego niezmiennego celu może dążyć inną drogą lub za pomocą innych środków. Jeżeli np. indywidualna wola ma za swój cel raj Mahometa, to zmiana w poznaniu może spowodować, iż cel ten ze świata empirycznego zostanie przeniesiony do nadzmysłowego i wtedy zamiast mądrości, siły i oszustwa będą używane inne środki: jałmużna, miłość i sprawiedliwość. <sup>1)</sup>

Wychowanie, kształcające umysł, jest dlatego ważne, że wola może poznać nowe motywy, uznać ich słuszość i zmienić swój kierunek, przez co przy niezmiennym celu może się zmniejszyć ilość złego. Nie należy jednak zapominać, że podobna zmiana może zajść tylko wtedy, jeżeli indywidualna wola posiada wrodzoną ku niej skłonność; jeżeli zaś nowe motywy woli nie odpowiadają, to chociażby były najlepsze, nie zdołają na nią wywrzeć żadnego wpływu.

Człowiek może postanowić sobie być takim lub innym, występniejszym lub cnotliwszym, lecz celu nie osiągnie, bo jego indywidualność i wartość moralna została niezmiennie określona przez „intelligibilny akt Woli,” dzięki któremu zawdzięcza swoje istnienie. Abstrakcyjne poznanie, pojęcia i dogmaty są dla moralności zupełnie bezpłodne: ani jej stwarzają, ani zmieniają; dobre nauki w istocie rzeczy nic nie poprawiają, złe — nic nie zepsują. <sup>2)</sup> Samymi motywami bez współdziałania woli można osiągnąć legalność, lecz nigdy — moralność, bo pierwsza polega na czynach, które, jako zjawiska, są zmienne, druga — na niezmiennej woli. Prawdziwa moralność jest tak dalece niezależna od czynów, iż zły człowiek, spełniający miłosierny uczynek, nie dowodzi przez to bynajmniej dobroci charakteru. Moralność jest aprioryczna, wrodzona — przez wprawę lub usiłowania osiągnąć jej nie można. Prawdziwe wewnętrzne cnoty (*Tugend der Gesinnung*) nie powstają z abstrakcyjnego poznania, jednak przez poznanie: przez bezpośrednio, nie dające się drogą rozumowania stworzyć, ani wyeliminować, przez poznanie, które, jako nieabstrakcyjne, nie da się opisać, lecz musi być przez każdego odczute i wskutek tego znajduje swój ścisły wyraz nie w słowach, lecz w całym życiu ludzkim. Jedynie takie poznanie może cnotliwemu charakterowi otworzyć oczy i skierować go we właściwym kierunku.

Gdybyśmy wśród jednakowych warunków mogli różnie postępować, to znaczyłoby, że wola nasza się zmieniła i wystąpiła

<sup>1)</sup> I, str. 384. <sup>2)</sup> I, str. 473.



w formie czasu, który jest nieodzownym warunkiem wszelkich zmian,—wówczas jednak wola byłaby zjawiskiem, lub czas formą Rzeczy samej w sobie. I pierwsze i drugie przypuszczenie jest niemożliwe do przyjęcia, jako sprzeczne z podstawami filozofii Schopenhauera; a więc indywiduum postępuje zawsze niezmiennie i „każdy występek jest pewną gwarancją niezliczonych następnych, które muszą być popełnione.“<sup>1)</sup> Tem się tłumaczy fakt, że raz straconego honoru już nigdy nie można odzyskać, bo czyn niehonorowy okazał nam w prawdziwym świetle wewnętrzną istotę osobnika. Tem się tłumaczą stawiane dramaturgom zarzuty niejednolitości charakteru bohaterów; i nieufność do zdrajców, chociażby jednorazowych; i mądre przysłowie ludowe: kto raz ukradł, zostaje na całe życie złodziejem.

Niezmiennność charakteru stanowi konieczny warunek jednolitej, konsekwentnej działalności człowieka i jego odpowiedzialności za popełnione czyny.

Wola, której zjawiskiem jest Wszecchbyt, a więc i życie ludzkie, nie może się negować w pojedynczych wypadkach; tak samo człowiek, będąc określonym indywiduum, jako całość, nie może w szczegółach postępować wbrew swemu charakterowi.<sup>2)</sup>

Przystępując do zagadnienia wolności woli, Schopenhauer a priori usuwa możliwość pośredniego wyjścia: między determinizmem a indeterminizmem nie może być nic pośredniego, bo nie można twierdzić, że motywy wpływają na wolę tylko do pewnego stopnia, a pozatem wola częściowo pozostaje wolną, ponieważ, przyznając pewnemu zjawisku przyczynowość, uznajemy bez zastrzeżeń jej wpływ na przebieg dalszych zjawisk. Jeżeli w pojedynczych wypadkach bodziec nie wywołuje oczekiwanego skutku, to tylko dlatego, że jest za słaby; wzmocniony przewycięży napotkany opór i ujawni swe działanie na zewnątrz.<sup>3)</sup>

Nie myślący krytycznie człowiek jest przeważnie indeterministą, bo w świadomości jego niema nic wyraźniejszego nad fakt, że może robić to, co chce. Jednak zdanie: „Robię to, co chcę“ nie może być dowodem, ponieważ nie dotyka wcale spornej kwestyi i zaledwie orzeka, że czyn jest wolny, skoro odpowiada wewnętrznej woli swego wykonawcy. W etyce zaś nie chodzi o wolność czynów, lecz o wolność woli, o jej stosunek do okoliczności i bodźców zewnętrznych, o czem świadomość nasza nie jest w stanie nam nic powiedzieć, ponieważ to leży poza jej sferą.

1) I, str. 380. 2) I, str. 381. 3) III, str. 394.

Kto rozważa omawiane zagadnienie powierzchownie, słuchając bezkrytycznie intelektu, ten nigdy nie wyjdzie z błędnego koła indeterminizmu. W czasie walki motywów, jaka odgrywa się w świadomości przed każdym aktem, intelekt je oświeśla i przedstawia woli do wyboru, nie wpływając na nią, ani jej determinując, bo jest dla niego niedostępna i niezależna. Widząc kilka motywów, naiwnie przypuszcza w swej ograniczonej subiektywności, że zarówno jeden, jak drugi może zapanować nad pozostałymi, tymczasem, rozważając rzecz obiektywnie, każdy akt woli przy wyborze motywów jest z góry przesądzony i pewny, jako skutek poprzedniej przyczyny.<sup>1)</sup> Aprioryczność prawa przyczynowości jest dowodem niemożliwości wyjątków: akty woli podlegają mu tak samo, jak fizyczne zjawiska.

W otaczającym nas świecie widzimy trzy rodzaje przyczyn, każdy w zastosowaniu do odrębnej grupy obiektów:

- 1) przyczyny w najciaśniejszem znaczeniu, które wywołują zjawiska w świecie nieorganicznym;
- 2) bodźce t. zn. przyczyny, których działanie nie stoi w ścisłym stosunku do wywołanych skutków np. w świecie roślinnym;
- 3) motywacya, czyli przyczynowość w świecie zwierzęcym, wynikająca z poznania.

Człowiek zajmuje pośród zwierząt dominujące stanowisko przedewszystkiem dzięki rozumowi (Vernunft), który wskutek wytworzonych przez siebie abstrakcyjnych pojęć, rozszerza horyzont umysłowy na przeszłość i przyszłość i znosi zależność od teraźniejszych, czysto intuicyjnych przeżyć. Jednak w stosunku do woli abstrakcyjny motyw jest tak samo zewnętrznym bodźcem, jak i motyw intuicyjny, tkwiący w postrzeganym obiekcie, i dlatego nie można mu przyznać żadnych przywilejów.<sup>2)</sup> Kto w świecie nieorganicznym lub roślinnym uznaje prawo przyczyny, ten nie powinien go negować w woli ludzkiej tylko dlatego, że działające na nią motywy nie są dostępne dla fizycznego oka; motywy myślowe, abstrakcyjne często działają silniej od materialnych.

Gdyby wolą ludzką rządziło liberum arbitrium indifferentiae, to życie zamieniłoby się w bezładny szereg pojedynczych momentów, niezrozumiałych całkowicie dla naszego rozumu. Tak jednak nie jest, bo czyny są nawskroś determinowane i zrozumiałe dla nas, czyli powiązane przyczynowo. Jak dla zmiany w świecie fizycznym potrzebna jest przyczyna, któraby ją wywołała, i sub-

<sup>1)</sup> III, str. 403.    <sup>2)</sup> III, str. 415.



strat, któryby implicite posiadał własność, występującą na zewnątrz pod działaniem przyczyny, tak samo jest i w naturze ludzkiej: motyw zewnętrzny, jako przyczyna, wywołuje reakcję niemotywowanej pierwotnej siły, zwanej Wola. Wola, posiadająca w każdym indywiduum odrębny i niezmienny kierunek, czyli charakter, determinuje działanie motywów oraz jest jego substratem i warunkiem. Człowiek nie jest wolny w swych czynach, lecz zależny zawsze od swej woli. Gdybyśmy dokładnie znali jego empiryczny charakter i działające motywy, to byłibyśmy w stanie przepowiedzieć mu przyszłe życie z taką pewnością, jak astronomowie — zaćmienia księżyca.

Ażeby rozważane zagadnienie rozpatrzyć możliwie najlepiej, należy zająć się wszystkimi trzema rodzajami wolności: fizycznym, intelektualnym i moralnym.

Pierwszy nie oznacza nic więcej, jak tylko brak fizycznych przeszkód; w stosunku do zwierząt rozumieniemy przez to, iż czynności ich nie zostały wynuszone przez siłę zewnętrzną, lecz powstały z własnej woli. Jak to już wskazano wyżej, ten rodzaj wolności jest uważany przez niekrytyczne umysły za argument przeciw determinizmowi. Filozoficzne badanie jednak idzie dalej, do wolności intelektualnej.

Intellekt, jako organ poznania (Erkenntnisvermögen), jest medium, przez które przechodzą motywy, mające determinować wolę. O ile medium to znajduje się w normalnym stanie i przedstawia motywy w prawdziwym oświeceniu, wtedy wola postępuje odpowiednio do swego charakteru, człowiek pod względem intelektualnym jest wolny i za czyny swe moralnie i prawnie odpowiedzialny. Wolność ta zostaje zniesiona, jeżeli władza poznania znajduje się bądź stale, bądź chwilowo w nienormalnym stanie, albo zewnętrzne okoliczności powodują fałszywe przedstawienie motywów (obłąkanie, delirium tremens—w pierwszym wypadku, a w drugim—strzał w nocy do zbliżającego się służącego w przypuszczeniu, iż to rabuś). Przestępstwa spełnione w takim stanie nie podlegają karze, bo prawo wychodzi ze słusznego założenia, że wola nie jest moralnie wolną, skoro jej intelekt fałszywie przedstawia stan rzeczy. W podobnych wypadkach wina spada na intelekt, jednak przed prawem i moralnością nie jest odpowiedzialny on, lecz wola.

Stan pośredni, w którym wolność intelektu zostaje tylko zmniejszona, występuje wtedy, gdy czyn powstaje pod wpływem silnego afektu.

Z przytoczonych powyżej dwu rodzajów wolności widać, iż pierwotne pojęcie wolności, dedukowane empirycznie ze zjawisk, nie da się połączyć z pojęciem woli. <sup>1)</sup> Chcąc je, pomimo to, związać razem, należy pojęcie wolności sformułować negatywnie, jako „brak konieczności.“ „Koniecznym“ jest to, co wynika z dostatecznej racyi, co występuje, jako skutek przyczyny. Jeżeli tylko cośkolwiek pojmujemy, jako skutek pewnej danej przyczyny, uznajemy to za konieczne, i odwrotnie: jeżeli cośkolwiek uważamy za konieczne, to ujmujemy je jako skutek dostatecznej przyczyny, ponieważ wszystkie przyczyny są konieczne. <sup>2)</sup> Konieczność więc i skutek dostatecznej przyczyny (Notwendigkeit i Folge aus einem zureichenden Grunde) są równoznacznymi pojęciami i mogą być zawsze używane jedno zamiast drugiego; brak konieczności jest identyczny z brakiem dostatecznej, determinującej przyczyny.

Za przeciwieństwo „koniecznego“ zwykle uważany „przypadek“, które jest jednak pojęciem względnem, ponieważ w świecie empirycznym, gdzie obserwujemy t. zw. przypadki, każde wydarzenie jest konieczne w stosunku do swej przyczyny, a przypadkowe w zastosowaniu do reszty zjawisk, z którymi wspólnie się znajduje w czasie i przestrzeni. Wolność więc, mająca wyrażać brak konieczności, czyli zupełną niezależność od jakichkolwiek bądź przyczyn, należy zdefiniować, jako „absolutny przypadek.“ Z tego o problematycznej wartości pojęcia, zastosowanego do woli ludzkiej, wynikałoby, że akty jej byłyby zupełnie wolne od przyczyn i racyi (Ursachen i Gründe), od wszelkich z góry określonych warunków, praw i reguł. Wtedy czyny ludzkie, powstające z woli samorzutnie, w absolutnej niezależności przedstawiałyby liberum arbitrium, przed którym musiałby skapitulować rozum, bo nie byłby zdolny do rozumienia.

Z dokonanego rozbioru pojęć jasno wynika, że wolność woli ludzkiej jest złudzeniem i — z punktu filozoficznego badania — wielkim błędem. O wolności można mówić tylko wtedy, jeśli się przez nią rozumie nie absolutną, lecz względną, jako niezależną wyłącznie od intuicyjnej teraźniejszości (das anschaulich Gegenwärtige), i w porównaniu do zwierząt komparatywną. Taki rodzaj zmienia jedynie motywację, w niczem nie naruszając po-

<sup>1)</sup> III, str. 386.

<sup>2)</sup> III, str. 387: „denn alle Gründe sind zwingend.“ Również § 49 w rozprawie: „Ueber den Satz vom Grunde.“



wszelchnego prawa przyczynowej konieczności, bo w walce motywów będą zawsze zwyciężały najsilniejsze lub najwięcej odpowiadające woli.

Czas, przestrzeń i przyczynowość stanowią niezbędny warunek istnienia zjawisk, natomiast intelligibilny charakter, czyli Wola, jako Rzecz sama w sobie, jest całkowicie od prawa przyczynowości niezależna, bo nie jest zjawiskiem, należy więc jej przyznać absolutną wolność. <sup>1)</sup> Wolność ta jest transcendentálną i nie występuje w świecie empirycznym, pojęcie jej otrzymujemy wtedy, „gdy abstrahujemy od zjawiska i wszystkich jego form, ażeby dojść do tego, co może być pomyślane poza czasem, jako wewnętrzna, sama w sobie istota ludzka. Dzięki tej wolności, wszystkie czyny ludzkie są ich własnem dziełem.“ <sup>2)</sup> Wolności należy szukać w całym bycie i istocie naszej (existentia et essentia), a nie w pojedynczych postępkach, bo operari sequitur esse podług niezmiennego charakteru woli. „Wolność więc, której nie możemy znaleźć w operari, musi być w esse.“ <sup>3)</sup>

Dopiero przyjęcie tego poglądu umożliwiła należyte pojmowanie wolności moralnej. <sup>4)</sup> Pomimo swej transcendentálności, nie jest ona próżnem pojęciem i w praktycznem życiu etycznym odgrywa doniosłą rolę. Przyjęcie innego poglądu zaprzeczyłoby całkowicie odpowiedzialności ludzkiej i uczyniłoby z moralnego i fizycznego świata zabawkę dla jego stwórcy. <sup>5)</sup> Przewidywał to Kant, kiedy, po wygłoszeniu teorii o empirycznym i intelligibilnym charakterze, zachował determinizm w postępowaniu obok wolności woli, jako Rzeczy w sobie, istniejącej poza zjawiskami. Wzajemny stosunek obu rodzajów charakteru najlepiej wyraża następujące zdanie: „intelligibilny charakter każdego człowieka należy uważać za pozaczasowy, a więc za niepodzielny i niezmienny akt woli, którego determinowanem przez czas, przestrzeń i czworaką zasadę racji zjawiskiem jest empiryczny charakter,

<sup>1)</sup> III, str. 476. „Der empirische Charakter nämlich ist... eine blosse Erscheinung, daher an die Formen aller Erscheinung, Zeit, Raum und Kausalität gebunden und deren Gesetzen unterworfen: hingegen ist die als Ding an sich von diesen Formen unabhängige und deshalb keinem Zeitunterschied unterworfen, mithin beharrende und unveränderliche Bedingung und Grundlage dieser ganzen Erscheinung sein intelligibler Charakter d. h. sein Wille als Ding an sich, welchem, in solcher Eigenschaft, allerdings auch absolute Freiheit, d. h. Unabhängigkeit vom Gesetze der Kausalität zukommt.“

<sup>2)</sup> III, str. 475. <sup>3)</sup> III, str. 476. <sup>4)</sup> III, str. 472.

<sup>5)</sup> V, Parerga und Paralipomena, str. 244.

taki, jak się przedstawia w sposobie postępowania i całym życiu tego człowieka.“<sup>1)</sup> Indywidualność więc charakterów nie jest złudnem zjawiskiem, lecz tkwi w Rzeczy samej w sobie; jak głęboko?—„to należy do pytań—odpowiada Schopenhauer—na które nie podejmę się dać odpowiedzi.“<sup>2)</sup> Do charakteru swego przychodzimy drogą wyboru, odbywającego się jeszcze przed naszym urodzeniem w świecie pozaempirycznym bez udziału poznania, wybór ten jest wolnym, i dlatego my, którzy go dokonywujemy, jesteśmy odpowiedzialni za swój wrodzony, indywidualny charakter. Odpowiedzialność nie może dotyczyć postępków, bo te są, jak to wykazano wyżej, konieczną konsekwencją charakteru; czując się odpowiedzialnymi za charakter, uznajemy go przez to za akt swej wolnej woli. „Ponieważ jesteśmy świadomi wolności tylko przez odpowiedzialność, więc gdzie leży druga, tam musi być pierwsza: a więc w *esse*.“<sup>3)</sup>

Nikomiu nie przyjdzie na myśl zwać winę za popełnione przestępstwo na motywy, które je z koniecznością musiały wywołać, bo ta konieczność była tylko subiektywną, uwarunkowaną indywidualnym charakterem; gdyby ten był innym — spełniony czyn byłby wypadł inaczej. Prawdę tę odczuwa wyraźnie każdy człowiek — pewność, że to my sami jesteśmy sprawcami naszych czynów jest niewzruszona<sup>4)</sup>, na niej polega odpowiedzialność, poczucie odpowiedzialności zaś jest najwymowniejszym dowodem wolności woli.

Odrzuciwszy wolność transcendentalnego wyboru charakterów, nie byłibyśmy w stanie zrozumieć moralnego porządku świata i istniejących w nim różnic tak intelektualnych, jak i moralnych. Z jednej strony widzimy mądrość i szlachetność, z drugiej podłość i głupotę. U jednego maluje się na twarzy dobroć serca lub błyski geniuszu świecą w oczach, u drugiego fizyognomia nosi niestarte piętno moralnej nizkości i tępości umysłowej. Jest niemożliwem do przyjęcia przypuszczenie, że tak wielkie zasadnicze różnice mogłyby istnieć bez winy lub zasługi obdarzonych niemi ludzi. Już z tego samego wynika, iż człowiek jest swoim własnem dziełem, „tem, czem chce być.“<sup>5)</sup>

Nietylko czyny, lecz i ciało ludzkie jest obiektywacją, dziełem ludzkiej woli. Niezbitym dowodem (*ein schlagender Beweis*)

1) I, str. 377.

2) V, Parerga und Paralipomena. Zur Ethik. Str. 234.

3) III, str. 559, 4) III, str. 472. 5) II, str. 705,



na to jest fakt ukrywania genitaliów, bo człowiek „nie mógłby się przecież wstydzić rzeczy, istniejącej bez jego woli.“<sup>1)</sup>

Cały świat jest odbiciem, wyrazem Woli, wszystkie zjawiska, męki i cierpienia istnieją dlatego, że Wola ich pożąda, że na nie zasługuje. Gdybyśmy rzucili na jedną szalę wszystkie nieszczęścia świata, na drugą zaś—jego winę, to waga nie poruszyłaby się wcale. Kto chce poznać moralną wartość ludzi, niechaj spojrzy na ich los... gdyby byli lepsi, los ich napewno nie byłby tak smutny.

Na tem polega moralny porządek i wieczna sprawiedliwość świata.<sup>2)</sup>

D-R ZYGMUNT BUJAKOWSKI.

<sup>1)</sup> II, str. 671.

<sup>2)</sup> I, str. 428. § 63, str. 452—450. II, str. 710.

# PIŚMIENNICTWO.

HENRYK WIERCIENSKI. *W sprawie wydzielenia Chełmszczyzny.* Warszawa, druk Piotra Laskauera, 1910.

Niniejsza książka stanowi zbiór artykułów autora, umieszczonych w różnych czasach w różnych pismach i powiązanych obecnie w jedną całość. Artykuły te, omawiające jedną i tę samą kwestyę z rozmaitych stron, dopełniają się wzajemnie i istotnie nadawały się w zupełności do wydania wspólnego, jako części składowe jednej właściwie tezy przewodniej. A tezą tą jest, iż wydzielenie Chełmszczyzny nie da się usprawiedliwić żadnymi względami i w rezultacie wyjdzie na szkodę tych, co go dokonają.

Trudno zrozumieć—pisze autor—aby projekt ten miał na celu interes państwa: czy kilka powiatów należy do jednego, czy do drugiego generał-gubernatorstwa, czy granice dwóch gubernii idą z zachodu na wschód, czy z północy na południe, tworzyć one będą tak samo, jak i dotąd, przynależność jednego i tego samego mocarstwa.

Utworzenie nowej gubernii chełmskiej i przeniesienie władz gubernialnych do Chełmu przyczyni się do rozwoju tego miasta—oto jedyny skutek realny, jaki sprowadzi wykonanie projektu nacjonalistów rosyjskich. Nie też dziwnego, że z taką głęboką wdzięcznością obaj rabini chełmscy i bogatsi kupcy żydowscy składali dziękczynienia episkopowi Eulogiuszowi za popieranie tej sprawy.

Na budowę gmachów gubernialnych rząd zużyje miliony bez żadnej korzyści dla siebie. Nie wymaga tego bynajmniej obrona przed polonizmem. Nikt przecież chyba nie uwierzy — zaznacza autor — ażeby czy to wiara, czy ludność prawosławna mogły się



czuć upośledzonymi pod czujną i troskliwą opieką władzy rosyjskiej. Jest aż zbyt wiele faktów, dowodzących jej gorliwości rusyfikacyjnej.

Gdy np. w powiatach gub. lubelskiej z ludnością czysto polską istniała 1 szkoła elementarna na 71 wiorst kwadratowych i 6359 głów ludności, to jednocześnie w powiatach, w których element ruski prawosławny był nieco znaczniejszym, była jedna takąż szkoła na każde 17 wiorst kwadratowych i 1327 głów ludności. Ludność ruska miała zatem stosunkowo cztery razy tyle szkół, co polska.

Gdy katolicy posiadają 1 kościół na 5726 dusz, prawosławni mają 1 cerkiew na 953 wiernych. Gdy 1 kapłan katolicki przypada na 3918 wyznawców, prawosławni mają kapłana na każde 1120 dusz. Uposażenie duchowieństwa prawosławnego w liczbie 181 osób wynosi 539,305 rubli, uposażenie zaś duchowieństwa katolickiego w liczbie 240 osób stanowi zaledwie 62,998 rb.

Ludność prawosławna cieszy się już obecnie uprzywilejowanym stanowiskiem we wszystkich dziedzinach. Pomimo zasadniczej idei prawnej o równości obywateli państwa, od lat już wielu katolicy nie są dopuszczani na stanowiska ani nauczyciela wiejskiego, ani pisarza gminnego, ani wójta, ani sędziego. Wszystkie urzędy, nawet obieralne, są dla katolików zamknięte, gdyż władze nie zatwierdzą ich, choćby mieli za sobą głosy całej ludności przy wyborach.

Jeśli weźmiemy skład procentowy ludności prawosławnej w projektowanej gubernii chełmskiej, to się okaże, że prawosławni w żadnym powiecie nie posiadają większości. W gub. lubelskiej powiecie chełmskim stanowią oni 38.8%, hrubieszowskim 47.6%, tomaszowskim 38.2%, biłgorajskim 25.9%, zamojskim 9.5%, krasnostawskim 5.9%. W gub. siedleckiej w pow. bialskim 24.8%, włodawskim 38.6%, konstantynowskim 7.6%, radzyńskim 3.6%, siedleckim 3%. Te cyfry mówią same za siebie.

Ekonomicznie ludność nowej gubernii ciągnie ku Warszawie, nietylko z przyzwyczajenia, ale z konieczności, z przyrodzonych warunków geograficznych. Kraj rolniczy zbywa swe produkty na zachodzie, gdzie otrzymuje lepsze ceny. Z zachodu znów idzie towar fabryczny, stąd naturalna wymiana handlowa.

Autor zestawia szczegółowe dane co do ludności gubernii lubelskiej i siedleckiej, badając ściśle stosunek procentowy ludności katolickiej i prawosławnej. Znajdujemy też statystykę świątyni i duchowieństwa obu tych wyznań. Dalej idą dane co do szkolnictwa i różnych ograniczeń względem Polaków, obszernie

omawia autor sprawę pożyczek Banku Włociańskiego we wschodnich guberniach Królestwa Polskiego.

Prawo o wydawaniu pożyczek Banku żadnych różnic pomiędzy narodowościami nie czyni i według ustawy zarówno Polacy, jak Litwini i Rusini mogą korzystać z pożyczek bankowych. Wbrew jednak temu prawu generał-gubernator Czertkow wydał w dniu 10 października 1894 r. instrukcję dla komisarzy włościańskich, w której wprost zabrania wydawania żądanych przez Bank zaświadczeń włościanom-katolikom w powiatach wschodnich gubernii: lubelskiej, siedleckiej, łomżyńskiej i suwalskiej. Generał-gubernator przekroczył tu swą władzę, gdyż akt tego rodzaju wchodzi w dziedzinę prawodawstwa, wskutek tego i moc podobnego rozporządzenia jest problematyczna. Niemniej komisarze włościańscy, jako organy podległe władzy generał-gubernatora, stosować się muszą do pomienionej instrukcji.

Wskutek takiej polityki rządu, ograniczającej miejscowych włościan co do kupna ziemi, osiedlają się tam Niemcy, korzystając z niższych cen. Jest cały szereg gmin, gdzie prawosławnych niema wcale, a jednak Bank nie wydaje tam pożyczek katolikom. W tych też stronach najgęściej siedzą Niemcy, którzy stanowią już znaczny procent ludności w wielu gminach.

Przedstawiwszy stan obecny przyszłej gubernii chełmskiej, autor sięga myślą wstecz i daje kilka obrazów z przeszłości tego kraju. Zauważa się z kwestyą, kto tu był pierwotnym mieszkańcem kraju, zaznaczając, że od dawien dawna zmagaly się w nim jednocześnie dwa wpływy: polski i ruski. Na zarzuty o rzekomym ucisku polskim i katolickim, odpowiada, że nie było na całym obszarze dawnej Polski tak zgodnego współzycia pomiędzy wyznawcami obu obrządków, pomiędzy polskim dworem a ruską chatą. Przytacza na dowód cały szereg faktów historycznych, wśród których fundacya staszicowska sama już rzuca charakterystyczne światło na ówczesne stosunki. Przeprowadza porównanie ze współczesnym stanem włościaństwa w Rosyi według świadectwa pisarza rosyjskiego Maksimowa, by uwydatnić jaskrawą różnicę tym, co śmiać czynić obecnie zarzuty.

Z chwilą, gdy ziemia, ochrzczona teraz mianem Chełmszczyzny, przeszła pod panowanie Rosyi, śmiesznie jest mówić o ucisku polskości i katolicyzmu. Autor przytacza szereg faktów, jak surowe kary spadały na księży katolickich za najmniejsze uchybienia.

Wykazując, że Rosya nie ma żadnego interesu w wyobrobieniu Chełmszczyzny, autor widzi w całej tej sprawie intrygę



niemiecką. Prusom jakoby jest potrzebne pogwałcenie przez Rosyę traktatu wiedeńskiego i podział Królestwa, aby same mogły potem wyciągnąć rękę po część tegoż Królestwa.

Zdaje się, że autor szuka tu zbyt dalekich przyczyn. Naturalnie, że w interesie Prus leży obcięcie Chełmszczyzny, jak wogóle wszelki akt represyi rządowej wobec Polaków. Swoją drogą jednak nacjonalizm rosyjski nie potrzebował wcale obcej podnieoty, gdyż w ostatnich czasach i tak do skrajnych rozmiarów wybujał. Bezwarunkowo, że agitacya biskupa Eulogiusza, będącego wyrazicielem miejscowego duchowieństwa prawosławnego i urzędników, znacznie silniej zaważyła na szali, niż rzekome wpływy pruskie.

Wyprowadzanie całego wogóle nacjonalizmu rosyjskiego z podjudzań niemieckich, jak to czyni autor, nie wytrzymuje krytyki.

Omawiana książka zawiera bogaty materiał statystyczny, którego zdobycie i odpowiednie opracowanie jest tak trudne w naszych warunkach. P. Wiercieński jest jednym z lepszych u nas znawców Chełmszczyzny, to też i praca jego jest nader pożądanym nabytkiem.

WACŁAW DUNIN.

EDWARD MILEWSKI. *Sklepy społeczne (Rzecz o kooperacji spożywców)*. Lwów, 1911. Nakładem Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych. 8-o, str. 239.

Nasza literatura współdzielcza silnie i szybko zaczyna wzrastać. Po kilku pracach naukowych, analizujących nasz własny stan obecny w tym względzie, zjawia się znów dzieło, poświęcone propagandzie idei. Mówię znowu, bo książki takie wydawano już dawniej. Prace, przeznaczone dla propagandy jakiejś idei, ukazują się bowiem, zdaje się na ogół, w dwóch rzędach niejako. Najpierw dzieje się to wówczas, gdy nowe myśli szukają w społeczeństwie oddźwięku, później zaś, gdy po pierwszych próbach i doświadczeniach własnych i po analizie zwyczajnych w tego rodzaju wypadkach błędów, następuje dążenie do ominięcia tych błędów i wejścia na właściwą drogę rozwoju. Rzecz oczywista, że to drugie stadyum propagandy musi być poprzedzone szeregiem doświadczeń praktycznych, jest więc możliwe na wyższych dopiero stadyach kultury, i wówczas dopiero, gdy te myśli wnिकnęły już w części w społeczeństwo, choć może często z rozmaitemi

naleciałościami i niewłaściwościami. Propaganda idei, w tem drugim stadyum, zgoła innymi musi się posługiwać środkami, niż w pierwszym. Gdy pierwszy bowiem okres ma charakter uprawy ekstensywnej niejako, drugi okres posiada wszelkie znamiona uprawy intensywnej. To też gdy w pierwszym okresie propaganda zdąża do pozyskania zwolenników dla nowej idei, bez wchodzenia w ich wyrobienie ideowe, w drugim dąży do wytworzenia lepszego i bardziej doskonałego materiału społecznego, do pogłębienia myśli i idei, do nadania jej właściwej treści i kierunku, do nadania im istotnej czystości ideowej. Gdy propaganda pierwszej kategorii dotyczy haseł najogólniejszych, propaganda drugiej kategorii wchodzi bardziej w istotę rzeczy.

Książka p. Milewskiego należy niewątpliwie do tej drugiej kategorii. I jest to objaw bardzo radosny, jeśli słyszymy, że książkę tego rodzaju wydała korporacja taka, jak Związek stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych we Lwowie. Radosny przede wszystkim dlatego, że „Związek“ jako organizacja, skupiająca w swem łonie wielką sieć zrzeszeń współdzielczych, mający więc niewątpliwą łączność z szerokimi sferami społecznymi, snad doszedł do przekonania, że istnieje już w społeczeństwie odpowiedni podkład myślowy, odpowiedni nastrój psychiczny, który umożliwia szczegółowe rozważanie zagadnień kooperacji spożywczej. Ale fakt wydania tej książki zasługuje na podkreślenie jeszcze i z drugiego, może jeszcze bardziej charakterystycznego powodu. Lwowski Związek jest głównie organizacją stowarzyszeń kredytowych (systemu Schulzego z Delitzsch), jednoczy więc prawdopodobnie w przeważnej części żywioty przemysłowe i handlowe, więc czynniki, których nastrój psychiczny niezawsze, przynajmniej zagranicą, bywa idei kooperacji spożywczej przychylny. Jeśli więc Związek dokonał kroku, dowodzącego o głębokiem przejęciu się doniosłością idei kooperacji spożywczej, to świadczy to niechybnie i o tem także, że Związek, mimo swej zasadniczej konstrukcyi społecznej, zdolny jest myślą swą szersze ogarnąć horyzonty i w dalszą sięgnąć przyszłość, przygotowując grunt pod dalsze także stadya rozwoju społecznego.

Autor książki, p. Edward Milewski, jest redaktorem „Odrodzenia“, czasopisma współdzielczego, wychodzącego we Lwowie, a stanowiącego organ Związku. P. Milewski odbył dłuższą podróż po Europie Zachodniej, w czasie której miał sposobność gruntownie i naocznie zapoznać się z działalnością kooperatywy spożywczej. Owocem tych studyów jest właśnie książka, o której mówimy, napisana przez entuzyastę kooperatywy spożywczej.



Entuzjazm autora dla tej idei ujawnia się w całej niemal jego pracy, jakby nic czerwona, przekształcając się niekiedy nawet w prawdziwie poetycką ekstazę. Udzieli się też niewątpliwie nieraz i czytelnikom książki, wytwarzając z nich działaczy współdzielczych.

Obok tych żywiołów społecznych, na których kooperatywa spożywcza z natury rzeczy musi się opierać (robotników i włościan) z uwagi na to, że te żywioły właśnie stanowią muszą główny czynnik składowy tych kooperatyw, do działania w tym kierunku autor chciałby powołać przede wszystkim także młodzież i kobiety. Idealizm — mówi on — jako zasadniczy ton psychizmu młodości, harmonizuje z ideą kooperacji. To też kooperacja wzywa dziś młodzież polską do pracy gospodarczej. Coraz szerzej rozpowszechnia się pogląd, że działalność społeczna domaga się również twórczości, że najwyższym artyzmem jest artyzm tworzenia nowych stosunków, nowego życia.

Dobrze pojęta zasada demokratyczności ustroju kooperatyw spożywczych wymaga — podług autora — aby kobieta narówni z mężczyzną brała czynny udział w kierownictwie i zarządzie. I jakkolwiek zasadniczo sprawa udziału kobiet w działalności współdzielczej jest u nas już dawno rozstrzygniętą, to jednak faktycznie kobiety okazują u nas dotąd mało zainteresowania dla współdzielczości i biorą mały udział w życiu stowarzyszeń. Jeźli gdzie, to na polu kooperacji spożywczej przede wszystkim praca kobiet mogłaby oddać społeczeństwu usługi nieocenione. To też pozyskanie kobiety dla współdzielczej pracy stać się powinno pierwszorzędnym zadaniem naszej propagandy kooperatystycznej. Autor omawia szczegółowo historię i stan obecny kooperatywy spożywczej zagranicą i w krajach polskich, zasady kierujące tą kooperatywą i jej zadania, ekspansy w ruchu i jej przyczyny, w końcu daje też pogląd na zasadnicze a sporne problemy ruchu.

P. Milewski uważa kooperatywę spożywczą za doniosły czynnik poprawy doli warstw pracujących, nie sądzi wszakże, aby warstwy te miały z tego powodu zaniedbywać używania także innych środków poprawy swej doli, jak związków zawodowych i ruchu politycznego. Działalność kooperatywy spożywczej uważa za bardzo brzemienne w skutki, bo niejednokrotnie daje wyraz zapatrywaniu, że kooperatywy wcieliły zasady sprawiedliwości w stosunki życia gospodarczego i że w przyszłości odegrają one taką samą rolę wobec kapitalizmu, jaką odegrał niegdyś kapitalizm, rozsadzający formy gospodarstwa feudalnego. Jakiemi jed-

nak drogami odbędzie się całkowite przeistoczenie kapitalizmu w nowy ustrój gospodarczy i w jakim stopniu przyczyni się do tego ruch współdzielczy, o tem—zdaniem autora—mówić dziś, co najmniej przedwcześnie. Przypisuje jednakże kooperatywom pierwszorzędne znaczenie dla robotników, uważając je dla tej klasy za organizacje pierwszorzędnej wagi, uzupełniające inne formy ruchu robotniczego. Z drugiej strony wszelako twierdzi z naciskiem, że nie powinny się one wyrzec swej samodzielności i bezpartyjności. Kooperatywy te nie powinny też być organizacyami klasowemi, z zainkniełym dla innych klas wstępem i określoną barwą polityczną. To też pierwszorzędnym warunkiem pomyślnego organizowania konsumcyi krajowej jest jej absolutna neutralność polityczna i wyznaniowa. Bezpartyjność kooperacyi stała się jednym z głównych czynników powodzenia tak świetnie dziś rozwiniętych kooperatyw angielskich, szwajcarskich, niemieckich. Partyjność w kooperatywie prowadzi do rozdrobnienia ruchu, do osłabiania stowarzyszeń, a co zatem idzie nie organizuje, ale dezorganizuje konsumentów. We Francyi naprzykład rozwój stowarzyszeń spożywczych został silnie zatamowany wskutek tego, że różnice i właśnie partyjno-polityczne wywierają tam nacisk na wewnętrzne życie stowarzyszeń. W Belgii, mimo całego rozmachu kooperacyi, partyjne rozdarcie ruchu jest przyczyną, że centrala hurtowna napotyka na poważne trudności w swym rozwoju. W niektórych miastach Belgii, jak w Antwerpii np., istnieje kilkanaście wrogo ku sobie usposobionych kooperatyw spożywczych. Gdyby wszystkie kooperatywy antwerskie połączyć w jedną, stanowiłaby ona potęgę, opartą o kilkadziesiąt tysięcy rodzin, to znaczy ogniskującą setki tysięcy ludności. Brak tej łączności wychodzi na szkodę konsumentów. Kooperacya jest terenem neutralnym, na którym spotykać się mogą i pracować wspólnie ludzie najrozmaitszych wierzeń i najróżnorodniejszych przekonań politycznych.

To niewątpliwie racjonalne stanowisko autora doznaje wszakże w dalszym ciągu pewnego osłabienia. Kooperacya spożywcza opiera się na własnych siłach—mówi on—i nie szuka pomocy w łaskawości władz państwowych. Ale kooperatyzyzm posiada swoje interesy gospodarczo-polityczne. Dla obrony tych interesów musi od czasu do czasu wkraczać na drogi polityki. Prawodawstwo i cały aparat władzy wykonawczej znajdują się w państwie współczesnem pod wpływem klas, które niechętnem okiem patrzą na rozwój współdzielczych instytucyi ludowych. Tam, gdzie polityka ekonomiczna państwa polega na faworyzowaniu wielkich ban-



ków, kartelów, towarzystw kapitalistycznych i na szykanowaniu z innej znów strony wszelkiego rodzaju kooperatyw środkami fiskalizmu biurokratycznego, gdzie powolność względem żądań agraryuszy rozciąga się aż do granic zagłodzenia miast drożyzną, tam spożywcze interesy warstw ludowych są stale zagrożone.

Tego rodzaju szerokie określenie „interesów“ politycznych kooperatyw spożywczych, równa się jednak wciągnięciu ich prawie że w całokształt walk politycznych. Olbrzymia większość współczesnych zagadnień politycznych, to walki o tło wybitnie ekonomicznem. Spożywcy — to ogół niewątpliwie wybitnie zainteresowany w ukształtowaniu polityki ekonomicznej. Przecież pojęcie neutralności kooperatywy spożywczej tylko wówczas realne będzie miało znaczenie, gdy pojęcie interesów politycznych tej kooperatywy ograniczymy do interesów politycznych *bezpośrednio* kooperatywę dotyczących. Jeśli bowiem autor mówi o walce kooperatyw z żądaniami agraryuszy, to rzecz wiadoma, że to są w wielu krajach, a i w niektórych krajach polskich, np. w Galicyi, kwestye, stanowiące oś zagadnień politycznych, zwłaszcza, że ocenianie, o ile żądania te rozciągają się aż do granic zagłodzenia miast drożyzną, jest w stopniu bardzo wysokim kwestyą ściśle subiektywnego uznania. O ile mi zaś wiadomo, to zresztą żądania te w niektórych krajach są usilnie popierane przez klasę robotniczą i przez stronnictwa robotnicze, gdy znowu gdzieindziej przez te grupy polityczne bywają silnie zwalczane. Fakt rozbieżności interesów czy dążeń istnieje niewątpliwie już teraz wśród klasy robotniczej różnych państw czy krajów, niema wszakże żadnej rękojmi, czy taka sama rozbieżność nie wystąpi z czasem w obrębie klasy robotniczej różnych obszarów czy zawodów tego samego organizmu państwowego. W interesie samejże kooperatywy tylko usilnie życzyć wypada, by pojęcie interesów politycznych kooperatywy ściślej zostało wskazane i do właściwej miary sprowadzone.

W jednym wszakże jeszcze kierunku stosunek kooperatywy spożywczej do państwa zastugiwałby ze wszech miar na bliższe rozpatrzenie, mianowicie kwestya pomocy, udzielanej kooperatywie przez państwo, czy to w formie subwencji, czy też pod inną jakąś postacią. Zagadnienie to było specjalnie w naszej literaturze przedmiotem znakomitego studyum Adama Krzyżanowskiego p. t. „Subwencya“ (Kraków, 1907), stanowiło też przedmiot obrad międzynarodowego kongresu współdzielczego w Budapeszcie; omówienie tej kwestyi byłoby potrzebnem ze względu na zasadniczo odmienny nastrój psychiczny w Królestwie z jednej a w Galicyi

z drugiej strony panujący, niema zaś u nas znaczenia czysto akademickiego tylko, skoro w Sejmie galicyjskim zjawił się nawet wniosek posła Kazimierza ks. Lubomirskiego, żądający dla kooperatywy spożywczej pomocy ze strony kraju.

Kwestya psychiczno-społecznych warunków kooperatywy spożywczej niejednokrotnie znajduje oddźwięk na kartach onawianej tu książki i autor wiele słusznych w tym względzie uwag wypowiada. W pierwszych etapach rozwoju pożyteczność kooperatywy opiera się przedewszystkiem na świadczonych przez się korzyściach materyalnych. W warunkach wyższego uświadomienia i na poziomie wyższej kultury, masowe pożądanie kooperatywy, jako czynnik skupienia kooperatystycznego, opiera się nietylko na korzyści materyalnej, ale i na pobudkach interesu kulturalnego. Dotyczy to jednak ogółu, ale nie jednostek wybitnych, pionierów. Materyalizm jest cechą przeciętną, idealizm i altruizm natomiast odznaką wybitnych. Do tych ostatnich atoli przodownictwo w ruchu należy, a ta siła moralna i ideowość tych wyższych jednostek, ich moralny wpływ na współtowarzyszonych, staje się sternictwem instytucji, zwłaszcza w okresach przesileń, gdy czynnik interesu materyalnego, tak wielką grający rolę w epokach powołania gospodarczego, staje się siłą, co odpycha, dezorganizuje i rozprasza.

Momentów etniczno-psychicznych autor szerzej nie porusza, jakkolwiek i tu literatura polska może się poszczycić studjum Adama Krzyżanowskiego „Umiejętność zrzeczania się“ (Kraków, 1905), a znane dzieło Wygodzińskiego „Das Genossenschaftswesen in Deutschland,“ ostatni wyraz postępu na polu literatury kooperatystycznej niemieckiej, pisane z wielkim chłodem i przedmiotowością, szeregiem trafnych uwag dowiodło doniosłości problemu. Nie usuwa się co prawda autor od rozpatrywania tego zagadnienia, omawiając rozwój kooperatywy spożywczej na ziemiach polskich. Jedną zwłaszcza uwaga na szczególne zasługuje podkreślenie. W naszym społeczeństwie błąka się jeszcze tu i owdzie—mówi autor—to niesocjologiczne pojmowanie życia gospodarczego, które przypuszcza, że nieobowiązują nas wzory i doświadczenia innych. Rzekomym dowodem tego ma być ta okoliczność, że warunki nasze są zbyt odrębne i że „tamte“ zasady nie dadzą się u nas zastosować. Stąd wielka skłonność do kompromisów, lekceważenie teorii, stąd staroświecki obskurantyzm i niefortunne najczęściej eksperymentowania.

Uwagi te zdają się przeczyć możliwości roztrząsań etniczno-psychicznych w tym kierunku. Tymczasem wszakże pewnikiem



jest to tylko, że wzory i doświadczenia innych obowiązują nas o tyle, o ile chodzi o konstrukcję kooperatywy, o zasady, na których kooperatywa ma się opierać. Ale kwestya taktyki realizacji ideałów kooperatywy spożywczej musi być w każdym kraju odrębną, ba, musi się liczyć z historycznymi i społeczno-gospodarczymi warunkami kraju, w którym działać wypada. I kooperatyści czynią to też wistocie, wskazując np. w kraju, przez obcych rządzonym, na doniosłe narodowe znaczenie samopomocy społecznej, moment psychiczno-społeczny, który w narodach niezawisłych nie może odgrywać żadnej roli. Oczywiście, że w tem uwzględnianiu swojskich warunków, zawsze należy zachować właściwą miarę, jak znowu z drugiej strony pamiętać trzeba i o tem, że te swojskie warunki swojskich też nieraz wytwarzają przeciwników kooperatywy. Tak np., jak to starałem się wykazać w mem studyum p. t. „Stowarzyszenia spożywcze w Galicyi“ (Kraków, 1907), preponderancya handlu żydowskiego nad chrześcijańskim, jak i znaczna hipertrofia usług ze strony handlu żydowskiego i formalne przesylenie społeczeństwa żydowskiego w Galicyi przedsiębiorstwami handlowymi (ściślej co prawda mówiąc tylko kramarskimi), wytworzyło po obu stronach szereg wielce niepożądanych objawów, które i skrzywiły nieraz samą ideę kooperatywy.

Uwagi te nie mają bynajmniej zamiaru ujmować wielkiej wartości tej książki, zawierającej wiele głębokich myśli i spostrzeżeń, które w całej pełni zasługują na to, by i doświadczeni kooperatyści zapoznali się z niemi.

Pod adresem Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych, który tę książkę w świat puścił, jako pierwszy tom biblioteki współdzieleczej, niech mi wolno będzie wystosować życzenie, by postarał się o publikacye, przedstawiające znaczenie i działanie innych kategorii kooperatywy, u nas jeszcze mało rozwiniętych, a nawet teoretycznie mało znanych, zwłaszcza kooperatyw budowlanych i przemysłowych, omawiające środki realizacji ich idei i granice ich działania. Zyska tem niewątpliwą zasługę społeczną i narodową.

D-R ZYGMUNT GARGAS.

MARYAN GAWALEWICZ. *Poczt promienisty*. Z filareckiej twórczości Tomasz Zana. Z przedmową Aleksandra Kraushara. Warszawa 1911. Nakładem i drukiem M. Arcta.

Postać jednego z głównych przewodników promienistej młodzieży wileńskiej, kryształowa czystość tej iście niepospolitej duszy, zacność i bezinteresowność Arcego, zgodnymi głosami wszystkich jemu współczesnych z Mickiewiczem na czele sławiona, zapewniła Zanowi zgola wyjątkowe stanowisko w dziejach odrodzenia duchowego Polski porozbiorowej. „Próba kochania,“ której wzniosły dał wyraz, urok tajemnego wpływu, jaki na otaczających wywierał, zaparcie się siebie, wreszcie długa, trawiąca męka wygnania, wszystko to złożyło się na tę miłość żarliwą, co niewoliła przyjaciół Zana, i na tę cześć, opromieniającą jego imię po wszystkie czasy. Ale w tem poszanowaniu zasług Zana więcej było intuicyjnego odczucia, niżeli rzeczywistego rozumienia i znajomości jego czynów. Biografia Zana była piękną legendą, utkaną ze wspomnień druhów i poezji Mickiewicza; pracy życia, twardego wysiłku, głębszych przemyśleń—nie znaleźmy.

Pierwszy zwrócił na to uwagę Gawalewicz; wrażliwy nawskroś, odgadujący, jak rzadko kto, wzruszenia sercowe, ujrzał w uczuciowej fizyognomii Zana nieprzebrane skarby. Postanowił je zgłębić i wydobyć na światło powszechnego rozumienia. Na podstawie skrzętnie, z czcią niemal religijną zgromadzonych przez wdowę Tomasza materyałów, osnuł Gawalewicz dwie piękne prace o druhu Mickiewiczowskim. Pierwsza, drukowana w „Tygodniku polskim (w 1898—99 r.), jest, jak dotychczas, jedyną, niestety ułankową, biografją Zana; druga, pomieszczona w „Kraju“ z 1900 r., jest krótkim zestawieniem poetyckiej twórczości Zana. Tę właśnie rzecz o „pocście promienistym“ wydobyto obecnie z zapomnienia i w nowem, książkowym rozpowszechniono wydaniu.

Jest to właściwie tylko przyczynek do życiorysu; brak w nim szerszego tła, bez którego rozumienie nawet poetyckiej, acz skąpej i wątej twórczości Zana, jest prawie niemożliwem. Artykuł Gawalewicza w „Kraju,“ pisany pod bezpośredniem wrażeniem odkryć w archiwum familijnem, zdawał z nich sprawę, odsłaniał mało znaną kartę działalności Arcego, nie ujmował całokształtu nawet w zakresie poetyckich robót Zanowych. Co zatem w czasopiśmie było skończoną i zamkniętą w sobie całością, w książce jest szkicem, w szczegółach wysubtelnionym, bez syntetycznego wskazże ujęcia. Znajdzie tu czytelnik wiązanek wierszy okolicznościowych i ciekawe wyjątki z listów, splecione w zajmujące



opowiadanie. Najwięcej miejsca poświęcono dwom najdłuższym i najbardziej charakterystycznym utworom Zana—„Gryczane pierożki“ i „Tabakiera.“ Pierwszy z tych utworów w obszernem streszczeniu i z objaśnieniami Gawalewicza ukazał się niedawno w „Pamiętniku literackim.“

Niektóre poglądy Gawalewicza uledez muszą dzisiaj pewnej rewizji w zestawieniu z nowemi odkryciami w zakresie badań nad dziejami Filomatów i Filaretów. Do takich należy powszechnie utarte przekonanie, jakoby Zan był wyłącznym twórcą i organizatorem związków młodzieży wileńskiej; nie ujmując mu wielkiej zasługi moralnego przodownictwa i szczerego poświęcenia pracom filomackim, wypadnie przedewszystkiem stwierdzić i podnieść inicjatywę i talent organizatorski twórcy „Ody do młodości.“

Uzupełnienia tego rodzaju, choćby w formie najkrótszych not i przypisów, należało poczynić w nowem wydaniu artykułu Gawalewicza; ograniczono się tymczasem do aż nazbyt literalnego przedruku z pozostawieniem nawet zupełnie tu nie na miejscu odsyłaczy do №№ „Kraju“ (str. 83); rażącego dziś błędu na str. 18: „Po Tomaszu Zanie żyje dotąd sędziwa jego wdowa“ (zmarła 7 września 1900 r.); omyłki na str. 57 „w dn. 22 listopada 1824 r.“ opuścił Zan Wilno, zamiast „22 października now. st. 1824 r.“ Poważnym wreszcie błędem przepisywacza czy korektora jest opuszczenie długiego, z dwóch numerów „Kraju“ (38 i 40), ustępu, zawierającego między innymi szczegółową treść ballad Zana—„Neryny“ i „Twardowskiego.“ Wskutek tego niedopatrzienia treść na str. 49—51 nie wiąże się ze sobą i wprost nie ma sensu.

Dziełko zostało poprzedzone przedmową znanego historyka Aleksandra Kraushara i zawiera piękne wspomnienie o sympatycznej postaci ś. p. Gawalewicza, oraz krótkie uwagi o związkach młodzieży wileńskiej; szkoda tylko, iż rzeczzone uwagi opierają się prawie wyłącznie na nieścisłej relacji Zdanowicza i z tego powodu nie dają należytego pojęcia o genezie i działalności stowarzyszeń wileńskich.

H. M.

## Kronika miesięczna.

Z powodu zamachu. — Na marginesie głośnego procesu. — Rozprawy o zmniejszeniu liczby święt. — Trwożna pogłoska. — Wystawa w Sandomierzu. — Stolypin i Kokowcow.

Dwa momenty nasuwają się przy ocenie zamachu w Kijowie na prezesa ministrów, Stolypina: potępienie czynu i osoba sprawcy. Potępienie było i jest jednomyślne prawie, pomimo bardzo różnego stosunku do premiera rozmaitych stronnictw politycznych i rozmaitych narodów z państwem związanych. Nikt nie ma prawa kwestyonować szczerości potępienia. Nie ma tembardziej, że motywami muszą tu być zarówno względy wyższej moralności, jak i względy praktyczności powszedniej.

Tyle stuleci już mija, jak wzeszła nad światem gwiazda moralności chrześcijańskiej, tak często uważana dziś za wsteczną i zatęchłą, za przeszkadzającą postępowi społecznemu, a przecież, jak niedościgniony ideał moralny, świeci nad ludźmi przykazanie o miłowaniu bliźniego i nie zabijaniu. Dalecy jesteśmy od nieuznawania konieczności zachowawczych społeczeństw, od wyciągania z powyższego konsekwencyi bezwładnych i kontemplacyjnych nie sprzeciwiania się złu. Ale podkreślać musimy — wobec szerzącego się braku podstaw moralnych — że ludzki wymiar sprawiedliwości, acz niebezbledny dlatego właśnie że ludzki, obstawia ten wymiar całym szeregiem rękojmi, procedurą, szeroką możliwością obrony oskarżonego. Tymczasem tajne sądy i konwentykłe rękojmi tej nie dają, jasnej i otwartej odpowiedzialności przed zbiorowością nie ponoszą i dlatego wykonanie ich jest w ostatecznej konsekwencyi wyrazem sądu doraźnego jednostki nad jednostką, a więc objawem powrotu do stanu dzikości ze stanu cywilizacji, chociażby najbardziej ułomnej. A czemże jest moral-



ność, jeżeli nie przeciwstawieniem pewnych reguł postępowania rozpasaniu hordy barbarzyńskiej?

Są jeszcze i względy praktyczne: bezcelowości zamachów. A najwięcej chyba przykładów tego znajdziemy w historii tego narodu, w którym zamachy podniesiono do godności doktryny politycznej — w Rosyi. Od tylu dziesiątków lat odpowiedzią na wybuchy bomb i huk strzałów rewolwerowych jest ponury skrzyp szubienic, a nie widzimy z tej walki okrutnej żadnych skutków praktycznych, zmierzających do podniesienia kultury społecznej czy też zmiany form bytu politycznego. O ile następują zmiany w lepszym kierunku, nie są one wynikiem tej walki, lecz obok niej, zupełnie niezależnie, jakby w zupełnie odrębnej dziedzinie życia. Owszem — przeciwnie raczej — nieraz stosowanie środków terrorystycznych wywoływało groźne objawy reakcyi, spadające ołowianym ciężarem na kręgi daleko szersze, niż samych sprawców i wyznawców.

Teoretycy doktryny terrorystycznej, a zatem moralni sprawcy czynów, popełniają rażącą niekonsekwencyę. W historyozofii swojej zaprzeczają wszelkiego wpływu jednostkom, przeciwstawiając im konieczności historyczne, wynikające ze stanu danego okresu bezświadomych mas. W praktyce zaś sprowadzają działalność polityczną tylko do walki jednostek z pośród nich przeciw jednostkom z pośród kierowników rządu. Niepodobna zaprzeczać wpływu epoki, środowiska, nastroju społeczeństwa na zdarzenia historyczne, jak niepodobna niedoceniać wpływu wybitnych jednostek; czynniki te kojarzą się i oddziałują wzajemnie na siebie. Ale jednostka jest zawsze przedstawicielem jakiejś grupy społecznej; gdy jej zbraknie, zastąpi ją inna — i tu tkwi jasny dowód bezpłodności zamachów, a poprzeczyć go można dziesiątkami faktów i nazwisk ofiar, z tejże samej historii współczesnej Rosyi zaczerpniętych.

Doktryna terrorystyczna — poza brakiem podstaw moralnych — jest teorią loteryi w życiu społeczno-politycznem i wyrazem mniejszego wysiłku społecznego. Teorią loteryi dlatego, że jednostka usunięta z życia może być ze stanowiska apostołów doktryny numerem szczęśliwszym lub mniej szczęśliwym od drugiej, która ją zastąpi; niema w tym względzie żadnych danych do sądu, jest tylko hazard. Wyrazem mniejszego wysiłku społecznego dlatego, że łatwiej nieraz uczynić ofiarę ze swego życia i doli, niż składać codzienne ofiary dla przyszłości kraju i narodu, nawet — jak to się mówi w tamtym obozie — dla uświadomienia mas. A bez przygotowania tych mas do zmian form bytu wszelki gwałt bez-

plodnym być musi. Wyobraźmy sobie jakąś straszną hekatombę, która wniosłaby odrazu zupełną dezorganizację do maszyny rządowej. Na jej miejscu stanęłyby tysiące anarchii i tyranii lokalnych, tak dokuczliwych i nieobliczalnych, że społeczeństwo usiłowałoby wrócić czempredziej do minionych form współżycia, chociażby najgorszych.

W danym wypadku, który posłużył za powód do uwag mniejszych, osoba sprawcy rzuca dość dziwne światło na stronę moralną teroryzmu rosyjskiego. Sprawcą jest tajny agent ochrony. Praca na dwa fronty: dla policji i dla rewolucji, była w ostatnich czasach wypadkiem dość częstym, aby go można było uogólnić. Tajemnicą zostaną pokryte najtajniejsze motywy działania tych mrocznych dusz. Wolno tylko przypuszczać, że pierwotną drogą działania jest rewolucyjna, a z kolei dopiero, jako zjawisko wtórne, wywołane żądzą życia i użycia, występuje służba dla policji. Ale dwum panom długo służyć nie można; jednostka staje na skrzyżowaniu dróg, skąd niema uciezki, lecz tylko przymus wyboru; wtedy Azef i Hapon wybierają policję, chociaż wiadomo, że wielkie usługi oddawali rewolucji, a Degajew i Bogrow chwytają za podsunięty rewolwer, chociaż słyszymy, że znakomicie zasłużyli się policji. Znajdujemy się tu w świecie mroku, w świecie mętów społecznych, bo ani organizacja tajna, ani policja polityczna światła dziennego nie lubi. A w tym mroku trudno odróżnić właściwe oblicza, niepodobna rozróżnić pobudek, następuje jakies dzikie pomieszanie pojęć i stanowisk. I jeżeli przedstawimy sobie terorystów i ścigającą ich policję, jako dwie walczące z sobą potęgi, stwierdzić musimy, że złe wystawiają sobie świadectwo, szukając wzajemnie współpracowników w swoich własnych szeregach. Znajdujemy się tu poza zakresem wszelkich, choćby najelementarniejszych pojęć moralnych, i dlatego brak nam zupełnie nici oryentacyjnej dla rozplątania faktów.

\*

\*

\*

Przez dwa tygodnie byliśmy świadkami okrutnego znęcania się tłumu nad garstką nieszczęśliwych. Znamy na pamięć wszystkie argumenty, które twierdzeniu temu przeciwstawić można:



i konieczność jawności obrad sądowych wraz z procedurą kontradykcyjną, i konieczność zaspokajania przez prasę ciekawości informacyjnej czytelników, ale wszystkie te liczniany nie pokrywają faktu złych instynktów tłumu. Nie chodzi tu o to, czy oskarżeni są winni czy niewinni: w chwili, kiedy piszemy te słowa, nie wiemy, jaki będzie wyrok sprawiedliwości ludzkiej, nie przesądzamy, czy główny oskarżony jest czy nie jest naprawdę waryatem, słowem, nie mamy na myśli tego, co od dwóch tygodni zapełnia szpalty pism, służy za temat wszystkich rozmów a nieraz i namiętnych sporów. Widzimy natomiast przed sobą gromadkę nieszczęśliwych, nietylko oskarżonych, ale i ofiar, widzimy wywlekanie najdrobniejszych szczegółów ich życia prywatnego, złośliwe publiczne komentowanie ich na użytek oskarżenia czy obrony, widzimy przypatrujący i przysłuchujący się z ordynarnym śmiechem i wybuchami wesołości tłum, który tylko dlatego nie woła chleba, że niewielka sala sądowa może pomieścić jedynie ustosunkowanych, a więc sytych, ale, jak plebs rzymski, zawsze równie jest żądny igrzysk i widowisk, w których ceną jest życie ludzkie, widzimy daleko liczniejszy tłum, pozostawiony poza wrotami sądu, zaczytany, zasluchany gorączkowo w podawane mu z za wrót wieści. Widok taki każe wątpić o istotnym postępie uczuć i upodobań ludzkości, zawsze, mimo lepszych form zewnętrznych, w gruncie barbarzyńskich. I mimowoli nasuwa się uwaga, jakich dzieł pozytywnych dokonałby mogła ta ogromna ilość energii, wyładowywana jedynie w celu zaspokojenia najpierwotniejszej i najędźniejszej ciekawości ludzkiej.

Myśl litościwa zwraca się ku jakiemuś skromnemu mieszkaniu miejskiemu, gdzie wije się z bólu młoda kobieta i troje drobnych dzieci. To są prawdziwe ofiary: nie ten, którego już niema i nie ten, który, jeżeli czyn zbrodniczy popełnił, rozpocznie zaraz za niego ekspiację i umrze śmiercią cywilną, gdy tamci żyć muszą i żyć będą, smagani, gdziekolwiek się ukażą, wspomnieniem i piętnem hańby i zbrodni, rozdwojeni w najbardziej zasadniczych przywiązaniach rodzinnych, gdy gra toczy się między ojcem i dziadem a mężem i ojcem o tegoż głowę. Proces taki nasuwa pełne gorzkiego sceptycyzmu pytanie, czy mimo wszelkich udoskonaleń w zakresie form życia dno duszy ludzkiej nie pozostaje jeszcze ciągle barbarzyńskim?

\*

\*

\*

Jesteśmy krajem bardzo katolickim, ale jesteśmy społeczeństwem dosyć leniwem. Dlatego, kiedy wierność dla Stolicy Apostolskiej wchodzi w zatarg z wadą narodową, pierwsza zaczyna się chwiać. A dowody tego mamy przed oczami w nastroju i w rozprawach z powodu ostatniego rozporządzenia Piusa X, ograniczającego liczbę uroczystych świąt katolickich z siedemnastu na osiem, zawartego w dekreście *De diebus festis*. Rozporządzenia Stolicy Apostolskiej muszą być u nas niejako kontrasygnowane, wprowadzane w życie przez rząd centralny; w chwili obecnej obowiązują tedy przepisy Komitetu Ministrów z d. 5 i 19 maja 1881 r., na których zasadzie obserwujemy bezwarunkowo oprócz 52 niedziel w roku 17 dni świątecznych; nie liczone są tu obchodzone częściowo, zwyczajowo, dzień Zaduszny i dzień św. Stanisława. Ponieważ duchowieństwu naszemu nie wolno stosować się do dekretów Stolicy Apostolskiej, ogłoszonych tylko w Aktach Apostolskich, przeto wykonanie rozporządzenia *De diebus festis* musi być na razie wstrzymane aż do chwili przeprowadzenia odpowiedniej korespondencji dyplomatycznej. Tymczasem więc możemy spać spokojnie, sondować opinię i przeprowadzać rozprawy przygotowawcze.

Zasługa rozpoczęcia poważnej dyskusyi w tej sprawie i postawienia jej na właściwym gruncie przypada znakomitemu pisarzowi, Bolesławowi Prusowi, który uczynił to w liście otwartym, przedrukowanym przez wszystkie pisma. Robi w nim obrachunek następujący: „Ażeby zrozumieć potęgę dni i godzin pracowych, w porównaniu do czasu odpoczynkowego, wyobraźmy sobie dwu robotników. Obaj są płatni po 10 kop. za godzinę, ale Paweł pracuje 10 godzin na dobę, Gaweł tylko 9, Paweł trudzi się przez 305 dni w roku, Gaweł tylko przez 290. Przypuśćmy nadto, że wartość towaru, który każdy z nich produkuje, jest 7 razy większą od zarobku. Otóż roczne rezultaty działalności każdego z nich uplastyczni następująca taliczka:

	Paweł	Gaweł
Pracuje godzin w roku . . .	3,050	2,610
Zarabia rocznie rubli . . .	305	261
Roczna wartość produkeyi rb.	2,134	1,827

„Innemi słowy: Paweł, pracując rocznie więcej od Gawła o 440 godzin, zarabia o 44 ruble więcej i daje społeczeństwu za 308 rubli więcej towarów.

„A teraz zróbmy jeszcze jedno przypuszczenie. Wyobraźmy sobie, że jakiś kraj posiada milion Pawłów pracowitszych o go-



dzinę na dobę i o 15 dni na rok, zaś inny kraj cieszy się milio-  
nem Gawłów, którzy... lubią oszczędzać swoje cenne siły i zapy-  
tujemy, jak będą wyglądały te dwa kraje naprzykład po 25 la-  
tach, co odpowiada działalności jednego pokolenia?

Kraj Pawłów      Kraj Gawłów

W ciągu 25 lat klasa robotnicza zarobi 7,625 mil. rb.      6,524 mil. rb.  
Wyprodukuje towaru za . . . . . 53,375 „ „      45,664 „ „

„Innemi słowy: po upływie jednego pokolenia kraj Pawłów  
będzie miał przeszło o siedem miliardów rubli więcej bogactw,  
aniżeli kraj Gawłów, a robotnicy pierwszego kraju oszczędzą dla  
siebie przeszło miliard rubli więcej niż Gawłowie. Łatwo pojąć,  
że przy tak wielkiej różnicy bogactw, no... i rozsądku kraj Pa-  
włów musi być zdrowszy, silniejszy, bezpieczniejszy, wygodniej-  
szy, sytszy, weselszy, oświecieńszy, i — wolniejszy, aniżeli kraj  
Gawłów.“

Porównyując dalej pracę naszą i zagranicy, Prus stwier-  
dza, że podczas gdy „Niemcy i Stany Zjednoczone obchodzą na  
rok 8 dni świąt, Francuzi i Belgijczycy 7, Szwajcarowie 4, Ży-  
dzi 16 i pół, my obchodzimy 17 (Rocz. Geb. i Wolffa). Naprawdę  
jednak robotnicy nasi, nawet w Warszawie, świętują daleko wię-  
cej, mianowicie: 3 dni na Zielone Świątki, 4 na Boże Narodzenie  
i 5 dni na Wielkanoc. Razem 25 dni, oprócz 52 niedziel. Nadto,  
według obserwacji inż. St. Manduka, robotnicy prowincjonalni,  
z powodu świąt parafialnych i odpustów, mają jeszcze ze 4 dni  
odpooczynku. Kiedy u nas robota w fabrykach trwa 9 godzin (na  
prowincyi 10), prawie we wszystkich zachodnio-europejskich za-  
kładach pracuje się godzin 10, a naprzykład w Holandyi ślusarze,  
kowale, tokarze, elektrotechnicy trują się przeważnie po 11 go-  
dzin, niekiedy po 12. W naszych fabrykach roczna ilość godzin  
pracy wynosi około 2,600, w paru fabrykach prowincjonalnych  
2,900; w Warszawie najwięcej pracuje Lilpop, Rau i Loewenstein,  
bo 2,637 godzin. Otóż fabryki zachodnio-europejskie od tej na-  
szej najpracowitszej pracują daleko dłużej, a różnica dochodzi do  
300, 400... nawet 700 godzin pracy na rok!“ Wniosek ostateczny  
jasny: pracujemy zbyt mało i z radością należy powitać rozpo-  
rządzenie Piusa X, które nas do bardzo nieznacznie większej, ale  
przecież większej pracowitości zmusi.

Posłuchajmy teraz głosu najbardziej zainteresowanych. W roz-  
porządzeniu — pisze robotnik do „Wiadomości Codziennych“ — „lud  
roboczy widzi tu jakby swoją klęskę, czy też specjalnie wyrzą-

dzoną mu krzywdę. Święta dla niego są jedyną osłoda po trudach i mozolach i dają mu możność spędzenia czasu na łonie rodziny, w gronie przyjaciół i znajomych; pozwalają mu wytchnąć po ciężkiej pracy, rozerwać się, pocieszyć w smutkach i kłopotach. Robotnik nasz każdego święta wygląda i oczekuje z utęsknieniem. Dodanie zaś kilku dni roboczych w ciągu roku nie przysporzy mu fortuny. Z tego powodu niezadowolone, zwrócone przeciw Kościołowi i jego Sternikowi.“ W temże piśmie ksiądz streszcza zarzuty, jakie dają się słyszeć ze strony ludu wiejskiego: „Najpierw wielu z młodzieży ubolewa, że gdy nie będą mieli drugich dni świąt Bożego Narodzenia, Wielkiejnocy, Zielonych Świątek — ustaną zabawy, muzyki i tańce, które często kawał w noc się przeciągały. Wszak czas mamy, jutro święto, odpoczynek, bawmy się — mówiono. Czy to nie ciężki cios dla tak starodawnego i pięknego zwyczaju, jakim jest „dyngus“ albo „śmigus“ w drugim dniu Wielkiejnocy? — biadają chłopcy. Co znów będzie ze zwyczajem sypania się owsem w drugim dniu Bożego Narodzenia? Co się też stanie ze zwyczajem wycieczek i majówek, jakie, szczególnie po miastach, urządzano w drugim dniu Zielonych Świątek? Wszak gdy jeden dzień tylko zostanie, nie będzie na zachowanie tak pięknego zwyczaju ani czasu, ani sposobności! Czyż to nie cios dla „święconego“, lamentują gospodynie, gdy nie będzie drugiego dnia świąt Wielkanocnych? czyż będzie się opłacało urządzać coś na ten jedyny dzień święta?“

P. J. D., dobry znawca warunków pracy w zakładach przemysłowych, polemizując z Prusem, mówi, że „dobrobyt zachodniej Europy nie wynika wyłącznie z większej ilości dni roboczych, ale przede wszystkim z systemu produkcji, z wprowadzenia ulepszeń technicznych, organizacyjnych i t. p., co właśnie miało ten błogosławiony skutek, iż umożliwiło znaczne już dzisiaj zredukowanie godzin pracy robotnika, bez przeszkody dla przemysłu. Jeśli zatem idzie o to, by naśladować Zachód, należałoby jąć się tych samych metod, inaczej ograniczenie liczby świąt upodobni nas z Zachodem tylko zewnątrz, a przemysł krajowy, jak kulał, tak kuleć w dalszym ciągu będzie. Przedział, jaki istnieje pomiędzy krajem naszym a Zachodem w omawianej dziedzinie, po zredukowaniu liczby świąt bynajmniej wcale się nie zmniejszy. Przemysł zresztą zachodnio-europejski rozwinął się nie kosztem wyłącznie przedłużenia dni roboczych lub też godzin pracy robotnika, ale przeciwnie, wraz z rozwojem przemysłu — długość dnia roboczego ulegała stopniowemu zmniejszeniu.“ W dalszym ciągu zwraca uwagę na lepszy podział pracy w fabrykach zagranicz-



nych, który oszczędza sił i czasu robotnikowi i dochodzi do wniosku, że „jakkolwiek projekt ograniczenia liczby świąt w stosunku do naszego kraju zawiera pewne, nieznaczne zresztą, plusy ekonomiczne, to jednak nie brak mu również licznych minusów. Wszak święto w życiu robotnika, to moment, w którym on uzupełnia swoją fizyczną i duchową istotę, jej braki, to moment, który wyzyskuje w kierunku samokształcenia, kiedy duchowo i fizycznie zbliża się do reszty społeczeństwa, uczy się być pożytecznym jego członkiem. Jeśli zatem porównać wątpliwe zresztą korzyści ekonomiczne, płynące z ograniczenia liczby świąt, z nieuniknionymi w tym wypadku stratami innego rodzaju, których się łokciem wymierzyć, ani też pieniężnie ocenić nie da, kto wie, czy te ostatnie nie będą większe od zysków.“

Po wysłuchaniu tych różnych głosów przejdźmy do konkluzji własnej. Zaczniemy od stwierdzenia faktu, że zmniejszenie ilości świąt znajdzie gorących rzeczników wśród właścicieli sklepów, fabryk i t. d., wznaga bowiem niewątpliwie, choć nieznacznie, obroty handlowe i wartość produkcji. Za pokrzywdzonych bezwzględnie mogliby się uważać tylko pracownicy sklepowi, kantorowi i fabryczni, płatni miesięcznie, którzy za tę samą płacę musieliby pracować o 8—10 dni dłużej w roku; słusznemu temu niezadowoleniu możnaby zapobiedz albo przez odpowiednie, nieznaczne zwiększenie pensyi lub gratyfikacyi, albo też przez przedłużenie urlopów o taką samą ilość dni, co uważalibyśmy nawet za racjonalniejsze z tego względu, że ostatecznie wzmoczenie odpoczynku pracowników wychodzi zawsze na korzyść interesu. Możliwość zaradzić, gdyby właściciele równie czujnie chcieli słuchać uzasadnionych żądań, jak miłych wieści o zwiększeniu obrotów, a więc i o podwyższeniu zysków.

Co do robotników fabrycznych, rolnych i wogóle pracowników, płatnych za dniówkę, to oczywiście przy zmniejszeniu ilości świąt odpowiednio wzrosłyby ich zarobki; jakkolwiek wzrost taki byłby niewielki, przecież lekceważyć go nie można, nieznacznie bowiem, ale w odpowiednim stopniu wzmogłyby dobrobyt robotnika. Rzecz jasna, że same tylko zmniejszenie ilości świąt nie podźwignie naszego przemysłu, jak tego chce Prus, ale zawsze wzmocze nieco jego produkcję. Do dźwignięcia trzeba by całej masy innych czynników, w których nieostatnim byłoby zwiększenie intensywności pracy naszego robotnika. Ogólnie stwierdzonym faktem jest, że nasz robotnik, czy to przemysłowy w Stanach Zjednoczonych, czy rolny w Prusach, Danii, Szwecyi lub Szwajcaryi pracuje nieskończenie lepiej, niż u nas. Przypuszcza-

ny, że wpływa na to przedewszystkiem otoczenie, bardziej do dyscypliny pracy przystosowane, bardziej wytężonem życiem żyjące. Do stworzenia u nas takiej dyscypliny dążyć trzeba. W twardej tej szkole jednym z drobnych kroków jest zastosowanie się do rozporządzenia Stolicy Apostolskiej.

Jego słuszności ekonomicznej dowodzi prosty rachunek; znaczenia obyczajowego nadaje wzmożenie wydajności pracy. Wreszcie ze stanowiska interesów katolicyzmu posiada także doniosłość niemającą. Niejednokrotnie wrogowie, wykazując zwyciężanie w walce o byt narodów katolickich przez protestanckie, jako jeden z argumentów wysuwali nadmierną ilość świąt katolickich. Argument ten został obecnie otwarty. Z tego, z innych, wyżej wyłuszczonej względów krok ten Stolicy Apostolskiej należy powitać z zupełnem uznaniem. 7

\*

\*

\*

Spółczeństwo nasze zaalarmowane zostało nową groźną wieścią o zamierzonym przez skarż państwa skupie kolei wiedeńskiej. W sferze licznych zamierzeń i poczynań, przeciw narodowości naszej skierowanych, mamy tu do czynienia z jednym z najgorszych, wśród prawdopodobnych strat z jedną z najcięższych. Rezultatem skupu będzie ciężka strata kulturalna, obniżenie poziomu kultury całej, obszernej połaci kraju. Kolej wiedeńska, jedyna arterya, łącząca nas z blizkim nam cywilizacyjnie Zachodem, jest jedyną linią kolejową, która ilością i szybkością pociągów, sprawnością taboru i przewozu towarów, przypomina nam ten Zachód, dokąd tak często jeździmy i dokąd nieraz z takim utęsknieniem oczy nasze zwracamy; w dziedzinie komunikacyjnej jest jedyną placówką, naszą przynależność do kultury Zachodu stwierdzającą.

O wiele dotkliwszą byłaby strata narodowa. Tysiące rodzin polskich znalazłoby się bez chleba i bez dachu nad głową. Miejsca ich zajęliby obcy przybysze, niczem z kulturą kraju, z jego interesami, z jego życiem obywatelskiem nie związani; przez nich promieniowałyby i oddziaływały prądy obce na dziesiątki małych światków, dla których dworce i stacje są ośrodkami krystalizacyjnymi. Odwieczny mieszkaniec kraju i na tej linii kolejowej



miałby to wrażenie, którego doznaje już dziś na innych, że jest na tej własnej ziemi przybyszem, tak mało go łączy węzłów z obsługą kolejową, tak obce i przykre mu są jej porządki. Wierzymy z pewnością w wieczną trwałość naszej kultury narodowej, niemniej z trwogą patrzymy na ponoszone przez nią codziennie straty.

Argumenty powyższe nie zdołałyby z pewnością twórców projektu przekonać, mogłyby tylko wpłynąć na tem większe forsowanie skupu. Na szczęście są i inne, wynikające już bezpośrednio z interesów skarbu. Dotąd w polityce kolejowej sporną jest kwestya eksploatacyi kolei przez państwo. Za przykład zachęcający nad wszystkie służą tylko Prusy ze swoją idealną siecią kolejową, przynoszącą skarbowi znaczne dochody; rezultaty zawdzięczają zupełnie niezwykle precyzyjnie działającemu aparatowi służbowemu i rzadkiej osobistej uczciwości urzędników. We Włoszech i we Francji eksploatacyja państwowa jest zbyt niedawna, aby cośkolwiek stanowczego powiedzieć o niej można; już dziś wszakże stwierdzić można rezultaty średnie; w Austrii najsprawniejsze linie pozostają dotąd w ręku towarzystw prywatnych, w krajach anglosaskich przeważa dotąd zasada eksploatacyi prywatnej, w Stanach Zjednoczonych nawet zupełnie wolnej konkurencyi. Przeciwnicy skupu, ekonomiści, dwa zwykle wysuwają przeciw niemu argumenty: większą sprawność działania przy oparciu eksploatacyi na zysku prywatnym i nadmierne wzmocnienie wpływu rządu przez oddanie w jego ręce i uzależnienie od zmiennych prądów politycznych dziesiątków i setek tysięcy stanowisk.

My tu w Królestwie wiemy, że przejście w ręce państwa kolei nadwiślańskiej, terespolskiej i iwangrodzko-dąbrowskiej obniżyło znacznie poziom przewozowy tych kolei. Wie społeczeństwo rosyjskie chociażby z obrad w Izbie państwowej o nadużyciach i kradzieżach, popełnianych na rosyjskich kolejach skarbowych, udaremniających wszelką prawidłową eksploatacyę i wszelkie zyski. Wie o tem minister skarbu, że nie warto wyrzucić kilkudziesięciu milionów rubli na to co w myśl koncesyi za lat dwadzieścia jeden można dostać za darmo i że nie warto pozbywać się drugich kilkudziesięciu milionów rubli, reprezentujących olbrzymie zyski skarbu za ten okres czasu z eksploatacyi kolei wiedeńskiej przez towarzystwo prywatne.

Mimo to... Mimo te wszystkie argumenty projekt skupu kolei wiedeńskiej na jesieni przyjdzie pod obrady Rady ministrów. Spotka tam pono jednego tylko zasadniczego przeciwnika. A gdy

w Radzie ministrów zyska przewagę, przejdzie zwykłą procedurę i w obu izbach znajdzie z pewnością powolną większość. Będzie to nowy owoc z drzewa złego, zachłannego nacjonalizmu. Te prądy znieść nie mogą, że w kraju polskim istnieje jedyna jeszcze wielka kolej polska. A gdy na tych prądach szczepi się jeszcze żądza chleba, gdy o tysiącach nowych posad marzą dziesiątki tysięcy nacjonalistów, trudno przypuszczać, by mogły je wstrzymać tamy zdrowego rozsądku. Przecież jeszcze nie skończone, nawet nie zaczęte, mogą zająć jakieś nowe okoliczności. Więc miejmy nadzieję, że do skupu nie dojdzie, nadzieję—przeciw nadziei.

\*

\*

\*

Z pośród licznych pokazów i wystaw jesiennych, których opisywać nie mamy miejsca ani możliwości, wybieramy jedną tylko, sandomierską, a czynimy dla niej wyjątek ze względu na to, że obrazowała okolicę Królestwa odległą i mało znaną. Miejsce wystawy, Sandomierz, jest to miasto podobne do magnata, który w nędzy świetność swoją dawną reprezentuje. Jedno z najstarszych miast Królestwa, w wieku XIII było już możnem i znacznem i z tej epoki nawet pamiątki posiada. Później było kluczem do panowania nad Małopolską, przechodziło z rąk do rąk, zniszczone zostało przez nawałę tatarską, świetnie odbudowane przez Kazimierza Wielkiego i posiadające kilka ładnych gmachów (zwłaszcza ratusz), poczęło upadać w w. XVI równocześnie ze wzmożeniem się Lwowa, Lublina i przeniesieniem stolicy do odległej Warszawy. Dziś nędzne miasteczko, stolica bardzo żywej i bogatej okolicy, dzięki świetnym gruntom pszenicznym.

Wystawy prowincjonalne mają tę dobrą stronę, że pozwalają wnikać w stan kultury różnych okolic kraju; dają też zwykle asumpt do opracowywania szczegółowego statystyki danej okolicy w mapach poglądowych. Nie wiemy, co się następnie z temi mapami dzieje. Byłoby do życzenia, aby się wszystkie centralizowały w jednej instytucji, np. w Centralnem Towarzystwie Rolniczem i były tym sposobem dostępne dla badaczy; możnaby też było z czasem pomyśleć o odpowiedniem wydawnictwie, które dałoby nam obraz statystyczny całego kraju; w ostatnich



latach mieliśmy tyle wystaw prowincjonalnych, że niewiele już jest zapewne zakątków kraju, któreby swego obrazu w cyfrach i mapach nie posiadały, byłyby więc zapewne czas, aby o urzeczywistnieniu powyższego projektu pomyśleć.

Wystawa obejmowała dwa powiaty: sandomierski i opatowski. Z jej działu naukowego dowiadujemy się, że w powiecie sandomierskim własność włościańska stanowi 46.3% ogółu ziemi, dworska zaś 37.8%; reszta przypada na grunty drobnej szlachty (1.5), majorackie (8.2), rządowe i miejskie; w pow. opatowskim włościanie mają 44%, dwory zaś 41.9% ogółu ziemi. Cyfry te świadczą o niewielkim stosunkowo ruchu parcelacyjnym. Nic w tem dziwnego, jeżeli się zważy żyzność ziemi, której się zasiedziali oddawna właściciele więksi niechętnie pozbywają, oraz cenę jej, dostępną tylko dla bardzo zamożnych włościan; cena morgi dochodzi dziś do 375 rb., gdy w r. 1877 płacono za morgę 23 rb. Musi to być istotnie ziemia urodzajna, skoro do takich cen dochodzi, pomimo braku komunikacji kolejowej.

W poprzednich kronikach wspominaliśmy pokrótce o wystawach w Radzyminie i Mławie. Gdybyśmy ich obrazy z sandomierskiem szczegółowo porównać chcieli i mogli, wypadłyby zupełnie różnie i pod względem bogactwa okolic, i pod względem ustosunkowania własności. W tych różnicach widzimy oddziaływanie bardzo odległych wpływów kulturalnych. Małopolska, jedna z najstarszych dzielnic Polski, podlegała oddawna promieniowaniu kulturalnemu dawnej stolicy krakowskiej; obok zasobnego szlacheica rósł w zasobność i godność kmiotek, ale arystokratyczny szlacheic nie chciał mieć równych obok siebie — stąd taka mała ilość szlachty drobnej. Wprost przeciwnie na ubogiem i ciemnem Mazowszu; później weszło ono w skład Korony, nie podlegało wpływowi kulturalnym, bo Warszawa nie miała nigdy dla Polski tego cywilizacyjnego znaczenia co Kraków; za to w dobach przełomów coraz szerzej zagarniało przywileje i zostało dotąd krainą szlachty drobnej. Upadł Sandomierz, wysycha Wisła, gdzieindziej budują koleje i gościńce, a cechy dawno minionych lat trwają w całej sile. Aż chciałoby się przerobić przysłowie o czasach, które się zmieniają w rzeczywistości, gdy my trwamy, zawsze ci sami...

\*

\*

\*

Jeszcze przed laty kilkunastu Piotr syn Arkadyusza Stołypin był jednym z wielu nieznanym ogółowi marszałków szlachty i gubernatorów—następnie. Ze służby swej z nominacji, w gubernacji kowieńskiej, wyniósł nie przywiązanie, nie obojętność, lecz głęboką niechęć do najkulturalniejszego żywiołu miejscowego, niechęć, która pełny swój wyraz znalazła w jego późniejszej działalności państwowej. Szczegółem do kariery posłużyło mu uspokojenie rozruchów chłopskich w gubernacji saratowskiej. Wbrew wszelkim tradycjom biurokratycznym, ten młody, dla wysokich kół petersburskich nowy człowiek został odrazu ministrem spraw wewnętrznych. A kiedy z trybuny pierwszej Izby rozlegały się buńczuczne okrzyki, że w pałacu Taurydzkim stoi jedyna tama, chroniąca państwo od rozrukanych fal rewolucyi, on jeden pojął, że żadna rzeczywistość nie kryje się poza tym gromkim frazesem i jako prezes ministrów miał odwagę tamę ową jednym pociągnięciem pióra rozwalić.

Znany jest program, z którym do pracy przystąpił: uspokojenie a potem reformy, program, z którego wykonana została tylko część pierwsza. Czyż stąd wątpić mamy o szczerości zmarłego męża stanu? Nie. W okolicznościach tylko upatrywać trzeba przyczyn takiego a nie innego postępowania. Stołypin, jako człowiek nowy właśnie, człowiek, któremu obca była dawna rutyna biurokratyczna, uchodził z początku w dość szerokich kołach za ministra raczej liberalnego, konstytucyjnego. Porozumiewał się z kadetami, zwracał się z propozycją portfelów do wybitnych członków stronnictwa odrodzenia pokojowego (Lwow). Ale z tej strony oparcia znaleźć nie mógł: zbyt wielką była różnica poglądów w sprawach najbardziej zasadniczych. Z drugiej—pomiędzy nim a Monarchą usiłowano wzniesć mur intryg osobistych najbliższych kół dworskich; zaufanie mógł zdobyć i zdobył tylko energicznym uspokojeniem, że zdobył, świadczy ostatni i jawny akt intrygi w Radzie Państwa (Durnowo), w którym Stołypin jako zwycięzca wystąpił.

Szukając oparcia, zapatrzony we wzory z za miedzy granicznej, z blisko przed pół wieku (Bismarck), usiłował stworzyć sobie własne stronnictwo. W tym celu rozpętał tkwiące w głębi społeczeństwa ciemne instynkty nacyonalistyczne, a potem, gdy fala ich szła znacznie dalej, niż sam chciał początkowo, stał się ich niewolnikiem, zmuszony był im ulegać. Obrana przez zamordowanego premiera droga była zresztą drogą najłatwiejszą, drogą najmniejszego oporu, drogą znaną już z historyi Rosyi: wszak rodzący się liberalizm rosyjski zatopiono przed pół wiekiem bliz-



ko w powodzi represyi popowstaniowych polskich. Że zaś Polacy i Finlandczycy z pośród „inorodców“ byli żywiołem najkulturalniejszym, najbardziej w oczy kulturą swoją kłującym, więc przeciw nim przedewszystkiem zwróciło się ostrze polityki premiera. Łatwo było przeprowadzać popularne projekty, jak zmniejszenie liczby posłów polskich, jak ziemstwa dla Litwy i Rusi, jak wyodrębnienie ziemi chełmskiej, jak ograniczenie praw Finlandyi i także wyodrębnienie z niej dwóch parafii. Bardzo łatwo.

Trudniej szło z innymi reformami. Były połowiczne. Państwo rosyjskie jest dziś konstytucyjnem, a nie posiada najbardziej zasadniczych wolności konstytucyjnych: druku, słowa, zgromadzeń i stowarzyszeń. Jedyna większa reforma — nowe prawo rolne — zostało dokonane połowicznie i w formie wątpliwej. Dla tych, dla których jedynie istotną była pierwsza część programu premiera — zostanie on w historii wielkim mężem stanu; dla stronników czynów pozytywnych — nie.

Na nas Polakach, krupiała się przedewszystkiem polityka Stołypina. Mimo to zamach potępiany, a w zamordowanym umiemy ocenić te ogólnoludzkie cechy charakteru, które szanujemy zawsze i wszędzie: wielką odwagę, niepospolitą siłę charakteru i śmierć na posterunku. Te cechy wynoszą wysoko Stołypina ponad przeciętny poziom biurokratów, którzy olbrzymiem państwem kiedykolwiek rządzą i zapewniają mu osobną kartę w jego historii.

Nasuwa się teraz pytanie, czy po śmierci Stołypina zmieni się polityka rządu w stosunku do Polaków? Polityka ta jest niewątpliwie wynikiem całego splotu nastrojów i przyczyn; ale zmarły mąż stanu nadawał jej specyficzne osobiste piętno, a był jednostką zbyt wybitną, aby to piętno nie miało być czynnikiem przeważającym.

Na pytanie powyższe odpowiedzieć niepodobna; można je co najwyżej rozbić na drobniejsze i uwypuklić kilka przesłanek, jako materyał do wyprowadzenia wniosków. Przesłanką główną będzie zupełne przeciwieństwo usposobień zmarłego premiera i jego następcy, Kokowcowa. Jeżeli pierwszego określano słusznie, jako człowieka namiętnego, kierującego się przedewszystkiem uczuciem, drugi jest wyrazicielem chłodnego, obrachowującego rozumu. Piszący te słowa wywołuje wspomnienie obu premierów na trybunie: Stołypina, usiłującego mimo wszystko ogniem i swadą swoją słuchaczy przekonać i lekceważącego Kokowcowa, odrabiającego zresztą bardzo dobrze ciężki referat, obu — jedynych mężów stanu, przemawiających wówczas śmiało w tem wrogiem i hałaśliwym otoczeniu. Przypomnijmy jeszcze historyczne słowa

nowego premiera, określające jego stosunek do Izby, a wypowiedziane 24 kwietnia 1908 roku z tejże trybuny: „Chwała Bogu — u nas niema parlamentu!”

Na czele rządu staje nie tylko biurokrata starej daty, ale i bardzo zdolny minister finansów, którego stanowisko w wielu sprawach określać będą względy budżetowe. Naszym przyjacielem ani wrogiem nie jest; ucisk systematyczny, beznamiętny, bez niepotrzebnych zadrażnień o tyle może w nim znaleźć zwolennika, o ile jest właśnie artykułem wiary programu biurokratycznego. W sprawach najbliżej nas dziś obchodzących, ze względów budżetowych był wyraźnym przeciwnikiem wyodrębnienia ziemi Chełmskiej i wykupu kolei wiedeńskiej. Czy ze zmianą stanowiska zdoła utrzymać dawne swoje poglądy, czy podkopie je rozszalała opinia nacjonalistyczna, czy też wysokie i potężne wpływy złamią nawet opór bierny nowego prezesa ministrów — tego dziś stwierdzić jeszcze niepodobna. W każdym razie my, Polacy, nie mamy powodu do niezadowolenia z najnowszej nominacji. Między innymi może i dlatego, że położenie naszej sprawy w tem państwie dziś nic prawie pogorszyć nie może...

---



# WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Książę Kardynał Puzyna.

Przyszły historyk oceni, czy właściwym ze stanowiska narodowego był protest przeciw wyborowi kard. Rampolli na papieża; znaczenie protestów ze stanowiska interesów katolicyzmu potępiła już Stolica Apostolska, znosząc prawo protestów raz na zawsze. Przyszłość oceni również, czy słusznem lub niesłusznem było zamknięcie podwoi Wawelu przed prochami Słowackiego. My, współcześni, przed otwartą trumną możemy pochylić głowy z uszanowaniem nie tylko przed wysokim dygnitarzem Kościoła, ale jeszcze przed mężem wielkiego hartu duszy, niezłomnej siły woli, niezwyklej odwagi swoich wierzeń i przekonań, wielkiej mocy czynu.

Oczyni także w zmarłym kapłana z prawdziwego powołania. To nie dziecię wieśniaczej strzechy szło na księdza, by kiedyś byt swoim zapewnić, to nie potomek hetmanów i wojewodów przekraczał progi seminarium, by rodowi swemu nową infułą splendoru przyczynić, — to mąż w sile wieku, człowiek dojrzały, przed którym otwierała się zwykła i łatwa karyera życiowa, rzucił świat, jego rozkosze i pokusy, aby przywdziać na siebie szaty żołnierza Chrystusowego, wierze i Kościołowi w czystości i zaparciu a nieugięcie służyć.

W postaci zmarłego kardynała ta cecha żołnierska uderzała przedewszystkiem. Gdy było potrzeba, umiał słuchać, gdy losy wyniosły go na posterunek rozkazodawczy, posłuchu bezwzględ- nego bez szemrania wymagał, nadużycia wykorzeniał, opieszających do pracy pędził, przypominając obrazy duchownych średniowiecza, w połowie zakonników, w połowie wodzów wojennych.

Kiedy młody jeszcze stosunkowo kanonik przemyski został biskupem sufraganiem lwowskim, postawił sobie dwa cele: podniesienie gorliwości duchowieństwa i podniesienie katolicyzmu zachodniego we wsiach mieszanych, gdzie ustępował przed zwyciężskim pochodem katolicyzmu greckiego; nie potrzeba podkreślać, że była to owocna praca dla polskośći. W tym celu zwrócił przede wszystkim uwagę na wykształcenie duchowieństwa i wychował sobie nowe pokolenie księży, energicznych działaczy na podobieństwo swoje, następnie wprzągnął do pracy ideowej apatyczne dotąd ziemiaństwo i inteligencyę.

Kiedy obejmował nowy postereunek po kardynale Dunajewskim, dęceczyę zastał bardzo zapuszczoną z powodu wielkiej łagodności poprzednika. Zaradzały złemu niez mordowane, częste wizytacye parafii, bez ostentacyi, bez przyjęć, bez świty, ale połączone z ostrą nieraz naganą, czasem z surowemi karami; na dalszą metę zaradzała znowu intensywna działalność wychowawcza. Obok tego szła troska o odnowienie katedry na Wawelu, mimo różnych krytyk pomyślnie do skutku doprowadzona.

Popularnym, lubianym nie był zmarły kardynał. Nie dbał o to. Nie spowiadał się przed nikim z motywów i pobudek swoich czynów. Wywoływał też często niechęć, przeciwstawiając się uczuciom i nastrojom większości społeczeństwa. Dziś dopiero, przy trumnie, z kompetentnego źródła odsłonięto rąbek tajemnicy okrywający dwa najniepopularniejsze jego czyny. Protestował przeciw wyborowi kard. Rampolli, w głębi swego serca polskiego uważał bowiem wybór ten za szkodliwy dla spraw polskich. Nie dopuścił prochów Słowackiego na Wawel, bo groby za królewskie uważał, a obok widomych koron i beret tylko Mickiewicza i Kościuszkę za królów idei w dwóch jej postaciach uważał.

Dostojnik ten był bardzo dobroczynny. Asceta, człowiek niesłychanie małych potrzeb osobistych, szafował szeroko wielkimi swymi dochodami, świadcząc bardzo wielu miłosierdzie. I dlatego z pewnością wśród tłumów, odprowadzających go na miejsce wiecznego spoczynku, była gawiedź, ciekawa pompy pogrzebowej, ale były i tysiące innych, małuczkich, którzy mieli kardynałowi wiele do zawdzięczenia i niejedną łzę szczerzego żalu uronili, choć łez tych było naogół niewiele. A znalazł spoczynek wieczny wśród królów, w katedrze, którą ukochał i utrwał.



Jan, książę na Kozielsku, książe biskup krakowski, ks. kardynał Puzyna, urodził się w Gwoźdźcu, w Małopolsce, w r. 1842, jako czwarty syn ś. p. Romana księcia Puzyny, pana na Gwoźdźcu, Czechowie i Ostapkowcach, majora pułku krakusów wojska Księstwa Warszawskiego (w r. 1811), kawalera złotego krzyża *Virtuti militari*, i ś. p. Hortensyi z Dwernickich z Zawala. Po ukończeniu nauk wyższych otrzymał w r. 1870 stopień doktora praw, poczem przez sześć lat pracował w dyrekcji skarbu, ale powołanie do stanu duchownego zwyciężyło i po krótkich studiach seminaryjnych w r. 1878 otrzymał święcenia kapłańskie. W r. 1880 mianowano go kanonikiem katedralnym w Przemyślu, a w r. 1886 wstąpił na sufraganię lwowską, jako biskup memfiski *in partibus infidelium*. Na stanowisku tem był wikaryuszem generalnym i oficjalem, tudzież kustoszem kapituły metropolitalnej lwowskiej, oraz rektorem seminaryum tamtejszego. W tym czasie położył on wielkie zasługi nie tylko dla sprawy kościelnej, lecz i narodowej przez zainicyowanie i przeprowadzenie na szerszą skalę zaniedbanej poprzednio zupełnie sprawy budowy kaplic dla ludności obrządku łańcińskiego w Galicji Wschodniej.

Po śmierci ks. kardynała Dunajewskiego, wyniesiono go na krakowską stolicę biskupią, na której otrzymał kapelusze kardynalski w r. 1901. Jako biskup krakowski, żył zdala od ruchu narodowego i społecznego, nie biorąc w nim bezpośredniego udziału osobistego. Między zasługi na tem stanowisku policzyć mu należy pozyskanie od rządu dóbr Tynieckich, w których skład wchodzi 11 folwarków, które kardynał Puzyna uzyskał dla słabo pod względem materialnym wyposażonej kapituły krakowskiej, pozwalając tenetę dzierżawną odciągnąć od swej pensyi. Dobra te przeszłyby prawdopodobnie w ręce niepowołane, a tak, dzięki jego staraniom, stały się źródłem poważnych dochodów kapituły krakowskiej. Pozatem, odebrawszy z rąk Misyonarzy kierownictwo seminaryum duchownego, mieszczonego się na Stradomiu, zbudował nowy gmach seminaryjny pod Wawelem na gruntach kapituły, uzyskawszy od rządu potrzebne fundusze. Nadto ufundował kosztem kapituły krakowskiej i składek od księży małe seminaryum na wzór lwowskiego, gdzie znajduje pomieszczenie 35 uczniów. Nie szczędził również grosza na budowę bursy św. Jana Kantego, przeznaczonej dla młodzieży gimnazyalnej. Za rządów kardynała Puzyny odnowiono również katedrę na Wawelu, podźwignięto z zaniedbania i upiękuszono nowymi zabytkami. Zjawily się tam dawne i świeże malowidła, witraże, sarkofagi Jadwigi, Warneńczyka i innych. Przeszło półtora miliona koron obrócono dotychczas na odnowienie katedry, głównie za jego rządów. W r. 1907 założył w Krakowie Muzeum dycecezyalne, a w roku 1910 komisję artystyczną dla wykładów o sztuce kościelnej.

Podczas ostatniego konklawe, w r. 1903, przy wyborze Piusa X-go, założenie przez ks. kardynała, imieniem Austrii, weta przeciw mianowaniu kardynała Rampolli nabrało wszechświatowego rozgłosu i pociągnęło za sobą w ostatnich czasach zniesienie tego prawa zwyczajowego. Głośna była również przed kilku laty sprawa wydanego przez kardynała Puzynę zakazu przeniesienia zwłok Juliusza Słowackiego do grobów królewskich na Wawelu,

## ś. p. D-r Jan Stella Sawicki

(PUŁKOWNIK STRUŚ).

Znowu odszedł od nas jeden z ostatnich romantyków, człowiek z tych, co mieli młodość górną i chmurną, wiarę, nadzieję i miłość, która kazała im rzucać wszystko, gdy idea tego od nich zażądała, a po niepowodzeniu składali dowody niepospolitej żywotności, rozpoczynając życie na nowo już w wieku, gdy każdy przeciętny zjadacz chleba ma je oddawna ustalone.

Jan Sawicki urodził się w Szawlach w roku powstania, 1831 r. Obrął sobie karierę wojskową i uczył się w szkole kadetów. Jako młodziutki oficer odbył kampanię węgierską, a że był zdolny, więc bardzo młodo dosłużył się wysokiego stopnia podpułkownika sztabu generalnego i po licznych podróżach osiadł w Kownie, jako szef sztabu miejscowego.

Jak tyłu innych, Padlewski, Sierakowski, Dąbrowski, którym życie świetną stało karierę wojskową, porzucił ją bez wahania, gdy ogłoszone zostało powstanie 1863 roku. Jako „pułkownik Struś“ walczył pod Radziwiłłowem, a potem po gen. Wysockim został naczelnym organizatorem Galicyi.

Na wygnaniu, w Szwajcaryi, miał się wszelkiej pracy, byle żyć. A równocześnie miał dosyć siły woli, aby oddawać się nauce i prowadzić studia medyczne. Ukończył je w r. 1870 i odznaczył się odrazu, pod przybranem nazwiskiem d-ra Stelli, jako szef ambulansu przy oblężeniu Strasburga.

Dzięki usilnym staraniom Smolki, pozwolono mu w następnym roku powrócić do Galicyi. Zajął się tu szpitalnictwem. Już w 1873 r. został mianowany inspektorem wszystkich szpitali galicyjskich i na tem stanowisku, pracując niezmiernie, przetrwał lat 35. Jakie ta praca wydała owoce, świadczy statystyka. Ś. p. Sawicki ustępując, pozostawił liczbę szpitali podwojoną, a jak go ceniono na tem stanowisku, świadczą dyplomy Zółkwi i Jasła, które go podnoszą do godności honorowego obywatela, uznania Sejmu i t. d.

Oprócz tego pracował na polu literackiem. „Pamiętniki pułkownika Strusia“ i „Galicya w r. 1863“ należą do najciekawszych prac, owej epoki dotyczących. W dziedzinie medycyny, jego książki, dotyczące higieny panien i mężatek, należą do najlepszych, popularnych tego rodzaju podręczników.



Zmarł mąż zacny, prawy, wielkiej i wszechstronnej pracy. To mało powiedziane. Przy zwłokach tych trzeba oddać hołd całemu pokoleniu. Łatwa jest krytyka polityczna po pół wieku blisko, łatwe zarzuty mylnych kroków. Ale ludzie, ale charaktery, jakież inne, jak odporne, jakże dzielne w przeciwieństwie. Kiedy się to pokolenie porównywa z następnymi, nie można, niestety, powtórzyć za Wajdelotą, że „i swoich czasów śpiewak nie obwini...“

L. W.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.

— Posiedzenie Komisji do badania historii sztuki odbyło się dn. 23-go czerwca 1911 r. pod przewodnictwem d-ra Stanisława Tomkowicza.

Prof. Jerzy hr. Mycielski przedłożył pewne szczegóły o malarzu Tomaszu Dolabelli, którego działalność w zakresie malarstwa portretowego i dekoracyjnego tak znaną jest w Polsce. Zanim jednak może być mowa o jego działalności w Polsce, należy zbadać, czy i jakie jego pendzla zabytki pozostały w jego ojczyźnie — Włoszech. Wiadomości i dat, dotyczących tej najwcześniejszej epoki jego działalności, niema prawie żadnych. Z dzieła Pellegrini'ego „Tre Bellunesi in Polonia“ dowiadujemy się jedynie, że został urodzony około r. 1570. Dalej Historia Malarstwa Ridolfiego poucza, że w młodym wieku—a więc w początku XVII stulecia—opuszcza Włochy i osiada na stałe w Polsce, jako malarz nadworny Zygmunta III-go, maluje portrety jego i królowej Konstancyi, jak również ich synków. Co zaś do dzieł we Włoszech wykonanych, wspomina Ridolfi, że w Wenecyi, w kościele dei SS. Apostoli, mistrz jego Vassilacchi wraz z uczniami malował sufit. Dzieło to zrujnowane w połowie XVII wieku nas nie doszło. Doszło nas natomiast inne w palazzo Ducale, w sala del Senato. Jest to kompozycya dekorująca sufit, a przedstawiająca dozę weneckiego, Cicognę (1585—1595), adorującego przenajśw. Sakrament. Ciekawem jest, że, sądząc z obrazu tego, Dolabella wzorował się nie na dziełach swego mistrza, zimnego na ogół dekoratora, lecz raczej na dziełach Jacopa Tintoretta i Bassanów. Nawet późniejsze obrazy jego, jak na przykład obrazy u Dominikanów w Krakowie, potwierdzają to spostrzeżenie. Obraz wyżej wymieniony mógł zapewne powstać jeszcze za życia doży, a więc około r. 1595, w przeddzień wyjazdu Dolabelli do Polski. Prelegent wyjaśnił wywody swoje fotografiami z utworu tego, tudzież z obrazów innych wspomnianych Wenecyan. P. Mieczysław Skrudlik następnie odczytał swą pracę o klasztorze Kapucynów w Krakowie i znajdujących się w nim obrazach,



w szczególności zaś o obrazach Pietra Dandinięo, malarza z Florencyi. Kapucyni przybywają do Krakowa w r. 1695. Budową kościoła początkowo zajęty jest arch. Ceroni, później od r. 1699 arch. Pellegrini. Ukończono budowę w r. 1703. Całość przedstawia się bardzo skromnie: kościół barokowy, jednawowy, z trzema bocznemi kaplicami (kaplica loretańska jest późniejsza, bo z lat 1712—1719). W wielkim ołtarzu znajduje się obraz Zwiastowania, dzieło Pietra Dandinięo, dar księcia Toskany Kuźmy III Medyceusza. Nadesłany w r. 1701 do Krakowa, jest on kopią obrazu z XIV wieku, znajdującego się w bocznej kaplicy kościoła Serwitów we Florencyi. Dandini starał się utrzymać archaiczny wygląd obrazu, całość jednak wskazuje technikę końca XVII wieku. Zaraz potem nadeszły inne dzieła Dandinięo: Ukrzyżowanie, św. Antoni i św. Kajetan—z tych pozostał do dzisiaj tylko ten ostatni. Pietro Dandini był nadwornym malarzem Medyceuszów, pochodził z artystycznej rodziny, zmarł w r. 1712 we Florencyi. Prócz obrazów Dandinięo w kościele Kapucynów znajdują się w bocznych ołtarzach obrazy: św. Franciszek (Czechowicza z r. 1775), św. Antoni (sprowadzony z Bolonii). W górnej części wielkiego ołtarza św. Józef (Molitora), w drzewczkach cymboryum Głowa Chrystusa (niemieckiej szkoły XVI w.). W pokojach t. zw. gościuymych znajdują się portrety Pawła i Michała hr. Sołtyków, pendzla Lampiego; nareszcie w refektarzu portret Jana III, kopia Zwiastowania znajdującego się w wielkim ołtarzu i obraz Bożęo Narodzenia, pochodzący z r. 1720.

W dyskusyi nad referatem, w której brali udział pp. Tomkowicz, Mycielski i Pagaczewski, podniesiono podobieństwo w układzie obrazów Zwiastowania znanych nam w Zamościu (Carlo Dolci), we Florencyi (Santissima Annunziata), w katedrze gnieźnieńskiej, w zbiorach gabinetu Archeologicznego w Krakowie.

— W SPRAWIE ŻYCIORYSU KSIĘCIA MARSZAŁKA LEONA SAPIEHY.

D-r Bronisław Pawłowski, przystępując do wydania wspomnień i życiorysu księcia Marszałka Leona Sapiehy, zwraca się do wszystkich posiadających jakiegokolwiek papiery, odnoszące się do jego działalności publicznej o łaskawe nadesłanie ich pod adresem: Lwów, Biblioteka Uniwersytecka, d-r Bronisław Pawłowski.

## NOWE KSIĄŻKI.

— ALEKSANDER BOLESŁAW BRZOSTOWSKI. *Ci, których znam.* Garsć luźnych wspomnień, opisów i wrażeń. Warszawa, 1911, str. 130.

Jest to zbiór przyczynków życiorysowych do biografii Ujejskiego, Goszczyńskiego, Grozy i Ordon, wskrzeszający przed czytelnikiem te postaci tak niedawne jeszcze, a dziś już w znacznej części przysypane popiołem niesłusznego zapomnienia. Skreślone barwnie, choć bezpretensjonalnie, dorzucają garsć nieznanych szczegółów, nieobojętnych dla historyków literatury, oraz dla badaczy tła obyczajowego i literackiego w drugiej połowie ubiegłego stulecia.

— *Pamiętki Starej Warszawy*, zebrane na wystawie, urządzonej staraniem Tow. opieki nad zabytkami przeszłości w maju i czerwcu 1911 roku. Warszawa, 1911, str. 158.

Katalog sympatycznej, choć nieco niesystematycznej wystawy zabytków naszej stolicy, sporządzony nader starannie i opatrzony dobrymi reprodukcjami ciekawszych pamiątek przeszłości.

---

— *Encyklopedia wychowawcza*, tom VIII, zeszyt 6-ty. Warszawa 1911.

Niniejszy zeszyt cennego tego wydawnictwa zawiera artykuły: Piramowicz, przez K. Dąbrowskiego; Pisownia, przez St. Szobera; Plato, przez F. Kierskiego; Plebański, przez Wł. Nowickiego; Plenkwicz, przez tegoż; Plutarch, przez tegoż; Podręczniki szkolne, przez K. Kaszewskiego; Poglądowa metoda, przez A. Szcównę.

---

— JAN KARŁOWICZ. *Słownik gwar polskich*. Tom szósty do druku przygotował J. Łoś. Kraków, 1911. Nakł. Akademii Umiejętności, str. 470.

Końcowy tom pomnikowego dzieła zawierający wyrazy gwarowe od U do Ż. Opracowanie uskutecznione przez prof. Łosia stoi na dawnym wysokim poziomie naukowym.

---

— *Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie*. Tom IV za 1910 rok. Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie, 1911, str. 142.

Zawiera prace następujące: d-ra J. Trzebińskiego: „Przyczynek do znajomości flory w gubernii kowieńskiej (powiaty wilkomierski i jeziorowski)“; d-ra Władysława Zahorskiego: „Listy nieznanne Tadeusza Kościuszki 1814—1817“ (przeważnie do Józefa Sierakowskiego); Henryka Mościckiego: „Dziennik Teodora Krasińskiego, ucznia uniwersytetu wileńskiego w 1816—1818 r.“; Michała Brensztejna: „Zatarg dworu z klasztorem“ (ustęp z większej monografii szkoły kroskiej na Litwie); X. Z. Dunin-Kozickiego: „O pasownikach Madziarskich“; d-ra Władysława Zahorskiego: „Dwa dokumenty z r. 1812“ (Podanie prof. Jędrzeja Śniadeckiego do wojennego gubernatora wileńskiego Korsakowa i wykaz liczby jeńców francuskich w Wilnie w grudniu 1812 r.); Ludwika Czarokowskiego: Bibliografia druków polskich wydanych w Wilnie w r. 1910.

---

— D-r WŁODZIMIERZ BUGIEL. *Studia i szkice literackie*. Poznań, 1911. Str. 408.

Szereg subtelnych analiz z dziedziny literatury hiszpańskiej i francuskiej, oraz trzy prace Polskiej dotyczące: o Bohdanie Zaleskim, Tle ludowem „Balladyny“ i Materyałach ludoznawczych w pamiętnikach Paska.



— *Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej.* Zyciorysy, streszczenia, wyjątki pod redakcją Br. Chlebowskiego, Ign. Chrzanowskiego, H. Gallego, G. Korbuta, St. Krzemińskiego. Tom VI. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. VIII + 483.

Tom niniejszy zawiera biografie i wypisy z dzieł autorów następujących: A. J. Czartoryskiego, Kajsiewiczza, Al. Jełowickiego, Ign. Prądzyńskiego, Kar. Różyckiego, Tom. Aug. Olizarowskiego, Pola, Ujejskiego, Józ. Gołuchowskiego, Mich. Czajkowskiego, Trentowskiego, Józ. Kremera, Libelta, Andr. Edw. Koźmiana, Stan. Koźmiana, Jana Koźmiana, Ewarysta Estkowskiego, ks. Al. Prusinowskiego, hr. Maur. Dzieduszyckiego. Pożyteczne to i doniosłe wydawnictwo omówione zostanie obszerniej po jego ukończeniu.

— STANISŁAW KUTRZĘBA. *Historja ustroju Polski w zarysie.* Wydanie trzecie. Lwów, 1912. Str. XV + 288.

Powszechnie uznane dzieło, zawierające całokształt naszej wiedzy współczesnej o ustroju Rzeczypospolitej, uzupełnione na podstawie najnowszych studyów w tym zakresie. Tom niniejszy poświęcony został przeobrażeniom, zachodzącym w ustroju Korony, tomy następne, zapowiedziane przez autora, obejmą historję Litwy, oraz historję ustroju ziem polskich po rozbiorach do chwili obecnej.

— HENRYK MOŚCICKI. *Dzieje porozbiorowe Litwy i Rusi.* Zeszyty VI, VII i VIII. Wilno, 1911.

Zeszyty niniejsze poświęcone zostały insurekcyi Kościuszkowskiej na Litwie i Rusi. W naszej literaturze historycznej temat ten po raz pierwszy tak wyczerpująco opracowano, dotychczasowe bowiem badania nad wypadkami 1794 r. dotyczyły przeważnie wydarzeń na głównym terenie walki, t. j. w prowincjach koronnych. Autor wyzyskał sporo nowych materiałów archiwalnych, między innymi: protokoły wileńskich Deputacyi: Tajnej i Bezpieczeństwa publicznego, listy Jasińskiego, dokumenty niektórych komisji porządkowych litewskich, korespondencye rady miejskiej wileńskiej, pisma prezydenta Tyzenhauza, urzędowe raporty rosyjskie i t. d. Źródła rzeczone pozwoliły wyjaśnić powody ustąpienia Jasińskiego z Litwy, stosunek Litwy do Korony w dobie powstania, przebieg insurekcyi na kresach ukraińskich, w Kurlandyi i t. p. Dzieło ilustrują liczne portrety i ryciny.

#### CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa. Wrzesień, 1911. Treść: Księgarstwo wobec bibliotek publicznych; — Brzozowski Korab Wincenty: Dusza mówiąca; — Ciembrowicz Józef: Z życia zwierząt; — Cztery głosy o poecie: R. W. Emersona, K. Spittelera, H. J. Hofmannsthal'a i R. Dehula; — Dembiński Henryk, generał wojsk pol-

skich: Pamiętnik;—Gawalewicz M.: Gąbka;—Gnoiński Bolesław Zygmunt: Rok 1812. Ze wspomnień mojego dziadka;—Grochowska Wanda: Dwór i chata, —Jaroszyński Tadeusz, d-r: W sprawie psychoterapii;—Jellenta Cezary: Druid Juliusz Słowacki;—Koschembar-Łyskowski J.: O stanowisku prawa rzymskiego w powszechnej ustawie cywilnej dla Cesarstwa austriackiego;—Makowski Waclaw: Zbrodnia, kary i sądy wyjątkowe;—Marciszewska Stefania: O nauczaniu religii;—Montaigne Michał: Wybór dzieł (?);—Puławski Wincenty, d-r: Chata wiejska a choroby zakaźne;—Rudowska M-ka: O ewolucyi miłości;—Rybarski Roman, d-r: Sprawa włościańska na Sejmie w roku 1831;—Rygier-Nałkowska Zofia: Narcyza;—Sznea Michał: O pochodzeniu człowieka;—Urbański M. F.: Prowokatorzy czyli apostołowie wsteczniectwa;—Wasmann E.: Trzy odczyty o ewolucyi;—Waśniewski B.: Byt i warunki pracy robotników w przemyśle cukrowniczym Królestwa Polskiego;—Wais Kazimierz, ks. d-r, prof. uniwers.: O zwierzęcem pochodzeniu człowieka;—Wiszniewski Włodzimierz, kand. praw: Bóg Jezus;—Żukowski Otton M.: Fryderyk Chopin w świetle poezyi polskiej;—Żukowski Stanisław, ks.: Komunia dzieci w świetle dekretu „Quam singulari“;—Żywoł Benvenuto Celliniego;—Pod prasą;—Kronika;—Czasopisma;—Bibliografia;—Ogłoszenia.

## BIBLIOGRAFIA.

### KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

ANGIOLINI ALFRED: Dzieje socjalizmu we Włoszech do 1910 r. włącznie. Z upoważnienia autora przełożył i ostatni rozdział oryginalnie pod kierownictwem autora dzieła napisał Jerzy Heryng. Kraków. Spółka nakładowa „Książka.“ Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka.

DUMAS ALEKSANDER: Neron. Romans historyczny. Warszawa, nakładem „Biesiady Literackiej.“

DZIEDUSZYCKA EWA, Hr.: Wgnani z rajn. Szkic powieściowy. Nakładem księgarni Albin Standacher i S-ka (Maryan Haskler). Stanisławów, 1911. Warszawa, E. Wende i S-ka.

FREUD ZYGMUNT, PROF. D-R: O psychoanalizie. Pięć odczytów, wygłoszonych na uroczystość 20-letniego jubileuszu założenia Clare University w Worcester Mass. Przełożył na język polski D-r Ludwik Jekels z upoważnienia autora. Lwów, 1911. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

GORDZIAŁKOWSKA ZOFIA: Böcklin w poezyi. Wydanie ozdobione reprodukcjami obrazów Böcklina. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.



GOSZCZYŃSKI SEWERYN: Pieśni Ossyana. Wydanie poprawione pod redakcją Zygmunta Wasilewskiego. Lwów, 1911. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa. E. Wende i S-ka.

GRABOWSKI EDWARD: Ubezpieczenia społeczne w państwach współczesnych. Kraków. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i S-ki. Warszawa. Gebethner i Wolff.

— Z dziejów teorii i praktyki stanów wyjątkowych. Odbitka z „Gazety Sądowej Warszawskiej.“ Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

GRABOWSKI TAD. STAN.: Sprawa grobu i szczątków Władysława Warneńczyka. (Przegląd źródeł, materyałów i pamiątek). Warszawa, 1911. Księgarnia E. Wende i S-ka.

GREDESKUŁ M A., Prof. Uniwersytetu Charkowskiego: Marksizm i Idealizm. Z upoważnienia autora przełożył z wtórego wydania rosyjskiego Stanisław Kijewski. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ki (T. Hiża i A. Turkuła).

HAUMANT EMILE, professeur-adjoint à la Sorbonne: Pouchkine. Paris, 1911. Bloud C-ie, Éditeurs.

HAUSNER ARTUR, INŻYNIER: Odrodzenie Galicji a drogi wodne. Z 2 tablicami i rysunkiem w tekście. Kraków, 1911. Skład główny w Warszawie, G. Centnerszwer i S-ka.

HEBBEL FRYDERYK: Dzienniki. Wybrał i przełożył Karol Irzykowski. Wydawnictwo „Symposion.“ Nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Lwów, 1911.

HEILPERN M.: Co człowiek zdoła a czego nie zdoła zrozumieć? Książnica ludowa. Warszawa, 1911. Skł. głów. w księg. G. Centnerszvera i S-ki.

HEINE HENRYK: Z niełtłomaczonych poezji. Pieśni współczesne (1839—1846). Przełożył z niemieckiego Władysław Nawrocki. Warszawa, 1909. Wydawnictwo „Sfinksa.“

HUGO WIKTOR: Han z Islandji. Powieść historyczna. Tom I. Warszawa, 1911. „Biesiada Literacka.“

JESKE-CHOIŃSKI TEODOR: Teror. Powieść historyczna z czasów rewolucji francuskiej. Z portretem autora. T. I, II i III. „Nowości literackie,“ tomy 48, 49 i 50. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni St. Sadowskiego.

KADEN JULIUSZ: Niezguła. Powieść. Lwów, 1911. Nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

KASPROWICZ JAN: Chwile. Poczye. Lwów, 1911. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

KRÓTKI PRZEWODNIK po Krakowie i okolicy. Z planem i 17 ilustracjami. Kraków. Wydany nakładem Krajowego Związku Turystycznego.

KRÓTKI PRZEWODNIK po Lwowie i okolicy z planem i 13 ilustracjami. Lwów. Wydany nakładem Krajowego Związku Turystycznego.

KRZEMIŃSKI STANISŁAW: Nowe szkice literackie. Z podobizną autora według portretu K. Mordasewicza. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

KUTRZEBA STANISŁAW: Historia ustroju Polski w zarysie. Wydanie trzecie. Lwów, 1912. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

LUTOŚLAWSKI WINCENTY: Iskierki warszawskie. Z portretem autora. „Nowości literackie“ t. 46. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni St. Sadowskiego.

ŁUNIŃSKI ERNEST: Napoleon. Jego życie i czyny w obrazach. (Legiony i Księstwo Warszawskie). Zeszyty III, IV, V, VI i VII. Druk i nakład Tow. akc. S. Orgelbranda S-ów. Warszawa.

MAJEWSKI ERAZM: Nauka o cywilizacji i prolegomena do socjologii i antropozofii. Wydanie drugie, przejrzone przez autora. Warszawa, 1912. Nakładem księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

MAKUSZYŃSKI KORNEL: Dziwne powieści. Okładka wedle rysunku Witolda Gordona. Lwów, 1911. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

MINKIEWICZ ROMUALD: Młodzież a Uniwersytet. (Z powodu zajęć krakowskich). Rozważania ogólne i historyczne. Przedłożenia doraźne. Konkretny plan naprawy stosunków. Kraków, 1911. Wydawnictwo „Życie.“ Warszawa. Skład główny G. Centnerszwer i S-ka.

MOŚCICKI HENRYK: Dzieje porozbiorowe Litwy i Rusi. Zeszyty II, III, IV, V, VI i VII. Wilno, 1911. Druk Józefa Zawadzkiego.

PISMA ALEKSANDRA JABŁONOWSKIEGO. Tom IV. Wołyń, Podole i Ruś Czerwona. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

RAFAEL, CORREGIO, TICIAN. Żywot ich i twórczość. Tłomaczone z francuskiego przez Joannę W. 1911. Odbito w drukarni A. Koziańskiego w Krakowie. Nakładem autora.

ROLLAND ROMAIN: Jan-Krzysztof III. Młodzieniec. Przełożyli z upoważnienia autora Jadwiga Sienkiewiczówna i Henryk Sienkiewicz. Biblioteka „Sfinksa.“ Warszawa, 1911.

ROSTAND E.: Chantecler. Z francuskiego oryginału przetłumaczył D-r Józef Kadyi. „Biblioteka utworów dramatycznych,“ t. XIX. Nakładem księgarni H. Altenberga we Lwowie.

SAND HERBERT: Współczesna polska twórczość dramatyczna. Książnica naukowa i artystyczna. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

SPRAWOZDANIE z czynności Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich za rok 1910. Lwów, 1911. Nakładem Zakładu Narodowego Im. Ossolińskich.

STAFF LEOPOLD: Gałąź kwitnąca. Wydanie drugie. Lwów, 1911. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

— W cieniu miecza. Lwów, 1911. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka



SZUMAN J. N.: Pogląd krytyczny na Metafizykę Kanta. Poznań, 1911. W drukarni „Dziennika Poznańskiego.“

SZYDELSKI, Ks. D-R: Początki chrześcijaństwa. Studium historyczno-krytyczne. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich.“

SZYSZŁO WITOLD: Meksyk, z cyklu podróży naokoło świata. Warszawa, 1912.

TOŁSTOJ HR. LEW: Wojna i Pokój. Rok 1812. Romans historyczny. Część XII. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

TRZYDZIESTE DZIEWIĄTE sprawozdanie związku spółek zarobkowych i gospodarczych w W. Ks. Poznańskim i w Prusach Zachodnich za rok 1910. Poznań, 1911.

V-TE E.—M. DE VOGÜÉ: Sous les Lauriers. Éloges Académiques. Paris, 1911. Librairie Bloud & Cie.

WASIUTYŃSKI BOHDAN: Ludność żydowska w Królestwie Polskiem. Odbitka z „Ekonomisty.“ Warszawa, 1911. Skład główny w księgar. E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

WĘDRYCHOWSKI BOLESŁAW: Spadkobiercy. Komedya w 3-ch aktach. Kraków, 1911. Nakładem autora.

WOLSKI WACŁAW: Arcana. Z portretem autora. „Nowości literackie,“ t. 47. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni St. Sadowskiego.

ZAHORSKI BOHDAN, D-R: O formach współżycia płciowego ze stanowiska socyologicznego. Kraków, 1911. G. Gebethner i S-ka. Warszawa. Gebethner i Wolff.

ZALEWSKI K.: O materialistycznym pojmowaniu dziejów. Wilno, 1911. Nakładem „Wiedzy.“ Warszawa. Skł. głów. w księg. G. Centnerszvera i S-ki.



---

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURZYCY hr. ZAMOYSKI.

---



# WARSZAWA

## za rządów Rady Zastępczej Tymczasowej

(19/IV—27/V 1794).

Historja Warszawy w czasie między zwycięstwem 17 i 18 kwietnia 1794 r. a objęciem rządów przez Radę Najwyższą Narodową w dniu 28 maja ma wydatne znaczenie w dziejach powstania Kościuszkowskiego. Kierownicy powstania byli wówczas odcięci od stolicy, nie mogli więc ani określić wyraźnie celów i charakteru ruchu, ani też wprowadzić w życie organizacyi naczelnej, zapowiedzianej przez Akt Krakowski. W tych warunkach odpowiedzialność za pierwsze kroki powstania na znacznym obszarze ziem Rzpltej przypadła w udziale władzy prowizorycznej, stworzonej w stolicy doraźnie, nazajutrz po walce. Władza ta nie zdołała ostatecznie sprostać swemu zadaniu: złożyła się na to przedewszystkiem wyjątkowa trudność położenia, w dużej jednak mierze — i chwiejność oraz brak orientacyi politycznej u ludzi, należących do jej składu. Doprowadziło to do bardzo poważnych następstw dla całego powstania, a w samej Warszawie — do głębokiego rozdwojenia umysłów, którego nie mogła usunąć później Rada Najwyższa Narodowa.

Jest to więc okres pewnej niemocy w historii powstania, tem dziwniejszej, że nie wynikała ona z braku sił, ale z nieumiejętności ich użycia. Ludzie, należący do składu Rady Zastępczej Tymczasowej, byli zaskoczeni tym silnym ruchem ludowym, jaki objawił się 17 i 18 kwietnia i nie potrafili skierować go w odpowiednie łożysko, dopuszczając przez to, że stopniowo zamienił się on w chroniczny stan fermentu, zagrażający poważnie sile



i jedności powstania. Jedna więcej karta z tej tak dobrze znanej u nas historii dużego entuzjazmu, który nie zdołał wyszukać sobie przywódców; trzeba ją jednak przypomnieć, bo na niej, choć bezładnie i bez rezultatu, zapisał się poraż pierwszy udział szerszych warstw ludowych w walce o lepszą przyszłość Rzpltej.

## I.

Krwawe zwycięstwo warszawskie doprowadziło do rozbicia głównego ośrodka oporu przeciw powstaniu i uczyniło je ruchem całego narodu. A jednak, choć pozbawiło ono Igelströma prawie połowy armii, nie było tak decydującem, aby uwolnić Warszawę na dłuższy przeciąg czasu od niebezpieczeństwa i uczynić z niej pewną zupełnie podstawę dla dalszych działań. Igelström, który wyszedł ze stolicy z 200 załedwie ludźmi, nie cofnął się w kordon pruski, nie poszedł na Litwę, ale zajął stanowisko pod Nowym Dworem, później pod Zegrzem, ściągnął tam ku sobie oddziały z Pragi i Grannego, okopał się i czekał. W Karczewie zatrzymał się Nowicki, mogący z pomocą Apraksina i Arapowa zgromadzić w krótkim czasie do 7000 ludzi. Nieprzyjaciel pozostał więc w pobliżu stolicy i wkrótce dał znać o sobie przez te straszne rabunki, których wypierał się nawet Igelström. W pobliżu znajdowali się również i Prusacy. Z początku popierali oni Rosyan słabo, do połowy maja wysyłali nawet parlamentarzy do oddziałów polskich z zapytaniami, czy i ich się uważa za nieprzyjaciół; starali się oni jednym słowem wytworzyć przekonanie, że narazie są w rezerwie. W Warszawie wiedzano dobrze, że znaczniejsze siły skupiają oni koło Częstochowy, że w okolicach Płocka, Sochaczewa, Łowicza ich wojsk jest mało; równocześnie jednak dowiadywano się wciąż o tem, że ściągają oni na gwałt posiłki przez Poznań, sprowadzają ciężką artylerję oblężniczą. Nasuwało się więc przypuszczenie, że wkrótce razem z Igelströmem i Nowickim zagrożą oni Warszawie, nieposiadającej fortyfikacji i większego garnizonu, niezdolnej do wytrzymania krótkiego nawet oblężenia.

Obawy te nie ustały, gdy Nowicki ruszył w kordon pruski dla połączenia się z Igelströmem, który cofnął się powoli ku Łowiczowi. Wciąż przygotowywano się do oblężenia, powiększano garnizon, sypano szańce, zbierano zapasy. Stolicy długo groziło widmo głodu, bo Igelström zabierał wszystkie statki ze zbożem

na Bugu i Narwi, a od górnego biegu Wisły zatrzymywały je oddziały Apraksina, Arapowa i Bagrejewa; zboże trzeba było kupować za drogie pieniądze od administracyi magazynów austriackich w Warszawie lub sprowadzać je łądem aż z lubelskiego. To też w tydzień niespełna po zwycięstwie stolica poczęła wzywać pomocy. 24 kwietnia Zakrzewski i Mokronoski pisali do Grochowskiego, prosząc, „ażeby, jeżeli ordynansem Naczelnika do innych obiektów nie jest zajęty, albo całkowicie, albo częścią na pomoc i utrzymanie tego miejsca od zemsty nieprzyjaciół przybył.“ Później, stale i natarczywie domagano się przybycia Kościuszki; była o tem mowa w każdym raporcie Rady. „Zawsze jednym wyrazem moje pisanie do Ciebie Naczelniku będzie, powtarzał ciągle Zakrzewski, ażebyś zbliżał się do nas, wiernych, przywiązanych i posłusznych Tobie.“ A nawet wtedy, gdy garnizon zwiększono poważniej, Mokronoski obawiał się operacyi na dalszą odległość, licząc się ciągle z niebezpieczeństwem, grożącym miastu. Wprawdzie w końcu kwietnia wykomenderowano Haumana nad Pilicę przeciw Nowickiemu, dla wzięcia udziału w większej akcji, jaką zamierzał podjąć Naczelnik; gdy jednak 12 maja tenże Hauman dostał od Grochowskiego rozkaz maszerowania na Opatów, Zakrzewski i Mokronoski wstrzymali na własną rękę ten ruch, nakazany może i przez Kościuszkę, „znając, że Warszawa jest w animadwersyi.“ Dopiero pod koniec omawianego przez nas okresu, gdy Kościuszko połączył się z Grochowskim i zwrócił przeciw połączonym wojskom rosyjsko-pruskiem, położenie Warszawy—na krótki zresztą czas—stało się pewniejszym.

Następnie—do tego czasu również—nie posiadano w Warszawie wyraźnych, pomyślnych wiadomości o położeniu Kościuszki. W doniesieniach Rady, w gazetach zjawiały się wzmianki o jego powodzeniach; mówiono nawet o tem, że Denisow jest prawie zmuszony do kapitulacyi, a Naczelnik lada dzień zjawi się w Warszawie. W istocie jednak panowały tu wciąż obawy, krążyły pogłoski mocno pesymistyczne o sytuacji Kościuszki. Trudno im było zapobiedz, zwłaszcza przez cały kwiecień, gdy z obozu nieotrzymano żadnej odpowiedzi na liczne doniesienia z Warszawy. Pierwszy raport o walce wysłano Kościuszcze 21 kwietnia o godz. 10 rano przez trzech kuryerów, którzy ruszyli prawym brzegiem Wisły, na Galicyę; drugi—24 kwietnia przez dwóch: Michała Sokolnickiego, podpułkownika inżynierii litewskiej, i Leopolda Sierpińskiego, znanego spiskowca. Od wysłania pierwszych kuryerów minęło 10 dni, od emisaryuszy Kościuszki, którzy przyby-



wali wciąż zachęcać Warszawę do powstania, wiedziano, że paru z nich spotkano już w Galicyi; 30 kwietnia jednak wrócił Sierpiński, oświadczając, że nie mógł dotrzeć do obozu. Dopiero 1 maja o godz. 6 rano przybył Sokolnicki, wyprzedziwszy wszystkich kuryerów, bo z pierwszych trzech tylko Ojrzanowski wrócił 2 maja. Przybycie jego zdjęło ciężką troskę z serc ludzi, stojących na czele rządu. „Między licznymi pogłoskami, pisano Kościuszcze, które w troskliwej publiczności o obrotach i stanie Twoim się szerzyły, pierwsze te odezwy do nas nie mogły tylko w całym tu obywatelstwie największą sprawić radość.“ Sokolnicki odbył swą podróż w ciągu niespełna 9 dni i wracał napewno lewym brzegiem Wisły, gdyż musiał jechać manowcami, a raz nawet—w ciągu 36 godzin ukrywać się w pobliżu oddziałów rosyjskich i pruskich. W stolicy nie zbywało nigdy na chętnych do podobnych wypraw; w tym czasie skłonności wszystkich do poświęceń los dzielnego kapitana artylerji Karola Möllera, którego Prusacy tak surowo traktowali w więzieniu piotrkowskiem, nie mógł zrazić nikogo. Jeździł więc poraz drugi Sokolnicki, którego uważano odtąd za najzdolniejszego do tych niebezpiecznych wypraw, jeździli Woyczyński, Adam Poniński, Joachim Moszyński, Tomasz Maruszewski i inni. Dla żołnierzy wyprawy te były okazją wyróżnienia się w oczach Naczelnika, któremu ich zwykle polecali Zakrzewski i Mokronoski; cywilni, jak Moszyński i Maruszewski, którzy jeździli po parę razy, nabyli już wprawy i mieli swoje drogi pewne. Jednak zawsze—aż po połowę maja—podróż taka zabierała conajmniej dziesięć dni i rozporządzenia Naczelnika przychodziły do Warszawy nieraz mocno po niewczasie.

Zbywało więc na kierownictwie bezpośredniem Kościuszki, zbywało tem więcej, że on jedynie miał zdecydować o tem, jaki charakter wypadnie nadać powstaniu, osądzić, czy trzeba będzie silniej nawiązać do wzorów francuskich, czy też trzymać się wskazań Sejmu Czteroletniego. A tymczasem do Warszawy, do Rady Zastępczej zgłaszali się wciąż rezydenci państw obcych z zapytaniami o stosunek ruchu do ich rządów, do Francji; posłowie polscy z zagranicy żądali od niej instrukcyi, prowincya—wyjaśnień co do ważności praw grodzieńskich, wznawiania instytucyi z czasów Sejmu Czteroletniego, nakazów, jak należy postępować z Targowiczanami. Od Rady również oczekiwano odpowiedzi na pytanie, co począć z zaborem pruskim wobec zagadkowej taktyki Prusaków. Od pierwszych dni po zwycięstwie 17 i 18 kwietnia poczęli stamtąd napływać wysłańcy z oświadczeniami gotowości do wybuchu. Rzecznikiem ich projektów stał się w Warszawie

Sokolnicki, którego strzelców przeznaczano odrazu do Wielkopolski, to też Rada unyślnie wysyłała go parę razy do Kościuszki, aby uzyskać w tej sprawie odpowiedź pozytywną. Około 12 maja przybyli wreszcie z pod zaboru pruskiego delegaci, ludzie poważni i zdecydowani, za których Zakrzewski życiem ręczył Kościuszcze, odsyłając ich do obozu z gotowym planem powstania.

Władze warszawskie musiały w tych warunkach brać na siebie i znaczną część zadania Naczelnika z zakresu potrzeb wojskowych, gdyż stolica po swem oswohobdzeniu siłą rzeczy stała się ośrodkiem powstania. Tylko ona miała arsenał jako tako zaopatrzony, miała skarb, mogła dostarczyć wszystkich potrzeb dla wojska; na nią wreszcie przyzwyczajono się oddawna oglądać w Rzpltej. Powstanie po zwycięstwie warszawskiem szerzyło się szybko, jeden po drugim napływały akcesy ziem i województw; nie był to jednak wezbrany strumień górski, usuwający zapory, ale prąd, wymagający pomocy i regulacyi. Wszędzie oświadczano się z gotowością do ofiar i zbrojeń, ale wszędzie również wołano o żołnierza regularnego z Warszawy, o broń, o działa, bez których nie chciano się ruszać w tych czasach, o instruktorów do formacyi ochotniczych.

Wypadło następnie z Warszawy czuwać nad jednością całego ruchu. Nie było naturalnie mowy o tem, ażeby gdziekolwiek doszło do wystąpień przeciw powstaniu; czegoś podobnego nie mogła spowodować nawet Rada Nieustająca za czasów, gdy Igelström rządził w Warszawie. Tylko z Wielkopolski dochodziły jakieś mętne wieści o knowaniach ex-marszałka Raczyńskiego, który miał jeździć do Berlina z pomysłem konfederacyi przy królu a przeciw Kościuszcze. Chodziło natomiast o to, aby prowincye i województwa, przystępując do powstania, trzymały się ściśle postanowień krakowskich o organizacyi władz, a następnie i o to, aby niedopuszczyć do żadnego wyłamania się z karbów uchwalonych tam norm co do dostawy rekruta, podatków etc. W Koronie sprawa poszła pod tym względem zupełnie gładko. Tylko ziemia Stężycka w swym akcesie nie dostosowała się do postanowień krakowskich i zredukowała ciężary, włożone w nich na szlachtę, oświadczając jednak odrazu, że podda się w tej mierze decyzji Rady. Tylko w ziemi Drohickiej Krasnodębski, który na nielegalnym zgromadzeniu przeprowadził swój wybór na generał-majora ziemiańskiego, chciał organizować wszystko po swojemu, a nawet burzył i intrygował przeciw Kościuszcze, jak go oskarżali przeciwnicy. Skończyło się na tem że nie wydano mu patentu generalskiego, zagrożono sprawą w Sądzie Kryminalnym



i pozbyto się w ten sposób z Warszawy, gdzie chciał podobno agitować. Były to ostatecznie drobiazgi; poważniej natomiast przedstawiało się położenie na Litwie.

Pierwsze kroki Litwy, zdecydowane niewątpliwie przez Jasińskiego, wywołały w Warszawie sporo obaw. Akt powstania, sporządzony w Wilnie, nie mówił nic o uznaniu najwyższego naczelnictwa Tadeusza Kościuszki, którego imienia nie umieszczono również w pierwszych aktach rządowych litewskich. Zdawało się, że Litwa chce mieć swą organizację odrębną, swego Naczelnika siły zbrojnej. Kompetencya jej sądu kryminalnego, któremu przyznano odrazu prawa, zarezerwowane w Krakowie dla Najwyższego Sądu Kryminalnego, stracenie Szymona Kossakowskiego, pierwsze odezwy jej Rady, w których była mowa o związku z Francją, w których potępiano ostro Stanisława Augusta, nadawały jej powstaniu charakter więcej zdecydowany w duchu radykalnym. Nie był to żaden separatyzm w dzisiejszem słowa tego znaczeniu, bo coś podobnego nikomu wtedy do głowy nie przychodziło i powstanie litewskie miało od pierwszych swych chwil charakter wybitnie polski; chodziło tu tylko o różnice w pojmowaniu zadań i środków ruchu, wywołane przez gorętszy i bardziej zdecydowany temperament Jasińskiego.

Wilno w ten sposób stawało się mocno zaraźliwym przykładem dla Warszawy, stawiało ono bowiem przed Radą Zastępczą drażliwy problemat określenia charakteru całego ruchu, którego rozwiązanie pragnęła ona odroczyć aż do przybycia Kościuszki. Doprowadziło to do poważnego zaostrzenia stosunków, zwłaszcza, że i na Litwie program Jasińskiego znajdował niechętnych, że w szeregu aktów powstania, np. szawelskim, grodzieńskim, bielskim, brzeskim nawiązano go ściśle do wzoru krakowskiego, a wojska, zgromadzone w Bielsku pod komendą Franciszka Sapielhy, poczęły się oglądać raczej na Warszawę, niż na Wilno. Dopiero silny nacisk Warszawy i umiarkowanego odłamu opinii na Litwie rozwiązał to trudne położenie w duchu utrzymania jedności. Zakrzewski, który sądził, że w Akcie Wileńskim „osobistość i prywatna przeważa dobro ogólne,” zwrócił się 8 maja do prezydenta Wilna Tyzenhauza, domagając się w nim zmian. „Nie bez uczucia żalu, Szanowny mój Kolego, Tobie się wynurzam. Czytałem akt powstania i stosowne do aktu urządzenia; gdy w nich tego nie znajduję, co we wszystkich... województwach w duchu i treści Aktu Krakowskiego przyjęte zostało, widzę przez to otwartą drogę do tysiącznych intryg i emulacyi między ubiegającymi się do urzędów naczelnych, które zamiast jednoczyć różnić was mo-

gą. Naczelnik powstania jest jeden w narodzie...“ Tyzenhauz odpisał 13 maja, tłumacząc różnicę tem, że Akt Wileński musiał objąć całą Litwę i dać jej odrazu odrębną organizację naczelną, gdyż inaczej—z powodu oddalenia Kościuszki, małej liczby wojsk regularnych i siły Targowiczan—nie doszłoby tu do ruchu tak powszechnego, jak w Koronie. Dodawał, że Litwa bezwzględnie uznaje najwyższe naczelnictwo Kościuszki, umieści jego nazwisko we wszystkich aktach, poczyni wszelkie zmiany w urządzeniach i osobach, jakich on zażąda, wyśle wreszcie swych delegatów do jego obozu i do Warszawy. „My po Bogu Kościuszcze ufamy i pod jego się rządy poddajemy; niech pewnym będzie ufności, powolności i posłuszeństwa naszego; niech wie, że życie i krew nasza i majątki nasze na skinienie jego zupełnie poświęcone będą.“ Uniwersały Rady Litewskiej obwieściły odrazu o zarządzonej zmianie, Jasińskiego poddano wyraźnie pod komendę Kościuszki, a jeden z członków Rady tłumaczył nawet całe postępowanie Litwy, nie wyłączając sprawy stracenia Szymona Kossakowskiego, w ciekawym liście do „Gazety Wolnej Warszawskiej,“ broniąc się stanowczo przed zarzutem radykalizmu.

Ferment nie ustał jednak w zupełności. Chlewiński podkopywał stanowisko Jasińskiego jako naczelnego wodza wojsk litewskich, zbierając podpisy swych oficerów na adresie, w którym była mowa o tem, że tylko do niego mają zaufanie. „Litwa, pisał do Kołłątaja jeden z kuryerów Kościuszki, przez akt swój i list, pisany do Tadeusza Kościuszki, dowodzi ducha nieczystego, podobno jednak przez Chlewińskiego inspirowanego i potrzebuje gwałtem przysłania generała z Korony, bo między litewskimi straszne rozdrażnienia panują.“

Na barki Warszawy spadał więc cały szereg zadań pierwszorzędnej wagi i to w chwili, gdy położenie jej pod względem wojskowym było conajmniej mocno niepewnem. Może w gorszych warunkach znajdował się Kraków w początkach powstania, ale tam przynajmniej władze miały w stosunku do nielicznej i mało ruchliwej ludności względnie wolną rękę, mogły nawet bez obawy przemawiać językiem rewolucyjnym, aby ją zagrzać, pobudzić. Tutaj zaś miało się do czynienia z miastem ludnem i ruchliwem, posiadającym swe tradycje z czasów Sejmu Czteroletniego, wrażliwem na wpływy Zachodu, a świeżo poruszonem do głębi przez wypadki walki dwudniowej. Było to środowisko niezwykle podatne do ofiar i poświęceń, ale równocześnie trudne do pokierowania.



## II.

Na pierwszy plan w życiu Warszawy za rządów Rady Zastępczej Tymczasowej wysunęło się stanowczo zamożne i oświecone mieszczaństwo. To nie były już czasy Sejmu Czteroletniego, gdy mimo bratania się z żywiołami miejskimi, ton życia stolicy nadawała liberalna arystokracja i szlachta. Teraz ludzi z tych sfer nie było wielu w Warszawie, bo unikano jej już za rządów Igelströma, a następnie opuszczano ją gromadnie przed walką i po niej, mimo że Kościuszko polecił utrudnić te wyjazdy, za paszportami np. wydawanymi przez rezydenta austriackiego de Caché osobom, posiadającym majątki w Galicyi. Listy ofiar na rzecz powstania, na których zapisali się z poważnemi kwotami nawet ludzie nieprzychylni powstaniu, stwierdzają wyraźnie, że głośne nazwiska reprezentowały wtedy w stolicy raczej kobiety, starające się zresztą usilnie, czasami aż przez listy do Kościuszki, o pozwolenie wyjazdu. Ze szlachty—na stanowiskach pozostali tylko ludzie, biorący gorący udział w powstaniu, szczerze postępowi, zbratani z mieszczaństwem. Oni też zajmowali  $\frac{2}{3}$  stanowisk w Radzie Zastępczej, formalnie objęli kierownictwo nad wszystkim. Ale za to w licznych deputacyach powstańczych, które z początku powstawały prawie co dzień, mieszczaństwo miało mniejszą lub większą przewagę i rządziło w nich, łącząc się z żywiołami urzędniczym i wojskowym, w których zacierały się prawie zupełnie różnice stanowe. Nikt zresztą nie wspominał teraz o tych różnicach, o przywilejach szlachty. W stosunkach urzędowych, w korespondencji tytułatury ustąpiły miejsca przemawianiu per „obywatelu,” a nawet całkiem jakobińskiemu „Ty.” Zakrzewski np., który w trzech pierwszych raportach do Kościuszki tytułował go „Jaśnie Wielmożnym Panem Dobrodziejem,” w czwartym, po odebraniu od niego odpowiedzi, pisał: „Ty, Naczelniku;” w sądach, w Deputacyi Indagacyjnej — do Kossakowskiego, Massalskiego, Moszyńskiego mówiono zawsze „Ty.” Różnice stanowe zacierały się i w życiu codziennem: z ulic Warszawy zniknęły karety, bo Komisoryat zabrał konie, wypadło zredukować ilość służby, gdyż poszła ona do wojska. W pracy nad sypaniem szanów, w stawaniu pod bronią na alarm zapominano o szlachcie i nieszlachcie; zapominano o niej również przy wspólnej pracy kobiet warszawskich nad skubaniem szarpi, szyciem koszul dla wojska, posłudze w lazaretach. „Trzeba uleść okolicznościom terażniejszym, przemawiał do uwięzionego instygatora

koronnego Roguskiego członek Rady Zastępczej Wulfers, bo to rewolucya; trzeba sobie szlachectwo z głowy wybić, teraz jest równość, nic ordery nie znaczą i choć nie zakazane i nie skasowane, to ich nie noszą.“ Istotnie, noszenie orderów i sukien galowych było tak niepopularnem, że Zakrzewski, wysyłając paru członków Rady w dniu 8 maja dla złożenia życzeń królowi, wybrał umyślnie tych, którzy ich nie mieli. Człowiekiem chwili, osobistością najpopularniejszą po Zakrzewskim w Warszawie był niewątpliwie Kiliński, wyzyskiwany w dziedzinie polityki przez klubistów, za to bardzo wpływowy w kołach rządowych, wprowadzający do wielu instytucji swych przyjaciół osobistych; arystokrację tego okresu stanowiły chyba cechy. Do jakiego stopnia liczone się podówczas z nimi, świadczy następujące zdarzenie. Rzeźnicy warszawscy opłacali wtedy podatek od rzezi i musieli bić bydło w rzeźniach, zbudowanych przez skarb. Po rewolucyi sądzili oni, że za udział w walce należy im się zniesienie tego ciężaru i przestali odrazu bić w rzeźniach tak solidarnie, że w ciągu maja ani szeląg z tego źródła nie wpłynął do skarbu. Próbowano z nimi i groźby i prośby: wydano odezwę, w której była mowa o tem, że „nie zechcą chyba zasmucać Najwyższego Naczelnika najmniejszym śladem nieposłuszeństwa,“ a Komisji Porządkowej polecono skierować ich z powrotem do rzeźni skarbowych. Nie zdało się to na nic i trzeba było użyć drogi innej. Zakrzewskiemu, prezydentowi Rady i miasta, urodził się 18 kwietnia syn, nazwany na cześć Kościuszki Tadeuszem. Chrzczenie tego dziecka było dużą uroczystością dla Warszawy: cała Rada Zastępcza wzięła w nim udział i zapisała decyzję o tem do swego protokołu, nieznanym poetą witał nowonarodzonego wierszem:

Wśród huku armat i wojennej wrzawy,  
W której się Polak z jarzma oswobodził,  
Gdy nieprzyjaciół już pierzchał z Warszawy  
Tyś się urodził.

... Przy męstwie naszym i naszej słuszności  
Dobry Ci pewnie był usposobienie;  
Zaszczepim w kraju gałązki wolności,  
Potem pomrzemy...

Otóż Zakrzewski, „wezwaawszy do trzymywania do chrztu swego syna niektóre osoby z cechu rzeźniczego, żądał od nich na dowód ich przychylności ku sobie, ażeby porządkowi bicia po szlachtuzach ulegali.“ Jednak i ten środek nie doprowadził do



celu i Rada musiała ustąpić. Podobnem postąpieniem grozili piwowarzy, a tymczasem z dwóch tych źródeł skarb otrzymywał w Warszawie 1½ miliona złp. Skarżono się zresztą ogólnie na to, że cechy przy całym swym patriotyzmie przyczyniają rządowi sporo kłopotów, wyzyskując swoje znaczenie w stolicy.

W kołach tej liberalnej szlachty i oświeconego, zamożnego mieszczaństwa przyjęto powstanie z dużą i szczerą radością. Entuzjazm tych warstw nie mógł już wówczas wypowiedzieć się na scenie, bo teatr zamieniono na lazaret, a dyrektor Bogusławski pracował w Deputacyi Indagacyjnej. Brakowało zaś teatru tem więcej, że nie zbywało wcale na sztukach okolicznościowych. Jakiś Antoni Carpacci, „rodem Weneta,“ umieszczał np. w pismach następujące ogłoszenie: „Kto może, śpieszy przysługiwać się dla Ojczyzny. Są, którzy jej bronią; są inni, co o niej radzą; są, co współbraci żywią, majątkiem wspierają i czem tylko mogą ratują; są też, co piórem dla niej pracują. Nikt się tu nie może wymawiać, nikt nie powinien dać się wyprzedzić. W tym celu wkrótce na widok publiczny ma wyniść drama bohaterkie, w sposobie teatralnym ułożone p. t. „Tryumf miłości ojczyznej...“ Jeśli terażniejsza drama okaże się być godnem zasłużyć na względy kochających Ojczyznę swą Polaków, zachęci autora do dalszych prac. W rzędzie których gotuje już żywy obraz dui powstania narodu w Warszawie.“ Nie spoczywały również i muzy. Narazie posiłkowano się poezją pochodzenia krakowskiego, związaną z pierwszymi usiłowaniami Naczelnika, ze zwycięstwem Racławickiem. Ukazała się więc naprzód w pismach, a później w oddzielnych odbitkach „pieśń ochotników krakowskich“:

Pókiż Polaku zgnuśniały,  
Rozłączony z bracią twemi,  
Bez sił, bez rządu, bez chwały,  
Będziesz więźniem w swojej ziemi?

Za nią przysłała tak długo popularna „Śpiewka włościan krakowiaków“:

Dalej chłopcy! dalej żywo!  
Otwiera się dla nas żniwo,  
Rzućwa pługi! rzućwa radło!  
Trza wojować, kiej tak padło.

Wkrótce jednak powstała i oryginalna poezya warszawska. Krążyła jakaś „Pieśń żołnierska,“ może jedna z tych, których później, w r. 1807, weterani uczyli rekrutów; pisano wiersze

„z okazji listu Igelströma do ministra wojennego, w którym odwołuje się do Boga i dobrej sprawy monarchini swojej,“ pisano je przede wszystkim na cześć Kościuszki. W stolicy wytworzyła się cała ikonografia Kościuszkowska: portretami Naczelnika ozdabiano wszelkie wydawnictwa, dołączano je do gazet, dochodziło na tem polu do poważnej konkurencji wydawniczej. Gazety donosiły zresztą, że i w Paryżu na wiadomość o powstaniu publiczność rozkupiła wszystkie portrety Kościuszki.

Z zakresu literatury publicystycznej prawie nic nie zjawiało się w tym przeciągu czasu; tutaj zdarzeniem pierwszorzędnej wagi miało być dopiero przywiezienie przez Dmochowskiego pierwszych egzemplarzy książki „O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3-go maja,“ gdy komunikacya między Warszawą i Krakowem stała się pewniejszą.

Dla prasy peryodycznej warszawskiej okres ten zaznaczył się tylko pomnożeniem ilości pism, gdyż pod względem jakościowym nie wytrzymywała ona porównania z dziennikarstwem Sejmu Czteroletniego. Zadanie kierowania opinią, oświecania jej brał na siebie rząd, którego odezwy, uniwersały i prawa były nieraz formalnymi traktatami politycznymi; on również zapełniał wszystkie pisma swymi komunikatami. W tych warunkach nie było miejsca na samodzielną prasę. Zastanawiało chyba to, że ograniczono w niej tak obszerną dawniej rubrykę wiadomości zagranicznych, opuszczano nieraz nawet „artykuł paryski,“ choć właśnie wtedy można się było z niego dowiedzieć o procesie Hebertystów i Dantonistów. Pierwszeństwo wśród pism warszawskich przypadło niepodzielnie „Gazecie Wolnej Warszawskiej,“ która—po zmianie redakcyi—z dawnej Targowickiej „Gazety Krajowej“ przeistoczyła się odrazu w organ zbliżony do klubów.

Zapał kierujących warstw Warszawy wyrażał się przede wszystkim w ofiarach pieniężnych na rzecz kraju. Do ofiarności tej apelowano już za czasów Sejmu Czteroletniego i właśnie teraz można się było przekonać, że niejednen z ofiarodawców owoczesnych skończył na deklaracyi, a później—przy pomocy sancytów Targowicy—uwolnił się formalnie od przyjętych na się zobowiązań. Rada Zastępcza musiała teraz—z wątpliwym zresztą skutkiem, bo podobno resztę tych deklaracyi wygzekwował dopiero Lubecki—wzywać ich pod groźbą „wydania ich wojsku na delatę“ do złożenia w ciągu 4 tygodni zadeklarowanych kwot. W oryginalny sposób postąpiono sobie z księciem Stanisławem Poniatowskim. „Będąc pewną, oświadczała Rada w protokóle, że X-że Jmć Stanisław Poniatowski, uczyniwszy ofiarę swojej



Ojczyźnie w subskrypcyi 50,000 złp. w sejmie zeszłym konstytucyjnym, nie czynił jej jak w najlepszej intencji, której skutkiem wyliczenie skarbowi tej sumy mieć chciał, gdy jednak dotąd przez odmianę różnych okoliczności taż suma dostarczoną skarbowi nie była, Rada obliguje J.P. Budziszewskiego, kasyera X. J. St. Poniatowskiego, aby taż sumę... do kasy generalnej dziś złożyć nieomieszkał.“ Teraz było inaczej: deklaracje przyjmowano tylko wtedy, gdy ofiara miała być peryodyczną, w przeciwnym wypadku żądano odrazu gotówki.

Te ofiary samej Warszawy na cele powstania przyniosły za czasów Rady Zastępczej gotówką przeszło 173,700 złp., a bezporównania więcej w efektach, między innymi w srebrze, które odrazu można było oddać do mennicy. Kwota w gotówce nie była może tak znaczną — wszak Litwa w ciągu 4-ch tygodni złożyła 461,750 złp.—stanowiła ona jednak 14% wydatków Rady Zastępczej (1,219,900), pokrywała więcej niż połowę miesięcznego żołdu garnizonu. Jej istotne znaczenie można jednak ocenić dopiero wtedy, gdy weźmiemy pod uwagę powszechny brak gotówki, wskutek którego już Rada Zastępcza nagliła o wprowadzenie asygnat i wypracowała odpowiedni projekt, gdy zważywszy, jaka bieda panowała wówczas w Warszawie. Dowóz do stolicy był wciąż nieznacznym i ceny wszystkich artykułów poszły w górę, zwłaszcza, że przekupnie odstraszały chłopów, przyjeżdżających na targi, opowiadając im, że w stolicy zostaną przymusowo zaciągnięci do wojska.

Na tych listach ofiar najznaczniejsze kwoty złożyli ofiarodawcy bezimienni, prawdopodobnie ludzie, posiadający dobra za kordonem; poważną część gotówki dał król, jego otoczenie i ludzie raczej bojący się powstania; najliczniejszymi jednak były składki mieszczańskie i urzędnicze.

Następnie miasto ponosiło bez szemrań ciężar dawnych i nowych podatków, między innymi t. zw. poboru, rodzaju postępowego podatku dochodowego, który z samej Warszawy miał przynieść 5 milionów złp., a który, dotykając głównie klasy zamożniejszej, poważnie jednak obciążył i budżet rzemieślników. Pobór ten ostro krytykowali klubiści. „Podatki, mówili oni, jakie nałożono na Warszawę, wydają się tak przesadzonymi, jak gdyby chciano ukarać ten lud za jego bohaterstwo.“ Dzięki tym krytykom, skończyło się na tem, że Kościuszko polecił skreślić cały szereg niższych pozycji tego podatku; a jednak z raportów Rady wiemy, że składano go chętnie, domagając się tylko prolon-gat, że w biurach poborców panował natłok. Warszawa musiała

w dodatku zadosyć uczynić licznym rekwizycjom rządowym o konie, żelazo, ołów, siarkę, saletrę etc., które nie zawsze prowadziły do wypłat, a spadały znowu przeważnie na zamożniejsze warstwy mieszczaństwa. Jemu również powierzono opiekę nad rannymi i rodzinami poległych w dniach 17 i 18 kwietnia; aptekarzy i „materyalistów“ wezwano do dostarczenia w ofierze lekarstw do apteki polowej, lekarzy do posług w lazaretach, akcyonaryuszy fabryki łowickiej do oddania płótna na wojsko, a całe setki ludzi do bezpłatnego sprawowania czynności urzędowych. I nigdy prawie nie doznano zawodu, nie napotkano na niechęć. Mieszczaństwo wreszcie wystawiło swym kosztem niektóre oddziały wojska, np. kongregacya kupiecka — pułk Czyża, przyczyniło się do umundurowania rekrutów, spełniało służbę w milicyi, dozoruując więźniów i pilnując zamku.

Można zatem mówić o dobrej woli, o poświęceniu tych warstw stolicy, które wybiły się na pierwszy plan za rządów Rady Zastępczej. Wyjątek stanowili chyba ci nieliczni mieszczanie, którzy jeszcze niezupełnie zżyli się z narodem, nie zapomnieli o swem pochodzeniu niemieckiem. Tutaj pozostawano wciąż pod obawą odwetu, który prędzej czy później miał zagrozić Warszawie, i wysnuwano stąd wnioski, że można go będzie uniknąć jedynie przez poddanie miasta Prusakom. W proklamacyach urzędowych, w gazetach mówiono przecież wciąż o pomysłach Igelströma dokonania rzezi w Warszawie w dniu 20 kwietnia. Zdawało się nawet, że istnieją dowody materyalne w tej sprawie. „Przyłączam kontramarkę, pisał Zakrzewski do Kościuszki, których całą skrzynię u Igelströma znaleziono. Wiadomości sekretne twierdzą, że te kontramarki miały służyć za obronę życia i majątków tych, którymby były rozdane, inni zaś w pierwszy dzień Wielkanocy mieli być rabowani, plądrowani i zabijani.“ Cóż to dopiero nastąpi, gdy przyjdzie do odwetu za 17 i 18 kwietnia! Pogrożki w tym kierunku dochodziły stale do stolicy. „Szkoda Warszawy, mówił jakiś oficer rosyjski doktorowi Schaade z Góry, bo ją zrujnujemy tak, że kamień na kamieniu nie zostanie.“ „Zobaczysz Waćpan, rozumował kupiec warszawski Michał Klos w szynkowni, iż będziemy Prusakami, ponieważ ja słyszałem..., że interesem jest samego króla pruskiego, aby Rosyanie nie przyszli, gdyżby kamień na kamieniu w Warszawie nie zostawili, a królowi pruskiemu jest potrzebna cała i niezdezelowana Warszawa.“ Christian Michel, kamerdyner księcia eks-podkomorzego, „mający u niego tyle kredytu, co Ryx u króla,“ oświadczał: „Mam 300 dukatów, tych bym połowę oddał na wojsko, ażeby się Rosyanie nie wrócili;



Prusacy lepiejby się może z nami obeszli," na co Kloss dodawał, iż Prusacy nie biliby się tak, jak Rosyanie, w samym mieście, „ale otoczywszy Warszawę, głodemby ją do poddania zmusili.“ Ale to, powtarzamy, były wyjątki, nie mogące wcale wpływać na sąd ogólny o mieszczaństwie stolicy.

Mieli więc zupełne prawo moralne ci przedstawiciele liberalnej szlachty i oświeconego mieszczaństwa do czynnego udziału w kierownictwie powstania, do zadecydowania o jego charakterze i celach. Znaczna część z nich, zgrupowana dokoła Rady Zastępczej Tymczasowej, solidaryzująca się z ludźmi takimi, jak Zakrzewski, Kochanowski, Wybicki, ze zwolennikami króla, jak Mokronoski, Cichocki, Deboli, Dzieduszycki, Wulfers, nie chciała w niczem nawiązywać do wzorów francuskich. Chciano, przeciwnie, na każdym kroku trzymać się wskazań Sejmu Czteroletniego i zasad konstytucyi 3-go maja, a z Rosyą prowadzić zwykłą walkę, bez rewolucyjnej zaciętości, nie wyłączając w rezultacie możliwości układów, za cenę np. nawiązania do dawnych pomysłów o W. Ks. Konstantym. Gdy Stanisław August domagał się od delegatów Rady Zastępczej gwarancyi, że nowy stan rzeczy uszanuje religię, własność, różnice stanowe, powagę tronu, gdy rezydent pruski Buchholtz w rozmowie z Dzieduszyckim „rozwodził się, jak niebezpiecznie byłoby przyjmować prawidła konstytucyi francuskiej," dodając, że „raczej przystałoby Polsce trzymać się konstytucyi 3-go maja za ułożeniem się z sąsiadami względem niektórych punktów jej egzekucyi," to rady te wywoływały tutaj duży i szczery odgłos. Gdzie się dało, przywracano ludzi i instytucye z czasów Sejmu Czteroletniego, zaprzeczano gorąco posądzeniom o zamiar naśladowania Francyi. „Dosyć jużno okazuje Polska, odpowiadał Dzieduszycki Buchholtzowi, że za cudzymi przykładami nie idzie; teraz zaś nikt nie myśli o konstytucyi, tylko o odporze nieprzyjacielowi.“ Gazety warszawskie odpierały stanowczo ataki prasy niemieckiej, mówiącej o jakobińskim charakterze ruchu, przedrukowywały artykuł niemieckiej gazety lwowskiej, biorącej je w obronę przed tym zarzutem.

O charakterze, jaki chciano nadać walce, mówiły zresztą wyraźnie stosunki Rady z Buchholtzem i de Caché, oraz jej postępowanie w sprawie uwięzionych członków poselstwa rosyjskiego. W układach z Buchholtzem działała zresztą Rada, a raczej Zakrzewski, z wyraźnego polecenia Kościuszki, który stanowczo zastrzegł sobie kierownictwo całej dyplomacji powstańczej i pilnował postępowania Warszawy z całą ścisłością. Szło tutaj ni mniej ni więcej—tylko o medyacye króla pruskiego między powstaniem

i Rosyą, na warunkach bliżej nam nieznanych, bo Zakrzewski mówił o tem w swych raportach bardzo tajemniczo. Nie jest niemożliwym, że Kapostas, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli tego kierunku, oczekiwany wtedy z niecierpliwością w Warszawie, miał dużo słuszności, gdy twierdził później, że i za powstania myślano o osadzeniu ks. Konstantego na tronie polskim. Dlatego zatrzymywano Buchholtza w Warszawie, mimo że ciągle domagał on się z polecenia Berlina paszportów, mimo że współdziałanie Prus i Rosyi rzucało się wprost w oczy. Sprytny Prusak dostosowywał się do tej gry wcale nienajgorzej: w depeszach do Berlina mówił o konieczności solidarnego działania z Rosyą, natomiast w rozmowie z Dzieduszyckim „wyrzekął na alians w Grodnie z Moskwą zrobiony, który nazwał niegodziwym i naród polski tudzież i inne narody z Polską traktujące upadlającym,” zaręczał, że król pruski medycacy podejmie się chętnie, wzywał nawet Dzieduszyckiego do Łowicza, gdzie on, Buchholtz, a nie Lucchesini, „będzie wszystkie interesy przy królu robić.” Zyskiwały w ten sposób Prusy na czasie do sprowadzenia posiłków, zabezpieczały się narazie przeciw wybuchowi w Wielkopolsce. Przecież władze powstańcze nie tylko osłaniały magazyny pruskie w Warszawie, ale z początku chciały nawet wydawać Prusakom ich dezertersów. Na ich usprawiedliwienie należy jednak dodać, że wielkich złudzeń co do powodzenia tej medycacy niedawnego sprzymierzeńca nie miały. „Polityczne widoki, mówił Zakrzewski Kościuszce, radbym aby tylko przy Tobie i przez Ciebie kierowane były... Przy nas ostrożność zostaje, przy Tobie zaś dyspozycya.”

W związku z tymi pomysłami medycacyjnymi, z których niewątpliwie wynikł zasadniczy błąd bitwy pod Szczekocinami, pozostawała sprawa uwięzionych członków poselstwa rosyjskiego. Rada chciała ich zrazu wypuścić, uważając ich zatrzymanie za naruszenie prawa narodów; później widziała w nich wciąż gotowych pośredników do rokowań i traktowała z wszelkimi możliwymi względami. Do ich dozorowania wyznaczono takich ludzi, jak Debolego, żonatego z Rosyanką i żytego z Rosyą, jak dawnego bankiera poselstwa rosyjskiego Maysnera; na ich utrzymanie dawano 600 złp. dziennie. Domagała się Rada również wypuszczenia z Warszawy uwięzionych kobiet rosyjskich, ale temu sprzeciwił się Kościuszko, żądając, aby wzamian za nie władze rosyjskie uwolniły obywateli Rzpltej, uwięzionych przed powstaniem.

Cóż dopiero było mówić o stosunkach z de Caché, reprezentantem, jak sam mówił, państwa, „które dotąd nie okazało się nie-



przychylnem powstaniu.“ W swych depeszach zajmował on również stanowisko niechętnie powstaniu, odmawiał starań o przepuszczenie broni, zamówionej przez władze powstańcze zagranicą, przez posiadłości austriackie. Ale o tem nikt prawie nie wiedział i wśród publiczności liczone conajmniej na życzliwą neutralność Austrii. Wszak Stanisław August zapytywał później Ignacego Potockiego o to, czy jego następcą na tronie nie zostanie jeden z arcyksiążąt; wszak dzienniki warszawskie przynosiły z Galicyi wiadomości, że „co tylko potrzebuje Kościuszko, to sobie ma pozwolone brać za kwitami tak z magazynów (cesarskich) jako i z kasy.“ Odwdzięczano się więc przepuszczaniem galarów galicyjskich do Gdańska, które bez skrupułu zabierał nieprzyjaciel, liczone się z paszportami, wydawanymi przez de Caché, słuchano jego rad co do postępowania ze Stanisławem Augustem, uwięzienia Skarszewskiego i Massalskiego.

Dla tej samej chęci utrzymania dobrych stosunków z Austrią, uratowania ich z Prusami, zarezerwowania sobie nareszcie możliwości układów z Rosyą, ludzie z Rady Zastępczej pragnęli za wszelką cenę uniknąć oskarżeń o zwracanie się przeciw tronowi, religii, o naśladowanie teroru francuskiego. Co do postępowania ze Stanisławem Augustem, to położenie było bardzo trudnem już choćby z powodu jego zachowania się podczas wypadków 17 kwietnia. Starał on się wówczas o zapewnienie Igelströmowi kapitulacyi pod warunkiem swobodnego wyjścia z miasta, wzywał Zakrzewskiego do uspokojenia ludności stolicy. „Po sprowadzeniu mnie do zamku, pisał Zakrzewski do Kościuszki o wypadkach 17 kwietnia, zapytałem króla, czyby się na czele rewolucyi naszej w tem tu miejscu stawiał, albo przynajmniej przystępującym do niej oświadczył się. Wezwawszy wprzód król na radę do gabinetu Moszyńskiego, Ożarowskiego i innych, odpowiedział, że nie.“ To też, gdy 22 kwietnia zgłosił się on do rady z akcesem do powstania, Zakrzewski nie chciał brać tego na swoją odpowiedzialność i odesłał go do Kościuszki. Odtąd położenie króla i dla niego samego i dla Rady stało się niewyraźnem. Wypadło mu odebrać wszelki wpływ na wypadki, zapobiedz temu, aby rezydenci państw obcych i posłowie polscy z zagranicy nie pisywali do niego, odmówić jego żądaniom o wypłatę listy cywilnej i trzymać go w zawieszeniu. Pomimo jego zaręczeń ostentacyjnych, ofiar na rzecz powstania, a nawet pomocy, jakiej udzielał nieraz władzom, nie ufano mu naprawdę nigdy — i nawet w kołach Rady podejrzewano wciąż o pomysły ucieczki, czuwano po cichu nad każdym jego krokiem. A jednak, ze względu na Europę, z oba-

wy przed zarzutami prasy obcej, która już głośno mówiła o niebezpieczeństwach króla, usiłowano i z nim nawiązać lepszy stosunek. Uwiadomiono go przez uroczystą delegację o objęciu władzy, wysłano doń 8 maja paru członków Rady z życzeniami, „ażeby w tem zniszczyć obcych ministrów obserwacye,“ słuchano jego rad, nie zrażano się nawet jego ruchliwością nietaktowną, jego naleganiami o danie mu pewnego wpływu na wypadki. Broniono go czasami przed Kościuszką. „Dosyć on przychylny czynności naszej i powolny być się okazuje“—pisał Zakrzewski 4 maja. Gdy z obozu przychodziły nakazy ostre, czasami nawet drobiazgowe, jak np. w sprawie usunięcia Ciołka Poniatowskich z monet, Rada bądź opierała się temu, mówiąc o „złym wrażeniu,“ jakie to wywiera na rezydentów, o ich reimonstracyach, bądź też łagodziła je w praktyce.

Co do religii—to zadanie jej było tem łatwiejsze, że po walce warszawskiej doszło do dużego wzmożenia się uczuć religijnych w stolicy. Zdawało się, że to niespodziewane zwycięstwo, odniesione w przededniu Świąt, jest dziełem wyraźnego zrzucenia Opatrzności. Pogarnięto się tłumnie do kościołów, które Rada poleciła otworzyć natychmiast, chcąc przez to uspokoić wzburzony i gromadzący się wciąż na ulicach lud. Rozpoczął się szereg uroczystych mszy, 40-godzinnych nabożeństw na intencję powodzenia powstania, licznych kazań patryotycznych; wychodziły wciąż książki tej treści, jak „Chrześcijańskie i obywatelskie uwagi,“ „Nabożeństwo patryotyczne w czasie wojny“ etc. Duchowieństwo wezwano do przeniesienia tego ruchu na wieś, do współudziału w powstaniu. Poddawali się temu prądowi nawet niechętni ruchowi dygnitarze kościelni: Prymas i Skarszewski wydali patryotyczne listy pasterskie do swych dyecezyi, na listach ofiar spotkać było można nazwiska nietylko zacnych Gawrońskich, Strojnowskich, Skrzetuskich, ale i Prymasa i Szembekę, świeżo skompromitowanych przez zeznania Kossakowskiego, „powołującego ich za towarzyszków zbrodni swoich,“ a nawet i Massalskiego, ks. Ghiggiotiego i in.; kapituła warszawska dała 6000 złp., Misyonarze 1000 złp. To też—mimo wolteryanizmu klubistów, liczących zresztą w swem gronie wielu księży—ten charakter religijny ruchu utrzymał się długo. Gdy więźniowie polityczni żądali spowiednika w osobie patryotycznego i postępowego ks. Witoszyńskiego, Rada Zastępcza przychyliła się odrazu do tego „nader chwalebного żądania;“ jeńcom rosyjskim dano również spowiednika w osobie zasłużonego ks. Saby Palmowskiego; w raporcie urzędowym do Naczelnika o wypadkach 9 maja zaznaczo-



no fakt, że wszyscy skazani spowiadali się przed śmiercią. Ponieważ w liczbie skazańców znajdował się biskup (Kossakowski), więc rząd nie zaniedbał niczego, aby przed egzekucją pozbawić go sakry. „Nie zapominając uszanowania dla obrządków religii, delegowaliśmy do Nuncjusza, ażeby on charakter biskupa z Kossakowskiego zdejmował. Ukontentował go ten krok nasz, ale że nie ma mocy sobie do takowego postępku od Stolicy danej, oświadczył; jednakowoż, gdy naleganym był o środki i gdy ze strony naszej co do nas należało uczynionem zostało, przełożenie nasze do tego zmierzało, ażeby konkluzję żądaniu naszemu położył. Otóż dał facultatem ks. kanonikowi Wodzińskiemu spowiedzi słuchania i czynienia co będzie potrzebnem w takowym razie... Witoszyński, Wodziński i jeszcze trzeci duchowny odbywali zwyczajną degradację podług ceremoniału.“ Jeżeli zaś sam fakt aresztowania trzech biskupów i stracenia jednego wywoływał reklamacye Stanisława Augusta, de Caché, Nuncjusza przedewszystkiem, który mówił o złem wrażeniu na ludność, o wpływie tego na stosunki z Rzymem, to należy stwierdzić, że Rada opierała się nie tylko egzekucyi, ale i aresztowaniom. Tylko wtedy, gdy chodziło o nieliczne zresztą wypadki oporu przeciw zarządzeniom władz, występowano ostro i karano odrazu. Gdy następnie paru księży zważyło podatek poboru, nałożony na duchowieństwo, na własnych chłopów, rząd ogłosił odrazu ten fakt w pismach, wywołując zresztą reklamacye ze strony patriotycznego odłamu kleru, który żądał wyraźnego wymienienia winowajców, zaręczając, że ukarzą ich przykładowie same władze kościelne. Podobnie energicznie występowała Rada i w sprawie zaboru sreber kościelnych. Prymasowi przełożono odrazu, że staną się one łupem nieprzyjaciela, jak tego dowiodły już liczne wypadki, i zażądano, aby skłonił duchowieństwo do dobrowolnego oddania ich skarbowi za rewersami; później, gdy przyszło rozporządzenie Kościuszki, poleceno Komisji Porządkowej, nie czekając na rezultat akcji Prymasa, po cichu spisać srebra i zabrać je do mennicy.

Tak samo nie chciała Rada stanowczo teroru w Warszawie. Jej łagodna praktyka policyjna, mimo surowych przepisów paszportowych, pozwoliła szeregowi osobistości zbiedz na czas ze stolicy; co się tyczy pozostałych, to Rada raczej wykonywała nakaazy aresztowań, przychodzące z obozu, pozwalała więzić klubistom i ludowi, niż aresztowała sama. Uwięzionych pragnęła ona stanowczo uratować od poważniejszych kar, zastępując się formalnym brzmieniem Aktu Krakowskiego, który wymiar sprawiedliwości za występki polityczne, popełnione w przeszłości, zachował

dla nieistniejącego jeszcze Najwyższego Sądu Kryminalnego. Pod naciskiem opinii utworzyła ona Sąd Kryminalny, Deputacyę Indagacyjną, ale w praktyce wstrzymywała, o ile możliwości, badanie zdobytych papierów ambasady rosyjskiej, podobno nawet pozwalała na usuwanie niektórych z nich, nie zaczynała żadnego śledztwa, ani procesu. Dozór więźniów politycznych za jej rządów, znowu mimo bardzo surowych przepisów, przedstawiał się jak najgorzej: korespondowali oni z całym światem, a zdarzało się nawet, że wysyłali służbę do swych opieczętowanych mieszkań, aby stamtąd usuwać kompromitujące dokumenty.

Taki to pogląd na charakter powstania panował wśród ludzi, należących do Rady Zastępczej, a reprezentujących wyższe warstwy mieszczaństwa oraz szlachtę liberalną. Można go dziś zrozumieć z łatwością, bo odpowiadał całkowicie wzorom Sejmu Czteroletniego, które chciano stosować tak, jak gdyby nic od tego czasu nie zaszło, odpowiadał następnie całej psychologii liberalnej szlachty z doby Stanisława Augusta. Miała ona wciąż na ustach — mówiła o tem stale i Rada Zastępcza w swych odezwach — słowa o katastrofie, mogącej już nieodwołalnie rozstrzygnąć o losach Rzpltej, ale nie posiadała w sercach energii i decyzji użycia tych środków ostatecznych, jakich wymagało to przeświadczenie.

Ten pogląd na politykę powstania stawiał Radę Zastępczą w pewnej sprzeczności z tem, co zaszło w Warszawie w dniach 17 i 18 kwietnia, mało co mniejszej od tej, w jakiej znaleźli się ludzie, wysunięci przez Lubeckiego na czoło powstania roku 1830 wobec zdarzeń nocy listopadowej.

A przecież nocy listopadowej nie można nawet porównywać, o ile chodzi o zaciętość walki i udział ludu, z wypadkami kwietniowymi. Były one naprawdę bojem o śmierć i życie: zdawało się, że jedna strona nie wierzy już w możliwość kapitulacyi i woli strzelać do parlamentarzy, a druga nie jest w stanie jej przyjąć. Jakżeż niewielu rannych nieprzyjacielskich znaleziono później na miejscach walki w stosunku do liczby poległych. Zaciętość obu stron nie zmalała i po skończonej bitwie, objawiając się w przeszukiwaniu domów i krótkich, krwawych starciach z odszukanemi grupkami żołnierzy nieprzyjacielskich, a następnie w zachowaniu się jeńców i ich konwojów. „W dniu dzisiejszym, pisał Zakrzewski 21 kwietnia, z przeprowadzonych jeńców jeden, wyrwawszy broń konwojującemu i strzeliwszy do niego, przyniósł śmierć współprowadzonym 87 pierzchać zaczynającym, którzy rozsiekani przez nieuspokojony jeszcze lud zostali. Przypadek ten zagroził



niebezpieczeństwem wszystkim po więzieniam niewolnikom i do-  
tąd jeszcze lud odkazywać się na wybicie onych nie przestaje;  
doskonałe opatrzenie więzień nadzieję czyni, iż więźnie przy ży-  
ciu utrzymają się.“ O ludowym charakterze walki świadczyły  
już choćby straty po stronie polskiej. Zakrzewski w pierwszym  
raporcie do Kościuszki twierdził, że liczba ich „bodaj 500 prze-  
niesie ludzi i to w nieregularnem obywatelstwie więcej daleko  
niż w wojsku“; zdaje się jednak, że cyfra ta obejmowała tylko  
zabitych. O ile chodzi o rannych z ludu, to jeden tylko z leka-  
rzy warszawskich, dr. Kozłowski, opatrzył w koszarach gwardyi  
pieszej koronnej „różnego gatunku osób do 300,“ a przecież zaj-  
mowali się tem i inni. Zabrakło środków opatrunkowych w War-  
szawie i wypadło wzywać publiczność o zapomożenie lekarzy  
„fleytuchami i starymi gałganami, chociażby te nawet i brudne  
lub trochę przygrube były.“ Wśród poległych i rannych znajdo-  
wano kobiety, o których udziale w walce zaświadczał jeńcy nie-  
przyjacielscy.

Walka więc warszawska—zrozumiał to np. odrazu Buchholtz—  
przez swą niezwykłą zaciętość, nie licującą prawie z charakterem  
narodowym, wykopała między Polską a państwami rozbiorowemi  
przepaść, którą nie tak łatwo było zapełnić. Była ona walką lu-  
dową, wprowadzającą do życia Rzpltej nowe siły, których trzeba  
było koniecznie użyć, bo inaczej groziły one wytworzeniem trwa-  
łego fermentu w stolicy.

Świadomość tego posiadali w pierwszych chwilach ludzie  
z Rady Zastępczej. Ten niespodziewany a szeroki udział warstw  
ludowych napełnił zrazu ich serca dumą, rozbudził nieoczekiwane  
nadzieje. „Ojczyzna, donosił Zakrzewski Kościuszce, w terażniej-  
szem powstaniu swojem znalazła walecznych obrońców w tej czę-  
ści narodu, która ledwie słodyczy wolności Sejmem konstytucyj-  
nym nadanej zakosztowała.“ Zdawało się, że cała ludność miej-  
ska i wiejska Księstwa Mazowieckiego pójdzie za przykładem  
stolicy. „W okolicach Warszawy, gdzie nieprzyjaciel częste czy-  
ni napady, rolnicy na odgłos wzięcia się do obrony najżywszą  
pałają chęcią wytepienia tego nieprzyjaciela, który przez przeciąg  
tyłu lat, a mianowicie w ostatnim ucisku onych zniszczył. Już  
z Radzimina wieśniacy pod przewodnictwem JP. Sokolnickiego,  
podpułkownika, rzuciwszy się na kilkadziesiąt żołnierzy, trzydzie-  
stu kilku w niewolę do Warszawy przyprowadzili... Duch mę-  
stwa i odwagi z tej stolicy do różnych przeszedł miast i włośc-  
cian... obywatele miasta Tarczyna, odpędziwszy od taboru konwój,  
kilka wozów z rekvizytami... tu przyprowadzili, powszechno zaś

wiadomości to potwierdzają, że wieśniacy w wielu miejscach obronnie po wsiach nieprzyjacielowi przeszkody... czynią i furazowania nie pozwalają... Przy Haunanie w ziemię Czerską 500 kos na sztorc osadzonych i 500 pik posłaliśmy; dzisiaj znowu już kilka tysięcy takiego oręża gotowego mamy, który przy komendach woluntaryuszów w różne okolice Warszawy dla uzbrojenia ludu przesłany będzie.“

Dlaczego nie wyzyskano tego momentu do powiększenia sił powstania, dlaczego nie nadano mu charakteru prawdziwie rewolucyjnego i ludowego? Złożyła się na to zapewne psychologia ludzi z Rady, nie wierzących—po ochłonięciu z pierwszych wrażeń walki warszawskiej—w siły nowego prądu, zrażonych pewną anarchią, jaką w nim zauważali, pojmujących wreszcie walkę w ten jedynie sposób, jak ją prowadzono w roku 1792. Tłómaczą ich jednak poniekąd i warunki. Na to, żeby poruszyć lud, trzeba było dwóch rzeczy: poważniejszego zwycięstwa i przybycia Kościuszki do stolicy. Chłopi z okolic Warszawy chwycili np. za broń dość licznie i dość zacięcie na wiadomość o zwycięstwie w stolicy; wytrąciły im ją z rąk odrazu represye Igelströma i Nowickiego. Tymczasem widzieliśmy, jak się przedstawiało położenie Warszawy pod względem wojskowym, jak trudno było myśleć wtedy o większej akcji zaczepnej. Następnie, bez osobistego zjawienia się Naczelnika—dowiodły tego czasy Rady Najwyższej—żaden rząd nie mógł pokierować Warszawą. Trudno bowiem opowiedzieć nawet, czem było wtedy dla ludności stolicy nazwisko Naczelnika. Od czasów bodaj Jana III ono dopiero przeniknęło do warsztatów i chat, stając się tam symbolem budzącego się odruchowo poczucia obowiązku wobec kraju. Z zeznań ludzi, stawionych przed Deputacją Indagacyjną, sprawców rozruchów ulicznych, żołnierzy niekarnych, dezertersów etc., z podań niegramatycznych ich żon—widzi się dopiero, czem nawet dla ludzi stojących bardzo nisko moralnie i umysłowo był Kościuszko. Jakże święcie i głęboko wierzono tu w jego moc niezwykłą, w jego życzliwość dla warstw niższych, w bezbrzeźną wreszcie łagodność i wyrozumiałość. A cóż dopiero mówić o ludziach, którzy pogarnęli się do walki, żołnierzach, rzemieślnikach; jakimże ważnym argumentem w ich oskarżeniach było zawsze to, że ktoś nie dzielił ich czci dla Naczelnika. Wypowiadał się w ten sposób jedyny bodaj środek pociągnięcia ludu, wierzącego tak święcie w swego przywódcę, ujawniała najważniejsza dźwignia powstania. Takiej ufności nie wzbudził już nikt po nim. A tymczasem jego obecności, a nawet regularnych z nim stosunków, zabrakło w Warszawie.



## III.

Rada nie umiała, nie zdołała, nie mogła w części zużytkować ruchu ludowego; miało się to pomścić na niej tem silniej, że była rządem wyjątkowo słabym. Była naprawdę władzą kolegialną, w której żadna potężniejsza ręka i głowa nie naprawiała zasadniczej wady organizacyjnej, była następnie rządem prowizorycznym i za często mówiła ludności o tej prowizoryczności, była wreszcie władzą, która wynikła z rewolucyi ludowej i nie była w stanie nawet używać silniejszych środków przeciw zawierusze ludowej. „Siła nasza rządowa, mówiono w raporcie do Kościuszki, jest dosyć wątła, po rewolucyi nikomu przykrą być nie mogła.“ Jakże tu było zwracać się przeciw temu ludowi, który oswoił Warszawę, a któremu nie szczędzono słów uznania, nie skąpiono nagród. Z całej pierwotnej nadziei oparcia się na ludzie pozostała Radzie jedynie chęć ugruntowania swych rządów na szerokiej popularności, na łagodnem, wyrozumiałem postępowaniu z ludnością stolicy. Dlatego np. ogłaszała ona drukiem protokoły swych czynności, zdawała sprawę ze wszystkich wiadomości z pola walki, pomysłów wojennych, w tej mierze, w jakiej nie czynił tego po niej żaden rząd polski; dlatego ustępowała, gdzie tylko można było ustąpić, czasami nawet z wyraźną szkodą dla sprawy powstania. Gdy Mokronoski chciał ściągnąć z placów publicznych armaty do naprawy i radził wydać odezwę o tem do publiczności, Rada, obawiając się poruszenia, odmówiła jego żądaniu i zakazała zabierać armaty bez swego upoważnienia, chyba, że każdą zabraną zastąpi się odrazu nową. Wojsku zbywało wciąż na broni palnej, której nie udało się sprowadzić przez Niemcy i Austryę z Amsterdamu, Liège i Drezna, choć zakontraktowano i zapłacono tam nawet częściowo liczny transport karabinów nowego modelu. Tymczasem Rada dopuściła do tego, że z 13,600 karabinów, znajdujących się w arsenale, a sprowadzonych częściowo w tajemnicy przed Rosyą przed samem powstaniem, 7941 dostało się w ręce ludu, a tylko 2527 rozdano wojsku. W ciągu jednego dnia 8 maja, właśnie w czasie, gdy najbardziej obawiano się oblężenia, lud zabrał z arsenału za 18,000 dukatów broni i ładunków.

Należy zresztą zaznaczyć i to, że Rada, gdyby nawet chciała postępować ostro, nie miała środków ku temu. Nie posiadała żadnej prawie policyi, gdyż dawna, marszałkowska, uległa pewnej dezorganizacyi, a nową stworzono dopiero za Rady Najwyższej.

Nie mogła ona następnie nigdy liczyć na milicję obywatelską, a często nawet i na garnizon stolicy. Wśród wojsk, konsystujących w Warszawie, panowały na ogół stosunki bardzo dobre. Udział w przygotowaniach do wybuchu, w walce ludowej umocnił w oficerach i żołnierzach poczucie obywatelskie; budzące się w całej Warszawie zamiłowanie do służby wojskowej, napływ sił inteligentnych do szeregów—uczyniły je prawdziwym przedstawicielstwem narodu. Rozporządzenia Kościuszki, który posunął wszystkich uczestników walki o stopień wyżej, ogłaszając, że odtąd tylko zdadność ma decydować o awansie, zachęciły korpus oficerski do studyów fachowych i poważnego traktowania swego zawodu. Na wystawach księgarskich ukazały się znowu wydawnictwa wojskowe, schowane po wypadkach 1792 r.; Łęski zapowiadał wydanie nowego dzieła o taktyce, a młodzież garnała się na wykłady Hubego do szkoły kadetów, które na życzenie profesora uczyniono publicznymi. Oficerów brukowych pozbyto się odrazu ze stolicy, natomiast przybywali tutaj licznie do swych pułków urlopowani dawniej, nieraz z za kordonu, rzucając swe rodziny i majątki. I „gemejnów,” którym rewolucya rozluźniła potrosze karby dawnej karności pruskiej, podobnie jak zniósła harcapy pruskie, otwarcie przez Kościuszkę drogi do szarż dla wszystkich, awansowanie wielu podoficerów i szeregowców na oficerów za walkę warszawską—podniosło na duchu, uczyniło jeszcze dumniejszymi ze swego zawodu. Na polu walki garnizon ten spełniłby niezawodnie dobrze swą rolę. Ale wielu oficerów nie przyjmowało bez zastrzeżeń polityki Rady, podzielało pogląd klubów, a nieraz i wprost należało do nich. Z klubów zaś wychodziły stale podejrzania, skierowane przeciw nowej starszynie wojskowej. „Mokronoski — mówiono tu — duszą i ciałem królowi poświęcony... i przez ten kanał król ma dużą influencję... Rada wojenna, złożona z oficerów wszystkich korpusów, zawsze na ustęp wychodzi przy każdej decyzji, a Mokronoski w liczbie dwóch lub trzech decyduje, a w liczbie tych zawsze Cichocki. Cichocki również zawsze w Komisoryacie...; na płótno, którego dość ma w magazynie, jeden pułk 2 tygodnie czekał... Dwóch oficerów rosyjskich przechowanych znaleziono u niego.“ I szeregowcy, pochodzący często z samej Warszawy, przebywający tutaj oddawna, zbyt żywo odczuwali to wszystko, co czuła jej ludność. Dlatego Joachim Moszyński, późniejszy szef policji bezpieczeństwa, rozważając w d. 31 maja sprawę utrzymania porządku w Warszawie, oświadczył Kołłątajowi, że: „garnizon cały musi być zluzowany nowym,



a teraz będący wprowadzonym w karność nie zostanie, chyba gdy Najwyższy Naczelnik go do swojej armii zainkorporuje.“

Ludność Warszawy wybornie odczuwała słabość tego rządu, który groził czasami użyciem siły zbrojnej, ale nigdy nie wyprowadził jej na ulicę. Od czasów walki przyzwyczaiła się ona gromadzić i obradować tłunnie na ulicach, miała w dodatku broń w rękę, a później i pewną organizację w postaci milicyi municipalnej, gdzie przy wyborach setników, tysiączników i komendantów cyrkułów staczano formalne walki partyjne. Rady nie słuchano zwykle, wiedząc, że zawsze prawie ustąpi w końcu. „Nieostrożnością i popędliwością, do której ludzie byli przywykli przez ten rozruch i niespokojność“— tłumaczyła później Marya Danićka przed Kołłątajem swego męża, aresztowanego za okrzyki przeciw wjeżdżającym do stolicy Ignacemu Potockiemu i Kołłątajowi. W chwilach większego wzburzenia żadne nazwisko popularne, żadna powaga nie imponowały, nie wzbudzały w ludności zaufania. Gdy 8 maja Zakrzewski wysłał w swej karecie dwóch członków Rady dla sprowadzenia Stanisława Augusta z Pragi, tłum nie pozwolił im jechać, krzycząc, że to prezydent ucieka z Warszawy za królem; w nocy z 8 na 9 maja usiłowania członków Rady nie wywarły żadnego wrażenia na lud, pilnujący stawiania szubienic, a rankiem 9 maja nie zdała się na nic wymowa Zakrzewskiego, Wulfersowi zagrożono nawet osobiście. W codziennych stosunkach najrozmaitsj doradcy ze sfer mieszczańskich zasypywali Radę memoriałami, które zawsze wypadało traktować poważnie. Liczono się z nimi, czy wtedy gdy Stanisław Nowicki domagał się ukarania Targowiczan i odebrania mennicy królowi, dodając, że „jeżeli prześwietna Rada ma jaką opozycję w tem, niech zawiadomi lud, który jest troskliwym o dobro kraju... a ma prawo żądać mieć o wszystkim wiadomość,“ czy nawet wtedy, gdy niezmany projektodawca zauważał, że „ratusz miasta Starej Warszawy nie jest dość wygodny dla pomieszczenia składu Rady, a nawet ma zamknięte powietrze, przez co członki Rady osłabiać się na zdrowiu mogą.“ Dopiero za czasów Rady Najwyższej nawrócony klubista Joachim Moszyński, który zorganizował policję bezpieczeństwa i ostro zwrócił się przeciw działalności klubów, podał oryginalny projekt zażytkowania podobnych memoriałów. „Przyjmowanie w karbonę dużą—mówił—na ten koniec przygotowaną, wszelkich projektów, pism, refleksyów, choć bezimiennych, a których autorów łatwo dociec będzie można, mając w kon-skrypcyi (spisie ludności) wszystkich własnymi rękami spisanych,

będzie łatwym sposobem docieczenia burzliwych i niespokojnych głów.“

Następnie po zwycięstwie kwietniowym ludność Warszawy dręczoną była przez cały szereg obaw i podejrzeń. W drugiej połowie maja np. rozeszły się wśród niższych warstw rzemieślniczych pogłoski o tem, że w kościele luterańskim znajduje się 50,000 karabinów, które za zbliżeniem się Rosyan lub Prusaków dyssydenci mają rozdać jeńcom rosyjskim i przy ich pomocy dokonać rzezi w stolicy. Aresztowano paru ludzi, „rzeź dyssydentów i Żydów z hałasem doradzających,“ rozlepiających po ulicach plakaty „z wezwaniami do wyróżnienia neofitów.“ Zeznania ich rzucały dziwne światło na sprężyny i psychologię tej agitacji. Przytłapani na rozlepianiu plakatów Antoni Niewiarowski tłumaczył się tem, że dał mu je „jakiś narodowiec w kurtce towarzyskiej...“ mówiąc: „Mój przyjacielu! poprzyklepaj to, bo to tak dobre, jak od Kościuszki; wy wszyscy przez to będziecie szczęśliwi. Jeżeli kochasz Kościuszkę, to to przyklep!“ Okazało się, że przez to charakterystyczne kłamstwo Niewiarowski chciał „pokryć człowieka takiego, który dobrze robił dla ubogich ludzi,“ t. j. eks-jezuitę Kosteckiego, istotnego autora plakatów. Można sobie wyobrazić, w jaki sposób ta agitacja działała na lud. „Co to ta kocia wiara narobiła!—poczęto mówić po warsztatach Starego Miasta.—Będziemy ich tak rżnąć szelmów jak Moskali, jeśliby tak było.“ Tu i owdzie doszło już nawet do drobnych zająć.

Przy podobnym nastroju, zbiegowiska i fałszywe alarmy były na porządku dziennym zaraz po 18 kwietnia, a powód do nich dawało byle co. Przecież istotnym powodem alarmu 8 maja było ukazanie się od strony Powązek małego oddziałku kawalerzystów narodowych Ożarowskiego, których wzięto za Rosyan i Prusaków. Nieostrożnie wypowiedziane słowo, wymowa z ruska — ściągaty w tej chwili tłum, który groził nieraz napadem na dom, gdyby mu nie chciano wydać osoby podejrzanej. W tych czasach, gdy każdy mający broń w ręku uważał się za uprawnionego do aresztowania, podejrzania ludowe przepędzały nieraz więzienia. Ludzi aresztowano za byle co: Piotra Wolańskiego osadziła w więzieniu kupcowa za to, że chciał u niej nabyć maski „do straszania,“ szlachcica Romanowskiego przytrzymano u rogatek, gdy powiedział, że jedzie z Szymanowa, a jego woźnica, że z Nowej Wsi, należącej do klucza Szymanowskiego. „Z woli i prywatnej nienawiści J. P. Kiewłowicza, żem naganiał żonę jego rozsiewanie próżnych plotek, mylnie zaskarżony i przez niego samego wzięty, siedzę niewinnie siódmy dzień w areszcie,“ skarżył się niejaki



Darewski. Czasami zdarzało się, że ludzie, na których padło podejrzenie ludowe, woleli sami iść do aresztu i prosić o śledztwo. Radę, a później Deputacyę Indagacyjną zasypywano denuncyacyami. „Cieszyć się z uzyskanej tak miłej ludzioro wolności—mówił, wnosząc oskarżenie, Jan Iwaszkiewicz—nie dosyć. Czuwać jeszcze, aby ta przez skryte narzędzia fakcyi zachwiana albo wzruszona nie była, każdego poczcziwego republikanina jest powinnością.“ „W terażniejszym czasie wszelka ostrożność winna być zachowaną—mówił w podobnej okazji A. Piasecki—a mający nadzieję przeciwnych obrotów powstaniu narodowemu, nie jednako z narodem życzący, a tem samem zdrajcy, donoszonymi być powinni.“ Po takich ustępach następowały oskarżenia przeciw dysydyntom, Żydom, królowi, którego myśl o ucieczce wciąż gnębiła stolicę, otoczeniu królewskiemu, ludziom rozsiewającym fałszywe wieści. Nieszczęsna przeszłość targowicka i grodzieńska, fakt, że Rosyanie i Prusacy mieli stałych korespondentów w stolicy—tłómaczyły poniekąd ten nastrój ludności, który czynił ją tak bardzo podatną na wpływy klubów.

Rada starała się trochę odprowadzać ten prąd bezładu i wrzenia w łożysko korzystne dla powstania. „Ludzi luźnych“ skierowała ona do oddziałów ochotniczych, których formacya w pierwszych chwilach zapału poszła z niezwykłą szybkością. Taki pułk Kwaśniewskiego, liczący 400 ludzi doborowych, a wśród szeregowców niemało młodzieży inteligentnej, a nawet byłych oficerów, między innymi Ponińskiego, można było już 26 kwietnia wysłać w pole. Inne oddziały ochotnicze, do których stolica dostarczyła ogółem do 2,244 ludzi, wykomenderowano w okolice już w pierwszych dniach maja. Trochę gorzej poszło z uzupełnieniem wojska regularnego. Mokronoski obliczył początkowo, że do skompletowania garnizonu wypadnie dostawić 4,840 rekrutów; tymczasem na schyłku rządów Rady otrzymano ich tylko 2,747 (podług innych danych 3,823), choć nie wiadomo, czy winę ponosiła tu Warszawa, gdzie rekruta dawano naogół chętnie, czy też Księstwo Mazowieckie, w którym szlachta oświadczała—może nie bardzo szczerze—że bez pomocy komend wojskowych nie wymusi rekruta na chłopie. Skierowano następnie ludność do pracy nad sypaniem szanów, do której pogarnęła się ona całymi tysiącami. Na razie jednak, dzięki brakowi decyzji Rady, dzięki warunkom zresztą, ferment ludowy wyzyskały kluby.

## IV.

O klubach tych albo „schadzkach,“ jak je wtedy czasami nazywano, wiemy bardzo niewiele i to przeważnie ze świadectw ich przeciwników. Powstały one, podług Zakrzewskiego, już w dniu 19 kwietnia. „Już w tej tu stolicy — donosiła „Gazeta Wolna Warszawska,“ mająca niezawodnie pewne stosunki z nimi — wielu dobrze myślących obywatelów, przyjaciół powstania narodowego, w tym jedynie celu udzielają sobie wzajemnie światła i swych wiadomości, aby rząd i zwierzchność poczciwem zdaniem, dobrą radą i zbawiennymi projektami zasilać.“ Z pewnych danych możnaby wnosić, że założyli je ci sami ludzie, którzy w dniu 17 kwietnia znaleźli się obok Zakrzewskiego na ratuszu w charakterze jakiegoś rządu tymczasowego i ustąpili dopiero wtedy, gdy na wezwanie Zakrzewskiego, rozesłane 18 kwietnia, zjawił się tu na drugi dzień szereg więcej znanych osobistości i utworzył Radę Zastępczą. Zakrzewski, mocno nieprzychylny klubom, twierdził później, że należeli do nich czasami ludzie mocno podejrzani: posądzał on klubistów o związki z przyjaciółmi Ankwicza, donosił, że przed 4 maja aresztowano jednego z nich, „z powodu wysłędzonych przy rewizyi zdobytych papierów konneksyi jego z Moskwą.“ Wypadek z Lanerim, którego zdemaskowano w podobny sposób, uwalniając go jednak potem od odpowiedzialności i używając do posług w policji bezpieczeństwa, czyni prawdopodobnemi i takie zjawiska. Byłoby jednak przesadnem uogólniać ten fakt i twierdzić, że kluby składały się wyłącznie z ludzi niepoczytalnych politycznie; w takim razie nie zdołalibyśmy wytłómaczyć tego, że na schyłku powstania przystąpili do nich Jasiński i Tarszycki, że później, na emigracyi i w kraju, ich zwolennicy zdołali zgromadzić całe szeregi ludzi w swej organizacyi. To też ze świadectw pamiętnikarskich wiemy, że należeli do nich ludzie innej miary, dawni spiskowcy odłamu radykalnego, mający duże zasługi z doby spisku i walki dwudniowej. Takim był Tomasz Maruszewski, podobno właściwy organizator zwycięstwa warszawskiego, który 5 maja przybył znowu do stolicy z rozkazami Naczelnika i stał się głównym sprawcą wieszania 9 maja, takimi inteligentny i rzutki Jan Dembowski, ks. Meier, ks. Jelski i Konopka, posiadający znaczny wpływ na ludność stolicy, takimi wreszcie dość liczni oficerowie radykalni w rodzaju dzielnego Chomentowskiego. W deputacyach powstańczych przewijają się już i nazwiska młodszych członków klubu: Karola Eisbacha, Bartłomieja



Szuleckiego, Alojzego Orchowskiego, Kalasantego Szaniawskiego i in., którzy potem wytworzyli stronnictwo t. zw. jakobinów polskich.

Jakiż był program tych klubów? co przeciwstawiły one ostrożnej, umiarkowanej polityce Rady Zastępczej? Wiemy bardzo niewiele o aspiracjach tych „duchów francuskich“; słyszy się tylko o ich teroryzmie i demagogii. A jednak z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać można, że teroryzm nie był dla nich wszyskciem, że były one przedewszystkiem rzecznikami zaciętej, rewolucyjnej walki, jaką zapowiedział Akt Krakowski, następnie naśladowania przykładu Francyi, który mimo wszelkie zaręczenia Rady poruszał do głębi serca w Polsce. Zajmowały się one na pewno sprawą przyszłego ustroju Rzplitej, dyskutowały nad prawami człowieka, podnosiły myśl zmiany położenia włościan, choć nie wiemy dokładnie, w jakiej postaci. Joachim Moszyński doradzał potem Kołłątajowi—w celu zwalczania ich wpływów—wydanie pisma, „któreby mocno wytłómaczyło, że jak przezorność i oko dozorcze ludu francuskiego sprawiedliwie się tym objektem zatrudniają, kiedy ten naród razem i bije się i rząd stanowi, tak naśladowanie tegoż ludu przez Polskę jest zdrożnem, kiedy Polak przyrzekł sobie aktem rządu nie stanowić, póki się bić będzie.“ Zwracano się tu następnie ostro przeciw Radzie, zarzucając jej, że nie umie wyzyskać zapału ludowego. „Lud—mówiono—który rewolucyę tak sławną uskutecznił, jest z najwyższą pogardą traktowany. Subselia są napełnione ludźmi podejrzanymi, nawet szpiegami, dawniej od Rosyan płatnymi. W całych robotach Rady zdaje się być, jak gdyby arystokracja i zupełna anarchia były jedynym celem.“ Klubiści krytykowali również umiarkowanie Rady na polu dyplomacyi: żądali odrazu uwięzienia Buchholtza i ponowili to żądanie 8 maja, domagali się usunięcia od kierownictwa Wydziału dyplomatycznego zbliżonego do króla Dzieduszyckiego, któremu przypisywano widać rokowania medyacyjne. „Sposób traktowania z ministrami zagranicznymi—skarżono się tutaj—jest jeden dla wszystkich i z równą oziębłością traktowani szwedzki, duński, jak pruski.“

Tematu do dyskusyi klubowych dostarczało jednak głównie postępowanie Rady z królem i sprawa teroru rewolucyjnego. Klubiści stali się odrazu rzecznikami wszystkich podejrzeń ludowych, skierowanych w stronę zamku, mówiąc wciąż o zamierzonej ucieczce króla, o tajnych konferencyach jego zwolenników, o ukrywaniu na zamku Rosyan. Dzięki ich agitacyi, Rada została zmuszoną do przeprowadzenia formalnej rewizyi w zamku i ciągłego

dozorowania króla. Zwalczali oni Stanisława Augusta wznawianiem oskarżeń z r. 1792. Zarzuty te doprowadziły do publicznego pouczenia króla przez kaznodzieję, ks. Witoszyńskiego, na nabożeństwie za poległych, ścigały go, gdy ukazywał się przy sypialni okopów. „Patrz, królu — przemawiał do niego plakat, rozpowszechniony przy tej okazji—jak ten lud, który mężnie krwią i życiem zgromił nieprzyjaciół Ojczyzny, dziś tą samą mężną dłonią ryje twarde skiby ziemi na ugruntowanie tej tak drogiej wolności. Patrz, jak jest mocne i święte hasło: „naród z Ojczyzną! Ojczyzna z narodem!“ O, gdyby twoje hasło było prawdziwem, nie przyszłoby nam do tej konieczności rozlania tyle krwi ludzkiej.“ „Nie zaczynaj, Najjaśniejszy Panie!—dodawła na plakacie kobieta, widząc, że król bierze rydel do ręki—bo co zaczniesz, to wszystko źle się skończy.“

Chodziło następnie klubom o uwięzienie i ukaranie przykładne uczestników Targowicy i Grodna. Wymagała tego konieczność oczyszczenia atmosfery moralnej życia narodowego, uznawana zresztą przez szerokie koła społeczeństwa. Wypadki na Litwie, liczne akty województw, które, przystępując do powstania, żądały usunięcia od udziału w życiu politycznym narodu uczestników Targowicy i Grodna, przekonywały o tem dowodnie. Prąd ten ogarniał nawet nawskroś humanitarne warstwy inteligencji. „Tysiące obywateli obojej płci—pisał Zakrzewski o wypadkach 9 maja—którzy od podobnych egzekucyi oczy odwracali i przez życie swoje na one patrzeć nie chcieli, tym patriotycznym tragicznym scenom oklaski i okrzyki radości dawali.“ W tej sprawie klubiści mieli za sobą dużą część społeczeństwa i może dlatego cała ich działalność skupiła się na tem wyłącznym polu. Zażądali oni odrazu aresztowania całego szeregu osób, domagali się, aby poczty, furmani, przewoźnicy na Wiśle nie wypuszczali z Warszawy nikogo, a to pod karą śmierci, aby „papierów ruskich i w innych językach zabranych najspieszniejszą nastąpiła rewizya i tłómaczenie, a to w przytomności od ludu delegowanych, dla dojścia planu, wpływu i środków na zgubę Ojczyzny użytych i użyć przedsięwziętych.“ Byli oni zwolennikami łagodnego obchodzenia się z jeńcami wojennymi. „Żywność dla nich przyzwoita—żądali—żeby była obmyślona, iżby człowiek w niewoli zostający u ludu o wolność walczącego poznał, że słodsza niewola, niżeli wolność niekzennymi sucharami dawnych dowódców ich opłacana. Ranieni nieprzyjacielem—być powinna i nad tymi dana baczość, dlatego, że i to ludzie.“ Domagali się natomiast surowego traktowania „swoich wyrodných Polaków“ i takiego dozoru nad



nimi, któryby uniemożliwił ucieczki i porozumiewanie się między sobą.

Widzieliśmy, jakie stanowisko w tej sprawie zajmowała Rada; doprowadziło to odrazu do starć z klubistami, którzy ze swemi skargami zwrócili się do obozu. „Sąd Kryminalny Księstwa Mazowieckiego — pisali do Kołłątaja—obiecuję, że wszyscy kryminaliści będą uznani niewinnymi, bo już i o Rogozińskim mówią, że nie masz go z czego sądzić. Paszportów co niemiara wydają, a wielu takim, którzyby raczej do aresztu brani być powinni.“ Roli pośredników między nimi i obozem podjęli się kuryerzy do Kościuszki: Maruszewski, Joachim Moszyński przede wszystkim, którzy w Warszawie odegrywali rolę krytyków, a nawet i cenzorów nowego rządu. Taki np. Moszyński przeprowadzał tutaj epurację urzędów: usunął z deputacyi powstańczych Rylskiego, „redaktora praw grodzieńskich,“ Płońskiego, urzędnika policji marszałkowskiej, którego na jego rozkaz wzięto nawet do aresztu, pozbawił bankiera Maysnera udziału w dozorze więźniów dyplomatycznych rosyjskich. Maruszewski i Moszyński skargi klubów zawozili Kołłątajowi.

I należy stwierdzić wyraźnie, że we wszystkich tych sprawach, z wyjątkiem medycacji pruskiej, Kościuszko w tym czasie zgadzał się ze stanowiskiem klubów; wystarcza do przekonania się o tem proste zestawienie faktów. Z korespondencyi Zakrzewskiego okazuje się np., że nieprzyjęcie akcesu króla do powstania, odebranie mu gwardyi, mennicy, surowe kontrolowanie jego korespondencyi, nastąpiło na wyraźne życzenie Naczelnika. Wbrew żądaniu Rady, a zgodnie ze stanowiskiem klubów — polecił on również aresztować Skarszewskiego, Moszyńskiego i Massalskiego, ganił bardzo surowo zwłoki w rewizyi papierów poselstwa rosyjskiego, niedbalstwo w dozorze więźniów, łagodność praktyki paszportowej. Kluby skarżyły się na Dzieduszyckiego, Kościuszko polecał ograniczyć jego wpływ; kluby mówiły o przeciążeniu podatkowem biedniejszej ludności, Naczelnik rozkazywał skreślić szereg niższych pozycyi poboru i zwrócić nawet pobrane pieniądze; kluby wreszcie narzekały na fatalny, niepewny skład niektórych deputacyi — i zaraz z obozu przychodziła surowa nagana. Jednem słowem—stanowisko ówczesne Kościuszki było dalekiem od tego umiarkowania politycznego, jakiego się trzymała Rada. Doprowadzało ją to stopniowo do przekonania, że nie posiada zaufania w obozie. „Rada—broniono się przed Kościuszką—acz przy największej usilności dopełniła tego, co zapiał ludu i pomnożenie siły zbrojnej zapewnić może, wdzięcznie przyjmuje napom-

nienia od tej ręki, która, dźwigając naród z upadku i niewoli, całemu narodowi pomyślność ma odzyskać... Że Rada jaknajściślej zwróciła baczną uwagę na osoby podejrzenia jakowemu podległe i w opinii publicznej źle położone, o tem lista aresztowanych... dosyć przekona. Między którymi... nie wiele takich liczyć się może, na którychbyśmy przekonywające dotąd mieli dowody... Straż tych aresztantów, gdy dla niesposobności komendanta do dawania regularnego żołnierza, przez osoby cywilne odbywaną bywa, wiele stąd błędów i przestępstw się okazało... Strofowanie Twoje Naczelniku, żeśmy wypuszczali z Warszawy takie osoby, za przestrogą nadal przyjmując, nie baczymy się dotąd do winy... Wydział dyplomatyczny zatrudnia się ciągle rewizją mnogich papierów... Znajdziesz w nich zbiór niemały zdrad przeciw narodowi i płatnych jurgielników na zgubę naszą; które zaś osoby z tychże wyśledzone zostały, a w obrębie Warszawy się znajdują, te już wolne nie chodzą... Ponawiając więc prośbę, ażebyś nam szczególniejsze dawał zlecenia, które osoby z Departamentu żywności chcesz mieć wyrugowane, dopóki tej nie odbierzemy, staraniem naszym będzie, ażeby w niej zdrady się nie popełniały... Nieukontentowanie Twoje, gdyby przeszło do ludu, już nie osłabić (władzę naszą rządową), ale ją roznieść może.“ Tak pisała Rada jednak dopiero w dniu 22 maja, na schyłku swych rządów, gdy już poprzednio szereg demonstracji ludowych, zmusił ją do ustąpienia z zajętego pierwotnie stanowiska. Kluby potrafiły wyzyskać i ferment panujący wśród ludności i niezadowolenie obozu z polityki Rady, doprowadzając przez to, niestety, do formalnej anarchii w Warszawie.

## V.

Do pierwszej demonstracji ludowej, zorganizowanej przez kluby, doszło już około 21 kwietnia i Radzie Zastępczej przedstawiono wtedy t. zw. „żądania obywatelskie“, złożone z 23 punktów. Klubiści domagali się tutaj między innymi, „żeby Rada przynajmniej jedną osobę wyznaczyła do słuchania wszelkich od ludu doniesień i te natychmiast potem ad plenum dochodziły i w wypadkach potrzebnych niezwłoczna bacząca zaradzająca wynikała skutecznie,“ „żeby lud mógł niezwłocznie wiedzieć o sile do odporu będącej: wiele jest amunicji w arsenale, prochu, armat własnych, a wiele nieprzyjacielowi odebranych i jakiej wielkości,“ „żeby z odleglejszych od Warszawy miejsc na wszystkie strony ustawiczne i pe-



wne dochodziły wiadomości o najinniejszem postępowaniu nieprzyjaciela.“ Była tu mowa następnie o dozorze nad królem, aresztowaniach, o niewypuszczaniu nikogo ze stolicy, rewizyi zdobytych papierów, dozorze więźniów etc. Rada ustąpiła odrazu na wszystkich prawie punktach, jak świadczą dowodnie jej protokoły z dni 21—24 kwietnia, starając się tylko uratować pozory. „Wypadają zdarzenia—odpowiadała w odezwie z dn. 22 kwietnia na główne żądanie klubistów—że lud skupiony... czeka oświecenia lub uwiadomienia rzetelnego... w takowym przypadku powinnością będzie każdego urzędnika... stanąć w gronie ludu, żądania jego wysłuchać, zapytanie rozwiązać, umysły oświecić, a po takowem oświeceniu lud za rekwizycją przez urzędnika swego nieodwłocznie uspakając i rozchodząc się będzie... Żeby zaś tenże lud urzędników swoich... poznawał, każdy zasiadający w Radzie Zastępczej, jako konsyliarz, będzie mieć na lewej ręce chustkę ponsową zawiązaną.“ Równało się to, jak widzimy, zupełnemu ustąpieniu w praktyce, przy zachowaniu pewnej godności, co do formy. Ograniczono, stosownie do żądań ludu, wydawanie paszportów, rozciągnięto dozór nad pocztą i przewoźnikami, nakazano rewizyę zdobytych papierów, utworzono Sąd Kryminalny, obostrzono dozór nad więźniami. Rada uznała dokonane przez lud uwięzienie Kosakowskiego, zabrała z zamku Ożarówskiego i Ankwicza, od rezydentów szwedzkiego i saskiego, Antoniego Czetwertyńskiego i Karola Boscampa, przyjęła wreszcie oskarżenia co do konferencji w zamku i ukrywania się tam Rosyan. Musiała ona w tym czasie uleść również żądaniom ludu w sprawie pierwszorzędnej wagi: mianowicie 23 kwietnia, chcąc ułatwić sobie dozór nad ludnością, nakazała ona zwrócić broń zabraną z arsenału, a już 24 kwietnia cofnęła prawie całkowicie to zarządzenie. Położenie jej było nie do pozazdroszczenia, jak świadczyła choćby przytoczona powyżej częściowo „Proklamacya względem zachowania spokojności.“ „Ta wspaniała rewolucya, sprawiona w nieporządku i rozpacz, odłąd porządkiem jedynie utrzymana i dalej prowadzona nim być powinna... Okażcie, iż według potrzeby umiemy być zarówno mężnymi odporcami przemocy i spokojnymi obywatelami. Ufajcie pieczołowitości i nieustannemu staraniu Rady, wybranej przez Was.“ Grożono tu w końcu użyciem siły wojskowej w razie, gdyby tłum, wezwany przez urzędnika do rozjeścia się, nie usłuchał tego wezwania.

Ani ustępstwa te, ani groźby nie pomogły. Rada, wydając w czasie od 24—30 kwietnia coraz surowsze przepisy o paszportach, dozorze więźniów, powiększując kompetencyę Sądu Krymi-

nalnego, ustanawiając wreszcie Deputację Indagacyjną, nie zmieniła w niczem swych przekonań i łagodnej praktyki, stwarzając tylko przez to położenie mocno niewyraźne. Klubiści czuli za sobą poparcie ludności i uzyskali w tym czasie silny argument przeciw Radzie w postaci wiadomości z Wilna, gdzie, jak widzieliśmy, nie liczone się wcale z zastrzeżeniami Aktu Krakowskiego co do wymiaru sprawiedliwości. Ich akcja zarysowywała się coraz silniej. „Zgiełk ich (klubów)—donosił Zakrzewski Kościuszcze—częstokroć imponować nam zaczyna.“ Demonstracye ponowiły się. „Sądowi kryminalnemu (klub) aż do ulęknienia zagroził“; klubiści aresztowali na własną rękę i osadzali z powrotem w więzieniu ludzi, których Rada poleciła wypuścić.

Szałę zwycięstwa na korzyść klubów przechyliła ostatecznie demonstracya 1 maja. Rankiem tego dnia przed ratuszem zjawiły się tłumy ludu, a w ich imieniu deputacya „mniej przyzwoicie“ przełożyła Zakrzewskiemu nowe żądania. Była w nich mowa o zwiększeniu dozoru nad więźniami i konieczności nowych aresztowań, między innymi—Massalskiego, Skarszewskiego i Moszyńskiego. Rada znalazła się w położeniu wyjątkowo trudnem, bo właśnie tego dnia o 6 rano Sokolnicki przywiózł nakaz Kościuszki, aby aresztować tych trzech ludzi. Wypadło tedy znowu uledez. „Lubo co do tych trzech osób już wzmiankowanych—donosił Zakrzewski—skutek nastąpił, jednak do poznania (klubowi) dosyć się dało, że to bynajmniej nie następuje z jego nalegania.“ Było to, niestety, złudzeniem, bo tegoż dnia cała Warszawa wiedziała, że polecenie aresztowania przyszło z obozu. Klubiści stali się odtąd panami sytuacji. „W sposób łagodniejszy—pisał Zakrzewski do Kościuszki 4 maja—chcielibyśmy się pozbyć tych oratorów, którzy brzmiącemi deklamacyami lud mamia, a nam przeszkody czynią. Obwieszczenie Twoje w tej mierze jakie, potrafi stłumić to przypstrzone niby duchem gorliwości towarzystwo.“

Od tego czasu jawnie i systematycznie kluby przygotowywały wszystko do wielkiej, decydującej demonstracyi, przez którą chciały zmusić Radę do pójścia za przykładem Wilna. Pisał o tem do Kościuszki Zakrzewski już w dniu 4 maja, donosił mu również Stanisław August 5 t. m., przewidując z góry, że Rada znowu będzie musiała ustąpić.

Wypadki 8 i 9 maja zdyskredytowały już całkowicie Radę. Alarm 8 maja, którego sprawców nie wykryto nigdy, gdyż aresztowanych doraźnie 4 ludzi z pośród otoczenia Ankwicza wypadło uwolnić, podobnie jak i 6 klubistów, z powodu oczywistej niewinności, wstrząsnął do głębi stolicą. Była to jedna z tych



panik masowych, przejmujących na razie uczestników do głębi duszy, po których na drugi dzień zostaje tylko pytanie, skąd się to wszystko wzięło i uczucie nieokreślonej niechęci do całego świata z wyjątkiem siebie samego. Lud zwrócił się wtedy głównie przeciw Stanisławowi Augustowi, którego nawet Rada posądzała poważnie o zamiar ucieczki. „O którym wyjeździe (króla) dowiedziawszy się, Mokronoski zaraz dysponował kilkadziesiąt koni z nowo erygowanego pułku wolontaryuszów pułkownika Ośmiałowskiego, ażeby w rezerwie znajdowali się, jeżeliby król do umknienia pokusił się śmiać.“ Wypadło wysłać odrazu delegację na zamek z żądaniem, „ażeby (król) spacerów nie używał, tylko w Saskim Ogrodzie... i przyjął 4 lub 8 adjutantów municypalnych, którzyby bezpieczeństwa jego osoby pilnowali.“ Ale wkrótce burza skierowała się i przeciw Radzie. Doszło do „fermentacyi i zgromadzania się w różne miejsca ludu“ i „nieskończonych to na króla, to na komendanta, a wreszcie i na mnie i na Radę suppozycyów“—pisał o tem Zakrzewski.

W tym stanie rzeczy, gdzie cały świat szukał winnych, klubiści z łatwością zdołali przeprowadzić swoje. „Między godziną 10 a 12 w nocy publiczność stawianiem się szubienic... zatrudniła, których budowania lud pod bronią nieodstępnie dopilnował.“ Rada wiedziała o wszystkim: podobno Mokronoski chciał użyć wojska, ale niepodobna było liczyć na oficerów, z których wielu wzięło udział w demonstracyi dnia następnego. Skończyło się na tem, że do ludu wysłano Kilińskiego, który, przekonawszy się o bezskuteczności swych przemówień, faktycznie przyłączył się do ruchu i poparł swą popularnością żądania klubistów. Nazajutrz Rada musiała uleść wobec nacisku tłumu, który wdarł się do ratusza, a wśród którego zauważano licznych przedstawicieli inteligencji i wojska. Tylko Wulfers i Wybicki próbowali się opierać, wystawiając się na znaczne osobiste niebezpieczeństwo; niektórzy z konsyliarzy Rady, mimo wezwań, nie zjawili się wcale na tę niebezpieczną sesję. Wypadło więc starać się tylko o to, „ażeby supplicium nie było ante iudicium,“ jak mówił Zakrzewski, aby, ulegając żądaniu ludu co do stracenia 4 najwinniejszych z pośród więźniów politycznych, nadać ich procesowi jaką taką formę legalną. Rozszerzono więc kompetencję Sądu Kryminalnego, dostarczono mu dowodów przeciw winnym, przeprowadzono śledztwo i proces, egzekucję nareszcie—w łącznym okresie czasu 4 godzin.

Kluby tryumfowały. „Już tedy życzenia wszystkich dobrze Ojczyźnie życzących obywateli są skuteczzone—pisała „Gazeta

Wolna Warszawska—już kilku zdrajców, którzy ją zaprzędawali, łącząc bezczelność z szyderstwem, odebrało karę... Odrodni synowie Ojczyzny niech się dowiedzą, że teraz w Polsce zbrodnie dumnych magnatów nie ujdą bezkarnie, że nad ich przewrotną głową miecz sprawiedliwości wisi.“ Zapominano tylko, że taki sumaryczny sposób postępowania, nawet w stosunku do tych 4 ludzi, z których każdy niewątpliwie zasługiwał na swój los, dyskredytuje poważnie w Polsce myśl wymiaru sprawiedliwości za zbrodnie wobec kraju.

Rada poszła odtąd jakby na lewo, w stronę pewnego radykalizmu. W swych uchwałach i odezwach mówiła o wzorowym zachowaniu się ludu, rozszerzyła kompetencję Sądu Kryminalnego do wszystkich spraw, datujących się od dnia 24 marca, nakazała zredagować listę zbiegłych przestępców politycznych. „Z dobrowolnego ustnego zeznania tych łotrów (straconych 9 maja)—pisała do Kościuszki—bardzo ważne nam się odkryły rzeczy, przez których dalsze wysledzenie więcej się jeszcze robót zdradzieckich przeciw Ojczyźnie odkryje. Zeby jednakowoż miejsca łotrów nie wakowały, na miejsce ubytych Ostroróg, Tęgoborski, Staniszewski i Cerner osadzeni zostali.“ Zwiększono trochę dozór nad więźniami, energiczniej zajęto się sprawą rewizyi papierów, polecono przyspieszyć proces znienawidzonego w Warszawie intendenta policji Rogozińskiego, którego stracono 15 maja.

Nie przejechało to klubistów, zrażonych aresztowaniami i śledztwami z powodu zajęć 8 i 9 maja, które Sąd Kryminalny prowadził energicznie. Wyzyskali oni później sprawę znienawidzonego przez siebie członka Rady, Wulfersa, który zgubił się swą nielegalną i dziwaczną wizytą u więźniów politycznych w dniu 15 maja, a którego w śledztwie podejrzewano o to, że usunął z papierów poselstwa rosyjskiego dokumenty kompromitujące Stanisława Augusta. Z klubów szły nadal do obozu oskarżenia Rady o słabość, przyjmowane tam, jak widzieliśmy, coraz chętniej.

Zmiana postępowania Rady zraziła natomiast do niej te umiarkowane warstwy mieszczańskie i szlacheckie, na których się dotąd opierała. Teror był tutaj stanowczo niepopularnym. Dowodził tego już choćby fakt, że w dniu 9 maja Jan Małachowski, członek Rady, uwolnił się od zasiadania w Sądzie Kryminalnym, że 14 maja Sowiński i Baczyński zażądali dymisji ze swej godności sędziów, a cały skład Sądu nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za proces sumaryczny i żądał od Rady wyrażnego zdjęcia jej z siebie. Jednak i Rada nie czuła w sobie siły moralnej do tego i odwoływała się do obozu. „Bardzo zagrażają,



ale słabe tylko umysły—pisano 12 maja—szmery rozmaite, które patryotyzmu maskę na siebie wciskające osoby, a przez intrygę moskiewską zapewne zakupione, przeciw zwierzchności i magi-straturom tutejszym rozsiewają, rozgłaszając to, co skład Rady naszej w sekrecie między sobą chciał mieć zachowane, to jest, że Rada nasza Zastępcza, na fundamencie Aktu Krakowskiego, nie miała mocy do sądzenia i ukarania za dawniejsze występki stanu. Trzebaby więc w tej mierze coś takowego publiczności wydać, coby też publiczność zaspokoilo i postępowanie tak Rady, jak i Sądu Kryminalnego usprawiedliwiło.“

W obozie zdecydowano się jednak skończyć z tym stanem rzeczy, który coraz bardziej szkodził sprawie powstania.

Dn. 24 maja nieprzeliczone tłumy ludu prowadziły od okopów przez Nowy Świat do ratusza idącego pieszo Ignacego Potockiego i otaczały powóz, w którym obok Kilińskiego siedział chory na nogi Kołłątaj, kłaniający się na wszystkie strony. Cała Warszawa wyległa na ulice: stały tu pod bronią szeregi milicyi, muzyka przygrywała wesole marsze, a tłumy brzmiały wiwatami i oklaskami; wieczorem oświetlono częściowo miasto. W tych owacych łączyły się wszystkie żywioły stolicy. Umiarkowani widzieli rękojnię w Ignacym Potockim; klubiści odprowadzali uroczyście Kołłątaja do domu, wygłaszając przytem liczne mowy; lud wreszcie witał w nich wysłańców człowieka, którego tak już często zapowiadano w Warszawie, a który miał przynieść spokój, a może i zwycięstwo decydujące i ustalenie losów Rzplitej... Naczelnika. Rządy Rady Zastępczej Tymczasowej dobiegły swego kresu.

WACŁAW TOKARZ.

# KARTKI

## z pamiętnika Michała Starzeńskiego

(1757 — 1795).

XXXI.

Zakończyłem tedy swoje czasowe urzędowanie. Znajdowałem się w pozycji miernego aktora, który choć zmęczony swoją rolą, kontent jest przynajmniej, że go w niej nie wygwizdano. Unikałem rozmaitych okazji, które mogły nadwerekzyć mój spokój, zdrowie i majątek. Zawdzięczam to nie tyle mojemu osobistemu rozumowi, ile przymusowemu zajęciu, które zapełniło wszystkie dnie i godziny.

Kończyłem obowiązkową moją pracę o godzinie siódmej wieczorem, posiliwszy się, siadałem na konia i wyjeżdżałem na miasto, następnie udawałem się do Antoniego Dzeduszyckiego, gdzie się zgromadzało zawsze dosyć liczne towarzystwo ludzi rozumnych; była więc poważna rozmowa, a także partya szachów, fajki i łatwość dowiedzenia się, co słychać w świecie, a głównie co się działo na Sejmie.

Po Konstytucyi 3 Maja nasi panowie i młodzież cała wróciła do dawnego polskiego stroju. Strój ten i wąsy tak mnie zmieniły, że mało kto mógł mnie poznać.

Pod względem majątkowym wcale dobrze stałem. Osiem tysięcy złp., które pobierałem rocznie, wystarczały prawie na moje utrzymanie. Najważniejszy ówczesny wydatek stanowiło uformowanie mego szwadronu, co mnie przeszło 40,000 złp. ko-



sztowało. Dochody z mojej ekonomii regularnie wpływały. Te ostatnie lata były bardzo dobre. Całe Podlasie, dowożąc produkta wiejskie do Warszawy, miało zyski niezwykłe. Chłopi ze starostwa brańskiego, drobni dzierżawcy płacili swoje należności samymi dukatami. Zona moja, zarządzając majątkiem, żaliła się tylko na brak drobnej monety miedzianej, która gdzieś znikła zupełnie. Dla synów moich wyszukałem odpowiedniego nauczyciela, był nim eks-kapitan Miller.

Strabla odległą była od Warszawy o 16 godzin drogi. O dom byłem zupełnie spokojny, bo wiedziałem, że żonie i dzieciom na niczem nie zbywa. Teraz, mając więcej czasu, mogłem zrobić bilans swoich własnych interesów. Miałem lat 34, zdrowie żelazne i oprócz majątków ziemskich około 27,000 dukatów w złocie. Zapomniałem powiedzieć, że zdarzyło mi się nabyć ładny folwark o dwie mile od Warszawy, Młociny; było to ulubione miejsce pobytu hr. Brühl'a, naczelnego komendanta artylerji, któremu rozmaici współzawodnicy, zazdroszczący wysokiego stanowiska, różne robili szykany. Zona jego, Saksonka, namówiła go, żeby to miejsce porzucił, co też uczyniwszy, ulubione Młociny mnie za bardzo umiarkowaną cenę ustąpił. Nie mając dosyć czasu, żeby się zająć zagospodarowaniem tego folwarku, wypuściłem go w dzierżawę domowi bankowemu Tepper i Schultz bez kontraktu, tylko na ósmy procent od wyłożonego przezemnie kapitału.

W takich to okolicznościach powróciłem w jesieni 1792 roku do Strabli, gdzie znalazłem pożądaną ciszę i spokój, bo wojsko rosyjskie wymaszerowało na kwatery zimowe, szwadron strzelców wrócił do Białegostoku, a brygada Ożarowskiego do Bielska.

### XXXII.

W roku 1793 matka moja i bracia powołali mnie do Galicyi w celu uzupełnienia podziału majątków, pozostałych po ojcu. Pośpieszyłem tam i w ciągu dni pięciu działy były zrobione, na podstawie testamentu ojca naszego. Ja zostałem przy moich majątkach na Podlasiu z dodatkiem folwarku Markopol w Galicyi, przytem wziąłem na siebie spłacenie długów ojca. Stanisław otrzymał Mogielnicę, Ksawery 240,000 złp. na Koniuszkowie oraz majątek Olejów, przyjmując na nich prawa dożywocia naszej matki. Brat mój, Adam, wziął z ogromnymi lasami Sassów. Ksawery, będący już w wieku, w którym można myśleć o ożenku,

prosił mnie, żebym go oświadczył pannie Jabłonowskiej, córce wice-prezesa Sądu szlacheckiego. Zająłem się tem energicznie i w ciągu czterech tygodni wszystko było skończone. Działy nasze wciągnęto do ksiąg stołowych królewskich. Prócz tego podzieliliśmy się stadniną i meblami. Wszyscy byli zadowoleni, a ja łudziłem się słodką nadzieją, że się te kwestye działów na prawdę i na zawsze skończyły.

W roku 1793 brat mój, Adam, przyjechał na wiosnę do Strabli w zamiarze ożenienia się. Hr. Zaleski, przepędziwszy jak najspokojniej cztery lata sejmowe u siebie w Borkach, w Galicyi, powrócił właśnie do dóbr swoich, Turośli, ze swoją siostrzenicą, Konstancją. Ponieważ ojciec w swojej ostatniej woli wyraził życzenie, żebym się zajął ożenieniem moich braci, a więc wybraliśmy się z Adamem do Turośli.

Następnie hr. Zaleski przybył z siostrzenicą do Strabli. Tutaj urządziliśmy nawigację, maskaradę w rodzaju wschodnim w biały dzień; ja, jako basza ze Strabli, wyjechałem na statku udekorowanym wspaniale naprzeciw baszy z Turośli, przeprowadzającemu się ze strony przeciwnej przez rzekę. W czasie tej podróży, przyjęcie, chłodniki, sorbety, wszystko po turecku. Adam ubrany za murzyna-niewolnika, którego ja ofiarowałem baszy turoślskiemu, który znów ofiarował go swej siostrzenicy; ta zdjęła z niego kajdany żelazne, a włożyła za to kajdany z róż, którymi go owinęła. Na brzegu czekały posiadłane konie, ale basza z Turośli, będąc bardzo otyły, wolał wsiąść do wygodnego powozu, i tak przyjechaliśmy do Strabli. Tutaj był obiad, później maskarada, tańce do białego dnia; na drugi dzień zamiana pierścionków, oddanie podarunków, które w tym celu przywiozłem z Warszawy. Później droga wspólna do Grodna, gdzie mieszkał brat panny, Jundziłł, którego trzeba było o przyzwolenie na ten związek prosić. Odbyło się świetne bardzo wesele w Turośli, poczem państwo młodzi wyjechali do Galicyi.

Znów więc spełniłem wyrażone w testamencie ojca polecenie zajęcia się losem braci i miałem nadzieję odpocząć trochę w domu, ale była to tylko illuzya. Emisaryusze francuscy kręcili się po kraju, różni intryganci zjawiali się z propozycjami podpisów, okazowali jakies papiery hieroglificzne, trójkąty nakłute kropkami, usiłowali tłómaczyć ich znaczenie, ale sami widocznie ich nie rozumieli; kończyło się to wszystko zawsze wyłudzeniem pieniędzy. Miller, nauczyciel moich synów, odbierał masę listów, pisywał sam całemi nocami, a gazety cheiwie czytywał. Sejm był



zwołany do Grodna; były więc sejmiki, na których różne tworzyły się partye.

Król przybył do Białegostoku pod ochroną wojska rosyjskiego. Lista deputowanych nie była dostateczną. Prawdziwi patryoci uchylali się od wyborów. Rosyanie, a raczej cesarzowa Katarzyna oburzona była na króla, który nie mógł spełnić obietnic kaniowskich. Sejm się odbył. Kolega mój, Bieliński, człowiek pod każdym względem nieodpowiedni, został obrany marszałkiem. Projekt nowej konstytucyi, przypominającej trochę Konstytucyę 3 Maja, został uchwalony. Ministrowie, rosyjski i pruski, otrzymali od Sejmu sankcyę nowego podziału kraju na zasadzie zajętych już przez ich wojska kordonów. Wojska te tak były rozmieszczone, że nasze najlepsze oddziały były niemi ze wszystkich stron otoczone.

Rosyanie mieli sposobność ocenienia zalet wojsk polskich; to też oficerom wyższych stopni ofiarowywano miejsca w wojsku rosyjskiem. Utworzono brygadę kawaleryi z nazwą „Brygada złotej wolności.“ Sformowano regiment ułanów, niczem się nie różniących od dawniejszych. Król pruski robił ze swej strony różne propozycye wojskowym, znajdującym się w jego kordonie. Z wojska polskiego pozostało to tylko, co się trzymało w bliskości granicy austryackiej; ale i o tych już myślano, żeby im podciąć skrzydła. Wiadomem było, że nowa komisya wojenna, której prezesem był Ożarowski, mianowany hetmanem, obradowała nad zmniejszeniem i zreformowaniem tych resztek armii polskiej. Radzono bardzo sekretnie, ale ten sekret wszystkim był znany.

Co do mnie, to widziałem wyraźnie, że jeszcze nie przebyłem „pola“ ze snu ojca mojego i że roztropniej będzie od wszystkiego się usunąć.

### XXXIII.

Trzy państwa sprzymierzone przyczyniły się bezpośrednio do upadłości bankierów krakowskich, warszawskich i poznańskich. Kiedy trzeci podział był już dokonany, każdy z rządów starał się poufnie uprzedzić kapitalistów w nowych posiadłościach, ażeby zakończyli swe rachunki z domami bankowymi i wogóle ze swymi kredytorami.

Zazwyczaj bankierzy udawali się na kontrakty do Mińska gubernialnego, do Lwowa lub Dubna, ażeby zaciągnąć tam nieraz

milionowe pożyczki. Na takich kontraktach ogromne z rąk do rąk przelewały się sumy. Bankierzy zgłaszali się do większych posiadaczy i ofiarowywali 7 lub 8 procent od kapitałów a dostawszy tyle, co chcieli, wracali do swoich stolic. Tutaj dopiero pożyczali już to panom, już to młodzieży lub samemu królowi, a także i kupcom rozmaitym; dostarczali też wiele rzeczy, sprowadzanych z zagranicy, wszystko jednak na bardzo wysokie procenty. Wielu też bogatych panów zamiast trzymać pieniądze w domu, wołało je złożyć u bankierów i stamtąd w miarę potrzeby czerpać, robiąc ogólny obrachunek przy końcu roku.

Wojna 1792 r. pomieszała szyki tych operacji. Wszyscy posiadacze kwitów depozytowych zgłosili się po odbiór złożonych pieniędzy. Na kontraktach w Dubnie i Lwowie kapitaliści zatrzymali przy sobie swoje walory; bankierzy wrócili z niczem. Powtórzyło się to samo i w Mińsku. Skoro w Warszawie panowie zażądali zwrotu swoich kapitałów, w braku własnych pieniędzy wypłacano do pewnego czasu cudzymi; i oto cała historia ówczesnego bankructwa.

Rząd rosyjski miał u nich znaczne sumy, rząd pruski także swoje pretensye. Trzy sprzymierzone potencje postanowiły utworzyć Komisję główną, złożoną z jednego prezesa i z dziewięciu komisarzy, po trzech z każdego państwa i tym była dana władza ostatecznego sądzenia wszystkich interesów i obrachowywania strat tych poddanych, którzy do danego mocarstwa należeli.

Hr. Raczyński, prezes komisji, uprzedził mnie bardzo uprzejmym listem, że jestem wyznaczony jednym z trzech komisarzy ze strony Rosyi. Był to co prawda sposób łatwiejszego zakończenia swojego interesu; ale *sen* mojego ojca, przedstawiający pole nieskoszone, przyszedł mi na myśl, a widząc, że obowiązek taki zatrzymać mnie może jakie lat kilka w Warszawie, wołałem od tego się usunąć. Odpisałem hr. Raczyńskiemu, że ponieważ sam jestem mocno interesowany, mając w masie upadłości majątek Młociny i kapitał, zdaje mi się więc, że nie mógłbym być razem i sędzią i petentem. Gdyby jednak sprawa moja mogła być sądzoną jedną z pierwszych, to wtedy służyć będę chętnie.

Zamianowano kogo innego na to miejsce. Dopiero w końcu 1793 r. Komisya rozpoczęła swoje publiczne posiedzenia. Dano mi znać, żebym przybył do Warszawy. Przybywszy, pooddawałem wizyty naprzód prezesowi Raczyńskiemu, a następnie dziewięciu komisarzom, z których nie znałem żadnego. Ponieważ trzech komisarzy pruscy umieli tylko po niemiecku, musiałem osobiście sporządzić o mojej sprawie referat w języku niemieckim, ażeby,



gdy przyjdzie sprawa moja na wokandę, wiedzieli o co w niej chodzi.

Tymczasem cała Warszawa była w ogromnym ruchu. Będąc niezłym fizyognomistą, mogłem wyczytać w wyrazie twarzy spotykanych na ulicy osób ogromne zaniepokojenie. Zbliżał się także dzień, w którym Komisya miała rozpocząć swoją czynność w sprawie Tepperowskiej i los moich 27,000 dukatów oraz Młocin miał być rozstrzygnięty.

Dom Teppera, zajęty na Trybunał w tej sprawie, znajdował się naprzeciw pałacu generał-komendanta Warszawy Igelströma. Ulicą Miodową nieustannie defilowały bataliony wojsk rosyjskich, które przeciągały z wielką paradą; posterunki gwardyi przy pałacu zmieniały się co parę godzin. Czuć było wewnętrzne wrzenie w pośród ludności Warszawy — całe miasto dzieliło się na różne tajemne stowarzyszenia. Były schadzki przy zamkniętych drzwiach. Trzeba było widzieć, co to się wówczas działo. I ja też w końcu dowiedziałem się o wszystkim.

Pułkownik Cichocki <sup>1)</sup> mnie zawdzięczał swoje stanowisko, poczuwał się też do okazania mnie swej wdzięczności, skoro się ku temu sposobność zdarzyła. Będąc naówczas szefem Komisarjatu i generał-majorem, zmuszony był pozostać w Warszawie, ażeby doczekać się zwrotu pieniędzy, wyłożonych ze swych oszczędności na rozliczne dostawy wojskowe. Dzięki swym zdolnościom i niez mordowanej pracowitości, został mianowany komisarzem wojennym. Następnie Ożarowski, zostawszy hetmanem, mianował go komendantem miasta Warszawy, przydawszy mu do nadzoru nad nim generała rosyjskiego, który podpisywał jego rozkazy, rozporządzenia, paszporty i zdawał o wszystkim sprawę Igelströmowi. Ten to właśnie gen. Cichocki oraz krewny mój, Antoni Dzieduszycki, uprzedzili mnie o grożącym mi niebezpieczeństwie.

Mój szwadron wraz ze szwadronem Ożarowskiego<sup>2)</sup>, powróciwszy z kampanii 1792 r., znajdowały się właśnie na Pradze.

<sup>1)</sup> Jan August.

<sup>2)</sup> Kajetan Ożarowski, starszy syn hetmana, urodzony z tegoż pierwszej żony Pacówny, generał-brygadyer wojsk narodowych, zmarły w 1811 r. w Horynce, pod Krzemieńcem, majątku żony swej, kobiety wielkiej świętobliwości, Cecylii z Platerów, kasztelaniki trockiej (niektóre o niej szczegóły podaje Karolina Nakwaska w dziełku, p. t. „Cecylia z Platerów O. Obrazek z życia rzeczywistego.“ Lwów, 1876); synem ich był zmarły *in opinione sanctitatis* w kła-

Utraciły one jednego oficera i dwóch jezdnych szeregowców, nie było ani jednego dezertera. Z radością witałem dzielnych moich żołnierzy, ażeby im lepiej zadowolenie moje okazać, rozdałem w pośród nich kilkadziesiąt dukatów. Każdy inny zrobiłby to samo na mojem miejscu. Fakt ten jednak zauważono i doniesiono Igelströmowi, który niezwłocznie obydwu szwadrony odesłał do ich brygady. Ja sam, uprzedzony w porę, miałem się na ostrożności; ale dzięki znajomości mojej z kilku oficerami rosyjskimi, sprawę tę umorzono. Klubiści francuscy nie dowierzali mi, biorąc mnie za stronnika pruskiego; z drugiej strony inni wojskowi z gwardyi królewskiej pułku liniowego Działyńskiego mówili mi na ucho: „Nie zobowiązujemy pana do niczego, ale jesteśmy go pewni.“

Jednem słowem czułem się, jak na wulkanie. Rewolucya wojskowo-ludowa mogła wybuchnąć lada chwila. Król, którego widywałem u pani Branickiej, był przybity i niespokojny. Pewnego razu zwierzył mi swe troski. „Widzę—mówił—że naród pędzi ku rewolucyi, ku swojej zgubie, na to nic już poradzić nie można, niech się stanie wola nieba.“ „Miłościwy panie — odrzekłem — gdybym miał do wyboru długą, nieuleczalną chorobę i wszystkie trwogi powolnego konania, wolałbym umrzeć odrazu na polu bitwy. Choroba naszej Ojczyzny trwa od wieku, stanowczo zaś od 1717 r., Wasza królewska mość niema sobie nic innego do zarzucenia jak to, że przybył zapóźno, aby odrodzić Polskę. Wnioskuje zatem, że lepiejby było, aby rzeczy zdecydowały się odrazu, aniżeli...“ Tu przybycie kilku osób przerwało rozmowę, po której król nabrał przekonania, że należę do klubu zapamiętałych szaleńców.

Postronnie wiedziałem również, że się rewolucya gotuje; to też posuwałem, jak mogłem, swoją sprawę. Nakoniec nadszedł dzień, w którym dozwolono mi bronić osobiście sprawy mojej przed Komisją trzech państw sprzymierzonych. Dowodziłem przede wszystkim praw swoich do majątku Młociny, wykazałem czarno na białem kwitami daty i wysokość sum, złożonych u Teppera. Wygrałem sprawę większością ośmiu głosów przeciw jednemu. Obliczono według mojej książki kapitał z 7%, odłączono majątek Młociny od masy upadłości. Jedynie 12 dukatów odesłano masie

---

sztorze na Bielanych, pod Krakowem, ks. Wiktor Ozarowski, ur. 1799 r., zm. 1871 r. (Pisali o nim ks. Prokop w „Żywotach Świątych“ i Ludwik Dębicki w „Portretach i sylwetkach,“ wyd. w Krakowie 1900 r.).



Teppera. Suma znajdowała się w kasie. Wydano mi kwit do odebrania swoich pieniędzy. Wszyscy ogólnie przyklasnęli wyrokowi sądu; załatwiwszy inne drobne formalności, udałem się na obiad do hr. Antoniego Dzieduszyckiego, gdzie zastałem gen. Cichockiego. Pieniądze miały być wypłacone o godz. 6 wieczorem. Prosiłem hr. Dzieduszyckiego o powóz i dwóch urzędników, którzyby mi przywieźli 15,000 dukatów kapitału i około 8,000 dukatów procentów.

W całej Warszawie wiedziano już o mojej wygranej. Czekali w salonie hr. Dzieduszyckiego, nasi wysłani urzędnicy nie powracają... przez ten czas przyniesiono do mnie kilka listów z prośbą o pożyczkę, o przyjęcie w zastaw brylantów etc. etc. Nareszcie urzędnicy wracają, ale z pustymi rękoma. Od 10 rano do 6-ej wieczorem pan C., mój dawny kolega z Lipska, zdażył zamienić dukaty na inną monetę, przytem na marginesie wyroku znalazłem niezgrabnie dopisane zastrzeżenie, że 27,000 dukatów mają być wypłacone w złocie lub innej bieżącej monecie. Całe to nadużycie było bardzo niesmaczne. Każdy inny byłby wybuchnął gniewem przeciw pamiętnemu uraz koledze, który wypłatał podobnego figla. Odłożywszy zemstę na później, poprzestałem na założeniu protestu i wyszukaniu tego urzędnika, który za rozkazem swego przełożonego zrobił dopisek na akcie wyroku sądowego. Wynałazłszy go, zmusiłem do podpisania deklaracji, że czyn ten popełnił bezwłasnowolnie. Co do mnie, byłem prawie zadowolony, że pieniędzy nie odebrałem, gdyż przy nadchodzącej burzy niepodobna było przechowywać w domu u siebie znaczne kapitały, trzeba było emigrować, ryzykując zatrzymanie na granicy. Miałem nadzieję, że mi to nie przepadnie i że potem będę mógł również odebrać. To rezonowanie znacznie mnie uspokoiło.

#### XXXIV.

Po skończonym procesie przestałem być celem obserwacji, sam natomiast nie omieszkalem czynić ich w dalszym ciągu. Święta Wielkanocne się zbliżały. Dzień Wielkiej Soboty lub samo Wielkie Święto oznaczono jako chwilę najsposobniejszą do powstania. Wszyscy zwierzchnicy znajdowali się w kościele; łatwo też można było opanować arsenał i rozbroić przeciwników. Ruch panował niesłychany. Oficerowie pruscy, huzarzy, adjutanci przy-

bywali z planami, mapami pod pachą, a po widzeniu się z Igelströmem, powracali pocztą. Podróżowanie w tych czasach było bardzo utrudnione, gdyż poczty zatrzymywano i rabowano po drodze. Wielu szlachty bratało i łączyło się z ludem. Igelström blady, pośólkły naradzał się z Ożarowskim, który bynajmniej nie czuł się spokojnym.

Wszystko oznaczało zbliżające się powstanie. Zagadnąłem raz gen. Cichockiego. „Cóż uczynić zamierzasz, generale?“—pytam. „Palnąć sobie w łeb“—odpowiada. „Hola, hola!“—wołam. „Chwila rozwiązania jest bardzo bliska, sam nie wiem, co robić.“ „Istotnie — odpowiadam — położenie pańskie jest bardzo trudne. Jako komendant Warszawy pod nadzorem rosyjskim jesteś pan uważany powszechnie za zdrajcę; a gdy wojsko połączy się z ludem, coż pan uczynisz? Jeśli zaś uważasz się pan za stronnika rosyjskiego, czemu nie uprzedzasz Igelströma o tem, co się dzieje? Czemu nie radzisz mu, aby raczej opuścił miasto i cofnął się na Marymont, gdzie w każdej chwili mogą nadejść posiłki od Prusaków lub wojska, konsystującego w Grodnie? Któż będzie śmiał go zaczepić, gdy będzie stał w otwartem polu z 80-ciu armatami.“

„Proponowano mu to poprzednio — odpowiedział Cichocki — ale propozycję odrzucił; chce bowiem zasłużyć sobie na mizerną chwałę uśmierzciciela powstania, do którego nigdyby nie doszło, gdyby z miasta ustąpił, a przytem jego dama choruje na spazyny i nie chce go puścić od siebie. Zresztą podejrzewam, że jest to plan ułożony z góry, mający na celu wywołanie zamieszania i ostatniego zawładnięcia Polski.“

Hr. Antoni Dzieduszycki i jego siostra, będąca przedmiotem głębokiego afektu Cichockiego, czy to żartem, czy seryo wymogli na nim podpisanie deklaracji, którą nosił głęboko na sercu, że nie przestanie być nigdy dobrym patriotą, choćby mu to przyszło krwią i życiem opłacić. Cichocki wziął tę deklarację na seryo i aby wzruszyć serce swojej kuzynki, a zarazem opinię swoją naprawić, obmyślił następującą kombinację. Przed Igelströmem i hetmanem Ożarowskim zobowiązał się, że odpowiada za całość arsenału w razie powstania, poczem pozostawiono mu całkowitą swobodę działania. Wówczas, ciągle za pozwoleniem hetmana, sprowadził z Kozienic najlepszy pułk ułanów w 600 koni, aby zastąpić dwa szwadrony kawaleryi narodowej, które zostały odesłane. Wyrachowanie było takie: Jeżeli rewolucya w Warszawie się uda, jest on w posiadaniu 400 ludzi zbrojnych, 200 artylerzystów i 200 strzelców i takiej ilości broni i amunicyi, jakiejby było



potrzeba. Jeżeli rewolucya upada, miał zasługę obronienia arsenału. Pozostawiłem go jego illuzjom, sam zaś zwróciłem się do hr. Dzieduszyckiego, pytając się, co on myśli robić?

Był to dyplomata, który pragnął usunąć się jak najspieszniej od wszelkiej odpowiedzialności i w tym celu najpierw żonę wyprawiał do Wielkopolski; wystarał się dla niej o paszport, sam zaś miał cokolwiek później za nią podążyć, licząc przytem na opiekę Prusaków. Podobnej rady i mnie udzielił. Paszport dla mojej żony i dzieci dostałem przez agenta rządu austryackiego; do mnie zaś powiedział: „A ty, Michale, co lubisz wojskowość, armaty i bitwy, pozostań tutaj i trzymaj się zawsze partyi silniejszej.“

Zdecydowawszy się na wyprawienie z kraju żony i dzieci, wysłałem służącego pocztą z paszportem i krótkim listem do żony, polecając jej, ażeby wierzyła wszystkiemu, co jej mój służący powie odemnie. Miał jej powiedzieć w krótkości: „Przygotuj się tu rewolucya, weź z sobą konie, powozy, pieniądze, papiery, dzieci i wyjeżdżaj w tej chwili.“ W paszporcie były wyliczone miejscowości, gdzie się miała udać, to jest do Markopolu w Galicyi.

W kilka dni potem wrócił mój służący z wiadomością, że pani, zamiast wyruszyć w drogę z dziećmi, pojechała do swojej matki do Klukowa, że tam się z nią naradzi i potem zajmie się podróżą. Tenże sam służący przywiózł mi listy od oficerów brygady, donoszące, że przybyli tam oficerowie rosyjscy z rozkazami od hetmana Ożarowskiego, aby szwadrony zmniejszać o stu ludzi; białostockich strzelców zredukować do 40 na każdy oddział. Z rozpaczą i żalem rozpoczęto listy redukcyjne układać.

Po odebraniu tych wiadomości, trzeba było się decydować, co zrobić ze swoją osobą. Jeżeli zostawałem w Warszawie, musiałem należeć do powstania, w razie wyjazdu, tam mnie znów czekały nieprzewidziane kłopoty. Na dwa tygodnie najwyżej przed Wielkanocą wyjechałem do Strabli. Tam zastałem moją żonę ogromnie zajętą przygotowaniami do święconego, śpiewaniem wraz z dworskimi ludźmi gorzkich żalów i jak to zaraz na wstępie zauważyłem, obrażoną na mnie. Kiedyśmy nareszcie zostali sami i mogła swobodnie wypowiedzieć swój żal, że jej przez służącego przysłałem rozkaz wyjazdu, zanim miałem czas cokolwiek na to odpowiedzieć, usłyszeliśmy na dziedzińcu tentent koni, szczęk ostróg i pałaszy, zwiastujący przybycie wojskowych. Był to major Rzewuski z dwoma adjutantami, którzy oznajmili nam, że stanowczo nie myślą rozpuszczać swoich żołnierzy i że rewolucya

wybuchła już w Wielkopolsce, gdzie oczekują przybycia Kościuszki. Prosił mnie przytem, abym udał się zaraz do Bielska, gdzie hr. Ożarowski, syn hetmana, czeka na mnie, ażebym się zdecydował ostatecznie i udzielił nowin z Warszawy.

„A co, moja kochana żono? cóż teraz będzie z podróżą? Gdybyś była dziesięć dni temu wyjechała, byłabyś już przebyła granicę i stanęła na miejscu, a teraz nie wiadomo, co robić?”

Tymczasem pojechałem do Bielska. Powiada mi Ożarowski: „Moje szwadrony są zdecydowane nie dać się rozbroić. Cóż ja mogę przeciw woli całej brygady? Mój ojciec ogromnie niebezpieczne zajmuje stanowisko w Warszawie. Redukcya rozpoczęła się, ale postępuje bardzo powoli; jednakże generał Cycyanow z kilku tysiącami żołnierzy, jak przyjdzie z Grodna, to może nas zmusić do jej przyspieszenia.“

„Czyż tylko o to chodzi?—powiedziałem—Generał Cycyanow nie ruszy się z Grodna, dopóki rozkazu z Warszawy nie dostanie. Co do mnie, nie jestem za powstaniem, które nie może się dobrze skończyć. Pańskie szwadrony mogą się w danej chwili napowrót sformować, skoro wieść o wybuchu insurekcji nadejdzie, a pan będziesz mógł wówczas z całą dawniejszą brygadą czekać rozkazów i iść w wojennym rynsztunku, tam gdzie spokój będzie zagrożony, a powinność powoła.“

Emisaryusze tej brygady już się porozumieli z batalionem strzelców białostockich, tym samym, co się tak dzielnie odznaczył pod Dubienką, ułożono sobie zawiadomić niezwłocznie urlopowanych żołnierzy, którzy mieli w szeregi powrócić.

Za powrotem z Bielska do domu zastałem tam szczególną jakąś osobistość, ubraną w mundur kawaleryjski, mówiącą wszystkimi językami. Ów jegomość objeżdżał moje wioski, zwiedzał stajnie i częstował wódką moich ludzi. Przyciśnięty do muru, przyznał się, że jest przysłany przez hetmana Ożarowskiego, aby podpatrzeć moje postępowanie i że w ten sposób wysłano kilku jego towarzyszy w różne strony kraju. Za tę szczerość zapłaciłem mu sowicie, dostarczyłem koni i powozu, radząc przytem, aby porzucił podły urząd szpiega wśród rodaków. Ten nawrócony szpieg zawiadomił mnie poufnie, że członek Komisji wojennej, Dąbrowski, wraz z kilku innymi oficerami wyjechali z Warszawy i udali się w rozmaite strony kraju, ażeby stworzyć partyę kontrrewolucyjną. Generał Dąbrowski mianowicie udał się w stronę Ostrołęki, na granicę pruską, gdzie miał zabrać żołnierzy, uwolnionych z brygady Madalińskiego. Wiadomość ta poruszyła mnie



do głębi. Myśl wywołania wojny domowej w pośród samych Polaków była oburzająca.<sup>1)</sup>

W wielkim tygodniu udałem się znów do Ożarowskiego. Podczas śniadania poczmistrz przyniósł mi w wielkim sekrecie list z Warszawy, adresowany do jakiejś panny w Wilnie i wyprawiony sztafetą zastrzeżoną. Zacząłem żartować sobie z poczmistrza, że go interesują listy do panien, ale on ogromnie nastawał na otworzenie tego listu, mówiąc, że w nim niezawodnie są wiadomości o rewolucyi w Warszawie, że nieustannie idą sztafety z Wilna do Warszawy i na odwrót, więc w tem coś być musi. Koniec końcem poczmistrz list otworzył. Był pisany atramentem czerwonym, donoszono w nim, że w Warszawie robią się przygotowania do wielkiego balu, że panie zajęte są tualetami, że suknie będą z ogonami; a więc przybierają się do uprzątania ulic, schodów i domów dla zachowania czystości tych świetnych ubiorów; że wyznaczono otwarcie balu na dzień 1-szy Wielkanocy, w końcu, że ten piszący do swej lubej kochanek prosi ją, żeby także sztafetą odpowiedziała i opisała mu zabawy wielkanocne wileńskie.

Nie trzeba było wielkiego sprytu, żeby się domyśleć, że to było prozumienie się rewolucjonistów. Poczmistrz przyniósł księgę podróży. Przejeżdżało w tych dniach czterech czy pięciu klubistów, pułkownik Jasiński, także z Warszawy do Wilna, gdzie znajdował się hetman Kossakowski pod opieką Tuczkowa i licznego garnizonu rosyjskiego.

### XXXV.

Chwila ta była ogromnie ważna i rozstrzygająca. Zdecydowaliśmy się też ostatecznie. Brygadyer Ożarowski wysłał natychmiast rozkazy do komendantów szwadronów, aby się stawili w oznaczonym miejscu, niedaleko Bielska, na drodze do Brańska; przytem wezwanie do oficerów batalionu strzelców, aby przybyli

<sup>1)</sup> To fałszywe doniesienie było powodem następnych nieporozumień Starzeńskiego z Dąbrowskim; wszelkie inwektywy pamiętnikarza, skierowane przeciw wodzowi Legionów są bezpodstawne. O tych nieporozumieniach wspomina Wybieki (Pamiętniki II, 63—66) i Bronisława z Dąbrowskich Mańkowska (Pamiętniki, 33); por. Skądkowski: „J. H. Dąbrowski,“ I, 81, 321.

bez namiotów i niepotrzebnych bagaży. Ułożyliśmy, że mi doniesie o chwili wyjazdu, abyśmy się połączyli.

Co do mnie miałem kilku strzelców na dobrych koniach, dobrze ubranych, byli to ludzie całym sercem mi oddani. W Wielką Sobotę o świcie dano mi znać, że brygada rozpoczęła pochód w nocy w stronę Brańska i że brygadyer mnie oczekiwał. Pożegnałem się z moją żoną, której radziłem, aby nic nie chowała, z wyjątkiem srebra i moich papierów, aby rozdała chłopom zboże, bydło, a sobie zapewniła mieszkanie w Białymstoku i tam przeprowadziła się z dziećmi. Zabroniłem zamykać na klucz zamki, tylko klucze miały być w zamkach na swoim miejscu. Wydawszy te rozporządzenia, puściłem się w stronę Brańska.

Spichlerze moje obfitowały w zapasy żywności, paszy i napitków. Dwanaście szwadronów kawalerji liczyło około 2,000 koni, batalion strzelców miał 600 koni. Ażeby oszczędzić włościan, kazałem swemi furmankami przewieźć żywność, siano, napitki, oraz ofiarowałem 16 wołów tucznych. Dla panów oficerów było wino i piwo angielskie. Nie potrzebuję mówić, że wszystko to przyjęto z wdzięcznością.

Kompania strzelców przeszła Narew pod Strablą, zabrawszy 6 moich armatek drezdeńskich; były to modele nowych saskich armat, które hr. Brühl ofiarował mi przy sprzedaży Mtocin. Były to sztuki małego kalibru o kulach funtowych, doskonale zrobione, podług których przerabiano działa naszej artylerji.

O czwartej po południu byliśmy w Brańsku—obóz rozłożył się w porządku pod miastem, czas był cudowny. Siedziałem przed pocztą, paląc fajkę i myśląc o przeszłości i przyszłości, kiedy nagle zajechała z wielkiem trąbieniem i hałasem ekstrapocztą i wysiada jakiś oficer ogromnie wystrojony i wyelegantowany. Już widziano go, jak się zatrzymał koło naszego obozu, jak wysiadł i rozmawiał z dwoma oficerami. Pytał się ich, gdzie się znajduje brygadyer Ożarowski, powiedziano mu, że na poczcie, więc tu przybył. Skoro się stawił przed Ożarowskim, ten zapytał go: skąd i po co jedzie? czy ma rozkaz jaki, paszport czy list? Młody elegant się zmieszał. Brygadyer rzekł do niego: „W każdym razie uprzedzam pana, że jesteś aresztowany, a teraz mów, skąd przybywasz?”

Zaczął się tłumaczyć, że jego komendant, generał Dąbrowski, zrobił umowę z Prusakami zawieszenia kroków zaczepnych na przeciąg kilku dni dla wspólnej wymiany jeńców, że Prusacy budują na Nurwi most dla przeprowadzenia kolumny swoich wojsk. Że generał Dąbrowski, nie mając dostatecznych sił do przeszk-



dzenia temu, cofa się i jest ścigany przez kawalerję pruską, że on opuścił generała Dąbrowskiego na ostatniej stacyi pocztowej, o czym w każdej chwili przekonać się można.

„Wszystko to dobrze—mówił Ożarowski—ale jakim sposobem mógł wiedzieć generał Dąbrowski, gdzie ja się znajduję? Jeżeli jest ścigany przez Prusaków, to byłby do mnie choć parę słów napisał.“

W rzeczy samej generał Dąbrowski przychylił się do żądania króla, ażeby stworzyć jądro kontr-rewolucyi. Zgromadziwszy około 400 konnych kawalerzystów z resztek brygady Madalińskiego, szedł z nimi przez Brańsk do Bielska, ażeby się złączyć z Ożarowskim i do swoich celów go namówić.

Zaledwie oficer skończył swoje opowiadanie, wpada znów bryczka z samym generałem Dąbrowskim, który wyskakując z niej rzuca się Ożarowskiemu na szyję i w krótkich słowach opowiada tę samą historję o ścigających go Prusakach. Prosi więc o pomoc czterech szwadronów, z którymi się złączywszy, odpowiada za wszystko.

Znałem generała Dąbrowskiego od dawna i miałem nawet kilka razy sposobność oddać mu dosyć znaczne przysługi, ale nie sympatyzowaliśmy ze sobą. To też, gdy wychodząc od Ożarowskiego spotkał się ze mną oko w oko, zmieszał się niezmiernie, gdyż poznał zaraz, że ja wiem, o co mu chodzi właściwie. Na słowa, w których wyrażałem zdziwienie dla jego postępowania, Dąbrowski wybuchnął:

„Gdyby nie pańska obecność tutaj, miałbym już swoją partję, a muszę ją mieć koniecznie.“

„Nie należę do żadnej partyi — odrzekłem — wolę śmierć od kuli lub szabli, aniżeli od batogów w Strabli. Idę za oddziałem. Proszę podpisać deklaracyę, że nie będę w Warszawie ani powieszony, ani czei pozbawiony, a po zdjęciu munduru udam się, gdzie pan zechcesz.“

Dąbrowski odjechał nazajutrz. Adjutantowi jego zwrócono przytrzymany pałasz. Ożarowski pozostawił na swoich tyłach dla zabezpieczenia pochodu dwa szwadrony z kompanją piechoty i dwoma działami, a sami wyruszyliśmy z całym oddziałem ku Warszawie. Forpoczty nasze dosięgły wkrótce Grannego nad Bugiem, gdzie zajęły się przygotowaniem promów i łodzi dla przeprawy przez rzekę naszego taboru; następnie zagarnęły znaczne zapasy żywności, znajdujące się w tamtejszym spichlerzu, przy czem wzięły do niewoli 40 strzelców rosyjskich, którzy niespodziewając się napadu, spokojnie spali. Rozbrojono ich tymczasowo.

Oficera zaś polecił Ożarowski puścić swobodnie, oddawszy mu jego broń, rzeczy i konie, radził mu jednak nie oddalać się od brygady, mógł bowiem wpaść w większe niebezpieczeństwo. Zao-  
patrzywszy się z magazynu w potrzebniejsze prowianty, zostawili-  
śmy resztę dla Dąbrowskiego, który szedł za nami. Przedostaw-  
szy się szczęśliwie na drugą stronę rzeki, pościągaliśmy na brzeg  
promy i łodzie. Kiedyśmy tem byli zajęci, patrzymy, że nadciąga  
Dąbrowski ze swoim oddziałem i że oddział ten rozciąga się  
wzdłuż brzegu Buga. Nie wiedzieliśmy, co to znaczy. Wkrótce  
jednak przysłał łódką oficera, który, powtórzywszy jeszcze histo-  
ryę o ścigających Prusakach, prosi o odesłanie promów i łodzi  
Dąbrowskiemu, oraz przyjęcie go do kompanii. Ożarowski raz  
jeszcze odmówił, ale promy i łodzie odesłał. We dwie godziny  
po nas przeprawili się i oni także przez rzekę.

Przez Liwiec przeszliśmy pod Węgrowem po moście. Wśród  
konnicy, przechodzącej w największym porządku, zaplątał się  
pocztylion, poganiający trzy zmęczone i ledwo żywe szkapiny.  
Na moście zaczęło się robić zamieszanie. Major Rzewuski roz-  
gniewany, kazał pocztylionowi jechać wolno. W powozie spo-  
strzeżyliśmy wówczas podróżnego we wstędze i dekoracyach, które  
dziwnie nie licowały z przerażoną fizyognomią jadącego dygnita-  
rza; na koźle siedział luzar, przebrany za lokaja w liberyi. Gdy  
po przebyciu mostu kolumna formowała się na brzegu, a oficerowie  
spożywali śniadanie, zauważono, że ów podróżny, nie tracąc  
czasu, drze jakieś papiery w drobne kawałeczki, a niektóre kła-  
dzie do ust i połyka.

Kilku oficerów zbliżyło się do niego i zapytało skąd i do-  
kąd jedzie? Zmieszany, z pełnemi papierów ustami, nie mógł  
odpowiedzieć; oznajmiono mu w bardzo zresztą uprzejmy sposób,  
że mu nie pozwolą ani jechać dalej, ani się wrócić na powrót.  
Rozebrano go i zrewidowano, z tej rewizyi pokazało się, że była  
to osobistość, nosząca piękne nazwisko, ale używająca bardzo  
złej opinii i niejednokrotnie karana przez policję warszawską.  
Tym razem powracał, jako szpieg, z Litwy. Aby więcej do jego  
historyi nie wracać, dodam tylko, że w kilka dni później powie-  
szono go w Warszawie.

Węgrów oddalony jest od Warszawy o mil dwanaście. Dro-  
ga prowadziła ciągle lasami, w których można było co krok  
wpaść w zasadzkę; to też postępowaliśmy wolno i ostrożnie.  
Przez dwa ostatnie dni dawał się słyszeć huk armat od strony  
Warszawy.



W każdej chwili mogliśmy napotkać cofających się Rosyan lub Prusaków. Uradziliśmy, że zatrzymamy się w Makowcu, skąd wyślemy do Warszawy po wiadomości. W Makowcu na poczcie dowiedzieliśmy się, że rewolucya była w całej pełni. Pocztylion, który wiozł podróżnego do Warszawy, z Pragi konno uciekł. Rosyanie i Prusacy cofnęli się w stronę Pułtuska. Zaledwie wysłuchaliśmy tych wieści, gdy widzimy dwóch oficerów, przybywających od Warszawy z nadzwyczajnym pośpiechem; wiozą oni rozkazy od Mokronowskiego, komendanta wojsk i miasta Warszawy, datowane z poniedziałku świąt Wielkanocnych, do wojsk, konsystujących w Bielsku i Brańsku.

Ożarowski przekonał się, że dobrze uczynił, słuchając moich rad, idąc sam naprzeciw rozkazów.

Oficerowie w tej chwili powrócili z raportem do Warszawy, odkąd oddzielało nas jeszcze dwa dni drogi. Generał Dąbrowski, z którym porozumieliśmy się w końcu, jechał jednocześnie z nami. Trzymając się naszej prawej strony, napotkał podwody pułku piechoty Kasztolińskiego. Eskorta kozacka i 30-tu żołnierzy poddało się Ożarowskiemu, resztę ludzi wraz z wozami i tłumokami zabrał Dąbrowski i przyprowadził na Pragę.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć tu o moim sąsiedzie, Karwowskim. Ojciec jego był to zamożny dosyć obywatel, osiadły niedaleko Strabli. Syn służył w strzelcach, gdzie doszedł do stopnia pułkownika. Miał wiele odwagi osobistej, ale powierzchowność bardzo nie odpowiadała dzielności duszy. To też za namową ojca podał się do dymisji i otrzymał od króla nominację na generała ziemiańskiego, w początkach Sejmu Wielkiego. Jako taki, zobowiązał się utworzyć swoim kosztem pułk ochotników. Fundusze osobiste, na ten cel przeznaczone, znacznie powiększone zostały przez zebrane z dobrowolnych kontrybucyi ofiary obywateli powiatu. Gdy król przystąpił do Targowicy w r. 1792, nie chciał już nosić swego mundur i pełnić nadal przyjętych obowiązków, ale nie oddał, a raczej jeden z jego oficerów, któremu były powierzone, nie zwrócił pieniędzy z dobrowolnych kontrybucyi powiatu bielskiego. W 1794 r. był wciągnięty do rewolucyi i posłał swojego agenta do Krakowa; jego oferty tam były przychylnie przyjęte i przysłano mu nominację na generał-majora oraz polecono zrobić powstanie powiatu bielskiego.

Ten to generał przyłączył się do naszej kompanii, jechał powozem i chciał koniecznie nakłonić mnie, ażebyśmy wspólnie sformowali oddział. Ale nasze warunki nie były równe. On był bez grosza, ja miałem pieniądze i kredyt; przytem niewał prze-

mowy ognisto-rewolucyjne do naszych żołnierzy, których chciał nakłonić do złożenia przysięgi.

— Panie Karwowski—rzekłem mu—błędnie pan zapatrujesz się na rzeczy; rewolucyę zrobili lud i mieszczenie, wojsko zaś musi być posłuszne rozkazom swoich wodzów. Możesz pan jechać za brygadą do Warszawy, a tam uczynisz pan, co uznasz za stosowne.

### XXXVI.

Nakoniec przybyliśmy na Pragę. Straszny widok nam się przedstawił. Setki trupów pływało po powierzchni rzeki, zaczepiając o statki. Tłumy ludzi chciały przedostać się na drugi brzeg. Wisła przybrała; przygotowano już do przewożenia ze czterdzieści statków; przewoźnicy i niektórzy mieszczenie dziwnie byli postrojeni, jedni za oficerów, drudzy w mundurach rosyjskich, w kaszkietach z pióropuszanami, czapach grenadyerskich. Przy wylądowaniu na warszawskiej stronie było gorzej jeszcze. Brzegi Wisły i wszystkie szynki przepełnione były wojskowymi polskimi, gwardyą królewską, żołnierzami z regimentu Działyńskiego, ułanami w większej części pijanymi. Przyjęto nas kilku wystrzałami w górę.

Skoro brygada już całkowicie się przeprawiła, a nota bene wszyscy przybrali paradne mundury, rozwinęła się w szeregach na Krakowskim Przedmieściu; batalion strzelców na prawem skrzydle. Generał Mokronowski, komendant miasta, zrobił przegląd wszystkich linii i wydał rozporządzenia. Moich szesnastu strzelców, których w ciągu drogi wyekwipowałem, eskortowało w drodze spotkane dwa ciężkie powozy, idące z Petersburga, a w których jechało pięciu oficerów i trzy prywatne osoby—prosilili oni sami, żeby im pozwolić jechać przy oddziale pod naszą opieką. Położono najpierw pieczęcie na ich kufrach, szkatułach i tłumokach, ale za mojem wstawieniem oddano im wszystko w porządku.

Ożarowski przyprowadził swój oddział w samą porę, w trzy dni po rewolucyi. Generał Mokronowski miał tylko swoich oficerów i uzbrojone mieszczaństwo dla obrony miasta. Żołnierze miejskiej załogi, obłowieni rabunkiem, byli w strasznem rozprężeniu. Lękano się w mieście powrotu wojsk rosyjskich i pruskich. Można sobie wyobrazić, że zasługa takiego pośpiesznego stawienia się w stolicy była należycie ocenioną. Batalion strzel-



ców zajął straż na zamku, a gwardziści na Krakowskiem Przedmieściu; im także powierzono więźniów wojennych. Kawaleryę rozdzielono na kilka oddziałów i polecono rozdawnictwo mieszczanom broni, pałaszów i tornistrów. W ciągu trzech dni wszystko było zreorganizowane i można było pomyśleć o środkach wojennych.

Generał Dąbrowski w kilka godzin po nas przybył ze swoim oddziałem; wszedł do miasta z poczem czterystu porządnie uzbrojonych i umontowanych kawalerzystów z muzyką na czele, przyprowadził ze dwudziestu jeńców i ze 200 wozów z butami, odzieżą i żywnością, zabranych Rosyanom.

Moich strzelców z bagażami odesłałem do własnej stajni, sam zająłem dawne swoje mieszkanie i poszedłem na obiad do krewnego mojego, pana Antoniego Dzieduszyckiego, który wraz z dwiema kuzynkami bardzo mi byli radzi. Jedna z tych kuzynek, Justyna, zabrawszy z mej stajni bardzo dobrego konia, ubrana jak amazonka, w ciągu trzech dni rewolucyi jeździła ciągle po ulicach, była i widziała wszystko. Pan Antoni nie mógł, tak jak chciał, wyjechać, byłem więc przez nią wtajemniczony najdokładniej w cały przebieg wypadków i wniosków co do przyszłości...<sup>1)</sup>

W kilka dni po przybyciu naszem do Warszawy Mokronowski rzekł do mnie: „Komunikacya z Krakowem jest przecięta. Wiem, że Kościuszcze nieźle tam się powodzi—odniósł zwycięstwo pod Racławicami. Co się tyczy pana, zamiast na czele szwadronu pełnić służbę kawalerzysty, lepiej wracaj w swoje strony, a korzystając ze środków, jakie posiadasz, zajmij się uformowaniem batalionu liniowego. W ten sposób zasłużysz się najlepiej Ojczyźnie.“

Poprzednie moje stosunki z oficerami brygady strzelców były mi ogromnie użyteczne. Z powodu pośpiechu przy wyruszeniu do Warszawy pozostawiali namioty, naczynia i trochę broni zapasowej na zimowych kwaterach w okolicy Białegostoku. Byli uszczęśliwieni, dowiedziawszy się, że wracam tam dla sformowania nowego batalionu strzelców. W 1789 r. każda kompania składała się z 40 żołnierzy. W początkach 1792 r. udzielono

<sup>1)</sup> W dalszym ciągu Starzeński opowiada o jednym jeszcze blahym zatargu z oficerami Dąbrowskiego; wkrótce potem nastąpiło pogodzenie pamiętnikarza z generałem, który niebawem udał się do Wielkopolski; o jego działalności tamże wyraża się Starzeński z uznaniem.

urlopu tym, którzy go zapragnęli, a z czasem uwolniono i resztę. Otrzymałem listę tych ostatnich i wskazówki miejsc ich zamieszkania. Ich broń z fabryki królewskiej w Kozienicach ukryta była w Warszawie. Zrobiłem umowę z Danglem <sup>1)</sup> o dostawę skór na siodła i zaprzęgi, kupiłem znaczną ilość sukna i, zabrawszy to wszystko, puściłem się w drogę do domu z niewielką eskortą. Mój rewolucyjny generał Karwowski znów się do mnie przyczepił. On także porobił pewne zakupy i starał się werbować ochotników w Warszawie. Trzeba się było wystarać o paszport. Ówczesny prezydent miasta, Zakrzewski, wraz z całym komitetem municypalnym w ponsowych wstęgach, znali mnie dawniej, więc paszport bez trudności wydali; było to w czasie, kiedy rozpoczynały się sądy doraźne nad tymi, którzy stać się mieli ofiarami rewolucyi. Paszport, który mi wydano, zawierał pozwolenie przejazdu przez wszystkie roгатki dla całego mego orszaku.

Dwóch dzielnych krawców, którzy na tę chwilę pełnili obowiązki komendantów wojskowych armii municypalnej i sławny jeden szewc, Kiliński, który śliczne wyrabiał dla dam obuwie, wyprowadzili mnie z ratusza, przed którym zrobiło się zbiegowisko gawiedzi naokoło mojego prześlicznego karego konia i gromadki moich strzelców. W tej samej chwili przyprowadzano tam rozmaite osobistości, niektóre mi znane, z poszarpanem ubraniem, bez czapek, i pakowano do aresztu.

Strzelców moich tymczasem w dziedzińcu ratuszowym częstowano wódką, którą wypijali na cześć rewolucyi, mnie także podano szklankę pełną, którą wychyliłem, wołając: „niech żyje naród“—i wyruszyliśmy w drogę— miałem takie wrażenie, jakby mnie kto z klatki na wolność wypuścił.

### XXXVII.

Wyjeżdżając z Warszawy, zabrałem ze sobą pewną osobistość zupełnie oddaną królowi, zresztą bardzo uczciwego człowieka, któremu nie chciano wydać paszportu, był więc jak na szpilkach. Przejechawszy roгатki, odetchnąłem i ja swobodniej. Bez żadnego wypadku dojechaliśmy do Węgrowa i przebyliśmy Li-

<sup>1)</sup> Znany w końcu XVIII wieku w Warszawie siodlarz i fabrykant powozów.



wiec. Kiedyśmy się zbliżali do Bugu, dano nam znać, że w niedalekim lasku jest kilku kozaków i żołnierzy, którzy przejeżdżających rabują. Generał Karwowski jechał inną drogą. Nagle widzę, jak on i jego ludzie pędzą ku nam, jakby ich kto gonił. Istotnie dojrzeli w lesie kilkunastu żołnierzy, więc poczęli umykać. Zatrzymałem ich i radziłem, ażeby mieli broń nabitą. Ponieważ nikt się nie zjawił, ażeby napadać na nas, więc ruszyliśmy w dalszą drogę.

Przybywszy do Bielska, obrałem sobie za punkt zamieszkania Hołowiejsk. Nie tracąc ani chwili czasu, porozsyłałem listy i ludzi na wszystkie strony. Zaraz też zaczęto mi zwozić ze wszystkich stron broń, fuzye rozmaitego kalibru, pałasze, płótno, konie, wozy, namioty, rozmaite potrzebne narzędzia. Ze starostwa bielskiego chłopci, których wyzwoliłem, ułatwiali mi najwięcej utworzenie batalionu, gdyż przyprowadzili przeszło 120 strzelców z rozpuszczonych poprzednio batalionów i kilkudziesięciu młodych synów gospodarskich.

W czasie mojej niebytności zawiązał się w Bielsku komitet rewolucyjny, w którym prezydował sąsiad mój, biskup Sinopoliński (ks. Jan Gołaszewski, *p. w.*) i wielu szlachty powiatowej. Biskup, skoro mnie zobaczył, skrzywił się ogromnie, bo mu stały na myśli nasze spory graniczne, ale rzekłem do niego: „Księżo biskupie, niech będzie między nami na teraz zgoda — jak się skończy rewolucya, możemy wówczas wrócić do naszych sporów granicznych.“ No i pogodziliśmy się tymczasowo.

Komitet rewolucyjny zajmował się obecnie ściąganiem przymusowem rekrutów. Przyprowadzano ich skrępowanych powrozami, jak zbrodniarzy. Generał Karwowski pakował ich w tym stanie, gdzie mógł, nie miał on ani domów pustych do ich ulokowania jako tako, ani oficerów, żeby się nimi zajęli. Żywność, dla nich zgromadzona, zamokła od deszczów — była tam jednym słowem dezorganizacya najokropniejsza. Moja główna kwatera w Hołowiejsku przedstawiała się bardzo pokaźnie. Miałem pięciu oficerów regimentu strzelców, kilku starych doboszów i 200 strzelców, którzy odbyli kampanię 1792 r. W miarę, jak przybywało jakich dwudziestu nowych rekrutów, ubierano ich, ćwiczano w służbie szeregowej i wyprawiano do jednej z 4 kompanii. Moje woły tuczone szły pod nóż na zaspokojenie naszych żołądków. Niewielki magazyn był dobrze napełniony chlebem, kaszą, solą, słoniną, gorący krupnik czekał zawsze w oznaczonych godzinach, jak w obozie.

Wkrótce więc miałem 700 gotowych strzelców pieszych i 60 strzelców konnych.

Jednej niedzieli żona moja przyjechała wraz z dziećmi, ażeby mnie odwiedzić. Ułożyłem cały program przyjęcia, bo chciałem ich trochę zabawić, a przyjaciołom i sąsiadom chciałem także pokazać, w jaki sposób użytkowałem przysłane mi materyały. Urządzono podniesioną platformę, przybył szanowny i kochany nasz proboszcz ze Strabli, miał mszę św., której wszyscyśmy wysłuchali, a potem bardzo piękną i serdeczną przemowę, nowozaciężni żołnierze złożyli przysięgę, a potem był ogólny obiad.

Generał Karwowski wraz ze swoim sztabem, złożonym z panów adwokatów, widząc to, nie mogli ukryć zazdrości, która ich przejmowała na widok ładu i porządku, jaki tu panował. Utrzymanie w karbach posłuszeństwa tak różnorodnych żywiołów, z jakich się składał oddział Karwowskiego, nie było rzeczą łatwą. Na jego prośby posłałem mu doświadczonego oficera i 40 ludzi, aby utworzyć straż w mieście; wypadki bowiem dezertowania z jego oddziału były nader częste — dziennie około dwudziestu ludzi zmykało w pole — pozostali knuli spiski, zamierzali spalić miasto i pójść bandą na wojnę. Było tam około 4,000, którym przewodziło sześciu oficerów. Zwróciłem też uwagę generałowi na niedostateczne pożywienie oraz brak opieki nad chorymi. Była to jednak z mej strony wielka nieostrożność, jak się to później pokazało.

Przyszedł w tym czasie rozkaz od Mokronowskiego dostarczenia najlepszych rekrutów dla dopełnienia pułków, oraz rozporządzenie, w jaki sposób mają być dostawieni pod eskortą. Komitet rewolucyjny otrzymał osobną o tem instrukcję. Proszono mnie, choć nie należałem do komitetu, o dostarczenie eskorty i podjęcia się transportu. Dałem się nakłonić i podjąłem się tego dość trudnego obowiązku. Oddano mi 1,700 ludzi najlepszych, ale bez grosza przy duszy i bez żadnych zapasów; ci ochotnie garnęli się pod moje dowództwo. Wszykowano dla nich wieczerzę w moim obozie, gdzie się chętnie stawili. Tu oficerowie zaczęli od tego, że oddzielili szlachtę, której okazało się około trzystu. Z tych utworzono trzy szwadrony, resztę podzielono na cztery kompanie, eskortę uzbrojoną umieściłem w przerwach pomiędzy szwadronami i kompaniami. Trzydziestu strzelców pilnowało szlachty. Po wieczerzy wszyscy pograżyli się w głąbokim śnie. W ciągu nocy ułożyliśmy listę; rano, gdy zakomenderowano do apelu, nie brakowało ani jednego.



Byłbym gorąco pragnął, aby przedstawiciele trzech mocarstw sąsiednich widzieli ten pochód wolontaryuszów i przypatrzyli się charakterowi czysto polskiemu, którym się odznaczał. Byliby się może wyrzekli wielu uprzedzeń, jakie żywią przeciw naszemu narodowi. Łatwo pojąć, że żołnierz jakiegokolwiek narodowości, choćby był tchórczem, spełni jednak swój obowiązek w dniu bitwy, dzięki energicznej organizacyi wojskowej. Wiadomo również, że 100,000 rekrutów można przeprowadzić etapami przez kraj najeżony fortcami, miastami i wsiami, nie odstąpiwszy na włos od zamierzonego planu. Ale tylko w Polsce spotkać się można z podobną odwagą, dzielnością i poświęceniem rekrutów. Tysiąc siedemset ludzi, wyrwanych gwałtem z łona rodziny, szło pod lichą eskortą strzelców, zaledwie od czterech tygodni tę godność piastujących, a szli, śpiewając, tańcząc i płatając sobie tysiące niewinnych figlów, skoro im na to pozwolono, i stawiając się na każde zawołanie małego dobosza, który, gdy był zmęczony, siadał za mną na moim koniu; zresztą żadnych skarg, żadnego marudera ani dezertera wśród drogi, przeważnie lasami idącej, nie było. Przytem ślepo posłuszni moim oficerom, którzy z każdej chwili i miejscowości korzystali, aby wykonywać z nimi ćwiczenia, ustawiać kolumny i czworoboki. Na drodze życzliwi mieszkańcy wsi i miast, Żydzi nawet, dostarczali żywności, nie chcąc przyjąć żadnej zapłaty. W ten sposób w ciągu sześciu dni dojechaliśmy do Warszawy. O pół mili przed Pragę, rekruci sami z własnej ochoty prosili, aby im pozwolono umundurować się wedle możliwości. Poucinali w tym celu kije równej długości, naśladujące strzelby piechoty; 300 szlachty pałki takie wyrobili w kształcie szabel, każdy miał dwa żupany i pasy czarne, niebieskie lub szare, czapki baranie i białe szarawary. Na wzór żołnierzy, pozwijali zapasowe ubranie w wałki i poprzewieszali przez plecy. Pasy spięte od ramienia do boku naśladowały nieobecne ładownice, a na czapkach powiewały wspaniałe kity z dębowych gałązek.

Wysłałem oficera do Mokronowskiego, prosząc o rozkazy dotyczące się wejścia rekrutów do miasta. Oficer wrócił z adjutantem; w odpowiedzi kazano nam iść na Pragę, ustawić się na placu targowym i czekać przybycia generała. Tak się też stało. Wkrótce nadjechał Mokronowski ze świtą, za nim postępowała muzyka pułkowa. Przy odgłosie dwustu trąb oddział przeszedł most i uformował się przed pałacem Brühlowskim, gdzie była kwatera komendanta miasta; 300 szlachty weszło w podwórze. Mokronowski oraz panowie pułkownicy byli nadzwyczaj zadowoleni. Zastrzegłem sobie przyrzeczoną przeze mnie rekrutom swo-

bodę wyboru broni. Trzystu panów szlachty obrało sobie kawalerję, reszta zaś piechotę i artylerję. W ciągu tygodnia cały mój oddział stopniał i rozplynął się w wojsku warszawskiem. Pułkownicy podzielili tych ludzi między siebie i każdy zabrał swoją część rekrutów. Przybył ten oddział bardzo w porę.

Kościuszko po zwycięskiej bitwie pod Racławicami udał się do Wielkopolski. Pod Szczekocinami spotkał się z armią pruską. Bez żadnego wahania uderzył na pierwszą linię nieprzyjacielską. Całe nieliczne wojsko polskie oburzone było zdradą Prusaków. To też rzuciło się na nich, jak wściekłe, padło wielu dzielnych oficerów i doskonałych żołnierzy. Połowa oddziału Kościuszki składała się z chłopów uzbrojonych w kosy, nie byli oni wcale przygotowani do stawienia czoła wyćwiczonej regularnej armii, dlatego też w zetknięciu z taką armią musiały być straty, ale dzięki obrotności Kościuszki były mniejsze niż się można była obawiać— cofnął się w największym porządku i stanął pod Przybyszowem.

Armią pruską dowodził osobiście król pruski, mając przy boku do pomocy syna; było wielkie prawdopodobieństwo, że pójdą na Warszawę. Trzeba więc było myśleć o obronie: uformować korpus do strzeżenia wałów, baterji, redut; dokompletować regimenty, stojące w mieście — przydali się bardzo moi rekruci, to też okazywano i mnie i mojej eskorcie, złożonej z 200 żołnierzy i 30 strzelców, wdzięczność serdeczną.

---



# Z dziejów estetyki polskiej.

Pierwszym naszym systematycznym estetykiem był Józef Kremer. Roznamię autorzy przed Kremerem poruszali wprawdzie zagadnienia estetyczne, lecz tylko dorywczo, niesystematycznie—mianowicie w dziełach, dotyczących retoryki, w szkolnych podręcznikach poetyki i wreszcie w studyach literackich, jak np. Brodziński, Mochnacki i Michał Grabowski. W roku 1817 ogłosił matematyk Józef Łęski w Rocznikach Towarzystwa Naukowego Krakowskiego rozprawę „O piękności w sztukach, szczególnie w malarstwie.“ Zaś w r. 1827 wyszło w tych samych Rocznikach studyum Pawła Czajkowskiego nad obrazem Stachowicza. Lecz obie te prace nie zawierają, prócz luźnych, ogólnikowych uwag, żadnych samodzielnych myśli. To samo dotyczy rozprawy Stanisława Potockiego, wydanej w r. 1815 p. t.: „O sztuce u dawnych czyli Winckelmann polski.“ Zawiera ona bezkrytyczne streścić poglądów Winckelmanna. Dopiero Józef Kremer stworzył w „Listach z Krakowa“ (od r. 1843 począwszy) systematyczny zarys estetyki na szeroką skalę, połączonej z zarysem historii sztuki. Dalszym ciągiem „Listów z Krakowa“ jest jego „Podróż do Włoch,“ wydana w 6 tomach w Wilnie w latach 1859—1864. Kremer jest uczniem Hegla, lecz jak wszyscy hegliści polscy, usiłuje mistrza swego pogodzić z chrześcijaństwem, przetopić hegloski panteizm na chrześcijański teizm. Duch absolutny Hegla przekształca się tedy u niego na Osobowość absolutną, która jest niezem innym, jak osobowym Bogiem chrześcijańskim. Listy z Krakowa składają się z 3 tomów. W pierwszym tomie zawarta jest właściwa estetyka. Rozpatruje w nim Kremer stosunek sztuki do przyrody, zmysłów, rozumu i czuć. Opisuje różne rodzaje piękności, analizuje pojęcie ideału w sztuce i zagłębia się

w rozmaite poszczególne zagadnienia, jak sytuacja, kolizja, działanie, patos i charakter. Pozostałe dwa tomy zawierają „Dzieje artystycznej fantazyi.“ Określiwszy najpierw istotę fantazyi, szkicuje Kremer wszechświatową jej historję z niemałą subtelnością i z niezwykłym nakładem erudycyi. Śledzi rozwój fantazyi w Chinach, Indyach, Egipcie, Assyryi, Babilonie, Rosyi, u ludów mahometańskich, w Grecyi, Rzymie i wiekach średnich. Kończy na wieku XVI, poświęcając ostatnie uwagi wielkim mistrzom Odrodzenia. A cały ten pochód fantazyi zamykają Jan Kochanowski i Szekspir.

To dzieło Kremera jest pierwszym tego rodzaju w literaturze europejskiej. Mimo zacieśniającego tytułu „Historja fantazyi,“ jest ono pierwszą wielkorzutaną historją kultury ludzkiej wogóle. Kremer nie ogranicza się bowiem do dziejów samej fantazyi artystycznej, jeno szkicuje zarazem stan wszelkich nauk przyrodniczych i humanistycznych, bada stosunki społeczne, militarne i ekonomiczne. Opisuje przyrodę wszystkich tych krajów, zagłębia się w psychologię ludów, śledząc ich powstanie, zwyczaje i obyczaje. Mimo pobieżności i licznych braków, nieodzownych w tak wielostronnem a niezbyt obszernem dziele, wyprzedził Kremer bądź co bądź naukę europejską. Dopiero bowiem w kilkanaście lat później ukazuje się podobnie śmiała i wielkorzutna praca, mianowicie Carrière'a „Die Kunst im zusammenhange der Culturentwicklung und die Idee der Menschheit,“ wydana w 5 tomach w latach 1863—1873. Podobnie jak Kremer, szkicuje Carrière dzieje kultury, poczynsz od ludów orientalnych poprzez Grecję, Rzym, wieki średnie i Renesans aż do początków wieku XIX.

W estetyce jest Kremer także naogół wyznawcą Hegla. O pięknie decyduje idea, duchowa treść. Im rzecz więcej uduchowiona, tem piękniejsza. Silniej, niż Hegel, podkreśla Kremer czynnik indywidualności w sztuce. Artysta, zdaniem jego, winien się przedewszystkiem silić o spotęgowanie idei ogólnej, rodzajowej, aby przedmiot stał się niejako doskonałym przedstawicielem rodzaju, do którego należy. To samo głosi Hegel. Lecz nadto jest rzeczą artysty utrwalanie także indywidualnych cech zjawisk, a nawet potęgowanie indywidualności przedmiotów do tego stopnia, by ona osiągnęła stopień wyłącznej oryginalności, aby przedmiot wreszcie indywidualnością swą odróżnił się wręcz od wszystkich innych swego rodzaju.

Ten krok Kremera ponad Hegla jest wielce znamienity. Oznacza on bowiem śmiało przewycięzenie estetyki niemieckiej. W oczach idealistów niemieckich, czy im na imię Hegel, czy też



Schelling lub Schopenhauer, była indywidualność naogół mało cenną. Istoty rzeczy doszukiwali się oni wyłącznie w typowości i gatunkowości zjawisk, uważając, za przykładem Platona, właśnie te cechy za niezniszczalne, wiekuiste. Wszystko indywidualne było dla nich przypadkowem, przemijającym, a więc nieistotnem. Indywidualność a bezpośrednio, konkretna rzeczywistość—to w gruncie rzeczy jedno i to samo. Artysta, wyrażający w swem dziele wyłącznie indywidualność, równałby się tedy, zdaniem ich, niewolniczemu naśladowcy, kopiście rzeczywistości. Tem samem rozminąłby się z istotą sztuki, która przecież winna iść ręką w rękę z filozofią, czyli uzmysławiać to samo, co filozofia z pomocą pojęć wyraża. Wszyscy idealisci, począwszy od Platona a skończywszy na Heglu, głoszą zgodnie ten sam zasadniczy pogląd: sztuka rozpoczyna się dopiero tam, gdzie artysta pokonuje indywidualność zjawisk, gdzie przebija jej skorupę, by wydobyć na światło dzienne i w dziele swem utrwalić właśnie to, co jest nieindywidualne, czyli wszystkim istnościom tego samego rodzaju wspólne. Gdyż tylko to jest wiekuiste, niezmienne i niezniszczalne—jest istotą rzeczy.

Kremer natomiast żąda dobitnie uwzględnienia indywidualności *obok* typowości i gatunkowości. Indywidualność i gatunkowość winny w dziele sztuki tworzyć harmonijną równowagę. Gdzie bowiem przeważa gatunkowość, tam wyłania się beztreściowa ogólnikowość i schematyzm miast konkretnego życia. Gdzie zaś przeważa indywidualność, tam wyradzają się zbyt łatwo dziwactwa i potworności.

Na tych fundamentach opiera Kremer swój system estetyczny. Z tęsknoty za nieskończonością, za jądrem rzeczy wywodzi twórczy rozmach artysty. A równocześnie nie zapomina, że chcąc wyrazić nieskończoność, nie może się sztuka posługiwać niczem innem, jak skończonością i indywidualnością. Świat materialny—powiada tak pięknie—pożycza artyście swoich postaci, swoich kształtów, daje mu na osnowę swoje marmury, drzewa, kruszce, barwy, tony, głos, a człowiek, uchwyciwszy je, wlewa w nie duszę swoją, przyciska gorącym objęciem do serca, wlewa w nie nieskończone życie swoje, swego ducha, a tak staje się twórcą, mistrzem.

Któż czyta dzisiaj dzieła Kremera? Może głównym powodem tego zapomnienia jest, jak wiadomo, zbytńia kwiecistość i czasami wprost nieznośny patos jego stylu. Lecz mimo to dzieje mu się krzywda. Wietrząc zazwyczaj w Kremerze wyłącznie zatwardziałego idealistę z pod sztandaru Hegla, zapomina się, że

potrafił on, mimo całej swej abstrakcyjnej dyalektyki, oddać życiu, co się życiu należy. Najlepszym dowodem jego nauka o indywidualności w sztuce.

Również Bronisław Trentowski zajmował się estetyką. I on jest uczniem Hegla. Piękne i oryginalne są jego idee o przyszłości narodów słowiańskich. Wierząc głęboko w dyalektyczny schemat heglowy, rozsnuwający rozwój heglowy poprzez tezy i antytezy ku syntezom, uważał przewagę kultury słowiańskiej w przyszłości za metafizyczny pewnik. Ludy romańskie, znajdujące się na stopniu tezy, uprawiały realizm w filozofii. Antytezę wytworzyły ludy germańskie przez swój idealizm. Zaś pojednanie obu, synteza realizmu i idealizmu, winna dokonać się teraz na łonie filozofii słowiańskiej.

We własnym systemie buduje Trentowski podwaliny pod tę nową syntetyczną filozofię. Realizm romański—powiada—poczytywał trupią materię za istotę rzeczy. Naczelną władzą poznawczą były mu *zmysły*. Idealizm germański przerzucił się na drugi biegun. Wyrugował zmysły i postawił na ich miejscu myśl, *umysł*. Stąd wydał mu się świat cały wyłącznie ideą. Nowa filozofia słowiańska wykrywa natomiast nową, trzecią władzę poznawczą, którą Trentowski zowie *zmysłem*. Zmysły mają swe korzenie w ciele, umysł w duszy. Zmysł zaś zawarty jest w jaźni, która jest jednością ciała i duszy, nieśmiertelną istnością, ukształtowaną na wzór Boga. Zmysł dostrzega więc teraz ową jednię materii i idei, która dotąd uszła uwadze władz poznawczych zmysłowych i umysłowych, jako jednostronnych.

Wyposażywszy się tedy w ów „zmysł“, kreśli Trentowski wszechstronny system filozoficzny, rozpatrując w nim niemal wszystkie dziedziny kultury. Dzieła swemu daje dumny tytuł: „Panteon wiedzy ludzkiej.“ Niestety, lektura tego dzieła jest w znacznej części wielce przykra. Trentowski zraża sobie czytelnika wybujaną zarozumiałością. Z lubością podkreśla swe własne czyny. Przypomina często i gęsto, że autor był pierwszy, co okazał i t. d. Nadto kusi się o jakiś niezwykle dziarski styl, będący zapewne w oczach jego owym nowym stylem słowiańskim, mającym sobie zdobyć całą przyszłość. Powiada np. dosłownie: „Miejsce powszechnej dwójcy zajęła powszechna Trójca. Panowanie głupiego albo Bartka albo Maćka ustało. Roztworzył się widok oryginalny, wielki i nader wspaniały.“ Naturalnie sprawcą owego nader wspaniałego widoku jest sam autor. Wreszcie tworzy Trentowski cały szereg nowych słów, przeważnie zbędnych. By go zrozumieć, trzeba się wpieryć na pamięć



jego nomenklatury — sztucznej i dziwacznej. Z ogromnej ilości jego neologizmów zachowało się przy życiu bodaj kilka, jak np. jaźń lub innobyt. Zaś wszelkie dziwotwory, jak myślini, różnojednia, całokształć, rozbierz, prawdowieść, prawdobłam, bożostan, chowanna i t. p. zapadły się w czeluściach niepamięci.

A nawet po pokonaniu wszelkich tych językowych przeciwnieństw nie odnosi się z dzieł jego tych korzyści, jakie tak dufnie obiecuje. Zasadniczy jego pomysł, owa różnojednia materii i ducha, nie jest żadną nowością. Napotkać go można niemal w każdym monistycznym panteizmie. Proroctwa jego o nowej, trzeciej fazie „bożej“ na świecie najzupełniej się nie spełniły. Nadto były one wówczas na porządku dziennym. Kilkanaście lat przedtem wypowiedział je filozof niemiecki, Krause, w nauce o Panenteizmie. Równocześnie głosił je Cieszkowski. Nic tedy dziwnego, że również z jego estetyki niewiele płynie korzyści. W drugim tonie Panteonu określa on estetykę jako trzecią część Morfozyki, czyli nauki o formie, a mianowicie o formie humanistyki czyli człowieczeństwa. Morfozykę dzieli najpierw na artystykę, zajmującą się wyszukiwaniem sztuk pięknych i ułożeniem ich w pełen całokształt. Drugą część stanowi Kallizofia, czyli rozbiór różnych rodzajów i gatunków piękna, jak dydaktyczność, dramatyczność, epiczność. Trzecią część wreszcie zwie prototypiką, czyli nauką o rodzajach wykonywania sztuk pięknych pod wpływem osobowości artysty.

Zamiłowanie do takich schem etycznych i pedantycznych klasyfikacji cechuje wogóle umysłowość Trentowskiego. Rozdrabnia ono jego siły umysłowe i tamuje rozwój świeżej, soczystej myśli estetycznej, gdzieniegdzie kiełkującej. Naogół wyznaje on zasady niemieckiego idealizmu. Sztuka odtwarza absolut, istotę rzeczy. Brzydzi się ona bowiem — jak powiada w Panteonie — rzeczywistością tuteczną, a miłuje silnie rzeczliwość tamteczną, t. j. transcendentalną, mistyczną, świętą. Mimo to, wydaje się Trentowskiemu, że powiodło mu się idealizm niemiecki przewyciężyć.

Pomysł Trentowskiego o niedalekiej hegemonii filozofii słowiańskiej wywarł silny wpływ na Karola Libelta, najgłębszego naszego myśliciela tej epoki. I on w nią wierzy. Rozróżnia również trzy władze umysłowe: *rozum*, jako podstawę dotychczasowej filozofii teoretycznej, *wolę*, jako podstawę dotychczasowej filozofii praktycznej. Nową, trzecią władzę stanowi *wyobraźnia*, którą zwie unem. Rzeczą wyobraźni jest pojednanie realizmu z idealizmem, dokonujące się w Systemie umniectwa, czyli filozo-

fii unysłowej. Wyobraźnia jest zasadniczą potęgą, kształtującą wszechbyt—uczy Libelt narówni z Schellingiem. Działanie wyobraźni poczytywał Schelling za naczelną władzę duchową, za organon filozofii. Jedynie wyobraźnia jest, zdaniem jego, w stanie dokonać syntezy bytu i myśli, owych dwóch faz, w jakich objawia się absolut. Każde prawdziwe dzieło sztuki jest jedną duchowej treści artysty z materiałem, czyli zmysłowym wyrazem metafizycznej jedni ducha z przyrodą. Proces twórczy artysty, działalność jego twórczej wyobraźni jest więc ostatecznie w istocie swej ten sam, co proces rozgrywający się na łonie absolutu.

W zasadzie to samo głosi Libelt. I on widzi w wysiłkach sztuki ustawiczną gonitwę za absolutem. A ponieważ absolutem jest mu Bóg, przeto przetapia sztuka myśl boską na kształty, barwy lub dźwięki. Bóg sam jest zatem głównym przedmiotem i najwyższym szczytem sztuk pięknych.

W dwutomowej Estetyce czyli Umnictwie pięknem rozwija Libelt poglądy te silnie i wielkorzutnie. Rozpatruje formę piękną w przyrodzie, ludzkości i Bogu, dzieląc je na pierwotne, pochodne i przechodne. Określa piękno nie tylko jako jedność treści i formy w materiale, lecz także jako harmonię znaku i znaczenia—czyli, jakbyśmy się dzisiaj wyrazili, szuka istoty piękna w wyrazie. Wszechświat nie jest mu bowiem tylko ewolucją abstrakcyjnej, platońskiej idei, jeno wypływem potęgi kształtującej, którą zwie bożą imaginacją. A boża ta imaginacja odżyła, nawiasem powiedziawszy, nanowo we współczesnej filozofii, jako Bergsona „*évolution créatrice*.“ Jeżeli nadto, miast wyobraźni twórczej, użyjemy wyrazu „intuicya,“ wówczas powinowactwo Bergsona z Libeltem stanie się jeszcze jawniejsze. Obaj upatrują właśnie w tej władzy ducha najwyższą i zarazem jedynie prawdziwie filozoficzną władzę poznawczą. „Myśl—powiada Libelt—w tem właśnie pokazuje niemoc swoją, że się jako myśl objawić nie może, że czysto duchową, oderwana jej istota, jako taką okazać się nie potrafi, ale aby wyjść ze siebie, wyjść na pojaw, ukazać byt swój, potrzebuje wyrazu, znaku, coby jej dał ciało, a z ciałem byt rzeczywisty, mieszkanie doczesne i nieśmiertelność. Co czego potrzebuje, tego sobie stworzyć nie może, ale musi wziąć skądinąd.“ „Musi zatem być inna potęga ducha, pośrednicząca między temi obiema naturami, która buduje ciało dla duszy, wyraz dla myśli.“ Tą potęgą jest właśnie wyobraźnia. Słowa te mógłby podpisać Bergson niemal bez zastrzeżeń.

Pod wpływem Schellinga i Hegla powstała także praca Ankiewicza, głośnego swego czasu architekta, p. t. „O piękności



w sztuce“ (1847). Niczego nowego ona nie zawiera. Zresztą autorowi nie chodziło o nic więcej, jak tylko o zastosowanie idealistycznych poglądów w niektórych kwestyach praktycznych.

Sprawami piękna zajmował się także August Cieszkowski. Kusił on się o syntezę dwóch systemów: heglowego i chrześcijańskiego. Uważał siebie samego za powołanego, by „luki“, pozostałe w systemie Hegla, wypełnić. Hegel bowiem, zdaniem jego, nie zdołał wysnuć wszystkich konsekwencji z własnego stanowiska. Lecz wypełniając te luki, doszedł Cieszkowski niebawem do częściowego zerwania z mistrzem. Bezwzględnie zatrzymał tylko jego dyalektyczną metodę, widząc w niej prawdziwy kamień filozoficzny. „Czyż sama metoda Hegla—mówi w Prolegomenach—nie była pragnieniem całych stuleci? A czytając np. Giordana Bruno, czyż nie mamy wrażenia, że nadszedł dzień uroczystej jej inauguracji? Otóż od Giordana Bruno aż do Solgera patrzmy na ustawiczne odkrywanie metody, na ustawiczne o nią zabiegi, aż nareszcie Hegel, odkrycia dokonawszy, tym sposobem sam owe ważne stadyum ducha stanowi.“

Uzbrojony w heglową metodę, przebiega Cieszkowski dzieje ludzkości, upatrując w nich szczytowy proces absolutnego ducha. Lecz baczy pilnie, by w niczem nie uszczuplić interesów chrześcijaństwa. Dzieli historyczny rozwój tak, by chrześcijaństwo zyskało znaczenie centralne i rolę dominującą. Innemi słowy: system heglowy staje się w jego rękach powolnym narzędziem, służącym do wszechstronnego utwierdzenia systemu chrześcijańskiego.

Dwa te fundamenty filozofii Cieszkowskiego są naturalnie nieoryginalne. Lecz mimo to samodzielny czynem jest sposób przeprowadzenia ich syntezy. W tem mieści się niezaprzeczalna wielkość Cieszkowskiego. W śmiałym i niezwykłym grupowaniu faktów, w łatwości wykrywania cech znamienych a przydatnych w dobitnej ich charakterystyce jest on wielkim spadkobiercą ducha Hegla. Wierzy głęboko, że Hegel i chrześcijaństwo muszą się bezwzględnie dopełniać, że Hegel powinien uczynić logicznym i zrozumiałym wszystko to, co chrześcijaństwo objawiło. Jest on więc także głęboko powinowatym wielkim scholastykiem Średniowiecza. Czem był dla nich Arystoteles, ten praecursor christi in rebus naturalibus, tem dla niego jest Hegel. Obaj, Arystoteles i Hegel, służyli głównie do utwierdzania wiary i w wierze. Lecz św. Tomasz z Akwinu nie łudził się, że mimo potężnej pomocy Arystotelesowej, pozostaną dogmaty chrześcijańskie zawsze tajemnicami, supra rationem. Cieszkowski natomiast żył w zwodniczym mniemaniu, że filozofia teraz, po Heglu, otwiera nam, jak

powiada, zapieczętowane księgi danielowe, gdyż one tylko do czasu z góry oznaczonego zapieczętowane być miały, kiedy wielu badaczy nad niemi przejdzie, a wiedza rozmnóżenia dozna.

Całokształt dziejowego procesu jest dla Cieszkowskiego wielkim, ogólnym syllogizmem, którego momenty stanowią: byt, myśl i czyn. Momentowi bytu odpowiada świat starożytny przed chrześcijaństwem, momentowi myśli—świat chrześcijański aż do Hegla. Momentowi czynu przynależy się przyszłość. Byt, czyli rzeczywistość zmysłową ujawniła najdoskonalej sztuka. Pierwsze to stadyum ludzkości jest więc estetycznem. Drugie stadyum, filozoficzne, tworzy myśl. Przeżywała je ludzkość w epoce chrześcijańskiej do chwili obecnej. Trzecie stadyum czynu będzie syntezą poprzednich. Przypada mu cała przyszłość w udziale.

Estetyczne dociekania Cieszkowskiego stają się więc zrozumiałe dopiero na tle jego historyzofii — przeto musielibyśmy jej poświęcić nieco więcej miejsca. Z natury rzeczy zawarte one są w historyzofii świata starożytnego. Zgodnie z Herderem i Schillerem twierdzi Cieszkowski, że bliższem określeniem idei piękna, jako momentu dziejowego, są: kultura, humanitas i estetyczne wykształcenie rodu ludzkiego. Sztuka stanowi pierwsze pojednanie ducha z naturą. Przeto pierwszym przeznaczeniem ludzkości jest odpowiadające jej w dziejach estetyczne wykształcenie i humanitas. A duch na szczyblu sztuki, to duch grecki. Estetyczne to stanowisko ducha w Grecyi było stanem naturalnym, przedmiotowym. Podmiotowość najnniejszego w nim nie brała udziału, gdyż sama się jeszcze nie była rozwinęła. Ponieważ stan ten był tylko przedmiotowym, więc był tylko *istniejącym*: stadyum bytu. Z chwilą, gdy *pomyślanym* być zaczął, w sobie samym rozpaść się musiał. Znamionuje to już przejście do antytezy, do stadyum filozoficznego, chrześcijańskiego.

Dowolność powyższego wartościowania widoczną jest naturalnie na pierwszy rzut oka. Można wierzyć lub niewierzyć, że w świecie starożytnym, na tym rzekomym stopniu estetycznym, życie ludzkości jest wytworem sztuki, że państwa, jako indywidua, są dziełami sztuki, a wielcy ludzie artystami państwowości—jak mniema Cieszkowski. Dla tak ogólnikowych określeń zbyt bowiem łatwo o argumenty pro lub contra. Tem mniej zaważa na szali samo powoływanie się Cieszkowskiego na Schillera. Tak bezwzględna degradacya wszelkich innych wartości kulturalnych świata starożytnego wobec sztuki jest w każdym razie jednostronnością, zrodzoną najwidoczniej z dążności ku jednostronnej tezie, by z zawartych w niej przeciwieństw i niedoborów mózdz przejść



tem łatwiej do antytezy. Wogóle brak u Cieszkowskiego znie walającego dowodu, że właśnie sztuka grecka była szczytowym objawem ducha w pierwszym tym okresie. Nie trudno byłoby wykazać z niemniejszym uprawnieniem, że właśnie myśli czyli filozofii greckiej przystoi zaszczytne to stanowisko. Możliaby dowodami poprzeć, że właśnie myśl, czyli teoretyczny ideał Hel lady kształtował jej sztukę, a nie naodwrot, pomijając już to, że większość zdobywcy filozofii po dziś dzień napotyka się mniej lub więcej rozwinięte w Grecyi. Z niemniejszą łatwością możliaby odwrócić Cieszkowskiego wartościowanie drugiej chrześcijańskiej epoki, wykazując, że kulminacyjnym punktem kultury chrześcijańskiej jest właśnie sztuka a nie filozofia — mianowicie gotyk średniowieczny i barok, te dwie formy sztuki par excellence kościelnej, i poniekąd także renesans.

Ze wszystkich tych uwag wynika, że Cieszkowski przejął nietylko zalety, lecz również wady swego mistrza. Z tą samą łatwością odwracał wartości i paczył fakty, gdy schemat dyalektyczny tego wymagał. A właśnie te niedobory były głównym powodem tak nagłego upadku Hegla i tak radykalnego ignorowania go przez późniejsze pokolenia. Tem więcej dotyczy to ucznia — Cieszkowskiego. A szkoda płynie stąd nie mała. Zbyt natarczywie narzucają się bowiem jego braki, przeto zbyt łatwo przeocza się, niestety, jego rzeczywistą wartość i wielkość.

Myśliciele naszych tego okresu cechuje niezaprzeczenie wspaniały roznach i wielkopański gest. Atmosfera idealizmu i romantyzmu, którą chciwie chłonęli, zaprawiła im skrzydła do lotów szczytnych i potężnych. Szkoła Hegla nauczyła ich patrzeć na sztukę pod kątem widzenia ogólnokulturalnem, niemal sub specie aeternitatis. Ich myśli estetyczne są tedy, jak u Hegla, głównie filozofią kultury artystycznej. Poszczególne zagadnienia piękna obchodzą ich mniej, a poniekąd, jak np. Cieszkowskiego, prawie wcale nie. Gdy po przeżyciu się tego okresu wielkiej spekulacji filozofia przeszła do rozpatrywania zagadnień szczegółowszych, gdy na miejscu wszechobjęujących systemów zjawiły się prace o węższym zakresie — wówczas z natury rzeczy i nasza estetyka wstąpiła na te same tory. Odtąd rozpoczął się okres specjalizacji, trwający po dziś dzień.

## Ruch literacki w Niemczech.

Rozpoczynając niniejszem kwartalne przeglądy niemieckiego ruchu literackiego, pragniemy przedewszystkiem zwrócić uwagę czytelników na jeden objaw, o którym zawsze pamiętać należy, ile razy chce się piśmiennictwo niemieckie uznawać za obraz tamtejszego społeczeństwa.

Oto zapewne i w innych krajach i u innych narodów istnieje różnica pomiędzy literaturą warstw rzeczywiście kulturalnych a piśmiennictwem, przeznaczonem dla szerokich mas ludowych. Tak jest np. i u nas, gdzie nie możemy nigdy przypuścić, aby taki np. Słowacki stał się istotnie popularnym wśród wieśniaków a choćby nawet rzemieślników. Lecz zaraz ten polski przykład uprzytomni nam, że jednak ów rozdział jest u nas mniejszym niż u Niemców. Prawda, Słowacki jest i pozostanie zapewne na zawsze poetą warstw kulturalnych, ale równocześnie i one i szerokie masy ludowe mają jednego wspólnego poetę, Mickiewicza, którego z przejęciem czytają, doskonale znają zarówno ci, co w najwytworniejszych miejskich apartamentach mieszkają, jak ci, co się pod słonianą tulą strzechę. Tymczasem u Niemców przykładów podobnych do wypadku z naszym Słowackim jest mnóstwo, natomiast niema ani jednego, przypominającego Mickiewicza. Że nie jest nim Goethe, tego chyba długo udowadniać nie potrzeba: gdy lat temu z górą dwadzieścia przy sposobności sto pięćdziesiątej rocznicy urodzin wielkiego poety (w r. 1889) pewne literackie czasopismo niemieckie urządziło w swej ojczyźnie wśród włościańskich chat wywiady, wyszła na jaw rzecz pozornie niepojęta, a jednak tak charakterystyczna: oto całe rzesze niemieckich chłopów nie znaly choćby nawet nazwiska twórcy „Fausta,” a niektórzy pytali nawet, czy „Goethe“ to jaka miejscowość! Więc



jeśli nie Goethe, to może Schiller jest tym łącznikiem pomiędzy małuczkimi a kulturalnymi Niemcami? Bynajmniej, i on nie. Pominijam już fakt, że niektórzy z tych naczelnych „dziesięciu tysięcy“ Schillera lekceważą, z niego wprost się śmieją, czego u nas wobec Mickiewicza nikt nie śmie uczynić, ale, co ważniejsza, i Schiller pod słomianą strzechą nie jest popularnym. Prawda, czytają go chłopskie dzieci w szkołach, karmią się jego balladami aż do znudzenia, ale też na szkole się cały schillerowski kult kończy i prosty Niemiec, wyszedłszy z lat szkolnych, do Schillera potem z taką obojętnością się odnosi, jak my do... Corneliusza Neposa, którego „Żywoty“ z trudem tłómaczyliśmy w gimnazyum.

Czyż więc ten chłop, ten małomieszczanin niemiecki nic nie czyta? Owszem, czyta i to nawet dużo, przyczem uwzględnić trzeba i to, że w narodzie, gdzie analfabetów wśród starszych zupełnie niema, czytają niemal wszyscy. Ale co? Najprzód Niemiec protestancki — a jeśli mowa krótko o Niemcach, to zawsze ma się protestanckich Niemców na myśli, jak mówiąc krótko „Napoleon,“ pierwszego się wymienia — czyta swoją Biblię, czyta każdego wieczora, po całodziennej pracy. Do tego przychodzi w wolniejszych chwilach, zazwyczaj w dni świąteczne, lektura tygodników politycznych z „literackimi“ dodatkami, przeważnie z opisami podróży i sentymentalno-patetycznymi opowiadaniem, lektura o poziomie artystycznym tak niskim, a unysłowym tak staroświeckim, że żadnego, nawet najbardziej ludowego polskiego czasopisma, z nią zestawić nie można. Czasem, tu i owdzie znajdzie się w wiejskiej chacie i jakąś książkę — oprócz kalendarza — reprezentującą „literaturę piękną.“ Ale nią nie będzie ani Goethe ani Schiller, tylko np. Gellert, a najczęściej Hebel (J. P. Hebel, autor „Skarbczyka nadreńskiego przyjaciela domowego,“ a nie broń Boże Fryderyk Hebbel, autor wspaniałych dramatów!) To czyta wieśniak niemiecki. Małomieszczanin niemiecki czyta mniej więcej to samo, z tą tylko różnicą, że trzyma codzienne popularne pismo polityczne, czasem nawet socjalistyczne, za to książek jeszcze mniej od chłopu. Idźmy o szczebel wyżej: szerokie warstwy niższej i średniej inteligencji. Te mają w bibliotece i Schillera i Goethego: podarunki gwiazdkowe i urodzinowe, ale ich nie czytają choćby dlatego, że ich jeszcze bardziej i dłużej w szkołach męczono Schillerem (Goethego się w szkołach niemieckich z pseudo-pedagogicznych powodów bardzo powierzchownie traktuje). Są w tych domach i tygodniowe lub półmiesięczne „Familienblatly,“ dzisiaj zapewne już nie tak bezmyślne, jak przed laty kilkunastu, w części historycznej nawet przeciętnie bardzo dobre,

w artystycznej zwolna rozwijające się, ale w belletrystyce jeszcze skrepowane tysiącem względów nieartystycznych. Kobiety tych sfer czytają nie mało, oczywiście romanse, ale ciągle jeszcze w przestarzałym stylu à la nieboszczka Marlitt: czułe i — *conditio sine qua non* — w rozwiązaniu koniecznie optymistyczne. Teatr tych kół taki sam: na przedstawienia klasyków niemieckich ucześnie młodzież obojga płci, a starsi, chyba dla jej towarzysstwa, dla nich daje się płaskie komiczno-sentymentalne sztuczki Blumenthala i Kadelburga, dla starszych panów od czasu do czasu trochę „cochonnery“ francuskiej.

Jasnym jest, że cała ta literatura istotnie popularna dla obcego obserwatora posiada tylko względne znaczenie. Kto chce poznać literackie upodobania niemieckiego społeczeństwa, a za ich pośrednictwem jego ducha, ten ową literaturę popularną będzie studiował z zajęciem. Komu natomiast powyższe cele są obce lub przynajmniej obojętne, kto w zagranicznym piśmiennictwie szuka bezwzględnych wartości artystycznych, szybko spostrzeże, że na tym gruncie poszukiwania wyjątkowo tylko mogą przynieść wynik. Jak bardzo wyjątkowo, wystarczy wskazać, że w zakresie powieści w całej niemieckiej literaturze najnowszej doby jeden tylko jedyny *Jörn Uhl* Gustawa Frenssena (z r. 1903) łączy w sobie rzeczywiście — prawdę, że w tym wypadku wprost olbrzymią — popularność ze szczerą wartością literacką, w dziedzinie dramatu zaś niema nawet takiego jednego wypadku, chyba, że obniżając znacznie wymagania estetyczne, za takie wyjątkowe zjawisko uzna się *Altheidelberg* Wilhelma Meyer-Förstera (z roku 1898-go).

Polak, każdy wogóle nie-Niemiec, zapyta ze zdziwieniem: dla kogoż więc piszą ci, których się powszechnie za przedstawicieli niemieckiej literatury uważa: Hauptmann i Sudermann, Bahr i Schnitzler, Dehmel i Hofmannsthal i wielu ich tam jest? Jeżeli bowiem poprzedni obraz literackich upodobań niemieckiego społeczeństwa aż do średniej inteligencji w górę jest prawdziwym, to chyba powyżej tej linii pozostaje za mało czytelników i — co ważniejsza — nabywców książek, za mało widzów teatralnych, aby stojące na wyższym poziomie duchowym powieści i dramaty mogły się twórcom opłacić, a już na dzieła poważniejsze wprost brak chyba odbiorców. A przecież rokrocznie tyle się w Niemczech drukuje książek, tyle wystawia dzieł scenicznych. Więc jak to sobie tłumaczyć?

Tak, istotnie: wychodzi np. nakładem lipskiej księgarni Hinrichsa co tydzień spis nowości wydawniczych, imponująco obszerny.



Ale przypatrzmy mu się bliżej: lwiał część stanowi literatura praktyczna: na czele pedagogika z mnóstwem podręczników i szkolnych wydań dla każdej prowincyi państwa niemieckiego osobno, potem literatura fachowa (teologiczna, agronomiczna, przyrodnicza, techniczna i t. d.), z historyi i estetyki literackiej oraz z filozofii bardzo mało, jak na naród obdarzony tyloma szkołami wyższemi, w belletrystyce zaś — na potwierdzenie naszych wywodów — dziewięć dziesiątych nazwisk autorów, których nie zna nietylko polski ale i niemiecki krytyk, a które za to są lubiane w owych szerokich kołach. To jedno. Proszę dalej wziąć za towarzysza kogoś dobrze z niemieckimi księgarskimi stosunkami obeznanego i wraz z nim przeczytać nazwiska nakładców tych niezliczonych książek, a wtedy on — szczególnie w dziale belletrystyki — mniej więcej przy każdej drugiej pozycyi powie: ten nakładca nie płaci autorowi, przeciwnie, każe sobie jemu płacić. Śmiało można powiedzieć, że w Polsce daleko łatwiej nakładcę znaleźć niż w Niemczech, przynajmniej o ile się nie jest albo popularnym w szerokich masach, albo bardzo już znanym kulturalnym kołom (prawda, że naodwrot, autor jakiejś filisterskiej powieści daleko łatwiej spienięży ją w Niemczech niż w Polsce). Wogóle to, co się u nas opowiada o bajecznych zarobkach niemieckich pisarzów, jest legenda, od której rzeczywistość bardzo, bardzo się różni. Parę przykładów, może niedyskretnych, ale wszak tu chodzi o ludzi, których nikt u nas osobiście nie zna. A więc największy współczesny poeta niemiecki, jeden z niewielu na świecie obecnie prawdziwie wielkich, a przytem wcale płodny (wydanie zbiorowe w dziesięciu tomach), Ryszard Delmel, żyje często w niedostatku, równie jak i wiedeński bardzo oryginalny pisarz, Piotr Altenberg; bardzo wybitny poeta, Gustaw Falke, umarłby z głodu, gdyby miasto jego rodzinne, Hamburg, nie udzieliło mu „pensyi honorowej“; kilku nawet głośnych pisarzów ratuje się corocznie zapomogami z dobroczynnej „Schiller-Stiftung“; znaczny procent tych, którzy mają bardzo wygodny byt, zawdzięcza to nie literackim zarobkom, ale odziedziczonym majątkom (zrobiono dowcipne spostrzeżenie, że jak dawniej młodszy synowie magnatów poświęcali się stanowi duchownemu, aby żyć dostatnio bez uszczuplania rodzinnego majątku, tak dzisiaj starsi synowie fabrykantów niemieckich dalej pomnażają przemysłem zasoby familii, a młodszy wydają je na swoją twórczość literacką). Jakimi zaś są naogół zarobki niemieckich powieściopisarzy, to wyczytać można w ciekawej broszurce W. Fred'a „Literatura jako towar“ (1911), której sensacyjne rewelacje i naszą prasę obiegły. Nieco lepiej mają się auto-

rowie dramatyczni, lecz nie dlatego, że ich dzieła cieszą się powodzeniem, ale że... padają w większej ilości teatrów, niż to jest np. u nas możliwe: poprostu pod naciskiem prasy każdy teatr musi wystawić ich sztuki, gra je dwa lub trzy razy, poczem wraca spokojnie do popularnych ramot Blumenthala i Kadelburga, ale zawsze zsumowawszy te drobne, lecz z wielu scen pochodzące tantyemy, otrzyma się jaką taką kwotę. Autorowie zaś dzieł poważnych, ci doprawdy w Niemczech ginęliby z głodu — o ile nie są z zamożnego domu, lub nie piastują jakiego urzędu — gdyby nie liczne biblioteki uniwersyteckie i gimnazyjalne, których rządowe czy miejskie dotacje są pośrednio zapomogami dla biednych uczonych i literatów.

Te wstępne uwagi wydały nam się koniecznymi na początku stałych przeglądów literatury niemieckiej. Pragniemy bowiem, by czytelnicy nasi z jednej strony książek i objawów, które tutaj omawiać będziemy, nie uważali zawsze za echo szerokich warstw niemieckiego społeczeństwa, z drugiej zaś strony, by od czasu do czasu pozwolili na pokazanie sobie i jakiegoś, bezwzględnie biorąc, mniej wartościowego faktu, ale będącego może w wyższym, niż tamte, stopniu ilustracją duszy niemieckiej.

\*

\*

\*

Jeżeli w nagłówku mówimy o „ruchu literackim“ w Niemczech, to — o ile do tego pojęcia przywiązujemy wyższe znaczenie, jakiś ruch rzeczywisty, zcieranie się dwóch lub więcej kierunków, zaczepną walkę nowych, obronną dawnych — ruchu właściwie w tamtejszej literaturze pięknej niema obecnie, chociaż wiele, i więcej może niż wczoraj, jest w niej i pisarzy i dzieł wybitnych. Nie można także mówić o „czasie przejściowym“, bo takie określenie mieściłoby w sobie optymistyczne oczekiwanie czegoś nowego w blizkiej przyszłości, a wiara ta dopóty była pocieszeniem wszystkich krytyków, póki wreszcie i oni przestali ją żywić, znużeni i znudzeni daremnym oczekiwaniem. Pod tym względem piśmiennictwo niemieckie podobne jest zresztą do polskiego, z tą różnicą, że w tem ostatniem najnowsze wypadki polityczno-społeczne, przelotna rewolucya w Królestwie i w Rosyi wywołały bodaj powierzchowne falowanie literackiego morza,



podczas gdy w Niemczech, gdzie od r. 1870, od ostatniej wojny, nie w polityce się właściwie nie dzieje, literatura i pod tym względem błogiej zażywa ciszy.

Uwidocznia się to i w niezwykle wielkiej liczbie zgonów znaczących, często nawet znakomitych pisarzy.<sup>1)</sup> Przychodzi najprzód wymazać z karty żyjących niejedno nazwisko, łączące dzisiejszą dobę z wczorajszą, nawet jeszcze z przedwczorajszą. Więc umarł (25 lutego 1911 r. w 83-im roku życia) Fryderyk Spielhagen, *auctor unius libri*, bo chociaż ich wiele napisał, to sławnym był jako twórca romansu „Problematische Naturen“ (r. 1860), epigon „Młodych Niemiec“ i Gutzkova, liberał starej daty *anno* 1848, zarówno wróg arystokracji i duchowieństwa jak i przeciwnik nowszych, bismarkowskich Niemiec, epik z gestem mówcy parlamentarnego, bystry, chociaż nie przedmiotowy obserwator życia towarzyskiego. Umarł (15 listopada 1910 r., 80 lat przeżywszy) inny patryarcha literacki, Wilhelm Raabe, tkwiący jeszcze gdzieś w czasach niebieskiego romantyzmu i filisterskiego biedermaierostwa, mogący być wielkim satyrykiem, gdyby brak wszelkich pesymistycznych skłonności nie był z niego zrobił idyllicznego *laudator temporis acti*, humorystę zadumanego nad przeszłością z uśmiechem nawpół gorzkim, nawpół łzawym. Umarł (1 kwietnia 1911 r. w 71 roku życia) Marcin Greif, jako poeta dramatyczny pełen bladej retoryki epigonów Schillera, jako liryk trwalszej wartości, dzięki temu, że wzorem Storma i Mörikego wciłonał w siebie poezję ludową. Ale w tem cmentarzysku obok tych moglił starców minionej epoki są, jakby powiedział Klopstock, i „wczesne groby“ ludzi, którzy do naszej należeli, a nieraz i ją tworzyli, na jej ukształtowanie wpływali. Więc przedewszystkiem Detlev von Liliencron (urodzony r. 1844, zmarł 22 lipca 1909 r.), obok Ryszarda Dehmela największy poeta liryczny dzisiejszych Niemiec, nie literat ale poeta, z boską iskrą geniuszu w łonie, zdrowa, żołnierska natura, pełna męskiej siły, wolna od wszelkiego dekadentyzmu, chociaż wrażliwa na wszystko, co się „duchem czasu“ słusznie czy niesłusznie zwie, rozśpiewana dusza z ogromnem poczuciem rytmu, i tego, którym brzmi muzyka maszerującego wojska, i tego, którym oddycha chwiejający się pod

<sup>1)</sup> Zwracamy uwagę czytelników na to, że, rozpoczynając przeglądy niemieckiego ruchu literackiego po dłuższem milczeniu tego działu w „Bibliotece“, musimy tym razem wyjątkowo dla utrzymania ciągłości mówić niekiedy i o faktach i zjawiskach z czasu nieco odleglejszego niż r. 1911. (P. a.)

podmucha wiatru łan dojrzałego zboża, i tego wreszcie, którym się skarży proletaryusz zadymionego nowożytnego miasta fabrycznego, dusza rozumiejąca wszystko, odczuwająca wiele, nieraz zapewne smutna, ale nigdy nie płacząca, trochę dumnie, trochę zawadyacko potrząsająca chorągwią bujnego, swobodnego życia. A gdybyśmy nie ograniczali się tylko do najwybitniejszych nazwisk, to pokłósie śmierci w ostatnich kilku latach okazałoby się oczywiście daleko większem. ✕

Tymczasem zaś ci, co niedawno jeszcze młodymi byli, starzeją się. Jak u nas ciągle jeszcze do „Młodej Polski“ zalicza się ludzi, których włos dziś, jutro siwieć pocznie, tak i w Niemczech pokolenie ostatniej rewolucyi około r. 1890 bliższem jest już wieczoru niż poranku dni swoich. Powstały pod duchowym patronatem Emila Zoli i Henryka Ibsena naturalizm owych lat przeżył się, zanim zdołał się zupełnie wypowiedzieć, może dlatego, że zaczął od samego początku ze zbyt wielkim impetem, tak że przedwcześnie zabrakło mu oddechu. Poczęty znowu pod znakiem Maeterlincka neoromantyzm, tak zajmująco się zapowiadający, chociaż z zasadniczych względów odrazu tylko do szczupłej garstki powołanych przemawiający, wegetował przez te lata i wegetuje dzisiaj jeszcze, ale nosi coraz bardziej charakter objawu pochodnego, jest ruchem retrospektywnym, zawsze coś starego a zapomnianego „odkrywa“: to antyk, który na współczesną historyczną modłę przerabia, to bujny renesans elizabetańskiej epoki w Anglii, to awanturniczą rozwiązłość rokokowych czasów, to, śladami Wagnera nieraz z powodzeniem krocząc, mistyczne legendy średniowiecza, a ostatecznie jedną tylko jedną na zasługę, ale nie w literaturze pięknej, tylko w naukowej, że nowemi wydaniami i opracowaniami przypomniał światu zapomnianych lub niedokładnie znanych romantyków, jak Novalis, Hölderlin, E. T. A. Hoffmann lub Wackenroder. I jeden tylko nowszy kierunek zachował do dziś dnia żywotność, zapewne dlatego, że tkwiło w nim więcej pierwiastków narodowych niż czysto estetycznych: t. zw. „Heimatkunst“, sztuka rodzima, pod której ożywczem tchnieniem powstała ze zmarłych zwłaszcza austriacko-niemiecka literatura piękna, szczególnie w samym Wiedniu i w właściwem Księstwie Austrii, jak również i w „odkrytym“ także przez współczesną turystykę Tyrolu.

Kto dzisiaj spyta: *ubi sunt, qui ante*, gdzie są przewodcy owej rewolucyi literackiej z r. 1890, otrzyma smutną odpowiedź, chociaż nie w tem znaczeniu, że poprowadzi go się na mogiły zmarłych, ale że żywi takimi mu się ukazą, iż ze zdziwieniem,



jeśli nie z rozczarowaniem zawoła: *quantum mutati ab illo*. Gdzie jest przede wszystkim ten już nie Jan Chrzciciel ale Mesyas modernizmu niemieckiego, Gerhart Hauptmann? Że od szeregu lat corocznie z nowem dziełem scenicznym ponosił w teatrze klęskę za klęską, to mu jeszcze ujmy nie przynosi: nie zawsze najgorszymi są te sztuki, które publiczność, zwłaszcza w Niemczech, wygwizduje. Ale co gorsza, w tych wszystkich wypadkach ten *vox populi* był jeśli nie głosem Boga, to głosem zarówno prostego rozsądku jak i wytwornego smaku. A już co najgorsza, to te dramaty Hauptmanna, wszystkie po ostatnim bodaj porządnym, po „Róży Berndt“ z r. 1903, „A Pippa tańczy“ jak i „Panny z Bischofsbergu,“ „Zakładniczka cesarza Karola“ jak i „Gryzelda“ — one wszystkie były nie złe, ale obojętne, nie oburzały nawet nikogo ani nie zadziwiały, tylko poprostu nie interesowały. Prawda, przyszły w ostatnim sezonie „Szczury“ i dały poecie nareszcie jakie takie powodzenie, nawet częściowo uzasadnione. Lecz pomijając okoliczność, że po tylu klęskach i to tak sromotnych, dla rehabilitacyi potrzeba było dzieła nie średnio przyzwoitego, lecz znakomitego, którem „Szczurów“ nikt chyba nie nazwie, to co w nich ostatecznie jest? Szereg, bardzo nawet długi, figur niejednokrotnie ogromnie charakterystycznych: na ich czele ex- i przyszły dyrektor teatru Hassenreuter (wzorowany na zmarłym w r. 1900 Aleksandrze Hesslerze, u którego Hauptmann za młodych lat brał lekcye deklamacyi teatralnej), przepyszny typ patetycznego kabotyina scenicznego—ale te figury świadczą wprawdzie o wielkim darze obserwacyjnym pisarza, lecz nie mówią nic o jego geniuszu dramatycznym, tak są, z osobna postawione, w bardzo luźnym związku z sobą. A obok nich sama fabuła sztuki, chaotyczna opowieść o dwóch dzieciach, jednym kupionem, drugim skradzionem przez bezdzietną w małżeństwie Johnową, historia nie tyle dramatyczna, jako pożądanie macierzyństwa, ile trywialna, jako echo procesu hr. Kwileckiej-Wesierskiej i Meyerowej (skąd zapewne matka jednego z tych dzieci nazywa się rzekomo po polsku „Piperkarcką“). To wszystko ułożone obok siebie, nie z sobą zmieszane: trzy akty oddane tantym charakterystycznym figurom, dwa ostatnie poświęcone tragedji Johnowej, spóźniony refleks młodzieńczego naturalizmu, w dawnej barwie nie spotęgowanego, lecz osłabionego, a bez jakiegokolwiek nowej myśli. Że dramatyczny talent Hauptmanna już się wyczerpał, tego dowodem jest i to, że on, którego dotychczas—poza dwoma drobnymi studyjami powieściowemi—widziało się tylko i w praktyce i w teorii na scenie, wystąpił w ostatnich miesiącach jako

powieściopisarz. Dawno zapowiadano tę powieść, tajemniczeni półsłówkami pisano o niej już od kilku lat, oczekiwano jej z utęsknieniem. Aż się nareszcie z końcem r. 1910 ukazała pod dziwnym tytułem „Der Narr in Christo Emanuel Quint.“ Gruby tom o kilkuset drobno zadrukowanych stronicach, lektura żmudna i częściej nużąca niż zajmująca, dla znawców poprzednich książek autora odrazu widoczna, jako rozproszanie motywu, niegdyś w nowelistycznym studyum p. t. „Apostoł,“ krótko ale wyraziście nakreślonego. Oto jest jakiś bezdomny włóczęga, podobno nieprawdy syn księdza, który poczyna podawać się za apostoła nowej wiary, znajduje wyznawców, w rolę swą tak się wżywa, że mówi już tylko słowami Pisma św., aż wreszcie jako sam Chrystus występuje i tak długo bałamuci lud, dopóki władza państwowa nie kładzie temu kresu. Jak sam temat nie jest u Hauptmanna nowością, tak i wszystkie zasadnicze pierwiastki przydługiego opowiadania zna się już dobrze z dawniejszej poety twórczości: więc i ten mistycyzm ze Ślązka, ojczyzny Hauptmanna a kolebki także i takich mistyków jak Jakób Böhme i Anioł Ślązak się wywodzący; my go już znamy i z „Hanusi“ i z „Biednego Henryka“; a altruistyczne umiłowanie cierpiącego proletaryatu, to także już było i w pierwszym dramacie „Przed wschodem słońca,“ i w „Tkaczach,“ i w tejże samej „Hanusi.“ Co tu jest nowem: śmiało, że nie powiemy zuchwałe, podawanie się Emanuela Quinta za Chrystusa, kształtowanie jego dziejów tak, by były uderzająco podobne do ziemskiej wędrówki Jezusa. To Hauptmann wziął znowu nie z siebie, jeno z P. Roseggera, popularnego styryjskiego pisarza i jego powieści „Wieczne światło.“ W całości powieść jest zapewne ciekawą dla chcących znać całą twórczość Hauptmanna, sama w sobie jest jednak ciężką i przygniatającą, a będąc przez kilka lat, zanim się ukazała, „sensacją,“ przestała nią być od chwili, gdy się ją z mozołem do końca przeczytało.

Ale nie sam Hauptmann tylko, jeden z byłych przewodców nowego dramatu niemieckiego, przeobraził się w powieściopisarza. Obok niego staje w r. 1911 inne sławne i u nas nazwisko. To Maks Halbe. Lat temu osiemnaście (1893) ogłosił tę „Młodość,“ która—o ile jej cenzura teatralna pozwoliła—święciła takie tryumfy na scenie, uważana za najszczerzy krzyk serca ludzkiego, za klasyczny wybuch ludzkich namiętności. Poeście przepowiadano świetną przyszłość, łączono z nim najśmielsze nadzieje literatury niemieckiej. Rzeczywistość wszystko rozwiła: Halbe, jak Hauptmann, pisał dramaty, ale z jeszcze mniejszem powodzeniem, aż w końcu znudziły mu się one samemu, jak już znacznie przedtem



publiczności, i poeta przeszedł do powieściopisarzów: w r. 1910 napisał zbiór nowel „Pierścień życia,” w r. 1911 powieść „Czyn Dietricha Stobäusa.” I z tym romansem stworzył nareszcie znowu po latach poważne dzieło, które niewątpliwie nigdy nie będzie miało rozgłosu tamtego dramatu, ale zawsze o autorze dobrze świadczyć będzie. Dla głębszego badacza korzystnem jest zdanie sobie sprawy z tego, czemu ta powieść jest dobrą. Chyba nie dla swojej fabuły. Dietrich Stobäus, uwikłany w miłość do lekkomyślnej, poważnych uczuć niegodnej aktorki, nie mogący się od niej uwolnić, aż dopiero z chwilą, gdy kochankę zrzuca ze skały w toń morską, ten bohater romansu Halbego, kończący psychopatyczny proces morderstwem, sam przez się nie jest zbyt ciekawym, o ile nie będzie się w nim widziało samego pisarza, który w ten sposób zaznacza swe wyrzeczenie się pisania dla teatru. Ale nad tem wszystkim unosi się to, co było i w owych nieszczęśliwych dramatach Halbego jedynie sympatycznym: jego serdeczne przywiązanie do ziemi ojczystej, na zewnątrz ujawniające się w szczerych lirycznych akcentach. Była powyżej mowa, że ze wszystkich kierunków literackich w Niemczech w ostatnich kilkunastu latach jeden tylko okazał się prawdziwie żywotnym: sztuka rodzima. Ona uratowała Halbego także. Prawda, ma ją także Hauptmann, ale czy to dlatego, że na swój rodzinny Ślązk patrzy jednostronnie i widzi w nim nie całość, ale części tylko: proletaryuszów i mistyków, czy też dlatego, że jego miłość jest mniej pozytywnem ukochaniem, więcej negatywną skargą nad ojczystą biedą, czy wreszcie wskutek wrodzonej autorowi skłonności do filozofowania a niechęci do liryzmu—dość, że Hauptmanna „sztuka rodzima” jest chłodną i czytelnika do wzajemności nie pobudzi. Inaczej jest z Halbem: urodził się nad morzem, to morze kocha, jego piękność i moc jak poeta śpiewa, uderzając w pełny ton, który trafia i do naszego serca. Stąd jak przed laty u niego, zresztą silnie zaznaczającego wrogie stanowisko przeciw Polakom, dramat o „Strumieniu,” o naszej Wiśle przemówił do nas tą właśnie miłością przyrody, tak samo „Czyn Dietricha Stobäusa,” czyn dokonany nad brzegami Bałtyku, „polskiego morza,” dzięki pięknemu i wyraziście odmalowanemu krajobrazowi, bliższym jest nam od Hauptmanna ślązkich proletaryacko-mistycznych filozofowań.

Zostańmy przy powieści, przy powieści, pisanej ręką autorów, których dotychczas powszechniej znało się jako dramatycznych. Z tą tylko różnicą, że obecnie już nie chodzi o powieść, jako *ultimum refugium* zbankrutowanych pisarzy dramatycznych.

Bo do nich przecież żadną miarą nie można zaliczyć Hermana Bahra. Owszem, ostatnie dramaty jego cieszyły się jeszcze większem powodzeniem, niż poprzednie. W świeżej pamięci jest jeszcze jego „Koncert,“ dowcipnemu i zręcznemu dyalogowi, błyskotliwej charakterystyce d-ra Jury i płynnej a mimo groźących niebezpieczeństw „dobrze się kończącej“ akcji zawdzięczający powodzenie i na obcych scenach, także i na naszych. Raczej zabawką są już „Dzieci,“ gdzie na chwilę zdaje się, jakoby miała być opowieść o tragicznej miłości dwojga rodzeństwa, na wzór naszej legendy o Stanisławie i Annie Oświęcimach, aż się pokazuje, że oboje są dziećmi grzechu, z dwóch ojców i dwóch matek o tyle z sobą „spokrewnionych,“ że te dwie pary małżeńskie wzaajem się oszukiwały—rozwiązanie i trochę „za włosy przyciągnięte“ i bardzo niesmaczne. Bądź co bądź jednak Bahr ani, że tak powiemy, nie potrzebował pisać powieści dla naprawienia swej sławy literackiej po klęskach teatralnych, ani, pisząc romanse, nie zaprzestaje tworzenia sztuk scenicznych, jak to było z Hauptmannem i Halbem. A jednak pisze powieści i to widocznie *con amore*, nieledwie z pasją i z daleko większą powagą, niż dramaty. Bo — proszę sobie tylko uprzytomnić, że jesteśmy w dwudziestym wieku, w wieku, szybko żyjącym i nieznoszącym długich, wielotomowych powieści, któremi nas ku naszej ucieście raczono sto i pięćdziesiąt lat temu!—Bahr zamierza napisać ni mniej ni więcej, tylko cykl, złożony z... dwunastu powieści! Przedsięwzięcie zaiste zdumiewające, tem bardziej, że autor chce tu przedstawić i wyczerpać, jeśli nie jak Balzac całą „Comédie humaine,“ to przynajmniej obraz społeczno-polityczny dzisiejszej Austrii. Lecz tutaj jeszcze nie koniec naszemu zdumieniu: oto tenże sam Bahr równocześnie z zapowiedzią dwunastotomowego cyklu oświadcza, że jego zdaniem ilość odmiennych typów ludzkich jest właściwie bardzo ograniczoną, tak, że na palcach obu rąk z łatwością policzyć można, według ilu zasadniczych wzorów Pan Bóg stworzył miliardy ludzi od początku świata do dzisiejszego dnia. I zapastrywanie swoje tak konsekwentnie w czyn wprowadza, że w trzech dotychczas ogłoszonych powieściach nietylko zjawiają się często te same postacie ale powtarzają się nawet figury, znane już z dramatów autora, zwłaszcza arcyksiąże, marzyciel, niezadowolony ze swego wysokiego stanowiska, które nie pozwala mu być „człowiekiem,“ dalej brutalny „Kraftmensch,“ któremu aż do chwili tragicznego przejrzenia zdaje się, że pokonał wszelką ludzką słabość, wreszcie dziwak i oryginał, raz jakiś egzotyczny gość, dziwujący się kulturze europejskiej, to znowu, jakiś oryginał, utrzy-



mujący, że ludzie „tylko z przyzwyczajenia“ umierają. To wszystko postawione na tle specyficznie austriackich stosunków, z dużym zasobem austriackiego patriotyzmu, lecz tak dalece *sui generis*, że się często bardzo nie podoba austriackiemu prokuratorowi państwowemu, bo Bahr należy do tych austriackich szowinistów, którzy chcieliby połączenia austriackości z europeizmem, co zawsze w Austrii uchodzi za antypaństwowość. A oto trzy dotychczas stworzone ogniwa cyklu: „Die Rahl,“ romans wzorowany na życiu zmarłej przed kilkunastu laty sławnej wiedeńskiej aktorki tragicznej, Karoliny Wolter, opowiadający o rozmarzonym i namiętym chłopcu, spędzającym rozkosznie noc miłosną w willi starzejącej się, a potrzebującej odmłodzenia aktorki; opowieść trzymana w tonie nawpół ironii, nawpół współczucia, z silniejszą nutą w oskarżeniu dzisiejszego systemu wychowania szkolnego. Potem poszła „Drut“ z szerszym propektem, bo nie na teatr, lecz na życie austriackiej biurokracji, jak tamta powieść, oparta o wydarzenia rzeczywiste, o głośny swego czasu proces karny, w którym żona prowincjonalnego starosty zyskała opinię awanturnicy i oszustki, romans, wnikający w tajniki psyche kobiecej, lecz na to tylko, aby pokazać, jak one są niezgłębionemi, poza tem zajmujący się odzwierciedleniem stosunków w austriackiej służbie polityczno-administracyjnej, pracującej mniej dla dobra publicznego, więcej dla uporczywego zachowania własnych przesądów. Wreszcie, jako ostatnie na razie dzieło z tego cyklu, ukazała się niedawno powieść p. t. „O człowieku!“, pozbawiona już niemal wszelkiej akcji, obfitująca natomiast w bogactwo, niemal nadmiar typów, od nawpół dzikich do przerafinowanych, toczących z sobą nieskończone rozmowy, przebłykujące paradoksami w stylu „Koncertu.“ Co przyniosą dalsze książki, oczywiście nie wiadomo, obawiać się jednak trzeba, że Bahr uprze się przy swoim zamiarze, pisać będzie dalsze powieści, aż dopełni dwunastki, mając za czytelników jedynie tylko godnych pożałowania krytyków, zmuszonych do odczytywania wszystkiego, co jest podpisane tem wybitnem w literaturze niemieckiej nazwiskiem.

I u Bahra zatem nie można szukać powieści popularnych bodaj wśród przysłowiowych „wyższych dziesięciu tysięcy.“ Prędzej już u Klary Viebig. Kobieta płać, ale z powieściopisarzyw kto wie czy nie najbardziej mężka, spadkobierczyni Emila Zoli, może w całej Europie najwierniejsza jego spuściznie. Miała przed laty swą najświetniejszą chwilę, gdy w r. 1900 napisała „Wies babską,“ pełną na ogół tłumionej, wreszcie z tem większą siłą wybuchającej namiętności; wkrótce potem w „Śpiącym wojsku“ (1904)

poruszyła najbardziej piekące zagadnienie bieżącej polityki pruskiej, „sprawę polską,“ nie dając oczywiście recepty na jej załatwienie, ale jej poszczególne elementy określając bystro i z przedmiotowością, Polakowi zapewne nie wystarczającą, w oczach Niemców jednak za mało nacyonalistyczną. Teraz jej bohaterami są „Ci przed bramami,“ nawpół mieszczańską, nawpół wiejską ludność podmiejskich gmin berlińskich, które straszliwy polip milionowego miasta zagarnia w swe ramiona, garstce dając bogactwo, masie moralny i finansowy upadek: obraz grynderskiej gorączki w stolicy Prus po ostatniej zwycięskiej wojnie, po miliardach francuskiej kontrybucyi, które zatarły dawniejszy charakter Berlina i z niego zrobiły dzisiejszy Berlin, ani Bogu ani ludziom nie miły. Jak „mężkami“ są tematy tych powieści, tak twardem jest i oschłem, mimo wielkiego arcyzmu, ich opracowanie; Klara Viebig chce sama jedna przebłągać estetyczny smak za ekliwą sentymentalność tylu kobiecych piór i dlatego z rozmysłu unika nietylko wszelkiego roztkliwiania się, ale i uczuciowości wogóle. Objaw to tem mniej pożądany, że dzisiejsza belletrystyka niemiecka wogóle wyrzeka się żywszej nuty, a nawet tam, gdzie była do niedawna główna dziedzina neoromantycznych prądów, w noweli, od kilku lat jest powrót do banalności minionej epoki. Nowela niemiecka, pamiętająca za czasów Kleista, Tiecka i Hoffmanna świetność, francuskiej dorównyującą, później za K. F. Meyera i młodego Heysego znowu czerwienią ożywiona krwią, za dni naszych pod piórem Auernheimera, Bahra, Michela, Saltena, Wassermanna na chwilę zaświeciła wielością barw na to, by od dwóch czy trzech lat popaść w dawny zastój.

\*

\*

\*

Życia, ruchu jest dzisiaj dużo w niemieckim dramacie i teatrze. W teatrze najprzód: któż nie zna bodaj ze słyszenia wielkich czy tylko efektownych koncepcyi Reinhardta, jego śmiałych prób inscenizacyjnych, do których dołączyła się w ostatnim roku aneksya cyrku na rzecz teatru? A nie obcemi są także i nam niemieckie teatry pod gołem niebem z Zachodu i Południa przejęte, w Niemczech tem bardziej przybierające charakter systematycznej dążności, że klimat tamtejszy takim przedsięwzięciom by-



najmniej nie sprzyja. Ożywienie w dziedzinie teatru zawsze łączy się z ożywieniem w zakresie literatury dramatycznej. Tak jest i obecnie w Niemczech. Skala tego dramatu jest bardzo szeroka w treści i formie i obejmuje zarówno poematy dramatyczne legendarne jak i psychologiczne analizy sceniczne, obrazy wielkich chwil dziejowych jak i pastelowe portrety współczesnych typów. Mimo tej różnorodności jednak widoczną jest w tej chwili w dramacie przewaga motywów legendarno-historycznych nad współczesnymi. Ta wiadomość zrazu wcale nie wyda się wesołą: wszak pamiętamy wszyscy, jak nudnym był niemiecki dramat historyczny epigonów wielkiego Schillera. Ale teraz rzecz ma się zupełnie inaczej. Ze śmiercią Ernsta Wildenbrucha, który zresztą był stanowczo lepszym, znacznie lepszym poetą, niż za jakiego np. u nas go uważano, po zgonie tego ostatniego malarza wielkich historycznych płócien *al fresco* skończył się, zapewne na długo, jeśli nie na zawsze, historyczny dramat w stylu Schillera. Dramat historyczny, jako taki, wcale nie zaginął, owszem, odżył na nowo, ale w zmienionym duchu. Hauptmann swego czasu myślał o takim renesansie, chciał gałązkę dramatu historycznego przeszczepić na pień naturalistyczny, napisał „Floryana Geyera“ (w r. 1895) i — rzecz się z gruntu nie udało. Dziś, w czasach mniej doktrynerskich, dramat historyczny odradza się nie w myśl jakichkolwiek formułek estetycznych, lecz przetrawiony indywidualnością twórców, w której jest zarazem niezależny od artystycznych programów czasu.

Wstępując na tę drogę nowe talenty, widzimy na niej i takich, którzy dotychczas po zupełnie innych chadzali ścieżkach. Niemałe też było w Niemczech zdumienie w jesieni 1910 r., gdy rozchodziła się wieść, że wiedeński teatr nadworny grać będzie wielki dramat napoleoński pióra... Artura Schnitzlera. Więc tego samego, którego „Miłostki,“ i „Kolacyjka,“ i „Anatol“ i inne to sentymentalne, to swawolne (a zwykle jedno i drugie) sceniczne obrazki erotyczne uchodziły za klasyczny portret wiedeński „słodkiej dziewczyny“ i jej anantów. Aż tu nagle zjawia się ten dramat historyczny w szesnastu odsłonach, z aparatem niemal stu osób działających! Warto mu się bliżej przypatrzeć, choćby dlatego, że nie można się spodziewać, byśmy go kiedykolwiek na scenie polskiej ujrzeli, a bodaj dzięki historycznemu tłu, musi on nas zaciekawić.

Punktem wyjścia dla autora był nie tylko historyczny fakt pobytu cesarza w Schönbrunnie w r. 1809, ale niemniej autentyczny epizod z październikowych dni: nieudany zamach na Na-

poleona. Sprawcą był Fryderyk Staps, siedemnastoletni syn pastora z Naumburga. Młody chłopak widział „boga wojny“ po raz pierwszy na świetnym erfurckim zjeździe i wtedy jeszcze spokojnie o nim ojcu pisał. Ale towarzystwo innych rówieśników, lektura wolnościowych dramatów Schillera, wreszcie ogólna atmosfera w Niemczech, wroga Napoleonowi, sprawiły, że w Stapsie dojrzał plan zabicia ciemńey Niemiec. Odjeżdżając potajemnie z domu ojcowskiego, mówi wyraźnie w stylu „Dziewicy orleańskiej“ z namaszczeniem o tej wielkiej misji. I rzeczywiście 12 października 1809 r., gdy cesarz, prowadzący wówczas układy pokojowe z Austryą, dla przeglądu wojska schodził schodami schönbrunnskiego pałacu, generał Rapp dojrzał w tłumie podejrzanego młodzieńca i kazał go niepostrzeżenie aresztować. Przy rewizji znaleziono przy nim wyostrzony nóż kuchenny. Staps zamysłów swoich wcale nie ukrywał, a cesarz, który bez wahania całe hekatombje ludzi na śmierć wysyłał, z niewyjaśnionych przyczyn chciał go wyratować. Więc poddał mu — daremnie — myśl, by udawał waryata, potem chciał go ułaskawić, jeżeli wyrazi żal za swój postępek, ale Staps ubolewał tylko, że mu się nie powiodło. Ostatecznie Napoleon musiał go skazać na śmierć, a jest w tem dużo ironii historycznej, że wirtemberscy, zatem niemieccy żołnierze, rozstrzelali niemieckiego zapaleńca. Jedynym, nieoczekiwanym skutkiem zamachu było to, że pod jego wrażeniem Napoleon coprędzej zawarł pokój z Austryą. Takim jest pierwowzór bohatera dramatu Schnitzlera o „Młodym Medardzie“; że autor zrobił z niego Wiedeńczyka, to wprawdzie nie jest zgodne z historią, ale ostatecznie da się wytłómaczyć lokalnym patryotyzmem. Że, jak zobaczymy, Schnitzler wplątał w tę sprawę miłość, to również ma pewne uzasadnienie w podanym przez generała Rappa domysle Napoleona, jakoby niemieckie kobiety podburzały Stapsa. Ale źródło, z którego Schnitzler tę miłość czerpie, jest bardzo mętne. Proces myślenia był u niego zapewne następujący: Medardowi i jego mieszczańskiemu otoczeniu należy dać odpowiednik w towarzystwie wysoko urodzonym. A że to ma być historia polityczna, więc dobrze dodać do społecznego konfliktu także i narodowościowy. Więc jaki arystokratyczny *émigré*? Tak, ale czemu nie wejść na jeszcze wyższy szczebel drabiny społecznej, czemu nie dać potomka rodziny królewskiej, pretendenta do tronu, zajmowanego obecnie przez uzurpatora. To i zaostrzy konflikt dramatyczny i wytłómaczy nienawiść do Napoleona. Ale kto ma nim być? Jaki Bourbon? Przecież rząd austriacki z obawy przed Napoleonem nie tolerowałby go. I tak



tym pretendentem, święcie o swoich prawach przekonany a przez nikogo na seryo nie brany został „książe de Valois,“ mimo że rodzina ta wygasła w r... 1589! Jak na dramat historyczny, fikcyja to zbyt śmiała. A nawet i w dramacie psychologicznym pomysł to nieszczęśliwy, bo przecież ten „książe de Valois“ ma być figurą *tragi-komiczną*, a nie zupełnie śmieszną lub zwaryowaną, a takim byłby ten, ktoby w r. 1809 uważał się za Walezyusza.

Przejdźmy po kolei, ale szybko, te szesnaście odsłon dramatu. Medard, syn Franciszki Klähr, wdowy po księgarzu, który, jako żołnierz, czekając na mrozie na Napoleona, mającego odbyć wojskową paradę, nabawił się śmiertelnej choroby, chce się zaciągnąć do narodowej milicyi, walczyć przeciw cesarzowi Francyi. Ale losy chcą inaczej. Siostra jego, Agata, ma romans z młodym ks. de Valois, synem owego pretendenta. Rodzina jego o małżeństwie naturalnie słyszeć nie chce, więc kochankowie topią się w falach modrego Dunaju. Medard postanawia pozostać w Wiedniu, na rodzinie księcia pomścić śmierć Agaty. Dwa trupy w prologu, w pierwszym akcie ich pogrzeb na cmentarzu. Tu Medard spotyka siostrę kochanka Agaty, księżniczkę Helenę. Lży ją, czego następstwem jest pojedynek z jej kuzynem, a w nim Medard odnosi ranę, zyskując jednak namiętną miłość Heleny. Medard jej nie kocha, ale na jej zaproszenie spędza u niej noc w zamku, na to tylko, aby potem jej upadek publicznie rozgłosić: dziwna panna, dziwniejszy kawaler. Lecz fatum chce, że Medard sam zapala się od ognia Heleny. Jej miłość jest mu teraz rzeczywistością, snem wszystko inne: snem śmierć ojca, ofiary ucisku Francuzów, samobójstwo Agaty, nienawiść do Napoleona. Otrząsa się z tego stanu dopiero pod wrażeniem tragicznego wypadku w rodzinie: jego wuj, zadenuncyowany przez podłego zdrajcę, zostaje rozstrzelany (znowu cmentarz, znowu pogrzeb!). Medard ponownie przysięga zemstę, a zagrzewa go do niej Helena z osobistych, rodowych pobudek: gdy Napoleon zginie, rodzina Valois wróci na tron francuski. Medard poznaje, że gdyby zabił cesarza, to nie byłby to czyn patryoty niemieckiego, tylko zapłacone dzieło najemnika Walezyuszów i dlatego wzbrania się to zrobić. Helena sama podejmuje przedsięwzięcie. Uważana jest za kochankę cesarza, bo w interesie rodziny była u niego na audyencyi, ma więc możność zbliżenia się do niego. Czeka na Napoleona na schodach zamku, ze sztyletem w zanadrzu. Wtedy Medard zabija ją. Uwięziony, dowiaduje się ku swemu zdumieniu, że cesarz ma go za wybawcę swego, bo poznano prawdziwy zamiar Heleny. Protestuje, zamysł swój wyjawia, skłamać nie

chce nawet wtedy, gdy cesarz, pragnąc go uratować, żąda od niego jedynie przyrzeczenia, że nigdy już nie będzie godził na jego życie. Rozstrzelany, na rozkaz Napoleona ma być pochowany „z wszelką czcią i w poświęconej ziemi, jako tej wojny ostatni i najdziwniejszy bohater.“ Czy istotnie bohater? „Bóg chciał go zrobić bohaterem, bieg rzeczy zrobił z niego głupca,“ mówi o nim jedna z osób dramatu. Medard w swojej niezdolności dokonania czynu podobnym się niby wydaje z daleka do Hamleta. Tylko dwie są pomiędzy nimi różnice: po pierwsze Szekspir *a priori* przedstawia królewicza duńskiego jako takiego słabego człowieka, w którym hipertrofia myśli zabija energią czynu, Schnitzler zaś chciał, by się w Medardzie widziało bohatera czynu; powtóre zaś ostatni „czyn“ Medarda kwalifikuje go istotnie jako „głupca.“ Po co, zabiwszy Helenę, wyznaje, że chciał także zabić cesarza? Przecież właśnie, zyskawszy tantem zabójstwem zaufanie Napoleona, mógłby łatwiej dokonać drugiego, o które mu chodziło. Ale nie, jemu chodziło o to tylko, by zginąć, a zginąć z szerokim gestem, jako wróg cesarza, gdy w rzeczywistości jest on ofiarą niezdrowej miłości. Ale Medard nie jest nawet „bohaterem sztuki“ w dramatycznym znaczeniu, jest tylko epizodyczną figurą w walce Heleny de Valois z Bonapartem. To jest główny zrab akcyi, jak wogóle, pogodziwszy się raz z istnieniem fantastycznych Walezyuszów, musimy w nich widzieć najlepiej w dramacie odtworzone środowisko. A także i mieszczański świat wiedeński z patryotami i delatorami, z codzienną biernością i odświętnymi porywami udał mu się dobrze, równie jak ta smutna, nastrojowa para, „prastary pan“ i jego prawnuczka, błędzący po cmentarzu. Jeśli więc w całości Schnitzler bohaterskiego dramatu historycznego tutaj nie stworzył, to dał w każdym razie ciekawy obraz epoki, odmalowany indywidualnym pendzlem, bo tymi smętnymi cieniami i łagodnymi półtonami, które charakteryzowały poetę w współczesnych dramatach. Nie zgwałcił więc ani siebie, ani dramatu historycznego. I w tem właśnie, mimo aktualnych wad, leży dobra myśl, nadzieja odrodzenia dramatu historycznego w tym kierunku, równie odległym od naśladowania Schillera jak i od samowoli Hauptmanna. W pierwszym wypadku naginano własną indywidualność poetycką do skostniałego już kanonu estetycznego, w drugim temperament poety rozbił ramy dramatu, jako takiego. Zbawienie jest tylko na pośredniej drodze: pogodzenia zasadniczych rysów tragedyi historycznej z własnym temperamentem poetyckim.



Z tego punktu widzenia „Wiara i ojczyzna“ Karola Schönherra, w treści i w zabarwieniu zupełnie odmienna od sztuki Schnitzlera, jako zjawisko literackie ma podobne do niej symptomatyczne znaczenie. Obok „Młodego Medarda“ była to najgłośniejsza „premiera“ teatralna ostatniego sezonu, a z innych względów musi nawet jeszcze głębszą skupić uwagę. Schnitzler i jego utwór są bądź co bądź odbiciem duchowej atmosfery Wiednia, tego pięknego i miłego „miasta Feaków“, jak się o nim wyraził największy jego poeta, Grillparzer. Wiedeń, chociaż jest stolicą monarchii, nie skupia w sobie bynajmniej jej życia duchowego, zarówno np. w sferze artystycznej, jak i politycznej. Od dziesiątków lat nie zrodziła się tam żadna myśl polityczna, bo antysemityzm Luegera był tylko walką ekonomiczną małego sklepikarza i drobnego rzemieślnika z wielkim, przeważnie żydowskim kupcem i przemysłowcem, to też poczynął upadać w miarę, jak ów ekonomiczny proletaryat, dzięki protekcyi komunalnej polityki, sam stawał się posiadaczem dobrobytu. Natomiast na prowincyi, w niemieckich prowincyach Austrii, zwłaszcza w Styryi i w Tyrolu, tam prądy polityczne nurtują żywiej i głębiej, niż w sybaryckim a płytkim Wiedniu. Oczywiście obserwator polski nie ma ani potrzeby, ani upoważnienia do oceniania wartości tych prądów, może i powinien je tylko przedmiotowo określić. Takie stanowisko zająć trzeba przedewszystkiem wobec rozbrzmiewającego od kilkunastu lat w niemiecko-austriackich prowincyach hasła: „Los von Rom!“, hasła, które zresztą w istocie rzeczy jest raczej narodowem niż religijnem. Dążenia te znajdowały już niejednokrotnie wyraz i w literaturze pięknej, szczególnie w powieści, w dramacie Schönherra występują jednak z niebywałym impetem, a dodajmy bezstronnie: także z talentem, którego autorowi nikt nie odmówi, aczkolwiek każdy spostrzeże, iż talent to brutalny, zwłaszcza gdy się go zestawi z łagodnie rozmarzonym Schnitzlerem.

Jesteśmy w czasach t. zw. Kontrreformacyi, za panowania cesarza Ferdynanda II. Wrogo przeciw protestantyzmowi usposobiony monarcha, postanawia bodaj najsurowszymi środkami wykorzeńić te „nowinki“ ze swoich dziedzicznych krajów. Kto nie wyprze się „niemieckiej Biblii“, musi sprzedać ojcowiznę i iść precz. Rodzina chłopca Rotta mieszka we wsi alpejskiej. Sam gospodarz i stary jego ojciec potajemnie wyznają augsburską konfesję, jawnie, ze strachu, są katolikami, by, jak brat Rotta, Piotr, nie tułać się po świecie; Rottowa natomiast jest wierną katoliczką, protestantyzmu i protestantów nienawidzi. Czasy są

okrutne: wysłannik cesarza z siepaczami idzie od chaty do chaty, poszukuje Biblii niemieckiej, w czyim domu ją znajdzie, ten musi gotować się za kilka dni do drogi. Korzysta z tego tylko bogaty Englbauer: kupuje grunta i gospodarstwa tych, którzy emigrować muszą, kupuje dlatego, że chce każdemu dziecku zapewnić posiadłość: i teraz lada dzień przyjdzie mu na świat dziecko, oczywiście syn, więc trzeba spieszenie jeszcze jedno gospodarstwo dokupić, bo Englbauer nie może przecież przyjść na świat bezdomnym biedakiem. Krzyk, płacz we wsi. Rott boleje nad tem, ale się nie zdradza; nawet, gdy, pchany tęsknotą za rodzinną ziemią, Piotr, wraca pokryjomu, brat go się wypiera, wygania go z chaty. A stary jego ojciec także katolika udaje, bo wie, że wnet umrze, a chce złożyć kości na ziemi ojców, więc dopiero przed samą śmiercią wyzna prawdę. I trzeba dopiero okrutnych gwałtów owego cesarskiego „dzikiego rycerza“, trzeba krwawych ofiar innych mieszkańców wsi, przywiązanych do nowej wiary, aby Rott wyznał publicznie, kim jest w istocie. Nie minie go surowa kara: musi sprzedać ojcowiznę, opuścić wieś. Więc pójdą we troje, bo i żona mu będzie towarzyszyła i syn, wesóły, swobodny chłopak, Spatz; zostanie tylko stary Rott. Nie, i on pójdzie, bo edykt cesarski mówi, że kto kacerzem umrze, pogrzebany będzie tam, gdzie się zakopuje padłe psy. Więc stary Rott ma do wyboru: albo być zaprzańcem do śmierci, albo już teraz wyznać wiarę. Wybiera to drugie. Więc pójdą we czworo. Nie. Rycerz zapowiada, że małoletni zostaną, będą wychowywani przez rząd w wierze katolickiej. Więc i Spatz?... Chłopak sporów religijnych nie rozumie, ale ojca i dziadka kocha, rozłączyć się z nimi nie chce, nie może; raczej topi się w młynówce. Matka zrozpaczona pożąda zemsty: mężowi wkłada do rąk siekiere, niech zabije wściekłego rycerza. Już Rott się zamierza toporem, ale on nie chce splamić się zbrodnią; siekiera mu z rąk wypada, dłoń się przebacza i ku rycerzowi wyciąga, który ją wzruszony przyjmuje... Ze zwłokami synka na wozie Rottowie odjeżdżają... we dwoje...: stary ojciec w ostatniej chwili zachwiał się, nie ma odwagi opuścić ziemi ojców, „wyprzysięga“ się „Biblii niemieckiej.“

Dramat Schönherra, mimo że naszemu katolickiemu uczuciu nie może być miłym, zrozumiałym będzie dla nas łatwiej od wielu innych niemieckich utworów. Korzeniami sięga on bowiem istotnie dramatycznego gruntu, nie obcego i nam: chłop przywiązany równie silnie do ziemi ojców, jak i do wiary ojców; gdy pomiędzy temi dwoma uczuciami wyniknie walka, będzie tragiczną, zakończy się niewiadomo której idei zwycięstwem, ale napewno



złamaniem człowieka. Że tutaj tą wiarą jest protestantyzm, to rzecz znaczenia już drugorzędnego, bo przypadkowa; znany, zna zwłaszcza chłop polski wypadki, kiedy tą wiarą, mieczem tępioną, był katolicyzm... Chociaż zatem autor niewątpliwie pisał dramat antykatolicki, w zasadzie głosi on wogóle tolerancję religijną, więc ideę wzniosłą. Jako dramat, rzecz jest silnie, ale odrazu z takim rozmachem w pierwszej odsłonie postawiona, że dalsze wydadzą się powtórzeniem obrazów pierwszej, bez stopniowania tragizmu. Jest w tem niezaprzeczenie pewna jednostajność, którą odczuwał autor i chciał jej zapobiedz, najprzód wprowadzając parę bezdomnych, wesołych włóczędzów, nie wiążącą się jednak z całością, powtóre kończąc niespodziewanie wstrząsającą tragedję pogodniejszym akordem. Scena pojednania się Rotta z rycerzem ma zapewne symboliczne znaczenie: ofiara fanatyzmu religijnego przebacza... ale komu i co? Wykonawcy rozkazów cesarskich, czy samej ich treści, nietolerancyi? W pierwszym wypadku właśnie katolik nie przyłączy się do przebaczenia: bo rycerz mógł, jako narzędzie wyższej woli, wykonywać ją bez okrucieństw, do których go nie jego mandat, ale jego własna dzikość popychała. Jeśli zaś to ma być pojednaniem się z samą kontrreformacją, to trzeba było na nie przygotować grunt w poprzednim biegu dramatu, trzeba było także pogłębić psychologię rycerza, bo dziki żołdak przez niemal trzy akty, a przy samym końcu wzruszony człowiek, to jakoś nie bardzo się z sobą łączy.

Mimo tych zarzutów „Wiara i ojczyzna“ jest dziełem prawdziwego talentu, w danej chwili nadto najrozgłośniejszym dramatem niemieckim. O ile bowiem „Młody Medard“ Schnitzlera był przedewszystkiem teatralną, a więc krótkotrwałą sensacją, o tyle tragedia Schönherra, już dzięki swej tendencyi, wywołała wrażenie i silniejsze i szerzej w niemieckie społeczeństwo sięgające, prócz tego zaś, skutek ubocznych okoliczności, nie przestaje dotąd zwracać na siebie uwagę. Że nagrodzono ją t. zw. „nagrodą Grillparzera“, to jej jeszcze popularności nie zapewniło. Tę zawdzięcza dopiero swoim przeciwnikom. Nieroztropnie wystąpili oni przeciw autorowi z zarzutem plagiatu, a więc z oskarżeniem, które miażdży oskarżonego, gdy mu się je udowodni, a gotuje mu tryumf, gdy się udowodnić nie da. Oto w pewnych drugorzędnych organach niemieckiej prasy katolickiej zarzucono Schönherrowi kradzież literacką, popełnioną na utworach powieściowych pani E. von Handel-Mazzetti, piszącej także o czasach kontrreformacyi, ale z katolickiego stanowiska. Oskarżenie udowodnić się nie dało, Schönherr zyskał tylko jeszcze większy roz-

głos, a dla nas cała sprawa ma tylko znaczenie dowodu, jak w Niemczech ciągle jeszcze, nawet w sferze czysto artystycznej, istnieją i na jaw występują różnice wyznaniowe.

Schnitzler i Schönherr, obaj byli już wybitnymi autorami, zanim ogłosili ostatnie swe dzieła. I wogóle w całym naszym dotychczasowym sprawozdaniu o najnowszym ruchu literackim niemieckim była ciągle mowa tylko o talentach w ojczyźnie już uznanych, na obczyźnie także mniej lub więcej znanych. A przecież, gdy około r. 1890 zawrzało tam w literaturze, wyczekiwano zbawienia nie od tych, którzy ówczesny ruch wywołali, ale od jakiegoś nieznanego, przyjść dopiero mającego geniusza. Gdzie on jest? Wielu sądziło, że nim będzie Stefan George. Pomijając już stwierdzony dotychczasowymi dziejami piśmiennictwa niemieckiego fakt, że w tym narodzie nigdy mesyaszem poezyi nie może być czysty liryk (oni nawet Goethego poezyi lirycznych nie odczuwają, a Heine w mniejszej u nich cenie niż np. we Francyi), to George swą cieplarniano-gobelinową liryką nigdy nie miał zdolności wzruszania szerszych kół nawet w obrębie owych „wyższych dziesięciu tysięcy.“ Niektórzy skłonni byli znowu do złożenia korony na głowę Herberta Eulenberg, o którego geniuszu dramatycznym opowiadano cuda, zanim poeta wydawanymi przez siebie dziełami nie składał raz po raz dowodu, że co najwyżej może kompetować o sławę dziwaczności. Stosunkowo jeszcze najlepiej udało się proroctwo Hermanna Bahra, który przed laty kilkunastu, wskazawszy na nieznanego nikomu młodego wiedeńczyka, powitał go entuzyastycznym okrzykiem: *ecce poeta!* A był nim Hugo von Hofmannsthal. Trochę Maeterlinck a trochę d'Annunzio, trochę Verlaine a trochę Oskar Wilde—to się odrazu spostrzegają; w miarę rozwoju jego twórczości, trzeba było do tej charakterystyki dodawać coraz to nowe „trochę“: i Sofokles i Marlowe, Casanova i Cagliostro — tak, że ostatecznie samego Hofmannsthal w Hofmannsthalu było coraz mniej. Stał się nie naczyniem wybranem, ale naczyniem z wyborem całej poezyi, ba, całej kultury od najstarszej do najnowszej, typowym epigonem minionych kultur. Ostatnio, po historycznych parafrazach starego antyku w mycie o królu Edypie, po udatnej, ale drobnej komedyi „Powrót Krystyny do domu,“ sprzymierzył się z Ryszardem Straussem i razem z nim dał nie dramatowi, ale operze tego „Kawalera z różą,“ który jest największą dzisiejszego dnia sensacją muzyczną, ale w literackim sprawozdaniu mógłby być omawiany tylko jako libretto.



Więc i nie na Hofmannsthalu polega przyszłość niemieckiej literatury pięknej. Zatem na kim? Może na jednym z tych, którzy dzisiaj albo są wcale nieznanymi, albo w drugim stoją szeregu. A może też tym oczekiwanym jest... Edward Stucken, autor cyklu dramatycznego „Der Gral“? Oczywiście w wyborze tematu idzie on śladem Ryszarda Wagnera, chociaż średniowieczne legendy przetwarza zupełnie indywidualnie. I u niego, jak w wagnerowskim „Parsifalu“, mistyczny św. Gral ukazuje się w dali, a osoby wzięte są z grona rycerzów i dam, grupujących się około króla Artusa i Amfortasa. Zasadniczą myślą cyklu jest jednak, jak niejednokrotnie u Wyspiańskiego, tęsknota za krainą Śmierci, zwaną tu Avelun, a opisywaną przez poetę z całym przepychem języka poetyckiego. Pierwszego ogniwa tego cyklu bohaterem jest Gawān (on daje też dramatowi nazwę), synowiec króla Artusa. W błogosławioną noc Bożego Narodzenia na dwór „Okrągłego Stołu“ w Camelot przybywa tajemniczy Zielony Rycerz i wyzywa śmiałków na bój: daje siekierę, kto ją podejmie, niech mu nią głowę zetnie, ale gdy tego dokona, przysiędz musi, że za rok stawi się w nieznanym sobie zamku przybysza i własną głowę pod ten sam topór położy. Z rycerzy Artusa nikt nie ma odwagi przyjąć wyzwania, więc król sam z tronu zstępuje, by nie padła hańba na „Okrągły Stół.“ Wtedy zgłasza się młody Gawān i, składając żądane przyrzeczenie, Zielonemu Rycerzowi głowę siekierą odcina. „Nastaje niczem nieprzerwana cisza, długa pauza. Nagle podnosi się oblany krwią, pozbawiony głowy kadłub Zielonego Rycerza, schodzi po stopniach na dół, przystępuje do własnej głowy, chwytą ją za włosy na karku i podnosi wysoko, jak Perseusz głowę Meduzy. Poczem idzie ku swemu rumakowi, stojącemu przy bramie, wkłada nogi w strzemiona i siada na siodle. A siedząc na koniu, trzyma w rękach głowę ku obecnym, jakby chciał, aby na ten widok skamienieli. I nagle odcięta głowa poczyna mówić,“ przypominając Gawānowi jeszcze raz jego ślub. Tym dziwnym barokowym efektem — zbliżonym zresztą do spacerującego z własną głową pod ramieniem samobójcy w Wedekinda „Przebudzeniu się wiosny“ — kończy się pierwszy akt. Gawāna widzimy dopiero w rok potem: jeszcze ma dwa dni przed sobą, by dojść do nieznanego sobie Zielonej Kaplicy i z przyrzeczenia się wywiązać. W zimową zawieruchę wstępuje do zamku rycerza Berulaka de Hautdesert, który swą gościnność tak dalece posuwa, że bardzo chętnie patrzy na zaloty szatańsko-pięknej młodzianki żony, Maryi. Gawān zostaje w zamku na noc, ale pokusie nie ulega, od zalotnicy bierze tylko pocałunek

i pasek, czyniący posiadacza niepokonanym. Wieczorem wyrusza w dalszą drogę; o północy, w sam czas, przybywa do Zielonej Kaplicy. Tajemniczy rycerz wstaje na jego przywitanie z trumny. Gawān wie, że śmierć niechybna go czeka, ma jedną tylko, ale wielką winę na sumieniu: złamanie rycerskiego słowa, bo Berulakowi zaręczył, że za gościnę odda mu na odjeźdźnym wszystko, co w jego zamku tej nocy dostanie, a oddał mu tylko pocałunek, pasek na żądanie Maryi zatrzymał. W przedśmiertnej chwili wzrok jego pada na posąg Madonny, która przy całej czystości ma przecież oblicze zalotnej Maryi de Hautdesert — jak Dehmel już przed Stuckenem łączył Venus z Madonną. Na kolana pada przed statuą, jej winę swą wyznawa, i oto posąg, jak w misteryum Maeterlincka o „Siostrze Beatrix,“ ożywia się, kłęczącemu przebacza, a na jej słowa, jak w średniowiecznych legendach, śmierć, uosobiona w Zielonym Rycerzu, musi ustąpić i Gawān pije wieczne życie z misy świętego Grala.

Ta pierwsza część trylogii, nazwana „misteryum,“ ma pewną dostojną powagę i uroczystą wzniosłość, obok wielu dziwaczności i zbyt częstych analogii literackich. Dramatem we właściwym znaczeniu są jednak dopiero dwie dalsze części cyklu. W obu pozostaje na drugim planie to, co się zwykło uważać za kardynalną cechę rycerzy św. Grala: służba Boża i służba lennicza, natomiast z trójliścia rycerskich obowiązków niemal wyłącznie jeden tylko problem, służba dla dam stanowi ośrodek akcji, występując pod rozmaitemi pozytywnymi i negatywnymi postaciami: jako wierność dla kochanki i jako wiarołomstwo, jako miłość czysta i jako zdrożna. W „Lanvalu,“ drugiej części trylogii, bohater zaślubił potajemnie Finngulę, czarownicę rusałkę z grona „łabędzieli dziewic.“ To jedna z cór królewskich, przez złą macochę w jeziorze utopiona, w łabędzia przemieniona, nawpół śpiąca, nawpół żywa, pół dyablica, pół czysta dziewica. Gorąca i wierna miłość ją zbawi. Tę zrazu daje jej Lanvāl i żyją szczęśliwi, chociaż wciąż nad nimi wisi groźba nieszczęścia, bo, jak Amor swej kochance Psyche, jak Lohengrin Elzie, tak Finngula mężowi przykazuje, by nigdy nie pytał o jej pochodzenie, nigdy przed ludźmi się nią nie chlubił. Lecz Lanvāl, wplątany w rycerską przygodę, zmuszony jest zaślubić Lionors, siostrzenicę króla Artusa. Wzbrania się, głosi, że jest już żonaty z inną, wzywa ją, by się ukazała przed dworem i prawdziwie zaświadczyła. Finngula się nie zjawia. Lanvāl ma do wyboru: albo jako kłamca być pozbawionym czci, albo zaślubić Lionors, która go kocha i wszystko mu wybaczca. Wybiera to drugie. Na uczcie weselnej zjawia się



wreszcie, teraz już nie wołana, Finngula, lecz jako widmo, jako Czarny Rycerz. Lanval, podniecony świadomością winy, mieczem zabija kochankę, sam za chwilę pada z ręki mściwego brata Lionorsy: oboje kochankowie spotkają się w tajemniczem jeziorze Avelun. Mniej tragicznie kończy się erotyczny konflikt „Lancelota,” ostatniego ogniwa cyklu o Gralu. I tutaj jest tak częsty w niemieckiej literaturze dramatycznej, przez Goethego w „Götzu“ i w „Clavigo“ wprowadzony, problem rozdziału jednego serca męskiego na dwa kobiece. Lancelot de Lac uległ niegdyś, lat temu już dziesięć, Ginoverze, wiarołomnej żonie króla Artusa. Chce się zwolnić z pęt grzesznej miłości, a dopomóżdź ma w ten uroczu córka Amfortasa, Elaine, co jej się zapewne tem łatwiej uda, że nad rywalką góruje wdziękiem i świeżością młodości. Ale dawna miłość trzyma rycerza na uwięzi, chociaż Elaine z zaparciem swej godności goni za nim, jak w dramacie Kleista Kasia z Heilbronn za rycerzem Wetter vom Strahl. Lancelot ucieka przed nią, wypiera się jej, mimo że ona nosi jego dziecko w łonie. Elaine w rozpaczę topi się w jeziorze, jej zwłoki przywozi ponury okręt do Camelot, a w rękach trupa, jak w rękach eurypidesowskiej Fedry, tkwi kartka z ostatniemi słowami miłości. Lancelot złamany nie zabija się, ale jak Tannhäuser, za grzechy zdrożnej miłości wyrusza w pobożną pokutniczą pielgrzymkę. Król Artus, odgrywający tutaj niezbyt zaszczytną rolę zdradzonego męża, godzi się z żoną.

Takim jest cały cykl Stuckena. Dzieło to prawdziwego talentu, chociaż te wielkie legendarne postacie, sprowadzone na deski sceniczne, wydadzą się mniejszemi. Bezpośredniego tętna życia niewiele się tu odczuje, zwłaszcza w nazbyt bogatej szacie, przeładowanej metaforami i porównaniami, w sytuacjach co chwila odczytanemu widzowi teatralnemu już skądinąd znanemi. I w tem tkwi największe niebezpieczeństwo dla Stuckena, w tym nadmiarze „literatury“ w przeciwieństwie do pierwotnej dramatyczności. W każdym razie z talentów nowych, w piśmiennictwo niemieckie dopiero wchodzących, ciekawszego nad Stuckena — w tej chwili tam niema.

Skończyliśmy ten pierwszy przegląd najnowszego niemieckiego piśmiennictwa w zakresie literatury pięknej. Wracamy do założenia: nie wiele z tych dzieł, o których tutaj była mowa, przejdzie kiedykolwiek w krew niemieckiego społeczeństwa. Ich myśli i ich kształt estetyczny odzwierciedlają tylko najwyższe aspiracje literackie tego narodu. Codzienną jego strawą są inne dramaty, inne powieści. Może znajdzie się na ich sumaryczne omówienie miejsce w najbliższem sprawozdaniu, chociaż tam trzeba będzie polskim czytelnikom przedewszystkiem przedstawić to, co z braku miejsca na razie zupełnie zostało pominięte: z jednej strony lirykę, z drugiej ruch w dziedzinie krytyki i estetyki oraz filozofii.

D-R JÓZEF FLACH.



## *Poezya i przyroda w Japonii.*

Dusza japońska w całej swej okazałości objawia się w białych kwiatach, pachnącej wiśni oraz w wesołych promieniach porannego słońca! — woła w zachwycie popularny narodowy poeta japoński Motoori, mając na myśli dwie doroczne uroczystości w Japonii: święto słońca i wiśni. I entuzjastyczny okrzyk poety nie jest przesadą, gdyż wtedy żywiołowość poetycka Japończyków, stapiając się z pięknem rozbudzonej do życia natury, dochodzi do zenitu. Wszyscy są natchnieni, wszyscy deklamują i tworzą wiersze tam, gdzie poetyckość w narodzie rozwinięta jest, jak w żadnym innym, gdzie riksza i minister, przekupka i arystokratka potrafią odrazu, bez przygotowania powiedzieć coś wierszem i zapomnieć w tej chwili to, co było powiedziane. Wieczysta poezya Japonii wszystkich swoich synów przekształca w poetów, szczerych wielbicieli piękna, dźwięków, woni i barw, szukających ekstazy twórczej dla chwili, dla nastroju, dla siebie, dla innych. Ich wiersze—to żywiołowy, nieokreślony pęd i pragnienie zlania się z pięknem otaczającej natury, tajemna z nią rozmowa ludzkiej jednostki, co ukochała jej czar w najnieuchwytniejszych objawach jej uroku i młodości.

Nigdzie, u żadnego narodu przyroda tak nie złąła się i nie zespoliła z poezyą, jak u Japończyków, którzy wpatrując się w cudowne jej obrazy, całą potęgą swej duszy rwą się do nieśmiertelnego jej piękna i z niego, jako z wieczystego źródła, czerpią natchnienie i melodye. A niezwykle malowniczy kraj Wschodzącego Słońca, jak żaden inny, dopomaga i popycha ku temu.

Japonia, składająca się z długiego szeregu łańcuchowo ułożonych wysp i wysepek, odznacza się nad wyraz różnorodną w swoich formach i barwach pięknością. Góry japońskie poprze-

cinane są najrodniejszemi na kuli ziemskiej dolinami, po których wśród przepysznej zieloności, jak srebrzyste żmije, ślizgają się rzeki, to, jak białe skaczące po głazach potwory, spadając z wyżyn, to znowu rozlewając się w błękitnowode, ciche jeziora. Kontury gór w Japonii są zadziwiająco miękkie i łagodne; niema prawie jaskrawych ząbień, gołych skał i zwałów; na falujących spadach, udekorowanych soczystą zielonością bambusowych gajów, rozciągają się olbrzymie pola jęczmienne, zlewając się u podnóża z szarym oceanem ryżowych dolin. Mnóstwo wulkanów podnosi wzwyż swe stożkowate wierzchołki; niektóre dymią jeszcze, od czasu do czasu ze świstem i hukiem wyrzucając z żerła słupy popiołu i rozpięionej lawy.

Cały kraj czyni wrażenie jakiegoś niezwykle wspaniałego rajskiego sadu. Na każdym kroku śmigły wyprostowany bambus. W lasach klony, brzozy, kasztany, orzechy i dęby. Zwłaszcza na Nipponie wszystko to najpyszniejsze i do tego zielone przez cały rok. Na jasnym, wiecznie zielonym tle drzew kamforowych jaskrawo odbijają giganty-kryptomerye i olbrzymie kamelie, dosięgające kilkunastu metrów wysokości. Ażurowe gaje bambusów wydają się pełnemi ruchu istotami żyjącemi, cieniutkie ich bowiem i ostre listeczki drżą przy najśłabszym podmuchu. Liany i bluszcz okręcają pnie drzew. Olbrzymie paprocie, jak obręczami ramion, obejmują stuletnie dęby. Wśród gęstwy kaktusów, nieskończonego szeregu okwieconych kosodrzewin i różnobarwnych azalii piętrzą się szerokoliste rododendrony.

Obfitość i przepych kwiatów zdumiewają. „Dziatwa ziemi,“ jak je nazywają Japończycy, przez cały rok śle zawrotną woń i niezwykłą, bajeczną grę kolorów. Róże, astry, lilie, glicynie, eglantyny, a zwłaszcza chryzantemy, oszołomiają europejczyka nadzwyczajnymi swymi gatunkami, kształtami i odcieniami. Całe malowidła o nieprzebranych rodzajach układu i kompozycyi pieszczą wzrok, uwydatniając się na powierzchni olbrzymich klombów i gazonów, którym co do piękna i pomysłowości niemasz równych w żadnym kraju świata.

Bardziej na południe od Nipponu przyroda staje się zupełnie tropikalną: banany, dęby korkowe, palmy wachlarzowe, trzcina cukrowa, drzewa manganowe i sandałowe, kaki, eukaliptusy i t. p. rodzaje wypełniają w jeszcze wspanialszych zestawieniach powierzchnię. Jednem słowem, cała Japonia—to bajkowy wprost, niewypowiedzianie piękny i na każdym kroku pochłaniający oczy krajobraz.

Nie więc dziwnego, iż wśród tak bogatej i malowniczej natury w Japonii już w zamierzchłej przeszłości rozwinęła się poe-



zya, a naród japoński stał się bardziej poetyckim od wszelkich innych. Piękno otaczającej przyrody pobudziło go w tym kierunku, stała się ona źródłem jego natchnień i ekstazy, ona, ta wieczyście młoda i urocza kochanka, z którą Japończyk nie rozłącza się nigdy i wszędzie pragnie ją mieć i podziwiać. Jak wierny kochanek, nie rozstający się nigdy z wizerunkiem ukochanej, naród japoński stworzył sobie nawet specjalne, nad wyraz misterne miniatury swej przyrody, by mózdz, gdziekolwiek zechce, poić swe oczy jej czarem i pięknnością.

Któż nie słyszał o lilipucich żywych krajobrazach japońskich, gdzie na przestrzeni kilku kwadratowych metrów są i góry, i doliny, i las, i wodospad, i potok górski, i pieczary, i jezioro, a wszystko to, choć naturalnie w mikroskopijnej niemal postaci, żyje wistocie i rozwija się nawet? Cedry-karły dają owoce, a wiśniowe drzewa wielkości kłosa zakwitają różowo 15 kwietnia, w jeziorze zaś, przypominającym puchar piennego wina, igrają swawolne złote rybki. Te lilipucie parki japońskie, jako rezultat wiekowej stopniowej kultury, są bardzo wymownym dowodem uwielbienia przyrody, którą Japończyk potrafił nawet zakląć w misterne, nadzwyczaj cenione cacko, bez którego niemasz prawie w Japonii jako tako zamożnego domu.

Miniaturowość, która uwydatnia się w tym arcykunsztwie ogrodniczym, objawia się prócz tego i w tej dziedzinie zbiorowego życia Japonii, która najbezpośredniej łączy się i zlewa z przyrodą, mianowicie w poezji. Japończyk lubuje się w miniaturach, to też nic dziwnego, że otaczając się mikroprzyrodą, stworzył też mikropoezyę, którą wzniosł na szczyty twórczości narodowej. Najbardziej kunsztowną i najdawniej uprawianą formą japońskiej poezji jest tak zwana „uta“, o której już Tsurajuki, wielki poeta VIII wieku, mówi, że „jeżeli poezya narodziła się wraz z człowiekiem, to uta japońska wraz z Japończykiem.“ Otóż ten zasadniczy utwór poezji japońskiej jest również miniaturą poetycką, składając się zaledwie z 31 albo z 17 sylab, wypełniając zaś lwią część twórczości japońskiej wogóle, przekształca ją w mikropoezyę. A jednak uty japońskie, pomimo całej swej miniaturowości, są prawdziwemi mikropoematami, które przy bardzo prostych środkach i nieskombinowanej technice tworzenia potrafią zadziwiająco silnie oddać nastrój, jego głębię i prawdę. I jeżeli lilipucie parki japońskie zachwycają swoim przepychem i bogactwem, to uty japońskie—swoją jednością i pakownością, polegającą na umiejętnem pochwyceniu i podkreśleniu takiego zasadniczego rysu, który daje zupełnie wystarczające pojęcie o całości. Ta nie-

zwykła i cenna umiejętność wypowiedziania wiele, choć niedużo, została doprowadzona w utach japońskich poetów do zadziwiającego wprost arcykunsztu. Technicznie osiągnana jest ta zwartość za pomocą powtarzania odpowiadającego celowi zasadniczego motywu, co dla japońskiej uty każe szukać odpowiednika w europejskim tryolecie, i zewnętrznie i wewnętrznie najbardziej jej opowiadającym.

Rozpatrzmy więc szereg ut japońskich, wysuwając na pierwszy plan takie, które domagają się tego swoją liczebnością, a mianowicie uty, opisujące przyrodę, oraz wszelkie, najbardziej nikłe nawet zjawy, w swej sumie dopiero składające się na jej nieskończony przepych i piękno.

Jesienny deszcz wciąż pada, pada, chmurno... dzień smutny taki, po polach ślizga się mgła biała, jesienny deszcz wciąż pada, pada...j	Posepnie chyli się gromada zawilgłych, starych „maki”— jesienny deszcz wciąż pada, pada, chmurno... dzień smutny taki.
--	---

Oto typowa uta japońska, odtwarzająca z niezwykłą prawdą i nastrojem jesień. Przenieśmy każdy jej szczegół za pomocą pędzelka i tuszu na jedwab, a otrzymany typowe również „kakemono,” wyobrażające dziwnie prosty i silny krajobraz jesienny, gdzie obowiązkowe posepnie chylące się „maki,” t. j. sosny japońskie, wysunięte, jako zasadniczy motyw, i w ucie i na jedwabiu, stanowią artystyczne ześrodkowanie prawdy i nastroju.

Wogóle w każdej ucie japońskiej stanowi o jej wartości artystycznie podpatrzony szczegół, który gra taką samą rolę, jak na pastelowym rysunku zasadnicza, koncentrująca wrażenie plama. Oto, na przykład, górski krajobraz jesienny, odmalowany przez jedną z wielu ut:

Cisza... Opada mgła na góry, słychać przeciągły bek jeleni, słońce przyćmiły ciężkie chmury, cisza... opada mgła na góry.	Ach, jak żaloszny i ponury krajobraz górski na jesieni! Cisza... Opada mgła na góry, słychać przeciągły bek jeleni.
--	--

Albo wiejski krajobraz jesienny, ujęty również za pomocą uty, w której posepny nastrój jesieni nie mniej realistycznie odтворzony jest pod nowym, odpowiadającym celowi, kątem widzenia:

Już wieczorowe gasną zorze, ryżowa szumi niwa, noc porzuciła dzieńne łoże, już wieczorowe gasną zorze...	Jesienny wicher strzechę porze i słomę z niej wrywa— już wieczorowe gasną zorze, ryżowa szumi niwa.
---	--



Albo jeszcze jedna jesienna uta, uważana za swego rodzaju arcyperłę przez Japończyków, gdyż mowa w niej o tak zwanych „misogi,” najcharakterystyczniejszym szczególnie późnej jesieni. Są to nakazane przez kanon tradycyjne kąpiele bonzów, które trwają przez całą jesień, ustając dopiero wtedy, gdy ostre chłody prawie w lód ścinają rzeki i stawy. Ten właśnie arcyjesienny japoński szczegół znacznie podnosi poniżej przytoczoną utę:

Dęby głucho szumią rano,  
w polu dmie wicher srogi,  
kwiaty z klonbów pościnano,  
dęby głucho szumią rano...

Za dni kilka już staną  
i bonzów „misogi”—  
dęby głucho szumią rano,  
w polu dmie wicher srogi.

Oprócz ut, odtwarzających jesień, jako całość, znajdujemy również nieskończenie bogaty dział przeróżnych szkiców i fragmentów jesiennych. I tego rodzaju uty przedewszystkiem zwracają uwagę swoim malarskim, plastycznym ujęciem, jak na przykład:

Biedny domek opuszczony,  
co wśród chmielu się zieleni!  
głucho kraczą nad nim wrony:  
biedny domek opuszczony!

Jak pokutnik pochyłony,  
będzie stał tak na jesieni—  
biedny domek opuszczony,  
co wśród chmielu się zieleni!

Albo uta jesienna o Tacutagawie, najpiękniejszej i najwięcej opiewanej przez poetów rzece japońskiej. Plastyka tej miniatury nie pozostawia nic do życzenia:

Tacutagawa tylko łni, jak pas srebrzony,  
choć z klonów nadbrzeżnych opada listowie,  
pochyliły się w smutku nagie drzew korony,  
Tacutagawa tylko łni, jak pas srebrzony...  
Łśniła pono już wtedy, w on czas oddalony,  
gdy po ziemi miast ludzi chodzili bogowie—  
więc i dziś ona tylko łni, jak pas srebrzony,  
choć z klonów nadbrzeżnych opada listowie.

Rozpatrzmy z kolei „zimowe” uty, w których obok posępnej martwoty zimy przebiega też czarująca i nad wyraz żywa gra barw i światła, jaką daje słońce lub księżyc w zestawieniu ze srebrno-białym śniegiem. Znowu więc, jak zresztą we wszystkich utworach, plastyka i malarskość stanowi kość pucierzową prawdy i nastroju. Na przykład:

Ach, jakże iskrzy się ten śnieg, co w nocy padał nad Joszino, świt porankowy na nim legł, ach, jakże iskrzy się ten śnieg!...	Nawet i księżyc wstrzymał bieg i błędąc zawisł nad doliną— ach, jakże iskrzy się ten śnieg, co w nocy padał nad Joszino!
--	---

Albo szkic zimowy, opiewający nieśmiertelną w japońskiej sztuce górę Fudży:

Patrzę, a Fudży w bieli cała, śnieg srebrny padł na pierś jej nagą, zima w kimono ją ubrała, patrzę, a Fudży w bieli cała.	Szybko przemiana ta się stała, bo nim wróciłem z brzegów Tago— patrzę, a Fudży w bieli cała, śnieg srebrny padł na pierś jej nagą...
---	---

W innej znów ucie poeta daje tęsknotą za chryzantemami wypełniony nastrój zimowy, bardzo zręcznie kojarząc odpowiadające celowi zjawy natury:

Mróz na szyby rzucił kwiaty... Co to? znów chryzantemy? Iśni, jak srebro, pęk bogaty— mróz na szyby rzucił kwiaty.	Ha, skłamały śnieżne płaty, martwy każdy z nich i niemy— mróz na szyby rzucił kwiaty, ale nie, nie chryzantemy...
---	--

Albo oto wiejski nastrój-krajobraz zimowy, przez swą prostotę i szczerłość nie pozbawiony artystycznego wdzięku:

Gdy do gór się zima skrada, ciężko na wsi trwać samotnie, pełznąć smuje się mgła biała, gdy do gór się zima skrada...	Liść ostatni z drzew opada, wicher go, jak nożem, potnie— gdy do gór się zima skrada, ciężko na wsi trwać samotnie!
--	--

Najwięcej jednak ut, opiewających przyrodę, odnosi się do wiosny. I nic dziwnego, skoro w poezji każdego narodu ten najcudniejszy okres roku najbardziej zachwyca i poi czarem swym poetów. Cóż dopiero mówić o Japończykach, którzy, zda się, całkowicie zlewają się z naturą, a przynajmniej, jak żaden inny naród, odczuwają jej piękno i życie? Pieśni wiosenne należą do najstarszych zabytków poezji japońskiej i powstają wtedy, kiedy tworzy je nie jednostka, ale cały naród. Przytoczymy jeden z takich bardzo starożytnych przyspiewów ludowych japońskich, który stał się z biegiem czasu prawzorem bogatej poezji wiosennej:

Z cudownym łukiem w białej dłoni idzie już wiosna uśmiechnięta i rwie lodowych kajdan pęta i śnieżny puch zdmuchuje z błoni...	Ziemia, co rudy szczerozłote kryje w tajnikach szarych wnętrzy, znów łono swoje górnie piętrzy tam, kędy słońce śle pieszczołę.
---	--



Wesoło gwizdzą w leśnej głuszy ptaki— wiosennych dni minstrele, i słowik sypie już swe trele pośród zakwitłej białej gruszy.	O, jak rozkosznie oddychamy! Znikają bóle, łzy i znoje, wiosna rozwiera swe podwoje i upojnego szczęścia bramy,
---	--

A po jeziora srebrnej toni do pogrążonych w śnie wybrzeży gwarliwa fala tęsknie bieży i pieśń nowego życia dzwoni...	I wszyscy śmieją się radośnie, pełni nadziei i tęsknoty, bo na cierpienia i zgryzoty lek czarodziejski znajdą w wiosnie.
---	---

Dokoła tego starożytnego przyśpiewu ludowego, jak bluszcz, oplotły się później różne uty wiosenne:

Już przyszła wiosna uśmiechnięta, świat cały w kwiatach tonie, radosne gody w krąg i święta, już przyszła wiosna uśmiechnięta...	Pierś, nowem życiem przeniknięta znów aromaty chłonie— już przyszła wiosna uśmiechnięta, świat cały w kwiatach tonie.
---	--

Wśród całej powodzi ut wiosennych niemało miejsca zajmują tak zwane uty „wiśniowe,“ gdzie mowa o charakterystycznej dla japońskiej wiosny wiśni, bez której nie masz dla Japończyka najpiękniejszej pory roku:

Wiśnie osypał już kwiat biały, upojna wonność bije z gór, znowu wiosenne dni nastały, wiśnie osypał już kwiat biały...	Oby się wichry nie zerwały i nie przywlekły kłębnych chmur! wiśnie osypał już kwiat biały, upojna wonność bije z gór...
---	--

*Albo:*

Spójrz!.. Już zakwitły wiśnie z Nary w nowej stolicy Kioto, od woni zaniósł się park stary, spójrz!.. już zakwitły wiśnie z Nary...	Mikado ceni ludu dary, więc przyjął je z ochotą— spójrz!.. już zakwitły wiśnie z Nary w nowej stolicy Kioto.
--	---

Najpopularniejsza to uta wiosenna w Japonii, śpiewana podczas święta wiśni dnia 15 kwietnia. Mowa w niej o najpiękniejszych drzewach wiśniowych, które onego czasu z Nary zostały przeniesione do nowej stolicy Kioto, jako dar ludowy dla mikada. Z punktu widzenia japońskiej krytyki uta powyższa należy do arcyperłek japońskiej poezji wogóle.

Oprócz ut „wiśniowych“ częściej od innych napotyamy uty „chryzantemowe.“ Przytoczymy jedną z nich, najbardziej artystyczną i pełną wyrazu:

Chryzantemy, chryzantemy,  
czy to ziemia, czy to raj?  
Chodź, do gaju dziś pójdziemy—  
chryzantemy, chryzantemy!

Tu, przy klombie, usiądziemy,  
słońce, wiosna, przepych, maj—  
chryzantemy, chryzantemy,  
czy to ziemia, czy to raj?

Za nieskończonym szeregiem ut wiosennych następują z kolei wdzięczne uty, opiewające lato. Jednak napotykały je w porównaniu z innymi daleko rzadziej, jak gdyby upalna letnia kani-kuła w Japonii i jej synów pogrążyła w kwietyzm, wyłączający nawet ekstazę poetycką. Oto, dla przykładu, jedna z ut „letnich“:

Oślepiając łśni słońce,  
mieniać się w górskim rozłogu,  
lato upalne, gorące,  
oślepiając łśni słońce.

Miękną już śniegi tające,  
zbladł srebrny szczyt Amon-kogu—  
oślepiając łśni słońce,  
mieniać się w górskim rozłogu.

Niektóre jednak krajobrazy i fragmenty lata, zawarte w utach, należą do arcycudatnych, jak gdyby napraszając się, by za pomocą tuszu i pędzelka przenieść je na jedwab i stworzyć z uty pełne nastroju „kakemono.“ Malarskość i plastyka w niektórych z tego rodzaju utworów tak jest skondensowana i wysilona w słowie, iż uwierzyć trudno, że miniatura, jaką jest japońska uta, może tyle zmieścić i zharmonizować w sobie. Oto jeden z takich krajobrazów letnich:

Nad brzegiem Udzi blaknie mrok,  
już ranne słońce świeci,  
w omglonej dali ginie wzrok,  
nad brzegiem Udzi blaknie mrok...

Widzę rybacką żerdź co krok,  
suszą się wokoło sieci—  
nad brzegiem Udzi blaknie mrok,  
już ranne słońce świeci.

*Albo:*

Dokoła wszystko w sen zapada,  
straż staje u wrót Sumy,  
na polach snuje się mgła biała,  
dokoła wszystko w sen zapada...

Mkną do Awadzi czajek stada,  
i budzą mnie z zadumy—  
dokoła wszystko w sen zapada,  
straż staje u wrót Sumy.

Do charakterystycznych w japońskiej poezyi ut „letnich“ należą tak zwane uty „żabie“, które grają tę samą rolę, co w poezyi wiosennej uty „wiśniowe“ i „chryzantemowe.“ Oto jedna z takich ut „żabich“:

Kwa, kwa, kwa! gra żabi chór,  
skacząc w ton jeziora,  
szary zmierzch już pełźnie z gór,  
kwa, kwa, kwa! gra żabi chór,

Niebo jasne, niema chmur,  
upał trwa od wczora—  
kwa, kwa, kwa! gra żabi chór,  
skacząc w ton jeziora.



Poezya pór roku stanowi najbogatszy dział poezji japońskiej wogóle, pomnażany z roku na rok przez nowe, coraz bardziej wyrafinowane miniatury twórcze, wypieszczone przez długie szeregi wieków. Miłość dla natury po brzegi wypełnia zbiorową duszę japońską, i niemasz takiej zjawy w przyrodzie, którejby nie zamknęła w sobie wdzięczna kochanka-uta. Wszystko, dosłownie wszystko staje się treścią ut, nie mówiąc już o krajobrazach, których dla całości charakterystyki przytoczymy jeszcze kilka, wybierając najczęściej powtarzające się i najbardziej ulubione przez Japończyków:

Łódź mknie po srebrnej fali,  
wiosłami bijąc morze,  
wciąż płynie dalej, dalej,  
mknąc po srebrzystej fali...

Horyzont łni w oddali,  
kształt dyni ma przestworze—  
łódź mknie po srebrnej fali,  
wiosłami bijąc morze.

Porównanie horyzontu do dyni jest specyficznie japońskie i uważane za nad wyraz udatne, a przez to często powtarzane przez poetów. Uta powyższa zawiera jeden z najpopularniejszych krajobrazów morskich. Do popularnych również i często napotykanych należą także krajobrazy księżycowe:

Spójrz, jak znów księżyc łni jaskrawo,  
patrzac przez chmur przeguby,  
stało się to za wichru sprawą,  
spójrz, jak znów księżyc łni jaskrawo...  
Wionął na lewo i na prawo  
i przedarł welon gruby—  
spójrz, jak znów księżyc łni jaskrawo,  
patrzac przez chmur przeguby.

#### *Albo:*

Czemu nie śpieszy księżyc złoty  
i nie uśmiecha się do gór?  
Zmierzech kłębi nocnej mgły rozploty,  
czemu nie śpieszy księżyc złoty?

A może niema dziś ochoty  
i nie wypłynie z poza chmur?—  
czemu nie śpieszy księżyc złoty  
i nie uśmiecha się do gór?

Wszystko, cokolwiek widzi i słyszy dokoła siebie Japończyk, daje mu natchnienie i zmusza do tworzenia, ujawniającego się z niezwykłą zręcznością i gibkością.

Kukanie kukułki o świecie:

Kukała ugujzu o świecie,  
gdy szary rozpełzał się mrok,  
myślałem, że przyszło me życie  
wykuka, kukając o świecie..

Lecz próżno czekałem w zachwycie,  
słuch wytężając i wzrok—  
kukała ugujzu o świecie,  
lecz znikła, gdy rozpełził się mrok,

## Echo, rozbrzmiewające w górach:

Ao, ao! wołam z góry,  
ktoś mi wtórzy: ao, ao!  
czy tajemne jakie chóry  
ao, ao! krzyczą z góry?

Cisza... zaciął dźwięk ponury:  
echo mi się sprzeciwiało—  
ao, ao! wołam z góry,  
ktoś mi wtórzy: ao, ao!

## Orkan, niosący grozę i przemoc:

Łamie i kruszy drzew korony,  
ach, straszny jest ten wichr-burzyciel,  
świat cały, zda się, chwycił w szpony,  
łamie i kruszy drzew korony.

Wśród zemsty dzikiej i szalonej  
swą przemoc szerzy, jak gnębiciel—  
łamie i kruszy drzew korony,  
ach, straszny jest ten wichr-burzyciel.

Nawet nie mająca w sobie poezji susząca się bielizna, smagana nocą przez wichry, wprowadza poetę japońskiego w nastrój, zanknięty w następującej ucie:

Wicher wionął z gór Joszino  
na bieliznę, co się suszy,  
ostre świsty wkoło płyną,  
wicher wionął z gór Joszino...

Słucham, jak bez echa giną  
ostre dźwięki w nocnej głuszy—  
wicher wionął z gór Joszino  
na bieliznę, co się suszy.

Jednem słowem wszystko, cokolwiek dzieje się w naturze, stanowi dla poety japońskiego najulubieńszy temat, którym się zachwyca i na którym zatrzymuje się długo i często z głębokiem umiłowaniem tych zjawisk przyrody, wśród których wyrósł i zlał się gdyby w jedno. Jesień, zima, wiosna, lato, echo górskie, śpiew ptaków, bek jeleni, jesienna purpura listowia, kukanie kukutki, kwiaty, księżyc, deszcz, wiatr, rechot żabi—oto mikroskopijna zaledwie cząstka nieskończonego szeregu z natury czerpanych motywów, które, jak mamiące wzrok klejnoty, lśnią w utach japońskich.

„To, co nazywamy poezją—mówi patriarchy poetów japońskich Tsurajuki (VIII wiek)—ma swe źródło w naszych sercach; człowiek dąży do wypowiedania swych uczuć przez słowo. A w sercu ludzkim tyle różnorodnych uczuć! Każde z nich wypowiedziane i uwydatnione jest poezją... Tryl słowiczy, rechot żabi—oto pierwsze poematy; wszystko, co żyje, ma swoją poezję i tworzy ją. Przez nieświadomie wypowiedającą się poezję rządzone jest niebo i ziemia, a szatani i aniołowie, niewidoczni dla naszych oczu, poczynają żyć i działać. Przez poezję mowa kochanków staje się słodsza, a serce wojownika bywa wzruszone... Niema nic śmieszniejszego, jak chcieć się nauczyć poezji. Gdy głos swój



odnajdziemy, śpiew musi stać się tak łatwym, jak dla ptaka lub dla wiatru. Szczerłość i prostota jest pierwszym i ostatnim warunkiem poezji, a szczerza i prosta uta jest jak gdyby modlitwą w świątyni o zbliżenie nas do światła i piękna... Mamy ludzkie serca, dlatego musimy tworzyć, musimy mieć własną poezję.“

Z przytoczonego urywku widać pomiędzy innemi, że liryzm stanowi jedną z właściwości poezji japońskiej, która, zdaniem poety japońskiego, płynie z serca i dla serca. Rzeczywiście, czy to w opisach natury, czy wydarzeń osobistych liryzm jest najwydatniejszym tłem, lecz nie liryzm osobisty, tylko ogólny, ten, co wypełnia cały naród i przyrodę, i do którego, jak do światła, dąży instynktownie każde serce ludzkie:

Nie, to nie wiatr z północnych stron postrzącał liście z drzew i sygnął zimny śnieg i szron— nie, to nie wiatr z północnych stron!	To starość idzie, a z nią zgon, co ścina w żyłach krew— nie, to nie wiatr z północnych stron postrzącał liście z drzew.
---	--

Tak skarży się na swoją starość jeden z poetów japońskich, rozlewając swój liryzm osobisty w liryzmie zamierającej zimą natury. Utwór z punktu widzenia krytyki japońskiej bardzo cenny, gdyż porównanie starości do zastygającej zimą przyrody należy do najudatniejszych i najczęściej powtarzających się w poezji.

Powiedły kwiaty, woń straciły, pókim błąkała się po świecie, ufałam nadto w swoje siły, powiedły kwiaty, woń straciły...	Jesienne wichry mi zawyły, ponura żałość serce gniecie— powiedły kwiaty, woń straciły, pókim błąkała się po świecie.
---	---

Tak skarży się na swoją niedolę, napomykając o pełnej nadużyć młodości, jedna z poetek japońskich, liryzując ogólnie na temat wędnących, pozbawionych woni kwiatów.

To, co było, już umarło, porósł w paproć pałac stary, kurcz boleści zdławił gardło, to, co było, już umarło...	Kiedym spojrział, dech zaparło, bo ożyły dawne mary— to, co było, już umarło, porósł w paproć pałac stary.
---	---

Rzewna, przedzgonna uta zdebronizowanego mikada-poety Dżuntoku, który, umierając w nędzy i zapomnieniu przed dawnym swoim pałacem, zdążył jeszcze przekazać potomności swe ostatnie, łabędzie pienie,

I tyś samotna i ja też,  
wiśnio górskiego spadu,  
gdzie spojrzeć, pusto wzdłuż i wszere,  
i tyś samotna i ja też...

Jedynym jesteś druhem, wiesz?  
po dawnych ani śladu—  
i tyś samotna i ja też,  
wiśnio górskiego spadu!

Tak liryzuje na temat swego osamotnienia, skazany na wygnanie arcybonza-poeta Gioson.

W mem sercu tęskność wciąż gada,  
z domu wyszedłem na pole,  
jesień poczyna się blada,  
w mem sercu tęskność wciąż gada...

Jak zmora cicho się skrada,  
niosąc przedzgonne swe bole—  
w mem sercu tęskność wciąż gada,  
z domu wyszedłem na pole.

Pełna nastroju uta, w której poeta swój smęt osobisty stapia ze smętem tęsknej natury jesiennej. To samo widzimy także w następującym utworze:

Ach, czy to księżyc, czy łza cicha  
rozpiera tęsknie łono,  
że wciąż się skarży, łka i wzdycha,  
ach, czy to księżyc, czy łza cicha?...

Serce, jak nędzny liść, usycha,  
gdy ostre wichry wioną—  
ach, czy to księżyc, czy łza cicha,  
rozpiera tęsknie łono?

*Albo:*

Patrzę na księżyc złoty,  
lecz w sercu chmurna jesień,  
wciąż snuję nić tęsknoty,  
patrząc na księżyc złoty...

Gdzież myśli wzgórne loty,  
gdzie słodki szal uniesień—  
patrzę na księżyc złoty,  
lecz w sercu chmurna jesień.

To stapianie wszelkich osobistych uczuć i wrażeń ze zjawiskami natury, ta chęć całkowitego z nią zespolenia się w każdej chwili życia, szczególnie jaskrawo przebija się w miłosnej liryce japońskiej. Niechaj szereg wdzięcznych ut pióra różnych poetów i poetek przemawia sam za siebie!

MIKADO JOZEJ:

Spójrz, o dziewczę, na Mikane,  
jak się pieni, jak się kłębi,  
wartko płynąc z gór Cukchane,  
spójrz, o dziewczę, na Mikane!...

Tak i w serce me wezbrane  
miłość sięga coraz głębiej—  
spójrz, o dziewczę, na Mikane,  
jak się pieni, jak się kłębi!

DAMA SAMMI:

Szu, szu! słodko wiatr szeleści,  
z Arima wionął ku Ino,  
kwietne trawy muska, pieści,  
szu, szu! słodko wiatr szeleści...

Imię twoje wciąż mi wieści  
w szumach, które ku mnie płyną—  
szu, szu! słodko wiatr szeleści,  
z Arima wionął ku Ino...



## KIJOWARA-NO-MOTOSUKE:

Przysięgaliśmy na fale  
te, co płyną od Suono,  
że się kochać będziemy stale,  
przysięgaliśmy na fale...

Aż w serdecznym tym zapale  
od łez zmokło nam kimono,  
przysięgaliśmy na fale,  
te, co płyną od Suono.

## REGENT KJOGOKU:

Noc się zbliża... mróz na dworze...  
świerszcz już gra w kominie,  
spać w kimono się położyć,  
noc się zbliża... mróz na dworze...

Znów samotne moje łożo,  
tęsknie czas mi płynie—  
noc się zbliża... mróz na dworze...  
świerszcz już gra w kominie.

## ABE-NO-NAKAMARO:

Patrzę na księżyc złotorogi,  
czy i nad górą Mika świeci?  
Daleko zagnał mnie los srogi,  
patrzę na księżyc złotorogi...

Nie tu, lecz tam są moje bogi  
i ta, co miłość w sercu nieci—  
patrzę na księżyc złotorogi,  
czy i nad górą Mika świeci?

## FUDŹIWARA-NO-TOSZIUKI ASON:

Niech biją fale o Suminoje,  
nie mnie nie wzrusza ich gwar i szum,  
w nocy i we dnie o tobie roję,  
niech biją fale o Suminoje...  
Od ludzkich oczu, kochanie moje,  
uciekam, kryjąc tajń słodkich dum—  
niech biją fale o Suminoje.  
nie mnie nie wzrusza ich gwar i szum.

## DAMA MURASAKI SZIKIBU:

Wciąż zdaje mi się, że to sen,  
co czarem poił nas,  
ach, ileż złudnych chwil i scen,  
wciąż zdaje mi się, że to sen!...

Że prysnął, winien księżyc ten,  
co dziś tak wczesnie zgasł—  
wciąż zdaje mi się, że to sen,  
co czarem poił nas.

## DAMA MICZICUNA:

O, jakże dłuży mi się czas,  
samotne dzisiaj łożo moje,  
znów srogi los rozłączył nas,  
o, jakże dłuży mi się czas!...

Na chmurnem niebie księżyc zgasł,  
zapadły w serce niepokoje—  
o, jakże dłuży mi się czas,  
samotne dzisiaj łożo moje.

Wszystkie powyżej przytoczone uty doskonale uwydatniają, jak artystycznie poeci japońscy potrafią nawiązywać nić serdeczną pomiędzy sercem ludzkim a naturą. Liryzm osobisty, roztopiony w liryzmie otaczającej natury, daje sercu ludzkiemu sub-

telniejszą, pełniejszą wrażliwość na piękno otaczającego świata, pogłębia uczucie i pozwala pieśniom dać w obrazach przyrody tło, potęgujące uczucia duszy ludzkiej. Poeta japoński, szczególnie wtedy, gdy otwiera serce przed kochanką, przez nią i dla niej napełnia jednocześnie upojeniem i zachwytem otaczającą go naturę, całując i ją, wonną, rozpieszczoną i piękną, namiętnymi ustami miłości. Uczucie, rozplywające się w obrazowym odtworzeniu przyrody, stanowi dopiero wspólny z nią jedną nierozłączną, artystycznie harmonijną i silnie działającą przez prawdę swego nastroju całość.

Nawet zagadnienia ściśle myślowe, które, co prawda, stanowią jeden z bardziej rzadkich motywów poezji japońskiej, o ile istnieją, to również źródłem ich stają się zjawy otaczającej natury. Jej zawdzięczają one swoje powstanie, z nią też bywają zespalane lub przez nią komentowane:

Mówisz, żeś widział łódź bez wiosła, płynącą oślep poprzez Jurę, tak cię namiętność będzie niosła, jak tę, coś widział łódź bez wiosła...	Nie daj, by w sercu skrycie rosła, bo życie czeka cię ponure— mówisz, żeś widział łódź bez wiosła, płynącą oślep poprzez Jurę.
--	---

*Albo:*

Popatrz na fale podczas burzy, gdy wściekle biją o wybrzeże, niech ci za przykład to posłuży, popatrz na fale podczas burzy...	I my, gdy życie nam się schmurzy, szarpiemy się, jak dzikie zwierzę— popatrz na fale podczas burzy, gdy wściekle biją o wybrzeże.
---	--

A więc zagadnienia myślowe stanowią, jak widzimy z powyższych przytoczeń, zaledwie jeden, artystycznie co prawda wprowadzony ścieg na kanwie, wypełnionej obrazem natury. Zjawy przyrody nasunęły poetom japońskim pewne myśli, wydobyte, jako wniosek, zestawienie lub porównanie, z otaczającego świata.

Życie ziemskie, jedno z najulubieńszych myślowych zagadnień poezji japońskiej, również otaczającej naturze zawdzięcza swe powstanie i tylko w związku z nią, nigdy w oderwaniu, bywa rozpatrywane:

Jak nieśmiertelne piętrzą się przedemną  
wieczne skały i wieczyste fale,  
lecz w głębi duszy tak źle mi i ciemno,  
choć morze igra wodami wspaniałe...



Tu nieskończoność, siła i potęga,  
 a moin, jako człowieka udziałem—  
 śmierć, co mi życie i szczęście rozprzęga...

. . . . .  
 Stojąc na brzegu, los swój przeklinałem!

Tak przeklina, wpatrzony w wieczystą potęgę i piękno natury, marność ziemskiego bytowania jeden z bardzo starożytnych japońskich poetów, dodając do tego krótki, przesiąknięty goryczą przyśpiew o życiu:

Marne, jak zwiędły liść, co zgnił,  
 z korony drzewa w piach strącony,  
 i kruche, nędzne, jak ten pył,  
 co wiatr nim wionął w różne strony...

Jak widać z ogółu zawartych w szkicu niniejszym przytoczeń, poeci japońscy są raczej biologami, niż psychologami. Życie, jako suma przeżyć wewnętrznych jednostki ludzkiej, nie pociąga twórców, czerpanie tematów z głębin duszy ludzkiej nie istnieje. Poeci japońscy, jak wiosenne kwiaty, prężą się ku słońcu, lgnąc do nieśmiertelnych, nieprzebranych kras swego jedyne go, prawdziwego i wieczystego bóstwa—natury. I jeżeli istnieje jakakolwiek religia w japońskiej poezyi, to niezaprzeczenie religia natury. Z niej, przez nią i dla niej wszystko!

REMIGIUSZ KWIATKOWSKI.

# Maurycy Maeterlinck.

Nazwisko Maurycyego Maeterlincka przypomina głośne niegdyś dyskusye, które towarzyszyły pierwszym krokom symbolizmu. Maeterlinck znalazł się na widowni w chwili najwyższego zagrzania umysłów u stron walczących, to też ściągnął na siebie odrazu największe gromy i najbardziej przesadne entuzjazny. Zwolennicy symbolizmu uznali w nim geniusza, odkrywającego duchowi ludzkiemu nowe horyzonty i porównali go do Shakespear'a. Przeciwnicy potępili bez apelacyi jego estetykę i dzieła. Odtąd minęły lata. Twórczość belgijskiego poety rozwinęła się, ulegając z czasem pewnej ewolucyi. Zdania pozostały zawsze podzielone, ale namiętności, zużyte w walce, uspokoiły się wraz z ustaniem ich przyczyny, bo symbolizm, który objawił się jako dość powszechny, ale rozproszony nastrój, nie wytworzył prawdziwego kierunku i teoryi swych nigdy w całości narzucić nie potrafił. Zresztą do poznania intencji Maeterlincka przyczyniły się również znacznie wskazówki, zawarte w jego traktatach filozoficzno-estetycznych i moralnych, mianowicie w „Le Trésor des Humbles,” w „La Sagesse et la Destinée,” „Le Temple enseveli,” „La Vie des Abeilles,” „L'Intelligence des Fleurs” i w przedmowie do nowego wydania jego dzieł dramatycznych („Théâtre”). W pismach tych znajdujemy całkowity wykład idei autora, zaczerpniętych w znacznej części u Plotyna, Emersona, Novalisa, <sup>1)</sup> Ruysbroeck'a, <sup>2)</sup> Swedenborga i Carlyle'a, oraz obraz stopniowego

<sup>1)</sup> Novalis—pseudonim Fryderyka barona Hardenberga, poety i filozofa niemieckiego (1772—1801).

<sup>2)</sup> Jan Ruysbroeck, wikaryusz parafii św. Guduli w Brukselli, mistyczny teolog flamandzki (1294—1381).



rozwoju tychże idei i ewolucyi, która w nich, jako wynik tegoż rozwoju, nastąpiła, czego najwierniejszem odbiciem są utwory dramatyczne, zajmujące w twórczości tego autora miejsce pierwszorzędne. Na czym polega ta filozofia? Podstawą jej jest widzenie życia ze strony zagadkowej, nawet w jego objawach najbardziej codziennych i pospolitych, którym, wskutek przyzwyczajenia, przestaliśmy się dziwić. A jednak te objawy codzienne są dla nas w gruncie równie niezrozumiałe, jak cała tajemnica bytu, jego początek i cel. Cała dotychczasowa wiedza ludzka prowadzi jedynie do stwierdzenia, że sumę wszystkich naszych wiadomości porównać można zaledwie do drobnej wysepki świetlanej, otoczonej zewsząd niezmiernym oceanem ciemności.

Pod wpływem pozytywizmu, pochylonego nad badaniem zjawisk naturalnych, z pominięciem ich przyczyn, zapomniano niemal o tej prawdzie, którą przecież spotykamy na każdym poważniejszym skrucie życia. Ale „prawdy mistyczne mają szczególną wyższość nad prawdami zwyczajnymi: nie starzeją się ani nie umierają.“ W ideach współczesnych Maeterlinck dostrzega wzmożenie się mistycyzmu. Pozytywizm musiał się też dostosować do tych dążeń i wziąć pod uwagę fenomeny do niedawna niepojęte, jak magnetyzm, hypnotyzm, telepatya, własności radykalne materji i t. p. Fenomeny te poddane metodom racjonalnym, weszły dzisiaj do dziedziny wiadomości pozytywnych, ale styczeńność, w jakiej nas postawiły ze sferami przez umysł ludzki niezbadanymi, przypomniawszy nam o ich istnieniu.

Wskutek potrzeby wewnętrznego pokoju, człowiek unika tajemnicy i, dzięki małemu zakresowi swego widzenia, zasklepia się z łatwością w swym kącie, nie spostrzegając poza nim nic niepokojącego i to tem bardziej, że powiedziano mu, iż wiedza wszystko zbadała, a przynajmniej blizką jest tego rezultatu. Dopiero, gdy przypadek postawi go wobec niespodziewanego zagadnienia, umysł jego porusza się, zwraca się ku nieznanemu i cały jego światopogląd ulega zmianie. W taki to sposób odkrycia hypnotyzmu wstrząsnęły wiedzą urzędową i spowodowały przewrót w wierzeniach pozytywistycznych. Te przemiany w ideach współczesnych Maeterlinck przypisuje „przebudzeniu się duszy.“ „Pewnem jest — mówi on — że zakres ducha powiększa się z każdym dniem. Zdaje się, iż się zbliżamy do okresu duchowego, co objawia się w różnych kierunkach myśli, a zwłaszcza w sztuce, tak, iż obok śladów życia zwyczajnego, znajdujemy wszędzie falujące ślady innego życia, którego sobie nie umiemy wytłómaczyć. Dusza jest jakoby bliżej naszej istoty widomej, spowija się w mniej-

szą liczbę zasłon, niżeli przed dwoma lub trzema wiekami.“ To też, wobec tego zachodzi potrzeba nowej psychologii, która nie zajmowałaby się wyłącznie „duszą ludzką, oddającą się skrotnym czynnościom myślowym,“ lecz także duszą boską, której uśmiech pozwala nam dostrzedz, „co jest poza myślą.“ Psychologia zwyczajna, nadużywająca pięknego imienia Psychy, gdyż w istocie zajmuje się tylko zjawiskami duchowymi, najściślej związanymi z materią, jest niewystarczającą dla odtworzenia prawdziwego wizerunku duszy.

Dusza prawdziwa różni się bardzo od tego, co powierzchowni psychologowie podają jako objaw jej życia. „Posiadany *ja* głębsze i więcej niewyczerpane, niżeli *ja* namiętności i rozumu... To wszystko (t. j. to, co w sztuce klasycznej stanowi właściwy motyw dramatyczny) może podobać się przez chwilę, jak kwiat oderwany od łodygi. Ale nasze życie prawdziwe i niezmienne jest o tysiąc mil od miłości i o sto tysięcy mil od pychy.“ To życie głębsze nie objawia się na zewnątrz w słowach i gestach. Część naszego życia istotnego i to najlepsza, najczystsza i największa, nie bierze udziału w życiu zwyczajnem.

I z tem psychologia prawdziwa liczyć się powinna przede wszystkim, powinna brać pod uwagę „obecność nadzwyczajną duszy.“

Istoty impulsywne, bezpośrednio ulegające wpływom wewnętrznym, są, zdaniem Maeterlincka, bliżej prawdy, niż te, które kierują się rozumem. Dzięki swej szczególnej zdolności wzruszeniowej, kobiety zdają się mieć z pierwotnymi władzami ducha tajną styczność, dla nas niedostępną. Wiedzą one rzeczy, których my się nie domyślamy i sądziłoby można, iż pomiędzy niemi i wypadkami, mającymi się wydarzyć, zachodzi porozumienie, z tak dziwną łatwością odgadują przyszłość.

Ich to jest zasługą, że, pomimo wszechwładzy rezonerstwa, przechowało się na ziemi poczucie mistycyzmu. Uderza autora sprzeczność, jaka zachodzi pomiędzy powierzchowną błahością kobiet, a głębokością funkcji, jakie przy nas pełnią: „Jakże mało zdają się one ważyć dla mężczyzny, który patrzy na nie mimochodem! Widzi je krzątającymi się wewnątrz swych pomieszczeń—ta się nachyla trochę, tanta szlocha, inna śpiewa, inna jeszcze haftuje, a żadna nie zdaje sobie sprawy z tego, co czyni! Mężczyźni je odwiedzają, jak się odwiedza coś, co się uśmiecha.“

Idee znajdują się w duszy nieświadomej w stanie czystym. Aby się ujawnić, muszą przybrać powierzchowność, która odmieńnia ich właściwy charakter. Słowa zwłaszcza, których dusza uży-



wa dla objawienia się, przedstawiają ją w taki sposób, jak liczba porządkowa przedstawia w katalogu np. obraz Memlinga.

Niezależnie od słów zresztą, myśl nie jest też nigdy ścisłym obrazem tego czegoś, co ją wytwarza. Dusza żyje w milczeniu. W milczeniu też tylko porozumiewać się mogą dusze, czego nie mogłyby osiągnąć przy pomocy znaków zewnętrznych.

Tak więc tajemnica, której zwykłą metodą obserwacyi przeniknąć nie można, pokrywa szczegóły duszy ludzkiej. Dusza jest tajemniczą sama w sobie i w swym stosunku do wydarzeń.

Dzisiaj, powiada Maeterlinck, wiara w przeznaczenie zdaje się powracać, jako reakcja przeciw pozytywizmowi, który w tej niezbadanej potędze widzi tylko logiczny i mechaniczny skutek przyczyn. Ale pozytywizm, który nie potrafił dotąd wytłómaczyć rzeczywistości, nie jest w stanie zniszczyć pojęcia przeznaczenia. Nie idzie za tem, aby nauka nie miała stwierdzić pewnych faktów, ustanowić pewnych praw i powiększyć w ten sposób naszej świadomości tego, co jest. Ale powiększenie tej świadomości nie może się odbyć bez pomnożenia niewytłómaczalnego, które nas otacza. Dziedziczność, prawo gatunków — są to hipotezy, które służą jako prowizoryczne etykiety dla potwornych słoików, zawierających niepoznawalne. I pomimo wszystko, nazywamy zawsze przeznaczeniem tajemnicę nie do rozwiązania, która okrywa wypadki ludzkiego życia.

Wobec przeznaczenia, jak i wobec duszy trzeba być pokornym i zdziwionym. Wyrzeczenie się bowiem całkowitego pojmowania zjawisk pozwoli dopiero badać je dokładniej, szczerzej i uczciwiej, gdyż wtedy pycha intelektualna nie będzie przeszkodą do ich stwierdzenia takimi, jak są, choćby się wydawały dziwne, nie poddające się racjonalnemu tłómaczeniu i sprzeciwiające naszym ogólnym poglądom na rzeczy.

Zapewne, co w ten sposób odkrywamy, różnić się będzie od pozytywnego pojmowania życia. Przekonamy się wtedy, że wszystko odbywa się, jak gdybyśmy się znajdowali w rękach potęg dziwnych, które są w zgodzie z wydarzeniami. Pomiędzy naszą duszą a wydarzeniami, które nas spotykają, zachodzi tajemnicza łączność. Dusze są gotowe na ich przyjęcie, czekają na nie — „kto z nas nie przeżywa większej części życia w cieniu wydarzenia, które się nie trafiło?“ Przeczucia uprzedzają nas o naszym przeznaczeniu i jeżeli wielu stara się nie zwracać na to uwagi, inni, czulsii na lekkie szmery, które sprawia wokoło nich niedostrzegalne zbliżanie się wydarzeń, żyją w nieustannem drżeniu oczekiwania na ich niechybne przybycie. Nic pozornie nie

wyróżnia istot, które ma spotkać coś ważnego, a jednak jest coś wokół nich, w czem zdradza się ich przeznaczenie. Trzeba więc, nie rozumiejąc ich, zaznaczyć raczej istotność tych nadzwyczajnych objawów, niżeli sprowadzać rzeczywistość do tego tylko, co w naszym ograniczonym umyśle jesteśmy w stanie sobie wytłómaczyć.

Teatr współczesny, mówi Maeterlinck w jednym z rozdziałów „Le Trésor des Humbles“ („Le Tragique Quotidien“) — jest anachroniczny względnie do ewolucyi idei nowożytnych, podobnie jak rzeźba, gdy w malarstwie i muzyce „przebudzenie duszy“ znalazło silny oddźwięk. Autorowie dramatyczni widzą zawsze główną zaletę dzieła w gwałtowności jego anegdoty, w krzyku i rozlewie krwi. Wydaje się to zabytkiem okresów barbarzyńskich. W istocie, wydarzenia najważniejsze nie są te, które wybuchają gwałtownie na zewnątrz, lecz te, które się ukrywają w głębi duszy, w ciszy jej najodleglejszych tajników. Pierwiastku dramatycznego zatem nie należy szukać w akcji zewnętrznej, w większym lub mniejszym ruchu pozornym.

Rozumiejąc gruby materyalizm i płytkość takiego pojmowania sztuki, niektórzy autorowie zwrócili się do studyowania charakterów, stworzyli teatr psychologiczny. Ale psychologia ich jest zawsze pozytywną, zbyt prostą i powierzchowną. Maeterlinck zarzuca Racine'owi brak głębszego odczuwania życia duchowego: „Jeżeli Racine jest nieomylnym poetą serca kobiecego, to któż ośmielił się twierdzić, że uczynił on choć jeden krok w stronę jej duszy? Co mi odpowiecie, gdy was zapytam o duszę Andromachy? Postacie Racine'a są o tyle tylko zrozumiałe, o ile się wypowiadają. Nie mogą one zamilknąć, gdyż przestałyby istnieć, nie mają bowiem w sobie pierwiastku niewidzialnego.“ Inaczej się to przedstawia u Shakespeare'a. Znajdujemy u niego niejedną postać, „obdarzoną życiem prawdziwym, w którym dusza bierze całkowity udział, przy wtorowaniu tajemniczego śpiewu nieskończoności, owiewającego myśl ludzką, który daje się słyszeć poprzez słowa króla Leara, Macbetha i Hamleta.“

Czy przeto, przy pomocy pewnego rodzaju zamiany ról, nie możnaby tego „pierwiastku niewidzialnego,“ który odgadujemy w Hamlecie, przybliżyć, usuwając jednocześnie aktorów na dalsze plany? Mniej nam zależy na tem, czy Hamlet pomści lub nie swego ojca. Całe piękno dramatu spoczywa w pewnych słowach Hamleta, które na życie, duszę i przeznaczenie otwierają widoki niespodziewane i godne podziwu. Obok dyalogu, nieodzownego dla wytłómaczenia czynów postaci, znajduje się tu inny dyalog, który wydaje się zbytecznym.



Ale przysłuchajmy się uważniej, a przekonamy się, że ten tylko dyalog dusza odczuwa głęboko, gdyż zwraca się on do niej. Zauważymy również, że od rodzaju i znaczenia tego dyalogu zależy wartość i doniosłość prawdziwego dzieła.

Maeterlinck żąda, aby ten „dyalog konieczny“ w dramacie sprowadzono do rozmiarów możliwie najmniejszych, a natomiast, by zostawiono więcej miejsca dyalogowi, który wyraża prawdę mniej oczywistą, lecz za to głębszą.

W ten sposób wprowadzi się do sztuki dramatycznej coś z wielkiej tajemnicy życia, o wiele ważniejszej od wszelkich zająć, wywołanych przez miłość, zazdrość lub inne namiętności, co nam pozwoli wznieść się do myśli ogólniejszych i więcej ludzkich, niżeli to może sprawić widok zemsty i czynów brutalnych. Trzeba, by chodziło nietyle o jakąś chwilę wyjątkową bytu, lecz o sam byt i o silniejsze uprzytomnienie sobie tego, co jest zdumiewającym w samym fakcie życia.

Równie jak psychologia pozytywna, moralność tradycyjna, zbyt kategoryczna, nie sięga do tych głębin duszy, gdzie powstają pobudki naszych czynów. Czyny nasze nie są wiernem odbiciem naszych intencji, ale niema również żadnych danych, by w tych intencjach widzieć dokładne odtworzenie duszy wewnętrznej. Z tak niepewnych wskazówek nie można też wyciągać wniosków co do istotnej dobrowolności naszego postępowania. Prawdziwe życie moralne odbywa się bardzo daleko od życia zwierzęcego i od życia duchowego, w trzecim obrębie duszy, gdzie świadomość nasza nie przenika. Wszystko zależy od „pierwiastku niewidzialnego“ i są prawa głębsze od tych, które rządzą czynami i myślami. Pod wpływem nowych idei ściśle pojęcie dobrego i złego odmienia się tak, iż nie przypisujemy już obecnie tej samej wagi pewnej liczbie przestępstw. Wyrabia się „wyższe sumienie.“

Wszakże ta nieco anarchistyczna koncepcja moralności Maeterlincka nie opiera się na żadnej teorii rozumowej. „Nie jesteśmy tylko istotami rozumnymi—mówi on (w „La Sagesse et la Destinée“), bo niema dobrego uczynku, ani myśli szlachetnej, których korzenie nie zagłębiałyby się poza tem, co można rozumieć i wytłómaczyć—całe nasze życie moralne leży poza zakresem rozumu.“

Z tem wszystkiem w tym ostatnim traktacie moralności mistycznej zaznacza się zwrot autora do poglądów realniejszych, niemal pozytywnych.

Ideąłem, do którego według niego ludzkość dąży lub dążyć powinna, jest „prawda wewnętrzna wszechświata,“ prawda, której odkrycie wskaże człowiekowi jego istotny obowiązek. Tym-

czasem zaś pierwszym naszym obowiązkiem jest wskazywać ideę obowiązku. Nie można się niczego spodziewać poza prawdą. Dusza, która się podnosi, jest to dusza, zbliżająca się do prawdy.“ Maeterlinck wierzy, że, dzięki usiłowaniom nauki, jesteśmy dzisiaj bliżej tej prawdy i „nie jest niemożliwym, czy jutro, wraz ze znajomością zupełną ustroju i celu wszechświata, nie otrzymamy z planety Marsa nieomyślnej formuły szczęścia?“

„Myślą najzgubniejszą we wszystkim jest ta, która każe nam nieufać rzeczywistości“ — mówi on tamże i zdanie to nie sprzeciwia się zresztą jego mistycyzmowi, bo rzeczywistością pozytywną jest według niego przedewszystkiem fakt tajemnicy, jaka nas otacza, fakt, z którym trzeba się liczyć, gdyż „pierwszym obowiązkiem świadomości, która się odkrywa, jest uczyć nas poznanowania nieświadomości, która się jeszcze odkryć nie chce.“ Prawdą istotną jest, że nie wiemy. Widzimy to w przerażającej złożoności zjawisk najnaturalniejszych, w której gubi się obserwator, najbardziej drobiazgowy i musi stwierdzić, że tajemnica przenika nawet do dziedziny faktów. Fakta dają się stwierdzić, ale ich tłumaczenie jest hypotetyczne. Pozytywizm naukowy i doktryny religijne, wychodząc z przeciwnych zasad, popełniają ten sam błąd wspólny — pozbywają się niewytłumaczalnego, wzbraniając sobie jego badania. Pierwszy odrzuca tajemnicę, jako nieistniejącą, drugie czynią z niej bóstwo. Tymczasem zrezygnować się na pozostawanie w nieświadomości byłoby słusznem tylko w razie, gdyby było dowiedzione, że się nigdy nie będzie wiedziało.

Obserwując życie pszczoł („La Vie des Abeilles“), Maeterlinck zrozumiał wartość dokładnych twierdzeń, bez względu na ich konsekwencye i że niema co się z tego powodu cieszyć lub smucić, lecz trzeba powiedzieć sobie; „tak jest.“ Na teraz obowiązkiem naszym jest szukać. W oczekiwaniu na coś lepszego, ciekawość powinna panować w naszym sercu. Ciekawość bowiem, skłaniając do poznania prawdy, wskazuje nam, czem powinniśmy być i co mamy czynić. Trzeba zatem starać się o jaknajwiększe rozszerzenie pozytywnej znajomości świata, gdyż jeżeli na razie potrafiemy chociażby przemienić naszą niewiadomość nieświadomą, na niewiadomość świadomą, to będzie to już rezultat, dzięki któremu zdołamy dokładniej uprzytomnić sobie zagadkę, jaką stanowi dla naszego umysłu, w chwilach jego jaśniejszych przeżyć, widok tego, co jest; zagadkę, której trwoga człowieka nadała imiona rozmaite, to pocieszające, to straszne, Boga, Opatrzności, Natury, Losu lub Przeznaczenia. Jeżeli ma ona pozostać długo jeszcze lub zawsze nierozwiązaną, to w każdym razie sy-



stematyczna praca badaczy pozwoli dać jej imię szersze, dostępnejsze, giętsze i pozostawiające więcej pola oczekiwaniu i niespodziance.

Z całej tej nieco majaczącej filozofii, wypowiedzianej w tonie alegorycznym i namaszczonej, ale zawierającej parę myśli trafnych, da się wyciągnąć wniosek główny, że poza tłumaczeniem, jakie nam daje religia, wszystko, co nas otacza, jest tajemnicą, nie wyłączając najbliższej nas dotyczących objawów własnego życia. Mistycyzm Maeterlincka polega na tem, że myśl jego zwraca się nieustannie i przy każdej sposobności do tej wszędzie obecnej tajemnicy, z którą ludzie oswoili się wogóle do tego stopnia, iż o niej nie myślą wcale lub bardzo rzadko, a która, według niego jest treścią życia duszy. Tajemnica ta przejmuje go, a przynajmniej jego bohaterów rodzajem zabobonnej trwogi, która przebiegu szczególnym dreszczem atmosferę moralną jego utworów dramatycznych. Ale objawia się w nich zawsze w sposób naturalny, bez żadnej interwencji potęg nadprzyrodzonych, bez aluzji do życia przyszłego i z tego względu mistycyzm jego byłby istotnie do pewnego stopnia realistycznym, gdyby nadmiar halucynacji, w jakim żyją jego osoby, nie osłabiał tego wrażenia.

Jeżeli w swej koncepcji dramatu Maeterlinck przedstawia pewne analogie, ograniczające się zresztą niekiedy do cech powierzchniowych, z Shakespeare'm, od którego sam się wywodzi, to jednak zachodzi między nimi różnica zasadnicza w tem, że postacie Shakespeare'a żyją życiem istotnem i mają ściśle określony charakter, dramaty jego odznaczają się akcją wyraźną i zajmującą, gdy sztuki Maeterlincka akcji zewnętrznej albo nie mają prawie wcale, albo jest ona w nich rozerwana na poszczególne obrazy lub sceny, pozbawione związku i jedności; zaś jego figury są podobniejsze do mar sennych, aniżeli do żywych ludzi.

I wogóle jego dramaty mają wiele podobieństwa do snów. Wszystko w nich jest niejasne i nieściśle, począwszy od mowy, wyrażającej się aluzjami i metaforami, lub sprowadzonej do najprymitywniejszej prostoty bełkotania bez związku, aż do czasu, w jakim się rozgrywają, którego nic nie określa. Wprawdzie widzimy tam zamki warowne, baszty, podziemia, królów, królewiczów i królowne, co wszystko razem trąci jakoby średniowieczem, ale są to właściwie akcesorya, użyte tu tylko dla wywołania fantastycznego nastroju bajki, bo, jak w bajce, ci królowie, królewicze i królowne nie mają w sobie nic ani z charakteru swych funkeyi, ani też nic w charakterze osobistym, coby pozwalało zaliczyć ich do tej lub innej epoki. Skądinąd nie wiemy również

nie o tych postaciach: skąd się wzięły, jaka ich przeszłość, dlaczego znalazły się w danych warunkach?

I to wszystko jest wynikiem wyrażonych wyżej myśli autora i jego poglądów na zadanie sztuki dramatycznej. Życie chce on przedstawić ze strony odwrotnej, t. j. z tej, z której wiąże się ono z tajemnicą bytu i przeznaczenia i nie idzie mu o odtworzenie charakterów w znaczeniu zwyczajnem, lecz stara się o ujawnienie „duszy nieświadomej,” w której ukrywa się prawdziwe jestestwo, nieśmiertelny i niezależny od czasu ani miejsca pierwiastek ducha ludzkiego. Zadanie to ułatwia autorowi ta nie mająca nic realnego, legendowa atmosfera, w której nieokreślonem oddaleniu każe obracać się swym mglistym bohaterom. Ten charakter bajeczny przyczynia się również do wywołania szczególnego nastroju niewytłómaczonej trwogi i niepokoju, w jakim żyją te niezwykle istoty i otacza je nikłą aureolą chorobliwej poezyi.

Wszystkie te właściwości znajdują się już w pierwszym dramacie Maeterlincka „La Princesse Maleine,” ale mniej wyraźnie zaznaczone, niż w następnych, z powodu stosunkowo dość znacznego nagromadzenia wypadków zewnętrznych, jakich później, stosując się do swych teoryi, autor się wyrzeknie.

Księżniczka Maleine jest narzeczoną królewicza Hjalmara, syna króla tegoż imienia. Podczas uroczystości zaręczyn na zamku ojca księżniczki, króla Marcellusa, stary król Hjalmar, dla przyczyn niewyjaśnionych, wpadł w gniew straszny, z którego wynikła wojna pomiędzy obu władcami. Hjalmar pomścił niemilosiernie swą zniewagę, pustosząc kraj cały i paląc zamek królewski, przyczem sam król Marcellus i królowa zginęli. Tylko księżniczka Maleine wraz ze swą starą piastunką uszła zguby, kryjąc się w lasach. Te straszne katastrofy, w których straciła wszystko i wszystkich, nie potrafiły jednak zniszczyć jej miłości, którą wiedziona, Maleine udaje się w towarzystwie owej piastunki na zamek starego Hjalmara i, niepoznana, zostaje służebną Ugliany, obecnej narzeczonej królewicza, co jej pozwoli doń się zbliżyć. Ugliana jest córką królowej Anny, słynnej z piękności i rozwiązłości, wygnanej ze swego królestwa, która opanowała starego króla Hjalmara, ma więc za sobą wszechpotężne wpływy swej matki. Za to Maleine pewną jest uczuć młodego Hjalmara, któremu daje się poznać i odzyskuje jego serce. Odtąd królewicz odtrąca Uglianę i postanawia pojąć za żonę dawną narzeczoną, co niebacznie wyjawia ojcu.

Ale królowa Anna nie daje za wygraną. Na pozór okazuje ona współczucie nieszczęśliwej księżniczce i opiekuje się nią.



Maleine wkrótce zaczyna słabnąć. Przypisują to malarycznym wyziewom błot, otaczających zamek, w istocie jednak jest to skutek powolnej trucizny, zadawanej przez królowę. Niebawem działanie trucizny wydaje się jej zbyt powolne, więc, pewnej nocy, w obecności starego i na wpół obłąkanego króla, który nie jest w stanie oprzeć się jej woli, dusi biedną Maleinę. Poczem król, który zupełnie już postradał zmysły, dręczony wyrzutami sumienia, zdradza tajemnicę. Wtedy królówicze Hjalmar, przy trupie narzeczonej, przebija mieczem jej zabójczynię i sam się zabija, w obecności dworzan i króla, który, w swem obłąkaniu, nie zdaje sobie sprawy, co się wokoło niego dzieje. To jest treść zewnętrzna dramatu, która, jak już wiemy z wyżej powiedzianego, ma znaczenie drugorzędne i istotnie, jako akcja i jako fabuła, jest niezmiernie nikła i pobieżna. Właściwe jej znaczenie spoczywa gdzieindziej. Charaktery bohaterów są też tylko zaledwie wskazane. O księżniczce Maleinie wiemy tylko, że ma lat piętnaście, że jest pełna niewinnego wdzięku i że kocha królówicza Hjalmara, który jest czemś w rodzaju cienia Hamleta, tak samo, jak stary król i królowa Anna przypominają Macbethów.

Wpływy Shakespeare'a, a raczej natchnienie, jakie autor zaczerpnął w nastroju duchowym tych arcydzieł wielkiego tragika, jest tu bardzo wyraźne. Złowrogość przeznaczenia, które ma się niebawem spełnić, objawia się nieustannie w ciągu akcji to w słowach o znaczeniu proroczym, wypowiedzianych bezmyślnie lub nieświadomie, to w dziwnych znakach na niebie i ziemi, to w szczególnym zbiegu przypadków. Królówicze Hjalmar, podczas spotkania z Maleiną o zmroku, gdy ta daje mu się poznać, rzuca grudki ziemi, by odpędzić sowy (ptaki złowróżbne) i spostrzega się naraz, że „ma teraz ręce grabarza!“ W chwili, gdy to mówi, trochę rzuconej przezeń ziemi pada na księżniczkę i oboje są tem przestraszeni. Hjalmar również, w innym miejscu, wypowiada uwagę, że „tylko chwilowo, gdy się na nie patrzy, rzeczy pozostają spokojne, jak grzeczne dzieci i nie wydają się dziwne; ale, gdy się od nich odwrócić, wtedy wykrzywiają się i płatają nam złośliwe figle.“ Nadchodząca burza wywołuje u wszystkich tych osób dziwny niepokój, jak gdyby złe przeczucia. Chłopi widzą w tych objawach atmosferycznych oznaki nieszczęść i katastrof. Wszyscy są przerażeni, nie wyłączając siedmiu zakonnic, które przechodzą procesjonalnie poprzez sale zamku, odmawiając łacińskie litanie. Maleine jest dręczona niezrozumiałemi dla niej przeczuciami, wszystko ją trwoży, zwłaszcza na krótko przed śmiercią, która ma ją spotkać z ręki królowej Anny. Ale strach, gra-

niczący z szalem, wstrząsa szczególnie królem Hjalmarem, który wbrew swej woli, jak gdyby zahypnotyzowany przez kochankę, jest świadkiem i biernym współnikiem jej zbrodni. Drapanie psa do drzwi zamkniętych, głucho uderzenia, pochodzące od piłki, w którą gra z drugiej strony drzwi mały Allan, podczas, gdy z tej strony dopełnia się zbrodnia, przeraża moralnie obezwładnionego starca. Pełno tu jeszcze innych szczegółów—wypadków, pochodzących z przyczyn naturalnych, ale przybierających w danych okolicznościach znaczenie symboliczne. Szczyt wieży z wielkim krzyżem spadł, w dzień zbrodni, do stawu. Łabędzie nagle odleciały, prócz jednego, który pozostał martwy. W chwili dokonania zabójstwa, podczas rozszalałej burzy i gradobicia, wiatr otworzył okno pokoju Maleiny i zrzucił doniczkę z lilią, która się rozbiła, i w temże oknie rozległ się szyderyczy śmiech królewskiego trefnisa, natychmiast strąconego pchnięciem szpady króla na dno zamkowych fosów. To wszystko ma przesądny charakter ludowych zabobonów i przypomina strachy piastunek, ale sprawia niemniej pożądane wrażenie, do czego przyczynia się też rodzaj osłupienia czy też duchowej nieobecności w zachowaniu się i mowie osób, które powtarzają po kilka razy jedno i to samo słowo lub zdanie, albo w odpowiedziach bez związku z zapytaniem, w których, jeśli dostroimy się do takiego tonu, możemy się dosłuchać jakiegoś tajemniczego znaczenia. W tych aluzyach, w tych znakach i wróżbach, w tych powtarzaniach i niedopowiedzeniach należy też szukać „treści głębszej“ dramatu, bo one to służą autorowi do wywołania tego dreszczu szczególnego, jakiego człowiek w życiu doznać może tylko wyjątkowo, gdy, stanawszy oko w oko z tajemnicą przeznaczenia, uczuje się nagle wobec tegoż bezsilnym i bezbrodym, jakoby owianym przerażającym tchnieniem wieczności. W takich chwilach dusza, nie ta zewnętrzna, która myśli i kieruje naszym codziennym postępowaniem, lecz ta „głęboka“, nieświadoma, która nie traci łączności z zaświatem i daje tamtej niekiedy przebliski jasnowiedzenia, ujawnia się, zajmuje miejsce pierwszej i daje odczuć naszej istocie, w sposób niemal dotykalny, nikłość jej bytu ziemskiego i uczestnictwo w wieczności.

Więcej jeszcze, niż w „La Princesse Maleine“, gdzie przedmiot dramatu jest bądź co bądź ujęty w pewną anegdotę, wyraża się to w sztukach następnych, w których treść zewnętrzna jest sprowadzona do rozmiarów najprostszych i najogólniejszych, a zwłaszcza w „Les Aveugles“, w „La Mort de Tintagiles“, w „L'Intruse“, w „Intérieur.“ W „Les Aveugles“ ślepi mężczyź-



ni i kobiety zamieszkują, pod kierunkiem starego księdza, przytułek, mieszczący się w starym i ciemnym zamku, do którego, z wyjątkiem jednej izby na wieży, zajętej przez księdza, światło dzienne nie przenika. Ale ksiądz starzeje się coraz bardziej. Ślepi podejrzewają, że i on niedowidzi, do czego się w każdym razie nie przyznaje, aby go nie zastąpiono kim innym. Pewnego dnia wszyscy wyszli na przechadzkę, wyprowadzeni przez księdza na drogę w stronę morskiej latarni, której dostrzegał światło. Usiadłszy dla wypoczynku, ślepi uczuli nagle niepokój: gdzie jest ich przewodnik? Nie słyszą jego głosu! Czyżby ich opuścił? I radzą między sobą, by zastąpić go kim innym, bo starzec w ostatnich czasach objawiał szczególne osłabienie i zniechęcenie, mówił już tylko do kobiet, wspominał coś, że panowanie starców się skończy... Ale ksiądz umarł. Nieszczęśliwi, zdala od swego przytułku, czują się zgubieni. Kto ich poratuje, kto ich nadal będzie prowadził? Może ludzie z morskiej latarni? Ślepi spodziewają się od nich ratunku, ale ci, zwrócenii w stronę morza, nie widzą ich nawet. Wtem dziecko jednej z kobiet zaczyna kwilić. Ślepym wydaje się, że coś słyszą, jeden z nich podnosi dziecko, by zobaczyło, kto się zbliża. Ale niema nikogo i dziecko płacze coraz bardziej.

Przedewszystkiem jest tu allegorya bardzo wyraźna. Ślepi, to ludzkość, pozostawiona w ciemnościach, bez przewodnika, przez zmarłą religię. Wiedza, w swej morskiej latarni, jest za daleko i za wysoko, by jej pomódz. Więc, sama, wśród nocy otaczającej tajemnicy, pozostaje bezradna i nawet małe dzieci płaczą ze strachu przed przyszłością. Ale poza tą allegoryą odczuwa się tu już prawie bezpośrednio tę groźbę, jaką przejmują duchową istotę człowieka poczucie bezradności wobec przeznaczenia. Ślepi, w ciągłym oczekiwaniu zbawcy, któryby ich wyprowadził z tego straszego położenia, wsłuchują się w każdy najdrobniejszy szmer, w nadziei, że zwiastować im będzie jego przybycie i przechodzą przez cały szereg wzruszeń od radości, nadziei, do smutku rozczarowania, a zawsze pozostają w nieustannej trwodze. Przestraszają ich to liście, padające na ich ręce, to płatki śniegu, to przelot ponad ich głowami stada ptaków. A gdy wreszcie są już pewni, że ktoś do nich idzie po przez suche liście, okazuje się, że to pies, który na jednym z nich kładzie swe łapy.

W trzech krótkich utworach, nazwanych przez autora dramatami dla marynetek, przedmiotem głównym jest wstrząśnienie, jakiego doznajemy na przejście śmierci w najbliższym sąsiedztwie. Wyraża się to tutaj środkami prowadzącymi prosto do ce-

lu, bez żadnej intrygi lub anegdoty, zwłaszcza w „L’Intruse“ i w „Intérieur.“ W pierwszej, obok pokoju chorej kobiety, rodzina jej, złożona z dziadka ślepego, z ojca, stryja i wnuczek, oczekuje przybycia krewnej. Wyglądają jej z niecierpliwością, ale poza tem są spokojni co do chorej, u której doktor znalazł polepszenie. Tylko starzec i jedna z wnuczek mają jakieś niejasne przecucia i obawy nieokreślone. Naraz, słowiki umilkły w ogrodzie i łąbędzie odleciały ze stawu. Pewnie to oczekiwana krewna przybyła i, przechodząc, spłoszyła łąbędzie. Wreszcie słyhać kroki i otwarcie drzwi od sieni, ale nikt nie wszedł, a drzwi nie dają się zamknąć, jak gdyby je ktoś z zewnątrz popychał. W tejże chwili w pokoju chorej daje się słyszeć ruch, głucho stąpanie, wreszcie drzwi otwierają się na rościerz, w progu staje siostra miłosierdzia i pochyła się, czyniąc znak krzyża św., by oznajmić zgromadzonym, że śmierć nawiedziła chorą. I wszyscy, po chwili osłupienia, przechodzą do pokoju zmarłej, prócz ślepego starca, który nie wie, co się stało.

W „Intérieur“ scena przedstawia ogród, w głębi dom, w którym poprzez oświetlone okna widać zgromadzoną wokoło stołu rodzinę. Nie domyślając się nieszczęścia, które ich spotyka, zgromadzeni oczekują powrotu jednej z córek, która poszła zrana odwiedzić babkę, mieszkającą po drugiej stronie rzeki. Nad wieczorem widziano ją, zbierającą kwiaty na nadbrzeżnych łąkach, a wkrótce potem przechodzący starzec spostrzegł jej włosy na powierzchni wody pośród trzciny. Teraz starzec ów wchodzi przez ogród, by przestrzedz rodzinę, nim nadejdą ludzie niosący trupa. Na widok spokojnego zaufania, w jakim dom ten zdaje się być pogrążony, waha się on, powstrzymany obawą tej chwili milczenia, jaka następuje po ostatnich słowach, zwiastujących nieszczęście. Tymczasem spokój tej rodziny jest raczej powierzchowny. W ich zachowaniu daje się odczuć pewna nerwowość, z której może sami nie zdają sobie dokładnie sprawy. Młode panienki zbliżają się coraz do okna, widocznie oczekują powrotu siostry ze zwiększającą się niecierpliwością. Nie przewidują nic niezwykłego, a jednak radeby ją już widzieć na miejscu, bo coś zapewne w nieświadomych zakątkach „duszy głębszej,“ która wie wszystko, musi je ostrzegać, że przeznaczenie, nie dające się powstrzymać, ani odwrócić, zbliża się do nich wraz z żałobnym orszakiem. Starzec, nie mając czasu do stracenia, bo niosący trupa nadejdą lada chwila, decyduje się wreszcie i obchodzi dom, by wejść od drugiej strony. Przez okna widać scenę, która się rozgrywa w pokoju. Starzec wchodzi i oznajmia smutną nowinę. Zebrani słu-



chają słów jego z uwagą, poczem następuje chwila osłupienia i wszyscy naraz zrywają się na równe nogi. Odbywa się to bardzo szybko, ale dostatecznie, by dać widzowi odczuć fazy uczuciowe, przez które przechodzą ci ludzie, nim zrozumieją doniosłość ciosu, jaki na nich spada. Autor, według swego wyrażenia, stawia w ten sposób widza w możności obserwowania, jakoby „ze szczytów innego świata, zachowania się człowieka, którego ma spotkać wielkie nieszczęście.“

„La Mort de Tintagiles,“ przy tym samym charakterze, co powyższe utwory, jest zresztą przystosowaną do sceny bajką z rodzaju tych, jakimi piastunki straszą niegrzeczne dzieci. Stara, jak świat, i potworna, jak wiedźma, królowa, mieszkająca w nieprzystępnej wieży, nie może znieść myśli, że kiedyś zastąpi ją w rządach kto inny. Stąd jej nienawiść do swych następców, których pozbywa się skrytobójstwem. Teraz następcą jest jej wnuk, czy prawnuk, mały Tintagiles, o którego życie obawiając się, jego starsze siostry nie opuszczają go ani na chwilę, tak, iż nawet do snu układają go między siebie i przywiązują własnymi włosami. Ale pewnej nocy przyszły służące królowej, odcięły złociste kędziory dziewic i porwały dziecko. Jedna z sióstr, imieniem Ygraine, nagle zbudzona, pobiegła w stronę wieży, ale zastała zamkniętą bramę z jednolitej płyty żelaza. Za tą bramą słyszy głos dziecka, wołającego o ratunek. Tintagiles posyła jej całusy poprzez bramę i błaga, by go uwolniła. Ale próżno miota się biedna dziewczyna, straszna zapora, która ją dzieli od braciuszka, niewzruszona, zimna i milcząca, jest nie do przebycia, pomimo, iż jest on tak blisko niej, że słyszy jego oddech, coraz krótszy i słabnący. Wreszcie wszystko ustaje, Ygraine nie słyszy już ani jęków dziecka, ani jego tchnienia. Wiedźma je udusiła.

W dramatach „Pelléas et Mélisande,“ „Alladine et Palomides“ i „Aglavaine et Selysette“ poeta dotyka zagadnień moralnych, w myśl swych przytoczonych wyżej poglądów etycznych. Golaud, syn starego króla Arkela, żeni się z napotkaną przypadkiem w lesie zbłąkaną, tajemniczego pochodzenia, bo nikt, nie wyłączając jej samej, nie wie skąd przybyła, dziwnej piękności dziewczyną, Melisandą. Ale Golaud jest już niemłody, duża różnica wieku stawia między nimi przegrodę nie do usunięcia i oddala ich coraz bardziej. Natomiast wszystko składa się i sprzymierza na zbliżenie się Melisandy i brata Golauda, dwudziestoletniego młodzieńca, Pelleasa. Z naturalnej sympatii, jaka łączy się pomiędzy młodymi, wynika miłość, długo zwalczana

i tłumiona, wreszcie mimowolnie ujawniająca się, ale zawsze jeszcze niewinna, nawet w chwili, gdy Golaud, uniesiony gniewem zazdrości, zabija Pelleasa i rani śmiertelnie Melisandę, która wskutek tego umiera.

Tu treść anegdotyczna, sama w sobie banalna i nic nie znacząca, nie zawiera też żadnego rozumowego uzasadnienia tezy. Myśl swą autor podsuwa lub w części wyraża w zdaniach starego króla. A myśl ta polega na tem, że nie można absolutnie sądzić czynów ludzkich, bo nikt nie zna tajnych powodów, które kierują postępowaniem innych, i nikt nie jest w stanie rozeznaczyć i w jakim stopniu mogą oni za te postęпки odpowiadać. Łączność zupełna dusz w miłości nie zależy ani od woli istot ludzkich ani od ich uczuć, które mogą im się zdawać nieomyślne, a mimo to zawieść je na błędną drogę, bo te uczucia nie mają nic wspólnego z prawdziwymi dążeniami duszy głębokiej, którym ulegają bezwiednie.

Melisanda została żoną Golauda. Dlaczego? Bo sprzyjały temu okoliczności zewnętrzne — potrzeba opieki i schroniska ze strony Melisandy, oraz jej nieznamość nie zbudzonego jeszcze własnego serca, — uczucia Golauda, sprzeciwiające się właściwościom jego głębszej istoty wewnętrznej. Stąd niemożność ich wzajemnego zbliżenia. Czy skądinąd zbliżyła Melisandę i Pelleasa prawdziwa, głęboka łączność dusz, naprawdę nie wiemy. Ale los ich był im przeznaczony. Przeznaczenie poprowadziło Melisandę do miejsca, gdzie miała spotkać Golauda. Przeznaczenie również zatrzymało Pelleasa, który miał opuścić kraj na czas dłuższy, przed samem przybyciem Melisandy. I stało się, co się stać miało. Poglądy autora na życie wypowiada też wprost król Arkel. „Jestem bardzo stary — mówi on o małżeństwie Golauda z Melisandą, a jednak dotąd nie mogłem ani przez jedną chwilę widzieć jaśniej w sobie samym, jakże więc mógłbym sądzić czyny drugich?“

Toż samo w odpowiedzi, danej Pelleasowi, gdy ten, wybierając się w podróż, prosi go o pozwolenie i radę: „Jeżeli sądzisz, że to z głębi twego życia podróż ta jest wymagana, to ci jej nie zabraniam, bo musisz wiedzieć lepiej odemnie, jakich wydarzeń powinieneś dostarczyć sobie i swemu przeznaczeniu.“ Wreszcie tragiczna katastrofa, gdy Melisanda umiera, kończy się na sentencji Arkela: „Gdybym był Bogiem, miałbym litość nad sercem ludzkim.“

Miłość, która łączy dusze bez względu na warunki zewnętrzne bytu istot ludzkich i obowiązujące reguły moralne, a nawet wbrew ich powierzchownym uczuciom, nie powoduje się też przy-



tem dusz tych przymiotami, bo „musi być coś więcej niepojętego i potężniejszego zarazem, niż piękność duszy najpiękniejszej lub najpiękniejszej twarzy, kiedy trzeba mu być posłusznym.“ Tak się dzieje w wypadku Palomidesa i Alladyny („Alladine et Palomides“). Palomides jest narzeczonym córki króla Ablamora, Astolainy, istoty wyjątkowej, promieniejącej, jak zorza, „której dusza, widoczna wkoło niej, bierze nas na ręce, jak cierpiące dziecko i, nic nie mówiąc, koi wszystkie troski.“ A jednak Palomides przekłada nad nią grecką niewolnicę Alladynę, która ma duszę biednego, nieświadomego dziecka, a pięknością ciała równać się jej nie może.

Na rozkaz króla Ablamora kochankowie zostają wrzuceni do ciemnej pieczary, która, dzięki złudzeniom ich miłosnych uniesień, wydaje im się miejscem czarodziejskiem, strojnem w kwiaty i drogie kamienie, aż do chwili, gdy promień światła daje im poznać całą nagą okropność ich położenia. I oboje nie mogą przeżyć swego krótkotrwałego, ułudnego szczęścia.

Z pośród tych utworów dramatycznych, poświęconych łączności dusz w miłości, poza obrębem zwyczajnych warunków zewnętrznych, „Aglavaine et Sélysette“ wyróżnia się i odróżnia szczególnie. Rzecz ta jest napisana na innych zasadach estetycznych, niż przeważna część dzieł Maeterlincka. Anegdota i akcja jest tu o wiele więcej zredukowana, prawie nie istnieje, ale niema też tych powtarzań, niedopowiedzeń, zdań urywanych, wykrzykników, którymi autor posługuje się zwykle dla wyrażenia tajemnicy, strachu, przeznaczenia i t. p. Za to idea rozwija się w dłuższych dyalogach, wypowiadających całą myśl bezpośrednio i sięga w ten sposób wyższych szczytów, pomimo drażliwej i nie mającej w sobie nic idealnego sytuacji, przedstawiającej miłość we troje. Méleander, mąż serdecznej, impulsywnej, nieco dziecinnej Selysetty, którą kocha, kocha także idealną, szlachetną, wzniosłą Aglavainę. Ale Selysetta, dusza, nie zwolniona jeszcze od ziemskich przesądów uczuciowych i nie umiejąca dostroić się do obyczajów, panujących w wyższych sferach ducha, jest zazdrosną. To nie przeszkadza jej jednak kochać i podziwiać Aglavainę. Ale jest nieszczęśliwą, żyć dalej w tych warunkach nie może i wie, że jedna z nich musi ustąpić. Więc się poświęca i sama ustępuje, rzucając się ze szczytu starej wieży w takich warunkach, by myślano, że spadła przypadkiem.

A oto jak określa Aglavainę Méleander: „Nie jest podobną do innych kobiet... Jest to inna piękność... piękność dziwniejsza, więcej duchowa, więcej zmienna, liczniejsza, że tak powiem; pięk-

ność, która ujawnia duszę, nigdy jej nie przerywając. Jest ona jedną z tych istot, które potrafią połączyć dusze z ich źródłem; w jej obecności nie czuje się już nic, co by nas odgradzało od prawdy.“ Aglavaine pisze do Meleandra, oznajmiając o swym przyjeździe: „... Widziałam Cię raz tylko lat temu trzy, a jednak, idąc do Ciebie, odczuwam mniej niepokoju, jak gdybyśmy dziećmi spali w jednej kołysce... .. Teraz nie będziemy mieli innej troski, prócz troski o szczęście. A dla Ciebie, dla mnie, dla Selysetty także, sądząc z tego, coś mi o niej mówił, szczęście znajduje się w tem tylko, co mamy najlepszego w duszy. Nie będziemy mieli innych trosk, jak tylko troskę o pozyskanie możliwie największej sumy piękności, abyśmy mogli wszyscy troje więcej się kochać. Kochając się, staniemy się dobrzy. I włożymy tyle piękna w siebie i wkoło nas, że nie będzie już miejsca dla nieszczęścia i smutku. A jeżeli, mimo wszystko, zechcą nas nawiedzić muszą stać się pięknymi, nim do drzwi naszych ośmiela się zapukać...“ Aglavaine i Meleander są szlachetni. W miłości, która łączyła ich zawsze, gdy się jeszcze nie znali, poszukują oni tylko urzeczywistnienia piękna, równie zewnętrznego, jak przedewszystkiem piękna duszy. Są to istoty wyższe, tylko tak świadome swej doskonałości, że to odbiera im jedną z pierwszych ozdób duszy, bez której przy najświetniejszych przymiotach jej piękno nie ma wdzięku, mianowicie skromność. Wiedzą oni wszystko, ale jednego zdają się nie wiedzieć, a przynajmniej do czasu się tego nie domyślają, że w stosunkach ludzkich miłość we troje nie może godzić się ze szczerością, dobrocią i szlachetnością, czyli wogóle z tem pięknem duszy, które, według nich, jest istotnym celem i szczytem miłości; że musi ona być fałszem, hypokryzyą lub cynizmem, a nadto okrucieństwem, bo jedno z trojga musi być poświęcone, musi cierpieć. I tak też jest w ich wypadku. Miłość ich się nie ukrywa, bo w ich przekonaniu jest nietylko uprawniałą, lecz szczytną. Ale Selysette, natura prosta, naiwna, nieświadoma własnych przymiotów i przekonana o swej niższości, cierpi. W istocie rozumie ona lepiej instyktownie to, o czem tamci, przy swej doskonałości, zapomnieli, ale cierpienie swe przypisuje tylko sobie samej i dlatego postanawia ustąpić z drogi szczęścia, jako mniej godna. Meleander i Aglavaine widzą, że Selysette cierpi, ale przypisują to również jej nierozumieniu i w swym egoizmie znajdują na to łatwą radę: Selysette ma duszę piękną, tylko ukrytą—trzeba ją zbudzić, udoskonalić, podnieść do swego poziomu, wtedy i ona będzie mogła podzielać ich szczęście. I nie wątpią, że będą w stanie tego doko-



nać. Gdy nareszcie przekonują się, że są w błędzie, jest już za późno. Nieszczęście, które sami niebacznie sprowadzili, weszło do ich domu i nic go już nie powstrzyma w dokonaniu swego dzieła.

Zobaczmyż, jak wyraża się miłość Meleandra i Aglavainy:

*Meleander* — Niema tygodnia od czasu, jak żyjemy razem pod tym dachem, a już nie mogę sobie wyobrazić, że nie zrodziliśmy się w jednej kolebce. Wydaje mi się, że nigdy nie byliśmy rozłączeni i że cię znał dawniej, niż siebie samego. Widzę cię wcześniejszą od wszystkiego, czem sam jestem, czuję twą duszę lepiej, niż duszę własną, jesteś mi bliższą, niż wszystko, co stanowi moją istotę, i gdyby mi powiedziano „trzeba, byś ratował swe życie,” to twoje życie musiałbym ratować, bym mógł żyć... Nie widziałbym siebie, gdybyś tu nie była, i nie odnajduję już siebie, nie uśmiecham się sobie i nie mogę kochać siebie samego, jak tylko w tobie. Wydaje mi się nieraz, że dusza moja, że moja istota wraz ze wszystkim, co posiadają, zmieniły zamieszkanie i że to część mnie samego, która nie jest z tego świata, całuję wtedy z płaczem, gdy cię tak całuję...

*Aglavaine* — Ja mówię to samo, Meleandrze. Gdy całuję ciebie, zdaje mi się, że siebie samą całuję, kiedy będę piękniejszą... Jestem piękną tylko, gdy jesteś przy mnie, i słyszę mą duszę tylko obok twojej. Szukam siebie poza sobą i odnajduję się w tobie; szukam ciebie poza mną i odnajduję cię we mnie... Nie rozróżniam już naszych rąk, naszych dusz, ani naszych warg i nie wiem już napewno, czy to ty jesteś mą jasnością, czy też ja staję się twem światłem?... Wszystko mięsza się tak w naszych istotach, że niepodobna powiedzieć, gdzie jedno z nas się zaczyna i gdzie kończy się drugie... Najdrobniejsze twe poruszenie objawia mię mnie samej. Każdy twój uśmiech, każde twe milczenie, każde twoje słowo przywiązuje mię do nowego piękna... Czuję, że kwitnę w tobie, jak ty kwitniesz we mnie, i rodzimy się nieustannie jedno dla drugiego...

*Meleander* — Gdzieżeś była przez te wszystkie lata, kiedy żyliśmy, nie domyślając się wzajemnie, że oboje żyjemy?

*Aglavaine* — Myślałam też o tem Meleandrze, bo dusze nasze mówią do siebie, nim jeszcze otworzymy usta.

*Meleander* — A jednak, gdy do mnie mówisz, to głos mej duszy słyszę poraz pierwszy.

*Aglavaine* — I ja też, Meleandrze, moją duszę słyszę, gdy mówisz do mnie, a kiedy milczę, twojej słucham duszy... Nie mogę już znaleźć mojej bez twojej napotkania, nie mogę twojej szukać, bym jednocześnie nie znalazła mojej.

*Meleander* — Mamy w sobie ten sam świat, Aglavaino... Bóg pomylił się chyba, czyniąc dwie dusze z naszej duszy... Nie sądzę, by trafiło się komu, co nas spotkało, i by były inne życia, podobne do naszego.

*Aglavaine* — O! ja myślę czasem, że to niemożliwe!

*Meleander* — I ja również, Aglavaino, i obawiam się.

*Aglavaine* — I czegoż się boisz?... Odnależliśmy się, więc czego jeszcze można się obawiać?

*Meleander* — Właśnie to, kiedy się jest szczęśliwym, lękać się należy... Niema nic groźniejszego nad szczęście i każdy pocałunek może zbudzić wroga. Ale jest jeszcze co innego... Czy pomyślałaś o Selysetce?

*Aglavaine* — Tak.

*Meleander* — I to cię nie trwoży?

*Aglavaine* — Nie, Meleandrze, to mię już nie trwoży. Czyż nie mogę cię kochać, jak brata?

*Meleander* — Ale jeżeli ona będzie płakała?

*Aglavaine* — Nie będzie długo płakała, jeżeli wzniesie się z nami do tej miłości, która drobnostek miłości nie zna? Ona jest piękniejszą, niżeli sądzisz Meleandrze, podamy jej rękę i dosięgnie nas. A gdy znajdzie się przy nas, nie będzie już płakała i błogostawić nas będzie za łzy wylane, bo są łzy więcej dobroczynne, niż pocałunki.

*Meleander* — Czy myślisz, że ja będę mógł cię kochać, jak siostrę, Aglavaino?

*Aglavaine* — Ach...

*Meleander* — Czy sądzisz, że ty będziesz mogła mię kochać, jak brata, Aglavaino?

*Aglavaine* — Kiedy mię o to pytasz, to już nie wiem, Meleandrze.

*Meleander* — Nie mogę w to uwierzyć. Będziemy walczyli dzień i noc, będziemy długo walczyli... I im dłużej trwać będzie ta walka, tem większe wzniesie się między nami pożądanie, które, jak coraz gęstsza zasłona, rozdzieli nasze dusze. I, co najlepsze, umrze w nas samych, z powodu tego pożądania. Wydaje się, że w gruncie tego wszystkiego jest tylko drobnostka, ale ta drobnostka ma, być może, moc odsunięcia raz na zawsze dwóch dusz od ich doskonałego piękna. Czyż wszystko, gwiazdy i kwiaty, ranki i wieczory, myśli i łzy nie przemieniają się, stosownie do danego sobie wzajemnie pocałunku? Czy noc ma tę samą głębię w oczach siostry, co w oczach kochanki? Nie zamykajmy drzwi najpiękniejszym prawdom, Aglavaino. Całe światło naszych dusz



rozbije się o takie małe kłamstwo. Nie jesteś moją siostrą, Aglavaino, i nie będę mógł kochać cię, jak siostrę.

*Aglavaine* — Prawda, że nie jesteś moim bratem, Meleandrze, ale dlatego też zapewne musimy cierpieć.

*Meleander* — A więc i ty lubisz niepotrzebne cierpienia?

*Aglavaine* — Nie, Meleandrze, lubię tylko te cierpienia, które mogę odjąć drugim.

*Meleander* — Ale jakie cierpienia możemy tu odjąć drugim, bez zabicia najlepszej części nas samych?

*Aglavaine* — Tego nie wiemy jeszcze, Meleandrze, ale musimy tak postępować, jak gdybyśmy wiedzieli, a jeżeli mamy się pomylić, to lepiej pomylić się na swoją szkodę.

*Meleander* — Wiem o tem, Aglavaino, ale co robić?

*Aglavaine* — Przeznaczenie zbliżyło nas, Meleandrze, poznałiśmy się, jak dwie dusze może nigdy jeszcze się nie poznały. Kochamy się; i nic na świecie nie może już sprawić, bym cię nie kochała, abyś ty mię nie kochał.

*Meleander* — Wierzę w to tak samo, jak ty, Aglavaino. Nie widzę nic na świecie...

*Aglavaine* — A jednak, gdybym była przyczyną łez istoty niewinnej, czy poznałbyś mię?

*Meleander* — Może płakać tylko wskutek pomyłki.

*Aglavaine* — Łzy, które się mylą, są też bolesne...

*Meleander* — A więc nie pozostawałoby nam, jak tylko uciekać od siebie, Aglavaino, ale to jest niemożliwe! Tak piękna rzecz nie zrodziła się, by umrzeć, i musimy mieć względem siebie obowiązki.

*Aglavaine* — I ja tak myślę, Meleandrze, i sądzę, że mamy coś lepszego do zrobienia, niż uciekać od siebie. Nie mogę sobie wyobrazić, by się to miało skończyć we łzach...

*Meleander* — Nie wiadomo, co jest przeznaczone, ale pewnem jest, że łzy nie dały nigdy długo na siebie czekać.

*Aglavaine* — Tymczasem trzeba, by ktoś cierpiał, trzeba, by cierpienie przypadło nam. Są tysiące obowiązków, Meleandrze, ale sądzę, że rzadko kiedy można się pomylić, jeśli się stara odjąć cierpienia słabszym, by przenieść je na siebie.

*Meleander* — Jesteś piękna, Aglavaino!

*Aglavaine* — Kocham cię, Meleandrze (obejmują się).

*Meleander* — Czy to ty płaczesz, Aglavaino?

*Aglavaine* — Nie, to my, Meleandrze.

*Meleander* — Czy to my też drżymy?

*Aglavaine* — Tak... (całują się).

Sceny tej wysłuchiwała Selysette, ukryta w zaroślach parku, i wtedy to powzięła ostateczne postanowienie nie zagrażać im swoją osobą szczęściu, dla niej już w każdym razie na zawsze utraconego. Tutaj zaznacza się różnica, jaka zachodzi pomiędzy teoretyczną szlachetnością, wzniosłej Aglavainy, a szlachetnością naturalną i nieświadomą siebie prostodusznej Selysetty; szlachetnością, której zresztą nie widzimy w samym fakcie jej ustąpienia i samobójstwa, lecz w tej subtelnie delikatnej trosce o ukrycie swego poświęcenia przed tymi, dla których go dopełnia, by wspomnieniem swej krzywdy nie zatruć ich przyszłego szczęścia. Ale zmylił ją co do tego instykt jej serca, bo poświęcenie, przechodzące miarę, staje się ciężarem nie do zniesienia dla tych właśnie, którzy zeń mieli korzystać, choćby nawet cała jego doniosłość nie była im znana, i niepodobna przypuścić, by odtąd szczęściu Meleandra i Aglavainy, nareszcie zwolnionemu od wszelkich przeszkód, nie stanęło raz na zawsze w poprzek bolesne widmo jej niewinnej śmierci.

Z tem wszystkiem „Aglavaine et Sélysette,“ jeżeli zewnątrznie wyodrębnia się w twórczości autora, to swą treścią wewnętrzną należy do tego samego rodzaju koncepcyi, jaki cechuje ogół dzieł jego. Łączność dusz, przeznaczonych sobie, ich nieświadome porozumiewanie się w milczeniu i na odległość, koncepcya miłości integralnej, piękno obok prawdy, jako najwyższy pierwiastek moralny, zawierający w sobie pojęcie dobroci, poświęcenia i t. p. — oto przedmiot tego utworu.

Ale wśród dzieł Maeterlincka jest jedno, które swym charakterem wychodzi zupełnie poza obręb wszystkich jego teoryi mistycznych. Dziełem tem jest „Monna Vanna,“ dramat, którego bohaterowie nie są już emanacyami medyków, pogrążonych w transie medyumicznym, lecz ludźmi z ich naturalnymi właściwościami charakteru i namiętnościami, będącemi prawdziwym bodźcem ich czynów. Podlegają oni prawom psychologii zwyczajnej w znaczeniu klasycznym, której autor w swoim czasie zaprzeczył wszelkiej doniosłości. Bo też „Monna Vanna“ jest wynikiem, zresztą wyjątkowym w jego twórczości, ewolucyi w ideach i zwrotu do poglądów realniejszych na życie, zaznaczonych w części w przedmowie do nowego wydania swego Teatru w „La Sagesse et la Destinée,“ w „Le Temple enseveli“ i w „La Vie des Abeilles,“ gdy mówi o swym mistycyzmie (wyrażonym zwłaszcza w „Le Trésor des Humbles“), od którego zresztą te rozprawy bynajmniej wolne nie są, że „nie jest bezrozumem, ale też niezbyt zdrowem zapatrywać się w ten sposób na życie.“ „Nie trzeba nadużywać



tajemnicy, wzywać jej i zanymać się w milczeniu, które jej towarzyszy, z wyjątkiem chwil, gdy jej obecność daje się istotnie odczuć, jest uderzającą i niewątpliwą, a to się trafia nader rzadko.“ Mało jest między nami takich, nawet wśród największych zwolenników mistycyzmu, którzyby nie byli przekonani, że nieszczęścia moralne, które nas spotykają, zależą w gruncie od naszego umysłu i od naszego charakteru; zaś nieszczęścia fizyczne— od działania pewnych sił, przeważnie mało znanych, które nie są zupełnie obce temu, co możemy mieć nadzieję poznać kiedyś w naturze...“ Prawdą jest, że życie nasze jest niczem, że wysiłki, na które się zdobywamy, są śmieszne, że istnienie naszej planety jest tylko drobnym wypadkiem w historii światów, ale prawdą jest również, że życie nasze i nasza planeta, to zjawiska w historii światów dla nas najważniejsze.“

Zdania te, wraz z przytoczonymi już poprzednio, dowodzą, że jeżeli autor nie wyrzekł się zupełnie swego mistycyzmu, to przynajmniej znalazł sposób pogodzenia go o tyle, o ile z rzeczywistością życia naszego na tej ziemi, które, cokolwiek o niem naszym ograniczonym umysłem sądzić możemy, jest faktem dla nas niewątpliwym.

Dramat „Monna Vanna“ nie ma też żadnego podobieństwa z jego mistyczno-fantastycznym Teatrem dla marynetek, gdzie „Przeznaczenie,“ „Strach,“ „Dusza głęboka“ i wogóle tajemnica, otaczająca zewsząd i przenikająca wszędzie byt człowieka, występuje bezpośrednio, jako przedmiot główny. Rozgrywa się on na gruncie i w warunkach, nie przekraczających granic naszych pojęć i sądów zwyczajnych, tylko nieprawdopodobieństwo w podstawie intrygi świadczy, że autor nie zwykł krępować się zbytęcznie względami na możliwość lub niemożliwość przy tworzeniu sytuacji dramatycznych. Wojska florenckie, pod dowództwem kondotiera Prinzivallo oblegają Pizę. Miasto jest już zupełnie wyczerpane—nie posiada ani żywności, ani amunicji i w szturmie, do którego gotuje się nieprzyjaciel, uledek musi i stać się pastwą zniechwilonej Florencji. W chwili, gdy pozostaje już tylko oczekiwać z rezygnacją ostatecznej katastrofy, jeden z najznakomitszych patrycyuszów miasta, Marco, otrzymuje niespodziewaną i szczególną wiadomość—oto Prinzivallo ofiaruje się nie tylko zaniechać szturmu, ale nawet dostarczyć Pizie środków zwyciężenia Florencji, pod jednym tylko warunkiem, mianowicie, że słynna z piękności synowa Marca, żona Guida, przyjdzie sama i naga do obozu Prinzivallo i spędzi z nim noc jedną, poczem zostanie natychmiast zwróconą mężowi. Warunek jest niezmiernie upoka-

rzający dla godności miasta i wymaga niezwyklego poświęcenia ze strony męża i rodziny zakładnicy. Ale wobec położenia zupełnie rozpaczliwego, w jakim znajduje się Piza, i świetnych widoków, jakie w ten sposób dadzą się uzyskać, sam Marco radzi go przyjąć. Tak też zostaje postanowionem i Monna, drżąca z obawy, idzie oddać się okrutnemu zwycięzcy. Ale ten przyjmuje ją ze wszystkimi należnymi jej stanowisku względami. I w ciągu tej nocy przypomina jej dawne czasy, gdy dzieckiem jeszcze ją kochał. Teraz wezwał ją tylko, by jej wyznać swą miłość i gotów jest dla niej przejść na stronę Pizy, pomimo niebezpieczeństwa, jakie mu grozi od zemsty Guida.

Tymczasem zapasy żywności i amunicji, wysłane przez Prinziwalla, przybywają do miasta. Radość, z jaką mieszkańcy przyjmują swe wyzwolenie, daje się słyszeć w obozie. Światła zajaśniały na szczytach wież, życie zbudziło się naraz, jak pod działaniem różdżki czarodziejskiej, w mieście, które przed chwilą gotowało się na śmierć. Monna Vanna czuje się dumną i szczęśliwą, że jej to wszystko zawdzięczają rodacy i wdzięczna też jest temu, który jej dał tak piękny dowód miłości. O świcie Monna powraca do miasta w towarzystwie Prinziwalla. Naród wita ją z zapałem, jak zbawczynię. Ale pomimo świadectwa Monny, że Prinziwallo cześć jej oszczędził, zostaje on, na żądanie Guida, wtrąconym do więzienia. Monna uzyskuje tylko, ze względu na swe zasługi, że więzień zostanie powierzony jej pieczy, co pozwoli jej ustrzedz go od możliwego zabójstwa.

Przy całym nieprawdopodobieństwie tej historii, mamy tu już tylko, w warunkach zapewne niecodziennych, naturalny w stosunkach ludzkich konflikt obowiązku prywatnego z obowiązkiem publicznym, w wypadku Marca i Guida, oraz grę właściwych ludzkiej naturze uczuć i namiętności. Widzimy więc plebs, który nie czuje swego poniżenia z chwilą, gdy jest pewnym zaspokojenia swych potrzeb materialnych; egoizm Guida, trawionego pragnieniem zemsty; stopniowa przemiana uczuć Monny dla Prinziwalla, radość i duma z odniesionego nad zwycięzcą tryumfu i wyzwolenia swego miasta od zguby. Co zaś do postąpienia Prinziwalla, to jego nieprawdopodobna nielogiczność tłumaczy się jedynie fantazją autora. Dlaczego Prinziwallo, będąc zwycięzcą, oddał się na łaskę i niełaskę zwyciężonych i obrażonych, o których zemście nie mógł wątpić, kiedy o względy Monny Vanny mógł się być starać po zdobyciu miasta i ofiarować temuż te same korzyści, nie czyniąc z siebie całkiem niepotrzebnej ofiary? Zapewne miał



to być z jego strony dowód szczerości uczuć i sposób zdobycia sobie wzajemności Monny, ale poco, kiedy w tych warunkach jej wzajemność musiała być bezcelową?

Prawdziwą myśl przewodnią tego dramatu znajdujemy w tych słowach Marca, zwróconych do Guida: „Teraz, gdy miasto jest ocalone, żałujemy prawie tego ocalenia, które tak drogo ciebie kosztowało. I schylamy głowę przed tym, który sam jeden poniół niesłusznie cały tego ciężar. A jednakże, gdyby wczoraj mogło powrócić, musiałbym jeszcze postąpić, jakem postąpił, wyznaczyć te same ofiary i przyczynić się do tej samej niesprawiedliwości. Bo człowiek, któryby chciał być sprawiedliwym, strawiłby życie na smutnym wyborze pomiędzy dwiema lub trzema nierównymi niesprawiedliwościami.“

Po napisaniu „Monny Vanny“ Maeterlinck powraca znowu do swego świata tajemnicy.

Pominąwszy kilka utworów czystej fantazyi, przeznaczonych dla opery i zresztą dawniejszych, niż „Monna Vanna,“ jak „Les Sept Princesses,“ „Ariane et Barbe-Bleue“ i t. p., ostatniem jego dziełem scenicznem jest „L'Oiseau bleu,“ feerya, którą w tym roku podziwiano w teatrze Rôjane w Paryżu. „L'Oiseau bleu“ jest rodzajem uscenizowanej bajki czarodziejskiej, ale nie pozbawionej znaczenia filozoficznego i pełnej aluzyi do idei mistycznych autora, z tą różnicą, względnie do utworów dawniejszych, że prowadzi wprost, wprawdzie tylko we śnie dwojga dzieci, do krain zaświatowych.

Pozwala on tym razem swej fantazyi nadać formy widzialne tajemnicy, która otacza krótką chwilę naszego ziemskiego bytu. Niebieski ptak, to symbol szczęścia, które stać się może naszym udziałem o tyle tylko, o ile posiadziemy znajomość świata i samych siebie, dzięki czemu będziemy mogli poznać piękno wszechrzeczy. Posiadać niebieskiego ptaka, znaczy to być panem natury i swego przeznaczenia, ale ani go znaleźć, ani schwytać go nie łatwo. Dzięki magicznemu dyamentowi, który im dała wieszczka, i pod kierunkiem Światła, które z jej rozkazu je prowadzi, dzieci drwala Tyla odbywają w tym celu podróż do sfer pozaziemskich.

Idą więc naprzód do krainy Wspomnień, gdzie przebywają dusze zmarłych, pogrążone we śnie, z którego budzą się każdym razem, gdy kto o nich pomyśli na ziemi. Tu odwiedzają swych dziadków, zamieszkujących taką samą chatę, jak ta, którą mieli za życia. U nich to spostrzegają w klatce niebieskiego ptaka.

Niestety nie jest to prawdziwy ptak niebieski, bo gdy go dotknąć, zmienia barwę i staje się szarym. W strasznym pałacu Nocy, gdzie światło niema wstępu, i dokąd dzieci Tyla udać się musiały bez tego cudnego przewodnika, udało im się go schwytać. Ale i ten okazał się nieprawdziwym, bo za dotknięciem natychmiast żyć przestał. Po zwiedzeniu królestwa Przyszłości, zamieszkane go przez dzieci, które dopiero mają się narodzić, oraz ogrodów szczęścia, dzieci Tyla powracają na ziemię i wtedy dopiero widzą, że ptak niebieski, którego szukały tak daleko, jest tu, w klatce z łożyny, zawieszanej w ojcowskiej chałupce. Bo naprawdę niebieski ptak znajduje się zawsze w naszym najbliższym otoczeniu lub właściwie w nas samych. Trzeba tylko umieć go dostrzedz i wyobrazić jego barwę i oto czego dowiedziały się dzieci Tyla w swej pozaziemskiej wycieczce.

Poza swą twórczością dramatyczną i rozprawami na tematy mistyczno-filozoficzne,<sup>1)</sup> Maeterlinck jest autorem poezyi, od których rozpoczął swą karierę literacką. Poezye te p. t. „Serres chaudes“ stanowią, wraz z dołączonemi później *Quinze Chansons*, tom oddzielny.

„Serres chaudes,“ to zbiór wierszów dziwacznych, złożonych bez żadnej reguły i bez logicznego związku ze sobą, które swą osobliwą niezrozumiałością, a nawet wprost brakiem wszelkiego sensu, wywołały w swoim czasie, t. j. w okresie tak zwanego dekadentyzmu, ogólne zgorszenie, podobnie jak głośny wówczas utwór J. K. Huysmansa „*A Rebours*.“

Co znaczy ta cieplarnia, te głodne księżniczki, marynarze na pustyni, strzelec łosiów, który został dozorcą chorych i t. d.? Zapewne trudno by się tego domyślić. Odtąd, poznawszy idee autora, który zresztą odrzekł się tych pierwszych prób, jako twórców wyobraźni chorobliwej, wiemy, że to wszystko ma wyrażać śmiertelną nudę i bezgraniczne zniechęcenie duszy, zamkniętej, jak w cieplarni, w sztucznej atmosferze współczesnych warunków bytu moralnego, wynikłych z ducha negacyi i materjalizmu.

Chaotyczność wywołanych tu obrazów przedstawiać ma nieład w objawach i stosunkach życiowych, jak się one zwłaszcza ukazują tej duszy chorej poprzez szyby cieplarniane. Więc białe pawie nudy odleciały do stawu bez słońca, więc żółte psy grzechów i hyeny nienawiści krążą wokoło leżących lwów miłości,

<sup>1)</sup> W tej liczbie tłumaczenia: „*L'Ornement des nocces spirituelles de Ruysbroeck l'admirable*“ i „*Les Disciples à Saïts et les fragments de Novalis*.“



przed którymi pomykają owce pokus. I z pośród palm leniwych i nenufarów i ciężkich, odurzających woni dusza, zmęczona i bezsilna, spragniona świeżego tchnienia prawdy, choćby ta była przykrą, woła daremnie o zmiłowanie:

Boże, mój Boże! Kiedyż będziemy mieli deszcz  
I śnieg i wiatr w cieplarni...!

Od tych majaczeń cieplarnianych Maeterlincka do jego obserwacji nad życiem pszczół i wynikłych stąd realniejszych poglądów na życie odległość jest duża.

ORWID.

# *Podstawy etyki Schopenhauera.*

## III.

Brak jednolitej definicji charakteru i sprowadzenie do wspólnego mianownika tak różnych rzeczy, jak intelligibilność i empirya, wywołało wiele zasadniczych sprzeczności, zaciemniających prawdziwy sens zagadnienia.

Podług Schopenhauera w charakterze ludzkim należy odróżnić aż trzy stopnie objektywacyi Woli:

- 1) charakter intelligibilny, albo idea charakteru danej jednostki, posiadająca indywidualne cechy w czystej formie;
- 2) charakter empiryczny istotny;
- 3) charakter empiryczny nie objawiający się dzięki zewnętrznym okolicznościom w swej właściwej postaci, dedukowany z czynów jednostki.

Gdyby Schopenhauer w konsekwencji do swej metafizyki, uznającej wolę za uniwersalną istotę wszechrzeczy, ogłosił charakter poprostu za jej zjawisko, to wszystkie czyny ludzkie mogłyby być tylko dobre lub tylko złe, albo wreszcie zupełnie indyferentne, i etyka we wszystkich trzech ewentualnościach stałaby się niemożliwą i zbyteczną. Pogląd ten, a raczej przesłanki do jego wysnucia, rzeczywiście znajdujemy w IV księdze „Welt als Wille und Vorstellung,“ w § 63, traktującym o wiecznej sprawiedliwości. <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> 1, str. 452.



Płytkie umysły, niezdolne do przeniknięcia zaślony principium individuationis, przy postrzeganiu świata nie widzą jego istoty, lecz luźne, różnorodne, a nawet sprzeczne z sobą zjawiska. Dla nich rozkosz i cierpienie, zło i dobro, morderca i ofiara mordu są rzeczami zupełnie sprzecznymi. Umysły takie sądzą, iż w życiu rzeczywiście źli ludzie tryumfują i cieszą się powodzeniem, dobrzy zaś pędzą swój żywot wśród cierpień aż do śmierci.

Zupełnie inaczej jednak przedstawia się świat tym, którzy przy pomocy intuicyjnego poznania umieją dotrzeć do wewnętrznej, ukrytej istoty rzeczy; dla nich jest jasnym, że dręczyciel i dręczony to jedno, że wszelkie nierówności i przeciwieństwa istnieją tylko w zjawiskach, nie dotykając Rzeczy w sobie.

Dla ratowania etyki od śmierci, jaką jej gotują powyższe poglądy, nasz filozof wypowiada przekonanie, że obok potężnego, powszechnego egoizmu musi istnieć pewna ilość *istotnie* moralnych charakterów; są one konieczne, bo stanowią *conditio sine qua non* istnienia moralności i naukowej etyki. Kto tej konieczności nie uznaje, Schopenhauer nie zamierza go przekonywać i zwraca się jedynie do tych, którzy podzielają jego przekonanie.<sup>1)</sup> Uznając obok egoistycznych, niemoralnych, *istotnie moralne* charaktery, należało także uznać różnice *istotne*, t. j. tkwiące głębiej, niż w zjawiskach, co Schopenhauer rzeczywiście czyni w „Paragrach“ i rażąco sprzeczność z kardynalnymi podstawami swego systemu, przez to powstałą, usiłuje zatuszować naiwnem przyznaniem się do niemocy<sup>2)</sup>, co również przeczy jego poglądom na filozofię wogóle i na swoją w szczególności.<sup>3)</sup>

Abstrahując od tych ciągłych, wzajemnie się znoszących sprzeczności, widzimy, iż świat pozaempiryczny został zupełnie wyraźnie podzielony na dwie odrębne połowy: w pierwszej króluje jedna, niezmienna Wola, w drugiej — intelligibilny charakter zjawisk, czyli idee, przez które Wola drogą wolnego aktu koniecznie przejść musi, przyjmując na siebie czystą, zindywidualizowaną postać i dopiero w formie zjawiska wystąpić w świecie empirycznym. Wielość idei jest istotną, — jak jednak to przejście z absolutnej jedności w różnorodność jest możliwe, i w jaki sposób mogą w intelligibilnym świecie odbywać się akty woli lub

<sup>1)</sup> III, str. 585.    <sup>2)</sup> V, str. 233—234.

<sup>3)</sup> Wykazanie zasadniczych sprzeczności całego systemu wogóle p. t. „Rozbiór krytyczny podstaw zasadniczych filozofii Sch.“ przez S. Smolikowskiego. Warszawa, 1881.

wyboru, chociażby wolne i bez dostatecznej racji, nie jesteśny w stanie zrozumieć, bo autor tej koncepcji nic nie mówi, nic nie mówi także sama nazwa tego procesu, a Wola, jedyne miarodajne źródło, najwyraźniej neguje świat idei, będący wielością poza zjawiskiem. Świat ten jednak był dla Schopenhauera konieczny i najbardziej potrzebny jego etyce, która, nie przypisując realnego bytu istniejącym w świecie różnicom, tem samem podpisałaby wyrok śmierci na siebie. Nie architektoniczno-logiczne, <sup>1)</sup> lecz etyczne względy skłoniły go do przyjęcia świata idei, tak sprzecznego z fundamentalnemi założeniami całego systemu. Gdyby chodziło o „zbliżenie woli do zjawiska,“ idee mogłyby wcale nie istnieć, bo zbliżenie to jest zbyteczne i bez niego nie ucierpiałyby ani Wola, ani świat empiryczny.

Drugi stopień objektywacji Woli: charakter empiryczny, jako niezmiennie zjawisko niezmiennej istoty, nie mógł być ostatnim, ponieważ zachodzące w nim zmiany były zbyt widoczne, aby je można było negować, nie tracąc związku z realnem życiem. Uznając niezmiennosc charakteru, należało wprowadzić jeszcze jedno pojęcie charakteru empirycznego, objawiającego się w czynach, nie zawsze odpowiadającego indywidualnym popełdom woli.

W ten sposób zamiast prostego i przejrzystego przedstawienia rzeczy, do jakiego nauka zawsze dążyć powinna, mamy wymuszoną, nienaturalną kombinację pojęć, która, chcąc zachować z pozostałą częścią systemu choćby powierzchowny związek, musi stać się sprzeczną i dziwną.

Rozważając charakter ludzki, należy bezwarunkowo zerwać z metafizyczno-spekulacyjną metodą i przenieść go na konkretny teren empirji. Czy mamy go uważać za wrodzony i z niego wyprowadzać czyny, czy też odwrotnie: z czynów dedukować charakter i uważać go za pojęcie bez realnego substratu <sup>2)</sup>—dla etyki jest to zagadnienie dość obojętne, natomiast niezmiernie ważną rzeczą, decydującą o jej istnieniu, jest kwestya niezmiennosci charakteru.

Charakterem ludzkim — w najogólniejszem sformułowaniu — nazywamy sposób reagowania świadomości na bodźce otoczenia i świata wewnętrznego. Jest on pierwotnie wrodzony, później-

<sup>1)</sup> Jak chce Volkelt w swej monografii o Schopenhauerze. Rozdział „Die Objektivierung des Willens,“ Str. 177—191.

<sup>2)</sup> Georg Simmel: „Einleitung in die Moralwissenschaft“ t. I, str. 268, 282.



sze jednak ukształtowanie zależy od środowiska, w jakim się rozwija. Wykonywanie lub wyobrażanie czynności sprzecznych z wrodzonymi popędami pozostawia po sobie tendencję do ich dalszego wykonywania, która z biegiem czasu zamienia się w stałą dyspozycję woli. Uznaje to psychologia, uznaje w całej rozciągłości i pedagogia współczesna, która w przeciwstawieniu do średniowiecza nie odstrasza od grzechów, lecz mówi i zachęca do cnoty, bo potępienie złego, o ile wyłącznie absorbuje świadomość wychowanków, przynosi ujemne skutki. „Usiłowanie zmierzające do ukształtowania charakteru przez innych lub drogą moralnego samodoskonalenia nie pozostaje nigdy bezowocnem. Z drugiej zaś strony najlepsze wrodzone skłonności nie dają rąkomi moralnego rozwoju, jeżeli ich nie wspomóże wychowanie.“<sup>1)</sup> Wychowanie zewnętrzne, pobudzające do czynów, nie jest bynajmniej obojętnem dla etyki—jak twierdził Schopenhauer—bo stwarza obiektywne, użyteczne dla innych dobra, a także jest nieodzownym warunkiem świadomego samo-wychowania, które posiada doniosłe moralne znaczenie.<sup>2)</sup> Nie można go odrzucać dlatego, że ubliża godności ludzkiej, jako naśladowanie cudzych własności. Bezwzględne, ślepe naśladownictwo nie zasługuje na pochwałę, to prawda, ale ten więcej naganne jest uparte trwanie przy błędach i wadach, dlatego tylko, że są własne i z wolnej woli jeszcze przed narodzeniem wybrane. Schopenhauer między jednym a drugim nie widział różnicy i, sformułowawszy rzecz ze zwykłą sobie jednostronną krańcowością, zupełnie spaczył swój pogląd, który, przy głębszem rozważeniu, mógłby się stać zdrową i pożyteczną myślą.

Naśladowanie jest pierwotnym, głęboko tkwiącym instynktem, którego wykorzenienie byłoby niezmiernie trudne i szkodliwe, ponieważ w obu swych formach: jako ślepy instynkt i jako świadome, przemyślane naśladowanie cudzych czynności, oddaje człowiekowi wielkie usługi; ta ostatnia forma nie jest właściwie naśladowaniem, bo w niej postrzeżone zjawisko jest tylko bodźcem do samodzielnego procesu myślowego, który w swej konkluzji orzeka, że dany fakt ma być wykonany również i przez postrzegające indywiduum. Jeżeli przyjmujemy, że wykonywanie

<sup>1)</sup> D-r H. Schiller: „Handbuch der praktischen Pädagogik.“ 3 wydanie str. 125. Także G. Noth: „Die Willensfreiheit. Ztschr. für Philosophie u. phil. Kritik.“ Tom 128, r. 1906.

<sup>2)</sup> Wundt: „Ethik,“ 3 wyd., 2 tom. str. 86.

czynów niezgodnych z pierwotnym charakterem osobnika, wywołuje dążenie do ich powtarzania, któremu już nie towarzyszy uczucie zewnętrznego przymusu, to — stosownie do podanej definicji charakteru—stwierdzamy, że charakter ludzki jest zmienny; szersze lub węższe granice tej zmienności są już sprawą obojętną. Charakter, jako wyraz żyjących istot, nie może być stałą, skamieniałą substancją; jego wartość moralna polega nie na stosunku do świata intelligibilnego, lecz na zdolności do świadomego rozwoju i doskonalenia się w świecie empirycznym.

Nieвозмоżliwość odzyskania raz straconego honoru, istnienie sumienia, identyczność osobistości i znajomość ludzi mają świadczyć o niezmienności charakterów. <sup>1)</sup> Argumenty te nie wytrzymują nawet najłżejszej krytyki.

Pierwszy argument zawiera w samym sobie zaprzeczenie: stracić honor może tylko ten, kto go posiadał, a więc człowiek honorowy; kto zaś jest honorowym, to, podług nauki o niezmienności charakteru, nie może się okazać niehonorowym. Rozważając ten sam argument obiektywnie, bez żadnych z góry powziętych założeń, dojdziemy również do niepomysłnego wniosku. Szumny frazes: „stracić honor“ nie oznacza nic więcej, jak popełnić czyn występny, stojący w sprzeczności z dotychczasowem życiem. Jeżeli sprzeczność ta była pozorna i wynikała tylko z braku okazji do złego, wtedy mamy do czynienia właściwie z niemoralnym osobnikiem, potrzebującym silnych antymotywów. Jeżeli jednak do spełnienia występku przyczynił się nie charakter sprawy, lecz fatalny zbieg okoliczności, któremu trudno było się oprzeć, to, o ile później nastąpiła ochronna reakcja, występki nie pozostawi po sobie szkodliwego śladu i może być bardzo skutecznym motywem przeciw popełnianiu go w przyszłości.

Argument powyższy jest więc teoretycznie fałszywy, a praktycznie — szkodliwy, bo wraz ze zbrodniarzami wyrzuca poza nawias społeczeństwa i dobre, w gruncie rzeczy niezepsute jednostki, zagradza im wejście na drogę poprawy i skazuje na zupełną demoralizację. <sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> III, str. 429 — 430.

<sup>2)</sup> Jakby pod adresem podobnych argumentów pisze Simmel: „Skoro ponad dotychczasową empiryą, dotyczącą niezmienności istoty ludzkiej, dążymy do jakiejś mistycznej, wiecznej podstawy tej istoty,—z jednej strony stajemy się ślepi na rzeczywiste zachodzące zmiany, z drugiej zaś — w niezliczonych wypadkach brak nam męstwa i radości do wywołania takowych,“ „Einleitung in die Moralwissenschaft,“ t. I, str. 274.



Co się tyczy sumienia, to głos jego może świadczyć również dobrze o niezmienności, jak i o zmienności. Wyrzuty sumienia występują wtedy, gdy człowiek zmienił sposób patrzenia na pewne zjawiska czyli sposób reagowania na nie, co jest identyczne ze zmianą charakteru. Bez tej zmiany byłby takim samym, jak w chwili czynu, a więc niezdołnym do skruchy. Głosu sumienia nie znali zatwardziali grzesznicy i święci, bo życie ich jest automatyzowane, wolne od walki motywów.

Inne argumenty, <sup>1)</sup> czerpane częstokroć ze zwrotów potocznej mowy i przysłów ludowych, są tak słabe, że należy podziwiać lekkomyślność filozofa, który je używał.

Podkreślając ignorowanie oczywistych najprostszych faktów, musimy jednocześnie przyznać, że Schopenhauer, chcąc utrzymać swój pesymizm, nie mógł wybrać innej, wolnej od sprzeczności drogi. <sup>2)</sup>

Determinizm, połączony z niezmiennością charakteru, obraca w niwecz cały gmach etyki lub robi z niej pozorną naukę, pozbawioną wewnętrznego związku z wiedzą i z życiem praktycznym.

Schopenhauer przyznawał otwarcie, że świadomość ludzką uważa za pole walki motywów bez żadnej czynnej roli — i pomimo to nazwał wolą wolną, nie w czynach wprawdzie, lecz w bycie, nie w *operari*, lecz w *esse*.

Jedną z najważniejszych, jeżeli nie jedyną zasługą jego w etyce jest bardzo trafne i jasne sformułowanie zagadnienia wolności woli; operując ściśle zdefiniowanymi pojęciami, przedstawił stronę empiryczną bez sprzeczności i przekonująco, wyjąwszy parę mniej jasnych wyrażeń i wniosek ostateczny, nakładający na świadomość ludzką bez zastrzeżeń prawa fizycznej przyczynowości. Natomiast metafizyczne uzasadnienie wolności woli jest zupełnie chybione i należy bezwarunkowo do najslabszych fragmentów systemu.

<sup>1)</sup> III, str. 429 — 430.

<sup>2)</sup> Zarzuty, stawiane Schopenhauerowi, że jest on niekonsekwentnym pesymistą, pochodzą stąd, że się nie odróżnia jego poglądów na życie doczesne (afirmacya Woli) i na egzystencję po zabicciu Woli. Niektórzy krytycy poświęcają tej właśnie materii całkowite rozprawy. Nie możemy im przyznać słuszności; tak samo poglądowi Salvati'ego („La Cultura“ № 6, r. 1909): „che alla filosofia di Schopenhauer con una certa buona volontà potesse per certi suoi lati essere affibbiato l'attributo di „ottimistica,“ lo saperamo tutti.“ (?)

W jednakowych warunkach człowiek postępuje zawsze jednakowo—zdanie to jest podstawą niezmienności charakteru i determinizmu. Schopenhauer rozumiał je mechanicznie, t. zn.: znając charakter i działające nań motywy, można z całkowitą pewnością przepowiedzieć rezultat. Określony motyw, działając na pewną zindywidualizowaną wolę (charakter), musi wywoływać jeden i to tylko ten jeden skutek. Zjawiska nie posiadają żadnej samorzutności (aseitas), lecz występują wywołane przez przyczyny; skoro te są dane — skutki występują z koniecznością.

Rzeczywiście trudno wyobrazić sobie jakiegokolwiek bądź zjawisko, któreby mogło powstać bez przyczyn, lub takie przyczyny, któreby raz wywoływały skutek „a,” drugi raz zaś w tych samych warunkach skutek „b,”—lecz trudno także przyjąć twierdzenie Schopenhauera, że świadomość nasza jest tylko polem walki motywów, która się zawsze kończy jednakowo, jeżeli walczą jedne i te same motywy. Wiemy z własnego i cudzego doświadczenia dobrze, że w czasie takiej walki przypadkowe, nieprzewidziane skojarzenie wyobrażeń, nieco dłuższe zatrzymanie uwagi na pewnym obrazie i t. d., może dać zwycięstwo stronie słabszej. Oczywiście, że powyższe ewentualności nie powstają samorzutnie, lecz tkwią one tak głęboko w zagadkowej istocie, zwanej jaźnią ludzką, że ujęcie ich w zupełnie zamknięte koło skutków i mechanicznie działających przyczyn nie może zadowolić umysłu, uniejącego się dopatrzeć pewnych różnic między zjawiskami fizycznymi i psychicznymi.

Wiadomo, iż Schopenhauer nie lubił pośrednich stanowisk i wybierał raczej poglądy proste, krańcowe, chociażby jednostronne i sprzeczne. Przystępując do wolności woli, widział tylko dwa wyjścia: sympatyczny mu determinizm i indeterminizm w tak jasnej formie, w jakiej przez nikogo nie był ujmowany, łatwo go więc było odrzucić, jako niemożliwy do przyjęcia. Niemożliwym jest jednak schopenhauerowski determinizm, bo podniesione przeciw niemu zarzuty są zbyt poważne,—nie pozostaje więc nic innego, jak wejść na odrzuconą a priori drogę pośrednią, któraby jaźni ludzkiej przyznawała wpływ na przebieg psychicznych procesów, nie zrywając jednak z przyczynowością.

Zasadnicze zdanie: „W jednakowych warunkach człowiek zawsze postępuje jednakowo“ można wytłómaczyć inaczej, niż nasz filozof: jeżeli *w chwili dokonywania wyboru* znajduje się w świadomości jeden i ten sam szereg motywów o jednakowym charakterze i natężeniu, to wybór, czyli decyzja czynu wypadnie zawsze jednakowo. Takie tłumaczenie nie może się pogodzić



z schopenhauerowskim determinizmem,<sup>1)</sup> ponieważ przez położenie nacisku na moment wyboru motywów uwzględnia nie dający się przewidzieć współdziałają.

Dla utrzymania pesymistycznego poglądu na świat przyjął Schopenhauer niezmienną charakterów, dla zachowania odpowiedzialności za własne czyny usiłował przekonać czytelników o wolności woli. Uznając empiryczne zjawiska za determinowane, wolność przypisywał ich istocie, Rzeczy w sobie, drogą następującego rozumowania:<sup>2)</sup>

Zjawiska empiryczne nie są wolne — *Rzecz w sobie (Wola) nie jest zjawiskiem empirycznym*, a więc *Rzecz w sobie* jest wolna; zapominając o tak kardynalnym prawie syllogizmu, że z dwu przeczących przesłanek nie można o niczem wnioskować.

Wolność w *Rzeczy w sobie*, czyli w *esse* — że użyjemy wyrażenia autora tej koncepcji — „łatwo jest powiedzieć słowami, lecz trudno wyobrazić.“ Podług Kanta<sup>3)</sup> *esse* nie może oznaczać nic więcej, jak *positio rei*; zdanie najkrytyczniejszego filozofa przeszłości potwierdza również i Wundt, według którego pojęcie „*Sein*“ niema żadnego związku z jakimkolwiek własnościami rzeczy, powstaje zaś wtedy, gdy abstrahujemy od wszelkich cech i zmian przedmiotu i ujmujemy go pojęciowo tylko, jako taki, który jest i nic więcej.<sup>4)</sup> Schopenhauer uważał „*sein*“ za nic więcej, jak „*erscheinen*“, jak pusty wyraz,<sup>5)</sup> jednak, używając go w etyce, nadał mu odmienne, niezrozumiałe znaczenie.

Przyjmowanie w granicach tego czystego bytu pozaempirycznej jednostki, dokonywującej bez poznania wyboru intelligibilnego charakteru swego, a dalej — nazywanie takiego wyboru wolnym i wyprowadzanie z niego odpowiedzialności, czyli kar i nagród w świecie empirycznym, jest czemś tak zawikłanem i sprzecznem, że nie potrzeba bardzo krytycznego umysłu, aby je obalić.

1. Wybór bez współdziałania poznania jest niemożliwy tak w świecie empirycznym, jak i intelligibilnym, gdzie nie rządzą żadne prawa.

2. Jednostka, dokonywująca wyboru swego charakteru, jest wyobrażeniem sprzecznem, bo w pojęciu jednostki mieści się już pojęcie indywidualnego charakteru.

1) III, str. 439. 2) III, str. 475.

3) „*Kritik der reinen Vernunft*“, str. 472—3. Wyd. Reclama.

4) „*System der Philosophie*“, 2 wyd., str. 267.

5) II, str. 74.

3. Wina lub zasługa, popełniona w świecie intelligibilnym, powinna być nagradzana lub karana również w tym świecie, a nie przenoszona do empirycznego. Jednostka empiryczna nie jest identyczna z czystą, indywidualną wolą, istniejącą poza światem zjawisk, byłoby więc niesprawiedliwością karać ludzi za winy, popełnione przez ich intelligibilne charaktery, tembardziej, że w empirycznym świecie wszystkie nagrody, kary i cierpienia są pono tylko złudzeniem.

4. Teorya dziedziczności charakterów, którą uznawał Schopenhauer, z góry określa indywidualność mającego przyjść na świat osobnika, a więc wyłącza możliwość wolnego wyboru.

Za empiryczny charakter możnaby tylko wtedy czynić odpowiedzialnym ich posiadaczy, gdyby wybór następował z zupełną świadomością i przy normalnie rozwiniętym poznaniu.

Gdyby Schopenhauerowi np. powiedziano, że pewne dziecko, zachwycone przejażdżką powozem, chciało zostać woźnicą, i rodzice, pomimo obiecujących zdolności syna, oddali go do zakładu dorożkarskiego, a potem, mimo próśb i skarg, nie chcieli go przyjąć z powrotem do domu, tłumacząc, że zawód przecież został obrany dobrowolnie,—to nie ulega wątpliwości, że fakt taki wywołałby oburzenie na głupotę rodziców, którzy przypisują znaczenie aktowi, uczynionemu przez istotę o niedorozwiniętym poznaniu. Tak samo ma się rzecz i z mistycznym wyborem charakterów—przeniesienie go w światy pozazjawiskowe nie zmienia sprawy ani o jotę i jest tylko chybionem usiłowaniem wybrnięcia z trudnej sytuacji.

Świat intelligibilny, który zawsze u Schopenhauera wychodzi na porządek dzienny, kiedy trzeba wytłomaczyć lub usunąć jakąś sprzeczność, wydaje się nie królestwem czystej Rzeczy w sobie, lecz raczej norą ciemną, do której się kryją niedorzeczności schopenhauerowskiej filozofii przed światłem rzeczowej krytyki.

Stosunkowo najlepszym argumentem jest twierdzenie, że za wolnością przemawia zupełnie pewne poczucie odpowiedzialności, polegające na wewnętrznym przekonaniu, że nie kto inny, lecz my sami jesteśmy sprawcami wszystkich naszych czynów:<sup>1)</sup> można go bowiem nie uznawać i uważać za bezwartościowy, ale nie można zaprzeczyć jego istnieniu.

Cel więc, dla którego osiągnięcia wprowadził Schopenhauer swoją, co najmniej dziwną, teoryę wolności moralnej, został chybiony: odpowiedzialność za czyny nie została uzasadnioną.

<sup>1)</sup> III, str. 472.



Aby tego dokonać, należy odrzucić rozważania o pochodzeniu charakterów i zwrócić się do świadomości. Jeżeli pewien czyn popełniamy świadomie, jako występny lub cnotliwy, to karę lub nagrodę musimy uważać i w rzeczywistości uważamy za naturalne zjawiska. Jeżeli wiemy, że rozpalone żelazo parzy i pomimo to dotykamy je ręką, to za doznany ból nie będziemy winili ani żelaza, ani wrażliwości naszego organizmu, lecz wyłącznie samych siebie. Natomiast niema żadnej odpowiedzialności tam, gdzie czyn został wywołany mimowolnie, albo wywołał niezamierzone skutki. Tę zasadę, chociaż nie całkowicie, uwzględnia również i prawo.<sup>1)</sup>

Zagadnienie wolności woli, uważane przez Schopenhauera za najgłębsze w całej filozofii, za kamień probierczy dla prawdziwie głębokich umysłów, dzisiaj coraz więcej traci na aktualności. Etycy, wkładając w nie różnorodną treść,<sup>2)</sup> nie przyznają mu wcale pierwszorzędного znaczenia, ani warunkują niem odpowiedzialności, a nawet w ostatnich czasach dają się słyszeć coraz śmielsze głosy, twierdzące, iż dla etyki wolność woli jest zupełnie obojętną i nie gra żadnej roli; zajmowanie się niem w przeszłości wynikało z wadliwego formułowania i płonnych obaw o zagrożony byt moralności.<sup>3)</sup>

Chociaż zdania takie wydają się zbyt pośpieszne, to jednak, po głębszem zastanowieniu się, przychodzimy do przekonania, że systemy etyczne po wykryciu źródła odpowiedzialności i zapożyczeniu z psychologii nauki o charakterze nie potrzebują wcale zaprzętać sobie uwagi wolnością woli.

<sup>1)</sup> Rozważanie odpowiedzialności tylko, jako niezbędnego czynnika w życiu społecznem (dr. Müffelmann: *Das Problem der Willensfreiheit in der neuesten deutschen Philosophie*, Lipsk 1902. H. Gomperz: *Das Problem der Willensfreiheit*, Jena 1907. F. W. Förster: *Willensfreiheit und sittliche Verantwortlichkeit*. Forel: *Ueber die Zurechnungsfähigkeit der normalen Menschen*), jest prawnicze i jednostronne w porównaniu z etycznym, które bierze pod uwagę nie tylko czyny, lecz i ich sprawców.

<sup>2)</sup> Vide R. Eisler: *Wörterbuch der philosophischen Begriffe*, III wyd., str. 1810, artykuł: *Willensfreiheit*.

<sup>3)</sup> Simmel, Müffelmann i Gomperz—dzieła wyżej cytowane.

IV.

W rozprawie „Ueber die Grundlage der Moral“ przeprowadza Schopenhauer ścisłą granicę między *zasadą* i *podstawą* etyki. Pierwsza (das Princip, der oberste Grundsatz) „jest to najkrótsza i najzwięźlejsza formuła postępowania, które ona przepisuje, lub jeśli nie posiada formy nakazującej—postępowania, któremu przypisuje istotną wartość moralną. Jest to więc ogólna formuła cnoty, zawarta w jednym zdaniu, czyli *ὅτι* cnoty. Zaś podstawa etyki (das Fundament, der Grund) jest to *διότι* cnoty, uzasadnienie owego nakazu, zalecenia lub pochwały, wyprowadzone bądź z natury człowieka, bądź ze stosunków świata zewnętrznego, bądź z jakich innych danych.“<sup>1)</sup>

Każdego czasu głoszone wiele prawdziwej moralności, „ale nie odróżniając dwu zupełnie różnych pojęć *ὅτι* i *διότι*, nie umiano jej uzasadnić, i przez to powstawały wymuszone, sztuczne kombinacye pojęć, nie zawierające bodźca (Antrieb) do sprawiedliwości i miłości bliźniego.“<sup>2)</sup> Treść wszystkich systemów etycznych, *ὅτι*, bez względu na ich zewnętrzne formy, da się wyrazić w jednym zdaniu: Neminem laede, imo omnes, quantum potes, iuva (nie szkódź nikomu, lecz wszystkim pomagaj, ile tylko możesz); jego uzasadnienie, względnie—wykrycie przesłanek, z których wynika, da nam podstawę (*διότι*) etyki.

Uzasadnienie moralności, jeśli chce wywierać wpływ na życie, musi być proste, jasne i zrozumiałe dla każdego, bez względu na stopień umysłowego wykształcenia. Kto je naprawdę pragnie, ten nie powinien chwycać z powietrza pustych frazesów, jak np. „kategoryczny imperatyw“ lub „godność ludzka,“ lecz bez uprzedzeń wejść na drogę empiryi i zbadać, czy istnieją postęпки o prawdziwej, moralnej wartości, t. j. „wypływające z dobrowolnej sprawiedliwości, z czystej miłości bliźniego i prawdziwej szlachetności.“<sup>3)</sup> Znalazłszy takie, należy je objaśnić, wykryć ich prawdziwe źródło, czyli wykazać specyficzne pobudki, skłaniające ludzi do wykonywania czynów, tak odrębnych od reszty innych. „Ta pobudka oraz wrażliwość na jej działanie będą stanowiły

<sup>1)</sup> III, str. 516—518. Przytaczane tutaj cytaty z rozprawy: „Ueber die Grundlage der Moral“ pochodzą z polskiego przekładu p. Bassakówny.

<sup>2)</sup> III, str. 493, 566.

<sup>3)</sup> III, str. 576.



ostateczną przyczynę moralności, znajomość zaś tej przyczyny da nam podstawę etyki.“<sup>1)</sup>

Czyny ludzkie są wywoływane przez trzy kategorie motywów:

- 1) egoizm, który w dążeniu do własnego dobra nie zna granic,
- 2) nienawiść (das Uebelwollen oder die Gehässigkeit), pragnąca cudzej niedoli i dochodząca aż do okrucieństwa,
- 3) współczucie, które ma na celu szczęście bliźniego i przechodzi w szlachetność.

Głównym i zasadniczym popędem, działającym w każdym zwierzęciu, a więc i w człowieku, jest egoizm, który pozostaje jaknajściślej związany z jego najwewnętrzniejszą istotą i jest z nią poprostu identyczny. Wszystko to, co przeciwstawia się jego celom i zamiarom, wywołuje gwałtowne oburzenie, nienawiść i gniew, nie przebierający w środkach. Tylko siebie, jako pojedynczą personifikację, uważa za coś realnego, resztę zaś, nawet świat cały, skazałby na męki i zniszczenie, byle tylko siebie ocalić, sobie przykrości zaoszczędzić. Przy powszechności tego uczucia i jego gwałtownej sile, świat niechybnie zamieniłby się w teren oburzających nadużyć i walki omnium contra omnes, gdyby jednocześnie nie istniały inne czynniki, jak np. państwo, zmuszające ludzi do powściągliwości i maskowania swych nieokiełzanych popędów. Egoizm jest pierwszą i główną, chociaż nie jedyną potęgą, którą ma zwalczać moralność.

Rzadszem zjawiskiem, ale jeszcze gorszem, niż poprzednie, jest radość z cudzego nieszczęścia (Schadenfreude), z którego dany osobnik nie odnosi żadnej korzyści dla siebie. O ile egoizm jest naturalną, ludzką rzeczą, to Schadenfreude, występująca praktycznie w formie okrucieństwa — dyabelską, jaknajgorzej świadczącą o moralnej wartości człowieka.

Z tych dwu wad natury ludzkiej wynikają inne, drobniejsze, będące cechami niemoralnych czynów.

Trzecią kategorię stanowią motywy moralne, będące wyrazem współczucia albo miłości bliźniego (nie w znaczeniu amor lub eros, lecz ἀγάπη i caritas). Tylko z nich powstałe czyny mają prawdziwą etyczną wartość, natomiast — żadnej, gdyby obok altruizmu, chociażby nawet ubocznie, działał motyw egoistyczny.

<sup>1)</sup> Ibidem.

Powstaje jednak pytanie, czy naprawdę istnieją na świecie czyny, pochodzące tylko z wewnętrznego poczucia sprawiedliwości i bezinteresownej miłości bliźniego. Na drodze czysto empirycznej trudno uzyskać wystarczające dowody, ponieważ badanie dotyczy jedynie faktów; cudze motywy i usposobienie wewnętrzne są dla nas niedostępne. Czyny moralne muszą posiadać pewną cechę wewnętrzną, która nie jest zupełnie wyraźna i dostrzegalna, lecz bądź co bądź należy ją brać pod uwagę: wewnętrzne zadowolenie sprawcy i zadowolenie własnego sumienia. Cechą zewnętrzną i podrzędną bywa zwykle uznanie bezstronnych świadków.

Gdyby na świecie nie istniały prawdziwie altruistyczne moralne postęпки, to etyka byłaby nauką bez realnego obiektu, jak np. astrologia lub alchemia, i szkoda byłoby czasu na wyszukiwanie jej podstaw. Tak jednak nie jest; kto by zaś twierdził przeciwnie, to „nie miałbym mu już nic do powiedzenia i w dalszym ciągu zwracam się tylko do tych, którzy wierzą w rzeczywistość takich faktów.“<sup>1)</sup>

Ażeby udowodnić istnienie prawdziwie moralnej pobudki czynów, Schopenhauer wystawia następujące przesłanki, z których tanta wynika, jako wniosek, i które same w sobie są aksjomatami:<sup>2)</sup>

1. Każdy czyn musi mieć dostateczny motyw.
2. Dostatecznie motywowany czyn może zostać zaniechany, jeżeli w świadomości zjawi się silniejszy antymotyw.
3. Każdy motyw musi stać w jakimkolwiek bądź stosunku do rozkoszy lub bólu (Wohl i Wehe) w najogólniejszem znaczeniu, ponieważ jedynie te uczucia są w stanie wpływać na wolę. Ból i rozkosz oznaczają: przeciw woli i zgodnie z nią.
4. Z powyższego wynika, że każdy czyn ma na celu istotę zdolną do odczuwania bólu lub rozkoszy.
5. Istotą tą może być albo sam sprawca, albo osoba bierna, której dany czyn przynosi pożytek lub wyrządza szkodę.
6. Każdy czyn, którego ostatecznym celem jest osiągnięcie pożytku lub uniknięcie szkody dla sprawcy, jest czynem egoistycznym.
7. Wszystko tutaj powiedziane odnosi się tak dobrze do wykonania, jak i zaniechania czynów.

Z tych punktów Schopenhauer wyprowadza wniosek, że czyn jest niemoralny, skoro został wywołany pośrednio lub bezpośrednio

<sup>1)</sup> III, str. 585. <sup>2)</sup> III, str. 586.



nie przez egoistyczny motyw, to znaczy skoro z wykonania go spodziewamy się jakiejś korzyści dla siebie bądź na tym, bądź na tantym świecie, wytworzenia sobie dobrej opinii, zdobycia sławy, wzbudzenia szacunku i sympatyi, a także, jeżeli zamierzamy przez to podkreślić (aufrecht erhalten) jakąś zasadę, z której spodziewamy się korzyści i dla samych siebie.

Jeżeli więc wyłącznie bliźni ma być celem moich czynów, to powstaje pytanie, jak to jest możliwe, aby jego ból i szczęście stały się bezpośrednio moimi motywami wbrew zwykłej kolei rzeczy. Do tego potrzeba zupełnej identyfikacji mojej osoby z bliźnim, znoszącej częściowo lub zupełnie istniejącą pozornie między ludźmi różnicę. Ponieważ jednak fizycznie nie tkwię w skórze drugiego i nie przeżywam bezpośrednio jego uczuć, więc tylko drogą prawdziwego poznania, znoszącego principium individuationis, mogę dojść do negacji egoizmu: *współczucia*, z którego wypływają kardynalne, etyczne cnoty sprawiedliwości (neminem laede) i miłości bliźniego (omnes, quantum potes, iuva).<sup>1)</sup> Zjawisko współczucia jest zbyt dobrze znane i bezpośrednio odczuwane przez każdego, by je można było zaprzeczać.

Bliższe określanie jego jest jednak różne.

Raz czytamy, że jest ono zadziwiającem prazjawiskiem (Urphänomen) i wielkiem misteryum etyki, linią graniczną, na której przekroczenie może się ważyć tylko metafizyka, to znowu, że należy je uważać za coś pierwotnego, prostego, wrodzonego naturze ludzkiej, niezależnego od pojęć, dogmatów i wykształcenia „i dlatego właśnie zdolnem jest oprzeć się wszelkim próbom, objawia się we wszystkich krajach i epokach; do niego, jako niezbędnie istniejącego w każdym człowieku, ludzie odwołują się wszędzie z całym zaufaniem i nigdzie nie należy ono do cudzych bogów.”<sup>2)</sup>

Raz objawy współczucia polegają na tem, iż „będę zupełnie bezpośrednio pragnął jego (bliźniego) dobra, a nie chciałem jego krzywdy, tak samo bezpośrednio, jak tego pragnę lub nie chcę dla siebie samego,” żem tak zidentyfikował siebie z bliźnim, że przedział między „ja” i „nie-ja” zostaje zniesiony, co trafnie sformułował Calderon:

que entre el ver  
Padecer y el padecer  
Ninguna distancia habia.<sup>3)</sup>

<sup>1)</sup> III, str. 593—594.    <sup>2)</sup> III, str. 594.

<sup>3)</sup> III, str. 610. „... że między postrzeganiem cierpienia i przeżywaniem niemu żadnej różnicy.”

W innym zaś miejscu znajdujemy ostrzeżenie przeciw przyjmowaniu poglądu, iż współczucie powstaje dzięki złudzeniu wyobraźni, które sprawia, iż cudze cierpienia uważamy za swoje. Pogląd ten ma być fałszywy, bo współczując, jesteśmy bez przerwy świadomi, że chodzi o ból obcy i jako obcy go odczuwamy. <sup>1)</sup>

Pierwotnie jesteśmy pono wszyscy skłonni do gwałtów i niesprawiedliwości, później przez wyobraźnię dostaje się do naszej świadomości wieść o cudzych cierpieniach, przez nas wywołanych, i następuje reakcja. Jeżeli psyche nasza jest wrażliwa na tego rodzaju bodźce, to obraz cierpiącego człowieka powstrzymuje nas od wyrządzania przykrości pośrednio lub bezpośrednio, chociażby z nią była związana korzyść własna. Pobudzanie współczucia nie jest koniecznym warunkiem moralnego czynu i może być zastąpione abstrakcyjnym przekonaniem o szkodliwości skutków, wynikających z niesprawiedliwego, egoistycznego postępowania. Zasada „*neminem laede*“ jest naprawdę trwałą i niewzruszoną zasadą, powstrzymującą od wykroczeń przeciw bliźniemu i od naruszania praw jego.

Schopenhauerowska charakterologia nie przyznaje jednak moralnego znaczenia postępkom, wypływającym z abstrakcyjnych norm, dla których nawet nie powinno być miejsca w prawdziwie filozoficznej etyce—aby więc uchronić się od zarzutu niekonsekwencji, zwolennik jedynie wrodzonych cnót tłumaczy: „Chociaż bowiem zasady i wogóle poznanie abstrakcyjne nie są ani źródłem, ani pierwszą podstawą moralności, to jednak dla moralnego życia są bezwarunkowo niezbędne; odgrywają one w niem rolę rezerwoaru do przechowania uczuć, płynących ze źródła moralności, które nie jest stale czynnem; gdy nadchodzi chwila zastosowania tych uczuć, wypływają one ze zbiornika... Bez stałych zasad stawalibyśmy się pastwą popędów antymoralnych we wszystkich tych wypadkach, kiedy pod działaniem wrażeń zewnętrznych popędy te zamieniają się na afekty.“ <sup>2)</sup> Na przeciwstawieniu czynnym motywom stałych zasad abstrakcyjnych polega panowanie nad sobą.

*Neminem laede!* jest nakazem negatywnym i pierwszym stopniem współczucia, będącym „*enotą* sprawiedliwości.“ *Omnes quantum potes iuva!* jest pozytywnym, wyższym nakazem, formułą dla drugiej kardynalnej enoty: miłości bliźniego.

<sup>1)</sup> III, str. 592.    <sup>2)</sup> III, str. 596.



Współczucie jest jednak o tyle ograniczonem, że występuje w tych tylko wypadkach, gdzie jesteśmy świadkami cierpień. „Nieszczęście bowiem jest warunkiem współczucia.“ Przyczyna tego faktu jest prosta, bo polega na tem, że wszelkie cierpienia, bóle, przykrości, a zarówno brak, niedostatek i pragnienia są zjawiskami pozytywnymi, odczuwanymi bezpośrednio. Charakter szczęścia, zadowolenia jest negatywny, bo te stany uczuciowe oznaczają usunięcie braków i dolegliwości. Widząc szczęśliwego, pozostajemy obojętni, ponieważ położenie jego jest negatywne i nie posiada tego, co mogłoby w nas wywołać współ—czucie. Jeżeli dzieje się inaczej, to tylko wtedy, gdy dany osobnik jest naszym krewnym lub poddanym, albo że poprzednio smuciliśmy się jego nieszczęściem.

Ażeby zmniejszyć istniejący na świecie ogrom cierpień, od których nikt nie jest wolny, oraz złagodzić potęgę powszechnego egoizmu i złości, natura nie mogła uczynić nic skuteczniejszego, „jak właśnie wkładając w serce ludzkie ową cudowną zdolność, dzięki której, wspólnie z innymi, współodczuwamy ich cierpienia, a której głos, stosownie do okoliczności, głośno i wyraźnie woła na tego: Oszczędź! na tantego: Pomóż!“<sup>1)</sup>

Potwierdzenie współczucia, jako podstawy moralności, widać w zastosowaniu jego nie tylko do stosunków z bliźnimi, lecz i ze światem zwierzęcym, który, jako posiadający czucie, nie powinien być ignorowanym. Rozważając znane nam bądź z historii, bądź z życia bieżącego czyny etyczne, przychodzimy do przekonania, że źródłem ich jest współczucie, bez którego istnienie ich byłoby niemożliwem.<sup>2)</sup>

Faktyczne wykazanie podstawy moralności jest dostateczne dla uzasadnienia etyki, jednak nie daje zupełnego zadowolenia umysłom, dążącym do ostatniego prafenomenu (Urphänomen), który objaśnia wszelkie zjawiska, sam natomiast pozostaje nazawsze nierozwiązalną zagadką. W etyce metafizyczne uzasadnienie jest tem potrzebniejsze, że wszystkie systemy filozoficzne i religijne zgodnie twierdzą, iż życie nasze, oprócz praktyczno-etycznego, ma także metafizyczne znaczenie, sięgające do Rzeczy w sobie.

Człowiekiem dobrym nazywa się taki, który jest w jakikolwiek sposób pożytecznym dla swego otoczenia, skoro go jednak rozważamy in abstracto, to postrzeżemy, iż istota jego charakteru polega na tem, że mniej, niż inni, odróżnia siebie od bliźnich.

<sup>1)</sup> III, str. 627.   <sup>2)</sup> III. 613—630.

Ten rodzaj poglądu na świat jest prawdziwy, bo polega na wszechjedności Rzeczy w sobie i odrzuca złudną wielość, uwarunkowaną jedynie empirycznymi formami poznania: przestrzenią i czasem. Przyjąwszy taki pogląd, musimy uznać, że jedynie mądrymi i cnotliwymi czynami są czyny miłości bliźniego, a więc podstawą moralności jest współczucie. „W ten sposób mądrość praktyczna, polegająca na zachowywaniu sprawiedliwości i czynieniu dobrze, stykałaby się w swych rezultatach z najgłębszą nauką najdalej posuniętej mądrości teoretycznej; filozof praktyczny zaś, t. j. człowiek sprawiedliwy, dobroczynny i wspaniałomyślny, wyrażałby tylko czynem ten sam pogląd, który jest ostatecznym wynikiem najgłębszego rozważania i najtrudniejszych dociekań filozofa teoretycznego.“<sup>1)</sup>

\*

\*

\*

Rozprawa „O podstawie moralności,“ jako anonimowa rozprawa konkursowa, musiała stanowić pewną, skończoną całość, w której nie można było się powoływać na fakty stwierdzone gdzieindziej, lecz trzeba było wszystko samodzielnie uzasadnić. Schopenhauer we wstępie ostentacyjnie wyrzekł się wszelkiej metafizyki, jako gotowej podstawy dla etyki, i zapowiadał ściśle krytyczne, empiryczne badanie zjawisk moralnych i ich źródła, jednak już w pierwszym paragrafie bez żadnego uzasadnienia ogłasza postępkę egoistyczną za niemoralną,<sup>2)</sup> potem skazuje na banicyę eudajmonizm<sup>3)</sup> i za jedynie decydującą rzecz o moralności czynu ogłasza zamiar. Nie dając definicyi etyki ani moralności, a więc nieokreśliwszy swego stanowiska, przystępuje do rozważania etyki Kanta i wydaje sądy o jej zaletach i wadach. Przechodząc do pozytywnej części swej pracy, zapowiada, iż zajmie się badaniem, „czy wogóle istnieją czyny, którym bylibyśmy zmuszeni przyznać istotną wartość moralną, t. j. czyny, wpływające z dobrowolnej sprawiedliwości, z czystej miłości bliźniego i prawdziwej szlachetności.“<sup>4)</sup> Przy wyliczaniu motywów woli maluje czarnymi barwami egoizm, ogłasza go za potęgę wrogą

<sup>1)</sup> III, str. 651. <sup>2)</sup> III, str. 491. <sup>3)</sup> III, str. 509. <sup>4)</sup> III, str. 576, 585.



moralności i później, wystawiwszy sześć pseudo-aksyomatów, wprowadza z nich w jakiś niezrozumiały sposób wniosek, że wszelkie czyny, wywołane pośrednio lub bezpośrednio przez motyw egoistyczny, nie mają żadnej moralnej wartości.

Schopenhauer więc właściwie nie więcej nie dokonał w swej rozprawie, jak a priori uznawszy egoizm za niemoralny, dowiódł, że jedynie moralnem i cnotliwym jest współczucie, czyli zupełny altruizm. W „Metafizycznym dodatku“ („Metaphysische Grundlage“) zatem nie należało wykazywać metafizycznej podstawy, bo ta w toku rozprawy była aż nadto dla każdego widoczną, lecz raczej wytłómaczyć, dlaczego z poznania wszechjedności woli, jako Rzeczy w sobie, ma wynikać konieczność czynów współczucia, a nie zupełnie dowolny wybór i równouprawnienie egoizmu z altruizmem, co byłoby również logicznem; a także w jaki sposób współczucie da się pogodzić z „wyższym“ stopniem moralności: nirwaną, która w gruncie rzeczy nie jest przecież niczem innym, jak egoistycznym eudajmonizmem.

Jako umysł wybitnie metafizyczny, Schopenhauer uczynił na wstępie fałszywe założenie, że etyka bez podstaw metafizycznych musi wypaść „unvollkommen“, a to sprawiło, że całe dowodzenie straciło obiektywny i krytyczny charakter.

Przystępując do wyszukania podstawy moralności, należało odrzucić gotowe systemy metafizyczne oraz wynikające z nich wskazania i zwrócić się ku odszukaniu takiego fundamentu, któryby był wolny od wszelkich wątpliwości i subiektywnych przemieszek. Nawiażując to do poglądu, wyrażonego w pierwszej części niniejszej pracy, formułujemy następujące zdanie:

*Dobrem, a więc moralnem, jest wszystko to, co zachowuje istnienie i współdziała rozwojowi.*

Etyka, której zadaniem jest najlepsze kształtowanie i regulowanie stosunków ludzkich, wzięwszy za kryterium powyższe zdanie, będzie mogła zbudować wolny od sprzeczności system, śmiało wyrzec się podstaw metafizycznych i zostać naprawdą dyscypliną praktyczną, zdolną do wywierania wpływu na bieg życia ludzkości. Na zdaniu tem może oprzeć się bez wahania etyka normatywna i ewolucyjna. Zawiera ono prawdę samą w sobie, jest aksymatem, nie potrzebującym żadnego uzasadnienia.

Schopenhauer uważał za konkretne zjawisko jednostkę, grupy zaś za prostą sumę jednostek i dlatego nie był zdolny wznieść się w etyce na wyższe szczyty, ani zatoczyć szerszych widnokręgów. Sformułowana zaś wyżej podstawa daje się zastosować zarówno do jednostki i narodu, jak do całej ludzkości. W intere-

sie moralnym jednostki leży współzycie plemienne, narodowe lub państwowe, w interesie narodu lub państwa—harmonia stosunków międzynarodowych. Etyka indywidualna, społeczna i ogólnoludzka stanowi trzy szczeble w dążeniu do ideału, jaki w danej epoce posiada największą wartość.

Przyjąwszy takie stanowisko, nie możemy uznać współczucia za podstawę moralności,

1) jako uczucia, którego wyłączne panowanie prowadziłoby do wykonywania czynów częstokroć niepożytecznych i zamieniłoby życie jednostek w szereg luźnych, niczem niezwiązanych momentów,

i 2) jako uczucia negatywnego, nie zawierającego impulsu do pozytywnej twórczości.

Życie i czyny ludzkie nie mogą być izolowanemi cząstkami w życiu społecznem, muszą być skoordynowane i wspólnie dążyć do pewnych celów. Współczucie, jako cel, byłoby absurdem, jako jedyna pobudka — szkodliwem, bo nietylko zamieniałoby życie w chaos bezładnych czynów, lecz i nieustannie sprowadzałoby ludzi z raz wytkniętej, chociażby najwznioślejszej drogi. Dla prawdziwej moralności jest koniecznem wyzwolenie się z pod panowania chwilowych, subiektywnych czynników—uznaje to i Schopenhauer, kiedy w sprzeczności z podstawowym swoim poglądem dowodzi konieczności stałych zasad w etyce dla obrony przed afektami.<sup>1)</sup> Przyznawanie wartości tylko każdorazowemu zamiarowi jest w życiu praktycznem dość niebezpiecznem, a jednostronnem w etyce, która dbać powinna, aby między zamiarami a celami nie było rozdźwięku i aby każdy moralny zamiar realizował się w obiektywnie-etycznym czynie. Istnienie etyki naukowej i jej pretensye do kształtowania życia są najwymowniejszym dowodem, że w dzisiejszej moralności nie może być ignorowany, ani upośledzany pierwiastek intelektualny. Człowiek, kierowany wyłącznie uczuciami albo ożywiany dobrymi zamiarami, których nie umie wprowadzać w życie, jest tłuści od typu, który pragnie urobić etyka.

Obok schopenhauerowskiego pytania: czy może być etycznym człowiek pozbawiony współczucia? — można takim samym prawem postawić inne: czy może być etycznym człowiek głupi? Na oba pytania należy odpowiedzieć przecząco, bo obaj ludzie, o których chodzi, są nienormalnymi: pierwszy bez uczucia, drugi bez rozumu.

<sup>1)</sup> III, str. 596.



Z przyjęcia współczucia za jedyną moralną pobudkę i z odrzucenia etycznej wartości abstrakcyjnego poznania wynikało postępowanie egoizmu we wszelkich jego formach i ilości, jako bezwzględnie antimoralnego czynnika.

Już byłby wielki czas zerwać w etyce z fałszywym patosem i górnolotną nienaturalnością, która odmawia wszelkiej moralnej wartości czynom, wywołanym przez działanie i współ-działanie motywu egoistycznego. Jest to nielogiczna, niesprawiedliwa i szkodliwa jednostronność. Należy unikać pustego wygłaszania utartych frazesów: „tylko altruizm jest etyczny!“ i t. p., bo to doprowadziłoby do zubożenia impulsów woli i nałożenia na ich objawy jedyne go szablonu. Etyka nie zajmuje się pojedynczymi, oderwanymi czynami, lecz całym życiem, które zawiera w sobie i zawierać powinno różnorodne, a nawet sprzeczne pierwiastki. Sprzeczność ta zniknie zupełnie, skoro ujmiemy życie osobnika, jako wytwór najdoskonalszego psycho-fizycznego organizmu w związku z jego otoczeniem, i rozważymy je jako całość.

Praca nad własnym doskonaleniem, rozwijanie charakteru i umysłu, dbałość o swoje zdrowie fizyczne i in. mogą być z punktu widzenia etyki socjalnej uważane za moralne, jeżeli ich wykonawca czyni to nie tylko z egoizmu, lecz z przeświadczenia, że tak powinien postępować *każdy* człowiek i że nie powinien rzucać się na obce i nieznanne pola ten, kto ma wiele do czynienia na swoim własnym i to takiej pracy, która może wydać większą sumę społecznej użyteczności, niż każda inna, chociażby najbardziej altruistyczna. Mogą zachodzić i takie wypadki, w których jest wprost obowiązkiem społecznym utrzymać motyw egoistyczny przeciw budzącemu się w nas współczuciu.<sup>1)</sup> Schopenhauer jednak nie lubił pojęcia obowiązku, jako pokrewnego z „sollen,“ przeciw któremu występował w etyce jak najenergiczniej; obowiązek zaś względem samego siebie wydawał mu się czemś wprost śmiesznym<sup>2)</sup>: nie może być mowy o obowiązku prawnym (Rechtspflichten) albowiem volenti non fit iniuria, ani o obowiązku miłości (Liebespflichten), albowiem do tego, aby kochać siebie ponad wszystko, człowiek nie potrzebuje żadnego przymusu.

Odrzucając podział obowiązków, przyjmujemy schopenhauerską definicyę w rozszerzonym zakresie: obowiązek jest kon-

<sup>1)</sup> Np. uczony, rozporządzający sumą pieniędzy, potrzebnych do przeprowadzenia kuracyi wobec próśb karciarza o zapłacenie jego długu „honorowego.“

<sup>2)</sup> III, str. 506—508.

sekwencyą, wynikającą z milczącego (moralnego) lub wyraźnie sformułowanego, dobrowolnego przyjęcia pewnych zobowiązań. Nie oznacza to nic więcej, jak: obowiązkiem jest to, co za obowiązek zostaje uznane. Nie wdając się na tem miejscu w rozważania o warunkach jego powstawania, konstatujemy jedynie, że jest on sankcjonowany przez intelekt, bywa zagrożony przez uczucia i afekty, zwyciężany przez nie lub przez inny, wyższy obowiązek. Kryterium przy podziale obowiązków na niższe i wyższe daje nam etyka; pomimo różnic w poglądach na nie, można zgodnie stwierdzić, że obowiązki względem siebie są naturalnem i konkretnem zjawiskiem, wynikającym z postawienia życia jednostki jakiegokolwiek bądź celu, który stawia pewne wymagania. Fakt społecznego współżycia ludzi podkreśla to jeszcze silniej: środowisko, z którego każdy osobnik ciągnie korzyści, ma zupełne prawo żądać od niego, aby posiadanych zdolności i pobranych dóbr nie marnotrawił, lecz je rozwijał i wzbogacał. Ze świadomości tego stosunku wypływają obowiązki względem siebie samego... i raczej żałować należy, iż tak rzadko są wypełniane.<sup>1)</sup>

Etyka winna przyznawać wszystkim ludziom prawo do istniejących dóbr, większe zaś tym, którzy na to więcej zasługują. Dążenie do stworzenia ludzi „tylko dających“, do czego zmierza schopenhauerowska etyka współczucia, musiałoby siłą rzeczy wytwarzać także ludzi „tylko biorących“ i doprowadzić społeczeństwa do bankructwa.

Współczucia nie można wyeliminować z etyki, ale należy je uwzględniać o tyle tylko, o ile nie stoi w kolizyi z intelektem, ergo z celami, do których w życiu mamy dążyć. Kant, formułując swój najwyższy nakaz: „Handle nur nach der Maxime, von der du zugleich wollen kannst, dass sie als allgemeines Gesetz für alle vernünftige Wesen gelte,“ był świadom niebezpieczeństwa chwilowych bodźców uczuciowych; co się zaś tyczy zarzucanego mu egoizmu, to wyznać musimy, że nakaz Kanta stoi od niego znacznie dalej, niż schopenhauerowskie współczucie, polegające na tem, że widzieć cierpienia i cierpieć — to jedno.

<sup>1)</sup> Höffding w cytowanej pracy na str. 39: „Już na stanowisku indywidualizmu może być mowa o obowiązku. Ponieważ w pojęciu „obowiązek“ znajduje się sum w sobie tego rodzaju stosunek między ciasniejszym a szerszym zakresem, że ostatni powinien mieć pierwszeństwo nad pierwszym. Indywiduum w pojedynczych momentach może czuć się zobowiązanem ze względu na swą własną całość życiową (Lebentotalität).“



Należy się jeszcze zastanowić, czy współczucie zostało udowodnione, jako podstawa moralności (w rozumieniu Schopenhauera) bez względu na jej wartość, którą staraliśmy się wykazać powyżej.

Podstawą moralności, czyli *dwór*: cnoty miało być *uzasadnienie zasady* etycznej, nakazującej pewien rodzaj postępowania. Uzasadnienie to miało być wyprowadzone „bądź z natury człowieka, bądź ze stosunków świata zewnętrznego, bądź z *jakich innych danych*.”<sup>1)</sup> Sam Schopenhauer przyznał, że współczucie nie jest powszechną cechą natury ludzkiej, wykazaliśmy, że w stosunkach społecznych nie może być ono kierownikiem, zostało więc chyba wyprowadzone z tych, tak niewinnie określonych „*innych danych*,” t. j. metafizycznych. Etyka Schopenhauera może znaleźć tylko metafizyczne uzasadnienie, bo z metafizyki powstała. Jest ona oryginalna, ciekawa, zawiera wiele pięknych i prawdziwych myśli, lecz na realne życie nie jest w stanie wywrzeć wpływu, bo pochodzi „nie z tego świata.”

Schopenhauer w sobie widział świat cały, z siebie więc, a nie z faktów obiektywnych, będących dla niego tylko słabem odbiciem prawdy, snuł całą filozofię: intuicyjne, subiektywne poznanie było w niej jedynym środkiem, prowadzącym do ideału *prawdy, piękna i dobra*. Filozofia taka nie może być jednak naukową, chociażby miała do pomocy jeszcze większą erudycję i elokwencyę, niż ta, którą podziwiamy w „Welt als Wille und Vorstellung.” Podnosząc zarzut nienaukowości, jesteśmy zupełnie świadomi, iż nie byłby on dotknął filozofa sprzeczności, który nie uznawał naukowego charakteru filozofii i nawoływał myślicieli, aby nawrócili z fałszywej drogi, którą od 3000 lat z niepowodzeniem kroczą. Do pomysłnych rezultatów dojdziemy — zdaniem jego — jedynie wtedy, gdy zaczniemy do filozofii stosować cele i metody *sztuki*.<sup>2)</sup>

Jednak rewolucyjne poglądy Schopenhauera, burzące u podstaw dotychczasowy gmach filozofii, nie znalazły uznania w pokoleniu współczesnem, nie znajdują go wcale i dzisiaj, w pół wieku po jego śmierci, nie znajdują zapewne i w przyszłości; czas — „opiekuńczy duch prawdy” nie dał im palmy zwycięstwa.

D-R ZYGMUNT BUJAKOWSKI.

<sup>1)</sup> III, str. 516—318.

<sup>2)</sup> Nachlass, IV, str. 26—43. Mniej wyraźne wzmianki w „Welt als W. u. V.”

# PIŚMIENNICTWO.

PAWEŁ LOUIS. *Dzieje socjalizmu we Francyi do 1908 roku włącznie.* Z upoważnienia autora przełożyła Marya Kellès Krauzowa. Spółka nakładowa „Książka“, Kraków. Składy główne: Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka; Lwów, H. Altenberg; New-York, The Polish Book Importind Co. Drukarnia Ludowa w Krakowie.

Wbrew urzędowej doktrynie socjalistycznej, nie uznającej różnic narodowościowych, wbrew usiłowaniom kierowników tego ruchu sprowadzenia wszystkiego do jednego szablonu, w każdym narodzie socjalizm nosi charakter zupełnie odrębny, uwarunkowany odmiennymi właściwościami duchowymi jego wyznawców. Można powiedzieć właściwie, że tyle jest socjalizmów na świecie, ile typów narodowych, ta sama bowiem teoria różnie się przełamuje w duszach ludzkich. Rozwój samego socjalizmu zadaje kłam jego doktrynie.

Wobec tego ważnem jest i ciekawem zbadanie dziejów socjalizmu w oddzielnych krajach, gdyż to dopiero da nam możliwość wyrobienia sobie należytego pojęcia o tem, czem jest właściwie ruch socjalistyczny obecnych czasów. Zadanie to w stosunku do Francyi spełnia książka Pawła Louis, która tem jest cenniejsza, że doprowadza czytelnika aż do chwili dzisiejszej. Chociaż bowiem autor wydał swą pracę już w r. 1898, jednak dla wydania polskiego napisał specjalne uzupełnienie. Dzieło to, przeznaczone pierwotnie dla publiczności francuskiej, wymagało nie raz takiej znajomości historii Francyi, jakiej po przeciętnym czytelniku polskim nie zawsze można się spodziewać, to też w wydaniu polskim znalazły się na końcu objaśnienia i dopełnienia, również oryginalnie napisane.



Chociaż wiek XVIII, w przeciwieństwie do naszego stulecia, znacznie więcej się zajmował chłopem, niż robotnikiem, studjum jednak historyczne o ruchu społecznym nie może obejść się bez poświęcenia kilku stronic wiekowi XVIII. Wtedy nie było jeszcze ani nowoczesnego przemysłu, ani zorganizowanego proletaryatu, zaczęły się już jednak pojawiać idee komunizmu, wysnuwane z idealistycznych dążeń do sprawiedliwości i równości społecznej. Filozofia XVIII wieku, burząc podstawy dawnego ustroju, jednocześnie przygotowywała grunt do pojawienia się nowych teorii społecznych.

Na „prawa natury,“ którym przeczy własność prywatna, powoływał się w r. 1796 Gracchus Babeuf, którego „Manifest równych“ można uważać za pierwszy dokument nowożytnego socjalizmu.

Burżuazya skonfiskowała na swoją korzyść rewolucję francuską, Babeufa ścięto, a stan czwarty pozostał w dawnym upośledzeniu. Rozwój jednak burżuazji, która zaczęła tworzyć przemysł nowoczesny, wywołał również i powstanie proletaryatu. Wówczas to zjawili się zwiastunowie socjalizmu, który potem nazwano „utopijnym,“ — St. Simon i Fourier. Teorii swych nie mogli oni jeszcze oprzeć na masach robotniczych, które nie dojrzały do czynnych wystąpień o swe prawa.

Pierwsze masowe wystąpienie robotnicze miało miejsce w Lionie w r. 1831, gdy miejscowi tkacze, doprowadzeni do ostatniej nędzy przez zastosowanie maszyn, zbuntowali się i opanowali na krótko miasto. Od tego czasu rozpoczyna się okres rozruchów i krwawych starć. Na czoło wysuwa się nazwisko Blanqui'ego.

Burżuazya tłumi siłą wojskową zaburzenia, występując z całą bezwzględnością, i osiąga chwilowy spokój. Tem usilniej zaczyna pracować myśl społeczna. Zjawiają się prace Ludwika Blanc'a, Proudhon'a, wysuwane są dwa nowe hasła: organizacyi pracy i powszechnej łączności proletaryuszy.

Spokój jednak trwał niedługo. Następuje rok 1848, warstwa robotnicza zmusza rząd do ustanowienia „warsztatów narodowych,“ zwinięcie ich wywołuje słynne dni czerwcowe, w których szabla Cavaignac'a dokonywuje prawdziwego pogromu proletaryatu francuskiego, ubezwładniając go na długie lata.

Dopiero w r. 1863 klasa robotnicza ocknęła się. Zaczęło się skupianie w dwóch kierunkach. Żywioty bardziej rewolucyjne poszły za Blanqui'm, świeżo wypuszczonym z więzienia. Umiar-kowańsi, zwolennicy Proudhon'a, zwani również mutualistami, stworzyli ruch syndykalny, zakładając podwaliny zawodowych or-

ganizacyi robotniczych. Nieco później silny wpływ na robotników francuskich wywołała „Międzynarodówka“ i socjalizm niemiecki.

Komuna paryska 1871 r. uwieńczyła ruch socjalistyczny drugiego cesarstwa, jak powstanie czerwcowe uwieńczyło wielki ruch między r. 1840 a 1848. Komuna w ciągu 70 dni władała Paryżem, utworzyła rząd, rozporządzała armią. Poza Paryż jednak rewolucya nie wyszła i to było przyczyną jej upadku. Najczynniejszy udział w komunie brali blankiści.

Po klęsce komuny najprzód odrodził się ruch syndykalny. Niemal nazajutrz po niej, bo w maju 1872 r. dwanaście organizacyi zawodowych łączy się celem utworzenia „Związku syndykalnego.“ Narazie związek ten został rozwiązany przez władze, po 3 latach jednak powstał nanowo.

Wkrótce rozpoczęła się w nim walka między syndykalistami a kolektywistami marksowskimi, którzy skupili się koło Guesde'a.

Narazie na kongresie lionńskim w roku 1878 Guesde zdobywa tylko 8 głosów. Jednak w rok później syndykaliści doznają porażki na kongresie w Marsylii. Następnego roku w Hawrze następuje rozłam. Odtąd marksiści mają przewagę.

Z biegiem czasu syndykaliści zrewolucjonizowali się znacznie. Popularną wśród nich stała się idea strejku powszechnego, przez co doszli do uznania rewolucyi ekonomicznej i gwałtownych przewrotów, niegdyś potępianych. Zwolennicy nowej taktyki biorą górę nad marksistami, którzy występowali przeciw strejkowi powszechnemu.

Wśród marksistów nastąpił rozłam. Od zwolenników Guesde'a oddzielili się w r. 1882 stronnicy Brousse'a, którzy wystawili, jako program swój, stopniowe przeobrażanie dzisiejszego ustroju. Przeciwnicy nazywają ich „posybilistami.“ Od partyi Brousse'a znów w r. 1890 oddzielił się Allemane ze swoją grupą, który zarzucał Brousse'owi, że zanadto dba o wybory, zaniedbując propagandy zasad.

Wyznawcy zasad Blanqui'ego zorganizowali się po komunie jeszcze wcześniej, niż marksiści, i utworzyli oddzielną zupełnie grupę, mającą duży wpływ na robotników. Na czele jej stanął Vaillant.

Prócz tych organizacyi powstała jeszcze jedna — „Związek niezależnych,“ składająca się z bardzo różnorodnych żywiołów, które nie chciały się poddać dyscyplinie istniejących partyi socjalistycznych i właściwie stanowiły przejście między socjalizmem a obozem radykalnym. Do „niezależnych“ zaliczają się Jaurès, Millerand, Viviani, uczniowie Malon'a, zwani integralistami i inni.



Ciągłe spory osłabiały ruch socjalistyczny, to też powstał ogólny prąd do zgody, który doprowadził do porozumienia się w r. 1898. Ale wstąpienie Milleranda do ministerium Waldeck-Rousseau wszystko zepsuło. Niezależni i posybiliści stali przy nim, inne zaś partie napadły na niego gwałtownie. Zjednoczenie przysło, żywioty nieprzejednane utworzyły „Partyę socjalistyczną Francyi,” bardziej zaś umiarkowani złączyli się we „Francuską partyę socjalistyczną.“

Dopiero w r. 1905 nastąpiło nowe zjednoczenie, na którego mocy wszystkie dotychczasowe organizacje polityczne socjalistów złączyły się w jedną partyę socjalistyczną. Deklaracya, zatwierdzona przez kongres ogólny, stwierdza, iż partya socjalistyczna stoi na gruncie walki klasowej, w parlamencie tworzy jedno koło, które dążyć ma do utrwalenia i rozszerzenia wolności politycznych i praw robotniczych, w prasie swej dopuszcza zupełną swobodę w rozstrzyganiu kwestyi teoretycznych, wymaga jednak jednomyślności w akcji.

Po zjednoczeniu socjaliści zerwali zupełnie z radykalizmem, z którym dotychczas niektórzy z nich współdziałali.

Jednym z najważniejszych zagadnień dla nowej partyi stał się stosunek do syndykalizmu, który, odrzucając walkę polityczną, coraz wyraźniej jednak wstępował na drogę rewolucyi społecznej. Szybki rozwój syndykatów poczyna się od roku 1900, gdy ich organ kierowniczy „Konfederacya generalna pracy“ utrwaliła swój wpływ i ostatecznie określiła swoje stanowisko. Sprawa strejku powszechnego dzieliła obóz socjalistyczny, większość jednak była za zbliżeniem się do syndykatów.

W ostatnich latach zjawilo się nowe zagadnienie: powstała silna agitacya antymilitarna Hervé'go. W sprawie tej zdania również były podzielone, w końcu na jednym z kongresów uchwalono większością głosów, że proletaryat narodu zagrożonego ma obowiązek bronięcia niepodległości swej ojczyzny, wogóle jednak należy zwalczać wojnę wszelkimi sposobami, nie wyłączając strejku powszechnego i powstania.

Wogóle socjalizm francuski nie posiada w teoryi tej jednolitości, co niemiecki, w praktyce zaś jest znacznie bardziej rewolucyjny i skłonny do gwałtownych przewrotów.

Pod względem siły socjaliści francuscy są znacznie słabsi od niemieckich. W r. 1907 do partyi socjalistycznej należało 76 federacyi, skupiających 48,237 członków. Budżet instytucyi centralnych wykazywał dochodu 131 tysięcy franków, ogólny zaś budżet jest kilka razy większy. Posłów w parlamencie partya

posiada 51. Zdobyli również socjaliści niektóre rady miejskie, jedne oponowali całkowicie, w innych zaś zapewnili sobie pokazy udział w zarządzie.

Książka p. Pawła Louis jest utrzymana w duchu ściśle socjalistycznym, daje jednak dobry materiał informacyjny.

WACŁAW DUNIN.

ADAM WOLBERG. *Obwiniam prasę polską!* Historia t. zw. rewolucyi, okresu 1905 — 1907 roku, oraz uwagi o obecnej polityce kraju, 1910. Nakład własny. Lwów, główny skład na Galicyę H. Altenberg. Częstochowa, księgarnia F. Kalnickiego.

Wstępne słowo do swej pracy zaczyna autor od pobożnego życzenia, aby przed zniesieniem kary śmierci, o ileby to u nas kiedy miało nastąpić, powieszono „pro memoria“ kilku redaktorów warszawskich.

Swoją krwiozerczą zawziętość tłómaczy, wytaczając cały akt oskarżenia przeciw prasie polskiej. Widzi on w niej źródło ostatnich i dalszych nieszczęść kraju. Albowiem „prasa nasza ma na oku tylko schlebianie czytelnikowi“ i „utrzymuje moralność i umysłowość narodu na niskim poziomie.“ Albowiem „uzurpowała sobie monopol rozumu i, uprawiając cenzurę stokroć zgubniejszą od dawnej murawjowskiej, rozporządza się myślą i sumieniem narodu, jako swoją prywatną własnością.“ Albowiem „nie dość naszej prasie, że się sama nie umie wznieść do należytej wysokości, lecz z całą niesumiennością i zarozumiałością prawdziwego ignorantą nie dopuszcza, by się przedostawały przez nią w społeczeństwo głosy narodu, o ile one nie są trzymane w jej tonie, to jest o ile się do gloryfikacji członków jej zakonu nie przyczyniają.“ Albowiem „system jej polega na otumanianiu w sprawach najważniejszych, na trzymaniu pod korcem wszystkiego, co choć w najmniejszej mierze miłość własną czytelnika zadrasnąć może, na fałszywym wyjaśnianiu oczywistych pomyłek i błędów naszych, a w najlepszym razie na pokrywaniu wszystkiego niesympatycznego — derką milczenia.“ Albowiem „prywatą i sprawy partyjne, jak były, tak pozostały do ostatniej chwili wytycznemi naszej prasy, i nie szczerą intencyą, nie logiczne rozumowanie są dla niej miarodajne, lecz ambicje jej koryfeuszy.“ Albowiem „prasa warszawska umie tylko dawać mądre nauki i rady biurokracyi, że nie społeczeństwo jest dla biurokracyi, lecz biurokracya dla



społeczeństwa," ale „sama tych mądrych rad do siebie nie stosuje.“ Albowiem prasa nasza, nie mając miejsca na sprawy poważne, „poświęcała i poświęca szpalty swoje stekom błazeństw w rodzaju „Godów weselnych księcia Abu-Aza w australijskiem Honolulu!“

Że prasa nasza nie stoi na wysokości zadania i że ma dużo grzechów na sumieniu—temu trudno byłoby zaprzeczyć. Czy jednak w danym wypadku oskarżyciel ma słuszność?

P. Wolbergowi idzie o to, że prasa „zdławiła“ głos jego w sprawie lokautu łódzkiego, jaki wypowiadał w kilkunastu artykułach, przesłanych do różnych redakcyi warszawskich. Z artykułów tych zaledwie jeden ukazał się w druku, co autor uważa za „prawdziwy cud.“ Dalej chodzi p. Wolbergowi o to, że prasa stołeczna pominęła milczeniem jego program polityki krajowej, umieszczony w „Gazecie Częstochowskiej.“

W sprawie lokautu łódzkiego p. Wolberg zajął stanowisko, z którym nie mogła się zgodzić przeważna część naszej prasy. Słusznie potępiając bezładny i anarchiczny ruch strejkowy u nas w czasie rewolucyi, autor wyciągnął stąd konsekwencyę, że lokaut łódzki był konieczny dla otrzeźwienia mas robotniczych, dla uratowania przemysłu. Prasa nasza jednak nie mogła, pomijając już inne względy, nie stanąć w obronie polskiego robotnika przeciw obcemu fabrykantowi. Nie mogła też umieszczać artykułów, sprzecznych z jej poglądami.

Co się tyczy programu polityki krajowej, pisanego w listopadzie 1909 r., to autor występował przeciw współdziałaniu z kadetami, co posłowie w Petersburgu już wówczas uczynili. W pozytywnej części swego programu pragnął autor nadać przedstawicielstwu naszemu w Dumie charakter delegacyi krajowej, na co możnaby się zgodzić, choć z innych motywów, niż te, które przytacza p. Wolberg. Nie pozbawionym też racyi był pogląd jego, iż Duma jest raczej instytucją doradczą, niż istotnym parlamentem prawodawczym.

Głos p. Wolberga zasługiwał na omówienie, choć nie miał takiego znaczenia, jakie mu przypisuje sam autor. Spotkał go coprawda ten sam los, co wielu innych, gdyż prasa warszawska wogóle zamała uwzględnia opinie kół prowincjonalnych.

WACŁAW BERENT. *Ozimina*, powieść. Nakład Jakóba Mortkowicza, 1911.  
Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka, Lwów, H. Altenberg,  
8-o, str. 339.

Dziwna jest karyera literacka Wacława Berenta.

Na wydanego przed kilkunastu laty „Fachowca“ nie zwrócono należytej uwagi; autor jego pozostał w cieniu. I dopiero w r. 1903 „Próchno“ odrazu uczyniło imię jego głośnem.

Od tej chwili upłynęło lat osiem, minęły krwawe dni rewolucyjne, pamięć tych wrażeń niezwykłych już zatarła się w umysłach świadków i uczestników. Berent wciąż milczał; nie wiedział nikt, że w ciszy swej pracowni przygotowuje nowe dzieło.

Dziełu temu na imię „Ozimina.“

!Przedewszystkiem zapytać należy: jaki zachodzi związek pomiędzy tą ostatnią powieścią a dawniejszymi utworami Berenta? czy „Fachowiec“, „Próchno“, „Ozimina“ są objawami jakiejś wspólnej myśli społecznej? czy płyną one z jednego źródła jakiejś troski narodowej czy zamiaru estetycznego? czy też może każda z tych powieści luzem chodzi i jak przedziela je znaczny okres czasu, tak oddala jedną od drugiej zupełna różnorodność treści i formy?

Na pytania te nie można dać bezwzględnie twierdzącej ani bezwarunkowo przeczącej odpowiedzi. Aczkolwiek bowiem utwory te powstały w różnych okresach życia autora i w odmiennych warunkach bytu narodowego, co wszystko odbiło się na ich treści; aczkolwiek wszystko to, co nazywamy fakturą, inne jest zgoła w „Fachowcu“, inne znów w modernistycznym nawskroś „Próchnie“, a jeszcze inne w „Oziminie“, doprowadzającej nowoczesność stylu (w najogólniejszem znaczeniu tego wyrazu) do przesadnego buroku: jednak wszystkie trzy te utwory mają to między sobą wspólnego, iż dążą do zsyntetyzowania rozbieżnych objawów życia społecznego w pewnych jego momentach wydatnych.

„Fachowiec“, napisany jeszcze w dobie trwania haseł pracy organicznej i pozytywizmu, w postaci bohatera, wstępującego do fabryki, by pracować z ludem i dla ludu, przedstawia społeczeństwo polskie, zwracające się ku trosce nad rozwojem kultury ekonomicznej. „Próchno“, zrodzone w chwili najwyższego tryumfu „młodej Polski“, maluje społeczeństwo przeestetyzowane—nerwami, choć w samej rzeczy nieczułe i tępe na objawy piękna. „Ozimina“ wreszcie zbiera objawy rozkładu duszy narodowej w ostatnich latach.



Berent jest syntetykiem współczesności.

Ustaliwszy to, zwróćmy się do „Oziminie“ i zapytajmy: czy utwór ten wiernie uchwycił pewne objawy życia polskiego? czy wyprowadzona tu przez autora synteza nie jest zbyt pośpieszna? nie wspiera się na niedostatecznej ilości przesłanek?

Przedewszystkiem zauważmy, iż dążność do syntetyzowania jest w „Oziminie“ tak wielka, że rozsadziła ramy takich kategorii, jak czas i przestrzeń. „Ozimina“ jest powieścią jednej nocy. A choć to noc długa, zimowa, żadną miarą uwierzyć nie możemy, by jej kilku godzin — od otworzenia balu w bogatym, mieszczańskim domu baronostwa Niemannów aż do świtania — mogło starczyć na wszystkie opowiedziane tu wypadki.

Pomijamy już zmieniające się, jak w kalejdoskopie, sceny w salonach, buduarach i sypialniach, w przypuszczeniu, że istotnie ci ludzie, niewyczerpani w gadulstwie, całą noc, aż do białego dnia, pokonawszy w sobie fizyologiczne oznaki znużenia i potrzeby snu, mogą i chcą wykładać sobie nawzajem swoje teorie.

Ale pozatem w ciągu tej jednej nocy dzieją się takie rzeczy, jak: nadejście do Warszawy wiadomości o rozpoczęciu przez Japończyków kroków wojennych na Dalekim Wschodzie, manifestacyjny pochód po ulicach Warszawy młodzieży rosyjskiej, objawiającej gromko swe uczucia narodowe z powodu wypowiedzianej wojny, zawezwanie rezerwistów pod broń, pochód starowierów przez nasze miasto, pierwsze strzały i szarże i pierwsze ofiary z pośród ludu warszawskiego.

I musimy stwierdzić, że nietylko tak nie było, ale nawet wprost nie mogło być.

Oczywiście, nie można posądzić Berenta o nierozumne pogwałcenie chronologii i geografii. Cóż więc powodowało autorem „Oziminie“?

Oto poprostu nie szło mu w najmniejszej mierze o realistyczną zewnętrzną wypadków, ale o uwydatnienie ich treści wewnętrznej. A że zgrupował je na niewielkiej przestrzeni czasu, uczynił to w tym celu, by tem jaskrawiej wystąpiła synteza duszy zbiorowej w danym momencie historii. W ten sposób powieść staje się nawpół fantastyczną, niepodobną do rzeczywistości.

Ale w takim razie, jeśli w liczbie przesłanek znajdują się czyste zmyślenia wyobraźni, synteza staje się tem samem chwiejniejszą.

To samo, co powiedzieliśmy o czasie, stosuje się i do drugiej kategorii — przestrzeni. „Ozimina“ jest nietylko powieścią jednej nocy, ale i powieścią jednego salonu. To, co się dzieje

na ulicach, to tylko epizody, służące do tem dobitniejszego podkreślenia myśli głównej.

Ten salon podczas nocy balowej wyrasta na pewnego rodzaju symbol dzisiejszej „Polski.“ Dzisiejszej — w przeciwstawieniu do owej Polski w dniu wczorajszym i onegdajszym, której zaniżającym echem jest stary, nawpół zdziecinniały dziadek, snujący się, jak blady cień, po salonach baronostwa, w pogardzie i opuszczeniu.

Jakiż więc jest ten dzień dzisiejszy w polu widzenia „Ozimy“ Berenta?

„Pani — mówi profesor z Krakowa, jeden z nielicznych uczciwych ludzi w tej dziwnej powieści, do swej przygodnej interlokutorki — wiek jeszcze nie minął, kiedy w takich oto salonach niewiasty zwracały się do mężczyzny z pytaniem: „Ileś waćpan harmat zdobył?“ Jakże inne wiodą tu dziś gawędy.“

Dziś salon taki przedstawia obraz „kłamnego tokowiska;“ „sabat to czarownicy i szakali zlot przed dyabła ogniskiem“ i t. d.

Ale najwymowniejsze dla scharakteryzowania myśli głównej utworu są refleksye bohatera powieści, Bolesława Zaremby. „Dość pajęczyny gnuśności — myśli on, patrząc na bezwstydnne salonowe zalecanki — rozsnuwa się tu po kątach, aby z tej plewy nie miał wreszcie wyrosnąć właściwy plemnik cynizmu... Bo ta szaruga obrzydliwości w słowach i myślach, zohydzająca nieomal oblicza ludzkie, wżera się przecie w niejedne oczy, jak gęsta mgła, gotowa oślepić najniezawodniejsze w człowieku instynkty: zaszczone upiorami domniemanej życia brzydliwości, egoizmy, nie czynne a tęskliwe, podlegają najłatwiej takiej właśnie sugestyi. W ten sposób pleni się to lichy zastoju: od przegniłych ku najwrażliwszym... Gdy fala energii powszechnych opada, kobietom przedewszystkiem leniwieją dusze i zatruwają się wyobraźnie próżne. Już nie ci, co „harmaty“ zdobywali, królują w marzeniach, lecz egzystencye na atmosferę pokojów najczulej wrażliwe — artyści; dokonywają im oni władz uczuciowych rozkładu, lub też sami w technieniu dusz leniwych i wyobraźni zatrutych giną“ i t. d.

Długo jeszcze na ten temat rozmyśla pan Zaremba, zresztą sam bynajmniej nie lepszy od innych samców buduarowych. Dość, że charakter chwili dzisiejszej widzi autor w obniżeniu poziomu ideałów, zatracie ducha rycerskiego, wystudzeniu serc, przeroście wyobraźni, a przedewszystkiem olbrzymim, potwornych sięgającym rozmiarów rozroście zmysłowości. Ten ostatni rys podkre-



śla autor niejednokrotnie we frazesach, mających dużą siłę obrazowości, chociaż nieco barokowych.

Oto kilka przykładów.

„Jej suknie... opadały ciężko na jeden bok, wyciskając obcisłe sowity kształt biodra... jej włosy wchłonęły, rzekłbyś, w siebie cały nadmiar wegetacyjnych soków wspaniałego ciała i zaskrzepły lśniącą żywicą.“

„Oto lilia o wåtpliwem panięństwie w oczach, osóбка, myjąca raz po raz kocią łapką swą czarną główkę, tak wdzięcznie, tak poduszkowo w ramionach pochyloną...“

„Pochylona ku śpiewakowi, skręcała się w sobie, jak łodyga słonecznika, prężąc w tem przegięciu puchę i chłód nagiej piersi i wytłaczając niemal w przeciwną stronę ociśnięte sukniami biodra.“

„Wszystkie te kobiety siedzą nieco za szeroko na krzesłach, nie domykały się kolana nóg krótkich; sprawia to może pulchność osób, lub, co prawdopodobniej, ta, w bierności zawsze półseenna egzystencya hodowanych stworzeń, to ich nieustanne poczuwanie się do kobiecości—fizycznej.“

Wreszcie—jeszcze jeden obraz znamieny, jeśli chodzi o określenie myśli satyrycznej autora:

„Dziś!-dziś!-dziś!“—naganiały ich rytmny dziarskie w boisko ochoty. „Abo my to jacy-tacy! jacy-tacy!“ — wydymała piersi i gardziele pycha basu pijana. A skrzypce tej ciał młodych fantazyi rzuciły pod stopy melodye, jakby z łopotu proporców dalekimi wichry zdmuchnięte, piosnki dawnej ochoty, co krwi własnością już się stały i na żyłach chyba grają, gdy tak w uszy wichrem uderzą i wskrosz przez całe ciało przelecą, jak skry.

„Tańczono mazura.“

Niegdyś więc „łopot proporców“ i „zdobywanie harmat,“ dziś—tylko *pas* mazurów...

Z powyższem wiąże się bezpośrednio jeden jeszcze motyw „Oziminy,“ którego niepodobna nam ominąć w naszych rozważaniach. Oto w ten tłum mężczyzn zniewieściałych i kobiet o zatrutych wyobraźniach, słowem, schyłkowców i historyczek, wprowadza Berent wyniosłą, dumną, samym świetnym mundurem wyróżniającą się postać pułkownika — Rosyanina. I przeciwstawia jego męską odwagę, zimną krew, energię, nawyk do rozkazywania—ich słabości fizycznej i duchowej; jego otwartość, szczerość i prostotę żołnierską—ich układności salonowej i obłudzie. A przytem wkłada w usta jego niejedno gorzkie słowo pod adresem zebranego w salonach państwa Niemannów towarzystwa,

„Wy tu nietylko na swoją niemoc chorujecie—rozmyśla ten słowianofil swojego rodzaju — lecz i na Rzymu zgrzybiałość, na Francyi zniewieściałość, na Niemiec gruboskóre zmateryalizowanie... Czorczi wszystkich nacyi swarzą się o duszę waszą.“

„I na co to wszystko? — mruczy pod wąsem gdzieindziej.— Po co tak przechytry krok ich tu każdy? Jakie sprawy tu zawile, jakie losy tu się ważą? Po co te przyjaźnie, umizgi, świadczenia i obłudny?“

„Za gwałtowny był ten męski mus nagłości wojennej dla tej słabizny—mówi do zebranych z powodu powołania pod broń rezerwistów.—Na plac boju przysłał nam pewno niemało takich; osobiwie z tych tu stron, gdzie na słabizny urodzają dziś taki sławny.“

„Ot i generał sam!—mówi do siebie, patrząc na gospodarza, barona Niemanna, udzielającego mu w dreszczach przerażenia wiadomości o przybyciu żandar mów na rewizyę—ot i głównokamandujeszcy ichniej tu dziś egzystencyi, tej omiękłości i zniechęcenia życia, tego królowania kobiet i całej tej mierzawszczyzny!“

Wnioski są bezwzględnie krańcowe, niezwykle jaskrawe. A chociaż nasi współcześni pisarze, zwłaszcza niektórzy, przyzwyczajają już nas zdążyli do „gryzienia“ nie „sercem“, jak Słowacki, ale wątrobą, pomimo to słowa i myśli pułkownika odczuwamy niemal jak — zniewagę.

Czy takiego wyniku spodziewał się autor? Nie sądzimy. A jeżeli my to tak czujemy, to dlatego, że pomiędzy nim a nami istnieje jakieś zasadnicze nieporozumienie; więcej nawet, on sam jest z sobą w nieporozumieniu, w sprzeczności.

Sprzeczność ta, naszym zdaniem, stąd początek bierze, że autor, w przesadnej dążności do skoncentrowania kompozycyi, nazbyt już zwęził pole widzenia. Dowolność ta zemściła się na nim okrutnie: gardząc realistyczną powłoką odtwarzanych wypadków, autor zachwiewa wiarę w słuszność swych wywodów, a zamykając całą akcyę w ciasnych ramach salonu państwa Niemannów, stawia czytelnika wobec pytania: jakież jest stosunek Polski do tego domu i do tych ludzi?

Byłaby tu ciżba ludzi lekliwych, obłudnych i rozpustnych symbolem całej Polski? Wniosek ryzykowny, ale jedynie usprawiedliwiający zjadliwe przymówki w ustach pułkownika; który, jak cytaty powyższe wskazują, nie różniczkuje nic, kiedy mówi o „tych tu stronach“ i polskiej „słabiznie“ rzuca w twarz swą rosyjską, ciężką rękawicę pogardy?



Ale wnioszek taki byłby, jak wiele rzeczy w tej powieści, zgoła dowolny. I sądzimy, iż stwierdzanie tego dowodami wprost ubliżałoby godności narodowej i piszącego te słowa, i tych, którzy je będą czytali.

Więc nie! więc salon pp. Niemannów, pełen kosmopolitycznej kanalii, nie jest obrazem całej Polski? Ależ w takim razie upadają wszelkie założenia autora: bo że t. zw. wyższe warstwy społeczne we wszystkich społeczeństwach europejskich są w części zgangrenowane, nad tem nie trzeba się rozwodzić; i Warszawa pod tym względem jest sielską Arkadyą w porównaniu z Paryżem, Berlinem, Wiedniem, Petersburgiem. „Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi,“ trzeba sobie powiedzieć z rezygnacją— a ta skorupa nie gorsza u nas i nie inna, niż na szerokim świecie. Słowem, rysy obyczajowe, przedstawione w „Oziminie,“ nie są wyłącznie własnością polską. Ale jeżeli tak, musimy przyjść do wniosku, że poszukiwanie współczesnej duszy polskiej zawiodło Berenta na manowce, a nakreślony przezeń obraz społeczeństwa naszego w dniu dzisiejszym jest fałszywy, jak mówią malarze, źle narysowany, słowem, są to wnioski, oparte na niedostatecznej ilości przesłanek.

I teraz dopiero moglibyśmy rozprawić się z pułkownikiem, zadać mu kłum w oczy, gdyby nie to, że bronią ścisłych argumentów zbyt łatwe, mało zaszczytne odnieśliśmy zwycięstwo, a mierzyć się z nim jego własnym orężem, połajanek, nie mamy bynajmniej chęci...

Na zakończenie—kilka słów o stylu „Oziminy.“ Coś w niej jest, że użyjemy ulubionego wyrazu Berenta, „fascynującego“: wielka zdolność obrazowania, przybierania w kształty widome pojęć oderwanych, ujmowania w skrótach zjawiska, osoby, ruchu. Ale ta zdolność „myślenia obrazami“ dochodzi w „Oziminie“ do przesady, przeradza się tu i owdzie w nieznośny barok, jakby za dobrych czasów Mariniego czy Gongory.

Nie chcemy mnożyć cytat. Podamy więc jeden tylko przykład, obraz pogrzebu: „Karawan brzydki, aż do załkania, kołatał i zgrzytał chwiejnymi kołami pod zakasaną spódnicą żałobnego wozu, pluskał po kałużach, kolebał trupem w pudle i podążał głupkowskim truchcikiem indolencyi w grzązkie piachy podmiejskie. Chowano marzyciela. Ta smętna karykatura rodzimego pogrzebienia wrażała mu (t. j. Zarembie) w mózg jakby brunatno-żółtą barwę rdzy, co przeżera, zda się, tę nędzę okólną i rzuca się nieomal na ludzkie oblicza, stępią nagle marudą bezduszną, która jest na tych twarzach beznadziejnym smutkiem apatyi.“

Dziwaczność stylu „Oziminy“ podnosi jeszcze nadmiar wyrazów niezwykłych, nanowo ukuty, często wbrew duchowi języka, jak np.: zopierzały, chrom, pakość, zachwytny, zaszum, szelestny, pierst, dobrobytowy opas, nachajny, frywolny, rozpuch, wysłużny, stupor, wygłos, żagwienie się, rozgar, otrząs, zamra, spad, niepoimny, copel, zacisk, omrok, nęk i t. d.

Jak na manowce zesza myśl narodowa „Oziminy,“ tak i jej forma artystyczna błąka się nieraz po bezdrożach.

HENRYK GALLE.

MAURYCY MANN. *Rozwój syntezy literackiej*, od jej początków do Gervinusa. Kraków. 1911, str. 131. Nakładem Akademii Umiejętności.

Wśród naszych prac nad historią literatury, zajmujących się przeważnie drobnymi choć pożytecznymi przyczynkami, szczegółami, dotyczącymi pewnych autorów lub utworów, rzadko tylko obejmujących w specjalnych monografiach całokształt twórczości jakiegoś pisarza, a jeszcze rzadziej wychylających się poza dziedzinę literatury polskiej — stanowi praca p. Manna objaw wyjątkowy i zasługujący na uwagę. Zamierzył on dać w rozwoju historycznym obraz „syntezy literackiej,“ obraz rozwoju usiłowań w kierunku ujęcia większej ilości zjawisk literackich, jednym słowem zamierzył opracować historię historii literatury, jak się ona w Europie przedstawia, od jej źródeł i postaci pierwotnych, aż do chwili zupełnego rozkwitu w dziełach Villemaina i Gervinusa.

Omówienie tych postaci pierwotnych syntezy literackiej znajdujemy w rozdziale pierwszym, poświęconym okresowi od czasów rzymskich aż do wieku XVI. Autor przechodzi pokrótce literaturę krytyczną łacińską, wyławiając pilnie te dzieła, w których dopatrzeć się można choćby pewnych śladów ujęcia w całość wybitniejszych utworów literatury greckiej i rzymskiej (Kwintylijan). Wieki średnio, zagłębione w ćwiczeniach gramatycznych, stylistycznych i retorycznych, również nie popchnęły naprzód tej gałęzi wiedzy. W dziełach kompilacyjnych uczonych średniowiecznych przechowały się tylko mniej lub więcej cenne materiały historyczno-literackie (Hezychiusz z Miletu, Focysz, Jan Tzetes). W rozpowszechnionych w w. XIII encyklopediach znajdujemy i wzmianki o znakomitszych pisarzach lub ich utworach („Zwierciadło“ Wincentego z Bauvais) oraz zbiory życiorysów (Walter Burleigh). W późniejszych wiekach zaczynają mnożyć się katalogi i spisy bibliograficzne, rozpoczyna się praca nad metodyką



nauk (Possevin), wytwarzają się różne typy biografii, jak pamiętniki i wiersze pochwalne, wreszcie do wielkiego rozkwitu dochodzi nauka poetyki. Niektóre z nich zawierają już w zawiązku historię poezyi (we Włoszech Muzio i Patrici, w Anglii Puttenham). Ale i te wszystkie studia nad literaturą nawet w w. XVI nie zostały uwieńczone syntezą historyczną, któraby odpowiadała wymaganiom naukowym.

Dopiero wiek XVII przynosi poważną, głębiej pojętą metodę syntezy literackiej w dziełach Franciszka Bacona. Rewolucyjne jednak poglądy jego przeszły na razie bez echa. „Historia literatury w wieku XVII nie tylko nie rozwija się w stosunku do wieku poprzedniego, ale przez lat kilkadziesiąt znajduje się w zupełnem uśpieniu i martwocie; dopiero przez dwa ostatnie dziesięciolecia w. XVII ożywia się ruch na tem polu, wydając kilka poważniejszych dzieł“ (str. 25). Dotyczy to głównie Daniela Jerzego *Morhafa*, który daje pierwszą w literaturze niemieckiej historię poezyi nowożytniej i w sposobie ujęcia przedmiotu, traktowanego porównawczo, zwiastuje już prawdziwą, naukową historię literatury. We Francyi Karol *Sorel* stworzył coś w rodzaju poradnika krytycznego, w którym omówił krótko wybór najcenniejszych dzieł francuskich. „Jugements des savans“ *Bailleta* były imponującą pod względem rozległości pracą, obejmującą systematyczny zbiór sądów krytycznych o wszystkich pisarzach od Mojżesza i Homera aż do chwili bieżącej. Analogiczne dzieło wydał w Anglii *Sir Thomas Pope Blount*. Okres ten zamyka autor wzmianką o bibliografach i biografach włoskich (Rossi) oraz o naszym *Starowolskim*, którego „Setka pisarzy polskich“ „zupełnie wytrzymuje porównanie z podobnemi pismami u obcych, a zasługa Starowolskiego wzrasta, gdy się zważy, że on pierwszy przeorał pole dotychczas (w Polsce) nietknięte“ (str. 44).

Wiek XVIII, przełomowy w literaturze powszechnej, stanowi również przełom w dziejach syntezy literackiej. Wtedy to przypada najwyższy rozkwit metody starej a zarazem jej koniec. Praca nad historią literatury zaczyna się organizować, mnożą się wydawnictwa pomocnicze: bibliografie, encyklopedye, słowniki biograficzne, miesięczniki krytyczne, rozwijają się biblioteki, powstają nowe uniwersytety. Po takim dopiero okresie przygotowawczym będzie mógł wystąpić Herder i pełnąć historię literatury i jej metodę na nowe tory. Zanim jednak do tego doszło, szła praca w dawnym kierunku podręcznikowo-kompilatorskim. W Niemczech odznaczyli się w tym kierunku *Reimann*, *Heumann*, *Stolle*, *Koch*, we Włoszech *Mazzuchelli*, autor cennego sło-

wnika bio-bibliograficznego, *Tiraboschi*, autor słynnej 14-tomowej „Historji literatury włoskiej,“ wreszcie *Jan Andrès*, jezuita hiszpański, twórca syntezy literackiej wartości niepowszedniej, która miała być obrazem filozoficznym postępów i rozwoju literatury. We Francji, obok wydawnictw encyklopedycznych, mających wartość tylko jako zbiory materyałów, zaczynają mnożyć się „kursy literatury,“ z których najświetniejszym jest kurs *La Harpe'a*. W Anglii stwarza nowożytny typ biografii literackiej *Samuel Johnson*, a dopełnia go *Warton* studjami nad dawną poezją angielską, średniowieczem i renesansem.

Wiekowi XIX, od Herdera do Gervinusa, poświęcone są dwa ostatnie rozdziały rozprawy, zawierające jedną trzecią objętości. Na tle głównych rysów filozofii Leibniza kreśli autor przełomowe znaczenie *Herdera* dla historii literatury; zawiele tylko wagi przywiązuje do wpływów czysto literackich na tę postać, posuwając się aż do twierdzenia, że „na krytyka, historyka czy filologa działają decydująco książki—i tylko książki“ (str. 86). Zapomina tu autor, że nikt, nawet krytyk i filolog, nie może być wyjęty z pod wpływu całokształtu stosunków i warunków, wśród których żyje — a tembardziej nie może to stosować się do Herdera, który nie był zasuszonym mółem książkowym, ale człowiekiem żywym.

W kierunku wytkniętym przez Herdera idzie teraz cały szereg pracowników, jak pani *de Staël*, *Schleglowie* (*Wilhelm* i *Fryderyk*). Stworzone przez tych pisarzy zasady metody porównawczej teorii środowiska i nieprzerwanej ciągłości zjawisk zaczęły teraz zwolna przenikać i do opracowań syntetyczno-literackich takich jak *Hartmanna*, *Wachlera*, *Eichhorna* i *Bouterweka*.

Omówieniem działalności historyczno-literackiej *Villemaina*, *Ampère'a* i *Gervinusa* kończy się rozprawa p. Manna, zawierająca przedewszystkiem bardzo obszerny materyał, zebrany pracowicie i sumiennie i czerpany z pierwszej ręki. Zatrzymaliśmy się trochę dłużej nad streszczeniem go, żeby dać ogólnie przynajmniej pojęcie o jego bogactwie i rozległości. Dopiero też po stwierdzeniu, jak wieleśmy się z pracy p. Manna nauczyli, przystąpić możemy do zwrócenia uwagi na pewne jej braki natury ogólniejszej. Chodzi tu przedewszystkiem o pewien zbyt formalny, a więc sztuczny podział materyału, dokonany przez autora, z czego w konsekwencji wynika sztuczność samej jego koncepcji „syntezy literackiej,“ oderwanie jej, z przyczyn czysto formalistycznych, od pokrewnej jej, a czasami nawet ściśle z nią złączonej, dziedziny monografii, krytyki literackiej, estetyki, teorii literatury i t. p.



Autor powiada na wstępie: „Historia literatury opracowuje przedmiot dwojako: w syntezach i monografiach. Syntezą literacką zwie się historyczne ujęcie większej ilości zjawisk literackich, gdy tymczasem monografia obejmuje tylko grupy niewielkie lub nawet zjawiska odosobnione.“ Jest to prawda, ale tylko konwencyonalna, gdy chodzi o *zakres* opracowań historyczno-literackich, ale nie o ich *metodę*. Przedewszystkiem pojęcia: „*większa* i *niewielka* ilość zjawisk literackich“ są bardzo nieściśle i nie mogą służyć za podstawę podziału logicznego. Gdzieby np, w takim razie wsadzić książkę o dwóch albo trzech autorach lub utworach, do „syntezy“ czy też monografii? A więc przy takim podziale nawet „ilość“ rozstrzygać nie może. Natomiast co się tyczy *metody historycznej*, to metoda ta stosowana jest (lub być powinna) zarówno w monografiach jak i syntezach. Monografista ma do czynienia z mniejszym ilościowo i mniej różnorodnym jakościowo materiałem aniżeli „syntetyk,“ ale i on musi cały szereg zjawisk literackich ugrupować chronologicznie, musi je postawić na odpowiednio podmałowanem tle, musi je porównywać z innymi zjawiskami pokrewnymi lub sprzecznymi, wykazywać ich genezę i oddziaływanie, analizować je z rozmaitych stanowisk i t. p. Jednem słowem musi traktować tak samo twórczość jednego dajmy na to pisarza, jak syntetyk traktuje cały ich szereg. Zasadniczej różnicy tu niema—są tylko drobne. A więc p. Mann, wyłączając z zakresu swej pracy t. zw. monografię, ścieśnia ją zbyt i uboży, pomija całą dziedzinę badań, właściwie ściśle do jego tematu należąca. Przez to obraz jego staje się niepełny, pozbawiony pewnych rysów charakterystycznych, jakby przybliżył w wyrazie. Tak samo, mniej więcej, ma się sprawa z estetyką i krytyką literacką. Są to dziedziny, zasadniczo wzięwszy, niewątpliwie odrębne od historii literatury, ale bez których ona absolutnie obejść się nie może, na których rezultatach musi budować tak samo jak i na opracowaniach monograficznych. Jeżeli zaś te rezultaty ignoruje, staje się suchym zbiorem życiorysów i dat, a nie syntezą literacką w nowoczesnem tego słowa znaczeniu. Wykazywanie konieczności opierania się w syntezach historyczno-literackich na ogólnych zdobyczach filozofii i psychologii zadalekoby mnie zaprowadziło, jak niemniej wykazywanie pokrewieństw pomiędzy historią literatury a krytyką literacką, sądząc jednak, że zwłaszcza co do tego ostatniego punktu, powinna już nastąpić pewna rewizya pojęć.

Sam autor zresztą nie zawsze, pomimo wysiłków w tym kierunku, utrzymuje się na swoim stanowisku formalistycznym

i utrzymać się na niem nie może. Z konieczności musi od czasu do czasu zbaczać w dziedzinę estetyki i krytyki literackiej, omawiać dzieła tego rodzaju, w których znajduje częstokroć więcej nowych i świeżych pomysłów syntetycznych i metodycznych, aniżeli w oficjalnych, potwornych pod względem metody i kompozycji „syntezach,” które właściwie na to nazwanie zupełnie nie zasługują. Tak samo i w stanowisku wyznaczonem np. Leibnizowi, dowodzi autor, że zdaje sobie sprawę ze znaczenia filozofii w rozwoju syntezy literackiej. Gdyby był zechciał włączyć w zakres swej pracy przynajmniej „monografię“ w szerokim tego słowa znaczeniu, byłby może nie potrzebował zajmować się tyle rozmaitymi poronionymi i nieszczęśliwymi pomysłami „syntetycznymi,” wylizywać tylu słowników i encyklopedyi—a natomiast wypełniłby niektóre luki, powiązał niektóre obecnie w oderwaniu od siebie stojące zjawiska, dał obraz pełniejszy i bardziej plastyczny rozwoju tej gałęzi wiedzy. O ile p. Mann zamierza dalej kontynuować tę tak pożyteczną i potrzebną naszej literaturze naukowej pracę, musi sobie zdać sprawę z tego, że im dalej w wiek XIX, tem trudności utrzymania się na stanowisku „czystej syntezy,” oderwanej od wszystkiego innego, bardziej się będą piętrzyć i grozić wprost zatorem nie do przebycia.

M. KRIDL.

D-R KAZIMIERZ WŁADYSŁAW KUMANIECKI. *Studia z zakresu statystyki wędrowek. Z 4 tablicami graficznymi.* Kraków, drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1909. 8-o, str. 134.

Studjum niniejsze zastanawia się szczegółowo nad znaczeniem, metodami i dotychczasowymi wynikami statystyki wędrowek. Przedmiot jej stanowią wszakże te tylko wędrowki ludności, które mają przedewszystkiem znaczenie demograficzne, a nadto są objawem stosunków ekonomicznych i socjalnych, czasem także politycznych pewnych terytoryów. Nie miejsce tu zatem na ruch podróźnych w celach turystycznych, kupieckich, przemysłowych i służbowych. Również nie należy do zakresu statystyki wędrowek przenoszenie jednostek lub całych grup jednostek ludzkich w drodze przymusowej deportacyi, więzienia, rozłożenia wojsk i t. p. Z tych samych powodów wyłącza też autor z tej dziedziny objawy tego rodzaju, jak wałęsanie się bez celu lub wędrowki hord koczowniczych, ograniczając statystykę wędrowek dla cyfrowego ujęcia tych wszystkich, z dobrowolnie powziętego posta-



nowienia wynikających, objawów ruchu ludności, które powstają wskutek wędrówek tej ludności w obrębie granic lub też poza granice pewnej jednostki administracyjno-politycznej, gospodarczej, etnograficznej lub geograficznej, obejmującej swym obszarem dotychczasowe miejsce pobytu emigrantów, a to bez względu na to, czy z tym ruchem łączy się powzięty zamiar stałej czy tylko czasowej zmiany dotychczasowego miejsca pobytu.

W zakreślonych w ten sposób statystycznych badaniach wędrówek autor ma na oku cel podwójny: ujęcie cyfrowe wędrówek ludności dla poznania ich morfologii, tudzież rozłożenia tego rodzaju ruchu ludności na takie części składowe, by na ich podstawie wyświetlić znaczenie wędrówek dla demografii. Stara się on przeto wy badać z jednej strony szczegóły, badane zwyczajnie podczas statystycznego ujęcia tak stanu ludności, jak i zmian w tym stanie, wywoływanych przez urodzenia, zgony, małżeństwa, z drugiej zaś strony uwzględnić pewne szczególne momenta, wynikające z istoty samych wędrówek.

Do pierwszych należą obok imienia i nazwiska poszczególnych jednostek, płeć, wiek, miejsce urodzenia, narodowość (język), przynależność państwowa, religia, stan cywilny, stopień oświaty, zawód i stanowisko, zajmowane w tym zawodzie; drugie obejmują dotychczasowe miejsce zamieszkania, cel wędrówki (państwo, kraj, gmina), jej rodzaj (stała, czasowa) i ewentualnie jej przyczyny, dalej czy dana jednostka wędruje sama lub z rodziną, wreszcie, który raz wychodzi na wędrówkę. Również wchodzi tu w rachubę zasób pieniędzy, wywożonych przez wychodźców, względnie przez emigrantów.

Autor omawia szczegółowo wszystkie te zjawiska ze stanowiska statystyki porównawczej, o ile statystyka ta do tych porównań należyta daje podstawę, wskazując przytem na szereg ważnych w tym względzie momentów.

Płeć przedstawia bardzo ważny czynnik także ze względu na analizę danego ruchu wychodźczego. Wzajemny stosunek obu płci pośród emigrantów pomaga często do rozpoznania jego istoty, gdyż wychodźcy, idący na stałe osiedlenie, biorą z sobą zazwyczaj także i swoje rodziny, względnie sprowadzają je potem z ojczyzny. Przy emigracji czasowej, zwłaszcza zamorskiej, w zasadzie płeć męska poważną cyfrą przeważa nad kobietami bez większych wahań, nadając zarazem samemu ruchowi charakter emigracji jednostkowej w przeciwstawieniu całych rodzin.

Wędrówki obejmują przedewszystkiem żywioty, przedstawiające największą siłę w uwarstwieniu ludności według wieku

i tu znaczenie statystyki wieku wychodźców, względnie imigrantów, dla demografii wystąpi w całej pełni. Jeżeli mamy do czynienia z emigracją stałą o charakterze kolonizacyjnym, w której uczestniczą całe rodziny, to będziemy widzieli wśród wychodźców, obok osób w sile wieku, także i dzieci, przeciwnie zaś przy wychodźstwie czasowem, zarobkowem emigrują prawie wyłącznie jednostki, będące w pełni sił, a więc w średnim wieku.

Kwestya przynależności państwowej i narodowości jest, ze względu na ruch emigracyjny, o tyle ważna, że w niej można często znaleźć wyjaśnienie przyczyn i dróg badanej wędrówki. Stosunki ekonomiczne, polityczne i t. d. mogą rozmaicie wpływać na ruch emigracyjny i często można się doszukać przyczyn stałości lub czasowości wychodźstwa z pewnego państwa właśnie w danych, dotyczących narodowości emigrantów. Typowym przykładem może być Irlandya, gdzie masowa emigracya, wywołana przyczynami politycznymi i socyalnymi, pociągnęła za sobą obniżanie się cyfry ludności. Ze stanowiska statystyki administracyjnej przynależność państwowa i narodowa wychodźców, względnie imigrantów, przedstawia się jako rzecz nie małej wagi i dlatego także, ponieważ wskazuje o ile jednolitość państwowa czy narodowa rozluźnia się pod wpływem wędrówek, czy to wskutek ubytku rodzinnych żywiołów, czy też pod wpływem napływu obcych pierwiastków.

Zróźniczkowanie ludności według wyznania może pod wpływem wędrówek uleść poważnym zmianom, często wywołują one tak daleko sięgające przesunięcia w składzie ludności, że stan jednego wyznania rośnie w siły, drugiego przeciwnie—upada.

Badanie stopnia oświaty emigrantów dotyczy przede wszystkim elementarnej znajomości czytania i pisania. Chodziłoby w tym wypadku głównie o następujące kwestye: 1) czy istnieje jaki związek między oświatą emigrantów a charakterem samego ruchu, 2) czy stopień oświaty oddziaływa na bezpośrednią pobudkę wędrówek, 3) jak wędrówki wpływają na stan oświaty w terytoriach, między którymi się odbywają. W ten sposób statystyka zagłębia się z momentem oświaty emigrantów już w sam rdzeń i istotę badanych wędrówek i opiera je na szerokiej podstawie, gdyż zmierza do uchwycenia związku między wędrówkami a dorobkiem kulturalnym społeczeństwa w najszerszem znaczeniu.

Przy badaniu kierunku wędrówek zajmuje uwagę przede wszystkim punkt początkowy i końcowy wędrówki, to jest miejsce, z którego emigrant wychodzi, i cel jego wędrówki, a wreszcie i pewien punkt pośredni, leżący między dotychczasowem miej-



scem pobytu emigranta a krajem, do którego wychodźca zdąży, wówczas zwłaszcza, gdy fale emigracyjne zatrzymują się chwilowo po drodze, aby dopiero po jakimś czasie podjąć dalszą wędrówkę.

Jednym z najważniejszych zagadnień w problemacie emigracyjnym jest niezawodnie ustalenie charakteru wychodźstwa ze względu na to, czy wychodźca zamierza na stałe opuścić swą dotychczasową ojczyznę, czy raczej myśli do niej powrócić po pewnym czasie. Ma to doniosłe znaczenie dla statystyki obu terytoriów, gdyż w razie wędrówki czasowej, zmiany, wywoływane przez nie w ilościowym i jakościowym składzie ludności, w jej ruchu naturalnym, rozwoju kulturalnym i ekonomicznym, doznają pewnego osłabienia w chwili, gdy się zacznie, względnie, gdy się już dokona ruch powrotny do pierwotnego punktu wyjścia danej wędrówki. Autor w tym względzie dowodzi, że koniecznym jest ujmowanie statystyczne ruchu powrotnego z wędrówek, tudzież wypadków powtórnej emigracji przez statystykę ojczyzny wychodźców, którego uzupełnieniem i kontrolą może być z jednej strony—wyodrębnianie emigracji czasowej według stwierdzonego zamiaru wędrówców, z drugiej zaś — statystyka krajów imigracyjnych, zapisująca wielokrotne przychodźstwo.

Rozróżnienie wędrówców według zawodów jest pożądanę często ze względu na wytlómaczenie przyczyn lub pewnych form emigracji. Autor zwraca tu jednak uwagę na ten ważny szczegół, że emigrant może należeć w swojej ojczyźnie do zupełnie innej grupy zawodowej od tej, do której wstąpi, względnie zamierza wstąpić, na emigracji. Dla statystyki emigracyjnej jest równie ważną rzeczą ująć cyfrowo w ojczyźnie wychodźców osłabienie pewnych grup zawodowych pod wpływem wędrówek, jak i badać, o ile jednostki, należące do pewnych zawodów, przerzucają się na obczyźnie na inne pole pracy, na którym łatwiej mogą znaleźć kawałek chleba. Stanowisko, zajmowane w danym zawodzie jest znów o tyle ważne, że nie tylko pozwala wejrzeć w socyalne ukształtowanie badanej masy emigracyjnej, lecz także może służyć za ważną wskazówkę do poznania charakteru emigracji. Przy emigracji jednostkowej i czasowej będą wędrowały najliczniej jednostki, zajmujące stanowisko samodzielne, natomiast w razie wychodźstwa stałego i w związkach rodzinnych przeważać będą członkowie rodzin bez samoistnego stanowiska.

Bardzo ważne, ale i bardzo trudne do rozwiązania zagadnienie przedstawia pytanie, jakie zasoby pieniężne wywożą emigranci zagranicę. Na kilku momentów zwraca też autor szczególną uwagę. Gotówka, przywieziona przez emigranta do Ameryki,

a wykazywana przez statystykę północno-amerykańską, jest tylko tem „netto“, które mu pozostało po pokryciu kosztów podróży. Autor sądzi wszakże, że statystyka kraju ojczystego z o wiele większym skutkiem może zająć się zbadaniem innych ważnych szczegółów, czy np. wychodźca ma w kraju jakąś nieruchomości, a jeżeli ją miał i pozbył się jej, czy przyczyną sprzedaży była chęć uzyskania środków pieniężnych na wędrowkę i t. p. W ten sposób można śledzić, o ile z wychodźstwem połączone jest mniej lub więcej lekkomyślne wyzbywanie się ojcowizny, względnie o ile wychodźca idzie tylko po to w dalekie kraje, by wrócić z zaoszczędzonym groszem na rozszerzenie dobytku.

Po omówieniu przedmiotów badania roztrząsa autor szczegółowo *metody* badania. Badanie to, jak wszelkie wogóle badanie ruchu ludności, winno się oprzeć na obserwacji ciągłej i bezpośredniej. Gdy ta metoda wszakże nie wszędzie może znaleźć zastosowanie, pozostaje niejednokrotnie tylko obserwacja pośrednia. Jest to metoda wielce niedoskonała, bo usuwa z pod badania samo zjawisko, które ma być zbadane, każąc wnioskować o jego ilościowej wartości i jakościowym zróżniczkowaniu ze znanion innego zjawiska, wnioskowanie to zaś musi się nieraz ograniczać do pewnych cech zewnętrznych, a w ten sposób zmniejszać także siłę prawdopodobieństwa całej konstrukcji logicznej. Jeżeli zaś między temi zjawiskami zachodzi wewnętrzny związek, to wtedy zwykle możliwem będzie tylko stwierdzenie ostatecznego ilościowego wyniku rozwijania się i działania tego zjawiska, o które nam chodzi, bez możności ujęcia jego wewnętrznego zróżniczkowania tak pod względem ilościowym, jak i jakościowym. Typowego przykładu dostarcza właśnie jedna z głównych metod pośredniego badania emigracji za pomocą wyników spisów ludności. Za podstawę przyjmuje się wówczas stany ludności, stwierdzone dwoma spisami, przeprowadzonymi w pewnym odstępie czasu. Ilość mieszkańców, według czasowo wcześniejszego spisu, powiększa się o naturalny przyrost ludności (t. j. nadwyżkę urodzeń nad zgonami), stwierdzony w okresie między dwoma podstawowymi spisami, a następnie porównuje się ze stanem ludności według czasowo późniejszej konkskrypcji. Uzyskaną w ten sposób różnicę określa przyrost, względnie ubytek, ludności pod wpływem wędrowek. Jest to metoda niedoskonała, bo nieznanym pozostaje tu zarówno cel i charakter, jak i drogi wędrowek.

Więszemi zaletami odznacza się metoda, polegająca na posługiwaniu się wynikami statystyki miejsca urodzenia spisanej ludności, a jakkolwiek ma tę wadę, że rozporządza tylko osta-



tecznym wynikiem ruchu wędrownego, stwierdzonym w pewnej chwili, to jednak wadliwość ta może być złagodzoną w dwu kierunkach: za pomocą odpowiedniego ułożenia pytań przy spisywaniu ludności można samo zjawisko wędrówek o tyle oświetlić, że wprowadzenie szczegółów geograficznych rozjaśni nieco kierunek wędrówek tudzież ilościowe napięcie poszczególnych odgałęzień tego ruchu. Wady te mogą być także złagodzone za pomocą połączenia szczegółów geograficznych z szerszem uwzględnieniem czasu przybycia do miejsca pobytu, względnie i opuszczenia miejsca urodzenia w celu wywędrowania.

Te same wady i zalety posiada także statystyka cudzoziemców, spotykamy się tu bowiem z trudnością odróżnienia emigracyi od ruchu podróźnych i tu także usuwają się z pod statystycznego ujęcia te wszystkie wędrówki, które przesuwają się przez dane terytoryum czasowo, w okresie, poprzedzającym chwilę spisania obcokrajowców. Wszakże przez wewnętrzne zróżniczkowanie według płci, wieku, zawodu i t. d. można zyskać podstawę do ściślejszego zanalizowania badanej masy ludności.

Pomocniczym sposobem badania wędrówek może być posługiwanie się statystyką ruchu osobowego zakładów komunikacyjnych i wykazami publicznych i prywatnych biur pośrednictwa pracy tudzież agencji okrętowych.

Wszystkie te jednak metody pośredniego badania statystycznego wędrówek nie mogą dać pełnych wyników. Aby mózdz poznać statystycznie demograficzną i socjalną morfologię wędrówek, trzeba ich badanie oprzeć na bezpośredniem zetknięciu się z obserwowanym przedmiotem, czyli należy przyjąć zasadę zapisywania każdego objawu wędrówki. W tym względzie autor rozróżnia wędrówki wewnętrzne i immigracyę z zewnątrz od wychodźstwa zewnętrznego. Badanie pierwszych powinno polegać na powszechnym i jednolitym katastrze bieżącym ludności, opartym na powszechnym obowiązku meldunkowym. Do ujęcia emigracyi wewnętrznej koniecznym jest złożony system środków technicznych bezpośredniej metody działania. Obok ogólnych wykazów bieżących ludności, konieczne są osobne rejestry emigrantów zewnętrznych, oparte na obowiązku paszportowym. Uzupełnieniem i kontrolą dat, tą drogą zebranych, może być zwłaszcza statystyka immigracyjna tych krajów, do których emigracya dąży, a dopiero następnie obserwacya pośrednia, poczynwszy od statystyki ludności według miejsca urodzenia i statystyki cudzoziemców, prowadzonej w krajach immigracyjnych, a skończywszy na czysto rachunkowem porównywaniu wyników spisów ludności z uwzględ-

nieniem znanego przyrostu naturalnego w przyjętym za podstawę okresie czasu.

Wyzyskanie pierwotnego materiału w ten sposób uzyskane winno obejmować trzy działania: zróżniczkowanie wędrowek za pomocą odpowiedniego łączenia i porównywania różnych grup cyfrowych, uzyskanych z rozłożenia surowego materiału w celu poznania ich demograficznego i socyalnego układu; porównanie rozwoju wędrowek z ruchem naturalnym ludności; zbadanie ich wpływu na rozwój ludności.

Rozpatrzywszy się w ten sposób w przedmiocie i metodach statystyki wędrowek, autor usiłuje dać obraz statystyczny wychodźstwa europejskiego, poprzedzając go zresztą jeszcze kilkoma uwagami krytycznemi na temat materiałów statystycznych, stojących obecnie w tym względzie do dyspozycyi. Stwierdza w tym kierunku przedewszystkiem, że pojęcie emigracyi w dotychczasowych wykazach statystycznych państw europejskich opiera się w zasadzie na czynnikach natury formalnej, tkwiących w odpowiednich urządzeniach administracyjnych. Ponieważ te urządzenia są w różnych państwach odmienne, dlatego też pojęcie „wychodźcy“ jest niejednolite. Obok tej rzeczowej niejednolitości w ujęciu statystycznym wewnętrznego układu emigracyi europejskiej brak też jednolitości czasowej. Nie uwzględnia też ta statystyka ani powrotu z emigracyi, ani też rozróżniania emigracyi stałej od czasowej, a przecież wychodźstwo zarobkowe na sezonowe roboty stało się jednym z najcharakterystyczniejszych objawów obecnych stosunków gospodarczych i społecznych pewnych krajów. Tylko jedne Włochy uwzględniały powyższe dwa rodzaje nowoczesnej emigracyi, jednak od r. 1904 zarzuciły ten podział, tłumacząc to jego niedokładnością. Tymczasem autor dowodzi, na podstawie szczegółowej analizy dat statystyki włoskiej, że założenie, iż emigranci, zaliczeni do czasowych, w zasadzie do kraju istotnie wracają, okazuje się słusznem. Z tą chwilą wszakże staje się też widocznem, że włoska generalna dyrekcya statystyczna miała jakieś inne przyczyny, a nie brak dokładności w dotyczących cyfrach, skoro z r. 1904 przestała w swych wydawnictwach rozróżniać wychodźstwo stałe od czasowego.

Rozpatrując materialną treść europejskiej statystyki emigracyjnej dochodzi autor do przeświadczenia, że wewnętrzne zróżniczkowanie emigracyi europejskiej pozwala rozróżnić pośród państw Europy dwie główne grupy. Jedna z nich to kraje o starej już emigracyi, jak Niemcy, Wielka Brytania i Skandynawia; wychodźstwo z nich traci na sile, chyli się ku upadkowi. I dzi-



wna rzecz, że równocześnie występują w nich te same objawy, jakie zazwyczaj można spotkać w budzącym się dopiero ruchu wychodźczym. Są to mianowicie cechy, właściwe wychodźtwa stałemu: silny udział płci żeńskiej i dzieci. Tem jednak znowu różnią się one od krajów o młodej emigracyi, że miejsce gorączki i bezładu zastępuje pewna równowaga i przezorność; wychodźtwa rozwija się falisto, po silniejszej wędrówce, przeważnie płci męskiej, następuje od czasu do czasu ilościowe osłabienie ruchu, a z niem względne wzmożenie się emigracyi kobiet i dzieci. Zdaje się, że ze zmianą stosunków gospodarczych i socyalnych wychodźtwa z tych krajów przestaje być wędrówką w celach zarobkowych, a przemienia się w emigracyę coraz szczuplejszej liczby osób, szukających wraz z rodzinami w innych krajach stałych podstaw bytu z całą świadomością i rozwagą.

Do drugiej grupy należą Włochy i Austria, a więc państwa, które się obecnie wysunęły na czoło europejskiej emigracyi. Tu falistość wychodźtwa nie występuje już z taką siłą, jak w Niemczech lub Szwecyi. Ale i one już naogół przeszły okres bezładnego i gorączkowego wychodźtwa, przybierając coraz wyraźniej charakter państw o emigracyi zarobkowej.

Pośrodku stoją inne państwa środkowej i zachodniej Europy, zbliżające się charakterem swej emigracyi raczej ku drugiej, niż ku pierwszej grupie.

Emigruje przeważnie ludność rolnicza, po niej służba i wyrobnicy. Jednak zasadniczej różnicy między temi dwiema grupami wychodźców europejskich w rzeczywistości prawie niema.

O ile chodzi o wpływ emigracyi na przyrodzony rozwój ludności europejskiej, to bardzo trudno otrzymać czystą stratę ludnościową, ponieważ wychodźtwa wskutek powrotu pewnej części emigrantów do ojczyzny nie oznacza zawsze w całej swej rozciągłości stałego ubytku. Pewnem jest jednak, że choćby nawet niezbyt długi pobyt dziesiątków tysięcy poza granicami ojczystego kraju musi się po większym przeciągu czasu odbić na stanie i ruchu ludności, a tem samem wychodźtwa europejskie przedstawia w dziedzinie polityki ludnościowej bardzo doniosły problemat.

Budanie tej kwestyi jest niemożliwem bez odpowiedniego podkładu statystycznego. Stąd też opracowanie obecnie ogłaszanych materyałów statystycznych, jak zwłaszcza ulepszenie i pogłębianie administracyjnej statystyki wędrówek, jest postulatem dla życia i nauki bardzo ważnym, a statystyka ta nie powinna się ograniczyć na śledzeniu objawów wędrówek zewnętrznych, ale winna także i wewnętrzne wędrówki obejmować, mimo nie-

wątpliwych trudności technicznych i metodycznych w tym względzie istniejących. A szczegółowa taka statystyka jest tem potrzebniejsza, że wychodźstwo zarobkowe żłobić sobie zaczyna nowe łożyska, by szersze kręgi zatoczyć, nowe obszary ogarnąć i gdy w ten sposób nowe powstają zagadnienia dla nowożytnej polityki emigracyjnej.

Oby „Studia z zakresu statystyki wędrowek,” nacechowane tak wielką ścisłością i erudycją, zapoczątkowały istotnie dalsze badania w tym kierunku, przedewszystkiem w polskiej nauce i nad polskiem wychodźstwem.

DR. ZYGMUNT GARGAS.

LATOSIŃSKI JÓZEF. *Monografia miasteczka Wilamowice na podstawie źródeł autentycznych.* Str. 456. Kraków 1910. Nakład autora.

Jest w Galicyi w księstwie Oświęcimskim niezwykle miasteczko — Wilamowice. Liczy ono 1850 mieszkańców, żyjących głównie z uprawy roli, a kształci 28 swych synów w wyższych i średnich zakładach naukowych krajowych. Mieszkańcy jego mówią do dziś dnia jakimś dziwnym żargonem polsko-niemieckim, niezrozumiałym dla Polaka ani dla Niemca, pomimo to okazywali niejednokrotnie głębokie przywiązanie do ojczyzny; dość powiedzieć, że sześciu z nich walczyło w szeregach powstańczych w roku 1863. Wielką miłość żywią wilamowiczanie i do swego rodzinnego miasteczka; różne bywają ich losy, nieraz życie posunie ich daleko poza ojczyste łąny, nieraz wybiją się na wyższe, na bardzo nawet wysokie stopnie w karierze społecznej, a jednak nie tracą kontaktu ze swemi Wilamowiczami, odwiedzają je, czynią dla nich zapisy i fundacye, starają się w nich złożyć swe kości. Pod tym względem za typowego wilamowiczana uchodzić może ks. arcybiskup lwowski dr. Józef Bilczewski, będący największą chlubą i dumą miasteczka. Każda prawie bytność tego dostojnika w Wilamowicach upamiętniona jest jakąś trwałą pamiątką, wreszcie w roku 1908 arcybiskup funduje tu ochronkę, w której mają dziać nauczać, „że po miłości Boga i kościoła katolickiego idzie zaraz miłość ojczyzny i narodu.“

Muszą się mieszczanie wilamowiccy interesować żywo swą przeszłością, skoro p. Józef Latosiński, od lat trzydziestu kilku nauczyciel i kierownik szkoły wilamowickiej, uważał za stosowne napisać obszerną monografię miasteczka, przeznaczoną specjalnie dla jego mieszkańców. I właśnie sfera czytelników, dla których



przeznaczone jest dzieło p. Latosińskiego, wyróżnia je od wszystkich innych monografii miast i wiosek, jakie posiada nasza literatura. Autor, znając dobrze swych współobywateli, których znaczna część była zapewne jego uczniami, umiał nadać swej książce taki charakter, że musi być ona interesującą dla wilamowiczian, rozszerzając jednocześnie znacznie zakres ich znajomości historii ojczyznej. W monografii Wilamowic umieścił autor biografie wszystkich wybitniejszych wilamowiczian, wśród których każdy z żyjących mieszczan znajdzie niewątpliwie swych przodków i krewnych, a dalej krótką kronikę najważniejszych wypadków, zaszłych w Wilamowicach, doprowadzoną do końca 1909 r., a rozpoczynającą się od roku 1250. Ta kroniczka również może zająć nawet niezbyt skorych do książki czytelników. Ale obok tych rozdziałów, mających czysto lokalne znaczenie, nie brak w książce p. Latosińskiego ustępów, mogących zainteresować szerszy zastęp czytelników. Wilamowice miały wcale interesujące dzieje, z drugiej strony są w tem szczęśliwem położeniu, że przechowało się ich archiwum wiejskie, było więc na czem oprzeć rekonstrukcję ich historii.

Założone w roku 1250 przez niejakiego Wilhelma, otrzymują Wilamowice kolonistów, pochodzących z okolic księstwa Schaumburg-Lippe. Pierwszym znanym ich dziedzicem był Zdzisław, wspomniany w dokumencie z r. 1377, od r. 1423 pozostają w posiadaniu rodziny Biesów, herbu Kornicz, którzy wprowadzają w nich husytyzm. Od r. 1490 do 1605 należą Wilamowice do rodziny z Gierałtowic Szaszowskich. Rodzina ta zaprowadza w nich kalwinizm. Niedługo on jednak utrzymuje się w Wilamowicach. W r. 1626 wprowadzają nanowo wiarę katolicką ówcześni dziedzice Korycińscy. To przywrócenie katolicyzmu odbyło się w sposób wielce charakterystyczny. Oto, według zapisek ks. Jana Fijałka, plebana wilamowickiego († 1826): „Jaśnie W-ny Pan Krzysztof Koryciński, kasztelan wojnicki i kapitan (*sic*) gniewkowski, mąż roztropny, pobożny i nieśmiertelnej chwały godny, kiedy się dowiedział, iż poddani jego w Wilamowicach przyznają się do religii kalwińskiej, przybywszy do Wilamowic, zwołał wszystkich mieszkańców i napominał ich surowo, aby się nawrócili do wiary ojców swoich, a jeżeliby się kto znajdował nie chcący tego uczynić, tedy zaraz ma Wilamowice opuścić, bo Jaśnie Wielmożny Kasztelan deklarował, że żadnego kalwina cierpieć nie będzie. Taka mowa i ostra deklaracya wielkie wzruszenie w poddanych jego sprawiła, nawrócili się do wiary świętej katolickiej i bardzo mało zostało ich w uporze swym przy religii kalwińskiej. Jedu

tylko Gerstman nie chciał nawrócić się, musiał opuścić gospodarstwo i udał się do Komorowic. Gdy i reszta upartych unarła, zgasła zupełnie ta przewrotna sekta, a ostatnim sekty kalwińskiej wyznawcą był Matys Nonkis.“

Po wygaśnięciu rodu Korycińskich Wilamowice przechodziły kolejno w ręce Kalinowskich, Morsztynów, Łętowskich, Czernych, Szembeków, wszystkie te rody, z wyjątkiem Szembeków, po ojcowsku miały się obchodzić z wilamowiczaniem. Wieś tymczasem wzrastała w zamożność, dzięki rozwijającemu się tam coraz bardziej tkactwu, którego znajomość przynieśli wilamowiczanie przed wiekami ze swej pierwotnej ojczyzny; w początkach XIX wieku gromada wilamowicka jest już tak zamożną, iż postanawia wykupić się z poddaństwa i nabyć dobra wilamowickie. W roku 1808 zebrano potrzebne na ten cel 30,000 zł. reńskich i transakcyja została dokonana. Odtąd rządzi Wilamowicami wójt, będący zarazem reprezentantem dominium wraz z przysiężnymi. W osiem lat po uzyskaniu uwolnienia od poddaństwa, Wilamowice otrzymały prawo miejskie. W r. 1845 pomyślność miasteczka dochodzi do szczytu, liczy ono 2030 mieszkańców. W latach następnych zaczyna miasto nieco upadać; tkacze miejscowi bowiem nie byli w stanie wytrzymać konkurencyi z przemysłem fabrycznym. W ostatnich czasach tkactwo w Wilamowicach zaczyna się znów podnosić, do czego przyczynia się głównie założenie krajowego warsztatu dla nauki tkactwa.

Takie są koleje Wilamowic, opowiedziane przez p. Latosińskiego w jego interesującym dziele. Wątpić nie można, że praca ta spełni swe zadanie, t. j. nawiąże jeszcze silniejsze węzły między wilamowiczaniem a ich krajem rodzinnym.



## Kronika miesięczna.

Rewizya spraw katolickich, jej rezultaty i możliwe następstwa. — Statystyka samobójstw. — Groźne cyfry. — Samobójstwa dzieci i młodzieży. — Brak środków zaradczych. — Jubileusz Towarzystwa Szkoły Ludowej w Galicyi. — Rezultaty dwudziestoletniej działalności. — Kronika teatralna.

Jednym z ogniw współczesnej polityki nacyonalistycznej jest stosunek podejrzliwy do Kościoła katolickiego. Nie dlatego bynajmniej, aby nacyonalisci rosyjscy byli szczególnie przeciwnikami Kościoła, jako takiego, chociaż i ten motyw odnaleźćby można, ale przede wszystkim dlatego, że olbrzymią większość katolików w państwie stanowią Polacy, mamy więc do czynienia z nowym na nas ze znanej strony atakiem. Źródła tej niechęci wyznaniowej należy szukać w następstwach Manifestu tolerancyjnego, kiedy dziesiątki tysięcy unitów powróciło na łono Kościoła katolickiego, pomimo licznych przeszkód, jakimi obstawiała praktyka biurokratyczna stosowanie tego Manifestu. Zarzuty agitacyi katolickiej były z tej strony równie częste, jak ze strony interesowanych niecierpliwie zarzuty opieszałości w wykonywaniu formalności powrotu do dawnej wiary, a to porównanie określa już ich słuszność i ich ściśłość. Pobudki do akeyi dostarczyła głośna sprawa ks. Wiercieńskiego w Moskwie, sprawa rozdęta, nie dość jasna i dlatego nie omawiana w swoim czasie na tem miejscu. Spowodowała ona dokonaną z rozkazu jeszcze zmarłego premiera rewizyę konsystorzy katolickich w państwie, w Petersburgu, w Warszawie, w Wilnie i w Żytomierzu; rezultaty tych rewizyi ogłoszone zostały niedawno za pośrednictwem biura informacyjnego i wśród ludności katolickiej wywołały obawy nowych represyi, tembardziej, że następstwem rewizyi mają być nowe przepisy, które opracowuje jakoby naczelnik wydziału wyznań obcych, A. Tiażelnikow.

Przypatrzmy się zgromadzonemu przez rewizję materyałowi. Odrzućmy odrazu—jako błahą—tę grupę zarzutów, która dotyczy niedokładnego prowadzenia ksiąg metrycznych, zaniedbywania opłat stemplowych, nieodpowiedniego prowadzenia ksiąg rachunkowych i t. p., są to bowiem wypadki pojedyncze nieporządków, zdarzających się we wszystkich urzędach, a nie tylko specjalnie w konsystorzach katolickich. Co do pozostałych—powiedzmy odrazu ogólnie i na wstępie, że komunikat biura podaje je zbyt ogólnikowo i gołosłownie, nie stwierdzając w żadnym oddzielnym wypadku, że w takiej, czy innej parafii, w danej dacie wykryła rewizya jakiś fakt karygodny. W tej formie komunikat o rezultatach rewizji jest stekiem zarzutów, które oddawna obijają się o uszy nasze i rosyjskie, wypracowaniem kliszowem, od warunków czasu i przestrzeni zgoła niezależnem. Gdybyśmy zaś mieli przed sobą chociaż jeden fakt, moglibyśmy mówić o zarzutach incydentalnych, których przeciwieństwo żadną miarą uogólniaćby nie należało, gdyby można było przypuszczać dobrą wolę ze strony rewidujących.

Oto zarzut pierwszy dotyczy używania wbrew prawu języka polskiego zamiast państwowego w korespondencyi urzędowej. Ze zarzut to dziś nieprawdziwy, o tem świadczy pamiętany jeszcze przez wszystkich okólnik generał-gubernatora warszawskiego na skutek uwagi senatora Neudhardta. Drugi zarzut, że „duchowieństwo uchyla się od prawnych rozporządzeń ministerjum,“ jest zupełnie bezprzedmiotowy, dopóki nie mamy określenia, o jakie mianowicie rozporządzenia chodzi rewidentowi. *A priori* zresztą każdy nieuprzedzony przyznać musi, że nieprawdopodobne jest uchylanie się od rozporządzeń władzy, która posiada prawo sankcyi.

Następny zarzut, że rewizya wykryła tendencye do „łączenia spraw duchownych Kościoła katolickiego ze sprawą narodową polską,“ jest tak stary, jak przyłączenie Polski do Rosyi. Wzięty od strony dobrej wiary jest tylko innem sformułowaniem faktu, że olbrzymią większość katolików w państwie stanowią Polacy, równomiernie przywiązani do wiary katolickiej, jak do swojej narodowości, co chyba nikomu przeszkadzaćby nie powinno. Ale tu oczywiście nie o to chodzi, lecz poprostu o język przy nabożeństwach dodatkowych. Źródła tego zarzutu szukać, niestety, trzeba także i w skargach niektórych grup litewskich, wnoszonych do rządu na rzekomą polonizacyę. Te starania i skargi mogą służyć za pozór, ale celem ukrytym jest zastąpienie języka polskiego rosyjskim, nie białoruskim, lub rusińskim, czy litewskim; a dążenie to przykrywa się płaszczykiem obrony interesów naro-



dowych tych grup, ba, nawet interesów narodowych tych nielicznych Rosyan rodowitych, którzy należą do Kościoła katolickiego i prawa te posiadają. Wartoby tu pamiętać, że tego rodzaju polityka na dłuższą metę posiada właściwości wprost przeciwne przymiotom włóczyń Achillesa. Jeżeli zaś chodzi o sprawy narodowe w łonie Kościoła, to ten właśnie, jako międzynarodowy, równą je otacza opieką, a dowodem pośrednim odwieczne trwanie mniejszości narodowych, wiarę katolicką wyznających.

Idźmy dalej. „Dążenie do zagarnięcia przez księży oświaty szkolnej”—jest w praktyce o tyle niemożliwe, o ile oświatę tę w mocnej dzierży ręce rząd centralny i jego organy, wpływanie zaś i oddziaływanie moralne na dzieci i młodzież w kierunku katolickim wchodzi w zakres bezpośrednich obowiązków księdza; po to on jest poprostu. „Dążenie do poddania kierownictwu duchowieństwa partyi politycznych“ i „systematyczne wywieranie wpływu na wiernych dla osiągnięcia celów politycznych”—to są zarzuty w formie zupełnie niejasne, o ile konkretnie nie wskazano, o jakie partie polityczne i o jakie cele polityczne chodzi. Księża, jako jednostki, należą u nas do wszystkich stronnictw, w założeniu Kościołowi nie wrogich; były próby założenia stronnictwa czysto katolickiego, ale się nie powiodły. Oto wszystko, o czym my wiemy,—a o ile stronnictwa mają istnienie legalne, to chyba księża nie są od korzystania z legalnych instytucji wyłączeni.

Przez „zakładanie narodowych organizacyi polskich“ rozumieją zapewne autorowie rewizyi uczestnictwo duchowieństwa w pracach kulturalnych zapewne, w wielkich oczach stracha „organizacyą narodową polską“ może być i kółko rolnicze, i sklep współdzielczy, i towarzystwo kredytowe, ale te instytucye ekonomiczne mają również żywot legalny i możność wybierania sobie kierowników zapewnioną. Że w liczbie tych kierowników spotykamy dość liczny zastęp księży, to dowodzi tylko, że zdołali sobie zaskarbić zaufanie i nikt niema prawa pozbawiać ich możności korzystania z tego zaufania.

Co rewidenci rozumieli przez zarzut „urządzania tajnych szkół polskich”—to odkrywa późniejszy już komunikat agencji, świadczący, że rewidenci są już przy pracy zakazodawczej. Odpowiedni okólnik dotyczy spraw jaknajbardziej wewnętrznych Kościoła katolickiego, bo nauki religii i moralności „wykładów dogmatów Kościoła i modlitw w lokalach prywatnych.“ Okólnik stwierdza, że „wspólne nauczanie dzieci katolików modlitw i dogmatów Kościoła rzymsko-katolickiego poza zatwierdzonemi przez władzę zakładami szkolnymi, winno być odniesione do kategorii

nauczania tajemnego we wszystkich wypadkach, gdy ma ono charakter systematycznego wykładu.“ Okólnik robi wyjątek dla katechizacyi. Każdy katolik jednak dobrze wie, że katechizacya to znów nie jest systematyczna i wyczerpująca nauka religii i jej zasad. I co do katechizacyi zaś widocznie zamierzone są jakieś środki, bo okólnik poleca wszystkim zarządzającym dyecezyami, a więc biskupom lub ich zastępcom, w razie sediswakancyi, aby dostarczyli wymienionych aż w sześciu punktach szczegółów o odbywaniu katechizacyi. Są tam takie szczegóły, na które nawet w większej części wypadków odpowiedź ścisła nie będzie możliwa. Pomimo tego wyjątku rozporządzenie to jest bardzo ciężkie dla rodziców, którzy uważają wykład religii w szkole za niedostateczny i chcieliby go w domu dopełnić. Wkracza przytem bezpośrednio w dziedzinę ograniczania nauczania wiary, co chyba jest sprzeczne w założeniu ze stanowiskiem Kościoła, uznanego urzędownie przez państwo.

Pozostałe zarzuty są natury już bardziej kanonicznej. Więć, że biskupi komunikują się bezpośrednio z Kuryą rzymską, podczas, gdy to jest wręcz nieprawdziwe i niemożliwe; a jeżeli chodzi o bezpośrednie komunikowanie się osobiste z kołami watykańskimi, o podróże *ad limina apostolorum*, to wszakże na te podróże otrzymują biskupi paszporty urzędowe, czyli udają się do Rzymu za wiedzą rządu. Dalej—„przeciwdziałanie małżeństwu mieszanym prawosławnych z katolikami“ leży zupełnie w zakresie obowiązków księdza katolickiego; wprawdzie komunikat dodaje „przez użycie gwałtu duchownego,“ ale fakty podobne istnieją tylko w postaci plotek małomiasteczkowych. Wreszcie co do zarzutu komunikowania się duchowieństwa w Rosyi z zakonem jezuitów zagranicą w celu rozpowszechnienia ich działalności w Rosyi, to ten opiera się jedynie na niepewnym gruncie sprawy ks. Wiercieńskiego w Moskwie, a cienia żadnych innych faktów nie ujawniono.

Tak się przedstawia komunikat o rewizyi spraw katolickich w świetle krytyki. W krytyce chodzi o wyrobienie sobie o całej sprawie własnego zdania, a oczywiście nie o oddziaływanie na opinię przeciwników, która jest opancerzona od wszelkich argumentów chęcią uderzenia, a, jak wiadomo, kto chce uderzyć, narzędzie zawsze znajdzie. Narzędziem, następstwem rewizyi, może być nie prawo, które musiałoby przejść różne instancje, a może nawet stanąć w sprzeczności z Manifestem tolerancyjnym, lecz szereg przepisów ograniczających, w których każdemu zarzutowi odpowiadałby odpowiedni zakaz. Stworzyłoby to nieznośną atmo-



sferę ograniczeń swobody osobistej i wyznaniowej, której istnienia wyobrazić sobie trudno. A przecież tutaj wszystko jest dziś możliwe.

W całej tej nowej akcji antypolskiej, w stronę Kościoła tym razem zwróconej, rząd i jego agenci zapominają o tem, jakim Kościół jest potężnym czynnikiem zachowawczym. Osłabiając jego powagę, ograniczając swobodę jego przedstawicieli, prowadzi się tem samem pracę w imię rozstroju, dla anarchii. Jest to posiew wiatru, który burzą plonuje.

\*

\*

\*

Statystyka Pogotowia Ratunkowego podaje groźne cyfry, dotyczące samobójstw, cyfry ścisłe, niższe, nie wyższe od rzeczywistości, nie we wszystkich bowiem wypadkach wzywana jest instytucya do pomocy. W roku ubiegłym 584 osoby targnęły się na swoje życie, a liczba ta wynosi 5.7 proc. ogółu wypadków. Tymczasem, biorąc procentowo, odpowiednia liczba wynosiła 3.5 w r. 1897, spadła do 1.9 i 1.5 w latach 1900 i 1901, a od tego czasu stale się wznosi do 3.9 w r. 1907, 4—w r. 1908, 4.7 w r. 1909 i w wreszcie 5.7 w r. 1910. Świadczy to wymownie, że samobójstwa szerzą się, innemi słowy, że wznaga się niezadowolenie z życia, a równomiernie słabnie odporność na niedolę, doprowadzającą do tragicznego rozwiązania.

Jeżeli zamiast stosunku procentowego weźmiemy cyfry absolutne, to okażą się jeszcze bardziej zastraszające. W r. 1907 było 265 samobójstw, w r. 1908—293, w r. 1909—366, w r. 1910—564; na przestrzeni dwóch lat ostatnich liczba samobójstw podwoiła się prawie. Nie można przypisywać tego zjawiska zawodom i wykojeniom, spowodowanym przez t. zw. rewolucję, skoro na dwa lata ostatnie przypada najwięcej samobójstw; przyczyny muszą leżeć głębiej i gdzieindziej.

Zauważmy przedewszystkiem, że kobiety popełniają samobójstwa częściej, niż mężczyźni, jakkolwiek i ten stosunek w latach ostatnich uległ zmianie: w r. 1907 na stu samobójców przypadało 37 mężczyzn i 63 kobiety, w dwóch latach ostatnich—46 mężczyzn i 54 kobiety. Największa ilość samobójstw przypada na październik, listopad i grudzień; odpowiada to zarówno uczu-

ciowym, jak ekonomicznym powodom. Z jednej strony zawody miłosne stosunków, zawartych wiosną i latem, z drugiej—obawa nędzy przed zbliżającą się zimą. Względy ekonomiczne przeważają zresztą coraz bardziej; dawniej główną przyczyną były zawody sercowe, dziś—nędza lub obawa nędzy. Nie będziemy zbyt dalecy od prawdy, gdy do tej ostatniej przyczyny odniesiemy znaczne przewyżki obu ostatnich lat nad poprzednimi. Nic w tem dziwnego: coraz trudniej zapracować na utrzymanie, coraz ciężej, bo coraz drożej żyć; niewątpliwie fale t. zw. rewolucyi osadziły na mieliznach życiowych wielu wykolejeńców, do pracy niezdatnych; zmniejszenie personelu fabryk i zakładów przemysłowych z powodu stagnacyi chwilowej odegrało także swoją rolę.

Szerzą się samobójstwa nie tylko wśród ludzi dojrzałych; brak odwagi życia młodzieży, nawet dzieciom. Pogotowie zanotowało w r. 1909—11 zamachów samobójczych dzieci, w r. 1910—6 wypadków podobnych, ale tu stanowczo liczby są o wiele niższe od rzeczywistości. Niedawno uwagę powszechną zwrócił fakt usiłowania odebrania sobie życia, powzięte zbiorowo postanowienie czterech uczniów gimnazjum prowincjonalnego, z których jeden tylko tragiczny zamiar do skutku doprowadził. Nie u nas jedynie zwracają uwagę podobne zjawiska. Częstsze muszą być na obszarze państwa rosyjskiego, skoro dały asumpt do okólnika ministryum oświaty, nakazującego podwładnym organom komunikowanie o każdym podobnym wypadku, z podawaniem szczegółowych o nim danych i okoliczności. W r. 1905 były w Rosyi 53 samobójstwa dzieci i młodzieży, w r. 1906 już 88; późniejszych danych nie posiadamy, ale z pewnością twierdzić można, że cyfry wzrosły. Najwięcej było samobójstw młodzieńców w wieku 17—18 lat, ale odbierały sobie życie także i dzieci jedenastoletnie! Wśród przyczyn niewielkie miejsce zajmują złe postępy w naukach (4 wypadki), chociaż pozornie zdawałoby się przeciwnie; najwięcej spowodował rozstrój nerwowy (6), ale w liczbie przyczyn many reprezentowane dość poważnie i zmęczenie życiem (4)! u dzieci jeszcze! W Prusach gorzej: w ciągu czterech lat 1894—1898 odebrało sobie życie 1,708 dzieci w wieku szkolnym; w Saksonii jeszcze gorzej: w r. 1900 jedno samobójstwo dziecka przypadało na sto samobójstw wogóle; w r. 1902 przypada już jedno na 42 dorosłych! Badacze niemieccy przypisują przyczyny nadmiernemu rygorowi szkolnemu; wymieniono nawet straszne wyrazy: obawa szkoły! We Francyi w ciągu lat trzech, 1900—1902, zanotowano 179 wypadków samobójstw dzieci do lat szesnastu i 1,154 wypadki samobójstw młodzieży od 16—21 lat; tu jest le-



piej, ale powraca ta sama przyczyna nauki, ale nie od strony szkoły, lecz od strony rodziców. W porównaniu zatem z Europą jest u nas może nieco lepiej, ale słaba pociecha, skoro jest i tak źle.

Ze stanowiska psychologii jednostki samobójstwo jest najstraszniejszą tragedią, bo pogwałceniem najbardziej elementarnego instynktu samozachowawczego i przemożeniem obawy śmierci. Ze stanowiska socyologicznego nie chodzi o ilość ludzi, którzy w ten sposób kończą, ilość to bowiem zawsze nieznaczna; ale samobójstwa są wyrazem najbardziej krańcowym braku odporności w stosunku do ciosów życia i w tem znaczeniu wzmożenie ich ilości świadczy o zmniejszeniu odporności w bardzo szerokich sferach, a cóż wart naród i jego przyszłość bez tej odporności, zwłaszcza naród jak nasz, podległy zbiorowym ciosom zewnętrznym i skazany na szare życie wewnętrzne, bez nadziei? Dla publicysty straszna to klęska, tem straszniejsza, że niepodobna spełnić obowiązku, niepodobna wskazać środków zaradczych poza komunałami.

Znamy przyczyny. Więc zawiedziona miłość. Choćbyśmy z tysięcy kazalnicy i trybun głosili, że miłość jest w życiu tylko epizodem, że jak wszystko na świecie przemija i dziś ukochany czy ukochana staje się jutro lub pojutrze obojętnym—czy zmieni to fakt pragnienia szczęścia, wzajemności, bezpośredniego połączenia, pragnienia aż do bólu, aż do wieczystego zapomnienia? Więc — u kobiet — następstwa miłości. Bez względu na taki czy inny stosunek przekonaniowy do panien-matek i do dzieci nieślubnych, czy zdołamy uspokoić obawy, zmienić wiekami wytworzony obyczajowy stosunek społeczeństwa do tych zagadnień, czy zdołamy usunąć prześladowanie? Więc — nędza. Wyliczymy wszystkie instytucje filantropijne i pomocnicze, wyliczymy drugie tyle podobnych, które założyćby należało; czyż realnie możemy się ludziom, że wszystkich głodnych nakarmimy, że bezdomnym zapewnimy ogniska, poszukującym damy je? Nie i nie — i stąd bezradność.

Zwiększenie ilości samobójstw świadczy o osłabieniu zdrowia społeczeństwa. Trzeba mu je zapewnić; trzeba wyrabiać od dziecka odporność na nieszczęścia i radość życia — zdrowie moralne i fizyczne; czy zdołamy? Niewątpliwie jedną z przyczyn jest brak wiary, istotnej pocieszycielki nieszczęśliwych i strapionych. Faktem jest, że ten brak wiary szerzy się w zastraszający sposób. Nie możemy, współdziałamy zaradzeniu złemu, ale sprawa wysuwa się z pod naszej kompetencji; inne są do tego organy.

Jeżeli samobójstwo człowieka dojrzałego jest tragedią wewnętrzną, o ile straszniejszą jest samobójstwo dziecka lub młodzieńca, chociażby nawet chłodny badacz rzucił pytanie, czy byłby dzielny człowiek z tego, który nie zniósł dwójki czy zdrady ukochanej pensyonarki. Kiedy jakiś głośny fakt zmąci stojące wody obojętności, różne sypią się uwagi i rekryminacye, padają słowa między innymi o rygorze szkolnym, o rygorze domowym. Gdyby te przyczyny działały istotnie, liczba wypadków musiałaby zmniejszać się, nie zwiększać, rygor ten bowiem był dawniej o wiele mocniejszy, niż dziś. Powrócić więc znowu wypadnie do braku odporności, jako przyczyny ostatecznej. I zastanowić się, czy czasem pewnej winy nie ponosi tu pedagogika współczesna.

Stulecie, w którym zwiększa się ilość samobójstw wśród dzieci i młodzieży, nazwano stuleciem dziecka; co za mimowolna a gorzka ironia! Nazwano je tak z powodu zajęcia się przeważnego duszą dziecka, badaniem jej, pielęgnowaniem—życie poszło w ślady nauki. Biedne dzieci po staremu tułają się bez opieki, ale w klasach średnich i zamożnych dziecko stało się despotycznym ośrodkiem życia. Z tak częstą przesadą odwrócono rolę; dom — ognisko rodziny całej — przystosowano do potrzeb dzieci, rodzice usuwali się w cień, stając się pierwszymi ich sługami, budząc przez to egoizm i nadmierne o sobie rozumienie. Kiedy tak kształcone i chowane w domu dzieci stają się pyłkami w tłumie szkolnym czy później życiowym, mają naturalnie pretensye do całego świata o adoracyę, której były przedmiotem. Mimowolne okrucieństwo otoczenia obojętnego staje się w takich wypadkach stokroć dotkliwsze i prowadzi do zniechęcenia, do zawiedzionych nadziei — pospolitych dziś wśród całej młodzieży — a w wyjątkowych wypadkach do tragicznego końca.

Taki koniec zdarza się tylko wśród dzieci i młodzieży klas średnich. A więc nie działa tu czynnik, najbardziej usuwający się od naszego oddziaływania, — głód i nędza. Więc łatwiej złemu zaradzić. Trzeba nacisk największy położyć na uodpornianie młodych dusz i organizmów, uodpornianie fizyczne i moralne, przyzwyczajanie do znoszenia bólów i trosk, bo te wplatają się nieustannie w szare, zwykłe życie, trzeba strzedz dzieci od rozwoju egoizmu, budzić w nich instynkty społeczne, budzić radość życia, nie rozdelikacąc nadmiernymi względami i opieką. Usuniemy wtedy przyczyny zła, nie tylko wyjątkowe wypadki tragiczne, ale i ogólny nastrój zniechęcenia, którego są najjaskrawszym objawem i wykwitem.



Dwadzieścia lat minęło od chwili, kiedy znakomity poeta, w zaraniu młodości działacz polityczny, skupiający przez czas krótki w rękę swoim nici sprzysiężenia, rzucił hasło szerzenia oświaty polskiej wśród ludu, szerzenia jej szczególnie tam, gdzie w okolicach o ludności mieszanej kulturze polskiej groźny zalew zagraża. Pamiętny wskazań większego towarzysza, by „przed narodem nieść oświaty kaganiec,” pomny własnych wytycznych, by „z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe,” a nie stroić się „w uwiedłych laurów liść,” założył inicjatywą swoją podwaliny gmachu, który wyrósł potężnie, instytucyi, która zadania swoje dzielnie i owocnie spełnia.

Przy osiwiatym pocię skupiła się garstka młodzieży uniwersyteckiej. I to był związek „Towarzystwa Szkoły Ludowej.” Ale był grunt do pracy, były warunki sprzyjające, studenci wchodzili w życie, stawali się coraz poważniejsi, nie zniżając lotu i ducha nie gasząc, z wszechnic nowe coraz płynęły szeregi, kierownicy i szeregowcy, zapatrzeni w cel główny, umieli zapomnieć o dzielących ich różnicach, ominąć rafy wartkich prądów politycznych. A naród zbiera dziś owoce tej pracy. Owoce, streszczone w sprawozdaniu za dwudziestolecie, wielkiemu twórcy poświęconem, a przez sekretarza głównego, d-ra Maryana Stępowskiego napisanem. Są to cyfry, suche cyfry tylko, ale jakże wymowne!

Towarzystwo Szkoły Ludowej liczy obecnie 30 tys. członków, złączonych 277 kół i 17 związków okręgowych, a na cele swoje w ciągu minionych lat 20 uzyskać potrafiło od społeczeństwa około 5 milionów koron. Pozatem istnieje znany dar grundwaldzki, na który zadeklarowano już koło 1½ mil., a złożono przeszło pół miliona. Budżet roczny instytucyi wynosi około dwóch milionów koron. Po latach dwudziestu, utrzymuje Towarzystwo w tej chwili na zachodnich i wschodnich kresach dwa gimnazya, dwa seminarya nauczycielskie, 5 szkół t. zw. wydziałowych, 148 szkół ludowych, 100 szkółek początkowych, 113 kursów dla dorosłych analfabetów, 40 kursów zawodowych, 18 ochronek, 18 burs, 27 domów ludowych, razem 472 różnego typu zakładów. W szkołach, przez T. S. L. założonych, pobiera naukę 18,429 młodzieży, która niechybnie skazana byłaby na wynarodowienie. Równoległe z tem toczy się szeroka akcja w kierunku oświaty pozaszkolnej. Rozmiary jej są równie poważne. Określa je cyfra 1,995 czytelników i biblioteczek, 7,991 odczytów, wygłoszonych w jednym roku przez wędrownych prelegentów. Czytelnie mają z górą 300,000 dzieł. Dodać do tego należy obchody narodowe, widowiska sceniczne,

organizację wycieczek gromadnych do Krakowa, organizację sprzedaży książek na odpustach i jarmarkach, znakomitą organizację wypożyczania przezroczy do illustrowania odczytów, wydawnictwa kalendarzy i książek popularnych, nakoniec wydawnictwo wybornego „Przewodnika Oświatowego,“ aby uzyskać przybliżony obraz tej wielkiej pracy, jaką Towarzystwo spełnia.

Dwa są główne ogniska działalności: kresy wschodnie i zachodnie.

W Galicyi wschodniej, gdzie wśród 4.8 milionów ludności Polacy stanowią 40 proc., najliczniej są rozsypane koła i kółka T. S. L. Na pierwsze miejsce wysunęło się tu koło w Tarnopolu, które założyło i prowadzi 3 szkoły handlowe, bursę, bibliotekę publiczną, uniwersytet ludowy, muzeum ziemi podolskiej, biuro porady prawnej, 39 szkół początkowych, 12 kursów dla analfabetów, 130 czyteln. Na zachodzie środek ciężkości działalności T. S. L. leży w Białej, która wraz z Bielskiem, leżącym naprzeciw po drugiej stronie rzeki, stanowi jeden z większych centrów fabrycznych w Galicyi. T. S. L. utrzymuje tu gimnazjum realne, seminarium nauczycielskie i szkołę ludową i wydziałową, oraz szkoły w wioskach pobliskich Leszczynach i Hołenowie i stąd posuwa się na Śląsk i Morawy.

Praca na kresach zachodnich jest nietylko organizowaniem szkół, co rozpoczęła już Ślązka Macierz szkolna, ale ciągłą walką z niemieckim Schulvereinem i czeską Maticą Skolską. Szkoły muszą stać na wysokości tej samej, co czeskie i niemieckie, ażeby przyciągnąć dzieci i rodziców, którzy oddają często pierwszeństwo wzorowo prowadzonym szkołom czeskim i niemieckim. Postulatem ważnym było stworzenie szkół średnich, aby wychować polską inteligencję, któraby prowadziła dzieło polskiej oświaty wśród ludu. Oprócz gimnazjum polskiego w Cieszynie, którego upaństwowienie tyle kosztowało trudów, stworzono przeto gimnazjum realne im. J. Słowackiego w Orłowej. W Radwanicach i Herzmanicach założono szereg szkół ludowych i ochronek. Na Morawach, w Morawskiej Ostrawie i Czechowicach, założone szkoły wydziałowe, szkoły ludowe i ochronki w Przywozie, Maryańskich górach, Witkowicach i t. d. świadczą o niesłabnącej pracy i ruchliwości Towarzystwa.

Ogółem, w zakładach naukowych T. S. L. pobiera naukę 14,000 młodzieży płci obojej. Najczęściej szkoły te po wybudowaniu i urządzeniu przechodzą pod zawiadywanie Rady Szkolnej Kraj., a Towarzystwo udziela w całości lub w części funduszków na ich utrzymanie. Od samego początku istnienia swego T. S. L.



podjęło walkę z analfabetyzmem dorosłych, zakładając kursy czytania i pisania. Aż do ostatniego roku prowadzone były także kursy wśród żołnierzy, co jednak przerwane zostało na rozkaz komendy wojskowej. Ochronek założyło T. S. L. 18. W wielu wypadkach przechodzą one pod opiekę Sióstr im. Maryi, które łączą je z kursami gospodarstwa domowego i szycia dla matek. Kursy dają utrzymanie i możliwość nauki synom i córkom włościańskim, którzy wprost tłoczą się dziś do średnich zakładów naukowych. Godnym uwagi jest typ uczelni, których 5 założyło izraelskie koło T. S. L. im. Goldmana; są to ogniska wychowawcze, przeznaczone dla chłopców w pozaszkolnych godzinach. Dzieci przygotowują się tam do nauki i otrzymują podwieczorki. T. S. L. założyło dalej pięć domów ludowych typu miejskiego i dwadzieścia dwa domy ludowe na wsi. Z tych za najlepszy uchodzi dom ludowy w Grzymałowie, gdzie mieści się kółko rolnicze, kasa zaliczkowa, gospoda mieszczańska i kasyno z wielką salą teatralną i odczytową. Na polu kształcenia zawodowego młodzieży wymienimy tu szkołę handlową żeńską w Tarnopolu, szkoły uzupełniające przemysłowo-handlowe także oraz w Morawskiej Ostrawie, kursy rolnicze w Dublanach i Zaleszczykach, kursy przemysłowo-handlowe, dające naukę szycia, kroju, robót ręcznych, wyrobów nicianych, pończoch, kaftaników, introligatorstwa, korespondencji, buchalteryi, rachunków kupieckich i t. d.

To wszystko z ofiar, groszowych ofiar, albo i większych, w których społeczeństwem uczestniczą mieszczaństwo i arystokracja, inteligencja i lud, wszystkie warstwy, wszystkie poglądy polityczne, nawet — wszystkie wieki. Bo oto dzieci, czytelnicy pisemka „Mały Świątek“, wychodzącego we Lwowie, zbierały fundusz, który wystarczył na założenie szkoły we wsi Kulikowo, pow. złoczowski, o ludności rdzennie polskiej, która zupełnie po polsku mówić zapomniała, a T. S. L. obok szkoły, stworzonej na śląskich kresach przez grono profesorów Wszechnicy Jagiellońskiej, zarządza ubogim „domem ludowym“, który powstał z zapisu prostej włościanki, Janiny Bobrowej. A chociaż zjazdy delegatów — najwyższa władza Towarzystwa — głośnymi nieraz rozbrzmiewają wulkami i sporami, to przecież te setki ludzi, zgromadzone z obszaru całego kraju, rozjeżdżają się w zgodzie, zagrzane do pracy, jak niedawno po zjeździe nowosądeckim. Tak silne jest w tej armii oświaty poczucie solidarności i wspólnego celu narodowego.

Dumą wzbiera dusza polska, kiedy na takie rezultaty działalności spogląda. Dumą — dlatego, że na tym jednym kawale ziemi polskiej dano żywiołowi naszemu możliwość pracowania w dobrych

warunkach. I widzimy, że pracować umie i pracować chce; postępy Galicyi na wszystkich polach świadczą o niepożytej żywotności narodu naszego. Dlatego tak bardzo pospolite przed laty kilkunastu, a i dziś jeszcze tu i owdzie występujące zohydżanie Galicyi, gdyby było prawdziwe, prowadziłyby prostą drogą do zwątpienia o przyszłości i sile tego narodu. Na szczęście tak nie jest. Dzielnica, która przeszła najstraszniejszy może, bo najrzeczniejszy, najkonsekwentniejszy i najsystematyczniejszy ucisk narodowościowy, dłuższego potrzebowała okresu rekonwalescencji, przychodzenia do sił, dźwignia się z niemocy. A my — niecierpliwi jak zawsze — żądaliśmy rezultatów z dziś na jutro; gdy nie widzieliśmy ich w przestrzeni lat kilku, ocenialiśmy braci naszych z gryzącym pesymizmem. Spójrzmy na okres półwiekowy — wtedy ocenimy właściwie. W ogólnej działalności kulturalnej Towarzystwo Szkoły Ludowej jest potężnym ogniwem. Jest wyrazem inicjatywy społeczeństwa samego, współdziałającej z władzami politycznymi, samorządnymi, jak zwykle bywa w społeczeństwach normalnych. Patrzymy na nie z dumą, radością, do której — wyznajmy otwarcie — mieszamy drobinę zazdrości. Z tęsknem uczuciem zwracamy oczy ku tamtej stronie kordonu, łącząc się szczerem i serdecznem uczuciem z życzeniami potężnego dalszego rozwoju ostoji i placówki oświaty polskiej w Galicyi.

\*

\*

\*

Piszemy tę kronikę teatralną w chwili rozpoczęcia tak zwanego wielkiego sezonu, a mówić w niej mamy o paru miesiącach obejmujących i t. zw. sezon martwy. Nic niesłuszniejszego jak ta ostatnia nazwa, stosowana do pory letniej w życiu miasta i w teatrze. Nie zamiera Warszawa, że garstka szczęśliwych na wczasy wiejskie podąży. Nie zamiera teatr, skoro pozostali nieszczęśliwi, wobec zmniejszenia zakresu obowiązków towarzyskich, w nim właśnie ucieczki i rozrywki szukają.

Łatwo zresztą tęzę tę poprzeć najbliższymi przykładami. W lecie przecież mieliśmy świetne występy znakomitego artysty lwowskiego, Żelazowskiego. Jeżeli kreacye w repertuarze współczesnym mogą, zdaniem naszym, różne nasuwać wątpliwości co do interpretacji, gry zbyt rozrzuconej, przesadnej i pewnego nadużywania efektów, to w dziedzinie tragedyi istnej rozkoszy widzowi dostarcza powściągliwość gry i skupienie najsilniejszych cech charakteru odtwarzanych postaci. Niezapomnianym zwłaszcza



cza w tym względzie będzie Ludwik XI. Od chwili wejścia na scenę schorowanego, duszonego astmą straszego starca, który ze strzępów stworzył państwo francuskie i dlatego mimo wszystko pozostaje potężnym geniuszem politycznym — aż do kulminacyjnej sceny okropnej spowiedzi przed zgrozą zdjętym św. Franciszkiem i do skonu, kiedy tyran kona i skonać nie może, podziwialiśmy niesłychane wytrzymanie typu i wielki realizm w najlepszym stylu. Tak dalece, że cechy charakteru, wyżej zaznaczone, mogłaby dyktować nie znajomość historyi i nie znajomość tragedii Delavigne'a, lecz poprostu przypatrzenie się grze wielkiego artysty. Warto przy tej sposobności zaznaczyć, że z całego repertuaru romantyków francuskich „Ludwik XI“ jest bodaj jedynym utworem, który pozostanie nazawsze, bo zawsze robi wrażenie bardzo silne. Zawdzięcza to zapewne temu, że autor szczęśliwie uniknął przesady, rozwichrzenia, nagromadzenia okropności, które cechują ten okres twórczości dramatycznej, a w widzu współczesnym wywołują uśmiech ironiczny, albo zgoła ziewanie.

Przy okazji występów Żelazowskiego widzieliśmy rzadkie zjawisko, tragedję polską „Syna Królewskiego“ Krechowieckiego. Nie jest to arcydzieło — zapewne; nie zasługiwało przecież na lekceważenie, jakie je spotkało. Utwór ten — poprawny zresztą — zasługuje na uwagę, chociażby z powodu pewnego morału historyczno-zoficznego — nie nowego, ale zawsze, niestety, prawdziwego — o wiecznej anarchii i szukaniu pomocy z zewnątrz, którego słuszność stwierdzamy nawet dziś, a pewne tyrady możnaby śmiało i do współczesności zastosować. Postać Bezpryma, ponura i tragiczna, w pożądaniami i w wykonywaniu władzy, znalazła doskonałego interpretatora w Żelazowskim; natomiast całe otoczenie i wystawa stały, niestety, na poziomie trzeciorzędnej sceny prowincjonalnej; i ten wzgląd może wpłynął na zlekceważenie sztuki. W słabszej o wiele mierze można wszakże ten zarzut zastosować i do „Ludwika XI.“ Rozumiemy trudności, wynikające z sezonu urlopów i pospiesznych prób i kładziemy je na szalę sądów; nie zmienia to jednak faktu, że kierownictwo powinno było więcej dołożyć starań, aby brakiom tym zaradzić.

Od hymnu zstąpmy do prostej powieści — niżej nawet: od tragedji do lekceważonej przez piszących dziedziny operetki i farsy. Nie zawsze da się zresztą ta eliminacja z dziedziny sztuki dokonać; przypomnijmy tu zdanie Wagnera, który powiedział niegdyś, że gdyby nie był autorem „Pierścienia Nibelungów,“ chciałby być autorem „Zemsty nietoperza.“ Notatki te są zresztą publicystyczne tylko; teatr jest tu traktowany jako objaw życia, a objawem życia jest także powodzenie operetki i farsy.

„Głupstwo jest wieczne, głupstwo nie może umierać...“ Dlatego siedemdziesiąty piąty tryumf święci operetka bez treści, pod względem muzycznym nie ciekawa i nie oryginalna. I dlatego także, że artyści naszych scen lekkich nie tylko grają, ale bawią się sami i bawią publiczność, wymyślając coraz to nowe szczegóły i pobudki śmiechu; znajdujemy tu także pierwiastki niepospolitości. A w tłumnym uczęszczaniu publiczności widzimy jeszcze jeden znak czasu: wyczerpania po napięciu bolesnem lat ostatnich, zapanowania sceptycyzmu po płomiennej wierze i—niestety—obniżenia typu życia intelektualnego i obyczajowego.

Nie przyczyniało się zresztą do tego podczas lata kierownictwo naszych scen lekkich. Owszem—widzieliśmy tam tłumaczenia utworów francuskich, niewątpliwie literackich, lekkich komedyi, nie fars, a niejeden stały bywalec ze zdumieniem słyszał głosy, drżące wzruszeniem z tych desek, z których szły w widownię tylko race śmiechu. Zjawisko to wywołało nawet liczne komentarze na temat współzawodnictwa naszych scen i niewłaściwego ubiegania się o nieodpowiednie nowalie. Zarzuty niesłuszne, bo trafnie mówi Francuz o poszukiwaniu dobra, gdzie je wziąć można, a wolna konkurencya może wyjść tylko na korzyść widzów. Dla nich istnieje tylko jedno kryterium — wykonania. Otóż pod tym względem powiedzieć można, że widzieliśmy eksperyment ciekawy, naogół udany, że pewne niedociągnięcia były nieuniknione w zespole, do najłatwiejszych efektów farsowych przyzwyczajonym. Nie byłoby niedociągnięcia, gdyby sceny nasze nie były chińskim murem oddzielone, gdyby racjonalna dyffuzya talentów wypełniała nieuniknione tu i tam luki, gdyby może całe kierownictwo było jednolite. Próżne marzenia! — połączenie kultury literackiej i dobrego smaku, znawstwa gustu publiczności i schlebiania mu równocześnie z kierowaniem, energii i taktu...

Jakby w odpowiedzi na te sukcesy scen drugich, artyści, reżyserzy i kierownictwo pierwszej sceny naszej pokazali co umieją przy otwarciu sezonu. W Rozmaitościach pokazano nam „Grube Ryby“, starą i nienajlepszą komedię (farsę?) Bałuckiego. Grana była dawniej i na tej scenie i na tamtej, przy ul. Daniłowiczowskiej i grana była dobrze; ale w najśmielszych marzeniach nie śniło się autorowi, że można ją podać tak, jak nam pokazano przed paru tygodniami. Bezprzykładna trójca wielkich artystów, Frenkla, Kamińskiego i Wojdałowicza, nie tylko podniosła farsę na poziom satyrycznego obrazu życia z przed lat czterdziestu, wystudyowanego i wyreżyserowanego w najdrobniejszych szczegółach, ale przypomniła nam najzupełniej najświetniejsze trady-



cye tej pierwszej sceny polskiej. Z widowni rozbrzmiewał tak rzadki zdrowy śmiech, pozbawiony wszelkiego podniecenia erotycznego; rodzice znaleźli nareszcie sztukę, na którą dzieci posyłać mogą; kasa co wieczór wcześniej zamyka swoje okienko. Słowem—wszyscy są zadowoleni, zwłaszcza artyści, którym—nie autorowi—tryunf ten przypisać trzeba.

Teatr Wielki otworzył sezon dramatem Björnstjerne Björnsona „Ponad siły,” także—z małymi wyjątkami—granym i wyreżyserowanym bardzo dobrze. Są to właściwie dwa dramaty skrócone u nas i przykrojone do rozmiarów jednego, długiego, kilkogodzinnego przedstawienia. Nie nudnego, owszem, bardzo ciekawego. Ciekawego, jak ciekawem jest zagadnienie najwyższego napięcia woli, łamiącego się o przeszkody naturalne w pragnieniu cudu. W pierwszej części cudem ma być przywrócenie do zdrowia, przeszkodą—twarde prawa przyrodnicze; w drugiej cud—to zgoda klas, a przeszkoda—uczucia nienawiści, ludziom wrodzone. Druga część słabsza od pierwszej: doskonałe przeciwstawienie zaciętych pracodawców i zaciętych robotników, obu klas bez słuszności, bo właśnie zajadłych, ale słabe rozwiązanie nie w treści, lecz w formie. W treści słuszne: kwestyę społeczną w zakresie możliwości życiowej rozwiązuje miłość, wyrozumiałość, praca społeczna, współdziałanie, filantropia. Nieudane w formie: mgliste, gdy antagonizmy narysowane są jaskrawo i realistycznie, mgliste, bo w sennem marzeniu tylko. Dlatego mowy przywódców robotników i twardej fabrykantów wywołują odgłos pozytywny lub negatywny w duszach słuchaczy, zależnie od ich pochodzenia i przekonań, gdy rozwiązanie przechodzi bez wrażenia dla wszystkich, mimo świetnej poprostu dekoracyi i doskonałego nastroju. Autorowi zbrakło wiary i nadziei przy doskonałej obserwacyi zewnętrznej. Jedna jeszcze nasuwa się wątpliwość z powodu przedostatniego aktu. Mina rewolucjonisty wysadza w powietrze wszystkich fabrykantów. Wobec socyologicznie stwierdzonej roli naśladownictwa w życiu, wobec tego, że szaleńców nie brak nigdzie, a tembardziej u nas, nasuwa się pytanie, czy podawanie ze sceny, w obrazie realnym wybuchu, tego rodzaju rozwiązania kwestyi społecznej jest właściwe i pożądane? Odpowiedź przecząca wywołuje odrazu setki objeceyi, tak łatwych i tak prostych, że ich wypisywać nie warto, a jednak ze stanowiska twórczości i praw autora bardzo ważkich. Dlatego postawionego pytania nie rozwiązujemy i na tym akordzie wątpliwości kronikę tę zamykamy.

# WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Franciszek Kostrzewski.

Są ludzie wybitni, którzy wczesnie usuwają się z areny życia publicznego i towarzyskiego w zacisze domowe; wieść o ich śmierci wywołuje okrzyk zdumienia, że żyli jeszcze, bo współcześni zupełnie o nich zapomnieli. Są inni, do ostatniej chwili trzymający się na wyłomie życia; gdy życie ich długie, stają się wyrazem jakby wieczności; zda się, że byli zawsze i będą zawsze; gdy umrą, budzą żal szczery nawet u tych, którzy ich nie znali, bo każdy składa z nimi do grobu wrażenia i wspomnienia swego wieku dziecinnego, dojrzałego czy już podeszłego.

Do tej drugiej kategorii należał Franciszek Kostrzewski. Kilka pokoleń bawiła twórczość jego. Poślinione, niedołążne paluszki dziecka przewracały mozolnie kartki „Tygodnika“ i „Kłósów“ a buzia składała się do uśmiechu, potem sylabizowała mozolnie zabawne podpisy i śmiała się szeroko. Żółkły karty, biegły lata, zniedołążniałe od starości palce nowe przewracały strony, zmieniały się gruntownie typy i ludzie, a zmęczone wiekiem oczy widziały je wciąż odtwarzane tą samą, choć drżącą już ręką. Wystarczało zamknąć oczy i wywołać cienie przeszłości, aby ocenić wartość, realizm życiowy i prawdę tych niezliczonych rysunków.

W Kostrzewskim kochano rzecz najdroższą — wspomnienie, echo zamglonych, minionych lat. A artystę spotykano na ulicy, w teatrze, w salonie. Że zaś był człowiekiem dobrym, miłym, uprzejmym i zawsze pogodnym, więc kochano nie tylko artystę, ale i człowieka. I łza szczerzego żalu w wielu zalśniła oczach,



kiedy go nie stało, a w życiu Warszawy potocznem widzimy teraz łukę, gdzie przez pół wieku z górą widywaliśmy krzepką i wesołą postać nieodżałowanego pana Franciszka.

Ś. p. Franciszek Kostrzewski był dzieckiem Warszawy. Tu urodził się w r. 1826, tu pierwsze pobierał nauki, tu kształcił się w szkole sztuk pięknych pod kierunkiem Kokulara, Hadziewicza, wraz z Gersonem, Brodowskim i innymi. Ale długie lata spędził na wsi, w krakowskim, w licznych wędrówkach poznał kraj i lud, do typów wiejskich zawsze chętniej niż do miejskich powracał. Pochodziło to zapewne stąd, że Kostrzewski był na wskroś artystą swojskim, a tę swojskość polską odnajdywał łatwiej na mniejszym obszarze ulegającej zmianom wsi niż w niwelującym i kosmopolityzującym się mieście.

W pierwszym okresie twórczości, od r. 1848—1870, był Kostrzewski bardziej malarzem rodzajowym. Z tych czasów datują obrazy jego: „Wnętrze karczny,” „Obrachunek z pańszczyzny,” „Odpust na wsi,” „Zaścianek Dobrzyńskich,” „Licytacya chłopskiego dobytku,” „Jarmark w miasteczku,” „Noc świętojańska“ i inne. Potem przerwiał się prawie wyłącznie na pole rysunkowe, pracując w „Tygodniku Ilustrowanym,” „Kłosach,” „Musze,” „Kolcach,” „Kuryerze Świątecznym“ i wielu, wielu innych, jako humorysta. Odtwarzał tam przeważnie i najlepiej typy z przed czterdziestu lat; pogodnie, bez złości wytykał różne śmieszności i zdroźności luźkie; liczne podpisy pod jego ilustracyami obiegały miasto i kraj, jako doskonałe dowcipy: miał zmarły artysta okres wielkiej, szerokiej popularności. Aż przyszła starość i niedomagania jej na oczy padły, artysta zaczął tworzyć z pamięci, a przez długie lata nawykła do pewnych sztychów ręka te same już oddawała typy; w podpisach była jeszcze aktualność, w kształtach już jej nie było. Mimo to nie lekceważono nigdy artysty; szanowano w nim przeszłość, ceniono długoletnią, niezmordowaną pracowitość i pracę, lubiono człowieka, który był wszystkim życzliwy, a tylko po cichu i bez złości na schyłku lat skarżył się czasem, że starego z posterunku spychają młodzi. Nie oni — usunęła go dopiero nieubłagana śmierć, znacząc kres dobremu, miłemu, pracowitemu i pożytecznemu życiu, po którym pozostał plon bardzo obfity, plon, który przesieje przez sito potomność i plewy od ziarn oddzieli, a ziarn tych zdrowych zostanie aż nadto, aby Kostrzewskiemu zapewnić piękną kartę w dziejach sztuki polskiej.

## ś. p. Filip Zaleski.

Z dynastyi polskich wysokich urzędników państwa austriackiego ubył drugi: syn namiestnika Galicyi i sam były namiestnik, a ojciec dzisiejszego ministra dla Galicyi. Ś. p. Filip Zaleski urodził się w r. 1836. Karyerę swoją urzędniczą rozpoczął w namiestnictwie wiedeńskim, poczem różne jej przechodził stopnie w ministerjum spraw wewnętrznych, w namiestnictwie we Lwowie (za czasów Agenora hr. Gołuchowskiego), na stanowisku starosty w Brzeżanach, jako kierownik biura prezydyalnego namiestnictwa. W r. 1875 powołał go do swego boku ówczesny minister Galicyi, Floryan Ziemiałkowski, potem był delegatem namiestnictwa w Krakowie, aż po śmierci Alfreda hr. Potockiego w roku 1883 został sam namiestnikiem Galicyi, a po ustąpieniu w r. 1888 Ziemiałkowskiego, z powodu różnicy zdań z Dunajewskim co do podatku wódczanego, został ministrem dla Galicyi i przetrwał na tem stanowisku aż do upadku gabinetu Taaffego w r. 1893. Był potem wiceprezesem, a następnie prezesem Koła Polskiego; ze stanowiska tego ustąpił po przyjsciu do władzy Kazimierza hr. Badeniego. Ze zaś i zdrowie już mu nie dopisywało, więc złożył także mandat do izby i zaraz powołany został na dożywotniego członka Izby Panów. Była to emerytura polityczna; na tej emeryturze życia dokonał, mieszkając we Lwowie, gdzie był osobistością powszechnie znaną i bardzo popularną.

Zmarły był lubiany i szanowany nawet przez przeciwników politycznych, a zawdzięczał to czystości charakteru, osobistej dobroci, wyrozumiałości i taktowi. Zalety te niejedną oddały mu usługę przy załatwianiu spraw trudnych i drażliwych. Jako minister dla Galicyi miał tę zasługę, że zawarł ścisły kontakt z Kołem Polskiem, które poprzednik jego lekceważył, a autorytet osobisty Zaleskiego sprawiał, że nie był tylko figurantem, jak jego następcy. Jako prezes Koła, umiał równocześnie domagać się na każdym kroku uszanowania autonomii galicyjskiej i współdziałać z centralistycznymi liberałami w gabinecie koalicyjnym Windischgraetza. Usuwany niesłusznie przez inne, wrzące ambicje z różnych stanowisk, żalu nie chował i nie mścił się nigdy. Zeszedł też do grobu z opinią człowieka dobrego i polityka bardzo zdolnego.



## ś. p. Zofia Trzeszczkowska

(ADAM M—SKI).

Pseudonimy literackie, których tajemnica wiernie i ściśle została dochowana, gotują częstokroć różne niespodzianki co do osoby, płci i wieku. Na wieść o śmierci Zofii Trzeszczkowskiej poczuli żal tylko nieliczni znajomi i wtajemniczeni; kiedy się jednak doda, że to umarł Adam M-ski, żal zatacza zaraz o wiele szersze kręgi; liczne szeregi miłośników poezyi boleją, że ubył nam poeta miary niepośledniej, wytworna tłumaczka arcydzieł literatury powszechniej, mniej znana z pięknej, gorącej twórczości oryginalnej. Ale i z tych wtajemniczonych niewiele kto wiedział, czytając poezye natchnione i płomiennie, że pisała je kobieta o siwizną przypruszonej głowie, nie osoba młoda, zapału i wiary pełna—tyle było w autorki tej talencie żywotności.

Zofia Mańkowska urodziła się w r. 1847 w Dorohowicy, gub. mińskiej. Imię ukochanego i czczonego ojca, Adama, wraz ze skrótem nazwiska panińskiego stało się później źródłem pseudonimu. W domu rodziców bywał Syrokomla i serdecznem uczuciem darzył dziewczkę, która już w dwunastym roku życia tworzyć zaczęła. Tę młodocianą twórczość kołysały tradycye powstania 1831 r., a następnie młodemi oczami widziane tragiczne wypadki 1863 roku.

Młodo wyszła za mąż, młodo straciła ukochanego nad wszystko ojca, nie słodziła mu chwil ostatnich, mąż bowiem służył wojskowo w głębi Rosyi. Towarzyszyła mu później w przebraniu żołnierskiem na wojnę turecką, poczem osiedli w Nowogrodzie, gdzie spotkany wypadkowo powracający z wygnania Zienkowicz wywarł wpływ wielki na jej formę poetycką, a przypadkowym źródłem pierwszych tłumaczeń stają się kupione w drodze „Wędrówki Child Harolda“ i „Jocelyn“ Lamartine'u.

Potem już coraz śmielej i szerzej próbuje ona swych sił literackich, pracując jednocześnie w rozmaitych kierunkach wiedzy i studyując obce języki, by móżdż perły literatur cudzoziemskich wcielać w język ojczysty. Powstaje więc tłumaczenie z prowansalskiego „Mirio“ Mistrala. Autor ten nadsyła jej jeszcze jedną pracę p. t. „Nerto“ do przetłumaczenia, ale poetka nie znajduje w tem tego, co podług jej słów „za serce chwyta,“ zaniechała więc tej pracy i bierze się do „Luizyad“ Camoensa, który obcho-

dem swego jubileuszu szczególną na siebie zwraca uwagę. Prócz Lamartina tłumaczy z francuskiego cały szereg autorów, jak: Baudelaire, Guy de Maupassant, Almeida Barbier, Leconte de l'Isle, Robinot Bertrand, André Theuriet, Alfred de Vigny. Dalej z czeskiego tłumaczy białym wierszem „Magdalenę“ Machara, oraz na prośbę Chmielowskiego „Melodye hebrajskie“ Byrona. Doskonałe tłumaczenia zyskują wielkie uznanie w świecie literackim; szczególnie Chmielowski i Jenike żywo zajęli się jej talentem, im też głównie zawdzięcza poetka podniecie i zachęte do pracy. Utwory te rozrzucone są po wielu pismach, które drukowały także liczne i piękne oryginalne poezye Adama M-skiego. Wymienimy tu poemat „Jeden z wielu,“ „Przebrzmiałe akordy,“ „Pieśni Dorohowickie“ i „Ostatnie akordy.“ Te—nie ujrzały światła druku w książce; zbyt były gorące i narodowe; cenzura w roku 1898 uniemożliwiła wydawnictwo Gebethnerowi i Wolffowi, którzy je nabyli.

I nasza „Biblioteka“ szczyciła się współpracownictwem zmarłej poetki. Jak inni, ocenialiśmy jej wielkie poczucie piękna, świetną formę, gorące a zaciełe uczucia i niezwykłą zupełnie skromność, która sprawiała, że nietylko nie szukała sławy, ale zdawała się przed nią i przed ludźmi uciekać. Niechże te słowa wspomnienia pozgonnego i wyrazy szczerego żalu będą naszym skromnym wiankiem na mogile w ziemi ojezystej, w której po długim tułactwie na obczyźnie spoczęła. A tułactwo to nie wyziębiło jej polskich uczuć, owszem, wzmocniło je. Bo, jak sama mówi o sobie,

Kołysał mię ciemny bór,  
 A potem żołnierski śpiew,  
 I dotąd serce gra im wtór  
 I w takt uderza moja krew.  
 To z babki ust płynął ten śpiew  
 Od Somossiery gór,  
 I dotąd w takt uderza krew  
 I serce gra im wtór.  
 Z pod niebios gdzieś chrzęst orlich piór  
 Rodzonej puszczy wiew—  
 To wszystko me: im duch gra wtór  
 I serce me i krew...

L. W.



# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

## Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. Dnia 6 październ. odbyło się w gmachu T. N. W. przy ul. Kaliksta № 8 pierwsze powakacyjne posiedzenie Wydziału II-go Towarzystwa, na którym p. Aleksander Kraushar wygłosił odczyt p. t. „Mniemane ostatnie votum kanclerza Jana Zamoyskiego na sejmie Warszawskim 1605 r.“ W dyskusyi głos zabierali p.p. E. Bogusławski, J. K. Kochanowski, St. Krzemiński, Fr. Pułaski, J. Siemieński, T. Wierzbowski i prelegent.

Dnia 5 października odbyło się posiedzenie Wydziału III-go, na którym przedstawiono następujące komunikaty: p. Wł. Gorczyński: „Pierwsze prace w Obserwatorium meteorologicznem pod Grodziskiem.“ Część II; p. Z. Weyberg: „O bromosodalicie glinowosodowym“; p. B. Możejko (przedstawił p. J. Tur): „Zatoki Dohrn'a u minogów i ich stosunek do układu żylnego“; p. W. Sierpiński: „Przykład funkcyi ciągłej, pantachicznie oscylującej, będącej różnicą dwu funkcyi monotonicznych“; p. C. Łopuski (przedst. J. Lewiński): „Moreny czołowe części północnej Królestwa Polskiego“; p. St. Lenczewicz (przedstawił p. J. Lewiński): „Przyczynek do znajomości utworów dyluwialnych okolic Miechowa“; p.p. J. Czarnocki i J. Samsonowicz (przedstawił p. J. Lewiński): „O górnym dewonie na g. Miedziance.“

Dnia 13 paźdz. odbyło się posiedzenie Komisyi antropologicznej przy Wydziale II-im, na którym p. Edward Loth odczytał następujące referaty: „Kilka przypadków wariacyi uzębienia u małp“; „O potrzebie jednolitego systemu przy badaniu antropologicznem części miękkich“; „O ważniejszych różnicach antropologicznych w układzie mięśniowym murzynów.“

Dnia 18 paźdz. odbyło się posiedzenie Wydziału I-go, na którym p. Stanisław Słoński odczytał referat p. t. „Rękopis Psalterza Puławskiego i jego

homograficzny przedruk Pilińskich z r. 1880.“ Zestawiwszy tekst wydania homograficznego z r. 1880 z rękopisem Psalterza Biblioteki Czartoryskich w Krakowie, prelegent wykazał mylnie przez kopistę odczytane wyrazy i wyrażenia.

— KONKURS. — Z powodu zbliżającej się rocznicy Skargi, ogłosiła redakcja „Przeglądu powszechnego,“ z inicjatywy i z ofiary pieniężnej ks. Nowaczyńskiego z Wieliszowa, konkurs na temat „Działalność społeczna Skargi.“ W granice tematu wchodzi nie tylko organizacyjna praca Skargi w tworzeniu dzieł, jak *mons pietatis*, ale także działalność społeczna w szerszym znaczeniu, o ile cała działalność Skargi znaczyła ślady w życiu społecznym narodu. Tak pojęta rozprawa nie ma mieć charakteru historyczno-naukowego, ale raczej charakter publicystyczny. Nie wyłączone odtworzenie przeszłości jest jej celem, ale zbliżenie ducha Skargi do dni dzisiejszych, uplastycznienie pierwiastków rodzimych tego ducha, w tym zamiarze, aby wielka tradycja Skargi i wielki jego duch odżyły napowrót w narodzie. Nie cel więc teoretyczny ma być myślą przewodnią tej rozprawy, ale cel praktyczny, a jest nim ukazanie wielkiego rodzimego wzoru pracy narodowej i katolickiej i odrodzenie przezeń życia religijnego i narodowego. Rozmiary pracy wynosić mają około pięciu arkuszy druku. Nagroda wynosi 800 koron. Termin nadsyłania prac kończy się z d. 1 czerwca 1912 r. Sąd konkursowy składają p.p. d-r d-r: Józef Tretiak, Stanisław Krzyżanowski, Wiktor Czermak, Lucyan Rydel, ks. J. Pawełski T. J. Redakcja „Przeglądu powszechnego“ zastrzega sobie prawo pierwszego druku nagrodzonej rozprawy, za co, oprócz nagrody, zapłaci autorowi zwykle swoje honorarium. Natomiast autor ma obowiązek, po ukazaniu się pracy w „Przeglądzie powszechnym,“ wydać ją swoim kosztem w osobnej broszurze. Rękopisy, zaopatrzone godłem, wraz z zamkniętą kopertą, tenże godłem oznaczoną, w której mieścić się ma karta z nazwiskiem i dokładnym adresem autora, należy nadsyłać pod adresem: Redakcja „Przeglądu powszechnego,“ Kraków, ul. Kopernika 26.

#### CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa. Październik, 1911. Treść: Grabiec I.: „Współczesna Polska w cyfrach i faktach.“ Krytyka—Angiolini Alfred: Dzieje socjalizmu we Włoszech do 1910 r. włącznie; — Bogucka C. i Niewiadomska C.: Nasi pisarze. Ich życie i dzieła; — Chybiński Adolf, d-r: Materiały do dziejów król. kapeli Rorantystów na Wawelu; — Gralewski Stefan: Ironia śmierci; — Jelska Ora: Hanka; — Jougon Alojzy W., ks.: Nasze kazania zbiorowe; — Koliński Kazimierz: Mojżesz; — Kościelski Józef: W imię krzyża; — Lutosiński Józef: Monografia miasteczka Wilamowice na podstawie źródeł autentycznych; — Maciszewski Maurycy, d-r: Brzeżany w czasach Rzeczypospolitej Polskiej; — Makuszyński Kornel: Dusze z papieru; — Malczewski Antoni: Marya, — Materiały antropologiczno-archeologiczne i etnograficzne; — Mickiewicz Adam: Pisma; — Plichta Półkozie



Stanisław: Pamiętnik z czasów 1863—1872 r.; — Posner Stanisław: Biblioteki amerykańskie; — Reymont Władysław St.: Wampir; — Rocznik Slawistyczny; — Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie; — Schneider Stanisław: Badania nad źródłami twórczości Juliusza Słowackiego w ostatnim okresie życia; — Słomiński Adam: Kodeks Napoleona przed sądem czasu; — Słowacki Juliusz: W Szwajcaryi i inne poezye; — Szydelski, ks. d-r: Archidiecezja Lwowska na synodzie w r. 1641; — Weysenhoff Józef: Hetmani; — Wierzbicki Stanisław Józef: Atlantyda; — Zoll Fryderyk (starszy), prof. d-r: Pandekta czyli nauka rzymskiego prawa prywatnego; — Pod prasą; — Kronika; — Czasopisma; — Bibliografia; — Ogłoszenia.

## BIBLIOGRAFIA.

### KSIAZKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

BAKOWSKI KLEMENS: Dzieje Krakowa. Z 12 planami i 150 rycinami. Kraków, 1911. Spółka wydawnicza polska.

BELZA STANISŁAW: W ojezyźnie Faraonów (z podróży i przechadzek po Egipcie). Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

BIELSKA KONSTANCYA: Jedenaste przykazanie (nie będziesz miał serca). Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.”

BONIECKI ADAM: Herbarz polski. Tom XIV. Zeszyty 4 i 5. Leśniowscy—Lewikowscy.

CHLEBOWSKI BRONISŁAW: Pisma. Tom I: Studya historyczno-krytyczne z zakresu dziejów literatury, oświaty i sztuki polskiej. T. II: Studya nad literaturą polską wieku XVI (Rej—Kochanowski). Warszawa, 1912. Nakładem Spółki wydawniczej warszawskiej. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

CHMIELEWSKI KONRAD: O moim kraju. Szkice krajoznawcze. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

CRONICA CONFLICTUS WŁADISŁAI REGIS POLONIAE CUM CRUCIFERIS ANNO CHRISTI 1410. Z rękopisu Biblioteki Kórnickiej wydał d-r Zygmunt Celichowski. Poznań, 1911. Nakład Biblioteki Kórnickiej.

DYBOWSKI ROMAN, D-r Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego: Romanizm a krytyka dzisiejsza w Anglii. Odbitka z „Pamiętnika Literackiego.” Lwów, 1911. Skład główny w księgarni Spółki wydawniczej w Krakowie.

— Wpływy greckie w poezyi angielskiej. Kraków, 1911.

FOERSTER FR., D-r Prof. na politechnice i w uniwersytecie w Zurychu: Wychowanie człowieka. Książka dla rodziców, nauczycieli i kapłanów. Zeszyt I i II. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

HUXLEY THOMAS H.: Zasady fizjologii, w opracowaniu D-ra J. Rosenthala, prof. uniwersytetu w Erlangen, z upoważnienia D-ra Roseuthala przełożył D-r Adam Lange z czwartego poprawnego wydania niemieckiego. Nakładem Henryka Seidenfelda. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni G. Centnerszvera i S-ki.

JELEŃSKA EMMA: Jubileusz i inne nowele. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

JORDAN (Julian Wieniawski): Kartki z mego pamiętnika. Dwa tomy. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

KALENDARZ „Kroniki Rodzinnej“ na rok 1912. Z uwzględnieniem spraw opracował Ks. D-r M. Godlewski. Rok III. Warszawa, 1912. Nakład „Kroniki Rodzinnej.“

KUCHARZEWSKI JAN: Czasopiśmiennictwo polskie wieku XIX w Królestwie, na Litwie i Rusi, oraz na Emigracji. Zarys bibliograficzno-historyczny. Odbitka z „Przeglądu Narodowego.“ Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

LE BON GUSTAW, D-R: Psychologia wychowania. Przekład polski Izy Moszczeńskiej. „Biblioteka życia codziennego.“ Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i S-ka.

LICHTENBERGER ANDRZEJ: Nasza Minia. Powieść. Przekład z francuskiego Wacławy Kiślańskiej. Część I i II. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

MERCZYŃSKI HENRYK: Polscy deści i wolnomyśliciele za Jagiellonów. (Odbitka z „Przeglądu Historycznego.“) Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

NOWACZYŃSKI ADOLF: Cyganerya warszawska. Sztuka w 4 aktach. Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff.

PEABODY FR. B.: Jezus Chrystus i kwestya społeczna. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i S-ka.

ROZNIK Gebethnera i Wolffa na rok 1912. Kalendarz encyklopedyczno-praktyczny, opracowany pod kierunkiem redakcyi „Tygodnika Ilustrowanego,“ ozdobiony 200 ilustracyami, tablicami porównawczemi i portretami. Warszawa, 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa.

— Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Tom IV. Rok 1910. Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie, 1911.

ROMER HELENA: Majaki. Powieść. Warszawa, 1911. Nakł. Geb. i Wolffa.

SACHS MARCELE: W pewnym domu. Wydanie drugie. Księgarnia powszechna w Warszawie.

SPRAWOZDANIE ze stanu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie w roku 1910. Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie, 1911.

SPRAWOZDANIE z czynności Wydziału Tow. Literackiego im. Ad. Mickiewicza we Lwowie za lata 1908—1910. Lwów, 1911. Warszawa, E. Wende i S-ka.



SPRAWOZDANIE z działalności Ogródów im. W. E. Rau'a w roku 1910.

SROKOWSKI MIECZYSLAW: Epigoni. Powieść. Wydanie nowe. Warszawa, Gebethner i Wolff.

STECKA M.: Edward Dembowski. Odbitka z „Przeglądu historycznego.“ Lwów, 1911. Polskie Towarzystwo Nakładowe.

SZYSZEŁO WITOLD: Małe Antylle i Jamajka. Z portretem autora. „Nowości literackie,“ tom. 51. Warszawa, 1911. Nakł. księgarni St. Sadowskiego.

ŚWIAT ZWIERZĄT: I. Zwierzęta ssące. Wydanie polskie pod redakcją prof. Jana Sosnowskiego. Zeszyt I i II. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

TOŁSTOJ LEW, HR.: Wojna i pokój rok 1812. Romans historyczny. Część XIII. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

WIERZBIŃSKI MACIEJ: Pod Mysią więź. Powieść współczesna. Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff.

WINDAKIEWICZ S.: Adam Mickiewicz. Odczyt wypowiedziany na kursie uzupełniającym dla nauczycieli szkół średnich w dn. 5 i 6 kwietnia 1911 r. Kraków, 1911. Nakładem autora.

WYPISY HISTORYCZNE ilustrowane dla użytku młodzieży przy nauczaniu dziejów powszechnych, pod redakcją Kazimierza Wachowskiego. Zeszyt IV z 9 tablicami. Historia starożytna: Grecya (ciąg dalszy), opracowała D-r Justyna Jastrzębska. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

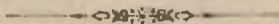
ZGLIŃSKI DANIEL: Wszeczmoc wyobraźni twórczej. Idee odległej przyszłości. Kraków, 1911. Księgarnia Literacka.

ZIMMERMANN KAZIMIERZ, KS. D-R: Ks. Patron Wawrzyniak. Kraków, 1911. Nakładem autora.

ZŁOTE MYŚLI JULIUSZA SŁOWACKIEGO. Kolomyja, 1911.

ŻEROMSKI STEFAN: Aryman mści się. Godzina. Wydanie drugie. Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff.

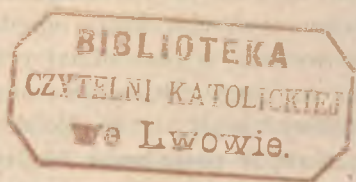
ŻULAWSKI JERZY: Gród Słońce. Baśń dramatyczna w trzech aktach. Nakładem Tow. wydawniczego we Lwowie, 1911. Warszawa, E. Wende i S-ka.




---

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURZYCY hr. ZAMOYSKI.

---



## Galicya podczas wojny 1812 r.

Dzień przed wybuchem wojny otrzymał gubernator Galicyi, hr. Piotr Goess, pismo gabinetowe,<sup>1)</sup> a 24 godzin później list odręczny<sup>2)</sup> Metternicha. Objaśniały go one o tyle, o ile to było koniecznem, o polskiej polityce Austrii i jej stanowisku wobec Rosyi. Metternich tłumaczył pobudki traktatu paryskiego w tych słowach: „Prawdopodobieństwo wybuchu wojny było z każdym dniem bliższe, dłużej nie mógł monarcha losy swych ludów pozostawiać w niepewności, nie mogły również prowincye zagrożone tak przez wojnę, jak i przez powstanie, dłużej zostać bez ochrony. Monarcha rozkazał wystawić w Galicyi korpus obserwacyjny, a równocześnie podjął rokowania z Francją w sprawie przyszłych stosunków obu mocarstw. Monarcha musiał patrzeć dalej, jak na niebezpieczeństwa chwili bieżącej. Jakim mógł być dla nas rezultat wojny, w której należało przewidzieć, jako pierwszą siłę pomocniczą, powstanie na dawnych ziemiach Królestwa Polskiego? Czy można było nasze prowincye galicyjskie wobec działania powstańców polskich oddać na pastwę wypadków bez powiększenia armii, bez gwarancyi cesarza Francuzów? Czy mogła była Austrya narazić się na możliwość, że oba cesarskie dwory porozumieją się kosztem jej istnienia lub obecnego stanu posiadania?“

Pismo zaś gabinetowe uwiadamiało Goessa o stanowisku, jakie zajmie Napoleon wobec sprawy polskiej. Opiewało ono:

<sup>1)</sup> Pismo gabinetowe. Praga, 7 Juni 1812 (Arch. Minister. des Innern we Wiedniu).

<sup>2)</sup> Metternich an Goess. Praga, 8 Juni 1812 (Arch. Minist. des Innern).



„Odbudowanie Królestwa Polskiego będzie prawdopodobnie pierwszym rezultatem wybuchu wojny między Francją a Rosją. Cesarz Francuzów weźmie w tem udział tylko *pośredni*. Deputacyi Sejmu odpowie on, że jest to sprawa samych Polaków, ale że on wyraźnie oświadczyć musi, iż za Polskę nigdy nie mogą być uważane znajdujące się w posiadaniu Austrii prowincye galicyjskie, gdyż on w myśl traktatu z marca 1812 r. Austrii wyraźnie i wieszycie je gwarantował. Między pierwszym ruchem Polaków a deklaracją cesarza upłynie jednak wiele dni, w ciągu których zapaleńcy w Galicyi może się porwać do jakichś ruchów, albo Warszawa ich do nich wezwie.“<sup>1)</sup>

Te obawy rządu przed jakimś ruchem w Galicyi są bardzo znamienne. Nie usunęła ich ani gwarancya Napoleona i Aleksandra, ani obietnica wszechmożnego protektora sprawy polskiej, że powstrzyma Księstwo Warszawskie od wszelkiej akcji na terenie galicyjskim, ani 30,000 korpus, skoncentrowany pod Jarosławiem i pomocniczy Schwarzenberga, który miał izolować ją od wpływu powstania na Wołyniu i Podolu. Wszystko bowiem, co warunkowało dziś spokój i bierność Galicyi, już jutro mogło stać się zaczynem powstania. Dwuznaczna rola sprzymierzeńca i wroga równocześnie, gotowego w każdej chwili zdradzić, kazała Austrii obawiać się ciągle ruchu zbrojnego w Galicyi.

W tych warunkach nastrój istniejący w Galicyi, nastrój wielkich nadziei i wiary w najbliższą przyszłość, był bardzo groźnym. Rząd starał się go zmienić, stąd owe wysiłki czynione przez naczelników cyrkulów celem urabiania w kraju opinii, że gwarancya Galicyi jest ponad wszelką wątpliwość, stąd znany galicyjski ustęp w odpowiedzi Napoleona. Za pomocą takich środków zamierzał rząd wytworzyć w Galicyi przekonanie, że i Napoleon i Księstwo Warszawskie uważa ją za niepodzielną własność Austrii i że już dla jej dążeń niepodległościowych nigdzie niema oparcia. A „niebezpiecznych, zapalonych głów,“ które w kraju były najbliższem źródłem niepokoju, pozbył się rząd bez trudności. Co było bowiem młodszem, zapalniejszym, dzielniejszym zbiegało do armii Księstwa Warszawskiego.

Już od maja roku 1811 rozpoczęło się było na większe rozmiary zbieganie galicyjskiej szlachty do wojsk warszawskich. Każda pogłoska o wybuchu wojny wyrzucała z Galicyi silniejszą

<sup>1)</sup> Pismo gabinetowe. Praga, 7 Juni 1812 (Arch. Minister. des Innern in Wien).

fałę uciekinierów.<sup>1)</sup> Z wiosną roku 1812 znaczną bardzo stała się dezercya chłopów polskiego z pułków austriackich, stojących we Lwowie i na granicy warszawskiej. Ubolewał z tego powodu Baum, nazywał ją bardzo silną. Według jego obliczeń z Bochni, Myślenic i Cieszyna zbiegło od 16 do 23 lutego do Krakowa 23 żołnierzy.<sup>2)</sup> Komenda generalna podejrzewała, że masowe zbieganie żołnierza austriackiego jest planowo organizowane przez agentów Księstwa. Gubernium posądzało o to oficerów warszawskich, bawiących jeszcze w kraju, zwłaszcza Ryzburskiego i kapitana gwardyi Van der Noot'a. Obu z kraju skutkiem tego wydalono.<sup>3)</sup>

Udawali się do armii Księstwa Warszawskiego różni różnie. Sujets mixtes, panowie na kilku i kilkunastu wsiach, wyjeżdżali z kraju hucznie i wesoło, żegnani bankietami i festynami przez okoliczną szlachtę; tak wyjeżdżał Gorayski, Bieńkowski, Sulatycycki, Boguś Tchórznicki, tak wyjeżdżali oficerowie warszawscy, bawiący w dobrach swych galicyjskich, Adam hr. Potocki, Leopold hr. Koziembrodzki, kniaziowie Józef i Roman Puzyna. Drobną natomiast szlachta i wyłączeni poddani austriacy przemykali się przez granicę ukradkiem. Przeprowadzali ich zwykle o nowiu właściciele wsi granicznych.<sup>4)</sup>

Tą samą drogą zbiegał i chłop, często za namową swego pana i w jego towarzystwie. Rząd, by temu przeszkodzić, nakładał na dominia, z których uciekali chłopci, dotkliwe kary pieniężne. Tak np. Winnicki, właściciel Firlejówki, za oddanie do wojsk warszawskich dwóch chłopów, Fedka Gawora i Sarczyńskiego, zapłacił 300 fl. kary. Ogółem jednak były to rzeczy dla rządu nieuchwytnie, działały się też przeważnie bezkarnie.

Ze szkół lwowskich, z gimnazyum i uniwersytetu zbiegała do wojsk warszawskich młodzież, nie zawsze szczęśliwie. Ucieczkę tę mieli jej ułatwiać francuski kapitan gwardyi, ożeniony

<sup>1)</sup> Generalna Komenda we Lwowie do Goessa. Lemberg, 13 Juli, 2 Aug. 1811, 10 April 1812. Baum do Goessa. Wieliczka, 3 Mai 1811 i 3 März 1812 (Arch. Nam. we Lwowie). Goess do Haagera, 24 Septem. 1811 (Arch. Minister. des Innern).

<sup>2)</sup> Baum do Goessa. Wieliczka, 5 Juni 1812 (Arch. Nam.).

<sup>3)</sup> Generalna Komenda we Lwowie do Goessa. Lemberg, 10 April 1812 (Arch. Nam.).

<sup>4)</sup> Raporty złożone Goessowi przez cyrkudy: Kołomyja, 7 April 1812; Złoczów, 14 Septem. 1812; Jasło, 29 Septem. i 2 Aug. 1812. Baum do Goessa. Warszawa, 24 Decemb. 1812 (Arch. Nam.).



z Polką, w Galicyi mający skutkiem tego licznych krewnych, późniejszy szpieg rosyjski Van der Noot i obywatel Księstwa Warszawskiego, Wincenty Korytyński. I tak między innymi zbiegli, szczęśliwie uszedłszy pościgu, słuchacze I i II roku filozofii, synowie mieszczan lub księży unickich: Jan Szumlański, Simon Kościółek, Jan Dobrzański, Gabryel Olexinski i Hyacent Dziukiewicz, chłopcy młodzi bardzo, wszystkimi policya liczyła 19—20 lat wieku.

Natomiast schwytano w Lubiczu, jadącego do Księstwa furą chłopską, 17 letniego ucznia lwowskiej poetyki, Mikołaja Łążyńskiego. Ucieczkę miał mu starać się ułatwić proboszcz gr.-kat. w Kniażu, Pawłowski. Uwięziono również i brata jego, Feliksa, który w tym samym celu opuścił dwór. Wypędzono obu ze szkół. Zabrano kilkunastoletnich chłopców rodzicom i oddano do austriackiego wojska. Wdowę po krawcu, Muszyńską, u której Łążyńscy mieszkali, za to, że wiedząc o ich zamiarze nie doniosła o nim policyi, ukarano w drodze łaski trzydniowym aresztem, współlokatorów ich, Wereszczaka, Żukotyńskiego i Resa, 24-godzinnym karcerem za to, że o ich zamiarze... nie wiedzieli. Wyrok ten miał odebrać chęć uciezki tym, którzy o niej myśleli.<sup>1)</sup>

Uciekali wreszcie ostatni może oficerowie austriacycy narodowości polskiej; Baum donosił z ubolewaniem, że przybyli do Krakowa i wstąpili do armii polskiej: porucznik artylerji Groel i kawaleryi Kupieć.<sup>2)</sup>

Tymczasem wypadki w Warszawie rozgrywały się szybko, 26 maja ogłoszono dekret królewski, nadający Radzie ministrów władzę monarszą, jako „że terażniejszej chwili okoliczności, wielkie przeznaczenia narodowi rokujące, które wymagać mogą rozwinięcia środków najspieszniejszych, wywołały w Warszawie potrzebę utworzenia władzy centralnej.“ 28 czerwca Sejm wiąże się w Konfederacyę Generalną i proklamuje utworzenie Królestwa Polskiego.<sup>3)</sup>

W tydzień potem Akt Konfederacyi znany jest w całej Galicyi. Napięcie uczuciowe w kraju dosięga zenitu. Szlachta „pi-

1) Brezany do Goessa. Lemberg, 2 Mai 1812. Rezolucya prezydium 10 Mai 1812. Goess do Brezany, 28 Juni 1812 (Arch. Nam.).

2) Baum do Goessa, 5 Juni 1812 (Arch. Nam.).

3) Por. Gazeta Lwowska, Krakowska i Warszawska z czerwca i lipca 1812. Relucye Bauma. Askenazy: „Książę Józef Poniatowski.“ Rembowski: „Konfederacya Generalna.“

jana radością“ biega, „jak szalona.“ Romanowski, Kicki August bratanek arcybiskupa, Waleryan hr. Dzieduszycki, Ludwik hr. Kalinowski, były radca apelacyjny Gruszecki, były adwokat Matkowski, Sokołowski, Kajetan Wierzchowski, Nikorowicz, Wielopolski, Mrozowicki, pani Bielska, Sadło, Brześciański, hr. Młocka i Raczkowski jeżdżą od dworu do dworu z gazetami warszawskiem i w rękę, z wieścią, „że Królestwo Polskie jest przywrócone i naród polski na nowo w jedno ciało połączony.“<sup>1)</sup>

Wieść ta, choć na nią czekano już tak długo, choć w ostatnich czasach spodziewano się jej lada dzień, uczyniła w Galicyi wrażenie potężne. Sam Akt odczuto w pierwszej chwili nietylko jako proklamacyę utworzenia Królestwa Polskiego w jego historycznych granicach, ale także jako wezwanie całego narodu do walki o wolność. Wszak 5 artykuł Aktu wyraźnie wzywał wszystkie części Polski, a więc i Galicyę, do wiązania się w Konfederacyę.

Nikt jednak w Galicyi zawiązywać ich, organizować jakiegokolwiek ruchu nie próbował. W ślad za Aktem nie przybiegli bowiem do kraju emisaryusze, nie wkroczyło wojsko, nie szła ze strony Księstwa najmniejsza wskazówka czy inicjatywa do konkretnego działania.

Do poszczególnych osób przyszły wprawdzie od przyjaciół i krewnych listy prywatne z Księstwa, przejmowane i pilnie nieraz czytane przez policyę, ale i one nie zawierały żadnych konkretnych wskazań, gubiły się w ogólnikach. W kraju był zamęt, podniecona szlachta marzyła o jakimś czynie, brakło jednak organizacyi, kierownictwa, już nie programu ale hasła. I tak minął pierwszy tydzień najgroźniejszy. Ten i ów objeżdżał dwory i zbierał podpisy na akces do Konfederacyi, naczelnicy cyrkułów notowali po kilku młodzieńców, którzy pod wrażeniem Aktu wyjechali do armii polskiej.

Na to zbiegostwo patrzyły już władze galicyjskie przez palce, w myśl instrukcyi ministryum policyi: <sup>2)</sup> narodowiec z kraju, rządowi lżej.

Było kilka wypadków, że szlachcic jeden i dziesiąty sprzedał majątek lub puścił w dzierżawę a sam z gotówką uciekł do

<sup>1)</sup> Por. raporty złożone Goessowi przez cyrkuły: Żółkiew, 1 Juli; Sambor, 31 Juli; Stanisławów, 19 Juli; Tarnów, 6 Juli; Jasło, 29 Juli; Sanok, 7 i 15 Juli; Nowy Sącz, 14 Juli 1812. Baum do Goessa, 3 Juli 1812 (Arch. Nam.). Goess do Metternicha, 9 Juli 1812 (H. H. und St. Arch. we Wiedniu).

<sup>2)</sup> Haager do Goessa. Wien, 24 Juli 1812 (Arch. Minist. des Innern).



Księstwa. W takich razach gubernium ubolewało nad wywozem z kraju znacznej ilości tak rzadkiej w monarchii monety.

Na podstawie brzmienia Aktu Konfederacyi, przejętych listów, zwłaszcza listu pułkownika Trzecieckiego do Waleryana Dzieduszyckiego z wyrażeniem przekonania, „że Galicya musi wziąć udział w odbudowywaniu Polski“ i że „Napoleon przyrzekł Polskę aż po Karpaty stworzyć,“ wreszcie tendencyjnego opuszczenia w „Gazecie Krakowskiej“ II artykułu traktatu paryskiego, Goess obawiał się, że Księstwo Warszawskie zorganizuje w Galicyi akcyę, celem wciągnięcia jej mieszkańców do współdziałania z Konfederacyą.<sup>1)</sup>

Obawy były płonne. W instrukcyach, jakie Pradt otrzymał od ks. Bassano, było bardzo silnie podkreślone, że Konfederacya jest zwrócona przeciw Rosyi, a nie przeciw Austryi. Czynniki wpływowe w Księstwie zachowały się zupełnie lojalnie wobec życzenia Pradta nie podejmowania najmniejszej akcyi w Galicyi. Pismom warszawskim wskutek interwencyi gabinetu wiedeńskiego, spowodowanej ogłoszeniem w nich akcesu obywatela wschodniej Galicyi Niewiadomskiego, zakazał rząd Księstwa zgłoszeń poddanych austryackich ogłaszać.<sup>2)</sup>

Brzmienie Aktu, który pośrednio proklamował zwłaszcza we wstępie przyłączenie Galicyi do Królestwa Polskiego było następstwem li tylko przeświadczenia Sejmu, że tak będzie. A gabinet wiedeński, który w tajnej części traktatu paryskiego godził się warunkowo na oddanie Galicyi, nie mógł być osnową Aktu zdziwiony.

Inaczej było jednak z Goessem, który tajnych artykułów traktatu nie znał i któremu Metternich nawet przypuszczać nie pozwolił, że zwrot Galicyi jest możliwym. To też Goess uważał za rzecz pewną, że Księstwo pragnie i Galicyę do Konfederacyi Generalnej wciągnąć. Wydaje więc cały szereg nadzwyczajnych zarządzeń, aby temu przeszkodzić.<sup>3)</sup> Poleca cyrkułom i policyi chwycić i odstawić do Lwowa podżegaczy, w kraju zaś urabiać opinię, że wszelka próba wzięcia udziału w rewolucyi byłaby

<sup>1)</sup> Goess do Metternicha. Lemberg, 4 Juli 1812 (H. H. und St. Arch. we Wiedniu).

<sup>2)</sup> Goess do Metternicha, 11 Juli 1812. Haager do Goessa. Wien, 6 Aug. 1812 (Arch. Minist. des Innern).

<sup>3)</sup> Goess do cyrkułów i policyi, 4 i 7 Juli 1812 (Arch. Nam.). Goess do Haagera, 25 Juli 1812 (Arch. Minist. des Innern).

szaleństwem wobec tego, że Napoleon gwarantował Austrii wieczyste posiadanie Galicyi. Na granicy zarządzono ścisły dozór nad przejezdnyimi, posłańcami i Żydami, przeprowadzano dokładną, osobistą rewizyę, zabierano wszelkie druki i papiery.

W każdym przybywającym z Księstwa podejrzewano emisaryusza. Jednakże z Księstwa przyjeżdżało osób niewiele, kontrola była przez to bardzo ułatwiona. Z każdym przejezdnyim, po ścisłym dochodzeniu, spisywano dokładny protokół. Prawie każdy wiozł ze sobą Konstytucyę z dn. 3 maja, kazania przy otwarciu Sejmu 26 czerwca 1812 r. i Akt Konfederacyi.<sup>1)</sup> W majątkach, należących do ruchliwszych, wybitniejszych działaczy narodowych, umieszczono oddziały wojska, ich samych oddawano pod ścisły policyjny dozór dowodzących oficerów. Po całym kraju rozrzucono niewielkie garnizony. Utrudniano wszelkimi sposobami szlachcie jeżdżenie po kraju, a obywatelom Księstwa i *sujets mixtes* wstęp do Galicyi. Od tych ostatnich żądano podania przyczyny przyjazdu do kraju, a gdy ta mogła wydać się nieprawdziwą lub niedostateczną, paszportu nie udzielano. Od połowy jednak lipca paszportów tych udzielał komisarz austriacki w Warszawie, bar. Baum; ten dla zdobywania sobie sympatyj i nie utrudniania stosunków, wydawał ich dużo i łatwo.

Naczelnik cyrkułu żółkiewskiego na podstawie doświadczeń z lat 1792, 1794, 1807, wreszcie 1809, uspokajał obawy własne i gubernatora: że do poważniejszego ruchu w Galicyi nie przyjdzie, gdyż na to potrzeba emisaryusza z zagranicy, żywego kontaktu kraju z Księstwem i wkroczenia wojska obcego, choćby nielicznego.<sup>2)</sup>

W takiej sytuacji wśród biurokracyi galicyjskiej krążyły kolorowane strachem pogłoski, które nieraz docierały do ministerjum policyi w formie wiadomości poufnych; mówiły one: że do Konfederacyi wstępują już c. k. urzędnicy, że w Galicyi jest pełno jej członków, którzy jako oznakę dla tem łatwiejszego poznawania się noszą „Schnurbart.“ Goess zarządzał dochodzenia, poruszał policyę i cyrkuły, aby móżdż następnie zapewnić Haagera, że wiadomości jego są nieprawdziwe.<sup>3)</sup>

<sup>1)</sup> Por. Michałowski do Goessa. Babice, 25 Juli 1812 (Arch. Nam.).

<sup>2)</sup> Cyr. Złoczów do Goessa, 29 Juni 1812 (Arch. Nam.).

<sup>3)</sup> Haager do Goessa. Wien, 17 Juli i 8 Aug. 1812. Goess do Haagera, 30 Juli i 13 Septem. 1812 (Arch. Nam.). Nota Goessa do Franciszka I. Lemberg, 4 Septem. 1812 (Arch. Minist. des Innern).



Zdenerwowani naczelnicy cyrkułów domagali się wydania ostrzeżenia, grożącego surowymi karami tym wyłącznym poddanym, którzyby zgłosili akces do Konfederacyi. Goess ostrzeżenia takiego nie wydał; uważał bowiem, że ono raczej popchnie, niż powstrzyma szlachtę galicyjską od wstępowania do Konfederacyi.

Nie leżało ono zresztą na linii jego polityki. Polityka ta, oparta na znajomości stosunków w kraju i subtelnej analizie psychicznego charakteru ludności polskiej w Galicyi, zmierzała do osłabienia wrażenia Aktu Konfederacyi, do zlekceważenia go i do odebrania mu w oczach tłumu szlacheckiego wszelkiej realnej wartości, a nadewszystko do wykazania, iż rząd austriacki wskutek stosunków przyjacielskich z Francją proklamacyą Sejmu warszawskiego nie jest zaniepokojony.

W tym celu, gdy Akt w kraju był i tak już powszechnie znanym, Goess kazał go ogłosić w całej osnowie w „Gazecie Lwowskiej.“<sup>1)</sup> Ogłoszenie w organie rządowym, „że Królestwo Polskie jest przywrócone i naród polski w jedno ciało połączony,“ zrobiło w kraju wielkie wrażenie.<sup>2)</sup> Akt Konfederacyi w opinii kraju stracił skutkiem tego momentalnie walor czynu, wymierzonego przeciw Austrii, skoro rząd traktował go jako rzecz naturalną, a dla siebie zgoła nie groźną, skoro go niejako zlegalizował. Tajny kolportaż stał się zbyteczny, przestano go obwozić w zanadrzu po kraju, odczytywać przy zamkniętych drzwiach, szeptać o nim nocami w ukryciu. Jeden z najwyższych czynników ogólnego poruszenia i niepokoju nie istniał. Gdy zaś Akt nie był wymierzony przeciw Austrii, skoro rząd nie wydawał zakazu podpisywania go i nie słyszano, aby kogokolwiek za to ukarał, zgłaszanie akcesów straciło dla szlachty jakąkolwiek wartość; stało się rzeczą drobną i bagatelną, gdy za taką zdawał się ją uważać rząd.

I oto pierwotny zapał werbowania członków Konfederacyi w ciągu tygodnia został oziębiony.

Goess cel swój w znacznej mierze osiągnął; powstrzymał szlachtę galicyjską od zgłaszania akcesów do Konfederacyi i to bez ostrzeżeń i represyi. Zręczna jego polityka ograniczyła ga-

<sup>1)</sup> Goess do Metternicha, 9 Juli 1812 (H. H. und St. Arch. we Wiedniu). Goess do cyrkułów, 7 Juli 1812 (Arch. Nam.).

<sup>2)</sup> Por. relacye złożone Goessowi przez cyrkuły: Rzeszów, 16 Juli; Stryj, 18 Juli; Żółkiew, 21 Juli; Sambor, 31 Juli; Tarnów, 14 Juli; Myślenice, 18 Juli 1812 (Arch. Nam.). Goess do Metternicha, 21 Juli 1812 (H. H. und St. Arch.).

licyjskich członków Konfederacyi zdaje się, że do kilkunastu *su-jets mixtes*.<sup>1)</sup> Były tego przyczyny i inne, przedewszystkiem ta, że co było w kraju bardziej zapalnego, wyjeżdżało do Księstwa i tam zgłaszało akces swój do armii.

Ogłoszenie w „Gazecie Lwowskiej“ Aktu Konfederacyi miało jednak i inne jeszcze następstwo, zgoła już nie pożądane dla rządu. Utwierdzało ono ludność w przekonaniu, że Austria odda Galicyę zaraz po wojnie Królestwu Polskiemu.

Przewidywał to Goess. Pragnął temu przeszkodzić. Ogłosił w tym celu w następnym zaraz numerze „Gazety Lwowskiej“ II artykuł traktatu paryskiego.

Miało to znaczyć: Austria nie obawia się Aktu Konfederacyi, bo Napoleon gwarantował jej wieczyste posiadanie Galicyi. Ludność jednak w kraju tłómaczyła rzecz całą zgoła inaczej: Austria nie obawia się Aktu Konfederacyi, bo postanowiła dobrowolnie wzamian za inny kraj zwrócić Galicyę Królestwu Polskiemu.

Ponowne ogłoszenie II artykułu traktatu minęło bez wrażenia. Jeśli wywoływał on jakieś refleksye, to je dawno już rozproszyły wpływy Księstwa Warszawskiego i własny, zdrowy odruch samozachowawczy, który nie pozwalał przypuścić, że Galicya może zostać z woli wskrzesiciela Polski prowincją austryacką. Teraz zaś wobec Aktu Konfederacyi Generalnej Królestwa Polskiego, uchwalonego pod protektoratem Napoleona, wobec wielkiej armii, idącej na Moskwę, rzucony przez Goessa na szalę opinii polskiej II artykuł traktatu paryskiego był nieważki.

Natomiast w kraju mówiono głośno, że Austria jednym z tajnych artykułów traktatu zgodziła się oddać Galicyę, gdy Królestwo Polskie będzie odbudowane.<sup>2)</sup> Na tle tej opinii powstały pogłoski o zamiarach szlachty galicyjskiej wystąpienia do stóp tronu deputacyi z prośbą o pozwolenie zawiązania w Galicyi Konfederacyi. Pogłoski te dotarły do Wiednia, budząc w ministryum policyi żywe zaniepokojenie. Wreszcie okazały się nieprawdziwe.<sup>3)</sup> Sam fakt jednak powstania takiej wersyi ilustruje bardzo dobrze panujący w Galicyi nastrój.

Gdy pierwsze wrażenie Aktu minęło, ludność przekonana, że bez jej czynnego udziału Galicya na drodze wymiany będzie do

<sup>1)</sup> Nota Goessa do Franciszka I. Lemberg, 4 Septem. 1812 (Arch. Minist. des Innern).

<sup>2)</sup> Goess do Haagera, 30 Juli 1812 (Arch. Nam.).

<sup>3)</sup> Haager do Goessa: Wien, 21 Juli 1812 (Arch. Nam.).



państwa polskiego włączona, o żadnym ruchu i udziale w rozgrywających się na północy wypadkach nie myślała. Weszła w rolę wyznaczoną jej przez rząd i Księstwo Warszawskie — biernego widza wielkiej chwili dziejowej.

Goess łudził się jeszcze, że obiecana odpowiedź Napoleona wiarę szlachty w jutrzejsze złączenie kraju z resztą ziem polskich przynajmniej zachwieje. Wreszcie przy końcu lipca upragniona odpowiedź przyszła; wydrukowała ją skwapliwie „Gazeta Lwowska.“ Napoleon powiedział wyraźnie: „Tu dodać muszę, że gwarantowałem cesarzowi Austrii całość państw jego i że nie mógłbym upoważniać do żadnego kroku ani poruszenia, któreby mogły mieszać spokojne posiadanie pozostałych przy nim prowincyi polskich.“

Odpowiedź ta była w Galicyi bardzo przykrą niespodzianką; oczekiwano z ust Napoleona czegoś innego.

Równocześnie jednak z tekstem odpowiedzi czytała szlachta galicyjska w „Dzienniku Konfederacyi Generalnej“: „Dnia wczorajszego niektórzy z J. W. Delegowanych powrócili z Wilna. Przywożą naypożądanszą i naysmyślniejszą odpowiedź wielkiego Naszego Wskrzesiciela i Zbawcy, równie jak nayuroczystszą rękojmię potężney Jego opieki,“ w innym zaś miejscu: „Nadeszła oczekiwana chwila, w której przy ciągłej Wielkiego Bohatera Świata pomocy rozszarpane cząstki Polskiej dziedziny w iedno złączą się ciało.“<sup>1)</sup>

Już te enuncyacye pierwszego w Polsce dziennika nie pozwoliły szlachcie galicyjskiej wyciągać z odpowiedzi Napoleona tych wniosków, jakich oczekiwał rząd. Wkrótce potem przyszły z Księstwa listy, które odpowiedź interpretowały. W Galicyi szybko powstaje opinia, że słów cesarza nie należy rozumieć ściśle i dosłownie, ani też przywiązywać do nich zbyt wielkiej wagi; są one bowiem przedewszystkiem enuncyacją polityczną, przeznaczoną dla Austrii, ale że Napoleon po odniesionem zwycięstwie niezależnie od gwarancyi włączy Galicyę do Królestwa Polskiego. Opinię tę urabiali w Galicyi August Kicki, były radea apelacyjny Sokołowski, Henryka Jelatycka, żona majora wojsk polskich, bawiąca w majątku ojca swego w Chylczycach, żona pułkownika warszawskiego Winnicka i inni. Była też ona powszechnie w Galicyi przyjętą.<sup>2)</sup>

1) Por. „Dziennik Konfederacyi Generalnej“, № 6, 7 i 8.

2) Por. relacye złożone Goessowi przez cyrkule: Jasło, 8 Aug. 1812 i t. d. Na ich podstawie zredagowana nota Goessa do Haagera z dn. 30 lipca i 16 sierpnia 1812 (Arch. Nam.).

Mimo to, chociaż odpowiedź Napoleona wiary ludności w blizkie włączenie Galicyi do Królestwa Polskiego nie zachwiała, jak się tego spodziewał rząd, jednak jej i nie wzmocniła.

Szlachta galicyjska nie uwierzyła i słowom Napoleona, gdy szło o pogrzebanie najsilniejszych naszych pragnień, uznała je za garść komunałów politycznych, mających zamydlić oczy Austrii; tembardziej przyjęto jako istotny ten ustęp odpowiedzi, w którym cesarz żądał, ażeby Galicya wobec wypadków zachowała się biernie.

I tak w ostatnich dniach lipca mógł wreszcie donieść Goess Metternichowi, że chwila krytyczna szczęśliwie minęła, i że na razie po odpowiedzi Napoleona niema powodu obawiać się w Galicyi jakiegokolwiek ruchu.<sup>1)</sup>

Odpowiedź Napoleona miała jednak i inne jeszcze następstwa; w opinii kraju strąciła ona Austryę z piedestału mocarstwa zaprzyjaźnionego, które współdziałała własnowolnie i chętnie w odbudowaniu państwa polskiego przez udział w wojnie, przez gotowość oddania Galicyi. Uważano bowiem powszechnie odpowiedź Napoleona za inspirowaną przez gabinet wiedeński, pośrednio więc za widoczny znak wrogiego stosunku Austrii do sprawy polskiej. W Galicyi, zawsze zresztą niechętnie się odnoszącej do Austrii sojuszniczki Napoleona, rodzą się już teraz na przełomie lipca i sierpnia nieokreślone jeszcze podejrzenia, że udział jej w wojnie nie jest szczery; powstają już teraz głucho pogłoski o jej tajnem porozumieniu z Rosyą. Obudzone raz podejrzenia szukają oparcia; społeczeństwo polskie w Galicyi zwraca wyteżoną uwagę na stosunek Austrii do Rosyi. Tem więcej, że jest on od początku niejasny. Przez długi czas, bo aż do wybuchu wojny, był on takim i dla Goessa.

Postępowanie rządu było dlań niezrozumiałe. Widział w niem sprzeczności, których nie umiał pogodzić jego unysł nawskroś prawy i uczciwy. Zarządzenia mobilizacyjne wskazywały coraz dobitniej, że Austria zamierza wziąć czynny udział w wojnie.

Ale przeciw komu? Nie przeciw Francyi, z którą się sprzymierzyła, nie przeciw Księstwu, z którego sztabem generalnym od kwietnia generalna komenda we Lwowie utrzymywała żywe stosunki. Równocześnie zaś огоłocenie wschodniej granicy z wojsk, brak wszelkich na niej zarządzeń wojennych, przyjacielskie sto-

<sup>1)</sup> Goess do Metternicha. Lemberg, 26 Juli 1812 (H. H. und St. Arch. in Wien).



sunki z władzami rosyjskimi, które stałe odnosiły się do gubernium lwowskiego z całą serdecznością sprzymierzeńca, wszystko to wskazywało, że ani Austria nie oczekuje inwazyi wojsk rosyjskich, ani Rosya nie obawia się wkroczenia austriackich.

Od naczelników granicznych cyrkułów przychodziły zapytania coraz bardziej naglące, pełne niepokoju. Między Dubnem a Żytomierzem stał korpus rosyjski w gotowości bojowej, zagrażał on bezpośrednio Galicyi. Ze Złoczowa, Kołomyi, Stanisławowa zapytywano gubernium coraz natarczywiej, jak i gdzie uciekać. Goess uspokajał obawy biurokracyi pogranicznej zapewnieniami, że gdyby nawet korpus obserwacyjny zamieniono na pomocniczy, to jeszcze jest nadzieja, „że Rosya i w tym wypadku nie podejmie żadnych kroków nieprzyjacielskich przeciw Austrii, ażeby jej nie zmusić do rozwinięcia wszystkich swoich sił,“ równocześnie jednak kazał zρέcznie puszczać wieści o gromadzeniu wielkich mas wojska w Galicyi, „aby armię rosyjską powstrzymać od napadu.“

Do Metternicha zaś wysłał pismo, w którym żądał stanowczo takich przynajmniej informacji, któreby umożliwiły mu dalsze pełnienie obowiązków.<sup>1)</sup> Informacyi takich nie zawierały przysłane mu w pierwszej połowie czerwca instrukcye; drażliwa sprawa stosunków austriacko-rosyjskich była w nich pominięta milczeniem; udzielił mu ich dopiero przybyły do Lwowa wkrótce potem radca legacyjny Provost, który przez cały czas wojny będzie bawił we Lwowie w charakterze agenta gabinetu wiedeńskiego dla spraw rosyjskich.<sup>2)</sup> Położenie Provosta wobec Goessa było z natury rzeczy trudne. Zdołał on jednak pozyskać sobie wkrótce całą sympatycę i uznanie gubernatora. Goess w raportach swych zachwyca się jego zdolnościami i wyszkoleniem dyplomatycznym, prosi o podwyższenie mu dyet dziennych, wynoszących 9 fl. dziennie.

Z rozpoczęciem wojny stosunki dyplomatyczne Austrii i Rosyi zostały przerwane tylko pozornie. Hr. Stackelberg wyjechał z Wiednia, ale do blizkiego Gracu; w samej zaś stolicy pozostał przez czas wojny radca legacyjny ambasady rosyjskiej Otto, obaj dalej pełnili swoją służbę dyplomatyczną. Wymiana gońców i de-

<sup>1)</sup> Goess do Metternicha. Lemberg, 3 Juni 1812 (H. H. und St. Arch. we Wiedniu).

<sup>2)</sup> Goess do Metternicha, 18 Juni i 2 Aug. 1812 (H. H. und St. Arch. in Wien).

depeš między obu gabinetami nie uległa żadnej przerwie, tylko pewnej zmianie, mianowicie odbywała się dalej na drodze tajnej.<sup>1)</sup> Rosyjscy gońcy gabinetowi jeździli przez Brody; przemycali ich tu przez granicę komisarz Rosenthal i kapitan sztabu generalnego, baron Maurich. Przez Galicyę przejeżdżali, jako osoby prywatne, w towarzystwie austriackich oficerów, którzy pilnowali, aby nigdzie niczem nie zdradzili swego istotnego charakteru.<sup>2)</sup>

Wojna była pozorna. Prowadzono ją za wzajemnem porozumieniem. Generalna komenda we Lwowie i główna kwatera Cziczagowa stale z sobą korespondowały.<sup>3)</sup>

Nie zachowano nawet pozorów przyzwoitości, od ostatnich dni sierpnia porozumiewali się przez korespondencyę cesarz Franciszek I i cesarz Aleksander, pierwszy jako Riedmüller, drugi jako Reigersberg. Listy ich szły przez główne kwatery armii rosyjskiej i galicyjskiego korpusu rezerwowego.<sup>4)</sup>

Wszelka komunikacya z Rosyą była przerywana, rząd jednak rosyjski stale dostarczał za pośrednictwem Giersa przez ręce Krattera gubernium lwowskiemu pisma rosyjskie i wojenne biuletyny. Agent rosyjski w Radziwiłłowie, radaa dworu Giers, stale porozumiewał się z Rosenthalem, często zjeżdżał się z nim w pasie granicznym, prowadził za pośrednictwem władz austriackich żywą korespondencyę z Ottem.<sup>5)</sup>

Ścisłe te i żywe bardzo stosunki państw, prowadzących z sobą wojnę, stwarzały sytuacyę bardzo drażliwą. Mogły w każdej chwili ujawnić się lub zostać ujawnione. Groziły kompromitacyą o najbardziej rozległych następstwach.

Ukryć istniejące stosunki z Rosyą, zachować wobec ludności pozory wojny było obecnie jednym z naczelných zadań Goessa. Spełnienie napotykało znaczne trudności. Największą z nich sta-

<sup>1)</sup> Metternich do ks. Reuss. Wien, 22 Juli 1812 (H. H. und St. Arch. in Wien).

<sup>2)</sup> Metternich do Provosta, 26 Juli 1812; Goess do Metternicha, 3 i 8 Aug., 29 Septem., 16 Octob., 1, 27 i 30 Novem. 1812 (H. H. und St. Arch. in Wien).

<sup>3)</sup> Goess do Metternicha, 5 Juli 1812. Cziczagow do Reussa. Zamszany, 6 Oct. 1812 (H. H. und St. Arch.).

<sup>4)</sup> Metternich do ks. Reuss. Wien, 28 Aug. 1812 (H. H. und St. Arch. in Wien).

<sup>5)</sup> Goess do Metternicha, 19 Juli, 2 i 29 Aug., 22 i 29 Septemb. 1812. Metternich do Goessa. Baden, 8 Septem. 1812. Goess do ks. Hohenzollern, 31 Octob. 1812 (H. H. und St. Arch.).



nowiły częste bardzo przemycanie i przewożenie przez kraj rosyjskich gońców. Czynić to niepostrzeżenie i bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi było tem trudniej, że ani rząd rosyjski, ani gońcy sami o to się nie starali. Przeciwnie, rząd rosyjski wyraźnie wysyskiwał fałszywą sytuację Austrii, aby ją wobec gabinetu francuskiego skompromitować. Wysyłał więc ludzi powszechnie w Austrii znanych, często nawet byłych austriackich oficerów. Urzędnicy rosyjscy, którzy brali udział w ich wysyłce, czynili to możliwie głośno, oni zaś sami jeździli jak najbardziej ostentacyjnie, nie kryjąc zupełnie swego właściwego charakteru. W tem położeniu wszystkie stosowane przez Goessa środki ostrożności były niedostateczne.

Goess czynił wszystko możliwe, ażeby ukryć przejazdy gońców gabinetowych przed czujną opinią społeczeństwa i bystrem okiem Aubernona, radcy legacyjnego ambasady francuskiej w Warszawie, który bawił we Lwowie pozornie dla obserwacji ruchu wojsk rosyjskich na Ukrainie, faktycznie zaś dla śledzenia stosunków Austrii z Rosyą.

Na granicy więc odbierano od jadących gońców słowo honoru, że w czasie pobytu w granicach monarchii nie będą używali rosyjskich tytułów i mundurów, że niczem nie będą zdradzać, iż są wysłańcami petersburskiego gabinetu. Nie pozwalano im nigdzie zatrzymywać się, stawać w zajazdach i hotelach. Dla noclegów były w Brodach i we Lwowie osobne, na to wyłącznie przeznaczone mieszkania. W czasie całej podróży pozostawali pod czujną opieką zaufanych oficerów austriackich, którzy troskliwie chronili ich od wszelkiego zetknięcia z ludnością.<sup>1)</sup>

Mimo to wszystko już w pierwszych dniach sierpnia dwóch takich rosyjskich gońców spotkał i poznał jadący do Lwowa Doux, konsul francuski w którymś z większych miast południowej Rosyi. Wkrótce potem odwiedził Goessa Aubernon.<sup>2)</sup> Wizyta owa, złożona bez wyraźnego powodu, nie była zbyt przyjemną. Aubernon o całej aferze ani słowem nie wspomniał. Na to milczące zapytanie agenta francuskiego odpowiedział Goess napomykając w rozmowie o podróżnych, którzy często w Galicyi podają się za gońców gabinetowych, aby ułatwić sobie podróż. Odpo-

<sup>1)</sup> Goess do Metternicha, 3 i 8 Aug., i 1 Novemb. 1812 (H. H. und St. Arch.).

<sup>2)</sup> Goess do Metternicha. Lemberg, 8 Aug. 1812 (H. H. und St. Arch. in Wien).

wiedź ta była bardzo niezręczna. Przedewszystkiem dlatego, że w danych warunkach jedyną możliwą odpowiedzią było niezrozumienie zapytania. Odpowiadanie na *milczące* zapytanie było wyznaniem. Pozatem bajka o częstych podróźnych, udających gońców, była niedołączna i nazbyt przejrzysta, świadczyła nietylko o wielkiej niezręczności politycznej, ale i o braku wszelkiego literackiego polotu swego twórcy. Aubernon milczeniem przyjął do wiadomości wyznanie gubernatora o częstych gońcach gabinetowych, udających podróźnych dla tem łatwiejszego przejechania kraju bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi.

Zresztą już i wśród szlachty galicyjskiej coraz głośniejsz mówiono o tajemniczych przejazdach gońców rosyjskich pod opieką oficerów austriackich.<sup>1)</sup> Wkrótce zdarzyło się, że Haager otrzymał wiadomości o takim przejeździe z ust osoby zupełnie prywatnej.

W tych warunkach tem gorliwiej zacierał Goess wszelkie inne ślady porozumienia austriacko-rosyjskiego, tworzył umiejętnie pozory wojny. Już nie uspokajał obaw naczelników cyrkulów przed inwazyą wojsk rosyjskich, jak to czynił był w pierwszych dniach czerwca, gdy sam się jej lękał; przeciwnie, podsycił je.<sup>2)</sup>

Rozesłał instrukcye, omawiające dokładnie organizację uciezki i wywozu zapasów kasowych w chwili wtargnięcia wojsk rosyjskich; kazał uwiadomić o tem niebezpieczeństwie ludność.

Spokój i dobry sen naczelników cyrkulów i biurokracyi poświęcił dla ratowania pozorów wojny z równą łatwością, jak Schwarzenberg, który od czasu do czasu tracił kilkudziesięciu ludzi w „zwycięskich“ potyczkach, jakie staczał dla ratowania pozorów wojny i honoru armii, podczas długich swych przechadzek to z tej, to z tamtej strony Bugu i ciągłego to cofania się przed nieprzyjacielem, to posuwania się za nim. „Ażeby wobec publiczności pozory wojny utrzymać,“ posunięto ku granicy wschodniej część korpusu rezerwowego; naczelnikom cyrkulów nakazano uważnie obserwować granicę rosyjską, zbierać wiadomości o poruszeniach wojsk nieprzyjacielskich w pogranicznych guberniach, „aby wypadki nas nieprzygotowanych nie zaskoczyły.“

„Gazeta Lwowska“ podawała przez cały czas wojny relacje o jej wypadkach, oparte prawie wyłącznie na źródłach francuskich i warszawskich, ażeby nie dać, broń Boże, powodu do po-

<sup>1)</sup> Goess do Metternicha, 29 Juli 1812 (H. H. und St. Arch. in Wien).

<sup>2)</sup> Goess do cyrkulów, 18 Juli 1812 (Arch. Nam.).



dejrzeń, że sympatyzuje z Rosyą. Informacyi rosyjskich, które Goess posiadał w Austrii najwcześniej, nie pozwalał w „Gazecie Lwowskiej“ publikować prędzej, niż podane zostały przez pisma warszawskie, francuskie lub niemieckie, ażeby nie dać cienia powodu do podejrzeń, że je lwowskie gubernium otrzymuje ze strony rosyjskiej, że ma z Rosyą jakiegokolwiek stosunki.<sup>1)</sup>

Takimi środkami starając się utrzymać pozory wojny wobec mieszkańców Galicyi, z niepokojem śledził Goess wypadki na Podolu i Wołyniu. Miały one dla Austrii i dla utrzymania spokoju w Galicyi pierwszorzędne znaczenie. Powstanie na Podolu i Wołyniu i zajęcie prowincyi tych przez wojska polskie było przedmiotem największych obaw gabinetu wiedeńskiego, gdyż przesądzało to w pewnej mierze włączenie prowincyi tych do Królestwa Polskiego i łatwo mogło wywołać w Galicyi poważne niepokoje.

Zażegnać przewidywane niebezpieczeństwa było zadaniem korpusu Schwarzenberga. Było ono i trudne i przykre dla człowieka honoru, a za takiego przedewszystkiem uważał się towarzysz pierwszych trudów wojennych ks. Józefa.

Prowadzić wojnę pozorną, sparaliżować wybuch powstania, działać w porozumieniu z armią nieprzyjacielską i nie dopuścić do zajęcia Wołynia i Podola przez sprzymierzone wojska polskiego pospolitego ruszenia była to niewątpliwie rola, którą trudno było spełnić, „sans compromettre cependant l'honneur du Corps de l'Armée Autrichienne, que je commande.“ I tak, gdy Goess w Galicyi ratował pozory wojny, Schwarzenberg ratował pozory honoru armii austriackiej.

Przy danych zamierzeniach Austria nie miała dla swego pomocniczego korpusu wielkiej armii wodza lepszego nad Schwarzenberga. Jako poseł austriacki w Petersburgu, a od pokoju wiedeńskiego w Paryżu, znał on dobrze Rosyę i Francyę. Od pięciu lat stał w ośrodku robót dyplomatycznych trzech gabinetów cesarskich. Prowadził w ostatnich czasach rokowania w sprawie traktatu paryskiego, który imieniem Austrii podpisał. Znał więc, jak nikt inny może, plany i zamiary Metternicha. Sytuacya, w jakiej się znalazł, jako wódz armii państwa przyjaźnie usposobionego dla nieprzyjaciela, nie była dlań nową: wszak w r. 1809 tworzył w Petersburgu, jako poseł austriacki, podobną rolę dla ks. Golicyna, także wodza armii państwa przyjaźnie usposobione-

1) Goess do Metternicha, 2 Aug. 1812 (H. H. und St. Arch.). Por. „Gazeta Lwowska“ i „Lemberger Zeitung“ z roku 1812.

go dla nieprzyjaciela. Konwencya petersburska zawarta między Austryą i Rosyą jego była dziełem.<sup>1)</sup> Ta to przeszłość dyplomatyczna, a nie wykazane niebawem zdolności militarne czyniły zeń znakomitego wodza armii prowadzącej wojnę pozorną.

W ostatnich dniach lipca Schwarzenberg opuścił Wołyń i ruszył na północny wschód w kierunku Nieświeża. Goess tym ruchem korpusu Schwarzenberga bardzo był zaniepokojony, obawiał się, że na Wołyniu, wyzwolonym z pod opieki wojsk austriackich, rozwinię się powstanie, które zagrozi spokojowi Galicyi.

„Ważnem będzie następstwem tej zamiany—pisał do Metternicha — że jakiś *obcy* korpus wkroczy na Wołyń i stanie na granicy Galicyi, która skutkiem tego przed wpływami rozwijającej się tam Konfederacyi, nie będzie tak zupełnie dobrze zastonięta, jakby była, gdyby korpus austriacki nie był opuszczał pierwotnego swego stanowiska.“<sup>2)</sup>

Generalna komenda we Lwowie, skutkiem tych obaw, posuwa na granicę Wołynia cztery dywizye konnicy. Korpus rezerwowowy ks. Hohenzolerna dostaje rozkaz rozbrojenia każdego oddziału wojsk sprzymierzonych, któryby wkroczył do Galicyi.<sup>3)</sup> Natomiast ani pochód Czyczagowa wzdłuż odsłoniętych granic Bukowiny, ani wkroczenie armii Tormasowa na Wołyń nie budzą w Austrii najmniejszego zaniepokojenia. Obawy Goessa były płonne: na Wołyń na miejsce wojsk austriackich wkroczył nie „obcy“ sprzymierzony, ale „swój“ nieprzyjacielski korpus Tormasowa, który nie gorzej od Schwarzenberga zabezpieczał i Wołyń przed rozwojem Konfederacyi, i Galicyę przed jej wpływami.

Świadczone sobie przez Rosyę i Austryę nawzajem grzeczności, serdeczne przyjacielskie stosunki władz obu państw, istniejące porozumienie obu prowadzących z sobą wojnę dworów nie usunęły jednak obopólnych nieufności i podejrzeń.

Zarówno Austrya jak i Rosya jedna drugiej nie dowierzała, i na rzeczy najgorsze ze strony przeciwnej w najbliższej nawet przyszłości była przygotowana. Austrya—mimo wszystko—z wielkim nakładem środków pieniężnych prowadziła organizację służby wywiadowczej w południowych guberniach Krajów Zabrzanych.

<sup>1)</sup> Por. Wurzbach. Askemazy: „Poniatowski.“ Oncken. Plutyński: „Rosya a Austrya przed r. 1809.“ Bibl. Warszaw., 1901, II.

<sup>2)</sup> Goess do Metternicha, 25 Juli i 1 Aug. 1812 (H. H. und St. Arch.).

<sup>3)</sup> Metternich do ks. Reuss. Vienne, 4 Octob. 1812 (H. H. und St. Arch. in Wien).



Kierował nią kapitan sztabu generalnego, siedzący stale w Brodach, baron Maurich, prócz tego czynni byli ustanowieni z początkiem wiosny komisarze graniczni z Rosenthałem i bar. Dyckem na czele.<sup>1)</sup>

Rosya również zalewała Austryę agentami, których posiadała w różnych miejscowościach. Relacye ich zabierają i przewożą nieraz gońcy gabinetowi. Często wysyła rząd rosyjski wywiadowców, którzy objeżdżają monarchię w charakterze zwykłych podróźnych. Najruchliwszym z agentów rosyjskich był major Brendel.<sup>2)</sup> Przybywał do Austrii często, działał pod kontrolą policyi, która go dobrze znała. Relacye swe przysyłał za pośrednictwem przejezdnych i gońców gabinetowych, którzy wstępowali niejednokrotnie po nie do żony jego, mieszkającej w Cieszynie, skąd obserwowwała ruchy wojsk austriackich i mobilizacyę obu korpusów galicyjskich. Brendel, praktykowaną i dziś metodą, ofiarowywał usługi swe policyi austriackiej, ale ich nie przyjęto.

We Lwowie przez dłuższy czas bawił wybitny agent rosyjski, brat znanego generała, hr. Lambert, w Brodach d-r Neulinger,<sup>3)</sup> w Buczacu pułkownik Kaszylkoff.<sup>4)</sup> Wszyscy trzej pozostawali pod ścisłą kontrolą policyi, która ich nie płoszyła. Wreszcie o pełnienie stałej służby wywiadowczej w Galicyi podejrzewało gubernium lwowskie rabina w Beresteczku i jego dwóch synów, bogatych kupców brodzkich.

Rząd rosyjski utrzymywał żywe stosunki z Węgrami i Tugendbundem; oddawna zaś miał silne oparcie w podminowanych propagandą Bukowinie, północnych Węgrzech, Siedmiogrodzie i południowej Słowiańszczyźnie. Stosunkami tymi i groźbą wywołania na Węgrzech powstania szachował on skutecznie monarchię habsburską. W Rosyi, w kołach wojskowych i biurokratycznych, mówiono głośno już w r. 1810, że jeśli Austriya podejmie wojnę z północnym sąsiadem, to na Węgrzech i w Siedmiogrodzie

<sup>1)</sup> Goess do ks. Reussa, 26 Aug. 1812; Goess do Haugera, 23, 29 i 31 Aug.; 2 i 4 Septem. 1812. Liczne relacye agentów z Białokrynicy, Horodenki, Rawy, Żółkwi i Buczacza. Goess do Rosenthala, 9 Septem. 1812 (Arch. Nam.).

<sup>2)</sup> Haager do Goessa. Wien, 25 Januar 1812. Goess do Haugera, 9 i 13 Juni 1812 (Arch. Nam.). Wogóle o agentach rosyjskich: Brezany do Goessa, 14 Septemb.; Haager do Goessa, 4 Juni; 25 Octob.; 28 Decemb. 1812 (Arch. Nam.). Goess do Haugera, 14 Septemb. 1812 (Arch. Minist. des Innern).

<sup>3)</sup> Haager do Goessa, 14 Juni 1812 (Arch. Minist. des Innern).

<sup>4)</sup> Haager do Goessa. Wien, 31 Decem. 1812 (Arch. Minist. des Innern); Goess do Brezany, 18 Novemb. 1812 (Arch. Nam.).

wybuchnie powstanie. Poważnie też z tem niebezpieczeństwem liczono się w Wiedniu.

Propagandą odpowiednią w Austrii kierowała ambasada rosyjska w Wiedniu. Prowadzili ją wysyłani w tym celu emisaryusze i miejscowi działacze narodowo-rosyjscy.<sup>1)</sup> Najsilniej zagrożona była Bukowina; ludność jawnie sympatyzowała tam z Rosyą i czekała wkroczenia wojsk rosyjskich z utęsknieniem.<sup>2)</sup> Od maja agitacya rosyjska nieco osłabła, nie mniej jednak istniała i groziła możliwym wybuchem.

Starał się również rząd rosyjski o pozyskanie sympatyi Węgrów. Miał wśród nich ludzi zupełnie sobie oddanych. Wybitnym działaczem rosyjskim na Węgrzech był Sabbas Tököly, asesor komitatu aradzkiego.<sup>3)</sup> W działalności swej wśród Węgrów oparła się Rosya na ich dążnościach konstytucyjnych i separatystycznych. Rząd austriacki posądzał stale Polaków, zwłaszcza z zaboru rosyjskiego, jeżdżących do węgierskich miejsc kąpielowych, że podburzają Węgrów przeciw Austrii.<sup>4)</sup> Zabiegi rosyjskie o zdobycie sobie sympatyi Węgrów ujawniły się bardzo silnie w czasie obecnej kampanii. Jeńcy narodowości węgierskiej byli przez generałów rosyjskich wyjątkowo traktowani, zwracano im natychmiast wolność, gdy dali słowo honoru, że przeciw Rosyi walczyć nie będą. Niemców zaś, wziętych do niewoli, uwalniano z niej w bardzo wyjątkowych wypadkach, czasami wtedy, gdy prosili o to ich koledzy węgierscy.

Generałowie rosyjscy tłumaczyli wziętym do niewoli Węgom, że przymierze Austrii z Francją jest grobem samowładnego narodu węgierskiego i jego konstytucyi.<sup>5)</sup>

Wskutek tych wiadomości lwowska generalna komenda wracającym z niewoli rosyjskiej oficerom węgierskim nie pozwalała

<sup>1)</sup> Haager do Goessa. Wien, 29 Januar; 3, 4 i 5 April; 27 Mai 1812. Goess do Haagera, 14 April 1812 (Arch. Nam.).

<sup>2)</sup> Platzer do Goessa. Czerniowce, 17 Mai; 21 Aug. 1812 (Arch. Nam.).

<sup>3)</sup> Haager do Goessa. Wien, 10 Decemb. 1812. Bellegarde do ks. Reuss. Wien, 13 Decem. 1812 (Arch. Nam.).

<sup>4)</sup> Goess do cyrkulów: Sambor, Stryj, Sanok, Jasło, 21 Juni 1812; do cyrkulu Sambor 8 Juli 1812. Polecenie rozeznaczenia dozoru policyjnego nad bawiącym w Uszók Uruskim.

<sup>5)</sup> Rosenthal do Goessa. Brody, 28 Octob. i 31 Decemb. 1812. Goess do Haagera, 30 Octob.; 6 i 10 Novemb.; 7 Decemb. 1812; wreszcie 13 Januar 1813. Goess do Metternicha, 30 Octob.; do ks. Reuss, 1 Novemb. 1812. Haager do Goessa. Wien, 25 Novemb.; 31 Decemb. 1812 (Arch. Nam.).



udawać się do kraju ojczystego, ale wysyłała ich do Berna i Ołomuńca.

Bardziej już wreszcie Prusom, niż Austrii, zagrażały stosunki Aleksandra z Tugendbundem. Tugendbund ogarniał przeważnie Niemcy północne i Prusy, pozostawał pod wpływem Anglii i Rosyi, nosił się z planami wywołania powstania na tyłach wielkiej armii, w Niemczech. Na czele jego stał były radca pruski i prezes policji Gruner. Obecnie bawił on w Pradze. Stąd utrzymywał żywe stosunki z Rosją. Wysyłał do niej gońców i agentów. Policja austriacka wykryła dwóch: Bayera, pułkownika pruskiego i hr. Doknę. Obu udało się do Rosyi przez granicę galicyjską koło Śniatyna wyjechać. Tajna wymiana listów odbywała się za pośrednictwem domów handlowych: Rettiga w Zittau na Morawach, Koberweina we Lwowie i Steina w Brodach. Korespondencya ta szła przez ręce radcy dworu Giersa w Radziwiłowie. Stein przewoził listy osobiście przez granicę, stale co tydzień odwiedzał Giersa w Radziwiłowie.

Tajną tę pocztę zorganizował przy końcu lipca wysłannik Grunera, Knapp, który w tym celu przez pewien czas bawił we Lwowie i Brodach, gdzie na granicy zjechał się i porozumiał z Giersem. Już jednak we wrześniu policja austriacka rzecz całą odkryła. Wskutek rewelacyi Knappa uwięziono wówczas w Pradze Grunera, a w Brodach Steina.<sup>1)</sup>

Od 9 lipca bawił w Warszawie, w charakterze pełnomocnego komisarza rządu austriackiego, radca dworu baron Baum. Głównem zadaniem jego było „działać wspólnie z arcybiskupem z Mechelm, posłem francuskim w Warszawie, nad utrzymaniem w Galicyi spokoju i dostarczać mu przez znajomość osób i stosunków miejscowych odpowiednich do tego środków.“<sup>2)</sup> Rozległe stosunki wśród najwybitniejszych osób Księstwa, dokładna ich znajomość, powszechnie zaufanie, jakim się wśród szlachty tamtejszej cieszył, wreszcie pomoc posła francuskiego, tworzyły dla jego działania warunki jak najlepsze. A działalność ta była wieloraka. Zmierzała ona do dostarczenia gabinetowi wiedeńskiemu jak najdokładniejszych informacyi o nastrojach i opiniach politycznych w Księstwie, o zamiarach i poglądach, istniejących w Warszawie

<sup>1)</sup> Haager do Goessa. Wien, 21 Aug.; 8 i 16 Septemb.; 4 Decemb. 1812. Goess do Rosenthala. Lemberg, 29 Aug. 1812. Rosenthal do Goessa. Brody, 4 Septemb. Br. Dycke do Goessa. Kołomyja, 21 Octob. 1812 (Arch. Nam.).

<sup>2)</sup> Por. Nota Franciszka I do Goessa. Praga, 21 Juni 1812.

w sprawie galicyjskiej, wreszcie o stosunkach łączących Księstwo z Galicyą. Prócz tego śledził on bacznie działalność bawiących w Księstwie poddanych austriackich. Starał się odkryć tajne stosunki Galicyi z Księstwem, jej udział w wypadkach, przede-wszystkiem zaś tych Galicyan, którzyby do Warszawy wysyłali z Galicyi pieniądze, broń i rekruta.<sup>1)</sup> W tym kierunku niczego jednak odkryć nie mógł, bo nie tu do odkrycia nie było.

W pewnej mierze odpowiednikiem Bauma we Lwowie był bawiący tam od połowy lipca radca legacyjny ambasady francuskiej w Warszawie, Aubernon. Tylko nie cieszył się on ani zaufaniem władz austriackich w kraju, ani nie miał pomocy jakiegoś Pradta, któryby mu w pełnieniu jego misyi szedł na rękę. Bawił on we Lwowie w nieokreślonym bliżej charakterze. Przybył pozornie dla śledzenia ruchu wojsk rosyjskich na Ukrainie i Mołdawach, faktycznie zaś, jak sobie z tego zdawał dobrze sprawę Goess, dla obserwacyi stosunków austriacko-rosyjskich.<sup>2)</sup>

Stąd obecność jego we Lwowie była dla Goessa bardzo a bardzo niewygodna. Tolerowano go wprawdzie, ale każdą działalność starano mu się utrudnić lub udaremnić. Ułatwiali mu ją natomiast wybitni działacze narodowi w Galicyi, z którymi się na podstawie wskazówek i listów, otrzymanych w Warszawie, szybko zapoznał. Bliższe stosunki łączyły go przez cały czas pobytu we Lwowie z Matkowskim, Czyżem, hr. Ign. Cettnerem. Starał się on dostać także do domów niemieckich, ale to dla istniejącej w nich nienawiści do Francuzów, nie udało mu się. Ze Lwowa często wyjeżdżał dla objazdów granicy, wszędzie po dworach z radością goszczony. Bawił przez dłuższy czas w tajemnicy przed gubernium i policyą niedaleko Brodów, w Manajowie u Szumlańskiego i w Ponikwie u Kownackiego. Wkrótce miał własną organizacyę wywiadowczą, wysyłał swoich agentów na Wołyń i Podole.<sup>3)</sup>

Oprócz Aubernona było w Galicyi kilku jeszcze innych agentów francuskich, ci jednak zachowywali ściśle swoje incognito;

<sup>1)</sup> Goess do Bauma, 28 Juni 1812. Instrukcyja, 29 Juni 1812. Baum do Goessa. Warszawa, 9 i 24 Juli, 8 Aug., 16 Septemb. 1812 (Arch. Nam.).

<sup>2)</sup> Goess do Metternicha. Lemberg, 26 Juli; 6, 20 i 25 Aug.; 26 Septem.; 4 Octob.; 3 Novemb. 1812 (H. H. und St. Arch. in Wien).

<sup>3)</sup> Goess do Brezany, 8 Aug. i 3 Novemb. 1812. Goess do Rosenthala, 8 Aug. i 3 Novemb. 1812. Goess do Haagera, 7 Decemb. 1812 (Arch. Nam.).



między innymi włóczył się wzdłuż granicy rosyjskiej Varimont. W Czerniowcach siedział Tornetti.<sup>1)</sup>

Niezależnie od tej akcji wywiadowczej, prowadzonej przez ambasadę francuską w Warszawie, starał się i rząd Księstwa Warszawskiego o dokładne informacye z Galicyi. I tak prefekt w Lublinie, ks. M. Jabłonowski, żąda od adwokata lwowskiego, Dzierzkowskiego, wiadomości o zniszczeniu fortyfikacyi w Brodach i Stanisławowie; od hr. Potockiego, z którym koresponduje pod nazwiskiem Carrier, danych o sile i rozkładzie korpusu ks. Hohenzollerna. Izydor Pietruski, siedzący w Warszawie, prosi hr. Ludwika Kalinowskiego o dostarczanie mu informacyi o położeniu i sile wojsk austriackich w kraju, o nastroju panującym wśród urzędników rodem z Galicyi. Jeździ po kraju, przybyły za paszportem Bauma z Księstwa, ks. Zamiechowski i Andrzej Horodyski. Policya podejrzewała ich o szpiegostwo.<sup>2)</sup>

Pod szczególnie ścisłym dozorem policyjnym, jako osoby, utrzymujące stosunki z Księstwem, znane rządowi ze swej irredentystycznej działalności pozostają następujący wybitni działacze narodowi: hr. Bobrowski w cyrkule myślenickim, Waligórski i hr. Russocki w sądeckim; br. Konopka, hr. Rey, Gostkowski i Chylewski w bocheńskim; br. Bernard Lewartowski i bracia Romerowie w jasielskim; hr. Stadniccy i Wincenty hr. Wielopolski w rzeszowskim, hr. Krasicki, Jerzy hr. Tyszkiewicz, Truskolaski, Zawadzki, Tarnawiecki, Rafał Wężyk, hr. Konarscy i Bobowski w sanockim; w przemyskim Eug. hr. Cettner, Józef Lewicki i Ignacy hr. Morski; we Lwowie Dzierzkowski, Matkowski, Węgliński, Zieleniewski, Ostaszewski, Czerwiński i Antoniewicz, wszyscy byli adwokaci, dalej Dulscy, hr. Potoccy i August Kicki; w stanisławowskim hr. Skarbek, hr. L. Kalinowski, hr. Koziębrodzki, br. Czechowicz, hr. Bąkowski i Kajetan Horodyski; w brzeżańskim Szumlański, br. Horoch i bracia Siemianowscy; w złoczowskim Kajetan hr. Dzieduszycki, hr. Komarnicki, Tomasz Dąbski i Ksawery hr. Chołoniewski; w żółkiewskim Gintowt, hr. Komorowski, Wincenty Poletyło, Żaboklicki, Kamieniecki, Świożawski, Mochnacki i Floryan Stojanowicz.<sup>3)</sup>

<sup>1)</sup> Rosenthal do Goessa. Brody, 12 i 18 April, 21 Mai, 29 Aug. 1812. Goess do Haagera, 13 Septemb., do Brezany, 13 April i 27 Juni 1812. Haager do Goessa. Wien, 25 März i 12 Octob. 1812 (Arch. Nam.).

<sup>2)</sup> Haager do Goessa. Wien, 19 i 30 Juli, 8 Aug., 23 Aug. 1812 (Arch. Nam.). Goess do Haagera. Lemberg, 22 Aug. 1812 (Arch. Minist. des Intern.).

<sup>3)</sup> Wykaz dołączony do instrykey, udzielonej Baumowi przez Goessa w chwili jego wyjazdu do Warszawy.

Wiadomości, które przychodziły z pola wojny, mówiły o świetnych zwycięstwach, o coraz dalszem posuwaniu się wielkiej armii na północ, powoli jednak stawały się coraz rzadsze i skąpsze. Szlachta galicyjska była jak najlepszej myśli, oczekiwała, że lada dzień przyjdzie wieść o zajęciu Moskwy i skończonej wojnie.

W kraju panował spokój niczem nie zakłócony, chociaż stosunek ludności do rządu i monarchii stawał się coraz bardziej wrogim. W pierwszej połowie września szlachta już nie podejrzewała, nie domyślała się, ale stwierdzała stanowczo na licznych zjazdach sąsiedzkich, że Austria zdradza, że utrzymuje ścisłe stosunki z Rosją, że korpus austriacki działa w porozumieniu z nieprzyjacielem.<sup>1)</sup> Nigdy może, jak teraz wczesną jesienią roku 1812, nie miał rząd austriacki mniej w kraju zwolenników.

Chłopsstwo, zniszczone ogromnymi ciężarami rekwizytowymi dla wystawianych pośpiesznie korpusów armii, skutkiem wielkiego nieurodzaju, ogromnych powodzi w lipcu i sierpniu cierpiało głód i w głos przeklinało rząd, sprawcę nieszczęścia.<sup>2)</sup> Biurokracja i niemieckie mieszczaństwo występowały z namiętną krytyką rządu nawet w urzędach i miejscach publicznych z powodu przymerza z Francją.<sup>3)</sup>

Wtem wtargnęły do kraju pierwsze, głuche wiadomości o porażce Moskwy, o klęskach wielkiej armii, o odwróceniu Napoleona.

D-R WACŁAW MEJBAUM.

---

<sup>1)</sup> Goess do Metternicha. Lemberg, 10 Octob. 1812 (H. H. und St. Arch.). Brezany do Goessa, 20 Aug. i 1 Septem. 1812. Goess do Haagera, 17 Octob. 1812 (Arch. Nam.). Goess do Haagera, 20 Aug. 1812 (Arch. Minist. des Innern).

<sup>2)</sup> Goess do Haagera, 23 Juli i 14 Aug. 1812 (Arch. Nam.).

<sup>3)</sup> Haager do Goessa, 24 Aug. 1812 (Arch. Minist. des Innern).



# KARTKI

## z pamiętnika Michała Starzeńskiego

(1757 — 1795).

### XXXVIII.

Cała Warszawa była w ogromnym ruchu. Tysiące mieszczan, służących, wyrobników, żołnierzy, księży, zakonników, kobiet prostych i dam eleganckich szło gromadami wielkimi ze śpiewami i chorągwiami na okopy za miasto do sypania wałów. Namówiono mnie, więc i ja, zabrawszy moich 30 strzelców, zaopatrzonych w rydło, pospieszyłem tam także. Pracowaliśmy razem z drugimi aż do wieczora, co w otaczających prawdziwe uwielbienie wzbudziło, tak, że kiedyśmy wracali, otaczał mnie tłum nowych przyjaciół, którzy mnie odprowadzili aż do ratusza. Przed ratuszem stały jeszcze szubienice, na których powieszono hetmana Ożarowskiego, biskupa Massalskiego, Ankwicza, Zubięłę i innych.

Generał Mokronowski rozkazał mi zostawić mu swoich 200 ludzi z eskorty, wracać do Bielska i przyprowadzić jaknajśpieszniej resztę mojego batalionu z 500 ludzi złożonego i jeszcze, ile będzie można, strzelców konnych, wydając mi to rozporządzenie, dodał jeszcze, że generał Kościuszko już jest uwiadomiony o sformowaniu przezemnie tego batalionu. Kazał mi wydać broń, amunicję, 8 armat i 5 furgonów. Armaty miały być dla Karwow-

skiego, który z pomocą Ossolińskich sformował trzy bataliony piechoty i kilka szwadronów kawaleryi.<sup>1)</sup>

Zabrawszy cały transport, udałem się do Bielska, gdzie znalazłem batalion w największym porządku. W chwili, kiedy miałem razem z nim maszerować ku Warszawie, oficerowie wysłali do mnie z petycją kapitana Cetysa, pełniącego obowiązki majora. Ten oświadczył mi, że wszyscy czują się bardzo uradowani i szczęśliwi, że są pod moją komendą, ale że przykrem jest ich położenie względem oficerów Karwowskiego, gdyż tamci mają formalne patenty oficerskie. Wytłómaczyłem im, że patenty dla pułków wolnych, wydane *in blanco* przez Kościuszkę dla oficerów Karwowskiego, nie mają wielkiej wartości; batalion mój miał być włączony do regularnego piątego pułku strzelców. Obiecałem jednak, że się udam do Przybyszewa, do obozu Kościuszki i wyjednam dla wszystkich patenty; wierzyłem bowiem w prawość Cetysa i nie przypuszczałem, że się pod całą tą sprawą ukrywają podstęp i cudze intrygi.

Major był to człowiek dobry, uczciwy, ale całkiem zawojowany przez żonę; szwagier jego, a brat pani Cetysowej, był pomocnikiem Karwowskiego. Pani Cetysowa zapragnęła koniecznie zrobić go pułkownikiem mojego batalionu. Poczciwy Cetys sądził, że ambicya moja sięga do stanowiska generał-majora. Uknuto też potajemnie spisek, ażeby złożyć fałszywy raport. Karwowski posyłał swoje raporty Kościuszcze i przedstawiał oddział złożony z 700 strzelców jako regiment. Mój raport do Mokronowskiego wysłany był z 5 batalionu do regimentu strzelców.

Wybrałem się z jednym oficerem i jednym ordynansem do Przybyszewa. W drodze spotkałem kuryera Karwowskiego, który stamtąd wracał. Przestrzegł mnie, żebym się miał na ostrożności, aby mnie kozacy, którzy się tam uwijają, nie złapali. Patrole polskie także wokoło obozu czuwają. Dojechałem do głównego sztabu. Generał Kościuszko zajęty był przeformowaniem swoich oddziałów piechoty, wliczaniem pomiędzy dawniejszych, już wyćwiczonych, nowego rekruta, którego mu ze wszystkich stron dosyłało. Musztrował przytem kawaleryą ze zwykłą sobie gorliwością. Zmuszony byłem mu towarzyszyć. Po dawnej znajomości serdecznie mnie uściskał. Mój towarzyszy, oficer Piotrowski, był mu także oddawna znany i posiadał całkowite jego zaufanie.

<sup>1)</sup> O formowaniu oddziałów przez Starzeńskiego i Karwowskiego na Podlasiu por. Korzon: „Wewnętrzne dzieje,” t. VI, 148, *passim*.



Przedstawiłem listę swoich oficerów; znał ich wszystkich. Kazał zaraz wyszykować nominacye i rzekł do mnie: „A pan wracaj natychmiast, za 24 godzin jużby trzeba dodać panu konwój dla bezpieczeństwa. Ale proszę bardzo, abyś pan wracał na Warszawę i oddał Komitetowi Rady te depesze, które są niezmiernej wagi. Zresztą słuchaj we wszystkim Mokronowskiego.“

Więc też wracam, a raczej jadę jako kuryer do Warszawy, zajeżdżam przed pałac Rady Rewolucyjnej; melduję się, że wiozę depesze, wprowadzają natychmiast i czytają.

Miałem sposobność obserwować z boku różne wrażenia, jakie przywiezione pismo na twarzach szanownego zgromadzenia wywołuje. W zgromadzeniu przyduje hr. Ignacy Potocki (nasz książę Orleański), Kołłątaj jako kanclerz (polski Robespierre) i wielu innych.

Dowiedziałem się później, że moje depesze ogromnie wszystkich poruszyły. Główny wódz Kościuszko mówił tam, że niepochwala i wyrzeka się odpowiedzialności za wszystkie wieszania, więzienia i gwałty, naśladujące rewolucyę francuską. Grozi w razie potrzeby kontrawencyą. Mówi, że przedewszystkiem trzeba się starać o wzmocnienie siły wojskowej narodu, ażeby stawić opór zbliżającej się armii pruskiej pod wodzą samego króla, a złożonej z 40,000 wojska; że on sam nie da rady siły tej wstrzymać, że trzeba wzmacniać na gwałt fortyfikacye etc. etc.

Z wyjątkiem hr. Ignacego Potockiego, który przy wielkiej rozrzutności, z której korzystali otaczający go intryganci, cała ta wielka Rada myślała tylko o swoich interesach. Kołłątaj stał na czele partyi zagorzalców i sekciarzy rewolucyi francuskiej. To on wydawał rozkazy wieszania swoich osobistych nieprzyjaciół, mordowania jeńców rosyjskich i Bóg wie, coby jeszcze wymyślił, gdyby władza długo w jego ręku była.

Po przeczytaniu depezb hr. Ignacy Potocki pytał mnie jeszcze o bliższe szczegóły o Kościuszcze. Odpowiedziałem, że Naczelnik miewa się doskonale, że jest pełen najlepszych nadziei. Widziałem, że Kołłątaj był okropnie niezadowolony z depezb.

Wieczorem udałem się w drogę do Bielska, ażeby moim oficerom wręczyć patenty.

Nad ranem stanąłem na pagórku, skąd można było widzieć Bielsk i Hołowiejsk. Pierwsza rzecz, która mnie zadziwiła, że nie było widać ognia ani w obozie Karwowskiego, ani wśród namiotów mojego batalionu. Milczenie i cisza panowały wszędzie. Przyjeżdżamy nakoniec na miejsce i proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy nie znalazł nikogo, oprócz mego służącego, któ-

ry zdołał schować i zabezpieczyć moje pieniądze. Pięciuset ludzi, 12 strzelców konnych, broń, amunicję, wszystko od trzech dni zabrano. Pokazało się, że generał Karwowski, otrzymawszy od naczelnego wodza pochwałę, podziękowania i plikę patentów *in blanco*, korzystał z mojej nieobecności, polecił wpisać na nich imiona moich oficerów, mianował majora Cetysa pułkownikiem, następnie odczytał głośno rzeczywisty rozkaz Kościuszki marszu na Szczuczyn, którądy Prusacy mogli wejść do Mazowsza i następnie kierować się ku Pradze. Korpus Karwowskiego liczył najwyżej 4,000 ludzi, a mój batalion stanowił jego część najzdolniejszą. Na szczęście pozostawiono mi ze czterdziestu ludzi, którzy podali się za chorych, ażeby mnie nie opuścić, dwudziestu konnych strzelców i dwóch oficerów, oraz konie wierzchowe pod opieką weterynarza Prausa, który bynajmniej nie pragnął widoku Prusaków. Za korpusem udał się również komitet rewolucyjny z biskupem Synopy na czele, mieli oni organizować zdobyte kraje.

Generał Karwowski, doszedłszy do Szczuczyna, napotkał niespodzianie dwa szwadrony dragonów Buscha. Po krótkiej potyczce, w której mój batalion szedł na froncie, zmusił ich do ucieczki, zabrał 30 koni i wzniecił popłoch w szeregach pruskich. Upojony zwycięstwem, puścił się Karwowski wzdłuż dawnej granicy na Ełk i Johannsburg. Nagły jednak zwrot Prusaków i fałszywy alarm spowodowały szybkie cofnięcie się korpusu na lewy brzeg Narwi. Wówczas Karwowski stworzył nowy plan działania oparty na połączeniu z kilku patryotami mazowieckimi, którzy ze swej strony wpadli na drugi brzeg Narwi. Gdy jednak na umówionem miejscu spotkania zamiast Karwowskiego znaleźli Günthera, po 12-stogodzinnej bitwie zmuszeni byli przejść na powrót na lewy brzeg Narwi.<sup>1)</sup>

Ale wracam teraz do mojej historii. Dowiedziawszy się, jak rzeczy stoją, posłałem umyślnego do Warszawy po rozkaz i zapytanie, co mam robić.

---

<sup>1)</sup> Istnieje autentyczna prośba Michała Starzeńskiego, podpułkownika batalionu strzelców oddziału 5-go, podana z Kalinowa dn. 28 lipca 1794 roku, do Najw. Naczelnika o wyznaczenie osoby, zdolnej rozpoznać powody, dla jakich odebrano mu batalion; na prośbie tej pod odpowiedzią *brevi manu* Kościuszką własnoręcznie dopisał te słowa: „Bijcie się wszyscy w dobrej harmonii i jedności. Idźcie teraz o los Ojczyzny, albo wolnemi albo niewolnikami trzeba się zostać.“ Por. „Czas“ z 8 września 1870 r.



Domyśliłem się, że Kościuszek nie zrozumiał tego, że oddział Karwowskiego był to regiment strzelców przeznaczony do Prus, mój zaś batalion miał być włączony do 5-go regimentu liniowego strzelców, o którym myślał, że jest w Warszawie.

Posłaniec wrócił wkrótce i przywiózł mi rozkaz i list. Mokronowski szedł już z księciem Poniatowskim przeciw królowi pruskiemu, idącemu na Warszawę od strony Łowicza, podczas gdy Kościuszek cofał się przed następującymi na niego Rosyanami. Komendantem Warszawy był Orłowski, dawny mój przyjaciel. Pisał mi, że nikt nie wątpi o moim patriotyzmie, że ostatecznie powinno mi być wszystko jedno, gdzie się bije mój batalion. Radził przyjechać do Warszawy, gdzie miałem swoich 200 strzelców. Donosił następnie, że Prusacy czynili pewne ruchy nad Narwią, co dowodziłoby oblężenia Warszawy. Orłowski zbierał jakie mógł wojsko, aby zatrzymać Prusaków w razie, gdyby próbowali przejść Narew pod Zegrzem, o cztery mile od Warszawy.

Nie mając co robić w Bielsku, zabrałem swoich 40 chorych i 30 strzelców do Warszawy. Tam zastałem dwustu dawnych i czterdziestu nowych rekrutów. Miałem więc razem 270 piechoty i 70 konnych. Generał Orłowski zaledwie miał czas mnie uściskać. Dał mi dwie kompanie strzelców nowo utworzonego batalionu Sokolnickiego, 4 armaty, 8 baterii z rozkazem marszu w górę Wisły i obrony Zegrza, który dotąd strzeżony był tylko przez uzbrojonych mieszczan. Wkrótce miano wyznaczyć generała, który miał dowodzić obroną linii Narwi.

### XXXIX.

Nareszcie i ja też rozpocząłem działanie w armii czynnej.<sup>1)</sup> Zatrzymałem się w Popowie, gdzie zastałem oddział piechoty z kilku dobrymi oficerami artylerii. Zagrożeni byli nadejściem Prusaków, ośm armat przyszło im więc w porę. W ciągu nocy wysunęliśmy dwie daleko sięgające reduty; moi ludzie doskonałe

<sup>1)</sup> Niniejsze opowiadanie o obronie linii Narwi należy porównać z relacją A. Treskowa w jego dziele „Der Feldzug der Preussen in Jahre 1794.“ Berlin, 1837, oraz ze szczegółami podanymi przez biskupa Adama Prażmowskiego w „Pamiętniku warszawskim“ z 1810 r.

znali swoje rzemiosło; karabinowe strzały nosły daleko za rzekę. Statki, nagromadzone przez Prusaków, służyły im tymczasowo do polowania, ale w danym razie mogły być użyte do przewozu, więc też usunęliśmy je. Ktokolwiek wysunął się nad rzekę, był na cel brany i ginął. Na przestrzeni trzymilowej długości nad ranem słychać było obustronne strzelanie. Prusacy strzelali ze swoich w Zegrzu bateryi na próżno, gdyż nas te strzały nie dochodziły. Strzelcy nasi na łąkach, porośniętych krzakami i trzciną, pokopali doły. Nasze armaty z wysuniętych redut, nie chybiały ani razu, podobno nawet przeszkadzały komendantowi do spokojnego spożycia obiadu, gdyż ten napisał do mnie bardzo grzeczny list, „że przez sześć tygodni używał największego spokoju, że sam nie myśli go zakłócać i że wstrzyma wszelkie kroki zaczepne, jeżeli ja ze swej strony dam rozporządzenie i zabronię strzelać.“ Odpowiedziałem mu, iż „wierzę, że on nie myśli o rozpoczęciu kroków zaczepnych, ale że ja służyć muszę rozkazom władzy wyższej, i że jest sposób uniknięcia naszego ognia, to jest usunięcie się z poza jego doniosłości.“ Poczciwy major pruski posłuchał mojej rady i wyniósł się z domu hr. Krasieńskiego, gdzie już całkowicie piwnice wypróżnił, do domu odleglejszego.

Nareszcie przybył generał Cichocki z rozkazem od Kościuszki „zrobienia osobiście rekonesansu na całej linii Narwi wszystkich stanowisk wojsk liniowych, milicyi, nowoformujących się zaciągów, żeby z tego stanu utworzyć listę i objąć nad tem wszystkim komendę dla uorganizowania albo obrony Narwi w razie nadejścia Prusaków, albo pozostać w gotowości do wypełnienia dalszych rozkazów.“ Cichocki przyprowadził z sobą dwóch inżynierów i dwóch adjutantów.

Tak więc mój dawniejszy podwładny stawał się moim przełożonym. Gdyby miał pod swoją komendą jakie 2,000 dobrego żołnierza, mógłby się pewno odznaczyć, bo nie nie można było zarzucić jego znajomościom teoretycznym. Mógłby być doskonałym profesorem w szkole wojskowej.

Nakreśliłem już poprzednio plan miejscowości, wyznaczyłem punkty główne obrony, przejścia łatwiejsze przez rzekę i miejsca najlepiej nadające się do ataku. Cichocki rozesłał swoich adjutantów i inżynierów do wszystkich dowódców oddziałów, znajdujących się na lewym brzegu Narwi z rozkazem, ażeby mu zdali raporty i wskazówki o pozycyi i ruchach wojsk pruskich.

Przybycie generała Cichockiego z większym oddziałem wojska było zauważone przez szpiegów. I mój pacyficzny major z Zegrza zaczął też ruszać się po drugiej stronie rzeki. Ich ka-



nonierzy stali przy armatach z zapalonymi lontami, czekając znaku; nareszcie zagrzmiały z dwóch stron armaty, podczas kiedy generał Cichocki oglądał brzegi Narwi. Najbezpieczniejszem miejscem była nasza ostatnio zrobiona reduta; zaledwieśmy do niej weszli, kiedy dał się słyszeć mocny huk i trzask nad głowami. Duża kula armatnia strzaskała nad nami stary rozłożysty dąb, obsypały nas łamiące się liście i gałęzie upadającego wierzchołka starego drzewa. Po jakimś czasie kanonada ustała.

Adjutant generała Cichockiego wrócił po czterech czy pięciu dniach, ale bez rezultatu. Natrafił wzdłuż lewego brzegu Narwi na dwa tylko oddziały, Zielińskiego i Kwaśniewskiego, te same, które się już raz spotkały z generałem Güntherem.

Cichockiemu zagrażała pozycja generała bez wojska. Liczył on na to, że Karwowski, który niegdyś służył pod nim, odda mu bez trudności swój oddział, ale mylił się nieco w tym względzie. Karwowski, rad ze swej niezależności, marzył tylko o tem, aby przywrócić blask sławy swojej, przyćmiony nieco ostatnią potyczką z Güntherem. Przeszedłszy zresztą na prawy brzeg Narwi, uważał się za niezależnego od Cichockiego, któremu powierzono lewy brzeg rzeki.

Generał Cichocki w dalszym ciągu stosował się do odebranych rozkazów, udał się w górę rzeki i na punktach ważniejszych ustawił dwie kompanie Sokolnickiego i moich strzelców.

Mieszczanie Ostrołki przyszli dać nam znać, że zrobił się widoczny ruch wśród Prusaków na prawej stronie rzeki. Donieśli też, że przybyła piechota na wozach i ściągano rek wizycę między Ostrołką a Nowogrodem. Cichocki pozostawił w Ostrołce moich strzelców, gdzie most był zburzony, a trzeba było strzedz brodów, sam zaś z 30 moimi strzelcami konnymi udał się do Nowogrodu. Miasteczko całe było zajęte bagażami oddziału Karwowskiego, Zielińskiego i Kwaśniewskiego. Ci dwaj ostatni znajdowali się w mieście i zaprosili Cichockiego na śniadanie, podczas którego objaśnili go, że Karwowski przeszedł na prawy brzeg rzeki i ustawił się na piaszczystym wzgórzu, mając od frontu bagna i z tej strony jest bronny, ale że mało będąc obeznany z taktyką wojenną, stoi tam już trzy dni bez ruchu na jednym stanowisku, przez co daje Prusakom czas zorientowania się i zaznajomienia ze swoją pozycją. Sam Karwowski z liczną świtą przyjechał do Nowogrodu i bardzo był nieprzyjemnie zdziwiony, gdy mnie tam zastał. Prosił Cichockiego, aby obejrzał jego stanowisko, które uważał za niezdobyte. Miałem czas szepnąć mu na ucho, że grubą ryzykował stawkę, podejmując się rzeczy, na

której się nie znał. Wśród otoczenia dostrzeżono, że między nami zanosi się na kłótnię, więc nas rozdzielono i zwolniono mnie od oglądania wyborczego stanowiska.

Po powrocie Cichocki opowiadał mi, że istotnie jeżeli Prusacy zajdą od frontu, będą na pewno pobici; mogą jednak posłać choćby tylko jeden batalion, przeprowiony przez rzekę Pisnę, ze psuć most na niej i wówczas nastąpi katastrofa. Karwowski tak jednak był pewnym zwycięstwa, że ze łzami prosił Cichockiego, żeby mu nie odbierał dowództwa i zaszczytu pobicia Prusaków. Uradziliśmy zatem, aby w każdym razie Zielińskiego i Kwaśniewskiego posłać na drugą stronę rzeki, wyprawić patrole na drogę, którą przypuszczalnie mogli przyjść Prusacy, a piechotę ich ustawić dla strzeżenia rzeki Pisny.

Nazajutrz o wschodzie słońca generał Karwowski był zaatakowany fałszywym atakiem na jednym skrzydle i froncie. Atak odparto. Dwa bataliony nowego regimentu Ossolińskich puściły się za ustępującym nieprzyjacielem i zapędziły się w las. Ogień ustał. Generał Karwowski wyprawił adjutanta co koń wyskoczy do generała Cichockiego z wiadomością o odparciu Prusaków ze stratą z ich strony, istotnie, kilku ich padło, donosi przytem, że żadnej pomocy nie potrzebuje i że odpowiada za wszystko.

Z rozkazu i prośby generała Cichockiego byłem wysłany dla zajęcia młyna i grobli, nazwanych Kłysz, znajdujących się na lewym skrzydle pozycji Karwowskiego. Ażebym tam się dostać, trzeba było przejść znaczną wyniosłość, która górowała nad tąż pozycją Karwowskiego. Strzelcy moi spostrzegli bez pomocy lunety nawet znaczny oddział piechoty pruskiej, zdążający w prostej linii na prawe skrzydło Karwowskiego, a inny znów szwadron rozrzuconych strzelców zajmujący wawóz, idący do wsi Zbojna i zmierzający na tyły pozycji. Posłałem co koń wyskoczy uprzedzić o tem generała Cichockiego, który zauważywszy ze swej strony te ruchy Prusaków, przeszedł Narew ze swymi adjutantami i Horuinem, komisarzem rewolucyjnym i wyprawił Zielińskiego i Kwaśniewskiego, żeby szli na pomoc Karwowskiemu. W jednej chwili dał się słyszeć plutonowy ogień muszkietierów pruskich na prawem skrzydle pozycji, oraz atak na tyły wsi Zbojny.

Strzelanie ucichło. Generał Cichocki powracał galopem a za nim zapędzeni Bośniacy Günthera z pikami. Dwóch jego koniuszczych zabito, adjutant, dzielny człowiek, także zginął. Gdyby piechota Kwaśniewskiego nie była zagroziła drogi Bośniakom, to i Cichocki byłby zabity albo wzięty do niewoli. Dwa bataliony Ossolińskich nie wracały; pozycya zaatakowana na skrzydłach,



a tyły zajęte przez strzelców pruskich, nowoutworzony pułkownik Cetys z 300 moimi strzelcami wzięty do niewoli, tylko 200 strzelców pod komendą Kraszewskiego biło się jak lwy, zgromadzili w koło siebie co było można i przyprowadzili dwie uratowane armaty i czternastu lekko rannych strzelców. Generał Günther wziął sześć armat, wysadził w powietrze wszystką amunicję, Bośniacy zabrali wozy, bagaże, instrumenty muzyczne pułkowe i rzeczy wszystkich oficerów. Wszystko było skończone o siódmej godzinie wieczorem. Karwowski sam z dwoma czy trzema oficerami, straciwszy konie i rzeczy, szczęśliwie przynajmniej przedostał się do młyna i mostu Kłysza, gdzie miałem sposobność powiedzieć mu na ucho, że moja przepowiednia całkowicie się spełniła.

Byłem zmuszony pożyczyć Cichockiemu 400 dukatów dla rozdania niższym oficerom, którzy w tej historii utracili wszystkie swoje bagaże. Reszki batalionów zwróciły się ku Łomży, ażeby się tam na nowo zorganizować. Namówiłem Cichockiego do powrotu do Warszawy, gdzie trzeba się było z możliwych zarzutów wytłómaczyć i o inne zadanie dopomnieć. Karwowski zdał już raport, w którym było powiedziane, że poniósł niewielką stratę z powodu, że generał Cichocki i podpułkownik Starzeński nie przyszli mu z pomocą. My dwaj z generałem Cichockim nie byliśmy klubistami rewolucyjnymi, a Karwowski nim był. Więc też napisano w gazetach, że „dzielny nasz generał Karwowski przegrał małą potyczkę z Prusakami, przesłano mu kilka armat, broń i amunicję, jest nadzieja, że stratę tą prędko powetuje i znajdzie sposobność odznaczenia się chlubnie na nowo.“

Wróciliśmy więc do Warszawy z Cichockim, którego znów włączono do Komisji wojennej; ja zaś wróciłem do fortyfikacji, gdzie czynnym był także generał Kościuszko; opowiedziałem mu dokumentnie wszystkie moje przygody, jak mi w biały dzień zabrano batalion, który ja sam swoim kosztem wyszykowałem. Zardynował w tej sprawie komisję, złożoną z trzech oficerów, którzy mieli przybyć do Bielska, jako miejscowości, gdzie się ten fakt wydarzył. Pojechałem na oznaczony dzień, Karwowski nie przybył. Tak się skończyła sprawa. Wróciłem do Warszawy.

## XL.

W Warszawie teroryzm przycichł. Kościuszko, przeprowadziwszy znowu śledztwo, ukarał winnych sprawców okrucieństw i nadużyć władzy i położył kres teroryzmowi. Kilku gorliwszych rewolucjonistów poukrywało się lub powynosiło cichaczem z Warszawy. Potworzyły się z mieszczan kompanie po 100 ludzi i pułki po 1000, te miały swoich oficerów, broń, mundury i rywalizowały ze szlachtą odwagą i dzielnością.

Król pruski z synem i najlepszymi generałami na czele 40,000-nej armii blokował Warszawę; dopomagało mu 10,000 Rosyan pod wodzą Ferzena. Najważniejszymi punktami ataków były Wola i Szwedzkie okopy za Powązkami. Generał Zajączek dowodził centralnemi siłami nawprost Woli; generałem nowomianowany Ożarowski miał sobie oddane lewe skrzydło, stał naprzeciw korpusu rosyjskiego, a książę Józef Poniatowski prawe, nawprost Powązek. Dzielny wódz Kościuszko był wszędzie, na każde zawołanie, gdzie tylko groziło niebezpieczeństwo. Obustronne strzelanie z armat, małe ataki częściowe tak oswoiły ludność miejską z ogniem i hałasem wojennym, że dnie ciszy i zawieszenia kroków zaczepnych były dla niej niewypowiedzianie nudne. Skoro usłyszano strzały dążono tam natychmiast i bez rozkazów, ale bardzo inteligentnie dopomagano walczącym. Kilka szturmów Prusaków na rozmaitych punktach zostało odparty. Mięso baranie i woda z glinianek, używana do picia i gotowania, nie szły im na zdrowie. Mieli wielu chorych i wielu bardzo na dysenterję umierało. Generał Dąbrowski przedostał się lasami i bagnami ze swoim oddziałem, zaszedł im z tyłu i nie dopuszczał żadnego transportu z żywnością, i przecinał wszelką komunikację.

Jeden obywatel-patryota podjął się odciągnąć, puścić na dno lub spalić kilka berlinek, które na Wiśle stały z amunicją pruską. Czyby to kto uwierzył, że ci Prusacy wyczerpali do ostatka swoje zapasy strzelnicze, a przecież nie zrobili innych szkód na przedmieściach, oprócz spalenia kilku domków i przedziurawienia kilku wiatraków. Ich granaty i bomby pękały albo za wczesnie, albo za późno. Kościuszko, bojąc się, żeby mu nie zabrakło prochów i amunicji, wyznaczył cenę za każdą kulę, granat nie pęknięty, bombę przyniesioną do obozu. Rzucili się chłopcy, ulicznicy i rozmaici biedni ludzie do zbierania tychże i zapędzali się za niemi czasem o 1000 kroków od redut.



Korpus rosyjski, pozostający na prawem skrzydle Prusaków, czy to z wyższego rozkazu, czy dla zawistnej rywalizacji, formował się na każdy znak alarmu, ale nie atakował wcale. Brygada Jana Potockiego i mój szwadron stały naprzeciw nich. Wielka karczma, która górowała nad pozycjami wojsk, była miejscem zebrań, gdzie oficerowie zabawiali się czasem nawet grubą grą w karty; patrole nasze poznajamiły się z rosyjskimi i często się zdarzało, że się razem z jednych kociołków pożywiali. Za to nie było nocy, żeby pruskie forpoczty gdzieś nie przepadały. Król pruski prosił, ażeby mu z obozu rosyjskiego pożyczono kozaków. W obozie pruskim widać było jakiś ruch niezwykły, dowodzący, że się tam przygotowywano do głównego szturm. Nastąpił on pewnego poranku. Brałem udział w obronie wraz z wielu innymi ochotnikami, dla których nie było miejsca w szeregach. Prusacy powracali z dziesięć razy do ataku, po którym wynosili się poza obręb naszych strzałów—o godzinie 7-ej wieczorem znów rozpoczęli. Dwa ich bataliony zapędziły się do parku powązkowskiego, ale 200 mieszczan, prowadzonych przez krawca Krakau'a i mego służącego Jarockiego, wyparło ich stamtąd, poczem kilkudziesięciu Prusaków wraz z kilku oficerami padło trupem w odwrocie. Książę Józef Poniatowski z dwoma batalionami gwardyi i Kościuszko z dwoma innymi uderzyli na Prusaków z frontu, a gdy ci zwrócili się do ucieczki, wielu z nich zabitych zostało, tak, że pole okryło się poległymi. Była to ostatnia próba Prusaków.

W Wielkopolsce sformowało się powstanie; generał Dąbrowski zmusił generała Schwerina, który prowadził pomoc Prusakom pod Warszawę, do odwrotu. Zajął Bydgoszcz. Jego królewska mość król pruski rozpoczął odwrot z pod Warszawy; kozacy stanowili straż tylną armii. Pięćdziesiąt wsi palących się i wysadzone w powietrze magazyny, których uprowadzić nie zdołali, oświecały ich drogę, jak tyleż wulkanów. Kościuszko posłał za nimi w pogoń kawalerję, mnie zaś polecono udać się, jako kuryer, do Brześcia Litewskiego do generała Sierakowskiego, który z powodzeniem prowadził partyzantkę przeciw korpusowi rosyjskiemu wraz z kilku innymi generałami litewskimi.

## XLI.

Sierakowski, dzielny generał i zacny człowiek, był szefem korpusu inżynierów ze stopniem pułkownika, następnie generał-majora w r. 1792. Miał on cztery do pięciu tysięcy liniowego wojska i tyleż ochotników litewskich, którzy dowolnie sobie przechodzili z jednej pozycyi na drugą. Wszędzie w spotkaniach z nieprzyjacielem szczęściło mu się prawdziwie, tak, że korpus swój miał w całości. Gdyby mu byli oddali naczelne dowództwo wojsk litewskich, byłby nadał zupełnie inny obrót tej kampanii. Tutaj król pruski odparty, tam na Litwie jedno dobre wielkie zwycięstwo byłoby wywołało zawieszenie broni i pokój. Otaczający Kościuszkę generałowie napadali na Sierakowskiego, że nie znacznego ze swoją armią nie zrobił; nadomiar złego Sierakowski przysyłał raporty bardzo szczegółowe o formowaniu się nowej armii rosyjskiej przez generała Suworowa, który zbierał po drodze co z wojsk rosyjskich napotkał, donosił o dniu wyjścia tej kolumny, o jej sile i kierunku na Brześć Litewski. Oddział ten składał się z 30,000, a Sierakowski miał tylko 5000—szanse były nierówne; prosił więc o przysłanie posiłków.

Kościuszko obozował, jak mówiłem, pod Warszawą; niewielki oficerski namiot płócienny służył mu za sypialnię i za biuro wojskowe. Masa oficerów otaczała namiot wodza—śmiali się, gawędzili, czekając rozkazu dziennego. I ja też wraz z innymi słyszałem czytanie raportu Sierakowskiego; po przeczytaniu mała sprzeczka pana Niemcewicza i Kołłątaja, brata księdza, a potem dyktowanie rozkazu. Było tam powiedziane, że trzeba mniej pisać a więcej działać — nie wierzyć przesadzonym opowiadaniom o siłach Suworowa, wyruszyć bez straty czasu przeciw niemu i pobić go. Rozkaz ten zapieczętowano, Kościuszko wyszedł z namiotu i zwrócił się do mnie: „Bądź pan spokojny o swój batalion, znajdziesz go w swoim czasie na właściwem miejscu, a teraz śpiesznie musisz jechać i oddać ten rozkaz Sierakowskiemu. Znajduje się tam generał Mokronowski, jemu także będzie do oddania ten oto rozkaz drugi. Udać się ma na Litwę, do Grodna, gdzie się sprawy psują, możesz mu pan tam być potrzebny, ponieważ znasz tamtejszą miejscowość — jest powiedziane w rozkazie, żeby pana zużytkować.“

Otóż znów pędzę kuryerem, niosąc wiadomość, która zasmuci dawnego mego przyjaciela, ale co do mnie, to szczęśliwy jestem, że będę z Mokronowskim, którego wysoko szanuję.



Przeźrenie między Brześciem a Warszawą prędko przebyta została. Generałowie Sierakowski i Mokronowski znajdowali się u Jagmina, wróciwszy do Brześcia, otworzono i czytano listy. Sierakowski, przeczytawszy swój, pokazał mi go i posłał po dziennik, który bardzo starannie był prowadzony. Bił się siedemnaście razy i to właśnie jego niewielki oddział zwrócił na siebie uwagę Rosyan. „Bardzo dobrze, zawołał, moi nieprzyjaciele chcą, żebym zginął, to stanie się ich życzeniu zadosyć.“ I wydał rozkaz wymarszu na dzień następny.

Mokronowski był przy Sierakowskim tylko tymczasowo, dla uniknięcia fatalnych rządów rewolucyi; jako główny komendant miasta, w pierwszych zaraz dniach miał sposobność przypatrzeć się wielu okropnościom, później ustąpił miejsca księciu Poniatowskiemu, a sam udał się do Brześcia. Mokronowski, ażeby się zastosować do rozkazu, nie potrzebował żadnej świty. Pojechał, jako kuryer, z jednym tylko oficerem do Słonima i Grodna, pozostawiając do mojego rozporządzenia swoich ludzi, papiery, szkatułę, konie i dwóch oficerów z gwardyi królewskiej. Prosił mnie, żebym się z tem wszystkim udał na Podlasie, wyznaczając mi dzień i miejsce, gdzie się mieliśmy spotkać między Grodnem a Białymstokiem, gdzie także zejść się miały oddziały litewskie.

Miałem więc nareszcie dwa tygodnie odpoczynku w Strabli. Uprzedzony przez generała Mokronowskiego, około którego zebrała się partya Litwinów, że go drobne oddziały rosyjskie ściągają, zostawiłem jego bagaże w Białymstoku, a sam pośpieszyłem do niego bardzo w porę. Po lesie uwijały się patrole, a na tyłach była właśnie utarczka. Późnym wieczorem przybyliśmy do Wasilkowa nad Supraślą, która jest bardzo błotnista. Długa grobla oddzielała nas od piaszczystej płaszczyny białostockiej.

### XLII.

Zagrażało Mokronowskiemu otoczenie przez nieprzyjaciela. Przepędziliśmy noc z oddziałem, stanowiącym awangardę; składał się on z Litwinów, Żmudzinów, Kurlandczyków, Estonów, a także kobiet i dzieci — wszyscy mówili między sobą językiem żmudzkiem i litewskim, obuci byli w łapcie i chodaki, a ubrani w stare, najczęściej podarte kapoty, ale duch dzielny i wielka energia i lekkość w ruchach, oraz dar dawania sobie rady z najlichszą nieraz bronią. Było tych Litwinów kilka regimentów,

a dowodzili nimi dobrzy oficerowie. Środkowa część kolumny była dużo lepiej zorganizowana.

Zrana generał Mokronowski, rozpatrzywszy się w położeniu, wydał wszystkim rozporządzenia. Sam objął dowództwo nad 5000 ludzi na lewym skrzydle. Pułkownik Korsak miał iść w środku z bagażami, amunicją i wszystkimi najmniej uzbrojonymi ludźmi. Pułkownik Wawrzecki z 5-iu czy 6-iu tysiącami szedł prawem skrzydłem ku Surazowi. Lewe skrzydło miało zanoć pod Białymstokiem pierwszą noc, a drugą pod Płuskami, powyżej mostu na Narwi.

Pomiędzy Litwinami było wielu takich, których żony, zabrawszy co najkosztowniejsze rzeczy z sobą, uchodziły przed prawdopodobnym napływem wojsk rosyjskich. Ponieważ mnie była poruczona opieka nad nimi, radziłem tym paniom, żeby pomału usuwały się z oddziałów, dążyły do miast i tam starały się przeczekać wojenną ruchawkę. Wiele z nich usłuchało mnie i moja żona z dziećmi nie opuszczała Białegostoku.

Na drugi dzień przeszliśmy most pod Płuskami, poczem zdjęto z mostu deski i zatrzymano się na dniówkę. Otrzymałem rozkaz od generała zrobienia przeglądu regimentów, pościągania list, podzielenia szwadronów i wyznaczenia wszędzie oficerów, bo tych w wielu kompaniach brakowało.

Zatrzymaliśmy się tam trzy dni, które były pod względem organizacji doskonale zużytkowane. Tam odebraliśmy wiadomość o rozbiciu korpusu Sierakowskiego, który zmuszony rozkazem do wydania bitwy, wydał ją pod Krupezcami przeciw przeważającej sile Suworowa; bitwa trwała dzień cały, ale widząc, że mu grozi otoczenie przez kawaleryę, zdołał się wycofać i dotrzeć o osiem mil od Brześcia. Byłoby dobrze, żeby był mógł dojść do Warszawy albo złączyć się z Mokronowskim; ale nie dostarczono mu koni pod przejazd artyleryi, dano mu wreszcie, lecz zapóźno—uszedł zaledwie milę, kiedy go otoczyło wojsko nieprzyjacielskie, dokazywał cudów waleczności, w końcu jednak rannego wzięto do niewoli. Oddział się rozproszył, pod Siedlcami generał Kniaziewicz, idący w pomoc Sierakowskiemu, znów zapóźno, pozbierał rozproszonych i do swojego oddziału zabrał.

Generał Kościuszko spędził tymczasem kilka tygodni w Warszawie w zupełnej bezczynności. Mówią, że był ciężką troską zgnębiony. Namówiony przez hr. Ignacego Potockiego i księdza Kołłątaja, przybył z Drezna do Krakowa, gdzie przyjął na siebie godność głównego wodza Insurekcji, spuszczać się na wiarę obietnic, że kraj cały jednolicie powstanie. Zawiódł się ogromnie.



Frakcja francuska teroryzowała, ażeby napełnić swoje kieszenie, nie dbając zresztą o dalszy przebieg wypadków. Był pociągnięty do ważnego kroku, nie zastanowiwszy się wpierv dostatecznie. Był dyktatorem w całym tego słowa znaczeniu. Zamiast ująć silną ręką szaleńców i intrygantów, zrzekł się części swojej władzy, ustanawiając Radę rewolucyjną, do której weszli generałowie i oficerowie—jedni stronni, drudzy zapłaceni, inni oszukani i przyjęli system rewolucyi francuskiej. *Komitet obrony narodowej* miał prawo sądzienia kryminalnego cywilnych i wojskowych. Nieustanne były aresztowania. Sam Kościuszko mógł być sądzony tak, jak każdy inny. Ta okoliczność zmroziła serca, ostudziła zapał najlepszych patriotów. Bano się nieledwie mniej Rosyan i Prusaków, jak wybuchu nowej rewolucyi. Już przyszłe ofiary były przeznaczone. Wszyscy ci, których miano za bogatych, ci co należeli do umiarkowanych, ci co mieli jakiegokolwiek stosunki z królem, albo z jego krewnymi, zresztą królewska rodzina, mieli zginąć na szubienicy w dziedzińcu zamkowym przed oczyma króla. Król miał zakończyć krwawą tę tragedję. Na miejscu króla, królem mianowany być miał hr. Ignacy Potocki. Już układano listę domów, które miały być zrabowane—oto był ślicznie już ułożony program na przyszłość. W tym stanie rzeczy Kościuszko myślał już tylko, jak zginąć z bronią w rękę, a zresztą każdy wyrachowywał, jak uniknąć grożącego niebezpieczeństwa. Generał Mokronowski zdecydował się, zastanowiwszy się nad tem położeniem, że koniecznie trzeba iść ku Warszawie i niedopuścić do niej Suworowa. Posłał adjutanta Dziekońskiego z raportem o tym swoim zamiarze do Kościuszki, a trzy litewskie kolumny zatrzymały się w Boćkach nad Nurcem.

Wielu z tych Litwinów, ściągniętych z najdalszego pogranicza, tęskne oczy zwracało ku swoim stronom, wielu, jak mówiłem, było licho odzianych i źle uzbrojonych. Można jednak było rachować na 9000 ludzi i dobrych oficerów. Posłano rekonesans w stronę Brześcia—koło Kleszczel spotkał się on z rekonesansem Suworowa, pokłonili się sobie grzecznie i nasi wrócili do obozu z tą wiadomością. Zamierzaliśmy posunąć się ku Kleszczelom, ażeby się spotknąć z Suworowem, kiedy wpadł powracający adjutant Dziekoński, zmęczony i nadzwyczajnie wzruszony. Wracał już z Maciejowic, był tam w czasie bitwy; ksiązę Poniński na czele 4000-go oddziału nie zdążył przybyć z pomocą Kościuszcze, którego zaatakowano dniem wpierv nim się tego spodziewał. Rosyanie zajęli groble i bagna, które go od lewego skrzydła zastaniały. Dokazywano tam cudów waleczności... bataliony, którymi

dowodził, odpierały po kilka razy bagnietami nacierającego nieprzyjaciela, ale otoczone zostały przez kawaleryę i posiekane doszczętnie. Kościuszko sam raniony i wzięty do niewoli. Dziekoński, oprócz tych szczegółów, przywoził jeszcze rozkaz Rady rewolucyjnej:

1-o. Zawiadomić Wawrzeckiego, że został mianowany wodzem na miejsce Kościuszki i przysłać go zaraz do Warszawy.

2-o. Unikać wszelkiego spotkania z nieprzyjacielem, zabrać wszelkie zapasy żywności i dostawić do Warszawy, co nie można zabrać—zniszczyć.

3-o. Że przy obronie Pragi i fortyfikacyi, które tam robiono, rachują tylko na oddziały litewskie.

Droga najkrótsza z Bociek do Warszawy mogła być przecięta przez Suworowa, zdecydowano więc iść z biegiem Nurca aż do jego ujścia do Bugu pod Nurem; iść wzdłuż Bugu, ażeby się zbliżyć do Narwi, przejść Narew, zerwać kordon pruski i przez Zakroczym przedostać się do Warszawy.

Karwowski, Zieliński, Kwaśniewski, przyłączeni z oddziałami do oddziałów litewskich Mokronowskiego, utworzyliby armię 24,000-ą. Gdyby nawet przedmieście Praga było zdobyte, jeszcze Wisła zatrzyma z parę tygodni trzy rosyjskie korpusy i Suworowa. W Warszawie garnizon miejski z kilku tysięcy złożony, korpus księcia Józefa Poniatowskiego z 5000 żołnierza, generała Dąbrowskiego z 4000, wszystkie te siły zgromadzone stanowiły jeszcze 40,000-ną armię, nie licząc 20,000 uzbrojonych mieszczan. Mokronowski polecił mi zrobienie planu, który jaknajspieszniej wykonałem. Plan ten przez kuryera został wyprawiony do Warszawy, a my puściliśmy się z całym taborem w dalszą drogę, idąc dwa dni, odpoczywając trzeciego. Oczekiwaliśmy przytem niecierpliwie powrotu kuryera.

Pod Wyszkwem, niedaleko Bugu, nasza aryergarda miała małe utarczki z awangardą wojsk rosyjskich. Generał Mokronowski demonstrował pozorne przejście Bugu. Składano mosty, przyprowadzano promy. Suworow się zatrzymał, a my podążyliśmy dalszym marszem do miejsca, gdzie Bug łączy się z Narwią. Doszliśmy do Popowa o 4 mile od Warszawy. Rozkazy generała, które ja z jego rozporządzenia redagowałem, były wykonywane tak akuratnie, że trzy kolumny litewskie znalazły się na oznaczonej godzinie w miejscu między dwiema rzekami. Najpierw przeprowiły się przez Bug bagaże i oddział Korsaka. Mokronowski wysłał armaty i amunicyę, a my nocowaliśmy na deszczu pod gołem niebem w noc bardzo ciemną. Widać tylko było ognie biwa-



kowe wokoło. Zrana przeprowiły się oddziały, a generał na samym ostatku. Nad brzegiem rzeki, po drugiej stronie, wśród zarośli i krzaków, pozostawił dwie baterye strzelnicze i trochę kawalerji dla przeszkodzenia przejściu Rosyanom; wyruszyliśmy, ale nie uszliśmy więcej jak tysiąc kroków, kiedy słyszemy strzały naszych armat, pozostawionych w zaroślach. W samej rzeczy tak było: generał Zubow, komenderujący awangardą liczniejszą od naszej całej armii, przybywał na miejsce, któreśmy nocą zajmowali, i w pełnym galopie puścił się przez most. Kiedy już doszli do połowy mostu, zagrzmiały nasze armaty i zrobiło się tam ogromne zamieszanie. Generał Zubow raniony, pułkownik Ratay i kilku przedniejszych oficerów zabitych, inni ciężko ranni. Wstrzymano pochód i zajęto się przenoszeniem zabitych i opatrzaniem rannych, a zaniechano za nami pogoni. Mokronowski wzmocnił zasadzkę i wskazał drogi, którędy mieli znów złączyć się z nami. Armia litewska szła dalszym ciągiem ku Warszawie, ale słychać było huk armat od lewego skrzydła. Był tam oddział z 2500 ludzi, który miał osłaniać nasz główny korpus, komenderował nim pułkownik Byszewski, adjutant królewski. Spotkał się z Suworowem, który go rozbił i rozproszył pod Kobyłką.

### XLIII.

Przybyliśmy o zmierzchu na Pragę. Mokronowski z adjutantem i ja z ordynansem przedostaliśmy się do Warszawy i zameldowaliśmy się w pałacu Rady rewolucyjnej. Otóż znów jesteśmy w samym kotle!—pomyślałem. Czuję się okropnie zbity siodłem, niewyspany tak, że mógłbym nieledwie stojąc spać, gdyby nie ciekawość i niepokój, co dalej będzie.

Wawrzecki, dawniejszy podkomendny Mokronowskiego, stał się jego przełożonym, otrzymawszy nominację na głównego generalisimusa. Komitet rewolucyjny wiedział, co robił, wybierając go na to stanowisko. Znaną była ogólnie jego prawość, ale on nie miał wyobrażenia, na jakim stoi wulkanie. Mianowano go naczelnym wodzem w chwili, kiedy miał się rozgrywać ostatni akt dramatu — tysiączne były przytem intrygi, poplątane stosunki, a on był za prosty i za uczciwy, aby je rozwikłać i w niewecz obrócić. Zamiast obmyślać nowe środki obrony, panowie z Komitetu i Rady prowadzili pomiędzy sobą zażartą polemikę i wykrzykiwali na prawdziwych patriotów. Jedni dowodzili, że

na czele powinien stać Zajączek, który wielkie położył zasługi przy fortyfikowaniu Pragi. Inni proponowali Mokronowskiego, ponieważ przyprowadził ze sobą 15,000 Litwinów, i to będąc ściganym przez Suworowa.

Mokronowski, który miał wiele bystrości umysłu i znał doskonale położenie, zrobił uwagę, że ci Rosyanie, którzy za nim zbliżali się z dużemi siłami, nadciągną na Pragę nie dalej jak jutro i rozpoczną blokadę; że trzeba koniecznie posłać tam na pomoc kawaleryę i zaatakować ich, nim się rozłożą obozem, gdyż można ich zatrzymać w pośród bagien, grobel i piasków. Rozmysłano nad tem do godziny 1-ej po północy, po czem rozeszliśmy się wszyscy na swoje kwatery.

Na drugi dzień zbudzono mnie zrana bilecikiem Mokronowskiego; pisał mi: „Jestem niezdrów i moi adjutantci także (nota bene, cała jego świta składała się z najdzielniejszych ludzi). Ty masz rany siodełm odgniecione... możemy kilka dni odpocząć, uprzedzę Cię, jak czas ku temu nadejdzie.“

O zmroku chodziłem dobrze okryty i nieznany nikomu po ulicach. Symptomaty nowej rewolucyi drżały w powietrzu. Ogromny ruch był na mieście; czynne były liczne stowarzyszenia klubowe, schadzki sekretne w różnych częściach Warszawy.

Połowa wojska należała do stronnictwa hr. Ignacego Potockiego i Kołłątaja. Generał Zajączek stał tam na czele. Wojsko litewskie dzieliło się na partye. Generał Jasiński, zapamiętały szaleniec, miał swoje stronnictwo. Dąbrowskiego uważano za partyzanta królewskiego, dano mu więc niewielki oddział i kaza-no strzedz brzegów Wisły, poniżej Warszawy. Książę Józef Poniatowski to był najprawdziwszy patriota, miłujący naród i wojsko. Posłano go z 4,000 wojska do Kamiennej dla powstrzymania Prusaków. Była to naprawdę wyborowa eskorta dla króla, gdyby przypadkiem zmuszony był opuścić stolicę w razie wybuchu rewolucyi.

Klub mieścił się w dużej sali parterowego domu, należącego do ewangelickiego zboru; udałem się tam z lunetą. Z wieży luterskiego kościoła doskonale można było obserwować, co się za Wisłą dzieje. Wojsko rosyjskie rozłożyło się obozem na przestrzeni całej mili, rozstawiono armaty naprzeciw naszych armat fortyfikacyjnych. Przez doskonałą lunetę można było rozróżnić kolory regimjentów, oficerów, wydających rozkazy—słowem wszystko. Namówiłem Mokronowskiego, żeby przyszedł i zobaczył. Mokronowski zmiarkował zaraz, że atakowanie rozpocznie się niezwłocznie. Udzielił swoich uwag Wawrzeckiemu. Jednakże zamiast



wzmocnić załogę praską, wycofano stamtąd jeszcze 4,000 wojska litewskiego, które przy odgłosie bębnow z rozwiniętymi sztandarami przeciągnęło przez Warszawę i udało się dla wzmocnienia korpusu Dąbrowskiego, co wywołało ogromne zdziwienie wszystkich. Był to jeszcze jeden krok w celu zabezpieczenia sobie obrony w razie możliwej rewolucyi.

Nareszcie baterye rosyjskie, najwięcej wysunięte, rozpoczęły ogień. Przez moją lunetę mogłem obserwować wszystkie ruchy wojsk nieprzyjacielskich i formowanie się kolumn. Rozpoczęty ogień był tylko dla zamaskowania tych ruchów. Rosyan było dziesięciu na jednego. Generał Cichocki doskonale zrobił plan obrony Pragi. Rozległość okopów była systematycznie wymierzona, tylko, że nie było dosyć wojska do ich obsadzenia. Było mniej więcej około 8,000 ludzi pozostałych z resztujących regimentów na Pradze, a w Warszawie ani przyczółka mostowego, ani żadnej rezerwy. Przygotowano co prawda nad brzegiem rzeki tysiące pik, rachując, że będą służyły mieszczanom w razie potrzeby. Ale mieszczenie musieliby w jednej chwili porzucić wszystkie swoje zajęcia i stanąć w szeregach, co nie byłoby łatwe do uskutecznienia. Było 110 armat na wałach, ale trzecia ich część nie posiadała obsługi potrzebnej; kilka redut było zupełnie próżnych. Przeprowadzano armaty z miejsca na miejsce, ażeby pokazać stronie przeciwnej, że są i że jest ich dużo.

Będąc przyzwyczajonym do robienia obserwacyi i do ich notowania, zapisywałem skrzątnie wszystko, co zauważyłem, i przedstawiłem te moje uwagi hrabiemu Mokronowskiemu, mojemu generałowi, przynaglając go do zajęcia wybitniejszego stanowiska w chwili zbliżającego się kryzysu. Uznał słuszność rad moich.

Zamek królewski tymczasem ufortyfikowano w miarę możliwości. Przy królu zebrało się kółko najdzielniejszych i najwierniejszych mu obywateli i uzbrojone mieszczaństwo. Zgromadzono tam wiele kosztowności i cenniejszych przedmiotów, które przewożono w nocy. Wiele dam schroniło się także do zamku. Król rachował na Mokronowskiego, że go ratować będzie w razie jakiegoś powstania ludowego. Wiedzieliśmy, że w otoczeniu króla i w najbliższych zamku dzielnicach znajduje się ze 3,000 ludzi, gotowych ku obronie. Te przygotowania ochłodziły trochę zapal zagorzalców i partyę Kołłątaja i Potockiego. Tenże Potocki zbliżył się nawet do króla. Kołłątaj, zamieszkując jedną z dalszych kamienic, zajęty zbliżającymi się wypadkami, nie wiedział, że można było z góry obserwować jego podwórze, w którym stały

dwadzieścia powozy obszerne, upakowane, furgon z rzeczami, osiemnaście koni i ludzie, gotowych w każdej chwili do wyjazdu.

Generał Zajączek zmiarkował już wadliwość swoich fortyfikacyi, niedostateczność środków obrony i wyższość sił rosyjskich, więc też sam zaproponował Mokronowskiemu złączenie się wspólne ku obronie Pragi. Wawrzecki pochwycił tę myśl bardzo skwapliwie. Na cztery dni przed szturmem, Mokronowski wezwał mnie wraz z kilkoma jeszcze adjutantami i udaliśmy się na Pragę. Zaczawszy od lewego skrzydła, objechaliśmy kolejno wszystkie baterye, nie zważając na kanonadę z jednej i drugiej strony. Mógł więc sprawdzić trafność moich przez lunetę obserwacyi. Przedstawiono mu raporty. Prosił mnie, żebym zanotował liczbę bateryi, armat, jakiego są kalibru, oraz ilość wojska liniowego i uzbrojonego mieszczącństwa. W czasie tego przeglądu pękło trzy armaty, kilku artylerzystów było zabitych, kilku rannych odłamami. Oficer artyleryi mówił, że jest takich armat ze 40, co ich równy los czeka, bo są ulane z dzwonów kościelnych, w których aljaż metalów nie jest odpowiedni.

W ciągu pięciu godzin skończony był przegląd, poczem wróciliśmy do mieszkania Mokronowskiego, który przyjął nas śniadaniem, składającym się z kartofli ze słoniną. Chleba trudno było dostać u piekarzy, chociaż magazyny przepełnione były zbożem.

— A więc generale — rzekłem — cóż będziemy czynili?

— Cofnąć się nie mogę, — odpowiedział — jak trzeba będzie zginąć, to zginieemy.

Na Radzie rozważano nad sposobami wzmocnienia Pragi. Kilka wniosków Mokronowskiego przyjęto. Porosyłańo kuryerów. Utworzono naprędce kilka ochotniczych kompanii miejskich dla zapewnienia ogołoconych z wojska bateryi, utworzono kilka punktów obserwacyjnych, z których notowano ruchy wojsk rosyjskich.

Trzeciego listopada Mokronowski, powróciwszy z Rady, kazał mi jechać na Pragę i tam przygotować dla niego i dla jego koni i świty kwaterę. „Następnie wrócisz pan do Warszawy i wskażesz moim dwóm oficerom, gdzieś pan obrał kwaterę i stajnie; wydałem rozporządzenie, żeby się tam udali z żywnością dla ludzi i koni — mnie zastaniesz pan na Radzie albo u mnie.“

Puściłem się w tej chwili na Pragę. Prezydent wskazał mi drewniany ratusz, jako punkt środkowy, do którego dochodziły trzy główne ulice, będące głównymi punktami obrony, o 500 kroków od okopów, wskazał mi stajnie i oddał mi od wszystkich zabudowań klucze.



W godzinę potem tabor generała wyruszył na wskazane miejsce, a ja się udałem na Radę, ażeby oznajmić, że rozkazy spełnione.

— A gdzie pana konie? — zapytał.

— Mam ich tu tylko dwa — odpowiedziałem.

— To dobrze. Wracaj pan do mnie, znajdziesz tam swoich kolegów, każ sobie podać, co Ci było do wyekwipowania potrzebne, a wieczorem dam panom znać i wszyscy razem pojedziemy.

Kazałem najpierw podkuć mego konia.

Pan Adam Chreptowicz, Dzieduszycki, hrabia Staś Potocki i Cichocki, byli to czterej adjutanci, ochotnicy i przyjaciele generała Mokronowskiego od początku kampanii. Byłem do nich przyłączony od czasu, kiedy objął dowództwo nad wojskami litewskimi. Czekaliśmy razem na Mokronowskiego albo na jego rozkaz, ale ten nie nadchodził. Młodzi ludzie zaczęli się trochę niecierpliwić. Jeden z nich podjął się iść do Rady, ażeby powiedzieć generałowi, że gotowi jesteśmy i konie od kilku godzin stoją, a nie wiemy, co robić.

Posel nasz wrócił, przynosząc nam kartkę od generała, który upoważniał nas do rozejścia się do domów z poleceniem stawienia się na pierwsze wezwanie; mówił w tem piśmie, że sam z Wawrzeckim bez świty pojedzie w nocy na Pragę. Adjutanci rozeszli się, ja także wróciłem do siebie i zacząłem przygotowywać się do wyjazdu. Miałem przy sobie za adjutanta oficera z mego batalionu. Temu wskazałem, gdzie ma złożyć w depozycie moje papiery, broń zbywającą i pieniądze. Z sobą zabrałem tylko sto dukatów w złocie, mundur, płaszcz, fajkę i kapeciuch z tytuniem. Miałem jeszcze 3,000 zł., które rozdzieliłem pomiędzy trzech służących, z poleceniem, ażeby zachowali przy sobie i dla siebie te pieniądze, jeżeli ja zginę, a jeśli żyć będę, to żeby tam, gdzie ja wskażę, przyjechali po mnie bryczką w trzy konie. Moi krewni, hr. Wojciech i Józef Dzieduszyccy, przybyli z Galicyi, przyszedli do mnie wieczorem. Starszy był adjutantem przy Wawrzeckim, młodszy podał się na kanoniera przy armatach.

Na kominku palił się ogień, a w węgielkach piekły się kartofle, które miały służyć nam za wieczerzę. Siedzieliśmy na sofie, na stole przed nami leżała broń, przed oknami stały nasze konie — po dłuższej gawędzie troszkę się spać zachciało, więc zdrzemnęliśmy się. Ludzie, stojący przy koniach, zobaczyli na różnych punktach od strony Pragi lecące w górę rakiety, dali nam znać; wyszliśmy. Było to 4-go listopada, noc była dosyć

pogodna. Pomiędzy szóstą a siódmą godziną z rana mgła gęsta zasłaniała widnokrąg, kiedy rozpoczęła się kanonada na wszystkich punktach Pragi.

Zrobił się szum i hałas okropny. Trąbki, bębny budziły uśpionych. Hr. Wojciech Dzieduszycki pośpieszył do Wawrzeckiego, — ja do Mokronowskiego. Krakowskie Przedmieście roiło się od kobiet i dzieci, zbudzonych i przestraszonych. Kilka granatów wpadło do miasta, kule armatnie padały na dachy domów.

Mokronowskiego spotkałem jadącego ze swoją świtą. Przybył i Wawrzecki, ruszyliśmy razem do mostu.

Od lewego skrzydła okopów kanonada przycichła. Rosyjski pułk piechoty Kasztolińskiego i pułk strzelców konnych Lassy'ego, okrążywszy piaskami, od Wisły dotarły do wielkiej baterii i zniosły ją. Te dwa pułki zwróciły się następnie do mostu, przepełnionego wozami, wózkami, Żydami, kobietami, zmykającymi ku Warszawie.

Gdyby nie przybycie Mokronowskiego i Wawrzeckiego, pułki te zajęłyby most w jednej chwili i zaraz pośpieszyły do Warszawy. Zimna krew Mokronowskiego i Wawrzeckiego przeszkodziła temu. Kazali wytoczyć cztery armaty do przyczółku mostu. Inna bateria z 12-tu armat dużego kalibru zaczęła strzelać tak szybkim i silnym ogniem, że te dwa regimenty cofnąć się musiały niezwłocznie, ale się cofnęły w głąb przedmieścia i tu się zaczęła rzeź okropna.

Ogień szedł silny od środkowych baterii i od prawego skrzydła, ale posiłków z Warszawy nie można się było spodziewać, most się rozerwał. Dowiedziałem się później, że Mokronowski z Wawrzeckim w czasie nocy zrobili jeszcze przegląd baterii, a zastawszy wszystko w porządku, w obozie przeciwnym ciszę zupełną, udali się do inspektora mostowego, pana Kijańskiego, który ich przyjął kawą, zabawiwszy tam z godzinę, wrócili do Warszawy, a o szóstej godzinie rozpoczął się atak na całej linii.

Co do Zajączka, postępowanie jego jest dosyć zagadkowe. Upierał się przy zachowaniu komendy nad obroną Pragi; był jednym z pierwszych, który się stantąd wycofał, sam jeden, bez świty o godzinie piątej rano, przez most, okrywając chustką ranną rękę. Mówiono, że w tę rękę był raniony przez jednego z naszych żołnierzy, który mu wyrzucał, że opuszcza stanowisko. Widziałem go w dwie godziny później, jadącego w zamkniętym powozie. Rana jego nie była groźną.

Nie mogąc z Warszawy bronić Pragi, a nie mając tam już nic do czynienia, poszedłem do Rady prosić Wawrzeckiego o nie-



ograniczony urlop, ażeby udać się do Galicyi dla poratowania zdrowia. Urlop mi wydano. Mokronowski rzekł do mnie: „Zakończyliśmy rewolucyę. Prawdopodobnie Warszawa będzie kapitulowała. Ponieważ nie mam żadnego majątku w kraju, bo dobra mojej żony są w Galicyi, więc mogę pozostać. Inaczej rzecz się ma z wami, moi panowie adjutanci. Za wasze tu majątki odpowiadać trudno.“

Hrabia Chreptowicz zapytał mnie: „Co pan poczniesz z sobą?“

„Będę się starał dostać do Galicyi, gdzie trzeba będzie czekać do czasu uspokojenia czy amnestyi.“ Chreptowicz miał zamiar udać się na Litwę. Tak więc rozstaliśmy się wszyscy. Otrzymałem kartkę, ułatwiającą mi przejazd w okolicach Warszawy i dalej także. Wstąpiłem do Jordanowic, które należały do Mokronowskiego, a tam wypocząwszy trochę, ruszyłem dalej; omijając gościńce, kierowałem się ku Galicyi przez Radom.

#### XLIV.

Miasto Radom było stolicą województwa radomskiego. Zaraz u rogatek ujrzałem strażę rewolucyjną. Komendant placu wskazał mi mieszkanie przybyłego od kilku dni z Warszawy starszego naczelnika, który rozesłanymi cyrkularzami zaważwał obywateli wiejskich. Udałem się do niego i ujrzałem ze zdziwieniem, że tym naczelnikiem był dawniejszy deputat z Sandomierskiego z r. 1792, Linowski, który następnie przeszedł do stronników Kołłątaja. Była to dobra głowa, umysł rozwinięty; polecono mu ułożenie redakcyi Konstytucyi 3-go maja.

Skoro mnie poznał, zaczął się wypytywać o nowiny z Warszawy. Pokazałem mu mój urlop podpisany przez Wawrzeckiego.

— Zwołałem na jutro—rzekł do mnie—obywateli ziemskich, trzeba zaciągnąć pożyczkę wedle rozkładu, który przygotowałem. Jeżeli pan zechcesz odpocząć tu dni kilka, to zaraz rozporządzę, ażeby panu przygotowano odpowiednią kwaterę.

— Bardzo panu komisarzowi dziękuję, ale pilno mi dalej ruszać w drogę. Historya naszej rewolucyi zakończoną została tragicznie. Widziałem wzięcie Pragi i odwrót Kołłątaja.

Wiadomość ta ogromnie go przeraziła—zaraz zaczął układać swoje papiery i zażądał w tej chwili koni do wyjazdu.

Ja też puściłem się dalej w drogę; odbyła się ona bez przygód nadzwyczajnych, ale kraj, przez który przejeżdżałem, smutne

czynił wrażenie. Wiele wsi popalonych, chłopi rozproszeni, bydło pozabierane, karczmy puste. Można było literalnie w takiej podróży umrzeć z głodu i wycieńczenia — gdzie niegdzie tylko można było dostać od pracujących z rzadka na zagonie łyżkę barszczu, i to był jedyny posiłek. Drogami ciągnęły się wozy, bryczki i rozmaite podwozy, któremi uciekali z Warszawy jeszcze przed kapitulacją, kto tylko mógł, z ekswojskowych i prywatnych osób. Wielu szło piechotą i z poządlivością spoglądali na moje konie, trzeba więc było zapewnić sobie gdzieś chwilowe schronienie. Szczęśliwie mi się zdarzyło znaleźć je w Szydłowcu u ks. Radziwiłła, mojego kolegi z 1792 r. Tu miałem kilka dni wypoczynku. Wiedział już on przez umyślonych gońców, że Warszawa kapitulowała, że hrabia Ignacy Potocki był na czele deputacyi, którą wydelegowano do generała Suworowa, że pomiędzy warunkami kapitulacyi było wycofanie resztek armii rewolucyjnej, że Wawrzecki opuścił Warszawę; przeważna część wojska polskiego wyszła także i kierowała się drogami, prowadzącemi do Krakowa — można więc było przypuścić, że za niemi pogoń rosyjska wysłaną będzie, gdyż wojska konsystujące nie były objęte kapitulacją.

Po otrzymaniu tych smutnych szczegółów wiedziałem, że długo w Szydłowcu odpoczywać nie mogę, więc też wyruszyłem dalej. Austriacy tymczasem zajęli Sandomierz; delegowano kapitana Sierakowskiego z oddziałem do Tarnowa, ażeby tam werbować oficerów do armii austriackiej z pomiędzy przybywających z kraju. Przypuszczam, że było wydane rozporządzenie dobrowolnej ugody — ale panowie oficerowie inaczej to rozumieli i, zatrzymując wchodzących w granicę austriacką, odbierali broń i konie, a wzamian dawali mundury cesarskiego wojska i odsyłali ich pod strażą w głąb kraju, pomimo najsilniejszej opozycyi. Dowiedziawszy się o tem, cofnąłem się, a przebywszy Wisłę w małej łódce, za którą konie płynęły, przedostałem się szczęśliwie przez granicę i dojechałem lasami do Werchrutej, majątku dzierżawionego przez mojego brata, Ksawerego, który tam mieszkał z żoną. Przyjęli mnie prawdziwie po bratersku i mogłem tam kilka tygodni wypocząć; poczem z bratem udaliśmy się na kontrakty do Lwowa.

Przyjemnie jest spotkać się z dowodami prawdziwej uczciwości, co mi się wówczas zdarzyło. Moich dwóch służących, którym przed wyjazdem z Warszawy dałem po 1,500 złotych, trochę co prawda warunkowo, mogli byli pieniądze wziąć i o jakim własnem zagospodarowaniu pomyśleć. Oni jednak wystarali



się o paszporty do wyjścia z Warszawy i puścili się za mną trop w trop w kilka dni później; w Szydłowcu książe Radziwiłł dał im znów karty do przejścia granicy i do Lwowa, gdzie mnie znaleźli, a raczej ja ich znalazłem w naszym domu — przyprowadzili z sobą trzy konie. Przyjechali 70 mil, nie wydawszy więcej, jak jakieś kilkadziesiąt złotych. Odebrali też za to odpowiednią nagrodę.

Zabawiwszy czas jakiś we Lwowie, udałem się do mojej matki do Olejowa. Jakżeż się serdecznie ucieszyła! Myślała, że mnie już w życiu nie zobaczy, a tu przybyłem, bez laurów wprawdzie, ale żywy i zdrowy.

# Michał Czaykowski w Turcyi.

Kongres Wiedeński dokonał terytoryalnych rozgraniczeń państw europejskich, poręczając każdemu zachowanie jego granic z wyjątkiem Turcyi, która wskutek stanowiska cesarza Aleksandra I została pominięta w traktatach 1815 r. Wytworzona więc na Kongresie t. zw. równowaga polegała od tej pory głównie na niedopuszczeniu żadnego z pięciu wielkich mocarstw do rozszerzenia swych granic i posiadłości europejskich szczególnie kosztem Turcyi, kwestya zaś wschodnia wysuwała się na czoło późniejszej polityki, tembardziej, że zaburzenia i zawikłania w państwie otomańskim dawały ciągle powody do walki gabinetów, której pierwszy okres rozwinął się w wojnę krymską.

Od traktatu adryanopolskiego (1829 r.) Rosya zagarnęła półwysep bałkański pod wpływ przeważający. Cesarz Mikołaj był nadto zdecydowany przystąpić do rozbioru Turcyi, jak to nieraz wyraźnie zaznaczał. Rozpatrzenie tej sprawy proponował ministerium torysów w czasie swej podróży do Anglii w roku 1844, w r. 1848 myślał o zajęciu Konstantynopola w charakterze zastawu, ofiarowując Anglii Egipt i Kretę, a nawet jeszcze w r. 1852 chciał z Anglią „porozumieć się co do pogrzebu.“ Anglia jednak nie odstępowała od swej polityki, dążącej do zachowania całości Turcyi, lecz z drugiej strony, nie zawsze mogąc pogodzić się z Francją co do wspólnego działania, nie miała dość siły, aby przeszkodzić stałemu rozszerzaniu się wpływów Rosyi.

Taki jednak rozwój stosunków nie niósł ostatecznie niebezpieczeństwa dla Turcyi, jak to rok 1854 wykazał. W ten też sposób oceniał sytuację, w jakiej państwo się znajdowało, najwybitniejszy minister Abdula Medżyda, Reszyd Pasza. Wiedział on,



że polityka ustępstw dla Rosyi ze strony Wysokiej Porty musi doprowadzić w końcu do wojny, w której widział wielkie korzyści. Sądził bowiem, że Turcyja dla swego zbawienia powinna wejść w poczet państw europejskich. Droga reform zbyt długo i powoli wiodła do tego celu, natomiast wojna była środkiem odpowiedniejszym bez względu na rezultat, gdyż nawet w razie przegranej, Turcyja przegrałaby w towarzystwie Anglii i Francyi, w towarzystwie, w którym krzywda stać się jej nie mogła.

Współcześni politycy i dyplomaci przewidywali ostre starcie na wschodzie europejskim i akcja dyplomatyczna ks. Adama Czartoryskiego w Turcyi była tego bezpośrednim wynikiem. Agent jego, Michał Czaykowski, rozwinął tam energiczną działalność i przy współdziałaniu zdolnych pomocników, z których wymienić należy w Belgradzie Ludwika Zwierkowskiego (Lenoir), rozsunął sieć agentur, które pozyskały zaufanie ludności słowiańskiej i rządu tureckiego, wszedł w stosunki dość ściśle z wybitniejszymi mężami stanu i pozyskał wpływ na przebieg wielu spraw. Gdy Czaykowski został muzułmaninem, wówczas agencya przeszła pod zawiadywanie Władysława Kościelskiego, Czaykowski jednak w dalszym ciągu roztaczał nad nią opiekę. Równocześnie zaś pod jego bezpośrednim kierunkiem zaczęła działać agencya rządu tureckiego, powstała obok agencji Czartoryskiego na życzenie sułtana, której zarząd powierzony został Antoniemu Alleonowi, bankierowi Wysokiej Porty i urzędnikowi finansowemu. Czaykowski był zdania, że działalność tej agencji powinna być rozwijana z rezerwą, bez wzniesienia wśród Słowian i Rumunów dążeń, któreby mogły przerodzić się w dążenia do niepodległości, i prowadzona z dużym taktem i ostrożnością, mogłaby, podług niego, owa agencya oddać Turcyi niezmiernie usługi.

Dla dokładniejszego przedstawienia pozycji, jaką Czaykowski zdobył sobie w Turcyi, i tej przychylności, jaką tam pozyskał, można przytoczyć następujący szczegół, podany przez niego, nie pozbawiony zresztą ogólniejszego znaczenia.

Jak wiadomo, po upadku rewolucyi węgierskiej, blisko 5000 emigrantów węgierskich i polskich, wśród których znajdowali się Kossuth, Batiany, Andrassy, Bem, Dembiński, schroniło się do Turcyi. Rosya i Austria domagały się w sposób stanowczy ich wydania. Turcyja nie chciała przychylić się do tego żądania, ostateczna jednak jej decyzya zależała od Francyi i Anglii. Reszyp Pasza polecił Czaykowskiemu, który był wtedy jeszcze agentem Czartoryskiego, aby wybadał postów obu tych mocarstw, jakie jest ich istotne stanowisko. Jak dowiadujemy się od Czaykow-

skiego, poseł angielski był zdania, że emigranci powinni być wydani ze względu na istniejące traktaty i że Turcyja jest obowiązana bezwarunkowo spełnić żądanie Rosyi i Austryi. Ze swej strony obiecywał jedynie wysłać list do Palmerstona, aby ten wpłynął na złagodzenie losu wydanych. Poseł francuski, osobiście bardzo sprzyjając emigrantom, nie mógł się zdobyć na stanowcze wystąpienie. Zdanie posła angielskiego, które wypływało z jego zasady politycznej, opierającej się na zachowaniu zupełnej legalności, silnie oddziaływało na ministrów tureckich. Niektórzy z nich, jak Aali Pasza, bojąc się zatargu, zaczęli dokładać wszelkich starań, aby sułtan zdecydował o wydaniu emigrantów. Na zwołanej w tej sprawie radzie nadzwyczajnej wielkich dygnitarzy państwa tylko pięciu oświadczyło się przeciw wydaniu, a wielki wezyr wstrzymał się od wypowiedzenia swego zdania. Emigrantom groziło więc poważne niebezpieczeństwo i wówczas Szeik Islam dał do zrozumienia Czaykowskiemu, że przeciw wydaniu wypowiedziałaby się prawdopodobnie rada, złożona z ulemów.<sup>1)</sup> Wtedy Czaykowski z porady i upoważnienia Reszyd Paszy podał notę wprost do sułtana, która odniosła pożądany skutek. Sułtan kazał zwołać drugą radę, do której powołał ulemów, i na radzie tej, rzeczywiście, ulemowie, opierając się na Koranie, według którego gościnność jest obowiązkiem Islamu i nie może być naruszoną nawet pod groźbą wojny, wypowiedzieli się przeciw wydaniu emigrantów, a sułtan uchwałę tę zatwierdził.

Poseł angielski jednak nie zmieniał swego stanowiska, a adjutant cesarza Mikołaja, ks. Leon Radziwiłł, domagał się w dalszym ciągu wydania rewolucjonistów. Aby sprawę ostatecznie rozstrzygnąć, Czaykowski zwrócił się do Bema, radząc mu, aby kilkudziesięciu przynajmniej z nich przyjęło muzułmanizm, przez co, w myśl istniejących traktatów, zostanie usunięte prawo reklamacji Rosyi. Generał Bem usłuchał rady i wraz z wieloma oficerami i żołnierzami obu narodowości przyjął mahometanizm. Sprawa została załatwioną, bo z jednej strony Rosya i Austrya nie chciały zasilać Turcyi takim elementem, jaki stanowili emigranci, z drugiej — poseł angielski nie mógł więcej nalegać na wydanie, przeciwnie, teraz musiał mu się oprzeć i postanowił wraz z posłem francuskim wpłynąć na polubowne załatwienie sporu.

<sup>1)</sup> Teologów i zarazem prawników.



Wkrótce potem podpisano traktat Bałto-Simański.<sup>1)</sup> Traktat ten, zawarty z inicjatywy sułtana, który sprzyjał polityce Reszyd Paszy, zwiększał znowu wpływy Rosyi, ale był zarazem w dużej mierze ostrzeżeniem dla Anglii i Francyi za ich chwiejność, za ich niezdecydowane popieranie Turcyi. Reszyd Pasza widział w tym traktacie drażnienie sojuszników, którym, jak się podobno wyrażał, opieka nad Turcyą zaczyna się nudzić. W tym okresie rozmawiał on często z Czaykowskim, rozwijając przed nim swoje poglądy i wówczas, przewidując już rychłą wojnę, upoważnił go do działania wśród Słowian i przeciągania ich na stronę Wysokiej Porty.

W roku 1850 powstał zatarg pomiędzy zakonnikami katolickimi a prawosławnymi o posiadanie kluczy do miejsc świętych. Dla załatwienia tej kwestyi oraz dla zawarcia tajemnego układu, dającego Rosyi prawo opieki nad kościołami prawosławnymi w państwie tureckim, wysłał cesarz Mikołaj ks. Mienszykowa, który przybył do Konstantynopola w kwietniu 1853 r. Przed jego przybyciem Reszyd Pasza podał się do dymisji, mimo to nadal zachował swój wpływ i niedługo potem został mianowany ministrem spraw zagranicznych. Gdy sułtan przychylił się do oddania miejsc prawosławnym, odmawiając jednak Rosyi opieki nad kościołem greckim, Mienszykow postawił ultimatum, które zostało odrzucone, wskutek czego w maju 1853 r. nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych.

W czerwcu tegoż roku Czaykowski został wezwany przed radę, złożoną z Szeik Islama, Reszyd Paszy, Feli Ahmeda Paszy i Melmed Alego Paszy do przeczytania i przetłumaczenia rękopisu, który generał Dembiński, wyjeżdżając z Turcyi, zostawił z warunkiem, że będzie otworzony tylko wtenczas, gdy Turcyja zdecyduje się na wydanie wojny. Fantastyczne, jak je określa Czaykowski, pomysły generała nie mogły przydać się Porcie, ale Czaykowski skorzystał ze sposobności i wypowiedział swoje o wojnie uwagi, które później powtórzył w memoryale, ułożonym dla sułtana. Według niego wojna z Rosyją powinna mieć charakter zaczepny i Turcyja musi przedewszystkiem postarać się o dobrych oficerów. Oficerów tych mogą dostarczyć Polacy i Węgrzy i ra-

1) Rozruchy na Wołoszczyźnie i w Multanach w r. 1848 ściągnęły wojsko rosyjskie. Turcy zajęli Bukareszt. Wówczas w maju 1849 r. została zawarta umowa Bałto-Simańska, przywracająca w obu księstwach przepisy organiczne z r. 1831, zapowiadające zresztą ich rewizję.

dził, aby ich wezwać bez względu na to, czy są muzułmanami czy nie. W dalszym ciągu wskazywał, że należy utworzyć organizację wojskową z kozaków i Tatarów, powołać do broni Czerkiesów i wszystkich chrześcijan, zorganizować legiony polskie, jednym słowem uczynić wojnę popularną i przychylnie usposobić dla Turcyi narody, znajdujące się pod panowaniem rosyjskiem. W memoryale swoim Czaykowski, polecając oficerów polskich, podsuwał myśl, aby generał Chrzanowski dowodził oddzielnym korpusem, przeznaczonym do działania na Kaukazie, aby Karol Różycki został użyty do organizowania kozaków i dowodzenia nimi, a hr. Zamoyskiego i hr. Bystrzanowskiego przeznaczał do sztabów głównych w Rumelii i Anatolii do formowania tam Polaków. Sam Czaykowski nie miał podobno wtedy zamiaru porzucić kariery dyplomatycznej. Jednak w jakiś czas po złożeniu tego memoriału został wezwany przed wielkiego wezyra, który, oznajmiwszy mu, że sułtan polecił mianować go naczelnym dowódcą kozaków państwa otomańskiego,<sup>1)</sup> rozkazał udać się do ministra wojny po rozkazy, dotyczące się organizacyi kozaków i zawezwania polskich generałów.

Minister wojny wręczył Czaykowskiemu nominację na generała dywizyi oraz dla Chrzanowskiego i Karola Różyckiego nominacje na generałów brygady i polecenie do Alleona, aby im wysłał 120,000 franków na kosztą podróży. Oprócz tego każdy z generałów był upoważniony do zabrania z sobą tylu oficerów dla sformowania swego sztabu, ilu uzna za potrzebne.<sup>2)</sup> Polecono także Czaykowskiemu ułożyć listę wszystkich oficerów Polaków i Węgrów, którzy się znajdowali wówczas w Turcyi i mogli być powołani do służby czynnej, oraz przygotowywać się do organizowania kozaków, oddając mu w gmachu ministeryum wojny pomieszczenie dla niego i dla biura jego sztabu.

Organizację kozaków postanowiono przeprowadzić w następujący sposób. Kozacy kubańscy i z Dobrudży mieli zostać po-

<sup>1)</sup> Firman Czaykowskiego na mirimirana paszę (godność, nadawana dawnym hetmanom zaporozkim) jest datowany dopiero 20 października 1853 r., a rozkaz sułtański organizowania regularnych kozaków w Stambule — w piętnaście dni potem, a więc równocześnie z wypowiedzeniem wojny, które ostatecznie nastąpiło 4 listopada. Ze wspomnień jednak osobistych Czaykowskiego wynika, że nominacja ta i rozkaz nastąpiły wcześniej, mniej więcej w lipcu, nie były więc chyba tylko ogłaszane.

<sup>2)</sup> Chrzanowski przybyć nie chciał, również Różycki. Dopiero w grudniu 1853 r. przyjechali Brzanski i Bystrzanowski, a w lutym 1854 r. — Zamoyski.



wołani na swoich koniach, ze swoim umundurowaniem i uzbrojeniem. Czaykowski zaś miał zorganizować pułk kozaków regularnych z tysiąca sześciuset jeźdźców, podzielonych na sześć szwadronów. Pułk ten miał się rekrutować z Polaków i Słowian tureckich bez różnicy wyznania religijnego.

Polskiego jednak prostego żołnierza był brak zupełny. Było dużo oficerów, ale jedni z nich wchodzili do sztabów tureckich w stopniach, których nie mogli mieć u kozaków, inni czekali na tworzenie się legionów. Mimo to organizacya regularnego pułku kozaków szła dość szybko. W kilkanaście dni pierwszy szwadron już był ubrany, uzbrojony i na koniach. W Adrianopolu formował się szwadron drugi, a wypadek posłużył Czaykowskiemu do postawienia odrazu szwadronu trzeciego. Mieszkał podówczas pod Konstantynopolem znany rozbójnik Matej Raszi, Serb. Gdy policya nie mogła go ująć i przeszkodzić jego rozbojom, ogłoszono, że jeśli Raszi uzna się za poddanego sułtana i wróci do spokojnego życia, zostanie ułaskawiony. Matej Raszi poddał się i zamieszkał we własnym folwarku niedaleko Konstantynopola. Gdy się dowiedział o formowaniu kozaków ze Słowian, udał się do ministra wojny, prosząc o przyjęcie go do pułku. Otrzymawszy odpowiednie polecenie, został dobrze przyjęty przez Czaykowskiego, któremu oświadczył, że ma jeszcze 68 towarzyszy, pragnących służyć sułtanowi i Wysokiej Porcie, ale że towarzysze ci siedzą w więzieniach zakuci w kajdany. Wręczając Czaykowskiemu ich listę ze wskazaniem więzień, w których się znajdowali, zaproponował mu, aby uzyskał ich uwolnienie i przyjęcie do kozaków, a zdobędzie ludzi, na których można będzie liczyć. Nietrudno było takie pozwolenie otrzymać od ówczesnego ministra wojny Mehmed Alego Paszy i w trzy dni po wręczeniu mu listy przez Czaykowskiego towarzysze Mateja Raszi byli wcieleni już do kozaków i stanowili 3-ci szwadron.

Do wojny przygotowywano się stanowczo, choć wojna jeszcze nie była postanowioną. Wprawdzie Mikołaj I w lipcu rozkazał wojskom swoim zająć Rumunię, ale bez wypowiedzenia wojny. Rządy wielkich mocarstw, szczególnie Austrii, próbowały usilnie załagodzić zatarg, w rządzie tureckim byli także strażnicy pokoju. Reszyp Pasza zwołał ogólną naradę, do której powołani zostali wszyscy dygnitarze i wyżsi urzędnicy. Na radzie tej  $\frac{4}{5}$  głosów oświadczyło się za wojną, a wszyscy za przymierzem z Zachodem oprócz Kiani Paszy, Tatara, który był zwolennikiem przymierza z Rosyą, a w razie wojny odrzucał pomoc Zachodu. Refiit Bej, radca ministryum wojny, wotował za wojną i przy-

mierzem ze wszystkimi ludami, znajdującymi się pod panowaniem Rosyi. Mimo tej opinii, rząd turecki ociągał się z wypowiedzeniem wojny, oglądając się na stanowisko sojuszników. Wówczas Mehmed Ali Pasza i Refiit Bej postanowili wciągnąć do akcji ulicę i za pomocą seminarzystów muzułmańskich urządzić demonstracye za wojną. Na ścianach domów narożnych, na meczetach, na budynkach rządowych ponalepiano afisze z nawoływaniem do wojny świętej. Odezwy te były redagowane przez Nuni Efeniego, Dagestańczyka, człowieka bardzo szanowanego w Islamie. Oprócz tego bandy seminarzystów przebiegały ulice Konstantynopola z okrzykami: „chcemy wojny! wojna być musi!“ i demonstrowały przed gmachami rządowymi, póki władze nie wkroczyły i nie wpłynęły na uspokojenie.

Wypowiedzenie wojny nastąpiło 4 listopada. W jakiś czas potem pan Berto d. David, mianowany przez Czaykowskiego dyrektorem kancelaryi kozackiej, przyniósł Reszyd Paszy pakiet papierów, przywiezionych z Kiszyniowa przez dwóch kupców kozackich. Były to dokumenty drukowane po rosyjsku z nagłówkiem: Komitet Ukrainy i Bessarabii. Jednym z tych dokumentów był adres do sułtana, proszący o wcielenie tych dwóch krajów do państwa tureckiego, jako ziemi kozackiej lennej z prawami i przywilejami, jakie były zagwarantowane umowami, zawartemi przez Piotra Doroszenkę, Iwana Mazepę i Filipa Orlika z poprzednikami Abdula Medżyda lub też z prawami i prerogatywami, jakich używają Multany i Wołoszczyzna. Autorowie adresu domagali się wejścia kozaków z Dobrudży na lewy brzeg Dunaju i pozwolenia następnie na wybór hetmana, którego zatwierdziłby sułtan i który kierowałby ruchem Ukrainy i Bessarabii. Adres był podpisany podobno przez osoby znanych nazwisk, z wymienieniem dostojęństw, jakie piastowały pod rządem rosyjskim. Oprócz tego był także drugi memoriał, w którym komitet oświadczał, że kozacy Bessarabii i Ukrainy nie chcą być przyłączeni do Polski ze względu na różnice religijne i ze względu na pamięć o dawnych prześladowaniach. Czaykowski, przetłumaczywszy ten memoriał na język francuski, zwrócił go Reszyd Paszy, przyczem zaznaczył, że jeśli chce się skorzystać z propozycyi, to się powinno go jaknajprędzej wyprawić do Szumli, a stamtąd do Dobrudży. Do Szumli wzywał go już przedtem Omar Pasza i dnia 11 stycznia 1854 r. Czaykowski wymaszerował ze Stambułu do Adryanopola, jako naczelnik wszystkich kozaków w państwie tureckiem, zabrawszy ze sobą sztandar Piotra Doroszenki, złożony



w patryarchacie greckim. Dla Omara Paszy wiózł ze sobą papiery komitetu Ukrainy i Bessarabii.

Nie doczekał się więc przybycia hr. Zamoyskiego, aby z nim omówić kwestyę założenia legionu polskiego. Lecz przed wyjściem jeszcze otrzymał polecenie, aby generałom Brzańskiemu i Bystrzanowskiemu było wydane uzbrojenie i umundurowanie według kroju czerkieskiego na cztery bataliony i aby na ich rozporządzenie były oddane koszary w Skutari. Wogóle jednak wykonanie planu utworzenia legionów polskich nie powiodło się szczęśliwie. W znacznym stopniu przyczynił się do tego poseł angielski, który uchwycił się myśli utworzenia dwóch legionów—arystokratycznego, na którego czele chciał postawić Zamoyskiego, i demokratycznego—pod dowództwem generała Wysockiego.

Oczywiście, że projekt lorda Redcliffa wynikał ze stosunków, jakie wówczas panowały w emigracyi polskiej, która swoje spory i zawziętą walkę przeniosła i do Konstantynopola, budząc niechęć i lekceważenie wszystkich. Ta sytuacja pobudziła też Śniadecką do robienia starań, aby Wysocki wyjechał z Turcyi, co się też w końcu stało na rozkaz rządu tureckiego. Biorąc te stosunki pod uwagę, można przyjść do przekonania, że najwięcej realną mogła być praca Czaykowskiego, jeśli ona była taką, jak później ją on przedstawiał, t. j. niezależna od stronnictw emigracyjnych, a polegająca na organizowaniu kozaków. Wprawdzie skład organizacyi kozackiej można określić, jako zbieraninę, ale najgłówniejszą tutaj rolę miałyby sztab oficerski, który mógł być polskim, komenda i barwy. W ten sposób pułki te przy wkroczeniu w granice Rosyi od Prutu, jak to leżało w planach Czaykowskiego, mogły podnieść sprawę polską i przy zwycięskiej wojnie, ale prowadzonej energicznie i konsekwentnie, sprawę tę daleko posunąć. Plany Czaykowskiego nie leżały jednak ani w zamiarach mocarstw zachodnich, ani nie miały nic wspólnego z poglądami, nurtującymi wówczas emigrację polską, i powieść się nie mogły. Wytworzyło to u Czaykowskiego niechęć i rozgoryczenie. Może najlepiej będzie dać w tem miejscu głos jemu samemu przez przytoczenie niektórych wyjątków z listów jego, pisanych do Jana Nepomucena Niemojowskiego, dotychczas nieznanych. J. N. Niemojowski, niedaleki kuzyn Wincentego i Bonawentury, był oficerem wojsk polskich w r. 1831. Początkowo służył w pułku kaliskim, później został przeniesiony na własne żądanie do pułku wołyńskiego, skąd datuje się jego znajomość z Czaykowskim. W swoich wspomnieniach, pisanych w latach 1863 — 1865, Niemojowski, opowiadając o swoich przyjacielach,

pisze: „Między innymi z Czaykowskim (Sadykiem Paszą) w ciągłej byłem korespondencyi, tak za jego pobytu w Marsylii i Paryżu, jak i w Stambule aż dotąd.“ Z listów Czaykowskiego doszły nas z papierów po J. N. Niemojowskim cztery. List pierwszy z r. 1852 zawiera tylko wyrazy serdeczności dla Niemojowskiego i jest widocznie odpowiedzią na jego listy. List drugi, pisany ze Stambułu dn. 8 lipca 1857 r., jest także odpowiedzią na listy Niemojowskiego, których jednak Czaykowski nie otrzymał, a o których mu tylko mówiono. W liście tym Czaykowski wyrzuca Polakom, że mu nie przyszli w czasie wojny z pomocą, wspomina o zamiarze założenia szkoły wojskowej i prosi o jej popieranie, polecając chętnym porozumiewać się w tej sprawie ze Zwierkowskim. List ten jest ważny dla scharakteryzowania poglądów Czaykowskiego na legion polski i myśli, które próbował zrealizować w wojsku kozackiem.

Ostatnie dwa listy pochodzą już z czasów późniejszych, bo z r. 1872. Był to już czas, gdy Czaykowski patrzył na ruiny swoich marzeń i gdy na ruinach tych wyrastały zielska i chwasty. Oświełają nam jednak one bardzo idee i działalność Czaykowskiego. I w tych listach, jak w poprzednich, powtarza się rozgoryczenie na Polaków. „Mój drogi!—pisze do Niemojowskiego z Konstantynopola dn. 28 czerwca 1872 r. Wczorajszego dnia odebrałem Twój list z 20 b. m. Sprawił mi on wielką przyjemność, chociaż przyznaję się, że mi przychodzi na myśl, moi kochani towarzysze, moi mili współrodacy, iż widzieliście, gdzie byłem, co robiłem, a zapomnieliście o mnie. Zapóźności sobie o mnie przypomnieli, wyszło na tę gadkę ruską: „Ohlanął się Holefern, a hołowa kuda?“—już jej niema, jak Judyta ścięła głowę Holeferna, tak Polonia moją—już jej niema—i ja jestem trupem politycznym. Trzydzieści lat pracowałem dla sprawy polskiej na Wschodzie. Siedemnaście lat bez przerwy komenderowałem kozakami i dragonami polsko-słowiańskimi. Stworzyłem dla Polski na Wschodzie politykę na jawie i w czynie, która związała sprawę polską z rządem tureckim, z rządami Zachodu, zbliżyła Polaków do Słowian południowych. Stworzyłem wojsko polsko-słowiańskie z prawem dawnego wojska zaporozkiego, wojska Rzeczypospolitej i króla polskiego—wyprowadziłem to wojsko do boju aż nad Prut—po wojnie utrzymywałem szablistość między Polakami, sposobilem ich na wojskowych do przyszłej służby polskiej— a wyście na to wszystko byli obojętni— obojętniejszymi jak na to, co się działo w *Abisynii* albo w *Senegalu*— darmo kłatałem do waszej polskości i przez siebie i przez drugih—nie-



tylko poparcia, ale nawet jałmużny współczucia polskiego od was nie odebrałem..." Skarżąc się dalej na niechęć i na intrygi, które, płynąc tak ze strony przeciwników politycznych, jak i ze strony Polaków, służących pod jego dowództwem, zmusiły go do podania się do dymisji, powiada dalej: „Opuściwszy dowództwo nad organizacją wojskową polską, przez to samo zaniechawszy udziału wszelkiego w polityce polskiej, stałem się jaknajabsolutniej prywatnym człowiekiem, bez żadnych innych obowiązków, tylko mojemu sumieniowi, mojemu przekonaniu.

„Według mego sumiennego przekonania dwie rzeczy dawały podstawę logiczną działaniom polskim za granicami Polski i były niejako punktem wyjścia do spełnienia naszych nadziei, naszych życzeń i naszych powinności. Francya napoleońska, ale nie inna, bo ta tylko była związana politycznie ze sprawą polską i na niej tylko mogli się opierać Polacy w swoich nadziejach i w swoich działaniach — i organizacja wojskowa polsko-słowiańska w Turcyi, która nam dawała opiekę rządu tureckiego jako Polakom, reprezentującym *zbrojnie* polską sprawę i zapewniała nam pobratymstwo braci Słowian, z którymi służyliśmy pod jedną chorągwią. Bo za temi dwoma rzeczami nic innego nie widzę tylko oddanie się pod opiekę Niemcom i Madyarom i zwalczanie <sup>1)</sup> z nimi Słowian, albo połączenie się z Rosyanami i wejście do Słowiańszczyzny, z której dalibóg nigdy nie powinniśmy byli wychodzić — zostanie Słowianami <sup>2)</sup> i znaczenie i życie w Słowiańszczyźnie.

„Francya napoleońska padła pod ciosami Niemców i jeśli się podniesie, nie myślę, aby kiedy została napoleońska, jedyną, na którąby mogła rachować sprawa polska. Organizacje polsko-słowiańskie, wypolszczone i wystowiańszczone, jeśli się utrzymają te pułki, to będą poprostu tureckie, bez żadnej barwy polskiej, tak, jak już są — a Polacy w nich służący nie są i nie mogą być żołnierzami polskimi, ale są i będą jurgieltnikami.

„Ku Rosyanom, wojując nawet z nimi, miałem bratnie współczucie, bo mimo zarzutu Duchinińskiego, <sup>3)</sup> uważam ich za Słowian, pobratymców rodu.<sup>4)</sup>

W dalszym ciągu bierze w obronę stosunek Rosyi do Polski i potępia rok 1831 i 1863. Następnie powiada: „Ale to wszyst-

<sup>1)</sup> W rękopisie: walczenie.

<sup>2)</sup> Widocznie opuszczony jakiś wyraz.

<sup>3)</sup> Franciszek Duchiniński w licznych pismach dowodził, że Wielkorusini nie są Aryjczykami, lecz Turanami.

ko przeszłość, powinniśmy myśleć o przyszłości, nie chcę się ani niemczyć, ani madyarzyć, wolę zostać Słowianinem — i dlatego moje sumienie, moje przekonanie nakazuje mi oświadczyć jawnie, że pragnę porozumienia i połączenia się z Rosyanami. Jeśli nie pojechał do Rosyi, to nie dla pensyi, jaką tu pobieram, bo szlachetny rząd turecki płaciłby mi ją tam, jak tu płaci, ale dlatego, że mnie tam nie chcą, a ja gwałtem o to dopraszać się nie mogę. Już mam przeszło sześćdziesiąt lat, byłem męczennikiem nie sprawy polskiej, ale Polaków, na starość chciałbym odetchnąć powietrzem mojej Ukrainy i tam złożyć moje kości — ale nie mogę, bo mnie tam nie zapraszają, a może i nie chcą.“

Donosząc dalej o swoich synach, z których jeden wstąpił do służby w wojsku tureckim, a drugi udał się do Rosyi, aby „wstąpić do wojska rosyjskiego—słowiańskiego,“ Czaykowski pisze: „Wdzięczny jestem cesarzowi Rosyi, że go z wygnania przyjął za oywatela wielkiego państwa, za żołnierza słowiańskiego, że mu dozwolił żyć na ziemi praojców. Oto masz objaśnienie całej rzeczy.“

W liście następnym, pisany z Konstantynopola 30 lipca 1872 r., Czaykowski znowu snuje swoje poglądy polityczne. Przyznając Niemojowskiemu, że być może myli się co do rozmaitych rzeczy, oddalony od Polski, jednak stara się swoje poglądy usprawiedliwić i uogólnić.

„Mieć własne siły i rachować na nie jest rzeczą konieczną, bo trupowi, a naród bez własnych sił jest trupem, nikt i nic nie pomoże—a niezdarze, bo naród nie wierzący we własne siły jest niezdara, nikt pomódz nie zechce, ale absolutnie powiedzieć — na własne siły tylko rachujemy i innych nie chcemy—jest to teoryjka przechwałki, a nie prawdy. Ile razy ta biedna Polska własnymi siłami powstała, własnymi siłami wojowała, tyle razy z własnymi siłami upadła; od rozbioru raz podtrzymana obcemi siłami wielkiego Napoleona doszła do Księstwa Warszawskiego, które ją doprowadziło do Królestwa Polskiego Kongresowego. Nietylko te objawy okazywały się na Polsce, ale i na innych narodach upadłych, dźwigających się i podźwigniętych. Włochy z siłami wojskowemi Piemontu, co wyrównywało naszemu wojsku 1831 r., upadły w swoich usiłowaniach o siłach własnych, dopiero za pomocą sił francuskich stanęły na nogi, równie jak Grecy, jak Belgowie—do ich własnych sił przybywały w pomoc obce siły i zostały narodami niepodległymi. Węgry, walcząc swojemi własnymi siłami, były pobite przez Austryaków—parlamentarsko weszły na stanowisko autonomiczne i ta autonomia stała się rzeczywistą siłą



po bitwie pod Sadową, wygranej przez Prusaków. Taki dotąd był porządek rzeczy. Na tych prawdach, którym dotąd fakta nie zadały nieomylności, opierając się—w moim zakresie starałem się o sojusze dla sprawy polskiej u Turków, którzy jedynie żadnym aktem nie przyznali rozbiorów Polski, ale z bronią w dłoni przeciw nim protestowali, u Słowian południowych pobratymców rodu i interesu. Tacy sojusznicy, dołączeni do Francyi napoleońskiej, nie do innej, już byli siłą do pomocy sprawie polskiej. Siłę zaś zbrojną dla sprawy polskiej tworzyłem z kozaków, między którymi były ostatki zaporoskiego polskiego wojska, z Bulgarów i innych Słowian, którzy dobrowolnie się polszczyli. Te siły uorganizowane przyprowadziłem nad Prut, w roku 1854 wzywałem Polaków do broni, gdyby byli odpowiedzieli temu wezwaniu i Francuzi, i Anglicy, i Turcy byliby wojnę wnieśli do Polski i Polska niepodległa musiałaby stanąć — ale Polska milczała jak w grobie, o swoich własnych siłach nie poważyła się marzyć, ale odpowiadała, jak czerwone portki, czyli Francuzi, będą w Krakowie, w Warszawie, w Wilnie i w Kijowie, a zapewne w Poznaniu i we Lwowie, wtenczas o swoich własnych siłach przyjedziemy na sejmiki, swoim własnym rozumem będziemy radzili i swoją własną wolą przystaniemy, aby być narodem niepodległym. Tak było i ta piękna wojna była bańką mydlaną dla Polaków, bo Polacy o swoich własnych siłach nie śmieli pomyśleć. Przerobiłem moje pułki na zakład wojenny polski, na szkołę wojenną praktyczną Polaków, prosiłem o naszą młodzież polską do tej szkoły, doprosić się nie mogłem, w braku takiej musiałem brać hołotę — cóż z tego wynikło.“

Wspominając o zamiarach swoich przeniesienia się w 1863 r. ze swymi pułkami nad Dunaj, między kozaków, i wywołania akcji, o zamiarach, które spełzły na niczem, podług niego, właśnie wskutek składu pułków, powiada dalej:

„Wierzaj mi, że parlamentarstwo wasze<sup>1)</sup> ani galicyjskie, bez sojuszników, bez polityki zewnętrznej, bez siły wojskowej uorganizowanej, choćby najmniejszej, nie nie zrobią, bo nie będą się miały na czem oprzeć ani czem poprzeć—słowa polecą z wiatrem, a druki zostaną literą martwą. Ja wam dawałem politykę zewnętrzną, sojuszników i siłę zbrojną — odrzuciliście wszystko i rzecz cała musiała upaść, bo w króju nie była ani rozumiana, ani popierana, a w emigracyi była prześladowana. Tak jak w kra-

<sup>1)</sup> W Poznaniu.

ju pompatyczne i brzmiące—siłami własnymi, tak w emigracyi—czemu nie ja, ale ty—ustąpię się—były powodem zmarnotrawienia i zniszczenia zasobów uzbieranych przezemnie do służby sprawy polskiej. Kraj co zrobił siłami własnymi? Ustąpiłem—emigracya co zrobiła, o to pytam??? Czegóż na mnie krzyżeć, sił własnych polskich ani skompromitowałem ani nadwerężyłem—ustąpiłem, zostawiłem wszystko—róbcie.

„Mówisz o fabrykach, rękodzielniach, o postępie przemysłowym i handlowym, wszystko to bardzo piękne i dobre dla indywidualów eksploatujących i eksploatowanych nawet, ale niepodległości Polski na nogi nie postawi. Niemcy będą korzystali z tego postępu i przemysłu, ale nie Polska.“

Dalszy ciąg listu jest w znacznej części powtórzeniem myśli wypowiedzianych w poprzednim o Słowiańszczyźnie i o drodze, jaką w tym kierunku powinni obrać Polacy. Wspomina o Węgrach, którzy „rozumem i konsekwencyą przez Habsburgów doszli do tego zwierzchnictwa państwowego, jakie mają dziś.“ Wspominając o zarzutach, które mu stawiają, i zaznaczając ich niesprawiedliwość, kończy osobistymi wspomnieniami oraz wskazówką, co trzeba uczynić z pismami na wypadek śmierci.

Czaykowski był skłonny do przeceniania swojego znaczenia i swoich planów. W każdym jednak razie, zestawiając różne szczegóły, wnikając w ówczesną sytuację, widzimy, jak to już zaznaczyliśmy wyżej, że podczas wojny krymskiej mógł w sprawie polskiej i z korzyścią dla niej odegrać rolę wybitną, chociaż może niezupełnie nawet zdawał sobie sprawę z tego w czasie wojny. Wina nie jego, że się tak nie stało, że akcja jego nie przyniosła realnych korzyści. Stąd zrozumiałe oburzenie i rozgoryczenie na tych, od których przedewszystkiem spodziewał się najgorętszego poparcia. Z drugiej jednak strony i krajowi i emigracyi dziwić się nie można. Plan Czaykowskiego nie wyrastał z sytuacji, jaka się na terenie wojny wytworzyła, ale z duszy Czaykowskiego, z jego marzeń i ideałów, z jego tradycyi. Plan ten mógł być realnym, mógł się rozwinąć bardzo szeroko, ale Turcyja i jej sojusznicy nie mieli fantazyi Czaykowskiego, nie mieli jego polotu, nie mieli jednego sztandaru ideowego. Czaykowski tego nie widział, to też kłęski swej nie rozumiał.

Zestawiając przytoczone listy, zawarte w nich i gdzieindziej spostrzeżenia i uwagi, można nabrać przekonania, że jednak idea wyzwolenia Polski nie była tym niewzruszonym słupem, do którego Czaykowski przykrępował swoje myśli i czyny. Iść na Ukrainę i podnieść kozaczyznę—cel sam w sobie, którego zresztą nie



można było wysunąć, nie mówiąc o Polsce, odbudować Polskę — myśl wtórna, konieczna zresztą u żołnierza 1831 r. i emigranta, dodająca zresztą rozmachu i blasku, ale nie kierująca każdym uczuciem, każdym porywem — oto ideowy kierunek pracy Czaykowskiego. Plan jego w dużym stopniu godził w tradycje i przekonania ówczesnej Polski, ale jest zrozumiały dla każdego, kto zna jego życie. Czytajmy jego pamiętniki.<sup>1)</sup> Od dziecka, ubierany w stroje kozackie, słuchał ciągłych opowieści o sławie i dzielności kozackiej. Jego pierwszy nauczyciel Antonowicz, kozak, namiętny ukrainofil, zajęcia z nim odbywał na siodle, a nauczyciel „drugi,” stary żebrak Sewko pielegrnował kult dla kozaczyzny. O kozaczyźnie wiedli długie rozmowy i dyskusye ojcowie Pijarzy, u których się kształcił. Oficerowie miło dla niego i dzielnie reprezentowali Słowian — pobratymców rodu. I gdy się czyta to wszystko, co Czaykowski pisał i co robił, to widzi się, że był on raczej rycerzem z fantazją, któremu w duszy grały dumy kozackie, który śnił o swobodnem i bujnym życiu Ukrainy, ale nie był mężem stanu Polski, nie był tym, kogo chciał widzieć w sobie i za kogo się podawał — wodzem narodu polskiego.

Gdy nadzieje się rozwiały, gdy pokarmu dla fantazyi nie stało, gdy starość przyszła, przyszły też smutek i rezygnacya, wreszcie gorycz, którą w listach widać. Szły plany jedne i drugie, w planach tych widział to, czego w nich nie było, aż wreszcie pozostały tylko osobiste chęci i pożądanja, dla których tworzył poglądy polityczne, a do których zaspokojenia najpewniej wiodła uległość i poddaństwo.

... „jestem trupem politycznym...”

... „na starość chciałbym odetchnąć powietrzem  
mojej Ukrainy i tam złożyć moje kości...”

Oto objaśnienie całej rzeczy.

Po wojnie, w r. 1857, zostały pod dowództwem Czaykowskiego dwa pułki jazdy, bo po rozwiązaniu dywizyi polskiej Zamoyskiego polecono mu zorganizować z ochotników tej dywizyi pułk dragonów, co zostało uskutecznione w przeciągu paru tygodni.

Wszyscy kozacy Czaykowskiego zostali odznaczeni. Liczba kozaków w dziewięciu ostatecznie szwadronach wynosiła 1600. Polaków w tej liczbie było—400.

TADEUSZ SZPOTAŃSKI.

<sup>1)</sup> Wydane po polsku w tłumaczeniu z rosyjskiego.

## Z dziejów wielkiej fortuny,

Olbrzymia fortuna, pozostawiona przez ojca i stryja księżętom Karolowi i Hieronimowi Radziwiłłom, wobec bezdzietności starszego brata przechodziła na jedyne go syna ks. Hieronima i ks. Zofii, z domu ks. Thurn et Taxis, ks. Dominika. Dzieciństwo ks. Dominika nie było ani sielskie, ani anielskie. Wcześniej, bo jeszcze w niemowlęctwie straciwszy ojca, pozostał na opiece stryja, zniedołężniałego, tracącego wzrok ks. Karola. Księżę wojewoda wileński otaczał tkliwą opieką ostatnią latorośl starszej linii Radziwiłłów. Niestety, jednak nie o wiele przeżył swego brata i w roku 1790 podążył za nim, pozostawiając interesy majątkowe w prawdziwie opłakany m stanie. Testament, znaleziony po jego śmierci, ale nie odpowiadający zgoda wymaganiam prawa, mianował ks. Macieja Radziwiłła, kasztelana wileńskiego, opiekunem małoletniego ks. Dominika. Natychmiast księżę Michał i Józef wystąpili na drodze sądowej z żądaniem obalenia testamentu i powierzenia im opieki. W sporze, sąd wynikłym i trwającym lat kilka, obie strony dokładały wszelkich starań, aby utrzymać się przy opiece; nie oszczędzano przytem majątku nieletniego pupila. Ks. Maciej, wyczerpiony tą walką, pod naciskiem dworu rosyjskiego zrzekł się wreszcie opieki na rzecz ks. Michała, od niedawna wojewody wileńskiego, mającego wpływe stosunki w Petersburgu, w otoczeniu cesarzowej Katarzyny, głównie dzięki staraniom ruchliwej swojej małżonki, dawniejszej długoletniej przyjaciółki posła rosyjskiego w Warszawie, Stackelberga, Heleny z Przeździeckich Radziwiłłowej. <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Askenazy: Nowe wczasy, str. 396 i sq.; Na rozdrożu, „Biblioteka Warszawska,” r. 1911.



Nieletni ks. Dominik przebywał podówczas w Zabłudowie razem z matką, księżną Zofią z domu Thurn et Taxis, mającą na tych dobrach dożywocie. Podczas zatargu i sporu o opiekę księżna z synem musiała częstokroć znosić niedostatek, ponieważ opiekunowie, zajęci walką, zapominali o pupilu i wszystkie dochody z majątków obracali na koszty sądowe. Księżę Michał, utrzymawszy się ostatecznie przy opiece, domagał się oddania sobie księcia Dominika, żeby roztoczyć bezpośrednią pieczę nad jego osobą. Napotkał jednak stanowczy opór ze strony księżnej Zofii, niespokojnej o swego jedynaka, nie dopuszczającej do niego żadnej obcej osoby. Szczególniejszą obawę budził w niej ks. Michał, w którym upatrywała wroga swojej rodziny, dzieliła pod tym względem odrazę, żywioną do niego przez książąt Karola i Macieja.

Za radą króla Stanisława Augusta wychowanie młodego księcia oddano Franciszkowi Karpińskiemu. Niełatwe zadanie oczekiwało tutaj czulego śpiewaka „Żalów Sumaty.“ W swoich pamiętnikach uskarża się: „złe domowe przykłady, które długo by wspominać i wymieniać, psuły zamiary moje, że nie mogłem tak z dziecięciem postępować jak chciałem i jak należało i uczucie moje nad tem tak się poruszyło, że przez rok bawienia w Zabłudowie pięć razy przed matką małoletniego płakałem, ażeby mi nie broniła według mojego sposobu myślenia rządzić jej dziecięciem.“<sup>1)</sup> Inny znowu wychowawca skarży się, że ks. Dominik za życia matki czasem przez trzy miesiące ledwie jedną wziął lekcję, stale bowiem bywał odrywany od nauk przez księżną, rozpieszczając syna w niemożliwy sposób. Wobec tego wychowanie i początkowa nauka była zaniedbana i pozostawiała wiele do życzenia.

Księżna Hieronimowa zawarła w tym czasie związek małżeński z Kazanowskim, a właściwie Kuczanowskim, późniejszym generałem w czasach powstania Kościuszkowskiego. Małżeństwo to nie przyniosło jej szczęścia: postradła opiekę dworu petersburskiego i naraziła się własnej i mężowskiej rodzinie. Ks. Michał zyskał nowy pretekst, by domagać się odebrania od matki ks. Dominika. Jeszcze większe oburzenie wywołało jej małżeństwo po zgonie Kazanowskiego z hr. Ostrorogiem; zarzucano jej niedarowaną płochość. Na domiar złego znalazła się w ciężkich kłopotach materyalnych. Pod naciskiem wierzyteli, którzy zagarnęli dobra Zabłudowskie, musiała usunąć się do Galicyi i tutaj w Białej znalazła chwilowe schronienie. Ponieważ prawa

<sup>1)</sup> Karpiński: Pamiętniki, str. 121.

austryackie zapewniały matce najbliższą opiekę nad nieletniem potomstwem — nie groziło więc jej tutaj przynajmniej odebranie syna. Nie przestawała wdowa po ks. Hieronimie kołatać do dworu petersburskiego o wyznaczenie jej zasiłku z dóbr litewskich; starania i zabiegi jej w tym względzie były jednak paraliżowane przez wpływy, jakie umiał tam sobie zapewnić ks. Michał, który, jakkolwiek kilkakrotnie usuwany od opieki, potrafił jednak ostatecznie utrzymać się przy niej, szarpiać w nielitościwy sposób powierzoną sobie fortunę i nie dając ani grosza na utrzymanie rodziny jej właściciela. Dwór petersburski zgadzał się wprawdzie dopomóc księżnie i zmusić ks. Michała do dostarczania środków na utrzymanie, ale pod warunkiem oddania syna bądź na dwór w Petersburgu, bądź ks. Michałowi. W przeciwnym razie uwalniał ks. Michała od płacenia alimentów i groził zasekwestrowaniem wszystkich majątków, co też zostało uskutecznione postanowieniem cesarskiem z 7 lutego 1799 r., wobec uchylenia się księżny od zadośćuczynienia tym żądaniom dworu rosyjskiego.

Gabinet wiedeński zajął w tej sprawie początkowo stanowisko względem księżny przychylnie, uznał ją bowiem za opiekunkę i przydał jej do pomocy Ignacego hr. Miączyńskiego, który gorliwie zajmując się tą sprawą, zdemaskował nadużycia Michała Starzeńskiego przy sprzedaży niektórych dóbr radziwiłłowskich. Niestety, działalność Miączyńskiego była paraliżowana przez hr. Deyma, byłego prezesa Najwyższego sądu we Lwowie, obecnie zaś obarczonego specjalną misją wejrzenia w opiekę nad nieletnim. Deym na stanowisku prezesa sądu maczał ręce w brudnych sprawach frymarku dóbr radziwiłłowskich w Galicyi, nie więc dziwnego, że usiłował całą tę sprawę przedstawić w jak najlepszym świetle w Wiedniu i utrzymać majątki w ręku przywłaszczycieli. W walce z tylu przeciwnościami, nie widząc znikąd ratunku dla siebie i ukochanego syna, gdy nawet własny jej ojciec, książę Karol Anzelm Thurn et Taxis, wyzuty tymczasem przez wojska rewolucyjne francuskie ze swoich posiadłości, nie mógł jej przyjść z pomocą, ścigana przez wierzycieli, księżna znalazła chwilowe schronienie w domu arcybiskupa lwowskiego, Kickiego. Siły jednak, stargane długoletnią tułaczką i niepowodzeniami życiowymi, zwolna zaczęły ją opuszczać i w r. 1800 księżna Hieronimowa zakończyła życie, nie doczekawszy pomyślniejszego zwrotu w losie swoim i swego syna.

Książę Dominik liczył podówczas lat 14. Na wieść o zgonie księżnej matki, ks. Michał pośpieszył do Lwowa w zamiarze



objęcia opieki nad jego osobą. Nie doszło jednak do tego, ponieważ ks. Dominik czuł nieprzewyciężony wstręt do swego opiekuna i błagał hr. Moszyńskiego i prezesa Kulczyckiego, aby go nie wydawano w ręce człowieka, którego się obawiał. Pozostawiono go do czasu w domu arcybiskupa lwowskiego, dając mu jako nauczyciela Franciszka Wiczkiewicza, człowieka oddanego zupełnie ks. Michałowi. Nowy wychowawca starał się uzupełnić braki początkowego wychowania, rozwinać w swoim pupilu gust do czytania i dać mu zasób potrzebnych wiadomości. Za najważniejsze poczytywał dlań znajomość geografii w najobszerniejszym zakresie, historii Polski i powszechnej i języka francuskiego „tak dla mówienia, jak dla tego, aby w czasie mógł pogustować sobie w literaturze lekkiej francuskiej. Co się tyczy ważnych nauk moralności i logiki, te zamiast uczyć przez aksjomata i definicje staram się mu wpoić przy każdej sposobnej porze.“

Ponieważ rząd austriacki wymagał, aby książę, dopóki zostaje w Galicyi, zdawał egzamin podług programu miejscowych szkół normalnych, więc profesor szkół normalnych, Haselmayer, dawał mu lekye łaciny i katechizmu. Wiczkiewicz uskarżał się, że jego pupil z niechęcią i roztargnieniem czytał książki, unikał rozmów poważniejszych; uwagę i interes budziły w nim tylko rozmowy o koniach i lwowskich anegdotach miejskich, okazywał też gust do wina i obcowania z ludźmi niskiej kondycyi: „Skutki tego gustu ku osobom takowym każą mi się obawiać, iż gdybym go od tego nie odzwyczaiał, osoby takowe mogłyby umysł jego opanować, a wtedy już po nim i co do majątku i stracony dla dobrej kompanii.“ Płynęło to, zdaniem wychowawcy, z dwóch źródeł: „otoczenia, w jakim przebywali ojczym Kazanowski i matka, i dobroci serca, nie chcącego nikogo od siebie odstąpić, tembardziej licznych osób, co za pierwszym spojrzeniem na niego zaraz mu pochlebstwa, ofiary, służby, przyjaźni i sakryfikowania się czynią.“<sup>1)</sup>

Obawy wyrażone przez ochmistrza miały się, niestety, sprawdzić i to w bardzo prędkim czasie, a wady, wtedy nabyte, miały zadać niepowetowane ciosy jego fortunie, prowadząc nań tyśiączne zmartwienia i nieszczęścia. Przyznać należy Wiczkiewiczowi, że trafnie nader określał charakter i usposobienie swego elewa, gdy rysował w swych listach do ks. Michała jego wizeru-

<sup>1)</sup> Wiczkiewicz do ks. Michała 22 października 1800 r. (Archiwum ks. Radziwiłłów w Nieświeżu).

nek duchowy. Uskarżał się ciągle na wpływy postronne, na mieszanie się tysiąca osób do wychowania księcia, wskutek czego cała jego praca wychowawcza obracała się w niwecz. Jednocześnie głębsza przyczyna złego tkwiła przedewszystkiem w tej okoliczności, iż Wiczekiewicz nie potrafił, zdaje się, pozyskać zaufania swego ucznia. Stawały temu na przeszkodzie głównie blizkie stosunki, łączące go z ks. Michałem, okoliczność ta bowiem zmuszała ks. Dominika do trzymania się na baczności, tembardziej, że słyszał z ust swego mentora ciągłe nauki na temat wdzięczności i miłości dla stryja i całej jego rodziny, ku której zrozumiała nieufność została weń wszczepiona przez matkę.

Pod koniec roku 1801 w życiu ks. Dominika nastąpiła stanowcza zmiana. Losem nieletniego, osieroconego tak wczesnie księcia zainteresował się żywo książę generał ziem podolskich, obecnie austriacki feldmarszałek, stary Adam Kazimierz Czartoryski. Za jego staraniem a zgodą ks. Thurn et Taxis, dwór wiedeński zgodził się powierzyć mu opiekę nad osobą ks. Dominika, pomimo mocnego niezadowolenia i ostrych protestów ks. wojewody wileńskiego. Ks. Adam ojciec, przyjąwszy tę opiekę, otoczył ojcowską troskliwością młodego księcia, starając się, jak gdyby wynagrodzić tą drogą ciosy i klęski, zadane ongi domowi radziwiłowskiemu przez stryja i ojca. Osobiście pragnął kierować jego wychowaniem, sam udzielał mu codziennie jedną godzinę lekcyi, sprowadzał najlepszych nauczycieli, wśród których znajdowała się taka powaga, jak Groddek, dostarczał mu towarzyszków z grona wyborowej młodzieży, bawiącej na dworze puławskim, jak Leona Dembowskiego, Białopiotrowicza, Adama Matuszewicza, Łopotta i innych. Z nauk, dawanych mu tutaj, nie wiele mógł jednak książę korzystać wobec braku zamiłowania do nich i braku elementarnych wiadomości w rozmaitych dziedzinach, których nabyć nie zdołał w dzieciństwie przy zaniedbanem ogromnie wychowaniu. Z pamiętników Dembowskiego wiemy o figlach dziecinnych, a zgoła niewybrednych, płatanych przez ks. Dominika domownikom puławskim. Uderzała już podówczas w nim pewna zniewieściłość, brak tęgości charakteru, ochoty do pracy i wytrwałości w przedsięwzięciach, obok najlepszego serca i najzacieńszych porywów duszy. Jeżeli przy takim usposobieniu wewnętrznem nie mógł wiele skorzystać z udzielanej mu wiedzy, w każdym razie jednak w tej niezrównanej atmosferze puławskiej nabrał ogłady towarzyskiej, zamiłowania do szlachetniejszych rozrywek, przejął się uczuciami obywatelskimi i nauczył się kraj kochać.



Poprawił się też i byt materialny ks. Dominika. Jakkolwiek ks. Czartoryski, przyjmując go do Puław, zastrzegł się, że od tej chwili wszystkie potrzeby księcia będzie sam opatrywał, z opieki jednak, wobec zbliżającej się jego pełnoletności, zaczęły napływać większe sumy, i ks. Dominik miewał do swego rozporządzenia rocznie około 200,000 złotych, których nie umiał użyć. Ks. Michał, którego opieka zbliżała się ku końcowi, dokładał wszelkich usiłowań, ażeby zagmatwać jak najwięcej interesy i utrudnić przez to zorientowanie się w rachunkach, wynikłych z opieki. Za pomocą intryg i wpływów swoich w Petersburgu potrafił nie tylko uchylić się od złożenia sprawozdania ze stanu fortuny przed dodanymi opiekunami, Tyszkiewiczem <sup>1)</sup> i Moszyńskim <sup>2)</sup>, ale nawet całkowicie odsunąć ich od opieki. Udało mu się też wreszcie uzyskać, o co od szeregu lat napróżno kołatał, prawo sprzedaży niektórych dóbr pod małoletność ks. Dominika. Niedługo jednak tryumfował. Kiedy bowiem poczynił już wszelkie przygotowania do sprzedaży dóbr w ogromnej ilości za pomocą ogłoszeń i wystawienia ich na sprzedaż, za sprawą ks. Karola de la Thurn et Taxis wyszedł nowy ukaz cesarza Aleksandra, wstrzymujący sprzedaż majątków do czasu zupełnego objęcia ich przez ks. Dominika, co nastąpić miało w 1804 r. Zadało to cios zamiarom ks. Michała, który zamierzał pograżyć fortunę w odmet eksdywizyi i sprzedaży, z którego nie wydzwignęłyby jej prawdopodobnie niczyje ręce. Podczas małoletności swej dziedzie największej fortuny w Polsce nie otrzymywał z niej żadnych prawie dochodów poza 2,000 zł. miesięcznie, płaconymi przez Forum Lwowskie. Ks. Michał nie prawie nie przysyłał, usprawiedliwiając się tem, że dochody obracane są na spłatę długów. W rzeczywistości zaś te długi podczas kilkunastu lat trwania opieki uległy niewielkiemu tylko zmniejszeniu. Ks. Michał, wobec zbliżającego się terminu, czuł żywy niepokój przed koniecznością złożenia rachunków ze swojej opieki i innych czynności prawnych. W r. 1804 ks. Dominik ukończył lat 18 i stosownie do praw, obowiązujących na Litwie, uznany za pełnoletniego, objął zarząd swoich dóbr, położonych w dzielnicy rosyjskiej.

Fortuna radziwiłłowska, jakkolwiek uszczuplona znacznie za rządów ks. Karola, szarpana następnie na wszystkie strony przez niesumiennego opiekuna, w chwili objęcia jej przez ks. Dominika

<sup>1)</sup> Ludwik Tyszkiewicz, b. hetman w. litewski.

<sup>2)</sup> Fryderyk Moszyński, b. marszałek wielki.

przedstawiała się jednak wcale pokaźnie. Nie licząc dóbr, położonych w zaborze pruskim i austryackim, które przedstawiały wartość około 200 milionów złotych i były już w większej części oczyszczone z ciężących na nich długów, a którymi, jako niepełnoletni podług tamtejszych praw, nie mógł jeszcze rządzić, w samej dzielnicy rosyjskiej, w guberniach: wileńskiej, grodzieńskiej, mińskiej i wołyńskiej dobra te ze 120 tysiącami poddanych szacowano ogółem na sumę przeszło 200 milionów złotych. Choć obciążone były długiem, wynoszącym 50 milionów złotych, suma ta jednak, jakkolwiek na owe czasy bardzo znaczna, mogła być być łatwo spłacona przy umiejętnym zarządzie całą fortuną. Stąd kwestyą najważniejszą, obchodzącą setki tysięcy osób, zarówno poddanych, jak dzierżawców, zastawników, sług i wiele osób prywatnych na Litwie, było pytanie, komu młody, dopiero co wyszły z opieki książę ordynat poruczy ster swojej wielkiej fortuny.

Pierwsze kroki ks. Dominika, kierowane przez ludzi miary, co ks. Adam Czartoryski i Tadeusz Matuszewicz, nacechowane były taktem i przezornością. Ks. feldmarszałek pożegnał pięknym listem swego pupila, opuszczającego gościnne progi puławskie po kilkoletnim w nich pobycie. „Pochodzisz, Mości książę, ze krwi rodowością znakomitej, imię nosisz świetne, z dóbr, pierwszych dostojenstw, z cnót obywatelskich i zasług w ojczyźnie swych przodków — uważaj tedy, jakie brzemień spada na barki twoje, jakie nateżenie, jakie wydobyć się jest ci potrzebne, jeżeli pragniesz bez nieszczelności je nosić.“ Przestrzegał przed rozrzutnością i lekkomyślnością, którą okazywał młody książę, przypominał, że „rządność jest źródłem hojności.“<sup>1)</sup> Dodał mu też za doradcę i kierownika w skomplikowanych i trudnych interesach Tadeusza Matuszewicza, człowieka wielkiego rozumu i niepospolitej biegłości w interesach, a od lat wielu stałego przyjaciela Puław. Po złożeniu przysięgi na wierność Rosyi, ks. Dominik podążył w towarzystwie nieodstępnego Matuszewicza do Petersburga i tutaj, łaskawie przyjęty przez cesarza Aleksandra, otrzymał godność szambelana i cenniejszą nadto obietnicę wstrzymania na dwa lata wykonania zapadłych wyroków i utworzenia specjalnego sądu dla wszystkich spraw radziwiłowskich. Uszczęśliwiony powrócił ks. Dominik na Litwę i zajął się porządkowaniem rozległych interesów i spraw, które od lat kilkadziesiątu często czekały rozstrzygnięcia. Za radą ks. Cartoryskiego

<sup>1)</sup> Dębicki: Puławy, t. I, str. 202.



i Matuszewicza poruczył zarząd naczelną swoich dóbr Michałowi Zaleskiemu, staroście szwentowskiemu, polecaneemu gorąco przez imiennika, tegoż, wojskiego litewskiego, Michała Zaleskiego. Starosta szwentowski pełnił przez długie lata obowiązki adwokata w Lidzie i na tem stanowisku pozyskał zaufanie współobywateli. Cechowała go głęboka znajomość prawa krajowego i wielka prawość charakteru, słowem, posiadał kwalifikacye, zupełnie odpowiadające stanowisku, jakie miał zająć. Niestety jednak, zbywało mu na tęgości charakteru i uzdolnieniu do kierowania tak olbrzymimi a zagmatwanymi interesami. Powodując się osobistą sympatją, wybierał często nieodpowiednich współpracowników, względem których okazywał następnie wielką pobłażliwość i ufność bezgraniczną. Tym sposobem w gronie najbliższych pomocników Zaleskiego znaleźli się tacy ludzie, jak pułkownik Paszkowski, Nowicki, Brochocki, Miedzychowski — zgoła nie zasługujący na zaufanie. W dzielnicy pruskiej mianował wreszcie pełnomocnikiem Okołowa, stawiającego podówczas pierwsze kroki, osławioną później kreaturę Nowosilcowa, a którego w kilka lat później Matuszewicz usunął z administracyi radziwiłłowskiej i dosadnie scharakteryzuje: „Okołów to jest smród, koło tego gnoju siedzieć byłoby ostatnią podłością.“<sup>1)</sup>

Zaleski powyznaczał sobie i swoim pomocnikom ogromne, jak na owe czasy, pensye, pozwalał im też brać w dzierżawę korzystną majątki radziwiłłowskie. Wbrew dotychczasowemu zwyczajowi, przyjętemu od lat dawnych tutaj, zezwolił na przyjmowanie pretensyi, pochodzących z dzierżaw. Dało to początek mnóstwu nowych procesów, często zgoła niesłusznych i „otworzyło prawdziwą przepaść, która pochłonęła największą część czystego dochodu.“<sup>x</sup>

Lata, w których ks. Dominik objął zarząd swych dóbr, były prawdziwie złotym okresem dla Litwy i Wołynia. Ceny wszystkich ziemiopłodów doszły podówczas do bajecznej wprost wysokości i majątki ziemskie przynosiły ogromne intraty. Wojny, toczone podówczas na Zachodzie, a omijające dotychczas kraje polskie, głównie wpływały na tę wyższkę cen produktów rolniczych. Pokój tyłżycki, zamykający wywóz zboża, położył dopiero kres temu błogiemu stanowi, w jakim znajdowała się podówczas Litwa. Zwiększyła się też znacznie intrata z dóbr radziwiłłowskich i przy sprężystej administracyi znaczne długi, ciężące

<sup>1)</sup> Koźmian: Pamiętniki, t. II, str. 320—322.

na nich, dałyby się, jeśli nie całkowicie usunąć, to przynajmniej w znacznej mierze zmniejszyć. Ukaz cesarski z dnia 9 czerwca 1805 r. przeznaczył II-gi departament sądu głównego litewsko-wileńskiego na sędzenie wyłącznie spraw radziwiłłowskich, co zapowiadało ukończenie wreszcie wlokących się przez lata całe niezliczonych procesów oraz odrzucenie niesłusznych pretensyi, skierowanych do masy radziwiłłowskiej. Magistratura rzeczona wezwała wszystkie osoby, mające jakiegokolwiek pretensye do ks. Dominika, aby w określonym czasie złożyły swoje dowody, po upływie bowiem tego terminu żadne skargi nie miały być przyjmowane. Do sądu powyższego miały wpływać też i wszelkie zażalenia ze strony ks. Dominika na czynności, dokonane podczas jego małoletności. Zapadłe tu wyroki miały być wykonywane pomimo apelacyi skierowanej do senatu. Utworzenie podobnej magistratury dawało nadzieję, że nastąpi wreszcie upragnione rozgmatwanie interesów oraz wyświechtanie istotnego ich stanu; tymczasem nadzieje te w znacznej mierze zawiodły. Główny plenipotent księcia, Zaleski, był przeciwny tworzeniu podobnego sądu, który uważał za całkiem niepotrzebny, żądał wyłączenia z niego spraw o dziedzictwo i spadki, dowodził, że dochodzenie podobnych spraw będzie rzeczą niezmiernie trudną, wobec nieuporządkowania archiwum, którego część zatrzymał jeszcze ks. Michał w Nieborowie. Niechęć i uprzedzenia Zaleskiego odbić się musiały na biegu spraw. Podczas swego istnienia od r. 1805 do r. 1812 sąd ten rozstrzygnął zaledwie 272 sprawy i odrzucił zupełnie 350 niesłusznych pretensyi.

Niefortunną też okazała się komasacya gruntów, przedsięwzięta przez Miedzychowskiego i Nowickiego. Wywrócony został przez nią odwieczny porządek, gdyż spędzono z gruntów osadników, osiadłych tutaj od dziadów, narażono księcia na wydatki wielkie, związane z zakładaniem nowych folwarków i wzniesieniem na nich budowli, a, co gorsza, wywołano liczne procesy i narzekania ze strony skrzywdzonych. Ilość procesów zwiększyła się znacznie przez zapisanie do stanu włościańskiego bardzo licznej szlachty czynszowej, osiadłej w dobrach radziwiłłowskich. Zaczęło się to jeszcze za czasów opieki ks. Michała, kiedy rząd rosyjski zażądał w r. 1795 piśmiennych dowodów szlachectwa. Zarząd radziwiłłowski korzystał z tego i, zamiast przyjść czynszownikom z pomocą, wydobywając odpowiednie dokumenty z archiwum nieświeskiego, zaczął wpisywać ich na listy ludności poddańczej. Kontynuowano to w dalszym ciągu i później na wniosek archiwisty Onufrego Jodki, wybierając z tej ludności



rekruta i podatek podymny. Przerażona tem szlachta czynszowa porzuciła tłumnie ziemię, do której chciano ją przytwierdzić, roznosząc po całej Litwie narzekania i złorzeczenia na ks. Dominika i jego administrację. Nie dość na tem, wytaczano obecnie liczne sprawy o wykreślenie z poddaństwa. Przykład ten znalazł natychmiast naśladowców wśród włościan, noszących nazwiska szlacheckie, którzy wystąpili też na drodze sądowej z poszukiwaniem szlachectwa. Liczne procesy, stąd wynikłe, naraziły księcia na wielkie straty i wpłynęły na zniżenie wartości dóbr przy dokonywanej obecnie ich sprzedaży.

Wobec niepomysłnego stanu interesów i rosnącego wciąż skutkiem nieumiejętnej administracji długu, Zaleski chwycił się sposobu, który należało zachować na koniec, rozpoczął mianowicie częściową sprzedaż dóbr. Tą drogą sprzedano dobra żmudzkie i wileńskie, ogółem w ciągu paru lat gospodarki Zaleskiego na sumę 49 milionów zł. polskich. Sprzedaż tę uskutecznilo nie odrazu, ale częściowo, wybierając dobra co lepsze, bądź ze względu na położenie ich w bliskości miast większych lub dróg spławnych, bądź z uwagi na dobroć gruntów. Suma, otrzymana z tej sprzedaży, była daleko mniejsza od ich wartości, ponieważ Zaleski przy sprzedaży brał pod uwagę rozmaite często bezzasadne pretensye lub obligi, na których mocy trudno byłoby cokolwiek uzyskać drogą sądową. Rezultaty podobnej gospodarki były fatalne. Wyczerpano wszystkie dochody na sprawy wynikłe z pretensyi dzierżawców i niefortunną komasację gruntów, rozpedzono dzierżawców, sprzedano dóbr za 49 milionów zł. polskich i w rezultacie pozostała suma długów, równająca się prawie poprzedniej, bo około 48 milionów złotych.<sup>1)</sup>

Nieśwież tymczasem grzmiał odgłosem zabaw, uczt, szaleństw, jakie wyprawiał młody ordynat, otoczony sztabem hulaszczey młodzieży. Opustoszałe od lat kilkudziesięciu mury zamku ożyły, przypominając czasy ks. Karola. Odnowiono teatr pałacowy, pobudowano w mieście liczne zajazdy i restauracye, wzniesiono wspaniałe gmach dla poczty. Nieśwież roił się podówczas od tłumów szlachty okolicznej i obywatelstwa, które przyciągnął świetny dwór młodego księcia. Powstały w mieście duże sklepy, osiadło wielu dobrych rzemieślników, znęconych sporymi zarobkami. Nazywano podówczas Nieśwież małą Warszawą. Ks. Dominik hojny, lekkomyślny, nie znający wartości grosza, trwonił for-

<sup>1)</sup> L. R. Upadek fortuny radziwiłłowskiej. (Rps. własność prywatna).

tunę na dziwaczne zachcianki i fantazy, żądał od Zaleskiego ciągle pieniędzy, a ponieważ intraty roczne nie wystarczały, więc majątki szły na sprzedaż jeden za drugim. Nikt, z wyjątkiem starego sługi, Bukowskiego, nie hamował rozrzutności księcia, na ustach wszystkich był urzędowy frazes turecki, „że sułtan wydaje z niewyczerpanych skarbów swoich.“ Marnując ojcowiznę w hulankach i pijatykach, ks. Dominik nie był jednak nieczułym na cele społeczne. Świeżo powstałemu Towarzystwu Dobroczynności w Wilnie darował znajdujący się w Wilnie pałac, własność niegdyś Kiszaków. Czyniąc ten hojny dar i wyrażając wdzięczność za przyjęcie go w poczet członków, książę pisał: „Na odgłos zgromadzenia, z najszanowniejszych złożonego obywateli, którzy ni starań, ni trudów, ni majątków swych nie oszczędzając, całkiem się na ratowanie poświęcili biednych, najgorętszą pragnieniem chciałem należeć z nimi wspólnie do tak chwaleb- nego dzieła.“<sup>1)</sup> Darował też książę wieś Skabin na gimnazjum pojezuickie w Nieświeżu, utrzymywane obecnie przez ks. Dominikanów. Podczas bytności Śniudeckiego w Puławach ks. Dominik, oczarowany jego osobą, chciał złożyć na jego ręce hojny dar na cele oświatowe.

Tych szlachetnych pierwiastków, tkwiących w jego duszy, nie umiano rozbudzić i pielęgnować. Otoczenie najbliższe nie mogło, nie chciało tego uczynić, całym staraniem jego było zagłuszyć w młodym ordynacie głos rozsądku, myśl poważniejszą i pchnąć go w wir hulaszczego życia.

Matuszewicz, doradca i mentor jego w podróży do Petersburga i w czasie pierwszych czynności w Nieświeżu, powróciwszy do Galicyi, a słysząc o jego wybrykach, przysyłał stamtąd przyjacielską przestrogę: „Wytrzymać nie mogę, abym z pobudek najszczęśliwszego ku niemu przywiązania ponowić nie miał rady mojej wiernej i czystej. Nie daj się osłabić w ufności dla ludzi, którzy księciu widoczne i najważniejsze poczynili przysługi, którym ufa cała powszechność, przeciw którym ci tylko powstają, co w nich dla osobistych widoków swoich znajdują zawadę, wstrzymaj szlachetną serca swego dobroczynność, jeśli nie chcesz wyzuć się na zawsze ze sposobności czynienia dobrze komukolwiek, umoderuj własne wydatki, boś z niebezpieczeństwa zguby jeszcze nie wyszedł, rok ten pierwszy pokazał, że przy pomocy ludzi poczciwych interesu księcia dźwignione być mogą, lecz oka-

<sup>1)</sup> Rawicz, Wileńskie Towarzystwo Dobroczynności.



zał razem, że jeśli się zapomnisz i rad dobrych słuchać nie będziesz, zepsuje się natychmiast, co się naprawiło i upadek nowy będzie upadkiem bez ratunku. Daruj, książę, otwartości przyjaciela, którego znasz serce, milczałbym, gdybym nie widział, że cały los Twój, całe przyszłe szczęście Twoje w istotnem jest niebezpieczeństwie, nie mam, jak wiesz, osobistego widoku, przestałem już pracować dla dobra księcia, kochać go i życzyć mu najlepiej nie przestanę nigdy.<sup>4</sup> 1)

Drugi wierny przyjaciel ks. Dominika, rówieśnik i towarzysz z czasów pobytu w Puławach, Białopiotrowicz, dokładał również wszelkich starań, aby utrzymać w korbach rozsądku lekomyślny, chwiejny charakter przyjaciela. Niestety, niespodziana śmierć zabrała ks. Dominikowi tego wiernego, bezinteresownego druha. Zastąpił go tłum pochlebców, wietrzników, udających przyjaciół, a w rzeczywistości czyhających tylko na kieszeń księcia, popychających go w kierunku coraz bardziej szalonych i kosztownych wybryków, które pochłonęły wkrótce znaczną część fortuny, a jemu samemu zgotowały rychły zgon. Najbliższe otoczenie podówczas księcia składali: Morawscy, Łopotowie, Jeziersey, Rozwadowscy, Michałowscy, Narbutowie, Woydźburowie i inni.

Dwukrotnie ponawiane związki małżeńskie, najprzód z Izabellą Mniszchówną, później z Teofilą Morawską, rozwiedziona Starzeńską, przyniosły ks. Dominikowi same udręczenia, a przytem olbrzymie straty materialne. Małżeństwo z Mniszchówną, zerwane po 14 dniach, okupione zostało zapiskiem 2,000,000 złotych na jej rachunek wzamian za otrzymaną zgodę na rozwód. Nastąpił potem proces rozwodowy pani Starzeńskiej, na który również ks. Dominik łożył koszta. Dwukrotne te związki małżeńskie, licząc skromnie, kosztowały księcia około 10,000,000 złotych.

Ulegając wpływowi krewnych drugiej swojej żony, Morawskich, udzielił on dymisji Zaleskiemu, mianując na jego stanowisko Ludwika Kamińskiego, prezydenta Sądu Głównego mińskiego. Kamiński, ongi prawa ręka ks. Macieja Radziwiłła, kasztelana wileńskiego, zdradziwszy swego protektora, podczas walki o opiekę pomiędzy obu książętami, przerzucił się na stronę ks. Michała i usiłował przechylić ku niemu szalę sprawiedliwości. Obeznany z interesami radziwiłłowskimi, człowiek niesłuchanie zręczny, nieprzebierający w środkach, prawdziwy zły duch tego

<sup>1</sup>) Matuszewicz do ks. Dominika z Puław 26 lipca. (Archiwum ks. Radziwiłłów w Nieświeżu. Listy obcych domów t. 138).

domu, oddawna już czyhał na majątek ks. Dominika. Obecnie potrafił w zupełności opanować łatwowierny umysł niedoświadczonego księcia, krytykując działalność Zaleskiego, obiecując podniesienie intratności majątków, uregulowanie interesów i t. d., w rzeczywistości jednak za pomocą rozmaitych matactw, w których był prawdziwym mistrzem, z całą świadomością dążył do zaprzepaszczenia powierzonej sobie fortuny. Dopomagała mu ta okoliczność, że książe, nim rozstrzygnęła się ostatecznie sprawa rozwodowa, przebywał przez czas dłuższy z panią Starzeńską za granicą. Kiedy wreszcie po ukończeniu procesu rozwodowego książe połączył się nowym związkiem małżeńskim z Teofilą Morawską 15 marca 1809 r. i osiadł na stałe w Nieświeżu, postanowiono dołożyć wszelkich starań, aby znów usunąć go z kraju.

Za pomocą misternej intrygi, do której wciągnięto masonów nieświeskich i murzyna Jana La Pierra, niegdyś służącego Kościuszki z czasów więzienia petersburskiego, a obecnie kasyera książecego, poddano ks. Dominikowi myśl wstąpienia w szeregi armii Księstwa Warszawskiego. Jeden z głównych aktorów tej ciemnej afery, Antoni Sołłohub, faworyt księcia, na posiedzeniu uroczystem łoży nieświeskiej pod nazwaniem „Szczęśliwe Oswobodzenie“ pożegnał księcia w imieniu Litwy, składając w ręce jego jej losy i wymógł na nim przyrzeczenie, że chyba pod zwyciężskimi sztandarami do kraju powróci. Łudzono go nadzieją zajęcia w Księstwie Warszawskim stanowiska naczelnego wodza, przypominano patryotyczne wysilenia stryja. Głównymi sprawcami tej intrygi byli: Tomasz Henderson, obywatel powiatu słuckiego, niedawno sprowadzony z Anglii czynny członek tamiecznych łoż, lekarz Karol Wiryon, Dziekoński i prawdopodobnie sam Kamiński, zajmujący w organizacyi masonskiej wybitne stanowisko. Ks. Dominik, po pewnem wahaniu, dał się wreszcie namówić do opuszczenia kraju i wstąpienia w szeregi wojsk Księstwa, wbrew mądrym radom ks. Józefa Poniatowskiego, który wskazywał na konsekwencye, jakie podobny krok może za sobą pociągnąć. Niepomogły te ostrzeżenia: sprytnie pomyślana intryga dopięła celu i młody ordynat, któremu uśmiechała się karyera wojskowa, po złożeniu hojnej ofiary na cele wojskowe, został pułkownikiem 8-go pułku ułanów. <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Książę Dominik własnym kosztem dostarczył do tego pułku 200 koni z rzędem. Bignon, Souvenirs d'un diplomate. Por.: Askenazy, Ks. Józef Poniatowski, 205, 308.



W dobrach radziwiłłowskich tymczasem rozpoczęła się rabunkowa gospodarka Kamińskiego, Morawskich, Jezierskiego i innych faworytów ks. Dominika. Prym w tej robocie trzymał Kamiński. Korzystając z udzielonej sobie o szerokim zakresie plenipotencji, sprzedał w ciągu kilku miesięcy dóbr za 5,189,732 złotych i 42,000 rubli asygnacyjnych, prze Frymarczył Balińskiemu wspaniałą puszcę Jaszuską pod Wilnem, wartości miliona złotych za 40,000 rb., do których księciu wypadło dopłacić 20,300 rb. pochodzących z zastawu. Szczególniej wołającą o pomstę była sprzedaż Tyszkiewiczom Birż, przynoszących rocznego dochodu 260,000 zł., nie licząc lasów, szacowanych tam na 6,288,625 złotych. Dobra te sprzedane zostały przez Kamińskiego za rzeczywistą sumę 516,171 złotych, nominalnie uzupełnioną rozmaitymi, często fikcyjnymi rachunkami za sumę 3 milionów złotych. Wreszcie wskutek nieopłacenia we właściwym czasie procentów od długu należnego Bankowi Państwa nastąpił sekwestr majątków radziwiłłowskich. Topniała więc świetna fortuna w niszczycielskich rękach Kamińskiego, który również chcąc wyświadczyć przysługę ks. Michałowi, nie pozwolił dokończyć wówczas sprawy o opiekę nad ks. Dominikiem, doprowadzonej już do ostatniego stadyum w Sądzie Głównym.

Takie były owoce kilkomiesięcznej gospodarki Kamińskiego. Widząc zupełną zagładę swojej fortuny, o ile pozostawałaby jeszcze czas jaki w rękach dotychczasowego pełnomocnika, ks. Dominik postanowił cofnąć wydaną plenipotencję i oddać zarząd Radzie familijnej, złożonej z Adama i Seweryna Rzewuskich i generała Morawskiego. Ustawa o Radzie familijnej została podpisana przez księcia 6 grudnia 1811 roku w Płocku. Niełatwa była jednak sprawa z Kamińskim. Biegły w matactwach prawnych, mający pewne stosunki wśród miejscowej biurokracyi rosyjskiej, postanowił opierać się ostatnim zarządzeniom księcia, korzystając z jego nieobecności w kraju. Wyjednał więc przez hr. Miłoradowicza skasowanie Ustawy Rady familijnej i Ukaz cesarski z dnia 9 lutego 1812 roku, którego mocą Kamiński otrzymał administrację dóbr z prawem wypuszczania ich w dzierżawę. Tymi środkami zmusił księcia do cofnięcia poprzednich zarządzeń i wydania wbrew chęci nowej plenipotencji dla siebie. Postawiwszy na swoim, Kamiński zaprzestał posyłać księciu zagranicą dochód z dóbr i zmusił go do sprzedawania za bezcen majątków lub wydawania obligów na sumy często dziesięćkroć przewyższające otrzymane pożyczki. Przyzwyczajony do marnotrawstwa, ksiąź nie umiał ograniczyć swych potrzeb i wydatków, które ciągle

wzrastały jeszcze od chwili, kiedy został pułkownikiem. Dobra Dorohy i Moysiewiczze, ocenione na przeszło 22,000 czerwonych złotych, zostały sprzedane Krzysztofowi Niezabytowskiemu za sumę 3,000 dukatów w gotówce.

Korzystając odtąd z zupełnej bezkarności nie kontrolowanej przez nikogo, Kamiński prowadził w szybkim tempie dzieło dewastacyi oddanej sobie fortuny. W ciągu kilku następnych miesięcy powiększył ilość długów z 47,000,000 na 70,000,000 zł. polskich, za 6,000,000 wyprzedał dóbr i pobrał należności, przypadające ks. Dominikowi w ilości 5,000,000 zł. Nie wnosił też w tym czasie prawie nic na rzecz należności skarbowej, ani też nie pisał ks. Dominikowi, tak więc zagarnął lub zmarnował w ciągu kilkunastu miesięcy około 33 mil. złotych, z których nie złożył żadnego rachunku, zrećźnie unikając przedstawienia do skarbu sprawozdania o stanie interesów. Wreszcie matactwa jego i nieuczciwa administracya zwróciły uwagę sfer rządowych. Przystany został z ministeryum skarbu specjalny urzędnik, Rawicz, w celu wejrzenia w gospodarke pana administratora i wyegzekwowania należności skarbowej. Kamiński dokładał wszelkich usiłowań, ażeby pokrzyżować i sparaliżować czynności Rawicza, który sumiennie i z wielką znajomością rzeczy pełnił swoją powinność. Wynik tej rewizyi byłby prawdopodobnie fatalny dla Kamińskiego, gdyby go nie uratowała rychła śmierć niebezpiecznego kontrolera. Mianowany jego następcą asesor Dejneka stał się zupełnie posłusznem narzędziem w rękach Kamińskiego i nie tylko patrzył przez szpary na jego nadużycia, ale nawet dopomagał mu w nich i to do tego stopnia, że władze rządowe musiały go odwołać, pozostawiając dobra po dawnemu pod bezpośrednim zarządem plenipotentą, a tylko pod zwierzchnim dozorem gubernatorów.

Książę Dominik, pozbawiony zupełnie dochodów ze swoich dóbr litewskich, zagrożony niedostatkiem, musiał przyjąć ofiarę jednego z najwierniejszych sług swego domu, kasyera Bukowskiego. Ten ostatni oddał mu swoje oszczędności, uzbierane ciężką pracą, jak również fundusz uskładany przez niego przez systematyczne urywanie z niepoczytalnych często wydatków ks. Dominika. Fundusz ten przeznaczal na czarną godzinę, która niedługo może, jak przypuszczał, wybije dla marnotrawnego księcia.

Tak opłakany był stan fortuny radziwiłłowskiej, gdy wybuchła wojna 1812 roku, która miała na dom książęcy sprowadzić najcięższe klęski. Książę Dominik przyłgął całą duszą do Napoleona, upatrywał w nim wskrzesiciela Polski, z jego losem



związał całą swą przyszłość. W zawodzie wojskowym znalazł ujście dla swego burzliwego, rwącego się do czynów bohaterskich temperamentu i nader gorliwie spełniał obowiązki dowódcy 8 pułku ułanów. Z chwilą rozpoczęcia wojny podążył za cesarzem na Litwę. Jeden z pierwszych położył podpis pod petycją obywateli z Litwy i Rusi, wzywającą świeżo zwołany sejm do „zajęcia się bezwzględnie wielkiem odzyskania ojczyzny zadaniem.“

Dnia 28 czerwca ks. Dominik na czele swego pułku poprzedał uroczysty wjazd Napoleona w bramy Wilna. Domagał się tego zaszczytu, jako jedynej nagrody, wzamian za poniesione wielkie ofiary. Spodziewał się, że teraz wolno mu będzie zająć się uporządkowaniem swych interesów i wymierzeniem kary niesumiebnemu swemu pełnomocnikowi, niestety, obowiązki służbowe nie pozwoliły mu zboczyć do Nieświeża. Kamiński tymczasem, który umiał doskonale przystosować się do okoliczności i wyczuwać kierunek prądu, w jakim należało płynąć, ukrywał się w Mińsku i, przybrawszy skórę patrioty, witał wchodzącego tam Davoustą. Krzątał się koło organizacyi Rządu Tymczasowego, którego nawet przez czas pewien był członkiem. Gorliwość patriotyczna, okazywana przez niego podówczas, nie przeszkodzi mu w parę lat później zajmować stanowiska vice-gubernatora mińskiego.

Ks. Dominik z Wielką Armią podążył na wschód i tutaj w szeregu bitew, szczególnie pod Ostrownem, gdzie został ranny, dawał pod okiem cesarza dowody szalonej odwagi i zasłużył na jego pochwały i zaszczytną wzmiankę w biuletynie Wielkiej Armii. W nagrodę swej waleczności, jakiej dał liczne dowody pod Ostrownem, Smoleńskiem i Woronowem, został mianowany 27 października 1812 r. gros-majorem pułku szwoleżerów.

Nieśwież tymczasem i inne dobra radziwiłłowskie, położone w okolicy, wystawione były na zniszczenie przez przechodzące wojska: rosyjskie, francuskie i polskie. Gościli tu kolejno Bagration, cofający się pośpiesznie, król Hieronim, obrażony na brata, tutaj opuścił armię, udając się do swej stolicy, czas pewien przebywali sędziwy wódz legionów i generał Kossecki. Wreszcie dn. 30 października zawitał gość niepożądany — pułkownik Knoryng, prowadzący awangardę armii Czyczagowa. <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Sprawa rabunku zamku nieświeżskiego przedstawioną została na podstawie: „Dielo o rozgrablenii Nieswiżskaha zamka.“ Rps. № 4, Archiwum ks. Radziwiłłów w Nieświeżu; Upadek fortuny radziwiłłowskiej, przez L. R. Rps.

Żydzi nieświescy, głównie zdaje się Lejzor Dilon, hojnie osypany łaskami książąt, nieomieszkali poinformować pułkownika, że w zamku nieświeskim przechowują się ukryte olbrzymie skarby radziwiłłowskie, których to tajemnicę posiada murgrabia zamkowy, Albert Burgielski.

Było w zwyczaju u ks. Radziwiłłów powierzać skarby rodzinie pieczy jednego człowieka wypróbowanej wierności, któremu pod uroczystą przysięgą wskazywano kryjówkę. W wypadku grożącej wojny wysyłano takiego sługę, żeby pod wpływem groźb lub przemocy nie wyznał tajemnicy. Tą drogą skarbów radziwiłłowskich nie tknęła dotąd żadna obca ręka przy tylu wstrząśnieniach, na jakie narażony był zamek nieświeski. Ocalały one podczas burzliwych rządów ks. Karola, podczas rabunku i spustoszenia, dokonanego tutaj przez wojska konfederatów w roku 1764 i Bibikowa w r. 1772, pozostały nietknięte podczas dwuletniej rezydencji tutaj Tutołmina i opieki ks. Michała. Nie zachowano tej ostrożności podczas obecnej wojny może dlatego, że tajemnicy swojej Burgielski nie odkrył ks. Dominikowi w obawie przed jego marnotrawstwem i lekkomyślnością.

Pułkownik Knoryng natomiast po przybyciu do Nieświeża zażądał oddania sobie wszystkich kluczy od zamku i wskazania miejsca, gdzie się znajduje skarbiec. Kiedy Burgielski odmówił tym żądaniom, kazał go aresztować razem z Bukowskim i zaczął gospodarować w zamku, zabierając niektóre cenniejsze przedmioty. Nazajutrz przybył admirał Czyczagow i podług jego rozkazu odprowadzono obu aresztowanych do generała-majora Tuczkowa, który rozpoczął badania w ten sposób, że kazał przynieść pęki różeg i rozebrać obu starców, w których oczach sieczono różgami kilku sług zamkowych, grożąc, że i Burgielskiego spotka podobny los w razie dalszego milczenia. Pod groźbą tortur nieśczęsny starzec wskazał kryjówkę ze skarbami. Stosownie do jego wskazówek rozbito ścianę z cegiel i w dwóch niedużych izbach podziemi znaleziono kilkanaście kufrów ze skarbami. Przy rozbijaniu skarbcza byli obecni generałowie Teyls, Tuczkow, urzędnik 7 klasy Kowańko i Burgielski, który musiał być niemym świadkiem zabierania przez wrogie ręce skarbów, gromadzonych

---

własność prywatna; Korespondencya Mich. Trębickiego, plenip. radziwiłłowskiego. Rps. jednej z bibliotek prywatnych; Czyczagow do cesarza Aleksandra. „Sbornik istoriczeskaho obszczestwa,” t. VI; Popow, „Ot Malojarslawca do Biereziny.” „Russkaja Staryna“ t. XX; Langeron: Mémoires.



i strzeżonych gorliwie przez długie lata. Tuczkwow, jak podaje w swoim raporcie Burgielski, podczas pierwszych swych odwiedzin zabrał ze skarbcza dużą ilość kosztowności: brylantów, drogich kamieni i złota. Admirał, dowiedziawszy się o znalezieniu tylu bogactw i o postępowaniu Tuczkwowa, polecił mu oddać klucze od skarbcza i utworzył komitet, złożony z generałów i oficerów, w celu rozklasyfikowania i względnie zabrania bogactw. Do komitetu tego należeli: radca stanu Polenow, radca dworu Łaskin, wspomniany Kowańko i adjutant służby morskiej kapitan Mofet. Z polecenia rzezonego komitetu zabrano ze skarbcza najcenniejsze przedmioty, jako to: kolekcye drogich kamieni w oprawie lub bez, srebrne i złote tabakierzy wysadzane brylantami, wielkiej wartości pierścienie, zagraniczną starą porcelanę, kolekcye różnych antyków, cenne zbiory numizmatów i medali, obrazy znakomitych mistrzów, chińskie i tureckie nanioty, broń i zbroje staroświeckie, buławy hetmańskie w złoto oprawne i sadzone drogimi kamieniami, srebrne i złote zastawy stołowe na kilkaset osób, ozdobione drogimi kamieniami i perłami, kobiece klejnoty, sznury pereł, srebro kościelne, złote monstrancje wielkiej wartości artystycznej, cenne zegary, wielką kolekcye pasów słuckich, tkaniny i makaty przetykane złotem, gobeliny i szpalery. W skarbcu przechowywane były prócz tego cenne przedmioty pamiątkowe, jak miecz przysłany Sobieskiemu przez papieża Inocentego XI, do tego odpowiedni strój: płaszcz i czapka, naszyta brylantami z wyobrażeniem Św. Ducha, pamiątki pozostałe po królowej Barbarze, Sobieskich i Wiśniowieckich, które drogą sukcesyi przeszły do domu radziwiłłowskiego, siodła i rzędy na konie sadzone drogimi kamieniami, wreszcie biblioteka zasobna w dzieła nader cenne, wszystko to zostało zabrane przez rzezoną komisję. Wśród zabranych kosztowności i klejnotów znajdowały się przedmioty niepospolitej wartości artystycznej, budzące podziw wśród cudzoziemców, którzy je różnymi czasy oglądali. Napelniono temi kosztownościami kilkadziesiąt skrzyń. Komisya nie zadała sobie nawet łatygi zinwentaryzowania zabranych przedmiotów, które na kilkunastu brykach wywiezione zostały za armią z Nieświeża.

Pozostałą w zamku ruchomość, jako to: staroświeckie meble, makaty, dywany chińskie i tureckie, szpalery, broń i zbroje, kostiumy teatralne i dekoracje, zwierciadła, miedź kuchenną, wszystko, słowem, co pozostało po wybraniu najcenniejszego lub czego niepodobna było zabrać z sobą, wydano na łup żołnierstwa, które tutaj w ciągu 3 dni rabowało i niweczyło, to zaś czego zniszczyć lub zabrać nie mogło, oddano Żydom nieświeskim. Ofiarą rabun-

ku padło i archiwum, znajdujące się pod kierunkiem Kajetana Kwiatkowskiego. Wojsko, szukające wszędzie skarbów, wpadło tutaj i sprawiło straszne spustoszenie. Poszukiwano szczególniej metalowych puszek, w których przechowywano pieczęcie, odrywano je, a same dokumenty niszczone. Wyrzucono całą zawartość archiwum: do fos zamkowych, skąd obozujące pod zamkiem żołdactwo czerpało w ciągu kilku dni materiały opałowy. Wreszcie sami dowódcy postanowili położyć kres temu wandalizmowi i rozkazali niedopalone akta złożyć z powrotem do archiwum.

Ofiarą rabunku padły też okoliczne folwarki radziwiłłowskie. Zabierano tam bydło, konie, wozy, zapasy żywności, niszczone i rujnowano budynki. Po kilkudniowym pobycie ruszyła armia Czyczagowa do Mińska, by przeciąć odwrót dążącego z pod Moskwy Napoleona. Opuszczając Nieśwież, wskutek kategorycznych żądań Burgielskiego, Tuczkw, jeden z głównych sprawców tego zniszczenia, pozostawił lakoniczny, nie mówiący dokument w języku urzędowym, który, jako curiosum, kładziemy w przekładzie dosłownym: „Z woli głównodowodzącego armią zachodnią admirała Czyczagowa wydano niniejsze świadectwo zarządzającemu księcia Radziwiłła, że był zmuszony wskazać głównej władzy miejsce, gdzie przechowywane były rzeczy wspomnianego księcia.“ Na oryginale podpisano: dyżurny generał-major Tuczkw.

Nie był to jeszcze koniec nieszczęść, jakie w tym roku miały spaść na dom radziwiłłowski. W miesiąc potem 3 grudnia zjawił się ponownie w Nieświeżu generał Tuczkw na czele korpusu, którego dowództwo po Ertelu otrzymał. Chciał on na własną rękę spróbować szczęścia i rozpocząć nowe poszukiwanie skarbów, które, jak mówili mu Żydzi nieświescy, znajdują się ukryte jeszcze w innym miejscu w zamku. Kazał więc natychmiast uwięzić Burgielskiego i żądał wskazania kryjówki. Naprawdę trzymany o głodzie i chłodzie murgrabia zapewniał, że wskazał kryjówkę, z której wywieziono skarby, że żadnej innej nie zna. Po kilku dniach podobnego znęcania się, bicia służby w jego obecności, wypuszczono go na wolność. Pod razami plag jeden ze służących wyznał, że w bibliotece za szafami znajduje się ukryte srebro stołowe. Tuczkw natychmiast kazał to zabrać, jak również wszystko, co ocalało jeszcze w zamku po tamtym rabunku. Wydzierano zwierciadła ze ścian, zabrano resztki biblioteki, pościel, firanki, uprząż i powozy, pozostałe w stajniach zamkowych.

W raporcie swoim, przesłanym cesarzowi, niezgodnym zresztą z prawdą, chwalił się Czyczagow, że ukarał ks. Dominika



za obelgi, rzucone przez niego pod adresem armii rosyjskiej, zezwalając wojskom zrewidować jego podziemia, gdzie znaleziono mnóstwo kosztowności, przeszło na milion rubli. Wśród zabranych przedmiotów, jak donosił Czyczagow cesarzowi, znajdują się niektóre wartości muzealnej, proponował zatem złożyć je na przechowanie w Bobrujsku lub innem jakim bezpiecznem miejscu, przedmioty zaś kościelne, znalezione w skarbu, chciał odesłać do cerkwi w Moskwie, a numizmaty do uniwersytetu charkowskiego. <sup>1)</sup>

Dać należy, że ks. Dominika nie było podówczas wcale w kraju i że o żadnem znieważeniu przez niego armii rosyjskiej nie mogło być mowy. Upada też i drugi motyw, wysuwany przez Czyczagowa i jego podkomendnych, którzy usprawiedliwiali swoje postępowanie tem, że rzekomo przywieziono i przechowywano w Nieświeżu 50 wozów ze zdobyczą, zrabowaną w Moskwie. Był to oczywisty fałsz: żadne poszukiwania Tuczkowa w zamku nieświeskim nie wykryły ani jednego przedmiotu, pochodzącego z Moskwy. Jedynym łupem, przywiezionym przez ks. Dominika stamtąd, była stara szabla radziwiłowska, znaleziona w zbrojowni moskiewskiej i ofiarowana mu przez kolegów wojskowych. Raport ten w niekorzystnem świetle wystawia samego admirała, uchodzącego, jeżeli nie za zdolnego wodza, to przynajmniej za człowieka prawego i męża stanu wyższej miary, stwierdza bowiem namacalny udział jego w całej tej niezaszczytnej aferze. W jaki sposób zaś dbał Czyczagow o zabezpieczenie całości tych skarbów, dobrze świadczy ta okoliczność, że komisya wyznaczona przez niego do zbadania zawartości skarbca radziwiłowskiego, zabierając go, nie zinwentaryzowała go nawet, spis zabranych przedmiotów dokonywany był podczas marszu, trudno więc uwierzyć w jego dokładność.

Ten gwałt, dokonany na majątku ks. Dominika, wywołał oburzenie przeciw jego sprawcom, skoro wieść o tem rozeszła się po kraju. Książę nie mógł dochodzić swej krzywdy, postanowił bowiem dzielić losy Wielkiej Armii, pozostawiając dobra swoje na łup konfiskat. W obronie jego mienia wystąpił jedynie Bur-

<sup>1)</sup> Czyczagow do cesarza, Sborn. Istor. Ob. t. VI str. 50. „...A Nesvige j'ai appris que le prince Dominique Radzivil s'est permis toutes sortes de propos indirects, qu'il venait d'envoyer des objets de quelque valeur, qui devaient attester le pillage, qu'ils ont exercés à Moscou. Pour avoir un peu de represaille j'ai permis de fouiller dans quelques unes des caves de sa maison, ou y a trouvé des trésors en fait de perles, de diamans etc...“

gielski, który przesłał Kamińskiemu cały opis tego zajścia, załączając kwit, pozostawiony przez Tuczkowa. Kamiński wystąpił natychmiast ze skargą do gubernatora mińskiego, Dobriańskiego. Sprawa nabrała rozgłosu, doszła do feldmarszałka Kutuzowa, który zażądał przysłania sobie wszystkich dokumentów, dotyczących tej sprawy. Zawiadomiono o tem cesarza Aleksandra i z jego woli wyznaczono komisję śledczą i winnych oddano pod sąd, którego domagało się wielu wojskowych, oburzonych tem zdarzeniem, rzucającem plamę na honor całej armii. Generałowie, pociągnięci do odpowiedzialności, głównie Tuczkow, dawali niejasne odpowiedzi, gmatwali całą sprawę, zrzucali z siebie odpowiedzialność, tłumacząc się tem, że rozkazy były wydane przez Czyczagowa. Przeprowadzone śledztwo ujawniło wiele faktów, kompromitujących generałów Tuczkowa i Teylsa, którzy oskarżali się wzajemnie. Wobec braku jednak świadków, jedynym ze strony poszkodowanej był Burgielski, oraz sprzecznych zeznań, dawanych przez generałów, trudno było wyświecić istotny stan rzeczy i winę każdego z nich. W niemniej dziwnem świetle przedstawiła się działalność komisji, zajmującej się segregowaniem skarbcza. Okazało się bowiem, że wobec niedokładnego inwentarza, spisowanego, jak powiedziano wyżej, podczas marszu, niewiadomo było właściwie, co zostało zabrane z Nieświeża. Skrzynie te, wożone czas pewien za armią, trafiły nawet aż do Bydgoszczy, gdzie zamierzano je sprzedać przez licytację, a wreszcie, po wielu wędrówkach, zostały z rozkazu cesarza Aleksandra odesłane do Petersburga, do ministra skarbu, pod którego opieką miały pozostawać aż do dalszych rozporządzeń. W trakcie tego przerzucania z miejsca na miejsce zatracony został nawet i ten niedokładny spis wywiezionych z Nieświeża przedmiotów, a porucznik Guszczyń, konwojujący te skarby w drodze do Petersburga, nie mógł przedstawić otrzymanego od ministra skarbu pokwitowania.

Częścią tych przedmiotów rozporządził się sam admirał Czyczagow, odsyłając do Moskwy do soboru Uspieńskiego przedmioty charakteru kościelnego, a zbiory numizmatyczne, jak o tem sam donosił cesarzowi, do uniwersytetu charkowskiego. Rzeczywiście w rok potem przysłane zostały do uniwersytetu w Charkowie dwie duże skrzynie, opatrzone numerami porządkowymi 9 i 10, zawierające sporą ilość numizmatów i medali. Numery, umieszczone na skrzyniach, zdawały się wskazywać jednak na to, że było ich daleko więcej i że tylko drobna część cennych numizmatycznych kolekcji Radziwiłłów znalazła tutaj pomieszczenie.



Ze sprawozdania, złożonego przez uniwersytet w dwadzieścia kilka lat później, okazuje się, że w tych skrzyniach było ogółem 13,252 sztuk medali i numizmatów, podług metalów zaś—złotyeh było sztuk 456, srebrnych 11,775, miedzianych 881, cynowych 137, brązowych, ołowianych, kamiennych i drewnianych po 1. Co się stało z resztą numizmatycznych zbiorów — niewiadomo, prawdopodobnie uległy rozproszeniu. <sup>1)</sup>

Ogół strat, poniesionych wówczas przez ks. Dominika w zabranych przedmiotach i zniszczonych folwarkach, obliczano co najmniej na sumę 6,271,763 ruble, w samych zaś kosztownościach i klejnotach zabranych ze skarbcu na 6,000,000 rubli. Strat tych nie było komu dochodzić: akcyja prowadzona była przez Kamińskiego nader opieszale. Ks. Dominik tymczasem nie powrócił na Litwę, nie poszedł za przykładem ks. Eustachego Sanguszki i wielu innych, którzy, ratując mienie, odstąpili przegranej sprawy napoleońskiej, lecz postanowił dzielić los wojska polskiego do ostatka. Mianowany majorem w pułku szwoleżerów, podążył za Napoleonem, przebył ciężką kampanię saską 1813 r., brał udział w morderezych bitwach pod Dreznem i Lipskiem; wreszcie podczas odwrotu dał dowody szalonej odwagi, szarżując ze swoim szwadronem na armaty bawarskie pod Hanau. Tutaj po otrzymaniu w głowę kontuzyi od kuli działowej zmarł nagle, rażony apopleksyą, 11 listopada w Lauterecken na progu Francyi. Pamięć zmarłego towarzysza broni i przyjaciela uczcił generał Wincenty Krasieński legatani na rzecz kościoła w Lauterecken, w którym rok rocznie miała się odprawiać msza za duszę zmarłego księcia.

Rychła, niespodziana śmierć na obczyźnie ks. Dominika wywołała nowe powikłania, które miały zgotować ostateczne rozbić wielkiej fortuny radziwiłowskiej. Po spadek wielomilionowy wyciągnęła chciwe ręce oddawna czyhająca już nań młodsza gałąź domu Radziwiłów, otwarło się pole do nowych intryg i zabiegów, których koleje, niepozbawione szerszego interesu, wymagałyby specjalnego studyum. Lekkomysłna wdowa po ks. Dominiku, pomimo energicznych zabiegów przed Napoleonem wpieryw, a potem przed cesarzem Aleksandrem, nie zdołała uprawnić zrodzonego przed ślubem syna, Aleksandra. Ukazem cesarskim z Chaumont dobra ordynackie zostały oddane młodszemu synowi ks. Michała, ks. Antoniemu, a dobra allodyalne pozostawiono przy

<sup>1)</sup> J. Daniłowicz: O medalach radziwiłowskich i o gabinetach nieświeżka i charkowskim (Petersburg, 1830).

nioletniej ks. Stefanii, jedynej córce ks. Dominika. Ks. Dominikowa, która wkrótce poślubiła hr. Czernyszewa, została odsunięta od opieki nad córką. Opiekunami mianowani zostali: ks. Adam Czartoryski, Wawrzecki, ks. Walenty i Konstanty Radziwiłłowie.

Żadna jednak ze stron, walczących o dziedzictwo radziwiłłowskie, nie miała czasu i ochoty dochodzenia wielkich krzywd, poczynionych w r. 1812 przez generała Tuczkowa. Sprawa ta, niedość energicznie popierana ze strony poszkodowanych, przewlekana w niemożliwy sposób, ponieważ wynik jej musiałby być fatalny dla podsądnych, zajmujących wysokie stanowisko w hierarchii wojskowej, włączona więc po rozmaitych instancjach, oczekiwała się wreszcie ostatecznego rozstrzygnięcia dopiero za panowania cesarza Mikołaja. Zgodnie z wyrokiem polowego audytoryatu, potwierdzonym następnie przez cesarza, uznano generała Tuczkowa za winnego bezprawnego rabunku, dokonanego w zamku nieświeskim w r. 1812, zważywszy jednak długoletnie pozostawanie pod śledztwem i manifest Najmiłościwszy 30 sierpnia 1814 r., postanowiono uwolnić go od wszelkiej odpowiedzialności. Odnówiono zaś wynagrodzenia strat, poniesionych wówczas przez dom radziwiłłowski, wobec braku dowodów i wątpliwości co do należytej ich oceny, w akcji, wytoczonej przez pełnomocnika ks. Dominika. Przedmioty, zabrane z Nieświeża, przechowywane z woli cesarza Aleksandra w ministerjum skarbu, zostały w roku 1826 złożone w Ermitażu petersburskim.

W ostatnich dopiero latach z woli cesarza Mikołaja II przedmioty powyższe w znacznej części zostały zwrócone księżnej Antoniowej Radziwiłłowej. Taki był epilog głośnej sprawy splądrowania zamku nieświeskiego w r. 1812 przez Tuczkowa.

JANUSZ IWASZKIEWICZ.



# APOSTOŁ PIĘKNA

(William Morris).

„A thing of beauty is a joy for ever.“<sup>1)</sup>  
(Keats).

W roku bieżącym obchodzono w Anglii 50-olecie istnienia zakładów przemysłowo-artystycznych „Morris and C-ie“, a jednocześnie uczczono pamięć zmarłego w r. 1896 ich założyciela: Williama Morris'a. Nie była to jednak, jakby się zdawało, uroczystość ściśle kupiecka, tak, jak przedsiębiorstwo „Morris and C-ie“ nie jest kupieckiem, w ścisłym tego słowa znaczeniu.<sup>2)</sup> Doniosłość kulturalną doktryn estetycznych Williama Morris'a stwierdzić można w zadaniach i rozwoju wyżej wspomnianej firmy i we wpływie, jaki program jej miał na rozwój sztuk stosowanych nie tylko w Anglii, lecz i na kontynencie.

Zbliżmy się na chwilę do wzniosłej, przepojonej nawskroś szczytnymi ideałami postaci Williama Morris'a, poznajmy szlachetny program sztuki demokratycznej, sztuki *ludowej* w najgłębszym i najszerszym tego słowa znaczeniu.

„Nie chcę sztuki dla garstki, nie chcę kultury dla niewielkiej liczby ludzi. Sztuka powinna być dla wszystkich, cieszyć oczy każdego. Dopóki nie zrobi się nic takiego, co by przysparzało ludziom radości na widok własnego domu, zarówno jak domu sąsiada, dopóty nie może być mowy o sztuce prawdziwej!“ — mawiał do robotników swych fabryk Morris.

Według niego, kultura artystyczna nie zamyka się w dyletantyzmie i martwym kolekcyonizmie, siedzibą jej nie mogą być

<sup>1)</sup> „Przedmiot piękna jest radością wiekiustą.“

<sup>2)</sup> Istnieje pod powyższą firmą towarzystwo anonimowe w Londynie przy Oxford Street 449, które propaguje nadal zasady estetyczne W. Morris'a.

prywatne zbiory i publiczne muzea — polem jej działalności jest świat cały, zadaniem: uszlachetnić postać ziemi.

Sztuka musi być nieodzowną częścią codziennego życia!—oto zasada działalności idealistycznej człowieka, którego całe życie było jednym płomiennym buntem przeciw brzydocie, propagandą odrodzenia ludzkości na podłożu sztuki. „Sztuka nie będzie się rozwijała, dopóki cały lud nie weźmie w niej udziału!“— woła Morris w jednym ze swych gorących przemówień. A tą sztuką przyszłości, według niego, może być tylko sztuka, którą tworzy człowiek szczęśliwy. Probierzem, iż dzieło jest piękne, to owa radość, którą odczuwamy podczas tworzenia.

Szedł wielki mędrzec i esteta przez życie, głosząc swą pracę radosną, a tam, gdzie przeszedł, wyrastał cudowny kwiat Piękna...

\*

\*

\*

Chociaż właściwym twórcą religii Piękna był Ruskin, Morrisa nie można nazwać plagiatorem. Ruskin mówi: „Zaden z moich uczniów nie będzie Ruskińczykiem. Nie będzie słucał moich rad, wykonywał niewolniczo moich przepisów, ale będzie postępował według nakazów własnej duszy, własnego instynktu.“ W tem rozumieniu Morris był uczniem Ruskina. Nie powtarzał automatycznie teorii estetycznych swego mistrza, ale tworzył sam z siebie swe ideały i programy, szerzył swe apostołstwo estetyczne z gorączką fanatyka Piękna, a głównie, obdarzony zmysłem praktycznym, którego Ruskin nie posiadał, schodził z wyżyn abstraktu i teorii i realizował aspiracje ruskinowskie, zamieniał w czyn to, co przemarzył i o czem kazał Ruskin. Może nie był tak głęboką, ale był bezwątpienia silniejszą od swego mistrza organizacją twórczą. Tam, gdzie ten ostatni poprzestawał na wzniosłych, ekstatycznych dywagacjach artystycznych, gdzie działał tylko przekonywującą siłą swej wymowy i wiary, Morris wniósł *wolę* i *czyn*, wniósł niczem niezastąpioną doniosłość własnego przykładu. W założonych przez siebie fabrykach przemysłu artystycznego stanął sam przy warsztacie i w zetknięciu z robotnikami tworzył nową sztukę nie tylko w słowach, lecz w dziełach własnej ręki, własnej fantazyi. Religia Piękna, choć głoszona gorąco przez Ruskina w uniwersytecie oxfordzkim, pozostała tam bez echa. Uczniowie wychodzili z auli pełni zachwyty dla mistrza,



lecz... nie przekonani. Ruskin, pomimo swych fanatycznych przemówień, nie był nigdy leader'em popularnym, nie był czarodziejem dusz. Oklaskiwano go, lecz nikt za nim nie szedł, był osamotniony i wielki. Morris, myśli i zamiary ruskinowskie siłą swej woli czynnej zrobił żywotnymi, pulsującymi młodą krewią. A zawsze gorzała w jego sercu namiętne serdeczna miłość dla Ruskina, swego duchowego ojca — zawsze powoływał się na jego pierwszeństwo w ważnych odkryciach, które sztukę pchnęły naprzód, które sztukę, drzemiącą w muzeach, kościołach i pracowniach artystów, uczyniły żywą i płodną szerzycielką kultury, krzewicielką zasad o równości wszystkich w obliczu Natury.

\*

\*

\*

Ciekawą jest indywidualność tego syna agenta giełdowego, wychowanego w konserwatywnym uniwersytecie oxfordzkim, który później stał się subtelnym poetą, cudotwórczym rzemieślnikiem i gorącym rzecznikiem idei socjalistycznej. Prawie niesposób, mówiąc o W. Morris'ie, jako artyście, nie mówić o nim, jako o działaczu społecznym i agitatorze. Cała jego działalność artystyczna nie była niczem innym, jak gorącą agitacją w celu przyporzenia ludziom szczęścia, a wiedział, że to się nie stanie bez głębszych przewrotów społecznych.

Zmniejszenie godzin pracy jest, zdaniem Morrisa, koniecznością i z estetycznego punktu widzenia. Robotnik nie może w obrębie fabryki oddać się całym sercem robocie, bo go prześladowają widma nędzy i brzydoty, które czyhają na niego w domu, po powrocie. Nadmierny wysiłek mechanizuje jego pracę. Należałoby, zanim dola materyalna ludu roboczego się poprawi, pamiętać przynajmniej o jednym: by robotnicy mieli sposobność przypatrywać się naturze, żyć z nią w kontakcie, szukać u niej swych wzorów. Wszak nie jest rzeczą niemożliwą do osiągnięcia zakładanie wielkich warsztatów w okolicy malowniczej, zdala od zadymionych murów miasta, które zabijają wszelki polot twórczy. Morris marzył o tem, by „sztuka przyszłości uczyniła zadymione ulice miast fabrycznych: Manchesteru i Leeds, tak pięknymi, jak lasy, a widok ich uczyniła tak wzniosłym, jak widok szczytów górskich.“<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> „Sztuka a piękność ziemi“ („Wiedza i życie“, tom VIII).

Chcąc lepiej podkreślić doniosłość tych aspiracji własnym przykładem, przeniósł swe warsztaty z Londynu do Merton Abbey, w malownicze okolice starej Anglii, w pobliżu ruin starego opactwa.

Nie pozostawił Morris na piśmie żadnego schematu, mającego być podwaliną sztuki przyszłości, żadnych artystycznych dzieściorga przykazań. To co czynił, czynił własnym przykładem, będąc na przemiany w założonych przez siebie warsztatach: malarzem, architektem, rysownikiem, farbiarzem, drukarzem, przechodząc od tapety do witrażu, od haftu do iluminowania. W konferencyach swoich uczył, jak można włożyć piękno w najdrobniejszą rzecz dokoła siebie, jak stwarzać *estetykę codziennego życia*. Przedewszystkiem żądał, by nie czyniono przedziału między „wielką sztuką“ a „małą sztuką“, bo, według niego, artystą jest nie tylko ten, co maluje obrazy, ale i ten, co lepi piękny wazon lub wypala na talerzu piękny rysunek. Nadał szlachectwo każdej ręcznej robocie, a sam, w charakterze zwyczajnego robotnika oświadczył, że robota ręczna jest mu droższą od umysłowej. Dumnym był jednakowo z materii przez siebie wyrabianej, jak ze swoich najpiękniejszych poezyi. W konferencyach powraca często do apoteozy wieku XIII, do tej epoki prawdziwej sztuki, kiedy to rzemieślnicy: szlifierze, mularze, czy to wznosząc katedrę, czy iluminując biblię, czynili pracę swą z miłością, bo wiedzieli, że będzie radością wszystkich oczu i pokrzepieniem wszystkich dusz... Żądał, by robotnikom pozostawiono inicjatywę w twórczej pracy, bo tylko wtedy praca jego będzie radosna, a więc owocna.

Jedno ze swoich płomiennych przemówień w zadymionej fabryce garncarskiej kończy temi słowami: „Domagam się od was, panowie, abyście się uczyli bez przerwy, jak stać się artystami. A czemuż jest artysta, jeśli nie człowiekiem, starającym się o to, aby dzieło jego było znakomitem, albo, wyrażając się dokładniej, czemuż jest piękna dekoracya, jeśli nie wyrazem radości człowieka z tego, że mu się dzieło udało? Celem dekoracyi jest przysporzenie ludziom radości na widok rzeczy, która im jest niezbędną.“

\*

\*

\*



W roku 1861 założył William Morris z kilkoma przyjaciółmi, w rzędzie których byli malarze: Burne-Jones, Madox Brown, Dante Gabriel Rossetti i architekt Webb, słynny dom handlowy pod firmą „Morris and C-je“ i wtedy mogły się spełnić gorące marzenia jego życia, gdyż w przedsiębiorstwie tem zniknął przedział między rzemieślnikiem a artystą. Tam działalność jego rozwinęła się w pełni, tam zostały wskrzeszone złote czasy Renesansu, gdy to wielu artyści pracowali z równą gorączką nad freskiem ku czci Najświętszej Pani, jak nad złotym pucharem dla rozrzuconego magnata, tam zaszczipione zostało w robotnika wysokie poczucie dostojeństwa sztuki, tam nauczono ludzi kochać twórczą pracę.

W prospekcie dom handlowy „Morris and C-je“ zapowiada, że uskutecznią wszystkie działy sztuki, począwszy od malowania ścian, a skończywszy na najdrobniejszym przedmiocie codziennego użytku, że dekoruje nie tylko kościoły i ratusze, ale i mieszkania prywatne. „Cottage“ Morrisa w Upton, dokąd usunął się w swej nienawiści do zadymionych ulic miejskich, artystycznie stylizowany wewnątrz i zewnątrz, był wymownym przykładem tego, co osiągnąć można, służąc pięknu całą duszą.

Morris dobrze zdawał sobie sprawę z rozłamem między pierwiastkiem artystycznym a użytecznym, ale mimo to, przewyciężając wszelkie trudności, skierował cały swój wysiłek do stwarzania przedmiotów nie tylko pięknych, lecz użytecznych. Chodziło mu przedewszystkiem o to, by jego robotnik wierzył, że praca nad sztuką nie jest przedsiębiorstwem kupieckim, ale źródłem radości dla tego, który stwarza dzieło sztuki, zarówno jak dla tego, który je nabędzie i postawi lub zawiesi u siebie. Nie chodziło mu o zysk pieniężny, lecz o piękno. Pojęcia piękna nie należy mieszać z pojęciem bogactwa, lecz dążyć do tego, by przedmioty piękne wyrabiać jaknajtaniej, by je udostępnić dla każdego.

Nauczył swoich robotników, aby nie szli za modą, bo nie „snoby“ stwarzają sztukę, ale prawdziwi artyści. Oni to powinni narzucać tłumowi swe poglądy na piękno i odmawiać stanowczo wykonywania przedmiotów brzydkich.

Rozumiejąc całą utopię swych ideałów, którym kłam zadaje konieczność życiowa: nędza robotnika, zmuszonego dla zarobku wykonać każdy obśtalunek, kończy Morris jedną ze swych mów do robotników temi słowy:

„A chociaż to tylko sen, darujcie mi panowie, żem o nim mówił do was, bo sen ten jest podstawą całej mojej pracy na polu sztuki stosowanej i zawsze go będę nosił w swem sercu.“

\*

\*

\*

Po przeniesieniu warsztatów do Merton Abbey w 1881 r. wyszczególnia w nowym prospekcie firma „Morris and C-ie“, że wyrabia: 1) witraże, 2) dywany, 3) hafty, 4) dachówki malowane, 5) meble, 6) ogólne dekoracje mieszkaniowe, 7) materye drukowane (chinzes), 8) tapety, 9) papiery kolorowe, 10) plusze i sukna meblowe, 11) wszelkie materye. Jak widzimy, program działalności zakładów został znacznie rozszerzony,<sup>1)</sup> a w stosunku do rozwoju przedsiębiorstwa Morris stawał się coraz bardziej wymagającym w wyborze materyału. Żądał, żeby produkty były trwałe i czyste. Np. niezadowolony z farb, których mu dostarczano do witraży, stał się ich własnym dostawcą, pracując kilka lat nad poszukiwaniem silniejszych barw, wskrzeszających przepyszny koloryt mistrzów renesansowych.

W roku 1890 usiłował wskrzesić stary kunszt drukarski, zakładając w Kelmscott własną drukarnię, z której wyszły wszystkie najwytworniejsze wydawnictwa artystyczne. Do swoich druków wyrabiał specjalny papier, naśladujący pergaminy z w. XVI i rysował własnoręcznie wzory liter.

Przedmiot użytku — tłómaczył swym robotnikom — powinien być zawsze przedmiotem sztuki, a materyał, z którego jest wykonany, powinien być w harmonii z jego przeznaczeniem. Kubel do węgla nie może być zrobiony ze złota, a wazon swą formą przypominać lichtarza. Materyały nie powinny nigdy udawać tego, czem nie są: niech papier nie naśladuje drzewa, a drzewo — marmuru. Nieuczciwemby było chcieć, aby jedno uchodziło za drugie.

Wszelki podział pracy zabija sztukę. Robotnik powinien być zainteresowany całością dzieła, powinien umieć jednocześnie

<sup>1)</sup> W broszurze „A brief sketch of the *Morris Movement*“, wydanej z okazji jubileuszu firmy „Morris and C-ie“, znajdujemy wszystkie szczegóły, dotyczące programów estetycznych Morris'a i zadań jego przedsiębiorstwa.



rysować, wypalać, modelować. Chociaż Morris wypowiada wojnę maszynom, nie czyni jednak tego tak radykalnie, jak Ruskin, który żądał stanowczo zastąpienia maszyn pracą ludzkich rąk, innymi słowy, chciał w XIX wieku powrócić do stosunków, które panowały w średniowieczu. Uznawał znaczenie maszyn w przemyśle współczesnym, ale żądał, by nie uważano je za wykonawczynie *każdej* pracy. Przemysł domaga się inicjatywy robotnika, udziału jego myśli w pracy rąk. Chcieć, aby materye, dywany, druki, powtarzały bez końca te same motywy, jest to pragnąc śmierci tych gałęzi przemysłu. Maszyny powinny *ułatwiać* robotnikowi zadanie, ale nigdy nie wykonywać za nich całej pracy. Robotnik powinien być uświadomiony we wszystkich arkanach sztuki, a reforma wychowania szkolnego, któraby uwzględniała ćwiczenia w każdej dziedzinie rzemiosł, poprowadzić musi kiedyś do tego celu.

Radzi robotnikom przyglądać się zblizka naturze, ona to bowiem jest wielką inspiratorką i doradczynią. Ten, co zblizy się do natury z całą prostotą i całą duszą, doświadczy najwyższej nagrody — szczęścia tworzenia, szczęścia na widok ożywiającej się pod palcami materyi. Robotnik nie powinien starać się o to, by tworzyć formy *nowe*, lecz *piękne*.

Formy i wzory przedmiotów niekoniecznie niewolniczo powinny naśladować naturę, ale w chwili tworzenia ręka robotnika, przenikniętego nawskroś podziwem dla piękna ziemi, powinna odruchowo puharom lub nożom, które wyrabia, nadawać tę piękność i naturalność linii, jaką ma brzeg rzeki lub krzemię górski...<sup>1)</sup>

Świat z cegły i cementu nie daje podniet i wzruszeń, i duszy nie wzbogaca. Ale istnieje dla prawdziwego artysty oprócz natury, jeszcze inna, równie ważna inspiratorka — to historia. Do niej zwracać się każe Morris, każe zagłębić się w studyach nad starą sztuką, królującą w muzeach (które inny, współczesny Morris'owi krzewiciel zasad o nowej religii artystycznej, Robert de la Sizeranne, nazywa „więzzeniami sztuki“). Wprowadza w królewskie podwoje British Museum swoich robotników i każe im na przedmiotach przedhistorycznych, zarówno jak renesansowych, uczyć się łączenia piękna z pożytkiem...

\*

\*

\*

<sup>1)</sup> „Nudzieję i troski Sztuki,“ tłum. polskie Edmunda Biedera.

Absurdem, według Morrisa, jest „sztuka dla sztuki.“ Sztuka jego, jak już zaznaczyliśmy, była nawskroś demokratyczną, popularną, ludową. Z przedmiotów Piękną nie powinna korzystać nieliczna tylko garstka estetów i mecenasów sztuki, zadaniem sztuki jest, aby każdy w swoim domu, w swoim otoczeniu znajdował piękno, aby nóż, dzban, witraż i tapeta dawały estetyczne zadowolenie. Hańbą dla bogacza byłoby zawiesić w domu swym przepyszne obrazy i poustawić genialne rzeźby, podczas gdy nokoło niego panuje wszechwładnie nędza i brzydota i hańbą dla dowódcy wojsk byłoby spożywać świetny obiad podczas oblężenia twierdzy, podczas gdy dokoła giną żołnierze od kul i z głodu. Artysta, który tworzy w ciszy swej pracowni, w odcięciu od światła, gdy dokoła wre życie społeczne, spełnia tylko połowę swych obowiązków względem ludzi.

Ilustrując te słowa własnym przykładem, rzuca się Morris w sam wir ruchu społecznego, przemawia na meeting'ach, rozrzuca broszury agitacyjne, uświadamia w obowiązkach obywatelskich zarówno metalurgistów z Birminghamu, jak tkaczy z Manchesteru. A tym artystom, którzyby mogli wyrzucać mu abstrakcyjność rozsiewanych teorii i całą nieproduktywność czynu, zawartego w słowach, odpowiadałby z pewnością, jak twierdzi Jerzy Vidalenc, jeden z jego gorących wielbicieli:

„To prawda, że napisałem o jeden mniej poemat, że narysowałem o jeden mniej szkic do witrażu, niżbym mógł. Ale, przemawiając do tłumu, zyskałem więcej może, niż przypuszczacie, zyskałem to, iż poznałem lepiej życie, poznałem bóle i radości ludzkie, a praca moja mogła na tem tylko skorzystać! Cóż znaczy, że nie napisana została o jedna więcej książka, jeśli ludzie wzbogacili się o jedną myśl i wzruszenie? Zyskałem więcej, zmieszawszy się z życiem moich współbraci, dzieląc ich walki i porażki, niż czynicie to wy, w głębi waszych pracowni. Szlachetna myśl, którą się posiało, szczodre dzieło, które się popiera, są dla artysty owocniejsze, niż obojętność nieproduktywna, w której żyjecie. Sztuka musi odtwarzać życie, a jak możecie to uczynić, jeśli go nie znacie?“

\*

\*

\*



„Nie miejcie w mieszkaniu waszem nic brzydkiego i nic nieużytecznego!“ — woła Morris. I stosuje to zarówno do bogaczy, jak do ludzi uboższych. Według niego każdy *powinien* i *może* dbać o estetykę swego życia, bo w niej leży jego szczęście, siła i pogoda. Z gorącym uniesieniem wymawia bogaczom, jak często nie umieją korzystać ze swych bogactw, twierdząc, iż niezmiernie łatwo zastępuje się dobry gust zbytkiem. Nie dziwi się robotnikom, których zmysł piękna stępiła nadmierna praca, że wracają do domów swych z jedynym pragnieniem snu i wobec tego zachowują się obojętnie względem sztuki, ale dżentelman, który skończył uniwersytet i ma pretensye do kultury, a jednak uważa, iż niema w życiu konieczności otaczania się przedmiotami piękna, jest—barbarzyńcą. Lekceważąc sztukę, tak biedacy, jak bogacze, pozbawiają się dużego udziału w radości życia.

„Jak często spotykamy człowieka kulturalnego, a nawet wyrefinowanego—mówi w swej konferencji w Birmingham w „Towarzystwie artystycznym“ — człowieka, który odbywa podróże do Włoch i do Egiptu, który mówi z całą znajomością przedmiotu o literaturze i sztuce starożytnej i współczesnej, a który bez najmniejszych skrupułów żyje w domu, pozbawionym najzupełniej Piękna, ba, wprost ordynarnym! Nie znam domu bogacza, któryby nie zyskał na tem, gdybyśmy spalili  $\frac{9}{10}$  tego, co się w nim znajduje!“

Zanim jednak polepszoną zostanie dola ludu roboczego i do szerokich mas przenikną zasady piękna, które są zasadami szczęścia, trzeba dać warstwom zamożniejszym wielką lekcję prostoty i dobrego smaku, upiększając dom, w którym mieszkamy, kładąc piękno w najdrobniejszą rzecz, na której spoczywają nasze oczy, lub którą bierzemy do ręki. Nie powinny się w domu naszym znajdować ciężkie, brzydkie kanapy, lichtarze, które nie służą do oświetlania, dzbany, z których się nie pije, obrazy, na które się nie patrzy i książki, do których się nie wraca... Trzeba z domu naszego usunąć cały konwencyonalny komfort, który służy jedynie do przysparzania pracy służącym, a zarobku lekarzom.

Oto czego nauczał ten człowiek o głębokiem, artystycznym sumieniu. Miał on na swej tarczy wypisane słowa Emersona: *the world exists thus to the soul, to satisfy the desire of beauty.*<sup>1)</sup>

ZUZANNA RABSKA.

1) Świat istnieje dla duszy, aby zaspokoić pragnienie piękna.

# POCZĄTKI I CHARAKTER

## kozaczyzny ukraińskiej.

### I.

#### **Kozaczyzna w południowo-wschodniem sąsiedztwie Rzeczypospolitej polskiej.**

Zanim poznamy naszą kozaczyznę w rozmaitych jej formach i przejawach na rozmaitych krańcach Rzpltej, musimy rzucić okiem na jej początki i charakter w najbliższem sąsiedztwie Polski, gdyż niewątpliwie przyszła ona do nas ze Wschodu. Jest rzeczą preto ciekawą, jak się ona tam formowała i jak na nią zapatrywali się sąsiedzi, jakim czynnikiem społecznym i narodowym była w istocie, jakie pierwiastki reprezentowała w dziejach kultury i moralności państwowej. Temat, który zamierzam kilkoma rysami tylko naszkicować, jako wstęp, służący do poznania psychologii kozaczyzny, sam przez się jest tak mało jeszcze opracowany, że wymagałby odrębnego i wyczerpującego traktowania. Mnie zaś chodzi o to jedynie, aby czytelnik, poznający późniejsze dzieje kozaczyzny w państwie polskiem, mógł mieć pojęcie o tej atmosferze dziejowej, w której ona zrodziła się, o jej cechach pierwotnych, zasadniczych, moralnych i społecznych, które czerwoną nicią przewijają się od jej początków aż do rozbitcia Sieczy, przez Kulisza nazwanej „gadzina, pragnącą tylko rozbojów i ruiny.“ Inny pisarz, nowego pokolenia, Hruszewskij, podsuwający kozaczyźnie zarówno teorie socyologiczne, jak i polityczne, socyologii i polityki, będących na usługach państwowych, dostrzegł w niej przede wszystkim jakiś ideał społeczeństwa „bez chłopca i bez pana.“



Jako syn popa, lękał się dodać „i bez popa“, ale późniejsi demokraci ruscy uzupełnili ten ideał. Idąc śladem rozwoju odrębności narodowej Rusinów, widzi on w kozaczyźnie „uzbrojoną gminę staroruskiego okresu (Rurykowiczów), tylko pod nową, tatarską nazwą.“ Późniejsza kozaczyzna (końca XVI i początku XVII w.) już jest, według jego mniemania, „organem socyalnych i narodowych dążeń ruskiego (autor pisze „ukraińskiego“) narodu, a następnie socyalnym protestem przeciw polsko-szlacheckim rządóm.“ Tezy powyższe stają się osią całej pracy o kozaczyźnie owej szkoły kijowskiej, stworzonej przez Włodzimierza Antonowicza, a obecnie kierowanej przez Hruszewskiego.

Wskazaliśmy te tezy rozmyślnie, aby czytelnik, śledząc zarodki, rozwój i charakter kozaczyzny nietylko u nas, przedstawiane bez uprzedzeń nacyonalistycznych lub społeczno-politycznych, mógł tem łatwiej, oceniając czyny tylko, uniknąć dezoryentacyi i nie podsuwać hasel nowożytnych społeczeństwu, będącemu w pierwotnym stopniu rozwoju cywilizacyjnego.

\*

\*

\*

Nazwa kozak spotyka się na południowo-wschodniem, możnaby ogólnie powiedzieć tatarskiem poniziu, wzdłuż pobrzeży krymskich i azowskich, między Dnieprem a Wołgą, już na początku XIV w. Wiadomości te są luźne, przypadkowe, nie zawsze jasne, mimo to jednak dają pojęcie o charakterze tego skupienia, które nosiło nazwę nadzwyczaj zbliżoną do pojęcia, jakim wogóle określano kozaków i kozaczyznę. Z ram życia stepowego, ze wszystkimi cechami społeczeństw, będących w okresie życia koczowniczego i rozbójniczego, wychyla się postać stepowego rabuśnika—odważnego, zuchwałego, ważącego życie swoje dla zdobycia cudzej pracy i mienia i upatrującego pewne bohaterstwo w dzikiej odwadze i w równie dzikiej walce. Jakiś kronikarz nieznany, już na początku XIV w. (1308), zapisuje w Suhdaju (Sudak, Suraz) śmierć młodzieńca Almalczu „od miecza kozaków“—w tym wypadku prawdopodobnie tatarskich.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> *Zapiski Odeskawo istoricz. tow.*, t. V, 613. Odesa 1863. Cytuję według Hruszewskiego—*Istoria Ukrainy-Rusi*, t. VI, Lwów 1909, str. 77. To samo u A. W. Storożenko: *Stefan Batorij i Dnieprowskiye kozaki*, Kijów, 1904, str. 16.

W półtora wieku prawie potem (1449) spotykamy kozaków, tworzących już pewne skupienia, które pozwalają domyślać się organizacyi wojennej, uprawiającej rabownictwo stepowe jako przemysł, jako zatrudnienie, dające środki do życia. Znajdujemy ich na usługach kolonii genueńskich na pobrzeżu krymskiem. Ustawy Soldai, Czembalo (późniejsza Bałakława) i Kafy otaczają ich nawet pewną opieką. Kafińska ustawa z r. 1449 wyraźnie zastrzega (art. 66 § 1): „jeśli się zdarzy, że będzie wzięta jakaś zdobycz na lądzie przez kozaków orguzów, czyli ludzi kafińskich, składająca się z rzeczy, bydła lub wołów, należących do Tatarów lub kogo innego, to postanawiamy i rozkazujemy, aby ani konsul kafiński, ani strażnicy wrotni, ani urzędnicy, ani ktobydź inny, bez względu na swoje stanowisko, — nie mogli i nie mieli prawa odejmować od nich jakiegokolwiek części zdobyczy lub bydła. Przeciwnie, zdobycz taka powinna być uważaną jako własność nienaruszalna i w zupełności należeć powinna do tego, kto ją zdobył lub przejął. Konsul kafiński powinien takich kozaków-orguzów (orguziów) i dobyczników popierać, okazywać im pomoc i życzliwość.“

Konsul lub urzędnicy kafińscy, albo ktokolwiek inny, jeśli by się cokolwiek poważyli odebrać od dobyczników, podlegają karze, wynoszącej podwójną wartość odebranych przedmiotów.

W Soldai i Czembalo kozacy obowiązani byli dzielić się zrabowanymi przedmiotami z gminą miejską i konsulami. „W końcu rozkazujemy, że ponieważ zdarzyć się może, iż w powyższych miastach wziętą będzie lub odebraną zdobycz (ludźmi z tych miast), to postanawiamy i rozkazujemy, ażeby czwarta część zdobyczy, bez względu na jej jakość i przez kogo wzięta u wrogów lub u ludzi nieposłusznych ustawie, oddaną była konsulowi powyższych miast (Soldai i Czembalo), pozostałe zaś trzy ćwierci aby były podzielone między gminę i kozaków.“<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> W tekście tej ustawy użyty jest wyraz *cosachos orgusios*, a jeden z najważniejszych ustępów brzmi w oryginale: *si continget fieri aliquam praedam terrestrem per cosachos orgusios seu homines Caphe tam de rebus, bestiaminibus et bovis Tartarorum quam akorum quorumcumque...* Hruszewskij: *Ist. Ukrainy-Rusi*, t. VII, str. 77 — uważa *cosachos orgusios* za jedną nomenklaturę, A. Storożenko (*Stefan Batorij i Dnieprowskie kozaki*, str. 17) w wylizaniu nazw stosuje interpunkcyę odmienną i pisze *cosachos, orgusios seu homines Caphe*, identyfikuje zatem orguzów nie z kozakami, lecz z *homines Caphe* — z ludźmi kafińskimi. Hruszewskij jest niewątpliwie bliższy prawdy. Profesor Smirnow (*Krimskoje chanstwo pod wier-*



Przedewszystkiem niepodobna nie zwrócić uwagi na pewne podobieństwo podziału zdobyczy takich orguzów między sobą i między władzami, które, jak zobaczymy, mocno przypomina stosunek kozaków do starostów pogranicznych i między sobą. Wzmianka o tem, że kozacy rabowali wrogów i nieposłusznych, że część zrabowanej zdobyczy oddawali gminie, miastu, wskazuje na stosunek zależności, na to, że bywali zwykłymi najemnikami, że otrzymywali może tylko broń lepszą, któraby ułatwiała i obronę i rabunek, a zdobycz stanowiła część ich wynagrodzenia.

Wogóle w pierwszych wzmiankach o kozakach spostrzegamy wydzielanie się z pośród koczowniczej ludności lub niestalonej pod względem miejsca pobytu, pewnych grup, kupek, watah, które bądź na własną rękę żyły rozbojem stepowym lub rabunkiem, albo siłę swoją, zręczność, znajomość stepów wynajmowały innym. Na pograniczu rizańskim już w r. 1444 są kozacy uzbrojeni w „rohatory i szable.“<sup>1)</sup> Jakiej to byli narodowości kozacy? Nie wiemy. Prawdopodobnie Tatarzy, gdyż w tym czasie koczowali oni na stepach ku Krymowi, Donowi i Wołdze. Jaskrawy wypadek takiego tatarskiego kozakowania widzimy z aktu skargi, wniesionej do zarządu Banku św. Jerzego „przez obywateli i kupców kafińskich (cives et mercatores Caffé). Kolonie geneueńskie już były wówczas bardzo osłabione—zbliżyły się ku końcowi swego życia. Tatarzy i Turcy naciskali ich ze wszech stron. W r. 1462 rajcy kafińscy pisywali pokorne listy do Kazimierza Jagiellończyka, ażeby „jedyne chrześcijańskie miasto (Kafę) z dwoma miasteczkami nad morzem Czarnem“—wziął w opiekę i w obronę. Pozwolono im nawet zaciągnąć 500 kiryśników—jak powiada

*chowieństwom Ottomanskoj Porty*, str. 43, 44) utrzymuje, że *orgusius* albo *orgusius* jest wyrazem mongoło-turskim i znaczy rozjemea sporów, sędzia. Jeżeli tak jest, to w jaki sposób do sędziego zastosować to, co ustawa geneueńska pisze o zdobyczy i zdobycznikach? Przypuścićby raczej należało, że *cosachos orgusios* oznaczać mogło tych kozaków, którzy byli na żołdzie władz kafińskich, że jakąś część żołdu pobierali w formie zdobyczy, a obowiązani natomiast byli do pilnowania miast geneueńskich od tatarskich włóczęgów. Wogóle żołd pod formą zdobyczy był najlepszym bodźcem do czujności i pilności. W owym czasie Tatarzy już coraz bliżej napierali na miasta geneueńskie. Do obrony od Tatarów najlepiej było zorganizować oddziały lekkie, zwinne, znające ludność stepową i stepy. Do tego nadawali się różni oczajdusze i szli w służbę kolonii dla rabunku—swoich współbraci.

1) *Nikoron. list.*, III, 62.

Wapowski—którzy wraz z Gahazzo, postem kafińskim, w utarczce z Braclawianami prawie wszyscy wyginęli.

Otóż ze skargi obywateli kafińskich do zarządu Banku św. Jerzego w r. 1474 dowiadujemy się, że włóczące się po stepach watahy (publicos latrones et cosachos) zrabowały karawanę kupców kafińskich, którzy jako wynagrodzenia za to prosili o pozwolenie zagrabienia mienia Moskwicinów, przebywających w Kafie, gdyż podejrzewali, że to moskiewscy kozacy dopuścili się rabunku. Co ważniejsze, ze skargi tej widzimy, że owo kozakowanie w stepach było rzeczą bardzo zwykłą, prawie codzienną i narażało oczywiście kolonie genueńskie na wielkie straty.<sup>1)</sup> Z obrońców rychło stali się napastującymi, przekonawszy się, że więcej zyskują na rabowaniu karawan kupieckich, niż na czabanach tatarskich.

Z dalszej korespondencji urzędu konsularnego w Kafie z Moskwą, a szczególnie z listu W. Ks. Moskiewskiego do Mengli-gireja pokazało się, że rabunku dopuścili się „kozacy carewicza“ „z Tochtamyszowego rodu.“<sup>2)</sup> Byli to zatem kozacy tatarscy, chociaż i „od różnych sąsiadów“ szkody bywały takie same.

Tu się przeto odbywała praktyczna szkoła kozactwa i kozakowania.

Nie chodzi nam o to, jak się kozactwo rozwijało w sąsiednim państwie, prawie na bezpośredniem pograniczu z Rzplłą polską, lecz jaki miało charakter, abyśmy mogli tem łatwiej zrozumieć charakter i psychologię kozaczyzny w granicach Polski.

W sto lat później posiadany już kilka rysów dokładniejszych o kozaczyźnie w Moskwie, nad Donem i Wołgą.

Kozakowanie, jako system najazdów i walki podjazdowej, polegającej na zasadzce, jako sposób do życia z rozboju i rabunku, zrodziwszy się na stepach Azowskich, jakoteż między Donem a Wołgą, wreszcie na Donie i na Woldze, wchłaniało coraz bardziej i coraz więcej w siebie pograniczne żywioły słowiańskie.

<sup>1)</sup> Ciekawy ten dokument wynalazł M. Hruszewskij i częściowo wydał z komentarzem p. t. *Kozaki w 1470-ch r. r.* (*Zapiski nauk. tow. im. Szewczenki*, t. VI, r. 1903). Z dokumentu tego widzimy, że szarpanina stepowa odbywała się ze wszystkich stron... „ob id tantum crevit libido et audacia horum latronum et aliorum convicinorum nostrorum, quod quasi quotidie damna plurima vestris Cafensibus inferunt“ (*Zapiski* l. c., str. 2).

<sup>2)</sup> „Carewicz wielikawo caria rod Tochtamyszew, a ulanow i kniaziej i kozakow u niego umogo. Kak k niemu prijezzajut ludi mnogije na sluzbu, tak i otjezzajut...“ (*Zapiski nauk. tow. im. Szewczenki*, t. VI, 1903, str. 3).



Im dalej odsuwali się Tatarzy ku wybrzeżom morskim, tem częściej miejsce ich zajmowali mieszkańcy lub chrzczeni Turańcy i prowadzili dalej kozackie rzemiosło. Gdy się mnożyć zaczęło hultajstwo stepowe, rząd moskiewski zarządził regularną obronę granic od Tatarów i od kozaków, zarówno stepowych, jak i rzecznych. Nad rzeczką Komyszenką, 200 wiorst od Saratowa, był ostrożek—później powstało tam miasto Komyszyn—w którym stało zawsze załogą 500—700 strzelców od wiosny do jesieni, ażeby niedopuszczać kozaków z nad Wołgi na Don. Od Komyszenki przeciągali oni swoje „strugi“ wołokiem do Howli, potem do Donu i odwrotnie. Ażeby przeszkodzić tym wycieczkom i łączeniu się, strzelcy wyłapywali i zabijali takich „kozaków rabowników.“<sup>1)</sup>

Nad Donem już na początku XVII w. rozpoczęła się kolonizacja kozacka pod przykryciem „ostrożków“, które były pewnego rodzaju zimowiskami obronnymi. Osiedlały tu rodziny kozackie—żony, dzieci, gdy mężowie rabunkiem się bawili.<sup>2)</sup> Moskwa powoli zaczęła zużytkowywać siły kozackie na pożytek państwowy i rabowników przerabiać na żołnierzy, broniących kresów tatarskich, poprostu biorąc na żołd stały ochotników kozackich. Tworzyli oni kategorię na podobieństwo naszych rejestrowych. Wytwarzały się zatem już w pierwszej połowie XVII w. bardzo wybitne dwie grupy kozaków „służbowych“ i „kozaków-rabowników“ (worowskije kozaki). Pierwsza kategoria pobierała żołd w Moskwie, bywało ich do 600 na Donie. Co kwartał lub co cztery miesiące (tret') wysyłali oni posłańców swoich, po 20 i po 30 razem, zapewne dla informowania rządu i wzajemnej informacyi, a Moskwa obdarowywała takich posłańców suknem, sobolami, ałtasem i t. p., a zwyczajni kozacy pobierali co 5-ty rok sukno.<sup>3)</sup>

<sup>1)</sup> „Kamyszenkoju chodiat na Don, a chodu Kamyszenkoju riekoku tri wiersty w stiep', a tam wołoku dwadcať wiorst kozaki strugi wołoczat. A tam riekka Ila(ò)ula potiekła w stiep i wypala w Don. Tudie chodiat kozaki na Wołgu, a strielecy stojat dla worowskich kozakow i ich imajut i ich pobiwajut.“ (*Izwiestija otdielenia russkawo jazyka i słowiesnosti*, Imperat. Akad. Nauk, t. XII, zeszyt I. Petersburg 1907, str. 71. Patr.: *Chożdienije na Wostok F. A. Kotowa* w pierwszej czetwierti XVII w. (1619).

<sup>2)</sup> „A po Donu gorodki wsio kazaczije i po tiem gorodkam žiwut kozaki z żonami i z diet'mi i wniż po Donu i do Azowu...“ (*Izwiestija otdiel. rusk. jaz. i słow.*, Imperat. Akad. Nauk, t. XII, zeszyt I, Petersburg 1907, str. 72. *Chożdienije na Wostok F. Kotowa.*)

<sup>3)</sup> Grigorij Kotoszichin: *O Rossii w carstwowanije Aleks. Michajłowicza*. Wyd. IV. Petersburg 1906, str. 74. „Du kuk prijezżajut z Donu donskije ko-

Kozacy tedy na Donie występują tak samo, jak później w Rzpltej polskiej: z początku jako rabownicy stepowi na własną rękę, a później jako najemnicy dla obrony granic W. Ks. Moskiewskiego, uprawiający równocześnie rzemiosło zbójeckie i rabownicze, jako środek do życia. Stanowisko to kozaków dońskich wyjaśnia nam Kotoszychin, doskonały znawca stosunków moskiewskich, jako podjazcy Poselskiego Prikazu. Przedstawia on nam kozaczyznę dońską w okresie już zorganizowanym, w tej samej prawie epoce, kiedy Rzplta walczyć z nią musiała nad Dnieprem, dlatego też to, co pisze Kotoszychin, stosować się może i do naszej kozaczyzny, do jej organizacyi, składu, charakteru i przymiotów moralnych.

Rząd W. Ks. Moskiewskiego używał kozaków dońskich dla „przemysłu wojennego,“ posyłał na podjazdy, na przespiegi, na zdobywanie języków nieprzyjacielskich, a ci służyli na żołdzie, „jak inni kozacy.“ Obowiązkiem ich było pilnowanie, ażeby na miasta, leżące na Poniziu (ponizowyje goroda), nie napadali Tatarzy, Turcy, Nogajcy i Kałnyki. Kozacy ci stanowili najrozmaitszą zbieraninę. Oprócz przeróżnych zbiegów z Moskwy i innych miast, spotykało się tu nowochrzczonych Tatarów, kozaków z nad Dniepru, Polaków; spotkać także można było bojarów moskiewskich, kupców, włościan. Wielu z nich było sądzonych za rozboje, kradzieże i inne występki. Kto tylko poczuwał się do jakiejś winy i odpowiedzialności, uciekał na Don, a tam, gdyby tylko tydzień przesiedział, wolny był od wszelkiej odpowiedzialności—mógł bezpiecznie wracać do domu, żadna go kara już nie czekała. „Don od wszelkiej zbrodni uwalnia“ — zapisuje charakterystycznie Kotoszychin.<sup>1)</sup>

zaki dla wsiakich dzieł po czelowiek 20 i po 30 wo wsiakom godie po trizdy i po czetyrzyżydy i im dajutsia sukna i soboli, i otlasy, i kamki, i tafty za ich służbu, po razsmotrieniju. Ta s nim że na Don wsiem kozakam posyłjutsia na platje sukna w piutyj god. A budiet tiech kozakow na Donu, dla ostiereganiju granicy blisko 600 czelowiek.“

<sup>1)</sup> „A ludi oni porodoju Moskwiezi (z W. Ks. Moskiewskiego) i innych gorodow i nowokreszczonyje Tatarowju, i zaporożskije kozaki, i Polaki, i Lachi, i mnogije iz nich moskowskich bojar, i torgowyje ludie, i krestjanie, kotoryje prigoworeny byli k kazni w razbojnych, w tatinych (złodziejskich, tat' = złodziej) i w inych diełach i pokradezi i pograbria bojar swoich, uchodiat na Don; i byw na Donu chotia odnu niedielu ili miesiac, a sluczitsia im s cziem nibud' prijeczat' k Moskwie i do nich wpieriod dieła nikakowo ni w cziem nie bywajet nikomu, kto czto ni sworował, potomu czto Donom ot wsiakich bied oswobożdajetsia“ (Kotoszichin: *O Rossii*, str. 135).



Dowiadujemy się także o organizacyi kozackiej na Donie. Owa, jak widzieliśmy, różnorodna zbieranina, mianująca się kozakami, łączyła się wprawdzie ze sobą wspólnym celem i charakterem życia, ale ażeby tworzyć zwartą organizację, musiała wytworzyć jakieś prawa zwyczajowe, któreby spajały ze sobą tę przypadkową gromadę, nadawały jej dyscyplinę i jednolitość wojskową. Prawa te wytwarzały się powoli, z czasem, a zanim się stały późniejszą źrenicą „wolności kozackich“ musiały genezą swoją sięgać pierwszych zarodków kozaczyzny tatarskiej, od której niewątpliwie pierwsze zasady organizacyi przejęła (asa-wuła).

Otóż kozacy dońscy mieli—jak się wyraża pisarz współczesny — „swoją wolę,“ sami pośród siebie wybierali zwierzchników (atamanów) i własny sąd mieli. Sąd i kara były bardzo surowe, bo inaczej nie dałoby się pomyśleć utrzymanie w spójności i posłuszeństwie tak różnorodnej zbieraniny. Ci, którzy za rozboje i rabunki przed karą uciekali na Don, za złodziejstwa między sobą karani byli śmiercią. Winowajcę ustawiano na polu i z łuków lub broni palnej rozstrzeliwano go. Sądem własnym sądzili się wtedy nawet, gdy przyjeżdżali do Moskwy—prawom miejscowym nie podlegali wcale.

Służba kozaków dońskich okazywała się dla Moskwy nadzwyczaj pożyteczną. „Gdyby oni—mówi pisarz współczesny—służyć i posłusznymi być nie chcieli, Car moskiewski nie w stanie byłby utrzymać za sobą ani carstwa kazańskiego, ani astrachańskiego. Byle jakim żołdem trzymał ich Car przy sobie, posyłając im swoje „żałowanie nie wiele i nie zawsze.“ „Żywili się ci kozacy przemysłem wojennym od ludzi turskich, łudem i wodą, od ludzi perskich, i od Tatarów, i od Kałmyków. A co zdobędą przemysłem wojennym, tem dzielą się równo pomiędzy sobą. Dla podtrzymania ich posyła się im mąka (chlebnoje żałowańje) z Kazania i Astrachania, a niektórzy sami na swoje wyżywienie pracują.“<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> „I dana im na Donu żit' wola swoja i naczalnych ludiej iz siebia atamanow i inych izbirajut i sudnitsin wo wsiakich diełach po swojej wole, a nie po carskom ukazu. A koho łuczitsia im kazniti za worowstwo ili za inyje dieła, ili nie za kripkaju służbu z tiech ludiej, posadia na płoszczadi ili na pole, iz łukow ili iz piszczalej razstrielajut sami.“ „A posyłajetsia k nim na Don carskoje żałowańje dieńieżnoje nie gorazdu po mnogu i nie wsiehdu. A dobywajutsia tie kozaki na Donu na wsiakich wojskich promysłach, od turskich ludiej gorozu i wodozu, także i od persickich ludiej, i od Tatar, i od Kałmykow; i czto kto gdzie na wojskom promysłu nie dobudut, diełat wso

Z tych krótkich wzmianek ludzi współczesnych o kozaczyźnie nad Donem, a przedtem o tatarskiej, widzimy, że zanim rozwinęło się życie kozackie na poniziu dniewrowem, istniał już Niż tatarski, a później moskiewski, nad Donem i nad Wołgą, na stepach ku Azowskiemu morzu i ku Krymowi. Kozaczyzna ta nie była nigdy organizmem jednolitym pod względem etnograficznym, nie wydzielala się z masy ludowej, nie miała aspiracji narodowych, społecznych i państwowych, była natomiast niezaprzeczenie zbiorowiskiem ludzi najgorszego gatunku (latrones). Z czasem nad-dońska i nad-wołżańska kozaczyzna, odparwszy najdalej Turków, Tatarów i Kałmyków, sama zajmowała ich miejsce, kolonizując stepy, a mieszając się z ludnością słowiańską, wsiąkała w państwo moskiewskie, stając się w niem czynnikiem pożytecznym. Przeszedłszy natomiast jako czynnik wojenny z nad Wołgi i Donu nad Dniepr i dalej, znalazłszy odmienne warunki państwowe o typie zachodnio-europejskim, weszła w kolizję z ustrojem państwowym Rzpltej polskiej. Półtorawiekowa walka tej kozaczyzny z Polską nie wykazała u wodzów kozackich żadnych zdolności politycznych i organizacyjnych, a pierwiastek swawoli, tkwiący w jej zarodku, powołał przeciw niej siły zbrojne, zarówno Polski—z początku—jak i Moskwy—później. Walka z anarchią kozacką zakończyła się fatalnie i nieszczęśliwie, zarówno dla kozaczyzny, jak i dla ludności ruskiej, której się narzucała jako obroicielka interesów politycznych, społecznych, religijnych, a według najnowszych historyków Rusi, narodowych.

Obaczmy teraz, jak się rodziła, wzmacniała i kształtowała kozaczyzna w innem sąsiednim państwie — Rzpltej polskiej na wielkiem poniziu czarnomorskiem.

## II.

### Kozaczyzna na południo-zachodzie Rzpltej polskiej.

Próba rozwikłania zagadki pochodzenia kozaków i kozaczyzny. Widzieliśmy kozaków i kozaczyznę na południowym wschodzie azowskiego ponizia i poznaliśmy głównejsze

niez soboju po czastiam, chotia kto i nie byl. Da k nim-že donskim kozakam iz Kazani i iz Astrachani posyłajetsia chlebnoje żałowanije, cziem im mocno sytym byt'; a inyje sami na siebia promyszłajut'" (Kotoszichin: *Rossia* et. str. 135).



jej cechy. Niezbędnem to było dla poznania jedności tego zjawiska dziejowego, które, jako kozaczyzna, odegrało rolę pierwiastku anarchicznego w dziejach dwóch potężnych państw północnego wschodu—Rosyi i Polski. Pokonana w Rosyi, przyczyniła się do wzrostu jej potęgi, otworzyła drogę na południe, a zużytkowana wszędzie jako siła militarna, okazała ogromne usługi państwu. Mocą despotyzmu jedynie wprowadzoną została w karby jako czynnik państwowy. Rzplta polska, posiadająca ustrój konstytucyjny, wobec ekscesów kozaczyzny okazywała się zawsze słabą, a powodując się ideą konstytucjonalizmu szlacheckiego, pragnęła ją wcielić w swój organizm na podstawie równości politycznej. Niezdawano sobie jednak sprawy z różnic kulturalnych, etnicznych, religijnych wreszcie i z braku umiarkowanych i rozumnych wodzów w społeczeństwie kozackiem. Wszystko to razem wytwarzało przedział niemożliwy do wyrównania. Wiekowa walka obie strony osłabiła i obie doprowadziła do upadku. Ta sama siła, która się stała pożyteczną w Moskwie pod despotyczną i samowładną ręką, okazała się rozkładową w Polsce pod wpływem konstytucyjnej państwowości Rzpltej, doprowadziwszy z czasem ideę anarchizmu indywidualistycznego do pojęcia niemal ideału narodowego.

Czem-że w istocie była owa kozaczyzna w Rzpltej? Jaka jej geneza?

Nie można dać na to pytanie zupełnie zadowolniającej odpowiedzi. Da się ona wysnuć poniekąd z faktów, z objawów, z życia tej grupy ludności, którą nazywano kozakami. Dotychczasowa całość badań na tem polu da się ująć w dwie hipotezy o pochodzeniu kozaczyzny: tiurkską i staroruską. Każda z nich posiada jeszcze liczne odgałęzienia.

Ażeby sobie wyrobić pogląd na kozaczyznę, zbliżony do prawdy, musimy te hipotezy rozpatrzyć w wybitniejszych jej przedstawicielach, ukazując bądź na ich jednostronność, bądź na chęć nadania temu zjawisku cech społecznych, społeczno-politycznych, a w końcu narodowych, nie posiadających wszakże żadnego związku z historyczną kozaczyzną.

Hipoteza tiurkaska. Nazwa kozak, stąd kozakowanie, jako pewien sposób wojowania i kozaczyzna w okresie największego rozwoju militarne go, jako już pewna warstwa społeczna — jest pochodzenia tiurkaskiego.<sup>1)</sup> Znacomity badacz południo-

<sup>1)</sup> Nazwa kozaków znaną już była Długoszowi. „Frequens—pisal—Tartarorum exercitus ex fugitivis, praedonibus et exulibus, quos sua lingua k o s apellant.

wego pobraża dzisiejszej Rosyi, Jan Potocki, wywodził pochodzenie kozaków od kraju, leżącego nad brzegiem morza Azowskiego za czasów Konstantyna Porfirorodnego, a zwanego Kasakia. W kilkadziesiąt lat po zapisaniu tej wiadomości przez Konstantyna, Mściśław Włodzimierzowicz zawładnął Kasakią, zwyciężywszy mieszkańców jej Kassogów — stąd miała pochodzić nazwa kozaków.<sup>1)</sup> Stosunki Rusi kijowskiej z Tmutarakiem (część Kaukazu) istniały prawie od połowy XI w., przez sto lat przeszło bardzo ożywione: książęta ruscy albo tam uciekali, chroniąc się w walkach wzajemnych ze sobą, albo stamtąd czerpali siły do nowej walki.<sup>2)</sup> Niepodobna przeto, ażeby tak ścisłe i częste stosunki nie pozostawały bez wpływu na pierwotne kształtowanie się warunków życia wojskowego. Wpływ ten musiał się zwiększać skutkiem sąsiedztwa jeszcze bliższego rozmaitych Turańców, które wytwarzając tuż o miedzę ognisko ciągłej walki wzajemnej, odsuwało ich od Tmutarakanii<sup>3)</sup> ku Donowi i Dnieprowi, a równocześnie

1) „Au tems de l'Empereur Constantin Porphyrogénète il y avait sur la mer Azoph deux Principautés, dont l'une s'appelait Kasakia et l'autre Alania, qui est Ascipurgiun. Un demi siècle après Mstislav, fils de Volodimir, vient à la tête des Slaves, passe dans l'isle de Taman, combat le Prince de Jass et des Kassogs, et s'empare de son pays. Mstislav, ayant vaincu le Prince de Kassogs, et s'étant emparé de la Kasakia, ses sujets slaves deviennent les k a s a k s“ (*Histoire primitive des peuples de la Russie*, 188). Jest to wniosek logiczny, posiadający pewne prawdopodobieństwo, zważywszy, że w tych miejscowościach najwcześniej spotykamy nazwę kozaków — jak widzieliśmy — między Tatarami. Koczownicy tych krajów, posuwając się na zachód, już pomieszani z innymi pokrewnymi tureckimi plemionami, mogli tę nazwę przeszczerpić późniejszym Turańcom, poprzednikom Tatarów, a wiemy jaka mozaika etnograficzna istniała na stepach czarnomorskich. Jeżeli wyraz k o z a k ma oznaczać, jak obaczymy r o z b ó j n i k a, r a b o w n i k a, to nazwa K a s a k i a oznaczałaby krainę, kraj przez rabowników zamieszkały.

2) Lata 1060, 1064, 1065, 1068, 1077, 1078, 1079, 1080, 1081, 1084, 1093, 1095, 1103 (Kronika Nestora, wydanie Bielowskiego).

3) W walce z Rusią kijowską Połowców występuje u tych ostatnich kategoria wojowników, działających niejako na własną rękę. Kiedy w 1003 r. Połowcy sposobili się do wojny z Rusią, a książę Urusoba radził zawrzeć z nimi pokój, „riesza (Bielowski przełożył: „i rzekli“, należałoby raczej powiedzieć: postanowili, zgodzili się na to, zdecydowali się) o u n s z y i (młodszy) Urusobie: aszeze ty boiszisia Rusi, no my sia nie boim“ (*Kronika Nestora*, 811). „Młodszą drużynę“ widzimy także u książąt ruskich. Wasylko mówił do brati Wołodara i Dawida, pragnąc iść na Berendejów, Pieczyngów i Torków: „dajta mi drużynę swoję młodszuju, a sama pijta i weselitysia“ (*Kronika Nestora*, r. 1097, str. 798). Otóż w tej „drużynie młodszej“, w tych



owi Turańcy stawali się mistrzami w organizowaniu wypraw rabunkowych (karawany) lądem. Dotychczas dla Rusi kijowskiej znana była jedynie droga wodna do Bizancyum. Jak Turańcy rabowali karawany kupieckie, taki proceder prowadzili później książęta ruscy przy pomocy „młodszej drużyny.“<sup>1)</sup>

Engel, rozpatrując wszystkie opinie, dotyczące pochodzenia kozaków aż do chwili wydania swego dzieła (1796 r.), zwrócił uwagę za Mullerem—prac Potockiego nie znał—na pokrewieństwo nazwy Kasachia z nazwą kozaków, jakoteż na to, że jeszcze ku końcowi XVIII w. istniała nad Jaikiem Orda kozacka,<sup>2)</sup>

„młodszych“ wojownikach połowieckich można upatrywać prototyp późniejszych kozackich watah, działających na własną rękę, często samowolnie.

<sup>1)</sup> W r. 1084. „Dawyd zaja greczniki w Oleszi i zaja ot nich imienije“ (*Kron. Nestora*, str. 754). Są to analogie, zbliżenia. Nazwy kozaków jeszcze niema, ale są już ludzie i czyny o charakterze kozackim, owi „latrones“ kufińskich dokumentów, „brodniki“, „dobycznicy stepowi“, owi oczajdusze, którzy idą „w młodieczestwo“ na Don już XV w. Pieczyngowie zajmowali ogromny obszar kraju, prawie całą dzisiejszą Ruś południową, prawie cały obszar, objęty późniejszą kozaczyzną ukraińską, względnie polską. „Ils occupoient alors (ok. 900 r. po Chr.) le nord de la Moldavie, tout le palatinat de Bratzlaw, le-midi de la Kiovie polonoise et de la Kiovie Russe, de la province d'Ekaterinslaw, toute la Nouvelle Servie, la Bessarabie et le Iédissan Province Tartare située entre le Bog et le Dniestér“ (J. Potocki: *Essay sur l'histoire univ. et recherches sur celle de la Sarmatie*, MDCCLXXXIX à Varsovie, w drukarni wolney, na papierze krajowym, str. 137). Potocki wskazuje jeszcze inne zbliżenie, pozwalające domyślać się pochodzenia nazwy kozaków od plemion turek. „Le nous d'Étel-kusu — powiada — avoit jusqu'a présent fort embarrassé les savants. Pour moi il me semble être une nouvelle preuve que la langue des Patzinaces (Pieczyngów, może i Połowców) étoit un dialecte tartare et que ces peuples qui venoit de l'Étel ou Volga, arrivants au Danube l'appelerent le petit Volga, car petit ce dit en tartare kuzugh, en turekutschuk (*Essay sur l'histoire univ.*, str. 183). W jakim stosunku stać może nazwa kuzugh do kozaków—to w znacznej mierze objaśnić może lingwistyka porównawcza. Nie od rzeczy będzie przytoczyć znakomitą charakterystykę narodów półn. (w stosunku do Bizancyum) Konstantyna Porfirog. „Ils demendent tout, attendent tout et leurs desirs ne sont bornés par rien, mais au contraire ils exigent les plus fortes recompenses en échanges des plus petits services“ (L. c., str. 161).

<sup>2)</sup> (*Geschichte der Ukraine i d. Cosaken*, 1796. Halle, str. 54 cytuje Mullera: *Sammlung Russ. Gesch.*, t. III, 384 i Pleszczewewa: *Obozrienija Rosijskoj imperii*, Petersburg 1787 s. r. Gouvernement Upla.

wreszcie stwierdza stanowczo, że nazwa kozak jest turecką i tatarską. <sup>1)</sup>

J. Sękowski łączy także nazwę kozak z pochodzeniem tiurkiskiem. „Wyraz ten — powiada — w perskim i tureckim językach łotra ma oznaczać. <sup>2)</sup> Naród Kirgiz, od nas Kirgizami zwany, który się rozciąga na obszernej przestrzeni pustyń od granic Kaszgeru do północnych pobrzeży morza Kaspijskiego, dzieli się szczególnie na trzy części: wielką, średnią i małą hordy.

Z dwóch głównych pokoleń, pierwsze, „wielką hordą“ zwane, zajmuje część pustyń ponad Wielką Bucharyą, około Turkies-tanu i północno-zachodniej krawędzi państwa Chińskiego, nosi wyłącznie imię Kirgizów. Drugie zaś plemię, na średnią i małą hordy rozdzielone, imię kozak uważa za narodowe i sobie tylko właściwe, które Rosyanie, dzisiejsi tego pokolenia zwierchnicy, na wyraz kajsak albo Kirgiz-kajsak przetworzyli. Pisarze wschodni, mianowicie Persowie i Bucharczycy, dają niekiedy i Wielkiej Hordzie nazwę kozaków; niekiedy zaś wszystkie trzy pod ogólnem Kirgizów zamykają imieniem. Rozboje i zagony tych koczujących pokoleń tak je straszne i sławne uczyniły w środkowej Azji, jak krymskich i nogajskich Tatarów napady na polskie i ruskie krainy. Lecz jako ci Kirgizy albo raczej kazaki wycieczki swe zawsze konno wyprawiać zwykli i równie żwawo rabować jak uciekać z pochwyconym łupem, tak też imię kozak, napełniające strachem mieszkańca Chiwy czyli Charczmu, Bucharyi, Kaszgeru, pogranicznych rosyjskich posiadłości (na początku XIX w.) i w ogólności wszystkie karawany, ciągnące po drogach handlowych środkowej Azji, oddawna już zaczęto dawać w tych stronach Wschodu wszelkim gromadom konnych rabusiów. Sława tych plądrowniczych wypraw kirgizkich kozaków i bojaźń, jaką ich spotkanie rodziło, były powodem, iż wkrótce różne rozbójnicze kupy innych nawet pokoleń, gdy się na zagony (u nich akyn albo agyn zwane) puszczały, uważać zaczęły imię kazaków za chlubne i bohaterskie u rabusiów. <sup>3)</sup>“

<sup>1)</sup> „Man schlage Meninski's bekanntes Wörterbuch nach und man wird finden, das kazak einem Räuber bedeuete“ (Engel: *Gesch. d. Ukrain. Kosaken*, str. 56.

<sup>2)</sup> Stąd może u władz kafińskich, stykających się zbyt często z plemionami tiurkiskimi i znających ich języki, dosłowny przekład tego wyrazu — latrones.

<sup>3)</sup> J. J. Sękowski: *Collectanea z dziejopisów tureckich, rzeczy do historii polskiej służących*. T. I. Warszawa 1824, str. 220. Ażeby uzupełnić po-



Zatrzymaliśmy się dłużej nad uwagami Sękowskiego o turek-skiem pochodzeniu nazwy kozaków, gdyż uwagi te przyczyniły się w znacznej mierze do utrwalenia hipotezy tureckiej.

Poparł hipotezę turecką powagą swoją Karamzin. „Nazwa kozaków — utrzymywał on — znaną już była przed najściem Batoryjowem i prawdopodobnie pochodzi od Turków i Berendejów, którzy nad brzegami Dniepru, poniżej Kijowa, mieszkali. Tam też spotykamy najprzód i ukraińskich (małorosyjskich) kozaków.“ „Wspomnieć także należy Kosogów, zamieszkałych między Czarnem a Kaspijskiem morzem i wzmiankowany w tem miejscu przez Konstantyna Porf. kraj zwany Kazachią. Dodać nadto trzeba, że Osetyńcy dotychczas jeszcze Czerkiesów nazywają kaza chami, a Turkowie i Berendeje, niechcąc się upokorzyć ani przed Mongołami, ani przed Litwą, jako wolni ludzie, zamieszkiwali ostrowy dniewprowe, najeżone skałami, otoczone gęstemi zaroślami trzciny i błotami.“

Rusko-rosyjscy kronikarze i pisarze przychylali się także do hipotezy tureckiego pochodzenia kozaków, starając się ją jednak zesławianizować, a równocześnie związać z dalszą przeszłością.

jęcie nazwy kozaków, pozwolę sobie przytoczyć jeszcze niektóre ustępy z tego dzieła. „Wyraz *uygur* oznacza dziś (początek XIX w.) u Mongołów wszystkie zbrojne bandy jeźdźców, pędzących na zagony (na rabunek) i ma też samo użycie, co wyraz *kazak* w środkowej i zachodnich stronach północnej Azji. Inne nawet włóczędzów kupy, gdy się konno wyprawiają na rabunek, przybierają tam imię *Ujgurów*, znamenite w płądrowniczym rzemiośle. Tym więc sposobem imię *kazak* nabyło w Azji wziętości i sławy tak dalece, że w Hindustanie nawet wyraz *kazak* oznacza konnych rozbójników (the mounted robbers;“ Soohrab, by James Atkinson, Calcutta, 1814, p 7).

Pierwsze włóczęgi, zbiegłe z krajów ruskich, które związały się w kupy wojenno-rozbójnicze na błoniach, zawartych między Wołgą a Donem, zaczęły się bawić tem rzemiosłem pod imieniem *kazaków*, jako dającym im prawo do rabunku i zagonów, chlubnem dla łotrów, sławą nabytem w tym zawodzie przez kirgiskie pokolenia i dawanem poposcielie w onych stronach ludziom podobnego sposobu życia. Naśladowcy ich, którzy się wkrótce potem zjawili nad Dnieprem, przybrali też imię, uświetnione już nad Donem wprawnością do łupiestwa tamecznych *kazaków* słowiańskich, a wyraz *kozak* jest tylko jego zepsuciem, zrodzonym w ustach Słowian, u których samogłoski *a* i *o* albo się jednostajnie wymawiają, jak u Rosyan, albo jak u Polaków, ustawicznie się jedne zamieniają na drugie. Rosyanie, chociaż piszą *kozak*, wymawiają *kazak*“ (ibid. str. 223, 224). Czy wyraz *uygur* niema związku z kozakami *orguzami* (orgusios) kolonii geneueńskich?

Samowidiec bardzo ogólnikowo powiada, że ci, którzy „rozbiłali busurmanów na morzu, nazywali się kozakami od imienia dawnych Kozarów, rodu ruskiego, którzy jeszcze przy Kahanie byli.“<sup>1)</sup> Bałanutna ta stylizacya, ze względu na pokrewieństwo Kozarów, mimo wszystko, uznaje pokrewieństwo pochodzenia kozaków od Kozarów, przenosi wszakże zdarzenia z czasów kozackich XVII w. w niedającą się określić przeszłość i wysuwa socyalne przyczyny tworzenia się kozaczyzny.<sup>2)</sup> Grabianka, najbardziej fantastyczny kronikarz ruski, sięgnął aż do „Jafeta, syna Homerowego,“ ażeby krótko powiedzieć, że „kozacy pochodzili od Kozarów, należących do dawnego scytyjskiego rodu.“ Idąc śladem Woskreseńskiego latopisu, który, zdaje się, i Karamzinowi za podstawę do wnioszkowania służył,<sup>3)</sup> poszli nowi historycy rosyjscy, którzy dziejami kozaczyzny zajmowali się, wyłożył także swoją „opinię“ Bantysz Kamenski, identyfikując całą kozaczyznę z Zaporozem i kozakami zaporoskimi. „Zaporozcy — powiada — przesiedlili się nad Dniepr z Kaukazu, gdzie obecnie mieszkają Czerkiesi, naród wojowniczy, ćwiczący się w rozbojach. Wspólne nazwisko, wspólny obyczaj, wspólna skłonność do najazdów rabunkowych, potwierdzają ten domysł. Albo zostali oni wygnani z własnej ojczyzny skutkiem wzajemnej walki, tak zwykłej u narodów azyatyckich, albo pustosząc sąsiednie ziemie, wybrali sobie nową siedzibę nad wspaniałym Dnieprem, w miejscowościach równie dzikich, ale bardzo dogodnych dla nieoczekiwanych najazdów. Prowadząc życie żołnierskie, przyjmowali oni do towarzystwa swego różnych włóczęgów, a sąsiadując z południową Rosyą, liczbę swoją zwiększali naszymi ludźmi.“ Owych „naszych ludzi“ nie określa jednak autor ani pod względem etnograficznym, ani państwowym, ani nawet geograficznym. „Z czasem — powiada dalej — owi rdzenni przychodnie znikli, ale towarzysze ich, zatrzymując nazwę Czerkasów, swój język ojczysty i wiarę ojców, którą także Czerkiesi wyznawali, staczając bezu-

1) *Lietopiś Samowidca o wojnach B. Chmielnickoho etc.* Moskwa 1846, str. 2/1.

2) „Po dowolnom że wremieni władiejuszczija Kijewom i Małoju Rossijeju usowietowali w rabotie i poddanstwie ludiej małorosijskich ukraïnskich dierzat. No kotoryi nie preobykli niewolniczej służbie, obrali siebie miesto pustoje około Dniepra, niżo porohow dniewrowskich na żitło, gdje w dikich polach uprażniajasia zwierynymi łowlami, także i rybnyimi, pritom i busurman na morie razbiwali...“ (*Lietop. Samowidca*, 2/1).

3) „Czornyje Kłobuki, jeże zowutsia Cz e r k a s y“ (I, 56).



stanne walki z Tatarami, wykradając im żony i córki, zostawili potomkom swoim azyatyckie rysy twarzy, którymi się odznaczają zaporoscy. ) Karamzin utrzymuje, że Turkowie i Berendeje zwabiali do siebie wielu Rosyan — nie można tej nomenklatury brać w znaczeniu XIX w.—od ucisku, zmieszali się z nimi i pod imieniem kozaków utworzyli jeden naród, który się z czasem zrobił zupełnie rosyjskim (ruskim), tem łatwiej, że przodkowie ich, zamieszkujący od X wieku ziemię kijowską, sami już byli prawie Rosyanami.“<sup>2)</sup> Nie będziemy teraz wchodzić w szczegóły etnograficzne.

Tiurkską teorię pochodzenia kozaków i kozaczyzny z niewielkimi zastrzeżeniami, z którymi zapoznamy się przy innym temacie, przyjęli najpoważniejsi pisarze rosyjscy, jak Kostomarów,<sup>3)</sup> w późniejszym okresie i Kulisz (pochodzenie od Czarnych Kłobuków).<sup>4)</sup>

1) Dmitrij Bantysz-Kamenski: *Istoria Małej Rossii*, t. I. Moskwa 1842, str. 96—97.

2) Karamzin: *Istoria gosud. Rossijskawo*, t. V, 393 n. 11

3) *Bohdan Chmielnickij*, t. I, str. 5, r. 1884.

4) *Istorijsza otpadienija Małorossii ot Polshi*, t. I, str. 46. Kulisz, w okresie apoteozy kozaków i kozaczyzny, aż do wyzwolenia się z doktryneryi politycznej, wysoko ceniony przez Hruszewskiego. Artykuł Kulisza (w *Prawdzie*, 1868) p. t. *Perszij period kozaczestwa aż do worohowania z Lachamy* był uzupełnieniem poniekąd pierwszej pracy tego pisarza p. t. *Powiest ob ukraïnskóm narodie* (1846). Hruszewskij entuzjastycznie chwali *Perszij period* etc., jako pracę, odznaczającą się szerokiem socyálnem tłem, na jakim Kulisz oparł kozaczyznę. Sam zaś autor o prototypie tej pracy wyraził się bardzo ujemnie. „Se była kompilacya—powiada—tych szkodlywych dla naszoho rozumu wydumok, szczo nasz litopyści powydumowały pro Lachiw, ta tych szczo nasz kobzari składowały pro żydiw na pidzohu abo na wlichu kozakam-pjanyciam, da tych szczo roskidano po apokryfach dawnich mby skazanij...“ „Se była odna z tych utopiecznych ta fantastycznych prac bez krytyki, z jakich poższywana u nas wsia istoria borot'by Polshi z Moskwoju. Kozaki w nij wystupały jako nacija, a vse te szczo stanowyt' nacjiu ignorowałoś abo widkidałoś do supereczniho taboru. Usieh kozackieh worohiw na maljowano tut ludojidami, a samich kozakiw prawednymi muczenykami i blahorodnymi patryotami.“ „Powist' sia była žneneju sołomy bez zerna“ (P. Kulisz: *Chutorna poezija*, Lwów 1882). Pogląd Kulisza, przeciwny apoteozie kozaczyzny, a wypowiedziany w dziele *Otpadienie Małorossii ot Polshi* (1888) już według Hruszewskiego „nie posiada żadnego naukowego znaczenia“ (*Istoria Ukrainy-Rusi*, t. VII, Kijów—Lwów 1909, str. 560). Jak Hruszewskij pojmuje naukowość w historii, o tem pisaliśmy. Patrz artykuł p. t. *Profesor Hruszewskij i jego historia Ukrainy-Rusi* („Świat Słowiański,” 1911, maj).

W najnowszych czasach najwybitniejszy polski historyk Rusi, który niejednokrotnie w badaniach swoich dotykał przedmiotu etnicznego składu ludności Ukrainy kozackiej, przychylił się stanowczo do hipotezy tiurckiego pochodzenia kozaków. Wyraz kozak—powiada—jest wspólny wszystkim językom pnia turskiego (tiursk) w znaczeniu ogólnem — mołojec, junak. W dalszem zastosowaniu przybiera on inne nadto odcienia znaczeń. Nie obcym też był stepom ukraińnym z prawieku: używali go też Polowcy na oznaczenie czatownika. Ale wnieśli go do nas naprawdę Tatarzy, tyle nogajscy (kryńscy) co i Kipszany (zawolscy), nadto drogami różnemi, przy odmiennych okolicznościach, na grunt inny. <sup>1)</sup>

Ponieważ z hipotezą tiurckiego pochodzenia kozaków, łączy się poniekąd nazwa Czerkasów, którą w sąsiednim W. Ks. Moskiewskim długi czas nazywano kozaków nad Dnieprem osiedlonych, przeto nad tą kwestyą zastanowimy się pokrótce.

Z nazwą Czerkasy nad Dnieprem spotykamy się bardzo wczesnie, bo już w pierwszym pochodzie Giedymina (1320—1321)—Strykowski zwie go często Gydymin—opisanym szczegółowo w kronice Bychowca.<sup>2)</sup> Między innymi kronikarz powiada: „i usłyszawszy (o zdobyciu Kijowa przez Giedymina) przygródki kijowskie Wyszegrod, Czerkasy, Kaniów, Putywl, Śnieporod iże ksiązę ich uciekł do Brańska, wojsko zaś jego wybito, przyszli wszyscy (wyżej wyszczególnione przygródki kijowskie) i poddali się W. Ks. Giedyminowi i obiecali mu i przysięgę na to wykonali.“ Powtórzył to za Bychowcem Strykowski,<sup>3)</sup> mało co dodawszy z innych kronikarzy lub legend, które do nas niedoszły.

Chodzi nam głównie o Czerkasy. W siedemdziesiąt lat przeszło później spotykamy się znowu z tą nazwą. Witold, opanowawszy Kijów, usunął Włodzimierza, a na miejsce jego posadził brata Włodzimierzowego, Skirgajła (um. 1377), który otrzymał po bracie „Kaniów, Czerkasy, Zwinogrod zamki ze wszystkimi przygródkami i przyległościami kijowskimi.“ <sup>4)</sup>

Tymczasem o powstaniu Czerkas jako osady, może zameczku, spotykamy legendę, podanie w półtora wieku prawie po

<sup>1)</sup> Aleks. Jabłonowski: *Źródła dziejowe*. T. XXII, „Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym.“ T. XI, „Ziemie ruskie, Ukraina.“ Warszawa 1897, str. 395.

<sup>2)</sup> Poln. sobr. t. XVII, 1907. *Lietop. Bychowca*, str. 492.

<sup>3)</sup> Strykowski: *Kronika* etc. T. I, str. 365—366.

<sup>4)</sup> *Ibid.* t. II, str. 103.



opowiedzianych wypadkach, która się nie da pogodzić ani z opowiadaniem Bychowca, ani późniejszym Stryjkowskiego. Powtórzymy je dosłownie.

Gdy w r. 1545 zjechali lustratorowie dla rewizyi zamku Czerkaskiego, natknęli się tam na spór Kaniowców i Czerkasców o prawo używania „uchodów.“ Motywowano je w ten sposób: „Od początku Czerkas i Kaniowa, wolno było korzystać Kaniowcom z uchodów na wszystkich rzekach, bo gdy W. Ks. Giedymin, zdobywszy nad morzem Kafę, Przekop i Czerkasów Piatyhorskich, przywiódł tych Czerkasów ze sobą i osadził ich z księżną ich jednych na Śnieporodzie, a innych na Dnieprze, gdzie teraz Czerkasy siedzą; Śnieporodzców zaś posadził także nad Dnieprem, w Kaniowie. Siedząc tedy Śnieporodczy w Kaniowie, niezapomnieli przedniej ojczyzny swojej i na rzeczkach Siwerskich uchodów nie zaniechali.“<sup>1)</sup>

Jeśli tedy przyznamy większe prawdopodobieństwo wiadomościom Bychowca i Stryjkowskiego, to niezgodność tradycyi historycznej z historią okaże się zbyt wielką. Omyłka jest widoczną z jednej lub z drugiej strony. W obecnej chwili nie jesteśmy w stanie poprawienia błędu faktycznego, ale możemy szukać przyczyny, wyjaśniającej go. Wiemy, że tradycya ludowa często bardzo zatracza chronologiczną prawdziwość faktu, ale fakt sam na prawdziwości nie nie traci. Coś podobnego zachodzić może w tym wypadku. Ludność miejscowa pamiętała doskonale fakty przesiedlenia się i osiedlenia się na nowem miejscu. Opowiadanie, przytoczone przez nas, posiada za wiele cech prawdziwości w szczegółach, ażeby je można było uważać za wymyślone. Wprawdzie sporność używania pewnego terytorium nasuwa możliwość wymysłu dla obrony swoich domniemanych praw, ale z równą wiarogodnością możnaby było odsunąć te fakty w czasy jeszcze dalsze i powołać się na nie z tą samą siłą dowodową, o tyle lepszą, że trudno byłoby je sprawdzić. Ponieważ o zdobyciu Kafy i Czerkasów Piatyhorskich przez Giedymina obecnie nie nie wiemy, obrona Kaniowców zdaje się być tedy opartą na fikcyjnych podstawach.

Ale w takim razie nasuwa się pytanie: skąd się wzięły i istnieją dotychczas na Ukrainie takie nazwy jak Czerkasy i Piatyhory—jedne przypominające Czerkiesów, a drugie Czerkasów Piatyhorskich?

<sup>1)</sup> Archiw J.-Z. Rossii, cz. V, t. I, str. 65—66.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa Bychowiec, a za nim Strykowski, Czerkasy, jako osadę, wciągnęli do kronik nie tylko jako współczesną im, lecz jako istniejącą już za czasów przed-Giedyminowych. Co zaś do tradycyi Kaniowców, połączonej z imieniem Giedymina, jest ona o tyle błędna, że odnosić się może do Witolda. Pamięć ludowa zachowała fakt, a zatraciła nazwisko z tym faktem związane. Poparcie tego domysłu znaleźćby się mogło w zmianie o walce z Tatarami.<sup>1)</sup> Szczegółów do tego faktu dostarcza nam Strykowski. Trudno pogodzić tyle sprzeczności, chyba przypuściwszy, że Czerkasy jako osada powstały w okresie tego ruchu tatarsko-mongolskiego, jaki po Batoryjowem najściu zapanował ku południowo-zachodnim stronom Europy. Mogły w tym ruchu wziąć udział jakieś gromady Czerkiesów, które po drodze wydzielały kolonie, jedną nad Donem — Czerkask, drugą nad Dnieprem — Czerkasy. Tę ostatnią mógł zasilić Witold — może nawet pokrewnemi Czerkasami — i stąd zachowała się pamięć faktu. Wiemy, że po walce z Tatarami Nogajskimi i Zawolskimi, Witold „jedną hordę do Litwy przyprowadził i nad Waką na wieki posadził,“ „drugą część onej hordy posłał Jagiełłowi.“ Strykowski dodaje, że Witold osadzał Tatarów (nazwa bardzo szeroko brana) nietylko nad Waką, ale „i indzie.“<sup>2)</sup> Może wzmocnił nimi pokrewne Czerkasy. I w ten sposób, przypadkowo utworzona obca kolonia, stała się zagadką historyczną.

Możnaby było o tym drobnym fackie nie rozpisywać się, gdyby nazwa Czerkasów nie łączyła się tak blisko z nazwą kozaków, że w Moskwie, jeszcze w XVII w., nazywano kozaków nad Dnieprem siedzących Czerkasami, a nawet w Rzplitej istniała nazwa chorągwi Piatyhorskich. Było to wszystko nie dowodem, ale wskazówką historyczną tureckiego pochodzenia kozaczyzny. „Czerkiesy — pisał Bantysz-Kamenski — pochodzą od Kozogów, mieszkających między Czarnem a Kaspijskiem morzem, nazwa ich składa się — według Klapprota — z dwóch wyrazów: czer-ń — droga i kesme-ń — odciać, byliby to więc ludzie przecinający drogę karawanom kupieckim i zajmujący się rabunkiem.“<sup>3)</sup>

<sup>1)</sup> *Nikonowska Ljetopiś*. T. IV, str. 4 p. „chodisza Litwa ratju na Tatarowa, na Temiroza i byst' miezi imi boj welij.“ Czytaj także *Spis. liet.* t. XVII.

<sup>2)</sup> *Kronika*, II, 113.

<sup>3)</sup> Bantysz-Kamenski: *Istoria Maloj Roszii*. T. I, str. 11 (przypiski). Autor uzupełnia ten pogląd słowami Karamzina. „Czerkiesy nie podwładny ni Turkom ni Tatarom, użasnuye razbojniki. Tiekuszczimi iz nich riekami wypływaja na łodkach w morie, oni grabili suda kupieczeskija...“



Inne hipotezy, mające charakter zbliżeń etymologicznych lub wprost domysłów fantazyjnych, na uwagę nie zasługują.<sup>1)</sup>

#### Hipoteza staroruska.

Pochodzenie wyrazu kozak i tworzenie się zawiązków kozactwa wśród plemion turek nie dało się zaprzeczyć. Analogia charakteru, a poniekąd organizacyi kozaków tatarskich, później dońskich, a w końcu kozactwa w Rzplitej Polskiej, była uderzającą. Ale fałszywy patryotyzm niektórych pisarzy XIX w., zajmujących się dziejami Rusi w granicach Rzplitej Polskiej, nie mógł się pogodzić z myślą o genetycznym związku kozaczyzny tatarskiej z ukraińską. Objawiło się w historyografii rosyjskiej ogólne dążenie do szukania wszelkich objawów życia państwowego we własnem jedynie społeczeństwie, do usuwania lub osłabiania wszelkich wpływów obcych na państwowość rosyjską. Idea ta nie sformułowana jasno, objawiała się wszakże żywo w pracach dziejopisarskich. Jednym z usiłowań, najbardziej dogadzających dumie narodowej, było gorączkowe, zacięte obalenie hipotezy najazdu normańskiego, jako punktu wyjścia do utworzenia się późniejszego państwa — Rosyi. Impulsywność tej idei odbiła się także na hipotezie o pochodzeniu kozaków i kozaczyzny. Trzeba ją było koniecznie udomowić, zeslawianizować. Okazało się to tem łatwiejszem, że kozaczyzna XVII w., wyzwolona prawie zupełnie z pierwiastków turek, jako potęga militarna stanęła do walki z Rzplitą Polską. Polityka przybyła z pomocą historyi — i powstała hipoteza powstania kozaczyzny skutkiem jakoby przesładowania przez Polaków ludności miejscowej. Nawet pisarze,

1) Herbinus nazwisko kozaków wyprowadzał od kosa, mniemając, że kozacy uzbrojeni bywali w kosa — narzędzia rolnicze używane do koszenia trawy.

Piasecki utrzymywał, że nazwisko to pochodzi od wyrazu polskiego koza (capra), „jakoby zręcznością i przebieraniem się do miejsc niedostępnych wyrównywali kozie albo jej podobnymi byli.“ (*Kronika*, Kraków, 1870, str. 44). Za Piaseckim poszedł Wespazyan Kochowski, za nim Hartknoch, Chevalier. Zimorowicz rad był widzieć pochodzenie kozaków od wyrazu kozak, oznaczającego w miejscowem narzeczu wielką, natrętną muchę — analogia do natrętności i złośliwości kozaków. Rodowód odpowiadający czasom oblężenia Lwowa przez Chmielnickiego.

*Hustynska latopiś* wywodziła nazwę kozaków od jakiegoś wodza K o z a k a, a posiłkujący się ruskimi kronikami S t r y j k o w s k i, tę samą wiadomość powtórzył.

Inne domysły, równie bezpodstawne, pomijamy zupełnie.

k którzy jasno sobie zdawali sprawę z pokrewieństwa kozaczyzny ze światem tureckim, genezie jej w granicach Rzplitej starali się nadać charakter słowiański. Jednym z pierwszych, którzy pogodzić chcieli tatarskie pochodzenie kozaków z polityką, był Bantysz-Kamenskij. Powtórzył on za Beauplanem, że „małorosyianie uciekali na ponizie Dnieprowe od ucisku Polaków.“<sup>1)</sup> Cofał tedy prawdopodobną przyczynę wznagania się kozaczyzny niżowej z XVII w. na wiek XVI — a właściwie na początek jego, dokąd jeszcze teoria o prześladowaniu nie sięgała nawet. Ale idea sama już została w historyzofii i okazała się bardzo owocną. Późniejszym pisarzom już pozostała tylko praca—wyszukiwania do wodów na to.

Próba oświetlenia faktu tworzenia się kozaczyzny nad Dnieprem z pierwiastków swoistych stała się punktem wyjścia dla utrzymania hipotezy, którą nazwaliśmy staroruską, wiążącą po-

<sup>1)</sup> *Istoria Małej Rossii*. T. I, str. 98. O uciekaniu pisał Beauplan, ale już prawie w połowie XVII w. „C'est cet éslavage qui fait que beaucoup s'échappent et que les plus courageux d'entre eux fuyent vers la Zaporotys...“ (*Description de l'Ukraine etc.* Paris, MDCCCLXI, str. 24). Wówczas kolonizacya pustyń dopiero się poczynala, a slobody bywały 20 i 30-letnie, nie było więc potrzeby uciekania. Może tu być mowa o ucieczce z Polski gniazdowej, z Litwy głębokiej, ale jedynie skutkiem szukania lepszych warunków życia, a najczęściej g'woli awanturniczości indywidualnej. Grondzki, który znał kozaczyznę dopiero za Chmielnickiego, powtórzył Beauplan'ową bajkę o ucieczce włościan od wrzekomego prześladowania. „Qui auteni—pisze—ex hac Ruthenorum gente ad arma tractanda magis idonei repariebantur neque dominorum terrestrium iugum jobbagonale subire voluerunt, illi ad remotiora loca, tunc temporis adhuc inhabitata, sese recipiebant, et libertatem juris sui asserendo, novas subinde ducebant colonias atque ad discrimen coeterorum Russorum dominis terrestribus subjectorum noncupati sunt C o s a c c i pol. Cozacy, quod latine demotat milites levioris armaturae“ (str. 15).

Był to pogląd, panujący w sferach kozackich. Z licznych bardzo świadectw i źródeł wiemy, że włościanie uciekali dla szukania „k o z a c k i e g o c h l e b a“, z rozboju i rabunków, lubując sobie w niezależności i wolności kozackiej, a chleb kozacki musiał im lepiej smakować od chleba pracą na roli zdohytego.

Obaczmy później, z jakich składników tworzyła się kozaczyzna.

Antonowicz w przedmowie do rosyjskiego przekładu Beauplana (*Memuary otnosiaszczijasja k istorii Jużnoji Rusi*. Kijów, 1896. T. II, str. 290) tak szczerze wierzył w ucieczkę od prześladowania włościan, że wyjazd z Polski Beauplan'a przypisywał obawie przed wypadkami, wywołanymi przez Chmielnickiego, które Beauplan jakoby przewidział.



wstanie kozaczyzny z okresem wielkoksiążęcym kijowskim. Trudno było zgodzić się na to, że w XV, a nawet na początku XVI w. istniał jakiś ucisk, któryby zmuszał ludność do ucieczki na Niż i do zajmowania się tam rabunkiem i rozbojem, ale w życiu wielkoksiążęcej epoki do rozgromu mongolskiego uderzają niektóre analogie z późniejszym życiem kozackim. Były to wyprawy drużyn książąt kijowskich zarówno w stepy na Turków, Berendejów, Połowców, Pieczyngów — stepowych koczowników, — jak i w łodziach do Carogrodu. Nie brakło także wypadków rabowania „solników“ i „greczników,“ po prostu karawan kupieckich. Były to fakty kozactwa i kozakowania w najściślejszym pojmowaniu charakteru tych faktów—jednak bez nazwy kozaków i kozakowania. Zwróciliśmy już na to uwagę.

Jednak analogie te nie były wystarczające w zupełności. Ażeby wykazać związek kozactwa z okresem staroruskim, trzeba było sięgnąć dalej w głąb, że tak powiem, życia wewnętrznego owoczesnego społeczeństwa. Uczynił to dopiero Kostomarow.<sup>1)</sup> Wystąpił on z nową zupełnie tezą, że „staroruskie pierwiastki, rozwinięte do pewnego stopnia już w XII w. i długo ukryte w narodzie, występują dopiero jako błyskotliwy meteor w formie kozaczyzny.“ Do obrony tej tezy brakło mu wszakże było odnośnego materiału. Zebraniem tego materiału zajął się dopiero Włodzimierz Antonowicz, a wydaniem go otworzył sobie wrota do nowej zupełnie drogi, do nowej pracy dla obcego, chociaż pokrewnego społeczeństwa. Zanim od wskazówek Kostomarowa przystąpimy do zapoznania się z tą tezą w pracy Antonowicza, musimy wskazać na pewną nieścisłość. Kostomarow utrzymuje, że wynalazł „staroruskie pierwiastki,“ „ukryte w narodzie“ w XII w., kiedy nie tylko nie istniał żaden „małorosyjski“ albo „kozako-ruski naród“—jak pisze Wieliczko—ale żadna jednolita etnograficznie społeczność, która by się narodem w świadomości znaczeniu tego wyrazu nazywała. Mamy tedy znowu do czynienia z faktem przeniesienia zjawisk dziejowych późniejszych na czasy wcześniejsze i łączenia ich pewną wspólnością na podstawie domysłów.

Jak przeto należałoby rozumieć owe „staroruskie pierwiastki“?

O ile wiemy były one trojaki: organizacya bojarstwa, drużyny i samorząd gminny. Bojarstwo wraz z księciem reprezentowało władzę, drużyna była obronicielką idei władzy, gmina zaś,

<sup>1)</sup> *Мысли об исторіи Малороссіи* (1846). *Двіе русскія народности* (1861).

„ludzie,“ byli dostarczycielami „dani,“ a z czasem wchodzili, jako żołnierze, do drużyny. [Tą kategorią ostatnią nikt się nie zajmował z innego stanowiska, jak tylko materiału państwowego różnych stopni i wartości. Poza władzą książęcą, która głównie opierała się na miastach pośrednio lub bezpośrednio, organizacja państwowa, jakkolwiek sama znajdowała się na stopniu pierwotności, w tę warstwę, która siebie nazywała ludem, ludźmi, bez śladów jakichkolwiek pojęć narodowych, w te tajniki rodzimej kultury niezapuszczała się. Lud miał swoje zwyczaje — prawa zwyczajowe, sądownictwo zwyczajowe. Instytucje jego z tego zakresu były wytworem pierwotnych potrzeb obrony, sprawiedliwości, rządu; wpływały z potrzeby obrony życia i mienia. Były one robotą długich wieków, mało znanych wpływów i powolnego kształtowania się, a odpowiadały w zupełności wymaganiom pierwotnej kultury tych grup społecznych. Najbliższem Kijowa gniazdem takiej społecznej kultury były północne lesiste części kraju, leżącego za Rpieniem, Teterwą, ku Pińszczyźnie. O Polanach, mieszkających w pobliżu Kijowa, w „ziemi polskiej“—jak powiada niedyskretny Nestor,—wiemy bardzo niewiele. Północnych sąsiadów zaczęliśmy poznawać dopiero w drugiej połowie XIX, po wydaniu odnośnych aktów i zaraz niemal poczęto przerabiać te składniki życia, znane zaledwie od XIV w. dobrze, na historię polityczną i budować na nich fantazyjne hipotezy, przesuując dowolnie okresy kulturalne, zarówno wstecz jak i naprzód. Nazwawszy te zaczątki kulturalne pierwiastkiem gminowładczym, Antonowicz, mając już wskazówki Kostomarowa o łączności jakoby życia ludowego z wielkooksiążęcego okresu z okresem kozackim, starał się tę hipotezę uzasadnić i rozwinąć, a równocześnie nadać jej szersze podstawy. Wyobraził tedy sobie, że w dziejach polsko-kozackich stosunków odbywała się walka dwóch zasad, dwóch pierwiastków: jakiegoś doskonałego, ludowego, samorządnego, swoistego z arystokratycznym polskim.<sup>1)</sup> Zanim tę tezę usiłował uzasadnić, już się był nie tylko zapoznał z wypowiedzianym dopiero poglądem profesora Iwaniszewa, ale i szukał dla niego poparcia historycznego. Owa tedy gmina idealna, „obszczina,“ jako wspólnota ziemi i interesów o wązkim zakresie, samorządna jeszcze, dzięki mało rozwiniętej idei jedności państwowej, staje się, według Antonowicza, jakimś silnym organiz-

<sup>1)</sup> Iwaniszew: *O drewnich sielskich obszczinach w Jugo-Zapadnoj Rossii*. Kijów, 1863. Wstęp pióra Włod. Antonowicza.



mem, który sam jeden ocalał po rozgromie mongolskim, „opłaca-  
jąc się Tatarom pieniędzmi i krwią dla zachowania własnej  
wewnętrznej samodzielności.“<sup>1)</sup> Niedosć tego. Owe gminy samo-  
rządne, istniejące tam, na północy, wśród lasów, kędy Tatarzy  
prawie nigdy nie zaglądali, „wyrobiły w sobie taką siłę, że nie-  
tylko mogły obronić się od Tatarów, lecz bronić praw swoich  
od wewnętrznych nieprzyjaciół. Znaczenie zaś tych gmin wzmoc-  
niło się i ustanowiło się ostatecznie po przyłączeniu Wołynia  
i Zachodniego Podola do Polski.“<sup>2)</sup> Tego nie dość. „Ku końco-  
wi XV i na początku XVI w. książęta, którym w nadziale (udie-  
ły) dostały się ziemie nad Dnieprem, widząc z jednej strony siłę  
podwładnych im gmin, z drugiej ogołoceni z sił wojskowych  
(drużyn), które przeszły na zachód (do książąt halickich), musieli  
się przystosować do nowych warunków życia i wejść w pewne  
układy z mieszkańcami gmin (obszczinniki). Z tej racji dopomu-  
gali do rozwoju gmin, zarówno pod względem prawnym, jak  
i wojskowym, zatrzymując tylko władzę zwierzchniczą nad nimi.“  
„Taki układ (sdiełka), gwarantując prawa gmin, był równocześnie  
korzystny dla księcia, gdyż umożliwiał mu obchodzenie się bez  
najemnego wojska za własne pieniądze i uniemożliwiał tworzenie  
się arystokracji.“ „W ten sposób—utrzymuje Antonowicz—w pra-  
wobrzeżnej (od Dniepru) Rusi spotykamy w XV i XVI w. pewną  
organizację gminną silną i złożoną ze składników tuziemczych  
pod zwierzchniczą władzą książąt z rodu Giedymina lub ze szlachty  
(dworjan), posiadających własność ziemską z prawami, równemi  
Giedyminowiczom. Taką organizację spotykamy w dobrach (udie-  
łach) książąt Koreckich, Wiszniowieckich, Różyńskich, Czartory-  
skich, po części Olelkowiczów i szlacheckiego rodu Lanckoroń-  
skich, posiadającego swe włości na południowem Podolu. Pierw-  
sze ślady takiego porządku (obszczinnyj poriadok ustrojstwa)  
dostrzegamy dopiero z chwilą jego najwyższej siły i ostatecznego  
rozwoju, t. j. na początku XV wieku, tylko pod obcem, zapo-  
życzonem od Tatarów imieniem—kozaków.“<sup>3)</sup>

Czyta się to jak powieść na tle tematów historycznych. Nie  
zawsze wiemy jacy to „książęta“ nadawali posiadłości (udieły)  
Koreckim, Wiszniowieckim, Różyńskim, Czartoryskim i kiedy

<sup>1)</sup> *Archiw Jugo-Zapadnoj Rossii*, cz. III, t. I. Akty o kozakach. Kijów,  
1863. Przedmowa, str. XI.

<sup>2)</sup> *Archiw J.-Z. R.*, cz. III, t. I, str. XXI.

<sup>3)</sup> *Archiw J.-Z. R.*, cz. III, t. I, str. XXIII.

i dlaczego owa potężna gmina, z którą książęta wchodzili w sojusze, posiadająca własną, również potężną organizację społeczną i wojskową, występuje w dziejach nie pod własnym, ale zapożyczonym od obcoplemieńców nazwiskiem—kozaków? Ażeby dzieje kozaczyzny związać z okresem wielkoksiążęcym, Antonowicz, wzorem bałamutnych latopisców kozackich, starostów ukraińnych, Wiszniowieckich, Różyńskich, Koreckich i in. porobił hetmanami kozackimi, dowodzącymi potomkami potężnych niegdyś „obszczinników,” skromnie ukrywającymi się pod nazwą kozaków. Największym zaś dowodem ciągłości życia społeczno-politycznego, od mitycznej wielkoksiążęcej „obszczyny“ aż do czasów kozackich, było istnienie u kozaków rady, identycznej ze starostowiańskim wieczem (wiec).<sup>1)</sup>

Opierając się na takich dowodach, możnaby śmiało dowieść, że dzisiejsze rady gminne, albo wiece ludowe są również pozostałością staroruskiego okresu wielkoksiążęcego, czyli że kozackie instytucje społeczne przetrwały aż do naszych czasów i od kozaków przeszły do całej Europy.<sup>2)</sup>

Przedstawiliśmy tylko zasadnicze poglądy Wł. Antonowicza na genezę kozaczyzny i jego hipotezę, którą nazwaliśmy staroruską. Oczywiście, broniąc samoistnego pochodzenia kozaczyzny, Antonowicz uznał, że teoria „pochodzenia kozaków od Kozarów, Kosogów, Czerkasów i innych koczowniczych narodków nie wytrzymuje krytyki”—i może dlatego rozpatrzeniu jej nie poświęcił wcale miejsca w ustępie, przeznaczonym do wyjaśnienia genezy kozaczyzny. Pogląd swój zatrzymał Antonowicz, z małemi modyfikacyami, aż do najnowszych czasów.<sup>3)</sup>

M. Kojalowicz spopularyzował hipotezę staroruską Antonowicza w odczytach swoich. „Silna—powiada—organizacya gminna wśród plemienia małoruskiego<sup>4)</sup> pozwalała łatwo i prędko tworzyć samodzielne, niezależne wojenne gminy (związki), które stawały przeciw nieprzyjacielowi.“ „Nieliczne, mieszkające tu (w Małorosyi) szlacheckie rody (dworjanskije rody) mimowolnie zbliżyły

<sup>1)</sup> Archiw J.-Z. R., cz. III, t. I, str. XXV.

<sup>2)</sup> Jak wyglądały w rzeczywistości rady kozackie i wybór starszyny czyli tak zwane wolności kozackie, można czytać w *Bibliotece Warszawskiej* za kwiecień 1910 r. w artykule p. t. „*Życie wewnętrzne Syczy Zaporoskiej w połowie XVIII wieku.*“

<sup>3)</sup> *Besidy pro czasy kozacki.* 1897, str. 14 nn.

<sup>4)</sup> Odrębność etnograficzna jeszcze wówczas nie istniała, jako pojęcie sformułowane.



się do ludu, przejmowały się jego dążnościami i stawały na czele kozackich pułków, jako hetmani. Takimi hetmanami bywali—znani już nam starostowie zamków ukraińnych.<sup>1)</sup>

Mimo całej swojej, niedającej się obronić, bezpodstawności, hipoteza staroruska podtrzymuje się przez rozmaitych pisarzy, jako fikcyjny łącznik wielkksiążęcego okresu, przewijający się przez okres litewski i polski aż do naszych czasów, w ten sposób tworzy się sztucznie historyczna całość nazywana historią Ukrainy-Rusi.

Bronił tej tezy gorąco Maksimowicz, a niedawno odświeżył ją Kamanin.<sup>2)</sup> Jest to przerabianie lub powtarzanie tez Antonowiczowskich. Analizować przeto tych poglądów nie będę.

## II.

### Pogląd pisarzy współczesnych i rządu Rzplitej Polskiej na kozaczyznę w pierwszym okresie jej istnienia.

Ażeby zrozumieć i ocenić zjawisko kozactwa i kozaczyzny w Rzplitej Polskiej, musimy przedewszystkiem wiedzieć, czem ono było istotnie w państwie, jak współczesny rząd i wybitni ludzie społeczeństwa polskiego na to zjawisko zapatrywali się. Tylko zrozumienie czem i jakim pewne zjawisko dziejowe było w życiu państwowem, jaki był jego charakter i stosunek do państwa, może dać prawdziwy historyczny punkt patrzenia, pozbawiony socyologicznych i politycznych zabarwień, które z biegiem czasu ze zjawiskiem tem łączyły się, skutkiem nowotworzących się warunków życia.

Stojąc na tem stanowisku, nie możemy nie spostrzedz bardzo znamienitego rysu, właściwego całej kozaczyźnie—tatarskiej, dońskiej, nadwożańskiej i dniewskiej—t. j. pierwiastku anarchicznego, ożywiającego ją, a nazywanego u nas ogólnem mianem „swawoli kozackiej“ lub „swawoleństwa.“ Z tym pierwiastkiem kozackiego anarchizmu walczyło zarówno W. Ks. Moskiewskie, od chwili wzmożenia się kozaczyzny, jak i Rzplita Polska, usiłując albo zniszczyć go, albo swawolne i rozruchane fale kozackie ująć w porządek państwowy i uczynić je pożytecznym czynnikiem

<sup>1)</sup> *Lekcii po istorii zapadnoj Rossii.* Moskwa, 1864. Str. 270—271.

<sup>2)</sup> *K woprosu o kozaczestwie do Bohdana Chmielnickawo,*

ujścia państwowego. Moskwa, w obronie od kozaków swoich, trudniących się rabunkiem i rozbojem, trzymała osobne partye strzelców, którzy ich wyłapywali i zabijali (imająt ich i pobiwająt). U nas osobnych oddziałów wojskowych, utrzymywanych wyłącznie dla tego celu, nie było. Kozaczyzna przepaliła się sama i znikła, tylko ślady pożarów i zniszczenia pozostały.

W Polsce zrozumianą była kozaczyzna stosunkowo późno, bo dopiero ku końcowi XVI w., kiedy się już wzmogła, zorganizowała wojskowo i wytworzywszy pewną klasę wojenną, o wolność swojej organizacyi, połączoną z wolnością rozbojów sąsiedzkich, do walki z Rzplitą wystąpiła. Piasecki bez wahania się pisał: „Ostrzegamy, niech inię kozaków nikogo nie wprowadza w błąd, popospolity wielu nieświadomym rzeczy, co ich mają za naród, właściwemi granicami kraju i pewną ustawą Rzplitej albo innego udzielnego państwa ustalony. Nie są oni niczem więcej, jak jednym z rozmaitych gatunków wojska polskiego (mowa o rejestrowych), to jest wojskiem lekkim czyli lekkiego oreża.“ „Ci wszyscy są Polacy, czyli w prowincyach polskich urodzeni; ci zaś, którzy dzisiaj związek zaporoski składają, po większej części pochodzą z prowincyi ruskich, do Polski należących i Tauryce przyległych. Pospolicie. zaraz na początku wiosny opuściwszy żony i rodziny swoje, do których aż na zimę powracać mają, do wysp się dniewprowych ściągają.“<sup>1)</sup> Zaporozcy ci, „żołnierką się bawili,“ rybołówstwem i czatowali na Tatarów, wracających z wycieczek w głąb Rzplitej, którym łupy odbierano. Robili wycieczki na tureckie pobrzeża Czarnego morza, do Azji Mniejszej, pod Trebizond, do Anatolii—zawsze dla łupów. W miejscu właściwem o tych wycieczkach mówić będziemy.

Jakkolwiek owe czyhania na powracających z wypraw Tatarów były i nieliczne i rzadko pożyteczne, kwietyzm współczesnego rządu patrzył na to z początku z egoistyczną wyrozumiałością, bo tak się wydawało, jakoby kozacy byli obrońcami Rzplitej. Pod przykryciem tego fałszywego samołudzenia się krótkowzrocznego, wzrastała liczba i potęga kozacka. Gdy Stefan Batory ocenił niebezpieczeństwo, już walka z niem była ciężką. Już Bielski zauważył, że kozacy niżowi „z Turkami nas wadzą,“ ale cieszy się, że „częstokroć Turkom i Tatarom szkodę nie małą czynią.“<sup>2)</sup> Widzi niebezpieczeństwo muzułmańskie, ale kozackiego

<sup>1)</sup> Paweł Piasecki: *Kronika* etc. Kraków, 1870. Str. 44 nn.

<sup>2)</sup> Bielski, III, 1358 (Turow.).



nie dostrzega jeszcze. Gwagnin, powtarzając Bielskiego, stoi także na jego stanowisku. „Dobrze jest, że są”—powiada, bo uważa ich poniekąd za przedmurze od Tatarów i Turków. Ale dostrzega i prawdziwy charakter owych kozaków, kiedy mówi, że „na wielkim gościńcu Białogrodzkim kozacy kupce tureckie przejmują.“<sup>1)</sup> Tu już obrona staje się podejrzaną.

Heidenstein bystrzej patrzył, lepiej widział i lepiej oceniał znaczenie i charakter kozaków. „Nieziemnie przestronne pola—pisze—leżą nad Dnieprem odłogiem wskutek ciągłych łotrstw i trwogi. Złatywały się tam po łupy nieprzyjacielskie wszyscy cenci rabunku, albo skazani za zbrodnię i ci wszyscy, którzy w ojczyźnie dla ubóstwa, dla niezgody lub za zbrodnię prawem skazani zostali.“ (Donom ot wsiakich bied oswobożdajut'sia<sup>2)</sup>). „Wielka część tych ludzi żyła z rybołówstwa i rozboju. Napadali na każdego, z kogo więcej zedrzeć się spodziewali, ponieważ zaś liczba chrześcijan między nimi przemagała, dokuczali najwięcej Tatarom, Polsce zaś nieraz pomocnymi byli.“ Zwani Niżowcami od niższej części rzeki, gdzie mieszkali, „zbierają się na granicy dla rabunku i bójki z postronnymi krajami.“ „Oddawna ci ludzie (kozacy niżowi), przybrawszy sobie skazanych na śmierć i wygnańców różnych narodów, sadowili się na dniewowych nizinach, napadli na Tatarów i rabowali kupców tureckich.“<sup>3)</sup> „Broili także bezkarnie na pograniczu Rusi.“<sup>4)</sup>

Rudawski jeszcze lepiej i jaśniej określa charakter kozactwa niżowego i jego rolę w Rzpltej. Pierwsze ich skupienie się przypisuje ciągłym najazdom tatarskim, które zmusiły niejako ludność zamieszkałą na pograniczu do „gromadzenia się dla wzajemnego łupienia Tatarów.“<sup>5)</sup> W celu łatwiejszej obrony i najazdu na sąsiadów wybrali sobie na siedlisko wyspy dniewowe i mocniwszy je, „łupiństwo zamienili na porządną wojnę.“ „Odtąd ustanowili prawa, poczęli wyznaczać pomiędzy sobą powinności, wybierać wodza i wszystko urządzać podług prawideł regularnej wojny. Chętnie odtąd wyszukiwali sposobności napaść na nieprzyjaciela, spustoszyć jego siedliska, ogniem i żelazem kraj jego niszczyć. Odtąd starali się przyłapać Tatarów, przeprawiających się przez rze-

<sup>1)</sup> Z *Kroniki Sarmacyi Europ.* (Tur.), 222.

<sup>2)</sup> Rajnold Heidenstein: *Dzieje Polski.* T. I. Petersburg, 1857, str. 285.

<sup>3)</sup> Heidenstein: *Dzieje Polski.* T. II, str. 361.

<sup>4)</sup> Ibidem, str. 362.

<sup>5)</sup> Rudawski: *Historja Polska etc.* T. I, Petersburg, 1855, str. 7.

ki przy powrocie z najazdów i obedrzeć ich z bogatych plonów.“ „Po poskromieniu swawoli tatarskiej, gdy przytem, w przyległej Dnieprowi Rusi szlachta dopomagała pierwszym tych ludzi poruszeniom i urządziła swe włości, które skutkiem najazdów w puszcze się były zamieniły, gdy poczęli kozacy całe osady stantąd wyprowadzać,—zbiegowisko to urosło do takiego stopnia, że kozacy we wszystkich ruskich ziemiach tworzyli jakoby osobną samodzielną Rzplte.“ „Odtąd zuchwałość ich niestęchanie urosła.“<sup>1)</sup> Jaka drogą poszedł rozrost kozaczyzny — obaczymy wkrótce. Z anarchią kozacką, wzmagającą się niezmiernie szybko, Polska walczyła bardzo niedołąźnie, ciągle oszczędzając te siły i pragnąc je dla pożytku państwa zużytkować. Ale musiała równocześnie powstrzymywać wojny kozackie na własną rękę, dla państwa polskiego szkodliwe, i w ten sposób „budziła się zemsta za poskromioną swawolę łupiestwa.“ Przez pół wieku tlała iskra kozackiego nierządu, aż wreszcie „z brudu ludności, z jasyrników, łotrów i budżackich Tatarów urosło straszniejsze niż kiedykolwiek powstanie przeciw Rzpltej“<sup>2)</sup> — przez Chmielnickiego podjęte.

Z chwilą, kiedy kozaków i kozaczyznę poczęto do pewnego stopnia upaństwowiać, kiedy się stawała wojskiem najemnem, określano ściśle jej charakter wojskowy. Starowolski uważał ich już za wojsko konne lekko uzbrojone. Heidenstein jeszcze lepiej znaczenie tych wyrazów określał, dzieląc całe wojsko na dwie kategorie: ciężkie, które nazwał husaryą i lekkie, zwane kozakami.

Równie jak nasi mężowie stanu i historycy, zapatrywały się na działalność i charakter kozaków kancelarye królewskie w aktach współczesnych. Zdając sobie doskonale sprawę z tego, jakim żywiołem szkodliwym i niespokojnym bywa wogóle kozaczyzna, nie ukrywano w sąsiednich stosunkach jej właściwego rozbójniczego charakteru. W tym kierunku szła też akcja państwowa. Rozumiano znaczenie kozactwa, jako siły militarnej, nie brak było usiłowań do zużytkowania tej siły na korzyść państwa, ale wszystko rozbijało się o brak stanowczości, o brak energii rządu, a co najważniejsza, o charakter polityczny tego rządu, który nie mógł odpowiedniej siły wytworzyć.

Już na początku XVI w. kozaczyzna poczęła występować szkodliwie dla państwa polskiego. Na razie nie zdawano sobie

<sup>1)</sup> Rudawski: *Historya etc.*, I, 8.

<sup>2)</sup> Rudawski: *Historya etc.*, 13.



dość jasno sprawy z doniosłości tych występów. Na pograniczu tatarsko-wołoskiem była ciągła wojna. Garsć żołnierzy, utrzymywana na straży bądź w zamkach ukraińnych, bądź na stanowiskach stepowych, rzadko była wystarczającą do powstrzymania najazdów, „wtarżek,“ jak mówiono, w głąb swego i obcego państwa. Wycieczki tedy kozackie, chociaż nosiły charakter rabunkowy, uważano także za pewnego rodzaju odwet, za postrach, wstrzymujący tatarskie zagony. Upowszechniało się nawet mniemanie, szczególnie w gniazdowych prowincjach Polski, daleko położonych od teatru wojny, o pożyteczności takiej podjazdowej wojny kozackiej. Zdawało się, że za tą ścianą można siedzieć bezpiecznie. Brak przewidywania, ocenianie tego zjawiska na krótką perspektywę objawiały się nawet wówczas, gdy rozrost kozaczyzny stał się groźnym z powodu zamącania pokoju państwowego. Z tej strony niebezpieczeństwo widziano dobrze, ale groźby dla własnego domu nie dostrzegano. A tymczasem kozactwo coraz lepiej kształciło się i rozwijało w szkole rozboju. Napadali coraz częściej na ulusy, na Białogród, na Oczaków. Osobliwie upodobali sobie Oczaków, skąd nigdy bez bogatej „dobyczy“ nie odchodzili.

Jedna z takich wypraw odbyła się w r. 1545. Wiązanka aktów, które niegdyś do wyjaśnienia tej całej sprawy służyły, daje nam doskonałe pojęcie, jaka to kategoria ludzi stanowiła kozactwo i jak się państwo polskie na nią zapatrywało. Nazywano ich poprostu *latrones*, *latrunculi* — zbójcami, rabownikami, łotrzykami, jak w aktach genueńskich (*cosachos orgusios*), drużyną zbieraną z najrozmaitszych wyrzutków społecznych, zarówno z Rzpltej polskiej, jak i krajów sąsiednich. „Łotrzykowie jacyś—powiada Zygmunt I w liście do sułtana Solimana—z królestwa naszego napadli na Oczaków.“ „Z pewnością jednak wiadomo, że od nas nie było żadnego pomiędzy tymi łotrzykami; po największej części byli z Moskwy i księstwa litewskiego“<sup>1)</sup>—

<sup>1)</sup> „...quod latrunculi quidam ex regno nostro in oppidum Oczaków invaserint.“ „Illud itaque certo sciat, quod inter eos latrunculos, qui facinus hoc patrarunt, ne unus quidem ex regno nostro, fuerit fuerunt autem plerique omnes Moschi, per pauci autem ex Magno Ducatu nostro Lithuanie eos secuti esse dicuntur, nos vero, simulatque, quid actum esset de Oczaków, accepimus, dedidimus e vestigio mandata nostra ad praefectos arcium nostrarum in finibus, ut, si qua possunt ratione, latrunculos istos caperent.“ (Eug. Barwiński: *Nabih kozakiw na Oczakiw w 1545*, str. 13. Zapiski nauk. towarz. im. Szewczenki, 1897. T. IV. Dokumenty wyjęte z XXIII tomu Aktów Tomiciańa).

to znaczy z pogranicza. Jakkolwiek często się zdarzało, że państwa sąsiednie, w celu uniknięcia zatargów z Turcyą i Tatarami, jedno na drugie składały winy kozackiego rabownictwa, nie ulega wszakże żadnej wątpliwości, że Oczaków zrabowały kupy kozackie. Chodzi nam w tej chwili o scharakteryzowanie owej kategorii ludzi, którzy rabownictwo stepowe uprawiali, jako rzemiosło, jako środek do życia. Inny list Zygmunta do cesarza tureckiego (11 lipca 1546) jeszcze lepiej określa charakter kup kozackich: byli to poprostu włóczędzy stepowi, owi „dobyczniki,“ którzy się zrywali do napadu i rabunku, zbierali się w jedną kupę, plan swój wykonywali i rozpraszali się na wszystkie strony, ażeby znowu przy innej okazji zebrać się. <sup>1)</sup>

Na tej krótkiej charakterystyce możemy poprzestać.

W dobie formowania się, że tak powiem, kozaczyzny, w pierwszym okresie panowania Batorego, stała się już ona siłą tak szkodliwą dla państwa polskiego, że trzeba było z nią walczyć, jako z wrogiem wewnętrznym. Kozacy poczęli coraz częściej „pokój psować“ w Rzpltej. Musiano uważać ich do pewnego stopnia, jako wyjętych z pod prawa. W instrukcyi wydanej Andrzejowi Baranowskiemu (1576) do cara przekopskiego Dewlet-giereja, kazono oświadczyć, że „kozaków niżowych wolno mu imać i śmiercią karać,“ i „że zbiegi do zamków pogranicznych przyjmowani nie będą, a gdyby przyszli, z rozkazania królewskiego mają być przez starostów pojmani i skazani.“ <sup>2)</sup> Czemże właściwie byli ci łupieżnicy? „Ta gromada ludzi — mówi instrukcyja — nie ma nad sobą żadnej zwierzchności, jest skupiona z Moskwy, z Wołochów, z naszych też poddanych, którzy, będąc na gardło skazani, do nich się udali.“ <sup>3)</sup> Mnożące się kozactwo poczęło już i na Wołoszczyznę zaglądać. W dwa lata po uspokajującym poselstwie do Dewlet-giereja trzeba było znowu ponowić surowe rozkazy karania swawoli kozackiej. Wojewoda kijowski (Ostrogski Konstanty) otrzymał rozkaz, aby „nie mieszkając ciągnął nad Dniepr, łotry Niżowce stamtąd spędził, a których dostanie, aby na gardle

<sup>1)</sup> „...oppidum scilicet Oczaków a perditis illis latronibus, qui nunquam certo loco consistunt, sed per campos vagantur, direptum esse, eosque perpetrato facinore isto in dominiis nostris nusquam visos, nam nonnullos ex eis, dum de praeda inter se contendunt, occisos esse, reliquos poenas, quas commoverant, metuentes, in Moschoviam profugerunt.“ (*Zapiski nauk. Tow. im. Szewczenki*, 1897. T. IV, str. 23).

<sup>2)</sup> Adolf Pawiński: *Źródła dziejowe*, t. IV. Początki panowania Stefana Batorego. Warszawa, 1877, str. 76.

<sup>3)</sup> *Źródła dziejowe*. T. IV, str. 77.



karaf.<sup>1)</sup> W tymże czasie Jan Tarło, wojewoda lubelski udał się był na pogranicza ruskie dla zbadania niepokoju i ukarania winnych.<sup>2)</sup>

Owo rozbójnicze rzemiosło kozackie snadź musiało być korzystne, bo wytwarzać się poczęła pewna tajemna wspólność między kozakami, udającymi się na rabunek, a S-tami ukraińskimi, których obowiązkiem było czuwanie nad pogranicznym pokojem i nad tymi, którzy go łamią. Można by nawet przypuścić, że niektóre watahy działały z ramienia S-tów.<sup>3)</sup> Uniwersał Batorego (1578) wprost obwiniał o współdziałanie S-tów. „Baczemy to dobrze—pisano—że nikt inszy nie jest przyczyną tych szkód, które temi czasy wzięły państwa nasze od Tatar, jedno Niżowi Kozacy, a niektórzy z Wierności W., co je po te czasy u siebie przechowywali, pomoc im dawali i one wyprawowali dla szkodzenia ziemi carskiej — tatarskiej. Zabroniono przeto dawać kozakom „prochu, ołowiu, żywności,“ a ks. Konstanty Ostrogski miał rozkaz, aby tych „łotrów, co nas z carem Przekopskim wadzą i przywierze z Cesarzem Tureckim wzruszają, zegnał, a których dostanie, na gardle karaf.“<sup>4)</sup>

I powtarzają się te uniwersały, napomnienia, przestrogi bez końca prawie, w rozmaitej formie. Kozacy nie występują nigdy w innym charakterze jak rabownicy stepowi — wkrótce i morsey, z którymi tem uciążliwsza rozpocząć się niezadługo miała wojna domowa, że siły kozackie nie oceniano należycie, a tymczasem siły te wznagały się w kierunku anarchicznym.

Nie inaczej oceniali ją bezstronni pisarze i współcześni ludzie z najbliższego sąsiedztwa Rzpltej.<sup>5)</sup> Nie marzenia socyolo-

<sup>1)</sup> *Biblioteka Ordynacji Krasieńskich*. T. V, VI. Warszawa, 1881, str. 31, 36.

<sup>2)</sup> *Ibidem*. „...Ioannem Tarlo ...deputamus, commitentes illi, atque plenam facultatem et omnimodam potestatem dantes, authores et adjuutores ejusmodi gwerrum, turbarum ac tumultuum, sive in Regio nostro sive in dominiis eidem Regno vicinis haecenus excitatarum, inquirendi, investigandi, iudicandi, sententiandi, ac in eos, sine quibusvis dilationibus, secundum leges et praescriptum pactorum et foederum communium, autoritate nostra et Repeae animadvertendi ac executionem debitam faciendi.“ (str. 32).

<sup>3)</sup> „Kozaki kniazia Dimitrija“ (Archiw. J. Z. R., część III, t. I. Kijów, 1863, str. 1).

<sup>4)</sup> *Biblioteka Ordynacji Krasieńskich*. T. V, VI, str. 33.

<sup>5)</sup> Ażebymy mieć pojęcie, jak te poglądy różnią się zasadniczo i głęboko od dzisiejszych historyków-socyologów „ukraińskiej“ szkoły (tak ich nazywał Kulisz) lub kijowskiej (jak słusznie utrzymuje A. Storozhenko), którzy dzieje

giczne i polityczne dzisiejszych historyków kozaczyzny stać się muszą probierzem jej dziejowego charakteru i znaczenia w państwie polskim, lecz psychologia kozaczyzny w jej najszerszem pojęciu.

kozaczyzny przerobili na dzieje męczeństwa narodowego, pozwolimy sobie przytoczyć niektóre opinie. *Buntysz Kamenskij* (1822—1824) mówił o kozakach: „oni nigdy nie tworzyli samodzielnego narodu. Podobnie jak Rzymianie żyli z wojny.“ Hipotezę o pochodzeniu kozaków przytoczyliśmy na miejscu właściwem.

*Sołowjow*, historyk samodzielny, źródłowy, często nazbyt spokojny opowiadacz wypadków dziejowych, który przeszedł drobniawo całą zawieruchę, wywołaną niemal wyłącznie przez kozaków na początku XVII wieku, a znaną pod mianem „smutnoje wremnia,“ już po uspokojeniu się, pisał: „oba państwa wschodniej Europy, Moskwa i Polska, równocześnie prawie zmuszone były rozpocząć walkę z wzmacniającym się na ich kresach żywiołem kozackim. Kozacy jednakowo zachowywali się na wschodzie i na zachodzie. Pysznąc się mianem obrońców państwa (od świata muzułmańskiego), wcale nie zadawali sobie roli straży pogranicznej, ale skutkiem swego rozbójniczego charakteru, wprost mówili, że jeśli nie będą rabować sąsiadów, to nie będą mieli z czego żyć (w najbogatszym pod względem żyzności kraju w Europie!). Najeżdżali przeto sąsiadów wtenczas nawet, kiedy najazdy ich szkodę państwu przynosiły. Wyrywali się na morze i rabowali tureckie posiadłości, z czego później wynikały wojny dla obu państw, — szczególnie Polska cierpiała na tem ze strony Turcyi. Rzeczą przeto jest jasną, że Rzplta polska wszelkimi sposobami starała się uczynić kozaków nieszkodliwymi.“ (*Siergiej Sołowjow: Istorija Rossii s drewniejšich wremion. T. X, 1888, str. 62.*)

Biezem, smagającym nielitościwie kozaczyznę, był *Kulisz* w wielkich swoich pracach późniejszych, dotyczących dziejów kozaczyzny. Przytoczymy tylko bardziej charakterystyczne jego poglądy przeciw apoteozowaniu kozaków i dziejów kozaczyzny. Oto jaką głęboką daje on syntezę ukraińskiego społeczeństwa: „Warstwy, które w okresie odrywania się Rusi od Rzpltej polskiej reprezentowały południowo-rosyjskie społeczeństwo i naród były negacją polskiego porządku rzeczy, i dążyły do połączenia się z Moskwą na mocy starych podań wspólności. Gdy jednak połączenie się nastąpiło nareszcie, żal im było tych warunków życia, które na wzór republikański już byli sobie wywależyli na podobieństwo szlachty. Oni nie w stanie byli przerobić w sobie anarchicznych pierwiastków kozaczyzny na państwowość wielkorosyjską i ulegając im, w najlepszych swoich jednostkach, usiłowali stworzyć pod osłoną buńczuków kozackich prawosławną szlachetczyznę, t. j. przywrócić do życia formy na poły monarchiczne, na poły republikańskie, które sami niedawno odrzucili.

„W okresie wojen z Polską w pewnej sferze inteligencyi ruskiej wytworzyły się dziwne uprzedzenia przeciw państwowości polskiej, a w chwilach



usiłowań wyrwania się z pod opieki rosyjskiej panowały jeszcze większe uprzedzenia wobec państwowego i społecznego ustroju Rosyi. W tych dwóch okresach, wręcz odmiennych, kozackich buntów i przewrotów, trwających półtora sta lat prawie, w gorących i marzycielskich małoruskich charakterach zrodziła się choroba umysłowa, którąby można nazwać namiętną skłonnością do zmian. Choroba ta ujęta została w przysłowie ludowe: choć hirsze, aby insze.“ (*Materiały dla historii wossojedinienija Rusi*. T. I, Moskwa, 1877, str. VI). Choroba ta, szkodliwa dla narodowego i politycznego rozwoju młodego ruskiego społeczeństwa, przyniosła dobre rezultaty, bo ta cecha napoły koczowniczych ludów, szukania ciągle nowego miejsca dla siebie, wytworzyła ruch kolonizacyjny na całym Poniżu czarnomorskiem i azowskiem aż do Tereku prawie. Z chwilą gdy państwowość rosyjska ruch ten ujęła w karby przepisów pańszczyźnianych, przykuwających ludność do roli, ruski ruch kolonizacyjny już był objął w posiadanie swoje stepy, spuściznę po rozmaitych Turaićach. W ciągu stu lat prawie pierwiastek etnograficzny ruski rozszerzył swoje granice i długo będąc niczem, nagle stał się liezbną, jak dotychczas, siłą w państwie rosyjskiem, groźną samą liezbnością.

Niezadowolenie ze wszystkiego, chociaż w Rosyi połączone z fałszywą pokorą, jako cecha chorobliwej umysłowości ruskiego społeczeństwa, charakteryzowało się także — pisze Kulisz — „dziedziczną niemocą zdrowego zmysłu, która się objawiła w belletrystyce, a nawet historycznej literaturze. Nasze małoruskie powieści, dramaty, poematy, liryczne utwory, odnoszące się do przeszłości przepelnione są dziecinnym bajaniem o sławie, którą jakoby pysznili się kozacy—ci nierozumni, nielitościwi rabownicy i niszczycciele sąsiednich krajów, nietylko obcoplemiennych, lecz blizkich sobie krwią i religią prawosławną.“ „...Niepohamowanych w swawoli rabowników obu brzegów Dniepru czuliśmy nazwą patryotów i obrońców wiary, a chowając jeszcze w duszy własnej dzikie instynkty rodzinnego kraju, z gorliwością niezwykłą podnosiliśmy pod niebiosa czyny, nie mające przed sobą żadnych ludzkich celów. W ferworze kozackiego entuzjazmu przewróciliśmy do góry nogami całą historię Polski, zrobiwszy z niej coś niemożliwego i nieprawdopodobnego.“ „Ładząc się dziecinną humanitarnością w ocenianiu historycznej rzeczywistości, traktowaliśmy „nasz naród“ (endzysłów Kulisza) jak męczennika i bohatera pośród straszyleł. Najnowsze doktryny socyologiczne, zrodzone na Zachodzie, łączyły się w naszych umysłach z dziedzicznymi poglądami na przeszłość i ułatwiały przenoszenie ideałów terażniejszości w dalekie dzieje, któremi kierowały inne potrzeby, inne opinie, inne dążenia.“ „Z powodu negatywnego pojmowania humanizmu, niziny klasowo, pod nazwą narodu, stały się przedstawicielami najszlachetniejszych dążeń ludzkości, a wyższe klasy wyobrażano sobie jako najpotworniejsze zgromadzenie nosobionych egoizmów.“

„Do takiego antihistorycznego poglądu na pierwotną słowiańszczyznę pisarze ukraińskiej szkoły przyszli skutkiem zupełnie fałszywego zapartywania na czasy Chmielnickiego.“ „W rzeczy samej były one niczem innym, jak przykładem niesłychanego rozboju, który zrujnował Rzpltę

polską, wstrząsnął do głębi monarchiczną Rosyą, podtrzymał istnienie świata muzułmańskiego kosztem słowiańszczyzny i powstrzymał o cały wiek rozwój północnej słowiańszczyzny, a w czasach dzisiejszych za pośrednictwem literatury okazuje szkodliwy wpływ na rozwój samopoczucia narodowego w Rosyi.“ (Kulisz: *Materiały* etc. T. I, str. VII, VIII, XII).

Tak wyglądała idea kozaczyzny ze stanowiska państwowego i etycznego w oczach pisarza, sięgającego wgłąb duszy własnego narodu i mającego odwagę mówić prawdę ze szkodą własnej popularności.

Najnowszy historyk Rusi, obciążony dziedzicznymi wadami kozackiego anarchizmu, uważa kozaczyznę za „czynnik socjalno-narodowy odrodzenia narodowego,“ anarchię kozacką za „wieką tragedję narodowego życia,“ za chwile zrywania się narodu „do walki na życie i śmierć za spełnienie swoich marzeń i pragnień“—nie bardzo tylko wiemy jakich, bo krwawe widmo rozbojów zaszła im. (Michajło Hruszewskij: *Istoria Ukrainy-Rusi*. T. VII. Kozacki czas do r. 1625. Kijów-Lwów. Czytaj przedmowę, VII, VIII).

Takie poglądy nazwał Kulisz (*Materiały* etc., X) „wpływem ducha ciemnoty, który opanował historyografię małoruską.“ Dodać trzeba: z niewielkimi wyjątkami. Oby te wyjątki stały się zwrotem do poznania prawdy dziejowej bez politycznych zabarwień. Próbę takiego badania kozaczyzny, bez socyologicznych uprzedzeń i bez okraszania sentymentalizmem humanitarnym anarchii kozackiej, dał A. W. Storożenko w pracy p. t.: *Stefan Batorij i Dnieprowskije Kozaki* etc. (Kijów, 1904). Nie przyznaje im on żadnego charakteru zastępców narodu w walce o fantastyczne „mrije i bażanina,“ co nie przeszkadza wysoko cenić kozaczyznę jako materiał wojskowy. W pierwszym okresie „kozacy polsko-litewskiego państwa żyli takim samym przemyślem, jak ich współbracia tatarzy“ (genuońscy). „Najcenniejszą zdobycz otrzymywali rozbojem.“ (*Dnieprowskije Kozaki*, str. 18). „W miarę zaś częstszego powtarzania się najazdów tatarskich, kozacy, z rybołowców i myśliwych, skłonnych jednak przy sposobności do rozbojów i rabownictwa, coraz bardziej przeobrażali się w typowych dobywczyków, którzy wówczas dopiero uważali, że są zajęci pracą, gdy mogli tworzyć kupy i organizować napady rabunkowe na tatarskie i tureckie jurty i ulusy.“ (*Dnieprowskije Kozaki*, 27). Z czasem najazdy ich sięgały i dalszych pobrzeży tureckich. Dopiero Chmielnicki, za przykładem Nalewajki, skierował temperament zbójcecki kozaków w głąb polskiego państwa, gdzie zdobycz była łatwiejsza i obfitsza.

Owe „mrije i bażanina“ kozackie maluje pisarz współczesny kozacki tak jak je widział. „Kozaki zbohatalisia z obozu polskoho (pod Korsuniem) tak wielkich panow, że sribło małoju cienoju prodawali.“ (*Samowidiec*, 10/1). „Ne szczadiaczi ni żon ni dietiej vse zabiwali, majetnosti hrabowali, kostely palili, rujnowali, ksionżi mordowali, dwory zaś i zamki szlachetskije i dwory żidowskije pustoszyli.“ (Ibid. 11/1). „Ne tolko żidow gubili i szlachtu, ale i pospolicym ludiam, w tych krajach žiwuszczim, tak a jaż była bida. Mnogie w newolu tatarskiju pojszły.“ W imię owych „mrij i bażań“ „kostely rimskije pustoszyli, sklepy z trupami otkopuwały, mertwych tija z hrobów wykidyły, obdyrały i w tom odijaniju chodyły.“ (Ibid. 12/2). Inny latopisiec powiada, że oddział jeden miał dowódcę, Woweczurę-Lysenko, który miał



zwyczaj „z żywych skórę zdzierać.“ Inny bohater, Krzywonos, „ze wszystkich Żydów skórę zdzierał i za to wielką miłością Chmielnickiego cieszył się.“ (*O tom chto słucziłos* etc., Moskwa, 1847, str. 8/2).

Z chwilą, kiedy kozacy przekonali się, że rabunek we własnym państwie jest zyskowniejszy, zaprzestali najazdów na czabany i ułusy, zapomnieli o czajkach i pobrzeżu anatolijskiem.

U nowożytnych historyków Rusi ci rabownicy i niszczycciele własnego kraju i własnego narodu przeobrazili się na bohaterów i męczenników za ideę jakąś im tylko zrozmiałej wolności.

Wogóle u pisarzy współczesnych ruskich, polskich, rosyjskich — cudzoziemskich wreszcie, nigdzie śladu niema aż do czasów Chmielnickiego charakteru narodowego powstania, rozwoju i walk kozaczyzny; nigdzie śladu nie widać, a tembardziej sztandaru walki społecznej lub religijnej. Gdy posłańcy Sahajdaczego zjawili się w Moskwie w 1620 r., djak Gramotin umyślnie zapytał: „czy na religię naszą niema jakiego zamachu,“ „czerkasy goworili: posiąganija na nich ot polskawo korola nikotorogo ne bywało.“

Temat prześladowania zjawił się dopiero jako przyczyna polityczna — znacznie później. (*Materiały* etc., t. I, 93. *Prijom posłancew Sahajdacznaho*).

FR. RAWITA-GAWROŃSKI.

# *W puszczy Białowieskiej.*

## I.

Puszcza Białowieska! Ileż to tajemniczego uroku zawierała ta nazwa dla młodocianych umysłów lat szkolnych! Jakiemi fantastycznymi postaciami zaludnialiśmy ów płat dzikiej, w naszej wyobraźni, ziemi, z wiekowemi, omszałemi drzewami, tworzącemi nieprzebyte gąszcze i dzikie ostępy. W pojęciu naszym było to coś, co w streszczeniu, ale wiernie odtwarzało amerykańskie lasy dziewicze: nie mniej urocze, a równie zdradliwe; a jakież przytem pole dla niezwykłych przygód i wypraw, pełnych wrażeń i niebezpieczeństw. Z biegiem czasu, w miarę dojrzewania umysłu, puszcza w wyobraźni mojej wyzbywała się powoli wszystkiego, co nadprzyrodzone i niezwykle. Pomimo to, do ostatnich czasów puszcę przedstawiałem sobie, jako olbrzymi szmat ziemi, pokryty jednolitym zwartym lasem, z całą masą nie tylko zwierzyny czworonożnej i lotnej, ale i pospolitych w naszym kraju dzikich zwierząt. I jakież przykre rozczarowanie! W tym roku wybrałem się w okolice tamtejsze z zamiarem spędzenia tam paru miesięcy letnich, a jednocześnie poznania tego niezwykłego w Europie kulturalnej zabytku przyrody przedwiekowej. Przedtem zasięgałem, o ile się dało, wiadomości o puszczy; między innemi powiedziano mi, że zaczyna się ona za stacją drogi żelaznej siedlecko-połockiej, Czeremczą. Gdy więc przejechałem Czeremczę i dojrzałem pierwszy las o większych drzewach, pytam sąsiada, jadącego ze mną, czy to puszcza Białowieska. Po otrzymaniu odpowiedzi twierdzącej byłem przekonany, że droga dalej, aż do samego końca, będzie biegła lasem; miałem jednocześnie nadzieję, że im głę-



biej w las będziemy się zapuszczali, tem więcej napotkamy wiekowego starodrzewia, tem większe gęszcze będziemy przebywali. Przejechaliśmy jednak zaledwie kilka wiorst, gdy bór nagle się urywa; jakiś czas jedziemy przez szczerą, nagą równinę, całkowicie drzew pozbawioną. Potem pędzimy znowu przez las; wkrótce wszakże ustępuje on miejsca gruntom ornym, pokrytym dojrzewającymi zasiewami i t. d. Zanim dojechałem do Hojnowki, miejsca stałego mojego pobytu, przez czas pewien przebyłem kilka borów i równą ilość całkowicie pozbawionych drzew, olbrzymich aż do widnokregu sięgających polan leśnych, zamienionych na urodzajne pola i żyzne łąki. Później dopiero miałem możność sprawdzić, że puszcza Białowieska składa się obecnie z wielu mniejszych i większych lasów, poprzedzielanych rozległemi, pustemi przestrzeniami; zajęte są one pod łąki, grunty orne lub pozostawione są w stanie pierwotnym; tyczy się to mianowicie tych bagnisk, mokradeł i moczarów, które dotychczas nie zostały osuszone.

Za czasów Rzeczypospolitej Polskiej puszcza Białowieska wchodziła w skład wielkiego pasa lasów, który od północo-zachodu, od krainy jezior augustowskich, ciągnął się przez obecną gubernię grodzieńską, mianowicie przez porzecze górnej Narwi, w kierunku Chełma i Lublina. Lasy te w znacznej swojej części, wraz z postępem kultury, zostały wytrzebione, a najwspanialszy zabytek tej drogi ogromnej dla łupieżczych band Jadźwingów, Litwinów i Prusaków, w bogatych krainach polskich zaspakajających najpierwotniejsze swoje potrzeby, zachował się w dzisiejszej puszczy Białowieskiej. Puszcza Białowieska z dawien dawna była królewszczyzną, a ponieważ zawsze obfitowała w najprzedniejszą zwierzynę, w tury, żubry, medźwiedzie, łosie, danielo, jelenie—była ulubionem miejscem polowań królów polskich. Wszakże dopiero w XVI stuleciu, za panowania Zygmunta Augusta, zostaje jako tako doprowadzona do porządku, pomierzona i podzielona na dwanaście mniej więcej jednakowego obszaru jednostek leśnych, zwanych strażami, a mianowicie na: augustowską, narewską, browską, hojnowską, leśniańską, starzeńską, stołpowską, krukowską, okolnicką, świetliczkowską, podbielską i dzia-dowlańską. Ponieważ dozór tak dużych przestrzeni leśnych spoczywać może tylko w rękach ludzi, którzy doskonale je znają, każda z nich otrzymała swoją wyłączną straż leśną, dziedzicznie z ojca na syna przechodzącą. Zwyczaj ten utrzymuje się z nielicznymi wyjątkami po dziś dzień, o ile dostarcza zawsze ludzi znanych, pewnych i odpowiedzialnych, jako od dzieciństwa w puszczy wychowanych i doskonale z nią obznajomionych.

Rząd rosyjski podzielił puszcę na 5 leśnictw: hojnowskie, starzyńskie, browskie, królewskie i świstockie. Leśnictwo świstockie nie wchodziło dawniej w skład puszczy Białowieskiej; dopiero w ostatnich czasach, gdy żubry gromadnie zaczęły się przemieszczać do sąsiednich kniei tyszkiewiczowskich, te ostatnie pod wzwym wymienioną nazwą zostały przyłączone do obszarów puszczańskich. Każde leśnictwo dzieli się na 4 objazdy; objazd, zależnie od wielkości, ma dwadzieścia do dwudziestu dwóch obchodów, a obchód ma 4 kwartały. Zwierzyniec, w którym hodowane są zwierzęta, przeznaczone na zdobycz polowań cesarskich, mieści się w leśnictwie hojnowskim, o 9 wiorst od wsi Hojnowka, leżącej na zachodnim skraju puszczy. Obecnie rozległość jego jest poważnie zmniejszona: gdy dawniej obejmował przeszło 10 wiorst kwadratowych, dziś ma ich zaledwie cztery. Zwierzyniec wcale nie sprawia wrażenia lasu, a tem mniej puszczy. Większe drzewa rosną tu dość rzadko; nie brak za to rozległych polan; podobny jest raczej do zapuszczonego parku angielskiego, aniżeli do lasu. Puszcza Białowieska jest obecnie największym lasem a właściwie zespołem lasów, niemal bezpośrednio z sobą sąsiadujących, w całej Europie, z wyjątkiem chyba obszarów leśnych dalekiej Północy. Obszar jej zajmuje bez mała 30 mil kwadratowych.

Wybierając się do puszczy, miałem nadzieję, że jeżeli nie zdołam poznać jej dokładnie w przeciągu tak krótkiego czasu, to przynajmniej zwiedzę najtajniejsze nawet jej zakątki, ile że miałem ją za zcalony obszar leśny, a według opowiadań Hojnowka miała leżeć w samym środku. Było to złudzenie. A że w puszczy bardzo łatwo zbłądzić, a nie znałem nikogo dobrze z nią obznajomionego, poznałem więc jako tako jedną tylko straż hojnowską. Zatem osobiste wrażenia moje odnoszą się tylko do tej części obszarów puszczańskich.

Już u samego wstępu do lasu zwraca uwagę przybysza niezwykła wysmukłość pni drzewnych, całkowicie gładkich, pozbawionych gałęzi do znacznej wysokości i dopiero w pobliżu wierzchołka opatrzonych mniej lub bardziej rozłożystą koroną liściastą lub iglastą. Nie tyczy się to tylko sosen, które i w naszych zwartych borach mają ten sam charakter zewnętrzny, ale nawet dęby, lipy i wszystkie inne drzewa, u nas pospolicie grube i przysadziste, o pniu krzywym i nisko wyrastających konarach, tu rosną prosto, dosięgają nieznaną u nas wysokość i rozgałęziają się dopiero wtedy, gdy osiągną niezbędne dla należytego rozrostu warunki, mianowicie, gdy szczyt ich dobiegnie tych zda się podniebnych wysokości, gdzie nie krępowany koronami drzew sąsied-



nich, może dowolnie pławić się w świetle i wolnem, czystem powietrzu. W walce o byt giną tu, jak wszędzie indziej, jednostki słabsze, opatrzone mniejszym zasobem sił, zwyciężają za to jędrniejsze, mocniejsze, które, zdawałoby się, cały wrodzony im skarb sił żywotnych wyładowują z początku tylko na wydostanie się ponad poziom swych sąsiadów, na osiągnięcie do owych granic, tak napozór blizkich nieskończoności, gdzie pełno światła i powietrza; dopiero po zdobyciu owych najpierwszych, najistotniejszych warunków życia rozrastają się wszcz, zapewniając sobie moc i siłę na wypadek ciężkiej walki o byt. Byłaby tu zupełna analogia do rozwoju człowieka, który w wieku młodzieńczym odznacza się wzrostem wybujałym, a męźniej dopiero w wieku dojrzałym. Tak sprawę tę pojął Henryk Sienkiewicz w pięknem orzeczeniu, że „drzewa dopiero wtedy myślą tu o grubości, gdy załatwią się z wysokością.“ Byłoby stosunkowo dość łatwo sprawdzić, czy tak jest w istocie: porównać pieńki drzew jednego gatunku i tego samego wieku z puszczy i z naszych lasów; gdyby tak było wistocie, pierścienie zewnętrzne pierwszego powinny być względnie grubsze, aniżeli u drugiego.

Puszcza jest to las mieszany; oprócz rzadkiej w leśnictwie hojnowskim jodły, rosną tam równie obficie: sosny, dęby, jesiony, graby, brzozy, brzostry, lipy, modrzewie, osiki, olchy, wiązy, a nawet w niewielkiej ilości cisy. Nieznaczna mnogość ostatnich, niegdyś w kniejach tutejszych bardzo obficie rosnących, tłómaczy się ciąglem niszczeniem ich przez mieszkańców puszczy, którzy poczytują wywar z cisów za skuteczne lekarstwo przeciw wścieklicznie. Kilka zaledwie pozostałych dotychczas osobników tego drzew gatunku ciągnie resztki żywota swego w leśnictwie królewskim. O ile na skraju borów leśnictwa hojnowskiego rosną same tylko olbrzymy drzewne, bez krzew i zarośli, o tyle już w głębi las staje się istotną knieją, podszytą tem gęściej, im głębiej w las, a dalej od brzegów. Idąc szosą bielsko-prużańską od Hojnowki w kierunku Białowieży, już na odległości bez mała 1½ wiorsty od wsi, z obu stron drogi odgradza nas od reszty świata zwarta ściana gęstego i suto podszytego lasu. Przypatrując się tej pełnej mroku a tajemniczej ości, łatwo zrozumieć, jak wygodnem, rzekłbym obrazowo, pełnem komfortu schroniskiem może być nawet dla najdzikszej zwierzyny. Miejsca takie jednak w leśnictwie hojnowskim są dość rzadkie. Dlaczegoż puszcza Białowieńska utraciła swój dziki, właściwy puszczo-m, charakter. Przypuszczam, że przyczyn znalazłoby się sporo. A więc między innymi jest ono miejscem częstych polowań rodziny cesarskiej;

wskutek tego zarząd dokłada wszelkich starań, aby ją utrzymać w możliwie przystojnym stanie. Dość chociażby wspomnieć szosę z Bielska do Prużan, przerzynającą Białowieżę: jest to jedyna, jaką widziałem w państwie rosyjskiem, arterya komunikacyjna tego rodzaju, która w niczem zgoła nie ustępuje najlepszym szosom zagranicznym: gładka jak deska, ze wspaniałymi, a co ważniejsza, mocno zbudowanymi, mostami kamiennymi o pięknych poręczach żelaznych. Powtóre właśnie zbyt nikłe dążenia do utrzymania dawnego dzikiego, a tak pełnego uroku charakteru puszczy.

Do niedawnego czasu puszcza Białowieska należała do ministerjum finansów, w którego interesie oczywiście leżało wyciągnąć z niej możliwie wielkie dochody. Stąd starania zaprowadzenia racjonalnej gospodarki leśnej, co bynajmniej z estetycznym wyglądem tych obszarów leśnych nie wspólnego nie miało; przeciwnie, wprawdzie nie celowo, lecz stale dążyło do zatracenia wszelkich znamion dzikości: wytępienia zwierzyny i zniszczenia najwspanialszego starodrzewia. Przed kilkunastu laty puszcza zaliczoną została do apanaży cesarskich. Odtąd gospodarka tamtejsza przybiera wręcz odmienny charakter: Ostatecznym celem jest nie wielkość dochodu, lecz utrzymanie zwierzostanu na możliwie wysokim stopniu doskonałości. Od tego to zdaje się czasu liczba żubrów np. zaczyna stale wzrastać. Przyczyniło się to w części i do powolnego wprawdzie powrotu puszczy do stanu dzikości. Jednak nawet gospodarki obecnej za istotnie dążącej do utrzymania dawnego charakteru poczytywaćby nie mógł. Pojmuję jak mylnem jest przekonanie, że dla dobra lasu niezbędne jest utrzymanie starodrzewia, to co dobiega kresu życia, winno paść pod siekierą, łupem chciwości ludzkiej, która materiału, jakiby w innym razie zbutwiał bez wyraźnej korzyści ani dla lasu, ani wogóle dla nikogo, używa do wielorakich celów, nawet technicznych i estetycznych. Lecz ścinać należałoby tylko te drzewa, które patologicznym stanem swoim wskazują, że tak czy owak przeznaczone są na zagładę. Jędrnym zaś i zdrowym osobnikom winno się pozwolić dalej ciągnąć żywot swój pełen siły i energii życiowej. Tymczasem miałem możność powielekroć sprawdzić, że ofiarą topora padły najzdrowsze olbrzymy leśne. Dlaczego je zatem ścięto? Dlaczego zniweczono najwspanialsze ozdoby puszczy i najcenniejszy materiał leśny? Odpowiedź łatwa: zapełniły luki w tabeli dochodów, jakie przecież nawet apanaże cesarskie winny wykazywać, albo co gorsze, pokryły wydatki ponad stan panów urzędników leśnych. Nieraz, błędząc po borze wśród wysokich



pni i gęstego podszycia z krzów, a tu i owdzie młodych pędów drzewnych, zewsząd otoczony półmrokiem cieniów dziennych, tak rozkosznym w upalne dni letnie, zniemacka natrafiałem na duże halizny, pozbawione całkowicie drzew, zastawione za to stosami klepek i gontów, tudzież drzewem opałowem, ułożonem w sągi. To tu, to tam, gdzie więcej wolnego miejsca, leży powalony na ziemię, a ogołcony z kory pień kilkudziesięciolokciowy sosny, świerku albo dębu; świeci on śmiertelną bledością obnażonego ciała, a w niedalekiem sąsiedztwie zwieszają się wielkie płaty zdartej z niego, pokurzonej kory i olbrzymie kopy wierchołków i gałęzi, jak gdyby błagalnie, ze skargą na krzywdę, wyciągających w górę ramiona. Smutne myśli naprowadza taki obraz zniszczenia wśród tryskającej życiem natury, tem boleśniejsze, że zdaje się nie zawsze powstał z wiedzą zarządu, a jest dowodem karygodnego korzystania z cudzego dobra. Ani razu bowiem nie spotykałem tego w pobliżu szosy albo kolei; natomiast nieomal bez wyjątku w blizkiem sąsiedztwie domostw urzędników leśnych.

W pobliżu bardziej uczęszczanych dróg porządek jest wzorowy. Po obu stronach toru kolejowego, między Czeremczą a Hojnówką, widać szeregi świeżo poczynionych poręb, zmieniających się kolejno z nietkniętymi siekierą połaciami leśnemi. Jest to łatwo zrozumiałe, gdyż w pobliżu dróg wszelki materiał leśny nabiera ceny i łatwo zostaje sprzedany; nie wpływa to ujemnie nawet na rozwój zwierzostanu, ile że w pobliżu kolei zwierzęta przebywają tylko o tyle, o ile zagna je przypadek. Tak niezemnie uzasadnione gospodarstwo rabunkowe dąży do zaprzepaszczenia całego uroku, właściwego puszczy, do sprowadzenia wspaniałego ze wszech miar, a jedyne go w swoim rodzaju zabytku dawnej przyrody do szeregu zwykłych borów naszych. Oczywiście, jak przed chwilą wspomniałem, nie całą winę kłaść należy na karb gospodarstwa zarządu leśnego. Prawdopodobnie lwią część winy przypisać wypadnie żądzy zarobków dodatkowych urzędników tamtejszych, tudzież niszczyielskiemu instynktowi ludności miejscowej. Zwracałem już uwagę, że znikomo małą ilość cisów, jakie pozostały w puszczy (nie więcej jak 10 osobników), tłómaczyć można przeważnie tępieniem ich przez mieszkańców okolicznych. W czasie krótkiego w puszczy pobytu niejednokrotnie widziałem wieśniaków, niosących na barach świeżo ścięte młode drzewka.

Co się tyczy zarządu leśnego, to ten nie uznaje tej wielkiej prawdy życiowej, że chcąc być bogatym, nie dość jest mieć w danej chwili dużo, ale trzeba być przytem oszczędnym. Największe

bogactwo, wobec braku tej cnoty, może być rychło roztrwonione. Owóż cnoty tej właśnie zarząd leśny nie posiada. Wszystkie przestrzenie zalesione ogrodzone są tu wysokim mocnym płotem. Tam gdzie, w puszczy lub w jej sąsiedztwie, znajdują się wsie, zarząd bezpłatnie daje drzewo mieszkańcom dla odgradzenia się od kniei a to w celu ochrony przed najściem zwierzyny i wyniszczeniem przez nią zasiewów, co oczywiście pociąga za sobą odpowiednie wynagrodzenie za szkodę. Wysłuzona straż leśna, oraz wielu żołnierzy-inwalidów dostają darmo drzewo, nieraz po kilka tysięcy t. zw. kubików, na pobudowanie się lub naprawę budynków. Wszystko to w żadnym razie nie mogłoby zasługiwać na nagane, gdyby czynione było z odpowiednim rachunkiem. Lecz takiego w czynnościach zarządu puszczańskiego dopatrzeć się trudno. Ot, chociażby płoty; toż, co się tyczy mocy, to nie ustępują one w niczem średniowiecznym częstokołom, ogradzającym dawne grody i zamki dla obrony przed najściem Tatarów. Są to grube na pół łokcia i więcej pniaki sosnowe, wysokie najmniej na 7 stóp; w odstępach półłokciowych porobiono w nich wyżłobienia, w których przymocowano grube okrągłaki sośniny.

Ale i zwierzęta z natury rzeczy także są niepoślednimi niszczycielami roślinności. Łosie, na przykład, żywią się przeważnie korą młodej drzewiny. Ogromne spustoszenia, zwłaszcza w zagajnikach drzew liściastych, czynią jelenie i sarny. Sarny ogryzają drzewko nisko, bodaj od samej ziemi; jelenie czynią to samo wyżej ku środkowi pnia; zdarza się to dwa razy do roku: jesienią, gdy trawa i liście przestają być świeże i wiosną, podczas obfitszego krążenia soków roślinnych. A trzeba przyznać, że zagajniki tutejsze, szczególnież nieco starsze, są niezwykle piękne; zwą je tutaj młodziakami.

Ponieważ niszczenie roślinności przez zwierzęta nie ogranicza się tylko na puszczy Białowieskiej, lecz odbywa się wszędzie, w ogólnym zatem bilansie przyrody znaczenie jego musi być znikomo małe. Do przetrzebienia puszczy w znacznym stopniu przyczynił się za to owad zwany mniszką, który w leśnictwach: świstockiem, browskim i królewskim niszczył świerki. Aby przeszkodzić szerzeniu się tego pasożyta, w pień wyrąbano kilkaset dziesięcin lasu, gdzie drzewo to rosło bardziej obficie. W leśnictwie hojnowskim mniszka ukazała się nieco później, lecz tutaj na sosnach. W celu wytepienia tak szkodliwego niszczyciela lasów, oskrobano zewnętrzne warstwy kory na wszystkich sosnach od dołu i do wysokości mniej więcej wzrostu człowieka poczyniono na nich smolą pierścienie, poza obręb których mniszka do-



stać się nie może. Krom tego, w myśl możliwie skutecznego zakończenia walki z mniszką, zarząd puszczański rozciągnął troskliwy nadzór nad kupcami drzewa. Nabywając bowiem las na wyrąb, kupcy ścinali tylko drzewo budowlane, pozostawiali natomiast młode, wątłe osobniki. Ponieważ znajdowały się na nich często zarodki, mniszki w rozmaitych okresach rozwoju po dojrzaniu przenosiły się na inne starsze drzewa. W ten sposób wszelkie starania, podejmowane celem wytepienia tego pasorzyta, długo nie odnosiły pożądanego skutku. Obecnie zarząd leśny ścina na własny koszt pozostawione przez handlarzy młode drzewka, z kory ich wybierać każe robotnikom gąsiennice i poczwariki mniszki, a wyłożone na to koszty ściąga z winnych drogą administracyjną.

Należyty rozrost lasu możliwy jest tylko przy zachowaniu odpowiedniego porządku. A tego poza bezpośredniem sąsiedztwem szosy i toru kolejowego trudno się dopatrzeć. Są w puszczy miejsca, gdzie stare, przeżyte lub przez burzę powalone drzewa, padając łamią młodsze i tak leżą nie tknięte ręką ludzką długie lata, dopóki posłuszne prawom natury, ulegając powolnemu przestoczeniu, nie zamieniają się w próchno. Spoczywają często jedne na drugich i tworzą wysokie, dla człowieka kulturalnego nieprzebyte niemal zapory; obrasta je gruba powłoka mchów i porostów; niejednokrotnie są tak zniurszałe, że laska pod naporem ręki grzęźnie w nich po samą rękęjeść. Mnóstwo połamanych gałęzi i młodszych drzewinek zawala wszędzie podłoże boru, pełne nierówności, głębokich dołów i wybojów, porobionych przez drzewa, które, padając wrywały ogromy ziemi, pozostawiając po sobie wielkie wyboiska. Przestrzenie takie, zdawałoby się nietknięte nogą ludzką, noszą po rosyjsku nazwę „zawałów.“ Setki prastarych olbrzymów leśnych wznoszą ku podniebnym obszarom czoła swoje, uwieńczone gęstą koroną liści lub igliwia, a wolne między nimi miejsca zarosłe są krzami i młodszą drzewiną, których poplątane gałęzie to także nielada przeszkoda w wycieczkach po puszczy.

Podobnie dzikich ostępów niema w leśnictwie hojnowskiem; znajdują się natomiast najczęściej w straży świstockiej, która najmniej podlega opiece zarządu puszczy, ponieważ nigdy dotychczas nie była nawiedzana przez monarchów. Nie wszędzie jednak bór pozostawiony jest na łasce losu; w miejscach dostępniejszych a raczej takich, które leżą bliżej dróg, za sprawą zarządu zbierane bywają co wiosną odpadki roślinne, a następnie układane w olbrzymie kupy i palone. Całe masy ciężkiego, gryzącego dymu unoszą się wtedy nad okolicą sąsiednią i zatrująwają powietrze;

ale rady na to niema; drzewo jest tak nizko cenione, że brak innego sposobu pozbycia się niepotrzebnego balastu. Obszar leśny, ciągnący się od Hojnówki do Białowieży, na przestrzeni 20 przeszło wiorst leży na gruncie względnie suchym. Większych bagnisk nie widziałem tu wcale; jedynie brzegi rzeczek, niosących przez tę część puszczy wody swoje do morza, są mokre, porośnięte kwaśną, grubą trawą, właściwą moczarom. Nie wynika stąd jednak, aby cała puszcza odznaczała się tym samym charakterem. Przeciwnie, w dawnych zwłaszcza czasach znajdowały się tu rozległe bagniska i mokradła, przez które tylko człowiek dokładnie obznajomiony z miejscowością, umiejący rozróżnić każdą, najmniej wyraźną ścieżkę, mógł się przedostać bez narażenia życia. Mokre łąki zajmują tu często ogromne przestrzenie. Zdaleka mało różnią się one od innych, suchych; może odznaczają się żywszą nieco zielonością. Zbliżka łatwo je rozpoznać po znamienym wyglądzie traw i nierównej, jak gdyby niedawno zoranej, ich powierzchni. Niektóre z nich do tego stopnia są bagniste, że niepodobna chodzić po nich w zwykłym ubraniu: nogi grzęzną po kolana, albo i głębiej i dopiero na pewnej głębokości natrafiają na twardszą podstawę. Mieszkańcy miejscowi chodzą tu w postolach z łyka lipowego i w spodniach płóciennych. Gdy przechodzimy podobne moczary, co każdy bez mała krok zrywają się już nie stada, lecz całe sznury tu dzikich kaczek, tam łabędzi lub żorawi, gdzieindziej bąków i bekasów. Tu i owdzie na gładkiej, czystej, jaskrawo-zielonej płachcie łąk mokrych widzieć się daje czarna, okrągła, połyskliwa plama; rzekłbyś—to oko ziemi, wpatrzone w nieskończoność. To tak zwane *okna*; coś w rodzaju sadzawek rzadkiego a ciepłego błota, nie porośniętych trawą, z licznymi bańkami gazowymi na powierzchni. Są to najniebezpieczniejsze miejsca, istne zasadzki na nieostrożnych: kto, przeoczywszy je, stąpi na nie, ginie bez ratunku, są bowiem bardzo głębokie.

Bagna z łąk nieraz sięgają w głąb lasu. Zdarza się, że idziemy łągiem z początku suchym; nieznacznie staje się on coraz bardziej mokrym i w końcu przechodzi w bagnisko. Trawa pokrywa tu grunt już nie jednolitym zielonym płaszczem, lecz wyrasta kępami. Odbywszy tak niemłą i uciążliwą drogę, ile że posuwać się naprzód można tylko skacząc z kępy na kępę, dostajemy się wreszcie do lasu. Składa się on z odwiecznych drzew liściastych; na gruncie, po którym stąpamy, rośnie właściwa moczarom trawa, a między nią wyższa od człowieka trzcina. Raz znalazłszy się tutaj, nie widzimy nic, okrom wysokich, cienkich łodyg tej rośliny.



ny, która tak głęboko umiłowiała zasobne w wodę grunty. Tylko u stóp naszych zieleni się trawa, a gdy podniesiemy oczy w górę, między wspaniałemi koronami prastarych ojców leśnych, wysoko i prosto, jak gromnice, wznoszących swoje czoła, dojrzymy jasny płat nieba. Wrażenie, jakiego tu doznajemy, w głównych zarysach swoich przypomina to, jakie ogarnia człowieka na środku pola, gęsto zarośniętego kukurydzą lub końskim zębem. Gdybyśmy spróbowali strzelić, ze wszystkich stron zerwałyby się chmury dzikiego ptactwa błotnego; oczywiście, strzał w takim gąszczy skutecznym być może tylko w górę.

Większość bagien i moczarów obecnie jest wysuszoną; względnie największa ich ilość znajduje się w leśnictwie królewskim. Pozatem grunt tutejszy jest względnie dobrze przepuszczalny i dlatego twierdzenie o rzekomej wilgoci puszczy Białowieskiej należałoby poczytywać za błędne. Wprawdzie nulla regula sine exceptione, a zatem i tu, jak naprzykład w okolicach Narewki, trafiają się miejscowości wilgotne, gdzie nawet podobno panuje malarya; ale wyjątków za правило poczytywać niepodobna, a co się tyczy Hojnówki, to warunki zdrowotne tamtejsze są jaknajlepsze i tylko silnie odczuwać się daje brak kąpieli rzecznej; płynący bowiem pod Hojnówką strumień samym wyglądem swoim odbiera ochotę do kąpieli. Woda jego jest dosłownie koloru czarnego, dno muliste, a brzegi zarośnięte tatarakiem i innymi roślinami wodnemi.

Puszcza Białowieska, tak zasobna w rozmaite gatunki najpożyteczniejszych drzew krajowych, mogłaby w rękach umiejętnościowych dawać ogromne i stałe dochody. I niegdyś, za czasów dawnego Królestwa Polskiego, budulec białowieski słynny był w całej Europie, a ogromne partie drzewa z kniei tutejszych wędrowały do najbardziej oddalonych miejscowości europejskich, jak np. do Holandyi, Hiszpanii i t. d. Zwłaszcza sosny białowieskie, proste jak świeca, o zwartych słojach i niemal przysłowiowo smolnem drzewie, były niczem niezastąpionym tworzywem na maszty i wyroby stolarskie, a cena ich była odpowiednio wysoka. Obecnie ruch handlowy drzewny został znacznie ograniczony, rzeki tutejsze rzadko kiedy niosą na wodach swoich pnie drzew z borów tutejszych. Częściej wprawdzie widzieć się dają naładowane drzewem wagony na drogach żelaznych. W każdym razie, biorąc pod uwagę olbrzymią przestrzeń puszczy, zbyt jest mniej niż skromny. Zdaje się, że zarząd puszczy, zamiast prowadzić systematyczny, celowy handel drzewny, zapewniający, jeżeli nie wielkie, to stałe dochody, zadawała się zyskami doraźnymi, nie

bacząc na to, że obniża w ten sposób stronę procentową dochodu, a w wielu razach dobrowolnie pozbywa się znacznej części możliwych korzyści. Głównymi a bodaj nawet jedynymi nabywcami są tutaj tylko Żydzi. Owóz zwykle handlarz proponuje kupno pewnej ilości t. zw. „kubików“ drzewa; zarząd wyznacza mu pewną przestrzeń lasu, na której handlarz wyrąbuje budulec, a pozostawia drzewinę młodszą. Obalone drzewo zostaje wymierzone na kubiki i podzielone na trzy gatunki, zależnie od równości, braku sęków i t. d. Żyd nabywa wszystko po zdumiewająco niskiej cenie; pierwsze dwa gatunki spławia drogą wodną za granicę, trzeci zaś wysyła do tartaków miejscowych na przeróbkę na belki, deski, fele i t. d. Jako resztki niepotrzebne, nie zużyte przez odbiorcę, pozostają gałęzie i wierzchołki. Zarząd układa ostatnie w sążnie, pierwsze zaś w kopy i sprzedaje. Okrom tego wyrąbują tu i sprzedają, oczywiście także po nader niskiej cenie, t. zw. „perestoj“, t. j. starodrzew, który zaczyna usychać, gnąć i wogóle objawia oznaki życia nienormalnego. Nie potrzeba dodawać, że pod tym pozorem sprzedawane bywają często drzewa nietylko wielkie, ale całkowicie zdrowe, za cenę znikomo małą po parę rubli od pnia, który nabywca sprzedaje następnie za kilkadziesiąt, a czasami i więcej rubli.

Po sprzedaniu lasu na wyrąb, albo po jego zniszczeniu wskutek jakiegokolwiek przyczyny, zarząd karczuje daną przestrzeń ziemi, a zebrane karczce sprzedaje fabrykom, wyrabiającym terpentynę, spirytus drzewny i t. d. Zakłady takie w znacznej ilości rozproszone są po całej puszczy. Największa smolarnia, która oprócz smoły i terpentyny dostarcza jeszcze spirytusu drzewnego, istnieje w okolicach Hojnówki. Ziemię wykarczowaną oddają bezpłatnie włościanom pod zasiew żyta, albo tatarcki, poczem znów sadzą albo sieją las liściasty, iglasty lub mieszany, przeważnie w zależności od natury gruntu.

Podczas wielokrotnych błędzeń moich po puszczy, miałem możność zauważyć, że ofiarą chciwości ludzkiej w kniejach tutejszych padają przeważnie świerki, sosny, dęby, brzozy i osiki. Sosny, jak wyżej rzekłem, cieszą się dawną i ustaloną sławą, jako że dostarczają najlepszego tworzywa nietylko na maszty i wyroby stolarskie, ale i na gonty, wyrabiane tu na miejscu; przytem społem z brzezina są najpospolitszym materiałem opałowym; drzewo brzozowe, jako dostarczające więcej ciepłaka, bardziej jest cenione. Świerk jest także jednym z najużyteczniejszych drzew naszych; odznacza się on tutaj niezwykłą miękkością pnia i przy niewielkim wysiłku uderzeniem laski można przebić korę



kilkudziesięcioletniego świerka aż do samego drewna. To ostatnie łatwo ulega rozkładowi w odpowiednich odczynnikach chemicznych i daje masę galaretowatą różowego koloru, która po oczyszczeniu i sprasowaniu, dostarcza wyborowego papieru pakowego. Stąd drzewo świerkowe nabywane bywa wielkimi partjami przez papiernie w państwie rosyjskiem. Ogromne składy okrągłaków świerkowych leżą na skraju borów leśnictwa hojnowskiego. Prócz tego ze zdrowszych części świerku wyrabiają na miejscu gonty, gałęzie zaś i wierzchołki—idą na opał. Nawet kora nie pozostaje bez użytku. Obecnie, gdy cena kory dębowej ciągle wzrasta, świerkowa, po dość wygórowanej cenie, dostarczana bywa do garbarni.

Z dębów—a jest to jedno z najtwardszych i najoporniejszych drzew naszych — przygotowują grube a niskie belki do budowy okrętów. Znaczna ilość dębiny używaną bywa również do wyrobu klepek, wysyłanych głównie do Anglii.

Osika, jedyne tworzywo do produkcji zapalek, zakupywaną bywa przez fabryki, trudniące się jej wyrobem; przytem jako produkt uboczny, dostarcza również gwoździ szewskich do butów.

Jak mi obecnie donoszą, do puszczy Białowieskiej zjechał świeżo geometra, który ma podzielić puszcę na nowe leśnictwa. Noszą się tu podobno z projektem urządzania racjonalnych wyrębów, gwoli ułatwienia kontroli i chociażby częściowego usunięcia dotychczasowego gospodarstwa rabunkowego. W roku ubiegłym puszcza przyniosła ogólnego dochodu 900,000 rubli, co w stosunku do wykładanego na jej utrzymanie kapitału, stanowi wpływ bardzo mały.

## II.

Znamienną cechą świata zwierzęcego puszczy Białowieskiej jest szczupła ilość gatunków, a nawet osobników drapieżnych. I nie dziw. Zarząd, gwoli utrzymania polowań cesarskich w dawnym blasku i chwale, a zatem dla zapewnienia zwierzynie jaknajpomyślniejszych warunków życiowych, wszystkie usiłowania swoje skierował ku wytepieniu drapieżców. Chcąc pobudzić ludność miejscową do współdziałania w tym kierunku, ustanowił specjalną taksę wynagrodzeń za tępienie szkodników, zależnie od szkód, czynionych przez nie, tudzież od trudności ich zgładzenia.

Według taksy tej za wilka, który został zabity bez pomocy postronnej, dają 10 rb., z obławą 3 rb.; za lisa płacą 1 rb., a za

całe ich gniazdo — 5 rb.; głowa kuny przedstawia dla zarządu wartość 1 rb., tchórza — 50 kop. Dawniej, gdy orłów było bez porównania więcej, każdą sztukę orła szarego ceniono na 5 rb., obecnie, ponieważ ilość ich znacznie się obniżyła — tylko 1 rb. Co się tyczy jastrzębi, to tych musi być dość dużo, skoro podczas wycieczek moich po puszczy za każdym razem słyszałem wielokrotnie głosy młodych, dopominających się pokarmu; to też za dostarczone gniazdo jastrzębi płać 3 rb.

Okazało się to w praktyce o tyle skuteczne, że np. niedźwiedzie zostały całkowicie wytępione. O rysiach i żbikach leśnicy miejscowi słuchają z takim zdumieniem, jakbyś im mówił o potworach przedpotopowych. Ilość wilków, lisów, borsuków, kun i tchórzy zmniejszyła się poważnie; pomimo to wilków w puszczy, zwłaszcza w dzikszych ostępach, jest jeszcze sporo, o czym sądzić można chociażby z tego, że zimą, gdy tak trudno o pokarm, całymi stadami włóczą się po kniejach, a nawet wychodzą na miejscowości zamieszkane, drogi i t. d. Zimy ubiegłej Żyd, jadący ze Świsłoczy, został na drodze napadnięty przez wilki i pożarty. Ponieważ wiadomości o życiu zwierząt wogóle mało są znane nawet najinteligentniejszym jednostkom naszego społeczeństwa, podaję tu w krótkości zasady gospodarstwa wilczego w obrębie puszczy.

Para wilków zakłada schronisko na moczarach lub bagniskach, jako miejscach najmniej dostępnych; na którejkolwiek z kęp porośniętych łożyną i wysoką starą trawą, budują rodzaj domku z przykryciem, uwitem z tych roślin. Tu spędzają czas wolny od łowów i chowają swoje potomstwo, które zazwyczaj rodzi się w maju. Gdy młode wilczęta dostatecznie podrosną, mniej więcej w początkach zimy, rodzice wyganiają je z gniazda, z wyjątkiem jednego ulubionego gagatka, którego pozostawiają przy sobie i z którym pospółu spędzają zimę. Parzą się w styczniu; skoro więc w maju znowu zjawi się stadko młodych wilcząt, rodzice już nie potrzebują wyładowywać tyle troskliwości gwoli wychowania młodzieży, mają przecież pomocnika, a tym jest poprzednio tak pieśczonego potomek, w roku ubiegłym pozostawiony w gnieździe. Na niego więc spada obowiązek doglądania i baczenia na dobro młodszych braci i siostr. Rodzice, wolni teraz od trosk wychowywania, mają możność całą wrodzoną energię życiową zużywać na zażartą walkę o byt, na łowy w najodleglejszych nawet krańcach puszczy, co się dzieje tylko w ostateczności, zwykle bowiem nie odchodzą daleko od swojego schroniska. Młode wilczęta nie tracą zgola na takiej zmianie opieki. Starszy ich brat



z całą obowiązkowością spełnia powierzoną sobie rolę niańki i w razie grożącego niebezpieczeństwa głośnym szczekaniem przywołuje do pomocy rodziców. Gdy nowe pokolenie podrośnie, stare wybierają z pośród niego nowego ulubieńca, który w przyszłości będzie prowadził ten sam sposób życia, co ulubieniec zeszłoroczny, a ostatniego wypędzają wraz z całym młodszym potomstwem. Wartownik taki nigdy nie odchodzi daleko od gniazda; zawsze trzyma się w pobliżu, pilnie baczy na bezpieczeństwo schroniska, a w razie najmniejszej obawy o całość powierzonych sobie pieczy gromadki, przywołuje na obronę rodziców.

Lisów w puszczy jest zdaje się znacznie mniej, miałem jednak sposobność widzieć stadko młodych lisiątek, chowane przez jednego ze strażników leśnych; mieszkańcy okoliczni niejednokrotnie proponują przyjezdnym nabycie tych zwierząt. Są to świadectwa, wskazujące, że jednak jest ich jeszcze sporo w borach tutejszych. Zimowa skóra lisa kosztuje tu na miejscu 10 rb. Za taką skórę kuny żądają 18 rb.

Ze zwierząt, utrzymywanych kosztem zarządu leśnego, bezspornie najbardziej, ze względu na swoją rzadkość, zasługującymi na uwagę, a zarazem najgroźniejszymi, są żubry. Ilość tych istotnych władców puszczy dochodzi obecnie do tysiąca i rozproszone są mniej i bardziej licznymi stadami po całej puszczy, i tylko kilkadziesiąt sztuk uwięzionych jest w zwierzyńcu. Parzą się w maju, a cielą na wiosnę. Cielęta 3 lata, jak mi mówiono na miejscu, karmią się mlekiem matki. Są to zwierzęta towarzyskie; zwłaszcza samice wraz z cielętami nigdy nie chodzą same, lecz trzymają się stadami po kilkanaście sztuk. Natomiast stare samce często odłączają się i błądzą po puszczy w pojedynkę; takie tylko żubry są istotnie groźne, chociaż bardzo rzadko napadają, nie będąc poprzednio rozdrażnione. Żubra rozdrażnionego łatwo poznać po gwałtownem rozdymaniu nozdrzy i miarowem poruszaniu ogona. Opowiadano mi, że podczas przejazdu przez knieje puszczańskie, zwłaszcza zimą, często spotkać można żubra, stojącego na drodze z groźnem okiem, wpatrzonem w zbliżającego się podróżnika. Jeżeli tylko macha ogonem, lepiej nie zbliżać się do niego, lecz objechać zdaleka, może bowiem rzucić się, a wtedy niema ratunku. A jest tak uparty, że stać będzie kilka godzin na jednym miejscu bez wyraźnej potrzeby, nie wykonywując innych ruchów, prócz poruszania ogonem. Za to w stadzie żubry są ostrożne i lękliwe; ustępują z drogi przed pojedynczym, nawet nieuzbrojonym człowiekiem, a spłoszone czemkolwiek, rzucają się do ucieczki.

Żubr—to uosobienie dzikiej siły fizycznej. Wspaniały, w całym tego słowa znaczeniu, groźny tors; silny kark wraz z głową porośnięty gęstemi kudłami, jakby lwia grzywą; krótkie lecz grube i mocno na mózdzienkach osadzone rogi; wielkie, piękne, zawsze krwią nabiegłe, pełne drapieżnego wyrazu oczy, przy tem wszystkim tył ciała nikły, lecz nogi mocarne—oto obraz tego zwierzęcia. Węch ma niesłychanie subtelny, bez mała jak u zwierząt drapieżnych; żubr zdaleka, zwłaszcza pod wiatr, rozpoznaje zbliżanie się nieprzyjaciela. Latem, gdy paszy mają podostatkiem, tyją, a sierść ich przybiera barwę szarobrunatną, podobną do wielbłądziej; na zimę chudną, sierść ich czyni się gęstszą i zmienia kolor na ciemniejszy, czarno-bury. Letnią porą, na podobieństwo innych zwierząt, żubry, szukając chłodu, przenoszą się do dzikich, gęstych lasów leśnych, gdzie dzień cały przebywają w spokoju, leżąc w cieniu konarów drzewnych i dopiero po zachodzie słońca wyruszają na żer i do wodopoju.

Żubry parzą się z naszym bydłem domowem i dają potomstwo bezpłodne. Stosunek zachodzi tylko między samcem żubrem a krową i kończy się zwykle okrutnem poturbowaniem tej ostatniej.

Dzik, na pierwszy rzut oka to zwierzę brzydkie i niezdarne. Nie takim jednak wydaje się na tle dzikich ostępów leśnych, gdzie, jako odyniec, wstrząsające wywrzeć może wrażenie. Jak u żubra przód ciała silniej rozwinięty od zadu, ryj długi, szczęki opatrzone silnymi, ostrymi i długimi, zwłaszcza u starych dzików, kłami. Krótsze, sterzące do góry uszy, oraz silna, koścista budowa ciała czynią z dzika istotę o kształtach o wiele harmonijniejszych od tak blisko mu pokrewnej świni domowej. Zwierzęta te wydzielają woń tak przykrą, iż zdaleka można rozróżnić zbliżanie się stada dzików.

Dzików w puszczy Białowieskiej jest mnóstwo. Zimową porą rozchodzą się po obszarach leśnych, szukając paszy, trzymają się zaś lasów dlatego, że tam znajdują strawę (buraki, marchew, kartofle) w paśnikach, wyłącznie ad hoc przygotowaną. Chadzają zawsze stadami, tylko stare wieprze, samce, t. zw. „kiernozy“ albo „kierdaki“, u których kły wyrastają tak długie i ostre, że łatwo kaleczą towarzyszy, bywają przez stada wyłączone ze współżycia; stają się wtedy tak zwanemi pojedynkami albo odyńcami, pomimo to zawsze trzymają się w pobliżu stada, a spotkanie z nimi zwiastuje niedaleką obecność całej gromady. Odyńce—to przeważnie olbrzymie samce, o niesłychanej sile; zmuszone przebywać samotnie, niemal zawsze padają ofiarą broni myśliwego. W zimie pojedynki a także i świnię prośną, rozgrzebuja



mrowiska, ponieważ te cieplejsze są od reszty zamarzłej ziemi, i tam spędzają wolne od trudów życia chwile. Tu rodzą się młode warchlaki o pasiastej barwie sierści. Wraz z nastaniem wiosny, dziki rozpoczynają wędrówki, poszukując ulubionych *białych truflí*, zwanych także truflami polskimi, które rosną na gruntach suchych, obfitujących w próchnicę. Wtedy właśnie najczęściej padają zdobyczą kłusowników. Dziki krzyżują się ze świniami domowemi, mianowicie przeważnie wtedy, gdy ostatnie wyganiane bywają jesienią do lasu na żołędzie. Potomstwo, pochodzące od skrzyżowania, odznacza się powolnym wzrostem i odróżnia się od prosiaków pospolitych dłuższymi ryjami i przodem ciała nieco wyższym od zadu. Słoninę świni mieszanej rozpoznać można po przykrej woni, właściwej dzikom. Świnie takie trudne są do odkarmienia i nawet przy zastosowaniu wyborowej paszy niełatwo porastają tłuszczem.

Jeleń—ów *cavaliere servante* naszych kniei, bezspornie jedno z najpiękniejszych zwierząt borów naszych, o niezwykle wytwornym kształcie ciała, jest jakby uosobieniem towarzyskości — to symbol młodzieży wyfraczonej, tak żarliwie uprawiającej sztukę flirtu. Trzyma się zawsze w gromadzie—w stadach. Piękny jest widok stada, zmieniającego miejsce pobytu: na przodzie kłusikiem dumnie sunie największy, najteższy samiec; za nim jak awangarda, reszta pokolenia męskiego, w samym końcu dopiero samice—wszystko to wyciągnięte sznurem, sztuka za sztuką, mknie wpoprzek lasu, nigdy brzegiem, prawdopodobnie wskutek nigdy nie-nagannej ostrożności.

Przepiękny jest w lecie widok łani, na tle ciemnej zieleni borów, gdy sierść jej przybiera barwę rdzawo-czerwoną. Czyni wtedy wrażenie bajecznie kolorowe; a spotyka się łanie tutaj bardzo często, nawet w miejscach bezpośrednio sąsiadujących z siedzibami ludzkiemi.

Jelenie w ostatnich czasach ogromnie rozmnożyły się w puszczy Białowieskiej; liczą ich tu na tysiące; najczęściej ze wszystkich zwierząt padają łupem kłusowników tutejszych. Skóry ich, a zwłaszcza rogi — to jeden z najpospolitszych przedmiotów tajnego handlu.

Łoś—filozof i samotnik—myśliciel świata zwierzęcego, przebywa przeważnie na bagniskach i moczarach. Łoś nie ma pozorów tak wyszukanych, jak jeleń. Przód ciała, silniej rozwinięty od zadu, pozwala mu tylko z trudem karmić się trawą. Główna jego strawa—to kora młodych drzewek, oraz liście. Głowa jego utraciła tę czystość linii, jaką podziwiamy u jeleni. Wspaniałe wielkie rogi czynią zeń groźnego wroga tych ostatnich.

Łosie niegdyś licznymi stadami przebiegały bagna i mokradła puszczy Białowieskiej; obecnie, od czasu osuszenia błot tutejszych, przeniosły się do wilgotniejszych kniei sąsiednich. Tu i owdzie ukazują się niekiedy w jednym tylko leśnictwie Królewskim, gdzie też znajdujemy największą mnogość bagnisk wszelkiego rodzaju.

Nietylko wszakże brak wilgoci stał się przyczyną wędrowki tych zwierząt. Najulubieńszym pokarmem łosi, jak wzmiankowałem, jest kora młodych pędów drzewnych, zwłaszcza osiki i brzeziny. Obecnie zaś ilość zagajników została znacznie ograniczona. Przytem łos i jelen—to dwa wrogie sobie współzawodniki, toczące żarliwą, a nieraz krwawą walką o byt. Że zaś ilość jeleni znacznie wzrosła w ostatnich czasach, łosie, rade nie rade, musiały opuścić dotychczasowe miejsca pobytu.

Daniele, wzrostem mało co większe od dużej sarny, z pięknymi, ku końcowi spłaszczonymi rogami, plamistym zabarwieniem sierści i nieomal równie wdzięcznych kształtów, jak jelenie, w porównanej ilości przebiegają dziksz odstępami puszczy. Bez porównania liczniejsze sarny rozmnożyły się bodaj jeszcze obficie od jeleni. Mnogość ich wzrosła do tego stopnia, że wprost niepodobna prowadzić jakiegokolwiek kontroli ilości.

Co się tyczy zwierzyny lotnej, to, dzięki obfitości zarówno gruntów suchych, jak wilgotnych, znajdujemy tu wszystkie, powszechnie u nas znane gatunki; niema tylko kuropatw, wskutek braku odpowiedniego pożywienia: folwarków prywatnych w okolicach puszczy jest niewiele, chłopci zaś stert wcale nie stawiają, dlatego w zimie ziarn bardzo mało; sądzę, że nie bez wpływu jest także znaczna ilość jastrzębi.

Kontrola zwierzyny w puszczy Białowieskiej wogóle nie jest tak trudna, jakby to się zdawać mogło. Zarząd tutejszy utrzymuje liczną służbę leśną. Cały obszar puszczy podzielony jest na wielką liczbę względnie szczupłych przestrzeni leśnych, z których każda ma wyłącznego swojego stróża. Stróż obowiązany jest codzień obejść część boru, powierzoną jego pieczy. Wszystkie zaś zwierzęta mają wydeptane przez siebie ścieżki, któremi chadzają do wody. Te szlaki drożne doskonale znane są wszystkim gajowym. Prócz tego, gwoli zapewnienia zwierzynie strawy w zimie, w puszczy pourządzane są paśniki, codzień napełniane paszą. Zwierzyna tak przyzwyczaiła się do tego sposobu odżywiania się, że nietylko wcale nie obawia się stróży, ale w porach napełniania paśników tłumnie otacza służbę leśną, spełniającą swą czynność. W ten sposób praca owa nieraz z wielkim



tylko trudem może być wykonaną, wymaga bowiem ustawicznego odganiaania zewsząd tłoczącej się zwierzyny. Każdy osobnik po-kaźniejszy staje się niebawem doskonale znany, a przytem łatwo za każdym razem sprawdzić ilość zwierząt, obecnych w każdym dziale leśnym — oczywiście, jeżeli jednostek jednego gatunku nie jest zbyt wiele. W przeciwnym razie codzień, bez mała, ma się do czynienia z innymi osobnikami, a zorientowanie się wśród takiej mnogości jest nie lada pracą.

Ponieważ dotknąłem tu sprawy paśników—słów kilka o odżywianiu się zwierzyny porą zimową. Na wiosnę wszystko, co żyje w puszczy, rozchodzi się w najdziksze, najnieodstępniejsze haszcze. W dzień, zwłaszcza w czasie upału, zwierzęta wyszukują sobie miejsc zacienionych, najczęściej pod jodłami i świerkami, których konary opuszczają się w dół i chronią tem samem od much. Są między zwierzętami i takie, które, zanurzywszy się w bajorach, oblepione błotem, jakgdyby otulone siatką ochronną, drwią sobie ze wszystkich owadów dokuczliwych. Tak, w niczem nie zakłóconem spokoju, spędzają skwarną część dnia. Z całą pewnością twierdzić można, że w dzień biegnie tylko zwierzyna wystraszona. Dopiero po zachodzie słońca wychodzą na żer, a że go mają poddostatkiem, zwykle w lecie tyją. Inna rzecz w zimie, kiedy zdobycie pokarmu zależy od przypadku. Całemi dniami obywać się muszą bez strawy. Wtedy właśnie rolę troskliwej opatrności gra zarząd puszczański. Na wszystkich polanach i chociażby czasowo wolnych od drzew przestrzeniach uprawia on rośliny pastewne: wykę, jęczmień, owies, koniczynę i t. d. Każdy leśnik dostaje przytem kawał ziemi, na której obowiązanym jest siać kartofle, marchew, buraki i t. d., zabierane przez zarząd na pokarm dla zwierzyny. Wszystko to jednak nie wystarczyłoby na tak liczne potrzeby. Owóż zarząd leśny skupuje ogromną ilość koniczyny, siana gruntowego, buraków, kartofli, marchwi i t. p. od obywateli okolicznych, oraz od wszystkich, którzy produkty te mają na sprzedaż. Jest to doskonały rynek zbytu dla tantejszych właścicieli ziemskich. Całą ilość zapasów, jaką w danej chwili posiada, zarząd dzieli następnie na odpowiednie części, dla każdego leśnictwa osobno, które zostają odstawione na miejsce i złożone w porobionych ad hoc piwnicach i składach. W lesie poustawiane są paśniki, zbliżone do tych, jakich używają do karmienia owiec, są tylko nieco wyższe, opatrzone mocniejszymi szczeblami i pokryte daszkiem, dla ochrony od zamoknięcia. Służą one wyłącznie dla żubrów. Dla innych zwierząt paśniki urządzone są naokoło stodół, pod dachem, wystającym daleko poza

ścianę budynku. W ścianie zaś, nad paśnikami, mieszczą się otwory przez całą długość budynku, przez które pasza zostaje wyrzucana wprost ze stodoły. Paszę zakładają dwa razy na dobę: rano i po zachodzie słońca. Marchew i kartofle składają do długich zagród, podobnych do koryt.

Wszystkie starania zarządu puszczańskiego, ponoszone dla utrzymania zwierzyny w możliwie dobrym stanie, mają na celu przedewszystkiem zapewnienie polowaniom cesarskim pożądanego wyniku, nie tylko co do ilości, lecz i jakości zdobyczy. Przy polowaniach tych, które zawsze odbywają się z naganką, myśliwych ustawiają w stosunku szesnastu na wiorstę długości, z przerwami dwuwiorstowymi między każdym szeregiem. Po obu bokach poprzeciągane są sznury z zawieszonymi na nich chorągiewkami kolorowymi. W odległości co najmniej dwóch wiorst od pierwszej linii strzelców ustawiona jest naganka. Wolno strzelać dopóty, dopóki ta ostatnia nie zbliży się na odległość 100 sążni, o czem dają znać sygnałem na trąbce. Strzelać przed siebie wolno dopiero wtedy, gdy naganka przejdzie za linię myśliwych. Cesarz ze świtą polują tylko z obławą. Wielcy książęta, zwłaszcza, gdy sami, bez rodziny cesarskiej, zjeżdżają do puszczy, w chęci uniknięcia kłopotów, związanych z zaciąganiem i ustawianiem naganki, a także dla zaznania większej sumy wrażeń, sami, na saniach albo w powozach, podjeżdżają pod zwierzynę i strzelają przeważnie nie wysiadając z pojazdów.

Dla wielu nie myśliwych, jestem pewien, pozostaje zagadką, jaką rolę przy polowaniach grają sznury, poprzeciągane z obu stron pola, zajętego przez myśliwych. Jest to rzecz ciekawa, że jeżeli miejsce, zajęte w danej chwili przez jakiegokolwiek zwierzę, otoczmy naokoło sznurem z chorągiewkami, czuje się ono równie uwięzionem, jak w najmocniejszym zamknięciu. Sarna np. będzie ciągle chodziła w kółko, szukając wyjścia, i raczej zdechnie z głodu, aniżeli poważy się przeskoczyć przez sznur. Jest to fakt pokrewny w istocie swojej znanej powszechnie prawdzie, że dość przycisnąć głowę koguta lub kury do ziemi wewnątrz kręgu, narysowanego kredą, a ptak ten nie poruszy się z miejsca. Przypuszczam, że zarówno w jednym, jak w drugim wypadku zwierzę musi wpadać w stan hypnozy magnetycznej, pozbawiającej go tych cech dodatnich każdego organizmu zwierzęcego, które mu służą do samoobrony, a tak silnie związane są z instynktem samozachowawczym.

Przytoczony powyżej środek stosowany jest w puszczy w polowaniach na wilki. Oczywiście najpoważniejszą część zadania—



to wyśledzenie zwierzęcia. Gdy to już jest dokonane, dane miejsce otacza się sznurkiem. Wilk nie poważy się przekroczyć nieprzebytej dla niego zapory i pada ofiarą swej nieostrożności.

Oprócz przepysznych polowań, isticie monarszych, puszcza Białowieska dostarcza jeszcze rzadszej żywej zwierzyny, przeznaczonej na upominki dla wybitnych osób świata politycznego. Zachodzi pytanie, jak ją chwytają żywcem? Otóż zwierzyna przywyka tak do paśników i szop z poskładanemi w nich zapasami żywności, że, jak już mówiliśmy, zgoła się ich nie obawia i z ufnością krąży w pobliżu, wiedząc, że tam dostaje paszę. Do szop takich podobne są budy, umyślnie przeznaczone do chwytania zwierząt. Różnią się one tem tylko, że z jednej ściany wybiega od nich rodzaj krytego korytarza, który stopniowo zwęża się ku wolnemu końcowi, a przy samym ujściu jest tak ciasny, że pomieścić może jedną tylko sztukę, i to niezbyt wygodnie, jeżeli jest większa. W pewnych odległościach urządzone są przegrrody, opuszczające się z góry. Gdy zwierzyna wieczorem przychodzi na paszę, wpędzają ją do owych bud, a następnie w korytarze i, zapuszczając stawidła, odłączają od gromady.

### III.

Sąsiedztwo puszczy, tak zasobnej w zwierzynę wszelkiego rodzaju, która nieraz błądzi poza obrębem borów i dostaje się na obszary wsi sąsiednich, nie mogło nie oddziaływać ujemnie na stan moralny mieszkańców okolicznych, budząc w nich uczucie pożądlivości, które doprowadziło do rozkwitu na szeroką skalę kłusownictwa. A trzeba przyznać, że lud ów jest jakby stworzony do tego rodzaju karygodnego zajęcia. To nie człowiek kulturalny dwudziestego stulecia; raczej przypomina on prastarych mieszkańców ziemi, żyjących w ścisłym związku z naturą, którzy działają nie z rozwagą i rozmysłem, lecz jako niewolnicy swoich pożądań cielesnych. Wieśniak tutejszy pod żadnym względem nie odbiega od typu owych ludzi, a w dodatku i budowa jego fizyczna w wysokim stopniu przypomina włościwości zewnętrzne ludów, żyjących na łonie przyrody. Organy zmysłów ma niesłychanie wydoskonalone. Widzi on, słyszy lub rozróżnia węchem to, co dla zwykłego śmiertelnika naszych czasów na zawsze pozostałoby ukrytem. Poza tem są bajecznie zręczni i zwinni, a puszcę znają równie dobrze, jak własne podwórze, bowiem

wstęp do niej mają zawsze wolny, ile że ogromna ich większość posiada tam własne swoje łąki. Dodać należy, iż każda wieś ma mnóstwo psów ad hoc wytresowanych i całe arsenały broni palnej, już to najlepszej odytlcowej, już skonstruowanej własnym przemysłem, składanej i łatwej do ukrycia: kłusownik wiesz ją na szyi, pod ubraniem; można najspokojniej z nim rozmawiać, nie podejrzewając że ma się do czynienia z człowiekiem uzbrojonym. Wobec tego łatwo zrozumieć, jak niebezpiecznych tępicielei ma zwierzyna w mieszkańcach tutejszych i jaki być musi ostateczny wynik walki zarządu leśnego z przeciwnikiem tak zręcznym i przebiegłym, a przytem umiejącym korzystać z najmniejszej sposobności polepszenia na tej drodze bytu swego.

Kłusownictwo w okolicach puszczy Białowieskiej stało się oddawna przewlekłą chorobą społeczną, która powoli, lecz stale, dewastuje uczucia moralne ludności, znieprawia ją i, wykreślając z szeregu społeczeństw normalnych, zsuwa do rzędu przestępców, godnych kary kryminalnej. Na nieszczęście ta ostatnia tylko w rzadkich wypadkach bywa stosowana; trudno karać tam, gdzie wina nie jest dowiedziona, co bywa w większości wypadków; przy swoim sprycie, zręczności i doskonałej znajomości najtajniejszych zakątków puszczy, zawsze tak się urządzają, że niepodobna przyłapać ich na przestępstwie. Przy tem kłusownictwo od tak dawna jest tu w zwyczaju, że mieszkaniec tutejszy posiada wrodzoną już jego potrzebę; po odbyciu kary w krótkim czasie staje się recydywistą, którego jeszcze trudniej przyłapać, wie bowiem, czem to grozi. Mieć wypada i to na uwadze, że nawet schwytnie na gorącym uczynku nie zawsze kończy się doniesieniem o przestępstwie zarządowi puszczy; stróże bowiem leśni, steroryzowani przez kłusowników, znając ich przebiegłość i mściwość, obawiają się zemsty. I rzeczywiście, nieraz znajdowano zabitych stróży nietylko w lesie, ale i u siebie w domu.

Ponieważ kary nie wywierają i nigdy nie wywrą pożądanego skutku, starano się zmniejszyć kłusownictwo drogą usunięcia pokusy. Jednym ze środków najdoraźniejszych było wykupienie lub zamiana sąsiadujących gruntów chłopskich oraz nabycie od właścicieli ziemskich majątków, graniczących z puszczą. Transakcye te postępują wszakże nader opieszale. Wieśniacy nadto dobrze oceniają korzyści, wynikające z takiego sąsiedztwa i nie dają się przesiedlać. Nie dawno, wprawdzie, został zakupiony od właściciela prawosławnego majątek Sokolniki, przeznaczony na parcelację między byłych mieszkańców puszczy. Jest to jednak



fakt odosobniony, kropla w morzu, i zła ani usunąć, ani zmniejszyć nie może.

Nie uważam za właściwe rozpisywać się o ukradkowym sprzątaniu zwierzyny drobnej, jak zające. Rzecz ta nie zasługuje na wyjątkową uwagę i niczem nie różni się od kłusownictwa stron naszych. Opiszę tylko sposób łapania ptactwa na sidła, jako prosty a pewny. Sztuczne chwywanie stosowane bywa tylko w zimie, gdy ziarn jest mało, a ptaki zbierają wszystko, co znajdują pożywne na śniegu. Sidła składają się z obręczy leszczynowej o średnicy mniej więcej  $1\frac{1}{4}$  łokcia; na okręgu przeprowadzone są dwa prostopadłe do siebie szeregi cięciw równoległych z cienkich sznurków; miejsca skrzyżowania się są związane, a do węzłów przymocowane są pętłe z białego włosia. Sidła kładą na śniegu i posypują plewami z koniczyny lub tatarką; ptaki łapią się za nogi albo za głowę na pętłę włosieniową.

Na grubszą zwierzynę kłusownicy wybierają się pospolicie w kilku, lub, co najmniej, we dwóch. Przypuśćmy, że wyprawa odniosła pożądany skutek: kłusownicy upolowali odpowiednią zwierzynę, ale zostali spostrzeżeni przez straż leśną. Jeżeli jest to człowiek pojedynczy, strachu nie mają; w ostatecznym razie gotowi strzelać; lecz zamiast uciekać się do takiego, bądź co bądź grożącego grubą odpowiedzialnością, ratunku, wołą zmykać, a wszyscy odznaczają się bajecznie rączym biegiem. Nie uciekają nigdy w kierunku zamieszkałych przez siebie miejscowości, by nie naprowadzać na ślad, lecz zawsze rzucają się w największe gąszcze, gdzie rozbiegają się w różne strony. Stróż w takich razach nie wie, za którym gonić, pozwala im uciec. Zresztą w szybkości biegu nigdy im nie dorówna.

W innych razach wychodzą w puszcze w pobliżu miejsca zamieszkania odrazu w większej liczbie; w lesie rozdzielają się na kilka oddziałów i spędzają napotkaną zwierzynę na swoje pola. Udaje się to bezmała zawsze, bowiem znają doskonale nie tylko puszcze, ale i tryb życia straży leśnej. Ubiegłej zimy ludzie, najęci na akord do roboty w lesie, upolowali w podobny sposób jelenia. Podczas pracy dojrzeli go zdaleka, porzucili robotę, ostrożnie obeszlą go od strony boru, spędzili na swoje oziminy i zabili. Skóra natychmiast została zdjęta i ukryta, wnętrzności rzucone psom na pożarcie, a mięso rozdzielone między uczestników. Rogi przypadły w udziale zrządzeniem losu dwóm chłopcom. Jeden z nich zapłacił rubla drugiemu i wziął obydwaj. Matka jego, wdowa, mająca w sądzie proces o grunt, pojechała z rogami do miasta i dała sekretarzowi sądu w prezencie. Skórę,

ten, co ją otrzymał, sprzedał za 4 ruble. Cała ta sprawa miała jednak świadka w postaci gajowego, który widział wszystko zdaleka. Na drugi dzień rozpoczęły się poszukiwania i śledztwo. Wydelegowano kilkunastu strażników, grożono sądem, ale najmniejszych śladów nie znaleziono. Sprawa ugrzęzła w sądzie czy też w papierach zarządu i z biegiem czasu wszystko powróciło do status quo ante.

Nieco odmienne są sposoby łowienia dzików. Stada ich, po przykrej woni, łatwo rozpoznać, nawet ze znacznej odległości; w pobliżu zaś stada zawsze włóczą się pojedynki. Wieśniacy zdaleka już wiedzą o zbliżaniu się dzików. Jeżeli mają nadzieję, że uda im się polowanie, wybierają się w kilku, zwykle 4 do 5-ju, w las wraz z większą ilością psów. Te są tak wytresowane, że, spostrzegłszy stado, rzucają się na odyńca i odpędzają go od stada głęboko w las. Po pewnym czasie dzik, zmęczony ciągłym obracaniem się dla obrony przed psami, napadającymi go ze wszystkich stron, wchodzi tyłem w krzak jedliny lub innej rośliny iglastej, a w braku tejże opiera się zadem o drzewo i kłami broni się na wszystkie strony. W końcu jednak psom udaje się chwycić go za szynki. Dzik wtedy kuca, chłopci podbiegają i zabijają go długimi, podobnymi do lanc, oszczepami. Zwykle na miejscu rozbierają go na tyleż części, ilu było uczestników, albo, jeżeli nie obawiają się pogoni, ładują na wóz lub sanie i odwożą do miejsca zamieszkania. Wnętrznosci zostają rzucone psom na pastwę.

Najrzadziej zdobyczą kłusowników padają żubry, dzięki specjalnie nad nimi rozciągniętej opiece prawa. Pomimo to, jak słyszałem na miejscu, żadna poważniejsza uczta chłopska nie obywa się bez mięsa żubrego. Poniżej przytaczam opis wypadku, jaki się zdarzył niedawno, a który wyraźnie stwierdza, że lud korzysta z pierwszej lepszej okazji, dającej mu możliwość pokryjому, a bez szwanku, zabić to wspaniałe zwierzę—a jaki bezwarunkowo za wyjątkowy poczytywać nie można, ile że pojedynek między żubrami jest bardzo pospolity. Dwa stare, wspaniałe moczary, a wielkie samce oddzieliły się wiosną od stada i weszły w oziminy wsi sąsiedniej. W owej chwili stróżów leśnych nie było na miejscu; cała więc wieś wyległa, jak jeden mąż i, z pomocą psów, wpędziła żubry w bagniska okoliczne. Za wsią mianowicie suche grunty orne przechodziły powoli i nieznacznie w rozległe moczary, które przy samym już widnokręgu sięgały lasów, znacznych zdaleka, jako ciemno-granatowa wstęga. Jeden z żubrów, spostrzegłszy się w porę, że przeprawa do lasu nie



będzie tak łatwą, jak się zdawało, zdobył się na odwagę, przebił przez silny pierścień ludzki, oczywiście nie bez szwanku i powrócił do tej części puszczy, którą przed chwilą społem opuścili. Drugi, przebiegłszy suchą część łąki, wpadł na moczary i umykał, dopóki nie natrafił na głęboki rów, biegnący wpoprzek bagniska. Tu stanął, nie mogąc na razie wydostać się stamtąd. Jeden z postępującej za żubrem gromady ludzkiej ranił go w bok oszczepem, używanym zwykle na dziki. Żubr, rozjuszony bólem, rzucił się na napastnika, obalił na ziemię i, okraczywszy, starał się razić rogami; ponieważ jednak rzecz cała odbywała się na płaskim, jak talerz, gruncie, nie zdołał uchwycić go rogami; za to pyskiem i nogami wdeptał go w błoto i tak silnie tarł go nozdrzami po plecach, że człowiek stracił przytomność. Obawa przed żubrem tak znieruchomiła wieśniaków, że żaden z nich nie śpieszył na pomoc nieszczęśliwemu. Dopiero po pewnym czasie ktoś, przesadziwszy rów, ranił zwierzę, tą samą bronią. Ale żubr zrozumiał, że teraz lepiej porzucić chęć i prawo zemsty i ratować się, póki czas; korzystając więc z bezruchu ludzkiego, chociaż ranny niebezpiecznie, umknął do lasu.

Kłusownictwo w okolicach puszczy Białowieskiej stało się tak pospolicie przyjętym sposobem polepszania bytu swego, że nawet i kobiety, zwłaszcza mieszkające tuż pod borem, nie pogardzają tem zajęciem. Oczywiście nie polują, uzbrojone w broń palną lub sieczną. Lecz od czegoż spryt, który w wielu razach skuteczniej działa od ognia i żelaza. Wie o tem płeć piękna stron tantejszych i urządza się przeważnie w sposób prosty, a niemniej pewny. Oto przykład. W zimie baba wiejska, zamiast w broń palną, uzbraja się w koszyk z obierzynami z kartofli i idzie głęboko w las. Nie pozostaje tam długo, a wzięwszy, dla pozorów, kilka suchych gałęzi, powraca, gubiąc, niby przypadkiem, po drodze obierzyny, ciemną plamą ostro odrzynające się od białego tła śniegu. Przyszedłszy do domu, koszyk z resztą obierzyn stawia w chlewiku, mieszczącym się zazwyczaj tuż przy chacie, a drzwi od niego pozostawia otwarte, lub uchylone; do drzwi przywiązany jest sznurek, którego drugi koniec baba trzyma w ręku. Sarna, dojrzawszy na śniegu tak smaczne pożywienie, jakimi dla niej są bezwątpienia obierzyny, zjada je powoli, postępując śladem, pozostawionym przez kobietę, i w końcu dostaje się do chlewika; zdumiona obfitością pokarmu, poczyną na dobre zaspakajać głód, a tego tylko wyczekuje baba, pociąga za sznurek, drzwi się zamykają i sarna złapana.

## IV.

Treść istotną ludności puszczy Białowieskiej stanowią Białorusini. Naród ten, jeden z najbardziej upośledzonych szczepów słowiańskich, gdzieindziej odznacza się małym zasobem energii i sprytu, czemu prawdopodobnie przypisać wypadnie brak kultury i nędzę, w jakiej żyje na obszarach ziemi litewskich. Wsie białoruskie mają przysłowiowo nędzny i ponury wygląd. Zgoła odmienne wrażenie wywierają pod tym względem okolice Hojnówki. Lud tu jest zamożny. Chaty ich—to nie biedne chałupy chłopskie, lecz domy-dworki małomiasteczkowe, drewniane wprawdzie, lecz bardzo porządnie zbudowane. Każdy od strony czołowej opatrzony jest obszerną, krytą werandą; mają wysokie okna, o dużych szybach, tudzież, co najważniejsza, są niezwykle czysto utrzymane. Mieszkania wewnątrz nie są bielone, lecz oklejone taniem obiciami papierowemi.

Znamienną cechą mieszkańców tutejszych jest lenistwo; do pracy nigdy nie wychodzą przed 8-ą godziną i nawet podczas najpilniejszych robót w polu, jak na przykład, w ciągu żniw, gdy chodzi o korzystanie z czasu pogodnego, wcześniej nie wygonisz ich z domu. Na obiad dostają, jak wszędzie, przerwę jednogodzinną, a o 7-ej wieczorem kończą pracę. Nawet tak lekkie, i względnie przyjemne zajęcia, jak zbieranie jagód i grzybów, nie nęci kobiet tutejszych. Hojnówka leży tuż pod lasem; poziomek było w tym roku takie mnóstwo, że nie chodząc daleko, można je było zbierać garncami, a tymczasem dostać ich było trudno.

Lud miejscowy, o ile jest z natury leniwy, o tyle jednocześnie chciwy łatwego zysku—lekkiego, bez zbytnej pracy zarobku. Chciwość stała się tu wadą powszechną, obejmującą najszerze kręgi ludności miejscowej. Bynajmniej, nie mam zamiaru rozciągać orzeczenia tego na cały naród Białorusinów; nie zawsze z części czegoś można wyprowadzać wnioski o właściwościach całości, a za mało znany mi jest lud ten, abym mógł wyrzec o nim sąd ogólny. To, co powiedziałem, tyczy się tylko mieszkańców puszczy Białowieskiej, a i tu, zdaje się, nie jest wrodzoną temu ludowi wadą, lecz zawdzięcza on ją znieprawiającemu wpływowi żydowskiemu. Z pośród Żydów, mianowicie, rekrutują się całe falangi kupców drzewnych. Pomimo wrodzonej tej rasie oszczędności, kierowani prawdopodobnie chęcią szybkiego zysku, drogo płacą robotników, zatrudnionych przy wyrębach leśnych.



Dwa ruble — to średni zarobek dzienny wieśniaków tutejszych, pracujących u Żydów, a ponieważ wyrąb lasu jest tu na porządku dziennym, nie dziw, więc, że podniosło to wzwyż ich wymagania i robotnik wiejski w okolicach tamtejszych nie jest wcale tańszy od naszego, w wielu zaś miejscowościach, jak np. w Hojnówce, jest znacznie droższy: do sianokosu nie dostaniesz tam ludzi poniżej 1 rubla dziennie, a praczka na szczerej wsi bierze 60 kop. dziennie, nie licząc utrzymania.

Bez mała wszyscy włościanie w Hojnówce są prawosławni; jest tylko kilku katolików. Ze stosunku tego nie można brać miary rozpowszechnienia katolicyzmu wśród Białorusinów. Są miejsca, gdzie wręcz przeciwnie, znacznie mniej znajdziemy prawosławnych, jak np. w okolicach Świsłoczy, Narewki i t. d., a są i całe wsie, gdzie niema ich wcale. Wszyscy Białorusini mówią po rosyjsku, ale nie spotkałem też ani jednego, któryby nie znał mowy polskiej. Przypuszczam, że między mieszkańcami tamtejszymi musi być dużo Rosyan, skoro spotykałem wiele małych dzieci, porozumiewających się językiem rosyjskim. A co dziwniejsza, że nawet Rosyanie tutejsi ze stanu chłopskiego dobrze mówią po polsku.

Polaków na ziemiach puszczy Białowieskiej jest niewiele. Są to przeważnie właściciele ziemscy, ich oficjaliści i służba niższa, oraz koloniści, zamieszkali przy wsiach białoruskich; zaliczyć tu należy także szczupłą liczbę urzędników instytucji rządowych, oraz nieco większą — kolejowych. Znajdują się tu i całe wsie polskie — mazurskie, np. Budy, istniejąca z dawien dawna w środku puszczy, w leśnictwie Hojnowskim. Rząd rosyjski starał się przenieść kolonistów tutejszych poza obręb puszczy, budzianie jednak mocno trzymają się swojej ziemi i ze stanowiska, zajmowanego przez całe wieki, ruszyć się nie dają. Budy zasadniczo różnią się od innych wsi tutejszych, których wygląd zewnętrzny jest zawsze jeden i ten sam: wielka, długa ulica, a po jej bokach szereg domów. W Budach chaty zebrane są w większe i mniejsze grupy, otoczone polami i ogrodami, i należące zawsze do jednego rodu. Język polski, pomijając oczywiście niektóre, niemal konieczne, naleciałości rosyjskie, mieszkańcy zachowali mieszkający, lubo słyszałem, że w domu niektórzy posługują się mową białoruską. Mężczyźni nigdy w związku małżeńskie z prawosławnymi nie wchodzą; częściej zdarza się to u dziewczyn, zwłaszcza u takich, które utraciły już nadzieję dostania męża wśród swoich; takie wychodzą niekiedy za Rosyan i Białorusinów; lecz obecnie ci ostatni przeważnie przyjmują religię katolicką.

Do Rosyan, oprócz licznej rzeszy oficyalistów leśnych, pełniących urząd i uwolnionych ze służby, a tam osiadłych, „których imię jest legion,“ doliczyć wypadnie urzędników rządowych i wojskowych, tudzież nielicznych obywateli ziemskich.

Pozostają Żydzi. Ci stanowią główny kontyngens ludności miejskiej, lecz przebywają też, jeżeli nie stale, to czasowo, w puszczy, gdzie trudnią się handlem drzewnym, biedniejsi zaś — handlem drobiazgowym oraz dostawą artykułów spożywczych. Żyd, to największy, najgroźniejszy wróg puszczy. Niema takiego produktu leśnego, chociażby był zdobyty drogą nielegalną, którego by nie kupił, a w razie potrzeby nie przechował tak sprytnie, że najdokładniej przeprowadzone śledztwo żadnych nie wykryje śladów, w końcu zaś nie sprzedał za dziesięć razy większą sumę, aniżeli go kosztowała. Żyd jest tu z zawodu paserem i na tem stanowisku robi pieniądze. Oto przykład: Grubsza zwierzy na puszczy Białowieskiej należy do pełnorogich, przeżuujących, które, rok rocznie, na jesieni, tracą rogi. Służba leśna obowiązana jest wszystkie znalezione rogi bez wyjątku odnosić do zarządu. Okazy gorsze, mniej okazałe, składane są razem, oblewane naftą i palone; większe i wspanialsze — przechowywane w składach. Wszelki handel rogami jest surowo zabroniony; nawet zarząd ich nie sprzedaje; leżą one bez żadnego specjalnego przeznaczenia. Główny tylko zarządzający puszczą, którym jest obecnie generał kozacki, Kołokolcew, ma prawo robić z nich podarki według swego uznania. Owóż niedawno był taki wypadek: w czasie nabożeństwa, gdy wszyscy wyżsi urzędnicy byli obecni w cerkwi, ktoś rozbił zamki w składzie, gdzie przechowywano rogi i w ciągu niespełna paru godzin wywieziono kilka fur tej ozdoby zwierzęcej, tak wszędzie poszukiwanej i cenionej. Kto był sprawcą? Oczywiście nikt z urzędników miejscowych, chociażby dla tego, że baliby się wielkiej odpowiedzialności wzamian za stosunkowo nieznaczne korzyści, ani też nikt z włościan i wogóle z mieszkańców chrześcijan tutejszych, pozbawionych sprytu i stosunków, tak niezbędnych w każdym handlu; Żyd był tutaj motorem. I kłusownictwo, głównie dzięki tajnemu popieraniu przez Żydów, przyjęło w puszczy tak zastraszająco rozmiary.

STANISŁAW JANISZEWSKI.



# ROZMAITOŚCI.

Symphoniae anielskie J. K. Daehnowskiego,

zapomniany zbiór kolęd z XVII w. <sup>1)</sup>

Wiek XVII jest dla historii literatury i dla historii narodu epoką t. zw. teźyżny szlacheckiej, t. j. czasem najbujniejszego życia szlachty ze wszystkimi wadami i zaletami takiego szeroko płynącego życia. Niema potrzeby szeroko rozwodzić się nad zaletami i wadami narodowymi szlachty naszej w tym wieku; nadmienić jedynie wypada, iż trzy znamienne rysy narodowego charakteru wówczas krystalizują się i utrwalają, mianowicie: religijność, rycerskość i miłość ojezyny. Te trzy właściwości naszej szlachty zostały, co prawda, przyćmione wadami, tkwiącemi w charakterze zarówno z zaletami, a niewykorzenionemi wczas, niemniej jednak pozostają, rzec można, dotąd typowymi rysami narodowego charakteru, który w całej pełni możemy i dziś obserwować pośród naszego ludu. Epoka tego bujnego życia poeinała historyków i artystów; znaleźli w niej upodobanie i obcy artyści (Schiller, Byron), a u nas Sienkiewicz znalazł pole dla swej wybitnie narodowej twórczości właśnie tam, wśród owych ludzi wieku XVII.

Literatura piękna, owo „zwierciadło swego czasu i narodu“ jest dziś tą skarbnicą, z której czerpać możemy, jest tem zwierciadłem, w którym odbił się barwnie wiek XVII. Od połowy XIX w. (t. j. od wydania „Pamiętników Paska“ w 1836, oraz „Wojny chocimskiej“ W. Potockiego w 1850) znajomość i literatury i ludzi owej epoki wzrosła u nas znacznie, dzięki badaczom, którym główny impuls do badań XVII w. dało wydanie „Pamiętników Paska“ i „Wojny chocimskiej.“ W dziełach tych, a zwłaszcza w „Wojnie chocimskiej“ wybitnie występują na jaw owe trzy rysy charakteru narodowego: religijność,

<sup>1)</sup> Autor niniejszego artykułu natrafił na ten ciekawy zbiór kolęd jeszcze jako uczeń prof. Kallenbacha, obecnie zaś przygotowuje ich przedruk.

rycerskość i miłość ojczyzny. Pominąwszy dwie drugie właściwości, t. j. rycerskość i patriotyzm, zajmę się w kilku słowach rysem pierwszym: religijnością.

Religijność nasza w XVII w. jest bardzo prosta, szczerą, naiwną; wystarszy wziąć do ręki pierwszy lepszy utwór z tego czasu, aby się o tem przekonać. Wypływa ona z narodowego charakteru, na który składają się różne etniczne i historyozoficzne przyczyny, i wiąże się z miłością ziemi oraz z jej uprawą, jako głównem i jedynie szlachetnem zajęciem w pojęciu ówczesnych ludzi. Stąd też i nasza literatura religijna w XVII w., aczkolwiek rozwijająca się na tle ogólnoludzkiej idei, ma swoje szczególne znamiona naszej dawnej, szczerzej, prostej i naiwnej pobożności. Taką właśnie religijność przechowały nam do dziś kolędy, a w szczególności wymieniony w nagłówku zbiór kolęd p. t. „Symphonie Anyelskye abo kolenda od Muzyki Niebieskiej wdzięcznym okrzykiem na dzień Narodzenia Pańskiego zaśpiewane przez Jana Karola Dachnowskiego 1631.” Kraków.

Symphonie są najprawdopodobniej zbiorem kolęd, w części zapewne będących tworem Dachnowskiego. Zbiór ten wydał ponownie w 1642 r. Jan Żabczycki pod swoim imieniem, a więc popełnił plagiat, bardzo zresztą częsty w XVII w. Symphonie są unikatem, który posiadają jedynie (o ile dotąd zbadać zdołalem) Biblioteka Jagiellońska i Czartoryskich w Krakowie.

Zbiór powyższy zawiera 36 kolęd, przeznaczonych do śpiewu, o czem świadczy sam wiersz. Wśród nich znajdują się takie, które do dziś przechowały się w kantyckach naszych bez zmiany. Oto początek dziś jeszcze śpiewanych kolęd, a dochowanych w wymienionym zbiorze:

*Z symfonii pierwszej.*

Laska Nieba górnego dziwną rzecz sprawiła  
U ludzi, Panna czysta Syna porodziła,  
Którego żaden rozum ogarnąć nie może  
Awtowane gwiazdami opuściwszy łożę... i t. d.

Kolęda ta aczkolwiek mniej śpiewana, mieści się jednak w dzisiejszych zbiorach kolęd.

*Z symfonii 4.*

Przy onej gorze	Przybądźmy do nich,
Pałą się zorze,	Poznamy po nich
Pasterze się uwijają	Czyli nie wiedzą o Panie <sup>1)</sup>
I na multaneckach grają	I kędy jest święte stanie
Nie wiem dlaczego.	Narodzonego... i t. d.

*Z symfonii 7.*

O tej dobie	Ta Dziewica
Leżał w żłobie	Królewica
Syn wiekuisty	Nam porodziła
Z Panny Przeczystej.	Grzech nim zgładziła... i t. d.

<sup>1)</sup> O Panu.



*Z symfonii 9.*

Ej nom ej<sup>1)</sup> Wszytek świat dzisiaj wesóły  
 Ujrzawszy z nieba Anioły,  
 Ej nom ej! Dzieciątko się narodziło  
 Niebo ludziom otworzyło... i t. d.

*Z symfonii 16.*

A wczora z wieczora	Boga prawdziwego
Z niebieskiego dwora	Nicogarnionego,
Przyszła nam nowina	Za wyrokiem Boskim
Panna rodzi Syna,	W Bethleem Żydowskiem... i t. d.

Jest to kolęda dobrze do dziś znana.

*Z symfonii 18.*

Kazał Anioł do Bethleem Juda  
 Pasterzom wskok, kędy nowe cuda  
 Zjawiły się ludziom na zbawienie,  
 Izraelowi na Odkupienie... i t. d.

*Z symfonii 22.*

Pastuszkowie bracia mili	Z Panny czystej Messyusza,
Gdzieście pod ten czas chodzili?	Skąd pociecha roście nasza
Do Bethleem sławnego,	Ubogich Pastuszków na ziemi,
Witać narodzonego	Gdy Boga na oko widzimy... i t. d.

*Z symfonii 31.*

Przybieżeli do Bethleem pasterze,  
 Pasterze, pasterze, pasterze,  
 Grają skocznie Dzieciąteczku na Lerze,  
 Na lerze, na lerze, na lerze... i t. d.

Przyjrząwszy się bliżej owemu zbiorowi, zauważyć możemy, że 8 wyżej przytoczonych kolęd przechowało się do dziś w pierwotnym swem brzmieniu, z małemi zmianami ograniczonymi do kilku ledwo wyrażań. Obok tych powszechnie śpiewanych u nas kolęd są kolędy, które mogą być znane w innych częściach naszego kraju, albo też tak proste i takim wierszem pisane, który się prosi wprost o melodyę, z czego wyciągnąć można wniosek, że musiały być kiedyś śpiewane. Do takich należą symfonie: 2, 3, 19, 23, 28, 35. Nie ulega zresztą wątpliwości, że wogóle wszystkie musiały być śpiewane, niektóre może już w XVII w. i przez lud. Oto początek ciekawszych:

*Symfonia 2.*

Ach zła Ewa nabroiła  
 Kłopotu nas nabawiła,

<sup>1)</sup> Dziś: hej nam hej. Przepisywałem z wydania z r. 1642 pod imieniem *Jana Żabczyca*.

Z wężem sama rozmawiała  
I jabłuszka skosztowała,  
Nabroiła... i t. d.

*Symfonia 23.*

Wstawszy Pasterz barzo rano  
Wyszedł z budki, wlażł na siano,  
Boć go czczyca zejmowała,  
Jaka przed tym nie bywała... i t. d.

*Symfonia 28.*

Abo pięknie zagrajcie,  
Abo mi skrzypce dajcie,  
Ja będę grał  
Będę śpiewał  
I małe Dziecię z Józwek kołysał... i t. d.

*Symfonia 35.*

Kazał ci mi ktoś,	Do Bethleem bież,
Powiedziawszy coś,	Drogę dobrze wiesz,
A ja nniemał, że to z nieba	A tam w stajni Dzieciąteczko
Jest anielski głos.	Maluchne najdziesz... i t. d.

Wśród owych kolęd mamy jeszcze jedną, zupełnie od innych odmienną makaroniczną kolędę; jest to symfonia 32, którą przytaczam w całości:

Po kolędzie omnes ad vos pójdziemy,  
Jestli gratis dobrze się mieć będziemy,  
Gloria laus Bogu wprzód zaśpiewamy,  
Gospodarzom largum vesper przyznamy.  
Zaczniecież już mili fratres Kolędę  
Zaczym się wam na praemium zdobędę,  
Proście Boga donet nobis fortunam  
Cum salute, požądamy hanc unam.  
Niechżeć Deus błogosławi a sporze  
Domi, w gumnie, szpizarni, na oborze:  
Na Nowy Rok mittat tibi gaudia  
Et prosperet według myśli omnia.  
Dzisiaj prośmy Salvatorem z Maryją,  
Dobrodzieje longam vitam niech żyją,  
A po śmierci super coelos wędrują,  
Copiosam niech mercedem uczują.

Przytoczona kolęda jest tak typowa treścią, formą i tonem dla literatury XVII w., że gdyby „Symphoniom” brakło daty, to już ta jedna kazałaby się domyślać czasu jej powstania w XVII w. Język jej przypomina wiernie



język szlachecki, a nawet łacina jest nieklasyczna, lecz z potocznego języka szlachty czerpana w wyrażeniach jak: *super coelos, largum vesper*.

Charakter jej prosty, wiersz, styl zupełnie przypominają nam ludzi z owego wieku: widzimy tedy brać szlachecką idącą lub jadącą po lśniącym śniegu do możniejszego sąsiada. Już w progu kolędują, dalej w alkierzu składają gospodarstwu życzenia, pół po polsku, pół po łacinie, jak to było zwyczajem tych czasów, a po sutym poczęstunku i po ponowieniu życzeń setnych gospodarzom, jadą dalej, do innego brata szlacheica. Czytając tę kolędę, przypominamy sobie owe stare, dobre czasy, karabele, kontusze, ową starą gościnność i staropolski humor, pełen życia i werwy.

Jako całość wykazują „Symphoniae“ ośm kolęd do dziś znanych i śpiewanych. Treścią są tak proste, szczere i naiwne jak niemi tylko nasze kolędy być mogą. Wszystkie zapewne musiały być śpiewane, o czem świadczy egzemplarz, dochowany w Bibliotece Czartoryjskich w Krakowie z odpowiednimi dopiskami. Pod względem treści odnajdujemy trzy główne temata opiewane, a to: Chrystusa małego, Matkę Boską a głównie Jej Niepok. Poczęcie, oraz Trzech Króli. Dużo z nich, to kolędy pasterskie np. symfonia 4, 16, 18, 19, 22, 23, 31, bo głównymi ich osobami są pasterze; prócz tego ci pasterze i w innych kolędach występują.

Wiersz, aczkolwiek rytm miejscami kuleje, jest przeważnie wyszukany i sztuczny. Ledwie 12 kolęd posiada strofy swojskie 4 i 8 zgłoskowe, lub 5, 6 i 10 zgłoskowe; 12 kolęd ma strofy o innych wierszach, ale takich, których wyszukanymi jeszcze nazwać nie można; 12 zaś ma strofy bardzo kunsztowne, z których kilka graficznie uzmysławiam:

$$\begin{array}{l}
 6 + 6 + 4 \mid 6 + 6 + 4 \quad (\text{symf. 6}) \\
 4 + 4 + 5 + 5 \quad (\text{symf. 7}) \\
 6 + 6 + 7 + 7 \quad (\text{symf. 11}) \\
 5 + 5 + 6 \mid 5 + 5 + 6 \quad (\text{symf. 10 i 15}) \\
 8 + 8 + 7 + 7 \mid 8 + 8 + 9 + 9 \quad (\text{symf. 21 i 22}) \\
 10 + 10 + 6 + 6 \mid 10 + 6 + 6 + 10 \quad (\text{symf. 12}) \\
 \underline{13 + 13 + 6 + 6 + 5 + 6 + 6 + 5} \quad (\text{symf. 13}) \\
 13 + 13 + 6 + 6 + 5 \quad (\text{symf. 30}) \\
 7 + 7 + 4 + 4 + 10 \quad (\text{symf. 28}) \\
 10 + 10 + 5 + 7 \quad (\text{symf. 36}).
 \end{array}$$

Prócz tego trafiają się często rymy, używane tylko w wierszach do śpiewu przeznaczonych jak:

starym i małym (symf. 16)  
 świecie i człowiecze (symf. 18)  
 mieście i jeszcze (symf. 19)  
 błogosławieństwo i królestwo (symf. 29) i t. d.

Wyjątkowo trafia się rym, będący prowincjonalizmem np.:

osiel i przynosiel (symf. 3).

Język zaledwo garść form dawniejszych niż wiek XVII wykazuje np.:

- podarz = podarunek (symf. 1)
- panie = panu, w 7 przyp. (symf. 4)
- grzecha = grzechu, w 2 przyp. (symf. 4)
- duśza moja, przyp. 1 zam. 5<sup>a</sup> (symf. 18)
- święta dziecina, przyp. 1 zam. 5<sup>a</sup> (symf. 25)
- Bogowi = Bogu, w 3 przyp. (symf. 33).

Są to formy językowe starsze niż na wiek XVII, stąd możnaby wnioskować, że niektóre z kolęd powstały jeszcze przed XVII wiekiem i albo zostały spisane dopiero w XVII w. z zachowaniem niektórych form starszych dla rymu, albo też zostały przepisane z jakiegoś zbioru, pochodzącego z przed XVII wieku. Są to jednak domysły, których na razie udowodnić nie mogą.

Mamy dalej wyrażenia zdrobniałe, używane wprawdzie w XVI wieku (np. przez Reja), ale właściwie specjalnie ludowi, jak:

- naguchny (symf. 20)
- niziuchny i małuchny (symf. 22),

ale takich wyrażeń niewiele.

Kilka razy brak na początku przydechowej spółgłoski h w wyrażeniach:

- awtowany = haftowany (symf. 1)
- ej = hej (symf. 9)
- ola = hola (symf. 14).

Zaznaczyć należy z naciskiem rzadkie wyrażenia łacińskie, jak:

- sceptrum (symf. 33 i 34)
- affekt (symf. 19 i 25)

lub mitologiczne, jak:

- Sybilla (symf. 33)
- Tryony niebieskie (symf. 27)
- Cyntya (symf. 11)
- Phaëton (symf. 11) i in.

Wyrażeń takich niewiele, ledwo kilka, jedynie symfonia 11 posiada ich sporo, czem się wyróżnia od innych. Wyrażenia te, aczkolwiek łacińskie, pochodząc z języka, którybym nazwał szlacheckim, dają także świadectwo autorstwu tych kolęd, w których się znajdują. Niektóre też kolędy, pominiawszy aż nazbyt typową makaroniczną 32-ą symfonię, mają z owego języka szlacheckiego całe zwroty, jak:

- ...a ty gospodarzu bracie
- Roskaż wina nalewać, my śpiewać będziemy
- Nowe pieśni... i t. d. (symf. 1)



lub:

affekt mając... (symf. 19)  
 przyjmi affektu naszego... (symf. 25)  
 Życząc roku fortunnego  
 Pijmy jeden do drugiego (symf. 9).

Wyrażenia i zwroty takie wytwarzają ów specjalny zaściankowo-szlachecki nastrój i wskazują na to, że ich autorem musiał być szlachcic.

Ton panujący w kolędach i wspomniane wyżej wyrażenia każą się nam domyślać, że musiały one przeważnie powstać w XVII w.; niektóre z nich tylko przypominają nam więcej ludowy nastrój np. symf. 35 i 28, w której mamy wyrażenie brachu = bracie, i takie mogą być dawniejszego pochodzenia.

Sposobem ujęcia, treścią i językiem prostszym i mniej wyrobionym od języka innych kolęd odznacza się symfonia 14. Może też być ona najstarsza ze wszystkich, jakie się w tym zbiorze znajdują.

Tak się przedstawia ów zapomniany dziś zbiór kolęd z XVII w., tem ciekawszy, że cały szereg kolęd dziś śpiewanych odnajdujemy w dosłownem brzmieniu w tym starym druku ze zmianą ledwo kilku wyrażeń. Treścią są nam tak miłe i bliskie, że ze wzruszeniem odczytuje się z omszałych kart te same kolędy, które my dziś śpiewamy tak jak nasi ojcowie przed blisko 300 laty, te same kolędy, których naiwna prostota i pobożność jest jednym z owych, na początku mego artykułu wspomnianych, charakterystycznych rysów naszego narodowego charakteru.

ALFRED BRODNICKI.

# PIŚMIENNICTWO.

HENRYK STRUVE. *Historja logiki jako teoryi poznania w Polsce*. Poprzedzona zarysem jej rozwoju u obcych. Wydanie drugie, w dwójnasób pomnożone. Warszawa, 1911. 8-o, str. X + 541.

Logika nie posiada powszechnie ustalonych granic, ponieważ myślenie, które ma być jej przedmiotem, bywa rozumiane rozmaicie.

Jedni uważają je za działanie czysto podmiotowe, niezależne od przedmiotowych faktów zewnętrznych, a logikę za naukę, zajmującą się wykazaniem tylko podmiotowych zasad i praw myślenia, a przez to prowadzącą do prawdy formalnej, t. j. polegającej na zgodności procesu myślenia z odkrytymi prawami myślenia (logika formalna).

Drudzy wychodząc z założenia, że myśl ludzka jest bezpośrednim wyrazem rzeczywistości, i poznanie pierwszej jest tożsame z poznaniem drugiej, wymagają od logiki uwzględnienia praw i elementów nie tylko myśli, lecz i bytu wogóle (logika metafizyczna).

Inni wreszcie redukują logikę do nauki o pewnej szczególnej funkcji myślenia: sądzenia, wnioskowania i t. p.

Prof. Struve określa logikę „jako *teorię poznania*, obejmującą trzy zasadnicze zadania: 1) Rozbiór form prawidłowego myślenia, jako powszechnego środka poznania; co stanowi przedmiot tak zwanej *Logiki formalnej*; 2) Ocenę krytyczną tych form w stosunku do istoty i celów poznania prawdy; co od czasów Kanta przyjęto nazywać *Krytyką poznania*, i wreszcie 3) Wykazanie dróg czyli metod poznania stosownie do różnych jego przedmiotów; co wytworzyło w ostatnich czasach osobną część logiki pod nazwą *Metodologii*. *Historja logiki* obejmuje te trzy zadania



w organicznej łączności; one dopełniają się nawzajem i należycie zrozumiane być mogą tylko przy ścisłym ze sobą związku.“ Ponieważ stanowisko to doprowadza do wyrównania przeciwstawności między podmiotem i przedmiotem, myślą i rzeczywistością, przeto nosi nazwę idealnego lub krytycznego realizmu.

Filozofia polska, a więc i logika, od samego swego powstania znajdowała się pod obcym wpływem, dlatego, zanim się przystąpi do badania logiki w Polsce, należy poznać jej historię w powszechności. Ponieważ łączne traktowanie tych dwu terenów musiałoby wywołać majoryzację skromnej stosunkowo grupy badaczy polskich i utrudnić wykazanie charakterystycznych cech ich umysłowości, autor naprzód kreśli w ogólnych zarysach rozwój logiki wogóle (str. 11—133) i przygotował w ten sposób czytelnika, przedstawia mu historię logiki w Polsce, podzieloną na pięć okresów.

I-szy okres akademicki: od rozkwitu Akademii Krakowskiej do panowania jezuitów, czyli od połowy XIV do końca XVI w. „Jest to okres stawiający filozofię w Polsce na równi z jej ówczesnym stanem u obcych; okres scholastyki i dążności antyscholastycznych, wznowionych studyów klasycznych, humanizmu i eklektyzmu, przygotowujących upadek scholastyki.“ Na czele jego stoi Grzegorz z Sanoka, gorliwy humanista i wróg jałowych dyalektycznych mądrości scholastycznych; wyśmiewał się z astrologii, wykazywał względność poglądów ludzkich, lecz jednocześnie nawoływał do pracy nad naukami przyrodniczymi i użytecznymi dla społeczeństwa. Obok niego stoją profesorowie Akademii Krakowskiej, jak Jan z Głogowa, autor kilku prac logicznych, znawca Arystotelesa i krytyczny eklektyk, zażywający powagi w ówczesnym świecie naukowym; Michał z Wrocławia, nominalista, autor „Introductorium dyalecticae...“ cieszącego się niezwykle powodzeniem w całej Europie; Michał z Bystrzykowa (Parisiensis) i Jan ze Stopnicy—krzewiciele nauk Duns Skota w Akademii; wreszcie wybitni przedstawiciele polskiego eklektyzmu Jakób Górski i Adam Burski, który sformułował zupełnie jasno pojęcie indukcji; „widzimy z tego, że Burski znajdował się pod wpływem czasu, który wkrótce miał wydać Bakona, i z chlubą dla niego powiedzieć możemy, że w zupełności pojął ducha tego czasu. To też słusznie należy się jego dziełu najszersze uznanie.“ Oprócz nich zostali uwzględnieni Mateusz z Krakowa, rektor wszechnicy heidelberskiej, Mikołaj z Gorzkowa, Jan Elgocki Wieniawita, Sędziwój Korabita, Szymon z Leszniewa, Jan Niedźwiedzki, Mikołaj Mościcki, Adam Tobolski i inni (str. 156—173).

II okres (od połowy XVI do połowy XVIII w.) nosi miano jezuickiego ze względu na to, że głównie jezuita pracowali na polu uniejętności filozoficznych i nadawali im specyficzną treść i formę, które dadzą się określić przez *zacofanie*, *wsteczność* oraz *kazuistyczny formalizm*. „W okresie tym nietylko nie rozwinięto dalej samodzielnych czynników myśli filozoficznej w kraju i nie przyswajano sobie w niezem nowych postępów, dokonanych przez Bakona, Kartezjusza i ich następców, ale nadto gwałtownie wskrzeszono i w naród wszczepiano bezmyślne szermierki średnio-wiecznego scholastyizmu z jasnym celem zdeptania samodzielnych zarodków oświaty narodowej. *Ciemnota i demoralizacja* były głównem hasłem owoczesnych jezuitów, głównym środkiem, przy którego pomocy dążyli do panowania nad światem.“ Nie bez walki doszli do swego przeważnego stanowiska w kraju, a pochwyciwszy władzę w ręce, przytłumili wszelkie objawy samodzielnego ducha, zaszczepili w narodzie naszym jad nietolerancy religijnej i uczynili zeń wreszcie powolne narzędzie do realizacji swych celów.

Przejście od I do II okresu stanowi Marcin Smiglecki, którego „*Logica selectis disputationibus et quaestionibus illustrata...*“ jedna z najpoczytniejszych swego czasu, szczególnie w Anglii, nie zrywa całkowicie z tradycjami poprzedniego okresu, pomimo scholastycznej formy i treści. Inni pisarze tego okresu stoją znacznie niżej, bo całkowicie wyrzekają się jakiegokolwiek bądź samodzielności. Logiki lub dyalektyki okresu jezuickiego nie zawierają pozytywnego i systematycznego wykładu logiki, lecz, używając jej za środek do wprawy w dysputach i w rozbiórce przeróżnych zagadnień, przeważnie treści teologicznej, traktują o *dysputacyach*, *kwestjach* i *argumentach*. Jako podręczniki par excellence praktyczne są przeładowane przykładami i praktycznymi zadaniami, np.: czy pies może być kozą? czy może kto być swoim ojcem? — z rozwiązaniem: przyrodzonym sposobem — nie, albo przez cud — tak. (Z podręcznika ks. Tylkowskiego, zwanego „chlubą Zakonu.“) Na szczególną wzmiankę zasługuje tutaj Marek Korona, który usiłował stworzyć polską terminologię filozoficzną drogą nowotworów i zapożyczeń z mowy potocznej. (Causus — przypadek, accidens — przymiot, subjectum — podmiot, podłoga, propositio — przełożenie, quantitas — wielkość, qualitas — jakość, jakowość, abstractum — oderwane, odłączone i t. d.) Na przejściu do trzeciego okresu stoi Benedykt Doboszewicz, którego *Praelectiones logicae* (1761) uwzględniają wyniki nowszych myślicieli, jak Bakona, Kartezjusza, Lokka i in., chociaż nie zrywają



jeszcze z jezuicką sofistyką i formalizmem scholastycznym (str. 173—197).

Okres III odrodzenia filozofii w Polsce. Zaszczyt rozpoczęcia systematycznej, pozytywnej walki z jezuitami na polu oświaty i szkolnictwa polskiego należy się Stanisławowi Konarskiemu. Otwierając szkoły, wprowadzając lepsze podręczniki i pisząc własne dzieła, przygotowywał trwały grunt do przyjęcia nowego posiewu, który, chociaż obcego pochodzenia, przyniósł nam zbawienne owoce. W Zachodniej Europie z drugiej połowy XVIII w. były trzy czynniki, które złożyły się na samodzielny krytyczny rozwój myśli ludzkiej: empiryzm i sensualizm Lokka i Kondyllaka, racjonalizm Wolffa i krytycyzm Kanta. Wszystkie trzy pośrednio lub bezpośrednio zostają przeniesione do Polski, zyskują zwolenników i wytwarzają żywy ruch filozoficzny, któremu zawdzięczamy najwyższy rozkwit filozofii naszej w okresie IV, i który trwa aż do chwili obecnej.

Naprzód przenoszą na polski grunt filozofię Wolffa: Mitzler de Kolof polskim przekładem dzieła Gottscheda, popularyzatora wolffowskiej filozofii, p. t. „Erste Gründe der gesamtten Weltweseheit“ (w r. 1760) i Kazimierz Narbutt oryginalnem opracowaniem Logiki, która zdaniem prof. Struvego „jest jednym z najlepszych, jeżeli nie najlepszem elementarnem opracowaniem naszej nauki, jakie wogóle literatura polska posiada.“

Z Kondyllakiem zapoznał polskich czytelników Jan Znosko, przekładając jego Logikę; wyjątki z Logiki Lokka przełożył Andrzej Cyankiewicz. Pomimo, iż pierwsza z nich dość długo była podręcznikiem szkolnym, płytki sensualizm kondyllakowski nie przyjął się w Polsce. Np. „Logika“ Przeczytańskiego, chociaż stoi na stanowisku sensualistycznym, „wyróżnia się bardzo korzystnie od płytkich wywodów kondyllacyzmu, zarówno gruntownością swych rozbiorów, jak i systematycznością swego układu. Nadto Przeczytański utrzymuje wprawdzie, że początkiem wszelkiego poznania jest czucie zmysłowe, ale opierając się bardziej na Lokku niż Kondyllaku, dowodzi jednak, że wola i pojętność nie są samem czuciem lub przerobieniem czucia, lecz przez czucie tylko pobudzane bywają do działania.“

Tutaj też zalicza prof. Struve Jana Śniadeckiego i na podstawie wyjątków z jego dzieł i określenia własnego stanowiska w „Przydatku do pisma filozofii,“ nazywa go empirykiem pod względem metody poznania i sensualistą pod względem poglądów na początek ludzkiej wiedzy.

Najważniejszy wpływ na rozwój filozoficznej myśli polskiej w III okresie wywarł Kant. Wprawdzie nie przetłómaczono na polski jego ważniejszych prac,<sup>1)</sup> ale dość prędko, bo już w r. 1799 rozpoczęto szerzyć wśród polskiej publiczności zasady filozofii krytycznej. Pierwszą pracą polską w duchu kantyzmu ogłosił Jędrzej Śniadecki w rozprawie „O niepewności zdań i nauk na doświadczeniu fundowanych.“ Należycie oceniając doniosłość „Krytyki czystego rozumu,“ rzucił następujące słowa, trafnie przewidując przyszłe krańcowości empiryzmu i materyalizmu: „Mojem zdaniem byłaby rzecz warta równie uczonego pióra, a może użyteczniejsza, zatrudnić się doskonałą *krytyką doświadczenia*, któremu jak najściślejsze w naukach reguły przepisać należy; inaczej przewiduję, iż wkrótce cała budowla nauk fizycznych na samej niemal polegać będzie powadze, albo że porzuciwszy romanse imaginacyi i zapalonego umysłu, budować będziemy romanse doświadczenia.“ Jest niezmiernie nauczającym zestawienie poglądów braci Śniadeckich: starszy Jan, jako matematyk i astronom, posiłkując się się przeważnie rozumem, stawiał zmysłowe doświadczenie wyżej, niż rozum, podczas gdy młodszy Jędrzej, uprawiając jako chemik i fizyolog, dziedzinę zjawisk i konkretnego doświadczenia, przyznawał rozumowi niezaprzeczoną wyższość nad zmysłami.

Systematyczniej pracował nad filozofią, głównie etyką, Józef Kalasanty Szaniawski; w logice podzielał ciasne, formalne stanowisko Kanta; przyczynił się w znacznej części do przyjęcia się w Polsce kantowskiej filozofii i popularyzacyi filozofii wogóle.

Ta sama zasługa należy się kantystom profesorom filozofii w Polsce. Jaroński w Krakowie, chociaż określał logikę w duchu kantowskiego formalizmu, to jednak w jej opracowaniu wykazuje duży postęp, bo formalną logikę łączy w jedną całość z krytyką rozumu. Zabellewicz w Warszawie, rozwijając filozofię Kanta w duchu jego zwolennika Kruga, oświadczał się za krytycznie uzasadnionym syntetyzmem, t. j. połączeniem w jeden systemat realizmu i idealizmu. J. Abicht w Wilnie, sprowadzony z Erlangen, dopełniał kantyzm metafizyką Fichtego.

Do krytycznych zwolenników Kanta należał wreszcie ks. Anioł Dowgird, profesor Uniwersytetu Wileńskiego, autor „Wykładu przyrodzonych myślenia prawideł czyli logiki teoretycznej

<sup>1)</sup> Do dwu wymienionych przez prof. Struvego prac należy jeszcze dodać przekład „O pedagogice,“ wydany w Wilnie w r. 1819.



i praktycznej.“ Opierając się na kantowskiej krytyce rozumu, Dowgird powstaje przeciw logice formalnej: „Logika tylko wtenczas może być prawdziwą i pożyteczną, kiedy wyłuszczać będzie razem nie tylko formę, lecz i materję myślenia, czyli, co jedno znaczy, kiedy w niej wykład prawdy rzeczywistej pójdzie obok z wykładem prawdy formalnej.“ Pomimo trafnego zrozumienia zadania logiki, nie potrafi jednak zadawalająco przedstawić zasad prawdy rzeczywistej i formalnej, a oprócz tego popełnia błąd zasadniczy, zacierając granice psychologii i teorii poznania (str. 198—245).

Okres IV idealistyczny. Tak samo w Polsce, jak i w Niemczech, po krytycznej filozofii Kanta nastąpiło metafizyczne jej dopełnianie w kierunku idealistycznym. Okres idealistyczny jest dotąd najświetniejszym w historii rozwoju filozoficznej myśli polskiej; wyższość swoją nad innymi zawdzięcza głównie tej okoliczności, że nie pozostał jednostronnie spekulacyjnym, lecz rozwinął się w syntetyczne dążenie do zaspokojenia wszystkich potrzeb życia narodowego tak poznawczo-teoretycznych, jak estetycznych i moralnych, usiłując wytrwać na stanowisku krytycznym. Na czele jego stoi Józef Hoene-Wroński. Celem poznania—zdaniem Wrońskiego—jest istota absolutu, z której dopiero możemy wydedukować i zrozumieć rzeczywistość naszego istnienia i otaczającego nas świata. Wartość indukcyjnej metody jest problematyczna, bo polega na zgoła przypadkowym uogólnianiu faktów. Środkami poznania są zmysły, rozum i mistyczne przeczućie absolutu, odkrywające nam nagle całą prawdę. Zdaniem Józefa Gołuchowskiego poznanie prawdy jest uwarunkowane rozwiązaniem sprzeczności; sprzeczność tkwi w abstrakcyjnym myśleniu, które doprowadza do wyników odmiennych od rzeczywistości. Skoro więc teorie oparte na myśli abstrakcyjnej nie mogą rozwiązać zagadnień poznania, należy zwrócić się do innego pierwiastku: woli. Wola jednoczy myśl i byt, jest bodźcem i źródłem wszelkich czynności osobowych, źródłem wolności. Wola doprowadza nas do pojęcia Boga, jako absolutnego ducha i ostatecznej zasady wszelkiej wolności.

Józef Kremer początkowo przyjmuje idealizm i dyalektykę Hegla, lecz później w „Nowym wykładzie logiki“ odrzuca je i zgodnie z poglądami nowszych myślicieli określa logikę, jako naukę o czynnościach i środkach poznania prawdy, chociaż praktycznie tego stanowiska ani zajmuje, ani realizuje. O „Rysie filozoficznym umiejętności“ Kremera pisze prof. Struve, iż stoi on „na czele nowego i zarazem dotąd najświetniejszego okresu filo-

zofii polskiej, okresu idealistycznego; przed tą pracą Kremera nie miano u nas pojęcia o skończonym systemacie filozoficznym, o zao-krąglonym w sobie poglądzie na wiedzę ludzką, na świat i życie... prace w tym kierunku były albo tylko urywkami, albo miały charakter przeważnie pedagogiczny; w każdym razie żadna z nich nie wzniosła się na ogólniejsze stanowisko filozoficzne, nie miała na oku całokształtu nauk filozoficznych, nie łączyła wszystkich szczegółowych zagadnień wiedzy w jedną naukową całość. To wszystko występuje w naszej literaturze po raz pierwszy w *Rysie filozoficznym umiejętności* Kremera. „W treści i formie tej pracy czynne są zawiązki wszystkich tych myśli, które później miały stanowić charakterystyczne znamię filozoficznych dążności jak samego Kremera, tak i Trentowskiego, Libelta i Cieszkowskiego. Ciepło serdeczne i poetyczny nastrój ducha w związku z głębokiem poczuciem religijnem już tutaj wyraźnie na jaw występuje, łącząc syntetycznie wszystkie dążności ducha w jedną nierozdzieloną całość. A to właśnie są rysy charakterystyczne polskiej myśli od pierwszych początków jej samodzielnego rozwoju.“

Kremer przyznawał się, że wychodził ze stanowiska Hegla, chociaż w ostatecznych wynikach różnił się z nim zasadniczo — inaczej Trentowski: tworząc heglowski system filozofii i uzupełniając go panteizmem Krausego, uznaje siebie za filozofa na wskroś oryginalnego, narodowego, a swoją filozofię za znacznie doskonalszą, niż heglowska, nie mniej ścisłą, jak „Krytyka czystego rozumu,“ a znacznie wyższą od płodów romańskiego i germańskiego ducha. *Myśli* Trentowskiego daje dowód nadzwyczajnego dyalektycznego uzdolnienia autora; dzieła innego przeprowadzonego tak systematycznie i drobiazgowo według zasady dyalektycznej trychotomii nie mamy wcale. Ale ta zaleta jest właśnie i wadą dzieła, bo zamiast trzymać się przedmiotu i uwzględnić jego treść, *Myśli* na podstawie dowolnie wymyślonego formalizmu, zadaje gwałt najprostszym zasadom starej logiki i stawia na ich miejsce zasady nowe, nie mające logicznego uprawnienia.“

Filozoficzne badania Libelta były skierowane ku wyobraźni, jako najważniejszemu pierwiastkowi ducha ludzkiego; rozum takim być nie może, bo doprowadza do abstrakcyi, a nie do rzeczywistości; postawiony na czele ducha ludzkiego, prowadzi do negacyi i upadku filozofii, bo nie uznaje innych pierwiastków ducha. Chociaż Libelt w zakresie teoryi poznania nie potrafił wyzyskać swego poglądu, musimy ten pogląd uznać za słuszny i za dowód znacznego postępu w poglądach na czynności umysłu



ludzkiego, a również podkreślić, że w historii filozofii powszechnej Libelt był pierwszym myślicielem, który do poglądu na świat wprowadził czynnik wyobraźni i nadał mu metafizyczne znaczenie.

Filozofia woli i czynu, a przez to historyzofia, mająca za przedmiot dzieje czynów i woli ludzkiej, była przedmiotem badań Cieszkowskiego. W teorii poznania rola jego jest niezmiernie skromna. Za najważniejsze źródło poznania prawdy uznawał intuicyjne, bezpośrednie poczucie religijne tego, co zwiastuje Ewangelia i naucza Kościół, bez uwzględniania jakichkolwiek czynników krytycznych.

Do okresu idealistycznego zalicza prof. Struve również t. zw. filozofię katolicką. Poprzednio wymienieni autorzy, jak Wroński, Gołuchowski, Kremer, Libelt i Cieszkowski, nie zrywali bynajmniej z religią, a nawet kładli duży nacisk na nieomylność dogmatów Kościoła, ale wszyscy oni usiłowali w ten lub inny sposób usprawiedliwić swą wiarę racjonalnie lub przynajmniej wykazać jej związek z zasadniczymi wymaganiami poznania rozumowego. Tymczasem zwolennicy filozofii katolickiej potępiali z góry wszelki racjonalizm i powoływali się wyłącznie na dogmata i naukę Kościoła. Odstępstwo od tej nauki uznawali a priori za fałsz, z którym się nie liczyli. Jasną jest rzeczą, że przy takim stanowisku mowy być nie mogło o filozoficzną, t. j. krytyczną teorię poznania. Należą tutaj Eleonora Ziemięcka, Stanisław Chołoniewski, Ignacy Hołowiński, Feliks Kozłowski i in. (str. 198—346).

Okres V krytyczno-syntetyczny. Jednostronny idealizm przedstawicieli poprzedniego okresu musiał wywołać reakcję, skoro się przekonano, że dyalektyka i dedukcja nie są w stanie doprowadzić do poznania rzeczywistości. Rozpoczęto szukać prawdy na drodze indukcyjnej, drodze badania poszczególnych zjawisk i ich rozwoju z jednej strony, z drugiej zaś — samego człowieka, jako realnej, psycho-fizycznej istoty. Ta metoda siłą rzeczy nadawała badaniom charakter krytyczny i syntetyczny, który nie pozwala na uwzględnianie tylko jednego współczynnika poznania, chociaż nie przeszkadza, aby wśród nich wyróżniano jeden, jako dominujący. Charakter ten utrudnia klasyfikację kierunków dla wspólnej im wszystkim wielostronności, pomimo to można je podzielić na racjonalne, empiryczne i mistyczne „z tem utoli zastrzeżeniem, wynikającym z powyższych uwag, że każdy z tych typów już niema charakteru bezwzględnie jednostronnego, t. j. nie wyłącza uznania dla danych zawartych w pozostałych poglądach, lecz zaznacza tylko stanowisko górujące jednego ze współczynników poznawczych, przy jego syntetycznej łączności z pozostałymi.“

Do kierunku *racyonalnego* należą ci myśliciele, którzy w swych dociekaniach teoryo-poznawczych biorą za punkt wyjścia umysł; jedni z nich trzymają się tego czynnika i uwzględniają inne o tyle, o ile z tantym się zgadzają (Al. Tyszyński, Fr. Krupiński, Stefan Pawlicki i in.); drudzy „mają na oku krytyczne dopełnienie racjonalizmu czynnikami empirycznymi, wogóle dążą do możliwego wyrównania przeciwstawności między umysłem i zmysłami, podmiotem i przedmiotem, między idealizmem i realizmem na polu poznawczem“ (Struve, Straszewski, Molicki, Al. Raciborski, Al. Skórski, Ignacy Skrochowski, K. Twardowski, M. Wartenberg, J. Lewkowicz, St. Garfein-Garski); inni wreszcie zaliczają się do nowo-kantystów (H. Goldberg, Wł. M. Kozłowski, A. Złotnicki, A. Mahrburg i M. Massonius).

Na osobną wzmiankę zasługuje *metoda myśli praktycznej* Tyszyńskiego, mająca usunąć jednostronność i abstrakcyjność systematów dotychczasowych i wskazać, że zadaniem naszym jest działalność praktyczna, skierowana ku pewnym celom, ku przyszłości, a „każde słowo, krok, utwór ludzki o tyle mają znaczenie, o tyle są pewnej wagi, o ile się mają dodatnio do dni przyszłości“ (w dziele „Zasady krytyki powszechnej“). Na podstawie tej teorii możemy uważać Tyszyńskiego za zwiastuna i poprzednika dzisiejszego t. zw. pragmatyzmu (James) lub humanizmu (Schiller) w filozofii.

*Empiryzm* opiera się głównie na rozbiorze faktycznych czynników doświadczenia i tylko w razie potrzeby zwraca się ku umysłowi, jako podmiotowi poznania. Należą tutaj pozytywiści (D. Szule, J. Ochorowicz, W. Szyszło, B. Limanowski, Świętochowski i Chmielowski), szereg filozofów-przyrodników (Chałubiński, H. Hoyer, W. Natanson, J. Nusbaum, H. Merczyng, E. Biernecki, W. Biegański i in.) i wreszcie zwolennicy empirio-krytycyzmu (Kodisowa i Heinrich).

Kierunek *mistyczny* V okresu rozwija się w granicach dogmatów Kościoła, chociaż nie nosi piętna wybitnie dogmatycznego i w wielu punktach zbliża się do empiryzmu i krytycyzmu. Reprezentują go księża Morawski, Gabryl, Dębicki, Nuckowski i in. oraz Wincenty Lutosławski (str. 346—520).

Szczupłość ram sprawozdania i większa wśród czytelników znajomość pisarzy dwóch ostatnich okresów, uwalniają nas od szczegółowego ich przedstawienia; nie można atoli pominąć milczeniem ostatniego rozdziału „Historji Logiki,“ zawierającego Pogląd ogólny i Wskazówki na przyszłość. Są trzy charakterystyczne rysy polskiej myśli filozoficznej: 1) *dążność życiowa* lub



jak dziś ją nazywają *pragmatyczna*, łącząca dociekania teoretyczne z zaspokojeniem pewnych potrzeb praktycznych; 2) *tendencja syntetyczna* w objęciu nietylko owych praktycznych potrzeb życia, ale i wogóle jak najszerszych widnokręgów myśli w celu osiągnięcia możliwie pełnego poglądu na przedmiot badany; i wreszcie 3) *żywość i obrazowość*, w ogóle *popularność wystowienia*, wynikająca z chęci zrównoważenia wszystkich potrzeb ducha i przemawiania nie do kasty uczonych, lecz do szerszych warstw wykształconego ogółu.“

O ile zgadzamy się z Sz. Autorem co do pierwszego i ostatniego punktu, to drugi nasuwa poważne wątpliwości tak co do swej treści, jak i przesłanek, z których został wysnuty.

Filozofia już przez to samo, że jest filozofią, musi zawierać w sobie więcej syntetyczności, niż wogóle literatura i życie praktyczne danego narodu, chociaż znajduje się w ściłym do nich stosunku. A przecież nie możemy zaprzeczyć, że w historii częścię grzeszyliśmy jednostronnością i krótkowidztwem, aniżeli olśniewali szerokim i wszechstronnym poglądem nawet już nie na świat, lecz na własne położenie i na własną przyszłość. Tyle faktów tę prawdę potwierdza, a najdobitniej nasze dzisiejsze położenie, że nie możemy zgodzić się na podkreślenie „syntetyczności,“ jako wybitnej cechy umysłowości polskiej. Mieliliśmy wyjątki, to prawda, ale jak znacznie więcej było ich u obcych...

Trudno jest zgodzić się i na przesłanki.

„Już zaznaczona powyżej baczność myślicieli polskich na potrzeby życiowe narodu wykazuje czynnik, który rozszerza i dopełnia same tylko teoretyczne dociekania“—pisze prof. Struve.

Teorya naukowa (nie spekulacya) wychodzi z praktyki, z faktów i nie przestaje się z nimi liczyć, jeżeli zaś pomimo to w dążeniu do swego konstrukcyjnego rozwoju będzie natrafiała na pochyłości, sprowadzające ją do potrzeb praktycznych, a postąpienie kroku naprzód będzie zależało od jego użytecznej wartości w danej chwili, to nie dosięgnie swego naturalnego kresu: skończonego systematu, stanie się płytką i ograniczoną; przy warunkach pomyślnych będzie owocną i niepłytką, ale zacieśnienia granic nie uniknie w żadnym wypadku. Sam fakt łączenia pierwiastka teoretycznego z praktycznym świadczy tylko o t. zw. pragmatyzmie.

Genezę owej *tendencji syntetycznej* prof. Struve przedstawia w następujący sposób: ponieważ naród nasz był wyprzedzany na drodze cywilizacyi przez inne, „wskutek tego przejawiał swoją samodzielną działalność umysłową bardziej w rozszerzeniu ogół-

nego na świat i życie poglądu przez rozbiór krytyczny przejętych zasobów wiedzy, aniżeli przez własne dobywanie tej wiedzy.“ Już od wieku XV naród nasz „zmuszony był“ (?) równoważyć i sprowadzać do wspólnego mianownika nabytki filozoficzne włoskie, niemieckie, francuskie i angielskie, stąd powstała „syntetyczna tendencya,“ a z niej — idea uniwersalnej prawdy, wszechstronnie występująca w okresie idealistycznej filozofii. Wydatniejsi polscy myśliciele „obejmują cały obszar filozofii, zazwyczaj szerzej, niż pierwszorzędni nawet filozofowie innych narodów, gdyż wśród tych ostatnich każdy miał przeważnie na oku swoich narodowych poprzedników, podczas gdy naszymi poprzednikami są myśliciele *wszystkich* narodów“ (str. 525—527).

W odpowiedzi na to nadmieniamy, że nie mamy prawa odmawiać *tendencji syntetycznej* pewnym narodom tylko dlatego, że dochodzili do poglądu na świat, posiłkując się wynikami badań rodzimego pochodzenia. Ale nawet gdybyśmy sobie to prawo przywłaszczyli, to gdzie mamy dowody na to, iż rzeczywiście tylko my, Polacy, uwzględnialiśmy wytwory obcego ducha, a Włosi, Niemcy, Anglicy i Francuzi nie znali nic więcej ponad to, co wyprodukowali własnymi siłami i we własnym domu? Pomijając filozofię starożytną, nie zapominajmy o tem, że łacina, panująca do XVIII, a istniejąca do XIX w., jako międzynarodowy język naukowy, była najskuteczniejszą przeszkodą do zamykania badań filozoficznych w granicach pojedynczych narodów. Znamy doskonale przyczyny, dla których musimy tak wiele gotowych rzeczy przejmować od obcych, ale z tego bynajmniej nie wynika, że obcy tylko żmudnie nad zdobywaniem pojedynczych prawd pracują, a my, Polacy, układamy te ich wyniki w systematy i poglądy na świat. I śmiemy wątpić, czy naprawdę przyszlibyśmy do wniosku sformułowanego przez prof. Struvego, gdybyśmy z encyklopedyi filozoficznej i podręczników historii filozofii wynotowali odpowiednie szczegóły, dotyczące *pierwszorzędnych* filozofów obcych i zestawili je z odpowiednimi, odnoszącymi się do *wydatniejszych* polskich.

Nawet własna praca Sz. Autora zawiera częściowe zaprzeczenie jego wywodów, a mianowicie w tych ustępach, które piszą o wielkiej wziętości niektórych polskich filozofów wśród obcych narodów.

Nie godząc się na treść punktu 2-go, wypisujemy z niego jedną myśl zasługującą na uznanie, której jednak niektórzy uczeni nasi nie mogą lub nie chcą zrozumieć: Rozwijając się umysłowo pod wpływem Zachodu, stamtąd czerpaliśmy gotową wiedzę. „Ucier-



piała na tem wprawdzie nieraz bezpośrednia, twórcza oryginalność myśli; ale nie dlatego, że się na nią naród zdobyć nie mógł, lecz dlatego tylko, że w samodzielności swojej często wyprzedzany był przez inne narody, więc nie jedno musiał przejmować biernie w gotowej, urobionej już formie.<sup>4</sup> Wychodząc z takiego stanowiska i posiadając gruntowną znajomość przedmiotu, łatwo jest prof. Struvenu wykazać naiwność i bezpodstawność poglądów Tomkiewicza,<sup>1)</sup> odmawiających naszej filozofii prawa do miejsca i wspomnienia w historii filozofii, i Massoniusa,<sup>2)</sup> który dla utrzymania tezy, iż Polacy nie pracowali samodzielnie nad nauką, wyłącza Kopernika poza nawias nauki polskiej.

We wskazówkach na przyszłość autor jeszcze raz omawia trzy wspomniane charakterystyczne rysy filozofii polskiej i jej postęp widzi w przejściu się nimi myślicieli naszych; a ponieważ filozofia nasza ma ścisły związek z życiem praktycznym narodu, więc prawdziwy postęp filozofii będzie ściśle złączony „z pochodem dziejowym ku lepszej przyszłości.“

Jednak nietylko zalety wykazuje nasza filozofia. „Do najgłówniejszych wad, które bardzo wyraźnie występują na jaw w rozwoju naszej filozofii i już w historii teorii poznania spostrzedz się dają, należą — pisze Struve — według mego widzenia: *zamiłowanie obcych nowinek* z pewnem zaniedbaniem swojskości, dalej *brak ciągłości* objawów myśli filozoficznej, wewnętrznego związku między nimi, wreszcie *brak solidarności* pracowników na tem polu, brak wzajemnej pomocy, a często nawet wzajemnego szacunku.“ Wskazówki, zmierzające do usunięcia tych wad, zamykają książkę.

„Historya logiki,“ sądzona nawet nie jako pierwsze tego rodzaju dzieło, musi być uznana za cenny nabytek w naszej literaturze filozoficznej. Cechują ją zwykle zalety prof. Struwego: gruntowna znajomość przedmiotu, wytrawny sąd i spokojna, przekonywująca krytyka; ponadto musimy podkreślić obywatelską tendencję autora, ujawniającą się nietylko w uwagach ostatecznych, ale i w tych konkretnych wypadkach, gdzie wskazywał na fakty świadczące, iż Polacy nietylko potrafili stać na jednakowym poziomie z Zachodem, lecz nawet go uprzedzać w rzucaniu nowych myśli i wska-

1) W „Filozofii w Polsce w XV i XVI wieku.“

2) W rozdziale „Filosofia u Polaków,“ umieszczonym w rosyjskim przekładzie „Historji filozofji“ Ueberwega.

zywaniu nowych dróg. Wobec tego możemy się spodziewać, że wezwanie prof. Struvego nie przebrzmi bez echa i młodsza generacya pracowników na polu filozofii, zwróciwszy większą niż dotąd uwagę na wytwory rodzimej myśli, rozpocznie przygotowania, zmierzające do wypełnienia pozostałej części dzieła, t. zn. do opracowania dziejów *filozofii praktycznej*.

Z obowiązku sprawozdawcy musimy zwrócić uwagę na stronę zewnętrzną omawianej pracy. Pominąwszy zwykłe zecerские błędy, a także niejednolitą i często archaiczną pisownię, należy wytknąć jej niedbałość i zupełną dowolność, np.: diwizya, period, kantoski, powzięść, mohilewski (po polsku: Mohylów, a więc przymiotnik tylko—mohylowski), rygski etc. Pozostawia czasami dużo do życzenia i język: „Z tej treści widać, że tylko pierwsza i druga księga, a mianowicie ta ostatnia do teoryi poznania się odnoszą.“ ...„czynność poznawczą nie należy oprzeć...“ (zam. niedokonanego: opierać); „z poglądami poznawczymi Cyclerona, zaczerpanymi“ (zam. czerpanymi lub zaczerpniętymi, ponieważ przybranka *za* wyraża charakter dokonany, a reszta: *czerpanymi*—charakter niedokonany, co razem w jednym słowie nie da się połączyć); „zagadnień... odwlekających tylko uwagę“ (otwlekajuszczich wniamańje — po polsku: odwracających); „dzieło... oddrukowane“ (niemieckie: abgedruckt—po polsku: drukowane lub wydrukowane, jeżeli chodzi o drugie wydanie); „musimy tu zwrócić uwagę szczególnie na rozbiór powyższych trzech władz, *którego* śmiało można nazwać“ (str. 240); „nie zdołały rozwiązać tej wielkiej zagadki i ustalić harmonią“ (nieśluszenie, bo przy przeczeniu, przedmiot został użyty w bierniku zamiast w dopełniaczu — błąd ten się powtarza); „rozwiązać potrącone zagadnienie“ (zatronutyj wopros — zam. poruszone); na str. 423 w pierwszym zdaniu przy punkcie *a* jest brak drugiej części złożonego orzeczenia, przez co staje się trudnem do zrozumienia.

Z. B.

*Polenlieder deutscher Dichter.* Gesammelt und herausgegeben von St. Leonhard.  
I. Band. Krakau-Podgórze 1911, str. XVI + 326.

Byłoby rzeczą bardzo ciekawą zbadać i uświadomić sobie, jakie przyczyny i okoliczności złożyły się na to, że w dzisiejszych Niemczech (i nie tylko w Niemczech) niemożliwem wydaje się powstanie takiego oto zbioru pieśni i poematów, jak powyższy, przesiąkniętego zapałem i entuzjazmem bezgranicznym i często-



króć przesadnym dla sprawy narodu obcego, tętniącego żywym, szczerem uczuciem i zainteresowaniem się jego losami, odbijającego w sobie niemal wszystkie ważniejsze momenty jego walki o wolność. Zapewne, zmieniły się warunki i zmienili się ludzie. Niemcy dzisiejsze mało są podobne do Niemiec z trzeciego lat dziesiątka ubiegłego wieku, dziś potężne rozwojem i bogactwem ekonomicznym, ufne w swe siły, wyciągające rękę po panowanie nad światem, wówczas rozdrobnione i jęczące pod uciskiem rządów despotycznych, odczuwające potrzebę swobody narówni z innymi gnębiionymi narodami, a więc też z entuzjazmem witające wszelkie próby zerwania kajdan.

Zmiany to ważne, nie można ich jednak uważać za sięgające w głąb psychiki narodowej do tego stopnia, żeby ją z gruntu przekształciły i przeinaczyły. Kto zna Niemcy współczesne choć trochę, kto otarł się o kulturę, literaturę i naukę niemiecką, ten nie będzie mógł na nie patrzeć wyłącznie tylko przez pryzmat naszego stosunku do polityki państwowej Prus, ani oceniać wartości kulturalnej Niemiec narówni z wartością etyczną i humanitarną dążności antypolskich rządu pruskiego.

Pominąwszy jednak te orientacye ogólne, a wracając do przedmiotu bliżej nas tu obchodzącego, niepodobna przypuścić, aby cały naród (względnie całe narody, bo nietylko wyłącznie do Niemiec to się odnosi) stępniał nagle na pewne podniety zewnętrzne, które zawsze i wszędzie, jak świat światem, wywoływały jeżeli już nie zapal i entuzjazm, to przynajmniej współczucie i sympatyę. Jest to absolutnie niemożliwe, w odniesieniu zaś do Niemiec współczesnych przeczy temu fakt up. silnego podniecenia i zainteresowania, z jakim śledzono tam, narówni z całym cywilizowanym światem, wojnę Boerów z Anglikami albo prawdziwe objawienie świata i ducha japońskiego podczas ostatniej wojny.

Nie można zatem twierdzić, jakoby wśród narodów osłabła zupełnie wrażliwość na takie hasła, jak: wolność, walka z przemocą i t. p., nie można zbyt wyłącznie szermować pojęciem „zmaterializowania się“ czasów dzisiejszych i być przekonania, że w to pojęcie da się wszystko zamknąć i wszystko niem wytłómaczyć. T. zw. idealizmu jest jeszcze wiele, przybrał on tylko inne formy zewnętrzne, a co najważniejsza, w innych formach się dziś *wyraża*, niż to było przed 80-iu laty. I tu dochodzimy do jądra interesującej nas kwestyi. Przyjąwszy za fakt, że to podłoże uczuciowe, na którym w r. 1831 wzrastał zapal i entuzjazm niemiecki dla sprawy polskiej, nie rozpadło się zupełnie i istnieje chociażby w stanie potencjalnym, chociażby jako wrażliwość nie

na sprawę polską w jej dzisiejszem stadyum, ale na te hasła, które wywiesiło powstanie polskie z r. 1830, choćby wreszcie w innych warstwach narodu niemieckiego—równocześnie nie będziemy mogli zaprzeczyć i innego faktu, a mianowicie, iż uczucia te, dotyczące obcych narodowości, dziś już albo bardzo słabo, albo też zupełnie nie znajdują wyrazu w *poezyi*. I to jest zasadnicza różnica pomiędzy dawnymi a dzisiejszymi czasy. W *poezyi* panują dziś inne orientacye, problematy i zagadnienia, niż przed niespełna wiekiem, czego innego się od niej obecnie żąda, niż dawniej, inne się jej stawia wymagania i inne wobec niej stosuje kryteria. Nie tu miejsce wchodzić w ocenę tego stanu rzeczy ani w rozbiór przyczyn, które go wywołały—należy jednak stwierdzić tę zasadniczą różnicę, bo to wyjaśni nam z jednej strony, dlaczego powstanie polskie wywołało taką powódź utworów poetyckich w literaturze niemieckiej, a na dzisiejsze walki i wojny, a choćby i na nasze położenie narodowe, głucha jest *poezya* europejska (znajdują one natomiast oddźwięk w dziedzinie życia społeczno-politycznego)—z drugiej zaś strony ułatwi nam zrozumienie i ocenienie należyte tych „pieśni polskich poetów niemieckich,“ które, z wyżej przytoczonych względów, niemożliwe byłyby w czasach dzisiejszych, w swojej epoce jednak stanowiły dokument ważny i ciekawy.

*Poezye* te, wydane świeżo przez p. Leonharda w Krakowie, przenoszą nas w epokę, która posiadała swój własny i oryginalny ton, własnego ducha, wyciskającego swe piętno na wszystkich objawach życia. Był to duch odrodzonego chrześcijaństwa i odrodzonej wolności. Temu to przedewszystkiem przypisać należy, że powstanie polskie stało się odrazu tak popularne w Europie, że opiewali je poeci wszystkich narodów, że emigracya polska po upadku powstania stała się tryumfalnym pochodem przez Europę, że zwłaszcza Niemcy przyjmowali naszych żołnierzy z uniesieniem, jakby tryumfatorów, a nie rozbitków i wygnańców. Wywarło to niemały wpływ i na naszą literaturę emigracyjną i nadało jej pewien specyficzny, namaszczoney, kapłański ton, który później rychło nabral barwy mesyanicznej.

Prąd „polonofilski“ w *poezyi* niemieckiej nie rozpoczął się jednak dopiero z wybuchem powstania listopadowego i nietylko z tego źródła czerpał tematy poetyckie. Postaci takie jak Sobieskiego lub Kościuszki przykuwały również uwagę poetów i zapładniały ich muzę. Zaslugują tu przedewszystkiem na uwagę pieśni znanego poety *Karola von Holtei*, odznaczające się głębi-



szem uczuciem i pięknem formy poetyckiej. Oto jedna z nich, mniej znana, z dzieła „Der alte Feldherr“:

Wohl tragen wack're Fürstendiener Orden!  
 Ich habe für zwei Völker nur gekriegt:  
 Das *Eine* ist beglückt und frei geworden,  
 Das *Andre* ward durch Übermacht besiegt.  
 Das *Eine* gab mir Theil an seinem Ruhme,  
 Das *Andre* gab mir Theil an seinem Schmerz!  
 Zwei *Orden* trag ich: auf der Brust die Blume  
 Und in der Brust ein unbeflecktes Herz.

Der gröszte Held im Schmuck der Kaiserkrone,  
 Liesz mir erglänzen seiner Gnade Stern.  
 Ich aber diene keinem fremden Throne,  
 Mein König starb— nun will ich keinen Herrn,  
 Frei steh'ich auf der Freiheit Eigenthume,  
 Von Schweizer-Bergen blick'ich himmelwärts!  
 So laszt mich sterben; auf der Brust die Blume  
 Und in der Brust ein unbeflecktes Herz!

Do tego wiersza dołączył wydawca jeszcze 5 innych, które powstały przed 29 listopada 1830 r. Drugą grupę tworzy 161 pieśni rozmaitych poetów z lat 1831—1834. Plan dalszego wydawnictwa obejmuje jeszcze 2 tomy. W drugim zamieszczone być mają pieśni anonimowe i pod pseudonimem wydane również w tych samych latach, dalej przekłady z polskiego, francuskiego i innych języków. Ciąg dalszy tworzyć będą utwory, wydane po roku 1834, jakkolwiek odnoszące się do wypadków listopadowych i wreszcie bardzo ciekawe wiersze przeciwników Polski. Do tego drugiego tomu zamierza wydawca dołączyć obszerny dodatek, zawierający uwagi historyczno-literackie i estetyczne, jakoteż odnoszące się do krytyki tekstu. Trzeci wreszcie tom zawierać ma utwory, odnoszące się do lat 1846, 1848 i 1863.

\*

\*

\*

Pierwszym poetą, który na wieść o powstaniu listopadowem uderzył w lutnię, był *Harro Harring*, do którego przyłączyli się później inni mniej lub więcej wybitni. Usiłowania rządów, ażeby groźbami zmusić tych niewygodnych śpiewaków do milczenia,

pozostały bez skutku. W pierwszym porywie radości i zapału apoteozują pieśniarze niemieccy zwycięstwo polskie, opiewają dzielność i odwagę „wielkiego narodu bohaterów“ w pieśniach, odach, dytyrambach, nowelach i powieściach. Liczba tych pieśni polskich wzrasta w miarę rozwoju powstania. Z naprężoną uwagą śledzą ludzie zmienne koleje walki, cieszą się i radują z powodu zwycięstw, ronią łzy nad klęskami, nie tracą jednak nadziei i dodają „szlachetnym Sarmatom“ odwagi. Po upadku powstania „wygnaniec polski,“ „blady przybysz“ wifany jest wszędzie z otwartymi ramiony, wszędzie na jego powitanie rozlega się śpiew pieśni legionów.<sup>1)</sup> Poeci wzywają rządy swoje, przedewszystkiem jednak książąt i wybitnych mężów stanu, do interwencji na korzyść Polski, ponieważ jednak wezwania te oczywiście żadnego skutku nie odnoszą, więc prześcigają się w manifestowaniu swych uczuć serdecznych i tkliwych. Odgrywa tu naturalnie pierwszorzędną rolę dążenie ich własnego narodu do wolności i wypowiedanie swoich własnych bólów i trosk *à propos* Polaków. A rzecz charakterystyczna i niepozbawiona znaczenia, że nie tylko poeci z profesyi chwytają za pióro, ale również i ludzie, nic dotąd wspólnego z poezją niemający, ludzie, których tylko walka o wolność zrobiła poetami. Stąd też wiele jest pieśni w tym zbiorze, które należą raczej do publicystyki, aniżeli do poezyi i które pod względem artystycznym nie zaspokajają skromnych nawet wymagań. Wiele w nich krzyku, hałasu, mocnych słów, jeszcze mocniejszych wykrzykników, ale pod względem treściowym przedstawiają się bardzo ubogo, a pod względem formy naiwnie. Nieodłączna jest też w takich wypadkach przesada, np. porównywanie Emilii Plater z Dziewicą Orleańską, przedstawianie bojów polskich, jako jedynych i bezprzykładnych w historii i t. p. Jest to jednak tylko jedna (choć dość liczna) grupa utworów zamieszczonych w zbiorze powyższym. Są to przeważnie krótkie wiersze o charakterze pobudek, pieśni bojowych, wezwań do wytrwania i odwagi, mazurów, krakowiaków i t. p.

Do drugiej grupy zaliczamy utwory o nastroju głębszym i poważniejszym, o artyzmie prawdziwym i zniewalającym. Znajdujemy tam w formę artystyczną ubrane rozważania nad znaczeniem i wartością powstania polskiego dla Europy (we wszystkich prawie powtarza się myśl, że walka Polaków jest walką o wolność Europy, co naturalnie nie pozostało bez wpływu na tworze-

<sup>1)</sup> Zob. Wstęp wydawcy, str. VI.



nie się idei mesyanistycznych polskich), dalej nad stosunkiem ludów Europy do sprawy polskiej, nad stosunkami w Niemczech, przyczem nie brak bardzo gorzkich uwag pod adresem własnych rządów i zjadliwej krytyki społeczeństwa własnego. Do takich utworów należy np. „Warschau“ *Grillparzera*, „Polonia“ *Mosena* lub bardzo gwałtowny, przez ówczesną cenzurę mocno poobcinany wiersz *Augusta Schäfera* p. t. „Der Fall von Warschau.“

Trzecią grupę stanowią poezye, poświęcone poszczególnym momentom powstania, bitwom lub utarczkom, wypadkom rzeczywistym lub fikcyjnym, wreszcie poszczególnym bohaterom powstania, jak Chłopiccki, Skrzynecki, Dwernicki, Dembiński; istnieją nawet wiersze poświęcone Dybiczowi, Wielkiemu Księżciu Konstantemu i Nowosilcowowi. Z pomiędzy wielu godnych tu uwagi utworów wymieniam rzewny obrazek *Lenau'a* p. t. „Der Polenflüchtling.“ Oto pierwsza jego zwrotka:

Im quellenarmen Wüstensand  
 Arabischer Nomaden  
 Irret ohne Ziel und Vaterland,  
 Auf windverwehten Pfaden  
 Ein Polenheld und grollet still  
 Daz noch sein Herz nicht brechen wil i t. d.

Zupełnie dobrą i bystrą charakterystykę Chłopicckiego zawiera wiersz *Ernesta Ortleppa* p. t. „Chłopiccki,“ jakkolwiek tenże sam poeta zbyt często puszcza się na bardzo kurkołomne pomysły, jak np. w wierszu p. t. „Gräfin Plater.“ Nie brak też i bardzo dowcipnych wierszyków i dziś jeszcze zupełnie aktualnych, jak np. *hr. Augusta Platena*: „Der Rubel auf Reisen.“

Ogrom materiału, zawartego w tej książce, nie pozwala na omówienie go obszerniejsze w tak ciasnych ramach. Poprzestaliśmy więc tylko na określeniu jej ogólnego charakteru i zaznaczeniu zagadnień, które nasuwa. Wartość tego zbioru (za którego wydanie należy się p. Leonhardowi szczerze uznanie) polega przedewszystkiem na tem przenikającym go szczerem, serdecznem, żywym uczuciu, które i nas mimowolnie porywa za sobą i każe nam zapominać częstokroć o nikłości treści lub usterkach formy poszczególnych utworów. Zawiera jednak, jak już wyżej zaznaczono, i takie, które pobudzają do myślenia i otwierają dalekie perspektywy na sprawy najbliższej nas obchodzące.

M. KRIDL.

# Kronika miesięczna.

---

Otwarcie sesji Izby.—Wykonanie testamentu.—Nowy premier o kwestyi fi-  
landzkiej.—Analogie.—Sprawa chełmska i wykup dr. żel. W.-W. — Przed wy-  
borami w Poznańskiem.—Krwawe widma niedawno minionych lat.—Plewy  
i ziarna.—Burza w szklance wody.—Pasek po francusku, czy klasycy polscy  
po polsku?

Ostatnia sesya Izby trzeciego powołania została otwarta. Nie dożył tego twórca jej, Stołypin, ale zdawało się z początku, że po kuluarach błąkał się cień zmarłego, jak chce rosyjskie po-  
danie ludowe: sesya otwarta została w czterdziesty dzień po zgo-  
nie premiera. Ale nietylko dlatego nasuwało się myśli wspom-  
nienie zamordowanego męża stanu. W sposób realny zupełnie  
był on przytomny pierwszym posiedzeniom, poświęconym interpe-  
lacyom w sprawie zamachu kijowskiego. Interpelacye te dość  
wyraźnie zarysowały różnice stronnictw Izby, od stanowiska na-  
cyonalistów, których boli jedynie tylko przyjmowanie Żydów do  
„ochrony“ przez mydłkujących październikowców, szukających  
zawsze zachowania cnoty i zbitia kapitaliku, aż do kadetów, któ-  
rych przedstawiciel, najlepszy mówca Izby, Rodiczew, miał od-  
wagę powiedzieć głośno o rządach „szpiegokracji,“ o tem, że  
„ziemia milczenia musi być ziemią zbrodni,“ że „kłamstwo musi  
przestać być systemem.“ Próżne wołania!

Druga interpelacya dotyczyła głodu, który panuje podobno  
w osiemnastu guberniach. Na początku sesji—teror i głód... jak  
oddawna w życiu. Klęska jest dotkliwsza, niż sobie wyobrażano.  
Już w lecie, gdy „Rossija“ pisała, że ostatecznie wszystko się  
sprowadza do częściowego nieurodzaju w kilku powiatach, i że  
odrzucając bezwzględnie metodę udzielania zapomóg w ziarnie  
i mące, rząd załatwi się z klęską w drodze organizacyi robót



publicznych — można było stwierdzić, że lud nie ma chleba na przednówku i że zaczyna grasować tyfus głodowy. Z robotami publicznymi spóźniono się, w dodatku zaś zorganizowano je w sposób, który skazywał je z góry na niepowodzenie. Niepodobna żądać, by głodny włościanin szedł na roboty o kilkanaście lub kilkadziesiąt wiorst od swojej wsi. Skończyło się na udzielaniu zapomóg. Wydano podobno już na to 48 milionów, trzeba na gwałt jeszcze 45, a w ciągu zimy zapewne jeszcze kilkadziesiąt, a może całych stu. Odpowiedzialność za nieudolność i niedbalstwo, jakie tu się objawiły, ponosi rząd dawniejszy, co dawano do zrozumienia u stronnictw środkowych.

Po interpelacjach zabrano się do pracy realnej, której zostało nad miarę. Trzecia Izba ma do załatwienia sprawy następujące: uchwalenie budżetu, co już jedno da roboty sporo i wywoła niejedną długą dyskusję; rozważenie sprawy ogromnego wzrostu wydatków na marynarke, co też nie obejdzie się bez przewlekłej wymiany zdań; debaty na temat klęski głodowej i sposobów radykalnego zażegnania tej plagi; załatwienie się z interpelacjami, których oczywiście nie można legować w spadku czwartej Izbie; rozważenie prawa o ubezpieczeniu robotników na wypadek kalectwa i choroby; uchwalenie prawa o odpowiedzialności urzędników i o wynagradzaniu przez nich samych strat, które ich opieszałość służbowa lub ich bezprawie wyrządziły; rozważenie prawa o nietykalności osobistej, raz już przedyskutowanego w Dumie, ale odesłanego z powrotem do komisji; uchwalenie decyzji w sprawie chełmskiej; wypowiedzenie się (przed zwołaniem sejnu finlandzkiego) co do obowiązkowej służby wojskowej i równouprawnienia Rosyan w Finlandyi; załatwienie sprawy nowo wprowadzonych ziemstw w guberniach zachodnich; uchwalenie lub odrzucenie projektów praw mniejszej wagi. Nie wspominamy o sprawach, które z natury rzeczy staną się przedmiotem dłuższej dyskusji przy zatwierdzaniu tej lub owej pozycji budżetowej, do których należy np. sprawa szkolna.

Wszystkie te kwestye mogą być załatwione, o ile rząd posiadać będzie zwartą i kurną większość. Na to się zanosi, został bowiem doprowadzony do skutku blok październikowców z nacjonalistami, a właściwie przejście ogromnej większości pierwszych pod jaskrawy sztandar nacjonalizmu. Czy blok ten stworzył nowy premier, czy też poprostu przystosował się zrzęcznie do niego, nad tem zastanawiać się nie warto. Faktem jest, że blok ten wywołał oburzenie na rozsądnej prawicy; bardzo ostry i bardzo głośny dał temu wyraz ks. Meszczerski, nazywając obie

grupy „bandami,“ które przyczyniły się do „szkody ogromnej,“ jaką wyrządziła Rosyi polityka Stołypina.

Pierwszy występ nowego premiera w Izbie był bardzo spokojny i rzeczowy: dotyczył ustawy o ubezpieczeniu robotników na wypadek choroby; widziano w nim wezwanie do realnej i zgodnej pracy. Pewne zrozumiałe zresztą złudzenia trwały dni pięć; może w tym właśnie czasie przychodził do skutku blok rządowy. Dość, że w pięć dni po pierwszej mowie zabrał p. Kokowcew głos w sprawie finlandzkiej; mowie tej w stosunku do obcoziemców możnaby dać historyczny tytuł „bez marzeń.“

Na porządku dziennym był projekt ustawy o dokonywaniu przez skarb finlandzki wypłat skarbowi państwa w zamian za uwolnienie obywateli finlandzkich od odbywania powinności wojskowej. Według referenta, wobec zniesienia w r. 1905 osobistej powinności wojskowej w Finlandyi i wobec systematycznego odmawiania przez sejm wypłaty wynagrodzenia wojennego, Finlandya znajduje się obecnie w całkiem nienormalnej sytuacji, gdyż nie ponosi ciężarów osobistych odbywania powinności wojskowej i nie uczestniczy w wydatkach na obronę państwa. Na podstawie prawa z d. 30 czerwca 1910 r. kwestya ta ma być rozstrzygnięta na drodze prawodawstwa ogólnopaństwowego. Wniesiony projekt rządowy proponuje zamiast pociągania obywateli finlandzkich do odbywania powinności wojskowej zobowiązać skarb finlandzki, aby czynił coroczne wypłaty skarbowi państwa, zaczynając od 12 milionów marek w r. 1911 i zwiększając corocznie wypłatę o jeden milion, aż do dojścia do 20 milionów. Środki na pokrycie tych wypłat asyguowane będą w drodze lokalnej finlandzkiej. W razie pociągnięcia obywateli finlandzkich do odbywania powinności wojskowej, wypłata tych pieniędzy ustaje. Drugi wniosek finlandzki brzmiał, że wszyscy poddani rosyjscy, o ile zechcą zamieszkiwać stale lub czasowo w Finlandyi, korzystać tam mają z praw cywilnych i politycznych, przysługujących ludności miejscowej; wywołuje on wątpliwości bardzo poważne, zwłaszcza ze względu na obsadzanie urzędów krajowych. W dodatku komisya Izby obostrzyła ten wniosek przez orzeczenie, że sprzeciwiający się czynnie lub biernie jego wykonaniu urzędnicy finlandzcy podlegać mają jurysdykcji sądów petersburskich.

Jak niesie podanie, ostatnim wyrazem, wypowiedzianym przez Stołypina na łożu śmiertelnem, był wyraz „Finlandya.“ Zatem w przemówieniu swoim był nowy premier niejako wykonawcą testamentu swego poprzednika. Usłyszeliśmy to stwierdzone bardzo wyraźnie: „W sprawach, dotyczących żywotnych



interesów państwa, w sprawach, dotyczących Finlandyi, a mających znaczenie ogólnopństwowe, w sprawach, od których zależy istotna całość i niepodzielność państwa i zaspokojenie istotnych potrzeb narodu rosyjskiego, nie może być wahań następcy w stosunku do jego poprzednika... Bronić on będzie projektów tych nie pod wpływem ducha nacisku, nie pod wpływem chęci urzędzenia życia rosyjskiego tak, żeby komuś było koniecznie gorzej, ale pod wpływem świadomości, że narodowość rosyjska, która zebrała w jedną niepodzielną całość państwo rosyjskie, otrzymać winna w ustawodawstwie rosyjskiem sprawiedliwą ocenę i uosobienie.<sup>4</sup>

Zapewne, gdyby całość mowy porównać z odpowiedniami przemówieniami Stołypina, znalazłyby się pewne różnice; w mowie nie było agresywności przeciw Finlandczykom; nazwał ich nawet raz „sąsiadami,” wywołując wybuch głośnego protestu; możnaby z tego wyprowadzić przypuszczenie, że nowy kierownik rządu występować będzie *suaviter in modo, fortiter in re*, a niedaleka przyszłość przypuszczenie to potwierdzi lub obali. Traktowanie zaś całej sprawy finlandzkiej nasuwa dwie, dość sceptyczne uwagi: pierwszą, że prawo ma małe znaczenie, skoro nie można go poprzeć siłą, albo odwrotnie, że wyraz przewagi staje się prawem, oraz drugą, że lojalizm czy legalizm wobec państwa może być dobrym lub złym objawem polityki bieżącej, ale nie jest dogmatem, skoro od stu lat legalna i lojalna Finlandya nie ustrzegła się od następstw, wrózonych zwykle tylko narodom niespokojnym i nie godzącym się z losem.

Najprostsza oczywiście analogia prowadzi od spraw finlandzkich do spraw naszych. Nietylko dlatego, że my, chociaż nigdy nie byliśmy równie spokojni, jak dziś, dziś właśnie największe bierzemy ciężki, ale i dlatego, że stanowisko premiera wobec spraw finlandzkich określa niejako i stanowisko rządu wobec spraw naszych. Wykup kolei Wiedeńskiej został przez Radę ministrów przyjęty bez dyskusyi; komisya chełmska odbyła świeżo posiedzenie, na którym przewodniczący wzywał referenta do przyspieszenia referatu, a komisya przyjęła wniosek wprowadzenia nabożeństwa dodatkowego w języku rosyjskim. Dalszy bieg tych najważniejszych dla nas spraw będzie zależał od pracy ciał prawodawczych. Nadmienić tu trzeba, że w roku bieżącym upływał ostatecznie termin, kiedy można było wykup dr. żel. W.-W. przeprowadzić na bardzo dogodnych warunkach. Suma wykupu jest obliczona na podstawie ostatnich pięciu lat, poprzedzających chwilę przejścia kolei na własność rządu. Ostatnie pięciolecie

(1906—1910) przedstawiało pod tym względem wyjątkowo dogodne warunki. Na skutek strajków lata 1906 i 1907 dały deficyt, a dwa lata następne dochód niewielki. Dochód ten jednak powiększał się z roku na rok, dzięki czemu wykup na rok przyszły jużby czynił na niekorzyść rządu, jak twierdzą źródła urzędowe, stratę 6 milionów rubli. Można by zatem spodziewać się, że do wykupu nie przyjdzie, tembardziej, iż Rada Państwa ma jeszcze więcej spraw do załatwienia, niż Izba, skutkiem czego trudno byłoby jej wydażyć z nowymi projektami. Ale, pomijając już fakt, że układanie porządku dziennego prac Rady Państwa jest atrybucją dyskrecjonalną jej prezesa, pośrednio zatem zależy od woli rządu, mamy jeszcze miecz Damoklesa w postaci § 87 praw zasadniczych, który pozwala wprowadzać nowe prawa bez udziału ciał prawodawczych. Znajdujemy się więc teraz pod bezpośrednią grozą dwóch najcięższych ciosów.

Pisząc na tem miejscu o osobie nowego premiera, wyraziliśmy obawę, czy zdoła oprzeć się parciu nacyonalistycznemu. Obawa ta spełniła się w całości. I gdyby nawet miało nastąpić pewne ogólne złagodzenie polityki wewnętrznej państwa, złagodzenie to nie da się uczuć ani Polakom, ani Finlandczykom.

\*

\*

\*

Na dwunasty stycznia roku przyszłego wyznaczone zostały wybory do parlamentu niemieckiego. Odbędą się one w formie zaciętej walki i w nastroju wyjątkowego rozgoryczenia. Wywołują ten nastrój dwie główne przyczyny: wzrastająca tak bardzo drożyzna, że grozi klęską ekonomiczną, burzy ludność miast; niewątpliwa porażka, której doznały Niemcy w zatargu z Francją o Marokko, wywołuje wzbурzenie szowinizmu w sferach przede wszystkim konserwatywnych, reprezentujących ludność wiejską. Ostatnie wybory uzupełniające w Dusseldorfie dały zwycięstwo socjaliście przeciw centrowcowi, z powodu dość obojętnego, żeby nie powiedzieć wrogiego zachowania się żywiołów liberalnych miejscowych; krążą pogłoski o zawarciu w całych Niemczech kartelu wyborczego wolnomyślnych z socjalistami; dotychczasowe przymierze konserwatystów z centrowcami wydaje się mocno zachwiane. Słusznie podkreślane są przedewszystkiem hasła eko-



onomiczne blizkiej walki wyborczej, sprawa celna, protekcyonizm rolniczy, stanowiący niewątpliwie jeden z czynników dotkliwej drożyzny. Ale chodzi i o coś więcej; o to, czy państwo niemieckie ma być nadal przy pozorach konstytucyjnych monarchią absolutną, gdzie źródłem władzy wszelkiej jest monarcha, tradycyjnie oparty o szlachtę, o większych właścicieli ziemskich, czy też cesarstwem demokratycznym, rządzone parlamentarnie i demokratycznie. Bliska walka wyborcza będzie starciem dwóch światopoglądów: zasady wolnego handlu w ekonomii, świeckości w nauczaniu, demokracji w rządzeniu i protekcyonizmu, klerykalizmu oraz polityki silnej ręki i praw wyjątkowych w dziedzinie wewnętrznej.

Jakaż rola Polaków w tej walce?

A najpierw, czy zmieniło się stanowisko rządu w sprawie polskiej? Zasadniczo — nie, taktycznie — nieco tak. Przypomnijmy, że przyłączenie się posłów polskich do bloku konserwatywno-centrowego w sprawie nowych podatków spowodowało upadek Bülowa i wyniesienie na pierwszy urząd w Rzeszy Bethmana-Hollwega, który przy objęciu rządów zapowiedział, że rządzić będzie bez nowych praw wyjątkowych. W obecnym zamęciu wewnętrznym niepożądane jest stwarzanie nowego czynnika niepokoju, zaostrozania sprawy polskiej. Sprowadzeni na ziemię polskie wielkimi kosztami i trudami koloniści zwrócili się w związku swoim przeciw większym posiadaczom ziemskim, przez co sprowadzili pewne otrzeźwienie konserwatystów. Obydwa te czynniki, razem wzięte, wpłynęły na niewprowadzanie w życie ustawy o wywłaszczeniu oraz na opóźnianie wniesienia nowej ustawy parcelacyjnej, bezpośrednio przeciw ludności polskiej skierowanej. Konsekwencją dalszą była zmiana wojującego hukatyisty, von Waldowa i obsadzenie naczelnej prezesury prowincyi poznańskiej przez bardziej umiarkowanego Schwartzkopffa oraz usunięcie jednego z najbardziej uciążliwych dla Polaków landratów. Na ostatniem miejscu wreszcie wymienimy, acz nie najmniejsze, wystąpienie Wilhelma II-go przy poświęceniu nowego zamku w Poznaniu, nie zawierające nic zaczepnego przeciw Polakom. Wszystkie te symptomy świadczą nie o żadnej zmianie kursu, nie o cofaniu się z raz obranej drogi, lecz tylko o zatrzymaniu się na tej drodze, o chęci dalszego niedrażnienia ludności polskiej, jakiejś współpracy, jakiegoś tymczasowego współżycia.

Takie położenie rzeczy będzie wymagało od reprezentacyi polskiej niezwykłego taktu i zmysłu politycznego. Taktu — ażeby uniknąć zarówno Scylli ugody, do której skłaniać i kusić mogą

głosy syrenie, a do której niema żadnej realnej podstawy, zarówno jak Charybdy opozycji *quand même*, zbyt ostrego tonu, który mógłby wpływać na ponowne wzmożenie środków państwowych przeciwpolskich. Zmysłu politycznego — aby się wywinąć z matni przeciwieństw ekonomicznych. Niema potrzeby unyślnie zamykać oczu na fakt, że wśród ludności polskiej interesom rolników odpowiadają cła protekcyjne, wzmagają bowiem ich dochody, gdy ludność miejska skarży się na nie słusznie, podwyższają bowiem ceny artykułów pierwszej potrzeby. Argument, że większość ludności polskiej stanowią rolnicy, nie wytrzymuje krytyki, w kwestyach bowiem interesów i potrzeb codziennych, najdrażliwszych, wszelkie majoryzowanie jest polityką bardzo niebezpieczną. Ale ponad interesami poszczególnych warstw stoi interes narodowy. On to powinien kierować głosami postów naszych na tę stronę, po której będą większe korzyści narodowe, a przy obecnych warunkach coraz częściej, mimo niewielkiej liczebności, może przypadać im w udziale rozstrzygnięcie o najważniejszych kwestiach polityki państwowej. Więc w domu zostawić trzeba ściśle doktryny ekonomiczne i wysłać do parlamentu takich wybitnych parlamentarzystów, którzy będą tam tylko Polakami, a nie przedstawicielami interesów ludności wiejskiej czy miejskiej.

Z zadowoleniem stwierdzić trzeba, że pod tem hasłem właśnie odbędą się na ziemiach polskich pod berłem pruskim najbliższe wybory. Odbędą się w dodatku w zupełnej zgodzie. Dwa główne odłamy myśli politycznej w Wielkopolsce porozumiały się co do ustalenia kandydatur, licząc się ze wzajemnym wpływem i wartością polityczną kandydatów; nie zbraknie tedy na arenie żadnej z wybitniejszych sił parlamentarnych, jakimi miejscowe społeczeństwo rozporządza.

To jest objaw pocieszający. Jest i drugi—stały wzrost głosów polskich przy wyborach. Zwiększyły się one więcej, niż w dwójnasób. W r. 1884 ogółem na kandydatów polskich oddano 203,200 głosów, w r. 1907 zaś już kandydaci polscy otrzymali 453,900 głosów. Przyczyniło się do tego wzrostu głównie przejście na Ślązku do kandydatur narodowych. Następowало to stopniowo i stopniowo też wzrastała liczba głosów polskich, która wynosiła przy wyborach w r. 1893 — 229,500, w r. 1898—244,100, w r. 1903 — 347,600, zaś w r. 1907 — 453,900. Nie jest to jeszcze najwyższa liczba. Ludności polskiej w monarchii pruskiej, gdzie prawie wyłącznie jest osiadłą, liczą dziś przeszło 3 i pół miliona. Wyborców w stosunku do ogólnej ludności liczy się około 20%. (Może wśród ludności polskiej procent ten jest cokolwiek mniej-



szy ze względu na większą ilość dzieci). Powinno tedy być w Prusach około 700,000 polskich wyborców; ponieważ zaś w okolicach polskich około 75% stawia się do urny, więc głosów polskich powinno być przeszło 500,000, która to liczba dotychczas nie została osiągnięta. Zostanie zapewne osiągnięta w roku przyszłym, termin wyborów jest bowiem bardzo korzystny dla ludności polskiej. Ludność wiejska, do jakiej przeważnie ludność polska należy, mniej ma zajęcia, powrócili zaś już lub powrócą niebawem do domu wszyscy, którzy wychodzili za robotą sezonową. Możemy zatem być pewni, że Polacy żadnego okręgu nie stracą, lecz zacięcie zwalczającym się obozom niemieckim przeciwstawią zwarty, jednolity zastęp polski. A w okresie agitacji po ziemiach polskich znowu wszędzie rozbrzmiewać będzie język polski, w zwykłych warunkach ograniczany ustawą o stowarzyszeniach. Ważna zbliża się pora dla naszych braci z poza granicy.

\*

\*

\*

Pomimo pozornego powierzchownego uspokojenia, dołem społeczeństwa nurtują ciągle jeszcze prądy anarchiczne, zaszczerpione przed kilku laty, metody załatwiania nożem czy rewolwerem sporów ekonomicznych. W ubiegłym miesiącu opinia nasza wstrząśnięta została mordami i zamachami na pracowników Polskiego Związku Zawodowego Robotników Przemysłu Mącznego. Zdałoby się, że fakty takie, pozornie niczem niewytłómaczalne, powinny spotkać się z jednomyślnem potępieniem opinii publicznej, jako objaw zdziczenia obyczajów i jako środek nigdy i nigdzie do celu nie prowadzący. Tak jednak nie było. Z obozu radykalnego ozwały się półgębkiem tłómaczenia o braku organizacyi zawodowej, o aktach rozpaczy, wynikających z braku jawności sporów między pracodawcami a robotnikami. Argumenty świadomie fałszywe. Organizacya zawodowa istnieje i mogą do niej należeć wszyscy piekarze; że nie chcą — to ich rzecz; że na kierowników tej organizacyi urządzają zamachy — to już rzecz całego społeczeństwa, które wobec takich faktów powinno zająć wyraźne stanowisko, a nie tłómaczyć moralnie morderców. O aktach rozpaczy także nie może być mowy; do rozpaczy powodu niema; człowiek, czy grupa, doprowadzona do rozpaczy, wystę-

puje sama, a nie wynajmuje na zimno płatnych zbirów dla wykonania mordy; tak właśnie było w tym wypadku.

Warto przyjrzeć się kulisom tej sprawy; informacye czerpiemy ze źródła dobrze poinformowanego, fachowego, z artykułu p. J. D., zamieszczonego w „Gazecie Warszawskiej.“

„W Warszawie istnieją cztery grupy piekarni. Do pierwszej należą większe i średnie piekarnie chrześcijańskie oraz kilka żydowskich, obsługiwanych wyłącznie przez chrześcijan, które, naogół biorąc, stosują się do cennika, uchwalonego po lokaucie. Druga grupa, to około 120 piekarni żydowskich, mających personel mieszany, trzecią stanowią piekarnie, założone przez Turków, czwartą — piekarnie żydowskie, obsługiwane przez samych właścicieli przy udziale żon, szwagrów, dzieci i t. p., słowem, piekarnie „familijne.“ Piekarnie, należące do pierwszej grupy, stosują się do cennika polokautowego, przyczem zaznaczyć należy, iż płaca tygodniowa, przyjęta przez cennik, a wynosząca 11 rb. 50 kop. do 14 rb. 50 kop. dla pracowników różnej kategorii, ostatnimi czasy, samą siłą utrudnionych znacznie przez drożyzną ogólną warunków życiowych, uległa wyższości, wynosi zatem obecnie rb. 13 do 16. Inaczej rzecz się przedstawia w piekarniach żydowskich, w których tygodniowa płaca za robociznę wynosi zaledwie 7 do 11 rb. nie mówiąc już o zaniedbaniu wewnętrznem tych piekarni pod względem technicznym, higienicznym i wszelkim innym. Trzecia grupa — piekarnie tureckie, obsługiwane są obecnie wyłącznie przez Turków, którzy pobierają tygodniowo 5 do 6 rubli, oraz pod koniec roku pewien procent od ogólnego obrotu. Czwartej grupy piekarni żydowskich, obsługiwanych przez rodziny właścicieli, zarobki obliczyć trudno.“

Strejk, którego straszmem echem były morderstwa pracowników, wybuchł w sześciu piekarniach parowych w Warszawie, a zatem w piekarniach chrześcijańskich, należących do grupy pierwszej. Strejkujący postawili w żądaniach nowe warunki, w których najważniejszą sprawą była nie podwyżka płacy, ale raczej takie rzeczy, jak przyjmowanie i wydalanie za zgodą ogółu, nie zaś właściciela lub zarządzającego piekarnią, nietykalność delegatów i t. p. Na czoło jednak wysunięto podwyżkę płacy tygodniowej, którą usiłowano posunąć od rb. 15, wyłączając personel pomocniczy, do rb. 18, nie licząc dodatków za przyrządzenie kwasów i t. p. Związek Zawodowy, który wespół z pracodawcami warunki te w r. 1907 uregulował, nie patrzył przychylnie na ten strejk, uważał bowiem warunki postawione za niemożliwe do przyjęcia, ale nie przeciwdziałał mu chociażby dlatego,



że nie rozporządzał dostatecznym personelem, aby zapełnić miejsca, opuszczone przez strejkujących. Za to bierne zachowanie się padli kierownicy jego z ręki morderców.

Widoczną jest zatem rzeczą, że chodzi tu o to poprostu, aby przeciwdziałać jakiegokolwiek organizacji robotniczej. Oczywiście winni są ci, którzy z tego przeciwdziałania bezpośrednią korzyść odnoszą, chociażby widomymi sprawcami byli obalamuceni robotnicy lub wynajęci zbirowie. Jak z powyżej podanych informacji wynika, piekarnie chrześcijańskie są poważnymi konkurentami piekarni żydowskich i tureckich, konkurentami, których za wszelką cenę zniszczyć trzeba. Jest to przeciwne interesom spożywców, którzy dostają pieczywo w gorszym gatunku, wypiekane w fatalnych warunkach higienicznych, jak również przeciwne interesom samych robotników, zapewnia bowiem przewagę przedsiębiorstwom, w których płaca zarobkowa jest o wiele tańsza.

O stwierdzenie tych faktów chodziło nam właśnie. Społeczeństwo musi mieć świadomość tego, do jakich środków ucieka się przemysł obcy na naszym własnym gruncie. Zataczanie przez tę świadomość jaknajszerszych kręgów będzie najlepszym lekarstwem na istniejące zło. A kiedy świadomość ta stanie się udziałem bezpośrednio zainteresowanych warstw ludowych, nie będzie kogo bałamucić hasłami wzmożenia dobrobytu robotniczego, gdy krew się leje na ulicach Warszawy tylko po to, aby handel szedł...

\*

\*

\*

Jeżeli ubiegły okres pozostawił nam w dziedzinie życia publicznego posiew anarchii, to trzeba mu natomiast przyznać, że w dziedzinie myślowej wywoływał ferment, zmuszał ludzi do zastanawiania się nad najważniejszymi sprawami życia zbiorowego i czynił je przedmiotem nieustannej dyskusji prasowej. Pod tym względem stan rzeczy zmienił się na gorsze. „Młynek przy strudze... obraca plewy własne i cudze...” A oto dowody, zaczerpnięte z ostatnich dyskusji prasowych.

Wiele atramentu i farby drukarskiej zużyto z powodu zatargu Towarzystwa literatów i dziennikarzy ze Stowarzyszeniem techników. Jak wiadomo, nie tak nie płami honoru kobiety, jak atrament; z pewnością nie też nie zaognia tak wszelkich sporów,

jak atrament w połączeniu z farbą drukarską. Tak też było i tutaj, przyczem ze stron obu popełniono różne błędy.

Istota sporu jest taka. Prezes Stowarzyszenia techników, człowiek wielkiej pracy i zasług społecznych, przemawiając na zebraniu poufnem, przy drzwiach zamkniętych, użył niewłaściwego wyrażenia o prasie wogóle. Wyrażenie to, wyrwane z całości kształtu przemówienia, podane zbyt surowo, powtórzone zostało przez niektóre pisma i doszło do wiadomości Towarzystwa literatów i dziennikarzy polskich, którzy zażądali wytłómaczenia się od prezesa Stowarzyszenia techników. Ten tymczasem wyjechał na kurację zagranicę i listu nie otrzymał. Zarząd Towarzystwa literatów i dziennikarzy, nie otrzymując odpowiedzi na swój list i nie sprawdzwszy, czy adresat go otrzymał, w zbyt — zdaniem naszym — ostrych słowach ferował wyrok, skazujący Stowarzyszenie techników na bojkot ze strony prasy polskiej. Skutkiem tego nastąpiły z tamtej strony kroki pojednawcze; wybrana ze stron obu komisya mieszana ustaliła warunki porozumienia — ciągle pod nieobecność głównego interesowanego. Zarówno wyrok poprzedni, jak i tekst porozumienia opatrzyły niektóre organy prasy codziennej zupełnie niepotrzebnymi komentarzami. Po powrocie, prezes Stowarzyszenia techników ogłosił obszerny memoriał, zwracający się w znacznej części przeciw owym komentarzom, za które Zarząd Towarzystwa literatów i dziennikarzy nie ponosi przecież żadnej odpowiedzialności, i żądający sądu, z warunkiem, aby wszystkie pisma polskie wyrok ten przedrukowały, koniecznie bez komentarzy, do czego nikt oczywiście zobowiązać się nie może, dlatego, że niema możliwości wykonania i dlatego, że nie można nikomu zabronić pisania o przedmiocie, który go interesuje. Ogólne Zgromadzenie członków Stowarzyszenia techników znaczną większość głosów stanęło po stronie swojego prezesa, a Zarząd literatów i dziennikarzy ogłosił komunikat, potępiający postępowanie Stowarzyszenia; epilogiem było usunięcie się niektórych członków zarządów obu instytucyi.

Niewątpliwie prezes Stowarzyszenia techników postąpił niewłaściwie, używając wyrażenia obraźliwego pod adresem prasy wogóle i powinien był dać na piśmie wyjaśnienie, któreby obrazę cofało i nadawało się do ogłoszenia w pismach. Łagodzi niewłaściwość fakt, że zdanie inkryminowane zostało wyrwane z szeregu innych, a znany jest aforyzm francuski, że niema takiego dzieła, z którego nie możnaby wyrwać wyrazów, mogących zaprowadzić autora na gilotynę. Niewłaściwie postąpił Zarząd Towarzystwa literatów i dziennikarzy, że bez sprawdzenia, czy adre-



sat odezwę jego otrzymał, wyrok na niego ferował. Obie strony — zdaniem naszym — postąpiły niesłusznie, że nie załatwiły sprawy drogą cichego sądu polubownego, narażając się przez to na złośliwe a słuszne uwagi pewnego pisma, że obie instytucye wyższe są i potężniejsze, niż bardzo potężne państwa, które przecież czasem zgadzają się na sądy rozjemcze, by wojny ciężkiej uniknąć. W danym wypadku za wiele czyniono w tej sprawie hałasu, a walka może tylko na szkodę wyjść sprawie publicznej.

\*

\*

\*

Druga burza polemiczna w szklance wody wybuchła o przedkład francuski „Pamiętników Paska.“ Nie sądzimy, aby czytelnicy nasi posądzili nas o brak patryotyzmu i zainteresowania sprawą publiczną, skoro szczerze wyznamy, że jest nam najzupełniej obojętnem, czy „Pamiętniki“ te wyjdą w tłómaczeniu francuskim, czy nie. Tymczasem zdawało się, że jest to sprawa najwyższej doniosłości narodowej; zwłaszcza ze strony przeciwników rozdzierano szaty, padały najbardziej gromkie słowa o wiecznem szukaniu poklasku obcych, o marnowaniu pieniędzy, potrzebnych na inne doniosłe sprawy i t. d.

Wśród tego hałasu o nic, a właściwie z powodu niego, padło zdrowe ziarno w postaci uwag o „klasykach polskich po polsku.“ Zwrócono mianowicie uwagę na to, że, zanim zaczniemy popularyzować klasyków naszych za granicą, byłoby dobrze, gdybyśmy sami się z nimi zapoznali, aby to zapoznanie ogółowi polskiemu udostępnić. Zwrócenie w tym wypadku uwagi wydawcom byłoby bezcelowe, są oni bowiem niewolnikami żądań publiczności, która nie interesuje się naszymi pisarzami klasycznymi, nie zna ich i nie czyta.

W znacznej mierze winna temu była szkoła obca. Z powodu tej dyskusji zwracano uwagę na Francye, tymczasem różnica jest kolosalna. We Francyi olbrzymią uwagę zwracają w szkołach średnich nie tylko na język ojczysty, ale i na jego źródło, na łacinę. U nas język polski był na ostatnim planie, traktowany lekceważąco, pozaplanowo, nauczyciele nie mieli ani chęci, ani możności rozwinięcia w uczniach zamiłowania do starej polszczy-

zny; kto miał ochotę, dopełniał mozolnie te braki studjami późniejszymi, ale — wyznajmy to szczerze — mało kto miał ochotę. I dlatego, gdy we Francji nie tylko literaci, ale każdy, kto skończył średni zakład naukowy, pisze po francusku dobrze, u nas nawet literaci piszą źle, a zwłaszcza rozporządzają niezmiernie małym zapasem wyrazów, dlatego, że nie znają źródeł polszczyzny i w historyi języka nie sięgają poza wiek dziewiętnasty.

Radę na ten stan rzeczy może dać tylko szkoła. Ufajmy, że da ją szkoła polska, byle zechciała udzielić językowi ojczystemu tego miejsca naczelnego, które mu się należy. To pokolenie, które z niej wyjdzie, powinno znać i kochać klasyków, a za tą znajomością i miłością pójdą i wydania „klasyków polskich... po polsku.“



# WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Bolesław Ładnowski.

Kto widział Ładnowskiego na niedzielnem popołudniowem przedstawieniu dn. 22 października z werwą i zapałem grającego jedną z ulubionych ról swoich, przeora Kordeckiego w „Obronie Częstochowy,“ — nie przypuszczał ani na chwilę, że w niespełna dwadzieścia cztery godzin ten tak bardzo żywy człowiek żyć przestanie. W nagłości tkwi jeden z najbardziej tragicznych czynników śmierci. Skończył nagle, na aneuryzm serca, na posterunku do ostatniej chwili, ucząc się nowej roli.

Zmarły pochodził z rodziny, dobrze zasłużonej teatrowi polskiemu. Ojciec jego, Aleksander, był wybitnym artystą i autorem dramatycznym, matka, Rozalia z Brzozowskich, występowała także na scenie z wielkiem powodzeniem; siostrę znakomitą artystkę, Rakiewiczową, mamy wszyscy w pamięci; publiczność krakowska oceniała talent drugiej siostry, Bronisławy Wolskiej; przez czas jakiś występowała na scenie warszawskiej także i żona ś. p. Bolesława.

Nieodżałowany artysta urodził się w roku 1843 w Płocku. Kształcił się na technika, ale zamiłowanie wrodzone i otoczenie teatralne niebawem wpłynęło na zmianę kariery życiowej. Po krótkich występach w mieście rodzinnem, jako młodzieniec dwiętnastoletni debiutował w Warszawie; grał tu w „Lektorze,“ w „Ślubach panięńskich,“ „Zemście za mur graniczny.“ Potem na scenie krakowskiej grywał amantów, aż świetnie oddana rola Hamleta zadecydowała o dalszym kierunku jego pracy artystycznej, czyniąc zeń już na zawsze jeden z filarów dramatu i tragedyi polskiej.

Trzebaby bibliograficzny spis podać wszystkich prawie granych na scenie dzieł Szekspira, wszystkich Szyllera, niektórych Wiktora Hugo z dziedziny tragedyi, wszystkich dzieł dramatu i komedyi mieszczańskiej, Augiera, Dumasa syna, Sardou, Ohneta, Feuilleta, Ibsena i innych, całej oryginalnej twórczości dramatycznej polskiej, aby dać obraz ról, grywanych przez tego artystę. Stajemy wobec ogromu pracy pamięciowej, wobec olbrzymiego wysiłku wcielania się w najrozmaitsze postaci. Dopomagała artyście bardzo bystra inteligencya, wielkie czytanie, gruntowna znajomość literatury dramatycznej wszystkich krajów i wielka pilność w pracy. Posiadał te zalety, których coraz bardziej brak młodszym artystom: dobrą i staranną wymowę polską, miłość języka, kulturę artystyczną i doskonałe wykształcenie w swym zawodzie. Wszystkie te przymioty były wyborną oprawą wrodzonego, rodzimego talentu.

W wielkiej ilości ról, które grywał, były oczywiście nierówności. Ale tyle razy wszystkich nas szlachetnie wzruszał, że dziś, nad świeżo usypanym grobem, tylko te wzruszenia mu pamiętamy i z nich wieniec żalu wijemy. Wieniec tembardziej zasłużony, że, jak u wielu artystów dramatycznych, ostatnie lata życia gorzkie były, pełne zarzutów jednostajności, maniery, nieuniknionej po półwiekowej blisko, wytężonej pracy. Nawet ten jednak, kto się zżymał na pojmovanie przez Ładnowskiego ról pewnych, musiał przyznać zawsze i samodzielne studia i szlachetność pozy, gestu, całego wogóle pojęcia roli.

Jak wszyscy inteligentniejsi artyści, miał się czasem Ładnowski pióra. Drukował w „Kuryerze“ nowelę „W czepku się rodził“; na scenie grano krotoczwilę jego „Rządy Pani Marceliny“; zamieszczał także ulotne wiersze, zawsze na wysoką nutę nastrojone.

Przez świat zakulisowy przeszedł czysty, jak łąza, pozostawiając po sobie pamięć uczciwego człowieka. Nie skarżyli się na niego koledzy, jako na reżysera; obdarzali go zaufaniem korporacyjnem, powołując przez lat kilkanaście na stanowisko najwyższe prezesa kasy artystów teatrów rządowych.

Zu talent, za trud bezustanny, za zacność życia prywatnego należy mu się skromny ten hołd pośmiertny. Żyć będzie długo w pamięci bywalców teatralnych, którzy nieraz, na sztukach repertuaru klasycznego, zwłaszcza Szekspirowskich, westchną z żalem: „jakby to zagrał Ładnowski!“ I to wspomnienie będzie zasłużonym hołdem serc, które tak często szczerze wzruszał.



## ś. p. Ks. Stanisław Stojałowski.

Trudna rola wspomnienia pozgonnego wobec zmarłego trybuna ludowego. Wiemy i czujemy to wszyscy, że zeszedł z widowni człowiek niepospolity, niepospolity zarówno w ujemnem, jak i dodatniem, które czynił. Historia kiedyś ściśłą granicę między jednym i drugim przeprowadzi; my, współcześni, zbyt mało jesteśmy od zmarłego odlegli, zbytńo mroczy nam wzrok kurz walk politycznych, byśmy na tę ściśłość zdobyć się mogli. Filozof starożytny każe mówić o zmarłych tylko dobrze; gdzież szukać wtedy sądu współczesnych, względnie może jeszcze najbezsronniejszego, gdy śmierć zgłuszyła echa walk? Inny poprawia go, by mówić tylko prawdę; któż z nas tak górnie o sobie mniemać może, że w sądzie pośpiesznym prawdę, ten najwyższy wyraz sprawiedliwości osiągnął?

Niepospolitość talentu, daru zjednywania sobie ludzi takiego, jaki bywa udziałem tylko historycznych wodzów, daru czytania w najgłębszych tajniach duszy ludowej, niepospolitość zdolności umysłowych i zdolności pisarskich—to są przymioty, które łatwo stwierdzić można, bo są nie do zaprzeczenia. Nad świeżym grobem S-go mówiono, że wpływ swój zawdzięczał przedewszystkiem sutannie, która niezwykle zawsze wrażenie na pobożny lud nasz wywiera; dlaczegóż z tylu księży on tylko taki wpływ zdobył? Mówiono dalej, że trafił na grunt nieruszony jeszcze, nikt się bowiem przed nim ludem nie zajmował; dlaczegóż on ten grunt uprawiać zaczął, a nie tylu innych? Zresztą, w tem ubocznem lekceważeniu talentu tkwi nieumyślna, ale rzetelna pochwała zasługi, że zawsze on pierwszy tym ludem zajmować się zaczął.

W działalności jego mamy przełom wyraźny: okres najwyższego wpływu, to okres negacyi, przeciwstawienia się wszystkim; okres najmniejszego wpływu, to okres porozumienia się, okres pozytywny odrabiania złego, ale także okres rezygnacyi. Nietylko dlatego, że w ciągu lat kilkudziesięciu u stóp jego wyrósł tłum karłów, którzy się wszyscy odrazu tym ludem zajmowali, pod różnemi firmami politycznemi. Ale i dlatego, że wszelka negacya, krytyka jest łatwiejsza, barwniejsza, działająca bardziej fajerwerkowo, niż obrona baseł pozytywnych. Dlatego tak często słyszy się pochwały pisarzy i publicystów opozycyjnych, którym poprostu tylko pisać łatwiej. Dlatego i poezya wszystkich wieków i ludów chętniej zajmuje się Lucyferem, niż Archaniołem

Michałem, czy Gabryelem. To poprostu kwestya większej barwności psychicznej.

Zarzucono Stojałowskiemu rzucenie wśród lud hasła demagogicznych, posiewu, który aż nadto plonuje. Prawda. Ale obok tego on ten lud obudził, uświadomił, przedewszystkiem na „Wieńcu“ i „Pszczółce“ uczył go czytać, czyli otworzył przed nim wrota kultury, drogę, którą szedł później i do kółek rolniczych, i do kas pożyczkowych. Wskazywał kierunek i działaczom skupiającym, i działaczom rozkładowym. O tem, sądząc zmarłego, nie zapominajmy.

Nie zapominajmy także o tem, że ten człowiek szczęśliwym nie był, że nie dla siebie nie osiągnął. Prócz krótkich chwil upojenia władzą, tułał się często bez dachu nad głową, ścigany przez swoją władzę hierarchiczną, przez ramię świeckie, przez wierzycieli i komornika, na schyłku zmienawidzony przez tych, którym całe życie służył, co niegdyś w ogień byliby za nim poszli, w szpitalu życia dokonał.

Zostawmy sąd o nim Sędziemu Sprawiedliwemu...

\*

\*

\*

Ks. Stanisław Stojałowski urodził się w r. 1845 w domu szlacheckim ojca swego, obywatela ziemskiego w okolicy Lwowa; po ukończeniu nauk średnich wstąpił do konwiktów oo. jezuitów i tam wyświęcony został na kapłana. Młode lata spędził w konwikcie krakowskim, gdzie pomimo młodego wieku, odznaczał się talentem krasomówczym, jako kaznodzieja, oraz nadzwyczajną pracowitością; równocześnie na jaw występować zaczęła gwałtowność charakteru, połączona z zaciętością, cechującą całe następne jego życie. Nieporozumienia wynikłe z tego powodu między ks. Stojałowskim a władzą zakonną, skłoniły go do wystąpienia z zakonu.

Okolo r. 1873 widziny go na stanowisku proboszcza w Kulikowie pod Lwowem. Tu rozpoczęła się jego praca dla ludu. Ówczesne kazania misyjne zwróciły nań ogólną uwagę. Gdy w r. 1876 objął wydawnictwo czasopism ludowych „Wieńca“ i „Pszczółki,“ ówczesny arcybiskup lwowski Wierchlejski udzielił w gorących wyrazach błogosławieństwa kapłanowi-redaktorowi.

Z każdym rokiem ks. Stojałowski rozszerzał i pogłębiał swą działalność wśród ludu, coraz bardziej też zwracał na siebie uwagę kół wpływowych, zarówno duchownych, jak i świeckich. Pierwsze śledziły z niezadowolaniem rozmaite objawy wzmagającego się ruchu ludowego, drugie zmuszone były zająć się sposobem życia proboszcza kulikowskiego, budzącym ogólne niezadowole-



nie. Po przeprowadzeniu śledztwa przez ówczesnego biskupa sufragana lwowskiego, ks. Puzybę, ks. Stojałowski usunięty został z probostwa.

Wykolejony ze zwykłych warunków życia duchowieństwa galicyjskiego, rzuca się tem zapamiętałej w wir polityki, podniecany niestannie wszelkiego rodzaju przeciwnościami, a także coraz częściej zaglądną w oczy nędzą materialną. Agitacya społeczno-polityczna idzie ręką w rękę z agitacją dewocyjną: pielgrzymka do Ziemi Świętej, głośnie w swoim czasie „lampy jerozolimskie“ są tak samo na porządku dziennym, jak agitacya o „lasy i pastwiska.“ Był to okres największego na lud wpływu. W ślad za działalnością polityczną idą procesy sądowe i kary więzienia. Był ich szereg długi. Od roku 1889 przez lat siedm życie ks. Stojałowskiego było pasmem gwałtownej agitacyi, przegradzanej dłuższem lub krótszem siedzeniem w więzieniu. Dni tam spędzone złożyły się w tym okresie na pełne dwa lata.

W marcu 1896 r. dostaje się znów do więzienia. Pod wrażeniem tej kary występuje tak gwałtownie przeciw władzy duchownej, że wybuchy jego ściągają nań naprzód zawieszenie w obowiązkach kapłańskich, a potem — gdy chciał od suspensy uchylić się przez zaciągnięcie się do dyecezyi czarnogórskiej i pod jej osłoną dalej występował przeciw Kościołowi — spada nań klątwa.

Półtora roku pozostawał pod jej brzemieniem. Za namową i poparciem hr. Anny z Działyńskich Stanisławowej Potockiej, udał się do Rzymu i tam uzyskał przebaczenie i zdjęcie klątwy.

Ostatnie lata działalności politycznej ks. Stojałowskiego zaznaczały się przerzucaniem się jego i grupy przezeń stworzonej, z obozu do obozu. Powoli tracił dawną wziętość i znaczenie. Śmierć wreszcie położyła kres temu życiu burzliwemu.

L. W.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

## Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. W dniu 9 listopada odbyło się posiedzenie Wydziału III-go, na którym p. Zdzisław Dmochowski przedstawił komunikat p. t. „Nowa teoria powstawania nowotworów“ (doniesienie tymczasowe).

W dniu 10 listopada odbyło się posiedzenie Wydziału II-go, na którym p. K. Stolyhwo demonstrował szkielety całkowite lub też części szkieletu małp i małpozwierzy, które zostały ofiarowane do zbioru pracowni antropologicznej Tow. Naukowego Warszawskiego przez p. Edwarda Lotza. Następnie p. Stolyhwo odczytał referat p. S. Hupki p. t. „Co i jak badać — uwagi dla zajmujących się ludoznawstwem.“

## NOWE KSIĄŻKI.

— D-r L. KUBALA. *Szkice historyczne*. Serya trzecia. Wojna moskiewska r. 1654—1655. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff, str. 443.

Znakomitych, z niezwyklej plastyką skreślonych „Szkiców historycznych“ prof. Kubali ukazała się nowa serya, odznaczająca się temi, co i poprzednie, zaletami. Daje w nich autor dzieje nieszczęśliwej kampanii 1653/4 r., na której tle charakteryzuje wybitniejsze postaci, jak Bohdana Chmielnickiego, księcia Janusza Radziwiłła, cara Aleksego Michajłowicza i innych. Na kartach tych, pisanych w szczerem ukochaniu przeszłości ojczystej, odbija w kształtach plastycznych dawne życie Rzeczypospolitej w epoce mrocznej, rozświetlanej jeno szabel błyskiem, rozbrzmiewającej gwarem bitewnym, pełnej scen rozdzierających i krwawych. Ustępy z tego dzieła pomieszczone były przed paroma laty w „Bibliotece.“



— WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI. *Mrok i świt*. Studya historyczne. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff, str. 442.

Zbiór szkiców historycznych z epoki saskiej, której badaniu poświęcił się młody autor. Na obfitym materiale z pierwszej przeważnie ręki oparte zostały studia następujące: Z dziejów naszej partyjności. Sejm grodzieński 1752 roku. Księżę Udalryk Radziwiłł. Spór o wrota morza Bałtyckiego. Precedens wywłaszczenia w Wielkopolsce. Stanisław Konarski, jako reformator polityczny. System konstytucyjny Konarskiego.

— D-R J. LENIEK. FR. HERZIG. KS. FR. LEŚNIAK. *Dzieje miasta Tarnowa*. Tarnów, 1911, str. 303.

Nakładem Kasy oszczędności m. Tarnowa ku uczczeniu 50 rocznicy jej założenia wydane zostało dzieło niniejsze, które stanowi wartościowy nabytek dla ubogiej dotychczas historyografii miast naszych. Uwzględniono tu w sumiennem opracowaniu dzieje Tarnowa od czasów najdawniejszych aż do 1907 r.; szeroko też traktowane są zabytki artystyczne i historyczne dawnego grodu Leliwitów. Książkę zdobiją liczne ilustracye. Godna pochwały inicjatywa instytucji tarnowskiej winna znaleźć najliczniejszych naśladowców.

— STANISŁAW KRZEMIŃSKI. *Nowe szkice literackie*. Z podobizną autora, według portretu K. Mordasewicza. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff, str. 343 i nlezb.

Poprzedzony przedmową prof. Ign. Chrzanowskiego, obecny zbiór studyów znanego pisarza składa się z szeregu dawniejszych rozpraw autora, poświęconych rozbiorowi celniejszych dzieł historycznych i literackich, oraz szkiców okolicznościowych. Rozwijają w nich p. Krzeziński swoje poglądy na wiele zagadnień natury politycznej i społecznej.

— D-R MAX BAR. *Der Adel und der adlige Grundbesitz in Pommern-Preussen zur Zeit der preussischen Besitzergreifung*. nach auszügen aus den Vassallenlisten und Grundbüchern. Leipzig, 1911. Mitteilungen der K. preussischen Archivverwaltung. Heft 19, str. 274.

Sumienny wykaz szlacheckiej własności ziemskiej w prowincjach polskich, należących do Prus w drugiej połowie XVIII w., ułożony na podstawie ksiąg gruntowych i wykazów hipotecznych. Wydanie bardzo staranne, opatrzone spisem nazwisk i miejscowości.

— WITOLD SZYSZŁO. *Meksyk*. Warszawa, 1912. Str. 257. TENŻE: *Mate Antylla i Janajka*. Warszawa, 1911. Nakład. księgarni St. Sadowskiego. Str. 252.

Zbiór przeważnie znanych czytelnikom naszym szkiców podróżniczych, odtwarzających egzotyczne krajobrazy, florę i faunę, obyczaje krajowców, życie społeczne i urządzenia polityczne. Opis barwny i zajmujący ilustrują liczne ryciny w tekście.

— APULEIUS. *Amor i Psyche*. Przekład L. Rydla. Kraków, 1911. S. A. Krzyżanowski. Str. 153.

Doskonały przekład słynnego utworu, dokonany przez autora „Zaczarowanego koła,” wydany został w szacie niezwykle starannej. Ilustracje z fresków Rafaela w pałacu Farnese w Rzymie, ozdoby drukarskie z grotesków według „Loggie di Raffaele nel Vaticano,” staranny druk, wszystko składa się na szatę estetyczną, godną treści, ujętej w bogatą polszczyznę, uniejętnie archaizowaną.

— FRANCISZEK JAWORSKI. *Lwów stary i wczorajszy*. Szkice i opowiadania. Wydanie II. Lwów, 1911. Str. 362.

Jowialnie, z rzetelnym humorem kreśli autor misterne studia z przeszłości dawnej i bliższej, wskrzeszając żywe postaci, maluje chwile doniosłości historycznej, oraz zapomniane wywołujące obrazy. Książka przeniknięta prawdziwym umiłowaniem grodu i bogatych jego dziejów. Ilustracje według rycin autentycznych.

## BIBLIOGRAFIA.

### KSIĄŻKI NADESLANE DO REDAKCYI.

AHO JUHANI: Do Helsingforsu. Z fińskiego przełożyła J. Klemensiewiczowa. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.”

BÖLISCHE WILHELM: Miłość w przyrodzie. Serya druga. Przekład D-ra Zygmunta Szymanowskiego. Warszawa, 1912. G. Centnerszwer i S-ka.

BOUGAUD E., BISKUP LAVAL: Św. Wincenty à Paulo. Żywot i praca. Tom I. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich.”

CHLEBOWSKI BRONISŁAW: Warszawa za Książąt Mazowieckich. Warszawa, 1911. Nakładem Towarzystwa Miłośników Historii.

CIEPLIŃSKI CZEŚLAW: Misteryum. Poezye. Kraków. D. E. Friedlein. 1911. Warszawa. Księgarnia E. Wende i S-ka.

CZARNIK BRONISŁAW: Pierwsze utwory poetyczne Augusta Bielowskiego. Lwów, 1911. Nakładem Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich.

FLAUBERT GUSTAW: Pani Bovary. Tłómaczenie i przedmowa Alfreda Iwieńskiego. Warszawa—Kraków, 1912. Wydawnictwo Ultima Thule. Skład w księgarni G. Gebethnera i Wolffa.

GÓRZYŃSKI KS. WL.: Rozwój Historii Sztuki wśród umych narodów i w Polsce. Włocławek, 1912.

HANDELSMAN MARCELE: Warszawa w roku 1806—1807. Warszawa, 1911. Nakładem Towarzystwa Miłośników Historii.



HELYS M.: Kwiaty z zamkniętego ogrodu. Szkice z życia kobiet w Turcji. Przekład z francuskiego M. Gąsiorowskiej. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

HUGO WIKTOR: Han z Islandyi. Powieść historyczna. Tom drugi. Warszawa, 1911. „Biesiada Literacka.“

— Człowiek śmiechu. Powieść. Tłómaczył z francuskiego Felicyan Fałęski. Tom 1 i II, z 6-ciu ilustracyami. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. „Ciekawe powieści.“ Kraków. G. Gebethner i S-ka.

JARKOWSKI ST. T.: Literatura dotycząca prasy polskiej. Notatki krytyczno-bibliograficzne. Warszawa, 1911. Nakład autora. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

LEMAŃSKI JAN: Jaselka. Warszawa, 1911. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

RAJSKA ZUZANNA: Dogaressa. Warszawa, 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

ROMOCKI LUDWIK: Żołnierz W. Ks. Konstantego. Historje z dawnych lat. Druga serya. Warszawa. Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

ROZPRAWY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI. Wydział Historyczno-Filozoficzny. Serya II. Tom XXIX. Ogólnego zbioru tom pięćdziesiąty czwarty. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.

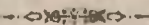
SĘDZIUK KAZIMIERZ: Niepotrzebny. Wigilia. Namowa. Wesele. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni M. Borkowskiego.

SZCZEPAŃSKI JÓZEF: Co nam daje szkoła polska, a czego od nas wymaga? Studium społeczne. Włocławek, 1912.

SZKICE z puszczy Białowieskiej 14 kartonów Antoniego Kamińskiego. Tekst Zygmunta Bartkiewicza. Warszawa, 1912. Nakładem Towarzystwa Akc. Wydawniczego „Świat.“

XXV. RYS HISTORYCZNY Towarzystwa Kredytowego miasta Kalisza. Wydanie jubileuszowe (1886—1911). Opracował i rzutem oka na przeszłość Kalisza poprzedził Alfons Parczewski. Kalisz. Druk „Gazety Kaliskiej.“

ŻEROMSKI STEFAN: O przyszłości Rapperswilu. Towarzystwo Przyjaciół Raperswilu. Udowodnienie zarzutów, poczynionych Zarządowi Muzcalnemu. Nakładem Wydawnictwa „Życie“ w Krakowie. Lwów, skład główny H. Altenberg. Warszawa, G. Cetrnerszwer i S-ka.




---

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

---

# SPIS RZECZY

## ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

z roku 1911.

### F I L O Z O F I A.

	Str.
PODSTAWY ETYKI SCHOPENHAUERA, — przez <i>d-ra Zygmunta Buja-</i> <i>kowskiego</i> . . . . .	148 i 348
Z DZIEJÓW ESTETYKI POLSKIEJ, — przez <i>Michała Sobieskiego</i> . . . . .	268

### H I S T O R Y A.

MŁODE LATA KOŚCIUSZKI, — przez <i>Włodzimierza Andrzeja Dzwonkow-</i> <i>skiego</i> . . . . .	22
KARTKI Z PAMIĘTNIKA MICHAŁA STARZEŃSKIEGO . . . . .	73, 245 i 440
WARSZAWA ZA RZĄDÓW RADY ZASTĘPCZEJ TYMCZASOWEJ (19 IV—27 V 1794), — przez <i>Wacława Tokarza</i> . . . . .	209
GALICJA PODCZAS WOJNY 1812 r., — przez <i>d-ra Wacława Mejszajna</i> . . . . .	417
MICHAŁ CZAYKOWSKI W TURCYI, — przez <i>Tadeusza Szpotkańskiego</i> . . . . .	465
Z DZIEJÓW WIELKIEJ FORTUNY, — przez <i>Janusza Iwaszkiewicza</i> . . . . .	479
POCZĄTKI I CHARAKTER KOZACZYŹNY UKRAIŃSKIEJ, — przez <i>Dr.</i> <i>Rawiłę-Gawrońskiego</i> . . . . .	511

### HISTORIA LITERATURY.

MICKIEWICZ w r. 1848, — przez <i>d-ra Tadeusza Grabowskiego</i> . . . . .	1
---	---



## SZKICE LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

	Str.
NASZA NAJNOWSZA POWIEŚĆ I JEJ WZORY, — przez <i>Antoniego Ma-</i> <i>zowieckiego</i> . . . . .	55
RUCH LITERACKI WE FRANCYI, — przez <i>Orwida</i> . . . . .	109
FRANCISZEK LISZT, — przez <i>d-ra Józefa Władysława Reissa</i> . . . . .	133
RUCH LITERACKI W NIEMCZECH, — przez <i>d-ra Józefa Flacha</i> . . . . .	277
POEZYZA I PRZYRODA W JAPONII, — przez <i>Remigiusza Kwiatkowskiego</i> .	302
MAURYCY MAETERLINCK, — przez <i>Orwida</i> . . . . .	317
APOSTOŁ PIĘKNA (William Morris), — przez <i>Zuzannę Rabską</i> . . . . .	502

## SZKICE KRAJOZNAWCZE.

W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ, — przez <i>Stanisława Janiszewskiego</i> . . . . .	547
---	-----

## R O Z M A I T O Ś C I.

SYMPHONIAE ANIELSKIE J. K. DACHNOWSKIEGO, zbiór kołęd z XVII w., — przez <i>Alfreda Brodnickiego</i> . . . . .	574
---	-----

## K R Y T Y K A.

HENRYK WIERCIEŃSKI: „W sprawie wydzielenia Chełmszczyzny,“ — przez <i>Wacława Dunina</i> . . . . .	169
EDWARD MILEWSKI: „Sklepy społeczne“ (Rzecz o kooperacji spożywców), — przez <i>d-ra Zygmunta Gargasa</i> . . . . .	172
MARYAN GAWALEWICZ: „Poeta promienisty,“ — przez <i>H. M.</i> . . . . .	179
PAWEŁ LOUIS: „Dzieje socjalizmu we Francyi do 1908 roku włącznie,“ — przez <i>Wacława Dunina</i> . . . . .	365
ADAM WOLBERG: „Obwiniam prasę polską!“ — przez <i>W. D.</i> . . . . .	369
WACŁAW BERENT: „Ozimina,“ powieść, — przez <i>Henryka Gallego</i> . . . . .	371
MAURYCY MANN: „Rozwój syntezy literackiej,“ — przez <i>M. Kridla</i> . . . . .	377
D-R KAZIMIERZ WŁADYSŁAW KUMANIECZ: „Studia z zakresu statystyki wędrowek,“ — przez <i>d-ra Zygmunta Gargasa</i> . . . . .	381
LATOSIŃSKI JÓZEF: „Monografia miasteczka Wilamowie na podstawie źródeł autentycznych,“ — przez <i>Ig. B.</i> . . . . .	389
HENRYK STRUVE: „Historya logiki jako teoryi poznania w Polsce,“ — przez <i>Z. B.</i> . . . . .	581
„Polenlieder deutscher Dichter,“ — przez <i>M. Kridla</i> . . . . .	593

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

	<i>Str.</i>
<b>PAŹDZIERNIK :</b>	
Z powodu zamachu. — Na marginesie głośnego procesu. — Rozprawy o zmniejszeniu liczby świąt. — Trwożna pogłoska. — Wystawa w Sandomierzu. — Stołypin i Kokowcow . . . . .	181
<b>LISTOPAD :</b>	
Rewizya spraw katolickich, jej rezultaty i możliwe następstwa. — Statystyka samobójstw. — Groźne cyfry. — Samobójstwa dzieci i młodzieży. — Brak środków zaradczych. — Jubileusz Towarzystwa Szkoły Ludowej w Galicyi. — Rezultaty dwudziestoletniej działalności. — Kronika teatralna	392
<b>GRUDZIEŃ :</b>	
Otwarcie sesyi Izby. — Wykonanie testamentu. — Nowy premier o kwestyi finlandzkiej. — Analogie. — Sprawa chełmska i wykup dr. żel. W.-W. — Przed wyborami w Poznańskiem. — Krwawe widma niedawno minionych lat. — Plewy i ziarna. — Burza w szklance wody. — Pasek po francusku, czy klasyce polscy po polsku? . . . . .	599

## WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Księżę Kardynał Puzyna i ś. p. d-r Jan Stella Sawicki, — przez <i>L. W.</i>	186
ś. p. Franciszek Kostrzewski, ś. p. Filip Zaleski i ś. p. Zofia Trzeszczkowska, — przez <i>L. W.</i> . . . . .	407
ś. p. Bolesław Ladnowski i ś. p. Ks. Stanisław Stojałowski, — przez <i>L. W.</i>	612

## WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

<b>PAŹDZIERNIK</b> . . . . .	201
<b>LISTOPAD</b> . . . . .	412
<b>GRUDZIEŃ</b> . . . . .	617





THE STATE OF TEXAS

COUNTY OF ...

Know all men by these presents, that ...

... of the County of ... State of Texas, for and in consideration of the sum of ... Dollars, to ... of lawful money of the United States, by ... to the said ... of the County of ... State of Texas, the receipt of which is hereby acknowledged, have granted, sold and conveyed, and by these presents do grant, sell and convey unto the said ... of the County of ... State of Texas, all that certain ...

WITNESSETH

That the said ... of the County of ... State of Texas, is the lawful owner and possessor of the above described premises, and that he is fully qualified to execute the foregoing conveyance, and that he has executed the foregoing conveyance of his own free will and volition, and without any fraud, duress, coercion, or undue influence, and that the same is a true and correct copy of the original thereof, as the same appears from the records of the County of ... State of Texas, to which records the same has been duly recorded.

IN WITNESS WHEREOF, the said ... of the County of ... State of Texas, has hereunto set his hand and seal of office, at the City of ... State of Texas, this ... day of ... A.D. 19... and of the ... year of the independence of the United States of America.

... Notary Public in and for the State of Texas, my commission expires the ... day of ... A.D. 19...









